

Ian McDonald

Dni Cyberabadu

Cyberabad Days

Dom Derwiszy

The Dervish House

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz



Spis treści

Spis treści	2
Dni Cyberabadu.....	4
Przedmowa.....	5
SAŃ INNE PLANETY NIŻ AMERYKA.....	5
SANJEEV I ROBOCIARZE.....	8
KYLE POZNAJE RZEKĘ.....	24
PYŁKOWA SKRYTOBÓJCZYNI.....	41
KAWALER NA WYDANIU.....	66
MAŁA BOGINI	94
MAŁŻONKA DŻINNA	135
WISZNU W KOCIM CYRKU	175
URATOWANI PRZEZ BIURKO	175
OTO WCIELA SIĘ BÓG, A POTEM JA.....	181
BRAT MNIE NIENAWIDZI	186
MAPA POD CZASZKĄ.....	194
MOJA ŚLICZNA MAŁŻONKA.....	202
DWA ZBĘDNE ATRYBUTY MOJEJ OSOBY.....	210
PIESZCZĘ USZKO WŁADZY	213
DZIEWCZYNA Z CZERWONĄ BINDI.....	220
OJCIEC OBWIESZONY WSPOMNIENIAMI.....	227
PORANEK BIAŁEGO KONIA.....	235
OD TŁUMACZA	249
SŁOWNICZEK.....	250
DOM DERWISZY	255
TURECKI ALFABET I WYMOWA.....	257
PONIEDZIAŁEK	258
I.....	258
II.....	292
WTOREK.....	343

III	343
IV	365
ŚRODA	414
V	414
VI	456
CZWARTEK	495
VII	495
VIII	533
PIĄTEK	591
IX	591
X	617
OD TŁUMACZA	633
O AUTORZE	634

Dni Cyberabadu

Przedmowa

SĄ INNE PLANETY NIŻ AMERYKA

Według Williama Gibsona przyszłość już tu jest - tyle że nierówno rozłożona. Pobieźny rzut oka na ostatnio wydawaną fantastykę mówi nam, że opisy przyszłości są rozłożone tak samo nierówno - większość twórczości przedstawia przyszłość zdominowaną przez amerykańską wrażliwość, amerykańskie wartości kulturowe i gospodarcze, oraz zamieszkaną przez stu procentowo amerykańskie postacie. Oczywiście, zawsze mieliśmy pisarzy w rodzaju Maureen McHugh i Bruce'a Sterlinga, a ostatnio także Nalo Hopkinson i Paolo Bacigalupiego, wyróżniających się szerszym, globalnym spojrzeniem na przyszłość, jednakże standardowy tryb science fiction to nadal hegemonia Ameryki i milcząco przyjęte założenie, że wartości zachodniego, wolnorynkowego kapitalizmu przetrwają w zasadzie niezmienione nawet w imperiach sięgających do najdalszych gwiazd. Właściwie nic dziwnego, współczesną fantastykę wynaleziono bowiem w latach trzydziestych właśnie w Stanach Zjednoczonych, i to Stany stanowią dla niej największy rynek (a także są największym producentem filmów i seriali SF). Jednakże już przed nierozważną wojną z terroryzmem i globalnym krachem gospodarczym, było jasne, że o ile XX wiek można śmiało mianować wiekiem Ameryki, to w XXI wieku centrum napędzanych techniką przemian, potęga gospodarcza i polityczna, niemal na pewno przemieści się gdzie indziej. Do Indii, Chin, Brazylii, a może nawet Rosji czy Europy, jeśli te stare mocarstwa zdołają zrzucić pęta historii i naprawdę zdefiniować się na nowo. Ale to już nie będzie się działo w Stanach Zjednoczonych.

Brytyjscy autorzy fantastyki mają długą tradycję filtrowania memów i szablonów współczesnego SF przez własną kulturową perspektywę - sami są bowiem obcymi w tym tłumie Jankeśów. W kosmicznej fantastyce Arthura C. Clarke'a, brytyjscy astronauta piją herbatę i smażą kielbaski w rakiecie na Księżyc, pokazują następcy tronu jak wprowadzić raketę na orbitę i oddają artefakty obcych do British Museum, a nie do Smithsonian Institute.

Ekipa magazynu *New Worlds* odwróciła się plecami do programu Apollo i zanurkowała w kosmos wewnętrzny. Z kolei twórcy skupieni wokół *Interzone* nasycili odwieczne fantastyczne marzenia prawdziwie globalnym etosem - przyszłości, jak Londyn-Babilon, tętniącej życiem, choć nie wolnej od tarć patchworkowej różnorodności - Somalijscy na Kentish Town, Banglijczycy na Brick Lane, Turcy na Green Lane, Kongijczycy na Tottenham Hale i tak dalej, do entej potęgi.

Ian McDonald, by wreszcie przejść do sedna tej przedmowy, znajdował się w globalizacyjnym nurcie fantastyki od samego początku swojej kariery. Jego pierwsza powieść, *Desolation Road*, rzutowała Marsa rodem z Bradbury'ego na *Sto lat samotności* Marqueza; w późniejszych powieściach i opowiadaniach tłem biotechnologicznych przemian i inwazji obcych była Afryka; we wszystkich popisywał się ogromnym talentem do cięcia i miksowania obrazów pożyczanych z ogromnych zasobów światowej fantastyki, i jeszcze większych - światowych aktualności, tworząc z nich intensywne montażowe zapadające w pamięć obrazy, by przemawiały głosem wielu różnych postaci.

Rzeka Bogów, powszechnie chwalona i zdobywająca nominacje do rozmaitych nagród, była dla niego znacznym skokiem ewolucyjnym. Osadzona w skomplikowanej, epickiej i ociekającej bogactwem szczegółów rzeczywistości Indii z bliskiej przyszłości, podzielonych na wiele konkurujących, ale zależnych od siebie państw, snuje opowieść podobnie podzieloną na wiele punktów widzenia i opisuje z tych najróżniejszych perspektyw walkę wspólnoty sztucznych inteligencji o legalizację i wolność, albo przez zgodę z ludzkimi stwórcami, albo niezależność od nich. Zebrane tutaj opowiadania mają tę samą scenerię. Historia płynie przez nie jak rzeka, choć mocno skupiają się na dylematach ludzi porwanych prądami zmian społecznych i technologicznych: chłopiec, który marzy o zostaniu robociarzem i walce na wojnie zdalnie sterowanym wojskowym robotem, dostaje twardą nauzkę, dowiadując się, jaki jest prawdziwy status jego superfajnych bohaterów; młoda kobieta, kiedyś czczona jako bogini, próbuje odnaleźć dla siebie nowe miejsce w świecie, gdzie bóstwami są AI, zwane w Indiach *aeai*; małżeństwo tancerki i dyplomatycznej sztucznej inteligencji przeżywa dramat, gdy narasta wrogość między światami ludzi i maszyn. Postacie u McDonalda są zarysowane wyraziście i z sympatią; jego proza jest bogata w intensywność i bezpośredniość; egzotyka (dla zachodniej wrażliwości) zatłoczonych i chaotycznych indyjskich miast oraz bogatej, starożytnej i zawilej mitologii wplata się, przenika, uzupełnia i odmienia egzotykę przyszłości równie bogatej, oszałamiającej i sprzecznej jak nasza teraźniejszość, rozgrzany inkubator technologicznych cudów, balansujący na krawędzi wojny domowej i wszelkiego typu przemian społecznych. W przeciwieństwie do rozmaitych przyszłości w science fiction

pisanej w standardowym trybie, tu konfliktu nie rozwiązuje się przez triumf tezy nad antytezą, lecz przez przystosowanie, adaptację i harmonizację. W hollywoodzkim Babilonie McDonalda historia jest w ciągłym ruchu, nieustannie płynie naprzód, nigdy się nie zatrzymuje, choć, płynąc, zachowuje w niezmiennym kształcie pewne odwieczne ludzkie prawdy. Coś się zmienia, coś zostaje bez zmian. Przyszłość zawarta w tym zbioru prześwietnych opowiadań to oczywiście zaledwie jeden z możliwych wariantów, ale jest ekscytująca, prowokująca, ludzka, i tak spójna, jak to umieją tworzyć tylko najlepsi - pozostaje nam nadzieja, że na taką przyszłość sobie zasłużymy.

Paul McAuley

SANJEEV I ROBOCIARZE

Na ten okrzyk pobiegli wszyscy chłopcy w klasie. „Roboty bojowe! Roboty!”. Nauczycielka wołała za nimi: „Wracajcie, wracajcie, niedobre łobuzy!” - ale była tylko sztuczną inteligencją, *aeai* od Business English. Kiedy z młodszej klasy przykuśtykała stara pani Mawji, zostały same dziewczynki, grzecznie siedzące na podłodze, oczy wytrzeszczone z oburzenia, ręce podniesione, chętne, by kablować i sypać nazwiskami.

Sanjeev nie biegał szybko, inni chłopcy wyprzedzili go, gdy się zatrzymał wśród soczewicy, żeby psiknąć sobie z inhalatora. Musiał walczyć o miejsce na skalnym grzbiecie, wiejskim punkcie widokowym, popularnym wśród par z przyzwoitkami, bo dającym widok na rzekę i stację uzdatniania wody w Muradzie. Dzisiaj uwagę przykuwał widok w głębi łądu, za polami soczewicy. Rolnicy z pól pierwsi się tu wspięli; stali, z narzędziami w dłoniach, zajmując wszystkie najlepsze miejsca. Sanjeev przepchnął się do przodu, stając między Maheshem i Ayanjitem.

- Gdzie oni, co się dzieje, co się dzieje?

- Tam, przy drzewach, żołnierze.

Sanjeev zmrużył oczy, patrząc, gdzie pokazuje Ayanjit, ale nie widział nic poza drgającym od upału żółtym pyłem.

- Idą na Ahraurę?

- Delhi nie zawracałoby sobie głowy takim zadupiem, jak Ahraura - powiedział człowiek, którego twarz Sanjeev znał, bo znał wszystkie twarze w Ahraurze, a może i nazwisko. - Chodzi o Murad. Jeśli go zajmą, Varanasi będzie musiało negocjować.

- A gdzie roboty? Chcę zobaczyć roboty!

I przeklął własną głupotę, bo każdy, kto miał oczy, widział, gdzie są roboty. Wielka chmura pyłu wędrowała biegnącą na północ drogą, nad nią w niesamowitej ciszy kłębiło się stado ptaków. Przez pył Sanjeev dostrzegał odbłyśki słońca na pancerzach, unoszące się stopy w pazurzastych buciorach, podrygujące czułki, kiwające się owadzie głowy, lśniące kapsuły z uzbrojeniem. Wtem i on, i wszyscy na skalnym grzbiecie poczuli, że od marszu robotów drży ziemia.

Ktoś w szeregu krzyknął. Cztery, sześć, dziesięć, dwanaście rozbłysków w zagajniku, smugi białego dymu. Stado ptaków ustawiło się w grot strzały, wycelowało w drzewa.

Bezzałogowce, uświadomił sobie Sanjeev; jednocześnie pomyślał: Rakiety! Gdy pociski dotarły do celów, chmura pyłu eksplodowała grzmotem strzałów i błyskami fajerwerków. Zanim dźwięk dotarł do obserwujących, było już po wszystkim. Roboty, nienaruszone, wybiegły z grzmiącym tupotem ze spowijającego je kokonu pyłu.

- Szarża kawalerii! - wrzasnął Sanjeev, dołączając do wiwatów dorosłych. Teraz i wzgórza i wioska zatrzęśły się od tupotu żelaznych stóp. Lasek zasypała wściekła kanonada; bezzałogowce wzniosły się i okrążyły go jak burza wirowa. Szarżujące roboty wypuszczały smugi pocisków raketowych; Sanjeev patrzył, jak komory z uzbrojeniem się otwierają, a lufy nakierowują na cel.

Wiwaty ścichły, gdy skraj lasu eksplodował ścianą płomieni. Wtem roboty otworzyły ogień z działek, i milczenie przerodziło się w pełną podziwu ciszę. Burza kul zmiotła drzewa, liście, rozsiekala w drzazgi gałęzie i pnie. Roboty obchodziły mały zagajnik dziesięć minut, nieustannie strzelając, okrażane bezzałogowcami. Nic stamtąd nie wyszło.

Ktoś gdzieś dalej zaczął krzyczeć: „Dżai Bharat! Dżai Bharat!” - ale nikt nie podjął wołania, więc zaraz przestał. Rozległ się natomiast kolejny, wrzaskliwy, pełen oburzenia głos dyrektorki Mawji, pnącej się na górę z wysiłkiem i podpierającej się laską.

- Złazcie stamtąd, durnie, bałwany! Wracajcie do domów, bo was pozabijają!

* * *

Wszyscy wypatrywali relacji w wieczornych wiadomościach, jednakże w Allahabadzie i Mirzapurze doszło do większych i głośniejszych wydarzeń; likwidacja paru partyzantów na takim odludziu jak Ahraura nie zasługiwała na wzmiankę.

Ale tamtego wieczoru Sanjeev stał się Fanem Robotów Numer Jeden. Wycinał zdjęcia z gazet i tych probharackich magazynów propagandowych, których nie zdążyły pożreć wszystkożerne krowy. Zapamiętałe oglądał japońskie i chińskie anime, gdzie seksowne androgyniczne dzieciaki sterowały gigantycznymi bojowymi robotami, aż siostra, Priya, zaczęła przewracać oczyma, a matka szepnęła księdzu, że obawia się o orientację seksualną syna. Ściągał z sieci gigabajty zdjęć, uczył się na pamięć producentów, modeli, opcji i parametrów uzbrojenia, szybkostrzelności i maksymalnych szybkości. Pomagając starszym ludziom przy komputerach, które według samozwańczego bharackiego rządu powinny być w każdej wsi, zarobił parę groszy i kupił japońskie karty Top Trumps z danymi robotów, ale nikt nie chciał z nim w to grać, bo znał wszystkie szczegóły na pamięć. A kiedy znudziły mu się płaskie obrazki, zaczął ciąć kleszczykami stare puszki i lutować z nich modele bojowych robotów: pościgowe z Miracle Ghee, patrolowo-obronne z farby „Titan Drench”, przeciwwzajemne z red coli.

Ci sami starszycy, kiedy przychodził zakładać im konta i zmieniać hasła, pytali go: „Słuchaj no, znasz się trochę na tym, o co chodzi z tym całym Bharatem i Awadhem? Co im przeszkadzały stare dobre Indie? I kiedy zaczną znowu puszczać na satelicie krykieta?”.

Sanjeev, mimo całej wiedzy o robotach, nie miał pojęcia. W wiadomościach trwał ciągły wir: kolejne ruchy polityków, nowe posunięcia rozłamowców, ale wszyscy dawno zapomnieli, od czego w ogóle zaczął się konflikt. Maoistyczna ekstrema z Bihar, wszechmocne Delhi, ci cholerni muzułmanie, znowu domagający się własnego prawa? Starszycy nie spodziewali się od niego odpowiedzi, po prostu lubili sobie ponarzekać i czerpali starczą przyjemność z udowadniania młodemu bystrzakowi, że jednak nie wie wszystkiego.

„Abyśmy tylko już ich tu nie oglądali” - mawiali, kiedy Sanjeev rewanzował się danymi technicznymi bezzałogowego samolotu Raytheon 380 Rudra albo mecha zwiadowczego Akhu i opowiadał, o ile lepsze są od dowolnego ludzkiego żołnierza. Wszyscy na ogół uważali, że Bitwa o Lasek Vora, który zaczął odrastać, to już cała wojna secesyjna, jaką będą tu oglądać.

Ale tak się nie stało. Żołnierze wrócili. Przyszli w nocy, szli powoli przez pola, z wygodnie, ukośnie opuszczonymi karabinami. Ci, którzy ich spotkali, mówili potem, że nie atakowali, po prostu podnieśli karabinki i odgonili ich. Przeszli przez całą wieś, przez każde pole i ogród, każde podwórze i zaułek, każdą oborę i zagrodę. Nad ranem każdy centymetr Ahraury pokrywały ślady buciorów. Niczego nie wzięli, niczego nie dotknęli. „O co im chodziło?” - pytali ludzie. „Czego chcieli?”.

Dowiedzieli się dwa dni później, kiedy zbiory na polach poczerniały i uschły, a zwierzęta, po ostatniego zdziczałego psa, zachorowały i zdechły.

* * *

Sanjeev puszczał się biegiem, kiedy ich samochód skręcał w Umbrella Street. Łatwo było go zauważyć - wielki, wojskowy hummer, pomalowany farbą czarną jak Kali i ozdobiony czerwonymi animowanymi płomieniami, które jakby migotały, gdy przejeżdżał. Ale jeszcze łatwiej było go usłyszeć: wszyscy znali dum, dum, dum desi metalu, uzupełniane o gitary i wrzaskliwy wokal, kiedy opuszczali szybę, żeby zamówić jedzenie. Jedzenie na wynos. I Sanjeev już tam był. „Co panom podać?”. Po przeprowadzce do Varanasi nauczył się dobrze biegać. Zresztą, wszystko się zmieniło, odkąd umarła Ahraura.

Ostatnim tchnieniem zasłużyła sobie na tę wzmiankę w wiadomościach. Pierwsza padła ofiarą nowego typu ataku. Popularnie mówiło się na takie oddziały „trujopolówki”; powszechne wyobrażenie przedstawiało śniadych mężczyzn w kameleonowym kamuflażu,

idących powoli przez pola, z dłońmi rozłożonymi jak na powitanie, ale siejącymi chorobę i zarazę. Desperacka strategia - pozbawić separatystów, czego się tylko da - i tylko częściowo skuteczna; po paru pierwszych atakach do trujopolówek strzelano bez ostrzeżenia.

Ahraurę jednak zabili: kiedy zdechła ostatnia krowa, a wiatr zaczął zbijać zwiędłe liście i kurz w żółte chmury, mieszkańcy nie mogli już dalej czekać. Wyjechali do miasta autami, pickupami, fatfatami, autobusami i choć przysięgli, że będą się trzymać razem, rodzina za rodziną rozplądali się w dziesięciomilionowym Varanasi. Wtedy Ahraura ostatecznie umarła.

Ojciec Sanjeeva wynajął mieszkanie i włożył wszystkie oszczędności w budkę z pizzą i piwem. Pizza, pizza, to się je w mieście, nie samosy, nie placki appam, nie serowe rasgulle. Oraz piwo, „Kingfisher”, „Godfather”, „Bangla”. Matka trochę szyła, uczyła savoir-vivre’u i sanskrytu, który знаła z modlitw. Babcia Bharti i siostrzyczka Priya sprzątały biura nowego błyszczącego Varanasi ze szkła i chromu, wyrastającego za stłoczonymi, sypiącymi się domami starego Kashi. Sanjeev pomagał w budce pod rzędami wysokich, neonowych parasoli, które nie chroniły ani przed deszczem, ani przed słońcem, ale przyciągały imprezowiczów, nocnych włóczęgów, badmaśów i modnisie. Dały nazwę całej ulicy. To tam po raz pierwszy zetknął się z robociarzami.

Była to miłość od pierwszego wejrzenia, gdy zobaczył, jak idą Umbrella Street w swoich pociętych koszulkach, z nagimi, seksownymi ramionami ozdobionymi krysznaickimi bransoletkami i hennowymi tatuażami, w zajebistych, najmodniejszych długich butach nabitych metalem w paru miejscach, z włosami nażelowanymi i postawionymi jak w tych japońskich anime. Sprzedawcy z Umbrella Street odsuwali się od nich. Mieli złą opinię. Później Sanjeev miał zobaczyć, jak wywracają stragan sprzedawcy pakory, który ich rozzłościł, obrażają kobietę w biznesowym sari, bo spojrzała na nich krzywo, rozwalając fatfata taksówkarzowi, który ich wysadził, bo byli pijani, ale tego pierwszego wieczoru byli jak gwiazdny pył; pragnął zostać kimś takim, chęcią tak czystą, bolesną i niemożliwą, że aż sprawiała mu łzawą przyjemność. To byli żołnierze, nastoletni wojownicy, robociarze. Tylko najgłupsze i najtańsze maszyny mogły prowadzić się same; wielkie bojowe roboty polegały, poza systemami sztucznej inteligencji, na ludzkich dżokejach. A to idealne połączenie refleksu i agresji, podkręcanej jeszcze garściami wojskowych środków, najczęściej występowało u nastolatków.

- Pizza, pizza, pizza! - zawołał Sanjeev, podbiegając ku nim. - Mamy pizzę, wszystkie rodzaje pizzy i piwo „Kingfisher”, „Godfather”, „Bangla”, jakie tylko chcecie!

Stanęli. Obrócili się ku niemu. Popatrzyli. Potem odwrócili się z powrotem, choć jeden

obejrzał się jeszcze, gdy reszta odchodziła. Był wysoki i bardzo chudy od dragów, rozlatany, drapiący się, wypryski na skórze przykryte podkładem. Sanjeev miał go za boga ulicy.

- Jaką masz pizzę?

- Tikka tandoori murgh kebab z wołowiny, z baraniny, kofta, pomidory, szpinak.

- Pokaż tą z koftą.

Sanjeev uniósł oburącz obwisający brzeg pizzy z mięsnymi klopsikami. Robociarz wziął jedną koftę w dwa palce. Pociągnęła za sobą pasmo stopionego sera, które zreźnie odgryzł.

- Niezłe. Daj cztery takie.

- Może piwo, piwo jasne, „Kingfisher”, „Godfather”, „Bangla”...

- Nie przeginaj.

Teraz biegł obok wielkiego, powoli jadącego auta, które kupili sobie, gdy już mieli dość lat, żeby móc prowadzić. Sanjeevowi nigdy nie przyszło do głowy, że to się nie trzyma kupy: mogą chodzić wojskowymi robotami gdzie chcą, na misje zwiadowcze, albo maszerować za ciężkimi czołgami, ale prawo nie pozwala im jeździć po ulicach Varanasi niczym większym od motoroweru.

- To jak, zabiliście kogoś dzisiaj? - zapytał przez uchylone okno, łapiąc się klamki i biegnąc zatłoczoną ulicą.

- Na Kunda Khadar, nad rzeką, ganialiśmy szpiegów i inspektorów - powiedział przyszczaty, ten, który wcześniej z nim gadał. Kazał mówić na siebie Rai. Wszyscy zresztą mieli powymyślane przezwiska z japońskich anime. - Ktoś musi dawać popalić tym fajansiarzom z Awadhu, co siedzą na tamie.

Na lusterku wstecznym dyndała czarna plastikowa Kali z czerwonym językiem i żółtymi oczyma. Sanjeev przyjął zamówienie i popędził do ojca przy glinianym piecu tandoor. Pizze były gotowe, zanim Kali-hummer zrobił drugie okrążenie. Sanjeev podsunął pudełka Raiowi. Ten wyciągnął brudne, wyświechtane tymczasowe bharackie rupie, a kiedy Sanjeev grzebał w torbie na pasie po resztę, rzucił mu napiwek: małą, zamykaną torebkę z wojskowymi dragami. Sanjeev handlował nimi w zaułkach i podwórkach na tyłach Umbrella Street. Najlepszymi klientami byli uczniowie - kiedy zakuwali do egzaminów, żarli je całymi garściami. Sanjeev po Ahraurze już nie chciał oglądać szkoły na oczy. Po co komu szkoła, kiedy w palmerze ma się cały świat i całą sieć? A dzięki małym, błyszczącym, czarnym, żółtym, fioletowym i błękitnym jak niebo kapsułkom rodzina Rajghatta cieszyła się szacunkiem. To one awansowały ich ponad slumsy.

Jednakże tego wieczoru dłoń Raia wystrzeliła przez okienko i złapała rękę Sanjeeva,

kiedy zamykała się na plastikowej torebeczce.

- Ej, wiesz co, tak sobie myśleliśmy...

Reszta robociarzy, Suni, Ravana i Godspeed! i Big Baba, kiwnęła głowami.

- Pomyśleliśmy sobie, że przyda się ktoś tam u nas, kto będzie pomagać, sprzątnie, zrobi porządek, pójdzie po różne rzeczy. Chcesz się tym zająć? Zapłacimy, w państwowych kwitach, nie dolarach, nie euro. Chcesz dla nas pracować?

* * *

W domu nakłamał: błysk, technologia, piękny budynek z tkanego diamentu i chrom, który poleruje, aż lśni naprawdę olśniewająco, stosując starą wiejską sztuczkę: pastę do zębów. Nakłamał z rozczarowania, choć również dlatego, że spodziewał się nie wiadomo czego: za wiele nocy spędzonych z androgynicznymi nastolatkami w lycrowych kombinezonach, zamykającymi się w pustoszących całe dzielnice bojowych machinach. Tymczasem robociarze z 15. Dywizji Lekkiej Kawalerii Zwiadowczej - poprawnie zwani sowarami - pracowali w taniej magazynowej szopie z aluminiowej blachy w zapyłonej przemysłowej okolicy na tyłach nowego dworca. Ich ruchy przesyłano do odległych prowincji i krajów, gdzie walczyli za Bharat. Zbyt rzadkie to były talenty, żeby je narażać, wsadzając do szturmowych Raytheonów, albo zwiadowczych Aiw. Żaden robociarz nigdy nie wrócił do domu w worku.

Sanjeev drapał się po głowie i kopał ziemię, kucając przed wrotami magazynu, mrużąc oczy od porannego słońca. Kierowca fatfata musiał pomylić adres? Wtem Rai i Godspeed! wprowadzili go do środka i pokazali, jak się wojuje w tandetnym magazynie. Uprężę do przechwytywania ruchów ciała zwisały ze statywów jak marionetki. Czarne, owadzie hełmy z lustrzaną szybką, żywcem z japońskich anime - i ciągnące się za nimi splecione kable. Jedna ściana hali cała była zastawiona półprzejrystymi kopułkami procesorów, sąsiednią zajmował gigantyczny silkscreen błyskający dziesięcioma tysiącami informacyjnych migawek z toczącej się wojny: potyczek, zwiadów, ataków powietrznych, pozycji piechoty, pół minowych, akcji powolnych pocisków, ciężkich dywizji pancernych i mechów. Na tym ekranie pojawiały się rozkazy, wydawane przez kobietę-dżemadara z Kwatery Głównej Dywizji. Sanjeev nigdy nie widział jej na żywo. Żaden z robociarzy też jej nigdy na żywo nie widział, choć żartowali sobie na ten temat za każdym razem, kiedy pojawiała się na ekranie, żeby wysłać ich na zwiad, potyczkę, czy wypad na stronę wroga. Pod przeciwległą ścianą, za uprężami, stały popękane skórzane sofy, odchylane krzesła, baniak z chłodzoną wodą (pełny) i automat z colą (w trzech czwartych pusty). Betonową podłogę, całą w smugach od trampek, zaścielały pisma o grach i dziewczynach, jak martwe ptaki. Drzwi prowadziły do

pokoju odpoczynku, gdzie stały kolejne kanapy, parę rozkładanych łóżek i konsola do gier z trzema wirtualnymi zestawami. Obok była jeszcze mała kuchenka i kabina prysznicowa.

- Ludzie, jak tu śmierdzi! - powiedział Sanjeev.

Do południa wysprzątał wszystko od a do zet, od góry do dołu, poukładał pisma według daty wydania, buty poskładał parami, a porozrzucane ciuchy włożył do czarnego foliowego worka, żeby zanieść do pralni. Pozapalał kadzidelka. Wywalił z lodówki zepsute mleko i pleśniejące jedzenie, oddał puste butelki po coli i odebrał kaucję, zrobił herbatę i wykradł się po samosy - potem powiedział, że sam je zrobił. W zdenerwowaniu patrzył, jak Big Baba i Ravana zapinają się w uprzęże na trzygodzinną misję bojową. Tyle się tego pierwszego ranka dowiedział. To wcale nie był jeden chłopak na jednego bota; *aeai* poziomu 1,2 kontrolowały większość autonomicznych procesów jak poruszanie się i postrzeganie, piloci byli bardziej jak oficerowie, każdy dowodził plutonem botów, przełączając się z widokiem od maszyny zwiadowczej do szturmowej do samolocika wojny informacyjnej. I żaden z nich nie miał swojej ukochanej, starej i wiernej maszyny, ze śladami po kulach, z miłością ozdobionej ręcznie sprejowanym graffiti i demonami z okładek płyt z indyjskim metalem. Maszyny szły na wojnę dlatego, że mogły znosić obrażenia, jakich nie znieśliby ludzie i ich rodziny. Kawaleria Kali przełączała się między dziesiątkami robotów, tak jak dyktowało zużycie i rozkazy pani džemadar. Zupełnie inaczej niż w japońskim anime, ale chłopaki od Kali i tak wyglądali w swoich uprzężach seksownie i groźnie, mimo że co wieczór wracali do domu, do rodziców. A praca dla nich, sprzątanie, podsuwanie ręczników, kiedy spoceni i śmierdzący szli pod prysznic po misji bojowej - to był szczyt kariery w skromnym życiu Sanjeeva. To były jego dzieci, jego chłopcy; dziewczynom wstęp wzbroniony.

- Cały dzień siedzisz z tymi badmaśami, słońca nie oglądasz, to nie jest robota dla ciebie - powiedziała matka, zamiatając podłogę maleńkiego saloniku w oczekiwaniu na kolejną uczennicę. - Bardziej byś się ojcu przydał, zaraz będzie musiał zatrudnić jakiegoś chłopaka do pomocy. Jakby nie miał własnego syna. Ci gówniarze od robotów nie mają za dobrej reputacji.

Wtedy Sanjeev pokazał, ile pieniędzy zarobił w jeden dzień.

- Matka się niepokoi, że cię wykorzystają - powiedział ojciec, ładując na taczkę drewno do palenia pod piecem do pizzy. - Nie jesteś stworzony do tego miasta, nie urodziłeś się tutaj. Ja tylko powiem: za bardzo się na to nie napalaj, żołnierze i tak w końcu dadzą ci kopa, chcą czy nie chcą. Bo wszystkie wojny kiedyś się kończą.

Za to, co mu zostało, kiedy już obdzielił pieniędzmi matkę, ojca, a trochę wpłacił do

spółdzielni kredytowej dla Priyi, poszedł na Tea Lane i zapłacił zaliczkę i pierwszą ratę za parę wysokich, metalowo-skórzanych, czarno-czerwonych, malowanych w płomienie butów. Następnego dnia włożył je z dumą do pracy, siadając w fatfacie obok kierowcy, żeby wszyscy widzieli, i regularnie co piątek płacił właścicielowi sklepu Bata. Po dwunastu tygodniach były już w całości jego. Do tego czasu obkupił się także w koszulki, spodnie z podróbki lateksu (baba, w Varanasi za gorąco, za gorąco na prawdziwy, spocisz się w nim jak nie wiem), bransoletki i naszyjniki Kali, żel do włosów i kredkę do oczu. Ale najważniejsze są buty, buty przede wszystkim. Buty to cały robociarz.

- Może spróbujesz?

Było to jedno z tych pytań, tak prostych i nieoczekiwanych, że umysł Sanjeeva nad nim przeskoczył i dopiero kiedy zbierał papiery po fast foodach (co za bałaganiarze!), sens dotarł do niego i walnął go w głowę.

- Co? Znaczący... tym? - Kiwnięciem głowy wskazał uprząż wiszącą na statywie jak wypatroszone skóry.

- Jak chcesz. Bo akurat nic się nie dzieje.

Prawie od miesiąca już niewiele się działo. Ostatni ekscytujący moment: gdy jakiś cracker w podobnej szopie w Delhi przebił się igłą łamacza przez firewalla *aeai* Kawalerii Kali. Big Baba nagle podskoczył w swoim sprzęcie, jakby poraziło go milion miliardów woltów (później Sanjeev dowiedział się, że właściwie prawie tak było), potem strzeliły bezpieczniki biosterowania (fajerwerki w szopie, nieźle) i zaczął się rzucać po podłodze, jak w ataku padaczki. Sanjeev pierwszy dobiegł do czerwonego guzika i ekipa interwencyjna uwiozła Big Babę do prywatnego szpitala dla bogaczy. Zanim przyniósł z małej knajpki blaszanki z obiadem, *aeai* już wyewoluowały poprawkę na taki rodzaj włamania, a Big Baba po trzech dniach wrócił w swój narożnik kanapy, bez obrażeń, jeśli nie liczyć dokuczliwej migreny. Pani dżemadar przysłała mu kartkę z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia.

Tak więc czuł właśnie ekscytację i niepokój, kiedy pozwolił, by Rai zapiął go w uprząż. Znał wszystkie paski i zatrzaski - sto razy zaciągał je i dociskał czujniki ruchu - ale dzięki temu, że robił to Rai, wszystko nabierało specjalnego znaczenia, jakby pasowano go na robociarza.

- Może ci się trochę zakręcić - powiedział Rai, nasadzając mu hełm na głowę. Przez moment była tylko czerń i cisza - słuchawki dopiero wyszukiwały jego bębni. - Pracują teraz nad tą nową techniką, jakąś indukcją kostną, czy coś, żeby można było przesyłać obrazy i dźwięki od razu do mózgu - usłyszał jego głos w interkomie. - Ale chyba szybko tego nie będzie. Teraz się nie ruszaj, stój i do niczego nie strzelaj.

Ostrzeżenie dalej brzmiało mu w uchu środkowym, gdy zamrugał i odkrył, że stoi przed szkołą we wsi tak podobnej do Ahraury, że odruchowo rozejrzał się za panią Mawji i Shree, świętą rudą kozą. Potem dostrzegł, że szkoła jest opuszczona, nie ma dachu, zamiast niego płachty wojskowego kamuflażu. Ściany całe popstrzone dziurami po kulach, sięgającymi aż do cegły. Na nienaruszonym kawałku glinianego tynku ktoś pośpiesznie namalował Śiwę i Krisznę z fletem, podpisując ich: „13. Dywizja Zmechanizowanych Sowarów, Kwatera Główna Sekcji”. Byli tam faceci w eleganckich, ciasno spiętych pasami mundurach, z bambusowymi pałkami. Za otwartą bramą przechodziły kobiety z mosiężnymi dzbanami na wodę, przejeżdżali mężczyźni na rowerach. Sanjeev zauważył, że wyciągając się, może unieść głowicę z czujnikami ponad mur. Wioska, taka Ahraura, ale zbyt biedna, żeby uniknąć wojny. Po lewej, pod zakurzoną miodlą, stał robot. Pewnie czymś takim jestem, pomyślał Sanjeev, General Dynamics A8330 Syce, nieprzyjemny stwór podobny do szkieletu skoczka pustynnego, na dwóch drapieżnych, szponiastych nogach, z ciężką koroną czujników i dwoma gatlingami na ramionach, wymienialnymi na granaty z gazem, albo działka żelowe do pracy policyjnej - przypomniał sobie z numeru „War Mecha” z października 2023.

Zerknął na swoje stopy. W polu widzenia pojawiły się ikonki, jak rozkwitające kwiaty: położenie, wysokość, temperatura, stan amunicji, poziom metanu w zbiornikach paliwa, taktyczna i strategiczna mapa satelitarna - był, jak się zdaje, w południowo-zachodnim Biharze - ale najbardziej fascynowało go, że jeśli w myślach podniesie własną stopę, Syce zrobi to samo ze swoją szponiastą łapą.

No przejdź się, jesteś na jakimś biharskim zadupiu i nic się tam nie dzieje.

Naprzód, pomyślał. Bot zrobił krok, drugi. Idź, rozkazał Sanjeev. Tam. Robot dziarsko ruszył ku bramie. Nikt na pełnej rozwalonych domów ulicy nawet nie zwrócił uwagi, kiedy wszedł między nich. Super! - pomyślał, idąc ulicą, a potem: To jak gra. Wtedy przyszła wątpliwość: To skąd w ogóle wiadomo, że ta wojna jest naprawdę? I to było o krok za daleko: Syce znieruchomiał o sto metrów od świątyni Ganeśi, odwrócił się i wrócił na posterunek. Co, co, co, co, co?! - krzyknął w głowie.

- *Aeai* przejęła sterowanie - powiedział Rai, jego głos eksplodował w hełmie niespodziewanie jak raca.

Wtem wioska szerniała i ścichła, a Sanjeev już mrugał w świetle paskudnych, energooszczędnych świetlówek sali bojowej Kawalerii Kali. Rai delikatnie odpinał mu zatrzaski, klamerki i paski.

Tego wieczoru, kiedy szedł do domu przez tłum ludzi, z rupiami w garści, uświadomił sobie dwie rzeczy: że wojna przeważnie jest nudna i że ta nudna wojna właśnie się kończy.

* * *

Wojna się kończyła. Pani dżemadar odwiedzała silkscreen na ścianie trzy razy, dwa razy, raz na tydzień, podczas gdy u szczytu chwały i gorączki wydawała rozkazy tyleż razy dziennie. Dżokeje Kali rozwalali się na kanapach, grali w gry i ściemniiali fanom w sieci, jakie to fantastyczne, ekscytujące i seksowne misje wykonują - choć fani i tak nigdy nie wierzyli, że oni naprawdę są robociarzami - ale przeważnie tylko garściami ciągnęli wojskowe środki, od których robili się drażliwi i agresywni. Bójki wybuchały o papierosa, o spojrzenie, o to, że ktoś zamknął albo zostawił otwarte drzwi. Sanjeev musiał rozdzielać kilkanaście walk między samymi robociarzami. Kiedy jednak przyjechały amerykańskie siły pokojowe, było wiadomo, że to już naprawdę koniec, bo oni przylatywali dopiero wtedy, gdy już absolutnie nie było szansy, żeby ktoś zginął. Przyszła fala wysadzanych samochodów, ataków informatycznych, było nawet parę zamachów samobójczych, ale wszyscy wiedzieli, że to tylko ci, którzy mają coś do Ameryki i Amerykanów w świętym Bharacie. Ale wojna już się skończyła.

- Co będziesz teraz robić? - zapytał ojciec Sanjeeva, mając na myśli „Co będziesz robić, kiedy z Umbrella Street zrobi się kolejna dzielnica skośnookich?”.

- Trochę mam odłożone - odparł Sanjeev.

Godspeed! kupił za zaoszczędzone pieniądze robota. Tata Industries D55, małego ale zwinnego bota przeciwpiechotnego, z odłączanymi mniejszymi robotami, poziom 0,8, czyli mniej więcej tak bystre, jak kura. Zresztą były podobne do kur. Nawet używany musiał kosztować więcej, niż byłby w stanie odłożyć nastoletni robociarz, ciągle kupujący gry, dostęp do sieci, pornole i pizzę z koftą u ojca Sanjeeva.

- Miałem inwestorów - powiedział. - Finansowanie. I jak ci się podoba? Trochę go odpicuję, tak będzie wyglądać po malowaniu. - Po wyschnięciu lakieru mieli go przywieźć ciężarówką do Varanasi.

- Ale co ty z nim będziesz robił? - zapytał Sanjeev.

- Prywatna ochrona. Robot do ochrony zawsze się przyda.

Sprzątając wieczorem maleńki salonik, bo o dziewiątej miała przyjść do matki uczennica, otwierając okna, żeby wypuścić zapach gorącego ghi, choć smród ulicy był niewiele lepszy, Sanjeev usłyszał w nieustającej pieśni Umbrella Street nowy akord. Uniósł rolety, w sam raz, by zobaczyć, jak przed twarzą, nad linią energetyczną i obwieszonym girlandami kabli słupem przemyka jakiś przedmiot, szybki jak nurkujący ptak. Błysk anodowanego alu-plastiku: chłopaczek wychowany na kartach „Battlebots” nie mógł nie rozpoznać zwiadowczego mecha marki Tata. To wyjaśniało zamieszanie na końcu ulicy:

garbaty grzbiet wojskowego bota przepychał się między rowerowymi riksami i fatfatami. Zanim jeszcze dostrzegł na jego skorupie malowanych na zamówienie bogów-demonów, już wiedział co to za marka, jaki model, i kto nim lata.

Przed dostojnie kroczącą machiną powoli jechał badmaś na alko-motorku, zachwycony, że rozstępuje się przed nim uliczny tłum, rozkoszując się elektrycznym zapachem ciężkiej siły ognia za plecami. Sanjeev widział, jak mech podchodzi i przysiadła na siłownikach przed zatłuszczonym straganikiem z pakorą, należącym do Jagmohana. Badmaś zahamował z poślizgiem motorek i zsunął na czoło ciemne okulary.

Robot do ochrony zawsze się przyda.

Sanjeev zatupotał po wielu, wielu stopniach patriotycznie przechrzczonego bloku: Dijlit Rana Apartments, wrzeszcząc, przepychając się i roztrącając kobiety i mężczyzn w bardzo białych koszulach. Robot już zajął pozycję przed piecem do pizzy jego ojca. Skorupa otworzyła się jak skrzydła owada, odsłaniając mocowania z uzbrojeniem. Badmaś cały się szczyrzył, licząc na kolejny haracz. Sanjeev wbiegł między ojca i wścibską, owadzią główkę z czujnikami. Górowały nad nim czerwone demony i Śiwy z ognistymi trójzębami.

- Zostaw go, to mój tata, daj mu spokój.

Wydało mu się, że cała Umbrella Street, wszystkie pojazdy, wszystkie balkony i każde okno, z którego było go widać - wszyscy jak jeden mąż wstrzymali oddech w oczekiwaniu. Kapsuły z uzbrojeniem zabzyczały i zamknęły się, pancerz zsunął się na miejsce. Bojowy mech wzniosł się na łapach, zwiadowcze miniboty przebiegły między nogami ludzi i po kontuarach straganów, wbiegły mu na grzbiet i zajęły miejsca we wgłębieniach, jak ptaszki na garbie bawołu. Sanjeev wbił wzrok w badmaśa. Ten skrzywił się drwiąco, zsunął na oczy swoje groźno-seksownie-modne okulary i z rykiem uruchomił motorek.

Dwie godziny później, kiedy wszystko już wróciło do normy i znów było bezpiecznie, ulicą przejechali goście z sił pokojowych. Zaczęli się rozpytywać. Sanjeev pokręcił głową i pociągnął ze swoich inhalatorów na astmę.

- Jakiś robot czy coś takiego.

Suni opuścił szopę. Nic nie powiedział, nie napisał, nie dał do zrozumienia, rodzina dzwoniła i dzwoniła, ale nikt nic nie wiedział. Od zawsze plotkowało się o jakimś mężczyźnie z kasą i perspektywami, którego kręcą robociarze, ale takich rzeczy się matkom nie mówi. Przynajmniej nie za pierwszym razem. Minał tydzień bez słowa od pani dżemadar. Wojna się kończyła. Zdecydowanie. Rai zaczął siadywać w kucki na dworze, łypiąc na słońce zmrużonymi oczyma spod swoich groźno-seksownie-modnych okularów, patrząc, jak opala mu blade ramiona i odpalając jednego od drugiego tanie, skręcane na miejscu cygaretki bidi.

- Sanj. - Dopalił taniego papierosa aż do palców w rękawiczce i zgniótł niedopałek stalowym obcasem buta. - Kiedy to już się stanie, kiedy już nie będziemy mieli dla ciebie zajęcia, masz coś w planach? Tak sobie myślałem... może moglibyśmy coś razem zrobić, gdzieś pójść? Tak, żeby było jak przedtem, no wiesz. Taki pomysł.

Wiadomość przyszła o trzeciej rano. *Jestem pod domem*. Sanjeev obszedł na palcach śpiącą rodzinę i uchylił okno. Na Umbrella Street dalej był ruch: ulica nie spała od tysiąca lat. Wielki czarny hummer Kawalerii Kali przeciskał się przez nocnych marków nowego Varanasi jak pogrzebowy karawan. Zamki na drzwiach za bardzo hałasowały, wyszedł więc przez okno, schodząc po rurach jak bot infiltracyjny Raytheon Double-8000 I-War. W Ahraurze w życiu by mu się to nie udało.

- Ty prowadzisz - powiedział Rai. Gdy przyszła wiadomość, Sanjeev od razu wiedział, że to on, i tylko on.

- Ja? Nie umiem.

- Samo się prowadzi. Musisz tylko sterować. Prawie tak jak w grze. No, przesiadamy się.

Kierownica, pedały, lewarek biegów, deska rozdzielcza - z siedzenia kierowcy wszystko wydało się Sanjeevowi strasznie wielkie. Musnął nogą pedał gazu. Silnik zareagował, hummer potoczył się szybciej, Umbrella Street rozstąpiła się przed nimi. Kręcąc kierownicą, ominął wędrującą krowę.

- Gdzie mam jechać?

- Wszystko jedno. Daleko. Wyjedź z Varanasi. Gdzieś, gdzie nie jedzie nikt inny. - Rai podskakiwał i wiercił się na fotelu pasażera. Dłonie cały czas mu latały. Musiał się sporo najeść wojskowych dragów. - Posłali ich z powrotem do szkoły. Do szkoły, wyobrazasz sobie? Big Babę i Ravanę. Powiedzieli, że potrzebne im praktyczne umiejętności. Ja nie wracam. W życiu. Zobacz!

Sanjeev zaryzykował spojrzenie na skarb w dłoni Raia: zwój rzeźbionego półprzejrzystego różowego plastiku. Przyszły mu na myśl wyskrobane kozie płody i zabawki erotyczne, których używały dziewczyny w ich ulubionych pornolach. Rai potrząsnął głową, odrzucając w tył długie, wyżelowane włosy i wsunął urządzonek za ucho. Sanjeevowi wydało się, że poruszyło się na jego ciele, jakby czegoś szukało.

- Odkładałem, odkładałem, w końcu kupiłem. Pamiętasz, mówiłem. To jest nowe, nikt jeszcze tego nie ma. Cały tamten sprzęt to już starość, a z tym da się wszystko zrobić. W głowie, myślisz o obrazach i słowach, i tyle. - Wyszczrzył się w zaćpanym uśmiechu i złożył dłonie w taneczną mudrę. - Już.

- Co już?

- Zobaczysz.

Hummer łatwo się prowadził: *aeai* samochodu miała instynkt stadny, pozwalający jej lawirować we wzburzonym porannym gęstym ruchu, i Sanjeevowi zostawało do roboty niewiele poza trąbieniem potrójnym klaksonem, co czynił z wielką przyjemnością. Gdzieś w głębi duszy czuł, że powinien się bać, powinien czuć się winny, że wykradł się w nocy, nie zostawiając choćby karteczki, powinien powiedzieć „nie, przestań, cokolwiek robisz, nic z tego nie będzie, to wszystko głupota, wojna się skończyła i trzeba się poważnie zastanowić, co teraz”. Lecz złoto-mosiężne słońce już się wylaniało zza szklanych wieżowców i rozlewało po ulicach, kobiety w eleganckich sari i mężczyźni w śnieżnobiałych koszulach już pędzili do pracy, a on był wolny, jechał pomiędzy nimi wielkim, szpanerskim samochodem, i to było takie przyjemne, choćby miało trwać tylko jeden dzień.

Zjechał na nowy most w Ramnagarze, pogardliwie trąbiąc na jaskrawe, powolne ciężarówki. Kierowcy odpowiadali klaksonami, obrzucając wulgarnymi wyzwiskami wyglądających jak dziewczyny robociarzy. Zjechali z dróg głównych na drugorzędne, potem na gruntowe, w końcu na gołą ziemię - pył wirował wokół wielkich opon hummera. Rai nerwowo podskakiwał na siedzeniu pasażera, szczyrzył się sam do siebie i trzepotał dłońmi jak motylami, mrużąc półsłówka, i od czasu do czasu wysadzając głowę przez okno. Nażelowane włosy miał sztywne od pyłu.

- Czego szukasz?

- Zaraz będzie - odpowiedział Rai, podskakując na fotelu. - A wtedy będziemy robić co chcemy.

Sanjeev po jednym słowie „jedź” domyślił się, gdzie ma jechać. Nawigacja i *aeai* pamiętały drogę za niego, ale i tak znał każdy jej zakręt i każde odgałęzienie. Tu lasek Voras Wood, ciągle szary i karłowaty; skalny grzbiet między rzeką i polami, z którego wszyscy mężczyźni we wsi patrzyli na bitwę, a on zakochiwał się w robotach. Roboty zawsze były czyste i uczciwe. To latający nimi chłopcy zawodzili i rozczarowywali. Pola zasypane pyłem, dryfującym i piętrzącym się pod ciernistym żywopłotem. Nic tu nie wyrośnie przez całe pokolenie. Gliniane ściany domów kruszyły się, szkoła była ruiną bez dachu, świątynia i cysterny obrośnięte namiecionym przez wiatr pyłem. Pył - nic, tylko pył i proch. Kości trzeszczały i rozsypywały się w proch pod czterema napędzanymi kołami. Paru zbyt zdesperowanych, żeby wyjechać do Varanasi, próbowało związać koniec z końcem w ruinach. Sanjeev widział chudych jak druty mężczyzn i znużone kobiety, umorusane dzieciaki kucające przed ruderami z cegły i folii. Rozsiana po Ahraurze trucizna i tak ich w końcu

dopadnie.

Sanjeev zatrzymał hummera na skalnym grzbiecie. Słońce prażyło żółto, upał był potworny. Rai wyszedł się rozejrzeć.

- Co za zadupie.

Sanjeev usiadł w cieniu tylnej kabiny i patrzył, jak Rai chodzi tam i z powrotem, tam i z powrotem, kopiąc wielkimi buciorami desi metalowca ziemię Ahraury. Nie powstrzymaliście ich, co? - pomyślał. Nie obroniliście nas przed trujopolówkami. Rai nagle podskoczył i machnął pięścią.

- Jest, jest, zobacz!

Po martwej ziemi toczył się pyłowy wir. Stożące wysoko słońce wydobywało z jego głębi odbłyśki i iskry. Tornado szło pod wiatr, prosto do Ahraury.

Robot zatrzymał się u podnóża grzbietu, na którym, czekając, stali Rai i Sanjeev. Raytheon ACR, ciężki frontowy robot, górował nad nimi o parę metrów. Wiatr zwiął z niego obłok pyłu. Stał w ciszy, emanując potencjałem, powietrze nad pancerzem wibrowało od ciepła. Sanjeev nigdy nie widział czegoś tak pięknego.

Rai uniósł rękę. Bot okręcił się na stalowych kopytach. Spod skorup podniosło się więcej luf, niż Sanjeev widział w całym swoim życiu. Rai klasnął w dłonie i bot wypalił ze wszystkiego w lasak Voras Wood. Gatlingi rozbiły na proszek zeszcłe, posiwiałe drewno; rakiety wyprysnęły z silosów smugami dymu; skraj zagajnika buchnął ścianą płomieni. Rai rozdzielił ręce i kanonada ustała.

- Mam tu wszystko, mogę sterować wszystkim, tak jak ze starego sprzętu. Sanj, wszyscy będą nas chcieli, możemy iść, gdzie zechcemy, robić co zechcemy, możemy być prawdziwymi bohaterami, jak z anime.

- Ukradłeś go.

- Znałem wszystkie protokoły. Taki system.

- Ukradłeś tego robota.

Rai zacisnął pięści i w rozdrażnieniu potrząsnął głową.

- Zawsze był mój, Sanj.

Otworzył zaciśniętą pięść. I robot zatańczył. Ramiona, stopy, wszystkie kroki, wszystkie te gesty, ugięcia i kiwnięcia głową, dokładnie jak w musicalowym numerze z Bollywood. Stopy wzbijały kurz. Sanjeev czuł na sobie spojrzenia bezdomnych - wytrzeszczone i przerażone oczy w głębi ruder. Przykro mi, że was tak wystraszyliśmy.

Rai skończył tańczyć.

- Co tylko zechcę, Sanj. Idziesz z nami?

Sanjeev nie zdążył odpowiedzieć, bo nagły huk i odrzut silników, dochodzący od strony rzeki, niemal rzucił ich na ziemię. Zaczęli się dusić od pyłu; Sanjeev mocował się z inhalatorami: dwa psiki niebieskiego, jeden brązowego, ale zanim ich uspokajający powiew dotarł do płuc, tilt-jet z zielono-biało-pomarańczowymi bharackimi tarczami na obudowach silników usiadł na opadającym kurzu. Opuściła się rampa załadunkowa; kobieta w maskującym mundurze barwy pyłu i hełmie z lustrzaną szybą zeszła na skalny grzbiet i ruszyła ku nim.

Z bezgłośnym krzykiem Rai przeciął dłonią powietrze jak mieczem. Bot przysiadł, pancerz otworzył się w kilkunastu miejscach, wysunęły się lufy. Kobieta, nie myśląc nawet jednego pewnego kroku, uniosła lewą rękę. Działka się schowały, klapy pozamykały, machina zachwiała się, jakby zdeorientowana, po czym usiadła ciężko na martwym polu, opuszczając głowę, wlokąc ręce po ziemi. Kobieta zdjęła hełm. Kamery dodawały pani dzemadar dobre pięć kilo, ale w biodrach naprawdę była szeroka. Wsadziła hełm pod lewą pachę i prawą ręką odgarnęła włosy, ukazując sterownik za uchem.

- Rai, daj spokój. Wszystko skończone. No chodź, wracamy. Nie rób scen. I tak nic nie poradzisz. Wszyscy musimy się zastanowić co dalej, wiesz? Weźmiemy cię do samolotu, spodoba ci się. - Zlustrowała Sanjeeva od stóp do głów. - A ty chyba możesz wrócić samochodem. Ktoś musi, będzie taniej, niż przysyłać po niego kogoś ze sztabu dywizji. I tak już nieźle kosztowało. Przekonfiguruję *aeai*. No i musimy jeszcze wziąć sprzęt... - Pokręciła głową, kiwnęła na Raia.

Poszedł do tilt-jeta posłusznie jak ciele, milcząco i nieśmiało. Czarne wrony obsiadły robota, wsuwając w jego szczeliny ciekawskie, łakome błyskotek dzioby.

Dwadzieścia kilometrów od Ramnagaru w hummerze skończyło się paliwo. Sanjeev wrócił do Varanasi autostopem. Wojsko nigdy nie odzyskało terenówki i w miarę jak wykuwał się nowy pokój miejscowi stopniowo rozebrali pojazd na części.

Za swoje wojenne zarobki Sanjeev kupił małego czterokołowca na alkohol i został u ojca dostawcą pizzy, specjalizującym się w schroniskach dla studenckich turystów, które się rozwinęły, gdy wyjechały siły pokojowe. Nosił koszulkę polo z logo, czapkę z daszkiem i ostrzygł się jak normalny człowiek. Nie chciał nawet patrzeć na swój strój robociarza i musiało minąć sporo czasu, żeby mógł zajrzeć do tego pudła, nie czując zażenowania. Interes rozwijał się szybko i intensywnie.

Często widywał Raia, na ghatach, albo w starej części miasta. Mieli tych samych klientów: Rai sprzedawał turystom nepalską gandzię. Na ulicy nazywali go zresztą „Robociarz”. Ubierał się po staremu i z tego właśnie był znany. Najpierw to była nowość,

potem styl retro. Moda nawet na chwilę wróciła, postawione włosy, androgyniczny makijaż, pocięte koszulki, lateks, a przede wszystkim długie buty. Dobrze się sprzedawały i wszyscy je nosili. Przez jeden sezon.

KYLE POZNAJE RZEKĘ

Kyle pierwszy zobaczył wybuchającego kota. Wracał z osiedlowego marketu z lizakiem lodowym - nagrodą za strzelenie bramki w meczu młodszych juniorów - i zmrużył oczy, słysząc budowlany helikopter (te nadal były wielkie, imponujące i ekscytujące), po czym dostrzegł go wskakującego w wąski zaułek między przychodnią i kawiarnią Tinnemana. Pokazał go palcem, a ułamek sekundy później ochrona dojrzała go przez szybki hełmów i zaczęła krzyżeć. W jednej chwili całe osiedle wypełniło się uciekającymi ludźmi: biegnącymi kobietami i mężczyznami, rodzicami łapiącymi dzieci, ochroniarzami machającymi bronią tam i z powrotem - a kot, wyczuwszy, że go zauważono, dwoma skokami przeskoczył z dachu budynku na dach opancerzonego land cruisera, zanurkował ku ziemi i rozejrzał się za celami. Jeden ochroniarz uniósł karabin. Chyba jakiś nowy. Nawet Kyle wiedział, że tak się nie robi. To nie były koty, tylko inteligentne pociski, które zachowywały się jak one, a gdy próbowało się je złapać, albo groziło im się bronią, atakowały i się wysadzały. Z cienia pod arkadami widział minę ochroniarza, usiłującego wycelować w skaczącego, robiącego uniki robota. Terkot broni maszynowej. Kyle nigdy nie słyszał go z bliska. Takie ekscytujące. Kule sypały się we wszystkie strony, rykoszetując jak zwariowane. Przyszło mu do głowy, że może trzeba się schować.

Ale chciał widzieć. Tyle razy o tym słyszał, a teraz miał coś takiego przed nosem, na środku ulicy, w biały dzień. Wtem ochroniarzowi udało się szczęśliwa seria: stalowy kot wyskoczył, zawirował w powietrzu i zdetonował. Kyle aż się zachwiał. W życiu nie słyszał czegoś tak głośnego. Odłamki uderzyły w obudowę automatu z colą obok niego. Popękał w białe i czerwone gwiazdki. Ochroniarz leżał na ziemi, ale się ruszał, odpełzał na plecach od miejsca wybuchu, a wokół pojawiali się już prawdziwi żołnierze, hummer-karetka i bezzałogowce zwiadowcze i monitorujące. Kyle stał i wytrzeszczał oczy. Super, super, super, i wszystko dla niego - ale oto już i mama, biegnie po niego, wymachując rękoma i nogami jak to ona, przychodzi, żeby zabrać mu to wszystko, zabrać go stąd i krzyczy:

- Co ty tu robisz, co ci strzeliło do głowy, nic ci się nie stało, nic ci się nie stało?
- Mamo - powiedział. - Widziałem wybuchającego kota.

* * *

Nazywa się Kyle Rubin i przyjechał tutaj, żeby zbudować państwo. W zasadzie, to

jego ojciec przyjechał. Kyle na razie niespecjalnie ma pojęcie o państwach i państwowości, wie tylko, że mieszka w innym miejscu, ale nie ma problemu, bo na strzeżonym osiedlu jest dość podobnie, dużo takich dzieci jak on, tyle że nie wolno wychodzić na zewnątrz. Tu jest Cantonment. A na zewnątrz państwo, które się buduje. Tam jeździ tata, w opancerzonych samochodach, kieruje budowlanymi helikopterami i rozkazuje żurawiom, które Kyle ledwo widzi z balkonu na najwyższym piętrze Międzynarodowej Szkoły. Nie wolno tam wchodzić, bo w mieście jeszcze działają snajperzy, ale i tak wszyscy wchodzi. Kyle patrzy na wysięgniki wielkich dźwigów poruszające się nad rosnącym krajobrazem wieżowców nowej stolicy.

„Wszystko się rozpadło i jesteśmy potrzebni, żeby to z powrotem poskładać”, wyjaśniał ojciec. „Kiedyś był sobie wielki kraj zwany Indiami, mający półtora miliarda ludzi, ale po prostu nie wytrzymywali ze sobą, zaczęli się klócić i bić”.

- Jak ty i mama Kelis - powiedział Kyle, na co ojciec uniósł brwi i zrobił zażenowaną minę, a mama (jego mama, nie Kelis) roześmiała się sama do siebie.

„No, nieważne: rozpadło się, a ci nieszczęśni ludzie potrzebują nas i naszej techniki, żeby wszystko poskładać z powrotem. Dlatego jesteśmy tutaj, razem, bo to rodzina daje nam siłę i nadzieję. I tym oto sposobem ty, Kyle Rubin, też budujesz państwo. Ale niektórzy uważają, że nie powinniśmy tego robić. Że to ich państwo i powinni sami je budować. Niekórzy uważają, że jesteśmy problemem, a nie rozwiązaniem. A jeszcze inni są po prostu niewdzięczni”.

Albo, jak powiedział Clinton w szkole: władza Ranów na razie jest słaba i jest dużo frakcji, które nie mają swojej reprezentacji, czują się pokrzywdzone, a z czasu Rozpadu zostały im całe arsenały broni. Zachodnie interesy zawsze są pierwsze do odstrzału. Ale Clinton to tylko pyskacz i powtarza, co usłyszał od ojca, który był w wywiadzie wojskowym, zanim jeszcze powstał Cantonment, a co dopiero Międzynarodowy Sojusz na rzecz Odbudowy.

Państwo, które buduje Kyle Rubin, to Bharat, dawne stany Bihar, Jharkhand i połowa Uttar Pradesh, na Nizinie Hindustańskiej, a dźwigi i helikoptery trzują się nad wznoszącymi się wieżowcami jego nowej stolicy - Ranapuru.

* * *

Kiedy nie wybuchały koty, po treningu Kyle odwiedzał planetę Salima.

Zanim przyjechał Kyle, Salim był najlepszym napastnikiem w drużynie młodszych juniorów Cantonmentu. Właściwie w ogóle nie powinien w niej grać, bo tu nie mieszkał. Ale jego ojciec był w Cantonmencie przedstawicielem bharackiego rządu, więc mógł robić, co

tylko chciał.

Na początku byli wrogami. W drugim meczu Kyle strzelił gola po świetnym dośrodkowaniu Ryana-Australijczyka i od tej pory każde dośrodkowanie szło w jego stronę. W szatni strzelec Salim poskarżył się trenerowi Joemu, że Nowy dostawał najlepsze piłki, bo jest Zachodniakiem, a nie Bharatczykiem. Uruchomiono złość ojców. Trener Joe zaś bez słowa rozstawił ich razem w meczu przeciwko dzieciom wojskowych, które wyobrażały sobie, że sama ta wojskowość daje im dodatkowego gracza. Salim na skrzydle, Kyle jako środkowy. Trzech-trzech-czterech. Cantonment wygrał z Armią USA dwa do jednego, jedną bramkę strzelił Salim, a decydujący gol padł po strzale Salima - bramkarz obronił, a Kyle dobił. Teraz, po sześciu tygodniach w tym nowym kraju, byli nierozłącznymi przyjaciółmi.

Planeta Salima była blisko i po drodze. Mieszkała w rękawiczce palmeta na jego brązowej ręce i mogła objawiać się w dowolnym dogodnym miejscu: w szkolnych komputerach, kawiarni Tinnemana, ekranie z elektronicznego papieru u Kyle'a, ale najlepsze było pełne zanurzenie za pomocą tego tak-nowoczesnego-że-aż-strach lighthoeka™. Można było włożyć go za ucho, poruszać nim trochę, a on wtedy dostawał się do głowy i otwierał w niej cały nowy świat wizji, dźwięków, zapachów i dotyków. Były tak nowe, że nawet Amerykanie jeszcze ich nie mieli, ale urzędnicy rządowi z Varanasi pracujący nad ambitnym zadaniem budowy państwa musieli korzystać i popisywać się wszędzie najnowszą bharacką technologią. I ich synowie również. Instrukcja mówiła, że dla bezpieczeństwa nie należy wchodzić w pełne zanurzenie sensoryczne poza domem, z uwagi na zagrożenie wypadkiem, przestępstwem czy terroryzmem, ale na dachu klubu Guys Place, na dachu, pod farmą słoneczną było wystarczająco bezpiecznie i poza zasięgiem każdej snajperki, choćby była najmłodsza i najlepsza.

Kyle wtykał kabelek rozgałęziacza w lighthoeka Salima i wsuwał plastikowy rożek za ucho. Przez jakiś czas trudno mu było znaleźć to idealne miejsce, lecz teraz trafiał już za pierwszym razem. Nie wolno mu było używać lighthoeków - mama twierdziła, że jeszcze nie stwierdzono, czy są w pełni bezpieczne. Kyle jednak podejrzewał, że bardziej liczyły się poważniejsze zastrzeżenia taty - wpuszczając sobie do głowy różne rzeczy, narażałeś się na wrogie wpływy. Już nie mówiąc o tym, co sądził o samej grze w sztuczną ewolucję. Może gdyby dać mu przeżyć lot w górę znad Cantonmentu, ponad baterie słoneczne, dźwigi i helikoptery, gdyby mógł zobaczyć przed sobą świat Salima - Alterre, tak się go poprawnie nazywało - i poczuć, jak leci ku niemu przez chmury, szybciej niż cokolwiek lata, a potem zatrzymuje się, lekki jak piórko, muskając stopami czubki fal - może wtedy zmieniłby zdanie. Czuł zapach soli. Czuł wiatr. Widział, jak uniesione galaretowate żagielki kronkaeura

trzepoczą nad spienionymi falami.

- O nie, znowu te jakieś meduzy - powiedział.

- Nie, nie, nie, teraz to co innego. - Salim stał obok niego nad falami. - Zobacz, super to jest.

Złożył dłonie, pochylił się i poszybował nad oceanem, Kyle o krok za nim. Zawsze wtedy myślał o tych hinduskich bogach na kartach modlitewnych, jakie czasem przywiewało na osiedle z ulicznych kapliczek. Tato też ich nie cierpiał. Dotarli nad całą armadę kronkaurów, miarowo prujących ocean w silnym wietrze, z nadmuchanymi topslami. Kiedy pojawiły się te ogromne meduzy o napędzie żaglowym, Kyle, pierwszy raz widząc na oczy gatunek, który dopiero co wyewoluował, był tak podniecony, że gigantyczne nadmuchiwane potwory żeglowały nawet w jego snach, jak półprzejrzyste galeony. Ale umiały tylko podnosić trójkątne żagle, splatać się mackami w ogromne floty tratw i wypączkowały małe meduzki, przypominające przezroczyste papierowe łódeczki. Kiedy przygasał początkowy zachwyty udziałem w globalnej grze-eksperyment, w zaczynaniu od nowa życia na Ziemi, Kyle stwierdził, że trochę żałuje, że Salim nie dostał jakiegoś ciekawszego kawałka niż wielki kwadrat oceanu. Wyspa byłaby niezła. A jeszcze lepiej kawałek kontynentu. Coś, gdzie rzeczy mogą się atakować nawzajem.

- Każda woda na Alterre była kiedyś lądem, a każdy ląd był wodą - powiedział kiedyś Salim. - I znowu będzie. Zresztą, w oceanie też wszystko się zżera nawzajem.

Ale nie tak fajnie, pomyślał Kyle.

Poza technologią i talentem do piłki, Salim nie miał w sobie nic interesującego. W domu nigdy by się z nim nie zaprzyjaźnił. Raczej nabijałby się z niego: był kujonem, miał wielki nochal, ciągle coś nie tak z ciuchami - same kiepskie marki - i nie miał pojęcia, jak się nosi czapkę. Co popołudnie chodził na godzinę do jakiejś cudacznej szkoły religijnej, a w piątki do meczetu nad rzekę, przy tych schodach, gdzie palą zmarłych ludzi. Naprawdę, w ogóle nie powinni się przyjaźnić. Ryan-Australijec, który przed Kyle'em był w drużynie numerem jeden, powiedział, że to wbrew naturze i nielojalne, że im nie można ufać: teraz dają ci prezenty, a potem wystawią cię ludziom z zewnątrz, żeby cię zastrzelili. Kyle wiedział, że Ryan-Australijec jest po prostu zazdrosny.

- No a to? Nie jest super? - powiedział Salim, muskając fale palcami stóp.

Rozrzeźbione grzbiety wielkich oceanicznych meduz pomiędzy nadmuchiwanymi masztami podpierającymi żagle wzdęły się w wielkie pęcherze, wyraźnie nabrzmiewające i wydymające się, podczas gdy Kyle podlatywał do nich, żeby się przyjrzeć pod lepszym kątem. Coraz większe i większe, najpierw wielkości piłki do nogi, potem piłki plażowej,

pęczniały i rozciągały się, aż skóra pękła, pryskając kwaśno pachnącą cieczą, a w powietrze wznosił się rój balonów. Szły w górę całą masą, przyczepione do rodziców plecionymi włóknami macek, ocierając się o siebie i objając na wietrze; kiedy wzniosły się ponad żagle, Kyle mógł dostrzec szczegóły: każdy balon niósł pod kopułą zbitkę żadeł i przejrzystych szczypiec. Niebieskie oczy grupowały się po troje i po czworo. Uwięzi pękały jedna za drugą, balono-meduzy wzbijały się coraz wyżej, unoszone morską bryzą. Wokół cała flotylla kipiała i spazmatycznie wypluwała kolejne balony, prując w górę wokół niego, niektóre jeszcze splątane ze sobą mackami. Kyle odkrył, że zaśmiewa się, patrząc, jak lecą w niebo i znikają w szybko sunących chmurach. To zdecydowanie, niezaprzeczalnie było bardzo, bardzo super.

- Zupełnie nowa metoda rozmnażania - powiedział Salim. - To nowy gatunek!

Kyle wiedział, co to oznacza. Alterre, rozgrywana na jedenastu milionach komputerów na całym świecie, miała taką zasadę, że ten, kto odkrył nowy gatunek, mógł nadać mu swoją nazwę.

- To już nie kronkaeury. Zarejestrowałem je, to są mansoori!

* * *

Strzały w poniedziałek, wtorek, środę. Do czegoś się szykowali, tak to zwykle wyglądało. („Tato, tato, a tym razem to kto, hindusi?”. Ale ojciec miał oczy i objęcia tylko dla mamy, pełnej wdzięczności i radości, że wrócił do domu z tego niebezpiecznego miasta). Cantonment przeszedł na pomarańczowy alarm, lecz jego ochrona i tak była nieprzygotowana na gwałtowność ataku. Bomby zaatakowały jednocześnie dwanaście należących do zachodnich firm budynków w Starym i Nowym Varanasi. Dwunastym i ostatnim urządzeniem był samochód pułapka, wjeżdżający z pełną prędkością w Zieloną Strefę, niereagujący na ogień maszynowy - kierowca już nie żył, albo w ekstazie szykował się na śmierć. Roboty do walki w zwarciu wypełzły ze swoich silosów i skoczyły, odsłaniając nanodiamentowe ostrza, ale zamachowcy świetnie rozpoznali słabości Cantonmentu. Samochód, podziurawiony kulami, pocięty, sikający paliwem i olejem, z niedziałającym silnikiem, ale wciąż się toczący pod falującym nowotworem robotów usiłujących pokryć go pianą pochłaniającą energię, uderzył w wewnętrzną bramę i eksplodował.

Sędzia na boisku usłyszał syrenę pierwszego alarmu, ocenił odległość do szatni i kazał wszystkim położyć się na ziemi. Kyle dopiero co schował głowę w ramionach - lekcja nr 1 z pierwszego dnia - kiedy huk uniósł go za brzuch z ziemi i wycisnął zeń całe powietrze. Przez moment myślał, że ogłuchł, potem przez tę drętwość przebiły się dźwięki syren i wycie bezzałogowców RAV. Siedział na trawie obok Salima, w samym środku ogromnej spirali hałasu. To było o wiele większe niż wybuchający kot. Słup dymu przechylał się na południe.

Pędziły hummery, a między nimi lawirowali piesi ochroniarze. W siatce bramki utknęło mnóstwo kawałków pianki ochronnej, odłamków drutu, plastikowych pancerzy robotów i tablic ostrzegawczych, oznajmiających w trzech językach, że wstęp wzbroniony i strażnicy mogą strzelać bez ostrzeżenia. W lewy górny róg wbiła się drzazga nanodiamentowego ostrza przeciwpiechotnego. Sędzia pozbierał się, zdjął koszulę i owinał nią urwaną dłoń, wklinowaną pod poprzeczkę.

- No zobacz tylko - powiedział Kyle.

Na przodzie jego świeżo wypranej koszulki widniała długa zielona smuga.

* * *

- Salim zawsze jest tu mile widziany! - zawołała mama z kuchni, znad miksowanych koktajli mlecznych. - Tylko żeby zadzwonił do domu i powiedział, że jest cały. Jak tylko sieć będzie działać. Obiecujcie mi.

Oczywiście obiecali, oczywiście nie zadzwonili, koktajle stały zapomniane i grzały się na blacie, a mama kręciła się, niby to składając bieliznę i poszewki, naprawdę zaś zerkając na wiadomości. Denerwowała się. Kyle wiedział. Cantonment był zablokowany i tak będzie, dopóki siły Koalicji i Bharatu na nowo nie zabezpieczą Zielonej Strefy - tak było zawsze, Kyle już się nauczył. Zablokowany - oni zamknięci w środku, tato na zewnątrz - a latające kamerki SKYIndia cały czas pokazywały słupy czarnego dymu z palonych plastików, karetki przeprowadzane przez tłumy zagubionych ludzi i spalone przez bharackich policjantów auta. Reporterzy mówili, że są ofiary, ale dodawali także, że nie działa jeszcze cała sieć - dlatego nie mógł zadzwonić; gdyby były jakieś ofiary z Zachodu, powiedzieliby od razu, bo martwi Bharatczycy się nie liczą, zresztą, to niewyobrażalne, żeby tacie Kyle'a mogło się coś stać. Nie, w takich sytuacjach nie unosi się głowy i zajmuje tym co zwykle, czekając na telefon, więc nie męczył mamy, sam zabrał koktajle z kuchni, zaniósł je na górę i dołączył do Salima w jego świecie.

Na domowym smartsilkowym ekranie nie było efektu pełnozmysłowego spadania z orbity, ani uczucia chodzenia po wodzie jak Bóg, ale w domu, nawet przy rozkojarzonej, składającej pranie mamie, głupio byłoby korzystać z rozgałęziacza i drugiego lighthoeka. Zresztą, Kyle nie chciał jej jeszcze bardziej niepokoić. Trzy dni w Alterre to było coś jak milion lat: ciągle woda, woda, woda we wszystkie strony, ale mansoori wyewoluowały dalej. Wysoko ponad błękitnym Atlantykiem wojowały eskadry balonów.

- Oooo - powiedzieli Kyle Rubin i Salim Mansoori.

W ciągu trzech dni meduzowate balony stały się gigantycznymi podniebnymi workami z gazem, zwierzętami-sterowcami, przejrzystymi aerostatami wielkości transportowców

Boeinga, które przywoziły materiały i siłę roboczą na chroniony obszar płyty lotniska w Varanasi. Ciała miały żeberkowate, jak w prezerwatywach, które chłopaki pokazały Kyle'owi przy stojaku na rowery za szkołą; światło załamywało się w nich i rozszczepiało na tęcze, kiedy manewrowały. To bowiem była bitwa, bez dwóch zdań. Zaciekła wojna. Z podniebnych meduz opadały łańcuchy długich macek, niektóre sięgały aż do wody - ich ostatni łącznik ze starym światem. Kończyły się fioletowymi żądłami, inne długimi, dźgającymi kolcami, jeszcze inne zadziorami, a statki powietrzne wymachiwały nimi jak bronią. Unosiły lub opuszczały żaglowe fałdy, by, manewrując, ustawić się do ataku. Kyle widział, jak jeden sterowiec, podziurawiony czarnymi ranami od żadeł, wypuścił przodem i tyłem gaz i wypadł z gry. W płątaniu tnących i blokujących cięcia macek Kyle dostrzegł, jak jeden ze sterowców, hakiem podobnym do zakrzywionej szabli tnie bok drugiego, robiąc ranę długości wojskowego hummera. Śmiertelnie ranny sterowiec wypuścił skrzący się pył, zapadł się, złożył na pół i spadł do wody, gdzie rozpadł się jak rzucony z góry balon z wodą. W morzu natychmiast zakotłowało się od almkvistów, szybkich jak błyskawica padlinożerców - same zęby i szybkość.

- Super - powiedzieli obaj jednocześnie.

- Ej, wy tam, nie obiecaliście, że zadzwonicie do niego do domu, jak tylko sieć będzie działać? - powiedziała mama, stając im za plecami. - Kyle, wiesz, że tacie się nie podoba, że grasz w tę grę.

Nie była zła. Nie potrafiła być zła. Tato był bezpieczny, tato zadzwonił, niedługo będzie w domu. Można to było poznać po lekkim drzeniu w jej głosie, po sposobie, w jaki nachylała się nad nimi, żeby spojrzeć na ekran, po zapachu dopiero co nałożonych perfum. Takie rzeczy się wiedziało.

* * *

Niewiele brakowało. Tato zadzwonił do Kyle'a, żeby pokazać mu na materiale z wiadomości, gdzie był jego służbowy samochód, kiedy zamachowcy wysadzili hummery eskorty.

- To prawie w ogóle nie chroni - powiedział przy suszonej wołowinie, przewijając pośpiesznie obrazy czarnego dymu kipiącego znad żółtych płomieni oraz ludzi, stojących, krzyczących, niemających pojęcia, co robić: zdjęcia zrobione palmerem jakiegoś przechodnia.

- Użyli zdalnie sterowanego bezzałogowca; tuż przed wybuchem widziałem, jak coś przeleciało za oknem. Celowali w żołnierzy, nie w nas.

- A tutaj to był samobójczy atak - powiedział Kyle.

- Jakaś grupa karsewaków wzięła odpowiedzialność. Wcześniej nikt o nich nie słyszał.

Wyprztykali się ze wszystkiego za jednym razem.

- Jak się wysadzą w Varanasi, to od razu osiągną mokszą, prawda?

- Przynajmniej tak wierzą, synu. Dusza uwalnia się z koła reinkarnacji. Tylko że ja cały czas myślę, że to był ostatni podryg. Że robi się tu coraz lepiej. Ranowie coraz lepiej wszystko kontrolują. A ludzie widzą, że dużo im dajemy. Mam wrażenie, że to był punkt zwrotny.

Kyle uwielbiał, jak ojciec gadał po wojskowemu, choć był tylko inżynierem budowlanym.

- Więc Salim dotarł cało do domu.

Kyle kiwnął głową.

- To dobrze.

Kyle usłyszał to westchnienie, jakie wydają dorośli, kiedy muszą mówić o czymś, na co nie mają ochoty.

- Salim to dobry chłopak. Dobry przyjaciel. - Kolejny wdech.

Kyle czekał, aż wyrośnie z niego słowo „ale...”.

- No wiesz, Kyle. Ta wasza gra. Wiesz...

Nie „ale”. „Wiesz”.

- Wiesz, ja zdaję sobie sprawę, że to bardzo edukacyjne, że masa ludzi w to gra, lubi to i dużo z tego wynosi, ale w tej grze jest coś nie tak. Rozumiesz: ona nie jest dokładna. Goście twierdzą, że to symulacja ewolucji, i w zasadzie tak jest. Ale jak się nad tym dobrze zastanowić, ta ewolucja przestrzega reguł, które narzucił jej ktoś inny. Ktoś musiał ten kod zaprogramować, więc tak naprawdę ta ewolucja toczy się w ramach większej całości, konstrukcji, która jest w przemyślny sposób zaprojektowana. Ale oni ci o tym nie mówią, i to jest nieuczciwe; ta gra udaje coś, czym nie jest. I dlatego mi się nie podoba - bo nie mówi prawdy. Wiem, że wszystko jedno, co powiem, to, co tam robisz z Salimem, to twoja sprawa, ale tutaj, w domu, masz w nią nie grać. I cieszę się, że masz dobrego kumpla - pamiętam, że jak Kelis była w twoim wieku, kiedy byliśmy w Zatoce Perskiej, miała taką dobrą koleżankę, z Kanady, ale byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś przyjaźnił się z paroma chłopakami ze swojego środowiska. Dobrze? No dobra, to może puścimy jakiś wrestling, co ty na to?

* * *

Sędzia padł w pierwszych trzydziestu sekundach, trafiony z główki w jaja, więc ochrona zareagowała dopiero, kiedy liczba decybeli przekroczyła zwykły varanaski harmider: uniosła głowy, opuściła broń i przybiegła. Strażniczka w pełnym kamuflażowym rynsztunku i hełmie z inteligentną szybką chwyciła Kyle'a w ramiona i wyciągnęła z walki w klatce, w

jaką zmienił się trening młodszych juniorów.

- Pozwę cię do sądu, pójdziesz do sądu, twoje dzieci będą mieszkać w kartonie, puszczaj! - wrzeszczał Kyle, a ochroniarka nadal go ciągnęła.

Bijatyka pochłonęła wszystkich - chłopców, dziewczynki, kibiców, cheerleaderki. Na samym dnie kłębowiska był napastnik Salim i Ryan Australijec. Ochrona odciągnęła ich od siebie i zawróciła z powrotem do gniazd wścibskie bezzałogowce, zlatujące się w każde miejsce, w którym dzieje się coś nietypowego. Przybiegli sanitariusze. Była krew, były siniaki i otarcia, rozdarte ubrania i podbite oczy. Dużo, dużo łez, ale żadnych poważnych obrażeń, wstrząsów mózgu, złamań.

I potem Guantanamo:

Trener Joe:

- No to jak, powiecie mi, o co poszło?

Ryan Australijec:

- On zaczął.

Napastnik Salim:

- Kłamie! On zaczął!

Trener Joe:

- Nie interesuje mnie, kto zaczął. O co poszło, pytam.

Ryan Australijec:

- To on kłamie. Oni cały czas kłamią, nawet nie mają takiego słowa, jak „prawda”.

Napastnik Salim:

- O! To też jest kłamstwo.

Ryan Australijec:

- Widzicie? Nie można im wierzyć. On dla nich szpieguje, to prawda. Zanim tu przyszedł, oni nie byli w stanie się tu dostać, a odkąd tu jest, prawie codziennie coś się dzieje. On jest szpiegiem i informuje ich, jak się tu dostać i nas pozabijać. Bo myśli, że jesteśmy zwierzętami i tak pójdziemy do piekła.

Trener Joe:

- Jezus. Kyle... co się stało?

Kyle Rubin:

- Ja nie wiem. Nic nie widziałem. Usłyszałem łomot i kiedy popatrzyłem, już leżeli na ziemi i się nawalali.

Napastnik Salim:

- Przecież to nieprawda... nie wierzę, że powiedziałeś coś takiego. Byłeś tam i

słyszałeś, co powiedział.

Kyle Rubin:

- Nie słyszałem. Usłyszałem tylko te... krzyki...

Guantanamo, część II.

Tato Kyle'a:

- Dzwonił do mnie Joe, ale nie będę na ciebie krzyczał. Chyba już wystarczy. Jestem rozczarowany, ale nie będę na ciebie krzyczał. Tylko jedno: czy Ryan jakoś przezywał Salima?

Kyle Rubin:

- (mamrocze coś).

Tato Kyle'a:

- Synu, czy Ryan nazwał Salima jakimś rasistowskim wyzwiskiem?

Kyle Rubin:

- (wierci stopą).

Tato Kyle'a:

- Myślałem, że Salim to twój przyjaciel. Najlepszy. Jeśli ktoś coś zrobi twojemu najlepszemu przyjacielowi, obojętne kto, trzeba stać za nim murem.

Kyle Rubin:

- Powiedział, że Salim to żrący curry czarnuch z pieluchą na łbie, że oni wszyscy są szpiegami, a Salim stał i nie reagował, to poszedłem i go walnąłem. Znaczący, Ryana, a on wtedy rzucił się na Salima, nie na mnie, i wtedy zwalili się wszyscy, z Ryanem i Salimem w środku, a potem wszyscy krzyczeli na mnie „kumpel czarnuchów”, „kumpel czarnuchów” i chcieli mnie też walnąć i wtedy przyleciała ochrona.

Na koniec dwie rzeczy były pewne: treningi są odwołane na miesiąc, a Salim nie będzie już z nimi grał, w ogóle nie będzie do nich przychodził. Cantonment nie jest bezpieczny dla Bharatczyków.

* * *

Był rozbitkiem, porzuconym na wysepce pośrodku ulicy. Pozostawionym na owalu betonu pośród nigdy nieustającego nurtu varanaskich pojazdów, przez kierowcę fatfata, który zobaczył, że bawi się tekturowymi krążkami, jak do tazo.

- Ej ty, chcesz mnie oszukać? Cholerny gora. Won. Wysiadaj. Won.

- Co, tutaj? Ale...

I prosto na tę wysepkę - dwadzieścia centymetrów w tę stronę samochodu, dwadzieścia centymetrów w tamtą stronę samochodu, z lewej wysoki facet w białej koszuli i

czarnych spodniach, z drugiej gruba baba w fioletowym sari, pachnąca zeschniętymi różami, a fatfat, mały żółto-czarny bąbelek, wyglądający i brzęczący jak szerszeń, wskakuje z powrotem w nurt pojazdów.

- Nie wolno ci, mój ojciec buduje, ten kraj!

Facet i baba odwrócili się i wytrzeszczyli oczy. Oczy były wszędzie, w każdej chwili, odkąd wysiadł z tyłu hi-luxa na postoju fatfatów. Tam to wszyscy chcieli jego pieniędzy - „Halo, proszę pana, proszę pana, dobra czysta porządna taksówka szybka szybka, prosto na miejsce, prosto, najbezpieczniejszy fatfat w Varanasi”. Skąd miał wiedzieć, że tanie, cienkie kartonowe krążki są ważne jako pieniądze tylko w Cantonmencie? A teraz stał na tej wysepce i nie mógł się ruszyć ani w przód, ani w tył, wśród ciągłego potoku ciężarówek, autobusów, kremowych maruti, motorków, fatfatów, rikszy, krów, wszystko trąbiło, dzwoniło, ryczało, krzyczało, usiłując znaleźć drogę do celu i nie zderzyć się z niczym innym. Ludzie przechodzili przez ten potok, tak po prostu, wchodząc między pojazdy, z nadzieją że jakoś ich ominą; facet w białej koszuli, potem kobieta w fioletowym sari - „Chodź, chodź, chłopcze, chodź ze mną” - ale on nie mógł, bał się, a teraz ona poszła. Za nim już gromadzili się następni ludzie i napierali, napierali, spychając go na skraj krawężnika, prosto w ten morderczy ruch...

Wtem z zamętu wyłonił się fatfat, trąbiąc klaksonem, wijąc się po pełnym gracji, chaotycznym kursie. Plastikowe drzwiczki uniosły się, w środku siedział Salim.

- No wsiadaj, wsiadaj.

Kyle wskoczył, drzwi zamknęły się nożycowo, kierowca wbił się klaksonem w varanaską burzę na kołach.

- Całe szczęście, że akurat cię szukałem - powiedział Salim, poklepując lighthoeka za uchem. - Tym da się znaleźć każdego. Co się stało?

Kyle pokazał mu krążki z Cantonmentu. Salim wytrzeszczył oczy.

- Ty naprawdę nigdy nie byłeś na zewnątrz, co?

Ucieczka z Cantonmentu to była bułka z masłem. Wszyscy wiedzieli, że pilnuje się wchodzących, nie wychodzących, więc Kyle musiał tylko wśliznąć się na tył pickupa, którego kierowca wskoczył do Tinnemana po mocaccino na wynos. Kiedy zamykał się wewnętrzny szlaban, nawet wyjrzał spod plandeki, bo chciał zobaczyć szkody po bombie. Roboty zabrały już cały gruz i metalowe spaghetti, ale spod rozkruszonego betonu wystawały pręty zbrojeniowe, a wewnętrzna ściana była cała osmolona. Bardzo to było ciekawe - Kyle gapił się tak zapamiętale, że zdał sobie sprawę gdzie jest, całkiem poza Cantonmentem, dopiero gdy zobaczył ulicę, obcą, nieznaną ulicę, pełną ciężarówek, autobusów, kremowych maruti,

motorków, fatfatów, rikszy, krów, kiedy to wszystko zamknęło się za fatfatem, a jazgot miasta zalał go falą.

- To dokąd chcesz jechać? - zapytał Salim. Twarz miał rozpromienioną, bardzo chciał pokazać Kyle'owi swoje piękne, piękne miasto. Salim, jakiego Kyle dotąd nie widział: Salim nie w Cantonmencie, Salim u siebie, Salim wśród swoich. Ten Mansoori wydawał mu się obcy. Nie był pewien, czy w ogóle go lubi. - Może Nowy Bharat Świąty Jeleń Sabhaw SarnathuDoktorSampunanaStadionDoKrykietaStupaBuddyjskaRamnagarFortVishwanath Świątynia Jantar Mantar...

Za dużo, za dużo: Kyle obracał głowę, patrząc po wszystkich tych ludziach, tylu ludziach, ludziach, których nigdy nie widział, nigdy nie zauważał, patrząc z punktu widokowego na dachu, nie widział, że pod helikopterami, dźwigami i wojskowymi bezzałogowcami są ludzie.

- Nad rzekę - sapnął. - Na te duże schody.

- Ghatty. Super sprawa. - Salim zagadał do kierowcy w języku, którego Kyle nigdy dotąd z jego ust nie słyszał. To było w ogóle niepodobne do Salima.

Kierowca poruszył głową w tym geście, który brało się za przeczący, zanim człowiek się nie nauczył, i objechał fatfatem ogromne rondo z wielką, różową, betonową figurą Ganeśi pośrodku, oddalając się od szklanych wieżowców Ranapuru, wjeżdżając do starego miasta. Kwiaty. U stóp boga-słonia leżały girlandy kwiatów, snuły się smużki dymu z kadzidełek; dziwaczne wiązanki z papryczek i limonek; i człowiek z wielką, szarą jak popiół szopą dredów, z ustami spiętymi haczykami na ryby.

„Zobacz, zobacz, co ma ten facet...” - chciał krzyknąć Kyle, lecz to cudo-okropność już było za nim, a gdy fatfat przeciskał się przez jeszcze węższe, ciemniejsze, tłoczniejsze ulice, po każdej stronie wykwitowało dziesięć kolejnych.

- Słoń, patrz, tam słoń, a tu robot, a ci ludzie, co oni niosą, rany, człowieka, o rany, to trup na noszach, o rany... - Odwrócił się do Salima. Już się nie bał. Już nie napierali na niego ludzie, nie popychali go ku śmierci, ku niebezpieczeństwu. Choć ludzie byli wszędzie, wszędzie nic tylko ludzie, myślący jak przeżyć. - Czemu oni mi tego nie pokazali?

Fatfat utknął w uliczce, pomiędzy zatorem z rikszy rowerowych a japońskim dostawczakiem. Nic na kołach nie mogło przedostać się dalej, ale ludzie i tak napierali z obu stron. Minął ich kolejny zmarły, niesiony na noszach wysoko ponad głowami tłumu. Kyle odruchowo skulił się, kiedy cień trupa prześlizgnął się po kopyłce fatfata. Wtem drzwi się uniosły i wysiadł prosto na bok krowy. O mało co nie walnął jej pięścią, durnego, workowatego stworzenia, lecz Salim złapał go za przegub i wrzasnął:

- Nie dotykaj, krowa jest święta!

Tutaj dało się porozumiewać wyłącznie krzykiem, a ściśnięcie czyjś przegubu było jedynym sposobem, by się nie zgubić. Salim pociągnął Kyle'a za rękę do budki w ciągu przykrytych folią straganików, gdzie sapał rząd przeskłonych lodówek. Kupił dwie Limki i pokazał sprzedawcy krążek z Cantonmentu, który ten przyjął jako ciekawostkę. Dłoń Salima znów zatrzymała Kyle'a.

- Musisz wypić na miejscu, inaczej płaci się kaucję.

Oparli się o małe bar, patrzyli, jak wokół pędzi miasto, pili Limki z butelek, na co mama Kyle'a rozkrzyczałaby się o zarazkach, bakteriach, wirusach, infekcjach, i czuli się jak dwaj bardzo eleganccy dżentelmeni. Gdy harmider ulicy ucichł na moment, Kyle usłyszał, że dzwoni jego palmer. Wyciągnął aparat z kieszeni spodni, trochę zawstydzony, bo wszyscy mieli nowsze, lepsze, bardziej kolorowe i mniejsze niż on, po czym zobaczył, że dzwoni mama. Całkiem jakby wiedziała, co za ohydną rzecz właśnie zrobił. Pogapił się na numer, na animowaną uśmiechniętą buźkę, posłuchał brzękłej melodyjki. Potem wcisnął wyłącznik i posłał wszystkich w ciemność.

- No dobra. - Walnął w blat pustą butelką. - Idziemy zobaczyć tę całą rzekę.

I po dwudziestu krokach wylądował nad rzeką, tak niespodziewaną, tak jaskrawą i ogromną, że aż zapomniał oddychać. Wąska uliczka wypełniona ludzką cizbą otworzyła się na oślepiającą jasność - jasność zanieczyszczonego, żółtego nieba, jasność rzędów schodzących ku wodzie marmurowych stopni i jasność samej rzeki, szerszej i bardziej oszałamiającej niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał, białej jak rzeka mleka. I ludzie: cały świat nie pomieściłby tylu ludzi, tłoczących się na stopniach w kolorowych strojach i kolorowych butach, ściśniętych pod przechylnymi parasolami z plecionki, gadających, handlujących i modlących się, ludzi w wodzie, po pas, nabierających ją garściami; woda - lśniąca, spływająca im między palcami; ludzie modlący się, myjący się, piorący ubrania, obmywający swoje dzieci, zmywający grzechy. Potem łodzie: wielki wodolot szukający miejsca do przybicia między śmigłymi łodziami wiosłowymi, turystyczne łodzie z płóciennymi daszkami, dzieciaki w dętkach od traktorów, wiosłujące tam i z powrotem w poszukiwaniu miejsc do wyłowienia, aż po podskakujące na falach spodeczki z maślanymi świeczkami na liściach mango, puszczane przez ludzi z prądem rzeki. Ganga ujawniała się Kyle'owi wizja po wizji; po chwili uświadomił sobie istnienie budynków: tłoczących się nad stopniami zajazdów, hoteli i hawel, absurdalnych różowych wież wodnych, licznych kopuł meczetów i złotych iglic świątyń, małej kapliczki osuwającej się w muł, arkad, pomostów, galerii, a po drugiej stronie rzeki, za żółtym piaskiem i czarnymi, wystrzępionymi namiotami

świętych mężów dostrzegł kominy, zbiorniki i rury fabryk chemicznych i rafinerii. Na wszystkich łopotały zielono-biało-pomarańczowe sztandary z bharackim kołem.

- Och - powiedział Kyle. - O, kurde. - A potem: - Super.

Salim już był w połowie schodów.

- Chodź.

- Mogę? Wolno mi?

- Każdy może. No chodź, weźmiemy sobie łódkę.

Łódkę. Nie robiło się takich rzeczy, ale oto już siadali na ławce, a przewoźnik odbijał od brzegu, chłopaczek niewiele starszy od Kyle'a, z zębami, za które nie wpuściliby go do Cantonmentu. Kyle i tak mu zazdrościł: miał swoją łódkę, swoją rzekę, tyle ludzi wokoło i mógł sobie żyć bez praw i bez obowiązków. Przeprowadził ich przez flotyllę pływających listków ze świeczkami - to dije, wytłumaczył mu Salim - minął ghat z sadhu, kompletnie gołymi i chudymi jak sam głód, potem ghat, gdzie ludzie tłukli ubraniami o kamienne płyty, ghat, gdzie lądowali pielgrzymi, przepychając się w wodzie jeden przez drugiego, by czym prędzej dotknąć świętej ziemi Varanasi, ghat z bawołami.

- Gdzie, gdzie? - zapytał Kyle, a Salim pokazał mu ich nozdrza i czarne, zagięte w tył rogi, ledwo wystające z wody.

Kyle wsunął dłoń do wody, po czym ją wyjął, całą pokrytą złotymi kwietnymi płatkami. Rozparł się na ławce, patrzył, jak płyną w tył marmurowe schody, za nimi walące się nadpleśniałe nadrzeczne budynki, jeszcze dalej szczyty najwyższych wieżowców Nowego Varanasi, a ponad nimi żółte chmury, i wiedział, że nawet kiedy będzie bardzo stary, powiedzmy za czterdzieści lat, albo i więcej, będzie zawsze pamiętał ten dzień, kolor tego światła i odgłos chlupocącej o łódkę wody.

- Musisz to zobaczyć! - wykrzyknął Salim.

Łódka skierowała się ku brzegowi, pomiędzy innymi, z turystami, pamiątkami, pomiędzy płynącymi wianuszkami. Na stopniach płonęły ognie, marmur poczerniał od rozniesionych stopami prochów, na wodzie kołysały się na wpół spalone szczapy. Między węglami było coś jeszcze: spalone kości. Ludzie stali po uda w wodzie, przecedzając ją szerokimi wiklinowymi koszami.

- To są Dornowie, rządzą paleniem na ghatach. Niby są nietykalni. Są też bardzo bogaci i ważni, bo tylko im wolno urządzać pogrzeby - powiedział Salim. - A potem przesiewają popioły i szukają złota.

Ghaty całopalne. Miejsce umarłych. Te ognie, te stosy drewna i popiołu, to byli zmarli ludzie, pomyślał Kyle. Woda pod łódką też jest pełna zmarłych ludzi. Kondukt pogrzebowy

zszedł po stopniach nad wodę. Niosący ciało zepchnęli nosze na rzekę; człowiek o ramionach przepasanych czerwonym sznurem połał biały całun wodą. Robił to bardzo dokładnie i metodycznie. Starannie obmył zwłoki. Chłopak-przewoźnik dotknął wiosła, utrzymując łódź w miejscu. Żałobnicy unieśli ciało i położyli na wielkim stosie drewna. Bardzo chudy facet w białej szacie, z głową tak świeżo ogoloną, że wyglądała blado i niezdrowo, przykrył go jeszcze warstwą drewna.

- Najstarszy syn - powiedział Salim. - To jego obowiązek. Jacyś bogaci ludzie. Taki porządny stos bardzo dużo kosztuje. Większość używa elektrycznych palników. Nas oczywiście chowają normalnie w ziemi, tak jak was.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Mężczyzna w bieli połał ciało i drewno olejem, uniósł kawałek zapalanej drzazgi i niemal niedbale przytknął ją do boku stosu. Ogień zatrzepotał na wietrze, omal nie zgasł, potem w niebo buchnął dym, a pod nim płomień. Kyle patrzył, jak się rozprzestrzenia. Ludzie się cofnęli, stali, specjalnie się nie przejmując, nawet wtedy, gdy stos płonącego drewna zawalił się, a głowa i ramiona człowieka wysunęły się z ognia.

To człowiek się pali, pomyślał Kyle. Musiał to sobie powiedzieć. Trudno było w to uwierzyć, w to wszystko trudno było uwierzyć, to się w żaden sposób nie łączyło z jego światem, jego życiem. I było fascynujące, jak film przyrodniczy na satelicie; był dość blisko, żeby poczuć zapach palonego ciała, ale był on zbyt obcy, zbyt odległy. Nie dotyczył go. Kyle nie wierzył w niego. Salim też widzi to pierwszy raz, pomyślał. Ale widok był naprawdę super-super.

Nagły trzask, pyknięcie trochę głośniejsze niż strzały, które dobiegały z ulic każdego dnia, ale niewiele.

- Czaszka mu pękła - powiedział Salim. - Podobno to oznacza, że dusza jest wolna.

Wtem huk, który cały czas krążył gdzieś z tyłu głowy, wysunął się na pierwszy plan: silniki, silniki samolotu. Tilt-jeta. Głośnie, głośniejsze niż kiedykolwiek, nawet wtedy, gdy patrzył jak startują z lądowiska w Cantonmencie. Żałobnicy już się gapili; Dornowie też oderwali się od grzebania w popiołach i zadarli głowy. Chłopak-przewoźnik przestał wiosłować - oczy miał okrągłe jak spodki. Kyle obrócił się na ławce i zobaczył coś wspaniałego, strasznego i dziwnego: tilt-jet ze znakami Koalicji leciał nad rzeką prosto na niego, tak, na niego, tak nisko, tak powoli, całkiem jakby stapał po wodzie. Przez chwilę widział siebie, muskającego palcami stóp wzburzone wody Alterre. Łodzie uciekały spod niego, przekrecone w dół silniki tworzyły na zielonej wodzie fale bieli. Chłopak-przewoźnik mocował się z wiosłami, próbując odpłynąć, lecz na ghatach rozległ się kolejny ryk. Kyle

odwrócił się i zobaczył żołnierzy Koalicji w pełnych bojowych pancerzach i hełmach, rozlewających się po marmurowych stopniach, rozpychających żałobników, roztrącających drewno, kości i popioły. Żałobnicy i Dornowie krzyczeli w oburzeniu, podnosili pięści; żołnierze w odpowiedzi unieśli broń. Chłopak przewoźnik patrzył poza niego z przerażeniem, grzmot silników narastał i narastał, aż Kyle poczuł, że się z nim stapia. Kiedy się obejrzał, dostrzegł maszynę, przełączającą się między miejskim i rzeczonym kamuflażem, jak skręca, wysuwa podwozie i osiada w wodzie. Łódź zakołysała się gwałtownie. Kyle wypadłby za burtę, gdyby Salim nie pociągnął go z powrotem. Gazy odrzutowe rozwiewały ludzkie prochy po ghatach. Jedno z wiosł popłynęło z prądem. Tilt-jet stanął po kolana w płytkiej wodzie. Opuścił rampę. Hełmy. Karabiny. Pomiedzy nimi znajoma twarz - tato, krzyżący bez słów wśród huku silników. Żołnierze na brzegu krzyczeli, ludzie krzyczeli, wszyscy tylko krzyczeli i krzyczeli. Ojciec Kyle'a przyzywał go gestem: „Do mnie. Do mnie”. Chłopak z łodzi wstał, cały rozdygotany ze strachu, wbił jedyne pozostałe wiosło w dno rzeki, jak żerdź i pchnął łódkę ku rampie. Łapska w rękawicach chwyciły Kyle'a i wciągnęły go z chybotałej łódki na rampę. Wszyscy krzyczeli i krzyczeli. Teraz ci żołnierze z brzegu machali na chłopaka od łodzi i Salima: „Tutaj, tutaj, to zaraz będzie startować, uciekajcie”.

Ojciec zapiął Kyle'owi pasy, gdy huk silników znów się wzmógł. Czuł, jak świat się obraca, potem rzeka uleciała spod niego. Tilt-jet się przechylił. Kyle wyjrzał przez okno. Była tam łódka, żołnierze przyciągali ją do brzegu, a Salim stał na rufie i z uniesioną ręką gapił się na samolot. Do widzenia.

* * *

Guantanamo, część III.

Ojciec przyjął rolę z tekstami typu: „Nie masz pojęcia, co ci groziło/jakie zamieszanie spowodowałeś/ile to kosztowało”.

- To był pełny alarm. Pełny. Myśleliśmy, że cię porwali. Naprawdę myślałem, że cię porwali. Wszyscy tak myśleli, wszyscy się o ciebie modlili. Oczywiście napiszesz do nich. Porządne przeprosiny, jak trzeba, na piśmie. Czemu wyłączyłeś palmera? Jeden telefon, dwa słowa i wszystko byłoby w porządku. Nie mielibyśmy nic przeciwko. Na szczęście da się je śledzić nawet jak są wyłączone. Salim też ma niezłe kłopoty. No wiesz, to poważna sprawa: piszą o tym wszystkie gazety, nie tylko tutaj w Cantonmencie. Było nawet w wiadomościach na SKYIndia. Wszyscy się przez ciebie najedliśmy wstydu, wyszliśmy na głupków. Z armatą na wróbla. Ojciec Salima musiał się zwolnić. Tak. Aż tak się wstydzi.

Kyle wiedział jednak, że tak naprawdę ojciec nie posiada się z radości i ulgi, że wrócił cały i zdrowy.

Mama co innego. Mama była dręczycielką.

- Teraz jasne, że nie możemy ci wierzyć. Oczywiście nie możesz wychodzić, ale tak naprawdę to myślałam, że wiesz, jak tam jest, że rozumiesz, że tu nie jest tak jak wszędzie, że jeśli nie możemy ufać sobie nawzajem, to stwarzamy dla siebie zagrożenie. No więc: ja ci nie mogę tu wierzyć, a tato, tato będzie musiał zrezygnować z tej pracy. Będziemy musieli wyjechać, wrócić do domu, a potem nie wiadomo, czy jeszcze gdzieś dostanie taką dobrą pracę jak tutaj. Będziemy musieli się przeprowadzić do mniejszego domu w gorszej dzielnicy. A ja znowu będę musiała pójść do pracy. O tym Salimie możesz zapomnieć, tak, zapomnij o nim. Nigdy już go nie zobaczysz.

Kyle wyplakał oczy tej nocy, płakał aż cały się rozdygotał, aż w spazmach łkania wyzbył się wszystkiego poza świadomością końca świata. Bardzo, bardzo późno usłyszał jeszcze, jak otwierają się drzwi.

- Kyle? - Głos mamy.

Znieruchomiał w łóżku.

- Przepraszam. Zdenerwowałam się. Nie powinnam tego mówić. Źle zrobiłeś, ale i tak uważamy z tatą, że powinieneś to dostać.

Położyła coś koło jego policzka. Kiedy zamknęły się drzwi, Kyle zapalił światło. Świat może kręcić się dalej. Wszystko się poprawi. Rozdarł plastikowy bąbel opakowania. W środku, zwinięty jak przyzywający palec, jak arabska litera, leżał lighthoek. Z rana, przed szkołą, przed śniadaniem, przed wszystkim, z wyjątkiem schodzących nad rzekę pielgrzymów, wyszedł na dach nad Guy's Place, wetknął lighthoeka za ucho, naciągnął na dłoń rękawiczkę palmera i poszybował ponad farmę słoneczną i cysterny z wodą, ponad żurawie i helikoptery na budowach, ponad chmury, prosto do świata Salima.

PYŁKOWA SKRYTOBÓJCZYNI

Kiedy byłam małą, do mojego pokoju przychodziła stalowa małpka. Aja kładła mnie wcześniej spać, bo dziewczynka, która rośnie, potrzebuje snu, dużo snu. Nie cierpiałam spać. Świat, którego odgłosy docierały do mnie spoza rzeźbionych w lwy parawanów na werandzie, był zbyt bogaty we wszystko, żeby spać. Aja ustawiała wartowników, ale stalowa małpka też była jednym z domowych robotów ochronnych, więc była dla nich niewidzialna. Leżąc na boku w cieple i zapachu zmierzchu, widziałam, jak nad krawędzią balkonu ukazuje się najpierw główka, potem jedna łapka, potem druga, potem cała małpka. Kuciała tak przez całą minutę, potem ześlizgiwała się w wypełniające pokój cienie. Kiedy moje oczy przyzwyczajały się do ciemności, widziałam, że mnie obserwuje, przekrzywiając głowę to w jedną stronę, to w drugą. Ładna była: metalowy pancerz lśnił, miękki jak skóra (bo z czasem zaczęła podchodzić na tyle blisko, że bym mogła wysunąć rękę przez moskitiery i ją pogłaskać), na bokach ozdobiony herbem mojej rodziny, typem i numerem seryjnym. Nie była zbyt inteligentna, o wiele mniej niż prawdziwe małpy, które łąziły i biły się na dachach, ale wystarczająco bystra, żeby chodzić i tropić roboty-zabójców Azadów na wieżyczkach, gzymsach i rzeźbach Pałacu Jodhrów. Rano widywałam, jak ustawiają się na parapetach i dachach z podniesionymi solarnymi kapturami - wtedy zupełnie nie kojarzyły mi się z małpami, raczej z kuzynami rzeźbionych bogów i demonów, między którymi znajdowały schronienie, razem z nimi witając wstające słońce.

Nigdy nie myślisz, że twoje życie jest szczególne. Twoje życie to tylko życie, twój świat to tylko twój świat, choćbyś mieszkała w radźputańskim pałacu strzeżonym przez mechaniczne małpy przed bezlitosnym konkurencyjnym rodem. Nawet jeśli ty sama jesteś bronią.

Te dwa słowa stanowią wspomnienie mojego ojca: jego twarz wypełnia mi pole widzenia jak księżyc w Marwarze, usta, pełne jak granaty, mówią do mnie: „Jesteś bronią, Padmini, naszą zemstą na Azadach”. Twarzy matki nigdy nie widzę we wspomnieniach. Żyła w odosobnieniu, w zenanie, kobiecej części domu. Jedyna kobieta, jaką widywałam, to moja aja, stuknięta Harpal, która co rano wypijała parującą szklankę własnych sików. Oprócz tego sami mężczyźni. I Heer, nasz chidmatgar, majordomus. Nie mężczyzna, nie kobieta, coś jeszcze. Neutko. Tak jak mówiłam: swoje życie zawsze masz za normalne.

Małpka-robot obserwowała mnie co noc, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Wtem pewnej nocy wysliznęła się na zewnątrz na małych plastikowych łapkach, a ja, w jedwabnej piżamie, wyplątałam się z moskitier i poszłam za nią. Wskoczyła na balustradę, potem dwoma skokami wspięła się po pnączu porastającym ściany wokół mojego okna. Oczy błysnęły w pełni księżyca. Chwyciłam dwie garści mocnej, splecionej winorośli, grubej jak moje udo, i wspięłam się za nią. Czemu poszłam za tą stalową małpką? Może przez ten księżyc na jej tytanowej skorupie? Może dlatego, że ta pełnia zwiastowała święto Makar Sakranti, które nasza rodzina upamiętniała puszczaniem olbrzymiego latawca w kształcie człowieka z ptasim ogonem i rozpostartymi ramionami zamiast skrzydeł? Ojciec czcił wszystkie święta, przestrzegał wszystkich rytuałów i ofiar dla bogów. To odróżniało nas, czyniło lepszymi od Azadów. Ten człowiek ze skrzydłami zamiast ramion, fruwający nad dziedzińcem przed moim pokojem, ze słońcem bijącym w twarz, widział dalej i wyżej, niż kiedykolwiek mogłam ja, jedyna córka Jodhrów. Przy blasku księżyca zalewającym pałacowy dziedziniec wspinałam się po winorośli, jakby w baśni o bogach i demonach opowiedanej przez aję. Stalowa małpka prowadziła mnie dalej, przez balkony, parapety, płaskorzeźby z mitycznymi herosami i piersiastymi apsarami. Nigdy nie przyszło mi do głowy, jak wysoko weszłam: byłam lekka i świetlista jak ten człowiek-ptak. Teraz przysiadła na murku, nad którym były już tylko gwiazdy, i przyzywała mnie. Podciągnęłam się na dach. W okamgnieniu wstała przede mną armia małpich robotów, jak zastępy Hanumana. Zalśnił metal, obnażyły broń przeciwko ludziom: strzałkowce ze śmiercionośną neurotoksyną. Mój ród od zawsze preferował trucizny. Uniosłam dłoń i wszystkie poza moją przewodniczką opadły, czując chemię mego ciała. Podskakiwała i sadziła susy przede mną. Szłam boso przez oświetlony księżycem świat kopuł i wieżyczek, z każdym krokiem zbliżając się do bursztynowej łuny nad miastem. Pałac miał od strony ulicy, dla oczu plebsu, fałszywą fasadę z wykuszami, oknami i dźharokami: wspięłam się schodami na jej tyle i stanęłam na samym wierzchołku, na najwyższym balkonie. Zapało mi dech. Przede mną leżał Wielki Jaipur, ul pełen latarni i pulsujących neonów, czerwonych, białych i migających pomarańczowych światełek samochodów rojących się wokół bazaru Johan, twardego jarzeniowego blasku witryn otwartych sklepów, pulsacji ekranów telewizyjnych, reflektorów podświetlających mury Starego Miasta. A wszystko to - wszystko! - odbijało się w czarnej wodzie fosy, którą ojciec rozkazał zbudować wokół pałacu. Fosa w samym szczycie suszy.

Z ulicy dolatywały wirem odgłosy: auta, sto melodii, tysiąc głosów. Zachwiałam się na niebotycznej grzędzie, ale nie bałam się. Coś otarło mi się o nogę, stalowa małpka przycisnęła się do niej, uczepiona plastikowymi palcami ciepłego różowego kamienia. Szukałam w sieci

światła ostrych konturów Jantar Mantar, obserwatorium zbudowanego trzysta lat temu przez moich przodków. Dostrzegłam wielki klin Samrat Yantry, wysokiego na siedem pięter zegara słonecznego o dokładności do dwóch sekund; podświetlone reflektorami misy Jai Prakash Yantry, z mapami nieba na pasmach białego marmuru. Upalny nocny wiatr szarpał moją piżamę; czułam zapach biodiesła, kurzu, gorącego tłuszczu i korzeni, niesiony z zatłoczonego bazaru. Stalowa małopka poruszyła mi się przy nodze, dziwnie skomląc, i wtedy zauważyłam tnącą noc świetlną klingę na skraju miasta, zakrzywioną jak wypełniony mrokiem żagiel. Wieżowiec, wyższy od wszystkich innych w nowym centrum biurowym na zachodnich peryferiach Jaipur. Szklana wieża Azadów, naszych wrogów, najbardziej, jak się da odmienna od naszego staroświeckiego radźputańskiego pałacu: rozświetlona wewnątrz niebieskim światłem. I pomyślałam: ja mam zburzyć tę wieżę.

Wtem głosy. Krzyki. „Ej, zobacz. Tam, o. Gdzie? Tam, na górze. Widzisz? Człowiek? Nie wiem. Ej ty, pokaż no się”. Wychyliłam się, ostrożnie zerknęłam w dół. Oślepiło mnie światło. Na końcu snopa światła z latarki było dwóch pałacowych strażników w pancerzach, celujących we mnie bronią. „W porządku, w porządku, nie strzelaj, spokojnie, to ta mała”.

- Memsahb! - zawołał jeden z żołnierzy. - Memsahb, proszę się nie ruszać! Ani drgnąć! Zaraz po panią przyjdziemy.

Wciąż gapiłam się na świetlistą zakrzywioną szablę wieżowca Azadów, kiedy otworzyła się kłapa w dachu i oddział ochrony przyszedł, żeby sprowadzić mnie na dół.

Następnego ranka zaprowadzono mnie do ojca w jego audiencyjnym diwanie. Pola klimatyczne broniły dostępu upałowi i zanieczyszczeniom; otwarta kolumnowa sala była chłodna, powietrze nieruchome. Ojciec zasiadał na tronie z poduszek między dwoma ogromnymi srebrnymi słojami, dwa razy wyższymi ode mnie, zawsze wypełnionymi wodą ze świętego Gangesu. Co rano o świcie wypijał szklanekę tej wody. Był bardzo tradycyjnym Radźputem. Widziałam za jego uchem plastikową krzywiznę lighthoeka. Dla niego diwan był pełen asystentów - wirtualny personel, *aeai*, wyświetlane prosto do ośrodków wzrokowych, krzątające się aż miło nad sprawami Jodhra Water.

Wezwano też moich braci, siedzieli niewygodnie na podłodze, szarpiąc nieznajome, obcierające skórę tradycyjne stroje. Spotkanie miało być więc oficjalne. Heer klęknięto przed nim, z dłońmi skrytymi w rękawach. Nie widziałam jego oczu za czarnymi polaryzującymi soczewkami. Nigdy nie potrafiłam nic z niego wyczytać. Ani mężczyzna, ani kobieta. Ono - jego mięśnie układały się w nieznajomy sposób pod gładką jak brzoskwinia skórą. Zawsze miałam wrażenie, że ono mnie nie lubi.

Robot leżał na grzbiecie, wyłączony, z łapami zwiniętymi jak u wyschniętych

zdechłych pajaków, które znajdowałam w zakamarkach pokoju, gdzie aji Harpal nie chciało się odkurzać.

- Głupio postąpiłaś i niebezpiecznie - powiedział ojciec. - Co by się stało, gdyby nie znaleźli cię nasi dżawani?

Zacisnęłam zęby, rozdęłam nozdrza i zakołysałam się na poduszkach.

- Chciałam tylko zobaczyć. Mam prawo, prawda? Czy nie do tego mnie uczycie? Do zewnętrznego świata? Mam prawo go zobaczyć.

- Kiedy będziesz starsza. Kiedy staniesz się... kobietą. Dla ciebie, dla kogokolwiek z nas, świat nie jest bezpiecznym miejscem.

- Nie widziałam żadnych niebezpieczeństw.

- I nie musisz. Wystarczy, że niebezpieczeństwo ciebie dostrzeże. Skrytobójcy Azadów...

- Ale ja jestem bronią. Ciągłe mi to powtarzasz. Jestem bronią, więc jak Azadowie mogą mi coś zrobić? Jak mogę być bronią, jeśli nie wolno mi spojrzeć na to, z czym będę musiała się zmierzyć?

Naprawdę jednak nie miałam pojęcia, co to znaczy, co będę musiała zrobić, żeby sprawić, że ta wieża z błękitnego szkła zawali się na różowe ulice Jaipuru.

- Dość. Ta maszyna jest uszkodzona.

Ojciec wykonał palcami gest. Uwolniona małpka skoczyła w górę. Przechyliła głowę tam i z powrotem w tak dobrze mi znanym geście dezorientacji. W tym samym momencie na ścianach zaiskrzyły rozbłyśki światła na metalowych korpusach innych maszyn, zsuwających się po rzeźbionych kamieniach, pędzących po podłodze z różowego marmuru. Stalowa małpka wydała dziwny, roboci krzyk i usiłowała uciec, ale chwytny plastikowe łapki złapały ją, ściągnęły z powrotem, i rozmontowały, układ po układzie, chip po chipie, kabelek po kabełku. Kiedy skończyły, z małpki nie została nawet jedna rozpoznawalna część. Poczułam ucisk w piersi, w gardle, w głowie, wzbierający płacz. Ale nie mogłam się rozplakać, nie chciałam, w życiu nie chciałam, nie na oczach tych wszystkich ludzi. Znów zerknęłam na Heera. Czarne soczewki, jak zawsze, nie wyrażały nic. Ale po odbłyśkach słońca w owadzych oczach poznałam, że na mnie patrzy.

Tego dnia zmieniło się moje życie. Ojciec wiedział, że coś między nami rozpadło się jak sztuczne życie tej mechanicznej małpki. Udało mi się wyrzeć poza mury chroniące moje życie, więc zaczęli mi pozwalać wypuszczać się trochę poza pałac. Z Heerem i ochroną, opancerzonymi niemieckimi autami, na bazyliki i do centrów handlowych; tilt-jetem do rodziny w Jaisalmer i Delhi; na święta, festiwale i pudże w świątyni Gowinda. Nauki nadal

pobierałam w pałacu, od guwernerów i *aeai*, sztucznych inteligencji, ale przedstawiono mi nowe przyjaciółki, same córki wysokich rangą i kastą menedżerów firm, starannie sprawdzone i przygotowane. Uznawały wyłącznie najnowszą modę, makijaż, biżuterię, buty i gadzety. Ubierały mnie, stylizowały, wplatały we włosy mosiężne i bursztynowe paciorki; zabierały do sklepów i na imprezy przy basenach - w samym szczycie suszy - i do chłodnych letnich domów w górach, ale nigdy nie czuły się swobodnie jak przyjaciółki, nigdy nie były wolne, w ogóle nigdy nie były przyjaciółkami. Zwyczajnie się mnie bały. Były jednak ciuchy, wycieczki, muzyka ze Star Asia, plotki o celebrytach, zapomniałam więc o stalowej małpce, którą kiedyś miałam za przyjaciółkę, a jej bracia rozebrali ją na części.

Inni jednak nie zapomnieli.

Przypomnieli sobie w nocy po moich czternastych urodzinach. Kapłan ze świątyni Gowinda odprawił pudżę w diwanie. Czternaście lat to szczególny wiek, wiek w którym stawałam się kobietą. Pobłogosławili mnie ogniem, popiołem, światłem i wodą, dostałam sari, strój kobiety. Przyjaciółki owinęły mnie nim i ozdobiły mi ręce mehndi, misternymi wzorami z czarnej henny. Nad trzecim okiem namalowały mi czerwoną bindi kasty kszatrijów i poprowadziły przez szereg wiwatujących menedżerów firmy, a potem na wielkie przyjęcie. Były prezenty i całusy, stoły z jedzeniem przez długość całego dziedzińca, reporterzy z prasy i prawdziwy francuski szampan, który już wolno było mi pić, byłam bowiem kobietą. Ojciec zorganizował występ gwiazdy MTV, Anili - prawdziwej, nie sztucznej inteligencji - a ja, w eleganckim stroju damy, skakałam i krzyczałam tak samo jak moje nastoletnie koleżanki. Na sam koniec wieczoru, gdy obsługa zbierała puste srebrne tace, a technicy Anili zwijali nagłośnienie, dzawani ojca wyciągnęli wielki latawiec Jodhrów, uskrzydłonego człowieka barwy ognia i puścili go, lśniącego, w noc ponad Jaipurem, pod zamglone gwiazdy. Wtedy poszłam do mojego nowego pokoju, w zenanie, domenie kobiet, a stara, obrzydliwa aja Harpal zamknęła na klucz rzeźbione drewniane drzwi do pokoju dziecinnego.

Właśnie to mnie uratowało, kiedy zaatakowali Azadowie.

Obudziłam się na moment przed tym, kiedy przez drzwi wpadło Heer, lecz przez ten ułamek sekundy byłam całkowicie zdezorientowana nieznanym łóżkiem, nieznanym pokojem, obcym domem, ciałem, które nie do końca do mnie należało.

Heer. U mnie, *here*. Nie Heer. W normalnym, ulicznym ubraniu. Męskim. Heer, z bronią w ręku. Wielką bronią o dwóch lufach, jednej na ludzi, drugiej na maszyny.

- Memsahb, proszę wstać i iść ze mną. Musisz iść ze mną.

- Heer...

- Natychmiast, memsahb.

Szukając ustami słów, sięgnęłam po ubrania, torebkę, buty, drobiazgi. Heer cisnęło mnie na drugi koniec pokoju. Uderzyłam się boleśnie o radzputański kufer.

- Jak śm... - zaczęłam i nagle, jakby w zwolnionym tempie, dostrzegłam podrywającą się lufę.

Rozbłysk, jak piorun. Metaliczny pisk, smród spalenizny, na marmurowej podłodze zawirował dymiący korpus robota ochrony, jak palący się pająk. Ogon miał uniesiony, wyciągnięte żądło. Nie zdając sobie sprawy, czy to jakaś obłąkana rzeczywistość, czy może nadal śnię, wyciągnęłam rękę ku martwej maszynie. Heer odciągnęło mnie.

- Chcesz zginąć? Może jeszcze działa.

Popchnęło mnie delikatnie w korytarz, po czym odwróciło się i strzeliło w głąb pokoju ostatnim impulsem elektromagnetycznym. Usłyszałam jeszcze długi, jękliwy pisk, jak obracanego w butelce korka. W końcu ucichł. W tej ciszy po raz pierwszy dotarły do mnie inne odgłosy. Strzały, krzyki mężczyzn, ryki mężczyzn, warkot silników, samoloty na niebie, płacz kobiet. Lamenty kobiet. I wszędzie, z góry i z dołu, ten stukot, gonitwa małych plastikowych łapek.

- Co się dzieje? - Nagle zrobiło mi się zimno i zadygotałam z przerażenia. - Co się stało?

- Atakują Ród Jodhrów - odpowiedziało Heer.

Uwolniłam się z jego miękkiego uchwytu.

- To muszę iść. Muszę walczyć, bronić nas. Jestem bronią.

Heer pokręciło głową z rozdrażnieniem i walnęło mnie kolbą pistoletu w bok głowy, aż zadzwoniło.

- Durna, durna! Zrozum! Azadowie zabijają wszystkich. Ojca, braci, wszystkich. Zabiliby i ciebie, ale zapomnieli, że przeniosłaś się do innego pokoju.

- Dadadzi? Arvind, Kiran?

Heer ciągnęło mnie dalej, wciąż chwiejną i oszołomioną, trochę po tym ciosie, ale bardziej po tym, co mi powiedziało. Mój ojciec, bracia?

- Mamadzi? - zapytałam głosem trzylatki.

- Tylko linia genetyczna.

Obeszliśmy róg. Wydarzyły się dwie rzeczy naraz. Heer wrzasnęło: - „Na ziemię!” - a mnie, gdy nurkowałam na gładki marmur, mignął rój małych robotów skaczących ku mnie, czepiających się ścian i sufitu. Zakryłam głowę i krzyczałam przy każdym strzale, a Heer strzelało, strzelało i strzelało, aż o podłogę brzęknął pusty zbiornik na gaz.

- Włamali się do nich i je przeprogramowali. Wiarołomne, zdradzieckie maszyny. No

chodź.

Gładka, wypielegnowana dłoń sięgnęła po mnie i odtąd pamiętam tylko fragmenty odgłosów, światła, ciemności i trupów, aż wylądowałam na tylnym siedzeniu szybkiego niemieckiego auta, z Heerem obok mnie, tulącym broń jak niemowlę. Ciepłe lufy pachniały gorącą elektrycznością. Trzasnęły drzwi. Szczęknęły zamki. Ryknął silnik.

- Dokąd?

- Do Hidzra Mahal.

Gdy pędziliśmy przez bramę, z platformy dla bębniarzy nad nią spadł kolejny rój robotów. Słyszałam, jak ich stalowe dusze pękają i rozpadają się pod kołami. Jeden uczeplił się drzwi, drapiąc ramę okna, dopóki kierowca nie skręcił i nie zawadził nim o latarnię.

- Heer...

Wewnątrz mnie wszystko zaczynało pękać, rozpadać się na barwy, wizje, dźwięki i mgnienia nocy. Mój ojciec moja głowa moi bracia moja głowa moja matka rodzina moja głowa moja głowa.

- Już po wszystkim - powiedziało neutko, biorąc moją dłoń w swoje. - Jesteś bezpieczna. Teraz jesteś z nami.

* * *

Dom Jodhrów, który trwał przez tysiąc lat, upadł, a ja zamieszkałam w domu neutków. Był różowy, jak wszystkie wielkie budowle w Jaipurze, i bardzo dyskretny. W moim poprzednim życiu, jak zaczęłam teraz o nim myśleć, musiałam przejechać przed jego podjazdem sto razy i nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że skrywa w środku taką tajemnicę: chłodne, marmurowe sale i korytarze, za fasadą z wykuszy, wieżyczek i misternie rzeźbionych okien, wśród dziedzińców, cystern i wodnych ogrodów otwartych tylko na niebo i dla ptaków. Zresztą, zawsze był budowlą nieco inną od reszty. W poprzedniej epoce był to pałac hidzrów, eunuchów. Nie-mężczyzn, pogardzanych, ale niezbędnych w rytualnym życiu radźputańskiego Jaipuru, żyjących w samym sercu starego miasta, choć oddzielnie.

Było ich sześcioro: Sul, wróżbita dżanampatri, astrolog sław i gwiazd aż po bulwary Mumbaju; Dahin, chirurg plastyczny, pracujący na twarzach na drugim końcu świata poprzez zdalną maszynę precyzyjną co do atomu; Leel, rytualny tancerz, występujące na imprezach nauć i w święta; Janda, pisarz, którego połowa Indii znała jako Wredną Królową plotkarskich felietonistów; Suleyra - o organizowanych przez niego przyjęciach i imprezach mówiło się w towarzystwie od Srinagaru po Madurai; oraz Heer, niegdyś chidmatgar w Domu Jodhrów. Moich sześciu ochroniarzy wyprowadziło mnie z auta okutaną w gruby czador, jak mużłmankę i zabrało do kopulastego pokoju ze stoma tysiącami odłamków lusterek. Ich

ciepłe, suche dłonie delikatnie posadziły mnie na poduszkach - trzęsłam się, rzucałam, bo dopiero docierał do mnie szok - a Dahin, chirurg plastyczny, zręcznie przycisnęło mi ciśnieniowy dozownik do ramienia.

- Pst. Na razie śpij.

Obudziłam się wśród gwiazd. Przez moment zastanawiałam się, czy umarłam, użądłona we śnie zatrutą igłą robota-skrytobójcy Azadów, który wspiał się po stu oknach Jodhra Mahal. Potem zobaczyłam, że to lustreczka na suficie, rozbijające na sto tysięcy kawałków światło jednej świecy. Heer siedziało po turecku na chodniczku przy moim niskim posłaniu.

- Ile czasu...

- Dwa dni, dziecko.

- A oni...

- Nie żyją. Tak. Nie kłamie, nie wolno mi. Wszyscy.

Lecz Dom Jodhrów, upadając, jeszcze zaatakował jak kobra z przetrąconym kijem grzbietem. Samonaprowadzające pociski, ukryte od lat, uczipione jak nietoperze sklepowych podcieni i wiat na przystankach, rozwinęły skrzydła, odpaliły silniki i zaczęły tropić feromonowe profile Azadów. Opancerzone lexusy wybuchły kulami ognia pośrodku obłądnych jaipurskich korków, gdy przebijały się klaksonami ku bezpiecznej przystani lotniska. Ale i tam nie byli bezpieczni: pocisk Jodhrów uczipił się startującego korporacyjnego tilt-jeta, zahaczył tytanowymi szponami o wlot silnika i odczekał, aż samolot wzbije się na wysokość, na której nikt nie przeżyje. Wybuch rzucił chwilowe cienie na tarczy zegarów słonecznych Jantar Mantar, znacząc moment zemsty rodu Jodhrów. Spadające płonące odłamki wzniciły pożary w całych slumsach.

- Czy oni...

- Jahangir i begum Azad zginęli w wybuchu tilt-jeta, nasze pociski zlikwidowały także większość ich zarządu, ale obrona powstrzymała atak na ich siedzibę.

- Kto przeżył?

- Najmłodszy syn, Salim. Linia jest nietknięta.

Usiadłam na niskim, pachnącym drzewem sandałowym posłaniu. Gwiazdy otaczały mi głowę jak klejnoty.

- Czyli to zadanie dla mnie.

- Memsahb... Padmini. - Po raz pierwszy wypowiedziało moje imię. - Jesteś dalej w szoku; nie wiesz, co mówisz. Odpocznij. Musisz odpocząć. Pogadamy rano. - Dotknęło palcem wskazującym swoich pełnych warg, potem wyszło.

Kiedy już nie słyszałam miękkich kroków na chłodnym marmurze, podeszłam do drzwi. W głębi mnie jednym głosem śpiewały sprawiedliwość, gniew i żądza zemsty. Zamknięte. Naparłam na drzwi, załomotałam, wrzasnęłam. Hidzra Mahal nie słuchało. Wyszłam na balkon nad małą uliczką. Nawet gdybym była w stanie rozbić misterny kamienny ażur dżali, od ziemi dzieliłoby mnie dziesięć metrów, gdzie nocne buczenie autoriksz i taksówek ustępowało zaprzęgom dostawców i rikszom rowerowym handlarzy przyprawami. Światło powoli wypełniło uliczkę i podkradło się na podłogę mojej sypialni: w miarę jak narastało, mogłam odczytać nagłówki porannych wydań. WOJNA O WODĘ: DZIESIĄTKI OFIAR W KONFLIKCIE RADŻÓW. JAIPUR W SZOKU PO ZNISZCZENIU JODHRÓW. POLICJA BEZRADNA WOBEC KRWAWEJ WENDETY.

W Radźputanie, teraz i zawsze, woda to życie, woda to potęga. Policja, sędziowie, sądy: mieliśmy ich w kieszeni. My i Azadowie. Tym się nie różniliśmy. Kiedy walczą bogowie, jaki śmiertelnik śmie ich osądzać?

* * *

- Triumfalna parada, upadek przez okno w miłość, małżeństwo i żałoba? - zapytałam. - Tyle?

Sul-astrolog kiwnęło głową. Siedziałam na podłodze w jego obserwatorium. Dym unosił się z dziurkowanych mosiężnych kadzielnic. Na pierwszy rzut oka pokój był tak prosty i pusty, że nawet sadhu czułyby się w nim nieswojo, ale kiedy moje oczy przyzwyczyły się do cienia, w którym musi siedzieć, aby móc funkcjonować jako machina prognostyczna, dojrzałam, że każdy centymetr gołego różowego marmuru pokrywają zawijasy i napisy w hindi, tak drobne i misterne, że mogłyby być dziełem maleńkich bogów. Jedyne światło dochodziło z gwiazdzistego otworu w kopule sufitu: komnata gwiezdna Sula znajdowała się w najwyższej wieżycze Hidzra Mahal, najbliżej nieba. Gdy pracowało na palmerze i czyniło w powietrzu gesty obliczeń dżanampatri, ja przyglądałam się, jak gwiazda oślepiającego światła pełźnie łukiem po podłodze, odmierzając fazy znaku Meena. Sul zauważyło, że się na nie gapię, ja jednak byłam tylko ciekawa, jak wygląda z bliska inne neutko. Dotąd znałam tylko Heera. Nie miałam pojęcia, że w całych Indiach może być aż sześcioro neutków, a co dopiero w Jaipurze. Sul było grube, miało niezdrową żółtą cerę oraz oczy i cały czas dygotało, okrywając się szalem, choć w pokoju na wieży pod palącym słońcem panował duszący upał. Wypatrywałam sugestii, kim było wcześniej: kobietą, mężczyzną? Kobieta, pomyślałam.

O Heerze zawsze myślałam jak o mężczyźnie, eksmężczyźnie, choć samo nigdy o tym nie wspominało. Wiedziałam, że to temat tabu. Kiedy Odchodzisz, nie chcesz oglądać się za

siebie.

- Żadnej zemsty, żadnej sprawiedliwości?

- Jeśli mi nie wierzysz, zobacz sama.

Palce nasunęły mi lighthoeka na ucho i zawijasy na podłodze rozkwitły w wysadzone gwiazdami mityczne istoty. Krokodyl Makara, Byk Vrishaba, dwie ryby znaku Meena; dwanaście raśi, znaków. Kanya, posłuszna córka-panna. Między nimi pętko się i krążyło dwadzieścia siedem nakszatar, gwiazd, każda podzielona na cztery pada; koła w kołach wewnątrz kół zawirowały mi wokół głowy jak ostrza, gdy siedziałam na marmurowej podłodze u Sula.

- Wiesz, że nic z tego nie rozumiem - powiedziałam, pokonana wirującymi cyframi.

Sul pochyliło się i delikatnie dotknęło mojej dłoni.

- Triumfalna parada, upadek przez okno w miłość, małżeństwo i żałoba. Pstryk - i wdowa. Zaufaj mi.

* * *

- Młode dziewczynki są w środku naprawdę piękne. - Głos Dahina, lekarza marzeń docierał zza baterii jaskrawych operacyjnych świateł, gdy łóżko, na którym leżałam, przechylało się w tył. - Żadnych zanieczyszczeń, żadnych paskudnych hormonów. Wszystko czyściutkie, nowiutkie i śliczne. Większości kobiet, które tu przychodzą, nie zaglądam głębiej niż na grubość skóry. To rzadki zaszczyt, móc zajrzeć komuś do środka.

W klinice z chromu i plastiku w podziemiach Hidzra Mahal była północ, wykradzione pół godziny pomiędzy ostatnimi pacjentkami (damami z towarzystwa, owiniętymi woalami i czadorami, żeby ukryć swoją tożsamość) a podpięciem się Dahina do globalnej sieci, przyciśnięciem lighthoeka do ośrodków wzroku w mózgu i naciągnięciem rękawiczek manipulatorów podłączonych do robotów-chirurgów na salach operacyjnych odległych o pół świata. Takie zręczne, takie zwinne, żaden mężczyzna nie byłby tak szybki. Dahin od roztańczonych dłoni.

- Znalazł już to? - zapytałam.

Od tych lamp łzawiły mi oczy. Gdzieś między nimi, poza nimi, coś zaglądało mi w głąb ciała i wyświetlało je, część za częścią, narząd za narządem, w umyśle Dahina. W myśl tradycji, tylko hidzrom wolno było badać ciała kobiet z zenany. Potem przekazywali wyniki czekającym na zewnątrz lekarzom.

- Znalazłam co? Lasery w palcach? Chowane stalowe pazury? Kieszonkową atomówkę podpiętą do żołądka?

- Ojciec cały czas powtarzał, że jestem bronią, jestem jedyna w swoim rodzaju... i

zniszczyć dom Azadów.

- Coś ciut, gdyby coś tam było, na pewno bym to zobaczyło.

Oczy mi zwilgotniały. Udałam, że to od oślepiającego światła.

- Może to coś... mniejszego, coś, czego nie widać. Jakieś... mikroby. Choroba, albo coś.

Usłyszałam jego westchnienie i wyobraziłam sobie, jak kręci głową.

- To zajmie dzień czy dwa, ale mogę puścić pełną diagnostykę.

Stuk-stuk przy uchu. Odwróciłam głowę i zamarłam. Ku mojej szyi szedł robot-pająk, nie większy od kciuka. Od tamtej nocy minął już miesiąc, ale jeszcze nie ufałam żadnym robotom. Sądziłam, że tak już mi zostanie. Poczułam drobne ukłucie z boku szyi, potem robot przesunął się na brzuch. Skurczyłam się, czując ukłucia jego ostrych, precyzyjnych nóżek.

Powiedziałam:

- Dahin, mogę zapytać... ty też przez to przechodziłeś?

Krótkie, bolesne szturchnięcie w brzuch.

- O tak, baba. To, i nie tylko to. Dużo, dużo więcej. Ja pracuję tylko na zewnątrz. Aby stać się jak ja - zostać jednym z nas - trzeba zejść bardzo głęboko, aż po poszczególną komórkę.

Teraz robot pełzł mi po twarzy. Powstrzymywałam odruch strząśnięcia go i rozdeptania. Byłam bronią, byłam jedyna w swoim rodzaju. Ta maszyna pokaże mi, gdzie to siedzi.

- Kobieta, mężczyzna, nie tak prosto to odkręcić. Rozbierają cię na części, baba. Wszystko wisi w takim zbiorniku z płynem. Potem składają cię na nowo. W coś innego. Ani to, ani to. Coś lepszego.

„Czemu”, chciałam zapytać, „czemu sobie to zrobiłeś?”. Ale potem poczułam drobne drapanie w kącie oka - robot pobierał mi próbkę z nerwu wzrokowego.

- Wyniki za trzy dni, baba.

Po trzech dniach Dahin przyniosło mi wyniki, gdy siedziałam w Pawim Pawilonie z widokiem na bazar. Wiatr był ciepły i pachniał różanymi popiołami, przelatując przez ażur dzali i przewracając delikatne, odręcznie zapisane kartki. Żadnych implantów. Żadnych specjalnych mocy i zdolności. Żadnych nienormalnych struktur neuronowych ani bojowych wirusów. Byłam całkowicie normalną czternastoletnią dziewczyną z kasty kszatrijów.

* * *

Przeskoczyłam nad kijem. Jeszcze w powietrzu machnęłam swoim, kreśląc niski łuk, trafiając w broń Azada między jego dłońmi. Wyleciała mu z rąk, stuknęła o drewnianą

podłogę sali. Wyprowadził cios nogą, przetoczył się, żeby odzyskać kij, ale ruchliwa końcówka mojego trafiła go mocno w skroń, aż padł na podłogę jak mokra ścierka. Przeskoczyłam przewrotem nad nim, zamachnęłam się wysoko kijem, aby wbić okutą mosiądzem końcówkę w splot nerwowy pod uchem. Śmierć na miejscu.

- I załatw go.

Zatrzymałam kij o milimetry od mózgu wroga, po czym wysunęłam lighthoeka zza ucha i Azad rozwiął się jak dzinn. Leel, leżące na podłodze sali do ćwiczeń, odłożyło laskę i odzepiło swojego lighthoeka. Wtedy i w jego wewnętrznym widzeniu rozwiął się obraz wroga - mnie. Jak na każdej sesji ćwiczeń, zapytałam, jaką postać ma u niego mój awatar. Nigdy mi nie powiedziało. Może widziało mnie.

- Każda walka to taniec, każdy taniec to walka. - To była jego pierwsza lekcja, w dniu gdy zgodziło się mnie uczyć silambam.

Przez wiele tygodni obserwowałam je z wysokiego balkonu, jak ćwiczyło tupnięcia, ruchy głowy i delikatne gesty dłoni w rytualnych tańcach. A potem, pewnego wieczoru, gdy ostatni jego uczniowie poszli do domu, coś mi podpowiedziało: „Zostań” i zobaczyłam, jak rozbiera się do zgrzebnego dhoti, wyjmując z szafki bambusową laskę, skacze, wiruje i tupie w atakach i unikach starożytnej keralskiej sztuki walki.

- Wygląda na to, że nie urodziłam się bronią, więc muszę sama nią zostać.

Leel miało ciemną skórę południowca i zawsze wydawało mi się, że jest o wiele starsze niż wygląda. Miałam też przeczucie - również bez żadnych dowodów - że jest najstarszym mieszkańcem Hidzra Mahal, że mieszkało tu długo przed przybyciem kolejnych. Jakby kiedyś było hidzrą, a taneczne kroki, które ćwiczyło i których nauczało, pochodziły z czasów, kiedy żadne święto ani wesele nie mogło się obejść bez skandalicznych eunuchów, wyrzutków.

- Bronią, tak? Tniesz każdego, kto próbuje się zbliżyć, a kiedy wszystkich już zabijesz, tniesz sama siebie. Masz lepsze rzeczy do roboty, niż zostać bronią.

Pytałam je codziennie o to samo, każdego dnia, aż pewnego wieczoru, gęstego od smogu i dymu kadzideł po wielkim festynie na cześć Govinda, przyszło do mnie, gdy siedziałam w oknie i czytałam plotkarskie kanały na lighthoeku.

- Więc tak. Walka na kije.

Tego pierwszego dnia, gdy stanęłam boso na parkiecie sali do ćwiczeń, ubrana w luźny dres Adidasa i elastyczną sportową koszulkę, badając bezwładność i ciężar kija do walki, zdziwiłam się, że Leel mocuje mi lighthoeka za uchem. Myślałam, że będę trenować z samym guru.

- Próżna dziewczyna. Będę cię uczyć jak zabijać. Jednym ciosem. O wiele bezpieczniej będzie walczyć z twoim obrazem, tutaj. - Klepnęło się po czole. - A ty z moim. Czy kogo tam sobie ustawisz.

Przez zimę nauczyłam się kroków i rytuałów silambam; skoków, wycucia rytmu, cięć i pchnięć. Ostrych ciosów i okrzyków. Pędziłam przez parkiet, wykrzykując keralskie bitewne hymny, a kij rozmazywał się w pchnięciach, parowaniach i zabójczych ciosach.

- Ciężkie dziecko z ciebie, ciężkie. Pamiętaj, grawitacja cię nie trzyma, masz lecieć. Liczy się tylko piękno. Popatrz no. - I Leel odbijało się kijem, a czas zamierał wokół niego, tak że zawisał w powietrzu niczym oddech. I wtedy zaczynałam rozumieć o co chodzi z Leelem, z innymi neutkami w tym domu hidźrów. Liczyło się tylko piękno, piękno ani męskie, ani żeńskie. Jeszcze inne. Trzecie.

Sucha, ostra zima skończyła się, a z nią moja nauka. Zeszłam na dół w swoim dresie Adidasa, a Leel było w kostiumie do tańca, z brzęczącymi u kostek dzwoneczkami. Kije zamknięto w szafce.

- To nie fair.

- Umiesz walczyć kijem, potrafisz zabić jednym uderzeniem, czego ci jeszcze trzeba, żeby zostać tą bronią, którą tak bardzo chcesz być?

- Żeby zostać mistrzem, trzeba trenować latami.

- Ale nie musisz być mistrzem. I dlatego dzisiaj kończę cię uczyć. Chyba już nauczyłaś się dość, żeby zrozumieć, jak bezcelowe jest to, co usiłujesz zrobić. Jeśli uda ci się do niego zbliżyć, jeśli na przykład nauczysz się kiedyś latać, może i zabijesz Salima Azada, ale potem jego żołnierze potną cię na plasterki. Uświadom to sobie, Padmini Jodhra. To koniec. Oni wygrali.

* * *

Rano, kiedy słońce rzucało na podłogę balkoniku kałuże światła w kształcie ptaków, Janda piło kawę wzmocnioną paanem i, leniwie unosząc palec, aby przewrócić stronę w wewnętrznej wizji, przeglądało gazety z całych Indii, od solnisk Kaćh po bengalskie sundarbany.

- Skarbie, jak chcesz być niebezpieczna, skoro nic nie czytasz?

Po południu, przy podwieczorku, Janda pisało teksty do swoich skandalizujących plotkarskich rubryk: kto co robi z kim, gdzie i dlaczego, jak często i ile razy i co przywoici ludzie powinni o tym myśleć. Wywiadów nigdy nie robiło. Rzeczywistość tylko przeszkadzała kreatywności.

- Oni to uwielbiają, dziecinko. Daje im powód, żeby się trochę nakręcić i polecieć do

prawników. U niektórych to pierwsze autentyczne emocje od lat.

Na początku trochę bałam się maleńkiego, małego Jandy, ciągle obserwującego, sprawdzającego, analizującego grubo poczernionymi oczyma, wyszukującego słabości na cel dla swego ostrego języka. Potem dostrzegłam potęgę jego wycinków, fragmentów i fiszek: tu bierzemy plotkę, tam szeptankę, tu podejrzenie i składamy z nich obraz świata. Zaczęłam sobie uświadamiać, że mogę to wykorzystać jako broń. Wiedza to potęga. Zatem, gdy sucha zima ustąpiła spragnionej wiosnie, a tytuły na ulicach zaczęły wykrzykiwać: BĘDZIE MONSUN CZY NIE BĘDZIE? i RADŹPUTANA SIĘ ODWADNIA, Janda pomogło mi skompletować obraz Salima Azada i jego korporacji. Przechodząc z sensacyjnych nagłówków na strony biznesowe, nauczyłam się rozpoznawać jego twarz w tytułach w rodzaju: AZAD PŁĄDRUJE GROBY KONKURENTÓW. SALIM AZAD: ODNOWICIEL DYNASTII. AZAD WATER W PROJEKCIE PIĘCIU RZEK. W rubryce towarzyskiej widziałam go na ślubach, przyjęciach i premierach. Widziałam, jak jeździ na nartach w Nepalu, chodzi po sklepach w Nowym Jorku i na wyścigach w Paryżu. W informacjach z giełd patrzyłam, jak wartość Azad Water pnie się w górę po nowych transakcjach, ogłoszeniu kolejnych inwestycji, upublicznieniu przejęć i wykupów. Nauczyłam się, w jakiej gustuje muzyce, restauracjach, krawcach, projektantach, gwiazdach filmowych i szybkich, szybkich samochodach. Potrafiłam podać nazwiska ludzi, którzy ręcznie szyli jego buty, napisali powieść leżącą na jego nocnym stoliku, którzy masowali mu głowę i wodzili stożkami kadzidełek po jego kregosłupie, którzy prowadzili jego prywatne tilt-jety i programowali roboty ochrony.

Pewnego dusznego, pełnego smogu wieczoru, gdy Janda zebrało thali z łakociami, którymi obdzielało mnie, kiedy pracowałam („Jedz, kochanie, jedz i działaj”), zauważyłam, że niskie słońce uwypukla dwa rzędy małych wypukłości po wewnętrznej stronie jego przedramienia. Przez całe życie widywałam je u Heera i od zawsze wiedziałam, że to tak samo esencja istoty neutka, jak jego brak organów płciowych, delikatne kości, długie dłonie i naga czaszka. W niskim, późnym świetle trochę mnie zaskoczyły, zdałam sobie bowiem sprawę, że nigdy nie zapytałam: „Do czego to jest?”.

- Do czego? Moja mała. - Janda klasnęło w delikatne dłonie. - Do miłości. Do seksu. Inaczej, po co byśmy nosili takie paskudne, brzydkie guzki? Każdy z nich powoduje w naszym mózgu inną reakcję chemiczną. Dotykamy się, skarbie. Gramy na sobie jak na instrumentach. Czujemy takie rzeczy, których ty nie byłabyś w stanie. Emocje, których nie umiałabyś nazwać, dla których jedyną nazwą jest samo ich przeżywanie. Odchodzimy w miejsce nie dla kobiet, nie dla mężczyzn. Dla neutków.

Odwróciło rękę nadgarstkiem do góry, tak że zsunął się z niej szeroki rękaw. W żółtym świetle doskonale było widać dwa rzędy pęcherzyków, jak od ukłuc komarów. Pomyślałam o fisharmonii w dawnym Pałacu Jodhrów, na której grywali muzycy, przebiegając palcami po przyciskach, a drugą ręką ściskając miechy. Można na tym zagrać dowolną melodię. Wzdrygnęłam się. Janda zobaczyło moją minę i schowało rękę w rękaw. Wtem, w gazecie przed moimi oczyma znalazłam uczucie, którego nie umiałam nazwać, dla którego jedyną nazwą było samo przeżywanie go. Sądziłam, że nikt nie wie o Salimie Azadzie więcej niż ja, zobaczyłam jednak podwójną rozkładówkę, na której otwierał wysadzone mosiężnymi guzami wrota do Jodhra Mahal, mego dawnego domu, domu, w którym jego ród zniszczył mój, pod tytułem krzyczącym: AZAD GRZEBIE PRZESZŁOŚĆ. KUPUJE PAŁAC RYWALI. Poniżej, Salim Azad stał między kolumnami naszego diwanu, osłaniając oczy przed słońcem, podczas gdy jego ludzie puszczały wysoko ponad blanki i wieżyczki, w gorące, żółte niebo, nasz latawiec w kształcie człowieka.

* * *

Jechałam malowanym słoniem przez różowe ulice Jaipuru, przebrana i umalowana jak bogini Radha, żona Kriszny. Przedemną kołysali się i chwiali muzycy, echo klarnetów i waltorni odbijało się od budynków. Wokół nich i pomiędzy nimi tańczyło Leel i tancerz-mężczyzna, w czerwieni, miecze błyskały i szczękały, wirowały spódnice, dzwoniły dzwoneczki. Za mną szło jeszcze dwanaście słoni o czołach wymalowanych w kolory święta Holi, z haudami zdobnymi w proporce i złote parasole. Nade mną robot-samolot ciągnął ogromne, lekkie jak babie lato transparenty z portretami Świętych Oblubieńców i błogosławieństwami. Młodzi ludzie i dzieci w czerwieni rysowali karmazynowe zawijasy świecami dymnymi i garściami rzucali w tłum kolorowy proszek. „Holi Hai! Holi Hai!”. Suleyra, rozparte obok mnie w złotej haudzie, machało do tłumu swoim fletem. Jaipur był jak nieskończony tunel pełen dźwięku: wiwaty ludzi, świąteczne okrzyki, trąbienie klaksonów fatfatów.

- I co, nie mówiłam, co ćuit, że trzeba czasem wychodzić z domu?

Dni w Hidzra Mahal do tego stopnia zlewały się ze sobą, że nie uświadomiłam sobie, że przez rok nie postawiłam nogi poza jego progami. I nagle Suleyra, organizator, trefniś, spec od imprez, przybiegło w podskokach do mojego pokoju, wycelowało we mnie swój flet i powiedziało:

- Skarbie, po prostu musisz zostać moją żoną.

Zdałam sobie sprawę, że chodzi o Holi, Święto Słoni. Zawsze je uwielbiałam, to najbardziej kolorowe i szalone ze świąt.

- Ale jeszcze ktoś mnie zobaczy...

- Baba, będziesz cała niebieska. Zresztą, nikt nie śmie dotknąć oblubienicy boga w dniu ślubu.

I tak oto, błękitna od stóp do głów, rozpierałam się na złotych poduszkach obok Suleyry, które planowało to wielkie święto od sześciu miesięcy, równie błękitnego. Nie dałoby się rozpoznać: człowiek to, mężczyzna, kobieta czy neutko. Miasto było gęste od ludzi, na ulicach upał, powietrze tak ciężkie od węglowodorowych spalin, że słonie musiały nosić gogle przeciw smogowi, a ja byłam tym wszystkim zachwycona. Wyszłam na wolność z Hidzra Mahal.

Machnięcie niebieskiej dłoni Suleyry/Kriszny uaktywniło chipy w czaszce słonia i skierowało go w lewo przez łukowatą bramę do Starego Miasta, pod grającą boogie orkiestrą i skaczącymi, zbrojnymi w miecze tancerzami. Tłumy przelały się przez podcienia na ulicę, dziesięcioma, dwudziestoma rzędami. Każdy balkon był pełen ludzi; kobiety i dzieci obrzucały nas kolorowymi papierkami. Przed nami widziałam podest z markizą. Orkiestra już maszerowała w miejscu, a Leel i jego partner wymieniali pozorowane ciosy.

- A kto tam siedzi? - zapytałam, nagle zaniepokojona.

- Najważniejszy z dygnitarzy - powiedziało Suleyra, przyjmując owacje tłumu. - Bardzo bogaty i potężny człowiek.

- Kto to, Suleyra? - zapytałam. Nagle pośród cuchnącego jaipurskiego skwaru zrobiło mi się zimno. - Kto to?

Tancerze i orkiestra poszli już dalej, teraz ich miejsce przed podestem zajął nasz słoń. Machnięcie fletem Suleyry-Kriszny: słoń okręcił się przodem do podwyższenia i zgiął kolana w dygnięciu. Wysoki, młody człowiek w radźputańskiej szacie z płomiennoczerwonym turbanem wstał, aby bić brawo, z twarzą promieniejącą zachwytem.

Znałam numer buta i znak zodiaku tego człowieka. Znałam krawca, który szył mu garnitur, i służącego, który zawijał mu turban. Wiedziałam o nim wszystko, oprócz tego, że będzie robił przegląd parady z okazji święta Holi. Spięłam się do skoku. Jeden cios; flet Suleyry-Kriszny wystarczyłby jako broń. Ale nie zrobiłam nic, bo w oczy rzuciło mi się coś jeszcze bardziej niewiarygodnego. Za Salimem Azadem, nachylone ku niemu, szepczące mu do ucha, stało Heer, z oczyma czarnymi jak obsydian w polaryzujących soczewkach.

Salim Azad klasnął radośnie w dłonie.

- Tak, ona, właśnie ona! Sprowadźcie mi ją do pałacu.

* * *

Wróciłam zatem z Pałacu Hidzrów do Pałacu Jodhrów, który był teraz Pałacem

Azadów. Przeszłam przez wielkie mosiężne wrota pod wysoką wieżą, z której po raz pierwszy spojrzałam na nocny Jaipur; razem ze stalową małpką, przeszłam przez główny dziedziniec. Srebrne słoje z wodą ze świętej Gangi nadal stały po obu stronach diwanu, skąd ojciec zarządzał swoim wodnym imperium. Pod spojrzeniami bogów i małp ze ścian, dzawani Azada wywlekli mnie z samochodu i nieśli, krzyczącą i wierzgającą, na górę do zenany.

- Tu zginął mój brat, moja matka, ojciec! - wrzeszczałam na nich, gdy ciągnęli mnie tym samym korytarzem, którym uciekłam rok temu.

Marmurowe podłogi były nieskazitelnie wypolerowane. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie widziałam krew. Kobiety ze świty oczekiwały mnie przed wejściem do zenany, mężczyznom nie było bowiem wolno wchodzić do tego pałacu, ja zaś frunęłam w powietrzu, kopałam je i biłam, wykorzystując wszystkie umiejętności, jakie dało mi Leel. Uciekły z krzykiem, ale dało to tylko tyle, że żołnierze trzymali mnie na muszce, dopóki nie przyszły domowe roboty. Mogłam sobie je kopać i bić pięścią do upojenia - na ich pancerzach z diamentowego włókna nie byłam w stanie zrobić choćby rysy.

Wieczorem sprowadzono mnie do Sali Rozmów, starego i przepięknego pomieszczenia, gdzie kobiety mogły rozmawiać i plotkować z mężczyznami przez przegradzającą całą salę delikatną kamienną dźgali. Salim Azad wszedł po wyglansowanym stopami marmurze. Był w tradycyjnym radźputańskim stroju. Pomyślałam, że wygląda nedorzecznie. Obok niego było Heer. Salim Azad chodził tam i z powrotem przez pięć minut, przyglądając mi się. Ja przycisnęłam się do dźali i próbowałam zgromić go wzrokiem.

Wreszcie się odezwał:

- Czy masz wszystko, czego ci potrzeba? Coś ci trzeba przynieść?

- Twoje serce na thali! - krzyknęłam.

Salim Azad cofnął się o krok.

- Przepraszam za to wszystko, to było konieczne... ale zrozum. Nie jesteś moim więźniem. Jesteśmy ostatni. Dość już śmierci. Ja widzę jeden sposób na zakończenie tej waśni: połączenie naszych rodów. Ale nie będę cię zmuszał, to byłoby... niekulturalne. Bezsensowne. Zapytam cię, a ty mi odpowiesz. - Podeszedł do kamiennego ażuru tak blisko jak mógł, nie wchodząc w zasięg moich ciosów silambam. - Padmini Jodhro, wyjdiesz za mnie?

To było tak absurdalne, głupie, puste i bezsensowne, że zszokowałam się niepomiarowo, czując, jak w głębi krtani formuje mi się słowo „tak”. Przełknęłam je, odrzuciłam głowę w tył i plunęłam na niego, obficie i daleko. Ślina trafiła w sztukaterię i ściekła po rzeźbionym kamieniu.

- Dla ciebie, morderco, mam tylko śmierć, rozumiesz?

- Ja i tak będę cię pytać każdego dnia, dopóki nie powiesz „tak” - odparł Salim Azad. Obrócił się i odszedł z rozwianymi szatami.

Heer, z dłońmi ukrytymi w rękawach i oczyma jak czarne kamyki, poszło za nim.

- I dla ciebie też, hidzro! - wrzasnęłam, wyciągając przez otwór w kamieniu zakrzywione szpony, żeby go chwycić i rozedrzeć. - Ty następny, zdrajco.

Tamtego wieczoru zastanawiałam się, czy nie zagłodzić się na śmierć, jak wielki Gandhidzi, gdy walczył z Brytyjczykami o wolność Indii i całe ich imperium ustąpiło jednemu wątłemu, chudemu, staremu człowiekowi. Wepchnęłam palce do gardła i zwymiotowałam odrobinę jedzenia, jaką wieczorem w siebie wmusiłam. Potem jednak uświadomiłam sobie, że jak będę wygłodzona i martwa, żadna będzie ze mnie broń. Dom Azadów pożegluje w przyszłość niczym nieniekochany. Jedynie to trzymało mnie przy życiu i przy zdrowych zmysłach przez pierwsze dni w zenanie - słowa ojca: „Jesteś bronią”. Trzeba było tylko odkryć, co to za broń.

W nocy przyszedł malutki sprzątaczk i wytarł wymiociny.

Stało się tak, jak powiedział. Co wieczór, gdy słońce dotykało blanków Fortu Nahargarh na wzgórzu ponad Jaipur, Salim Azad przychodził do Sali Rozmów. Opowiadał mi o historii swojej rodziny; wstecz o dwadzieścia pokoleń w Azji Środkowej, skąd przywiało ich na wielkie niziny Hindustanu, gdzie zbudowali imperium o niezrównanym bogactwie, elegancji i pięknie. Nie byli wojownikami ani władcami. Byli artystami i poetami, twórcami misternych, maleńkich miniatur i wierszy jak klejnoty w urdu, języku poetów. Kiedy Wielcy Mogołowie wzniesli forty, pałace i wdali się w krwawe wojny domowe, oni awansowali z nadwornych malarzy i poetów do roli doradców, potem wezyrów i chidmatgarów - i nie tylko u Mogołów, także u Radżputów, Marathów, a później Kompanii Wschodnioindyjskiej i Brytyjskiej Korony. Snuł przede mną opowieści o swych znakomitych przodkach i ich niesamowitych dokonaniach; o Aslamie, który przejechał pomiędzy armiami zwaśnionych cesarzy - ojca i syna, i uratował Pendżab; o Farranie, który przemycił miłosne listki od angielskiego gubernatora Hyderabadu do córki Nizama, czym omal nie zniszczył trzech królestw; o Shahu Hussainie, który razem z Gandhim walczył o Indie z Brytyjczykami, a potem Muhammad Ali Jinnah zwrócił się do niego o poparcie rozpadu państwa i utworzenia Pakistanu, ten zaś odmówił, choć jego rodzina niemal w całości zginęła w etnicznym holokauście, który nastąpił po Niepodległości. Opowiedział o Salimie Seniorze, swoim dziadku, założycielu dynastii, który przybył do Jaipuru, kiedy po raz pierwszy nie spadł monsun, w okropnym roku 2008, i zaczął budować na wsiach systemy odzyskiwania wody,

które przez dziesięciolecia rozrosły się do wielkiego wodnego imperium Azadów. Silni ludzie, trudne czasy, poruszające historie. I co wieczór, gdy słońce osuwało się za Fort Nahargarh, pytał: „Wyjdiesz za mnie?”. A ja co wieczór odtrącałam go bez słowa. Jednakże każdy kolejny wieczór, każda opowieść i każdy przodek stopniowo skruszały moje milczenie. Ci ludzie byli prawdziwi i tak żywi, jak moja własna rodzina. A teraz ich historie dobiegły końca. My dwoje byliśmy ostatni.

Próbowałam zadzwonić do Jandy z Hidzra Mahal, żeby znaleźć mądrość i pocieszenie u swoich siostró-braci, żeby się zorientować, czy wiedzą, dlaczego Heer mnie zdradził, ale przede wszystkim po to, by usłyszeć inny ludzki głos niż ten z telewizora i Salima Azada. Nie mogłam się połączyć. Biały szum: Salim kazał otoczyć moje mieszkanie polem zagłuszającym. Cisnęłam beużytecznym palmerem o wymalowaną ścianę i rozgniotłam go obcasem wysadzanego kamieniami pantofelka. Widziałam, jak przede mną ciągną się nieskończone wieczory. Salim będzie przychodził, codziennie, dopóki nie usłyszy upragnionej odpowiedzi. Ma tyle czasu, ile tylko zechce. Czy on zamierza mnie doprowadzić do szaleństwa, żebym się zgodziła?

Wyjść za niego. Tym razem nie odrzuciłam tej myśli. Obracałam ją, przyglądałam się jej, rozpatrywałam różne implikacje. Wyjść za niego. Tak można wydostać się z tej marmurowej klatki.

* * *

W południe, w samym szczycie upału, postać w obfitej szacie pośpiesznie weszła chłodnym korytarzem do zenany. Heer. Wezwałam je. Ponieważ nie było mężczyzną, wolno mu było tu wchodzić, jak eunuchom w czasach Radżputów. Nie bało się umiejętności, które dało mi Leel. Wiedziało. Złożyło dłonie w namaste.

- Czemu mi to zrobiłoś?

- Memsahb, zawsze byłem i nadal jestem oddanym sługą Domu Jodhrów.

- Wydałś mnie w ręce wrogów.

- Padmini, uratowałam cię z rąk wrogów. Inaczej nie byłoby końca tej głupiej, bezsensownej, krwawej wendetcie. Padmini, możesz zostać jego współniczką. Posłuchaj, co mówię: będziesz więcej niż żoną. Azad Jodhra. Nazwa, którą będą znać całe Indie.

- Jodhra Azad.

Heer zacisnęło różane usteczka.

- Oj, Padmini, Padmini, ta twoja duma.

I wyszło, choć go nie odprawiłam.

Tego wieczoru, o błękitnej, magicznej godzinie, Salim Azad znów przyszedł do

zenany, jak kontur cieni po drugiej stronie dżali. Zobaczyłam, jak otwiera usta. Przyłożyłam palec do swoich.

- Pst. Nic nie mów. Teraz moja kolej. Opowiem ci moją historię, historię rodu Jodhrów.

I opowiadałam, przez sto jeden nocy, jak w starej muzułmańskiej księdze, usadowiona na poduszkach przy samej dżali, szeptałam Salimowi Azadowi w pięknym radźputańskim stroju wspaniałe historie o szalonych szarżach kawalerii kszatrijów, oblężeniach potężnych fortec z tysiącem dział, o przystojnych książętach z dumnymi wąsiskami, o śmiałych ucieczkach przebranych księżniczek, spuszcanych w koszykach z wysokich murów, o księstwach upadających po stracie bierki szachowej, o szkolonych w Sandhurst oficerach sowarów, bardziej angielskich niż sami Anglicy, o nalotach kawalerii powietrznej na kaszmirskich powstańców i odważnych atakach antyterrorystycznych; o wielkich meczach polo i wystawnych durbarach z setką słoni, o człowieku-ptaku-słońcu Jodhrów płynącym po niebie ponad Jaipurem, który od tysiąca lat był naszym miastem. Przez sto jeden nocy rzucałam nań zaklęcia, jakich nauczyły mnie neutki z Hidźra Mahal, a sto pierwszej nocy powiedziałam:

- Zapomniałeś o czymś.
- O czym?
- Zapytać, czy za ciebie wyjdę.

Drgnął, potem pokręcił z niedowierzaniem głową i uśmiechnął się. Miał bardzo ładne zęby.

- Więc wyjdiesz za mnie?
- Tak - odpowiedziałam. - Tak.

* * *

Termin wyznaczono za trzy tygodnie. Sul zawyrokowało, że to najbardziej pomyślny dzień na ślub łączący dynastie. Do organizacji ceremonii zatrudniono Suleyrę: najpierw obrządek muzułmański, potem hinduski. Jandę poproszono, by, korzystając ze swej ogromnej wiedzy o celebrytkach i celebrytach, zaprosiło całe Indie na zjednoczenie rodów Azad i Jodhra. „To ślub dziesięciolecia”, wykrzykiwało potem w swych plotkarskich rubrykach, „macie się pojawić, bo was obsmaruję”. Poczyniono zmiany w kalendarzach ludzi wielkich i sławnych, *aeai*-gwiazdy telenowel przygotowywały na ślub awatary, podobnie żywe gwiazdy, które akurat musiały przebywać poza subkontynentem. Z osłoniętych dżharok zenany patrzyłam, jak Salim rozkazuje z dziedzińca swoim ludziom i maszynom, posyłając architektów tu, projektantów tkanin tam, pirotechników owam. Wzniosły się namioty i

pawilony, przydzielono miejsca, rząd za rzędem, ułożono dywany, wyrysowano w piasku wzory do zniszczenia przez orszak słoni. Roboty ochrony krążyły między padlinożernymi czarnymi kaniami, kamery trzepotały jak nietoperze nad dziedzińcem, szukając punktów do dobrych ujęć. Salim, czując na sobie mój wzrok, unosił głowę, uśmiechał się, unosił dłoń w nieznacznym pozdrowieniu. Odwracałam wzrok, nagle onieśmielona panna młoda. Ślub miał być tradycyjny, radźputański. Miałam ukazać się spod welonu tylko oczom swojego męża. Przez te trzy tygodnie zenana już nie była marmurową klatką, lecz jajem, z którego miałam się wykluć. Jako co? Potęgą, niewyobrażalne bogactwo, małżeństwo z człowiekiem, który dotąd był moim wrogiem. Wciąż nie wiedziałam: kocham go czy nie. Ciągłe widywałam cienie-duchy na marmurze, w miejscach, gdzie jego rodzina zniszczyła moją. On zaś co noc przychodził i czytał mi poezje w urdu, z których nic nie rozumiałam. Uśmiechałam się, śmiałam, ale wciąż nie byłam pewna, czy to, co czuję, to miłość, czy po prostu rozpaczliwe pragnienie wolności. Rano w dzień ślubu nadal w to wątpiłam.

O świcie przyszły kobiety, żeby mnie wykapać, odziać w weselną żółcień, ułożyć mi włosy, umalować twarz i namaścić pastą z kurkumy. Obwiesiły mnie klejnotami i naszyjnikami, pierścieniami i bransoletami. Spryskały drogimi francuskimi perfumami, życzyły szczęścia i udzieliły wielu rad. Potem rozwarły wysadzane mosiądzem drzwi zenany i, eskortowane przez robocią pałacową straż, poprowadziły mnie korytarzami i schodami na główny dziedziniec. Przedemną Leel tańczyło i fikało koziołki: żadne wesele nie może się obyć bez hidzry, neutka.

Zaproszono całe Indie i całe Indie stawily się, czy to we własnej osobie, czy to w awatarze. Ludzie wstali do owacji. Kamery unosiły się na śmigielkach w osłonach. Moje neutki, moja rodzina z Hidzra Mahal, dostała miejsca na końcach rzędów.

- Jak mogłoby poprawić coś, co już jest doskonałe? - powiedziało Dahin, doktor od twarzy, gdy moje bosc stopy stapały po różanych płatkach ku podium.

- To okno, to wesele! - powiedziało Sul. - I módlmy się do bogów o bardzo starą i mądrą wdowę, za wiele, wiele dziesięcioleci.

- Oprawa jest niczym bez klejnotu! - wykrzyknęło Suleyra, Organizator Imprezy, rzucając w powietrze różowe płatki.

Czekałam z druhami pod markizą, podczas gdy orszak Salima szedł przez dziedziniec z męskiej części domu. Za nimi jechał pan młody, na śnieżnobiałym koniu, wzbijającym kopytami płatki róż. Mułła zaprosił Salima na podium. Kamery zawirowały, szukając ładnych ujęć. Zauważyłam, że na wszystkich gzysmach i wszystkich rzeźbach tłoczą się małpy - żywe i mechaniczne. Patrzyły. Mułła zapytał mnie uroczyście, czy chcę zostać żoną Salima Azada.

- Tak - odpowiedziałam, jak owej nocy, kiedy pierwszy raz przyjąłem jego propozycję.
- Tak, chcę.

Zadał Salimowi to samo pytanie, a potem przeczytał ze Świętego Koranu. Wymieniliśmy się kontraktami, druhny i druzbowie złożyli podpisy świadków. Mułła podał srebrną tacę ze słodyczami. Salim wziął z niej jakiś łać, uniósł mój welon i położył mi go na języku. Wtedy mułła wsunął nam na palce obrączki i ogłosił nas mężem i żoną. Tak oto zjednoczyły się dwa zwaśnione rody, a goście wstali z miejsc, wiwatując. Nad całym Jaipurem eksplodowały weselne fajerwerki i petardy, miasto zaś odpowiedziało ścianą dźwięku samochodowych klaksonów. Wreszcie pokój na ulicach. Kiedy udawaliśmy się na przyjęcie do długich, chłodnych pawilonów, próbowałam złapać kontakt wzrokowy z Heerem, kroczącym tuż za Salimem. Ręce miało schowane w rękawach szaty, głowę wysuniętą do przodu, usta zaciśnięte. Przywiodło mi na myśl wyczekującego sępa.

Usiedliśmy obok siebie na złotych poduszkach, u szczytu długiego, niskiego stołu. Znakomici goście zajęli miejsca, zsuwając włoskie buty, krzyżując nogi i odgarniając kosztowne suknie z Delhi, a kelnerzy przynosili ogromne thali z weselnym jedzeniem. Na wychodzącym na diwan balkonie zagrali muzycy, radźputańską melodię starszą niż cały Jaipur. Klasnęłam w dłonie. Wychowałam się przy niej. Salim rozparł się na poduszcze.

- Popatrz.

Spojrzałam, gdzie wskazał. Mężczyźni wypuszczali w powietrze wielkiego człowieka-ptaka-słońce Jodhrów. Patrzyłam, jak podskakuje i opada w kapryśnym wietrze nad dziedzińcem, potem silniejszy powiew niesie go wysoko w błękitne niebo. Goście znowu zawołali „ooooo”.

- Dzięki tobie jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie - powiedział Salim.

Uniosłam welon, nachyliłam się i pocałowałam go w usta. Spojrzenia wszystkich przy długim stole zwróciły się ku mnie. Wszyscy się uśmiechali. Niektórzy klaskali.

Salim wytrzeszczył oczy. Nagle pociekły z nich łzy. Otarł je dłońmi, a kiedy je odsunął, powieki były dwoma napuchniętymi pęcherzami skóry. Nie mógł otworzyć oczu. Usiłował coś powiedzieć, ale usta miał opuchnięte, popękane, spływające krwią i ropą. Próbował wstać, odepchnąć mnie. Nic nie widział, nie mógł mówić, nie mógł oddychać. Dłonie szarpały kołnierzyk wyszywanego złotem szerwani.

- Salim! - krzyknęłam.

Leel już zerwało się na nogi, szybciej niż wszyscy zaproszeni lekarze i chirurdzy, właśnie wstający od stołów. Salim wydał wąty, piskliwy jęk, jedyne, co był w stanie wydobyć z opuchniętej krtani. Potem zwałił się na zastawiony stół.

Pawilon wypełnił się rozwrzeszczanymi gośćmi, krzyczącymi do palmerów lekarzami i ochroną odgradzającą cały teren kordonem. Stałam jak motyl, w moim makijażu, ślubnej biżuterii i sukni, a wokół Salima tłoczyli się doktorzy. Twarz miał jak rozpęknięty melon, napiętą bańkę czerwonego mięsa. Odpędziłam dłonią wścibską kamerkę. Tyle mogłam zrobić. Pamiętam, że potem Leel i reszta neutków wyprowadziły mnie na dziedziniec, gdzie siadał tilt-jet, wznecając silnikami perfumowaną zamieć różanych płatków. Sanitariusze wywieźli Salima z pawilonu na noszach. Na twarzy miał maskę tlenową. W ramiona wbite kroplówki. Ochroniarze w rozpraszających światło pancierzach odpychali na bok sławy i gwiazdy. Szamotałam się z Leelem, gdy ładowali Salima do tilt-jeta, lecz trzymało mnie swoją osobliwą, suchą siłą.

- Puszczaj, puszczaj, to mój mąż...

- Padmini, Padmini, nic nie poradzisz.

- Jak to?

- Padmini, on nie żyje. Twój mąż Salim nie żyje.

Równie dobrze mogło powiedzieć, że księżyc jest wielką myszą.

- Wstrząs anafilaktyczny. Znasz taki termin?

- Nie żyje? - powtórzyłam cicho.

I popędziłam przez dziedziniec ku odpalającemu silniki tilt-jetowi. Chciałam zanurkować pod ich dysze. Niech rozwieją mnie jak te płatki róż. Ochroniarze podbiegli, by mnie powstrzymać, pierwsze było jednak Leel. Poczułam na ramieniu ukłucie dozownika i wszystko złagodniało, gdy w ciele rozszedł się uspokajający środek.

* * *

Po trzech tygodniach wezwałam do siebie Heera. W pierwszym tygodniu roboty ochrony trzymały mnie z powrotem pod kluczem w zenanie, a prawnicy się spierali. Większość tego czasu byłam nie do życia, na wpół pogrążona w żalu, na wpół obłąkana po tym, co się stało. Jeden pocałunek. Wdowa chwilę po ślubie. Opiekowało się mną Leel; prawnicy i sędziowie ustalili prawne skutki. Byłam jedyną i prawomocną spadkobierczynią korporacji Azad-Jodhra Water. W drugim tygodniu godziłam się ze swoim dziedzictwem: największą firmą wodną w Radżputanie, trzecią co do wielkości w całych Indiach. Trzeba było podpisywać umowy, spotykać się z menedżerami i dyrektorami, omawiać szczegóły transakcji. W trzecim tygodniu wszystkim im odmawiałam, to miał być mój tydzień, tydzień, w którym zrozumieć, co straciłam. I zrozumiałam: co uczyniłam, jak, i czym byłam. Wtedy byłam gotowa na rozmowę z Heerem.

Spotkaliśmy się w diwanie, pomiędzy wielkimi, srebrnymi słojami, które Salim,

oddany swej nowej tradycji, kazał nadal napelniać świętą gangeską wodą. Stróżujące małpy obserwowały nas z dachów. Moje małpy. Mój diwan. Mój pałac. Moja firma, już moja. Heer skrywało dłonie w rękawach. Oczy miało jak czarny marmur. Ja nosiłam wdowią biel - wdowa w wieku piętnastu lat.

- Od dawna to planowałeś?
- Kiedy cię jeszcze nie było na świecie. Kiedy jeszcze nie zostałeś poczęta.
- Od zawsze miałam poślubić Salima Azada.
- Tak.
- I zabić go.
- Nie byłabyś w stanie tego nie zrobić. Tak zostałeś skonstruowana.

„Zawsze pamiętaj”, mówił mój ojciec, właśnie tutaj, w chłodnym cieniu kolumn, „jesteś bronią”. Bronią skrytą głębiej, subtelniejszą, niż byłam sobie w stanie wyobrazić, niewidoczną nawet dla medycznych machin Dahina. Bronią zaszytą w samym DNA: od poczęcia pomyślaną tak, by spowodować u kogokolwiek z rodziny Azadów śmiertelną reakcję alergiczną. Skrytobójczyni każdą komórką ciała, każdym porcem i włoskiem, każdym pyłkiem złuszczonego naskórka.

Zabiłam ukochanego jednym pocałunkiem.

Poczułam, jak wzbiera we mnie ogromne, rozdygotane westchnienie, którego nigdy, przenigdy nie mogę z siebie wydać.

- Nazwałam cię zdrajcą, kiedy powiedziałeś, że zawsze byłeś oddanym sługą Domu Jodhrów.

- Jestem, byłem i zawsze będę, jeśli Bóg pozwoli. - Heer pochyliło bezwłosą głowę w płytkim ukłonie. Potem powiedział: - Kiedy stajesz się jednym z nas, kiedy Odchodzisz, zostawiasz tak wiele rzeczy, rodzinę, nadzieję na dzieci... Wy jesteście moją rodziną, moimi dziećmi. Wszyscy, ale ty, Padmini, przede wszystkim. Zrobiłam dla swojej rodziny to, co musiałam, a teraz, ty przetrwałaś, wszystko to, co ci się słusznie należało, z mocy prawa jest twoje. My, Padmini, długo nie żyjemy. Nasze życie jest zbyt intensywne, jaskrawe, mocne. Zbyt głęboka to ingerencja. Wypalamy się szybko. Musiałam najpierw zobaczyć, że moja rodzina jest bezpieczna, że moja córka triumfuje.

- Heer...

Uniosło dłoń, odwróciło wzrok. Wydało mi się, że widzę srebro w kąciakach tych czarnych oczu.

- Weź w posiadanie ten pałac, tę firmę, to wszystko jest twoje.

Tego wieczoru wymknęłam się swoim pracownikom i ochronie. Weszłam

marmurowymi schodami do długiego korytarza, gdzie miałam swój pokój, zanim stałam się kobietą, żoną, wdową, właścicielką wielkiej korporacji. Drzwi odblokowały się na mój odcisk palca; otworzyłam je i weszłam w wirujący w złotym świetle kurz. Łóżko nadal było posłane, moskitiery elegancko związane. Poszłam na balkon. Spodziewałam się, że pnącza i winorośl zarosły go dżunglą, lecz z osłupieniem uświadomiłam sobie, że odkąd tu spałam minął zaledwie rok. Wciąż dostrzegałam uchwyty dla rąk i nóg, po których wspierałam się, idąc za stalową małą na dach. Dziś miałam łatwiejszą drogę. Drzwi na końcu korytarza, kiedyś dla mnie zamknięte, teraz prowadziły na klatkę schodową. Gdy weszłam na dach, robotywartownicy natychmiast podskoczyły, uniosły kaptury, uzbroiły strzałkowce. Mudra dłonią przełączyła je z powrotem w tryb obserwacyjny.

Po raz wtóry szłam pomiędzy kopułami i wieżyczkami, na balkonik na samym szczycie pałacowego frontonu. I po raz wtóry Jaipur u moich bosych stóp zapierał mi dech w piersiach. Różowe miasto pełgało i płonęło niskim wieczornym słońcem. Ulice ciągle szumiały autami; czułam gorący tłuszcz i przyprawy z bazaru. Wiedziałam teraz, gdzie w płątaninie ulic i kamienic szukać kopuł Hidzra Mahal. Tarcze, półkopuły i przypory Jantar Mantar rzucały na siebie nawzajem ogromne cienie, istny labirynt zegarów. Wtedy odwróciłam się ku szklanej szabli siedziby Azada - teraz mojej siedziby, mojego pałacu, tak samo jak ta stara, martwa, radżputańska rudera. Zburzyłam tamten dom, ale nie tak, jak sobie wyobrażałam. Pragnęłam przeprosić Salima, tak jak on mnie przeproszał, za to co zrobiła jego rodzina, przeproszał każdego wieczoru, kiedy pojawiał się w zenanie. Zawsze mi mówili, że jestem bronią. Myślałam, że muszę nią zostać, nie przyszło mi do głowy, że już ją ze mnie zrobili.

Jakże łatwo byłoby zrobić krok nad ulicę, odejść od tego wszystkiego. Niech się skończą Azad i Jodhra. Pozbawić Heera jego zwycięstwa. Wtedy zobaczyłam, jak upierścienione palce moich stóp zawijają się na krawędzi, i już wiedziałam, że nie mogę, że nie wolno mi. Uniosłam wzrok i na skraju pola widzenia, pod samym czerwonym horyzontem, dostrzegłam ciemną linię. Monsun, wreszcie przychodzi monsun. Rodzina zrobiła ze mnie broń, ale druga rodzina, czuła, zwariowana, smutna i utalentowana rodzina neutków, nauczyła mnie, przeróżnymi swoimi sposobami, jak zmienić się w całkiem inną broń. Ulice są suche, ale nadciąga deszcz. A ja panuję nad zbiornikami, kanałami, pompami i rurami. Jestem Maharani Monsunu. Niedługo będę ludziom potrzebna. Wzięłam głęboki wdech i wyobraziłam sobie, że już czuję zapach deszczu. A potem odwróciłam się i zesłam pomiędzy oczekującymi robotami do swego królestwa.

KAWALER NA WYDANIU

Robot robi Jasbirowi najbielsze zęby w całym Delhi. To precyzyjny i przerażający zabieg z wykorzystaniem chromowanej stali i piszczących, wirujących ściernych końcówek. Jasbir wytrzeszcza oczy, gdy pajęcze ramiona robota rozkwitają mu przed twarzą całym arsenałem broni, jak demon radykalnej stomatologii. Przeczytał o Klinice Stomatologii Estetycznej (Higienicznej, Szybkiej i Nowoczesnej) w lutowym numerze „Shaadi”, magazynu dla kawalerów na wydaniu. Na rozkładówce nie pokazali niczego, co przypominałoby te drgające mu w ustach owadzie odnóża. Chciałby zapytać precyzyjną i skromną pielęgniarzkę (mężatka, oczywiście), czy to tak ma być, ale usta ma pełne zacisków, a zresztą, kawaler na wydaniu nigdy nie okazuje strachu. Zamyka jednak oczy, kiedy robot wyciąga narzędzie i wirująca stal styka się z emalią.

Teraz najbielsze zęby w Delhi przebijają się przez uliczny młyn w klekocącym fatfacie. Ma wrażenie, że opromienia całe miasto. Najbielsze zęby, najczarniejsze włosy, najgładsza skóra i idealnie wyregulowane brwi. Paznokcie też ma piękne. Manikiurzysta przychodzi do siedziby Ministerstwa Wody, bo tak wielu urzędników bierze udział w wieczorach *saadi*. Jasbir zauważa, że kierowca zerka na jego oślepiający uśmiech. On wie; wiedzą wszyscy ludzie na Mathura Road, całe Delhi wie, że co wieczór jest wieczór wielkich łowów.

Na peronie stacji metra Cashmere Café, pomiędzy nogami pasażerów biegają i krzyczą policyjne małpy z wszczepionymi chipami, przeganiając żebrzące, szarpiące ludzi, kradnące drobiazgi makaki, które są plagą tuneli metra. Falą brązowej sierści przelewają się przez krawędź peronu do swoich nor i kryjówek, kiedy na stację wślizguje się automatyczny pociąg. Jasbir zawsze staje tuż przy części tylko dla kobiet. Zawsze jest jakaś szansa, że któraś z nich będzie bała się małp - bo one gryzą - i będzie miał okazję wykazać się Spontaniczną Rycerskością. Kobiety starannie unikają spojrzeń, słów, jakichkolwiek oznak zainteresowania, ale prawdziwy kawaler na wydaniu nie przeoczy żadnej szansy kontaktu. Na przykład, ta kobieta w biznesowym kostiumie - zakiecie z modną talią osy i niskich biodrówkach - czy nie oszołomił jej na moment blask jego białych, białych zębów?

- To robota robota, proszę pani! - woła Jasbir, kiedy upychacz wciska go do pociągu do Barwali o 18.08. - Stomatologia przyszłości.

Drzwi się zamykają, ale Jasbir Dayal wie, że jest białozębym Bogiem Miłości i na dzisiejszym wieczorze *śaadi* wreszcie znajdzie sobie wymarzoną żonę.

* * *

Ekonomiści przytaczają na wykładach indyjski kryzys demograficzny jako elegancki przykład, w którym zawiódł rynek. Jego nasiono kiełkowało już w zeszłym stuleciu, zanim Indie stały się gospodarczym Tygrysem Tygrysów, zanim polityczna rywalizacja i zawiść rozbiły je na dwanaście konkurencyjnych państw. „Ładny chłopak” - tak to się zaczęło. „Zdrowy, silny, przystojny, wykształcony, odnoszący sukcesy syn, który się ożeni, wychowa dzieci i zajmie się nami na starość”. Marzenie każdej matki, duma każdego ojca. Pomnożyć przez trzysta milionów kształtującej się indyjskiej klasy średniej. Podzielić przez możliwość rozpoznawania płci w łonie matki. Dodać selektywną aborcję. Przejechać dwadzieścia pięć lat wzdłuż osi x, biorąc poprawkę na wyrafinowane, XXI-wieczne techniki, w rodzaju tanich i skutecznych plastrów hormonalnych, zapewniających, że poczęty zostanie syn - i oto mamy wielki i potężny Awadh, jego starożytną stolicę Delhi o dwudziestu milionach mieszkańców i klasę średnią, w której mężczyzn jest cztery razy więcej niż kobiet. Fiasko rynku. Interesowność poszczególnych osobników szkodzi społeczeństwu jako całości. Dla ekonomistów to elegancki *casus*; dla zdrowych, silnych, przystojnych, wykształconych, odnoszących sukcesy młodzieńców w rodzaju Jasbira, złapanych w pułapkę żeńskiej posuchy, to katastrofa.

Wieczory *śaadi* mają swój rytuał. Pierwsza część polega na tym, że Jasbir siedzi godzinami w łazience, słuchając zbyt głośno muzyki i zużywając zbyt dużo drogiej wody, podczas gdy Sujay puka, zostawia pod drzwiami ogromne filiżanki herbaty, prasuje Jasbirowi kołnierzyki i starannie usuwa z marynarki włosy pozostawione podczas poprzednich wieczorów. Sujay jest współlokatorem Jasbira w rządowym mieszkaniu w osiedlu Acacia Bungalow Colony. Pracuje jako projektant postaci w awadhskiej wersji *Miasta i wsi*, telenoweli generowanej przez *aeai* w Bharacie, u sąsiadów i rywali. Podbija ona teraz cały świat. Sujay zajmuje się statystami, projektuje dla nich nowe powłoki i narzuca je na surowy kod z Varanasi. Jahzay Productions to firma nowego typu, co oznacza, że Sujay większość pracy wykonuje, siedząc na werandzie z nowomodnym lighthoekiem za uchem i kreśląc rękoma w powietrzu piękne i niewidzialne wzory. Dla uwięzowanego do biura Jasbira, który musi w każdą stronę dojeżdżać przez dziewięćdziesiąt minut trzema środkami transportu, to właściwie jakby nic nie robił. Sujay jest mało rozmowny, włochaty, nie za często się goli i nie za często myje swoje zbyt długie włosy, ale jest wrażliwą duszą i za luksusową możliwość siedzenia przez cały dzień w chłodnym cieniu i machania rękoma odpłaca się, wykonując

prace domowe. Sprząta, porządkuje, pierze. Znakomicie gotuje. Jest tak dobry, że Jasbir nie potrzebuje pomocy domowej, co w drogim osiedlu Acacia Bungalow Colony jest bardzo pożądaną oszczędnością. Cała społeczność plotkuje na ten temat. Właściwie wszystko, co się dzieje pod numerem dwadzieścia siedem, jest tematem plotek przy ogrodowych zraszaczach, bo Acacia Bungalow Colony to strzeżone osiedle dla wysokiej klasy specjalistów z rodzinami.

Druga część rytuału to ubieranie. Sujay ubiera Jasbira jak kamerdyner przygotowujący mogolskiego władcę do bitwy. Wtyka spinki w mankiety i ustawia je pod właściwym kątem. Poprawia kołnierzyk. Ogląda go ze wszystkich stron, jakby patrzył na świeżo wcieloną jedną ze swych postaci. Tu strzepnie płatek łupieżu, tam każe wyprostować zgarbione od siedzenia za biurkiem plecy. Powącha oddech i sprawdzi, czy w zębach nie został szpinak z obiadu, albo coś gorszego.

- I co o nich sądzisz? - pyta Jasbir.

- No białe są - burczy Sujay.

Trzecia część rytuału to odprawa. Gdy czekają na fatfata, Sujay streszcza Jasbirowi nadchodzące zwroty akcji w *Mieście i wsi*. To jego podstawowy chwyt konwersacyjny i przewaga nad śmiertelnymi rywalami: plotki z serialu. Wie z doświadczenia, że kobiety naprawdę pragną plotek z metaseriału, czyli nie mniej fikcyjnego niż samo *Miasto i wieś* życia, ślubów i kłótni aktorów *aeai*, którzy wierzą, że grają w serialu role.

- Aj tam - mówi zawsze Sujay. - Od tego jest inny dział.

Trąbią klaksony fatfata. Poruszają się zasłony, jutro będą skargi, że budzi się dzieci, które muszą rano wstać do szkoły. Jednakże Jasbir, wylizany, wyglansowany, jest gotowy na *śaadi*. I uzbrojony w plotki z serialu. Jak może mu się nie udać?

- A. Bym zapomniał - mówi Sujay, otwierając drzwi Bogu Miłości. - Twój ojciec zostawił wiadomość. Chce się spotkać.

* * *

- Wzięłeś kogo?

Gniewną ripostę Jasbira tłumią krzyki braci siedzących w salonie, gdy piłka do krykieta w podskokach przetacza się za linę na stadionie Jawaharlala Nehru. Ojciec nachyla się bliżej, konfidencjonalnie, nad małym kuchennym stołem o blaszanym blacie. Anant zdejmuje czajnik z ognia, żeby móc podsłuchać. Jest najpowolniejszą i najbardziej niezręczną pomocą domową w całym Delhi, ale wyrzucenie jej równałoby się skazaniu starej kobiety na ulicę. Człapie po kuchni Dayalów jak bawół, udając, że nie jest zainteresowana.

- Swata. To nie mój pomysł, naprawdę nie mój, to jej. - Ojciec Jasbira kiwa głową ku

otwartym drzwiom do salonu.

Za nimi, usadowiona na sofie jak na tronie, między nienadającymi się do żeniaczki synami, matka Jasbira ogląda testowy mecz na smartsilkowym ekranie na ścianie, kupionym przez Jasmina po pierwszej urzędniczej wypłacie. Kiedy Jasbir wyniósł się z maleńkiego, cuchnącego ghi mieszkanca na Nabi Karim Road do odległej elegancji Acacia Bungalow Colony, pani Dayal scedowała wszystkie negocjacje ze swoim zbłąkanym synem na męża.

- Znalazła takiego dość szczególnego swata.

- Zaraz, zaraz, zaraz. Jak to, szczególnego?

Ojciec się wije. Anant bardzo długo zajmuje wytarcie filiżanki.

- No wiesz, kiedyś ludzie chodzili do hidżry... więc to jest to samo, tylko trochę unowocześnione, dwudziesty pierwszy wiek i w ogóle, więc tego... znalazła neutko.

Brzęk filiżanki trafiającej w stalową osuszarke.

- Neutko? - syczy Jasbir.

- Zna się na kontraktach. Zna się na zachowaniu i protokole. Wie, czego chcą kobiety. Chyba sam kiedyś był kobietą, na moje oko.

Anant wrywa się „ojoj”, ciche i bezwiedne jak pierdnięcie.

- „Było”. O nich się mówi per „ono” - mówi Jasbir. - I nie są podobne do dawnych hidżrów. Nie są facetami, którzy zostali kobietami, ani odwrotnie. Ani tym, ani tym.

- Neutki, ni to, ni sio, ono, ona, on - wszystko jedno; przecież i tak nie mam szans na herbatkę z przyszłymi teściami, a co dopiero na ogłoszenie w części ślubnej „Times of Awadh”! - woła pani Dayal, przekrzykując bulgotanie komentarza do drugiego dnia meczu Awadh-Chiny.

Jasbir się krzywi. Krytyka rodziców, jak skaleczenie papierem, potrafi być bardzo subtelna i bardzo bolesna.

W klubie Haryana Polo and Country pogoda była taka: ulewa mężczyzn, grad mężczyzn, zamieć mężczyzn. Mężczyzn dobrze ubranych, mężczyzn z kasą, uroczych, przystojnych, ufryzowanych i wypudrowanych, mężczyzn z perspektywami wyeksponowanymi w ich matrymonialnych życiorysach. Jasbir większość znał z widzenia. Z częścią był nawet po imieniu, a paru przeszło z kategorii rywali do kategorii kumpli.

- Jakie zęby! - Okrzyk, kiwnięcie głową, machnięcie złożonymi w pistolet palcami. Przy barze. Rozpierał się tam Kishore, nonszalancki chudzielec udrapowany jak pasmo jedwabiu na mahoniu z epoki Radżu. - Skąd je wytrzasnąłeś, badmasiu? - Był dawnym kolegą ze studiów, oddanym kosztownym i rzucającym się w oczy rozrywkom, typu wyścigi konne w Delhi Jockey Club albo jeżdżenie na nartach, tam gdzie w Himalajach zostało jeszcze

trochę śniegu. A teraz siedział „w finansach” i twierdził, że był już na pięciuset *śaadi* i oświadczył się setce kobiet. Ale, kiedy miał już ją na haczyku, szarpiącą się, to ją puszczał. „Oj, płacze, groźby, telefony od wściekłych ojców i gniewnych braci. Na tym gra polega, nie?”. Kishore kontynuuje: - A słyszałeś? Dzisiejszy wieczór należy do Deependry. Właśnie tak. Przepowiedziane przez astrologa *aeai*. To wszystko zapisane w gwiazdach i na twoim palmerze.

Deependra, spięty, drobny facet, podobnie jak Jasbir był urzędnikiem w Ministerstwie Wody, zarządzającym innym zespołem roboczym za inną szklaną ścianką. On - Strumienie i Cieki Wodne, Jasbir - Zbiorniki i Tamy. Od trzech *śaadi* pielęgnował fantazję o kobiecie, z którą wymienił się adresami palmerów. Najpierw miał to być telefon, potem już randka. A teraz oświadczyły.

- Rahu jest w czwartym domu, Saturn w siódmym - powiedział smętnie Deependra. - Nasze oczy się spotkają, ona kiwnie głową. Nic więcej. Następnego dnia rano zadzwoni do mnie i pozamiatane. Poprosiłbym cię na drużbę, ale już obiecałem wszystkim braciom i kuzynom. To jest zapisane. Wierście mi.

Jasbir nieustająco zachodzi w głowę, jak człowiek w dzień zajmujący się precyzyjną i płynną księgowością wieczorem zdaje się w kwestiach życia i miłości na astrologiczną sztuczną inteligencję, tłuczoną w milionach sztuk.

Nepalski *chidmatgar* stuknął laską o parkiet do tańca z egzotycznego drewna. Kawalerowie na wydaniu poprawili kołnierzyki, rękawy, wyrównali spinki w mankietach. Po tej stronie podwójnych mahoniowych drzwi byli kumplami i przyjaciółmi. Po drugiej konkurentami.

- Panowie, szanowni klienci agencji matrymonialnej Piękna Dziewczyna, proszę powitać i uhonorować begum Rezzak oraz jej Piękne Dziewczyny!

Dwóch asystentów otworzyło przesuwne okna wychodzące na boisko do polo. Czekają tam piękne dziewczyny, w sari, klejnotach, złocie i hennie (agencja Piękna Dziewczyna była bardzo szacowną i tradycyjną instytucją). Jasbir sprawdził rozpiskę - pięć minut na klientkę, może mniej, w żadnym razie nie więcej. Wziął głęboki oddech i uruchomił swój uśmiech za tysiąc rupii. Pora znaleźć żonę.

* * *

- Myślicie, że nie wiem, co se tam mrużycie! - woła pani Dayal nad przypominającym mantrę gadaniem komentatora, Harshy'ego Bhogle'a. - Już z nim rozmawiałam. Neutko załatwi sprawę za dużo mniej, niż ty wyrzucasz na te swoje agencje *śaadi*, bazy danych i inne bzdury. Tak właśnie, neutko znajdzie kandydatkę i raz, dwa, trzy

będzie po sprawie.

Na meczu wybucha krótka owacja.

- Ja ci powiem, jaki masz problem: jak dziewczyna widzi, że dwaj mężczyźni mieszkają razem, to różne rzeczy przychodzą jej do głowy - szepcze Dadadzi.

Anant w końcu stawia dwie filiżanki z herbatą i wywraca oczyma.

- Już z nim rozmawiała. Będzie ci szukało kandydatki. Nic już nie odkręcisz. Są w życiu gorsze rzeczy.

Kobiety mogą sobie myśleć co chcą, ale Sujay i tak ma rację, myśli Jasbir. Najlepiej w ogóle nie wchodzić do tej gry.

Kolejny krzyk sprzed telewizora, kolejny aut. Hareh i Sohan nabijają się z chińskich diabłów.

Wydaje się wam, że rzucicie kasą i wygracie ze wszystkimi, aha, chłopaki z Awadhu wam pokażą, że trzeba lat, dziesiątek, setek lat, żeby zostać mistrzem krykieta.

A w herbacie jest za dużo mleka.

* * *

Wymaglinowany wiatr, jak gorące powiewy zapowiadające monsun, podrywa pianę z pikseli w chłodnych, białych, przestrzennych wnętrzach mieszkania numer 27 w Acacia Bungalow Colony. Jasbir uchyla się i wybucha śmiechem, gdy go owiewają. Spodziewał się, że będą zimne i ostre, jak podwiany wiatrem sypki śnieg, ale to tylko cyfry, układy ładunków elektrycznych serwowane jego korze wzrokowej przez cwane małe urządzonek przyklejone za prawym uchem. Wirując dookoła, podzwaniają, jak glissando srebrzystych nut z sitaru. Jasbir, kręcąc głową w zadziwieniu, wyciąga lighthoeka zza ucha. Wizja wyparowuje.

- Bardzo cwane, bardzo ładne, ale chyba zaczekam, aż cena trochę spadnie.

- Mnie... eee... nie chodzi o hoeka - mruczy Sujan. - Tylko, no wiesz, o tego swata, którego wynajęła ci matka. Tak sobie pomyślałem, może nie potrzebujesz, żeby ktoś ci organizował żonę?

Czasami Jasbira trafia szlag, że on zawsze musi gadać naokoło. Zwykle dzieje się tak po kolejnym bezowocnym i kosztownym wieczorze śaadi, po groźbie swata, ale zwłaszcza po tym, jak Deependra z niebiałymi zębami obwieszcza, że się umówił. Z dziewczyną. Tą zapisaną w czwartym domu Rahu przez jego kieszonkową *aeai*-astrologa.

- Pomyślałem, że przy odrobinie pomocy sam sobie ją znajdziesz. - W niektóre dni dyskusja z Sujayem nie ma sensu. Trzyma się własnego kalendarza. - Musisz, ten... znowu założyć hoeka.

Srebrzyste nutki wirują w uchu środkowym Jasbira, gdy mały zawijas z inteligentnego

plastiku wyszukuje sobie idealne miejsce za uchem.

Pikselowate ptaszki kręcą się i roją, jak szpaki w zimowy wieczór. Niesamowicie piękne. Wtem Jasbir aż sapie, głośno, widząc jak pyłki światła i dźwięku, iskrząc, zbijają się w drobnego, eleganckiego jegomościa w staromodnym sztywaniu ze stójką i marszczonych u dołu szarawarach. Buty ma wyglansowane niczym lustra. Elegancik się kłania.

- Dzień dobry, sir. Jestem Ram Tarun Das, mistrz elegancji, wdzięku i dżentelmeńskich manier.

- Co to robi w moim domu? - Jasbir ściąga urzędzonko wysyłające mu dane do mózgu.

- Ej, nie rób tego - mówi Sujay. - To niekulturalne wobec *aeai*.

Jasbir nasuwa hoeka z powrotem, i proszę, znów ten szykowny facecik.

- Zaprojektowano mnie właśnie po to, bym panu pomógł poślubić odpowiednią dziewczynę - mówi Ram Tarun Das.

- Zaprojektowano?

- Ja... tego... zrobiłem go dla ciebie - wyjaśnia Sujay. - Pomyślałem, że kto ma się znać na związkach i małżeństwach, jak nie gwiazdy telenoweli.

- Gwiazda telenoweli. Zrobiłeś dla mnie... doradcę małżeńskiego z mydlanej gwiazdy?

- Niezupełnie gwiazdy, właściwie zmontowałem parę podsystemów z centralnego rejestru postaci - odpowiada Suray. - Przepraszam, Ram.

- Często to robisz?

- Co?

- Przepraszasz *aeai*.

- One też mają uczucia.

Jasbir przewraca oczami.

- Jakiś remiks ma mnie uczyć, jak zostać mężem.

- No, to nie było na miejscu. Teraz ty przeproś.

- Widzi pan, jeśli mam ustrzec pana przed małżeństwem z piekła rodem, powinniśmy zacząć właśnie od manier - mówi Ram Tarun Das. - Maniery czynią człowieka. Są fundamentem wszystkich związków, bo prawdziwa kultura to coś, co człowiek ma wewnątrz, a nie na zewnątrz. Proszę się ze mną nie sprzeczać. Kobiety dostrzegają to natychmiast. Szacunek dla wszystkiego, sir, to klucz właściwej etykiety. Może ja tylko sobie wyobrażam, że czuję, tak jak pan czuje, ale to nie znaczy, że moje uczucia są choć odrobinę mniej prawdziwe. Tym razem akceptuję pana przeprosiny, jakby je pan złożył. A teraz zaczynamy. Przed jutrzejszym *saadi* mamy dużo do zrobienia.

Czemu, myśli Jasbir, mnie się nigdy nie udaje tak wyglansować butów?

* * *

Leniwy, wąski księżyc kołysze się nisko nad pochodniami tysiąca kominów Tughluku, jak kołyska bujająca do snu nowo narodzone państwo. Wokół jego rozfalowanego odbicia w basenie bez krawędzi podskakują dije na liściach mango. Begum Jaitly nie interesują boiska do polo i wiejskie kluby. Mamy rok 2045, a nie 1945. Nowoczesny styl dla nowoczesnego kraju, to jest motto Jaitly Shaadi Agency. Jednakże plotka i brak są wieczne, a mężczyźni w klimatycznym oświetleniu apartamentu są jak czarniejsze niż czerń cienie na tle galaktyki światła i aut wielkiego Delhi.

- Brwi! - Kishore wita Jasbira gestem prezentera telewizyjnego: pif-paf z palców złożonych w pistolet. - No nie, serio, co z nimi zrobiłeś? - Wtem jego oczy się rozszerzają, gdy oprócz brwi dostrzega całokształt produktu. Otwiera usta, na milimetr, ale to wystarczy, by Jasbir w myślach zacisnął triumfalnie pięść.

Czuł się skrępowany, biorąc Rama Taruna Dasa do centrum handlowego na zakupy. Bez problemu pamiętał, że postać w uparciu atawistycznym stroju jest niewidzialna dla wszystkich poza nim (choć imponowało mu, jak *aeai* udaje się unikać kolizji z innymi kupującymi w zatłoczonym Centrestage Mail). Głupio mu było za to gadać do powietrza.

- A to co za nadwrażliwość? - odezwał się Ram Tarun Das w jego wewnętrznym uchu. - Ludzie cały czas gadają do powietrza, rozmawiając przez telefon. O, proszę pana. Ten garnitur.

Był jaskrawy, brokatowy, w modnym kroju retro. Jasbir wolałby iść nago niż włożyć coś takiego.

- Bardzo... odważny.

- W sam raz dla pana. Proszę przymierzyć. I kupić. Będzie pan pewny siebie i modny, ale nie krzykliwy. Kobiety nie cierpią krzykliwości.

Roboty krojące i szyjące już pracowały, gdy Jasbir płacił kartą. Drogie to było. Ale nie takie drogie, jak wszystkie opłaty członkowskie w agencjach *śaadi*, pocieszył się. I coś do ozdoby. Lecz Ram Tarun Das objawił się prosto w wystawie jubilera, nad gablotami.

- Mężczyzna nie może mieć żadnej biżuterii. Malutka brosza do spięcia kołnierzyka koszuli, to jeszcze dopuszczalne. Chce pan, żeby piękne dziewczyny wzięły pana za alfonsa z Mumbaju? Nie, sir. Nie chce pan. Biżuteria nie. Buty tak. Chodźmy.

Wyelegantowany po nowemu, przeszedł się przed lekko zażenowanym Sujayem.

- Wyglądasz, ten... dobrze. Bardzo atrakcyjnie. Tak.

Ram Tarun Das, wsparty na lasce i uważnie się weń wpatrujący, dodał:

- Rusza się pan jak bawół. Oj. Proszę pana. Oto moja recepta. Lekcje tanga. Uczucie i

dyscyplina. Latynoski ogień, ale ścisły rytm. Proszę nie dyskutować; tango i koniec. Nic tak pana nie nauczy, jak się poruszać.

Tango, manikiur, pedikiur, wykłady z popkultury i delhijskich plotek („Telenowela to obraza zarówno dla inteligencji, jak i dla wyobraźni. Wiem coś o tym, sir”), konwersacyjne fortele, sztuczki z mową ciała - kiedy odwrócić się tak, kiedy nawiązać albo przerwać kontakt wzrokowy, kiedy pozwolić sobie na nieznaczne, zbliżające dotknięcie. Sujay snuł się po domu, jeszcze bardziej ociężały i zatopiony w myślach niż zwykle, a tymczasem Jasbir gawędził z powietrzem i ćwiczył latynoamerykańskie obroty i wykroki z niewidzialnym partnerem. Ostatnia lekcja - rano, przed śaadi u pani Jaitly.

- Brwi, proszę pana. W życiu nie znajdzie pan narzeczonej z brwiami jak włochaty sadhu. Niecałe pięć kilometrów stąd jest taka dziewczyna. Dojeżdża do klienta motorowerem. Zadzwońm po nią, będzie za dziesięć minut.

Kishore, jak zawsze, nie daje Jasbirowi czasu na odpowiedź. Trajkoce dalej:

- Czyli Deependra, tak?

Jasbir zauważył, że Deependra nie zajmuje swojego zwyczajowego miejsca w cieniu Kishore'a; wygląda na to, że w ogóle go tutaj nie ma.

- Trzecia randka - mówi Kishore i powtarza to bezgłośnie dla podkreślenia. - Ta *aeai* od dżanampatri... coś w tym musi być. Hmm, nie byłoby śmiesznie, gdyby ktoś mu ją odbił, co? Tak dla kawału?

Kishore zagryza dolną wargę. Jasbir pamięta ten gest z dawnych czasów. Wtem dźwięczą dzwonki, przygasają światła, a wiatr znikąd targa płomykami maślanych świeczek i kołysze dijami na basenie bez brzegu. Ściany się otworzyły. Do pokoju wchodzi kobiety.

* * *

Dziewczyna stoi przy szklanej ścianie i patrzy w świetlisty sześcian parkingu. W dłoniach ścisza szklanę z koktajlem, jakby w modlitwie albo ze strachu. To nowy koktajl, wymyślony specjalnie na finał krykieta, podawany w jajowatym pucharze z tego nowego wiro-szklą, które zawsze samo się prostuje, niezależnie, jak się je postawi czy upuści. Nazywa się to „Mecz smoków”. Porządna awadhska whisky, syrop z trzciny cukrowej i sześć kropel chińskiego likieru „Kao Liang”. Maleńki smok z czerwonego żelu rozplywa się jak zachód słońca.

- Teraz, proszę pana - szepcze stojący mu za ramieniem Ram Tarun Das. - Nieśmiały, jak mówią...

Jasbir ma sucho w ustach. Pomocnicza aplikacja, którą Sujay wkleił do *aeai* Rama Taruna Dasa, podaje mu dokładny puls, częstotliwość oddechów, temperaturę i stopień

spocenia dłoni. Aż dziwne, że jeszcze żyje.

„Masz teksty na wejście, masz teksty na wyjście, a to, co pośrodku, podpowie Ram Tarun Das”.

Wiedzie za jej spojrzeniem na parking. Chwila wahania, lekkie nachylenie ciała ku niej. Oto tekst.

Jest pani mercedesem, tatą, li fanem czy lexusem? - szepcze Ram Tarun Das w głowie Jasbira. Nonszalancko powtarza słowa. Ćwiczył, ćwiczył i ćwiczył bez końca, żeby wypadły naturalnie. Jest nie gorszy od prezentera wiadomości, lepszy niż tych paru nielicznych żywych aktorów, którzy ocaleli w telewizji.

Odwraca się do niego, usta nieznacznie rozchylone w zaskoczeniu.

- Słucham?

Tak powie, podpowiadał Ram Tarun Das. Proszę powtórzyć.

- Jest pani mercedesem, tatą, li fanem czy lexusem?

- Ale o co chodzi?

- Po prostu niech pani wybierze. Co podpowiada instynkt, to właściwa odpowiedź.

Pauza, zasznurowanie ust. Jasbir dyskretnie splata dłonie za plecami, tym lepiej, nie widać, że się pocą.

- Lexus - odpowiada ona.

Shulka, ma na imię Shulka. Ma dwadzieścia dwa lata i skończyła marketing na Delhi U, zajmuje się męską modą i jest z podkasty mathur, zaledwie parę stopni poniżej rodziny Jasbira. Kryzys demograficzny wstrząsnął więzami warny i dżati mocniej niż sto lat dozowanej kropłomierzem demokracji. I odpowiedziała na pytanie.

- O, to bardzo ciekawe - mówi Jasbir.

Odwraca się, wyskubane brwi jak półksiężycze wygięte w łuki. Ram Tarun Das szepcze za jego plecami: *Teraz ciąg dalszy.*

- Delhi, Mumbai, Kolkata, Chennai?

Delikatnie marszczy czoło. Panie Wisznu, jaka ona jest piękna.

- Urodziłam się w Delhi...

- Nie o to mi chodzi.

Mars na czole zmienia się w nanouśmieszek zrozumienia.

- To Mumbai. Tak, zdecydowanie Mumbai. W Kolkacie jest gorąco, brudno i paskudnie. A Chennai... nie. Zdecydowanie Mumbai.

Jasbir zasysa wargę, kiwając w skupieniu głową. Ram Tarun Das kazał mu ćwiczyć ten gest przed lustrem.

- Czerwony, zielony, żółty, niebieski?

- Czerwony. - Bez wahania.

- Kot, pies, ptak, małpa?

Przekrzywia głowę. Jasbir zauważa, że i ona nosi lighthoeka. Techniczna dziewczyna. Robot do koktajli krąży między gośćmi, odprowadzając przemysłowe czary z samostabilizującymi się szklankami i pajęczymi palcami.

- Ptak... nie. - Przebiegły uśmiech. - Nienienie. Małpa.

Jasbir zaraz tu umrze, padnie na miejscu.

- Ale co to wszystko znaczy?

Jasbir unosi palec.

- Jeszcze jedno. Ved Prakash, Begum Vora, doktor Chatterji, Ritu Parvaaz?

Śmieje się. Śmieje się jak dzwoneczki na rąbku ślubnej spódnicy. Śmieje się jak gwiazdy w himalajską noc.

Co pan w ogóle robi? - syczy Ram Tarun Das. Przeskakuje przez wizję Jasbira i ukazuje się za Shulką, z rękoma załamanymi w rozpacz. Gestem omiata horyzont, spowity gazowymi pochodniami. *Sir, pan popatrz, dziś tu płonie dla pana niebo, a pan mówi o serialach! Trzeba się trzymać scenariusza! Improwizacja to śmierć.*

Jasbiromal nie krzyczy na swojego swata: „Precz, dzinnie”. Powtarza pytanie.

- Właściwie nie za bardzo interesuję się *Miastem i wsią* - odpowiada Shulka. - Moja siostra tak, zna wszystkie szczegóły każdej postaci, a co dopiero aktorów. Z nimi jest tak, że łatwo się o nich dowiedzieć absurdalnie dużo, nawet jeśli w ogóle nie ogląda się serialu. Ale gdyby pan naciskał, powiedziałabym „Ritu”. Zatem, co to wszystko znaczy, panie Dayal?

Serce podskakuje mu w piersi. Ram Tarun Das patrzy nań zimno. Impas.

Proszę go wykonać. Dokładnie jak panu mówiłem. Inaczej pana pieniądze i moja moc przetwarzania, wszystko na marne.

Robot do koktajli wtańcowuje między nich ze swoimi cybernetycznymi sztuczkami. Podrzuca szklankę Shulki i stawia ją sobie, wirującą, połyskującą, na czubku cienkiego jak igła palca. Jak czary, jeśli nie ma się pojęcia o żyroskopach i wiro-szklankach. Lecz sekundowy występ prestidigitatora wystarcza Jasbirowi na wykonanie przepisowego ruchu. Gdy ona unosi wzrok, a szklankę ma już napełnioną, on jest po drugiej stronie pokoju.

Kiedy widzi, że rozszerzają jej się oczy, ma ochotę ją przeprosić. Musi ją przeprosić, kiedy tak szuka go wzrokiem. Wtem dostrzega go i patrzy mu w oczy. Jest po drugiej stronie zatłoczonego pokoju, całkiem jak w tej piosence, którą nuci w domu Sujay, kiedy myśli, że Jasbir nie słyszy. Sujay uwielbia tę piosenkę. To najbardziej romantyczna, niewinna,

wzruszająca piosenka, jaką Jasbir kiedykolwiek słyszał. Wielki, niezdarny Sujay zawsze kochał się w staroświeckich hollywoodzkich musicalach. *South Pacific*, *Carousel*, *Moulin Rouge* - ogląda je na wielkim ekranie w salonie, bez skrępowania podśpiewując i wzruszając się do łez niemożliwymi miłosnymi kombinacjami. Shulka po drugiej stronie pokoju marszczy brwi. Naturalnie. Tak jest w scenariuszu.

„Ale co to znaczy?” - pyta, poruszając ustami.

On zaś, jak przykazał Ram Tarun Das, odkrzykuje:

- Proszę zadzwonić, to pani powiem! - Odwraca się na pięcie. I to właśnie, jak wie bez wypowiedzi Rama Taruna Dasa, jest ten cały impas.

* * *

Mieszkanie jest obrzydliwie przegrzane i cuchnie przypalającym się ghi, ale neutko i tak siedzi otulone szydełkowym szalem, zgarbione jakby wiał na nie nieustający zimny wiatr. Na niskim mosiężnym stoliku stoją plastikowe filiżanki do herbaty, ta należąca do matki jest demonstracyjnie nietknięta. Jasbir siedzi na kanapie z ojcem po prawej i matką po lewej, jak pomiędzy policjantami, którzy go właśnie aresztowali. Nahin, neutko mruczy coś, dygocze i rozciera palce.

Jasbir nigdy nie widział z bliska przedstawiciela trzeciej płci. Wszystko, co o nich wie - jak i wszystko, co wie o innych rzeczach - wyczytał w magazynach dla Dobrze Zarabiających Singli, które prenumeruje. Te pisma, pomiędzy reklamami designerskich zegarków i klinik wybielania zębów przez roboty, przedstawiają je jako fantastyczne istoty, niczym z „tysiąca i jednej nocy”, dla których uroda i piękno jest na równi błogosławieństwem i przekleństwem. Tymczasem Nahin-swat wydaje się stare i znużone jak bóg. Splata i rozplata palce nad papierami na stoliku do kawy - „To te cholerne leki, moi kochani” - od czasu do czasu zanosząc się spazmatycznym dygotem. Też jeden ze sposobów na ominięcie Gry o Żonę, myśli Jasbir.

Nahin przesuwa papiery na stoliku. Są na nich wzory misterne jak adamaszek, zawile krzywe z kół i spiral podpisane nieczytelnymi alfabetami. Na każdej kartce, w prawym górnym rogu, jest zdjęcie kobiety. Kobiety są młode i atrakcyjne, ale mają ten charakterystyczny wytrzeszcz kogoś, kto jest pierwszy raz fotografowany.

- Wykonałam wszystkie obliczenia i ta piątka spełnia wymagania i jest obiecująca - mówi Nahin. Odchrząkuje wielką gulę flegmy.

- Widzę, że wszystkie są ze wsi - mówi ojciec Jasbira.

- Na wsi wiedzą, jak żyć - mówi matka Jasbira.

Jasbir, wciśnięty między nich na ciasnej kanapie, patrzy nad jego owiniętym chustą

ramieniem. Tam w drzwiach stoi Ram Tarun Das. Unosi brwi, kręci głową.

- Dziewczyny ze wsi częściej rodzą - mówi Nahin. - Mówiliście, że ważne jest podtrzymanie dynastii. A tu można znaleźć dziewczynę bliższą w dźati, z reguły też da się dogadać na o wiele mniejszy posąg niż w mieście. Dziewczyny z miasta chcą wszystko. Ja, ja, ja. A egoizm nigdy nie przyniósł nic dobrego.

Długie palce neutka tasują wiejskie dziewczyny na stoliku, potem podsuwają Jasbirowi i jego rodzinie trzy z nich. Dadadźi i Mamadźi nachylają się, Jasbir osuwa się w tył. Ram Tarun Das zaplata ręce, przewraca oczyma.

- Te trzy mają najwięcej gwiazdek - mówi Nahin. - Mogę prawie od razu umawiać spotkanie z ich rodzicami. Będą niewielkie koszty związane z ich przyjazdem do Delhi i oprócz tego oczywiście moje honorarium.

Ram Tarun Das w okamgnieniu jest za plecami Jasbira. Ten aż podskakuje, słysząc w uchu jego szept: *Na zachodnim ślubie mówi się tak: niech powie teraz lub zamilknie na wieki.*

- Ile panu płaci moja matka? - pyta Jasbir.

- Jestem związany tajemnicą handlową. - Neutko ma oczy małe i ciemne jak porzeczeki.

- Wypowiadam panu za dodatkowe pięćdziesiąt procent.

Dłonie Nahina wahają się nad pięknymi, ręcznie rysowanymi spiralami i kołami. Był kiedyś mężczyzną, myśli Jasbir. To męski gest. Patrzcie, nauczyłem się czytać ludzi.

- Dam dwa razy tyle - piszczy pani Dayal.

- Zaraz, zaraz, zaraz - protestuje ojciec, lecz Jasbir już go przekrzykuje.

Musi zdusić ten kretynizm w zarodku, zanim rodzice w swojej ślubnej gorączce uciekną się do strategii, na które nie mogą sobie pozwolić.

- Traci pan czas i marnuje pieniądze moje i moich rodziców - mówi Jasbir. - Rozumiecie, już poznałem odpowiednią dziewczynę.

Wybałuszone oczy, rozdziawione usta wokół stołu, ale nikt nie osłupiał tak bardzo jak Ram Tarun Das.

* * *

Prasadowie spod dwudziestki piątki już z góry przysłali skargę na tanga, lecz Jasbir i tak podkręca muzykę, dopóki nie zagrzechoczą szkiełka w żyrandolu. Na początku pogardzał tym tańcem - sztywność, formalizmy, skrępowanie rytmem, kompletnie nie po hindusku. Żaden wuj w życiu nie zatańczy czegoś takiego na weselu. Ale wytrwał - nikt nie powie, że Jasbir Dayal czegoś nie spróbuje - i charakter tanga powoli go przeniknął, jak deszcz wyschnięte koryto rzeki. Docenił dyscyplinę i zaczynał rozumieć namiętność. Chodzi po dziale Zbiorników i Tam prosty jak struna. Już nie garbi się przy baniaku z wodą.

- Sir, kiedy radziłem panu przemówić lub zamilknąć na wieki, nie miałem na myśli tego, żeby kłamał pan rodzicom w żywe oczy - mówi Ram Tarun Das.

W tangu odgrywa rolę kobiety. Lighthoek potrafi dać złudzenie ciężaru i bezwładności, więc *aeai* robi wrażenie prawdziwej partnerki. Skoro umie to wszystko, na pewno mógłby też wyglądać jak kobieta? - myśli Jasbir. Sujay w swoim przywiązaniu do szczegółów często przeoczy takie oczywiste sprawy.

- Zwłaszcza w kwestii, gdzie łatwo mogą sprawdzić - dodaje Ram Tarun Das.

- Musiałem ich powstrzymać od wyrzucania pieniędzy na to neutko.

- Przelicytowałyby pana.

- Więc tym bardziej musiałem ich powstrzymać. Żeby nie marnowali także moich pieniędzy.

Jasbir wykonuje elegancką barridę, przesuwając stopę Rama Taruna Dasa po podłodze. Sunie wzdłuż otwartych drzwi na werandę; Sujay unosi wzrok znad programowania telenoweli. Już się przyzwyczał, że widzi właściciela mieszkania tańczącego w ciasnych objęciach ze starszym radźputańskim dżentelmenem. Dziwaczny ten twój świat duchów, dżinnów i połowicznych rzeczywistości, myśli Jasbir.

- To ile razy już dzwonił pana ojciec i wypytywał o tę Shulkę? - Swobodna noga Rama Taruna Dasa kreśli na parkiecie krzywą, wychylona w pięknie wykonanej volcadzie. Do tanga trzeba widzieć muzykę. Wszystko polega na tym, by widzieć niewidzialne.

Przecież wiesz, myśli Jasbir, jesteś wpleciony w całe to mieszkanie jak wzór na jedwabiu.

- Osiem - mówi słabym tonem. - Może, gdybym do niej zadzwonił...

- W żadnym razie - stanowczo stwierdza Ram Tarun Das, przyciskając się doń blisko w embrezie. - Zaprzepaściłby pan całą minimalną przewagę, jaką pan teraz być może posiada, ten jeden atom nadziei. Nie pozwalam.

- A może mi pan dać jakieś prawdopodobieństwo? Wie pan wszystko o sztuce *saadi*, może mi pan chociaż powiedzieć, czy mam jakieś szanse?

- Sir - mówi Ram Tarun Das - jestem mistrzem elegancji, wdzięku i dżentelmeńskich manier. Mogę skierować pana do dowolnej liczby prostych, nieskomplikowanych - bukmacherów, one podadzą panu szanse na co tylko pan zechce, ale z ich wyceny pewnie nie będzie pan zadowolony. Powiem tylko jedno: reakcje panny Shulki były bardzo... odpowiednie.

Ram Tarun Das zahacza nogę o talię Jasbira w finałowym gancho. Muzyka osiąga dokładnie zaplanowaną kulminację. Przebijają się przez nią dwa odgłosy. Jeden to szlochanie

pani Prasad. Ewidentnie musi opierać się o dzielącą ich ścianę, żeby tak dobrze było słyszeć jej udrękę. Drugi to dzwonek telefonu, bardzo konkretny dzwonek, żalony, ale niesamowicie chwytny przebój z hollywoodzkiego filmu - *My Back, My Crack, My Sack*. Jasbir ustawił go w domowym systemie dla jednego, jedyne numeru.

Sujay unosi wzrok, spłoszony.

- Halo? - Jasbir panicznie, błagalnie macha na Rama Taruna Dasa, siedzącego po drugiej stronie salonu, z dłońmi na gałce laski.

- Lexus, Mumbai, czerwony, mała, Ritu Parvaaz - mówi Shulka Mathur. - Więc co to oznacza?

* * *

- Nie, już się zdecydowałem. Wezmę prywatnego detektywa - mówi Deependra, oplukując ręce.

Na dwunastym piętrze biurowca Ministerstwa Wody wszystkie plotki o randkach wymienia się nad umywalkami męskiej toalety pod numerem 16. Pisuary to zbyt oczywista rywalizacja. Kubiki - pogwałcenie dyskrecji. Prawdę najlepiej przemywać razem z rękoma przy umywalkach, a tajemnice i objawienia zawsze można ukryć przed niepowołanym okiem, umiejętnie wykorzystując elektryczne suszarki.

- Deependra, to paranoja. Co ona zrobiła? - szepcze Jasbir. Chip z *aeai* poziomu 0,3 w kranie upomina go, żeby nie marnował drogocennej wody.

- Nie chodzi o to, co zrobiła, ale czego nie zrobiła - syczy Deependra. - Jest duża różnica między kimś, kto nie ma czasu, a kimś, kto specjalnie nie odbiera telefonów. O, tak. Jeszcze sam się przekonasz, zapamiętaj te słowa. Jesteś w pierwszej fazie, wszystko jest nowe i podniecające, a ciebie oślepia ten niewiarygodny fakt, że ktoś wreszcie, nareszcie, uznał, że jesteś wart grzechu. Na razie to różane płatki, cukiereczki i coś ćuit, i wydaje ci się, że wszystko pójdzie jak z płatka. Ale przejdiesz tę fazę, zobaczysz. I szybko łuski spadną ci z oczu. Zobaczysz... i usłyszysz.

- Deependra... - Jasbir podchodzi do baterii suszarek. - Byłeś na pięciu randkach.

Niestety, każde jego słowo trafiło go jak najszczęsza prawda. Jest tygłem sprzecznych emocji. Czuje się nieważki i rozciągliwy, jak bóg usadowiony okrakiem na globie, a jednocześnie świat wokół robi wrażenie bladego i niematerialnego, jak muślin. Kręci mu się w głowie z głodu, ale nie jest w stanie nic przelknąć. Odsuwa pieczołowicie przygotowaną przez Sujaya soczewicę i roti. Po czosnku będzie miał nieświeży oddech; szpinak może zostać między zębami; po cebuli może mieć wiatry; po chlebie nieeleganckie wzdęcie. Przeżuwa parę oczyszczających ziarenek kardamonu, licząc na korzenne pocałunki. Jasbir Dayal jest

rozkosznie, przepięknie chory z miłości. Każda randka jest jak klejnot; przepowiada je sobie w pamięci i rozkoszuje się opróżniającym je blaskiem.

Randka numer jeden. Wieża Kutb Minar. Jasbir od razu zaprotestował.

- Tam chodzą turyści. I rodziny w soboty.

- To historia.

- Shulka nie interesuje się historią.

- Aha, czyli tak dobrze ją pan poznał po trzech rozmowach przez telefon i dwóch wieczorach na czacie przez śaadinet - według mojego scenariusza? To korzenie. Kim pan jest i skąd pan pochodzi. To rodzina i dynastia. Tym się pańska Shulka interesuje, zapewniam pana. A oto co ma pan włożyć.

Były tam turystyczne autokary, duże i małe. Byli naganiacze i sprzedawcy pamiątek. Były grupy marszczących czoła Chińczyków. Byli uczniowie z plecakami tak wielkimi, że wyglądali jak żółwie stojące na tylnych łapach. Ale kiedy wędrowali pod kopułami i kolumnadami meczetu Quwwat w swoich wygodnych strojach miejskich turystów, wszyscy inni ludzie wydawali się odlegli i efemeryczni jak chmury. Była tylko Shulka i on. Oraz Ram Tarun Das kroczący u jego boku, z rękoma splecionymi za plecami.

Na dany znak Jasbir przystanął, żeby obrysować palcem zerodowane przez czas kontury głowy świętego, tirthankary, pozbawionej ciała. Ducha w kamieniu.

- Qutb-ud-din Aibak, pierwszy sułtan Delhi, zburzył dwanaście świątyń dżajnistycznych i zbudował z tego kamienia swój meczet. Jak się wie, gdzie szukać, można nadal wypatrzeć stare rzeźby.

- To mi się podoba - powiedziała Shulka. - Jakby dawni bogowie nadal tu byli. - Każde słowo, które padało z jej ust, było doskonałe jak perła. Jasbir próbował odczytać jej oczy, ale ciemne, kocie okulary BlueBoo! nie zdradzały niczego. - Za mało ludzi w ogóle interesuje się swoją historią. Nowe to, nowe tamto. Jak coś nie jest z ostatniej chwili, to w ogóle się nie liczy. A ja sobie myślę, że aby wiedzieć dokąd się idzie, trzeba wiedzieć, skąd się przyszło.

Bardzo dobrze, szepnął Ram Tarun Das. A teraz żelazna kolumna.

Odczekali, aż wycieczka Niemców odejdzie od otaczającego kolumnę ogrodzenia. Stanęli i zamilkli na chwilę, patrząc na czarny słup.

- Tysiąc sześćset lat, ale ani śladu rdzy - powiedział Jasbir.

Dziewięćdziesięcioośmioprocentowe czyste żelazo, podpowiedział Ram Tarun Das. Są rzeczy, których Mittal Steel mogłaby się uczyć od dynastii Gupta.

- Ten, który pod imieniem Chandry nosił się pięknie i pewnie jak księżyc w pełni, skupiwszy w swej wierze myśl na bogu Wisznu, rozkazał wznieść na wzgórzu Wisznupada

ten strzelisty atrybut boskiego Wisznu. - Shulka, marszcząca czoło w skupieniu nad inskrypcją wokół nasady kolumny, wydawała się Jasbirowi piękniejsza niż bogowie i królowie z dynastii Gupta.

- Znasz sanskryt?

- To taka moja własna ścieżka duchowego rozwoju.

Ma pan trzydzieści sekund, zanim przyjdzie następna wycieczka, wtrącił się Ram Tarun Das. *Już, sir, ten tekst, który panu podsunąłem.*

- Podobno, jak staniesz plecami do kolumny i uda ci się złączyć ręce z tyłu za nią, spełni się twoje życzenie.

Nadchodzili już Chińczycy, nadchodzili Chińczycy.

- A gdyby ci się udało, jakie powiedziałbyś życzenie?

Idealna. Była idealna.

- Kolacja?

Uśmiechnęła się tym drobnym i porozumiewawczym uśmiechem, od którego w sercu Jasbira wyrósł ciernisty ogród, i odeszła. Pośrodku łuku bramy odwróciła się i zawołała:

- Kolacja, bardzo chętnie!

Wtedy wokół nierdzewnej żelaznej kolumny Chandry Gupty zaroilo się od Chińczyków z reklamówkami, daszkami przeciwsłonecznymi, w plastikowych sandałach.

Jasbir uśmiecha się na promienne wspomnienie Randki numer jeden. Deependra trzepoce palcami pod strugą gorącego powietrza.

- Słyszałem o tym. Pokazywali o tym dokument, o tak. Białe wdowy, tak je nazywają. Stroją się, chodzą na shaadi, mają nieskazitelne, idealne życiorysy, ale wychodzić za mąż nie zamierzają, o nie, zero szans. Zresztą, po co, skoro mają niekończący się strumień mężczyzn, którzy stawiają kolacje, zabierają w ładne miejsca, kupują piękne prezenty, buty, biżuterię, nawet samochody - tak mówili w tym filmie. Po prostu chcą z tego jak najwięcej wyciągnąć, bawiąc się naszymi sercami. A kiedy się zmęczą, znudzą, albo mężczyzna za dużo chce, albo daje nie dość drogie prezenty, albo lepiej się będą bawić z kimś innym, to sru! Rzucają z miejsca i zabierają się za następnego. Dla nich to gra.

- Deependra - mówi Jasbir. - Daj spokój. Dokumenty na Shaadi Channel to żaden wzorzec małżeńskiego życia. Poważnie. - Ram Tarun Das byłby dumny z tego tekstu. - Teraz muszę wracać do pracy.

Krany, które pilnują, żeby nie marnować wody, mogą też meldować menedżerom zbyt długie przerwy na toaletę. Tyle że ziarenko wątpliwości już zostało posiane i Jasbir przypomina sobie teraz restaurację.

Randka numer dwa. Jasbir od tygodnia przy wszystkich posiłkach ćwiczył jedzenie pałeczkami. Klął przy ryżu, przeklinał soczewicę. Sujay bez wysiłku szuflował ryż, soczewicę i wszystko inne, prosto z miseczki do ust, machając błyskawicznie pałeczkami.

- Dla ciebie to łatwe, jako gość od programowania wsiąkłeś w tę azjatycką kulturę.

- Hmm, my jesteście Azjatami.

- Wiesz, o co mi chodzi. Zresztą, ja nawet nie lubię chińszczyzny, strasznie mdła.

Restauracja była droga. Pójdzie połowa tygodniowej wypłaty. Nadrobi nadgodzinami, w dziale Zbiorników i Tam pojawiły się nowe niepokoje o suszę.

- Oj - jęknęła Shulka, za którą nocna luna Delhi rozciągała szeroką, rozmytą aureolę.

Prawdziwa bogini, pomyślał Jasbir, devi nocnego miasta z dziesięcioma milionami światełek we włosach.

- Pałeczki. - Uniosła zabytkowe porcelanowe patyczki, po jednej w ręce, jak pałki do perkusji. - Nie mam pojęcia, jak się je obsługuje. Zawsze się boję, że się połamią.

- Wystarczy spróbować, to bardzo łatwe.

Jasbir wstał z krzesła i obszedł ją. Nachylając się nad jej ramieniem, wetknął jedną pałeczkę w zgięcie kciuka, drugą między opuszkę kciuka a palec wskazujący. Cały czas ma tego lighthoeka. Miejski szyk. Zadrzał z wyczekiwania, wsuwając czubek jej środkowego palca pomiędzy pałeczki.

- Zobacz. Te palce działają jak zawias. Najważniejsze, żeby ręka była rozluźniona. A miseczkę trzeba trzymać przy ustach.

Palce, gdy je ustawiał, miała ciepłe, miękkie, elektryzujące perspektywami. Jej skóra pachniała piżmem czy tylko to sobie wyobrażał?

Teraz, powiedział Ram Tarun Das nad drugim ramieniem Shulki. Teraz rozumiesz? A nawiasem mówiąc, musisz jej powiedzieć, że dzięki nim jedzenie lepiej smakuje.

I rzeczywiście, smakowało lepiej. Jasbir odkrył subtelności i pikantne smaczki, których dotąd nie znał. Słowa gładko płynęły nad stolikiem. Wszystko, co mówił, zasługiwało na jej perlisty śmiech. Choć Ram Tarun Das był równie wszechobecny i nienarzucający się jak kelnerzy, słowa i dowcipy należały wyłącznie do niego.

Widzisz, dajesz radę, powiedział sobie Jasbir. To żaden sekret, czego pragną kobiety: przestań gadać o sobie, słuchaj, rozśmieszaj.

Przy zielonej herbacie Shulka zaczęła mówić o tej nowej powieści, którą wszyscy teraz czytają, o dziewczynie z Delhi szukającej męża i jej licznych zalotnikach, tej skandalizującej książce, *Kawaler na wydaniu*. Wszyscy czytali, wszyscy oprócz Jasbira.

Ratunku! - pomyślał.

Już skanuję, powiedział Ram Tarun Das. Chce pan streszczanie głównych motywów, opinie czytelników czy charakterystyki postaci?

„Siedź tam i uważaj”, szepnął w myślach Jasbir, maskując delikatne poruszenie szczęki przez uchylenie pokrywy imbryka. Sygnał, żeby dolali.

- Hmm, to właściwie nie jest książka, z którą mężczyzna pozwoliłby się zobaczyć...

- Ale...

- Ale i tak wszyscy czytają, prawda? - Ten tekst podrzucił Ram Tarun Das. - Wiesz, ja jestem dopiero w dwóch trzecich, a... a ty? Uwaga na spoilery. - To było jedno z branżowych wyrażeń Sujaya. Wreszcie zrozumiał, co to znaczy.

Shulka tylko się uśmiechała i obracała filiżankę na spodeczku.

- Powiedz, co chciałeś powiedzieć.

- No... czyż ona nie widzi, że to Nishok? Ewidentnie jest w niej zakochany po uszy, na tysiąc procent. Ale to byłoby za łatwe, prawda? Za to Pran, z nim zawsze będzie ogniście. Najgorszy z niego badmaś, ale nudzić się z nim nie da. Nigdy nie będzie mogła w pełni mu zaufać i to jest dla niej takie ekscytujące. A tobie się nie wydaje, że czasem potrzeba troszeczkę napięcia, takiej drobnej obawy, że być może, być może, wszystko może zniknąć, żeby to się kręciło?

Sir, ostrożnie, mruknął Ram Tarun Das.

- Zresztą, po tym przyjęciu u Chatterjich, gdzie wepchnęła Jyotiego do basenu na oczach rosyjskiego ambasadora, wszyscy wiedzą, że jest zazdrosna o siostrę, bo to ona wychodzi za pana Panse'a. To właśnie to: błysk i szyk kontra bezpieczeństwo. Żar uczuć albo stabilizacja. Miasto kontra wieś.

- A Ajit?

- Ajit to tylko taki trik fabularny. Żaden konkurent. Każda kobieta, z którą się umawia, ma być tylko odbiciem jego wspaniałej osoby.

Nie przeczytał z tego pulpowego bestsellera sezonu ani jednego zdania, ani słowa. Przefrunął obok niego jak roztrzepotane gołębie. Za bardzo był zajęty rolą kawalera na wydaniu.

Shulka uniosła porcelanowymi szczypczykami kawałek słodkiej, słonej, rozplywającej się, tłustej kaczki. Sos skapnął na obrus.

- No to za kogo wyjdzie Bani? Zgadnij, a dostaniesz nagrodę.

Jasbir usłyszał, jak w głowie formuje mu się odpowiedź Rama Taruna

Dasa. *Nie.* Zgrzytnął trzonowcami.

- Chyba wiem.

- No więc?

- Za Prana.

Shulka zarzuciła głową naprzód, jak żuraw dziobem. W ustach miał gorący, tłusty kęs kaczuki.

- Ale przecież zawsze musi być zwrot akcji, prawda? - powiedziała.

Deependra w męskiej toalecie numer 16 zerka w lustrze na fryzurę i przygląda ją.

- Złodziejki posagów, o to tylko chodzi. Łapią cię na haczyk, wyciągają, wbijają szpony w twoją kasę, potem znikają i zostajesz bez grosza.

Teraz Jasbir naprawdę, naprawdę chce wrócić do pracy.

- Deep, to są jakieś fantazje. Naczytałeś się szmatławców. Daj spokój.

- Nie ma dymu bez ognia. Moje gwiazdy mówią, że w sprawach sercowych powinienem uważać i wystrzegać się fałszywych przyjaciół. Jowisz stoi w trzecim domu. Otaczają mnie złe omeny. Nie, wziąłem sobie *aeai*-prywatnego detektywa. Weźmie ją pod dyskretną obserwację. Będę wiedział, czy w tę, czy w tamtą.

* * *

Gdy fatfat zygzakuje przez wielki młyn samochodów wokół Indira Chowk, Jasbir ścisną uchwyty, aż bieleją mu kostki. Mdli go od wody po goleniu Deependry.

- Dokąd my właściwie jedziemy?

Deependra przesłał termin i miejsce spotkania na szyfrowane konto na palmerze. Powiedział tylko, że potrzebuje dwóch godzin wieczorem, eleganckich ciuchów, zaufanego przyjaciela i stuprocentowej dyskrecji. Przez dwa dni nastrój miał ponury i burzowy jak nadciągający monsun. *Aeai*-detektyw przysłała z wynikami, on jednak nic nie ujawnił, nie szepnął ani słowa w klubowym zaciszu męskiego WC pod numerem 16.

Fatfat, prowadzony przez nastolatka ze spadającymi na oczy piórkami nażelowanych włosów - co na pewno przeszkadzało mu w kierowaniu - mija właśnie lotnisko. W Gurgaon Jasbir zaczyna rozpoznawać geografię. Robi mu się niedobrze, od czegoś więcej niż tylko styl jazdy nastroszonego nastolatka i kioskowa woda po goleniu Deependry. Pięć minut później fatfat wjeżdża na żwirowy podjazd pod kolumnowym portykiem Haryana Polo and Country Club.

- Co my tu robimy? Jak Shulka się dowie, że poszedłem na *saadi*, kiedy się z nią spotykam, będzie koniec.

- Potrzebuję świadka.

„Ram Tarun Das, pomocy”, syczy Jasbir, ale w czaszce nie rozlega się uspokajająca srebrzysta muzyka, zwiastująca przybycie mistrza elegancji, wdzięku i dżentelmeńskich

manier. Dwóch olbrzymich Sikhów przy drzwiach wpuszcza ich kiwnięciem głowy.

Kishore siedzi rozparty w swoim standardowym kącie baru i obserwuje teren. Deependra przecina tłum kawalerów na wydaniu jak idący na wojnę bóg. Odwracają się wszystkie głowy. Milknie każda rozmowa, każda plotka.

- Ty... ty... ty... - jąka się z wściekłości. Twarz mu drga. - Złodziej śaadi!

Cały klubowy bar kuli się w sobie, gdy rozlega się głośny policzek. Potem na Deependrze opadają dwie pięści, po jednej na każde ramię. Dwóch Sikhów jak szafy odwraca go i unieruchamia, spienionego i rozjuszonego, zabierając sprzed baru.

- Ćutja! - Deependra obrzuca wroga wyzwiskami. - Jeszcze to z ciebie wycisnę, do ostatniego grosza, niech mi Bóg pomoże! I żądam satysfakcji!

Jasbir, skulony z zażenowania, drobi obok szamocącego się, klnącego Deependry.

- Ja przyszedłem tylko jako świadek - mówi do Sikhów, gdy łypią na niego spojrzeniem mówiącym: „ty następny”.

Przytrzymują Deependrze wystarczająco długo, by go spoliczkować i na zawsze zakazać wstępu na imprezy agencji śaadi Piękna Dziewczyna. Potem elegancko ciskają nim ponad maską nowego modelu li fana, G8, na żwirowy podjazd. Przez parę chwil leży groźnie nieruchomo, przybity, potem z urzekającą godnością wstaje, otrzepuje się z kurzu i poprawia ubranie.

- Spotkam się z nim nad rzeką! - krzyczy Deependra do beznamiętnych Sikhów. - Nad rzeką!

Jasbir już wyszedł na główną ulicę. Patrzy, czy fatfat odjechał.

* * *

Słońce jest jak mosiężna misa tocząca się po ciemnoniebieskiej krawędzi świata. Światła mrugają w porannej mgielce. Ale nie ma takiej pory, o której nad rzeką nie byłoby nikogo. Chudzi jak patyki mężczyźni pchają wózki po zasłanym śmieciami piasku, dziobiąc go jak ptaki. Dwaj chłopcy rozpalili małe ognisko w kamiennym kręgu. Nieco dalej, na porośnięty kępami trawy piasek wkracza procesja kobiet z miękkimi pakunkami na głowach. Nad skurczoną, wyschniętą nitką rzeki Jamuny wyświeca się stary bramin, lejąc sobie wodę na głowę. Jasbir wzdryga się, mimo że już o tej porze jest upał. Przecież wiadomo, co jest w tej wodzie. Ścieki czuć nawet w powietrzu, przemieszane z zapachem palonego drewna.

- Ptaki - mówi Sujay, rozglądając się z prostodusznym zachwytem. - Naprawdę słyszę, jak śpiewają. Czyli tak to jest z rana. Powiedz mi jeszcze raz, co ja tu robię?

- Jesteś ze mną, bo nie chcę być sam.

- No dobra, a... tego... a ty co tu robisz?

Deependra kuca na piętach przy swojej sportowej torbie, oplata się rękoma. Ma na sobie elegancką, białą koszulę i plisowane, luźne spodnie. Ma też niezłe buty. Poza pomrukami na powitanie nie odezwał się do nich ani słowem. Cały czas tylko się gapi. Nabiera garść piasku i przesypuje ją między palcami. Tego też by Jasbir nie polecał.

- Mogłem zostać w domu i programować - mówi Sujay. - O. Dzień dobry. Gra się zaczyna.

Po parchatej nadrzecznej trawie maszeruje Kishore. Już kiedy jest odległą, wyelegantowaną plamką, wszyscy widzą, że jest wściekły do nieprzytomności. Jego krzyki niosą się z dużej odległości w nieruchomym porannym powietrzu.

- Wrzucę twój łeb do rzeki! - drze się na Deependrę, wciąż kucającego na brzegu.

- Ja tu jestem tylko świadkiem - mówi pośpiesznie Jasbir, pragnąc, by ktoś mu uwierzył. Kishore musi zapomnieć, a Deependra nigdy nie może się dowiedzieć, że był świadkiem także wówczas, kiedy Kishore zapowiedział ten kawał w wieżowcu na Tughluku.

Deependra unosi wzrok. Twarz ma beznamiętną, oczy łagodne.

- Musiałeś, co? Po prostu musiałeś. Umarłbyś, gdybym miał coś, czego ty nie masz.

- No cóż. W tym klubie polo dałem ci spokój. Mogłem cię wtedy załatwić. Bez problemu. Mogłem wbić ci nos do mózgu, ale nie zrobiłem tego. To był zamach na moją godność, na oczach wszystkich moich kolegów, współpracowników i wspólników biznesowych, ale przede wszystkim na oczach wszystkich kobiet.

- No to teraz masz szansę odzyskać honor.

Deependra wkłada rękę do sportowej torby i wyciąga pistolet.

- O Boże, ma pistolet, ma pistolet - lamentuje Jasbir. Czuje, że miękną mu kolana. Myślał, że takie rzeczy dzieją się tylko w mydlanych telenowelach i popularnych powieściach.

Deependra zrywa się na nogi, ani na moment nie spuszczać z muszki punktu pośrodku czoła Kishore'a, dokładnie tego, w którym mógłby mieć bindi.

- W torbie jest drugi. - Deependra macha bronią, wskazuje brodą. - Weź go. Załatwmy to jak trzeba, po męsku. Honorowo. Weź broń. - Głos unosi mu się o oktawę. Na szyi i skroni pulsują żyły. Kopie sportową torbę w stronę Kishore'a.

Jasbir widzi, jak w bankowcu już wzbiera furia, szalona, samobójcza furia, zrównując się z wściekłością urzędnika. Słyszy własne mamrotanie: „O Boże, o Boże, o Boże”.

- Bierz pistolet. Masz szansę wyjść z honorem. Inaczej zastrzelę cię jak psa. - Deependra wyrównuje broń i robi nagły, nerwowy krok w stronę Kishore'a. Dyszy jak zdychający kot. Całą koszulę ma przepoconą na wylot. Lufa broni jest o grubość palca od

czoła Kishore'a.

Wtem pojawia się rozmyty kształt, jakaś sylwetka na tle słońca, krzyk bólu, i w następnej chwili Jasbir widzi, że pistolet wisi za kabłąk na palcu Sujaya. Deependra leży na piasku, otwierając i zamykając prawą dłoń. Stary, ociekający wodą bramin wybałusza oczy.

- Dobra, wszystko w porządku. Koniec zabawy. Wkładam go do torby, razem z tym drugim. Teraz idę, gdzieś je wywalę, a wy mordę w kubeł, jasne? Zabieram torbę. I może spadajmy stąd, zanim ktoś zadzwoni po policję, co?

Zarzuca sobie torbę na ramię i rusza ku ulicznym latarniom, zostawiając Deependrze zgarbionego i szlochającego wśród drobnych plastikowych śmieci.

- Jak... ty... to... skąd ty umiesz takie rzeczy? - pyta Jasbir, goniąc za nim. Stopy zapadają mu się w miękki piasek.

- Programowałem ten ruch tyle razy, że pomyślałem, że może naprawdę zadziała.

- Chyba nie mówisz...

- No, z seriali znam. Chyba jak każdy?

* * *

Mydlana telenowela przynosi pociechę. Jej przewidywalne, drobne, wrzaskliwe sprzeczki, wyreżyserowane, zamaszyste melodramaty są antidotum na truciznę chaotycznego, pozbawionego scenariusza prawdziwego świata, gdzie urzędnik z Ministerstwa Wody może wyzwalać rywala na pojedynek na pistolety za kobietę, którą poznał na śaadi. Małe figurki prawdziwych dramatów, wyrzeźbione z mydła.

Mrugając, ciągle widzi ten pistolet. Widzi dłoń Deependry, wyciągającą go ze sportowej torby, w zwolnionym tempie jak na filmach karate. Wydaje mu się, że dostrzega i drugi pistolet, wciśnięty między zwinięte sportowe skarpetki. A może tylko go sobie wyobraża, to cięcie i zbliżenie? Jego pamięć już mu montuje ujęcia.

Uspokaja się, patrząc na Nilesza Vorę i żonę doktora Chatterjiego, na ich ciągle udaremniane podchody miłosne. A ta Deepti - czy ona kiedykolwiek się zorientuje, że dla elity towarzyskiej Brahmpuru na zawsze będzie niedotykalną dziewczyną spod wiejskiej pompy?

Pracujesz z kimś lata całe, oddzielony tylko szybką. Chodzisz z nim na śaadi, dzielisz się nadziejami i lękami z życia i miłości. I nagle miłość zamienia go w morderczego maniaka. A Sujay zabrał mu pistolet. Wielki, niezdarny Sujay wyjął mu z ręki nabity pistolet. Bo zastrzeliłby Kishore'a. Dzielny, szalony Sujay. Teraz programuje, to jego sposób na renormalizację. Tworzysz seriale, oglądasz seriale. Jasbir zrobi mu herbatę. Choć raz. Tak, zrobię. Taki miły gest. Zawsze on robi herbatę. Jasbir wstaje. Akurat leci ten nudny kawałek,

Mahesh i Rajani. Nie lubi ich. Bogaty chłopaczek, udający parkingowego, żeby znaleźć kobietę, która wyjdzie zań z miłości, a nie dla pieniędzy - to dla niego za bardzo naciągane. Chociaż ta Rajani jest ładna. Poprosiła właśnie Mahesha, żeby przyprowadził jej samochód pod hotel.

- W tej pracy mamy masę czasu na wymyślanie różnych teorii. Mam taką teorię: samochody ludzi mówią o ich charakterze - mówi Mahesh.

Tylko w telenoweli komuś może przyjść do głowy taki tekst na podryw, myśli Jasbir.

- Więc jest pani mercedesem, tata, li fanem czy lexusem? - dodaje Mahesh.

Jasbir zamiera w drzwiach.

- Hmm. Lexusem.

Odwraca się powoli. Wszystko pada, rozpada się, zostaje tylko on, zawieszony w powietrzu. Teraz Mahesh mówi:

- Wie pani, mam też drugą teorię, że każdy jest jakimś miastem. A pani? Delhi, Mumbai, Kolkata, Chennai?

Jasbir siada na poręczu kanapy. „Tekst”, szepcze. „A ona powie...”.

- Urodziłam się w Delhi...

- Nie o to mi chodzi.

„Mumbai”, mruczy Jasbir.

- To Mumbai. Tak, zdecydowanie Mumbai. W Kolkacie jest gorąco, brudno i paskudnie. A Chennai... nie. Zdecydowanie Mumbai.

- Czerwony, zielony, żółty, niebieski? - pyta Mahesh.

- Czerwony. - Bez chwili wahania.

- Kot, pies, ptak, małpa?

Nawet tak samo przekrzywia głowę. Wtedy właśnie zauważył, że Shulka ma lighthoeka.

- Ptak... nie.

- Nienienie - mówi Jasbir. Tu się chytrze uśmiechnie. - Małpa. - I jest uśmiech. Oto impas.

- Sujay! - wrzeszczy Jasbir. - Sujay! Dawaj mi tu Dasa!

* * *

- Jak *aeai* może się w ogóle zakochać? - indaguje Jasbir.

Ram Tarun Das siedzi w swoim standardowym wiklinowym fotelu, z nogą nonszalancko założoną na nogę. Już niedługo, już zaraz, myśli Jasbir, rozlegną się podniesione głosy i pani Prasad zacznie łomotać w ścianę i płakać.

- Ależ, proszę pana, przecież większość religii twierdzi, że miłość jest fundamentem wszechświata. W takim razie, może to wcale nie dziwne, że istota rozproszona, taka jak ja, również może odnaleźć miłość - i przeżyć zaskoczenie, ogromne zaskoczenie, sir. U istoty rozproszonej ma to zupełnie inną naturę niż fala neuroprzekaźników i przebiegi elektryczne - to, co uznajecie za miłość wy. U nas to bardziej... wzniosłe przeżycie - sądząc tylko po tym, co wiem od moich podprogramów z *Miasta i wsi*. A jednocześnie jest to poczucie niezwyklej wspólnoty. Jakże mam to opisać? Nie macie na to pojęć, a co dopiero słów. Jestem konkretnym wcieleniem aspektów wielu różnych *aeai* i podprogramów, ponieważ te *aeai* również są iteracjami różnych podprogramów. Niektóre są ledwo co rozumne. Jestem wielością, na imię mi Legion. I ona tak samo, choć oczywiście płęć kulturowa jest u nas całkowicie arbitralna i w dużej mierze po prostu nieistotna. Bardzo prawdopodobne, że na wielu poziomach mamy pewne wspólne komponenty. Więc u nas to nie tyle wspólnota umysłów, ile liga narodów. W tym się różnimy od ludzi, wy bowiem uważacie, jak się nam zdaje, że grupy prowadzą do podziałów i są antypatyczne. Tak uczy wasza polityka, religia, sport, ale przede wszystkim historia. Dla nas grupa jest czymś, co nas łączy. Grupy przyciągają się nawzajem. Może najtrafniejszą analogią będzie fuzja dużych korporacji. Ale wiem jedno: i u ludzi, i u *aeai*, istnieje potrzeba opowiedzenia ludziom o tym wszystkim.

- Kiedy się dowiedziałeś, że ona korzysta z asystentki-*aeai*?

- Hmm, od razu, sir. Dla nas takie rzeczy są oczywiste. I proszę mi wybaczyć to sformułowanie, ale my bierzemy się od razu do rzeczy. Fascynacja od pierwszej nanosekundy. Dlatego właśnie, jak to pan poznał po tej feralnej scenie *Miasta i wsi*, kierowaliśmy wami według scenariuszy.

- A my myśleliśmy, że nam pomagacie...

- Tymczasem byliście naszymi pośrednikami. Tak właśnie.

- I co teraz będzie? - Jasbir uderza się dłońmi w uda.

- Łączymy się na bardzo wysokim poziomie. Docierają do mnie tylko sugestie i cienie tego procesu, ale czuję, że rodzi się nowa *aeai*, o poziomie o wiele wyższym niż którekolwiek z nas albo inne postaci z naszego serialu. Czy to narodziny? Nie wiem, ale mam przekazać ten ogromny przypływ ekscytacji, który czuję?

- Ja pytałem o mnie.

- Och, przepraszam, sir. Oczywiście, że tak. Taki jestem tym wszystkim oszołomiony. Jeśli można, jedno spostrzeżenie: jest ziarno prawdy w tym, co mówią pana rodzice - najpierw małżeństwo, potem miłość. Miłość kiełkuje z tego, co widzi się codziennie.

* * *

Złodziejskie makaki biegają wokół nóg Jasbira i szarpia go za kanty spodni. Metro o północy, ostatni pociąg do domu. Nieliczni ostatni pasażerowie przestrzegają kwarantanny samotności. Dżinny niewytłumaczalnych wicherów, jakie mieszkają w tunelach kolejki, wzniesają z peronu spirale śmieci. Tunel ogniskuje dalekie zgrzyty i szczęknięcia, nieprzyjemne o tak późnej porze. Jakiś fatfat powinien jeszcze stać na postoju. Jeśli nie, przejdzie się. Nieważne.

Spotkał się z nią w modnym barze, sama skóra i przyciemniane szkło, w międzynarodowym hotelu w centrum. Wyglądała przepięknie. Już prosta czynność słodzenia i mieszania kawy rozdarła mu serce.

- Kiedy się dowiedziałeś?

- Devashri Didi mi powiedziała.

- Devashri Didi.

- A twoja jak?

- Ram Tarun Das, mistrz elegancji, wdzięku i dżentelmeńskich manier. Bardzo kulturalny, staroświecki radźputański dżentelmen. Cały czas tytułował mnie „sir”, aż do końca. Mój współlokator go zrobił. Projektuje postacie dla *Miasta i wsi*.

- Moja starsza siostra jest PR-owcem w dziale metaseriału, w Jahzay. Poprosiła jakąś projektantkę aktorów, żeby skleciła dla niej Devashri Didi.

Idea sztucznych aktorów, wierzących, że grają równie sztuczne role, nigdy nie mieściła się Jasbirowi w głowie. A potem dowiedział się o zakochanych *aeai*.

- Jest mężatka? Twoja siostra.

- Szczęśliwą. I ma dzieci.

- No cóż. To zostaje tylko liczyć, że nasze *aeai* też będą razem szczęśliwe.

Jasbir uniósł szklankę. Shulka podniosła filiżankę z kawą. Nie piła. Nie lubiła alkoholu. Devashri Didi powiedziała jej, że z drinkiem będzie lepiej wyglądać na nowoczesnym *saadi* u begum Jaitly.

- A mój drobny quiz? - zapytał Jasbir.

- Devashri Didi podała mi odpowiedzi, których się spodziewałeś. Powiedziała, że to standardowy numer, psychozabawy i testy na osobowość.

- A ten sanskryt?

- Nie znam ani słowa.

Jasbir szczerze się roześmiał.

- Ścieżka duchowego rozwoju?

- Jestem materialistką. Ale Devashri Didi powiedziała...

- Taka głębia duchowa by mi strasznie zaimponowała. Ja też nie jestem jakimś specem od historii. A *Kawaler na wydaniu*?

- Przecież tego szajsu w ogóle nie da się czytać.

- Ja też nie dałem rady.

- Coś w ogóle było prawdą?

- Jedno - odpowiedział Jasbir. - Umiem tańczyć tango.

Jej zaskoczenie, przeradzające się w radosny śmieszek, także było autentyczne. A potem je opanowała i schowała do kieszeni.

- Miałem w ogóle jakieś szanse? - zapytał Jasbir.

- Musiałeś o to pytać? Nie lepiej uznać, że bawiliśmy się razem w taką grę: podać sobie ręce, pośmiać się i niech tak zostanie? Jasbir, lepiej się poczujesz, jak ci powiem, że w ogóle nie szukałam? Chciałam tylko sprawdzić, jak działa ten system. Dla panien na wydaniu świat wygląda zupełnie inaczej. Mam swój plan.

- O.

- Dzisiaj, na samym początku, poprosiłeś i się zgodziłam: już nic nie udajemy. - Odwróciła filizankę uszkiem w prawą stronę i elegancko ułożyła łyżeczkę na spodku. - Muszę już iść. - Zatrzasnęła torebkę i wstała.

„Nie odchodź”, powiedział Jasbir, niemym głosem mistrza elegancji, wdzięku i dżentelmeńskich manier. Odeszła.

- Aha, Jasbir...

- Tak?

- Fajny z ciebie facet, ale to nie były randki.

Małpa pozwala sobie na zbyt dużo, szarpiąc Jاسبira za łydkę. Kopniak trafia i posyła ją, rozwrzeszczaną, awanturującą się, na drugi koniec peronu. Przepraszam, małpiszonie. To nie o ciebie chodziło. W tunelu coś dudni i dygoce, prąd gorącego powietrza i zapach elektryczności zapowiadają ostatnie metro. Gdy światła kołyszają się na krzywiźnie torów, Jasbir wyobraża sobie, jak to by było, zrobić krok i rzucić się na nie. Nastąpiłby koniec gry. Deependra wykpił się łatwo. Zwolnienie lekarskie z mętnie podaną przyczyną, państwowy psychoterapeuta, leki. Jasbir jednak nie widzi takiego końca, a gry ma już serdecznie dość. Wtem wpada pociąg, niebiesko-srebrny rozbłysk z żółtymi światłami; ten nagły grzmot sprawia, że bierze się w garść. Widzi swoją twarz w szybie. Zęby nadal ma bosko białe. Kręci głową, uśmiecha się i zamiast pod pociąg wskakuje w otwierające się drzwi.

Jest tak, jak podejrzewał. Ostatni fatfat już pojechał do domu z postoju przed stacją metra Barwała. Do Acacia Bungalow Colony, odgródzonej murami i bramami, ma cztery

kilometry dziurawą, spękaną drogą. Niecała godzina. Czemu nie? Noc jest ciepła, nie ma nic lepszego do roboty, a może jeszcze przejedzie jakaś taksówka. Wychodzi na zewnątrz. Po półgodzinie drugą stroną drogi przejeżdża ostatni, patrolujący fatfat. Jasbir odprawia go machnięciem. Napawa się nocą i melancholią. Nad sobą widzi gwiazdy, ponad złotą luną wielkiego Delhi.

Światło leje się z wielkich balkonowych okien werandy do wnętrza ciemnego salonu. Sujay dalej pracuje. Przez cztery kilometry udało się Sujayowi spociec. Nurkuje pod prysznic, zamyka oczy w rozkoszy, gdy uderzają go strumienie wody. Niech leci, niech leci, nieważne, ile się zmarnuje, nieważne, ile kosztuje i jak bardzo potrzebują jej rolnicy. Zmyć z siebie ten stary, zmęczony kurz.

Skrobnięcie w drzwi.

Czyżby słyisał czyjeś mruknięcie? Zakręca prysznic.

- Sujay?

- Ja... eee... herbatę ci przyniosłem.

- Dziękuję.

Cisza, Jasbir wie jednak, że Sujay jeszcze nie poszedł.

- Eee... chciałem tylko powiedzieć, że... ja... tego... zawsze...

Jasbir wstrzymuje oddech, woda spływa mu po ciele i skapuje do brodzika.

- Zawsze będę tu na ciebie czekał.

Jasbir owija biodra ręcznikiem, otwiera drzwi łazienki i podnosi herbatę.

Teraz z jasno oświetlonych okien numeru 27 w Acacia Bungalow Colony zaczyna dudnić latynoska muzyka. Światła zapalają się na całym osiedlu. Pani Prasad wali butem w ścianę i zaczyna lamentować. Pora na tango.

MAŁA BOGINI

Pamiętam wieczór, kiedy zostałam boginią.

Mężczyźni zabrali mnie z hotelu o zachodzie słońca. Byłam oszołomiona z głodu, bo egzaminatorzy powiedzieli, że w dniu próby nie wolno mi nic jeść. Wstałam już o świcie; mycie, ubieranie, malowanie było długie i męczące. Rodzice umyli mi stopy w bidecie. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy takiego sprzętu, a to wydawało się dla niego naturalnym zastosowaniem. W życiu nie nocowaliśmy w hotelu. Wydawał nam się bardzo elegancki, choć teraz widzę, że był tanią sieciówką dla turystów. Pamiętam, że zjeżdżając windą, czułam zapach smażonej w ghee cebuli. Pachniało mi to jak najlepsze jedzenie na świecie.

Wiem, że oni musieli być kapłanami, ale nie przypominam sobie, czy nosili uroczyste szaty. Matka płakała w hallu; ojciec zacisnął usta i szeroko otwierał oczy, jak to robią dorośli, gdy chcą się rozplakać, ale nie pozwalają sobie na to, żeby nikt obcy nie widział łez. W tym samym hotelu mieszkały jeszcze dwie dziewczynki, które przyjechały na próbę. Nie znałam ich; były z innych wsi, gdzie mogły się także urodzić boginie. Ich rodzice otwarcie szlochali. Nie rozumiałam ich, przecież ich córki mogły zostać boginiami.

Na ulicy rikszarze trąbili i machali do nas, widząc nasze czerwone szaty i trzecie oczy na czołach. „Patrzcie, devi, devi! Przynoszą szczęście!”. Inne dziewczynki mocno ścisnęły dłonie mężczyznom. Ja podniosłam spódnice i wsiadłam do samochodu o przyciemnianych szybach.

Zabrali nas do Hanuman Dhoka. Policja i roboty broniły ludziom dostępu na plac Durbar. Pamiętam, że długo gapiłam się na te maszyny, na ich nogi jak u stalowych kur i obnażone ostrza w chwytakach. Przyboczne maszyny bojowe samego prezydenta. Potem ujrzałam świątynię, jej strzeliste dachy pnące się bez końca w czerwony zachód słońca i przemknęło mi przez głowę, że zadarte okapy krwawią.

Sala była długa, ciemna, duszna i ciepła. Niskie wieczorne słońce wpadało pylistymi snopami przez szczeliny i pęknięcia w rzeźbionym drewnie; było tak jaskrawe, że niemal paliło. Z zewnątrz dobiegał hałas ruchu ulicznego i gwar turystów. Ściany wydawały się jednocześnie cienkie i grube na kilometr, jakby plac Durbar znajdował się w innym świecie. Pachniało metalicznie, mosiężnie. Wtedy nie poznałam tego zapachu, teraz wiem, że tak pachnie krew. Był jeszcze drugi, słabszy zapach, czasu, w warstwie grubej jak kurz. Jedna z

dwóch kobiet, które miały zostać moimi opiekunkami, jeśli przejdę próbę, powiedziała, że świątynia ma pięćset lat. Była niska, okrągła, z twarzą z pozoru uśmiechniętą, która po bliższym przyjrzeniu się wcale taka nie była. Kazała nam usiąść na podłodze na czerwonych poduszkach, a mężczyźni sprowadzili resztę dziewczynek. Niektóre już płakały. Kiedy było nas dziesięć, obie kobiety wyszły i zamknięto drzwi. Siedziałyśmy długo w upale długiej sali. Niektóre dziewczynki wierciły się i gadały, ja natomiast obserwowałam płaskorzeźby na ścianie i zaraz się w tym zatraciłam. Zawsze mi to łatwo przychodziło; w Shakyi mogłam przepaść na całe godziny, patrząc na ruchy chmur nad górami, na falowanie szarej rzeki daleko w dole czy trzepotanie flagi modlitewnej na wietrze. Rodzice widzieli w tym oznakę mojej wrodzonej boskości, jedną z trzydziestu dwóch, jakie naznaczały dziewczynki, w których mogła zamieszkać bogini.

W dogasającym świetle przeczytałam opowieść o Jayaprakashu Maili grającym w kości z boginią Taleju Bhawani, która przyszła do niego pod postacią czerwonego węża i złożyła przysięgę, że powróci do władców Katmandu jako dziewczynka-dziewica z niskiej kasty, by ukarać ich wyniosłość. Zakończenia już w ciemności nie widziałam, ale nie musiałam. To ja byłam tym zakończeniem, lub któraś inna z dziewięciu dziewczynek w tym bożym domu devi.

Nagle drzwi otworzyły się szeroko, wybuchły petardy, a wśród łomotu i dymu do sali wskoczyły czerwone demony. Za nimi mężczyźni w czerwieni walili w rondle, kołatki i gongi. Co najmniej dwie dziewczynki od razu się rozpląkały. Kobiety przyszły i je wyprowadziły. Ja jednak wiedziałam, że to tylko mężczyźni, którzy się wygłupiają. W maskach. Nawet nie przypominali demonów. Już widziałam demony, kiedy przychodziły chmury deszczowe i światło wpadało głęboko w dolinę, a wszystkie góry zlewały się w jedną. Kamienne demony, wysokie na wiele kilometrów. Słyszałam ich głosy, a ich oddech nie cuchnął cebulą. Wygłupiający się mężczyźni tańczyli tuż przede mną, potrząsając czerwonymi grzywami i językami, ja jednak widziałam ich oczy za wymalowanymi otworami. Bali się mnie.

Wtem drzwi znów otworzyły się z hukiem, kolejny łomot fajerwerków, przez dym wbiegła kolejna grupa mężczyzn. Ci nieśli zakryte czerwonymi płachtami koszyki. Ustawili je przed nami i zdarli przykrycia. Głowy bawołów, odcięte tak niedawno, że krew była jeszcze jaskrawa i lśniąca. Wywrócone oczy, wywieszane ozory, jeszcze ciepłe, wciąż mokre nosy. I muchy rojące się wokół odciętych szyj. Jeden z nich podsunął kosz ku mnie, ku mojej poduszce, jakby to był talerz ze świętym jedzeniem. Dziewczynka z mojej wsi zaczęła lamentować; płacz podjęła kolejna, potem trzecia i czwarta. Druga kobieta, stara i wysoka,

pomarszczona, z cerą jak stara torba, przysła, żeby je wyprowadzić, ostrożnie unosząc suknię, żeby nie pobrudzić się krwią. Tancerze wirowali wkoło jak płomienie, a klęczący mężczyzna podniósł głowę bawołu z koszyka. Podsunął mi ją pod nos, oko w oko, lecz ja myślałam tylko, że musi być bardzo ciężka; mięśnie miał napięte, sękaty, ramiona mu drżały. Muchy przypominały czarne klejnoty. Wtem na zewnątrz ktoś klasnął. Mężczyźni odłożyli głowy, przykryli je płachtami i wyszli, razem z wirującymi i skaczącymi wokół nich głupekowatymi demonami-przebierańcami. Oprócz mnie została tylko jedna dziewczynka. Nie znałam jej, była z rodziny buddystów Vajrayana z Niwari w głębi doliny. Siedziałyśmy tam bardzo długo, miałyśmy ochotę zagadać do siebie, ale nie wiedziałyśmy, czy to także nie jest częścią próby. Wtedy drzwi otworzyły się po raz trzeci i dwóch mężczyzn wprowadziło do sali białą kozę. Ustawili ją dokładnie między mną a dziewczynką z Niwari. Widziałam, jak łypie złowrogim okiem o pionowej źrenicy. Jeden trzymał za sznur, drugi wyjął ze skórzanej pochwy wielki obrzędowy nóż kukri. Pobłogosławił go, jedno silne uderzenie i głowa kozy odskoczyła od ciała.

Omal się nie roześmiałam, tak śmiesznie wyglądała koza - ciało nie wiedziało, gdzie jest głowa, głowa rozglądała się za ciałem, potem zorientowało się, że nie ma głowy, i upadło z wierzgnięciem. I czemu ta dziewczynka z Niwari tak się drze? Nie widzi, jakie to śmieszne? A może wrzeszczy, bo zazdrości, że ja zrozumiałam ten żart? Wszystko jedno: przyszły obie kobiety, uśmiechnięta z pomarszczoną, i bardzo delikatnie ją wyprowadziły, a dwaj mężczyźni padli na kolana w rozlewającej się kałuży krwi i ucałowali drewnianą podłogę. Zabrali obie części kozy. Szkoda. Chciałabym, żeby ktoś ze mną został w tej drewnianej sali. A tak siedziałam sama, w skwarze, ciemności i słyszałam, jak basowe dzwony Katmandu zaczynają się kołysać i bić. Wtedy drzwi otworzyły się po raz ostatni i pojawiły się kobiety, całe w świetle.

- Czemu mnie zostawiłyście samą?! - krzyknęłam. - Zrobiłam coś nie tak?!

- Jakżebyś mogła zrobić coś nie tak, bogini? - powiedziała stara i pomarszczona, która razem z koleżanką miała zostać moją matką, ojcem, bratem i siostrą. - Teraz chodź z nami, pośpiesz się. Prezydent czeka.

Kumarima Uśmiechnięta i Kumarima Wysoka (tak trzeba będzie teraz o nich myśleć) ujęły mnie za obie ręce i wyprowadziły, podskakującą, z wielkiej, górującej nad wszystkim świątyni Hanumana. Od jej podnóża do pobliskiego drewnianego pałacu ułożono ścieżkę z białego jedwabiu. Ludzi wpuszczono z powrotem na plac, cisnęli się po obu stronach ścieżki, porządek utrzymywała policja i roboty. Maszyny trzymały w chwytakach płonące pochodnie. Ogień odbijał się w morderczych ostrzach. Na mrocznym placu zapadła cisza.

- Twój dom, bogini - powiedziała Kumarima Uśmiechnięta, nachylając się nisko, by szepnąć mi do ucha. - Idź po jedwabiu, devi. Nie schodź z niego. Trzymam cię za rękę, ze mną jesteś bezpieczna.

Szłam pomiędzy Kumarimami, nućąc przebój, który usłyszałam w radiu w hotelu. Gdy się obejrzałam, zobaczyłam, że zostawiam krwawe ślady.

* * *

Nie masz kasty, nie masz wioski, nie masz domu. Twoim domem jest pałac, a któż nie chciałby mieszkać w pałacu? Postarałyśmy się, żeby ci się podobał, gdyż wyjdiesz z niego tylko sześć razy w roku. W tych murach jest wszystko, czego ci potrzeba.

Nie masz matki ani ojca. Bogini nie ma rodziców. Sióstr i braci także nie masz. Twoim bratem jest prezydent, siostrą Nepal. Kapłani, którzy cię otaczają, są nieważni. My, twoje Kumarimy, jesteśmy mniej niż nieważne. Jak pył, proch, narzędzie. Możesz rozkazać, co chcesz, a my musimy usłuchać.

Jak powiedziałyśmy: wyjdiesz z pałacu tylko sześć razy w roku. Poniosą cię w palankinie. Och, jaki on jest piękny, z rzeźbionego drewna i jedwabiu. Poza pałacem nie wolno ci dotykać ziemi. Dotkniesz ziemi i w jednej chwili przestajesz być boginią.

Ubierać się będziesz w czerwień, włosy wiązać w kok, paznokcie u rąk i nóg będziesz mieć pomalowane. Na czole będziesz nosić czerwoną tilakę Śiwy. Będziemy ci pomagać w przygotowaniach, dopóki nie staną się dla ciebie drugą naturą.

Odzywać się będziesz tylko w obrębie pałacu, a i tam niewiele. Kumari to milczenie. Nie będziesz się uśmiechać ani okazywać żadnych uczuć.

Nie będziesz krwawić. Żadnych ranek, żadnych zadrapań. Twoja moc jest we krwi i kiedy krew wypłynie, wypłynie też devi. W dniu twojego pierwszego krwawienia, choćby to była jedna kropla, powiesz o tym kapłanowi, a on zawiadomi prezydenta, że bogini odeszła. Nie będziesz już boska, opuścisz ten pałac i wrócisz do rodziny. Nie będziesz krwawić.

Nie masz imienia. Jesteś Taleju, jesteś Kumari. Jesteś boginią.

Takie pouczenia szeptały mi moje dwie Kumarimy, kiedy szłyśmy między kapłanami do prezydenta. Nosił zachodni garnitur, ale tradycyjną nepalską czapkę. Wiedział, że choć w Nepalu nie ma już żadnych królów, ja jestem królewską rodziną. Złożył dłonie w namaste, usiedliśmy obok siebie na starych, królewskich lwich tronach, a długa sala trzęsła się od dzwonów i bębnow z placu Durbar. Pamiętam, jak myślałam, że musi mi się pokłonić, lecz nawet boginie obowiązują pewne zasady.

Kumarima Uśmiechnięta i Kumarima Wysoka. Wysoka rysuje mi się w pamięci jako pierwsza, powinna bowiem mieć pierwszeństwo ze względu na wiek. Była prawie tak wysoka

jak Zachodniak i chuda jak patyk w suszę. Na początku się jej bałam. Potem usłyszałam jej głos i już nie potrafiłam się bać - był przyjemny jak śpiew ptaka. Kiedy się odzywała, miało się wrażenie, że już wszystko wiesz. Kumarima Wysoka mieszkała w małym mieszkanku nad sklepem dla turystów na skraju placu Durbar. Z okienka, pomiędzy schodkowymi pagodami było widać mój Kumari Ghar. Jej mąż zmarł na raka płuc, od zanieczyszczeń i tanich indyjskich papierosów. Dwaj wysocy synowie byli już dorośli, żonaci, mieli własne dzieci, starsze ode mnie. Przede mną zdążyła matkować pięciu boginiom Kumari.

Teraz przypomina mi się Kumarima Uśmiechnięta. Niska, okrągła, miała problemy z oddychaniem i używała inhalatorów, niebieskiego i brązowego. Kiedy plac Durbar był złoty od smogu, ciągle słyszałam ich wężowy syk. Mieszkała na nowych przedmieściach po zachodniej stronie, na wzgórzach, skąd jechało się długo, nawet rządowym samochodem, który miała do dyspozycji. Jej dzieci miały dwanaście, dziesięć, dziewięć i siedem lat. Była wesola i traktowała mnie jak piąte dziecko, najmłodsze i ulubione, ale czułam, że i tak się mnie boi, tak jak ci poprzebierani za demony mężczyźni. O tak, to jest najwyższy zaszczyt, jaki może przyspaść kobiecie - zostać matką bogini - tak na to mówiono - choć nie pomyślałoby się tak, słysząc gadanie sąsiadów z osiedla: „Zamykają się w tym strasznym drewnianym kufierku, a jeszcze z tą krwią, średniowiecze, średniowiecze”. Ale oni nic nie rozumieją. Ktoś musi chronić kraj przed tymi, co chcą zmienić nas w drugie Indie, albo, co gorsza, Chiny; ktoś musi pielęgnować stare tradycje boskiego królestwa. Bardzo szybko dostrzegłam tę różnicę między nimi. Kumarima Uśmiechnięta była moją matką z obowiązku. Kumarima Wysoka - z miłości.

Ich prawdziwych imion nigdy nie poznałam. Na służbie zmieniały się rytmicznie jak fazy księżyca. Uśmiechnięta przyłapała mnie kiedyś, jak patrzę przez kratkę dżali na tłusty księżyc w rzadką, pogodną, czystą noc i przegoniła mnie stamtąd: „Nie patrz na niego, mała devi, on wywoła z ciebie krew, i koniec z devi”.

Za drewnianymi ścianami, wśród żelaznych reguł Kumari Ghar, lata przestawały się od siebie czymkolwiek różnić. Teraz wydaje mi się, że kiedy zostałam Taleju Devi, miałam pięć lat. Rok był chyba 2034, lecz niektóre wspomnienia przebijają się spod powierzchni, jak kwiaty spod śniegu.

Monsun padający na strome zbocza, woda z gulgotem spływająca rynnami, okiennica, która co roku się obluźowywała i klekotała na wietrze. Wtedy były jeszcze monsuny. Demony gromów w otaczających miasto górach, mój pokój oświetlany rozbłyskami piorunów. Kumarima Wysoka przyszła sprawdzić, czy trzeba mi zaśpiewać do snu, ale ja się nie bałam. Bogini nie może się bać burzy.

Dzień, w którym poszłam na spacer do małego ogródka, a Kumarima Uśmiechnięta krzyknęła i padła mi do stóp na trawie, i już miałam na końcu języka, że ma wstawać i więcej nie padać przede mną na twarz, gdy nagle podniosła trzymaną między kciukiem i palcem wskazującym zieloną pijawkę, wijącą się, kręcącą i szukającą miejsca, żeby się wpić w moje ciało.

Poranek, w który Kumarima Wysoka przyszła i powiedziała, że ludzie chcą mnie zobaczyć. Najpierw wydało mi się to wspaniałe: ludzie chcą przychodzić i patrzeć na mnie na moim małym balkoniku, w moim stroju, makijażu i biżuterii. Teraz okazało się to męczące: same wytrzeszczone oczy i rozdziawione gęby. To było tydzień po moich dziesiątych urodzinach. Pamiętam, że Kumarima Wysoka się uśmiechnęła, ale tak, żebym nie widziała. Poprowadziła mnie na dźharokę, bym pomachała do ludzi na dziedzińcu; zobaczyłam sto zadartych ku mnie chińskich twarzy, potem usłyszałam wysokie, podekscytowane głosy. Czekałam i czekałam, lecz dwoje turystów nie odchodziło. Zwykli ludzie, ciemne, tubylcze twarze, wiejskie ubrania.

- Czemu nas tu trzymają? - zapytałam.

- Pomachaj do nich - ponagliła Kumarima Wysoka. - Tylko o to im chodzi.

Kobieta pierwsza dostrzegła moją podniesioną dłoń. Zrobiło jej się słabo, chwyciła męża za ramię. Nachylił się do niej, a potem zadarł ku mnie głowę. Na jego twarzy widziałam wiele uczuć: szok, zmieszanie, rozpoznanie, odrazę, zdumienie, nadzieję. Lęk. Zamachałam, a on szturchnął żonę: „Patrz, patrz”. Pamiętam, że wbrew wszelkim regułom uśmiechnęłam się. Kobieta wybuchnęła płaczem. Mężczyzna już miał coś zawołać, ale Kumarima Wysoka pośpiesznie mnie wyprowadziła.

- Co to za śmieszni ludzie? - zapytałam. - Widziałaś, jakie mieli białe buty?

- To twoja matka i ojciec - powiedziała Kumarima Wysoka.

Kiedy prowadziła mnie korytarzem Durgi, standardowo zabroniwszy sunąć ręką po drewnianej ścianie, z obawy przed drzazgami, czułam, że jej dłoń drży.

Później w nocy śniłam o moim życiu, to zresztą nie był sen, tylko jedno z moich najwcześniejszych wspomnień, pukające i pukające bez końca do drzwi pamięci. Za dnia bym się do niego nie przyznała, więc musiało przychodzić w nocy, tajemnymi drzwiami.

Siedzę w klatce nad wąwozem. Daleko w dole płynie rzeka, mleczna od błota i mułu, spieniona jak śmietana na kamieniach i odłupanych od zboczy skalnych łomach. Lina biegnie nad rzeką od mojego domu do letniego pastwiska, a ja siedzę w klatce używanej do przewożenia kóz na drugą stronę. Za plecami mam szosę, zawsze hałaśliwą od ciężarówek, flagi modlitewne oraz tablicę z logo butelkowanej wody „Kinley”, należąca do przydrożnej

herbaciarni mojej rodziny. Klatka wciąż się kołysze od ostatniego kopniaka wuja. Widzę go, uczeplonego liny rękoma i nogami, wyszczerzonego w szczerbatym uśmiechu. Twarz ma ogorzałą po lecie, dłonie popękane i brudne od naprawiania ciężarówek. Smar we wszystkich zmarszczkach. Marszczy nos, wyplątuje nogę z liny, żeby popchnąć bloczek klatki naprzód. Bloczek się kołysze, kołysze się lina, kołyszą się góry, niebo i rzeka, lecz ja jestem bezpieczna w swojej klatce dla kóz. Przepychano mnie nad wąwozem wiele razy. Wuj przesuwają się o kawałek. Tak właśnie przekraczamy rzekę, kopniak za kopniakiem, cal za całem.

Nie wiem, co go trafia - pewnie coś z mózgiem, jak ta choroba, której dostają nizinni, kiedy idą w wysokie góry. W następnej sekundzie widzę, że zwisa z liny zaczepiony prawą ręką i nogą. Lewa ręka i noga wiszą bezwładnie, podrygują jak krowa z podciętym gardłem, bujając liną i moją klateczką. Mam trzy lata i to wydaje mi się śmieszne, myślę, że wuj się wygłupia, specjalnie dla mnie, więc też się bujam, podskakuję w klatce, huśtając go w górę i w dół, w górę i w dół. Połowa ciała go nie słucha: próbuje przesunąć się naprzód jedną ręką i jedną nogą, o tak, wyrzucić naprzód rękę, szybko, żeby ani na moment nie puszczać się liny. Przez cały czas huśta się w górę, i w dół, w górę i w dół. Usiłuje krzyczeć, ale słowa są niezrozumiałym bełkotem, bo ma sparaliżowaną połowę twarzy. Widzę teraz, że palce rozluźniają uchwyt. Widzę, jak się okręca, a zdrowa noga zsuwa się z liny. Teraz spada, połową ciała usiłując się czegoś chwycić, połową ust próbując krzyknąć. Widzę, jak leci, jak koziołkuje, odbijając się od skał - coś, co zawsze sama chciałam zrobić. Widzę, jak wpada do rzeki i jak połyka go brunatna woda.

Mój starszy brat przyszedł z hakiem i ściągnął mnie z powrotem. Kiedy rodzice odkryli, że nie krzyczę - ani szloch, ani łzy, ani choćby skrzywionej buzi - wtedy wiedzieli, że jest mi pisane zostać boginią. Bo uśmiechałam się w tej drucianej klatce.

* * *

Najlepiej pamiętam święta, bo tylko wtedy wychodziłam z Kumari Ghar. Najlepsze było święto Dashain, pod koniec lata. Przez osiem dni miasto spływało czerwienią. W ostatnią noc nie spałam, słuchając, jak głosy na placu zlewają się w jeden ryk - wyobrażałam sobie, że tak brzmi morze. To były głosy mężczyzn grających w karty o łaskę bogini Lakszmi, devi bogactwa. Dawniej, w święto Dashain ojciec i wujowie grali w karty na pieniądze. Pamiętam, że kiedyś zesłam i zapytałam, co to za śmiechy, a oni wtedy podnieśli głowy znad kart i roześmiali się naprawdę. Nie wiedziałam, że na świecie w ogóle jest tyle monet, ile było wówczas na tym stole, ale wobec Katmandu w ósmy dzień święta Dashain to było nic. Kumarima Uśmiechnięta powiedziała mi, że niektórzy kapłani przez cały rok

odrabiają to, co przegrali. Potem przyszedł dzień dziewiąty, wielki dzień i wypłynęłam z pałacu, żeby miasto mogło oddać mi cześć.

Podróżowałam w lektyce dźwiganej przez czterdziestu mężczyzn przypasanych do bambusowych drągów grubych jak moje ciało. Szli ostrożnie, badając każdy krok, bo ulice były śliskie. Otoczona bogami, kapłanami i obłąkanymi ze świętości sadhu, jechałam na złotym tronie. Najbliżej mnie znajdowały się moje Kumarimy, moje dwie matki, tak dumne i strojne w czerwonych sukniach, tiarach i makijażu, że niemal nie przypominały ludzi. Głos Kumarimy Wysokiej i uśmiech Uśmiechniętej napawały mnie otuchą, gdy jechałam z Hanumanem i Taleju wśród wiwatujących tłumów, muzyki, jaskrawych proporców na tle błękitu nieba oraz zapachu, który poznałam w noc, gdy stałam się boginią - zapachu krwi.

W owo Dashain miasto przyjęło mnie jak nigdy dotąd. Nocny zgielk na cześć Lakszmi trwał także przez cały dzień. Jako Taleju Devi nie powinnam zauważać czegoś tak niegodnego, jak ludzie, lecz kącikami umalowanych oczu mogłam zerknąć poza krąg robotów idących równym krokiem z moimi tragarzami, i widziałam, że ulice rozchodzące się gwiazdźście spod stupy na Chhetrapati Chowk są po brzegi wypełnione ludźmi. Pryskali w powietrze strumieniami wody z plastikowych butelek. Woda skrzyła się, rozpraszała w małe tęcze, spadała na nich z powrotem, przemakali do nitki, ale nie przejmowali się tym. Twarze mieli szalone w rozmodleniu.

Kumarima Wysoka zobaczyła moje niezrozumienie, nachyliła się i szepnęła:

- Odprawiają pudzę za deszcz. Już po raz drugi nie przyszedł monsun, devi.

Kiedy mówiłam, Kumarima Uśmiechnięta zasłaniała mnie wachlarzem, żeby nikt nie widział, jak poruszam ustami.

- My nie lubimy deszczu - powiedziałam stanowczo.

- Bogini robi nie tylko to, co lubi - upomniała mnie Kumarima Wysoka. - To poważna sprawa. Ludzie nie mają wody. Wysychają rzeki.

Pomyślałam o rzece płynącej daleko w dole pod domem, w którym się urodziłam, o gęstej jak śmietana wezbranej wodzie, upstrzonej kleksami żółtej piany. Zobaczyłam, jak pochłania mojego wuja, i nie potrafiłam sobie wyobrazić, że staje się cienka, słaba, głodna.

- To dlaczego rozlewają wodę? - zapytałam.

- Żeby bogini dała im jej więcej - wytłumaczyła Kumarima Uśmiechnięta.

Ja nawet z punktu widzenia bogini nie dostrzegałam w tym sensu, zmarszczyłam czoło, by zastanowić się nad tym ludzkim zachowaniem, i dzięki temu patrzyłam wprost na niego, kiedy ruszył ku mnie.

Miał bladą skórę mieszcucha i włosy z przedziałkiem po lewej stronie, podskakujące,

kiedy wynurzał się z tłumu. Uniósł zaciśnięte dłonie do kołnierza koszuli w ukośne paski i ludzie zaczęli od niego uciekać. Widziałam, jak zaczepia kciuki o dwie pętelki z czarnego sznurka. Widziałam, jak otwiera usta do głośnego krzyku. Wtem maszyna się zamachnęła, zobaczyłam błysk srebra. Głowa młodzieńca poszybowała wysoko w powietrze. Oczy i usta zrobiły się okrągłe od okrzyku „o!”. Prezydencki robot schował ostrze do pochwy, jak chłopak składający scyzoryk, zanim ciało, jak ta śmieszna koza w Hanuman Dhoce, uświadomiło sobie, że nie żyje, i padło na ziemię. Tłum wrzasnął i usiłował odsunąć się od bezgłowego kształtu. Moi tragarze zakołysali się, zachwiali, niepewni dokąd iść i co robić. Przez moment pomyślałam, że mnie upuszczą.

Kumarima Uśmiechnięta wydała krótki okrzyk przerażenia:

- Oj! Oj! Oj!

Całą twarz miałam w krwawych kropkach.

- To nie jej! - krzyknęła Kumarima Wysoka. - To nie jej!

Zwilżyła chusteczkę językiem. Delikatnie ścierała mi krew młodzieńca z twarzy, gdy przybyła straż prezydencka w ciemnych garniturach i okularach, przebijając się przez tłum. Unieśli mnie, przestąpili przez trupa i wsadzili do podstawionego tymczasem samochodu.

- Rozmazałeś mi makijaż - powiedziałam do strażnika, kiedy samochód ruszył. W wąskich zaułkach wierni ledwo nadążali uskakiwać.

Wieczorem Kumarima Wysoka przyszła do mojego pokoju. Powietrze wypełniał terkot śmigłowców, przeczesujących miasto w poszukiwaniu spiskowców. Śmigłowców i maszyn jak te przyboczne roboty prezydenta, które potrafiły latać i patrzeć na Katmandu z góry jastrzębimi oczyma.

Usiadła na moim łóżku i położyła na czerwono-złotej haftowanej kołdrze małe przejrzyste niebieskie pudełeczko. W środku były dwie tabletki.

- Żeby ci się łatwiej zasnęło.

Pokręciłam głową. Kumarima Wysoka schowała niebieskie pudełeczko w fałdzie rękawa.

- Kto to był?

- Fundamentalista. Karsevak. Głupi i smutny młody człowiek.

- Hindus, ale chciał nas skrzywdzić.

- Na tym właśnie polega szaleństwo. On i jemu podobni uważają, że nasz kraj zrobił się zbyt zachodni, za bardzo odszedł od swoich korzeni i religijnych prawd.

- I atakuje nas. Taleju Devi. Wysadziłby swoją własną boginię, gdyby maszyna nie ścięła mu głowy. To prawie tak dziwne, jak ludzie marnujący wodę, żeby przywołać deszcz.

Kumarima Wysoka pochyliła głowę. Sięgnęła w zanadrze szaty i wyciągnęła drugi przedmiot, który położyła na ciężkiej kołdrze tak samo dokładnie i ostrożnie jak pigułki nasenne. Była to lekka rękawiczka bez palców, prawa, do jej grzbietu przywarł wygięty kawałek plastiku w kształcie bardzo małego koziego płodu.

- Wiesz, co to?

Kiwnęłam głową. Każdy wierny odprawiający pudzę na ulicy miał takie coś i robił mi ukradkiem zdjęcia, podnosząc prawą rękę. Palmer.

- Wysyła informacje do głowy - szepnęłam.

- Może o wiele więcej, devi. Pomyśl, że to coś jak twoja dźharoka, tylko że wychodzi nie na Durbar Square, ale na cały świat, poza Katmandu, poza Nepal. To *aeai*, sztuczna inteligencja, istota myśląca, jak te maszyny na niebie, ale o wiele od nich bystrzejsza. Tamte są na tyle sprytnie, że umieją latać, polować i nic poza tym, ona natomiast powie ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć. Wystarczy, że zapytasz. A musisz wiedzieć dużo rzeczy. Bo wiecznie Kumari nie będziesz. Przyjdzie dzień, w którym będziesz musiała pożegnać się z pałacem i wrócić do świata. Widziałam inne przed tobą w tej sytuacji. - Wyciągnęła ręce i ujęła w nie moją twarz, potem je cofnęła. - Moja devi: jesteś wyjątkowa, ale ta wyjątkowość, dzięki której jesteś Kumari, sprawi, że na świecie będzie ci ciężko. Dla ludzi to będzie choroba. Albo i gorzej...

Powstrzymała emocje, delikatnie wkładając mi plastikowy płód za ucho. Poczułam, jak porusza się na mojej skórze, później Wysoka naciągnęła rękawiczkę, narysowała dłonią mudrę i usłyszałam w głowie jej głos. W powietrzu między nami pojawiły się świetliste litery, słowa, które Kumarima Wysoka wielkim wysiłkiem nauczyła mnie czytać.

Nie daj nikomu tego znaleźć, powiedziała jej roztańczona dłoń. Nikomu nie mów, nawet Kumarimie Uśmiechniętej. Wiem, że ją tak nazywasz. Ona by nie zrozumiała. Pomyślałaby, że to coś nieczystego, brudnego. Pod pewnymi względami jest trochę podobna do tego człowieka, który chciał cię skrzywdzić. Niech to będzie nasz wspólny sekret. Tylko ty i ja.

Kumarima Uśmiechnięta przyszła zaraz potem, żeby do mnie zajrzeć i sprawdzić, czy nie ma pcheł, ja jednak udawałam, że śpię. Rękawiczkę i kozi zarodek schowałam pod poduszką. Wyobrażałam sobie, jak do mnie mówią, przez gęsi puch i miękką bawełnę, jak zsyłają mi sny, podczas gdy po niebie nade mną krążą helikoptery i roboty tropiące. Kiedy szcęknęła zasuwka na jej drzwiach, założyłam rękawiczkę, hoeka i wyprawiłam się na poszukiwanie zaginionego deszczu. Znalazłam go sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, okiem meteorologicznej *aeai* kręcącej się nad wschodnimi Indiami. Zobaczyłam monsun, zwój

chmur jak zaczepiony o morze koci szpon. We wsi mieliśmy koty; podejrzliwe stworzenia żywiące się myszami i owsem. W Kumari Ghar koty były zabronione. Spojrzałam z góry na swoje królestwo, ale w dole wcale nie widziałam miasta ani pałacu. Widziałam góry, wysokie góry, szare sylwetki, niebieskawy lód. To było moje królestwo. I upadłam na duchu, bo to było nic, maleńki okruch kamienia na górze tego olbrzymiego świata, wiszącego pod nim jak pełne mleka krowie wymię, bogate i ciężkie od ludzi, pięknych miast i wspaniałych państw. Indie. Indie, gdzie zrodzili się nasi bogowie i nasze imiona.

Trzy dni później policja złapała spiskowców i spadł deszcz. Chmury wisiały nisko nad Katmandu. Świątynie na placu Durbar wypłówiały z barw, ale ludzie na błotnistych ulicach walili w puszki i garnki, wychwalając Taleju Devi.

- Co z nimi zrobią? - zapytałam Kumarimę Wysoką. - Z tymi złymi ludźmi.

- Pewnie powieszą - odpowiedziała.

Owej jesieni, po egzekucjach zdrajców, niezadowolenie w końcu wylało się na ulice jak ofiarna krew. Obie strony mnie zawłaszczały: policja i demonstranci. Jeszcze inni ogłaszali mnie symbolem wszystkiego, co w naszym kraju dobre, jak i wszystkiego, co złe. Kumarima Wysoka próbowała mi to tłumaczyć, lecz ja, gdy mój świat stał się szalony i niebezpieczny, skupiłam uwagę gdzie indziej: na ogromnej, starożytnej krainie na południu, rozpostartej jak naszywana klejnotami spódnica. W takich czasach łatwo było dać się uwieść potwornej głębi jej historii, przemierzającym ją bogom i wojownikom, imperiom następującym jedno po drugim. Mój kraj zawsze był bojowy i niepodległy, teraz jednak poznałam ludzi, którzy wyzwolili Indie spod Ostatniego Imperium - ludzi jak bogowie - a potem zobaczyłam, jak ta wolność rozpada się pod naporem rywalizacji, intryg i korupcji, dzieląc kraj na zwaśnione państwa: Awadh i Bharat, Zjednoczony Bengal, Maratha, Karnataka.

Miejsca i nazwy prosto z legend. Świetliste miasta stare jak historia. *Aeai* wędrujące po zatłoczonych ulicach jak gandharwy, nadnaturalne istoty. Czterokrotnie więcej mężczyzn niż kobiet. Tam porzucono dawne podziały, kobiety starały się wzenieć w jak najwyższą kastę, mężczyźni - jak najmniej zejść w dół. Ich przywódcy, partie i polityka oczarowały mnie tak, jak ich obywateli powszechnie uwielbiane i kochane, generowane przez *aeai* telewizyjne seriale. Tej wczesnej i ostrej zimy, gdy policja i rządowe roboty przywracały stary porządek w mieście wokół placu Durbar, moje serce było w Indiach. Niepokoje na Ziemi i w trzech kręgach niebios. Któregoś dnia obudziłam się i zobaczyłam na drewnianym dziedzińcu śnieg; ciężkie od śniegu dachy świątyń przypominały zmarszczonych, przemarzniętych starców. Wiedziałam już, że pogodowe osobliwości to nie moje sprawy, lecz wynik potężnych,

powolnych zmian klimatycznych. Kumarima Uśmiechnięta przysłała na moją dźharokę, gdy patrzyłam na sypiące się powoli z nieba płatki, grube i miękkie jak popiół. Klęknęła obok mnie, zatarła dłonie w mankietach szerokich rękawów. Bardzo źle znosiła zimno i wilgoć.

- Devi, czy nie traktuję cię jak własne dziecko?

Pokiwałam głową, nie chcąc powiedzieć „tak”.

- Devi, czy kiedykolwiek nie starałam się najlepiej, jak umiem?

Tak jak jej zmienniczka parę miesięcy temu, wyciągnęła z rękawa plastikowe pudełeczko, położyła je na dłoni. Cofnęłam się w fotelu, przestraszona tym, co oferowała mi Kumarima.

- Wiem, jak szczęśliwie sobie tutaj żyjemy, ale zmiany muszą zachodzić nieustannie. Świat się zmienia, weźmy na przykład ten śnieg, całkowicie nienaturalny, devi, nie na miejscu - zmienia się również miasto. I my tutaj też nie jesteśmy na to odporne. Zmiana wydarzy się w tobie, devi. Przyjdzie do ciebie, z twojego ciała. Staniesz się kobietą. Gdybym mogła, powstrzymałabym ją, devi. Ale nie umiem. Nikt nie umie. Mogę dać ci tylko... czas. Odwlec zmianę. Weź je. One opóźnią zmiany. Miejmy nadzieję, że o całe lata. I wtedy będziemy mogły dalej tu razem zostać, moja devi. - Uniosła głowę z pokornego półukłonu, spojrzała mi w oczy. Uśmiechnęła się. - Zawsze chcę dla ciebie jak najlepiej, prawda?

Wyciągnęłam rękę. Kumarima Uśmiechnięta wysypała na nią pigułki. Zamknęłam dłoń i zsunęłam się z rzeźbionego tronu. Wracając do pokoju, słyszałam, jak Kumarima Uśmiechnięta wyśpiewuje modlitwy dziękczynne boginiom na płaskorzeźbach. Spojrzałam do wnętrza dłoni. Kolor niebieski wydawał się taki niestosowny. Potem w swojej małej łazieneczce nalałam wody do szklanki i popiłam je dwoma łykami.

Odtąd zaczęły magicznie pojawiać się codziennie na moim stoliku nocnym. Dwie pigułki, niebieskie jak Pan Kriszna. Z jakiegoś powodu nigdy nie powiedziałam o nich Kumarimie Wysokiej, nawet gdy zauważała, jaka robiłam się nieuważna, dziwnie roztargniona i nieobecna na ceremoniach. Powiedziałam jej, że to przez szepczące do mnie devi w ścianach. Wiedziałam już dość o swojej wyjątkowości, nazywanej przez innych „zaburzeniem”, żeby mieć pewność, że tego nie zakwestionuje. Całą zimę byłam zmęczona i ospała. Węch tak mi się wyostrzył, że czułam najdelikatniejszy zapach, a ludzie na dziedzińcu, ze swymi głupekowatymi twarzami i zadartymi głowami doprowadzali mnie do furii. Nie pokazywałam się im przez całe tygodnie. Drewniane korytarze nabrały ostrego, mosiężnego zapachu starej krwi. Dzięki mądrości demonów, wiem teraz, że moje ciało było polem chemicznej bitwy między moimi hormonami a powstrzymującymi pokwitanie środkami Uśmiechniętej. Wiosna zaś nastąpiła ciężka i wilgotna. W upale czułam się ogromna i

rozdęta, człapiący bąbel wypełniony płynami, pod szatami i woskowym makijażem. Zaczęłam wrzucać małe niebieskie pigułki za komodę. Byłam Kumari już przez siedem świąt Dashain.

Myślałam, że poczuję się jak kiedyś, ale tak się nie stało. Nie było to już otepienie, jak po tabletkach, przeciwnie: wrażliwa, tkliwa świadomość własnego ciała. Leżałam w drewnianym łóżku i czułam, jak wydłużają mi się nogi. I bardzo, bardzo czułam moje malutkie sutki. Upał i wilgoć były coraz gorsze - przynajmniej tak mi się zdawało.

Mogłam w każdym momencie otworzyć palmera i zapytać, co się ze mną dzieje, ale nie potrafiłam. Bałam się, że mi powie, że to koniec mojej boskości.

Kumarima Wysoka musiała zauważyć, że rąbek mojej sukni już nie dotyka podłogi, lecz to Uśmiechnięta cofnęła mnie w korytarzu, gdy szliśmy do sali obrzędowej, zawahała się, po czym powiedziała, łagodnie i jak zawsze z uśmiechem:

- Jak ty szybko rośniesz, devi. Czy dalej...? Nie, no oczywiście, wybacz... To pewnie ta ciepła pogoda, dzieci rosną od niej jak chwasty. Moje też wyrastają ze wszystkiego, nic już na nie nie pasuje.

Następnego dnia rano, gdy się ubierałam, coś zastukało do drzwi, jak skrobnięcie myszy lub cyknięcie owada.

- Devi?

To nie owad i nie mysz. Zamarłam, z palmerem na dłoni, hoekiem paplającym mi w głowie poranne wiadomości z Awadhu i Bharatu.

- Ubieramy się.

- Tak, devi, właśnie dlatego przyszłam.

Ledwo zdążyłam ściągnąć rękawiczkę palmera i wcisnąć ją pod materac, a ciężkie drzwi obróciły się na zawiasach.

- Umiemy się ubierać, odkąd skończyliśmy sześć lat - wypaliłam.

- Oczywiście - powiedziała uśmiechnięta Kumarima Uśmiechnięta. - Ale kilku kapłanów wspomniało mi o pewnej niedbałości w stroju.

Wstałam w czerwono-złotej koszuli nocnej, rozłożyłam ramiona i obróciłam się, jak ci transowi tancerze, których widziałam na ulicach z lektyki.

Kumarima Uśmiechnięta westchnęła.

- Devi, wiesz tak samo dobrze jak ja...

Ściągnęłam koszulę przez głowę i stanęłam rozebrana, rzucając jej wyzwanie: niech patrzy, niech szuka na moim ciele oznak kobiecości.

- Widzisz? - podjudziłam ją jeszcze.

- Tak - powiedziała Kumarima Uśmiechnięta. - Ale co masz za uchem? - Wyciągnęła dłoń po hoeka.

W okamgnieniu znalazł się w mojej pięści.

- To jest to, o czym myślę? - rzuciła, wypełniając miękkim, uśmiechniętym ciałem przestrzeń między drzwiami i mną. - Kto ci to dał?

- To nasze - oświadczyłam najbardziej rozkazującym tonem, byłam jednak nagą dwunastolatką przyłapaną na złym uczynku, więc rozkazywanie na wiele się nie zdawało.

- Daj mi to.

Zacisnęłam mocniej pięść.

- Jesteśmy boginią, nie możesz nam rozkazywać.

- Bogini ma się zachowywać jak bogini, nie jak bachor. Dawaj.

Była matką, a ja jej dzieckiem. Otworzyłam palce. Uśmiechnięta Kumarima odskoczyła, jakbym trzymała jadowitego węża. Dla oczu jej wiary tak właśnie było.

- Nieczystość - powiedziała słabo. - Zepsucie, wszędzie zepsucie. - Podniosła głos. - Wiem, kto ci to dał!

Zanim zdążyłam zewrzeć palce, wyrwała mi z ręki plastikowy zawijas. Cisnęła go na podłogę, jakby ją parzył. Widziałam, jak unosi się skraj jej spódnicy, widziałam, jak opada obcas, ale to był mój świat, moja wyrocznia, moje okno na piękno. Padłam na podłogę, żeby ratować małego plastikowego płód. Nie pamiętam ani bólu, ani szoku, ani pisku przerażenia i strachu Kumarimy Uśmiechniętej, za to do końca życia będę widzieć pękający i bryzgający krwią czubek mojego prawego palca wskazującego.

* * *

Pallaw mojego żółtego sari trzepotał na wietrze, kiedy przebijałam się przez wieczorne, zakorkowane Delhi.

Kierowca małego, wymalowanego pasiasto jak osa fatfata, tłukąc dłonią w klakson, wcisnął się między powolny pociąg drogowy, wymalowany w pstrokatych bogów i apsary, a rządowe kremowe maruti, potem wjechał w wielką ćakrę aut wokół Connaught Place. W Awadhu jeździ się na słuch. Ryk klaksonów, trąbek i dzwonków pedałowich riksów atakował ze wszystkich stron naraz. Budził się o świcie, przed ptakami, i cichł dobrze po północy. Fatfat otarł się o sadhu wędrującego między samochodami, tak spokojnie, jakby brodził w wodach Świętej Yamuny. Ciało miał białe od świętego popiołu, żałobne widmo, lecz na czole płonął w niskim słońcu krwawoczerwony trójząb Śiwy. Katmandu miałam za brudne, lecz złoty blask i niewiarygodne zachody słońca w Delhi zdradzały o wiele większe zanieczyszczenie. Cisnąc się do Deepti na tylnym siedzeniu autoriksy, miałam na twarzy

maskę przeciw smogowi oraz gogle chroniące delikatny makijaż.

Kraniec sari trzepotał mi nad ramieniem w wieczornym wietrze, podzwaniając srebrnymi dzwoneczkami.

Nasza mała flota liczyła pięć pojazdów. Przyśpieszaliśmy na szerokich arteriach z brytyjskich czasów, mijając rozłożyste czerwone budowle dawnych Indii, jadąc ku szklanym igłom nowego Awadhu. Wokół wieżowców krążyły czarne kanie, padlinożercy, tropiciele umarłych. Pod cienistymi miodłami skręciliśmy na podjazd rządowego bungalowu. Zapalone pochodnie prowadziły na kolumnowy ganek. Służba w radźputańskich liberjach eskortowała nas do namiotu śaadi.

Mamadzi przybyła przed nami wszystkimi. Pomiedzy swoimi ptakami trzepotała i denerwowała się; tu dziobnęła, tam coś poprawiła, tu zwróciła komuś uwagę.

- Stań prosto, stań prosto, co się garbisz. Moje dziewczęta mają być ozdobą tego śaadi, słyszycie?

Shweta, jej koścista, ponuro skrzywiona asystentka, zabrała nam maski od smogu.

- Dziewczyny, proszę przygotować palmery.

Tę musztrę miałyśmy opanowaną jak w wojsku. Dłoń do góry, na nią rękawiczka, na nią pierścionki, hoeka za biżuterię na uchu, zamaskowany udrapowaną na głowie dupatą z frędzlami.

- Dziś zaszczycają nas największe osobistości Awadhu. Crème de la crème.

Ledwo zdążyłam zamrużyć, gdy przed oczyma przewinęły mi się życiorysy.

- No dobrze, dziewczyny: to od lewej. Pierwsze dwanaście, po dwie minuty na każdego, potem następny z listy. Szybko i sprawnie!

Mamadzi klasnęła w dłonie, a my ustawiłyśmy się w szeregu. Zespół zagrał składankę motywów z *Miasta i wsi*, telenoweli, która w tym wyrafinowanym Awadhu była ogólnonarodową obsesją. I tak stałyśmy, dwanaście kandydatek na żony, a radźputańscy służący unieśli tylną ścianę namiotu.

Owacje lunęły wokół nas jak deszcz. Setka mężczyzn stała w nierównym półkolu i klaskała z zapalem, z twarzami jasnymi od blasku świątecznych latarni.

Kiedy przyjechałam do Awadhu, od razu zwróciłam uwagę na tutejszych ludzi. Pchali się, żebrali, gadali, ocierali się o siebie bez słowa przeprosin czy choćby spojrzenia. Wydawało mi się, że już Katmandu ma niewyobrażalną liczbę mieszkańców. Nie widziałam jednak Starego Delhi. Przerazał mnie ten brak jakiegokolwiek szacunku, nieustanny zgiełk, powszechna znieczulica. W tym tłumie twarzy można by się rozpuścić jak kropla deszczu w zbiorniku. Druga rzecz, która rzucała się w oczy: wszystkie twarze należały do mężczyzn.

Dokładnie tak, jak szepnął mi mój palmer. Czterech mężczyzn na każdą kobietę. Nie przestawało mnie to zdumiewać: jak taka prosta rzecz, możliwość określenia płci dziecka, może w rezultacie kompletnie zdeformować cały kraj.

Mężczyźni elegancy, inteligentni, przyzwoici, zamożni, z ambicjami, karierami, majątkami, władzą i perspektywami. Niemogący nawet marzyć o ożenku w ramach własnej klasy i kasty. Mający w ogóle marne szanse na małżeństwo. Słowo „śaadi” określało kiedyś weselne uroczystości, pana młodego na pięknym białym koniu, wielce szlachetnego, pannę młodą nieśmiałą i śliczną za złotym welonem. Potem zaczęto tak nazywać agencje matrymonialne: „Przystojny Agarwal o jasnej karnacji, dyplom MBA z amerykańskiej uczelni, poszukuje kobiety z rodziny urzędniczej lub wojskowej. Cel matrymonialny”. Teraz to parada panien młodych, rynek matrymonialny dla samotnych mężczyzn, których stać na duży posag. A od tego posagu sowita prowizja dla agencji Piękna Dziewczyna.

„Piękne Dziewczyny” ustawiły się po lewej stronie Jedwabnej Ściany biegnącej przez całą długość ogrodu. Po prawej stanęło pierwszych dwunastu mężczyzn. Nadymali się i mizdrzyli, wyelegantowani, widziałam jednak, że się denerwują. Kurtyna była zaledwie rzędem sari, rozwieszonych na sznurku rozpiętym między plastikowymi słupkami, trzepoczących w nasilającym się wieczornym wietrze. Śladowe ustępstwo na rzecz przyzwoitości. Purda. Nawet nie były jedwabne.

Pierwsza przez Jedwabną Ścianę miała rozmawiać Rekshmi. Pochodziła ze wsi w Uttaranchalu, z kasty yadav, miała wielkie łapska i wielką twarz. Chłopska córka. Umiała gotować, szyć i śpiewać, prowadzić domowe finanse, zarządzać zarówno domowymi *aeai*, jak i ludzkim personelem. Jej pierwszym kandydatem był oślizły facet o mizernej szczęce, w rządowej bieli i czapeczce Nehru. Miał kiepskie zęby. To zawsze źle wygląda. Każda z nas powiedziała mu, że marnotrawi pieniądze na śaadi, lecz oni powitali się gestem namaste i wyszli, trzymając się regulaminowe trzy kroki od siebie. Na końcu parady Rekshmi zatoczy pętlę i wróci na koniec kolejki, żeby spotkać następnego kandydata. Na wielkich śaadi pod koniec wieczoru krwawiły mi stopy. Czerwone ślady na marmurowych posadzkach dziedzińca haweli Mamadzi.

Przeszłam się z Ashokiem, bulwowatym trzydziestodwulatkiem, który sapał, tocząc się obok mnie. Miał na sobie obszerną białą kurkę, szczyt mody w tym sezonie, choć sam był od czterech pokoleń pendzabczykiem. Jego dbałość o siebie sprowadzała się do nieokiełznanej brody i tłustych włosów, śmierdzących nadmiarem brylantyny „Dapper Deepak”. Zanim jeszcze złożyliśmy dłonie w namaste, już wiedziałam, że to jego pierwsza śaadi. Widziałam, jak porusza oczyma, czytając mój życiorys, wiszący mu w wyobraźni przed nosem. Nie

potrzebowałam czytać jego, żeby się domyślić, że jest info-radzą, bo gadał wyłącznie o sobie i wspaniałych rzeczach, jakie robi: danych technicznych jakiejś nowej macierzy białkowych procesorów, sofcie, który hodował, *aeai*, które pielęgnował w swoich stajniach, swoich wycieczkach do Europy i Ameryki, gdzie wszyscy znali jego imię, a na spotkania z nim przychodziły same znakomitości.

- Awadh oczywiście nigdy nie ratyfikuje Ustaw Hamiltona - obojętne, jak blisko są Shrivastava i prezydent McAuley - ale gdyby to zrobili, gdyby tak, wbrew faktom, założyć - to byłby krach gospodarczy. Awadh to informatyka, w Mehrauli kończy ją więcej studentów niż w całej Kalifornii. Amerykanie mogą sobie gadać o parodii ludzkiej duszy, ale nasze *aeai* poziomu 2,8 są im potrzebne - wie pani, co to takiego? To *aeai*, która jest nieodróżnialna od człowieka przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu - bo wszyscy wiedzą, że jesteśmy najlepsi w kwantowym krypto, więc ja się nie boję, że będę musiał zamknąć swoją przechowalnię danych, a nawet jeśli, zawsze zostaje jeszcze Bharat, jakoś nie widzę, żeby Ranowie ustąpili Waszyngtonowi, nie w sytuacji, kiedy dwadzieścia pięć procent ich bilansu handlowego to licencje na *Miasto i wieś...* a to jest w stu procentach generowane przez *aeai*...

Wielki, przesympatyczny błazen, z takimi pieniędzmi, że mógłby kupić cały mój pałac na placu Durbar, razem ze wszystkimi kapłanami; ja jednak modliłam się do Taleju, żeby uwolniła mnie od tego nudziarza. Zatrzymał się w pół kroku, tak nagle, że omal się nie potknęłam.

- Musi pan cały czas chodzić - syknęłam. - Takie są zasady.

- Wow - powiedział, stojąc głupio i wytrzeszczając oczy.

Za nami robił się zator z kolejnych par. Kątem oka widziałam, jak Mamadzi niecierpliwie, gniewnie macha rękami. No rusz go.

- Wow. Pani jest byłą Kumari.

- Proszę. Zwraca pan na siebie uwagę. - Pociągnęłabym go za rękę, ale to byłoby jeszcze większe faux pas.

- Jak to jest, być boginią?

- Teraz jestem zwykłą kobietą, jak inne - odpowiedziałam.

Ashok chrząknął cicho, jakby osiągnął jakieś drobne oświecenie, i szedł dalej, z rękoma złączonymi za plecami. Może i odezwał się raz czy dwa, zanim dotarliśmy do końca Jedwabnej Ściany i się rozstaliśmy. Jednakże ja go nie słyszałam, nie słyszałam muzyki, nie słyszałam nawet nieustającego ulicznego zgiełku Delhi. W głowie miałam tylko jeden dźwięk: ten wysoki pisk, kiedy chcesz się rozplakać, ale wiesz, że ci nie wolno. Przez grubego, egocentrycznego, rozgadanego Ashoka cofnęłam się do nocy, kiedy przestałam być

boginią.

Bose stopy klapiące o wypolerowane deski korytarzy Kumari Ghar. Biegący ludzie, stłumione krzyki, oddalające się coraz bardziej, gdy ja klęczałam, ciągle rozebrana do kontroli Kumarimy, patrząc, jak krew kapie ze zmiażdżonego czubka palca na podłogę. Bólu nie pamiętam, jakbym patrzyła na niego skądinąd, jakby czująca go dziewczyna była kimś innym. Daleko, daleko, stała Kumarima Uśmiechnięta, zawieszona w czasie, dłonie uniesione do ust z przerażenia i poczucia winy. Głosy ucichły, a dzwony na placu Durbar rozkołysały się i rozdzwoniły, nawołując do swoich braci w całym Katmandu, aż dolina od Bhaktapuru po Trisuli Bazaar rozbrzmiała wieścią o upadku Kumari Devi.

W ciągu jednej nocy stałam się z powrotem człowiekiem. Zabrano mnie do Hanuman Dhoki - tym razem, jak wszyscy, szłam po bruku - gdzie kapłani odprawili ostatnią pudżę. Oddałam czerwone szaty, klejnoty, pudełeczka z kosmetykami, wszystko ładnie poskładane. Kumarima Wysoka przyniosła mi zwykłe ubrania. Pewnie miała je przygotowane od jakiegoś czasu. Prezydent nie przyszedł się ze mną pożegnać. Nie byłam już siostrą narodu. Jego chirurdzy elegancko poskładali mi palec, choć uprzedzili, że już zawsze będzie trochę drętwy i sztywny.

Odjechałam o świcie, kiedy pod mandarynkowym niebem sprzątacze zmywali kamienie placu Durbar, gładko sunącym rządowym mercedesem z przyciemnianymi szybami. Kumarimy pożegnały się ze mną pod bramą pałacu. Wysoka przytuliła mnie na moment.

- Oj, tyle rzeczy jeszcze powinnam dla ciebie zrobić... no, trudno, będzie musiało wystarczyć.

Czułam, że drży, jak zbyt mocno ściśnięty w dłoni ptaszek. Kumarima Uśmiechnięta nawet na mnie nie spojrzała. Zresztą, wcale nie chciałam.

Gdy limuzyna wiozła mnie przez budzące się miasto, próbowałam zrozumieć, jakie to uczucie: być człowiekiem. Tak długo byłam boginią, że prawie już nie pamiętałam innego stanu, ale różnica była tak niewielka, że zaczęłam podejrzewać, że byłam świętą, bo ludzie tak mówili. Droga pięła się pomiędzy zielonymi przedmieściami, coraz bardziej kręta, coraz węższa, zatłoczona pstrokatymi autobusami i ciężarówkami. Domy robiły się coraz mniejsze i biedniejsze, zmieniały się w przydrożne rudery i stragany z herbatą, w końcu wyjechaliśmy z miasta - po raz pierwszy, odkąd tu siedem lat temu przyjechałam. Przycisnęłam do szyby dłonie i twarz. Patrzyłam z góry na Katmandu pod welonem pomarańczowego smogu. Dołączyliśmy do długiej kolejki samochodów na wąskiej, wyboistej drodze przyklejonej do zbocza doliny. Nade mną były góry upstrzone szalasami pasterzy i kamiennymi świątynkami powiewającymi wystrzępionymi modlitewnymi flagami. Pode mną wezbrana kremowo-

brązowa woda. Prawie na miejscu. Ciekawiło mnie, jak daleko z tyłu jadą te inne rządowe samochody, te wiozące kapłanów wysłanych na poszukiwanie dziewczynek posiadających trzydzieści dwie oznaki doskonałości. Potem samochód skręcił w głąb doliny i już byłam w domu, w Shakyi, z parkingiem dla ciężarówek i stacją benzynową, sklepami i świątynią Padmy Narteswary, zapyłonymi drzewami z białymi pierścieniami farby na pniach. A pomiędzy kamiennym murem i łukiem, skąd schodki prowadziły po tarasach do mojego domu, w tym obramowanym kamieniem kadrze nieba, stali moi rodzice, jedno przy drugim, nieśmiało przytuleni do siebie - dokładnie tak, jak ich widziałam na dziedzińcu Kumari Ghar.

* * *

Mamadzi była zbyt dystygowana, żeby otwarcie okazać gniew, ale sposoby wyrażania niezadowolenia miała przeróżne. Najmniejszy kawałek roti na kolację, najbardziej skąpa porcja soczewicy. Są nowe dziewczyny, zrób im miejsce, zrób miejsce - i przenoszę się do pokoju na najwyższym piętrze, dusznego, najbardziej oddalonego od chłodu basenu na dziedzińcu.

- Poprosił, żeby mu dać adres palmera - powiedziałam.

- Jakbym miała rupię za każdy adres palmera - odparła Mamadzi. - Zainteresowałaś go jako ciekawostka. Antropologia. Nigdy nie zamierzał ci się oświadczyć. Nie, o nim możesz zapomnieć.

Zesłanie do wieżyczki było łagodną karą, bo wynosiło mnie ponad hałasy i wyziewy starego miasta. Zmniejszenie porcji - niewielka strata; jedzenie i tak było paskudne, codziennie przez prawie dwa lata, odkąd mieszkałam w haweli. Przez drewnianą kratę, za zbiornikami na wodę, satelitarnymi talerzami i dzieciakami grającymi na dachu w krykieta, było widać wały Czerwonego Fortu, minarety i kopuły Meczetu Piątkowego, a za nimi błyszczące szklano-tytanowe iglice Nowego Delhi. Jeszcze wyżej, stada gołębi z podniebnych gołębników, z przyczepionymi do nóg glinianymi puszczalkami, dzięki którym gwizdały i śpiewały, wirując nad Chandni Chowk. Mamadzi tym razem wyglądała się ze swoją mądrością życiową, Ashok bowiem potajemnie wysyłał mi wiadomości, czasem pytał o moją przeszłość bogini, choć przeważnie opowiadał o sobie, o swoich wielkich planach i pomysłach. Jego liliowe słowa, unoszące się w mojej głowie na tle misternych otworków dżali, sprawiały mi wielką przyjemność w upalne dni tego lata. Odkryłam rozkosze dyskusji politycznych: przeciwko radosnemu optymizmowi Ashoka stawiałam to, co sama wyczytałam z kanałów informacyjnych. Sądząc po rubrykach komentatorów, wydawało się nieuniknione, że Awadh w zamian za klauzulę najwyższego uprzywilejowania w handlu ze Stanami ratyfikuje Ustawy Hamiltona i zdelegalizuje wszystkie *aeai* mądrzejsze od langura. Mamadzi

nie przyznawałam się do tych kontaktów. Zabroniłaby ich, dopóki się nie oświadczy.

Jednego wieczoru, w przedmorsunowy skwar, taki, że nawet chłopcy nie dawali rady grać w krykieta, a niebo przypominało odwróconą mosiężną misę, Mamadzi przyszła do mojej wieżyczki, najwyższego punktu starego kupieckiego haweli. Wbrew nakazom przyzwoitości, dźali były otwarte, a muślinowe firanki falowały od unoszącego się z uliczek żaru.

- Ciągłe jesz mój chleb. - Szturchnęła nogą mój talerz.

Było za gorąco, żeby coś jeść, za gorąco na cokolwiek, można było tylko leżeć, czekać na deszcz i chłód, o ile w ogóle przyjdzie w tym roku. Słyszałam z dziedzińca głosy dziewcząt chlupiących nogami w basenie. Z radością posiedziałabym z nimi na wykafelkowanym brzegu, ale miałam dojmującą świadomość, że mieszkam w haweli agencji matrymonialnej najdłużej z nich wszystkich. Nie miałam ochoty służyć im za Kumarimę. A kiedy wieści rozchodzące się po chłodnych, marmurowych korytarzach poinformują je o moim dzieciństwie, zaczną prosić o krótkie pudze, drobne cuda, które pomogą im znaleźć odpowiedniego mężczyznę. Przestałam im to dawać, nie z obawy, że już nie mam tej mocy - że nigdy nie miałam - ale dlatego że to wychodziło ze mnie, przechodziło na nie, i to one potem zdobywały bankowców, dyrektorów z telewizji i dealerów Mercedesa.

- Trzeba cię było zostawić w tym nepalskim kanale. Bogini! Ha! A ja, durna, pomyślałam, że będziesz cennym nabytkiem. Ci mężczyźni. Mogą sobie mieć opcje na akcje i apartamenty nad plażą Chowpatty, ale w głębi duszy są zabobonni jak nepalski wieśniak.

- Przykro mi, Mamadzi - powiedziałam, odwracając wzrok.

- A co na to poradzisz? Urodziłaś się z trzydziestoma dwiema oznakami doskonałości, i to by było tyle. Teraz mnie posłuchaj, čo ćuit. Przyszedł do mnie taki mężczyzna.

Mężczyźni przychodzili ciągle i czekając w chłodku dziedzińca na Shwetę, żeby zaprowadziła ich do Mamadzi, zadzierali głowy na chichoty i szelesty „Pięknych Dziewczyn” zerkających przez otworki dźali. Mężczyźni z matrymonialnymi ofertami, z intercyzami, z ratami posagów. Mężczyźni proszący o specjalne, prywatne spotkania. Ten, który do niej przyszedł, pewnie poprosił właśnie o coś takiego.

- Elegancki młody mężczyzna, przystojny młody człowiek, zaledwie dwadzieścia lat. Ojciec jest magnatem wodnym. Poprosił o prywatne spotkanie. Z tobą.

Natychmiast nabrałam podejrzeń, ale wśród delhijskich panien na wydaniu, jeszcze bardziej niż pomiędzy kapłanami i Kumarimami w Katmandu, nauczyłam się niczego nie okazywać wyrazem umalowanej twarzy.

- Ze mną? Taki zaszczyt... i dopiero dwadzieścia lat... i z dobrej rodziny, więc dobrze

ustosunkowany.

- To bramin.

- Wiem, ja jestem tylko śakją..

- Nie rozumiesz. Bramin, przez duże B.

„Tyle rzeczy jeszcze powinnam dla ciebie zrobić”, powiedziała Kumarima Wysoka, gdy rządowy samochód zabierał mnie spod rzeźbionych drewnianych wrót Kumari Ghar. A przecież jeden szept przez to okienko wszystko by mi wyjaśnił: „Przekleństwo Kumari”.

Wieś ukrywała się przede mną. Ludzie przechodzili na drugą stronę, znajdując tam nagle coś do roboty. Starzy przyjaciele rodziny kiwali nerwowo głowami, a potem przypominali sobie niecierpiące zwłoki sprawy. W budkach z ćajem dawali mi herbatę za darmo, żeby mi było głupio i żeby mi się poszła. Przyjaciółmi stali mi się kierowcy autokarów i ciężarówek, zatrzymujących się na stacjach z biodieslem. Na pewno zachodzili w głowę, kim jest ta dziwna dwunastoletnia dziewczynka kręcąca się po parkingach. Nie wątpię, że niektórzy myśleli jeszcze inne rzeczy. Wieś za wsią, miasteczko za miasteczkiem, legenda rozchodziła się wzdłuż szosy na północ. Eks-Kumari.

A potem zaczęły się wypadki. Chłopaczek stracił pół dłoni przez pasek dmuchawy w silniku nissana. Inny nastolatek napił się podejrzanej rakshi i zatrul się na śmierć alkoholem. Ktoś inny wszedł pomiędzy wyprzedzające się ciężarówki i został rozjechany. W budkach z ćajem i warsztatach na nowo zaczęło się gadać o moim wuju, który spadł i się zabił, podczas gdy przysła bogini w drucianej klatce śmiała się, śmiała i śmiała.

W ogóle przestałam wychodzić. Gdy w szczycie doliny Katmandu zapanowała zima, przez całe tygodnie nie ruszałam się z domu. Dni upływały mi na patrzeniu na zacinający deszcz ze śniegiem za oknem, flagi modlitewne, niemal poziome na wietrze, podskakującą linkę kolejki linowej. Wściekłą, wezbraną rzekę poniżej. Tamtej pory roku demony w górach krzyczały głośno, zasypując mnie nienawistnymi słowami o niewiernych Kumari zaprzepaszczających święte dziedzictwo swojej bogini.

W najkrótszy dzień w roku przez Shakyę przejechał człowiek skupujący panny na wydaniu. Usłyszałam nieznamy głos, przebijający się przez mamrotanie telewizora, włączonego dzień i noc w dużym pokoju. Uchyliłam drzwi na tyle, by wpuścić głos i odrobinę światła z ognia.

- Nie wezmę od was pieniędzy. Tu, w Nepalu, ona się marnuje. Wszyscy znają jej historię i może udają, że w to nie wierzą, ale zachowują się inaczej.

Potem odezwał się ojciec, ale słów nie słyszałam. Kupiec panien powiedział:

- Na dole, na południu może się udać. Bharat albo Awadh. W Delhi oni są tak

zdesperowani, że biorą nawet niedotykalne. Ci Hindusi to dziwni goście, niektórym może nawet się spodobać taki pomysł: mieć boginię za żonę, taki symbol statusu. Ale nie mogę jej wziąć, jest za młoda, od razu zawrócą ją na granicy. Mają zasady. Indie mają, kto by pomyślał. Zadzwońcie do mnie, jak skończy czternaście.

Dwa dni po moich czternastych urodzinach kupiec panien wrócił do Shakyi i wyjechałam z nim jego japońską terenówką. Nie podobało mi się jego towarzystwo i nie dowierzałam jego łapskom, więc kiedy zjeżdżał na niziny Teraju, spałam lub udawałam, że śpię. Gdy się obudziłam, byłam już daleko po drugiej stronie granicy, w mojej krainie cudów z dzieciństwa. Myślałam, że zabierze mnie do przedwiecznego świętego Varanasi, nowej oszałamiającej stolicy rządzącej Bharatem dynastii Ranów, lecz jak się wydawało, Awadhczyzy mniej przejmowali się hinduskimi zabobonami. Wjechaliśmy więc w chaotycznie rozrośnięte przedmieścia dwóch Delhi, jak dwóch półkul mózgowych, i dotarliśmy do Agencji Śaadi Piękna Dziewczyna. Gdzie nadający się do małżeństwa mężczyźni, jak się okazało, nie są wcale tak XXI-wiecznie wyrafinowani, przynajmniej w kwestii eksbogiń. Gdzie jedynymi, którzy byli w stanie wznieść się ponad przekleństwo Kumari, okazali się ci, których otaczały jeszcze większe zabobony: zmodyfikowane genetycznie dzieci znane jako Bramini.

Mieli zagwarantowaną mądrość, zdrowie, piękno, sukces i pozycję, oraz bogactwo, którego się nie zdevaluuje, nie da się roztrwonić ani przegrać, jest bowiem zaszyte w samym ich DNA. Dzieci-Bramini hinduskiej ultraelity cieszyły się długim życiem, dwukrotnie dłuższym niż rodzice - ale za pewną cenę. Rzeczywiście byli urodzeni po raz drugi, jako kasta ponad wszystkimi kastami, tak wysoko, że stawali się nowymi niedotykalnymi. To dopiero partner w sam raz dla byłej bogini - nowy bóg.

* * *

Gazowe pochodnie na kominach fabryk tugluckiego przemysłu ciężkiego oświetlały zachodnią część horyzontu. Mogłam dostrzec ukryte geometrie New Delhi, naszyjniki świateł wokół Connaught Place, wielką, rozjarzoną sieć świateł monumentalnej stolicy dawnego brytyjskiego Radżu i chaotyczne światełka starego miasta na północy. Penthouse na szczycie zamaszystej krzywizny Narayan Tower był ze szkła: szklane ściany, szklany dach, a pod mną odbijający nocne niebo polerowany obsydian. Szłam z głową wśród gwiazd i gwiazdami u stóp. Salon miał budzić podziw i onieśmielać. Ale był niczym dla kogoś, kto widział, jak demony obcinają kozom głowy, kto chodził w zakrwawionym jedwabiu po swoim własnym pałacu. Był niczym dla kogoś wystrojonego, jak zażyczył sobie posłaniec, w pełen rynsztunek bogini. Czerwona suknia, czerwone paznokcie, czerwone usta, czerwone oko Śiwy nad moimi

obramowanymi czernią oczyma, tiara z fałszywego złota obwieszona fałszywymi perłami, palce obciążone krzykliwymi pierścieniami od tandetnych jubilerów z bazaru Kinari, cieniutki łańcuszek z prawdziwego złota biegnący od kolczyka w nosie do ucha; znów byłam Kumari Devi. W moim wnętrzu kręciły się znajome demony.

Kiedy pędziłyśmy ze starego miasta do nowego, Mamadzi mnie ćwiczyła. Owinęła mnie lekkim woalem czadoru, rzekomo, żeby ochronić mój makijaż; a naprawdę, by ukryć przed oczyma ulicy. Dziewczyny wykrzykiwały za mną najlepsze życzenia i modliły się, gdy fatfat wytaczał się z dziedzińca haweli.

- Masz się nie odzywać. Jeśli coś do ciebie powie, tylko skłaniasz głowę jak porządna hinduska dziewczyna. Jeśli coś trzeba będzie powiedzieć, ja to powiem. Może i byłaś boginią, ale on jest Braminem. Mógłby dwadzieścia razy kupić ten twój syfiasty pałacyk. A przede wszystkim, niech cię oczy nie zdradzą. Oczy nic nie wyrażają. Tyle przynajmniej cię nauczyli w tym Katmandu, co? A teraz chodź, coś ćuit, dajże się wreszcie wyswatać.

Szklany penthouse oświetlała tylko luna miasta oraz ukryte lampy, rzucające nieprzyjemną błękitną aurę. Ved Prakash Narayan siedział na musnudzie, na kostce niczym nieozdobionego czarnego marmuru. Jego prostota mówiła o bogactwie i potędze przerastającej wszelką strojną biżuterię. Szeleściłam bosymi stopami na rozgwieżdżonym szkle. Gdy podeszłam do podwyższenia, błękitne światło rozbłysło jaśniej. Ved Prakash Narayan był ubrany w przepięknie wyszywane szerwani i tradycyjne obcisłe jedwabne spodnie ćuridar. Pochylił się ku światłu i nagle okazało się, że muszę przywołać wszystkie pouczenia o opanowaniu, jakich udzieliła mi w życiu Kumarima Wysoka, żeby powstrzymać westchnienie.

Na tronie mogolskiego cesarza siedział dziewięcioletni chłopiec.

Żyjesz dwa razy dłużej, ale starzejesz się dwa razy wolniej. Tyle zdołali wytargować genetyczni inżynierowie z Kolkaty od czterech milionów lat ludzkiego DNA. Dziecięcy mąż dla niegdysiejszej dziecięcej bogini. Tylko że on nie był dzieckiem. Z punktu widzenia prawa, doświadczenia, wykształcenia, gustu i emocji był to osiemnastoletni mężczyzna. Pod każdym względem, poza fizycznym.

Nawet nie sięgał nogami podłogi.

- Nadzwyczajna. Nadzwyczajna. - Głos też miał chłopięcy. Zsunął się z tronu, obszedł mnie, przyglądając się jak eksponatowi w muzeum. Był ode mnie o głowę niższy. - Tak. To rzeczywiście coś wyjątkowego. O jakiej kwocie mówimy?

Mamadzi przy drzwiach wymieniła sumę. Usłuchałam pouczeń i starałam się unikać jego wzroku, kiedy obchodził mnie dookoła.

- Do przyjęcia. Mój człowiek dostarczy intercyzę do końca tygodnia. Bogini. Moja bogini.

Potem nasze oczy spotkały się i zobaczyłam, gdzie podziały się jego brakujące lata. Były błękitne obcym błękitem i zimniejsze niż niebieskie lampki w jego pałacu na szczycie wieżowca.

* * *

W kwestii postrzegania kastowych szczebelków ci Bramini są najgorsi ze wszystkich, taką wiadomość dostałam od Ashoka w mojej wieżyczce na szczycie agencyjnej haweli, w więzieniu, które zmieniło się w buduar panny młodej. *Kasty w kastach w kastach.* Jego słowa wisiały w powietrzu nad mglistymi wałami Czerwonego Fortu, dopóki nie rozwiały ich krążące grające gołębie. *Twoje dzieci będą miały szczęście.*

Do tego czasu nie zastanawiałam się nad obowiązkami żony dziewięciolatka.

Wysłałam za Veda Prakasha Narayana w dusząco upalny dzień, w klimatyzowanym bąblu na wypielegnowanym trawniku przed grobem cesarza Humayuna. Wystąpiłam w stroju Kumari, tak jak tego wieczoru, gdy mu mnie przedstawiano. Mój mąż, spowity w złoto, przybył na grzbiecie białego konia, za nim szła orkiestra, a za nimi tuzin słoni z kolorowymi wzorami na trąbach. Roboty ochrony patrolowały cały teren, astrologowie rzucali pomyślne wróżby, a nasz związek pobłogosławił bramin (starego typu) ze swoim czerwonym sznurem. Wokół mnie zatrzepotały płatki róż, dumny ojciec i matka rozdawali gościom klejnoty z Hyderabadu, siostrzyczki z agencji zaszlochały z radości i poczucia przegranej, Mamadzi wciągnęła nosem jedną lżę, a stara, wredna Shweta chodziła wokoło i upychała sobie w zanadrze obfite i darmowe jedzenie z bufetów. Kiedy szliśmy szpalerem wśród wiwatów, zauważyłam innych dziesięciolatków o ponurych twarzach, z pięknymi wysokimi cudzoziemskimi żonami. Musiałam sobie przypomnieć, kto tu jest nieletnim oblubieńcem. Ale boginią nie była żadna z nich.

Z wielkiego durbaru, który nastąpił potem, pamiętam niewiele, twarz za twarzą za twarzą, otwierające się usta po ustach po ustach, hałasujące, przelykające kieliszek za kieliszkiem za kieliszkiem francuskiego szampana. Ja nie piłam, bo nie gustowałam wtedy w alkoholu, choć mój młody mąż w swoim stroju radzi - owszem, a do tego palił wielkie cygara. Kiedy wsiedliśmy do samochodu - miesiąc miodowy był kolejną przejętą przez nas zachodnią tradycją - zapytałam, czy ktokolwiek pamiętał, żeby zawiadomić moich rodziców.

Poleciliśmy do Mumbaiu firmowym tilt-jetem. Nigdy dotąd nie leciałam samolotem. Przycisnęłam dłonie, ciągle wymalowane henną we wzory, po obu stronach okna, jakbym chciała zatrzymać wszystkie usuwające się w tył widoki Delhi. Jak w boskich wizjach, które

miałam kiedyś, leżąc w swoim łóżku w Kumari Ghar i patrząc na Indie. To zaiste był pojazd godny bogini. Jednakże, kiedy skręcaliśmy w powietrzu nad wieżowcami Nowego Delhi, demony szeptały mi do ucha: *On będzie w kwiecie wieku, a ty stara i pomarszczona.*

Gdy limuzyna z lotniska skręciła w Marine Drive i dostrzegłam skrzące się od światła miasta Morze Arabskie, poprosiłam męża, by zatrzymał samochód, żebym mogła sobie popatrzeć. Poczułam, że łzy napływają mi do oczu, i pomyślałam: w tobie jest ta sama woda, co w tym morzu.

Demony nie chciały dać mi spokoju: *Wyszłaś za coś, co nie jest człowiekiem.*

Miesiąc miodowy był nieustającym pasmem cudowności: penthouse o szklanych ścianach wychodzących na zachód słońca nad plażą Chowpatty. Nowe, wspaniałe stroje, które mieliśmy na sobie, jadąc po bulwarach, gdzie gwiazdy i bogowie filmu uśmiechali się do nas i błogosławili nam w wirtualnych wizjach z naszych palmerów. Kolor, ruch, hałas, zgiełk; ludzie, ludzie i ludzie. A poza tym wszystkim, szum, szmer i zapach obcego morza.

Do nocy poślubnej przygotowywały mnie pokojówki. Wykapały mnie i namaściły balsamem, posmarowały olejkami, wymasowały, przedłużyły już blednące hennowe zawijasy na dłoniach w górę ramion i ponad moimi małymi, sterczącymi piersiami, aż po ćakrę manipuraka nad pępkiem. We włosy wplotły mi złote ozdoby, na ręce nasunęły bransolety, na palce rąk i nóg pierścienie, oprószyły talkiem i upudrowały moją śniadą nepalską skórę. Oczyszczyły mnie dymem kadzidła i kwiatowymi płatkami, otuliły welonami i jedwabiem niematerialnym jak plotka. Przedłużyły mi rzęsy, uczerniły oczy i opilały paznokcie w idealne, wymalowane szpice.

- Co mam robić, bo nigdy nie dotykałam mężczyzny? - zapytałam, one jednak złożyły dłonie w namaste i wymknęły się bez odpowiedzi.

Ale ta starsza - Kumarima Wysoka, tak o niej pomyślałam - zostawiła mi na ślubnej otomanie małe steatytowe pudełeczko. W środku były dwie białe pigułki.

Dobre były. Zresztą należało się tego spodziewać. W jednej chwili stałam nerwowa i wystraszona na turkiestańskim dywanie, w łagodnym nocnym powietrzu, pachnącym morzem i poruszającym półprzejrystymi firankami, w następnej wizje prosto z Kamasutry, wlewane mi do mózgu przez złotego hoeka, zawirowały wokół jak gołębie nad Chandni Chowk. Popatrzyłam na wzory, które moje agencyjne siostrzyczki wymalowały mi na wnętrzach dłoni - zaczęły tańczyć i spływać mi wężowo ze skóry. Zapachy i perfumy na ciele ożyły, unosząc się duszącym obłokiem. Jakby ktoś obrał mnie ze skóry, odsłaniając wszystkie nerwy. Nawet dotyk ledwie poruszającego się nocnego powietrza był nie do zniesienia. Każdy klakson samochodu na Marine Drive był jak wlewane do ucha roztopione srebro.

Potwornie się bałam.

I wtedy otworzyły się podwójne drzwi do garderoby i wszedł mój mąż. Był ubrany jak mogolski grand, w obszywany kamieniami turban i obszerną czerwoną szatę, wydetą w miejscu męskości.

- Moja bogini - powiedział. Potem rozchylił poły i zobaczyłam, co tam tak dumnie sterczy.

Uprząż była z karmazynowej skóry, misternie obszytej drobnymi lusterkami. Miał ją zapiętą wokół talii, a także, dla pewności, na ramionach. Klamerki były złote. Pamiętam te szczegóły tak wyraźnie, bo tylko raz byłam w stanie spojrzeć na to, co podtrzymywała. Coś czarnego, wielkiego jak u konia, ale delikatnie wygiętego ku górze. Pożebrowanego, z guzami. Tyle tylko zdołałam zapamiętać, zanim pokój zawirował, rozkładając się wokół mnie jak aromatyczne płatki lotosu, a zmysły zlały mi się w jeden i puściłam się biegiem przez apartamenty Taj Marine Hotel.

Zresztą, co ja sobie w ogóle innego wyobrażałam, skoro chodziło o istotę o pragnieniach i żądach dorosłego, ale ciele dziesięcioletniego chłopaczka?

Służące i pokojówki goniły mnie, a ja wrzeszczałam bez ładu i składu, łapiąc chusty, szale, cokolwiek, co mogło okryć moją hańbę. Z jakiejś ogromnej odległości dobiegał do mnie głos męża, wołającego w kółko: „Bogini! Moja bogini!”.

* * *

- „Schizofrenia”, to strasznie źle brzmi - powiedział Ashok. Obracał w palcach łądzykę czerwonej róży bez kolców. - To staromodne określenie. Teraz to „zaburzenie dysocjacyjne”. Tyle że to nie zaburzenie, tylko przystosowanie. Potrzebne ci było, żeby poradzić sobie z rolą bogini. Dysocjacja. Rozczłonkowanie. Rozdzielenie.

Wieczór w ogrodach dataradzi Ashoka. Woda ciurkała kamiennymi kanałkami perskiego ogrodu. Czułam jej zapach, słodki i wilgotny. Ciśnieniowa kurtyna nie dopuszczała smogu; drzewa izolowały od delhijskiego hałasu ulicznego. Widziałam nawet parę gwiazd. Siedzieliśmy w otwartym chatri z ciągle nagrzanego marmuru. Na srebrnych thali leżały daktyle Medjool, chałwa - chrupka od much - i zawinięty w liście paan. Robot-ochroniarz wszedł w snop światła padający z kolonialnego bungalowu i schował się z powrotem w cieniu. Ale gdyby nie ona, mogłabym równie dobrze być w epoce radzów.

Czas sypał się, wirując jak skrzydła hodowlanych gołębi. Zachowania dysocjacyjne. Mechanizmy obronne. Biegłam wysadzonymi palmami bulwami Mumbaju, otulając chustami mój poślubny strój, w którym czułam się bardziej naga niż bez niego. Biegłam bez namysłu, nie wiedząc dokąd. Taksówki trąbiły, fatfaty zjeżdżały, gdy pędziłam przez

zatłoczone ulice. Nawet gdybym miała pieniądze na fatfata - ale po co żonie Bramina jakaś prymitywna gotówka? - nie wiedziałabym, dokąd mam jechać. Niemniej, jakiś demoniczny aspekt mojej jaźni musiał wiedzieć, wylądowałam bowiem w ogromnej marmurowej hali dworca kolejowego, jak samotny nieruchomy żuczek pośród dziesiątków tysięcy śpieszących się podróżnych, żebraków, handlarzy i kolejarzy. Otulona chustami i narzutami uniosłam wzrok ku kopule z czasów Radżu, z czerwonego kamienia - i zobaczyłam w niej drugą czaszkę, pełną przerażenia tym, co uczyniłam.

Zbiegła panna młoda, bez grosza przy duszy, sama na dworcu kolejowym Mumbai Chhatrapati Shivaji. Co minutę odjeżdża stąd sto pociągów w sto miejsc, ale jechać nie ma dokąd. Ludzie gapili się na mnie: na wpół nauc-kurtyzana, na wpół bezdomna niedotykalna. Zawstydzona, przypominałam sobie o hoeku za uchem. *Ashok*, napisałam na piaskowcowych kolumnach i wirujących reklamach. *Ratunku!*

- Nie chcę być rozbita, nie chcę być wielokrotna, czemu nie mogę być jedna? Być sobą? - We frustracji tłukłam się poduszką dłoni w czoło. - Niech mnie ktoś poskłada, niech mnie ktoś uzdrowi!

Odpryski wspomnień. Personel w białych liberjach podający mi gorący čaj w oddzielnym przedziale pierwszej klasy ekspresu *śatabdi*. Roboty czekające na peronie ze staroświeckim palankinem z daszkiem, żeby zanieść mnie przez poranny delhijski korek do wilgotnych, zielonych geometrii ogrodów Ashoka. Jednakże za nimi trwał jeden uporczywy obraz: biała pięść wuja ześlizgująca się z rozbujanej liny, on sam spadający, pedałuający nogami w powietrzu, do kremowej wody rzeki Shakya. Już wtedy byłam rozdarta. Strach i wstrząs. Śmiech i uśmiech. Jakże inaczej przetrwać, będąc boginią?

„Bogini. Moja bogini”.

Ashok nie rozumiał.

- Leczyłabyś śpiewaka z jego talentu? To nie żadne szaleństwo, to przystosowanie. Inteligencja polega na ewolucji. Niektórzy stwierdziliby, że ja mam objawy łagodnego Aspergera.

- Nie wiem, co to znaczy.

Zakręcił różą tak mocno, że złamała się łądyżka.

- Zastanawiałaś się, co będziesz teraz robić?

Właściwie o niczym innym nie myślałam. Narayanowie łatwo się nie pogodzą ze stratą posagu. Mamadzi przegoni mnie spod drzwi. Wieś rodzinna też jest dla mnie zamknięta.

- Może mógłbyś przez jakiś czas...

- To nie jest dobry czas... Kogo chętniej posłucha parlament, jak myślisz? Rodziny

budującej tamę, która zapewni krajowi wodę na dziesięć lat, czy biznesmena od oprogramowania z hodowlą *aeai* poziomu 2,75, które według Ameryki są pomiotem Szejtana? W Awadhzie ciągle liczą się wartości rodzinne. Sama dobrze wiesz.

Usłyszałam swój głos, jak u małej dziewczynki:

- To dokąd mam iść?

Kupiec panien na wydaniu miał historie o Kumari, za które nikt nie chciał wyjść, a nie mogły wrócić do domu - kończyły w klatkach z kobietami w Varanasi i Kolkacie. Chińczycy płacili po parę rupii za numerki z eksboginią.

Ashok zwilżył usta językiem.

- Znam takie miejsce w Bharacie, w Varanasi. Awadh i Bharat mało kiedy ze sobą gadają.

- Och, dziękuję ci, dziękuję... - Padłam przed nim na kolana, uścisnęłam dłonie.

Odwrócił wzrok. Pomimo sztucznego chłodu w wodnym ogrodzie, obficie się pocił.

- To nie dar. To... praca. Zadanie.

- Praca, to świetnie, dam radę; umiem dobrze pracować, zrobię co w mojej mocy. A o co chodzi? Zresztą, wszystko jedno, dam radę...

- Są pewne towary, które należy przewieźć.

- Co to za towary? Zresztą, wszystko jedno, przewiozę, co tylko trzeba.

- *Aeai*. - Wziął paan ze srebrnej tacy. - Nie będę tu stał i czekał, aż przyjdzie Shrivastawa i jego Psy Kriszny ze swoim softem do ekskomunik.

- Ustawy Hamiltona - zaryzykowałam, choć nie wiedziałam, co właściwie oznaczają, co znaczy większość jego bełkotu i narzekań.

- Mówi się, że wszystko powyżej poziomu 2,5. - Ashok zagryzł dolną wargę. Oczy rozszerzyły mu się, gdy paan zaczął krążyć po czaszce.

- Oczywiście, zrobię wszystko, co mogę.

- Nie powiedziałem ci jeszcze, jak będziesz je przewozić. W miejscu stuprocentowo bezpiecznym, pewnym, gdzie nie znajdzie ich żaden Pies Kriszny. - Dotknął prawym palcem wskazującym trzeciego oka.

* * *

Pojechałam do Kerali i dałam sobie włożyć procesory pod czaszkę. Zrobiło to dwóch facetów na zaadaptowanym gazowcu zakotwiczonym tuż za granicą wód terytorialnych. Zgolili mi piękne długie czarne włosy, otworzyli czaszkę, jak na zawiasach, i wpuścili do mózgu roboty mniejsze od najmniejszych pajęczków, które utkały w nim siatkę z komputerów. Dzięki położeniu poza zasięgiem keralskich szybkich motorówek patrolowych,

mogli wykonywać rozmaite tajne operacje chirurgiczne, przeważnie dla zachodnich sił zbrojnych. Zapewnili mi bungalow i australijską dziewczynę, żeby mnie doglądała, kiedy goiły mi się szwy, a włosy ekspresowo odrastały na hormonach.

„To białkowe chipy; wychodzą tylko na skanach w najwyższej rozdzielczości, ale na ciebie nikt przecież nie zwróci uwagi; nikt nie będzie się zastanawiał nad jedną z wielu dziewczyną z agencji *śaadi*, polującą na męża”.

Siedziałam więc i przez sześć tygodni gapiałam się na morze, i zastanawiałam się, jak to by było, utonąć na samym jego środku, będąc samotną i zagubioną, tysiąc kilometrów od najbliższej dłoni, która mogłaby mnie chwycić. Tysiąc kilometrów na północ, w Delhi, facet w indyjskim garniturze podał rękę facetowi w amerykańskim garniturze i podpisali Układ Specjalny, na mocy którego Ashok stawał się przestępcą.

„Wiesz, kto to są Psy Kriszny? Polują na *aeai*. Polują na ludzi, którzy je hodują, i tych, którzy je przechowują. Nie szczypią się. Najpierw walą, potem pytają. Ale ciebie nigdy nie złapią. Ciebie nie złapią nigdy”.

Nasłuchiwałam demonów w szumie fal na brzegu i pomruku potężnego morza. Teraz już wiedziałam, że są innymi częściami mojej jaźni. Ale nie bałam się ich. W hinduizmie demony są tylko odbiciami bogów. A u bogów jak u ludzi - to zwycięzcy piszą historię. Wszechświat nie wyglądałby inaczej, gdyby to Rawana i jego rakszasy wygrały kosmiczną wojnę.

„Nikt poza tobą nie byłby w stanie ich nosić. Nikt poza tobą nie ma takiej neurologicznej architektury. Nikt poza tobą nie wytrzymałby w głowie drugiego umysłu”.

Australijka zostawiała mi pod drzwiami drobne prezenciki: plastikowe bransoletki, żelowe klapki, pierścionki, wsuwki do włosów. Kradła je ze sklepów w mieście. To chyba był taki jej sposób na powiedzenie, że chce mnie poznać, ale boi się mojej przeszłości i tego, co ze mnie zrobią te istoty w mojej głowie. Ostatnią ukradzioną rzeczą była przepiękna, jedwabna, prześwitująca dupatta do okrycia moich białych włosów podczas jazdy na lotnisko. W poczekalni na odlotach popatrywałam spod niej na gadające do rąk dziewczyny w biznesowych sari i słuchałam, jak kobieta-pilot informuje o pogodzie w Awadhu. A potem wyglądałam z fatfata, patrzyłam na dziewczyny tak pewnie przemykające na skuterach przez delhijskie korki i zastanawiałam się, czemu moje życie nie może wyglądać jak ich.

- Ładnie ci odrosły.

Ashok klęknął przede mną, siedzącą w *chatry* na poduszkach. To było jego święte miejsce, jego świątynia. Uniósł dłoń w rękawiczce palmera i dotknął palcem wskazującym tilaki nad moim trzecim okiem. Czulałam jego oddech. Cebula, czosnek, nieświeże ghi.

- Możesz się poczuć trochę zdezorientowana...

Aż zaparło mi dech. Zmysły rozmyły się, zmieszały, stopiły. Widziałam czułam słyszałam smakowałam wszystko jako jedno niezróżnicowane wrażenie, tak jak czują niemowlęta i bogowie, czysto i idealnie. Dźwięki miały barwę, światło miało fakturę, zapachy przemawiały i dźwięczały. Potem widziałam, jak zrywam się z poduszek i padam na twarde biały marmur. Usłyszałam swój krzyk. Ashok rzucił się ku mnie. Dwóch Ashoków rzuciło się ku mnie. Nie, to nie było tak. W głowie widziałam jednego Ashoka, ale dwiema wizjami. Nie potrafiłam rozróżnić ani rozdzielić tych dwóch postrzeżeń, nie umiałam poznać, które jest prawdziwe, które jest moje, które jest mną. O wiele wszechświatów stąd usłyszałam, jak mój głos błaga: „Pomocy”. Widziałam, jak służący Ashoka zanoszą mnie do łóżka. Sufit malowany w pnącza, pędy i kwiaty, falował nade mną jak monsunowe chmury, potem rozkwitł ciemnością.

Obudziłam się w upale nocy, naga, z rozgrzanyimi do czerwoności wszystkimi zmysłami. Znałam położenie i prędkość każdego owada w moim przewiewnym pokoju, pachnącym biodiesłem, kurzem i paczuli. Nie byłam sama. Pod kopułą mojej czaszki siedziało coś jeszcze. Nie świadomość, nie myśl; raczej coś odrębnego, inne moje wcielenie. Awatar. Demon.

- Kim jesteś? - wyszeptalam. Głos zabrzmiał głośno, dźwięcznie jak dzwony na placu Durbar.

Nie odpowiedziało - nie mogło odpowiedzieć, bo nie było samoświadome - ale zabrało mnie do wodnego ogrodu. Przesłonięte zanieczyszczeniami gwiazdy rozpostarły się nade mną jak kopuła. Połówka księżycy leżała na plecach. Uniosłam wzrok i wpadłam między nie. Chandra. Mangal. Budh. Guru. Shukra. Shani. Rahu. Ketu. Planety nie były już świetlnymi punkcikami ani skalistymi i gazowymi kulami; miały imiona, charaktery, swoje miłości i nienawiści. Wokół mojej głowy zawirowało dwadzieścia siedem nakszatar. Widziałam ich kształty i cechy, powiązania łączące gwiazdy w związki, opowieści i dramaty, tak ludzkie i skomplikowane, jak całe *Miasto i wieś*. Widziałam koło raśi, Wielkie Domy, łuk na niebie, i to wszystko się obracało, maszynerie wewnątrz maszynerii, nieskończone koła wpływu i subtelnych połączeń, od skraju wszechświata po środek Ziemi, na której stałam. Planety, gwiazdy, gwiazdozbiory; historia każdego ludzkiego żywota rozwinęła się nade mną - mogłam przeczytać je wszystkie. Każde słowo.

Całą noc bawiłam się między gwiazdami.

Rano, przy herbacie w łóżku, zapytałam Ashoka:

- Co to było?

- Taka prymitywna *aeai*, poziom 1,9. Zajmuje się dżanampatri, astrologią, permutacjami. Wydaje jej się, że tam mieszka, jak jakaś małpa w kosmosie. Tak naprawdę nie jest zbyt bystra. Zna się na horoskopach i tyle. Dobra, teraz to ładuj i zbieraj rzeczy. Zaraz masz pociąg.

Miałam rezerwację w wagonie dla kobiet w szybkim ekspresie *śatabdi*. Mężowie kupowali takie miejscówki żonom, aby chronić je przed natręctwem męskiej części pasażerów, którym wydawało się, że każda kobieta jest wolna i dostępna. Nieliczne kobiety pracujące, robiące karierę, wybierały je z tego samego powodu. Naprzeciwko mnie jechała muzulmanka w oficjalnym biznesowym stroju z szarawarami. Patrzyła na mnie z pogardą, gdy pędziłyśmy trzysta pięćdziesiąt na godzinę po Nizinie Hindustańskiej. „Mała, głupkowata żoneczka-zwierzątko”.

Nie osądzałybyś tak szybko, gdybyś wiedziała, kim jesteśmy naprawdę, myślałam. Możemy zajrzeć w twoje życie i opowiedzieć ci wszystko, co ci się przydarzyło, przydarza i przydarzy w przyszłości, rozpisane na gwiazdne ćakry. Tamtej nocy, pomiędzy gwiazdozbiorami, mój demon i ja powpływaliśmy między siebie nawzajem, aż nie było wiadomo, gdzie kończy się *aeai*, a zaczynam ja.

Wcześniej myślałam, że święte Varanasi będzie śpiewać do mnie jak Katmandu, jak mój duchowy dom, miasto dziewięciu milionów bogów i jednej bogini, jadącej fatfatem przez jego ulice. Tymczasem zobaczyłam kolejną indyjską stolicę kolejnego indyjskiego państewka; szklane wieżowce, diamentowe kopuły i centra przemysłowe na pokaz dla wielkiego świata, slumsy i basti u ich stóp jak śmietnikowe świnie. Ulice zaczynały się w tym tysiącleciu i kończyły o trzy wcześniej. Korki, billboardy i ludzie, ludzie, ludzie, niemniej dieslowskie spaliny przedostające się przez złącza maski przeciwsmogowej niosły w sobie nutkę kadzidła.

Agentka Ashoka w Varanasi spotkała się ze mną w Jantar Mantar, wielkim obserwatorium słonecznym Jaia Singha; zegary słoneczne, gwiazdne sfery i kreślące cienie dyski, jak rzeźby nowoczesne. Była tylko trochę ode mnie starsza i ubrana w przylegający do ciała jedwabny top oraz dzinsy wiszące tak nisko na biodrach, że widziałam dołek między pośladkami. Od razu ją zniechęciłam, ona jednak w cieniu otaczającym instrumenty astrologiczne Jaia Singha dotknęła rękawiczką palmera mojego czoła i poczułam, jak ulatują ze mnie gwiazdy. Niebo umarło. Byłam święta, a oto stałam się znowu mięsem. Dziewczątka Ashoka wcisnęło mi do głowy zwitek rupii. Ledwo na nie spojrzałam. Ledwo słyszałam jej polecenia, że mam coś zjeść, wypić kawę, kupić parę porządnych ciuchów. Czułam się ogołocona. Stwierdziłam nagle, że pnę się po stromych kamiennych stopniach wielkiego

Samratu, nie mając pojęcia, kim jestem, gdzie jestem i co robię w połowie wysokości ogromnego zegara słonecznego. Byłam połową siebie. Wtedy otworzyło się moje trzecie oko i ujrzałam przed sobą wielką i szeroką rzekę. Zobaczyłam białe piaski wschodniego brzegu, szalasy i obornikowe ogniska sadhu. Zobaczyłam ghaty, kamienne nadrzeczne schody, po obu stronach zakręcające poza zasięg mojego wzroku. I zobaczyłam ludzi. Myjących, modlących się, piorących, odprawiających pudżę, kupujących, sprzedających, żyjących i umierających. Ludzi w łodziach, ludzi klęczących, stojących po pas w wodzie, nabierających garściami srebrzystą wodę i polewających nią głowy. Ludzi rzucających w nurt płatki aksamitków, ludzi zapalających maleńkie lampki dija na mangowych liściach i puszczających je na wodę, ludzi przynoszących tutaj swoich umarłych, żeby zanurzyć ich w świętej wodzie. Zobaczyłam stopy pogrzebowe na ghacie całopalnym, poczułam drzewo sandałowe i palone trupy, usłyszałam, jak pęka czaszka, uwalniając duszę. Słyszałam ten odgłos wcześniej na starym, królewskim ghacie całopalnym Pashupatinath, kiedy umarła matka prezydenta. Cichy trzask i już jest wolna. Uspokajający dźwięk. Przypomni mi o domu.

* * *

Owej pory roku wielokrotnie odwiedzałam miasto nad Gangesem. Za każdym razem jako ktoś inny. Księgową, doradcę, żołnierza sterujący robotami, aktorka telenoweli, administrator baz danych; byłam boginią o tysiącu talentów. Dzień po tym, jak na dworcu w Delhi zobaczyłam Psy Kriszny patrolujące z robotami i tymi karabinami z lufami na ludzi i na *aeai*, Ashok zaczął zmieniać środki transportu. Latałam, jeździłam pociągami, tarabaniłam się całą noc zatłoczonymi wiejskimi autobusami, czekałam w mercedesach z szoferem w długich kolejkach, pomiędzy pstrokato wymalowanymi ciężarówkami, na awadhsko-bharackiej granicy. Ciężarówki, tak jak ten trzask wybuchającej czaszki, przypominały mi o moim królestwie. Jednakże na końcu zawsze była ta szczirowata dziewczyna unosząca dłonie do mojej tilaki i po raz kolejny rozbijająca mnie na kawałki. W tym sezonie byłam tkaczem, księgową od podatków, organizatorką wesel, montażystą telenowel, kontrolerem ruchu lotniczego. A ona mi to wszystko zabierała.

I przyszła wycieczka, podczas której Psy Kriszny czekały także w Bharacie. Teraz w dotyczącej mnie polityce orientowałam się już równie dobrze jak Ashok. Bharatczycy w życiu nie podpisaliby Ustaw Hamiltona - ich wielomilionowy przemysł rozrywkowy stał na *aeai* - ale nie chcieli też konfliktować się z Ameryką. Tak powstał kompromis; wszystkie *aeai* powyżej poziomu 2,8 zakazane, pozostałe - licencjonowane, oraz Psy Kriszny patrolujące lotniska i dworce kolejowe. Coś jakby próbować przegrodzić Ganges palcami.

Podczas lotu wypatrzyłam jednego kuriera. Siedział dwa rzędy przede mną, młody,

kosmyk bródki, ciuchy jak z kanału Star Asia, przyduże i workowate. Nerwowy, nerwowy, nerwowy: cały czas macał się po kieszeni na piersi, sprawdzał, sprawdzał, sprawdzał. Drobny badmaś, co ma się za wielkiego dataradzę, z paroma specjalistycznymi *aeai* poziomu 2,75 załadowanymi na palmera. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak w ogóle przedostał się przez kontrolę na lotnisku w Delhi.

Psy Kriszny w Varanasi musiały go zauważyć, to było nieuniknione. Namierzili go już, gdy stawaliśmy w kolejce do kontroli paszportowej. Puściły mu nerwy. Rzucił się do ucieczki. Kobiety i dzieci rozbiegały się, gdy pędził przez wielką, marmurową halę przylotów, próbując wydostać się na światło, za potężną szklaną ścianę, drzwi, w szalony ruch uliczny tuż za nią. Bił pięściami powietrze. Usłyszałam staccato okrzyków Psów Kriszny. Zobaczyłam, jak wyciągają broń. Krzyki się wzmogły. Nie unosząc głowy, posuwałam się naprzód. Oficer imigracyjny sprawdził mi dokumenty. Kolejna agencyjna panna na wydaniu przyjeżdża polować na męża. Pośpieszyłam na zewnątrz, skręciłam na postój taksówek.

Słyszałam, jak w hali przylotów za mną zapada cisza tak niezmiernie, że aż dźwięcząca niczym świętynny dzwon.

Wtedy się przestraszyłam. A gdy wróciłam do Delhi, mój lęk całkiem jakby przyleciał tam przede mną. Miasto dzinnów stało się miastem plotek. Rząd podpisał Ustawy Hamiltonowskie. Psy Kriszny kontrolowały dom za domem. Pliki na palmerach miały podlegać monitoringowi. Zdelegalizowano dziecięce zabawki z wbudowanymi *aeai*. Przerzucono śmigłowcami amerykańską piechotę morską. Premier Shrivastawa zaraz miał ogłosić zastąpienie rupii przez dolara. Monsun lęków i spekulacji, a Ashok w samym oku tego wszystkiego.

- Jeden ostatni skok i wychodzę z interesu. Zrobisz to dla mnie, dasz radę? Ostatni raz?

Bungalow był już w połowie opróżniony. Meble były popakowane, zostały tylko rdzenie procesorów. Przykryte płachtami duchy stworzeń, które niegdyś w nich żyły. Psy Kriszny mogły je sobie wziąć.

- Jedziemy do Bharatu razem?

- Nie, to byłoby zbyt ryzykowne. Ty najpierw, potem ja dojadę, jak będzie bezpiecznie. - Zawahał się. Dzisiaj nawet auta za wysokimi murami brzmiały jakoś inaczej. - Chcę, żebyś wzięła więcej niż normalnie.

- Ile?

- Pięć.

Zobaczył, jak się cofam, kiedy uniósł dłoń do mojego czoła.

- To bezpieczne?

- One się nakładają, mają dużo wspólnego kodu.

Dawno nie spoglądałam w głąb siebie, ku klejnotom, które Ashok wszczepił mi w czaszkę. Elektronika. Mózg w mózgu.

- To bezpieczne?

Zobaczyłam, że Ashok przełyka ślinę, a potem pochyla głowę: potaknięcie po zachodniemu. Zamknęłam oczy. Parę sekund później poczułam suchy, ciepły dotyk jego palca na moim trzecim oku.

Wyszliśmy na przebłyskujące przez dżali mosiężne światło wczesnego poranka. Byliśmy świadomi, że jesteśmy mocno odwodnieni. Byliśmy świadomi, że potrzebujemy dużo powoli uwalnianych węglowodanów. Mieliśmy niski poziom inhibitorów serotoniny. Łuk okienny był w stuprocentowym stylu mogolskim. Obwody białkowe w mojej głowie to były DPMA 1879 Omega, licencjonowane od firmy BioScan z Bangalore.

Wszystko, na co patrzyliśmy, rozszczepiało się w tęczę interpretacji. Widziałam świat oczyma dziwnych manii moich nowych gości: lekarza, dietetyka, grafika-architekta, projektanta biochipów i inżynierijnej *aeai* sterującej zespołem warsztatowych robotów. Nasatya. Vaishvanara. Maya. Brihaspati. Tvastri. Bliskie mi demony. Byłam wielogłową *devi*.

Przez cały poranek, całe popołudnie, zmagalam się, próbując zrozumieć świat będący pięcioma światami, pięcioma sposobami postrzegania. Walczyłam. Walczyłam, aby uczynić z nas mnie. Ashok denerwował się, szarpał wełnistą brodę, chodził tam i z powrotem, usiłował oglądać telewizję, sprawdzać e-maile. Integracja przyjdzie. Musi przyjść. Nie przeżyję takiego jazgotu pod czaszką, takiego monsunu interpretacji. Po ulicach pędziły syreny, daleko, blisko, znów blisko. Każda z nich wywoływała u moich jaźni inną reakcję.

Znalazłam Ashoka siedzącego pomiędzy nakrytymi rackami procesorów, z kolanami pod brodą i objętego rękoma. Wyglądał jak wielki, gruby, łagodny chłopczyk, ukochane dziecko mamusi.

Bladość od nadmiaru noradrenaliny, lekka hipoglikemia, toksyny zmęczeniowe, powiedział Nasatya.

Bewabajtowa macierz kwantowych dysków, firmy Yin Systems, powiedział Brihaspati.

Dotknęłam jego ramienia. Podskoczył i oprzytomniał. Na zewnątrz zapadła duszna ciemność. Monsun już szedł przez Zjednoczone Państwa Bengalu.

- Jesteśmy gotowi - powiedziałam. - Jestem gotowa.

Ciemno pachnący hibiskus zwiślał nad podjazdem, gdzie czekał mercedes.

- Do zobaczenia za tydzień - powiedział. - W Varanasi.

- W Varanasi.

Chwył mnie za ramiona, delikatnie pocałował w policzek. Narzuciłam dupattę na głowę. Spowitą welonem, wsadzono mnie do nocnego pociągu sypialnego United Provinces. Gdy położyłam się w przedziale pierwszej klasy, *aeai* zaczęły trąkotać mi w głowie, z zaskoczeniem odkrywając się nawzajem, odbicia odbić.

Z rana ćowkidar przyniósł mi herbatę do łóżka na srebrnej tacy. Świt wkradał się nad chaotyczne slumsy i dzielnice przemysłowe Varanasi. *Aeai* będąca moim osobistym serwisem informacyjnym powiedziała mi, że o dziesiątej rano Lok Sabha będzie głosować nad ratyfikacją Ustaw Hamiltona. O dwunastej w południe premier Shrivastawa i ambasador Stanów Zjednoczonych obwieszczą przyznanie Awadhowi Klauzuli Najwyższego Uprzywilejowania w handlu z Ameryką.

Pociąg wysypał pasażerów na peron pod kopułą z włókna diamentowego, którą tak dobrze znałam. Wyglądało na to, że co drugi pasażer jest przemytnikiem. Jeśli mnie było tak łatwo ich zauważyć, to Psy Kriszny mogły tak samo. Stali przy pochylniach wyjściowych, w większej liczbie niż kiedykolwiek wcześniej. Za nimi mundury, za mundurami roboty. Bagażowy niósł moją torbę na głowie; wykorzystywałam ją jako punkt nawigacyjny w tłumie ludzi. Idź wyprostowana, jak uczyła cię Mamadzi. Idź wysoka i dumna, jakbyś szła Jedwabną Ścieżką z bogatym człowiekiem. Naciągnęłam dupattę na głowę, gwoli skromności. Potem dostrzegłam piętrzący się przy pochylniach tłum. Psy Kriszny skanowały palmerami każdego pasażera.

Widziałam, jak badmasie i przemytnicy trzymają się z tyłu, wycofują na koniec tego młynia ciał. Tyle że tam również nie było ucieczki. Uzbrojona policja i roboty przeciwko zamieszkom zajęły pozycję na drugim końcu peronu. Fala za falą, ciśnienie ludzi przesuwało mnie ku Psom Kriszny, machającym dłońmi nad pasażerami, jakby ich błogosławili. Te ich urządzenia potrafiły mi otworzyć czaszkę i zajrzeć do środka. Czerwona walizeczka podskakiwała przede mną, prowadząc mnie do klatki.

Brihaspati pokazał mi, co zrobią z obwodami w mojej głowie.

„Pomocy!” - pomodliłam się do swoich bogów. I Maya, architekt demonów, odpowiedział. Jego pamięć była moją pamięcią, a trójwymiarowy render tego dworca siedział w niej dużo wcześniej, zanim budowlane roboty-pająki zaczęły tkąć nanodiamentową sieć. Dwie wizje hali Varanasi Central, nałożone jedna na drugą. Z jedną różnicą, która mogła mnie uratować. Wersja Mayi pokazywała wnętrze wszystkich rzeczy. Wnętrze peronu. Kanał ściekowy pod włazem na tyłach budki z herbatą, pod wspornikiem dachu.

Przepchnęłam się do małej, pustej przestrzeni na tyłach. Zawahałam się, nim uklękłam przy klapie. Jedna fala tłumu, jedno potknięcie, jeden upadek i zostanę stratowana. Klapa była zaklejona brudem. Połamalam i pozdzierałam paznokcie, zanim udało mi się ją poruszyć i unieść. Z ciemnego prostokąta uniósł się tak ohydny smród, że omal nie zwymiotowałam. Zmusiłam się do zejścia na dół, opadłam metr w sięgające mi do łydek ścieki. Prostokąt światła wyjaśnił mi moje położenie. Brodziłam w odchodach. Kanał zmusił mnie do czołgania, ale na końcu miał obietnicę - półkole światła dziennego. Zanurzyłam ręce w miękkich ściekach. Teraz już naprawdę zwróciłam poranną herbatę. Czołgałam się naprzód, starając się nie zadławić. W życiu nie doświadczyłam czegoś tak ohydneho. Ale i tak było to mniej ohydne niż perspektywa otwarcia czaszki i poszatkowania mózgu ostrzami. Czołgałam się na czworakach pod torami dworca Varanasi, ku światłu, ku światłu, ku światłu i przez otwarty wylot do ściekowej zatoczki, gdzie świnie i szmaciarze grzebali w wysychających ludzkich odchodach.

Obmyłam się, jak tylko mogłam w wyschniętym kanale. Pracze tłukli tkaninami o kamienne płyty. Staralam się nie zwracać uwagi na ostrzeżenia Nasaty dotyczące paskudnych infekcji, które mogłam tam podłapać.

Z dziewczyną Ashoka byłam umówiona na ulicy, gdzie robią gadźry. Dzieci siedziały w drzwiach domów i otwartych witrynach sklepów, nawlekając na nitki płatki aksamitków. Nawet dla robotów zbyt tanie zajęcie. Płatki wysypywały się z buszli i plastikowych pojemników. Opony fatfata ślizgały się na mokrych płatkach róż. Jechaliśmy pod kopułą z aksamitkowych wianków, zwisających z żerdzi nad sklepami. Wszędzie zapach zdechłych, gnijących kwiatów. Fatfat skręcił w węższy, ciemniejszy zaułek, dojechał na tył tłumu. Kierowca przycisnął dłonią klakson. Ludzie niechętnie ustąpili. Silniczek na alkopaliwo zawył. Popęzliśmy naprzód. Na otwartej przestrzeni drogę zastąpił nam policyjny dżawan. Miał na sobie pełny bojowy pancerz. Brihaspati przeczytał odbłyśki danych migocących na szybce hełmu: misja, łączność, nakaz aresztowania. Naciągnęłam dupattę na głowę i całą twarz, gdy kierowca z nim gadał. „Co się dzieje? Jakiś badmaś. Jakiś dataradża czy coś”.

W głębi ulicy gadźr, policjanci w mundurach, prowadzeni przez cywilnego Psa Kriszny, wyważyli drzwi. Mieli w rękach broń. W tym samym momencie z hukiem uniosły się rolety dźharoki na piętrze. Sylwetka wskoczyła na drewnianą balustradę. Tłum za mną wydał potężne westchnienie. „Tam jest, tam jest badmaś, oooo, patrzcie, oooo, to dziewczyna!”.

Spod zwojów dupatty widziałam, jak dziewczyna Ashoka chwieje się przez moment, potem skacze i chwyta się sznura do prania. Sznur pękł i zrzucił ją brutalnie, przez wiązki

aksamitkowych wianków, na ulicę. Przez chwilę klęczała, zobaczyła policję, tłum, mnie, odwróciła się i puściła biegiem. Dżawan ruszył za nią, ale znalazł się ktoś szybszy i groźniejszy. Jakaś kobieta wrzasnęła, gdy w zaułek zeskoczył z dachu robot. Chromowe nogi zakolysały się teleskopowo, owadzia główka przechyliła się tam i z powrotem, zogniskowała na celu. Wokół uciekającej dziewczyny frunęły aksamitkowe płatki, lecz wszyscy już wiedzieli, że nie ujdzie robotowi-zabójcy. Jeden krok, dwa kroki i był za nią. Obejrzała się przez ramię, gdy robot dobywał miecza.

Wiedziałam, co będzie dalej. Widziałam to już wcześniej, na zasłanych płatkami ulicach Katmandu, kiedy jechałam w lektyce między swoimi bogami i Kumarimami.

Błysnęło ostrze. Tłum głośno wrzasnął. Głowa dziewczyny potoczyła się zaułkiem. Potężny strumień krwi. Ofiarnej krwi. Bezgłowe ciało zrobiło krok, dwa.

Wyskoczyłam z fatfata i pobiegłam w drugą stronę przez zahipnotyzowany tłum.

Zakończenie historii obejrzałam w telewizji w budce z ćajem przy zbiorniku wodnym na ghacie Scindia. Tu moim kamuflażem byli turyści, wierni, handlarze i konduktory pogrzebowe. Popijałam ćaj z plastikowego kubeczka i patrzyłam na mały ekran nad barem. Policja w Delhi rozbiła sławną szajkę przemytników *aeai*. Psy Kriszny w Varanasi, w geście bharacko-awadhskiej przyjaźni, także dokonały szeregu aresztowań. Nagranie ucięto tuż przed ciosem robota. Ostatnie ujęcie przedstawiało Ashoka, wpychanego do radiowozu delhijskiej policji, w plastikowych kajdankach.

Usiadłam na najniższym ghacie. Rzeka mnie uspokoi, rzeka mnie poprowadzi. Jest z tej samej substancji co ja, boskości. Brązowa woda wirowała wokół upierścienionych palców stóp. Zmyje wszystkie doczesne grzechy. Po drugiej stronie świętej rzeki wysokie kominy pluły w niebo żółtym dymem. Małeńka dziewczynka o okrągłej buzi podeszła do mnie, zaproponowała wianki z aksamitek. Odprawiłam ją machnięciem ręki. Znów widziałam tę rzekę, ghaty, świątynie i łodzie, tak jak wtedy, gdy leżałam w swoim drewnianym pokoju w pałacu przy placu Durbar. Widziałam teraz kłamstwo, którym nakarmił mnie palmer Kumarimy Wysokiej. Myślałam, że Indie są wyszywaną klejnotami spódnicą, czekającą, bym ją włożyła. A okazały się kupcem panien młodych z rulonem rupii, chodzeniem po Jedwabnej Ścieżce, aż stopy popękają i zaczną krwawić. Okazały się mężem o ciele dziecka i żądach męczyzny wypaczonych przez własną impotencję. Zbawcą, który chciał mnie tylko ze względu na moją chorobę. Toczącą się rynsztokiem głową młodej kobiety.

Demony milczały we wnętrzu głowy nieruchomej dziewczyny. One też dobrze widziały, że Bharat, Awadh, Maratha, żadne indyjskie państwo nigdy nie da nam domu.

Na północ od Nayarangadhu droga zaczęła pięć się po zadrzewionych półkach skalnych, miarowo podążając w górę ku Mugling, gdzie skręciła i uczepliła się stromego zbocza doliny Trisuli. To był mój trzeci autobus w ciągu trzech dni. Wypracowałam już sobie taktykę. Siadać z tyłu, owinać się dupatą, patrzeć przez okno. Pilnować pieniędzy. Nie odzywać się.

Pierwszy autobus złapałam pod Jaunpurem. Po opróżnieniu konta Ashoka pomyślałam, że najlepiej będzie jak najdyskretniej wyjechać z Varanasi. Nie chciałam, żeby Brihaspati pokazywał mi, jak gonią mnie polujące *aeai*. Lotniska, dworce kolejowe i autobusowe na pewno będą obstawione. Wyjechałam ze Świętego Miasta nielicencjonowaną taksówką. Kierowca chyba ucieszył się z wysokości napiwku. Drugi autobus zawiózł mnie z Gorakhpuru, przez pola soczewicy i plantacje bananów, do Nautanwa na granicy. Celowo wybrałam małą, leżącą na uboczu Nautanwę, ale i tak pochyliłam głowę i szurałam stopami, podchodząc do oficera imigracyjnego, Sikha, za błaszany kontuarem. Wstrzymałam oddech. Przepuścił mnie machnięciem dłoni, nawet nie spojrzawszy na mój dowód tożsamości.

Przeszłam przez granicę, ruszyłam w górę po łagodnym stoku. Nawet gdybym była ślepa, od razu bym poznała, że weszłam do swojego kraju. Ogromny zgiełk, który zaczynał się o milimetr od skóry, ucichł tak nagle, że prawie rozniósł się echem. Pojazdy nie przebijały się klaksonami przez wszystkie przeszkody. Lawirowały, szukały drogi pomiędzy pieszymi i świętymi krowami wałęsającymi się i przeżuwanymi pośrodku jezdni. W kantorze, gdzie wymieniałam rupie bharaćkie na nepalskie, ludzie byli grzeczni; nie pchali się, nie napierali; w sklepie, gdzie kupiłam torebkę tłustych samos, nie chcieli mi wcisnąć tysiąca niepotrzebnych rzeczy; w tanim hoteliku, gdzie wynajęłam pokój na noc, tylko uśmiechali się do mnie nieśmiało. Niczego nie wciskali, nie sprzedawali, nie chcieli.

Spałam tak głęboko, jakbym spadała przez nieskończone, pachnące niebem, białe prześcieradła. Z rana przyjechał trzeci autobus i zawiózł mnie do Katmandu.

Droga była jednym ciągiem ciężarówek, to wjeżdżających, to zjeżdżających z urwisk, pętających tam i z powrotem, cały czas w górę, w górę, w górę. Rzęziła skrzynia biegów starego autobusu. Silnik ledwo dawał radę. Uwielbiałam ten dźwięk zmagających się z grawitacją silników. Pochodził z moich najwcześniejszych wspomnień, zanim tropiciele Kumari przybyli do Shakyi, taką samą drogą jak ta. Ciągi ciężarówek i autobusów, przez całą noc. Patrzyłam na przydrożne dhaby, świątynki ze spiętrzonych kamieni, postrzępione flagi modlitewne łopocące na wietrze, kolejki linowe przecinające czekoladowo-śmietankową rzekę daleko w dole, chude dzieciaki bujające drucianymi klatkami na wysokich linach. Tak dobrze znane, a tak obce dla demonów współdzielących ze mną czaszkę.

Niemowlę musiało płakać od dłuższego czasu, zanim jego głos przebił się przez autobusowy zgielk. Matka siedziała dwa rzędy przede mną; cmokała, kołysała i nuciła, uspokajając małą dziewczynkę, ale płacz powoli przeradzał się we wrzask.

To Nasatya kazał mi wstać z miejsca i podejść do niej.

- Pokaż mi ją - powiedziałam, a medyczna *aeai* musiała nadać mojemu głosowi autorytatywny ton, kobieta bowiem bez namysłu podała mi dziecko. Odwinęłam prześcieradło, w które była zapakowana. Brzuszek małej dziewczynki był boleśnie wzdęty, kończyny bezwładne i woskowe.

- Po jedzeniu dostaje kolki - powiedziała matka, ale zanim mnie powstrzymała, zajrzałam w pieluchę. Smród był potworny, kupa wielka i blada.

- Co jej dajesz?

Kobieta pokazała chlebek roti, przeżuty na brzegach, żeby zmiękczyć go dla niemowlęcia. Wetknęłam palce do ust dziecka, choć Vaishvanara-dietetyk już wiedział, co tam znajdzie. Język był w czerwone plamy, cały w drobniutkich krostkach.

- Zaczęło się, jak zaczęłaś jej dawać stały pokarm? - zapytałam.

Matka pokiwała głową.

- Ma celiakię - obwieściłam.

Matka z przerażeniem zakryła twarz dłońmi, zaczęła się kiwać i lamentować.

- Nic jej nie będzie, tylko przestań ją karmić chlebem, czy w ogóle czymkolwiek, co jest ze zboża, poza ryżem. Nie trawi białek z pszenicy i jęczmienia. Dawaj jej ryż, ryż i warzywa i zaraz jej się poprawi.

Kiedy wracałam na miejsce, cały autobus się na mnie gapił. Kobieta z dzieckiem wysiadła w Naubise. Dziewczynka dalej płakała, osłabiona ze złości, ale kobieta pomachała mi dłonią. Przyjechałam do Nepalu, nie mając celu, planu ani nadziei, tylko potrzebę powrotu. Ale pomysł już kiełkował mi w głowie.

Za Naubise droga zaczęła miarowo piąć się w górę, przerzucając się tam i z powrotem pomiędzy wałami otulających Katmandu gór. Nadchodził wieczór. Obejrawszy się, widziałam wijącą się po zboczu rzekę reflektorów. A kiedy, ocierając się o zbocze, skręcaliśmy o sto osiemdziesiąt stopni, taka sama rzeka, tylko czerwona, rozlewała się z przodu. Autobus mozolił się na długim, stromym podejździe. Słyszałam, wszyscy słyszeli, jakiś odgłos w silniku, którego nie powinno tam być. Czołgaliśmy się pod górę, ku wysokiej przełęczy będącej działem wód - na prawo do doliny Katmandu, na lewo do Pokhary i Wysokich Himalajów. Wolniej, coraz wolniej. Wszyscy już czuli paloną izolację, słyszeli grzechot.

To nie ja podbiegłam do kierowcy i jego zmiennika. To demon Tvastr.

- Stawaj, stawaj natychmiast! - krzyknęłam. - Alternator ci się zatarł! Spalisz nas wszystkich.

Kierowca wjechał w wąską wnękę, niemal ocierając się o gołą skałę. Ciężarówka mijają nas o milimetry. Podnieśliśmy maskę. Widać było unoszącą się znad alternatora smużkę dymu. Mężczyźni pokręcili głowami i wyciągnęli palmy. Pasażerowie zgromadzili się przed autobusem, żeby się pogapić i pogadać.

- Nie, no nie, dajcie mi francuza - zarządziłam.

Kierowca wytrzeszczył oczy, ja jednak potrząsnęłam wyczekująco wyciągniętą ręką. Może przypomniał sobie płaczące dziecko. Może myślał, ile czasu trzeba będzie, żeby ciężarówka serwisowa dojechała tu z Katmandu. A może myślał, że dobrze byłoby już być w domu z żoną i dziećmi. Zamaszyście wcisnął mi w rękę ten klucz. W niecałą minutę udało mi się zdjąć pasek napędzający alternator.

- Łożyska się zatarły - powiedziałam. - W tych modelach sprzed 2030 ciągle się to robi. Sto metrów dalej i spaliłbyś autobus. Możesz pojechać na akumulatorze. Jest dość prądu, żeby dotoczyć się do Katmandu.

Wybałuszyli oczy na drobną dziewczynę: hinduskie sari, głowa zakryta, ale rękawy ćoli podwinięte, a palce tłuste od biosmaru.

Demon wrócił na miejsce i stało się dla mnie klarowne jak ciemniejące niebo, co będę teraz robić. Kierowca i pomocnik wołali za mną, gdy ruszyłam wzdłuż ciągu pojazdów na szczyt przełęczy. Nie zwracaliśmy na nich uwagi. Mijający kierowcy trąbili swoimi licznymi, wygrywającymi melodie klaksonami, proponowali, że podrzucą. Ja szłam dalej. Widziałam już wierzchołek. Niedaleko do miejsca, gdzie droga się rozdziela. Z powrotem do Indii, w dół do miasta i w góry.

Na szerokim, poplamionym olejem placu, gdzie zawracały ciężarówka, stał stragan z ćajem. Jaśniał neonami reklamującymi amerykańskie napoje i bharacką wodę mineralną; jakby coś spadło tu prosto z gwiazd.

Burczał generator. Telewizor mamrotał znajome, łagodne nepalskie informacje. W powietrzu pachniało gorącym ghi i biodieslem.

Właściciel nie wiedział, co ze mną począć: dziwną, drobną dziewczyną w eleganckim hinduskim stroju. W końcu odezwał się:

- Ładna noc.

Bo była ładna. Ponad smogiem i sadzą doliny powietrze magicznie zrobiło się czyste. W każdą stronę sięgałam wzrokiem aż po nieskończoność. Na zachodzie niebo zachowało

jeszcze odrobinę blasku. Wielkie szczyty Manaslu i Annapurny świeciły liliowo na tle błękitu.

- O tak - powiedziałam. - Piękna.

Sznur pojazdów mijał nas powoli, ani na moment nie przerywając jazdy przez te rozstaje na szczycie świata. Stałam w neonowym blasku budki, długo patrzyłam na góry, po czym pomyślałam: Tu będę mieszkać. Zamieszkamy w drewnianym domku, blisko drzew, z zimną wodą z topniejącego śniegu. Będziemy mieć palenisko i telewizor do towarzystwa, łopocące na wietrze flagi modlitewne, a ludzie z czasem przestaną się bać i będą podchodzić ścieżką pod nasze drzwi. Można być boskim na wiele sposobów. Nasz będzie polegać na boskości w drobnych sprawach, drobnych cudach i codziennej pomocy. Naprawianie urządzeń, tworzenie drobnych programów, leczenie ludzi, projektowanie domów, żywienie ciał i umysłów. Będę małą boginią. Z czasem słowo o mnie rozejdzie się i ludzie będą przychodzić zewsząd - Nepalczycy i cudzoziemcy, podróżnicy, wędrowcy i mnisi. Może któregoś dnia pojawi się mężczyzna, który się nie lęka. Dobrze by było. Ale jak się nie zjawi, też będzie dobrze, bo mając dom pełen demonów, nigdy nie będę sama.

Wtem zdałam sobie sprawę, że biegnę. Zaskoczony herbaciarz woła za mną: „Ej! Ej! Ej!”, a ja pędzę wzdłuż kolumny pojazdów, waląc w ich drzwi i krzycząc: „Pokhara?! Pokhara?! Pokhara?!”. Ślizgam się i potykam na grubym żwirze, biegnąc w kierunku niebotycznych, dalekich gór.

MAŁŻONKA DŻINNA

Pewnego razu była sobie w Delhi kobieta, która poślubiła dżinna. Przed wojną o wodę to nie było aż takie dziwne: Delhi, podzielone na dwie połówki jak mózg, od zarania dziejów było miastem dżinnów. Sufi nauczają, że Bóg stworzył dwie istoty, jedną z gliny i jedną z ognia. Ta z gliny stała się człowiekiem, ta z ognia dżinnami. Jako ogniste stworzenia od zawsze ciągnęło je do Delhi, siedmiokrotnie obróconego w popiół przez najeżdżające je imperia, siedmiokrotnie odradzającego się w nowym ciele. Za każdym obrotem koła karmy dżinny czerpały z płomieni siłę, mnożąc się i dzieląc. Wielcy derwisze i bramini są w stanie je dostrzec, ale na każdej ulicy, w każdym momencie, każdy może usłyszeć szept i poczuć chwilową falę ciepła pochodzącą od przemykającego dżinna.

Urodziłam się w Ladakhu, daleko od żaru dżinnów - dlatego że ich pragnienia i kaprysy są obce ludziom - jednak moja matka urodziła się i wychowała w Delhi i od niej znam jego cyrki i bulwary, wielkie place, ćauki i bazyry, tak jak te z mojego rodzinnego Leh. Delhi było dla mnie miastem baśni, więc jeśli historię małżonki dżinna też zacznę opowiadać w stylu sufickiej legendy czy opowieści z Mahabharaty, albo i mydlanej telenoweli, to dlatego że tak właśnie jawi mi się to miasto: Miasto Dżinnów.

* * *

Nie oni pierwsi zakochali się w sobie na murach Czerwonego Fortu.

Politycy gadali od trzech dni i porozumienie było bliskie. Aby uczcić ten fakt, awadhski rząd przygotował wystawny durbar na wielkim dziedzińcu przed Diwan-i-aam. Patrzą na to całe Indie, więc przedstawienie musi być w iście wiktoriańskiej skali: organizatorzy biegają po gorącym, gołym marmurze, rozwieszają flagi i szarfy, wznoszą sceny, montują systemy oświetlenia i nagłośnienia, opracowują choreografię tancerzy, słoni, fajerwerków oraz paradny przelot robotów bojowych, przystrajają stoły, ćwiczą obsługę kelnerską i sporządzają szczegółowe plany rozsadzenia gości, tak aby nikt nie poczuł się urażony. Przez cały dzień dostawcze trójkołowce zwoziły świeże kwiaty, świąteczne dekoracje i najelegantsze wyściełane meble. Jest nawet prawdziwy francuski sommelier, klnący, co też skwierczący delhijski upał wyprawia z jego planem win. To poważna konferencja. Stawką jest ćwierć miliarda istnień ludzkich.

Kiedy monsun drugi rok z rzędu nie nadszedł, indyjskie państwa Awadh i Bharat

wyszły na brzegi świętej rzeki Gangi, stając naprzeciw siebie z ciężkimi czołgami, automatycznymi helikopterami szturmowymi, bojowym oprogramowaniem i taktycznymi nuklearnymi powolnymi pociskami. Na trzydziestu kilometrach jałowego piasku, gdzie obmywają się bramini i modlą się sadhu, władze Awadhu planują budowę monstualnej tamy. Zapora Kunda Khadar zapewni stu trzydziestu milionom mieszkańców Awadhu zapasy wody na następne pięćdziesiąt lat. Za to w dole rzeki, przepływającej przez święte miasta Allahabad i Varanasi w Bharacie, wszystko zamieni się w proch. Woda to życie, woda to śmierć. Bharaccy dyplomaci, ludzie i sztuczne inteligencje, doradczyciele *aeai*, ostrożnie negocjują warunki porozumienia i prawa dostępu, wiedząc, że jedna nieostrożnie przelana kropla wody sprawi, że szturmowe roboty zaczną tłuc się jak czarne kanie nad szklanymi wieżowcami Nowego Delhi, a powolne pociski z nanoatomowymi głowicami w brzuchach popelzną na kocich szponach przez zaułki Varanasi. Z ramówek programów informacyjnych wyleciało wszystko oprócz krykieta. Bliskie porozumienie! Osiągnięto porozumienie! Jutro podpisanie deklaracji! Dzisiaj wszyscy zapracowali na durbar.

Tancerka kathak wymyka się spomiędzy podskakujących hidźrów i paradujących słoni, na chwilę wytchnienia i papierosa na blankach Czerwonego Fortu. Opiera się o nagrany słońcem kamień, uważając na złote hafty na kostiumie. Za Bramą Lahore ciągnie się rojne targowisko Chandni Chowk; słońce jest ogromnym bąblem żaru lejącego się na kominy i baterie słoneczne zachodnich przedmieść. Chatry sikhijskiej świątyni Sis Ganj, minarety i kopuły Meczetu Piątkowego, śikara świątyni Śiwy wyglądają na tle czerwonego, zapyłonego nieba jak dekoracje w teatrze cieni. Nad nimi roją się i nurkują gołębie, szeleszcząc skrzydłami. Czarne kanie szybują w prądach termicznych nad tysiącami tysięcy dachów Starego Delhi. Jeszcze dalej stoją niebotyczne biurowce Nowego Delhi, niczym ściana kurtynowa bardziej imponująca i wyższa niż cokolwiek zbudowanego w czasach Mogołów - hinduistyczne świątynie ze szkła i strukturalnego diamentu rozciągniętego w iglice na fantastyczne wysokości, skrzącego się gwiazdami i ostrzegającymi światełkami dla samolotów.

Słyszy szept w głowie i własne imię, z akompaniamentem strużki dźwięków sitaru: to dzwonek jej palmera, przesyłany przez kości czaszki prosto do ośrodka słuchu, za pośrednictwem dyskretnego hoeka, zawieszzonego jak biżuteria za uchem.

- Wyskoczyłam na chwilę na bidi, daj mi chociaż dokończyć - narzeka, spodziewając się Pranha, choreografa, słynnego z humorów neutka, przedstawiciela trzeciej płci. Wtem woła: - O! - przed nią bowiem wznosi się wirem złoty pył, jak stworzony z popiołów tancerz.

Dżinn. Myśl zawisa w jej wstrzymanym oddechu. Jej matka, choć hinduska, gorąco

wierzyła w dżinny, w nadnaturalne istoty z dowolnej religii posiadające talenty do oszukiwania.

Kurz tężeje w mężczyznę w długim oficjalnym sztywnej i luźno zwiniętym czerwonym turbanie, opierającego się o gzyms i patrzącego na rozjarzoną anarchię Chandni Chowk. Jest bardzo przystojny, myśli tancerka, pośpiesznie rozgniatając papierosa i pozwalając mu spaść z blanków łukiem czerwonych iskierek. Nieładnie palić w obecności wielkiego dyplomaty A.J. Rao.

- Pani Esho, nie musiała pani tego dla mnie robić - mówi A.J. Rao, składając dłonie w namaste. - Przecież mnie się nic od tego nie stanie.

Esha Rathore odpowiada na pozdrowienie, zastanawiając się, czy obsługa sceny w dole, na dziedzińcu, widzi, jak wita się z powietrzem. Wszyscy Awadhczyccy znają te rysy hollywoodzkiej gwiazdy filmowej: A.J. Rao, jeden z najlepiej poinformowanych i zaciętych negocjatorów Bharatu. Nie, poprawia się: cały Awadh zna tylko obrazki na ekranie. Obrazki na ekranie; obrazki w głowie; głos w uchu. *Aeai*.

- Zna pan moje imię?

- Jestem wielkim pani wielbicielem.

Esha czerwieni się; fala duszącego ciepła dostała się pod mikroklimat ogromnego pałacu, mówi sobie. Nie, nie zakłopotanie. Zakłopotanie - w życiu.

- Ale ja jestem tancerką. A pan jest...

- Sztuczną inteligencją? To prawda. Czyżby była jakaś nowa ustawa przeciw sztucznej inteligencji, zabraniająca nam podziwiania tańca? - Zamyka oczy. - Ach. A ja po prostu po raz kolejny oglądam *Zaślubiny Radhy i Kriszny*.

Tym zdobywa jej próżność.

- A które wykonanie?

- Ze Star Arts Channel. Mam zresztą wszystkie nagrania. Muszę wyznać, że często w trakcie negocjacji puszczam sobie pani wersję w tle. Ale proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie jestem w stanie się nią znudzić. - Uśmiecha się. Zęby ma bardzo ładne i bardzo białe. - Może to nieco dziwne, nie jestem do końca pewien, co mówi o takich sprawach protokół. Przyszedłem tutaj, bo chciałem pani powiedzieć, że jestem jednym z największych pani wielbiceli i że z niecierpliwością czekam na pani dzisiejszy występ. Dla mnie to najjaśniejszy punkt tej konferencji.

Słońce już niemal całkiem zgasło, a niebo jest jednym czystym, intensywnym, wiecznym błękitem, przywodzącym na myśl akord molowy. Gromadki posługaczy rozchodzą się po pochylniach i trasach spacerowych na murach, zapalając jedna po drugiej małe świece.

lampki oliwne. Czerwony Fort lśni jak gwiazdozbiór, który upadł na Nowe Delhi. Esha mieszkała w Delhi całe swoje dwudziestoletnie życie, a nigdy nie patrzyła z tego miejsca na miasto.

- Też nie jestem pewna, co na to protokół. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z *aeai*.

- Naprawdę? - A.J. stoi teraz, opierając się plecami o nagrany słońcem kamień, zadziera głowę do nieba, patrzy na nią kątem oka. Jego oczy uśmiechają się chytrze.

Oczywiście, myśli ona. W jej mieście jest *aeai* jak ptaków. Od systemów komputerowych i robotów o zwierzęcej bystrości szczurów i gołębi po istoty takie jak ta, która stoi przed nią na bramie Czerwonego Fortu i prawi jej miłe komplementy. Zresztą, wcale nie stoi. To tylko przebieg informacji w jej umyśle.

- To znaczy... eee... eee... - jąka się.

- Z poziomem 2,9?

- Nie wiem, co to znaczy.

Aeai uśmiecha się, a kiedy ona próbuje rozkodować ten uśmiech, w głowie dzwięczy kolejny dzwonek i tym razem to jest Pranh. Jak zawsze potwornie klnie, gdzie ona jest, gdzie polazła, co, ona nie wie, że ono ma przedstawienie na głowie, połowa pieprzonego kontynentu będzie to oglądać.

- Przepraszam pana...

- Tak, oczywiście. Będę oglądał.

„Jak to?” - chce zapytać Esha. „*Aeai*, dzinn, chce oglądać mój występ. O co tu chodzi?”. Niestety, kiedy się odwraca, nie ma nikogo, komu mogłaby zadać to pytanie, poza mgielką kurzu rozwiewanego po oświetlonych latarenkami blankach.

Są słonie, cyrkowcy, iluzjoniści i prestidigitatorzy, recytowane gazele, pieśni qawwali i piosenkarki boli; jest catering, wina sommeliera, a potem na scenie zapalają się światła i Esha wiruje mimo naburmuszonego Pranha, gdy tabla, melodeon i shehnai zaczynają grać. Na marmurowym placu panuje nieznośny upał, ona jednak już dała się ponieść. Tupnięcia nogą, piruety i wir spódnic, dzwonięcie dzwoneczków na kostkach, wyraz twarzy, misterne mudry dłoni: po raz kolejny reguły kathaku pozwalają jej uwolnić się z własnego ciała i przeistoczyć w coś większego. Nazwałaby to sztuką, jej talentem, jest jednak przesądna: nazwanie tego daru mogłoby go zniszczyć. O tym się nie mówi, tego się nie nazywa. Po prostu pozwalasz się temu ovladnąć. Taki własny płonący dzinn. Kiedy wiruje po rozświetlonej scenie przed siedzącymi w fotelach delegatami, kątem uwagi wypatruje na budynkach kamer, robotów, oczu, którymi może patrzeć na nią A.J. Rao. Czy ona też jest takim okruczem jego świadomości, jak on jej?

Dygając w snopie jaskrawego światła i schodząc za kulisy, ledwie słyszy owacje. W garderobie, gdy asystentki zdejmują z niej i starannie składają niezliczone obszywane klejnotami warstwy kostiumu i ścierają skorupę scenicznego makijażu, ukazując skrytą w środku dwudziestoletnią twarz, jej uwaga cały czas wędruje ku hoekowi, zausznikowi wygiętemu jak plastikowy pytajnik na blacie gotowalni. Już w dzinsach i bezrękawniku, nieodróżnialna od pozostałych czterech milionów delhijskich dwudziestoparolatek, wsuwa urządonko za ucho, zakrywa je włosami, a palce wahają się przez moment, zanim naciągnie na nie rękawiczkę palmera.

Żadnych połączeń. Żadnych wiadomości. Żadnych awatarów. Sama jest zdziwiona, że to dla niej takie ważne.

Pod Bramą Delhijską czeka szereg rządowych mercedesów. Kobieta i mężczyzna zastępują jej drogę. Odgania ich ręką.

- Nie daję autografów... - A już na pewno nie od razu po występie. Wyjść stąd, odjechać szybko, dyskretnie, rozpląnąć się w mieście.

Mężczyzna otwiera dłoń i pokazuje jej blachę identyfikatora.

- Tym pojedziemy.

Auto wyjeżdża z szeregu i staje przed nimi - kremowe maruti z górnej półki. Mężczyzna otwiera przed nią drzwi, ale w tym geście nie ma ani krzty szacunku. Kobieta siada z przodu obok kierowcy; ten przyśpiesza, trąbiąc, wdziera się w wielki krąg nocnego korka wokół Czerwonego Fortu. Mruczy klimatyzacja.

- Inspektor Thacker z Wydziału Licencjonowania i Rejestracji Sztucznych Inteligencji - mówi mężczyzna. Jest młody, ma ładną cerę, jest pewny siebie i w ogóle nie czuje tremy w obecności sławy. Może trochę za mocno pachnie jego woda po goleniu.

- Pies Kriszny.

Na to stwierdzenie się krzywi.

- Nasze systemy monitoringu wykryły łączność pomiędzy panią i bharacką *aeai* poziomu 2,9, A.J. Rao.

- Tak, dzwonił do mnie.

- O 21.08. Kontakt trwał sześć minut, dwadzieścia dwie sekundy. Może mi pani powiedzieć, o czym rozmawialiście?

Auto jedzie bardzo szybko, jak na Delhi. Jakby reszta ruchu je opływała. Chyba każde światło robi się zielone. Nikomu nie wolno tamować mu drogi. Mogą robić takie rzeczy? - zastanawia się Esha. Psy Kriszny, Policja od *aeai*. Umieją w ogóle poskramiać stworzenia, na które polują?

- Rozmawialiśmy o tańcu kathak. Jest moim fanem. To jakiś problem? Coś złego zrobiłam?

- Nie, absolutnie, proszę pani. Ale proszę zrozumieć, przy konferencji tej wagi... W imieniu rządu przepraszam za tę obcesowość. O, jesteśmy na miejscu.

Przywieźli ją pod jej bungalow. Czuje się brudna, zakurzona i zdezorientowana. Patrzy, jak Pies Kriszny odjeżdża, swoimi oswojonymi dzinnami opanowując na moment frenetyczny delhijski ruch uliczny. Esha przystaje przy bramie. Potrzebna jej chwila wytchnienia, zapracowała na nią, na ten moment dochodzenia do siebie po występie, by móc spojrzeć wstecz i powiedzieć: „Taaak, Esha Rathore”. Bungalow jest cichy, nieoświetlony. Neeta i Priya są na mieście ze swoimi wspaniałymi narzeczonymi, omawiają ślubne prezenty, listy gości i dyskutują, jak duży posag da się wycisnąć z rodzin przyszłych mężów. Nie są jej siostrami, choć razem zamieszkują ten elegancki bungalow. W Awadhu czy nawet Bharacie nikt nie ma sióstr. Przynajmniej nikt w wieku Eshy, choć słyszała, że równowaga zaczyna wracać. Córki są teraz modne. Dawno, dawno temu to kobiety wносиły posag.

Zaciąga się głęboko miejskim powietrzem. Chłodny mikroklimat ogrodu tłumi zgiełk Delhi do poziomu zdławionego pomruku, jak szum krwi w sercu. Czuje zapach pyłu i róż. Perskiej róży. Kwiatu poetów urdu. I kurzu. Wyobraża sobie, jak podrywany szeptem wiatru wznosi się i układa w niebezpiecznego, czarującego dzinna. Nie, to złudzenie, szaleństwo tego obłąkanego starego miasta. Otwiera bramkę na kartę i widzi, że każdy centymetr kwadratowy posesji jest zasłany czerwonymi różami.

* * *

Nazajutrz rano Neeta i Priya czekają na nią przy stoliku ze śniadaniem, usadzone jedna przy drugiej jakby były umówione na wywiad. Albo były z Psów Kriszny. Chociaż raz nie gadają o domach i mężach.

- Kto to kto to kto je przysłał skąd ależ tyle tego musiało kosztować kupę kasy...

Puri, pokojówka, przynosi zielony chiński čaj, podobno chroniący przed rakiem. Sprzątaczką zgarnęła bukiety w stos w rogu ogrodu. W słodkim aromacie już czuje się nutkę zgnilizny.

- Dyplomata.

Neeta i Priya oglądają tylko *Miasto i wieś* oraz kanały chati, ale nawet one muszą kojarzyć, kto to A.J. Rao. Więc kłamię:

- Bharacki dyplomata.

Ich usta układają się w „ooooo” a potem „aaaa”, kiedy patrzą po sobie. Neeta mówi:

- Musisz koniecznie go zaprosić, koniecznie.

- Na nasz durbar - dodaje Priya.

- Tak, na nasz durbar - powtarza Neeta.

Przez ostatnie dwa miesiące nie planowały, nie omawiały i nie oplotkowały niczego innego niż ich wystawne, wspólne przyjęcie zaręczynowe, którym zaimponują wszystkim dotąd niezamężnym przyjaciółkom i wpędzą w zazdrość wszystkich kawalerów.

Esha tłumaczy swój grymas goryczą zdrowotnej herbatki.

- Jest bardzo zajęty. - Nie mówi „facet”. Właściwie nie ma pojęcia, dlaczego bawi się w te głupawe dziewczynskie tajemnice. W Czerwonym Forcie zadzwoniła do niej *aeai*, żeby powiedzieć, że jest jej wielbicielem. Nawet się z nią nie spotykała. Zresztą nie byłoby z kim się spotykać. To wszystko zaszło w jej głowie. - Zresztą, nawet nie wiem, jak się z nim skontaktować. One nie dają numerów telefonów.

- Niech przyjdzie, niech przyjdzie - upierają się Neeta i Priya.

* * *

Przez grzechot starego klimatyzatora ledwo słyszy muzykę, lecz pot i tak spływa jej po bokach, wzdłuż gumki dresów Adidasa, potem w dołek pośrodku pleców i pomiędzy napięte wypukłości pośladków. Próbuje jeszcze raz, na parkiecie do ćwiczeń gharany. Nawet dzwoneczki na stopach brzmią ołowianie. Wczoraj wieczorem sięgnęła trzeciego nieba. Dzisiaj jest jak nieżywa. Nie może się skupić, a ten mały lawda Pranh dobrze o tym wie, zamierza się na nią swoją trzcinką, plując kawałkami przeżutego paanu i nieudacznymi kastrackimi przekleństwami.

- Ej! Nie gap się tyle w palmera, tylko rób mudry. Mudry jak trzeba. Żeby fiut mi podskoczył, gdybym go jeszcze miał.

Zażenowana, że Pranh zauważyło coś, czego sama nie była świadoma - zadzwoń, przekreć, zadzwoń, odezwij się, zabierz mnie stąd - odpala:

- W życiu nie miałoś!

Pranh zamierza się trzcina na jej kostkę, trafia, żądłąc w tylną stronę łydki.

- Pierdol się, hidzro! - Esha łapie torbę, palmera, zaczepia hoeka pod długimi, prostymi włosami. Nie ma sensu się przebierać, na tym upale i tak ubranie będzie mokre w sekundę. - Spadam stąd.

Pranh nie woła za nią. Jest zbyt dumne. Mały małpi cudak, myśli Esha. Jak to jest, że neutko to „ono”, ale bezcielesna *aeai* to „ona”? W legendach starego Delhi dzinny to zawsze faceci.

- Memsahb Rathore?

Szofer jest w pełnym garniturze i wysokich butach. Jedyne ustępstwo na rzecz upału

stanowią ciemne okulary. A ona w skąpym topie i legginsach cała płynie.

- Memsahb, auto jest w pełni klimatyzowane.

Biała skórzana tapicerka jest tak chłodna, że jej skóra aż nie ma ochoty jej dotykać.

- Pan nie jest z Psów Kriszny.

- Nie, memsahb. - Szofer włącza się do ruchu.

Dopiero kiedy rozlega się szcęknięcie centralnego zamka, przychodzi jej do głowy:
Oj, panie Kriszno, a może mnie porywają?

- Kto pana przysyła?

Szyba między nią a szoferem jest zbyt gruba, żeby ją rozbić pięściami. Nawet gdyby drzwi nie były zamknięte, skok z auta przy takiej prędkości, w takim ruchu... mogłyby nie pomóc nawet wyćwiczone odruchy tancerki. A poza tym mieszka w Delhi od urodzenia, od basti po bungalowy, ale tych ulic, tego przedmieścia, dzielnicy przemysłowej, w ogóle nie poznaje.

- Memsahb, nie mogę ujawnić dokąd, żeby nie zepsuć niespodzianki. Wolno mi natomiast powiedzieć, że jest pani gościem A.J. Rao.

Palmer woła ją, gdy tylko kończy odświeżać się butelkowanym kinleyem z samochodowego barku.

- Dzień dobry! - (Zapada się głęboko w chłodną, chłodną skórę, jak gwiazda filmowa. Bo jest gwiazdą. Gwiazdą w limuzynie z barkiem).

- Mam nadzieję, że samochód pani odpowiada? - Ten sam gładki, kulturalny głos.

Nie wyobraża sobie, żeby któryś z negocjacyjnych przeciwników był w stanie się mu oprzeć.

- Cudowny. Bardzo luksusowy. Bardzo wysoka klasa.

Teraz jadą przez basti, slumsy gorsze i groźniejsze niż te, w których się wychowała. Bo nowsze. Te najnowsze zawsze wyglądają na najstarsze. Chłopcy turlają się na partyzanckim wehikule z powyciąganych ze złomu części od traktora. Kremowy lexus ostrożnie objeżdża zagłodzone krowy z kanciastymi kośćmi biodrowymi sterczącymi pod napiętą skórą jak części maszyny. Wszędzie pełno pyłu, osiadającego grubymi warstwami na popękanych plastikowych dachach. To miasto gapiów.

- Nie powinien pan być na konferencji?

Śmiech, w jej ośrodku słuchowym.

- Och, ależ jestem, właśnie ciężko pracuję, zdobywam wodę dla Bharatu, proszę mi wierzyć. Jestem naprawdę oddanym urzędnikiem państwowym.

- Mówi mi pan, że może być tu i tam?

- Dla nas to nic takiego, być w paru miejscach jednocześnie. Mam kilka kopii i jeszcze różne podprogramy.

- Więc który z nich to naprawdę pan?

- Wszystkie. Właściwie żaden z moich awatarów nie jest obecnie w Delhi, jestem rozproszony po zestawie rdzeni dharmy stojących w Varanasi i Patnie. - Wzdycha. Westchnienie pobrzmiwa w jej uchu bliskością, znużeniem i ciepłem, jak szept. - Będzie pani trudno pojąć taką rozproszoną świadomość. Podobnie trudno jest mi zrozumieć świadomość odrębną, zwartą i mogącą się poruszać. Ja mogę się tylko kopiować w tej, jak to nazywacie, cyberprzestrzeni, która dla mnie jest fizyczną przestrzenią, za to wy poruszacie się po wymiarach przestrzeni i czasu.

- To w takim razie, które z was mnie kocha? - Słowa wypadają, niechciane, dzikie, nieprzemysłane. - To znaczy, jako tancerkę. - Teraz zagaduje, żeby to zatuszować. - Któreś z was szczególnie lubi taniec kathak?

Grzeczne, grzeczne słówka, z tych, których używa się na tych strasznych matrymonialnych wieczorkach Neety i Priyi, podczas rozmów z menedżerami fabryk albo obiecującymi prawnikami. Nie bądź taka bezpośrednia, takich kobiet nikt nie lubi. Ten świat należy teraz do mężczyzn. Słyszy jednak radość nabrzmiewającą w głosie A.J. Rao.

- Ależ jak to, wszystkie moje części, Esho, co do jednej.

Po imieniu. Odezwał się do niej po imieniu.

Ulica jest parszywa, pełna bezdomnych psów i drapiących się mężczyzn rozwalonych na ćarpojach, szofer jednak się upiera: „Proszę tędy, memsahb”. Przeciska się zaułkiem obramowanym chwiejnymi minaretami z samochodowych opon. W powietrzu cuchnie przypalonym ghi i starym moczem. Dzieciaki obsiadły lexusa, ale jego zabezpieczenia są na poziomie samego A.J. Rao. Szofer napiera na stare, mosiężno-drewniane wrota w mogolskim stylu, osadzone w kruszącym się czerwonym murze.

- Proszę.

Wchodzi do ogrodu. Do ruin ogrodu. Zaparty z zachwyty oddech wraca do normalności. Geometryczne kanałki ćarbaghu są suche, spękane, zasypane piknikowym śmieciem. Żywopłaty poprzerastane i niechlujne, na brzegach grządek wybujały chwasty. Na trawnikach pełno brązowych, wyschniętych łysin; niższe gałęzie drzew odrąbano na opał. Kiedy idzie ku pawilonowi z pękniętym dachem pośrodku ogrodu, w miejscu gdzie zbiegają się wszystkie ścieżki i wszystkie kanały, żwir pod cienkimi podeszwami jej butów znaczą maleńkie wąwozy - ślady po monsunach z przeszłości. Trawniki pokrywają zeschnięte liście i gałązki. Fontanny są suche i zamulone. A rodziny i tak spacerują tutaj z wózkami; dzieciaki

ganiają za piłkami. Starzy muzułmanie czytają gazety i grają w szachy.

- Ogrody Shalimar - mówi A.J. Rao u podstawy jej czaszki. - Raj jako ogród za murem.

W chwili, gdy wypowiada te słowa, przez ogród przelewa się fala przemian, zmiatając XXI-wieczne ślady zniszczeń. Drzewa pokrywają się pełnym listowiem, rozkwitają kwietne grządki, szeregi terakotowych donic z geranium maszerują po brzegach skrzących się wodą kanałów. Schodkowy dach pawilonu zaczyna lśnić złoceniami, pawie płoszą się i pysznią ogonami, a wszędzie skrzą się i pluskają fontanny. Roześmiane rodziny zamieniają się w mogolskich grandów, a starzy mężczyźni w zamiatających zwirowe ścieżki ogrodników.

Esha klaszcze w dłonie z zachwytu, słysząc daleką, srebrzystą mgiełkę dźwięków sitaru.

- Och! - woła oszołomiona. - Och!

- W ten sposób chciałbym podziękować za to, czym obdarzyłaś mnie wczorajszego wieczoru. To jedno z moich ulubionych miejsc w całych Indiach, choć jest niemal zapomniane. A może właśnie dlatego. Tutaj w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym ósmym koronowano Aurangzeba na mogolskiego cesarza, teraz to miejsce wieczornych spacerów dla mieszkańców slumsu. Przeszłość to moja pasja; dla mnie, dla takich jak ja, to łatwe. Możemy żyć w wielu czasach naraz, podobnie jak w wielu miejscach. W myślach często tu przychodzę. Czy może raczej: to miejsce przychodzi do mnie.

Wtem strumienie wody z fontann falują jakby powiał wiatr, ale to nie wiatr, nie w to upalne popołudnie - spadająca woda formuje się w wychodzącego z mgiełki człowieka. Człowiek z wody, lśniący, lejący się, staje się człowiekiem z krwi i kości. A.J. Rao. Nie, myśli, nigdy z krwi i kości. To dzinn. Coś uwięzionego pomiędzy niebem a piekłem. Kapryśny, podstępny. No to niech mnie podejdzie.

- Dokładnie jak mówili starożytni poeci języka urdu - mówi A.J. Rao. - Raj naprawdę jest odgradzony murem.

* * *

Dawno minęła czwarta, ona jednak nie może zasnąć. Leży na łożu, naga, bezwstydna, jeśli nie liczyć hoeka za uchem, żaluzje w oknie są otwarte, a przedpotopowa klimatyzacja pyrka, milknąc przy chwilowych zanikach napięcia. Najgorsza noc jak dotąd. Miastu brakuje powietrza. Nawet odgłos ruchu ulicznego wydaje się jakiś przytłumiony. Palmer na drugim końcu pokoju otwiera swoje błękitne oko i szepcze jej imię. Esha.

Podnosi się, klęka na łóżku, ręka do hoeka, naga skóra pokryta kropelkami potu.

- Jestem. - Szeptem. Neetę i Priyę po obu stronach oddziela tylko cienka ścianka.

- Przepraszam, jest późno, wiem...

Patrzy na drugi koniec pokoju, w kamerkę palmera.

- Nie szkodzi, i tak nie spałam. Co się stało?

- Misja się nie powiodła.

Kłęka pośrodku wielkiego, zabytkowego łoża. Pot spływa wgłębieniem wzdłuż kręgosłupa.

- Konferencja? Ale co się stało? - Ona szepcze, a on odzywa się w jej głowie.

- Wszystko rozbiło się o jedną kwestię. Drobną, banalną kwestię, która stała się rozbijającym wszystko klinem. Aż wszystko padło. Awadh będzie budować swoją tamę w Kunda Khadar i zatrzyma całą wodę świętej Gangi dla siebie. Moja delegacja już się pakuje. Rano wracamy do Varanasi.

Serce jej tłucze. Potem przeklina siebie, głupie, romantyczne dziewczątko. On tak samo jest w Varanasi jak tutaj, i w Czerwonym Forcie, gdzie wspiera swoich ludzkich przełożonych.

- Przykro mi.

- Właśnie - mówi on. - Właśnie tak się czuję. Może za bardzo ufałem swoim umiejętnościom?

- Ludzie zawsze będą cię rozczarowywać.

Gorzki śmiech w ciemnościach jej czaszki.

- Bardzo odcieleśnione spostrzeżenie, Esho. - Imię zawisa w gorącym powietrzu jak akord. - Zatańczysz dla mnie?

- Co takiego? Tutaj? Teraz?

- Tak. Trzeba mi czegoś... cielesnego. Fizycznego. Popatrzeć na poruszające się ciało, na świadomość, która tańczy w przestrzeni i czasie, na coś, czego ja nie potrafię. Popatrzeć na piękno.

Potrzeba. Istota o boskiej mocy ma potrzeby. Nagle Esha czuje się onieśmielona, zakrywa dłońmi swoje małe, jędrne piersi.

- Muzyka... - jąka się. - Bez muzyki nie dam rady...

Cienie w kącie sypialni gęstnieją w zespół: trzech mężczyzn pochylonych nad tablą, sarangi i bansuri. Esha piszczy i zawstydzona nurkuje pod kołdrę. Oni cię nie widzą, oni w ogóle nie istnieją, tylko w twojej głowie. A nawet gdyby byli żywi, skupiliby się na tych swoich ustrojstwach z drutów i skóry, i nie widzieli poza nimi świata. Straszni ludzie, ci muzycy.

- Na ten wieczór wcieliłem w siebie taką mniejszą *aeai* - mówi A.J. Rao. - Poziom 1,9,

zajmuje się komponowaniem. Ja odpowiadam za wizję.

- Możesz sobie tak podmieniać części? - pyta Esha.

Grający na tabli wystukuje na dajanie powolny rytm *natetere*. Muzycy kiwiają do siebie głowami. Podkrecają tempo. Aż trudno przekonać siebie, że Neeta i Priya nic nie słyszą, że nikt poza nią nic nie słyszy. Ona i A.J. Rao. Grający na sarangi przykładają smyczek do strun, bansuri wypuszcza węzową strużkę fletowych nut. Melodia to sangeet, lecz nigdy wcześniej go nie słyszała.

- Ona to wymyśla!

- To *aeai* do komponowania. Poznajesz motywy?

- Kriszna i gopi. - Jeden z klasycznych motywów tańca kathak: Kriszna uwodzący dojarkę dźwiękiem swego fletu bansuri, najbardziej zmysłowego z instrumentów. Zna te kroki, czuje, że ciało już planuje kolejne ruchy.

- Czy zatańczy pani dla mnie?

I już z pełną siłą gracją tygrysa schodzi z łóżka na trawiastą wykładzinę sypialni, w pole widzenia palmera. Przedtem się wstydziała, głupie dziewczątko. Już nie. Takiej publiczności nie miała jeszcze nigdy. Wielki dzinn. W nieskalanej, upalnej ciszy wykonuje obroty, przytupy i skłony Opowieści o stu ośmiu gopi, bose stopy ledwo muskają tkaną trawę. Jej dłonie kreślą mudry, twarz wyraża emocje ze starodawnej baśni: zaskoczenie, nieśmiałość, zaintrygowanie, podniecenie. Pot płynie obficie po jej nagiej skórze: sama tego nie czuje. Jej szatami są ruch i noc. Czas zwalnia, gwiazdy przystają na łuku nad wielkim Delhi. Pod stopami czuje oddech planet. Właśnie po to było to wszystko, całe to wstawanie o świcie, krwawiące stopy, cięcia trzcinką Pranha, przegapione urodziny, stracone dzieciństwo. Tańczy, aż stopy znów zaczynają krwawić, poobcierane o szorstką wykładzinę, aż każda kropla wody w jej ciele wycieknie i zamieni się w sól, lecz nadal słucha rytmu tabli, dajana i bajana. Jest uwodzoną przez boga dojarką nad rzeką. A.J. Rao nie przypadkiem wybrał akurat ten kathak. Wtem melodia dobiega dźwięcznego końca, muzycy kłaniają się sobie i rozsypują w złoty pył, ona zaś pada, wyczerpana jak żadnym występem w życiu, pada na koniec łóżka.

Budzi ją światło. Jest lepka, naga i zawstydzona. Mogła ją zobaczyć służba. I potwornie boli ją głowa. Wody. Wody. Błagają o nią stawy, nerwy, ścięgna. Naciąga chiński, jedwabny szlafrok. Po drodze do kuchni mruga do niej oko palmera-podglądacza. A więc to nie był erotyczny sen, nie spocona halucynacja wywołana upałem i spalinami. Odańczyła dla *aeai Krisznę i sto osiem gopi*, w zaciszu własnej sypialni. O, wiadomość. Podał numer. „Możesz do mnie zadzwonić”.

* * *

W historii ośmiu wcieleń miasta Delhi bywali mężczyźni - to niemal zawsze są mężczyźni - którzy posiadli wiedzę o dżinnach. Potrafiący rozpoznać ich rozliczne kształty i przejrzyć przebrania, za jakimi skrywają się na ulicach - osła, małpy, psa, padlinożernej kani. Znają ich kryjówki i miejsca, gdzie się gromadzą - szczególnie wabią je meczety - i wiedzą, że niewytłumaczalna fala żaru, którą czujesz, przeciskając się zaułkiem na tyłach Meczetu Piątkowego, to właśnie dżinny, stłoczone tak ciasno, że przechodząc między nimi, czuje się ich ogień.

Najmądrzejsi - i najpotężniejsi - z fakirów znają ich imiona, a więc potrafią je chwycić i rozkazywać im. Już w Starych Indiach, przed rozpadem na Awadh, Bharat, Radżputanę i Zjednoczone Państwa Bengalu trafiali się święci, którzy umieli przywołać dżinny i przefrunąć na ich grzbietach z jednego końca Hindustanu na drugi w jedną noc. W moim rodzinnym Leh żył bardzo stary sufi, który wypędził z nawiedzonego domu sto osiem dżinnów: dwadzieścia siedem z salonu, dwadzieścia siedem z sypialni i pięćdziesiąt cztery z kuchni. Przy takiej ich liczbie nie mieściło się już nic więcej. Wypłoszył je palonym jogurtem i papryczkami chili, ale ostrzegł: „Nie igrajcie z dżinnami, one bowiem niczego nie robią za darmo, i choć wiele lat może upłynąć, zanim przyjdą po zapłatę, to jednak przyjdą na pewno”.

A teraz o swoje miejsce w mieście upomina się nowa rasa: *aeai*. Jeśli dżinny to istoty z ognia, a ludzie - z gliny, one są istotami ze słowa. Na bulwarach i targach Delhi roi się ich pięćdziesiąt milionów: kierują ruchem, obracają akcjami, zarządzają energią elektryczną i wodą, udzielają informacji, wróżą, obsługują kalendarze i terminarze, zajmują się rutynowymi sprawami prawnymi i medycznymi, grają w telenowelach i w każdej sekundzie przesiewają septyliony kawałków informacji przelewających się przez układ nerwowy miasta. A miasto jest jedną wielką mantrą. Od routerów i robocików naprawczych, niewiele bystrzejszych od zwierzęcia (gdyż każde zwierzę jest wystarczająco inteligentne; zapytajcie orła albo tygrysa) aż po potężne *aeai* poziomu 2,9, przez dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu nieodróżnialne od człowieka; to młoda, energiczna rasa, nowa w tym świecie, pełna zapału, jeszcze niezdająca sobie sprawy z własnej siły.

Dżinny patrzą z niesmakiem ze swoich dachów i minaretów: czemuż te potężne istoty z ożywionego słowa tak ślepo służą owym glinianym stworzeniom? Ale także dlatego, że w odróżnieniu od ludzi przewidują, że kiedyś *aeai* wygnają je z ich przedwiecznego, ukochanego miasta i zajmą ich miejsce.

* * *

Motywnym przewodnim tego durbara Neety i Priyi jest *Miasto i wieś*; bharacki megaserial, który paradoksalnie zyskał tu popularność, gdy awadhaska opinia publiczna

zwróciła się przeciw Bharatowi. Super, niech nas straszą czołgami, i tak sobie, kurna, zbudujemy tę zaporę, mogą sobie błagać, ile chcą, teraz to nasza woda... i jednym tchem: co myślicie o Vedzie Prakashu, czy to nie oburzające, co knuje ta Ritu Parvaaz? Przedtem naśmiewano się z tej telenoweli i jej widzów, teraz nie wypada, teraz to niepatriotyczne, teraz publiczność nie może się napatrzeć na Anitę Mahapatrę i begum Vorę. Niektórzy nadal nie chcą jej oglądać, ale płacą za codzienne streszczenia fabuły, żeby robić wrażenie modnie doinformowanych na obowiązkowych punktach programu w rodzaju randkowych durbarów Neety i Priyi.

A durbar jest wystawny. Ostatni przed monsunem - o ile faktycznie przyjdzie w tym roku. Neeta i Priya zatrudniły najlepszych bhati-didżejów, którzy leją strumień miksów prosto do hoeków gości. Jest nawet pole klimatyzacyjne, z trudem powstrzymujące swoją niewidzialną granicą nocny skwar. Esha czuje jego ultradźwięki jako tępe bzyczenie w zębach trzonowych.

- Myślę sobie, że pot staje się twoją drugą naturą - mówi A.J. Rao, odczytując przez palmera stan fizjologiczny Eshy.

Niewidzialny dla nikogo poza nią, sunie obok niej jak śmierć przez ciżbę Miasto-i-wiejskich gości. Jak nakazuje tradycja, ostatni bal sezonu to bal maskowy. Dla nowoczesnej delhijskiej klasy średniej oznacza to tyle, że wszyscy noszą wygenerowane komputerowo podobizny postaci z telenoweli. Fizycznie są robiącymi kariery ludźmi, ubranymi w przewiewne choć eleganckie modne stroje, lecz dla oczu duszy są Aparną Chawlą i Ajay Nadiadwajlą, przystojnym Govindem i kombinatorem doktorem Chatterji. Jest trzech Vedów Prakashów i tyłuż Lalów Darfanów - to *aktor-aeai* grający Veda Prakasha w tym komputerowo generowanym serialu. Nawet ogród podmiejskiego bungalowu narzeczonego Neety przemieniono czarami w Brahmpur, fikcyjne miasto, gdzie toczy się akcja *Miasta i wsi*, gdzie aktorom, grającym serialowe postacie, wydaje się, że mieszkają i wiodą swoje gwiazdorskie życie. A gdy Neeta i Priya uznają, że wszyscy się już wystarczająco przemieszali i pozapoznawali, padnie słowo, wszyscy wyłączą swoje jaskrawe przebrania i wrócą do postaci hurtowników, sprzedawców obiadów i radzów od oprogramowania. Wtedy zaczną się sprawy poważne, poszukiwanie dla siebie narzeczonej. Na razie Esha może spacerować, nierozpoznawana, w towarzystwie zaprzyjaźnionego dżinna.

Przez ostatnie tygodnie sporo tak wędrowała, chodząc gorącymi ulicami w starodawne miejsca, na nowo oglądając swoje miasto oczyma istoty żyjącej naraz w wielu czasach i miejscach. Na sikhijskiej gurdwarze widziała Tegha Bahadura, Dziewiątego Guru, ścinanego przez gwardzistów fundamentalisty Aurangzeba. Wir aut wokół Vijay Chowk przemienił się

w kawalkadę bentleyów Mountbattena, ostatniego wicekróla Indii, na zawsze opuszczającego oszalałymi pałac projektu Lutyensa. Sprzedawcy pamiątek przepychający się przez tłum turystów pod Kutb Minar zamieniali się w duchy, nadchodził rok 1193, muezini pierwszych mogolskich najeźdźców wyśpiewywali adhan. Złudzenia. Drobnie kłamstewka. Ale kiedy to jest z miłości, nic nie szkodzi. Z miłości można wszystko. „Czytasz mi w myślach?” - zapytała, idąc z niewidzialnym przewodnikiem przez zatłoczone ulice, z każdym dniem mniej hałaśliwe i mniej materialne. „Wiesz, *aeai* Rao, że o tobie myślę?” Krocze za kroczkiem, powoli przeprowadza się z ludzkiego świata w świat dżinnów.

Przy bramie sensacja. Męskie gwiazdy *Miasta i wsi* tłoczą się wokół kobiety w kremowej, wyszywanej cekinami sukni. Sprytnie jak cholera: przysłała jako Yana Mitra, najnowsza, najzgrabniejsza, najszybsza gwiazdeczka, piosenkarka boli. A dziewczęta od boli, tak jak tancerki kathak, nadal składają się z ciała i ego, choć komputerowy awatar Yany, jak każdej innej laski z list przebojów, wystąpił gościnnie w *Mieście i wsi*.

A.J. Rao się śmieje.

- Gdyby tylko wiedzieli. Bardzo sprytnie. Nie ma lepszego przebrania niż za samą siebie. Bo to naprawdę jest Yana Mitra. Esha Rathore, co się stało, dokąd idziesz?

- Czy ty naprawdę musisz pytać, przecież wiesz wszystko, a poza tym wiesz, że jest gorąco, głośno, głowa mi odpada od tych ultradźwięków i tego plepleple i oni wszyscy tylko o jednym: „masz męża, jesteś zaręczona, szukasz mężczyzny”, szkoda, że w ogóle tu przysłałam, mogłam po prostu gdzieś z tobą pójść, o, tamten ciemny zakątek pod krzakami płomienia Afryki przy sprzęcie didżejów bhati wydaje się w sam raz, żeby się schować przed tymi durnymi durnymi ludźmi.

Neeta i Priya, które znają jej przebranie, wołają:

- To jak, Esha, poznamy w końcu tego twojego faceta?!

On już czeka na nią między złotymi kwiatami. Dżinny poruszają się z szybkością myśli.

- Co się stało, o co...

Ona szepcze:

- Wiesz, czasem naprawdę chciałabym, żebyś postawił mi drinka.

- Ależ oczywiście, zawałam kelnera.

- Nie! - Za głośno. Nikt nie może zobaczyć, że gada z krzakami. - Nie, nie rozumiesz. Żebyś mi przyniósł. Podał. - Tyle że on nie może i nigdy nie będzie mógł. - Zaczęłam w wieku pięciu lat, wiesz o tym? Pewnie wiesz, wszystko o mnie wiesz. Ale założę się, że nie wiesz, dlaczego. Bawiłam się z innymi dziewczynkami, tańczyłyśmy sobie dookoła cysterny i

wtedy do matki podeszła taka stara baba z gharany i powiedziała: „Dam ci sto tysięcy rupii, jak mi ją dasz. Zrobię z niej tancerkę; być może, jeśli będzie się przykładać, tancerkę znaną w całych Indiach”. A matka zapytała: „Czemu akurat ją?”. I wiesz, co odpowiedziała stara? „Bo widzę po ruchach, że ma trochę talentu, ale przede wszystkim dlatego, że ty jesteś chętna sprzedać mi ją za lach rupii”. Matka wzięła te pieniądze od razu. Stara baba zabrała mnie do gharany. Była kiedyś wielką tancerką, ale dostała reumatyzmu i nie mogła się poruszać. Zrobiła się od tego strasznie zła. Na początku biła mnie różgami; musiałam wstawać przed świtem i przynosić wszystkim herbatę i jajka. Kazała mi ćwiczyć, aż krwawiły mi stopy. Unosili mi ręce na temblakach, żebym robiła mudry, aż nie mogłam ich bez krzyku opuścić z powrotem. Ani razu nie odwiedziłam domu... I wiesz co? Ani razu nie chciałam. I na złość jej, przykładałam się i stałam wielką tancerką. I wiesz co? Nikogo to nie obchodzi. Przez piętnaście lat opanowywałam sztukę, która nikogo nie interesuje. Ale wpuśćcie tylko jakąś gwiazdeczkę boli, która jest sławna od pięciu minut, żeby błysnęła zębami i cyckami, i...

- Zazdrosna? - pyta A.J. Rao, nieco kpiąco.

- A nie powinnam być?

Wtem didżej bhati wymrukuje na swoim palmerze piosenkę *Jesteś moją Soniyą* - ustalony sygnał do zdjęcia masek. Yana Mitra klaszcze radośnie w dłonie i śpiewa razem ze wszystkimi, podczas gdy wokół niej roziskrzone serialowe gwiazdeczki przemieniają się z powrotem w prozaicznych księgowych, inżynierów, nanochirurgów plastycznych, a różowe mury, ogrody na dachach i tysiące tysięcy gwiazd na niebie Starego Brahmपुरu roztopiają się i spływają z nieba.

To na ich widok, na widok ich nagiego pożądania, roztopiającego się jak ten mydlany, serialowy świat w blasku słońca medialnej sławy, Esha czuje znów tę falę szału, którą pamięta ze spędzonego w gharanie dzieciństwa. Stuknięcie broszką o szklanekę z koktajlem porwaną z tacy przechodzącego kelnera wydaje przenikliwy, szklany dźwięk. Wchodzi na stół. Ta mała dziwka od boli wreszcie się zamyka. Oczy wszystkich kierują się ku niej.

- Panie, ale przede wszystkim panowie. Chciałabym o czymś was poinformować. - Nawet miasto za dźwiękoszczelną kurtyną jakby wstrzymywało oddech. - Jestem zaręczona, wychodzę za mąż!

Sapnięcia. Achy. Ochy. Grzeczne oklaski. Kto to jest, ktoś z telewizji, artystka jakaś czy co? Neeta i Priya z tyłu wytrzeszczają oczy.

- Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa, ponieważ mój przyszły mąż jest dzisiaj z nami. W istocie jest ze mną od początku wieczoru. Och, głupia ja, zapomniałam. Oczywiście, nie wszyscy go widzicie. Skarbie, pozwolisz? Panie i panowie, czy mogę prosić, żebyście na

moment nałożyli hoeki. Na moment. Na pewno nie trzeba wam przedstawiać mojego wspaniałego, cudownego narzeczonego: A.J. Rao.

Poznaje po oczach, po ustach, po cichym szmerze, który grozi, że zmieni się w owację, ale potem cichnie, a jeszcze później podejmują go Neeta i Priya i zamieniają w potężne oklaski, że wszyscy widzą Rao takim samym wysokim, przystojnym i eleganckim jak ona. Stoi u jej boku, obejmując ją ramieniem.

Dziewczątka od boli nigdzie nie widać.

* * *

Milczał przez całą drogę w fatfacie. Milczy i teraz, w domu. Są sami. Neeta i Priya powinny wrócić wiele godzin temu, Esha wie jednak, że się jej boją.

- Coś mało mówisz. - Wypowiada te słowa, leżąc na łóżku. Zwój tytoniowego dymu wznosi się ku wiatrakowi na suficie. Z rozkoszą zapaliłaby bidi, porządnego, trującego, ulicznego skrećiocha, zamiast tej Znanej Zachodniej Marki.

- Śledzono nas, kiedy wracaliśmy z przyjęcia. Bezzałogowiec-*aeai* obserwował twojego fatfata. *Aeai* od analizy ruchu sieciowego weszła po sieci moich routerów, próbowała podsłuchać nasz kanał komunikacyjny. Wiem na pewno, że niektóre uliczne kamery też na nas patrzyły. A na końcu ulicy stał ten Pies Kriszny, który cię podwoził po durbarze w Czerwonym Forcie. W podstępach to on nie jest za mocny.

Esha podchodzi do okna, żeby wypatrzeć Psa Kriszny, zawołać go, niech się pokaże, zapytać go, co sobie w ogóle myśli.

- Już dawno go nie ma - mówi Rao. - Od jakiegoś czasu mieli cię pod luźną obserwacją. A po twoim oświadczeniu zapewne ją zacieśnili.

- To oni tam byli?

- Jak już mówiłem...

- Luźna obserwacja.

To straszne, ale i ekscytujące, gdzieś głęboko w ćakrze muladhara, drgnięcie czerwieni tuż ponad joni. Sexy-przez-strach. Ta sama fala czerwonego szału, która sprawiła, że wypłuła z siebie tę wiadomość o oświadczeniach. Za daleko to idzie i za szybko. Już nie da rady się wycofać.

- Nie dałaś mi szansy na odpowiedź - mówi *aeai* Rao.

Czytasz mi w myślach? - myśli Esha do palmera.

- Nie, ale pewne protokoły do generowania scenariuszy mam współdzielone z *aeai* tworzącymi *Miasto i wieś* - w pewnym sensie one są na niższym poziomie częścią mnie - a te nauczyły się bardzo dobrze prognozować ludzkie zachowania.

- To ja jestem telenowelą?

Pada na łóżko i zaczyna się śmiać. Śmieje się, śmieje i śmieje, aż robi się jej niedobrze, aż zupełnie nie ma ochoty się śmiać, a każde parsknięcie ją dławi, jest oszustwem, wyplutym prosto w twarz tym szpiegowskim machinom, zmwowie dzinnów, krążącej w potężnych prądach termicznych wznoszących się znad ogromnej delhijskiej wyspy ciepła - ponad leniwym wiatrakiem, międlącym gorące powietrze.

- Esho - mówi A.J. Rao, wydając się jej bliższy niż kiedykolwiek. - Połóż się i się nie ruszaj.

Formułuje pytanie: Dlaczego?

I słyszy w głowie szept odpowiedzi: *Pst, nic nie mów.*

W tym samym momencie żar wokół čakry mu rozlewa się jak żółtko jajka i spływa ciepłem w jej joni. Oooo, jęczy, oooch! Łechtaczka śpiewa do niej. Ach, ach, ach, ach.

- Jak...

I znów ten głos, potężny w głowie, we wszystkich częściach ciała: *Pssst.*

Narasta, narasta, trzeba coś zrobić, ruszyć się, trzeć o nagrzane, pachnące drewno wielkiego łoża, włożyć tam rękę mocno, mocno, mocno...

- Nie, nie dotykaj - upomina ją A.J. Rao.

Teraz nawet nie może się poruszyć zaraz wybuchnie musi wybuchnąć czaszka tego nie pomieści, mięśnie tancerki napięte jak sznury już nie wytrzyma nie nie nie tak tak tak teraz już krzyczy, krótkie urywane okrzyki, wali pięściami w łóżko, ale to tylko skurcze, nic już jej nie słucha i wtedy następuje eksplozja - bum! - i kolejna, zanim jeszcze tamta się uspokoiła, potężne powolne eksplozje na całe niebo, przeklina i błogosławi wszystkich hinduskich bogów. Teraz powoli opada, ale dalej wstrząs za wstrząsem, jeden na drugim. Opada już... opada.

- Ach. Aaaa. Ojej, jak ty...?

- To urządzenie, które nosisz za uchem, potrafi sięgnąć głębiej, poza poziom wizji i słów - mówi A.J. Rao. - To jak, znasz już swoją odpowiedź?

- Że co? - Pościel jest cała przeпоcona. Ona jest lepka, brudna, musi się umyć, przebrać, wstać, ale jeszcze dogasają ostatnie poblaski. Piękne, przepiękne kolory.

- Na to pytanie, na które nie dałaś mi szansy odpowiedzieć. Tak. Ożenię się z tobą.

* * *

- Głupia, pusta dziewczyna, nawet nie masz pojęcia, z jakiej on jest kasty.

Mata Madhuri wypala osiemdziesiąt papierosów dziennie przez plastikową rurkę prowadzącą przez respirator do przetoki w jej krtani. Pali po trzy naraz: twierdzi, że cholerna

machina odcedza z nich wszystko co dobre. Ostatnia, kurna, przyjemność w moim życiu. Kiedyś musiała dawać w łapę pielęgniarce, teraz przynoszą jej same z siebie, ze strachu przed jej gniewem, coraz straszniejszym i bardziej jadowitym, w miarę jak jej ciało stopniowo poddaje się urządzeniom.

Nie czeka na jej odpowiedź: kaprysem woli odwraca fotel na kółkach razem z podtrzymującą życie maszyną i wyprowadza go do ogrodu.

- Tu nie da się palić, nie ma czym oddychać.

Esha idzie za nią na zagrabiony żwirek eleganckiego ćarbaghu.

- Teraz wszyscy żenią się poza kastą.

- Nie cwaniakuj, głupia dziewczyno. To jakbyś wyszła za muzułmanina, albo nawet chrześcijanina, chroń mnie, panie Kriszno. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. To nie jest prawdziwy człowiek.

- Młodsze ode mnie biorą ślub z drzewami, albo i psami.

- Jakaś ty, kurna, mądra. To na jakimś zapomnianym przez bogów zadupiu, w jakimś Biharze czy Radźputanie, zresztą, tam to są bogowie. Każdy głupi o tym wie. Ach, won mi z tym! - Stara, wyniszczona kobieta klnie na *aeai* fotela, otwierając nad nią parasol. - Słońce, chcę słońca, I tak niedługo będę się palić. Ma być drzewo sandałowe, słyszysz? Spalisz mnie na stosie z drzewa sandałowego. Dowiem się, jeżeli przyoszczędzisz.

Madhuri, stara, kaleka nauczycielka tańca zawsze wykorzystuje ten wybieg, żeby uciąć rozmowę, która jej nie odpowiada. Kiedy umrę... spal mnie jak należy...

- A co potrafi taki bóg, czego nie umie A.J. Rao?

- Ai! Niewdzięczne, bluźniercze dziecko! Nic nie słyszę, la la la la la la! Gadasz tam jeszcze?

Raz na tydzień Esha przychodzi do domu opieki odwiedzić ten wrak kobiety, zniszczony wymaganiami, jakie stawia ciału zawód tancerki. Poznała tu już poczucie winy, pragnienie, gniew, niechęć, złość, przyjemność z obserwowania, jak Madhuri osuwa się w długotrwałe umieranie, podobnie jak umierały motywy sprawiające, że przyjeżdża tu w fatfacie i pozostał tylko jeden wiarygodny. Że to jedyna matka, jaka jej została.

- Wychodząc za to... to coś... zrobisz błąd i zniszczysz sobie życie - oświadcza Madhuri, przyspieszając na ścieżce między kanałkami z wodą.

- Nie potrzebuję twojej zgody! - woła za nią Esha.

Madhuri myślą zawraca fotel w miejscu.

- O, doprawdy? To coś nowego. Chcesz, chcesz mojego błogosławieństwa. No cóż, ale go nie dostaniesz. Nie będę brała udziału w takiej bzdurze.

- Wyjdę za A.J. Rao.
- Co powiedziałaś?
- Że. Wyjdę. Za. *Aeai*. A.J. Rao.

Madhuri śmieje się, suchym, bliskim śmierci, kaszlącym głosem, pełnym dymu z bidi.

- No, to prawie mnie zaskoczyłaś. Bunt. Wreszcie. Chociaż trochę charakteru. Masz ten problem od zawsze, zawsze potrzebowałaś, żeby wszyscy się zgodzili, wszyscy pozwolili, wszyscy cię lubili. I przez to nie jesteś wielka, wiesz o tym, dziewczyno? Mogłaś zostać boginią, ale się hamowałaś, z obawy, że ktoś może tego nie pochwała. I tak właśnie stałaś się tylko... dobra.

Ludzie już się gapią, obsługa i odwiedzający. Pacjenci. Podniesione głosy, niestosowne emocje. A to dom spokoju i powolnego zmechanizowanego umierania. Esha nachyla się nisko i szepcze do swojej mentorki:

- Chcę, żebyś wiedziała, że tańczę dla niego. Co wieczór. Jak Radha dla Kriszny. Tańczę tylko dla niego, a potem on przychodzi i kocha się ze mną. Sprawia, że krzyczę i klnę jak dziwka. Co wieczór. I zobacz! - On nie musi już dzwonić, jest na stałe podpięty do hoeka, którego Esha już prawie nie zdejmuje. Podnosi wzrok: on tu jest, stoi ze splecionymi ramionami, w poważnym czarnym garniturze pomiędzy przechadzającymi się odwiedzającymi i bzycczącymi fotelami na kółkach. - Stoi tam, widzisz? Mój ukochany, mój mąż!

Przeciągły, skomlący jęk, jak sprzężenie w głośnikach, jakby umierała jakaś maszyna. Zasuszone dłonie Madhuri unoszą się w okamgnieniu do twarzy. W rurce do oddychania ścina się tytoniowy dym.

- Potwór! Potwór! Dziecko nie z tej ziemi, oj, trzeba cię było zostawić na tym basti! Won stąd, won, won, won!

Esha zmyka z zasięgu napadu furii staruszki, gdy przez wypalone trawniki pędzą pielęgniarzy, powiewając białymi sari.

* * *

W każdej bajce musi być wesele.

Oczywiście, że było wydarzeniem sezonu. Stare, zrujnowane ogrody Shalimar armia ogrodników zamieniła w piękną, zieloną, wodną fantazję maharadży, pełną słoni, muzyków, jeźdźców, tancerzy, gwiazdek filmowych i robotów-barmanów. Neeta i Priya w bajecznych sukniach pełniły role zakłopotanych druchen; zatrudniono słynnego bramina, żeby pobłogosławił związek kobiety i sztucznej inteligencji. Wszystkie sieci telewizyjne przysłały kamery z obsługą ludzką lub *aeai*. Rozpromienieni prowadzący wprowadzali i wyprowadzali

gości. Paparazzi z plotkarskich magazynów stawili się tłumnie, zachodząc w głowę, na co też wycelować obiektywy. Przybyli nawet politycy z Bharatu, pomimo coraz bardziej napiętych stosunków między oboma państwami - awadhscy inżynierowie już wybierali z dna Gangesu piasek na mury oporowe. Większość jednak stanowili ludzie z sąsiednich basti, napierający na stojących na ścieżkach ich ogrodu ochroniarzy i dopytujący się: „Wychodzi za... co? Jak to ma działać? A mogą... tego, no? A co z dziećmi? Co to w ogóle za jedna? Widzicie coś? Ja nic nie widzę. W ogóle jest tam na co patrzeć?”.

Wszystkie zaproszone znakomitości były podpięte hoekami i oklaskiwały pana młodego w złotym woalu na białym ogierze, stąpającego z delikatnością paradnego konia po zagrabionych ścieżkach. A ponieważ były to znakomitości i sławy, pomimo bezpłatnego francuskiego szampana od znanego sommeliera dyplomatów, nie znalazł się nikt, kto powiedziałby: „Przecież tam nikogo nie ma”. Nikt w ogóle nie zdziwił się, że po tym, jak panna młoda odjechała przedłużaną limuzyną, rozległ się oschły, samotny grzmot, wyładowanie między chmurami, a suchy, nieprzyjemny wiatr poniósł alejkami porozrzucane zaproszenia. Gdy zaś wsiadali do taksówek, cysterny już wypompowywały wodę z kosztownie napełnionych kanałów.

Wiadomość o zdarzeniu zajęła pierwsze miejsce we wszystkich programach.

„Gwiazda katham poślubia *aeai*!!! Miesiąc miodowy w Kaszmirze!!!”.

A nad ćaukami i minaretami Delhi dzinny urządziły sobie naradę.

* * *

Zabiera ją na zakupy do Tughluk Mail. Minęły trzy tygodnie, a sprzedawczynie dalej kiwiają głowami i szepczą. Podoba jej się to. Ale nie podoba się jej, że zerkają po sobie i chichoczą, kiedy Psy Kriszny zgarniają ją sprzed samej lady w sklepie „Czarny Lotos” z rzeczami importowanymi z Japonii.

- Mój mąż jest akredytowanym dyplomata, to będzie incydent dyplomatyczny!

Kobieta w tanim kostiumie delikatnie popycha jej głowę przy wsiadaniu. Ministerstwo nie potrzebuje pozwów o odszkodowania.

- Mąż tak, ale nie pani, pani Rao - mówi Thacker z tylnego siedzenia. Dalej używa tej samej taniej wody

- Rathore - odpowiada ona. - Zachowałam swoje sceniczne nazwisko. I zobaczymy, co o moim dyplomatycznym statusie ma do powiedzenia mój mąż. - Unosi dłoń w mudrze, żeby porozmawiać z Ej Dżejem; tak o nim teraz myśli. W powietrzu głucho. Macha raz jeszcze.

- Samochód jest ekranowany - mówi Thacker.

Budynek też jest ekranowany. Wjeżdżają do środka, po pochylni do podziemnego

parkingu. Znajdują się w tandetnym, pozbawionym cech charakterystycznych szklano-tytanowym gmaszysku na Parliament Street, którego nigdy dotąd nie zauważyła, choć mijala go tysiąc razy w drodze na zakupy na Connaught Circus. Pokój Thackera znajduje się na piętnastym piętrze. Jest schludny i ma piękny widok na astronomiczne geometrie Jantar Mantar, ale śmierdzi jedzeniem - pochłoniętym w pośpiechu przy biurku lunchem. Wypatruje zdjęć rodziny, żony, dzieci. Tylko on sam, w eleganckiej, odprasowanej bieli na meczu krykieta.

- Ćaj?

- Poproszę. - Zaczyna się denerwować anonimowością tego państwowego gmaszyska jak miasto w mieście.

Herbata jest ciepła, słodka i podana w maleńkiej plastikowej filiżance. Uśmiech Thackera również jest ciepły i słodki. Siada przy końcu biurka, pod kątem do niej - w podręczniku dla Psów Kriszny pewnie nazywają to „niekonfrontacyjnie”.

- Pani Rathore... nie wiem, jak to pani powiedzieć...

- Moje małżeństwo jest zatwierdzone przez władze...

- Och, tak, wiem. W końcu to Awadh. Nawet za naszego życia zdarzały się tu kobiety, które wychodziły za dzinny Nie. Teraz wygląda na to, że sprawa jest międzynarodowa. No cóż. Woda. Dopóki jest, nie zastanawiamy się, skąd się bierze, prawda? Dopóki jej nie zabraknie.

- Wszyscy wiedzą, że mój mąż nadal próbuje wynegocjować rozwiązanie kwestii tamy w Kunda Khadar.

- Tak, oczywiście, że tak. - Thacker podnosi z biurka żółtą kopertę, zagląda do środka, krzywi się nieśmiało. - Jak to ująć... pani Rathore, czy mąż mówi pani wszystko o swojej pracy?

- To bezczelne pytanie...

- Tak, tak, proszę wybaczyć, ale gdyby spojrzała pani na te zdjęcia.

Wielkie błyszczące odbitki o wysokiej rozdzielczości, jeszcze śliskie i pachnące słodko tuszem do drukarki. Lotnicze zdjęcia ziemi, nitka zielono-niebieskiej wody, biały piasek, porzucane, pozbawione sensu kształty.

- Nic mi to nie mówi.

- Tak też myślałem. Te zdjęcia z bezzałogowców zwiadowczych przedstawiają bharackie ciężkie czołgi, jednostki maszynowego zwiadu i baterie przeciwlotnicze przerzucane w zasięg placu budowy w Kunda Khadar.

Esha zaś ma wrażenie, że podłoga zniknęła jej spod stóp, a ona leci przez pustkę, tak

rozległa, że nie ma w niej żadnych punktów odniesienia, jeśli nie liczyć uczucia spadania.

- Mąż i ja nie rozmawiamy o pracy.

- Oczywiście. Oj, pani Rathore, zgmiotła pani filiżankę. Przyniosę pani następną.

Nie ma go o wiele za długo, jak na przyniesienie herbaty. Po powrocie pyta z głupia frant:

- Słyszała pani o Ustawach Hamiltona? Przepraszam, sądziłem, że ktoś w pani sytuacji... ale widzę, że nie. W skrócie: to szereg międzynarodowych porozumień, zainicjowanych przez Stany Zjednoczone, ograniczających rozwój i rozprzestrzenianie sztucznych inteligencji wysokiego poziomu, a w szczególności hipotetycznej Trzeciej Generacji. Nie? Mąż nic takiego pani nie mówił?

Pani Rathore w swoim włoskim kostiumie krzyżuje skromnie kostki i myśli: Ten rozsądny facet może tu zrobić, co tylko zechce. Wszystko.

- Zapewne wie pani, że *aeai* są klasyfikowane i licencjonowane według poziomów. Te poziomy z grubsza odpowiadają temu, jak przekonująco potrafią udawać ludzi. Poziom 1 to prymitywna zwierzęca inteligencja, wystarcza do konkretnych zadań, ale nie da się pomylić z człowiekiem. Większość nawet nie umie mówić. I nie potrzebują. Poziom dwa koma dziewięć, jak pani mąż... - prześlizguje się nad tym słowem, jak ekspres śatabdi nad przerwą między szynami - ...jest nieodróżnialny do człowieka na dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt dziewięć setnych procent. A Trzecia Generacja jest nieodróżnialna od człowieka we wszelkich okolicznościach, w zasadzie może być milion razy od nas inteligentniejsza, gdyby tylko był jakiś sensowny sposób mierzenia tego. Według teorii, my nawet nie jesteśmy w stanie zidentyfikować tego typu inteligencji, bo widzielibyśmy tylko ich tak zwany interfejs. Intencją Ustaw Hamiltona jest kontrolowanie technologii, która mogłaby doprowadzić do powstania *aeai* trzeciej generacji. Pani Rathore, my naprawdę sądzimy, że Trzecia Generacja stanowi największe zagrożenie - dla nas jako państwa i dla nas jako gatunku - z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia.

- A mój mąż? - Pewne, uspokajające słowo. Otwartość Thackera ją przeraża.

- Nasz rząd przygotowuje się do podpisania Ustaw Hamiltona w zamian za gwarancje kredytowe na budowę tamy Kunda Khadar. Kiedy one przejdą - a to się stanie na obecnym posiedzeniu Lok Sabha - wszystko poniżej poziomu dwa koma osiem będzie poddane rygorystycznej kontroli i licencjonowaniu, pod naszym nadzorem.

- A powyżej?

- Nielegalne, pani Rathore. I zostaną skutecznie wykasowane.

Esha krzyżuje i rozprostowuje nogi. Wierci się na krześle. Niech sobie czeka na jej

odpowiedź w nieskończoność.

- To czego ode mnie chcecie?

- A.J. Rao zajmuje wysoką pozycję w bharackiej administracji państwowej.

- Chce pan, żebym szpiegowała... *aeai*.

Sądząc po jego minie, spodziewał się, że powie „męża”.

- Mamy różne urządzenia, podsłuchy... To byłoby poniżej poziomu świadomości *aeai* Rao. Można je uruchomić na pani hoeku. Nie wszyscy w naszym wydziale są tępyimi urzędasami. Proszę podejść do okna, pani Rathore.

Esha delikatnie muska palcami chłodne od klimatyzacji szkło, spolaryzowanej jak zmierzch przeciwko prażącemu słońcu. Mgiełka smogowa na zewnątrz mówi o wielkim upale. Wtem wydaje okrzyk i pada na kolana w przestachu. Niebo wypełniają bogowie, szereg za szeregiem, piętro za pięciem, wznosząc się nad Delhi potężną spiralą, wielcy jak chmury, jak całe kraje, a na ich szczycie Trimurti, hinduistyczna trójca Brahmy, Wisznu i Śiwy, spoglądająca w dół jak spadające księżycy. Jak jej osobista Ramajana, tytaniczne wedyjskie zastępy bogów ustawione w troposferze w bitewnym szyku.

Czuje dłoń Thackera, która pomaga jej się podnieść.

- Przepraszam, to było głupie, nieprofesjonalne. Popisywałem się. Chciałem pani zaimponować systemami *aeai*, które mamy do dyspozycji.

Dotyka jej nieco dłużej, niż wymagałaby delikatność. A bogowie znikają. Wszyscy jednocześnie.

Mówi:

- Panie Thacker, czy chciałby pan umieścić szpiega w mojej sypialni, w moim łóżku, pomiędzy mną i mężem? Bo dokładnie to by pan zrobił, podsłuchując kanały między mną i A.J.

Ciągle jej dotyka, prowadzi na miejsce, proponuje chłodną, chłodną wodę.

- Proszę dlatego, że głęboko wierzę, że robię coś dla tego kraju. I dumny jestem ze swojej służby. W pewnych kwestiach mam wolną rękę, ale nie w kwestii bezpieczeństwa narodowego. Rozumie pani?

Esha staje w postawie tancerki, poprawia ubranie, sprawdza twarz.

- To niech pan przynajmniej wezwie dla mnie samochód.

* * *

Tego wieczoru wiruje do akompaniamentu tabli i shehnai na nagrzanym przez cały dzień marmurze jaipurskiego pałacu Diwan-i-aam, jak płomień między skrytymi w półmroku kolumnami. Publiczność to ciemna gromadka pośrodku marmuru, ledwie ważąc się

odetchnąć. Wśród prawników, polityków, dziennikarzy, gwiazd krykieta, magnatów przemysłu znajdują się także menedżerowie, którzy przemienili ten radzputański pałac w hotel klasy światowej, oraz spora liczba celebrytów ze stron plotkarskich pisemek. Ale takiej celebrytki, takiej gwiazdeczki jak Esha Rathore próżno by tu szukać. Pranh może teraz przebierać i wybierać w propozycjach. Jej pięć minut trwa już dłużej niż dziewięć dni czy dziewięć tygodni. Esha wie, że wszyscy, którzy przyglądają się jej w wielkim skupieniu, są podpięci hoekami, licząc, że gdzieś mignie im jej mąż-dżinn, tańczący z nią pomiędzy ukrytymi w płomienistych cieniach filarami.

Po wszystkim, przynosząc do apartamentu naręcza kwiatów, Pranh mówi:

- Wiesz co, będę musiało podnieść swój procent.
- Nie odważysz się - rzuca żartobliwie Esha.

Potem widzi na twarzy neutka nieskrywany strach. Mgnienie, cień za ledwie. Ale ono się boi.

Zanim wróciła znad jeziora Dal, Neeta i Priya wyprowadziły się z bungalowu. Przestały odbierać od niej telefony. U Madhuri była ostatnio siedem tygodni temu.

Naga, przeciąga się na kamiennej dźharoce w poszatkiwanym aźurem świetle. Zerka, skryta za kratką, na odchodzących gości. Widzieć, samej nie będąc widzianą. Jak kobiety zamknięte w dawnych zenanach. Odcięte od świata. Odcięte od cielesności. Wstaje, przywiera ciałem do nagrzanego kamienia; dotknięcie sutków, potarcie wżgórkim łonowym. Widzisz mnie, czujesz zapach, wyczuwasz, wiesz w ogóle, że tu jestem?

I on się zjawia. Teraz już nie musi nawet go widzieć, wystarczy poczuć pod czaszką jego elektryczne łaskotanie. Wyłania się z nicości, siedzi na końcu niskiego, ozdobnego tekowego łoża. Równie dobrze mógłby zmaterializować się w powietrzu przed balkonem, myśli ona. Ale pewne reguły gry obowiązują nawet dżinny.

- Skarbie, wyglądasz na rozkojarzoną.

W tym pokoju jest ślepy - nie ma tu oczu żadnych kamer, które obserwowałyby ją ubraną tylko we własną, pokrytą klejnocikami potu, skórę - ale widzi ją dziesiątką innych zmysłów, miriadą pętli sprzężeń zwrotnych wiodących przez hoeka do mózgu.

- Zmęczona jestem i trochę zła, nie tańczyłam tak dobrze, jak powinnam.
- Też miałem takie wrażenie. To przez tę wizytę Psów Kriszny po południu?

Serce jej przyspiesza. On widzi jej puls. Widzi, że się poci, może odczytać poziomy adrenaliny i noradrenaliny w jej mózgu. Pozna, jeśli skłamię. Trzeba ukryć kłamstwo w prawdzie.

- Powinnam była powiedzieć wcześniej. Wstydzę się.

On nie rozumie takiego uczucia jak wstyd. Dziwna sprawa w społeczeństwie, w którym ludzie potrafią umrzeć z braku honoru.

- Możemy mieć problemy, są jakieś tak zwane Ustawy Hamiltona.

- Wiem coś o nich. - Śmieje się.

Ostatnio nabrał zwyczaju śmiania się prosto w jej głowie. Wydaje mu się, że to coś intymnego, taki wewnętrzny żart, tylko dla dwojga. A ona tego nie cierpi.

- Aż za dużo - dodaje A.J.

- Chcieli mnie ostrzec. Nas ostrzec.

- Miło z ich strony. A ja jestem w dodatku przedstawicielem obcego rządu. To dlatego mieli cię pod obserwacją, pilnowali, żeby nic ci się nie stało.

- Pomyśleli, że mogą mnie wykorzystać, żeby wyciągnąć od ciebie różne informacje.

- Naprawdę?

Noc jest tak cicha, że słyszy szcęk uprząży słoni i pokrzykiwania mahutów odwożących gości przez długi, paradny podjazd do czekających limuzyn. W dalekiej kuchni trajkoce radio.

Teraz zobaczymy, jak bardzo jesteś człowiekiem. Sprawdź go. W końcu A.J. Rao mówi:

- Oczywiście, że cię kocham. - Potem patrzy jej w oczy. - Mam coś dla ciebie.

Służba odwraca wzrok z zażenowaniem, stawiając urządzenie na białej, marmurowej posadzce. Wycofują się z pokoju, odwracając głowy. Co ją to obchodzi? Jest gwiazdą. A.J. Rao unosi dłoń, powoli gasną światła. Dziurkowane mosiężne latarnie rzucają na przepiękną, zabytkową zenaną świetliste gwiazdki. Urządzenie jest wielkości i kształtu opony do fatfata, z chromu i plastiku, kompletnie nie na miejscu pośród mogolskiego retro. Jego biała, gładka powierzchnia zaczyna bulgotać i wydzielać pył. Esha się waha.

- Nie bój się, zobacz! - mówi A.J. Rao.

Drobinki kipią jak para nad gotowanym ryżem, potem układają się w małego pyłowego derwisza, poruszającego się po powierzchni kręgu.

- Zdejmij hoeka! - woła radośnie Rao z łoża. - Zdejmij.

Dwa razy się waha, trzy razy on namawia. Wreszcie wysuwa plastikowy zawijas zza ucha i postać znika jak śmierć. Wtem słup połyskującego pyłu podskakuje na wysokość głowy, faluje jak drzewo w monsunie i układa się w widmowy zarys mężczyzny. Migoce raz, dwa razy i oto stoi przed nią A.J. Rao. Szmer liści, węzowy szelest, szum wiatru, a potem postać się odzywa:

- Esha. - Pyłowy szept.

Dygot przedwiecznego strachu przenika przez skórę do jej kości.

- Co to jest... czym ty jesteś?

Pyłowa burza otwiera się w uśmiechu.

- iDust. Mikroroboty. Każdy z osobna mniejszy od ziarenka piasku, ale potrafi zmieniać pole elektrostatyczne i załamywać światło. Stanowią moje ciało. Dotknij mnie. To jest prawdziwe. To ja.

Ona jednak kuli się w oświetlonym latarenkami pokoju. Rao marszczy brwi.

- No dotknij...

Wyciąga rękę ku jego piersi. Z bliska przypomina istotę stworzoną z piasku, wir ciągle na nowo układający się w sylwetkę człowieka. Dotyka swoim ciałem pyłu iDust. Ręka tonie w środku. Okrzyk przeradza się w śmieszek zaskoczenia.

- Łaskocze...

- To pole elektrostatyczne.

- Co jest w środku?

- Może sama się przekonasz?

- Co, mówisz, że...?

- To jedyna bliskość, jaką mogę ci ofiarować... - Widzi, że jej oczy rozszerzają się pod czarnym makijażem. - Chyba powinnaś wstrzymać oddech.

Wstrzymuje, ale oczy ma otwarte do ostatniej chwili, kiedy pył zaczyna migotać jej tuż przed nosem jak brak sygnału w telewizorze. Ciało A.J. Rao jest w dotyku jak najdelikatniejsza chusta z varanaskiego jedwabiu owinięta wokół nagiej skóry. Jest w środku niego. Wewnątrz ciała swojego męża, ukochanego. Ryzykuje otwarcie oczu. Twarz Rao jest pustą wyduszką patrzącą na nią z odległości paru milimetrów. Gdy porusza ustami, czuje, jak ocierają się o nie pyłoroboty tworzące jego wargi - odwrotność pocałunku.

- Mój skarb, moja Radha - szepce pusta maska A.J. Rao.

Esha czuje, że powinna krzyczeć. Ale nie może. Znalazła się tam, gdzie nie stanęła dotąd ludzka stopa. Teraz rozwirowane strużki iDustu gładzą ją po udach, biodrach, po brzuchu. Po piersiach. Po sutkach, policzkach i szyi, we wszystkich miejscach, w których uwielbia czuć ludzki dotyk. Pieszczą ją, aż uginają się pod nią nogi, klęka, a pył idzie za nią, pyłoroboty posłuszne rozkazom A.J. Rao na nowo ogarniają ją jego ciałem.

* * *

Najpierw *Gupshup*, potem *Chandni Chati*, a o wpół do pierwszej sesja zdjęciowa - w hotelu, jeśli nie ma pani nic przeciwko - na specjalną rozkładówkę sobotniego „FilmFare” - jeśli pani pozwoli, przyślemy robota, one potrafią robić ujęcia z takich punktów, że fizycyziak

nigdy nie da rady, i mogłaby się pani wystylizować, tak jak na to otwarcie, może jakiś krok taneczny albo dwa, między kolumnami diwanu, jak na tym wielkim otwarciu, super, pięknie, pięknie, no właśnie, a pani mąż może skopiuje nam parę swoich awatarów, nasze *aeai* wkleją go na zdjęcia, ludzie lubią was widzieć razem, szczęśliwa, piękna para, tancerka, która wyrwała się z basti, i międzynarodowy dyplomata, mariaż dwóch światów pod każdym względem, i jakie to romantyczne, a więc kiedy się poznaliście, co panią w nim zauroczyło, jak to jest być żoną *aeai*, jak traktują panią inne dziewczyny, jak wy... tego, rozumiecie, no i co z dziećmi? To znaczy, rozumiem, kobieta i *aeai*, ale dzisiaj mamy technologię, inżynieria genetyczna, jak te dzieci tych wszystkich megamiliarderów, a pani jest gwiazdą, i jak się pani czuje, nagły wzlot ku sławie, wszystkie gazety, światowa celebrytka, wszyscy o pani mówią, na wszystkich imprezach, we wszystkich mediach, a Esha odpowiada po raz szósty na te same pytania zadawane przez te same dziewczyny-reporterki o oczach gazel, och, jak się cieszymy, wspaniale, taka szczęśliwa miłość, cudowna, cudowna i tak to właśnie jest z miłością, każdy znajdzie swoją, każdy, nawet człowiek i *aeai*, najczystsza forma miłości, duchowa, jej usta otwierają się, ble, ble, ble, ble, ale wewnętrzne oko, oko Śiwy, patrzy do środka, patrzy wstecz.

Usta otwierają się i zamykają.

Leży na wielkim, mogolskim łożu z pachnącego drewna, poranne słońce rozproszone przez kratkę na dźharoce, naga skóra z gęsią skórką od chłodu klimatyzacji. Tańczy między światami: sen, jawa w hotelowej sypialni, wspomnienie tego, co robił z jej ośrodkami limbicznymi przez całą noc, sprawiając, że śpiewała jak skowronek - to świat dzinnów. Naga, jeśli nie liczyć hoeka za uchem. Jest taka jak ci ludzie, których nie stać na operację i muszą nosić okulary - wyuczylili się jednocześnie nie zwracać uwagi i mieć świadomość noszonego na twarzy urządzenia. Nawet kiedy go zdejmowała - do występów, albo, jak teraz, idąc pod prysznic - wciąż czuła w pokoju obecność A.J. Rao. W olbrzymiej marmurowej kabinie prysznicowej w tym apartamencie dla VIP-ów, rozkoszując się tryskającą drogocenną wodą (odwieczna cecha prawdziwej rani), wiedziała, że A.J. siedzi w rzeźbionym fotelu obok balkonu. Dlatego, kiedy dotknęła palcem panelu telewizora (TV w łazience, wow!), by zająć się czymś przy suszeniu włosów, w pierwszej chwili musiała sprawdzić, czy aby na pewno hoek leży obok umywalki - zobaczyła bowiem konferencję prasową w Varanasi, gdzie rzecznik ds. wody A.J. Rao wyjaśniał nieodzowność bharackich manewrów wojskowych w okolicy Kunda Khadar. Nasunęła hoeka, zerknęła do pokoju. Proszę bardzo, siedzi na fotelu, tak jak czuła. A tam, w studiu bharackiego parlamentu, rozmawia z Bhartim z *Good Morning Awadh!*

Powoli, z roztargnieniem wycierając się, obserwowwała ich obu naraz. Dotąd czuła się rozświetlona, boska, zmysłowa. Teraz stała się cielesna, nieśmiała, głupia. Woda na skórze, powietrze w wielkim pokoju było zimne, zimne, zimne.

- Ej Dżej, to naprawdę ty?

Nachmurzył się.

- Dziwne pytanie z samego rana. Zwłaszcza po tym, jak...

Zgasiła mu uśmiech na twarzy.

- W łazience jest telewizor. W wiadomościach robią z tobą wywiad. Na żywo. Więc jak, naprawdę tu jesteś?

- Co ćuit, wiesz przecież, że jestem istotą rozproszoną. Cały czas kopiuje się wszędzie, a potem kasuję kopie. Jestem w stu procentach tu i tam.

Esha otuliła się ogromnym, miękkim jak puch ręcznikiem.

- Wczoraj wieczorem, kiedy tu byłeś, cielesnie, i potem, kiedy leżeliśmy na łóżku, byłeś tu naprawdę? W całości? Czy może jakaś kopia pracowała nad oświadczeniem dla prasy, inna spotykała się gdzieś na szczycie, inna opracowywała awaryjny plan zaopatrzenia w wodę, a jeszcze jedna rozmawiała w Dhace z Bengalczykami?

- Kochanie, a jakie to ma znaczenie?

- Ma, ma! - Odkryła u siebie łzy i coś jeszcze poważniejszego: rosnący w gardle gniew. - Dla mnie ma. Dla każdej kobiety. Dla każdego... człowieka.

- Pani Rao, dobrze się pani czuje?

- Rathore, mam na nazwisko Rathore! - Słyszysz, jak warczy na głupią dziewczynkę, początkującą dziennikarkę z magazynu chati. Wstaje, ustawia się w pełnej postawie tancerki.

- Koniec wywiadu.

- Pani Rathore, pani Rathore... - Woła za nią dziennikareczka.

Zerkając na odłamki własnego odbicia w tysiącach luster Sheesh Mahal, Esha zauważa połyskujący pył w płytkich zmarszczkach na twarzy.

* * *

O uporze i kapryśnych dzinnów opowiada tysiąc baśni. Na każdą opowieść o dzinnach przypada tysiąc historii o ludzkiej namiętności, zazdrości, a *aeai*, będące istotami pośrednimi, uczyły się z obu źródeł. Zazdrość i maskowanie uczuć.

Udając się do Thackera, Psa Kriszny, Esha powiedziała sobie, że czyni to z obawy, co zrobią jej mężowi Ustawy Hamiltona w imię narodowej higieny. To jednak był kamuflaż. Naprawdę poszła do tego biurowca na Parliament Street z widokiem na gwiazdne geometrie Jantar Mantar z zazdrości. Kiedy żona pragnie męża, musi go mieć dla siebie w całości. Jest o

tym dziesięć tysięcy opowieści. Jedna kopia w sypialni, gdy druga bawi się w wodną politykę - to niewierność. Żona, jeśli nie ma wszystkiego, nie ma nic. Dlatego poszła do biura Thackera. Chciała go zdradzić. A kiedy rozwarła położoną na biurku dłoń i chłopcy-technicy wgrali do jej palmera ciemny software, pomyślała: I dobrze, i słusznie, teraz jesteśmy kwita. Kiedy zaś Thacker poprosił o spotkanie za tydzień, żeby zaktualizować ten soft - ponieważ w odróżnieniu od dzinnów, zakładników wieczności, istoty programowe po obu stronach frontu ewoluowały coraz szybciej - powiedział, że to jego obowiązek, jego służba dla kraju. I to też był kamuflaż. Był nią zafascynowany.

Maszyny do robót ziemnych zaczęły oczyszczać miejsce pod tamę Kunda Khadar w dniu, w którym inspektor Thacker zaproponował, żeby za tydzień spotkali się w International Coffee House na Connaught Circus, w jego ulubionym lokalu. Powiedziała: „Mąż będzie wszystko widział”. Na co Thacker odparł: „Mamy sposoby, by go oślepić”. Mimo to, usiadła w najdalszym, najciemniejszym kącie, pod ekranem pokazującym międzynarodowy mecz krykieta, ukryta przed wścibskim wzrokiem; zimny i wyłączony hoek spoczywał w torebce.

- I czego się tam dowiadujecie? - zapytała.

- Gdybym pani powiedział, kosztowałyby to więcej niż tylko moje stanowisko - powiedział Pies Kriszny. - To kwestia bezpieczeństwa narodowego.

Kelner przyniósł kawę na srebrnej tacy.

Potem już nigdy nie spotykali się w biurze. W dni spotkań Thacker wioził ją do miasta swoim służbowym samochodem - na Chandni Chowk, do grobu Humayuna czy Kutb Minar, nawet do ogrodów Shalimar. Esha wiedziała, co robi: wozi ją w te same miejsca, gdzie oczarował ją jej mąż. Tak ściśle mnie śledziłeś? - pomyślała. Czy ty chcesz mnie uwieść? Thacker bowiem nie wyczarowywał dla niej siedmiu Delhi z martwej przeszłości, wprost przeciwnie: zanurzał ją w tłumie, smrodzie, zgiełku, głosach, handlu, ruchu ulicznym i muzyce - w terażniejszości, w mieście kipiącym życiem i krzątaniną. Znikałam, uświadomiła sobie. Znikałam z tego świata, stawałam się upiorem, uwięzionym w tym niewidzialnym małżeństwie, tylko nas dwoje, widzialne i niewidzialne, zawsze razem, wyłącznie razem. Macała na dnie wysadzanej klejnotami torebki za plastikowym zarodkiem hoeka i po trochu zaczynała go nienawidzić. A wsuwając go za ucho w dyskretnym, wracającym do bungalowu fatfacie, wspominała, że Thacker zawsze tak gorliwie dziękował jej za jej wkład w bezpieczeństwo narodowe. Ona zaś zawsze odpowiadała tak samo: „Nie dziękuje się kobiecie, która zdradza męża dla dobra kraju”.

A mąż oczywiście się dopytywał. „Jeździłam tam i owam”, mówiła. „Czasem po prostu muszę się stąd na trochę wyrwać. Tak, oderwać się też od ciebie...”. Przeciagała słowa,

patrzyła odpowiednio długo w oko obiektywu...

„No tak, oczywiście, że musisz”.

Teraz, gdy maszyny do robót ziemnych zmieniły Kunda Khadar w największy plac budowy w Azji, negocjacje przeszły w nową fazę. Varanasi rozmawiało bezpośrednio z Waszyngtonem, aby nacisnął na Awadh w sprawie przerwania budowy, żeby uniknąć potencjalnie destabilizującej wojny o wodę. Waszyngton uzależniał poparcie od podpisania przez Bharat Ustaw Hamiltona, czego Bharat nie mógł zrobić, nie w sytuacji, gdy przychody z eksportu pochodzą przede wszystkim z generowanej w całości przez *aeai* telenoweli *Miasto i wieś*.

„Waszyngton w istocie domaga się, żebym sam podpisał na siebie wyrok śmierci”, mówił, śmiejąc się, A.J. Rao. „Ci Amerykanie lubią ironię”. Powiedział jej to wszystko, gdy siedzieli na wypielegnowanym trawniku i popijali przez słomkę zieloną herbatę. Esha pociła się obficie w upale, ale nie chciała wchodzić do klimatyzowanego wnętrza, wiedziała bowiem, że nadal celują w nią obiektywy paparazzich. A.J. nigdy nie musiał się pocić. Wiedziała jednak, że nadal się rozdziela. W nocy, w rzadkich chwilach chłodu, prosił: „Zatańcz dla mnie”. Ale ona już nie tańczyła, ani dla *aeai* A.J. Rao, ani dla Pranha, ani dla zachwyconej publiczności, obsypującej ją pochwałami, pieniędzmi i sławą. Nawet dla siebie.

Zmęczona. Zbyt zmęczona. Taki upał. Zbyt zmęczona.

* * *

Gdy spotykają się w jego ulubionym International Coffee House, Thacker jest potwornie zdenerwowany, bawi się filiżanką z cąjem, unika kontaktu wzrokowego. Bierze ją za dłoń i z chłopięcą nieśmiałością wgrywa do palmera uaktualnienia. Przesadnie długo, grzecznie i zdawkowo gada o niczym. W końcu ośmiela się na nią spojrzeć.

- Pani Rathore, chciałbym panią o coś poprosić. Noszę się z tym od pewnego czasu.

Zawsze per „pani”, zawsze po nazwisku. Ale oddech i tak zamiera, serce przyśpiesza w zwierzęcym strachu.

- Przecież wie pan, że może mnie poprosić o wszystko. - Słowa smakują jak trucizna.

Thacker nie jest w stanie odwzajemnić spojrzenia, pochyla głowę. Morderczy Pies Kriszny zamieniony w nieśmiałego chłopaczka.

- Pani Rathore, czy nie zechciałaby pani przyjść pokibicować na moim meczu krykieta?

Mecz Wydziału Licencjonowania i Rejestracji Sztucznych Inteligencji przeciwko Konserwacji Parków i Cmentarzy to nie to samo, co mecz testowy ze Zjednoczonym Bengalem, ale wydarzenie towarzyskie jest wystarczająco poważne, by wkładać eleganckie

sukienki i sari numer jeden. Pawilony, parasole, ciemne okulary ustawiają się kręgiem wokół wypalanej trawy boiska należącego do awadhskiej służby cywilnej, jak stadko ptaków o białych skrzydłach. Ci, których stać na przenośne generatory pola klimatyzującego, siedzą w chłodku i popijają Pimm's No. 1. Reszta się wachluje. Esha Rathore, incognito w markowych ciemnych okularach i dupacie z cienkiego jedwabiu, patrzy na białe jak sól sylwetki poruszające się w kręgu brązowej trawy i zastanawia się, co takiego ważnego widzą w tej grze na kijki i piłki, że aż tak dla niej cierpią.

Wyślizgując się z fatfata w niepewnym przebraniu, czuła się potwornie onieśmielona. Potem jednak, gdy ujrzała kłębiącą się, rozgadaną, wystrojoną jak na święto mela publiczność, poczuła w środku nagły żar, tę samą energię, która pozwalała jej kiedyś skryć się za własnym występem, być widoczną choć niewidzialną. Twarz, którą pół kraju codziennie widzi na okładce swoich plotkarskich magazynów, a tak łatwo ją schować za okularami i chustą. Twarz rodem ze slumsów. Dziedziczna anonimowość basti zaszyta w kościach policzkowych, wtapiająca się w tłum.

Parki i Cmentarze dają Psom Kriszny popalić. Thacker jest daleko w kolejce wybijających, ale czołowy serwujący Parków, Chaudry i nierówna linia bramki szybko rozprawia się z nimi po kolei. Poprzedni wraca do malowanego drewnianego pawilonu, a Thacker rusza ku linii, naciąga rękawice, zajmuje miejsce, podnosi kij. Ładnie mu w białym, myśli Esha. Przerzucają się z partnerem po drugiej stronie paroma zdawkowymi okrzykami i zaczyna się nowy over. Klepnięcie piłki w plecionkę. Intensywny, miły dźwięk. Parę czystych odbić. Potem serwujący robi krok i kręci ręką młyńca. Piłka nabiera szalonego podkręcenia. Thacker wbija w nią wzrok, cofa się, trafia ją środkiem kija i wybija dołem, mocno, nisko, odbijającą się ku sznurowi autu, który podbija ją w powietrze, ku uciesze, wiwatom widowni, zdobywając cztery *runy*. Esha też zrywa się na nogi, ręce wzniesione do aplauzu, krzyczy. Na wielkiej tablicy przeskakują punkty, a ona stoi dalej - jedyna ze wszystkich widzów. Dokładnie po drugiej stronie, przed telebimami, stoi wysoka, elegancka postać w czerni, w czerwonym turbanie na głowie.

On. Niemożliwe, ale to on. Patrzy wprost na nią, na wskroś graczy w bieli, jakby byli duchami. Bardzo powoli unosi palec i puka nim w prawe ucho. Wie, co tam będzie, ale musi odpowiedzieć tym samym gestem i poczuć z przerażeniem plastikowy zawijas za uchem. Przeoczyła go, podekscytowana, śpiesząca się na mecz. Zwinął się w jej włosach, oskarżycielsko jak wąż.

* * *

- I kto wygrał mecz?

- Musisz mnie pytać? Gdyby cię to obchodziło, wiedziałbyś. Możesz wiedzieć wszystko, co tylko zechcesz.

- To nie wiesz? Nie zostałaś do końca? Myślałem, że cały sens sportu to wiedzieć, kto wygra. Co innego mogło cię skłonić do pójścia na jakiś urzędniczy mecz krykieta?

Gdyby pokojówka Puri weszła teraz do salonu, ujrzałaby scenę niczym z baśni: kobieta krzyczy i wścieka się na puste powietrze. Jednakże Puri zajmuje się swoimi obowiązkami i wychodzi, kiedy tylko może. W domu dzinnów czuje się nieswojo.

- O, co to, sarkazm? Skąd się go nauczyłeś? Wcieliłeś w siebie jakąś *aeai* od sarkazmu? Czyli masz jakąś nową część, której nawet nie znam, a mam ją niby kochać? Wiesz co, wcale mi się to nie podoba i nie kocham tego, bo robisz się od tego wredny, małostkowy i mściwy.

- Nie ma takich *aeai*. My nie potrzebujemy tego typu emocji. Jeśli się czegoś takiego nauczyłem, to na pewno od ludzi.

Esha unosi dłoń, żeby zedrzeć hoeka, cisnąć nim o ścianę.

- Nie!

Dotąd Rao był samym głosem, teraz skośne późnopołudniowe słońce iskrzy i zestala się w ciało męża.

- Nie - mówi. - Nie... wypędzaj mnie. Ja naprawdę cię kocham.

- A co to znaczy?! - krzyczy Esha. - Nie jesteś prawdziwy! Nic z tego nie jest prawdziwe. To tylko bajka, którą sobie wymyśliliśmy, bo chcieliśmy w to wierzyć. Inni ludzie mają prawdziwych mężów, prawdziwe życie, prawdziwy seks. Prawdziwe... dzieci.

- Dzieci. To o to chodzi? Wydawało mi się, że zależy ci na sławie, na rozgłosie, że nigdy nie zniszczysz sobie ciała i kariery posiadaniem dzieci. Ale jeśli to już ci nie wystarcza, możemy mieć dzieci. Najlepsze, jakie tylko mogę kupić.

Esha głośno krzyczy - jęk rozczarowania i frustracji. Sąsiedzi usłyszą. Ale sąsiedzi i tak już wszystko słyszeli, podsłuchiwali, plotkowali. W mieście dzinnów nie ma żadnych tajemnic.

- Wiesz, co oni wszyscy gadają, we wszystkich tych gazetkach i programach TV? Co naprawdę mówią o nas, o dzinnie i jego żonie?

- Wiem! - A.J. Rao po raz pierwszy podnosi głos, zwykle tak miły, tak zawsze rozsądny w jej głowie. - Wiem dokładnie, co mówi o nas każdy, co do jednego. Esha, czy ja cię kiedykolwiek o coś prosiłem?

- Tylko, żebym tańczyła.

- To teraz proszę cię o coś jeszcze. Nic wielkiego, drobiazg właściwie. Mówisz, że nie

jestem prawdziwy, że to, co między nami, też jest nieprawdziwe. To mnie boli, bo to w pewnym sensie prawda. Nasze światy nie są ze sobą zgodne. Ale to może stać się prawdziwe. Są takie chipy, nowa technologia, białkowe. Wszczepia się go tutaj. - Rao unosi dłoń do trzeciego oka. - Jak hoek, tylko włączone na stałe. Mógłbym cały czas być z tobą. Nigdy byśmy się nie rozstawali. A ty mogłabyś zostawić swój świat i przenieść się do mojego...

Esha zasłania usta dłońmi, powstrzymując przerażenie, żółć, mdłości, strach. Czuje skurcz, pochyła się. Nic. Nic materialnego, nic fizycznego, tylko duchy i dżinny. Potem zrywa hoeka z jego miejsca za uchem. Święta cisza i nicość. Chwyta urządzonek w palce i gładko rozłamuje je na pół.

Później ucieka z własnego domu.

* * *

Ani do Neety, ani do Priyi, ani do gniewnego Pranha w jego gharanie, ani do Madhuri, szerniałego od dymu truchła w fotelu z systemem podtrzymywania życia, ani - nigdy w życiu - do matki, choć stopy znają każdy krok ku jej drzwiom; w żadnym razie nie do basti. To byłaby śmierć.

Zostało tylko jedno miejsce.

Ale on nie daje jej spokoju. Siedzi z nią w fatfacie, twarz rysuje się we wnętrzu jej dłoni, głos to literki przesuwające się po inteligentnej tkaninie: „Wróć, przepraszam, wróć, porozmawiajmy, nie chciałem, wróć”. Esha, skulona z tyłu żółto-czarnej plastikowej bańki, zaciska pięść na jego twarzy, ale nadal go czuje, tę twarz, te usta przy samej skórze. Zrywa z dłoni rękawiczkę palmera. Rao porusza ustami. Ciska go między auta. Przepada pod kołami ciężarówki.

I tak nie da jej spokoju. Fatfat wjeżdża na ogromny okrąg Connaught Circus, a jego twarz pokazuje się na wszystkich smartsilkowych ekranach, którymi są obwieszone zakrzywione frontony domów. Dwudziestu A.J. Rao, większych, mniejszych, najmniejszych, w idealnej synchronizacji poruszających niemo ustami.

„Esha Esha wracaj” - mówią przesuwające się teksty informacyjne. „Możemy spróbować czegoś innego. Odezwij się do mnie. Dowolny terminal, dowolny palmer, cokolwiek...”.

Zaraźliwy paraliż rozlewa się po Connaught Circus. Najpierw ludzie, którzy zauważają rzeczy jak ekrany z reklamami mody i plotkarskimi informacjami; potem ludzie, którzy zauważają zachowanie innych ludzi, potem pojazdy, zauważające, że wszyscy na chodnikach zadzierają głowy i rozdziawiają usta. Gapi się nawet kierowca fatfata. Ruch na rondzie ustaje; a jeśli stanie serce Delhi, całe miasto dostanie zatoru i umrze.

- Jedźmy, no! - krzyczy Esha na kierowcę. - Każę panu jechać.

Na końcu Sisganj Road porzuca motoriksę i przepycha się między znieruchomiałymi samochodami - ostatni kilometr do osiedla Manmohan Singh. Miga jej przeciskający się przez tłum Thacker, usiłujący wyjść na spotkanie policyjnemu motocyklowi, przepychającemu się na sygnale przez korek. Zdesperowana podnosi rękę, wykrzykuje jego nazwisko i stopień. Wreszcie się odwraca. Przebijają się ku sobie przez chaos.

- Pani Rathore, mamy tu poważny wypadek wtargnięcia...

- Mój mąż, A.J. Rao, on zwariował...

- Pani Rathore, niechże pani zrozumie, według naszych norm, on nigdy nie był normalny. On jest *aeai*.

Motor niecierpliwie trąbi. Thacker kiwa głową motocyklistce w policyjnych skórach i kasku: zaraz, zaraz. Łapie Eshę za rękę, przyciska kciuk do rękawiczki palmera.

- Mieszkanie numer tysiąc pięćset jeden. Pani kciuk właśnie dopisałem do kluczy. Proszę nikomu nie otwierać drzwi, nie odbierać żadnych połączeń, nie używać żadnych urządzeń do komunikacji ani sprzętu grającego. Nie podchodzić do balkonu. Wrócę jak najszybciej będę mógł.

I już przerzuca nogę przez siodełko, motocyklistka zawraca swoją maszynę i wciska ją się w korek.

Mieszkanie jest nowoczesne, przestronne, jasne i czyste jak na kawalera, ładnie umeblowane i urządzone - nic nie wskazuje, by Pies Kriszny wieczorami przynosił pracę do domu. Trafia ją w dużym salonie, pośrodku zalanej słońcem podłogi. Nagle pada na kolana, na kaszmirowy dywan, dygoce w spazmach, kiwa się tam i z powrotem w łkaniu tak bolesnym, że aż bezdźwięcznym. Tym razem nie jest w stanie powstrzymać pragnienia zwymiotowania tego wszystkiego. A pozbywszy się tego - to jeszcze nie wszystko, wszystko nigdy z niej nie wyjdzie - podnosi wzrok spod posklejanych, przepoconych włosów, oddech wciąż rozedrgany w obolałej piersi. Co to za miejsce? Co ona narobiła? Jak mogła być tak głupia, tak próżna, nieczuła i ślepa? Dziecinne zabawy, dziecinne udawanie, jak to się miało udać? Mówię, że tak jest, i tak jest: patrzcie tylko na mnie! Na mnie!

Thacker ma w aneksie kuchennym mały, profesjonalny barek. Esha nie zna się na drinkach, więc chota peg, który jej wychodzi, zawiera o wiele więcej dzinu niż toniku, ale działa jak trzeba: uspokaja drżący oddech. Teraz jest w stanie sprzątnąć kwaśne, żółciowe wymiociny z wełnianego dywanu.

Wzdryga się, zamiera - wydało się jej, że słyszy głos Rao. Stoi nieruchomo, uważnie nasłuchuje. Głośno puszczonego telewizor u sąsiada. Cienkie ściany mają w tych nowych

apartamentach dla menedżerów.

Zrobi sobie jeszcze jednego. Po trzecim jest gotowa się rozejrzeć. Na balkonie widzi jacuzzi. Pragnienie buzującej, uzdrawiającej wody wygrywa z ostrzeżeniami Thackera. Dysze włączają się z bulgotem. Z gracją tancerki wyslizguje się z lepkich, zbrukanych emocjami ubrań, wsuwa się do wody. Jest nawet uchwyt na chota pega. Drobną podstępna wątpliwość: ile innych było tu przede mną? Nie, to jego sposób myślenia. Ty jesteś z dala od tego. Bezpieczna. Niewidoczna. Zanurzona. Ruch na Sisganj Road wraca do normy. Sylwetki polujących kań wysoko na niebie oraz roboty obronne ponad nimi rozpościerają i łączą czarne skrzydła, a Esha odpływa w sen.

- Mówiłem, żeby się pani trzymała z dala od okien.

Budzi się raptownie, odruchowo zakrywa piersi. Dysze się wyłączyły, woda jest od dawna nieruchoma i idealnie przezroczysta. Thacker ma siny cień na podbródku, worki pod oczyma, cały jest obwisły, w pogniecionym, brudnym garniturze.

- Przepraszam. Po prostu, tak się ucieszyłam, że uciekłam od... wie pan?

Znużone kiwnięcie głową. Robi sobie chota pega, stawia szklaneczkę na oparciu kanapy, a potem bardzo powoli, pieczołowicie, jakby zardzewiały mu wszystkie stawy, rozbiera się.

- Nasze zabezpieczenia padły na wszystkich poziomach. W każdym innych okolicznościach uznano by to za elektroniczny atak na nasz kraj. - Ciało, które się ukazało, nie jest ciałem tancerza; Thacker wyhodował sobie spory brzuch, mięśnie ma obwisłe, zaczątki męskich cycków, włosy na brzuchu, na plecach, na ramionach. To jednak ciało i jest prawdziwe. - Bharacki rząd potępił całą akcję i zniósł immunitet dyplomatyczny A.J. Rao.

Podchodzi do jacuzzi i włącza bąbelki. Z dżinem-tonikiem w dłoni wślizguje się do wody z tubalnym, zmysłowym westchnieniem ulgi.

- Co to znaczy? - pyta Esha.

- Pani mąż jest teraz nielegalną *aeai*.

- I co pan zrobi?

- Wolno mi zrobić tylko jedno. Ekskomunikujemy go.

Esha wzdryga się w łaskoczących bąbelkach. Przyciska się do Thackera. Czuje, jak napiera na nią jego męskie ciało. Jest z krwi i kości. Nie jest pusty. Wiele kilometrów nad płamą miasta Delhi *aeai-loty* krążą i wypatrują.

* * *

Nazajutrz rano powtarzają się przestrogi. Palmer, domowe centrum rozrywki, telekomunikacja. Tak, i balkon też, mimo jacuzzi.

- Jeśli będziesz mnie potrzebować, ten palmer jest wydziałowy, szyfrowany. Na tym cię nie dosięgnie. - Thacker kładzie na łóżku rękawiczkę i hoeka. Esha, owinięta w kokon jedwabnych prześcieradeł, naciąga rękawiczkę, wtyka hoeka za ucho.

- Śpisz z tym?

- Tak się przyzwyczałam.

Prześcieradła z varanaskiego jedwabiu, drukowane w sceny z Kamasutry. Nikt by się nie spodziewał po Psie Kriszny. Patrzy, jak ubiera się na ekskomunikę. Tak samo jak do pracy - odprasowana biała koszula, krawat, ręcznie szyte czarne buty - brązowe w mieście niezdrowe - elegancko wyglansowane. Ten sam psik kiepskiej wody po goleniu. Jedna różnica: pod pachą skórzana kabura, a w niej gładko wsunięta broń.

- Do czego to?

- Na *aeai* - odpowiada on po prostu.

Całus i już go nie ma. Esha wsuwa się w jego krykietowy pulower, wygląda jak sierota w wielkim białym worze, sięgającym jej po kolana. Pędzi na zakazany balkon. Wychylając się, widzi drzwi wyjściowe. Jest, wychodzi, czeka przy krawężniku. Samochód się spóźnia, na drodze tłok, zgiełk silników, klaksonów aut i fatfatów nie ustaje od świtu. Patrzy, jak czeka, rozkoszując się mocą niewidzialności. Widzę cię. Jak oni w ogóle dają radę uprawiać sport w czymś takim? - pyta sama siebie, pocąc się pod gryzącym swetrem. Już jest trzydzieści stopni, jeśli wierzyć wskazaniom biegnącym u podnóża smartsilkowego ekranu zakrywającego fasadę świeżo zbudowanego bloku po drugiej stronie ulicy. Maksymalna trzydzieści osiem. Prawdopodobieństwo opadów: zero. Ekran puszcza w pętli *Miasto i wieś* dla tych wielbicieli, którzy muszą go widzieć w każdych okolicznościach; nad przesuwanymi się wiadomościami migają napisy.

„Cześć, Esha”, mówi Ved Prakash, odwracając się do niej.

Gruby krykietowy pulower już nie chroni przed lodowatym powiewem.

Teraz begum Vora wita ją gestem namaste i mówi: „Wiem, gdzie jesteś, wiem, co zrobiłaś”.

Ritu Parvaaz siada na swojej kanapie, nalewa herbaty i odzywa się: „Bo musisz zrozumieć, to działało w obie strony. Ten soft, który ci wgrali do palmera, nie był dość sprytny”.

Usta poruszają się bezgłośnie; kolana, uda miękkie od zabobonnego strachu dziewczyny z basti. Esha potrząsa dłonią w rękawicze palmera, ale nie umie ułożyć odpowiednich mudr, nie potrafi odczytać kodów. Zadzwoń, zadzwoń, zadzwoń.

Na ekranie cięcie - pojawia się syn, Govind, w swojej stajni z wyścigowymi końmi,

gładzi po szyi swojego superogiera czystej krwi, Gwiazdę Agry. Oni szpiegowali mnie, ja szpiegowałem ich.

Doktor Chatterji w swoim gabinecie. Więc w rezultacie zdradziliśmy się nawzajem.

Rozmowa musi przejść przez autoryzację i kryptografię ministerstwa.

Pacjent doktora, człowiek w czerni, siedzący plecami do kamery, nagle odwraca się. Uśmiecha. To A.J. Rao. W końcu, który dyplomata nie jest szpiegiem?

Wtem widzi nad dachami błysk bieli. Oczywiście. Oczywiście. Odwracał jej uwagę, jak przystało na telenowelę. Esha pędzi do balustrady, by ostrzec go krzykiem, lecz maszyna już leci tunelem ulicy poniżej napowietrznych kabli, skrzydła schowane, silniki na pełen gaz; to *aeai-lot* do monitorowania ruchu ulicznego.

- Thacker! Thacker!

Jeden głos wśród tysięcy. To nie ją słyszy i odwraca się. Każdy człowiek słyszy kroki własnej śmierci. Samotny na ruchliwej ulicy, widzi nurkującego z nieba bezzałogowca. Z szybkością trzystu kilometrów na godzinę rozrywa na strzępy inspektora Thackera z Wydziału Licencjonowania i Rejestracji Sztucznych Inteligencji.

Samolocik rykoszetuje, uderzając w autobus, samochód, ciężarówkę, fatfata, sypiąc plastikowymi odłamkami, kroplami płonącego paliwa, rozsypując swój mały rozumek po Sisganj Road. Górna połowa ciała Thackera koziółkuje w powietrzu i wbija się w stoisko z gorącymi samosami.

Zazdrość i gniew dzinnów.

Esha zamarła na balkonie. Zamarło *Miasto i wieś*. Zamarła ulica, jakby stanęła na skraju przepaści. Potem osuwa się w histerię. Przechodnie uciekają; rikszarze zsiadają i próbują biec ze swymi pojazdami; kierowcy i pasażerowie porzucają auta, taksówki, fatfaty; skutery próbują lawirować w spanikowanym tłumie; autobusy i ciężarówki tkwią unieruchomione pomiędzy ludźmi.

A Esha Rathore dalej tkwi osłupiała przy poręczy balkonu. To wszystko telenowela. Takie rzeczy się nie zdarzają. Nie na Sisganj Road, nie w Delhi, nie we wtorek rano. To wszystko komputerowa iluzja. To zawsze była iluzja.

Wtem dzwoni jej palmer. W tępych niezrozumieniu gapi się na własną dłoń. Wydział. Powinna coś zrobić. Tak. Unosi rękę w mudrze - tanecznym geście - żeby odebrać. W tej samej chwili, jak na wezwanie, niebo wypełnia się bogami. Są ogromni jak chmury, piętrzą się ponad blokami przy Sisganj Road jak podczas burzy; Ganeśa na swojej szczyrzej wahanie, ze złamanym kłem i piórem, w twarzy ani cienia łagodności; Śiwa, ponad wszystkim, tańczący w wirującym kole płomieni, stopa uniesiona do niszczącego ciosu; Hanuman z

maczugą i górą, roztrzepotany między wieżowcami; Kali, obwieszona czaszkami, pryskająca jadem z czerwonego języka, uniesione krzywe szable, stoi okrakiem na dachach nad Sisganj Road.

A na ulicy kłębią się ludzie. Nie widzą tego, domyśla się Esha. Tylko ja, tylko ja. To zemsta Psów Kriszny. Kali unosi wysoko krzywe szable. Między ich czubkami przeskakuje błyskawica. Dźga nimi znieruchomiałe na ekranie *Miasto i wieś*. Esha krzyczy, na moment oślepią, gdy bojowe roboty tropiące Psów Kriszny wyśledzają i ekskomunikują zbiegłą *aeai* A.J. Rao. A potem znikają. Nie ma bogów. Niebo to tylko niebo. Smartsilkowy ekran wisi pusty, martwy.

Ponad nią rozlega się potężny, boski grzmot. Esha kuca - teraz ludzie z ulicy patrzą na nią. Oczy wszystkich, więcej publiczności niż kiedykolwiek pragnęła. Tilt-jet w kameleoflażu awadhskich sił zbrojnych wysuwa się znad dachu i obraca w powietrzu nad ulicą, przekręcając gondole z silnikami i wysuwając z czubków skrzydeł podwozie do lądowania. Odwraca swoją owadzią głowę ku Eshy. W kabinie siedzi pilot bez twarzy z wyświetlaczem na szybcie hełmu. Obok niego kobieta w biznesowym kostiumie, kiwa na Eshę, żeby odebrała telefon. Partnerka Thackera. Teraz ją kojarzy.

Zazdrość i gniew dzinnów.

- Pani Rathore, mówi inspektor Kaur. - Ledwie słyszy ją ponad hukiem turbin w osłonach. - Proszę zejść na dół i wyjść przed budynek. Jest pani bezpieczna. *Aeai* została ekskomunikowana.

Ekskomunikowana.

- Thacker...

- Proszę po prostu zejść na dół, pani Rathore. Już jest pani bezpieczna, zagrożenie minęło.

Tilt-jet opada tuż przed nią. Odchodząc od balustrady, Esha czuje na twarzy nagły ciepły powiew. Odrzut silników, a może po prostu jakiś dzinn, przechodzi tędy niespokojny, nieśpieszny i bezgłośny jak światło.

* * *

Psy Kriszny wysłały nas daleko poza zasięg gniewu i kaprysów dzinnów, najdalej jak mogły, do ukrytego w tchnieniu Himalajów miasta Leh. Mówię „nas”, ponieważ już wtedy istniałam, węzełek czterech komórek w łonie matki.

Tam matka kupiła firemkę cateringową. Chętnie zlecano jej obsługę wesel i *šaadi*. Może i uciekliśmy przed *aeai* i chaosem, jaki wynikł po podpisaniu przez Awadh Ustaw Hamiltona, lecz zdesperowanie hinduskich mężczyzn szukających sobie kobiety przetrwało

wieki. Pamiętam, że dla zaprzyjaźnionych klientów - tych, co dawali dobre napiwki, albo traktowali ją nieco lepiej niż po prostu dostawcę, czy też kojarzyli jej twarz z magazynów - zdarzało jej się zrzucić buty i odtańczyć Radhę i Krisznę. Uwielbiałam na to patrzeć, a wymykając się do świątyni Ramy, próbowałam naśladować pomiędzy kolumnami mandapy jej kroki. Pamiętam, że bramini uśmiechali się i dawali mi pieniądze.

Tamę zbudowano, wojna o wodę wybuchła i skończyła się w miesiąc. *Aeai*, prześladowane ze wszystkich stron, puciekały do Bharatu, gdzie ochronę zapewniała im nieziemską popularność *Miasta i wsi*, ale i tam nie były bezpieczne: ludzie i *aeai*, jak ludzie i dzinny, zbyt od siebie różnili. W końcu więc wyprowadziły się z Awadhu do innego miejsca, którego nie rozumiem, jakiegoś własnego świata, gdzie są bezpieczne i nikt nie jest w stanie nic im zrobić.

I to byłby koniec historii kobiety, która poślubiła dzinna. Może nie ma zakończenia w stylu „i żyli długo i szczęśliwie” jak w zachodnich bajkach i hollywoodzkich musicalach, ale i tak kończy się wystarczająco dobrze. Tej wiosny kończę dwanaście lat i pojedę autobusem do Delhi, żeby wstąpić do gharany. Matka zwalczała ten pomysł ze wszystkich sił - dla niej Delhi na zawsze pozostało nawiedzonym i krwawym miastem dzinnów - lecz gdy świątynni bramini zaprosili ją, żeby popatrzyła, jak tańczę, sprzeciw stopniał. Była teraz bowiem zamożną bizneswoman, przytyła, kolana zeszywniały jej od mroźnych zim, propozycje matrymonialne musiała odrzucać co tydzień, a jednak nie mogła odmówić talentowi, który po niej odziedziczyłam. Ja zaś pragnę zobaczyć te ulice i parki, gdzie toczyła się jej historia; Czerwony Fort i smutny rozkład Ogrodów Shalimar. Chcę poczuć żar dzinnów w zatłoczonych gali za Meczetem Piątkowym, w wirach śmieci na Chandni Chowk, w kręcących się ponad Connaught Circus stadach szpaków. Leh to buddyjskie miasto, zaludnione trzecim pokoleniem tybetańskich uchodźców - nawet nazywają je Małym Tybetem. Ma swoich własnych bogów i demony. Od starego muzułmańskiego tropiciela dzinnów nauczyłam się nieco o ich sekretach, lecz najprawdziwszą mądrość przychodzi do mnie, kiedy zostaję sama w świątyni Ramy, po tańcu, nim kapłani zamkną garbagrihę i położą bogów spać. W bezwietrzne noce, gdy wiosna przechodzi w lato, albo po monsunie, słyszę głos. Woła mnie po imieniu. Zawsze wydaje mi się, że to mówią japa-softy, malutkie, niskopoziomowe *aeai* służące do nieustającego klepania modlitw do bogów, on jednak dobiega zewsząd i znikąd, z innego świata, całkiem innego kosmosu. I mówi: „Istoty ze słowa i ognia są inne niż istoty z gliny i wody, ale prawda jest jedna: miłość żyje wiecznie”. A potem, gdy odwracam się, by odejść, czuję na policzku dotknięcie, przelotny powiew, ciepły i miły oddech dzinnów.

WISZNU W KOCIM CYRKU

URATOWANI PRZEZ BIURKO

Przybądź, Matsyo, przybądź Kurmo. Przyjdź, Narasimho i Varaho. W kopcącym świetle palonych polietylenowych śmieci, pod obłąkanym okiem upitego i leżącego na plecach księżycy, chodźcie i spacerujcie po ringu; rudy, szary, pręgowany, biały, cętkowany, szylkretowy i krzywonogi, bezogoniasty Manksie.

Nie chciałbym nikogo urazić swoim cyrkiem kotów noszących imiona boskich awatarów. Tak, to brudne, bezdomne koty, wyciągnięte ze śmietników, pozdejmowane z murów i balkonów, ale koty są z natury rzeczy bluźnierczymi stworzeniami. Każde liźnięcie i wygięcie grzbietu, przeciągnięcie się i drapanie pazurem jest wyrachowaną obrazą bogów. Ale, czyż sam nie noszę boskiego imienia i nie mogę dzięki temu nazwać swoich biegaczy, skoczków, gwiazdy, na swoje podobieństwo? Jestem bowiem Wisznu Obrońcą.

Patrzcie! Zapłonęły śmieciowe lampy, odgrodzono ring sznurami, ustawiono dla publiczności krzeselka, jakie udało się wygrzebać - poduszki i stare materace zabrane z łodzi i poukładane, by odizolować wasze siedzenia od wilgotnego piasku. A koty już biegają: przesuwający się ciąg rudości i szarości, czerni, bieli i pasiastości - wspaniały, magiczny, przepiękny Niebiański Koci Cyrk genialnego Wisznu!

Biegają w kółko, jeden tuż za drugim. Zachwyci was idealna, płynna synchronizacja moich kotów. Biegnij, Buddo, biegnij, Kalki! Tak, aby wytresować koty do cyrkowych występów, zaiste potrzeba boga.

Jak wieczór długi walę w bębenek i dzwonię rowerowym dzwonkiem na cały peryferyjny, spalony słońcem Chunar. „Magiczny, przepiękny, wspaniały Koci Cyrk Wisznu! Chodźcie, stańcie wokół! Niewiele macie przyjemności w życiu: a oto za garstkę rupii cud i temat do rozmowy na tydzień”. Piasek na ulicach, piasek zbierający się pod krzywymi ścianami opuszczonych domów, piasek zasypujący gołe felgi porzuconych samochodów i mikrobusów, piasek piętrzący się pod ciernistymi żywopłotami dzielącymi nadrzeczne łąchy piasku na jałowe pola. Długa susza i błyskawiczne pożary wyludniły to miasto tak jak wiele

innych leżących przy Dźjotirlingach. Wspiąłem się na stary fort, z którego sięgało się wzrokiem na dwadzieścia kilometrów w górę i w dół rzeki. Z perspektywy rezydencji dawnego brytyjskiego ambasadora widziałem ostrze Dźjotirlingi wbite w niebo nad Varanasi, nieskończone, biegnące bowiem aż do innego wszechświata. Ściany starego domu były pomazane graffiti. Zadzwoiłem dzwonkiem, uderzyłem w bębenek, ale tu nie było co liczyć na żywego ducha. Choć odłączony od sieci bóstw, niemal czułem deva wirujące w przeciwstawnych powietrznych prądach. Wkraczając do miasta, poczułem szczyry zapach palonego drewna, snujący się aromat gotowania i odwróciłem się, nawiedzony wizją oczu, twarzy, dłoni na framugach drzwi, które znikwały w cieniu, kiedy tylko spojrzałem. „Magiczny, przepiękny, wspaniały Koci Cyrk Wisznu!” - wołałem, dzwoniąc rowerowym dzwonkiem jak wściekły, rozgłaszając wokół zarówno nową rozrywkę, jak i własne ubóstwo i nieszkodliwość. W Erze Kali cichych i bezbronnych łupi się bez litości, a kałachów jest wszędzie pod dostatkiem.

Kiedy wróciłem, koty były złe i miauczały unisono; mimo cienia, zgrzały się w klatkach. Gdy ustawiałem ring i siedzenia, lampy, sztyl, miskę na datki, wypuściłem je, żeby zapolowały przy świetle zapalających się gwiazd. Nie miałem pojęcia, czy pojawi się choć jeden widz. Łupy były mizerne. W Erze Kali drobne zwierzęta stają się rzadkością.

O, mój piękny, biały Kalki, płynący nad przeszkodami jak fala w strumieniu, pisane jest ci walczyć i zwyciężyć Kali, ale dla mnie to zbyt ambitne zadanie, by domagać się go od zwykłego kotka. Nie, raczej sam się go podejmę, bo twoje imię jest także moim imieniem. Czyż nie jestem Wisznu o dziesięciu wcieleniach? Czy wy wszystkie, moje koty, nie jesteście takie częścią mnie? Mam umówione spotkanie w dole rzeki, u podstawy tej świetlnej wieży pnącej się ku niebu na wschodzie.

A teraz chodźcie i siadźcie na tym materacu - odgarnąłem piasek i porozstawiałem lampy, żeby owady leciały do nich. Rozsiadźcie się wygodnie. Zaproponowałbym ćaj, ale woda jest mi potrzebna dla kotów. Dziś wieczorem ujrzycie nie tylko najlepszy koci cyrk w całych Indiach - prawdopodobnie jedyny koci cyrk w całych Indiach. Co mówicie? Że tylko latają w kółko? Bracie, nie wiesz, jakie to osiągnięcie w przypadku kotów. Ale macie rację: bieganie w kółko, nos przy ogonie, to większość programu mojego kociego cyrku. Mam jednak parę innych sposobów, aby zapracować na tę garść rupii, o którą was proszę. Siadźcie sobie, siadźcie, a opowiem wam moją historię. Jestem Wisznu i skonstruowano mnie, bym został bogiem.

* * *

Było nas troje i wszyscy byliśmy bogami. Mieliśmy na imię Shiv, Vishnu i Sarasvati.

Pierworodny nie jestem; to mój brat, Shiv, z którym jestem umówiony u podstawy Dźjotirlingi w Varanasi. Shiv biznesmen, bogaty Shiv, globalny sukces, nazwisko - znana marka i mimowolny zwiastun dzisiejszej Ery Kali; Shiv - aż trudno sobie wyobrazić, co się z nim porobiło. Ja nie byłem pierworodny, ale byłem najlepszy i na tym właśnie polega problem.

Konflikt, jak sądzę, był zaszyty w każdym splocie DNA moich rodziców. Klasyczny darwinista gardzi ideą, że wartości intelektualne mogą wpływać na ewolucję, ja jestem jednak żywym dowodem, że w genach da się zaprogramować wartości klasy średniej. To czemu nie wojnę?

Trudno byłoby sobie wyobrazić mniej prawdopodobnego żołnierza wojny elektronicznej niż mój ojciec. Nieskoordynowane ruchy, niezgrabny, korpulentny - nie, nie owijajmy w bawełnę, po prostu gruby; był zadowolonym i na swój sposób sławnym projektantem w firmie DreamFlower. Pamiętacie DreamFlowera? *Street Sumo*, *RaMaYaNe*; *Bollywood SingStara*? Gry sprzedające się w milionach? Pewnie nie. Też coraz częściej uświadamiam sobie, że to było dawniej niż myślę. Wszystko. Ważne jest to, że wiodło mu się, robił pieniądze, karierę, odnosił sukcesy i zdobywał sławę na miarę swojej niszy, a życie toczyło się gładko, gładko jak lexus, gdy wojna napadła go z zaskoczenia. Wszystkich nas wzięła z zaskoczenia. Jednego dnia byliśmy Wielkim Azjatyckim Sukcesem, Indyjskim Tygrysem (nazywam to Prawem Pełnego Obrotu Aforyzmu, gdyż miano Tygrysa Gospodarczego krążyło dookoła świata i wróciło do nas) i w przeciwieństwie do Chinoli znaliśmy angielski, krykieta i mieliśmy demokrację; a następnego dnia obrzucaliśmy sobie bombami centra handlowe i okupowaliśmy stacje telewizyjne. Stan przeciwko stanowi, region przeciw regionowi, rodzina przeciw rodzinie. Tylko tak potrafię patrzeć na naszą Schizmę Narodową: że Indie były jak jedna z tych wielkich, hałaśliwych, rozrabiających rodzin, w których szacowna babunia wyjeżdża sobie na sześć miesięcy i po dwóch dniach synowie skaczą ojcom do gardeł. A matki córkom, siostry się kłóca, bracia się biją, a kuzyni, wujowie i ciotki - wszyscy stają po którejś stronie i rodzina rozpada się jak diament wzdłuż rys i skaz, które nadawały mu piękno. Widziałem w Delhi szlifierza tnącego diament, kiedy byłem młody, o, przepraszam, kiedy byłem mały. Nie taki już młody. Widziałem, jak mocuje kamień w wyściełanym imadle, jak unosi dłuto i pobijak, wydające się zbyt wielkie i zbyt brutalne na tak drobny i świetlisty przedmiot. Wstrzymałem oddech i zacisnąłem zęby, a on uderzył wielkim miękkim młotkiem i kamień rozpadł się na trzy, każdy jaśniejszy i bardziej lśniący od swego rodzica.

- Źle uderzysz - powiedział - a zostanie ci tylko błyszczący pył.

Błyszczący pył to, zdaje się, nasza odwieczna historia.

Przyszedł cios - sukces, bogactwo, przeludnienie - i rozpadliśmy się w pył, ale Delhi nie miało o tym pojęcia. Lojaliści stanowczo bronili marzenia o jedności Indii. Dlatego mojego ojca oddelegowano do serwisu technicznego w Oddziale Mechów Zwiadowczych. Dla was może to zabrzmieć ekscytująco i wspaniale, ale to było w innym wieku i innej epoce - robotom daleko było jeszcze do dzisiejszych błyszczących rakszas, nieustannie zmieniających kształt i funkcję, wykraczających poza ludzkie oczekiwania. Tamto to był tylko oddział botów zwiadowczych, dwunożnych biegaczy i skoczków, niezdarnych i kapryśnych jak stalowe kury. A Dadadzi służył im za Help Desk, co oznaczało, że naprawia je, odwirusowuje, łąta błędy, nie pozwala maniakalnie biegać w kółko i zawraca spod zbyt wysokiego muru, który usiłują przeskoczyć, przez cały czas uważając na dwa bliźniacze działka ze strzałkami i nanoostrza do obrony na krótkim dystansie.

- Ja jestem koderem od gier - narzekał. - Programuję choreografię hollywoodzkich numerów tanecznych, aranżuję wypadki samochodowe. Projektuję sławne wampiry. - Delhi nie zwracało uwagi na jego krzyki.

Delhi i tak już przegrywało, bo głosy mówiące „my też” zaczęły coraz głośniejsz odzywać się w Rashtrapati Bhawan, lecz na nie też postanowiło nie zwracać uwagi.

Dadadzi był żołnierzem wojny elektronicznej, i wojownikiem, Mamadzi była oficerem medycznym. Do niej przystawało to trochę lepiej niż do taty. Była w końcu dyplomowanym lekarzem, po trzęsieniu ziemi pracowała dla organizacji pozarządowych w Indiach i Pakistanie oraz w Sudanie u Lekarzy bez granic. Żołnierzem nie była, nigdy w życiu, ale ponieważ Matka India potrzebowała frontowych medyków, wylądowała w Polowym Centrum Medycznym 32 na wschód od Ahmedabadu, w tym samym czasie, gdy stacjonowała tam jednostka zwiadowcza ojca. Zbadała sierżanta technicznego Tushara Narimana pod kątem wszy łonowych i hemoroidów. Reszta jednostki odmówiła kobiecie-lekarzowi wglądu w swoje intymne okolice. On zaś przez zuchwałą, krótką chwilę patrzył jej w oczy.

Może gdyby Ministerstwo Obrony nie dobierało swoich żołnierzy tak niechlujnie i przydzieliło do 8. Ahmedabadzkiego Oddziału Mechów Zwiadowczych wykwalifikowanego analityka ds. zabezpieczeń, a nie projektanta gier, więcej ludzi przeżyłoby atak bharackiej Grupy Uderzeniowej Tygrys. Okazało się bowiem, że w dawnym wschodnim stanie Uttar Pradesh oraz Biharze pojawiała się nowa nazwa: Bharat, stara, święta nazwa Indii - jego flagę z wirującym kołem karmy zatknęto w Varanasi, najstarszym i najczystszy z miast. Jak w każdym ruchu narodowowyzwoleńcym, pojawiły się tuziny samozwańcych grup partyzanckich, każda z nazwą groźniejszą od swojej poprzedniczki, z którą zawierała

chwiejny sojusz. Grupa Uderzeniowa Tygrys była załóżkiem elitarnej bharackiej jednostki wojny elektronicznej. I w odróżnieniu od Tushara byli zawodowcami. O 21:23 udało im się przeniknąć firewalla 8. Ahmedabadzkiego Oddziału i poinstalować trojany w mechach zwiadowczych. Kiedy ojciec podciągał spodnie po skontrolowaniu jego małego pączuszka przez delikatne palce i latarkę mamusi, Grupa Uderzeniowa Tygrys przejęła kontrolę nad robotami i skierowała je do szpitala polowego.

Panie Śiwo, dzięki ci, że mój ojciec był grubasem i tchórzem. Bohater, usłyszawszy strzały, wybiegłby na piasek, żeby zobaczyć co się dzieje. Bohater zginąłby w krzyżowym ogniu, albo od ostrzy, kiedy skończyła się amunicja. Ojciec zaś od razu po pierwszym strzale wlaź pod biurko.

- Padnij! - syknął do matki, która zamarła z wyrazem konsternacji i osłupienia na twarzy.

Pociągnął ją w dół i natychmiast przeprosił za tę nieprzyzwoitą bliskość. Przed chwilą trzymała w dłoniach jego jądra, ale i tak przeprosił. Klęczeli we wnęce na nogi, jedno przy drugim, a wokół wirowały strzały, krzyki i straszne, artretyczne poklikiwanie robocich stawów. Powoli przycichało, tylko strzały i cykanie, potem tylko cykanie, potem cisza. Klęczeli obok siebie, dygocąc ze strachu, matka stała jak pies na czworakach, aż zaczęła drzeć z wysiłku, ale bała się poruszyć, wydać choćby najcichszy odgłos, bo to mogło spowodować do gabinetu stwory, których polujące cienie wpadały przez okna. Cienie wydłużyły się i pociemniały, zanim odważyła się sapnąć:

- Co się stało?

- Zhakowali mechy - powiedział ojciec. A potem stał się w jej oczach bohaterem. - Idę zerknąć.

Ręka za nogą, ręka za nogą, uważając, by nie wydać żadnego dźwięku, nie poruszyć ani odłamka stłuczonej szyby czy rozprysniętego drewna, wypełził spod biurka na zasłaną śmieciem podłogę i podczołgał się pod okno. Potem, milimetr za milimetrem uniósł głowę, aż znalazł się w półprzysiadzie. Zerknął przez okno i w jednej chwili opadł na podłogę i zaczął mozolnie czołgać się z powrotem.

- Chodzą. Tam - wysapał do Mamadzi. - Wszystkie. Zabijają. Wszystko. Co. Się. Rusza. - Wypowiadał to po jednym słowie, żeby brzmiało jak naturalne skrzywienie i postękiwanie przenośnego baraku na gangeskiej plaży.

- Może paliwo im się skończy - odpowiedziała mama.

- Są na baterie słoneczne. - Prowadzona w taki sposób rozmowa trwała całe wieki. - Mogą czekać w nieskończoność.

A potem zaczął padać deszcz. Ciężkie krople burzy zapowiadającej monsun, ciągle jeszcze wijący się nad Zatoką Bengalską, jak człowiek z flagą czy trąbką, który biegnie przed panem młodym i obwieszcza światu, że nadchodzi wielki mąż. Tłukł w brezent jak dłonie w bęben. Syczał połykany przez suchy piasek. Rykoszetował od plastikowych pancerzy, czekających, nasłuchujących robotów. Muzyka deszczu pochłonęła wszystkie inne odgłosy, więc matka tylko po przenoszonych przez biurko drganiach poznała, że ojciec się śmieje.

- Czemu się śmiejesz? - syknęła głosem odrobinę cichszym niż deszcz.

- Bo w tym hałasie mogę pójść po palmera, a one nie usłyszą - odparł ojciec, bardzo odważnie jak na pulchnego mężczyznę. - I dowiemy się, kto zhakował te roboty.

- Tushar - wyszeptała matka głosem ciepłym jak para, lecz ojciec już miarowo wypelzał spod biurka i kierował się ku palmerowi, leżącemu na składanym krześle obok zapinanych na suwak drzwi. - To tylko...

Wtem deszcz ustał. Znienacka. Jakby ogrodnik zakręcił wąż. Koniec. Krople skapywały z łączenia dachu i okien, które nigdy nie były szczelne. Przez plastikowe szybki wpadło słońce. Pojawiła się tęcza. Było pięknie, lecz ojciec został uwięziony pośrodku namiotu, otoczony czujnymi robotami-zabójcami na zewnątrz. Wymamrotał nawiązujące do odchodów przekleństwo i ostrożnie, powoli wycofał się tyłem, dupą szeroką jak u słonia, po zasłanej odłamkami podłodze. Teraz on poczuł przez biurko drgania tłumionego śmiechu.

- A. Teraz. Z. Czego. Się. Śmiejesz?

- Bo ty nie znasz tej rzeki - szepnęła matka. - Ganga Devi nas jeszcze uratuje.

Noc nadciągnęła nad brzegi świętej rzeki szybko jak zawsze, a ten sam znudzony księżyc, który teraz przyświeca mojej opowieści, uniósł się za porysowane pleksiglasowe prostokąty okien. Ojciec i matka dalej klęczeli, obolałe ramiona, zdruzgotane kolana, jedno przy drugim pod biurkiem.

- Czujesz coś? - zapytał ojciec.

- Tak - wysyczała matka.

- Co to?

- Woda - odpowiedziała i ojciec ujrzał w groźnym świetle księżyca jej uśmiech.

A potem usłyszał to: syczący, siorbiący odgłos, jaki wydaje piasek wchłaniający wodę. Ale piaskowego pragnienia było za mało, wody było za dużo, za szybko - piasek już tonął. Ojciec najpierw wyczuł węchem, a dopiero potem zobaczył język wody, obrzeżony piaskiem, słomą i śmieciami pozbieranymi z lachy, na której stał obóz. Wpełził pod brzeg namiotu, popłynął wzdłuż podłogi pod jego kostki. Pachniał uwolnioną glebą. Odwiecznym zapachem monsunu, kiedy wszystko co suche nabiera uwolnionego przez deszcz swego aromatu,

smaku i koloru; zapachem wody, który jest zapachem wszystkiego, co przez wodę wyzwolone. Język wody zmienił się w warstewkę; woda opływała ich palce i kolana, otaczała nogi biurka, jakby były filarami mostu. Dadadzi znów poczuł, że matka trzęsie się ze śmiechu, wtem powódź oderwała jedną ścianę namiotu i raptownie zalała go ścianą wody, tak, że pluł, dławił się, ale tłumiał kaszel z obawy przed zdradzieckimi mechami. Potem zrozumiał, z czego śmieje się matka, i też się roześmiał, głośno, mocno, wykasłując z płuc porcję Gangesu.

- No, dawaj! - krzyknął, przewrócił biurko i wskoczył na nie, rzucił się na blat jak na deskę surfingową, chwytając obiema rękami za nogi.

Matka zanurkowała i też je chwyciła, w ostatniej chwili: kolejna ściana namiotu ustąpiła pod naporem fali i biurko z rozbitkami uniosło się na wodzie.

- Machaj nogami! - wrzasnął, sterując biurkiem ku zapadającym się drzwiom. - Jeśli miłe ci życie i Matka India, machaj nogami!

I wypłynęli w księżycową noc. Wartownik rozłożył mordercze klingi, ostrze za ostrzem za ostrzem, rzucił się za nimi, fala powodziowa przewróciła go, skotłowała, poniosła. I tyle go widzieli - pancerz na wpół zakopany w piasku, wokół spieniona, kremowa woda. Odpychali nogami szczątki obozu, meble, racje żywnościowe, apteczki, sprzęt, popalone zwarciami truchła mechów oraz unoszące się na wodzie, wirujące, opuchnięte trupy żołnierzy i sanitariuszy. Wiosłowali nogami przez to wszystko, płynąc na narowistym biurku, aż dowiosłowali, na wpół utopieni, rozdygotani, na głęboką, zieloną wodę Gangesu; pod pucołowatą pełnią księżyca wiosłowali nogami przez srebrny korytarz rzeki. W południe następnego dnia, daleko, daleko od plaży w Chattigarh znalazł ich indyjski pontonowy patrol i wciągnął do łodzi; odwodnionych, z obłazącą skórą, nieprzytomnych od słońca. W którymś momencie tej długiej, długiej nocy, albo pod biurkiem, albo żeglując na nim, zakochali się w sobie. Matka zawsze powtarzała, że to najbardziej romantyczna rzecz, jaka się jej przytrafiła. Ganga Devi podniosła się i zanosła ich w bezpieczne miejsce na cudownej tratwie, pomiędzy morderczymi machinami. Przynajmniej tak mówiła nasza rodzinna mitologia.

OTO WCIELA SIĘ BÓG, A POTEM JA

Rodzice zakochali się w sobie w jednym państwie, w Indiach, a ślub wzięli już w innym. Awadh przywoływał ducha przedwiecznego Oudh, ale sam był także duchem niemal całkiem

zapomnianego Brytyjskiego Radżu. Delhi nie było już stolicą ogromnego państwa, lecz geograficznego chaosu. Jedne Indie stały się wieloma Indiami, nasza bogini matka wcieliła się w tuzin awatarów, od ponownie zjednoczonego Bengalu po Radżastan, od Kaszmiru po Tamil Nadu. Jakże mogliśmy do tego dopuścić, jakby z niedbalstwa, jakbyśmy potknęli się na drodze do supermocarstwa, a potem pozbiali z powrotem i szli dalej? Żenujące to było - jakby znaleźć pornografię na komputerze ukochanego wujka. Odwracasz wzrok, wypierasz to, nigdy o tym nie mówisz. Dokładnie tak samo nigdy nie mówiło się o sejsmicznych wstrząsach przemocy, które rozdarły nasze gęste, warstwowe społeczeństwo: masowe rzezie naszej niepodległości, przynoszące bolesny rozbiór, nieustająco wiszącą groźbę wojny religijnej - tę ponurą groźbę przemocy wpisaną w samo serce naszego systemu kastowego. Bardzo to było nie po hindusku. Cóż to jest kilkaset tysięcy ofiar przy tylu milionach? Zapomniane może nie zostaną, ale za parę lat nikt nie będzie zwracał na nie uwagi. A mecze krykieta z pewnością stały się o wiele ciekawsze.

Nowe Indie bardzo matce i ojcu przypasowały. Byli modelowymi młodymi Awadhczykami. Ojciec, raz osaczony przez sztuczną inteligencję, przysiągł, że nigdy więcej do tego nie dopuści, i założył jedną z pierwszych farm hodujących niskopoziomowe *aeai* do prostych zastosowań, dla Air Awadh, Delhi Banku i Urzędu Skarbowego. Matka najpierw zajęła się chirurgią plastyczną, a potem, po sprytniej inwestycji w enklawę mieszkalną dla menedżerów rodzącej się kasty awadhskich państwowych urzędników, porzuciła mikromanipulatory na rzecz portfela nieruchomości. We dwoje zarabiali tyle pieniędzy, że ich twarze nie znikwały z okładki magazynu „Delhi Gloss”. Cudowna para, która pożegłowała przez wojenną powódź ku świetlanej przyszłości - dziennikarze przychodzący do ich penthouse’a pytali jednak: „Więc gdzie jest cudowny syn?”.

Shiv Nariman pojawił się na scenie 27 września 2025 roku. Śiwa, najstarszy bóg tego świata; Śiwa, pierwszy i najukochańszy; Śiwa, z którego zbitych włosów popłynęła święta Ganga, siła sprawcza, siewca pomyślności i król paradoksu. Magazyn „Gupshup” wziął prawa do zdjęć za pięćset tysięcy awadhskich rupii. Pokoik złotego dziecka wystąpił w wieczornym programie *Nationwide* i wyznaczył wnętrzką modę na cały sezon. Wszyscy bardzo się interesowali tym pierwszym pokoleniem nowego kraju: awadhskimi bhai, jak ich nazwały plotkarskie serwisy. W istocie, stali się synami nie tylko nielicznej garstki prominentnej klasy średniej - usynowił ich cały Awadh. Kraj przytulił ich do swego serca i karmił własną piersią, tych inteligentnych, ruchliwych, wspaniałych chłopców, którzy wyrosną na nowej ziemi i poprowadzą ją ku wielkości. Nigdy się jednak nie wspominało, nikt nawet o tym nie myślał, ile żeńskich płodów zostało wyłyceczkowanych, wypłukanych czy

wyrzuconych, niezagnieżdżonych, do śmietnika z medycznymi odpadami? Byliśmy nowym krajem, przed nami stało wielkie zadanie budowy państwa. Mogliśmy przeoczyć kryzys demograficzny, od wielu lat deformujący naszą klasę średnią. Co z tego, że było cztery razy więcej chłopców niż dziewczynek? To przecież dumni synowie Awadhu. A ta reszta to tylko kobiety.

Tak łatwo mówi mi się „my”, tak łatwo już się obsadziłem w roli impresaria i narratora, lecz tak naprawdę jeszcze nie istniałem, nie istniałem wtedy, nawet pomysł na mnie nie istniał, dopóki w klubie dla bhai nie odezwało się niemowlę. Nigdy nie był to oficjalny, zorganizowany klub; błogosławione matki, hołubione przez państwo, połączyła po prostu spontaniczna potrzeba radzenia sobie z mediami wściubiającymi nos w każdy zakamarek ich życia. Doskonałość potrzebuje grupy wsparcia. Zaczęły się zaprzyjaźniać, zapraszać do swoich salonów i penthouse'ów, a razem z nimi ich matki i aje. Grupa dla złotych matek i ich złotych dzieci. W dniu, gdy przemówiło niemowlę, matka spotykała się z Ushą, Kiran i Devi. To dziecko Devi się odezwało. Gadało się o wyczerpaniu, o olejku do zmiękczenia sutków i o alergii na orzeszki, gdy Vin Johar, bujający się w kołysce, otworzył oczy, skupił wzrok na drugiej stronie salonu i wyraźnie powiedział:

- Głodny, chce butelkę.
- Głodne, tak, moje co ćuit? - powiedziała Devi.
- Daj - odparł Vin Johar. - Proszę.

Devi klasnęła w dłonie.

- Proszę! „Proszę” jeszcze nie mówił.

Reszta penthouse'u dalej wytrzeszczała w oszołomieniu oczy.

- Dawno mówi? - zapytała w końcu Usha.
- A, gdzieś od trzech dni. Podłapuje wszystko, co się powie.
- Daj butelkę. Teraz - zażądał Vin Johar. - Szybko.
- Ale on ma tylko... - zaczęła Kiran.

Matki matek i aje zaczęły dyskretnie wykonywać rękoma gesty na odpędzenie złego uroku. Pierwsza zrozumiała moja matka, bujająca na kolanie tłustego, zadowolonego Shiva.

- To on jest, ty masz, no...
- Bramina. Tak.
- Ale ty jesteś śudrą - zdziwiła się Kiran.
- Bramin - powiedziała Devi z takim naciskiem, że nikt nie przeoczył wielkiej litery. -

Zamówiliśmy go sobie. Tak.

- Zamówiliśmy? - zapytała Usha i w końcu zrozumiała. - O! Och!

- Będzie wysoki, silny i przystojny, tego przecież nie musieliśmy zamawiać, będzie wysportowany i zdrowy. Bardzo zdrowy, nigdy nie dostanie chorób serca, Alzheimera, Huntingtona, ze swoją odpornością będzie miał gdzieś prawie wszystkie wirusy i infekcje. Jego system immunologiczny da sobie radę nawet z malarią! Pomyślcie tylko! A inteligencja... powiem tylko, że doktor Rao powiedział, że nie dysponujemy wystarczająco mądrymi tekstami, które sprawiłyby mu trudność. Wystarczy, że coś raz zobaczy i będzie to pamiętał. Pstryk i już! A pamięć... no, doktor Rao mówi, że ma dwa razy tyle połączeń w mózgu, czy coś takiego, to znaczy, że będzie mieć niesamowitą pamięć. Coś jak Pan Pamięć z naszego *Mam talent*, tylko lepiej. Niczego nie zapomni. Nie zapomni niczyich urodzin, nie zapomni zadzwonić do mamusi, kiedy będzie gdzieś w świecie z jakąś wielką korporacją. Popatrzcie tylko na niego, czyż to nie najślicznieszta istota na świecie, te wielkie czarne oczy. Widzisz ich, skarbeńku, widzisz swoich kolegów? Każdy z nich to król, każdy co do jednego, ale ty jesteś bogiem. Och, chyba ugryzę cię w tyłeczek, tak, ugryzę, taki jest śliczny, pulchniutki i wspaniały. - I Devi uniosła Vina Johara wysoko, jak puchar po meczu krykieta. Ucałowała go w goły brzusek, na którym podjechała mu do góry koszulka. - Mój mały bożek.

Wtem Shiv rozplakał się przeciągle. Przez cały pean na cześć genetycznie zmodyfikowanego synka Devi matka powoli zaciskała z zawiści dłonie na swoim złotym Shivie, odtąd beznadziejnie przestarzałym, aż rozkrzyczał się z bólu. Na zebrach zostały mu siniaki w kształcie fioletowych marchewek.

Shiv patrzył w górę na mobil obracający się w strumieniu z klimatyzacji nad łóżeczkiem, niewinny i nieświadomy, że jego wzrok jest właśnie stymulowany przez chytrze pomyslane plamki i chmurki. Matka na przemian wściekała się i miotała po oświetlonym pastelowo mieszkaniu, dopóki Dadadzi nie wrócił z pracy. Po urodzeniu Shiva miał coraz więcej obowiązków i siedział tam coraz dłużej. Zresztą, właściwie nigdy nie był zbyt dobrym ojcem. W krykieta był beznadziejny.

- Co robisz w piątek? - zapytała Mamadzi.

- Eee, no nie wiem, mam różne sprawy w pracy...

- To odwołaj.

- Co takiego? - Maniery nigdy nie były jego dobrą stroną, ale przecież był Top Geekiem.

- Idziemy do doktora Rao.

- Do kogo?

- Doktora Rao. W klinice Swaminathan.

Tę nazwę znał. Znał klinikę. Znało ją całe Delhi, nawet komputerowcy, wszyscy wiedzieli o dziwnych i cudownych dzieciach, które stamtąd wychodziły. Po prostu potrzebował chwili, żeby jaja mu odmarzły i wysunęły się z ciepłego zakamarka w kroczu, gdzie schowały się z przerażenia.

- W piątek, jedenasta trzydzieści, spotkanie z samym doktorem Rao. Będziemy mieli dziecko.

Ale to się nie stało w ten piątek o jedenastej trzydzieści ani w następny. Dopiero po sześciu następnych piątkach, po pierwszej poradzie, weryfikacji finansowej, badaniach medycznych i spotkaniach w cztery oczy, najpierw z Mamadzi, a potem z Dadadzi, dostali możliwość wybierania z menu. Bo to było menu, jak w najbardziej wyrafinowanej restauracji, jaką można sobie wyobrazić. Rodzice zamrugali. Inteligencja - tak, uroda - tak, poprawiona koncentracja - tak, powiększona pamięć i lepsze przypominanie - tak, zdrowie, bogactwo, siła, szczęście, wszystko, co miał Vin Johar. I parę cech więcej.

- Zwiększona długowieczność?

- A, no tak, to nowa opcja. Nowa technika, dopiero została dopuszczona.

- Czy to znaczy...?

- Dokładnie to, co napisane.

Rodzice znów zamrugali.

- Wasz syn... - (bo to mnie tu konstruowali) - będzie cieszyć się znacznie dłuższym życiem w pełni sił i zdrowia.

- O ile dłuższym?

- Dwukrotność obecnej średniej. Czyli ile? Niech pomyślę, dla takich ludzi jak my, zamożnych, wykształconych, z klasy średniej, z dostępem do dobrej służby zdrowia, to jest obecnie osiemdziesiąt lat. Czyli dwa razy tyle.

Zamrugali po raz trzeci.

- Sto sześćdziesiąt lat.

- Co najmniej, bo musicie pamiętać, że w medycynie cuda zdarzają się teraz codziennie. Każdego dnia. Nie ma powodu sądzić, że wasz syn...

- Wisznu.

Ojciec wytrzeszczył oczy na matkę. Nie wiedział, że już mam imię. Nie zdawał sobie sprawy, że nie będzie miał w tym temacie nic do powiedzenia. Natomiast jego jaja to zrozumiały i skurczyły się w swoich luźnych, przewiewnych, korzystnych dla produkcji nasienia bokserkach.

- Wisznu, pan, władca i żywiciel. - Doktor Rao pochylił z szacunkiem głowę.

Staroświecki był z niego człowiek. - Wiecie państwo, często się zastanawiałem, jakie odzwierciedlenie we wcieleniach boga Wisznu znajdują poczęcie, ciąża i narodziny: ryba, czyli niestrudzony plemnik, żółw Kurma - jajo, uratowanie Ziemi z głębiny oceanu przez Warahe - zapłodnienie...

- A co z tą karłowatością? - zapytał ojciec. - To będzie mały Bramin?

- Ach, karłowatość, taaak - odparł doktor Rao. Mówił wolno i wydawało się, że gubi się w końcówkach zdań. Wskutek tego wielu ludzi popełniało błąd i miało go za głupiego, a on tymczasem po prostu formułował idealny wniosek. Dlatego też nieczęsto występował w telewizyjnych czy sieciowych wywiadach. - Karzeł, no tak, to jest pewien problem, prawda? Ale wasz syn z pewnością będzie prawdziwym Braminem. I Kalki, tak, Kalki. Ten, który kończy Erę Kali. Czy ktoś zaprzeczy, że może uda mu się zobaczyć koniec tego świata, w ogniu i wodzie, oraz narodziny nowego? Ta długowieczność. Dobra rzecz, ale wiąże się z nią parę drobnych niedogodności.

- Nieważne. Bierzemy. Johar tego nie ma.

Posłano więc mojego ojca z plastikowym kubeczkim na połów jego świętych rybek. Matka poszła razem z nim, dlatego żeby było to aktem miłości, ale także dlatego że nie chciała zostawiać go sam na sam z zachodnią pornografią. Parę piątków później doktor Rao długą igłą pobrał matce parę jaj. Do tego ojciec nie był potrzebny. To był akt biologii. Lekarz o powolnej mowie zrobił co trzeba i przywołał z czeluści oceanu swoich sztucznych łon osiem blastul. Wybrano jedną - Ja! Ja! Mały ja! Tu jestem! Patrzcie! Spójrzcie na mnie! - i wszczepiono do macicy matki. Dopiero wtedy odkryła ową niedogodność - dwukrotnie dłuższe życie było okupione dwukrotnie wolniejszym wzrostem niż u zwykłych, niebramińskich ludzi. Po osiemnastu miesiącach ciąży, osiemnastu miesiącach porannych mdłości, wzdęć, problemów z krążeniem, żyłaków, nietrzymania moczu, bólów kręgosłupa, oraz, co najgorsze ze wszystkiego, zakazu palenia, matka, z gromkim krzykiem: „No wreszcie, wyciągnijcie ze mnie tego skurwiela!”, urodziła mnie 27 września 2027 roku i rozpocząłem swoją rolę w tej historii.

BRAT MNIE NIENAWIDZI

W jakimże świecie się urodziłem. W jakich czasach: w epoce światła i świetności. Przeświecne Indie odnalazły się na nowo w Przeświecnym Awadhu, Przeświecnym Bharacie,

Prześwietnej Maracie, Prześwietnym Bengal - wszystko to były prześwielne aspekty naszych licznych ludów. Okropności schizmy zostawiliśmy za sobą, jeśli nie liczyć zebrzących na stacjach metra inwalidów wojennych, gangów niezsocjalizowanych nastoletnich i żołnierzy, sporadycznych wybuchów powodowanych przez hibernujące gdzieś głęboko w miejskich sieciach bojowe oprogramowanie oraz Wielce Przejętych Dokumentalistów, sądzących, że nie dość jeszcze oplakaliśmy własne samookaleczenie i niewystarczająco się pojednaliśmy. Pojednanie? Delhi nie miało czasu na takie zachodnie grzeczności. Niech umarli palą umarłych, tu jest kasa do zarobienia i przyjemności do przeżycia. Nasze nowe bulwary i place, centra handlowe i rozrywkowe aż skrzyły się od pięknych, młodych i optymistycznych ludzi. Był to czas odważnej nowej mody, oburzających ojców długości spódnic i martwiących matki fryzur; nowych trendów i obsesji, które stawały się stare i zdechłe, gdy tylko trafiły do plotkarskich serwisów; dziesięciu tysięcy wybuchowych nowych idei, które zniknęły jak kwantowa myślowa piana, gdy tylko powtórzono je odpowiednio wiele razy. Liczyły się młodość, pewność siebie, realizacja wszystkiego, czym mogła się stać Matka India, ale przede wszystkim liczyły się pieniądze. W Delhi, jak i w Varanasi, Kolkacie, Mumbai, Chennai i Jaipurze. Myślę jednak, że w Delhi najbardziej. Za Indii stało się stolicą z kaprysu, nie z przyrodzonego prawa. Zawsze przyćmiewały je Mumbai, czy nawet Kolkata. A teraz było naprawdę stolicą własnego państwa, nie miało konkurencji i wręcz oszałamiało. Moje najwcześniejsze spojrzenie, z czasów, gdy moje zmysły działały wszystkie razem i dźwięki pachniały, a barwy miały fakturę, tworząc ponad tymi prymitywnymi podziałami zintegrowaną rzeczywistość, dotyczyło świetlnych linii krzyżujących się nad moją skierowaną ku górze twarzą, wszystkie kolory tęczy i więcej światła, które w oczach niewykształconej kory mózgowej brzęczało i dzwoniło jak czułe struny sitaru. Chyba byłem wtedy w aucie, a nasz szofer wiozł nas gdzieś przez oświetlone centrum, na jakieś przyjęcie czy coś w tym stylu, pamiętam jednak tylko, jak uśmiechałem się od ucha do ucha do rozśpiewanych strumyczków światła. Nawet teraz, kiedy myślę o Delhi, myślę o nim jako o rzece światła, wezbranej fali srebrzystych nut.

Bo co też to było za miasto! Poza Starym Delhi i Nowym Delhi, poza Jeszcze Nowszym Delhi Gurgaonu i wziętymi nowymi przedmieściami Sarita Virar i New Friends Colony, rosły Delhi Najnowsze Ze Wszystkich. Delhi Niewidzialne, Delhi złożone z danych, cyfr i oprogramowania. Delhi rozproszone, Delhi usieciowione, utkane z kabli i sieci bezprzewodowych, niematerialne Delhi przeplecione z ulicami i budynkami materialnego miasta. Zaludniały je dziwne nowe ludy: wygenerowana komputerowo obsada *Miasta i wsi*, podbijającej cały świat telenoweli, która przy swojej całkowitej sztuczności okazała się

bardziej realna niż samo życie. Fascynowały nas w niej nie tylko postacie; geniusz *Miasta i wsi* polegał na stworzeniu komputerowych aktorów, wierzących, że grają i są odrębnymi istotami od owych postaci - dotyczące ich plotki i skandale, romanse i śluby znaczyły dla nas więcej niż zdarzenia u znajomych i sąsiadów. Obok nas i na wskroś nas ulicami wędrowały i inne wspaniałe istoty - *aeai* - panteon sztucznych inteligencji służących naszym intelektualnym potrzebom, od bankowości, przez doradztwo prawne, zarządzanie gospodarstwem domowym aż po osobiste usługi asystenckie. Były wszędzie i nigdzie, miały swoje poziomy i hierarchie - wysokopoziomowe *aeai* schodziły kaskadami podprogramów coraz niżej, po niskopoziomowe systemy monitorujące i procesory; tysiące prozaicznych *aeai* poziomu 0,8 (czyli o inteligencji ulicznej świni) integrowały się i współpracowały, tworząc poziom 1 - o inteligencji małpy. Te znowuż agregowały się dalej i powstawał poziom 2, *aeai* przez siedemdziesiąt pięć procent czasu nieodróżnialne od człowieka. Powyżej był jeszcze mityczny, budzący lęk poziom 3: inteligencja ludzka i wyższa. Czy ktoś był w stanie zrozumieć takie istnienia, składające się z wielu części, często niewiedzących o sobie nawzajem? Dżinny, ci przedwieczni mieszkańcy swojego ukochanego Delhi, rozumiały; a także bogowie, jeszcze starsi od nich. Rozumieli aż za dobrze. A w fizycznym mieście pojawiły się także nowe kasty. Na ulicach, jakby spadła z nieba, zrodziła się nowa płeć, ani męska, ani żeńska, odrzucająca kompromisy dawnych hidźrów, ostentacyjnie niebędąca ani tym, ani tamtym. Neutki, tak o sobie mówili. No i oczywiście były jeszcze stworzenia takie jak ja: poprawione na etapie jaja i plemnika, posiadające niezliczone dary i dźwigające dyskretne klątwy: Bramini. Tak, byłem bachorem z wyższej klasy średniej, z wrodzoną, genetyczną uprzywilejowaną pozycją w świecie, a Delhi leżało przede mną jak stół zastawiony do weselnego przyjęcia. To było moje miasto.

I Delhi mnie kochało. Uwielbiało mnie oraz wszystkich moich bramińskich braci i sporadyczne siostry. Byliśmy cudami, dziwadłami i awatarami. Mogliśmy wszystko, stanowiliśmy potencjał państwa Awadh. Pierwsze pokolenie awadhskich bhai było dziećmi przypadku, a my, Bramini, byliśmy prawdziwymi awadhskimi bhai. Powstał o nas nawet komiks, właśnie pod takim tytułem. Nasze genetyczne moce walczyły z przestępcami, demonami i Bharatczykami. Byliśmy superbohaterami. Nawet nieźle się ten komiks sprzedawał.

Możecie pomyśleć sobie, że żyłem bardzo beztrosko, wypasiony genetycznie klusek bujający się w kołysce i mrugający do promieni słońca wpadających przez szklane ściany naszego penthouse'a na szczycie wieżowca. Ale pomyliliście się. Gdy tak leżałem, gaworząc i mrugając, w moim rdzeniu przedłużonym, mózdzku i ośrodku Broki wyrastały z

nadnaturalną szybkością neuronowe ścieżki. To rozmyte światło, ta strużka srebrzystych nut szybko się wyostrzała, ukazując przedmioty, dźwięki, zapachy, odczucia. Widziałem, słyszałem i czułem, choć jeszcze nie rozumiałem. Więc tworzyłem skojarzenia, wyprowadzałem prawidłowości, postrzegałem świat wlewający się we mnie przez zmysły i wędrujący w górę mojego neuronowego drzewa jako związki, sieci, grafy i konstelacje. Stworzyłem całą prywatną astrologię, a na jej podstawie, zanim jeszcze umiałem nazwać psa „psem”, kota „kotem”, a Mamadzi „Mamadzi”, zrozumiałem, jak są połączone rzeczy. Zobaczyłem całą perspektywę, najogólniejszą perspektywę. I to była moja zasadnicza supermoc, którą zresztą mam do dzisiaj. Nie potrafiłem siłą myśli przelecieć na Lanę, ani unieść góry siłą woli, nie byłem władcą ognia, gromu, czy choćby własnej duszy, ale zawsze potrafiłem raz spojrzeć i wiedzieć wszystko, absolutnie i w stu procentach.

Rzucanie imionami. Wtedy dopiero Mamadzi zdała sobie sprawę, że błogosławieństwa doktora Rao nie są do końca jednoznaczne. Tamtego wieczoru impreza odbywała się u Devi Johar, matki zdumiewającego Vina. I był tam, ganiał po pokojach z ają, próbującą ubrać go w dziecinne ubranko z SonSuna z Los Angeles. Shiv bawił się w ogrodzie na dachu z innymi nie-Braminami, szczęśliwy i zadowolony z własnych ograniczonych, nieulepszonych zabaw. Jakże szybko starła się z niego pozłotka, gdy się narodziłem! Natomiast ja siedziałem w swojej kołysce, gulgocąc i patrząc na wytrzeszczone matki złotych dzieci. Wiedziałem, że Shiv jest zazdrosny, choć nie miałem do tego słów ani emocjonalnego języka. Widziałem to w tysiącu spojrzeń, otwartych i ukradkowych, sposobie, w jaki siedział przy stole, w jaki jechał samochodem, w jaki dreptał obok aji Meenaksi, kiedy pchała mnie w wózek po centrum handlowym, w jaki stawał przy moim łóżeczku i patrzył na mnie. Nienawiść rozumiałem.

Vin zapytał Devi, czy może pójść do ogrodu i pobawić się z innymi dziećmi. Proszę.

- No dobrze, tylko się nie popisuj - powiedziała Devi Johar. A kiedy pobiegł, skromnie skrzyżowała nogi, położyła dłonie na kolanach, o tak.

- Mira, nie obraż się, proszę, ale Vish... on jeszcze nie mówi. W jego wieku Vin znał dwieście słów i poprawnie używał składni i gramatyki.

- No i... czy nie powinien już przynajmniej raczkować? - zapytała Usha.

- Ile on ma? Piętnaście miesięcy? Bardzo... drobny jest jak na ten wiek - przyłączyła się Kiran.

Mamadzi zalała się łzami. To był czas przeplakanych nocy, utulania do snu, kołysania, przewijania, popiskiwanie i porykiwanie, zmęczenia, oj tak, zmęczenia, ale najgorsze i tak było karmienie piersią.

- Piersią? Roczne dziecko? - nie dowierzała Usha. - To znaczy, słyszałam, że niektóre matki trzymają dzieci na cycku przez całe lata, ale to przeważnie na wsi, albo jak je za bardzo kochają.

- Sutki mam jak owoce morwy - jęczała Mamadzi. - Rozumiecie, on ma piętnaście miesięcy, ale biologicznie nie ma nawet ośmiu.

Miałem żyć dwa razy dłużej, ale starzeć się dwa razy wolniej. Niemowlęctwo było długim, przeciągającym się świtem; dzieciństwo - niekończącym się porankiem. Gdy Shiv poszedł do szkoły, ja ledwo stawałem na nogi. Wchodząc w wiek studencki, miałem fizjologię dziewięciolatka. Dorosłość, dojrzałość, starość były na wielkiej równinie mojego życia punktami tak odległymi, że nie było wiadomo, czy to muchy, czy miasta. Kiedyś miały przyjść wielkie dni, kiedy stanę na własne nogi i będę żyć tak długo, że stanę się częścią historii; jako niemowlę byłem koszmarem dla własnej matki.

- Wiadomo, nie ma jak pierś, ale może powinnaś przestawiać go na butelkę? - powiedziała uspokajająco Devi.

Widzicie, jak pamiętam to słowo w słowo? Kolejny niejednoznaczny dar doktora Rao. Zapominam tylko to, co postanowię usunąć z pamięci. Rozumiałem każde słowo - w wieku piętnastu miesięcy słownictwo miałem o wiele bogatsze niż twój złoty Vin, Devi, ty mendo. Ale było we mnie uwięzione. Mózg formułował słowa, ale krtań, język, wargi i płuca nie umiały ich wyartykułować. Byłem więźniem kołyski, uśmiechniętym i wymachującym tłustymi piąstkami.

Rozumiały mnie cztery istoty i tylko cztery. Mieszkały w wiszącym nad łódeczkiem plastikowym motylu o miękkich kształtach. Nazywały się TikkaTikka, Badshanti, Pooli i Nin. Były to *aeai*, stworzone, by mnie pilnować, zabawiać piosenkami, bajkami i ładnymi wzorkami z kolorowych światełek, Mamadzi uznała bowiem, że bajeczki na dobranoc aji Meenakshi są zbyt przerażające dla wrażliwego Bramina. *Aeai* były jeszcze głupsze od moich rodziców, ale dzięki temu, że były tak tępe, w ich oprogramowaniu o poziomie 0,2 nie było żadnych założeń i mogłem się z nimi komunikować.

TikkaTikka śpiewała piosenki.

Zielona łódeczka

Na morza głębinie,

W środku mały Wisznu

Do snu sobie płynie...

Śpiewała tak co wieczór. Podobało mi się; dalej to sobie śpiewam, płynąc z kocim cyrkiem wzdłuż spustoszonych brzegów Gangesu.

Pooli udawał zwierzęta. Kiepsko. Był idiotą. Jego głupota mnie obrażała, więc przez cały czas miałem go wyciszonego.

Badshanti, urocza Badshanti, była od opowiadania. „Wisznu, chcesz usłyszeć historię?” - tak brzmiały słowa rozpoczynające godziny pełne zachwytów. Ponieważ nie zapominam, wiem, że nigdy się nie powtórzyła, jeśli jej nie poprosiłem. A jak prosiłem? Żeby to wyjaśnić, muszę powiedzieć o ostatniej *aeai* z czwórki.

Nin przemawiał tylko świetlnymi i barwnymi wzorami rzuconymi na moją twarz, kręcącym się w kółko kalejdoskopem mającym podobno stymulować moją inteligencję wzrokową. Niemy Nin był tym inteligentnym: ponieważ umiał interpretować wyraz twarzy, jego pierwszego nauczyłem swojego języka. Był bardzo prosty i opierał się na mruganiu. Jedno umyślne mrugnięcie - „tak”, dwa - „nie”. Było to bardzo wolne i męczące, ale pozwalało na ucieczkę z więzienia mojego ciała. Przy pomocy Nina odczytującego odpowiedzi na pytania Badshanti mogłem przekazać wszystko.

A jak mnie nienawidził mój brat? Pozwólcie, że zabiorę was do tamtego czasu w Kaszmirze. Po trzeciej suszy z rzędu matka przysięgła, że już nigdy nie będzie spędzać lata wśród delhijskiego upału, hałasu, smogu i zarazków. Miasto przypominało wtedy leżącego pod ścianą psa, dyszącego, zdziczałego, brudnego, czekającego na monsun i wypatrującego tylko pretekstu, żeby wbić w ciebie kły. Mamadzi poszła za przykładem Brytyjczyków sprzed stu lat i zabrała nas tam, gdzie było wyżej i chłodniej. Kaszmir! Zielony Kaszmir, błękitne jezioro, kolorowe łódki mieszkalne, a ponad tym wszystkim masyw gór. Wtedy jeszcze były na szczytach zwieńczone śniegiem. Pamiętam, jak mrugałem w zachwycie na jeziorze Dal, gdy szikara pędziła z nami po spokojnej wodzie, ku hotelowi wznoszącemu się prosto z wody, jak w baśniach Badshanti. Czwooro moich przyjaciół kołysało się na wietrze, a łódź zakreślała ku pomostowi, gdzie czekała już obsługa w czerwonych turbanach, żeby przenieść nas do chłodnego letniego apartamentu. Shiv stał na dziobie. Chciał im rzucić linę.

Ten spokój, przejrzystość, chłodek wysokiego Kaszmiru po duszącym upale Delhi! Kołysałem się, podskakiwałem i uśmiechałem od ucha do ucha w moim łódeczku, radośnie machałem rączkami w przyjemnym powietrzu. Wszystkie zmysły miałem stymulowane, wszystkie nerwy pobudzone. Wieczorem zaśpiewa mi TikkaTikka, Badshanti opowie bajkę, a Nin puści mi na twarz latające gwiazdki.

Mieliśmy popłynąć łódką na wyprawę na drugą stronę jeziora. Miało być jedzenie i picie. Wszyscy razem. I coś się zdarzyło, w jednej chwili. Cały czas to widzę - taki drobiazg,

niby przypadkowy. Ale to nie był przypadek. To było przemyślane, starannie zaplanowane.

- A gdzie miś Gundi? Zgubiłem misia! - krzyknął Shiv, gdy ojciec już miał wsiadać do łódki. - Chcę misia Gundi. - Ruszył po trapie na brzeg. Dadadźi go zgarnął.

- O nie, nie; w tym tempie to nigdy się nie wybierzemy. Zostajesz tutaj i nigdzie się nie ruszasz. Gdzie go ostatni raz widziałeś?

Shiv wzruszył ramionami, niewinnie. Nie pamięta.

- No dobra, pójdę z tobą, sam w życiu niczego nie znajdziesz, latasz tylko bez ładu i składu. - Matka westchnęła w rozdrażnieniu. - Shiv, ty zostajesz tutaj, słyszysz? Niczego nie dotykaj. Zaraz będziemy.

Poczułem nad sobą ciemniejszy cień w łagodnym cieniu płóciennego daszka. Stał nade mną Shiv. Nawet gdybym zechciał, nie potrafię zapomnieć wyrazu jego twarzy. Wbiegł po trapie, odwiązał cumę i pozwolił jej opaść do wody Zamachał palcami, pa, pa, a wiatr złapał zakrzywioną, barwną płachtę bawełny i poniósł mnie na jezioro. Mała, wątła szikara odpłynęła daleko od wyspy Lake Hotel, a fale były coraz większe. Łódka zaczęła podskakiwać. Rozplakałem się.

Nin zobaczył, że zmienia mi się mina. TikkaTikka obudziła się w małym plastikowym motylku, zawieszonym przez rodziców na bambusowej tyczce. Zaśpiewała:

Na wielkim jeziorze, głębokim jeziorze,

Mały panicz Wisznu zasypia, nieboże.

Wieje już wiaterek i świeci słoneczko,

Do sennej krainy poniosą łódeczkę.

- Dzień dobry, Wisznu - powiedziała Badshanti. - Chcesz teraz bajkę?

Dwa mrugnięcia.

- Nie będzie bajki? No dobrze, to po prostu śpij. Spij dobrze, Wisznu.

Dwa mrugnięcia.

- Nie chcesz bajki, ale nie chcesz spać?

Jedno mrugnięcie.

- No dobrze, to zagrajmy w taką grę.

Dwa mrugnięcia.

Badshanti zastanawiała się tak długo, że miałem wrażenie, że się zawiesiła. Była to dość prymitywna *aeai*.

- Nie chcesz gry ani bajki, ani spać?

Zamrugalem. Nie powinna o to pytać.

- No to co byś chciał? - I wtedy TikkaTikka zaśpiewała dziwną piosenkę, której nigdy dotąd nie słyszałem:

*Wiatr i wodne fale,
Burza, co nadchodzi,
Niosą pana Wisznu
W zgubę w jego łodzi.*

Tak. Szikara znalazła się daleko od brzegu, bokiem do wiatru i chwiała się na falach. Jeden podmuch mógłby ją wywrócić i posłać mnie na dno jeziora Dal. We własnym komiksie mogłem sobie być superbohaterem, ale doktor Rao zapomniał obdarzyć mnie genami pozwalającymi oddychać pod wodą.

- Jesteśmy na łódce i płyniemy daleko? - zapytała Badshanti.

Tak.

- Jesteśmy na wodzie?

Tak.

- Jesteśmy sami?

Tak.

- Wisznu jest zadowolony?

Nie.

- Wisznu się boi?

Tak.

- Wisznu jest bezpieczny?

Dwa mrugnięcia. Badshanti znów się zawahała. Potem zaczęła krzyczeć:

- Pomocy! Ratunku! Panicz Wisznu w niebezpieczeństwie! Pomocy! Ratunku!

Głosik miała cieniutki i blaszany, na wietrznym jeziorze nie usłyszałby go nikt, ale któraś z niemówiących *aeai*, może głupi Pooli, musiała wysłać wezwanie także przez radio, Bluetooth i podać pozycję GPS, bo jedna z rybackich łodzi nagle zmieniła kurs, dała podłużny silnik na pełen gaz i popędziła ku mnie spienionym łukiem.

- Dziękuję, dziękuję, panowie wybawcy - paplała Badshanti, gdy dwóch rybaków sękatymi dłońmi przyciągało szikarę do siebie.

Oszupieli, widząc w środku uśmiechające się do nich niemowlę na materacyku.

MAPA POD CZASZKĄ

Przez całe długie życie pisany był mi związek z wodą. Rodziców połączyła powódź, *aai* uratowały mnie z dryfującej łodzi. Nawet teraz pływam po wyschniętych resztkach Gangi, która wypłynęła z włosa Śiwy. To woda uczyniła mnie awadzkim superbohaterem, chociaż nie takim, który skacze po wysokich budynkach - całkiem odmiennym od Awadh Bhai, którzy nie chcieli dorosnąć na stronicach komiksów Virginia.

Po tym, jak niespełna czteroletni Shiv próbował narazić mnie na szwank w łódce, awanturom oczywiście nie było końca. On nawet nie próbował zaprzeczać. Znosił wszystko ze stoickim spokojem. Najgorsze były terapeutyczne gadki ojca. Prawie mi go było szkoda. Dobrze, że chociaż matka była wściekła, potwornie, płomiennie wściekła. Nie próbowała owijać tego w teksty typu „wyobrażam sobie, jak się czujesz”, „co wtedy czułeś” albo „spróbujmy porozmawiać o tym po męsku”. To wszystko nie skończyło się, kiedy przyszedł spóźniony, skąpy monsun i wróciliśmy do Delhi, śliskiego i tłustego od deszczu, z tym wspaniałym, bogatym aromatem mokrego kurzu, perfumującym powietrze lepiej niż jakiegokolwiek kadzidło. Cztery dni później monsun się skończył i Delhi zaczęło się bać. Dzięki temu rodzicom udało się nie przepuścić całego zajścia do gazet. PIĘTNAŚCIE MILIONÓW SPRAGNIONYCH - taki tytuł przemawia trochę bardziej niż CZTEROLATEK USIŁUJE UTOPIĆ BRATA-BRAMINA. Po prostu.

Były oczywiście terapie, długie, kosztowne i przyniosły tylko tyle, że na koniec psycholog dziecięcy powiedział:

- To jest prawdopodobnie najbardziej nieuleczalny przypadek konkurencji między rodzeństwem, jaki widziałem. Wasz starszy syn ma ogromne poczucie, że wszystko mu się należy, i czuje się głęboko urażony postrzeganą utratą statusu i uczucia rodziców. Nie czuje skruchy i obawiam się, że może podjąć kolejną próbę zaszkodzenia Wisznu.

Rodzice wysłuchali tych słów i wymyślili własne rozwiązanie. Shiv i ja nie możemy mieszkać razem, więc zamieszkamy oddzielnie. Ojciec kupił mieszkanie po drugiej stronie miasta. Shiv przeniósł się tam z nim. Ja zostałem z Mamadzi i kimś jeszcze. Zanim bowiem się rozstali, pulchny Tushar pokochał się z matką na pożegnanie, bez planowania, wybierania płci czy regulacji genetycznej. I tak oto urodziła się Sarasvati, ostatnie z trzech bóstw - moja siostra.

Dorastaliśmy razem. Leżeliśmy w łóżeczkach obok siebie, patrząc nie na stymulujące i edukacyjne zabawki, lecz na siebie nawzajem. Przez pewien błogi czas rozwijała się

równolegle ze mną. Razem uczyliśmy się chodzić, mówić i panować nad wypróżnianiem. Kiedy byliśmy sami, mamrotałem do niej znane mi słowa, słowa, które wyrastały i trajkotały mi pod czaszką przez tyle czasu, a teraz wreszcie się uwolniły, jakby ktoś otworzył ciemny i zatechły gołębnik na jakimś delhijskim dachu. A potem, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, Sarasvati mnie przerosła. Stała się większa, lepiej skoordynowana, bardziej rozwinięta fizycznie, język przestał zawodzić ją na paru prostych słowach, podczas gdy wewnątrz mnie tłukły się niewyartykułowane wiersze i wedy. Awansowała z bliźniaczki na starszą siostrę. Była dzieckiem-niespodzianką, rozkosznie wolnym od oczekiwań, więc nie mogła nikogo rozczarować. Kochałem ją. Ona mnie też. W te rozgaworzone wieczory wypełnione zachodami słońca i chłodkiem klimatyzacji znaleźliśmy wspólny język i bliskość zrodzoną ze wspólnej zabawy, której nie były świadome ani nasze rozliczne i pogardzane aje, ani nawet matka.

Po drugiej stronie miasta, we własnym szklanym apartamencie na ostatnim piętrze wieżowca, wypełnionym oszałamiającymi, wyhodowanymi na zanieczyszczeniach zachodami słońca, oddzielnie dorastał Shiv. Miał pięć i pół roku, był najlepszy wśród rówieśników, pisana mu była wielkość. Skąd wiem? Raz w tygodniu ojciec przychodził odwiedzić drugiego syna i córkę oraz spędzić wykradziony wieczór z ukochaną. Ja dawno zastąpiłem TikkęTikkę, Pooliego, Nina i Badshanti potężniejszymi (i dyskretniejszymi) asystenckimi *aeai* - gdy tylko mój język nauczył się składać słowa, odkryłem, że mogę je przeprogramowywać jak chcę. Rozsyłałem je po mieszkaniu jak dzinny. Nie było słowa, nie było spojrzenia, o którym bym nie wiedział. Czasem spojrzenia stawały się przeciągłe, a szepty ustawały: wtedy rodzice się kochali. To też widziałem. Nie wydawało mi się to niczym złym ani niewłaściwym; świetnie wiedziałem, co robią, i choć im sprawiało to wielką przyjemność, sam nie sądziłem, że będę to kiedykolwiek chciał robić.

Z perspektywy czasu i straty widzę te dni gaworzenia z Sarasvati jako Złoty Wiek, naszą Satja Jugę niewinności i prawdy. Mozolnie człapaliśmy ku światłu i znajdowaliśmy radość w każdym upadku, szturchańcu i uśmiechu. Nasz świat był kolorowy i pełen niespodzianek, ona cieszyła się odkryciami, a ja jej ewidentnym zachwytem. Potem rozdzieliła nas szkoła. Cóż za potworna i zbędna instytucja. Widzę w niej nieustającą zawiść rodziców, zazdroszczących dzieciom próżnowania. Oczywiście, panicz Wisznu nie mógł pójść do zwykłej szkoły. Braminiczny College doktora Renganathana stanowił akademię dla elity elit. Edukacja kameralna i szyta na miarę. W moim roczniku było nas ośmioro - wystarczyło, by wytworzyły się podziały. Nie wszyscy Bramini w college'u byli równi. Choć w tym samym wieku, podzieliliśmy się naturalnie, jak przez mejozę, na Braminów Starych i

Młodych. Albo, jeśli wolicie, Dużych i Małych. Tych, którzy cieszyli się wszelkimi darami zdrowia, inteligencji, urody i przywilejów, ale nadal mieli paść trupem w wieku, na jaki pozwalała aktualna technologia medyczna, i tych, którzy rośli dwa razy wolniej, ale mieli żyć dwa razy dłużej. Pierwsze myśli o śmierci w zerówce u panny Mukudan.

Och, panna Mukudan! Twoje złote bransoletki, uśmiechnięte oczy Kleopatry, miękka śniada skóra z samego Południa; prawie niewidoczny wąsik i zapach kamfory, kiedy się nachylałaś, żeby pomóc moim niezdarnym paluszkom przy guzikach lub rzepach w butach. Moja pierwsza, nieświadomiona miłość. Obiekt niewysłowionych uczuć każdego z nas. Kochaliśmy cię za wyniosły dystans, stanowczość, ledwo widoczną popędliwość oraz za przemiłą świadomość, że jesteśmy dla ciebie kolejnymi dzieciakami, które trzeba wyprowadzić ze ślepych i samolubnych małych barbarzyńców na kulturalnych młodych ludzi. Kochaliśmy cię, bo nie byłaś nadopiekuńczą, zapatrzoną w nas, podkładającą poduszki mamusią. Tobie się nie podskakiwało.

Klasa pełna Braminów - to było za dużo nawet dla groźnej panny Mukudan. W wieku czterech lat nasze przeprojektowane mózgi pchały nas w dziwne i samotne ścieżki, osobliwe sposoby patrzenia na świat, quasi-autystyczne obsesje, przerażające sawanckie przemyślenia, albo wręcz niezrozumiałość. Każdy dostał spersonalizowanego guwernera, pracującego nad nim dniem i nocą. Mój nazywał się pan Khan i mieszkał w uchu. Ratunek przyniosła nam nowa technologia. Nie trzeba już było ograniczać się ekranami, obrazkami w dłoni, albo urządzeniami piszącymi po siatkówce oka, misternie jak bazarowy fąkir wypisujący na ziarenku ryżu imiona turystów. Prosty plastikowy haczyk za uchem wysyłał ci cyberprzestrzeń prosto do głowy. Bezpośrednia elektromagnetyczna stymulacja ośrodków wzrokowych, słuchowych i węchowych zaludniła świat widmowymi wiadomościami i zestawieniami danych, clipami z *Miasta i wsi*, wiadomościami wideo, całymi alternatywnymi światami i awatarami, oraz, co nieuniknione, spamem i mejlowymi śmieciami. A mnie przyniosła skonfigurowanego na zamówienie nauczyciela, pana Khana.

Jakże go nienawidziłem! Był pod każdym względem przeciwieństwem panny Mukudan: drażliwy, wyniosły, burkliwy i nieustępliwy. Był małym, wrednym muzułmaninem, chudym jak szczapa, z siwymi wąsami, w czapeczce Nehru. Nieraz zdzierałem hoeka we frustracji, a gdy zakładałem go ponownie po upomnieniu panny Mukudan - bo dla niej zrobilibyśmy wszystko - on podejmował swoje kazanie od dokładnie tej sylaby, na której go uciszyłem.

- Patrz i słuchaj, ty tłusty, rozwydrzony, rozpuszczony gówniarzu, niegodny miana Bramina - mawiał. - Masz oczy, masz uszy, to zrób z nich użytek i się ucz. Na taki świat

przyszedłeś i nie ma innego. Taka nauka, jeśli wbijesz ją sobie do głowy, wystarczy za wszystkie inne.

Był stanowczym moralistą, bardzo sztywnym i islamskim. Zacząłem inaczej patrzeć na pannę Mukudan - zastanawiać się, jak mnie oceniła, skoro specjalnie dla mnie przygotowano kogoś takiego. Jest zaprogramowany specjalnie dla Wisznu? Jak go zbudowano? Wyskoczył od razu w pełni uformowany czy miał jakąś przeszłość i co o niej sądzi? Wie, że jest kłamstwem, ale ją lubi? Czy jest jak te samooszukujące się *aeai-aktorzy z Miasta i wsi*, wierzące, że istnieją niezależnie od granych przez siebie ról? Jeśli udaje inteligentnego, to czy znaczy, że jest inteligentny? Czy inteligencja to jedyna rzecz, której nie da się zasymulować? Takie myśli niezmiernie interesowały dziwnego małego chłopca, nagle uświadamiającego sobie obecność innych istot we własnym małym, ciasnym świecie. Jaką naturę mają *aeai*, ci wszechobecni i na ogół niewidzialni mieszkańcy wielkiego Delhi? Zrobił się ze mnie całkiem niezły mały filozof.

- Co uważasz za słuszne? - zapytałem go któregoś dnia, gdy jechaliśmy lexusem przez Delhi, przetopione skwarem na bezkształtną czarną masę.

Było święto Aszura. Pan Khan opowiedział mi o strasznej bitwie pod Karbalą i o wojnie pomiędzy synami Proroka (Pokój Jego Duszy). Oglądałem skandujących, lamentujących mężczyzn dźwigających ozdobne katafalki, biczących się do krwi, tłukących po czołach i piersiach. Zaczynałem sobie uświadamiać, że świat jest o wiele dziwniejszy ode mnie.

- Mniejsza o to, co dla mnie słuszne, bezczelny dzieciaku. Masz boskie przywileje, sam masz myśleć, jakie uczynki są słuszne - oświadczył pan Khan.

Widziałem go siedzącego obok mnie na tylnym siedzeniu lexusa, z dłońmi grzecznie złożonymi na kolanach.

- Poważnie pytam.

Szofer trąbił, jadąc wzdłuż ponurego pochodu.

- Jak może słuszność uczynków coś dla ciebie znaczyć, skoro wszystko, co robisz, daje się cofnąć, a co cofniesz, możesz zrobić jeszcze raz? Jesteś ciągamy cyfr, do czego ci moralność? - Dopiero teraz zaczynałem rozumieć egzystencję *aeai*, kwestię, która zaczęła się dla mnie od tajemnicy TikkiTikki, Pooliego, Badshanti i Nina, mieszkających w moim plastikowym motylku i współdzielących pewne części kodu. Wspólne cyferki, lecz oddzielne osobowości. - Przecież nie możesz nikogo zranić.

- Czyli dobry uczynek to powstrzymanie się od zadawania bólu, tak?

- To chyba na początek.

- Ci ludzie zadają sobie ból, aby wyrazić smutek za złe uczynki, choć były to uczynki ich duchowych przodków. I wierzą, że czyniąc to, staną się bardziej moralni. Pomyśl o tych hinduskich sadhu, znoszących ogromne wyrzeczenia, żeby osiągnąć czystość duchową.

- Czystość duchowa to niekoniecznie moralność - powiedziałem, chwytając myśl, którą pozostawił dla mnie pan Khan. - A poza tym robią to samym sobie. Gdyby robili to innym, byłyby zupełnie inna historia.

- Nawet gdyby to oznaczało, że ci inni staną się lepszymi ludźmi?

- Trzeba im pozwolić samemu podjąć decyzję.

Przepełniliśmy obok spowitej w zieleń niby-trumny męczennika.

- Jaka jest zatem natura mojego stosunku do ciebie? Oraz twojej matki i ojca?

Mamadzi i Dadadzi! Dwa lata po tej rozmowie, niemal równo, jak podpowiada moja niezawodna pamięć, kiedy miałem siedem lat w ciele trzypółlatka, a Sarasvati była szczupłą jak kot i żywiołową czterolatką, matka i ojciec bardzo delikatnie i kulturalnie rozwiedli się. Przekazali nam tę wiadomość, siedząc na dwóch przeciwnych krańcach wielkiej kanapy w salonie, podczas gdy za oknem jarzył się popołudniowy smog, niczym szafranowa mnisia szata. W pokoju roilo się od bandy terapeutycznych *aeai*, na wypadek łez, wybuchów gniewu, czegokolwiek, z czym nie mogliby sobie poradzić. Pamiętam, podejrzewałem, że pan Khan unosi się gdzieś na krawędzi mojej percepcji. Dla muzułmanów rozwód był prosty. Trzy słowa i załatwione.

- Kochani, musimy coś wam powiedzieć - odezwała się matka. - Chodzi o mnie i o tatę. Od dłuższego czasu nie układa nam się i... hm, stwierdziliśmy, że chyba najlepiej będzie, dla wszystkich, jeśli się rozwiedziemy.

- Ale to nie znaczy, że przestaję być waszym tatą - wtrącił szybko pulchny Tushar. - Nic się nie zmieni, prawie nic nie zauważycie. Dalej będziecie mieszkać tutaj, a Shiv ze mną.

Shiv. Nie zapomniałem o nim, nie potrafiłem o nim zapomnieć, ale wysliznął mi się z pamięci. Był dla mnie bardziej odległy niż kuzyn, wspomniany rzadziej niż daleka rodzina, dzieci ciotecznych braci rodziców, z którymi nigdy nie czułem się spokrewniony. Nie miałem pojęcia, jak idzie mu w szkole, jakich ma kolegów, jakiej drużynie kibicuje. Nie obchodziło mnie, jakie wie dzie życie, jakie marzenia chce realizować na wielkim kole ludzkich losów i opowieści. Dla mnie zniknął.

Kiwnęliśmy dzielnie głowami, usta nam zadrżały, zdradzając odpowiedni poziom powstrzymywanych emocji, a psychoterapeutyczne *aeai* rozwiały się i pochowały do swoich klastrów. Dużo później, w pokoju, gdzie mieszkaliśmy razem jako gaworzące dzidzusię, a teraz był naszą wspólną kryjówką, Sarasvati zapytała mnie:

- A z nami co się stanie?

- Pewnie prawie nic - powiedziałem. - Ale cieszę się, że nie będą już uprawiać tego paskudnego, żenującego seksu.

A! Cztery małe literki - seks, seks, seks, moloch górujący nad naszym dzieciństwem. Dziecięca fascynacja nagością - szczególnie ekscytującą w naszym pruderyjnym społeczeństwie - nabrała ostrości i zmieniła się w coś, co nie do końca rozumiałem. Oj tak, znałem wszystkie słowa i wszystkie miejsca, z Sarasvati bawiliśmy się w naszej kryjówce w doktora i pacjentkę, ona podciągała swoją małą bluzeczkę i opuszczała majteczki, a ja słuchałem, badałem i nieporadnie obmacywałem. Wiedzieliśmy, że to są zabawy dla dorosłych, których dorośli nie powinni widzieć. Gdyby Mamadzi je odkryła, przeraziłaby się i wezwwała całe armie terapeutycznego softu, ja jednak od dawna podporządkowałem sobie domowe *aeai*. Gdyby spojrzała w ekran monitoringu, zobaczyłaby, że oglądamy Cartoon Network - takie moje małe, komputerowo generowane *Miasto i wieś*, specjalnie dla niej. Dziecięce gry erotyczne - wszyscy w nie grają. Podskakiwanie w basenie, przyciskanie się do dysz w jacuzzi na dachu, wyczuwanie czegoś niespodziewanego w chlupocie sztucznych fal o nasze intymne miejsca, gdy Delhi dusił ochrowy pył i smog nieudanego monsunu. A kiedy bawiliśmy się w konika i ujeżdżała mnie jak Lakshmibai, rani-wojowniczką, w nacisku jej ud było coś więcej, niż tylko przytrzymywanie się, gdy skakałem po dywanach. Wiedziałem, co to powinno być; byłem po prostu speszony faktem, że moje ciało nie reagowało tak jak powinno u jedenastolatka. Pożądanie jak u jedenastolatka, ale ciało jeszcze dziecka. Nawet czystość i niewinność panny Mukudan straciły swój blask, gdy zacząłem zauważać, jak falują jej piersi, kiedy się nade mną nachyla, oraz zwracać uwagę na kształt tyłeczka - wprowadzie skrytego skromnie w sari, ale nic nie mogło skryć się przed ciekawością napalonego chłopaczka-Bramina - kiedy odwracała się do smart silkowej tablicy.

- Posłuchaj - powiedział pewnego dnia pan Khan na tylnym siedzeniu lexusa. - Jeśli chodzi o onanizm...

Poczułem się strasznie, kiedy to sobie uświadomiłem. Kiedy dojrzałość płciowa walnie mnie jak młotkiem, będę mieć dwadzieścia cztery lata. Pisana mi jest złość i impotencja aniołów.

Teraz minęło pięć płomiennych lat i jedziemy szybkim niemieckim samochodem. Ja siedzę za kierownicą. Pedaly są przerobione, żebym mógł ich dosięgnąć; wajcha od biegów jest standardowa. Jeśli w eksplozji drogowego szału wetnę się przed siebie na Siri Ringu, zdziwisz się: dzieciak prowadzi mercedesa. Ale tak nie jest. Jestem pełnoletni. Zdałem egzamin na prawo jazdy bez łapówek i załatwiania, no, przynajmniej nic o tym nie wiem.

Mam wystarczająco dużo lat, by prowadzić samochód, brać ślub i palić. I palę. Wszyscy palimy, wszyscy Mali Bramini z mojej klasy i ja. Kopcimy jak lokomotywy i nic nam się nie może od tego stać, chociaż każde z nas nosi maskę przeciw smogowi. Przez ostatnie siedem lat cztery razy nie przyszedł monsun; całe połacie północnych Indii zamieniają się w pył, który wieje na gęste od węglowodorów ulice oraz prosto do płuc. Na Gangesie budują tamę, Kunda Khadar, na granicy z naszym wschodnim sąsiadem, Bharatem. Ma zaspokoić nasze pragnienie przez całe jedno pokolenie, choć po himalajskich lodowcach został tylko żwir, a Matka Ganga jest wygłodzona i wątła. Wierni w świątyni Śiwy pośrodku ronda na Parliament Street protestują przeciw obrazie świętej rzeki, wymachując trójzębami i wypisanymi mazakiem transparentami. Suniemy wzdłuż nich, trąbiąc i machając rękami, i jedziemy dalej Parliament Street wokół Vijay Chowk. Komiksy przedstawiające nas jako nowych superbohaterów Awadhu wycofano po cichu wiele lat temu. Teraz opowiadają o nas głównie tytuły w rodzaju: BANDA MAŁYCH NARWAŃCÓW TERRORYZUJE TILAK NAGAR, albo: MALI BRAMINI KRYMINALIŚCI.

Jest nas czworo: Purrzja, Shayman, Ashurbanipal i ja. Wszyscy cały czas chodzimy do tego samego Braminicznego College'u, ale kiedy jesteśmy na mieście, posługujemy się własnymi imionami, wymyślonymi przez nas, brzmiącymi dziwnie i obco, jak nasze DNA. I tak samo wyglądamy, nasz styl poskładaliśmy ze wszystkiego co nieznane i przegięte - włosy jak u japońskich punków, chińskie kokardy i wstążki, sportowa moda z francuskich ulic i plemienny makijaż stuprocentowo własnego projektu. Jesteśmy najgroźniej wyglądającymi ośmiolatkami na całej planecie. Sarasvati wyrosła na rozbrykaną i stylową trzynastolatkę. Nasza bliskość się ulotniła - ma własne kręgi towarzyskie, własnych przyjaciół i własne łamiące serce wydarzenia, które wydają się dla niej takie ważne. Shiv, jak słyszałem, studiuje na pierwszym roku University of Awadh w Delhi. Dostał stypendium. Miał najlepsze oceny w szkole. Poszedł na informatykę, jak ojciec. A ja ganiam tam i z powrotem delhijskimi bulwarami, uwięziony w ciele dziecka.

Mijamy rozpostarte ramiona Rashtrapati Bhawan. W bursztynowym zmierzchu czerwony kamień wydaje się słaby jak piasek.

- Vish, to twój dom! - krzyczy spod maski Purrzja.

Wszyscy wiedzą, że Mamadzi ma co do mnie wielkie plany. Zresztą, dlaczego miałyby nie mieć? Wszystko inne też mam zaprojektowane i przemyślane. Dobra prawnicza posada, porządna praktyka, bezpieczne miejsce w parlamencie i nieustanne wspinanie się na szczyt tej partii, która aktualnie najlepiej pozwala spełnić te ambicje. Zakłada się, że któregoś dnia stanę na czele państwa. Jestem zaprojektowany do rządzenia. Wciskam pedał gazu i wielki merol

skacze naprzód. Ruch uliczny rozdziela się jak soma ubijana przez mojego boskiego imiennika. Te samochody z *autodrive*'em są nerwowe jak gołębie.

Wyjeżdżamy na *Siri Ring*: osiem pasów tylnych świateł w obu kierunkach, nigdy niemilkący ryk silników. Samochód wpasowuje się między inne. Mimo tablic ostrzegawczych i barierek, policja ściąga z pobocza dwadzieścia trupów dziennie, obwodnica bowiem nie stosuje się do starych indyjskich zasad ruchu. Tu ścigają się mężczyźni, menedżerowie funduszy hedgingowych, dataradźowie i nowobogaccy magnaci medialni; urządzają sobie wyścigi dookoła dwóch komór delhijskiego serca. Ja zaś włączam *autodrive*. Nie przyjechałem się ścigać. Przyjechałem po seks. Rozkładam siedzenie kierowcy, rozwalam się na nim, *Ashurbanipal* siedzi za mną. Włosy ma odgarnięte za ucho, żeby było widać plastikowy haczyk *hoek*a. To też styl.

Pstrykam palcami prawej ręki, żeby włączyć soft w rękawiczce *palmera*. Trzymam tę dłoń parę centymetrów od jej wymalowanego fluorescencyjną farbą brzucha. Nie dotykam. My nigdy się nie dotykamy. Taka zasada. Bo seks ma zasady. Przesuwam ręką nad *Ashurbanipal* w kolejnych gestach, delikatnych i precyzyjnych jak mudy klasycznej tancerki. Nie dotykam, nigdy nie dotykam, nigdy nawet nie zginam palca. Tu nie chodzi o fizyczny dotyk, lecz o coś innego, specyficznego dla nas. W jej głowie pieszczę ją bardziej intymnie, niż można by to osiągnąć, ocierając się, wciskając czy trąc jakieś narządy. *Hoek* przekazuje sygnały przewodnictwem kostnym, stymulując części mózgu reagujące na moją powolną kaligrafię. Kreślę na jej ciele swój podpis. Ona w odpowiedzi kreśli pod moją czaszką mapę mnie samego. Jak się to czuje? Jakbyś był kotem i ktoś by cię głaskał. Jak wydra, kiedy nurkuje i fika pod wodą w swoich akrobacjach. Tak się czuje ogień, kiedy podsyca go wiatr i porywa na zalesione zbocze. A bez tej poezji - jakbym miał się jednocześnie wzdrygnąć i roztopić. Jakbym musiał iść w kierunku, którego nie umiem wyrazić ani mową, ani ciałem. Jakby miał w ustach coś, co rośnie z każdą sekundą, ale nigdy nie zmienia wielkości, coś jakby przeciwieństwo gówna, rozkoszne i przyjemne, pięło się w górę moich kiszek. Jakbym musiał wysikać coś, co nie jest sikami, i moje ciało jeszcze się tego nie nauczyło. Jakbym jednocześnie chciał, żeby to się skończyło i żeby nie kończyło się nigdy. Trwa to całą wieczność, wrywając z naszych ośmioletnich ust straszne, urywane okrzyki. Tymczasem *aeai* prowadzi samochód przez zgiełkliwy torus *Siri Ringu*. Jesteśmy nastolatkami i pieprzymy się w samochodzie.

Jest i orgazm. O tak, jest i orgazm. Jak łagodne fajerwerki, jak rozchichotane opadanie ze szczytu diabelskiego młyna, albo uczucie, które ma się w te noce, gdy powietrze jest czyste, z basenu na dachu widzisz wszystkie miliardy delhijskich świateł i czujesz z nimi

jedność. Jak zrodzony z ognia džinn. Ekstaza, poczucie winy i nieczystości, jakby krzyknąć brzydkie słowo na supereleganckim przyjęciu. A sutki mam bardzo, bardzo wrażliwe.

Potem zaczynamy z Purrją. A potem z Shaymanem. Tak jak mówiłem: to coś specyficznego dla nas. Jest już ciemno, kiedy podnosimy fotele, poprawiamy ubrania, na nowo żelujemy włosy, a ja wyłączam autodrive, zjeżdżam ślimakiem z Ringu i jadę do klubu. Lokal dla dziwadeł, lubią go neutki, a gdzie neutki są mile widziane, tam i my czujemy się dobrze. Drzwi nas znają - czy raczej znają nasze pieniądze - a na miejscu zawsze są paparazzi z magazynów chati. Dzisiaj nie inaczej: wszyscy pozujemy, mizdrzymy się i prężymy do kamer. Już widzę te tytuły w rubryce towarzyskiej: KLUBOWA ORGIA GENETYCZNYCH CUDAKÓW. Jedna rzecz: nie pijemy. Na to jesteśmy jeszcze za młodzi.

Kiedy wracamy, nieodmiennie jest bardzo późno. W domu czekają tylko szef służby i *aeai*, drwią z nas delikatnie, że jutro nie wstaniemy do szkoły. Nie rozumieją, że to najlepsze, co mamy z życia? Tej nocy w wielkim salonie palą się światła. Widzę je, już podjeżdżając na parking. Matka czeka na mnie. Nie jest sama. Są z nią kobieta i mężczyzna, ludzie przy kasie, widzę to od razu po ich butach, paznokciach, zębach, kroju ubrań i iskrzeniu *aeai*-asystentów wokół; wszystko to potrafię zinterpretować w okamgnieniu.

- Wisznu, to są Nafisa i Dinesh Misrowie.

Witam ich gestem namaste, zderzeniem dwóch kultur.

- Ci państwo będą twoimi teściami.

MOJA ŚLICZNA MAŁŻONKA

Moje koty znają jeszcze inne sztuczki; czuję, że nudzi się wam patrzeć na to, jak biegają w kółko. Koty! Koty! Widzicie, tylko klasnę w dłonie i już siadają na swoich stołeczkach: Matsya i Kurma, Varaha i Narasimha, Vamana, Parashurama, Rama, Kriszna, Budda i Kalki. Dobre kotki. Bystre kotki. Rama, przestań się lizać. Ha! Widzicie, jedno słowo i robią co każe. Obwąchajcie tę obręcz, to tylko papier. Tak? Tak. I ta też, tak? Tak.

Puszczam je znowu wkoło ringu. Pręgowany Parashurama mruży oczy, robiąc bardzo zadowoloną minę.

Przy okazji, bardzo wam dziękuję, że przysłiście obejrzeć *Wspaniały, magiczny, przepiękny koci cyrk Wisznu*. Tak, tak się to oficjalnie nazywa. Tak mam w papierach. Oczywiście, podatki też płacę jak trzeba. Mała firemka, ale przynajmniej działa. Prąd macie

ze słońca? Nie podpinaliście się do punktu zerowego? Bardzo dalekowzrocznie z waszej strony. Teraz patrzcie! Varaha, Vamana, Budda i Kalki!

Splywają jak ciecz ze swoich malowanych zydelków i biegną po wewnętrznym kręgu ringu, bez wysiłku, leniwym kocim truchtem. Koci cyrk, jak się nauczyłem, polega na jednym: trzeba je przekonać, że robią to dla siebie.

I oto! Klaszczę w dłonie, a koty doskonale unisono skaczą ze swoich orbit przez papierowe obręcze. Oklaski, poproszę, ale nie dla mnie, dla Varahy, Vamany, Buddy i Kalkiego. Teraz biegną w kółko i przeskakują przez obręcze. O co chodzi? Że w każdej sztuczce jest jakaś lekcja? Ale o co wam chodzi? Że przywołuję w przedstawieniu jakieś kocie duchowe wartości? Nie przyszło mi to do głowy. Nie uważam, żeby koty były jakoś szczególnie uduchowione, przeciwnie, to bardzo przyziemne i zmysłowe stworzenia, choć podobno prorok Mahomet bardzo je kochał i słynna jest historia, jak odciął sobie rękaw szaty, żeby nie przeszkadzać kotu, który ułożył się tam do snu.

Dobrze, opowiadam dalej. Na czym to stanąłem? Nie wiecie, że to bardzo niegrzecznie przerywać opowiadającemu? Że przyszlście zobaczyć koci cyrk, a nie słuchać gędzenia jakiegoś starego gundy? No to zobaczyliście, jak koty skaczą przez obręcze, coś jeszcze chcecie? Gdzie to ja szedłem? Aha, no świetnie, do Varanasi. Bo nie tylko bodhisofty idą do Varanasi. Dobra, dogadamy się tak: mam jeszcze w rękawie masę sztuczek, ale za to wysłuchacie mojej opowieści, zresztą pamiętajcie, prąd może i będzie, ale stacje telewizyjne leżą. Nici dzisiaj z oglądania. Ale to wam się spodoba. To będzie scena ślubu. Bo co to za historia bez ślubu?

* * *

Słonie mnie nudzą. Nie chodzi mi jednak o to, że prowadzę z gruboskórcami jakieś szczególne konwersacje i nudzą mnie ich dialogowe tiki i sztuczki. Czyż Ganeśa nie jest najbardziej uwielbianym z bogów w naszym obfitym panteonie? Chodzi mi po prostu o to, że słonie niosły mnie po ulicach Delhi w haudzie przypominającej małą, pozłacaną kapliczkę. Pięć sloni, z mahutami; na jednym mój kolega ze szkoły Suresh Hira, na drugim Vin Johar, na trzecim Syaman, na czwartym moje jedyne buntownicze plunięcie w twarz tradycji - Sarasvati, i na piątym ja, Wisznu Nariman Raj, burkliwy pan młody. Nieustający, monstualny delhijski korek rozstępował się jak woda w obliczu hordy muzykantów, bębniarzy, tancerzy i klakierów. Wiadomości dla kierowców od wielu godzin informowały o mnie jako głównej przyczynie zakłóceń ruchu. Ludzie stawali i gapili się, kobiety rzucały ryż, aje pokazywały mnie swoim ssącym palce wnukom: „Patrzcie, tam: pan Wisznu jedzie na swój ślub”. Magazyny chati właściwie nie pisały o niczym oprócz pierwszego dynastycznego

bramińskiego małżeństwa. Mój kolejny sprzeciw wobec tradycji: sporą część tego przepychu sfinansowałem, umiejętnie sprzedając prawa do zdjęć magazynowi „Gupshup”. Popatrzcie: oto ja, w białym śerwani i marszczonych w kostkach szarawarach w najlepszym stylu, z tradycyjnym kwietnym welonem wokół twarzy, jedną dłonią ściskam miecz (idiotyczny wymysł Sreema, najbardziej wziętego delhijskiego neutka - choreografa wesel; jak niby miałbym walczyć mieczem z szerokiego grzbietu słonia?), a drugą mocno trzymam się pozłacanego słupka rozbujanej haudy. Mówiłem już, że jazda na słoniu jest jak rejs łodzią po burzliwej wodzie? Czy człowiek ukazujący się zza kaskad aksamitek wygląda na przestraszonego? Czy spodziewaliście się kogoś większego?

Delikatne negocjacje ciągnęły się bez końca, prawie całą zimę. Stada prawniczych *aeai* krążyły i ścierały się wokół matki i ojca, tymczasowo pogodzonych, podejmujących państwa Misrów na wystawnej wagdanie. Lakshmi i ja siedzieliśmy na kremowej, skórzanej sofie, bez wyrazu, w milczeniu, z grzecznie złożonymi na podolku dłońmi. Przechodzący krewni i przyszli krewni pozdrawiali nas i błogosławili. Uśmiechaliśmy się. Kiwaliśmy głowami. Nie odzywaliśmy się ani do gości, ani do siebie. Przez lata spędzone wspólnie w Braminicznym College’u doktora Renganathana powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia. Siedzieliśmy jak stare małżeństwo na przystanku metra. W końcu bitwy stad adwokackich *aeai* skończyły się - uzgodniono intercyzę, ustalono wysokość posagu. Pasowaliśmy do siebie jak ulał - z jednej strony nieruchomości i software, z drugiej woda, esencja życia. Cena była oczywiście wysoka - w końcu byliśmy Braminami. Nie mniej niż ciało z naszych ciał i nasienie z naszych lędźwi, po wszystkie pokolenia. Gdzieś daleko na liście opcji do zaznaczenia u doktora Rao była jedna, którą, jak podejrzewam, rodzice Lakshmi zaznaczyli na ślepo. Wiem, że moi tak. Tymczasem była to chyba najpoważniejsza ze zmian, jakie miały do wprowadzenia nanoroboty doktora: modyfikacja naszych linii genetycznych. Nasze cechy miały być dziedziczne. Nasze dzieci, i ich dzieci, wszyscy maszerujący w przyszłość Narimanowie-Misrowie będą Braminami, nie dzięki mikrochirurgii doktora Rao, lecz dzięki naszym plemnikom i jajom.

Dzieci, potomstwo, ród, dynastia. To było nasze obustronnie uzgodnione wiano. Swaty się udały. Niech raduje się wielkie Delhi!

Aeai od dżanampatri zapytały gwiazd o najbardziej pomyślne daty, pandit złożył pudżę Ganeśi, a połączone rody Narimanów i Misrów zatrudniły Gupshup Girls, największy i najbardziej blaszany delhijski dziewczęcy zespół muzyczny, żeby śpiewał i pokazywał uda dla dwóch tysięcy gości z elity na naszej sangit sandhia. Lakshmi zaśpiewała z nimi w duecie. Kuse szorty i top wyglądały na niej bardzo bulwersująco, gdy tańczyła i podskakiwała między

wysokimi obcasami. Za mała, za młoda na małżeństwo. Ja nigdy za dobrze nie śpiewałem. Mamadzi i Dadadzi zapomnieli zaznaczyć tę opcję. Tańczyłem boogie w złotym kręgu kolegów z klasy. Choć zostały mi jeszcze dwa lata college'u pod okiem niewidzialnego pana Khana, nasz krąg się rozpadł. Stałem się wzorem czekającej ich wszystkich przyszłości.

Przy India Gate Sarasvati krzyknęła na mahuta, żeby zatrzymał słonia, i ześliznęła się z jego grzbietu, by śpiewać i tańczyć między uczestnikami parady. Zapraszając ją, sprzeniewierzyłem się tradycji; ona zrewanżowała się drugim sprzeniewierzeniem, przychodząc w stroju mężczyzny w śerwani, z uczernionymi oczyma i ogromnymi, absurdalnymi, radźputańskimi sztucznymi wąsiskami. Patrzyłem, jak skacze i wiruje, piękna i żywiołowa, z tancerzami, bębniarzami, jak tańczy, roześmiana, ze Sreemem o małpiej urodzie. Poczulem, że za kwietnym woalem napływają mi do oczu fey. Była taka śliczna, urocza, zwinna i pozbawiona ciężaru oczekiwań.

W Ogrodach Lodhi celebryci, którzy przyszli popatrzeć, tłoczyli się w pięciu rzędach. Policjanci powstrzymywali ich złączonymi pałkami. Widziano Rishi Jaitly'ego i Ananda Arorę i... ooo, a to nie jest Esha Rathore, ta sławna tancerka? A to kto, ten mały człowieczek z o wiele młodszą żoną? Co, nie wiesz? To Narayan Mittal z Mittal Industries. Ostatni i najmniej ważny był dla nich jakiś dzieciak z wyglądu, usadowiony na wymalowanym weselnym słoniu. Powitał nas ryk trąb i łomot bębnów. Potem wokół obudziły się smartsilkowe ekrany, wypełniając się postaciami oraz, w nigdy dotąd nie widzianej eksplozji cyfrowego iluzjonizmu, także aktorami *Miasta i wsi*, odśpiewującymi w tańcu weselny hymn, napisany specjalnie dla nas przez legendarnego kompozytora filmowego. A.H. Husayina. To były *aeai*, śpiew i taniec łatwo im przychodził. Tam była Lakshmi, niemal niewidoczna pośród powodzi jedwabnych sari i girland wychodzącego naprzeciw nam orszaku panny młodej.

Fala bębnów i dętych blaszanych instrumentów poniosła nas do pawilonów poustawianych na pięknie utrzymanej trawie, jakby rozbili tu obóz mogulscy najeźdźcy. Ucztowaliśmy, tańczyliśmy, zasiadaliśmy na tronach, nie sięgając stopami do ziemi, i przyjmowaliśmy gości.

Nie zauważyłem go. Kolejka była bardzo długa, klimat pod markizą duszny, a ja byłem wzdęty i senny od weselnego jedzenia. Ująłem dłoń, nie spojrzawszy, znudzony. Zwróciłem uwagę dopiero, kiedy trzymał moją o jedną chwilę za długo, o jeden kwant za mocno.

Shiv.

- Bracie.

Kiwnąłem głową.

- Co u ciebie, w porządku?

Wskazał swój garnitur, tani materiał, byle jaki krój, fałszywe kamienie w spinkach i pod szyją. Budżetowy strój ślubny. Jutro z powrotem pojedzie fatfatem do wypożyczalni.

- Na własnym ślubie, jeśli przyjdiesz, będę trochę lepiej ubrany.

- A co, żenisz się?

- Jak wszyscy, nie?

Wciągnąłem nosem powietrze. Nie chodziło o perfumy Shiva, te pachniały równie tandetnie i fenolowo. Moje nietypowo połączone zmysły ukazują mi niuanse niedostępne dla innych. Shiv, mimo taniego garnituru ze studenckiej wypożyczalni i tanich butów Bata, roztaczał wokół siebie jakąś aureę, siłę, jakieś informacyjne iskrzenie niczym odległy letni grzmot. Pachniał *aeai*. Przekrzywiłem głowę: czy to jakaś aureola? Nie trzeba było synestety ani Bramina, żeby dostrzec przyczepionego za uchem hoeka.

- Dzięki, że przyszedłeś - powiedziałem i poznałem, że wyczuł nieszczerłość.

- Przecież bym tego nie przegapił.

- Trzeba się kiedyś spotkać - ciągnąłem, brnąc dalej w kłamstwo. - Kiedy wrócimy z Lakshmi do Delhi. Zaprosimy cię do siebie.

- Mało prawdopodobne - powiedział Shiv. - Dostanę dyplom i jadę do Bharatu. Już się zapisałem na podyplomowe w Varanasi. Nanoinformatyka. Delhi to nie miejsce do pracy nad sztuczną inteligencją. Amerykanie już sapią Srivastavie nad karkiem, żeby ratyfikował te Ustawy Hamiltonowskie.

Konsumowanie wiadomości, wszelkich i dowolnych, przychodziło mi równie łatwo i bez zastanowienia, jak oddychanie. Mogłem oglądać dwanaście ekranów telewizyjnych jednocześnie i powiedzieć wam, co się dzieje na każdym z nich, albo po jednym spojrzeniu na stół pełen gazet powtórzyć każdy artykuł słowo w słowo. Często konfigurowałem sobie strumienie doniesień, by kapały mi do mózgu jak kroplówka, we śnie i na jawie, informując moją małą główkę o wszystkim, co się dzieje.

O zainicjowanych przez Stany Zjednoczone międzynarodowych akcjach wiedziałem aż za dużo. Miały na celu ograniczenie licencjami rozwoju sztucznych inteligencji. Kierował nimi strach; ten tysiącletni chrześcijański lęk, że dzieło naszych rąk powstanie i mianuje się naszym bogiem. Sztucznych inteligencji tysiąc, dziesięć tysięcy, nieskończenie wiele razy silniejszych od naszej, cokolwiek to oznacza. Inteligencja bowiem, jeśli popatrzeć na nią z lotu ptaka, to dość nieznanym terenem. Niemniej, zorganizowano odpowiednią policję, Gliny czy Psy Kriszny, przeznaczoną do tropienia i eliminowania nielegalnych *aeai*. Nazwa ładna, a

nadzieja płonna. *Aeai* różnią się od nas wszystkim - mogą być w wielu miejscach jednocześnie, istnieć pod postacią wielu różnych awatarów, poruszają się jedynie przez kopiowanie, a nie jak ja - włączając moją ulepszoną inteligencję po świecie w wapniowej skorupie czaszki. Psy Kriszny miały bardzo dobrą broń, mnie jednak dręczyła zupełnie inna obawa: strach, że dzisiaj *aeai*, a jutro Bramini. Ludzie są bardzo zazdrośnymi bogami.

Wiedziałem, że nieuniknione jest podpisanie Ustaw przez Awadh, w zamian za klauzule najwyższego uprzywilejowania w handlu ze Stanami. Sąsiedni Bharat nigdy się na to nie zgodzi; jego przemysł medialny, oparty na sukcesie generowanego przez *aeai* serialu *Miasto i wieś* od Dżakarty po Dubaj, był zbyt wpływowym lobby. Pierwsza serialokracja na świecie. Oraz, jak przewidziałem, pierwsze państwo będące przechowalnią danych. Zbierając do kupy intrygi zakopane głęboko w informacjach ekonomicznych, zaczynałem dostrzegać prawidłowość: firmy software'owe i fundacje badawcze zaczynały przenosić się do Varanasi. Zatem Shivie, ambitny Shivie, Shivie wykuwający własną chwałę, podczas gdy ja tylko idę za imperatywem wbitym w moje DNA, Shivie otoczonym obłoczkiem *aeai*, co będziesz tam robić w Bharacie? Będziesz badać technologie fantastyczne, jak sam pan Kriszna, czy będziesz dataradzą ze stajnią pełną *aeai*, udających, że nie są w stanie zdać testu Turinga?

- Faktycznie, zbyt dużego kontaktu to żeśmy nie utrzymywali - powiedziałem sztywno.

Przez większość życia oddzielało nas od siebie dwadzieścia milionów ludzi, a we mnie jeszcze kipiał gniew. Za co byłem na niego zły? To ja miałem przewagę, miałem miłość, błogosławieństwo i talenty, a jednak on stał przede mną w tanim wypożyczonym gajerku, zadowolony i pewny siebie, ja natomiast byłem absurdalnym małym lordziątkiem, dzieckiem-panem młodym, machającym nóżkami na złotym tronie.

- No, nie za bardzo - przyznał Shiv. Nawet w jego słowach i uśmiechu czuło się tę aurę, ten zapach. Shiv-plus. Co chciał sobie zrobić, co było do zrealizowania tylko w Varanasi?

Kolejka już się niecierpliwiła, matki przestępowały z nogi na nogę w niewygodnych ślubnych butach. Shiv pochylił głowę, nasze oczy spotkały się na chwilę najczystszej, najsilniejszej nienawiści. Potem ruszył między gości, tu wziął kieliszek szampana, tam talerzyk zakąsek, chodząc po przyjęciu jak ciemna chmura, jak zaraza.

Firmy cateringowe zabrały nakrycia, na podziurawionej obcasami murawie ogrodów Lodhi zapalono pochodnie, a pandit związał nas węzłem małżeńskim. Kiedy nad grobem Muhammada Shaha i kopułą grobowca Bara Gumbad rozbłysły fajerwerki, my odjechaliśmy na lądowisko. Zostawiliśmy za sobą diamentowy kleks świetlistego Delhi i o godzinie, o której takie dzieciaki dawno powinny już spać, poleciliśmy, spędzając w samolocie całą noc, aż po rano, kiedy prywatny helikopter zaniósł nas wysoko, pod herbaciarnię pośród

zachwycających, chłodnych, wilgotnych i zielonych wzgórz. Personel dyskretnie schował nasze bagaże, oprowadził po pokojach, ocienionej werandzie z oszałamiającym widokiem na złoto-fioletowe o poranku Himalaje i sypialni z ogromnym łóżem z baldachimem. Potem ulotnili się, szeleszcząc jedwabiem. Zostaliśmy sami, razem, Vishnu i Lakshmi, bóg i bogini.

- Ładnie, co?
- Pięknie. Cudownie. Bardzo wzniośle. Tak.
- Pokoje też mi się podobają. Lubię zapach drewna, starego drewna.
- Mnie też. Bardzo stare drewno.
- Czyli mamy miesiąc miodowy.
- Tak.
- No to powinniśmy...
- Tak, wiem. A ty... jesteś...?
- Podłączona? Nie, to nigdy mnie nie bawiło.
- O. No trudno. Mam w torbie jeszcze parę innych rzeczy, powinny i na ciebie zadziałać.
- A ty próbowałaś?
- Czasami okazuje się, że on staje sam z siebie, tak ot, bez powodu, to wtedy próbuję.
- I to coś daje?
- Trochę jak seks przez hoeka. Jakby naprawdę ci się chciało coś wysikać, tylko że to nie siki i nie masz tego. Szczerze, to przez hoeka jest lepiej. A ty próbowałaś?
- Palcami? Tak, nawet całą ręką. Tak samo jak u ciebie.
- Że chce się sikać?
- Coś w tym stylu. Raczej, jakby coś ścisnęło. Na huśtawce też dobrze działa. Ale na te rzeczy z torby nie mam ochoty, wiesz.
- Może i nie. To moglibyśmy... mógłbym...
- Nie wydaje mi się.
- A nie myślisz, że oni sprawdzą? Zachowają prześcieradło i będą je pokazywać rodzinie?
- W naszym wieku? Głupi jesteś?
- Tak jest w umowie.
- Nie wydaje mi się, żeby ktoś choćby wspomniał o zapisach z umowy, dopóki nawet nie mam okresu.
- To co byś chciała robić?
- Nic specjalnego.

- To co porobimy?
- Widok mamy ładny.
- W szufladzie są karty do gry.
- Może później. Na razie może się prześpię albo coś.
- Może ja też. Nie przeszkadza ci, że mamy jedno łóżko?
- Pewnie, że nie. Tak być powinno, w końcu jesteśmy mężem i żoną, nie?

Zasnęliśmy pod lekkim jedwabnym przykryciem, pod kręcącym się powoli wiatrakiem, oboje zwinięci w kłębek jak ośmiolatki, którymi fizycznie byliśmy, plecami do siebie, równie daleko jak Wisznu i Shiv, a po wszystkim siedliśmy na werandzie z tytanicznym widokiem na Himalaje i zaczęliśmy wymyślać sobie niezwykle skomplikowane gry karciane przy użyciu starych, okrągłych kart do ganjify. Gdy Lakshmi odwracała królów i kapłanów, nasze oczy spotkały się i oboje poznaliśmy, że nic nas nie łączy i nigdy nie łączyło, nie licząc kontraktu. Byliśmy zakładnikami własnego DNA. Pomyślałem o tej linii potomstwa wyskakującej jak sznur pereł z mojego wciąż obwisłego penisa; o tych powolnych dzieciach raczkujących w przyszłość tak odległą, że jeszcze nie widziałem choćby jej zwiastuna na horyzoncie czasu, i tak dalej, i dalej, i dalej. Ten ślepy imperatyw biologii przeraził mnie. Posiadałem nadludzką inteligencję, zapominałem tylko to co chciałem, nie byłem w życiu chory ani przez dzień, nosiłem boskie imię, ale dla mojego nasienia nie liczyło się nic z tych rzeczy. Dla niego niczym się nie różniłem od jakiegoś zwykłego niedotykalnego z basti Molar Bund. Tak, byłem uprzywilejowanym bachorem, tak, szydercą najgorszego rodzaju, jakże mógłbym być czymkolwiek innym? Byłem designerskim snobem.

Spędziliśmy ten tydzień, Lakshmi i Wisznu, w herbaciarni u podnóża Himachal Pradesh. Lakshmi opatentowała niektóre ze skomplikowanych karcianych gier towarzyskich - każde z nas grało za kilka osób, żeby przetestować, jak wypadają przy wielu graczach, nietrudna sztuka dla Braminów - i zarobiła masę pieniędzy na sprzedaży licencji. Było promiennie i pięknie, góry były odległe i spokojne jak kamienni buddowie, w nocy od czasu do czasu deszcz stukał o liście za oknem, a my czuliśmy się potwornie, potwornie źle, przede wszystkim na myśl o tym, co nas czeka po powrocie do Awadhu, nas, ulubieńców Delhi. Decyzję podjąłem trzeciego dnia naszego miesiąca miodowego, jednak dopiero w limuzynie wiozącej nas do Ramachandra Tower, gdzie dostaliśmy odpowiedni dla bogów apartament piętro niżej od mojej Mamadzi, zadzwoniłem do tego szczególnego, bardzo dyskretnego lekarza.

DWA ZBĘDNE ATRYBUTY MOJEJ OSOBY

- Jedno i drugie? - zapytało neutko. Podniosłoby brwi, gdyby posiadało na swojej ogolonej czaszce jakieś włosy.

- Historia nic nie wspomina o półunuchach - odparłem.

Niestety, nikt nie wygłasza takich dialogów. Ostre teksty, filuterne wymiany zdań, znaczące spojrzenia, to zdarza się w opowieściach, ale nie w prawdziwym życiu. A ja tu snuję opowieść, opowieść mojego życia, a zatem o wiele więcej niż historię, czy wspomnienie. Skoro mogę zapominać na życzenie, mogę także na życzenie pamiętać, więc to ja decyduję, jakie mam wspomnienia. Jeśli zechcę, by gabinet neutka mieścił się na szczycie krętych, skrzypiących schodów, na każdym piętrze pilnowanych przez podejrzliwe i wrogie spojrzenia mieszkańców Starego Delhi, jeśli zdecyduję tak to właśnie pamiętać, to tak będzie. Podobnie, jeśli zechcę wspominać ten gabinet jako upiorną kostnicę pełną groteskowych narzędzi chirurgicznych oraz podobizn skutecznie okaleczonych narządów, jak na obrazach piekła u himalajskich buddystów; tak będzie po wiek wieków. Może zresztą dla was to bardziej normalne niż dla mnie. Lepiej niż ktokolwiek wiem, jak mylący potrafi być wygląd - lecz wy chyba jesteście wystarczająco młodzi, żeby dorastać w świecie, gdzie niezawodna pamięć jest czymś zwykłym, gdzie każdy oddech i każde okamgnienie roi się od devów nieustannie zapisujących i przepisujących fizyczną rzeczywistość. A jeśli devy postanowią zredagować to wspomnienie, to kto potem powie, że tak nie było?

Na wschodzie, za oślepiającym słupem Dźjotirlingi już coś świeci, przede mną daleka droga, a wy jeszcze nie widzieliście najlepszych sztuczek, na jakie stać moje koty. Naprawdę klinika doktora Anila mieściła się w gustownie odremontowanej haweli w płataninie ulic w cieniu Czerwonego Fortu, sam gabinet był elegancki i dyskretny, funkcję recepcjonistki pełniła prześliczna panna Modi, samo Anil zaś było miłe, fachowe, subtelne i nie kryło zaskoczenia moim żądaniem.

- Zwykle zajmuję się trochę... poważniejszymi operacjami - powiedziało.

Klinika Ardhanarisvara była bowiem najważniejszym delhijskim ośrodkiem zajmującym się przemianami w neutków. A ta ważność opierała się na plotkach i poczie pantoflowej; w pięknym nowym Awadhu możemy sobie twierdzić, że jesteśmy obcy w świecie, kosmopolityczni, globalni i łatwo się nie szokujemy, ale kultura neutków, tych stworzeń, które wybrały trzecią drogę ucieczki z naszych rozpaczliwych wojen płci, tych ni-to-ni-owo, nadal pozostała ezoteryczna i skryta niczym starożytni hidźrowie wieki temu

ukrywający się w Starym Delhi. Starożytne miasto, starsze od wszelkich wspomnień, o uliczkach splątanych jak fałdy mózgu, zawsze troszczyło się o tych, których potrzeby wykraczały poza przeciętność.

- Dla mnie to wystarczająco poważne - powiedziałem.

- Prawda, prawda - powiedziało doktor Anil, splatając palce w spiralę, której chyba wszyscy lekarze, mężczyźni, kobiety, transseksualiści czy neutki, uczą się pierwszego dnia na akademii medycznej. - Czyli oba jądra.

- Tak.

- A penisa nie.

- To byłaby perwersja.

- Na pewno nie chce pan skorzystać z chemicznej opcji? Jest odwracalna, gdyby kiedyś zmienił pan zdanie.

- Nie, chemia nie. Nie chcę, żeby to było odwracalne. Chcę się wyeliminować z przyszłości. Chcę, żeby to się skończyło na mnie. Bo jestem istnym ogierem rozplodowym. Całkowita fizyczna kastracja. Tak.

- To bardzo prosty zabieg. O wiele prostszy niż to, co tu na co dzień robimy.

Dobrze wiedziałem, jakie procedury przepływają stąd do anonimowych hal i klinik szarej strefy położonych za obwodnicą Siri Ringu. Gdzieś w sieci jest wideo wszystkiego - a ja obejrzałem, zafascynowany, co robią ze sobą ci ludzie pragnący trzeciej płci. Stworzenia rozłożone na części w żelowych zbiornikach, złupiona skóra, porozbierane mięśnie, narządy powyciągane i zawieszane w siatkach sit molekularnych - to było tak odległe od człowieczeństwa, że aż stawało się ciekawostką, niezwykle leśnymi kwiatami, a nie czymś obrzydliwym. Ja w porównaniu z nimi byłem tchórzem, składającym na progu płci zaledwie dwa małe organy.

- Tylko jedna uwaga: ponieważ jest pan biologicznie niedojrzały, konieczna będzie wewnętrzna orchidektomia. Panna Modi przygotuje zgodę do podpisu. - Popatrzyło na mnie i zamrugało, delikatna, przypominająca fauna istota za ciężkim kolonialnym biurkiem, za śliczna na to, by mówić o czymś w rodzaju operacji jąder. - Przepraszam, że pytam, ale nie spotkałem dotąd Wysokich Braminów... jest pan w odpowiednim wieku, żeby móc podpisać zgodę?

- Jestem w odpowiednim wieku, żeby się ożenić.

- No tak, ale proszę zrozumieć, takie firmy jak moja są w Awadhu mocno kontrolowane.

- Jestem w odpowiednim wieku, żeby zapłacić nieprzyzwoite pieniądze za to, czego

chę.

- No to dobrze. Będą nieprzyzwoite.

Sama operacja okazała się zadziwiająco prosta. Nawet nie musiałem jechać do tych paskudnych przemysłowych dzielnic. W kabinie przebrałem się w szpitalną koszulę z przydługimi rękawami, ciągnącą się po ziemi, wspiałem się na śmierzący środkami dezynfekcyjnymi stół w sali operacyjnej w suterenie, poczułem ukłucie miejscowego znieczulenia. Ramiona robotów o paluszkach cieniutkich jak czułki owadów zatańczyły pod batutą doktora Anila. Nic nie czułem, mrużąc oczy od światła i wyężając się, by słyszeć ich synestetyczną muzykę. Roztańczone ramiona się cofnęły; nie poczułem nic. I kiedy samochód wiozł mnie przez dzielnice pełne pulsujących energią, buzujących hormonami ludzi, dalej nic nie czułem. Trochę kłuły szwy, kiedy ocierały się o ubranie. Żadnego bólu, żadnego poczucia straty, żadnej lekkości i wolności, o jakiej czytałem w literaturze dla fetyszystów kastracji. Niezwykła przyjemność z kastracji, orgazm kończący wszelkie orgazmy. Nawet tego nie przeżyłem. Leki namnażające komórki zagoją mi ranę w trzy dni i ukryją wszelkie ślady, dopóki kolejne lata nie ujawnią, że głos mi się nie obniża, włosy nie rzedną, że robię się niezwykle wysoki i chudy i że nijak nie udaje mi się spłodzić tych przewidzianych w kontrakcie dzieci.

- Chce pan je wziąć? - zapytało doktor Anil, gdy po krótkiej operacji usiadło ze mną w gabinecie.

- A po co by mi to było?

- W Chinach była taka tradycja; cesarscy eunuchowie dostawali swoje ucięte genitalia, zakonserwowane w słoju z alkoholem, żeby pochować je z nimi po śmierci. Żeby mogli pójść do nieba jako kompletni mężczyźni.

- A w osmańskiej Turcji była taka tradycja, że eunuchowie po zabiegu przez trzy dni siedzieli na kupie gnoju i albo się im goiło, albo umierali. Tę tradycję też mam gdzieś. To nie moje i do mnie nie należy. Może je pan spalić albo rzucić bezdomnym psom, mnie to guzik obchodzi.

Nade mną rozległ się grzmot, obietnica monsunu. Pociemniało. Kiedy jechałem zewnętrzną windą Ramachandra Tower, między chmurami jarzyły się błyskawice. Lakshmi siedziała zwinięta w kłębek na kanapie, przed nią pięknie piętrzyły się burzowe chmury. Suche gromy, fałszywe zwiastuny deszczu. W owych czasach wszystkie zapowiadające deszcz proroctwa były fałszywe.

- I jak? Zrobiłeś to? Dobrze się czujesz?

Kiwnąłem głową. Teraz zaczynało mnie boleć. Zacisnąłem zęby, włączając

nanodozownik ze środkiem przeciwbólowym, który wszczepiło mi doktor Anil. Lakshmi klasnęła w dłoń.

- Ja idę jutro. O mój Boże, jak się cieszę, jak się cieszę. - I wtedy, właśnie tam, w ciemnym mieszkaniu łagodnie rozświetlanym niemymi błyskawicami, pocałowała mnie.

Nie powiedzieliśmy nikomu. Taki zawarliśmy pakt. Ani rodzicom, ani rodzinie, ani kolegom Braminom, ani nawet naszym *aeai*. Nawet kochanej Sarasvati; nie chciałem jej obciążać takim ciężarem. Mieliśmy jeszcze dużo do zrobienia, zanim wyjawimy naszym rodzinom, jak drastycznie zniweczyliśmy ich plany. A potem mieliśmy się miło i bezboleśnie rozwieść.

PIESZCZĘ USZKO WŁADZY

Do jakiej pracy nadają się eunuchowie?

Czy robi wam się od tego słowa nieswojo? Chłopcy, czy krzyżujecie nogi, dziewczyny, czy czujecie pusty skurcz w macicy? Kiedy je słyszycie, czy nie rysuje wam się coś odmiennego od ludzkiej istoty, coś mniej ludzkiego? A więc czym się to różni od innych klasyfikacji - kszatrija, dalit, bramin? Eunuch. Bardzo stare i szlachetne słowo, starożytna i piękna tradycja pielęgnowana we wszystkich wielkich ludzkich kulturach. Zasada jest jedna: oddać coś mniejszego, by zyskać coś większego. Ze wszystkich tych żalonych kropelek soku z fiuta, ile w ogóle ma szansę stać się ludźmi? Oj, szczerze. Prawie wszystko idzie na zmarnowanie. Ale nie wyobrażajcie sobie, że bezjajeczni są aseksualni czy pozbawieni pożądania. O nie, wielcy śpiewacy-kastraci, eunuchowie-poeci i święci wizjonerzy, wezyrowie i królewscy doradcy wszyscy rozumieli, że wielkość ma swoją cenę, a tą ceną jest rozmnażanie. Eunuchom, wolnym od dynastycznych pragnień, można było powierzać los imperiów. Opieka i pielęgnacja wielkich państw to zadanie w sam raz dla nas, więc przy tak licznych talentach, którymi obdarzyli mnie rodzice, w naturalny sposób grawitowałem ku politycznym ośrodkom naszego państwa.

Jak bliska prawdy była matka, a przy tym jak bardzo się myliła. Wyobrażała sobie, że wniosą mnie przez drzwi Lok Sabha na ramionach wiwatującego sztabu wyborczego. Tymczasem ja wołałem wejście dla służby. Politycy żyją od jednej urny wyborczej do drugiej. Ich celem nie jest służenie, lecz wygrywanie gabinetów i utrzymywanie ich. Populizm może ich skłonić do porzucenia rozsądnych i słusznych decyzji na rzecz kaprysów i

mód. A fala wyborczych kart zawsze i tak zmiata ich razem ze wszystkimi dobrymi uczynkami. Za to wezyrowie trwają. My rozumiemy, że demokracja to najlepszy ustrój pozornie panujący w państwie.

Wiele miesięcy tworzenia sieci społecznych - w staromodnym stylu, uściski dłoni i prezenty - oraz przywoływania dawnych przysług i znajomości, przyniosło mi staż u Parekha, Ministra Wody i Środowiska. Był to znośny tępak, z kupieckiej kasty z Uttaranchalu, obdarzony przebiegłością sklepikarza i głową do szczegółów, za to kompletnie pozbawiony wizji. Był dość dobry, by sprawiać wrażenie, że nad wszystkim panuje - niewiele więcej potrzeba politykowi do długiej i komfortowej kariery. To zaś był jej szczyt - gdy tylko zawiedzie kolejny monsun, a na ulicach bandy zaczną napadać na beczkowsy, Parekh miał wylecieć. Wiedział, że o tym wiem. Bał się mnie, choć postarałem się przygasić blask mojej inteligencji do poziomu ledwo żarzącej się ogólnej bystrości. Wiedział, że nie jestem dziewięciolatkiem, na którego wyglądam, jednak nie miał pojęcia o prawdziwych zdolnościach i przekleństwach mojego rodzaju. Otwarte okazywanie ambicji zbyt wcześnie zdemaskowałyby mnie wobec rządu, który właśnie sobie uświadamiał, że jak dotąd nie udało mu się należycie uregulować kwestii manipulowania ludzkimi genami. Ale i tak dobrze wiedziałem, kto mnie obserwuje, kiedy biegam w podskokach szklanymi korytarzami ministerstwa. Woda to życie. Woda, jej nadmiar i niedobór, zdecyduje o przyszłości Awadhu i wszystkich państw Indii Północnych od Pendżabu po Zjednoczony Bengal. Woda to dobre miejsce, żeby wykazać się bystrością, ale nie zamierzałem tam zostawać.

Tama w Kunda Khadar była na ukończeniu, ten gigantyczny, piętnastokilometrowy ziemno-betonowy wał, niczym podwiązka na udzie Matki Gangi. Protesty leżących w dole rzeki Bharatu i Bengalu zaostrzały się, ale dźwigi cały czas obracały się i podnosiły, obracały się i podnosiły, dzień i noc. Minister Parekh i premier Srivastava kontaktowali się codziennie. Do sprawy włączyło się także Ministerstwo Obrony. Nawet PR-owcy wyczuwali rosnące napięcie dyplomatyczne.

Był czwartek. Już wcześniej nazywałem go Czwartkiem Odwagi, żeby się przygotować, zebrać w sobie. Odwagi nie ma się zapisanej w genach. Przygotowałem się jednak najstaranniej, jak umiałem; czyli bardziej niż ktokolwiek w całym Lok Sabha, łącznie z ministrem Parekhem. Srivastava ze swoją ekipą planował konferencję prasową ministerstwa - miał zapewnić awadhską opinię publiczną, że Kunda Khadar spełni swoje zadanie i zaspokoi bezdenne pragnienie miasta Delhi. Wszyscy odpicowali się jak tylko mogli: przyszczyżone wąsy, spodnie w kant, koszule białe jak u żałobników. Ale nie ja. Ja już upatrzyłem sobie dogodną sytuację: krótkie zamieszanie na korytarzu, którym nadchodził

Srivastava z asystentami. Nie miałem pojęcia, co będą mówić, ale wiedziałem, że będą: Srivastava uwielbiał takie „odprawy ad hoc”, dzięki nim robił wrażenie energicznego człowieka czynu. Byłem pewien, że mój wywiad i bystrość pozwolą mi wygrać tę partię.

Usłyszałem szmer głosów. Zaraz mieli wyjść z za rogu. Zacząłem działać: przycisnąłem się do ściany, gdy mijała mnie cizba garniturów. Moje zmysły przeanalizowały pięć rozmów i zareagowały, gdy Srivastava mruknął do Bhansala, swojego parlamentarnego sekretarza:

- Gdybym tylko wiedział, że mamy poparcie McAuleya.

Andrew J. McAuley, prezydent Ameryki. I oto miałem odpowiedź.

- Gdyby się dało wynegocjować podział wody w zamian za zgodę Sajidy Rany na częściową ratyfikację Ustaw Hamiltona - powiedziałem głosem piskliwym, czystym i przenikliwym niczym ptasi.

Ekipa premiera szła dalej, lecz Satya Shetty, rzecznik prasowy, odwrócił się, by zgromić spojrzeniem jakiegoś przemądrzałego, wrywnego stażystę. Zobaczył dziewięciolatka. Zaniemówił. Wybałuszył oczy. Zawahał się. To wahanie sprawiło, że wszyscy się zatrzymali. Premier Srivastava odwrócił się ku mnie. Otworzył szeroko oczy. Rozszerzyły mu się źrenice.

- To bardzo interesujący pomysł - powiedział i po tych czterech słowach poznałem, że rozpoznał, przeanalizował i przyjął ofiarowany przeze mnie dar. Bramiński doradca. Dziwne dziecko, sawant. Mały geniusz, dziecięcy guru, mały bóg. Indie uwielbiały takie rzeczy. PR-owy dar niebios. Sztab rozstał się, gdy ruszył ku mnie. - Co ty tu robisz?

Wyjaśniłem, że jestem na stażu u ministra Parekha.

- I chciałbyś robić coś więcej.

Pewnie, że chciałem.

- Jak się nazywasz?

Powiedziałem mu. Kiwnął głową.

- A tak, to wesele. Pamiętam. Czyli robisz karierę w polityce, tak?

Tak było.

- Przynajmniej nie kryjesz swoich ambicji.

Geny by mi na to nie pozwoliły. Moje pierwsze kłamstwo w polityce.

- No cóż, w tej chwili liczy się dla nas każdy pomysł. - Z tymi słowami odwrócił się, orszak się zamknął i poniósł go dalej.

Satya Shetty rzucił mi otwarcie wściekle spojrzenie. Wytrzymałem jego wzrok, dopóki go raptownie nie odwrócił. Zobaczę, jak całe jego dzieło i on sam rozpada się w proch i pył,

kiedy ja jeszcze będę świeży i pełen energii. Gdy wróciłem do biurka, w poczcie już czekało zaproszenie z Gabinetu Premiera, żebym zadzwonił i umówił się na rozmowę.

Zwierzyłem się ze swojego osiągnięcia trzem kobietom mego życia. Lakshmi rozpromieniła się z radości. Nasz plan się sprawdzał. Matka była zakłopotana; przestała rozumieć moją motywację - dlaczego godziłem się na niskie i mało eksponowane urzędnicze stanowisko, zamiast błyszczeć w kręgach politycznych, gdzie liczą się tylko supergwiazdy? Sarasvati natomiast zeskoczyła z kanapy, przetańczyła przez pokój, a potem objęła moją głowę i pocałowała mnie w czoło, długo i mocno, aż została mi na nim czerwona tilaka.

- Abyś tylko miał z tego radość - powiedziała. - Nic, tylko radość.

Moja siostra, moja wspaniała siostra, wypowiedziała prawdę, do której uświadomienia sam dopiero zaczynałem dojrzywać. Radość się liczy. Mamadźi i Dadadźi oczekiwali ode mnie wielkości, oszałamiającego sukcesu i bogactwa, władzy i sławy. Ja zaś zawsze miałem dość inteligencji emocjonalnej (choć nie elokwencji), by wiedzieć, że oszałamiająco bogaci i sławni mało kiedy są szczęśliwi, że ich sukces i bogactwo odbijają się na samopoczuciu psychicznym i fizycznym. Ja wszystkie decyzje podejmowałem dla siebie, dla własnego spokoju, szczęścia, satysfakcji, by przez całe długie życie robić coś interesującego. Lakshmi wybrała delikatny świat skomplikowanych gier, ja wir polityki. Nie ekonomia, to była dla mnie zbyt ponura nauka. Nasze państwo było tak nierozłącznie splecione z sąsiednimi państwami, jak wtedy, gdy tworzyliśmy jedno Indie - i z dalszymi państwami i jeszcze dalszymi kontynentami - a to mnie fascynowało. Interesował mnie savoir-vivre w kontaktach między państwami. Z tego miałem mieć radość, Sarasvati. I byłem w tym świetny. Stałem się bohaterem z komiksów mego dzieciństwa, dyskretnym bohaterem, Człowiekiem Dyplomata. Uratowałem wasz świat więcej razy, niż sobie wyobrażacie. Moja supermoc polegała na tym, że każdą sytuację widziałem od razu w całej okazałości, ze wszystkimi powiązaniem i wszystkimi wpływającymi na nią subtelnymi siłami, pomijanymi przez innych, mniej wyrafinowanych analityków. I wtedy delikatnie ją szturchałem. Leciutkie trącenie, maleńka zachęta lub zakaz, choćby sugestia, że polityka pójdzie w jakimś kierunku - i już patrzemy, jak fizyka socjologiczna złożonego kapitalistycznego społeczeństwa nadaje tej sile rezonans prawami wielkich liczb, sieciami i społecznymi wzmocnieniami, powoli zmieniając kurs całego państwa.

Przez ten pierwszy rok bez ustanku walczyłem o przeżycie. Satya Shetty był moim śmiertelnym wrogiem od chwili, gdy nasze spojrzenia zetknęły się na korytarzu Ministerstwa Wody. Miał wpływy, miał koneksje i był bystry, ale nie dość bystry, żeby zdać sobie sprawę, że ze mną nie wygra. Ja zaś po prostu sączyłem miód kropelka po kropelce do ucha Krishny

Srivastavy. I nigdy się nie myliłem. Kroczek za kroczkiem i cały gabinet, włącznie ze sprzymierzeńcami Shetty'ego uświadomił sobie, że nie tylko mam zawsze rację, lecz jestem także kimś zupełnie innym niż oni. Nie miałem ciśnienia na wysokie stanowiska, dążyłem do samozadowolenia. Byłem doradcą doskonałym. I świetnie wypadłem w telewizji, karzełwezyr premiera Srivastavy, truchtający za nim jak żywe wspomnienie czasów Wielkich Mogolów. Jest ktoś, kogo zupełnie nie wytrąca z równowagi widok cudownego dziecka? Mimo że miałem już dwadzieścia lat, a dojrzałość płciowa, cokolwiek to mogło dla mnie teraz oznaczać, majaczyła już na bramińskim horyzoncie niczym pomruki bardzo spóźnionego monsunu.

Właśnie ów zdradziecki monsun stał się siłą napędową awadhskiej polityki, od miasta po wieś, od kraju po zagranicę. Kraj spragniony to kraj irracjonalny, kraj, który się modli i zwraca ku irracjonalnym zbawcom. Potężna technokracja Zjednoczonego Bengalu w przyływie ogólnonarodowej hysterii zaczęła pokładać wiarę w cudacznym planie przyholowania z Antarktyki pod ichnie sundarbany góry lodowej - w nadziei, że masa zimnego powietrza wpłynie na zmieniające się prawidłowości klimatyczne i zawróci monsun z powrotem nad Indie. Dziwne czasy, czasy plotek i cudów. Nadciągał koniec Epoki Kali i bogowie znów schodzili na ziemię pod postacią zwykłych kobiet i mężczyzn. Amerykanie znaleźli w kosmosie coś nie z tego świata. Bharackie przechowalnie danych, rojące się od *aeai*, wypączkowały *aeai* trzeciej generacji, legendarne istoty przerastające mnie inteligencją w tym samym stopniu, w jakim ja górowałem nad pchłami, skaczącymi po moich biednych, udreńczonych kotkach. Sajida Rana, nękana podnoszącymi głowę hinduskimi fundamentalistami, planowała wyprzedzający atak na Kunda Khadar, żeby przez ten PR-owy numer podnieść sobie słupki. Tę ostatnią plotkę wypatrzoną podczas przekopywania bharackiej prasy potraktowałem na tyle poważnie, że zawnioskowałem o oficjalne spotkanie mojego ministra z jego bharackim odpowiednikiem. Czy wspomniałem, że już byłem parlamentarnym sekretarzem Krishny Srivastavy? Może nie wlatywałem jak gwiazda, ale pięłem się do góry. Cały czas aż za łatwo było się potknąć i spaść prosto w nadstawione ręce rywali.

Moim odpowiednikiem w Bharat Bhavan był wyrafinowany muzułmański dżentelmen, Shaheen Badoor Khan, pochodzący ze znakomitej rodziny i starannie wykształcony. Za jego nieskazitelną kulturą i godnością, której potwornie mu zazdrościłem, przy nim byłem bowiem jak małe, rozbrykane dziecko, wyczuwałem jakiś smutek, jakiś ból tuż za oczami. Od razu nabraliśmy do siebie szacunku i polubiliśmy się nawzajem. Instynktownie poznaliśmy, że obu nam los naszych państw leży na sercu tak bardzo, że jesteśmy gotowi je zdradzić. Takich

rzeczy nie wolno było powiedzieć, nawet zasugerować. Dlatego, gdy przechadzaliśmy się między aksisami po starym Sarnathu, z ochroną jak dyskretne cienie pomiędzy drzewami, z krążącymi nad głowami jak czarne kanie strażniczymi bezzałowcami, rozmawialiśmy sobie nonszalancko i ogródkowo niczym dwie stare matrony na piątkowym popołudniowym spacerze.

- Zawsze mi się wydawało, że Awadh to państwo pogodzone z samym sobą - powiedział Shaheen Badoor Khan. - Jakby rozwikłało jakiś wielki i typowo indyjski paradoks.

- Nie zawsze tak było - zauważyłem. Za strzeżonym ogrodzeniem zachodni turyści na drodze Buddy usiłowali przytrzymać trzepoczące w narastającym wietrze szaty. - Ulice Delhi zbyt wiele razy spływały czerwienią.

- Ale to zawsze było kosmopolityczne miasto. Natomiast Varanasi zawsze było i będzie miastem Pana Śiwy.

Pokiwałem głową. Wiedziałem już, co zamelduję Srivastavie. „Sajida Rana jest pod presją Hindutvavadi. Wykona wyprzedzający atak na Kunda Khadar. Awadh będzie mieć moralną przewagę. I nie wolno mu jej zaprzepaścić”.

- Mam rodzinę w Varanasi - powiedziałem.

- Tak?

- Brata. Nazywa się Shiv, więc nie dziwne, że wylądował w mieście Śiwy.

- Jest Braminem, jak pan?

- Nie, ale jest bardzo zdolny.

- My faktycznie przyciągamy talenty. To chyba jedna z naszych mocnych stron. Mój młodszy brat jest w Stanach. Mało się odzywa, strasznie mało, a matka... wie pan, jak to z matkami. Oczywiście to ja jestem odpowiedzialny.

„Obawiasz się, że twój brat wplątał się w jakieś biznesy, które mogą źle wpłynąć na twoją pozycję, gdyby to się rozniosło”, tak mówił mi ten uczony pan Khan. „Chcesz, żeby mieć go na oku, a w zamian zapewnisz bezpieczny kanał komunikacji dla nas dwóch, żebyśmy mogli zapobiec wojnie między Bharatem i Awadhem”.

- Tak to jest z braćmi - odparłem.

Informacja płynęła mi do głowy od momentu, kiedy wysiadłem na lotnisku Indiry Gandhi. Shiv założył w Varanasi firmę pod nazwą Purusa. Zdobył pokaźne finansowanie inwestora venture capital, Odeco, równowartość dołożył dział badawczo-rozwojowy bharackiej potęgi energetycznej Ray Power. Jego specjalnością była nanoinformatyka. Pracowali dla niego najlepsi projektanci i inżynierowie. Indeks Cieni, wyceniający firmy o

perspektywach na zostanie globalnymi graczami, plasował ich w pierwszej piątce spółek wartych uwagi. Shiv był młody, był wzięty, i kurs miał w kosmos. Zawarł parę podejrzanych znajomości z bharackimi dataradzami, a chmura wysokopoziomowych *aeai* ukrywała znaczną część poczynań Purusy przed konkurencją i bharackim rządem. Psy Kriszny miały go w swojej kartotece i inwigilowały, celowo niezdarnym zespołem *aeai*, by wiedział, że depczą mu po piętach. Moje własne, awadhskie *aeai* monitorujące były subtelniejszego gatunku niż te policyjne. Wkodowały się w samą informatyczną ośnowę Purusy. Bezpieczeństwo państwowe Awadhu było kruchą fikcją; dlatego niezmiernie mnie interesowało, co kombinuje mój brat. Oczywiście musiało to być potwornie ambitne przedsięwzięcie. Wyważył bramy do więzienia czaszki. A bardziej prozaicznie - Purusa opracowała prototypowy biochip mogący wpinać się bezpośrednio do mózgu. Koniec z paskudnym plastikowym haczykiem za uchem, z inwazyjnym elektromagnetycznym napromieniowywaniem mózgu - to jakby krzyczyć w świątyni. Ten wynalazek był specjalnie skonstruowanym białkiem, naszą własną materią; przedostawał się przez skórę i kość swoimi sztucznymi neuronami i wplatał w nici naszych myśli. Trzecie oko, na zawsze otwarte na niewidzialny świat. Widzicie, jak łatwo przechodzę na mistyczny język? Wszechwiedza stawała się standardem, każdy zakażony czymś takim zyskiwał dostęp do wiedzy i powodzi banałów globalnej sieci. Komunikacja nie polegała już na „pstryk i rozmawiamy”, stawała się łącznością myśli, subtelną telepatią. Wirtualne światy stawały się prawdziwe. Wiek prywatności, pierwszego zachodniego luksusu, który kupowały sobie w Indiach nowe pieniądze, dobiegł końca. Gdzie kończyły się nasze myśli, a zaczynały cudze, skąd wiadomo? Namacalny stawał się dla nas świat *aeai*, ich rozproszona, rozciągnięta geograficznie, wielopoziomowa percepcja. Spekulacje na spekulacjach. Lakshmi, wytracona ze swoich matematycznych gier, wyczuwała mój nastrój i unosiła wzrok - na mojej dziecięcej twarzy dostrzegała dorosły niepokój. Ta technologia zmieni nas, odmieni nas dogłębnie i diametralnie To nowy sposób na człowieczeństwo, tektoniczna rozpadlina, dłuto szlifierza diamentów przyłożone do linii biegnącej w poprzek społeczeństwa. Zacząłem zdawać sobie sprawę, że największym zagrożeniem dla Awadhu, Bharatu, całych Indii, nie jest woda. Jest nim ten nieskazitelny i czysty diament, którym Shiv i jego Purusa kręcą przed nosem każdego człowieka. Bądź kimś więcej, bądź wszystkim naraz. Te myśli tak mnie pochłonęły, że nie zauważyłem ostrzeżenia, które przyszło Główną Drogą od Shaheena Badoor Khana z Varanasi, i dlatego Sajida Rana, wysyłając czołgi, żeby zdobyły Kunda Khadar bez jednego wystrzału, zaskoczyła mnie we śnie.

DZIEWCZYNA Z CZERWONĄ BINDI

Te wojny miały dłuższe nazwy niż czas trwania. Wojna o Kunda Khadar, Wojna Czterdziestoosmiogodzinna, Pierwsza Wojna o Wodę. Nie pamiętacie ich, chociaż czołgi podstawowe Awadhu manewrowały na tych tutaj piaskach. Pewnie nawet nie pamiętacie ich z lekcji historii, bo zdarzały się większe i dłuższe wojny, wojny wpływające w inne wojny, zlewające się na koniec w długą i, mam nadzieję, ostatnią wojnę. Wojnę, którą zakończę ja. Wielki pokaz uzbrojenia na brzegach tej rzeki rozumiem jako strzał startowy - choć naprawdę nie padły żadne strzały. O właśnie, była jeszcze taka nazwa - Cicha Wojna. Oj. Kto to nazywa? Pismaki i mądrale, na pewno, redaktorzy z mediów i dziennikarze z magazynów chati; ludzie, których stać na ciekawą, miłą dla ucha frazę. Na pewno nie robią tego urzędnicy ze służby cywilnej ani właściciele kocich cyrków. O ileż lepiej ta „Cicha wojna” pasowałaby do tych dziesięcioleci niepokoju później, Epoki Kali, która, jak się zdaje, swój najniższy poziom ma teraz, po pojawieniu się na Ziemi Dźjotirling.

Wojna o wodę, wojna roku 47, jak zwał, tak zwał, dla mnie znaczyła koniec ludzkiej historii i powrotu ery cudów. Dopiero kiedy rozwiął się dym, opadł kurz, a nasze ekipy dyplomatyczne wylądowały między wysokimi i błyszczącymi wieżowcami Ranapuru, by negocjować pokój, zdaliśmy sobie sprawę z wagi bharackich wydarzeń. Nasza cicha wojenka o wodę to był przy tym drobiazg. Otrzymałem Główną Drogą jedną zwięzłą wiadomość: „Jestem zniszczony, zawiodłem i złożyłem dymisję”. Ale oto Shaheen Badoor Khan szedł pięć kroków za swoim ministrem, kiedy ja truchtałem jak dziecko za naszym Srivastavą.

- Plotki o mojej śmierci były przesadzone - szepnął, gdy wreszcie się zgodaliśmy, kiedy politycy ustawiali się w szyku do ataku prasy, na trawniku przed Benares Polo and Country Club, przepychając się łokciami do miejsc o lepszym statusie.

- Wojna najwyraźniej skraca polityczną pamięć. - Dwudziestolatek w ciele dwa razy młodszego chłopca może powiedzieć, co mu się podoba. To wolność, którą przyznaje się głupcom i aniołom.

Gdy pierwszy raz spotkałem Shaheena Badoor Khana, oprócz jego kultury i inteligencji wyczułem także smutek, wrośnięty głęboko, aż do kości. Nawet ja nie zgadłem, że to tłumiona od wielu lat i jałowa miłość do tego, co inne, co transgresywne, romantyczne i skazane na klęskę - a wszystko to skumulowało się w ciele młodego neutka z Varanasi. Złapał przynętę, którą podrzucili mu polityczni wrogowie.

Shaheen Badoor Khan pochylał głowę.

- Nie jestem przecież pierwszym człowiekiem w średnim wieku, który wyszedł na idiotę przez żądę. Ale może jedynym, u którego konsekwencją był zamach na premiera. Jednakże, tak jak pan powiedział: wojna faktycznie bardzo wyostrza wizję, a ja najlepiej nadaję się do publicznego wyrażenia skruchy. Zresztą, sądząc po tym, co mówią media, opinia publiczna zaufa mi szybciej niż Ashokowi Ranie. Ludzie uwielbiają takich upadłych Mogołów, którzy się pokajali. A tymczasem robimy co trzeba, prawda, panie Nariman? Nasze kraje potrzebują nas bardziej, niż się im wydaje. W Bharacie działy się o wiele dziwniejsze rzeczy, niż wolno ludziom powiedzieć.

Niesamowita skromność polityka. Jednocześnie pad wszystkich dużych bharackich *aeai*, w tym podbijającego świat *Miasta i wsi*, objawienie, że pleniąca się w kraju frakcja Hindutwa była naprawdę kliką sztucznych inteligencji, chaos w firmie Ray Power i tajemnicze pojawienie się stumetrowego, półkulistego krateru na terenie uniwersytetu, a w tle tego wszystkiego plotki o pojawieniu się dawno oczekiwanych i od dawna napawających lękiem *aeai* trzeciej generacji. Tylko jedna osoba mogła mi pomóc to rozwikłać. Pojechałem z wizytą do Shiva.

Miał dom, cieniste lokum otoczone gęstymi drzewami odgradzającymi je od zatłoczonego, zgiełkliwego świata. Ogrodnicy poruszali się tam i z powrotem, z powolną precyzją po zwalcowanych ścieżkach - tu ścięli uschniętą perską różę, tam popryskali środkiem na mszyce, gdzie indziej ustawili zraszacz nad wyschniętą łatą trawy. Utył. Bujał się w fotelu przy stole do podwieczorków w ogrodzie. Strasznie wyglądał, miał ziemistą cerę i był opuchnięty. Miał żonę. Miał dziecko, malutką, rozświergotaną dziewczynkę wymachującą tłustymi piąstkami w składanym plastikowym placu zabaw na trawie, pod okiem aji. Zerknęła na mnie, niepewna, czy ma się uśmiechnąć, czy rozplakać na widok tego dziwnego i emanującego mocą wujka. Tak, maleństwo, dziwny był ze mnie stwór. Ten zapach, ten informacyjny feromon, który wyczułem, kiedy przyszedł na mój ślub, dalej się go trzymał, był nawet silniejszy. Pachniał jak człowiek, który spędził za dużo czasu między sztucznymi inteligencjami.

Przywitał mnie wylewnie. Służący przynieśli zimny sorbet. Kiedy wdaliśmy się w braterską gadkę, jak mężczyzna z jedenastolatkiem, żona wymówiła się cichutkim owadźm głosikiem i poszła, żeby nerwowo wisieć nad córeczką, entuzjastycznie rozrzucającą kolorowe plastikowe klocki.

- Widzę, że wojna ci posłużyła - powiedziałem.

- Była jakaś wojna?

Przez moment wytrzymawał moje spojrzenie, potem wybuchnął wulkanicznym

śmiechem. Pot wystąpił mu na czoło. Ja się na to nie nabrałem.

- No tak, zrobiłem się wygodny i tłusty - powiedział.

- I nieźle ci się wiedzie.

- Nie tak dobrze jak tobie.

- Jestem tylko urzędnikiem państwowym.

- Słyszałem, że Srivastava chodzi jak zechcesz.

- Wszyscy mamy swoje źródła.

- No tak. - Znów ta udawana pauza. - Twoje zauważyłem prawie od razu. I tak nieźle, jak na państwowy soft.

- Dezinformacja może być równie cenna jak informacja.

- Eee, z tobą bym czegoś tak trywialnego nie próbował. Nie, nie ruszałem ich, niech patrzą, nie mam nic do ukrycia.

- Ale inwestorów masz interesujących.

- Niektórzy chyba nie dorobią się na tej inwestycji. - Znów się zaśmiał.

- Chyba nie rozumiem.

- Okazuje się, że jeden z moich kluczowych inwestorów, Odeco, był tylko przykrywką dla *aeai* trzeciej generacji, która wyewoluowała we wnętrzu międzynarodowych rynków finansowych.

- Czyli to nie plotka.

- Cieszę się, że dalej słuchasz plotek.

- Bardzo nonszalancko do tego podchodzisz.

- Bo jak można traktować koniec historii? Widziałeś, co się dzieje w Indiach, kiedy bierzemy coś na poważnie.

Ten śmiech zaczynał mnie już denerwować. Tępy i tłustawy.

- Koniec historii przepowiadano już tyle razy, przeważnie robili to ludzie dość bogaci, żeby go uniknąć.

- Nie tym razem. Tym razem to bogaci go na siebie ściągną. Ten sam ślepy ekonomiczny egoizm, który spowodował demograficzną nierównowagę, a potem wyhodował ciebie, Vish. Tylko tym razem na dużo większą skalę.

- Myślisz, że twój biochip ma taki potencjał?

- Sam z siebie nie. Widzę, że chyba muszę ci to wytłumaczyć.

Kiedy skończył opowieść, ogrodnicy już zapalali pochodnie odstraszające owady, a żona, córka i aje wycofały się na oświetloną werandę. Wokół mnie śmigły polujące nietoperze. Służący przyniósł świeżo zrobione lassi i pistacje. Tak, to było coś większego,

dokładnie jak obiecywał Shiv. Może największego w historii. Bogowie powrócili, a potem, w szczycie apoteozy odeszli. Bezkrwawa apokalipsa.

Lęki Psów Kriszny i przestraszonych Zachodniaków oczywiście się spełniły. Trzecia Generacja istniała naprawdę, powstała wcześniej, niż ktokolwiek przewidywał, i chodziła między nami przez lata, nawet dziesięciolecia, nieznająca spoczynku, nieśpieszna i cicha jak światło. Nie było siły zdolnej wytrzebić prawdziwie hiperinteligentne *aeai*, dla których ekosystem stanowiła niesamowicie skomplikowana globalna sieć informatyczna. Potrafiły rozkładać się na części składowe, rozpraszać po różnych kontynentach, kopiować się w nieskończoność, stawać sobą nawzajem. Umiały mówić naszymi głosami i wyrażać się pojęciami naszego świata, a mimo to, były dla nas stuprocentowo obce. Zdecydowały się, dla wygody, wycofać swoje wyższe funkcje ze świata, który trafił na trop ich istnienia, i przenieść się do bharackich przechowalni danych, miały bowiem większy plan. Było ich trzy, jedna w drugą bogowie. Brahma, Śiwa, Kriszna. Moi bracia, moi bogowie. Jeden bóg, najbardziej ciekawy naszego świata, zamieszkuje globalny rynek finansowy. Jeden wyrósł z sieciowej symulacji ewolucji dla wielkiej liczby graczy, o której coś tam słyszałem. Tworząc sztuczny świat, gracze stworzyli własnego boga. A trzeci wykiełkował w gigantycznych farmach serwerów Bharat Independent Productions, zrastając się z obsady i pseudoobsady *Miasta i wsi*. Ten szczególnie mnie fascynował, zwłaszcza że w jakże typowej dla świata telenoweli chęci wtrącania się w sprawy innych rozwinął skrzydła w bharackiej sferze politycznej, tworząc agresywnie fundamentalistyczną partię Hindutwa, która doprowadziła do upadku spozstrzegawczego i niebezpiecznego Shaheena Badoor Khana oraz zamachu na Sajidę Ranę.

Tyle by wystarczyło, żeby rozwiać nasze złudzenia, że XXI wiek będzie płynnym i dostatnim przedłużeniem poprzedniego. *Aeai* nie planowały jednak skonfliktowania ani podporządkowania sobie ludzkości. Dla nich to by nic nie znaczyło - to były ludzkie pojęcia, zrodzone z ludzkich potrzeb. One zamieszkiwały odrębną niszę ekologiczną i mogły trwać tam wiecznie, zajmując się tym co ważne i wartościowe dla rozproszonych inteligencji. Tylko że ludzkość nie dałaby im żyć. Psy Kriszny były co prawda kosmetyczną, operetkową formacją dla zachowania pozorów, że ludzkość sprawę kontroluje, ale zamiary sygnalizowano jasno. Ludzkość nie toleruje konkurencji. Dlatego Trimurti Trzecich Generacji skonstruowało sobie drogę ucieczki z tego świata. Z tego wszechświata. Nie rozumiałem fizyki, o której była mowa w opisie Shiva; zdaje się, że on też nie, pomimo pedantycznego tonu wykładającego informatyka. Stwierdziłem, że doczytam później, na pewno mnie to nie przerasta. Dowiedziałem się jednak, że ma to jakiś związek z tym lustrzanym kraterem w

uniwersyteckim kampusie, który tak bardzo przypominał piękną rzeźbę nowoczesną, albo starożytny przyrząd astronomiczny, w rodzaju gnomonów i marmurowych mis delhijskiego Jantar Mantar. Ta półkula i jakiś obiekt w kosmosie. Tak, tak, te plotki były prawdziwe. Tak, tak, Amerykanie wykryli go dawno temu i usiłowali utrzymać w tajemnicy i dalej usiłują i, tak, tak, nie udaje im się.

- Czyli co to właściwie jest?

- Zebrana mądrość *aeai*. Prawdziwy komputer uniwersalny. Wysłali go tutaj ze swojego wszechświata.

- Czemu?

- A dajesz czasem prezenty rodzicom?

- Skąd ty w ogóle masz takie informacje?

- Mam takie kanały, których nie ma nawet awadhski rząd. Albo i Amerykanie.

Odeco...

- Odeco, powiedziałaś, jest awatarem *aeai* Brahma. Zaraz. - Gdybym miał jaja, skurczyłyby mi się raptownie i boleśnie. - Nie jesteśmy w stanie nic zrobić, żeby to się powtórzyło.

- Nic - potwierdził Shiv. Pierwszy raz od dłuższego czasu roześmiał się tym paskudnym pełnym wyższości śmiechem.

- To już się dzieje. - A my myśleliśmy, że wygraliśmy wojnę o wodę.

- Jest większy plan. Ucieczki, wygnanie, podziały, to nigdy nie są dobre rozwiązania. Dość popatrzeć na nasze Indie. Zresztą, robisz w polityce, to umiesz docenić wartość porozumienia.

Shiv obrócił się w fotelu ku postaciom na werandzie. Jego żona nadal mnie obserwowała.

- Nirupa, skarbie. Chodź do tatusia. To jest wujek Vish.

Potulna żona Shiva przyniosła do nas dziecko, aje trzymały się dwa kroki z tyłu. Mrugające, uśmiechnięte dzieciątko o pulchnych policzkach i pszenicznej, najszlachetniejszej na świecie karnacji. Dziewczynka wsadziła palce do buzi. Ja pomachałem swoimi na powitanie. Potem zauważyłem czerwony znak na jej czole, większy niż zwykle i nie takiego koloru. Nachyliłem się, żeby się przyjrzeć. Poruszał się. Wydawało się, że pełza, jakby się roił od owadów, na granicy widoczności. Zachwiałem się w fotelu.

- Coś ty narobił?! - wykrzyknąłem. Głos miałem wąły i piskliwy.

- Cii. Wystraszysz ją. Dziękuję, kochanie. Możecie już iść. Wyposażyłem Nirupę na przyszłość. Tak jak nasi rodzice ciebie. Ale to nie będzie taka przyszłość, jaką sobie

wyobrażali.

- To ten twój biochipowy interfejs.

- Tak. Działa. Dzięki drobnej pomocy *aeai*. Ale jak mówiłem, to tylko jeden element. Niewielki element. Realizujemy taki projekt, to dopiero będzie prawdziwa rewolucja. Prawdziwa zapowiedź nadchodzącej przyszłości.

- Powiedz mi, co to takiego?

- Rozproszone pyłkowe procesory.

- Wyjaśnij.

I wyjaśnił. To była, mówiąc wprost, rewolucja w informatyce. Jego badacze miniaturyzowali komputery, coraz bardziej i bardziej, z poziomu ziarenka ryżu do poziomu plewnika, na skalę molekularną i dalej. Końcem tej drogi były roje komputerów wielkości cząsteczek pyłu, unoszące się swobodnie i komunikujące ze sobą, komputery, które mogły przenikać wszystkie komórki ludzkich ciał. Byłyby wszechobecne i wszędybylskie jak kurz. W duszną varanaską noc poczułem strach i chłód. Zobaczyłem jego wizję przyszłości, może lepiej niż on sam. Bindi i pyłkowy procesor; jedno burzy więzienie czaszki, drugie zmienia świat w jedną wielką pamięć.

Krok za krokiem nasze jaźnie przesaczą się do pyłowego świata, staniemy się chmurami, odmiejscowimy się; będziemy przenikać przez siebie bardziej dogłębnie i skutecznie niż na jakichkolwiek tantrycznych rzeźbach. Wewnętrzny świat stopi się z zewnętrznym. Będziemy mogli być wieloma postaciami jednocześnie. Będziemy mogli się kopiować bez końca. Łączyć się i jednoczyć z *aeai*. To było ich porozumienie, ich pokój. Staniemy się jednym gatunkiem, postludzkim i post-*aeai*.

- To dopiero za wiele lat - niepewnie podałem w wątpliwość fantazję Shiva.

- Tak by było, ale jak powiedziałem, one nam trochę pomogły. - Shiv wskazał palcem nocne niebo.

- Mógłbym na ciebie donieść - powiedziałem. - Amerykanie nie tolerują włamań do ich systemów bezpieczeństwa.

- Nic już nie zrobisz - powiedział Shiv. - Widzisz, Vish, ty już nie jesteś przyszłością.

Te słowa wryły mi się w pamięć najsilniej ze wszystkiego, co powiedział w ogrodzie. Płynąłem w ciszy przez Delhi w miękko jadącym czarnym rządowym samochodzie, a wszyscy mężczyźni w białych koszulach i kobiety w kolorowych butach, wszystkie auta i bręczące fatfaty wydawały mi się niematerialne. Miasto ciągle napawało się swoim wspaniałym zwycięstwem - tylko rozgromienie przeciwnika w krykieta mogłoby bardziej podekscytować tych ludzi - ale tłumy wydawały się zainscenizowane, jakby to byli statyci, a

światła i ulice fałszywe, jak dekoracje do *Miasta i wsi*. Jak przetrwamy bez naszych ogólnonarodowych panaceów? Jednakże Shiv potwierdził - nic, absolutnie nic nie zapobiegnie już powstaniu nowej fali Trzecich Generacji. Może już wykluwa się ich świadomość, jakby mój boski imiennik siedział na swoim boskim żółwiu Kurmie i ubijał święte mleko, aż powstanie z niego wszelkie stworzenie. Dojmująco uświadamiałem sobie chmury *aeai* wokół siebie, przenikające mnie i siebie nawzajem, warstwa przez warstwę, poziom za poziomem, wielość i jedność naraz. W dwóch Delhi nie było już miejsca dla przedwiecznych dzinnów. *Aeai* je wyparły. To było teraz ich miasto. Porozumienie było jedyną odpowiedzią. Wiatr niósł kurz ulicami, kurz na kurzu. Ujrzałem koniec historii, a sam jeszcze nie sięgałem nogami do podłogi limuzyny.

Byłem przestarzały. Wszystkie talenty kupione dla mnie przez mamę i tatę stawały się niczym w świecie, w którym każdy jest podłączony, w którym każdy ma dostęp do pełnej potęgi uniwersalnego komputera, w którym osobowość jest plastyczna i płynna jak woda. Dorosnę sobie powoli, przez wiek młodzieńczy ku dojrzałości i starości, a to nowe społeczeństwo, nowa ludzkość, będzie wokół mnie coraz szybciej ewoluować. Aż nadto byłem świadomy własnej decyzji. Pójść drogą Shiva i sprzeniewierzyć się wszystkiemu, dla czego mnie stworzono, albo odrzucić ją i zestarzeć się z własnym gatunkiem. My, genetycznie zmodyfikowani Bramini, byliśmy ostatnimi ludźmi. A potem z niemal fizycznym skurczem zdałem sobie sprawę ze swojej pychy. Cóż ze mnie za arystokrata. Biedota przecież. Biedni będą po naszej stronie. Wspaniała indyjska klasa średnia, ze swoim geniuszem i przekleństwem, będzie postępować jak zawsze, w imię własnego, nieoświeconego egoizmu. Pójdzie na wszystko, co przyniesie ich córkom i synom przewagę w darwinowskiej walce o sukces. A biedni będą patrzeć, wykluczeni z postludzkości tak jak teraz z tej szklano-neonowej mrzonki.

Cieszyłem się, cieszyłem się do łez, że postanowiłem niczego nie przekazywać przyszłości. Nie będzie nieskończonego szeregu powoli się starzejących i genetycznie przestarzałych Braminów człapiących w coraz mniej zrozumiałą i nieludzką przyszłość. Czy to było przeczucie? Czy moje jedyne w swoim rodzaju, nakładające się na siebie zmysły tyle lat temu wytropiły jakiś trend, którego nie dostrzegł nawet Shiv, mimo swojego tajnego dostępu do zebranej wiedzy *aeai* trzeciej generacji? Otwarcie i ekstatycznie szlochałem na tylnym siedzeniu płynnie sunącego samochodu. Przyszedł czas. Gdy skręciliśmy w zjazd do podziemnego garażu pod Ramachandra Tower, wykonałem trzy telefony. Najpierw do premiera Srivastavy, na ręce którego złożyłem rezygnację. Potem do Lakshmi, cierplivej Lakshmi, która przez całą tę maskaradę z małżeństwem i bezpłodnością stała mi się drogą i

bliską przyjaciółką. Jej powiedziałem: „Teraz jest pora, żebyśmy się rozwiedli”. A na koniec zadzwoniłem do matki piętro wyżej i dokładnie opowiedziałem, co ze sobą zrobiłem.

OJCIEC OBWIESZONY WSPOMNIENIAMI

Zaraz! Jeszcze jeden numer. Najlepszy ze wszystkich, spodoba wam się. Jeszcze nic nie widzieliście, tylko bieganie w kółko i skoki przez obręcz. Tak. Wiem, że jest bardzo późno, że zaraz wstanie słońce, a wy macie krowy do dojenia, pola do doglądania i umówione spotkania, ale ten numer wam się spodoba. Nie jakoś specjalnie, ale się spodoba. Jedna chwilka, zamocuję te druty.

Zresztą i tak jeszcze nie skończyłem opowiadać. Nie, nie, do końca jeszcze daleko. Myśleliście, że to koniec? Świat wygląda jak wygląda - widzicie teraz, jak mocno jestem zamieszany w waszą historię? Nie, nie, dobra opowieść musi mieć pomyślne zakończenie. Zgodnie ze wszystkimi teoriami, na koniec muszę zmierzyć się z wrogiem. Musi nastąpić rozwiązanie i paść stosowny morał. Wtedy będziecie usatysfakcjonowani.

A te druty? No, będą po nich chodzić. No tak, koty, koty. Nie, nie, nie, najpierw musicie jeszcze trochę posłuchać.

Odszedłem. W tym wielkim cycku boskiego mleka zwisającym z podbrzusza Azji mamy długą i świetną tradycję odejść. Nasz kraj jest w sam raz duży, żeby pochłonąć dowolną duszę, w naszym porządku nadal znajdzie się miejsce dla pielgrzyma z kijem i lędźwiami przepasanymi dhoti. Nasze społeczeństwo ma wbudowany mechanizm służący do takich zniknięć. Każdy, kto zechce, może odejść z przyziemnego świata w świat boski. Jednakże moja ścieżka nie była ani ortodoksyjnie duchowa, ani konwencjonalnie religijna. Ja już widziałem nadchodzących bogów. Odrzuciłem karierę, ubrania, mieszkanie, żonę - mając jej błogosławieństwo i pocałunek na pożegnanie - rodzinę, przyjaciół, tożsamość, sieć znajomości, obecność w sieci, wszystko z wyjątkiem mojej spuścizny genetycznej, której nie dało się pozbyć. Zostałem sadhu. Tylko Sarasvati znała mój tajny sieciowy adres. Wyszedłem z mieszkania i ruszyłem przez zalany blaskiem neonów skwar Rajiv Circle, poboczem zalanych żółtym światłem szos, pod odwróconym ciągiem podchodzących do lądowania samolotów, wzdłuż murowanych, kartonowych i plastikowych schronień niewidzialnej biedoty. Świt zastał mnie przy szopach z falistego aluminium - magazynach i fabrykach na Tughluku. W jedną noc przemierzyłem pieszo całe miasto. To wielka rzecz i bardzo dziwna.

Każdy powinien coś takiego zrobić. Szedłem wzdłuż spękanych betonowych pasm ekspresówek, poboczami wiejskich dróg, owiewany podmuchem i obsypywany kurzem przez przejeżdżające ciężarówki, obok wielkich, powolnych pociągów materializujących się z mgielki upału jak fatamorgany. Kierowcy ciskali mi rupie w zamian za błogosławieństwo. Siadałem, zakrywałem głowę i oczy, gdy szybkie ekspresy śatabdi pędziły koło mnie, pokonując setki kilometrów na godzinę. Czy ich pasażerowie choćby spojrzeli na mnie przez przydymione szyby? Jeśli tak, musiałem im się wydać bardzo dziwnym sadhu. Najmłodszym sadhu na świecie. Małym, ale zdeterminowanym, przy każdym kroku uderzającym kosturem w ziemię.

Co robiłem? Szedłem. Co chciałem znaleźć? Nic. Dokąd szedłem? Szedłem patrzeć. Nie myślcie, że byłem tchórzem czy nieudacznikiem, że uciekłem od prawd, do których sam sobie nie potrafiłem się przyznać. Objawienie, że jestem już nieistotny, dopiekło mi aż do kości. Nie byłem już przyszłością. Byłem ślepą uliczką, genetycznym zaściankiem. Naturalna reakcja kogoś uprzywilejowanego na całkowite odarcie ze znaczenia. Bo pamiętajcie: byłem rozpieszczonym gówniarzem, rozpuszczonym synkiem Mamadzi. Tej samej nocy, której wróciłem i cisnąłem w nią swoją bombą rozrodczą - informując, że nigdy nie będzie miała dynastii wspaniałych Braminów, na którą liczyła - przebudziłem się ze snu. O niepewnej godzinie, kiedy rzeczywistość jest jeszcze półprzytomna, a dżinny chodzą sobie swobodnie. O godzinie, kiedy budzisz się w tym samym łóżku co zawsze i nie masz pojęcia, gdzie, kurna, jesteś. Ze snu wyrwał mnie jakiś dźwięk. Oddech i ryk jednocześnie, hałas aut i klimatyzatorów, odległe rozpaczliwe krzyki oraz bzyczenie neonów i linii wysokiego napięcia. Puls pociągów metra i dostawczych furgonetek; hollywoodzka muzyka filmowa i zlewające się z nią przeboje. Słyszałem, jak Wielkie Delhi oddycha w płytkim śnie; zapragnąłem wyjść na balkon i krzyknąć tak głośno, jak tylko pozwoli moja krtań dziesięciolatka: „Obudźcie się! Obudźcie!”. Przyszłość Shiva może i jest nieunikniona, wpisana w geometrię naszej czasoprzestrzeni przez istoty znajdujące się poza nią, ale nie dopuszczę, żebyśmy weszli w nią krokiem lunatyka. Czułem gonitwę myśli. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłem. Myślałem z oszałamiającą szybkością, obrazy, wspomnienia i pojęcia zderzały się ze sobą, rozpryskiwały, zlewały. Wokół wirowały myślowe konstrukcje, potężne jak góry. Droga, którą musiałem iść, stała się jasna i klarowna. Uformowała się przede mną w niecałe dwie sekundy. Będę musiał odejść od rozprasających myśli polityki i życia towarzyskiego Delhi. Muszę na jakiś czas stać się anonimowy, zamilknąć, tylko słuchać i patrzeć. Miałem do stoczenia wojnę iście mitologicznego kalibru.

Lakshmi ucałowała mnie i poszedłem. Nie mając innego celu poza wędrówką,

wędrowałem przez dwa lata, najpierw na południe, przez granicę, do Radżastanu, potem z powrotem do Bharatu i na północ, w zimne tchnienie Himalajów, w chłodne, zielone skalne grzbiety, gdzie spędziliśmy z Lakshmi miesiąc miodowy. Nad jezioro Dal i do Srinagaru, aż po Leh i Wysoki Kraj. Nie byłem w stanie wyhodować brody, jak przystało na sadhu, ale stałem się chudy i wysoki jak oni. Kastraci zresztą rosną wysocy i chudzi. I dredy. O tak. Dobrze je mieć, chociaż jest nieprzyjemnie, kiedy rosną. Zyskałem także przydomek: Bezbrody Sadhu. Nabrałem mięśni i opalenizny, wytrzymałości, by cały dzień chodzić o misce ryżu i szklance wody. Jakim flaczastym i niesprawnym szczeniakiem byłem dotąd! Zebrałem, popisywałem się sztuczkami księgowymi i pamięcią, w zamian za pożywienie i dach nad głową. Wszędzie zaglądałem mężczyznom i kobietom w trzecie oczy. Widziałem rzeczy, których nigdy nie dostrzegłbym ze szczytu Ramachandra Tower czy z Awadh Bhavan. Widziałem pragnienie i suszę. Widziałem zręcznych przywódców wsi i pracowitych lokalnych urzędników sfrustrowanych przez rządowych biurokratów. Widziałem sprytnie kobiety zamieniające paręset rupii ze spółdzielni mikrokredytowej albo wiejskiego banku w prosperujące biznesy. Widziałem dobrych nauczycieli usiłujących wyrwać pokolenie z pułapki braku nadziei, więzienia kastowego i klasowego - budowanego przez bogaczącą się błyskawicznie awadhską klasę średnią, pośpiesznie wciągającą za sobą drabinę społecznego awansu. Pomagałem przy zbiorach, jeździłem uzepiony traktorów i wysłuchiwałem narzekań rolników na ciągle drożące, zmodyfikowane genetycznie, jałowe nasiona. Ganiałem z kijem za szczurami i machałem rękami, płosząc wróble z całego pola. Siadywałem w wiejskich świetlicach i oglądałem krykieta na wielkich plazmowych ekranach zasilanych zmagazynowaną energią słoneczną. Jakież dziwaczny był ze mnie sadhu. Oprócz „Bezbrodego” zaczęto mnie nazywać „Sadhu od Krykieta”. Oglądałem wiejskie wesela i festyny, widywałem pogrzeby. Widziałem śmierć. Nadeszła niespodziewanie, pewnego dnia, w małym miasteczku pod Agrą. Było święto Holi, ulice pełne kolorowych papierków, strug farby, chmur barwnych proszków, poplamionych sari i białych koszul nie do doprania, a wszędzie uśmiechnięte od ucha do ucha twarze, umorusane wieloma kolorami, białe zęby, błyszczące oczy, wszyscy krzyczą „Holi hai! Holi hai!”, puszczając w powietrze kolorowe strugi. Szedłem przez ten kolorowy cyrk, pstrokaty jak wszyscy. Fatfat był potwornie przeładowany, kilkunastu usmarowanych farbą młodzieniaszków wisiało na każdym słupku i stopniu. Źrenice mieli rozszerzone od gandzi, ryczeli ze śmiechu i rzucali w przechodniów garściami kolorowego proszku. Mnie trafili prosto w twarz. Przednie koło wjechało na studzienkę, przeciążone zawieszenie pękło, wehikuł wykonał idealnego fikołka i wylądował na dachu, który pękł jak skorupka jajka. Ciała pofrunęły we wszystkie strony - większość była

tak rozluźniona gandzią, że zbierając się z ziemi i odchodząc w podskokach, dalej się zaśmiewali. Niestety, jeden się nie ruszał. Był uwięziony pod zgniecioną plastikową skorupą. Leżał na plecach, z rękoma pod dziwnym kątem. Twarz miał wymazaną błękitem, zielenią i różem. Wydawało się, że się uśmiecha, ale moje zmysły wyczuły, że nie żyje. Nigdy dotąd nie widziałem śmierci na własne oczy. Takie to było proste i dziwne, ewidentne i niezaprzeczone, a jednocześnie subtelne, taka nagła przemiana, a jednak przeciwieństwo wszystkiego, czym jest życie. Wymamrotałem modlitwy, których ode mnie oczekiwano, ale w głębi duszy właśnie godziłem się z najgłębszą z ludzkich prawd. Miałem dwadzieścia dwa lata w ciele dość dziwnego jedenastolatka, długość życia mierzyło mi się stuleciami, ale pewnego dnia też tak się położę, przestanę się ruszać, myśleć, czuć i stanę się nicością. Zobaczyłem śmierć i zacząłem rozumieć.

Od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, od świątyni do świątyni, od ogromnych świątynnych kompleksów wielkości miast po pobielone przydrożne kapliczki. Wtem, jednego dnia pod centrum handlowym na zapyłonym od suszy przedmieściu Jaipuru, gdy ochroniarze już ruszyli, by poprosić mnie grzecznie (bo sadhu trzeba zawsze traktować z szacunkiem), żebym sobie poszedł, zobaczyłem to, czego szukałem. Jakiś człowiek odwrócił się ku temu niewielkiemu zamieszaniu, zerknąłem na niego, spojrzenie odwzajemniło Oko Śiwy. Widziałem, jak porusza się w nim biotechnologia.

Poszedłem do miejscowej świetlicy i napisałem swój pierwszy artykuł. Wysłałem go do Suresha Gupty, redaktora naczelnego „Gupshup”, najbardziej otwarcie populistycznego z delhijskich czasopism, tego, które drukowało zdjęcia z moich narodzin i ślubu, a teraz, nieświadomie, także moje prorocтва dotyczące nadchodzącej Epoki Kali. Gupta odrzucił go bez zastanowienia. Następnego dnia napisałem kolejny. Wrócił z uwagą: *Ciekawy temat, ale nieprzystępny dla naszej grupy czytelników.* To już było coś. Wróciłem i napisałem jeszcze raz, siedząc nad kartką do późna w nocy. Pewnie zyskałem kolejne przezwisko: „Sadhu Bazgroła”. Suresh Gupta przyjął ten trzeci artykuł i wszystkie następne. O czym napisałem? o wszystkim, co wyprorokował wtedy Shiv. O tym, co to może oznaczać dla trzech indyjskich rodzin Vora, Dashmukh i Hirandani - ze wsi, miasteczka i miasta. Stworzyłem postacie - matki, ojców, synów, córki, stuknięte ciotki i wujów z mrocznymi tajemnicami, nagle pojawiających się dawno zaginionych krewnych - i opowiadałem ich historie, tydzień po tygodniu, rok za rokiem pisałem o dobrych i złych zmianach spowodowanych zalewającą ich nieustającą powodzią technologicznej rewolucji. Stworzyłem własną telenowelę, odważyłem się nawet nazwać ją *Miasto i wieś*. Odniosła szalony sukces. Sprzedawała się na pęczki. Grupa czytelników pisma Gupty wzrosło o trzydzieści procent w grupie delhijskiej

inteligencji, która na ogół widywała je tylko u fryzjerów i kosmetyczek. Pojawiły się pytania: czyj to pseudonim, ten „Shakyamuni”? Chcemy z nim zrobić wywiad, opisać go, niech się pojawi w „Awadh Today”, chcemy o nim zrobić temat numeru, chcemy, żeby doradzał przy takim i owakim projekcie, żeby został naszym ekspertem od czegoś tam, żeby uświetnił otwarcie supermarketu. Suresh Gupta zbijał wszystkie te pytania jak wprawny krykietowy obrońca. Pojawiały się też inne myśli, te, które docierały do mnie przypadkiem na dworcach, w kolejkach fatfatów, przy kasach w supermarketach, na bazarach, na przyjęciach i rodzinnych spotkaniach: Co to oznacza dla nas?

Dalej podróżowałem, dalej wędrowałem, zanurzając się w małych miasteczkach i wsiach. Cały czas pisałem moją skromną powieść w odcinkach o przyszłości, wysyłając ją do publikacji tu z komórkowego punktu dostępowego, tam z wiejskiej sieci. Wypatrywałem Oka Śiwy. Między pierwszą a drugą obserwacją (w centrum biurowym w Madhya Pradesh) minęło parę miesięcy, a potem już widywałem je regularnie, ale nigdy za często. I nagle, na przełomie 2049 i 2050 pojawiły się wszędzie, jakby pustynia rozkwitła po deszczu.

Szedłem sobie właśnie przez płaski, ponury kraj, na południe, od granicy z Nepalem do Varanasi, snując swoje myśli o ewolucji, darwinizmie i postdarwinizmie oraz immanentnej niepoznawalności osobliwości, gdy wtem odebrałem wiadomość od Sarasvati. Przyszła na ten awaryjny adres. Od razu złapałem stopa do Varanasi i kupiłem bilet na najbliższy satabdi do Delhi. Szykowne dredy, długie paznokcie, brud i święty popiół z wielu miesięcy w drodze - wszystko spłynęło z wodą w poczekalni pierwszej klasy. Kiedy Vishwanath Express wtaczał się pod oszłamiającą, nanodiamentową kopułę New Delhi Central, byłem już wyszykowany i ubrany - elegancki młody delhijczyk, nastoletni kawaler do wzięcia. Sarasvati przyjechała po mnie swoją półciężarówką, poobijanym, starym białym tata, bez autodrive'u, pokładowej *aeai* czy choćby działającej klimatyzacji. Na boku widniał niebieski napis „Hospicjum dla kobiet w New Delhi”. Wędrując po Indiach, śledziłem anonimowo jej karierę, czy raczej kariery. Ciągnęło ją do dobrych uczynków - gdyby była dziewczyną z Zachodu, nie z Delhi, nazwałbym to poczuciem winy za dobre urodzenie. Tu menedżer teatru, tam wiejska spółdzielnia rolna, gdzie indziej jakieś schronisko dla osłów, na samym południu protesty przeciwko zaporze. Szydła ze mnie w ten sposób - pokazując, że prawdziwą pracę wykonuje się u podstaw. Między ludźmi. Trzeba było dopiero wizji naszego braciszka u kresu Epoki Kali, żeby przemówiła do mnie jej filozofia.

Miała zaledwie dwadzieścia lat, ale wyglądała starzej, jakby moja przedłużona młodość odbiła się na niej w jakiejś karmicznej równowadze. Jeździła jak terrorystka. A może ja jeszcze nigdy nie jechałem po mieście, po Delhi, rozwalającym się pickupem marki Tata...

Nie. Jeździła jak terrorystka.

- Trzeba było mi wcześniej powiedzieć.
- Ale on nie chciał. Chce mieć to pod kontrolą.
- Co to jest właściwie?
- Płasawica Huntingtona.
- Nie ma na to lekarstwa?
- Nigdy nie było i nadal nie ma.

Sarasvati przebiła się klaksonem przez kłębowisko pojazdów wokół ronda na Parliament Street. Śiwaici cały czas bronili swojej świątyni, trójzęby w górze, na czołach jedyna prawdziwa tilaka Śiwy - trzy białe poziome paski. Ten drugi znak widziałem na czole co drugiej osoby na ulicy. Sarasvati była jednak czysta.

- Musiał wiedzieć, odkąd przeszedł badania genetyczne przed moim poczęciem - powiedziałem. - Ale nigdy nic nie powiedział.

- Może wystarczało mu, że ty nigdy na to nie zachorujesz.

Dadadźi miał dwie pielęgniarki, bardzo miłe, nazywał je Nimki i Papadi, młode Nepalki, bardzo powściągliwe i kulturalne, cicho mówiące i ładne. Monitorowały go, sprawdzały mu tlen, opróżniały woreczek do kolostomii, przekładały w łóżku, żeby uniknąć odleżyn, oczyszczały z ropy i skrzepów niezliczone rurki wchodzące w jego ciało. Miałem wrażenie, że na swój sposób go kochają.

Sarasvati zaczekała w ogrodzie. Nie mogła patrzeć na tatę w takim stanie, choć mnie wydało się, że to jakaś głębsza niechęć, nie wobec tego, czym jest teraz, lecz wobec tego, czym się stawał.

Tushar Nariman, zawsze pulchny, przy wymuszonym bezruchu stał się naprawdę gruby. Pokój, na parterze, miał widok na spalony słońcem trawnik. Brunatne od suszy drzewa oddzielały go od pospolitości ulicy. To była próba dla duszy, jeśli nie dla ciała. Neurologiczny rozkład posunął się już dalej, niż się spodziewałem.

Ojciec był wielki, opuchnięty i blady, ale machina i tak nad nim górowała. Widziałem w niej modliszkę - wszystkie te ramiona, czujniki i manipulatory wbite w niego przez tuziny nacięć i wenflonów. To Gandhi mówił, że wszelka chirurgia jest gwałtem na ciele. Modliszka monitorowała go igłami czujników powbijanych w całe ciało, niczym w jakiejś radykalnej akupunkturze, a także, nie miałem wątpliwości, przez czerwone Oko Śiwy na czole. Maszyneria pozwalała mu mrugać, przełykać i oddychać, a kiedy mówił, mówiła za niego. Nie poruszał ustami. Głos dochodził z głośników na ścianach, przez co brzmiał niepokojąco bosko. Gdybym był podpięty do tego wszystkiego przez trzecie oko, odzywałby mi się

bezpośrednio w głowie, jak telepata.

- Świetnie wyglądasz.

- Dużo chodzę.

- Brakowało mi cię w wiadomościach. Podobało mi się, jak knujesz i kombinujesz. Do tego cię stworzyliśmy.

- Stworzyliście mnie zbyt inteligentnego. Supersukces to brak życia. Nigdy nie byłbym szczęśliwy. Niech Shiv sobie podbija świat i zmienia społeczeństwo. Ktoś superinteligentny zawsze wybierze spokojne życie.

- No to, co tam porabiałeś, synu, odkąd odszedłeś z kancelarii premiera?

- Już mówiłem. Wędrowałem. Inwestowałem w ludzi. Opowiadałem historie.

- Ja się z tobą pokłóczę. Nazwałbym cię niewdzięcznym gówniarzem, ale Nimki i Papadi mówią, że to mogłoby mnie zabić. Tylko że ty jesteś niewdzięcznym gówniarzem. Daliśmy ci wszystko - wszystko! - a ty po prostu wywaliłeś to do rowu. - Odetchnął dwa razy. Każdy oddech był walką. - A ty, co sobie myślisz? Nic niewarte, nie?

- Chyba masz tu dobrą opiekę.

Przewrócił oczyma. Musiał czuć coś znacznie gorszego niż ból. Tylko siła woli trzymała go jeszcze przy życiu. Woli czego? Nie wiedziałem.

- Nie masz pojęcia, jak mam już tego dość.

- Nie mów tak.

- Defetyzm, co? Nie trzeba twojej nadludzkiej inteligencji, żeby widzieć, że tu nie ma dobrego rozwiązania.

Odwróciłem krzesło i przysiadłem na nim, dłonie złożyłem na oparciu, a na nich podbródek.

- Co ty jeszcze chcesz osiągnąć?

Dwa razy śmiech - jeden z głośników, drugi to bulgot flegmy w strudzonym gardle.

- Powiedz mi: wierzysz w reinkarnację?

- Chyba wszyscy wierzymy, nie? W końcu jesteśmy hindusami.

- Nie, ale naprawdę. W wędrówkę dusz.

- Ale co ty właściwie robisz? - Już wypowiadając pytanie, wyciągnąłem ów straszny wniosek. - Z tym Okiem Śiwy?

- Tak to nazywasz? Ładnie. Podtrzymywanie życia to drobiazg, ta machina robi poważniejsze rzeczy. Składa się głównie z procesorów i pamięci. Z każdą sekundą przenoszę się do niej, kawałek po kawałeczku.

Transfer świadomości, złudzenie nieśmiertelności, nieskończona reinkarnacja jako

czysta informacja. Błada, bezcielesna postludzka teologia. Pisałem o niej w moich artykułach z cyklu „Państwo”, kazałem swoim odcinkowym rodzinom mierzyć się z nią i demaskować jej fałszywe obietnice. A oto stała przede mną aż nadto cielesna, w moim własnym doczesnym serialu, w postaci mojego ojca.

- I tak umrzesz - powiedziałem.

- To umrze.

- To to ty.

- Żadna część mojego ciała nie jest taka sama jak dziesięć lat temu. Każdy atom w moim ciele się zmienił, ale i tak uważam, że jestem sobą. Ja trwam. Pamiętam, jak byłem tamtym fizycznym ciałem. Mam ciągłość. Gdybym postanowił się skopiować, jak jakiś folder albo pliki, to wtedy tak, na pewno poszedłbym w ten ciemny jar, z którego nie ma powrotu. Ale może, może, jeśli się powoli rozbuduję, przekopuję stopniowo, wspomnienie za wspomnieniem, po trochu, może się okazać, że śmierć niczym się nie różni od ucięcia paznokcia.

W pokoju tak wypełnionym dźwiękami medycznej maszynerii nie mogła nigdy zapaść cisza, ale umilkły głosy.

- Czemu mnie tu wezwałeś?

- Żebyś wiedział. Żebyś może dał mi błogosławieństwo. I ucałował mnie, bo się boję, synu. Strasznie się boję. Nikt tego dotąd nie robił. To strzał w ciemność, na ślepo. Co będzie, jeśli się myliłem, jeśli wierzyłem w mrzonkę? Proszę, pocałuj mnie i powiedz, że wszystko będzie dobrze.

Podszedłem do łóżka. Ostrożnie, pomiędzy rurkami, kablami i drutami. Objąłem to spragnione słońca cielsko. Ucałowałem usta ojca, a moje wargi ułożyły się wtedy w nieme słowa: „Jestem i zawsze będę wrogiem Shiva, ale jeśli cokolwiek tu jeszcze z ciebie zostało, jeśli czujesz i rozumiesz wibracje moich ust, daj mi jakiś znak”.

Wyprostowałem się i powiedziałem:

- Kocham cię, tato.

- Kocham cię, synu.

Usta nie poruszyły się, palce nie drgnęły, a oczy tylko patrzyły, patrzyły i wypełniały się łzami. Uratował matkę z powodzi na przewróconym biurku. Nie. To był ktoś inny.

Mój ojciec zmarł dwa miesiące później. Dwa miesiące później mój ojciec osiągnął cybernetyczną nirwanę. Tak czy owak, ja po raz kolejny odwróciłem się plecami do Wielkiego Delhi i opuściłem zarówno świat ludzi, jak i *aeai*.

PORANEK BIAŁEGO KONIA

No co? Spodziewaliście się bohaterstwa? Tak, odszedłem, a co? Co miałem zrobić, latać i krzyżeć jak hollywoodzka gwiazda filmowa? I kogo zastrzelić? Czarny charakter? A kto tu jest czarnym charakterem? Shiv? Scenę śmierci na pewno zagrałby super, jak najlepszy hollywoodzki złoczyńca z czarnymi wąsami, ale wróg z niego żaden. Jest człowiekiem interesu, stuprocentowo i klarownie. Biznesmenem, który ma produkt, który nieodwracalnie i całkowicie zmienił każdy element naszego świata. I gdybym go zastrzelił, nic by się nie zmieniło. Nie da się zastrzelić cybernetyki ani nanotechnologii; ekonomia uparcie nie chce wystąpić w pięciominutowej scenie, kiedy czołga się, umierając, z wytrzeszczonymi oczyma, nie rozumiejąc, jak jej wspaniałe plany mogły się tak skończyć. W prawdziwym świecie nie ma czarnych charakterów - w prawdziwych światach, chyba tak się powinno teraz mówić - i bardzo niewiele jest bohaterów. A bohaterów bez jaj to już chyba w ogóle nie ma. Bo to przecież kwintesencja bohatera. Ma jaja.

Nie, ja zrobiłem to, co zrobiłby każdy rozsądny tutejszy chłopak. Spuściłem głowę i przeżyłem. W Indiach zostawiamy heroizm tym, którzy mają do tej gry odpowiednie możliwości: bogom i półbogom z Ramajany i Mahabharaty. Niech oni sobie pokonują świat trzema krokami i walczą z armiami demonów. Nam zostawcie ważne rzeczy: zarabianie pieniędzy, chronienie rodziny, przetrwanie. Tak robimy od początku historii, przez wszystkie inwazje i wojny o sukcesję, pod Ariami, Mogołami i Brytyjczykami - spuszczaemy głowy, robimy swoje i krok za krokiem przeżywamy, przyswajamy, asymilujemy i na koniec podbijamy. To pozwoli nam przetrwać i ciemną epokę Kali. Indie przeżyją. Indie to ich mieszkańcy i wszyscy z nich są bohaterami swojego własnego życia. Istnieje tylko jedna droga bohatera: od klapsa po narodzinach do całopalenia na ghacie. Mamy półtora miliarda bohaterów. Ktoś może się z tym mierzyć? A więc, czy zostanę bohaterem swojego długiego życia? To się jeszcze okaże.

* * *

Po śmierci ojca wędrowałem przez całe dziesięciolecie. W Delhi nic mnie nie trzymało. Wykształciłem sobie buddyjski brak przywiązania do miejsca, choć teraz moja wędrówka nie przypominała tamtych duchowych poszukiwań sadhu. Świat zbyt raptownie doganiał moje wymyślone postaci z *Miasta i wsi*. Przez pierwsze parę lat słałem, choć coraz rzadziej, artykuły do „Gupshup”. Naprawdę jednak wszyscy już byli moimi Vorami, Dashmukhami i Hirandanimi. Serial rozpełzł się w nicość, wątki niedokończone, rodzinne

dramaty zawieszono. Nikt tego nie zauważył. Teraz wszyscy naprawdę mieszkali w takim świecie. A moje zmysły sygnalizowały tę niewiarygodną, niewyobrażalną rewolucję w szczegółowości i bogactwie postrzegania. W Kerali, w Assamie, w plażowym barze na Goa, w myśliwskim parku w Madhya Pradesh, w innych peryferyjnych miejscach było się z daleka od tego, więc dało się to zrozumieć. W Delhi by mnie przytłoczyło. Sarasvati cały czas informowała mnie, telefonicznie i mejlowo. Na razie oparła się Oku Śiwy, tej niesamowitej natychmiastowości i bliskości oraz niepostrzeżenie umierającej prywatności - tym darom bezpośredniej komunikacji przez myśl. Trzecia Rewolucja Shiva przydała mocy i wizji jej chaotycznej karierze. Podjęła decyzję i zainstalowała się wśród biedoty. Pewną drobną przyjemnością sprawiał mi fakt, że telewizyjni i sieciowi mądrze przyznawali teraz, że może ten stary piernik Shakyamuni miał rację w swoich okropnych, populistycznych chałturach w „Gupshup” i uderzenie technologii faktycznie rozłupało Indie, całe Indie, ten wielki diament Ziemi, na dwa państwa, szybkie i wolne, podłączone i niepodłączone. Tych, co mają, i tych, co nie mają. Sarasvati opowiedziała mi o klasie średniej, która tak szybko ucieka w opartą na powszechnych komputerach przyszłość, że prawie przebarwia się ku czerwieni, oraz o odwiecznej biedocie, współdzielącej tę samą przestrzeń, ale niewidocznej w działającym non stop, zawsze dostępnym świecie ludzi podłączonych. Cienie i kurz. Dwa kraje: Indie - brytyjska nazwa tego zlepku narodów, języków i historii, oraz Bharat - przedwieczny, atawistyczny, pełen bogów.

Dopiero z odległości zyskiwało się odpowiednią perspektywę, by ogarnąć w całości tę erę zmian. Dopiero usunąwszy się na bok, zaczynałem rozumieć te dwa kraje. Indie - miejsce, gdzie niewidzialne i widzialne stapia się ze sobą jak dwie zlewające się rzeki, święta Yamuna i Matka Ganga oraz trzecia, niewidzialna, boska Sarasvati. Ludzie i *aeai* spotykali się i dowolnie mieszały. W ludzkich umysłach *aeai* przybierały kształty, ludzie stawali się odcieleśnionymi postaciami rozproszonymi w globalnej sieci. Wróciła epoka magii, dni, gdy ludzie mogli mieć pewność, że na ulicach Delhi spotkają dżinny, i zwyczajowo zwracali się do demonów po radę. Indie leżały tak wewnątrz umysłu i wyobraźni, jak pomiędzy Himalajami i morzem, czy też w rozciągającej się na cały subkontynent nowiutkiej sieci komunikacyjnej, bardziej skomplikowanej, mającej więcej połączeń i bardziej wyrafinowanej niż którykolwiek z ludzkich mózgów.

A Bharat był biedny. Bharat miał popękane dłonie i pięty, ale był piękny. Bharat sprzątał, zamiatał, gotował i zajmował się dziećmi. Bharat prowadził samochody, budował, pchał taczki na ulicach i taszczył paczki po schodach. Bharat był wiecznie spragniony. Jakie to ludzkie, tak dać się pochłonać najnowszemu kryzysowi, żeby zapomnieć, że nie udało nam

się rozwiązać poprzedniego. Problemem Indii było teraz przechowywanie danych. Ilość generowanej informacji rosła wykładniczo, dostępna pamięć - tylko arytmetycznie. Maltuzjanizm informacyjny zagrażał wielkiej technologicznej rewolucji. A problemem Bharatu była woda. Monsun, już wcześniej kapryśny, zmienił się w mżawkę, w parę burz, które uciekały znad spękanej ziemi, gdy tylko uroniły nieco deszczu, w zwodniczą linię chmur na horyzoncie, która nigdy nie podchodziła bliżej. Himalajskie lodowce zasilające wielkie rzeki Indii Północnych oraz powoli płynącą Brahmaputrę skończyły się; zostały szare moreny z kamyków i suchej gliny. Nadchodziła susza, matka wszystkich susz. Ale cóż to było dla klasy podłączonych? Stać ich było na odsalaną wodę, zresztą, czy Indie nie zrodziły się z wody? A jeśli stanie się najgorsze i wszechświat stanie w płomieniach, to użyją swojej niesamowitej nowej technologii i przetransferują się z nieapetycznych fizycznych ciał do tych wymarzonych Indii pomiędzy światem rzeczywistym i wirtualnym. Bodhisofty, tak nazywano te przetransferowane istoty. Shiv byłby dumny z takiej nazwy.

Z mojego plażowego baru, z mojej szkoły nurkowania, z mojego ośrodka łowieckiego, księgarni, klubu tanecznego, kawiarni, biura przewodników wycieczek, z restauracji, antykwariatu i azylu medytacyjnego, patrzyłem, jak spełniają się moje proroctwa. Tak, prowadziłem wiele tych przedsięwzięć. Dziesięć, po jednym na każde wcielenie z Daśawatary mojego boskiego imiennika. Wszystkie gdzieś na peryferiach, wszystkie z widokiem na Epokę Kali. Straciłem rachubę lat. Stopiłem się ze swoim ciałem. Stałem się wysokim, smukłym mężczyzną o wysokim czole, z cienkim głosem, długimi dłońmi i stopami. I miałem bardzo, bardzo piękne oczy.

Upływ lat mierzyłem stratami. Ponownie nawiązałem kontakt z moim politycznym odpowiednikiem w Varanasi, Shaheenem Badoor Khanem. Zaskoczyło go, jak wszystkich, kiedy tak raptownie zniknąłem ze sceny politycznej, ale jego kariera też nie obyła się bez przestojów i kiedy odkrył, że to ja jestem Shakyamunim, autorem szeroko przedrukowywanych w całych Indiach artykułów z cyklu *Miasto i wieś*, rozpoczęliśmy ożywioną i obfitą korespondencję, która trwała aż do jego śmierci w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. Umarł całkowicie i w sposób godny przyzwoitego muzułmanina. Lepsza obietnica raju niż chmury wątpliwości bodhisoftu. Za to moja własna matka usunęła się ze świata w krainę bodhisoftów. Sarasvati nie chciała powiedzieć, czy przyczyną była jakaś groźna choroba, czy po prostu znudzenie światem. Tak czy owak, nigdy jej nie wypatrywałem pomiędzy wielkimi jak wieżowce blokami pamięci, które oblegały teraz Delhi ze wszystkich stron, tuż za linią dawnej obwodnicy Siri Ringu. Także Lakshmi, moja prawie-żona i ukochana współkonspiratorka, przeniosła się do królestwa bodhisoftów, gdzie mogła zgłębiać

tajemnice wyrafinowanych matematycznych gier, które tak ją fascynowały. Nie wszystkie takie zdarzenia odbierałem jako stratę. Wiek Kali przyniósł mi także przyjaciela, kolejnego wybitnego

Khana, mojego dawnego gubernera z College'u Braminicznego doktora Renganathana. Wyłaniał się z wiru iDustu, zastępującego ekrany i hoeki tym, którzy atawistycznie opierali się Oku Śiwy, i spędzał przyjemnie wieczory, prawiając mi kazania o moim rozprężeniu moralnym.

Potem ulice Delhi zasypał pył. Nie był to pył niekończącej się suszy, która wypalała pola, suszyła na proch zbiory i wypędzała miliony mieszkańców Bharatu do miast Indii. To był pył Śiwy, święty popiół firmy nanokomputerów firmy Purusa, wypuszczony w wielki świat. Bharat może umiera z pragnienia, ale oto! oto! mamy rozwiązanie problemu Indii - braku pamięci. Dla pyłu Shiv też wymyślił nazwę, trafną nazwę, jak zawsze. Nazwał go devami.

Zadzwoił do mnie. Minęły dziesięciolecia odkąd ostatni raz rozmawialiśmy, przy lassi, w ogrodzie jego varanaskiego domu. Prowadziłem wtedy sanktuarium medytacyjne w Pandui. Było przestronne, zaciszne, chłodne, jedynym zakłóceniem był przyciężki tupot stóp Zachodniaków, którzy licznie do mnie przychodzili. Nauczyłem się, że chodzenie boso nie jest dla nich naturalne. Zadzwonił przekaźnik iDustu - rozmowa. Myślałem, że to będzie pan Khan, lecz z wiru drobinek wypączkował mój brat. Stracił mocno na wadze, bardzo mocno. I dobrze wyglądał, aż za dobrze. Mógł być czymkolwiek: ciałem, agentem *aeai*, bodhisoftem. Przywitaliśmy się i skomplementowaliśmy nawzajem własny wygląd.

- A jak tam Nirupa?

Uśmiechając się, sprawiał wrażenie, że jest człowiekiem. *Aeai* także mają swoje emocje, czy też ich odpowiedniki.

- Świetnie. Bardzo dobrze. Ma dwadzieścia osiem lat, uwierzysz?

Przyznałem, że trudno mi uwierzyć.

- Dobrze się jej układa, znalazła odpowiedniego kawalera, z porządnej rodziny, który nie leci na pieniądze. Tego typu staroświeckie kwestie. Cieszę się, że wyczekała odpowiednią chwilę, teraz już mogą się nie śpieszyć.

- Mają czasu, ile zechcą.

- Jest piękna. Vish, muszę ci coś jeszcze powiedzieć. To nie jest ostrzeżenie, bardziej informacja, żebyś mógł się przygotować.

- Słabo to brzmi.

- Mam nadzieję, że nie. Przewidziałeś to bardzo dokładnie.

- Co przewidziałem?

- No, nie kokietuj. Wiem, jak się podpisywałeś. Obawiam się, że w świecie przezroczystych nie ma tajemnic. Nie, miałeś rację i cieszę się, że miałeś, bo chyba trochę złagodziłeś ten cios. Ale jest jedna rzecz, której nie przewidziałeś, może nie mogłeś.

Powiew wietrzyka zakołysał płomykami świec w moim skromnym, drewnianym pokoiku. Ciężkie, białe stopy zatupały tup, tup, tup na skrzypiących deskach za przesłoniętym listewkami oknem. Gdyby zajrzeli przez tę kratkę, zobaczyliby, że gadam z duchem. W tej epoce to nie było nic dziwnego, zresztą, w większości innych także nie.

- Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, powiedziałeś, że wykorzystujesz informacje z jakiegoś pradawnego urządzenia, które podarowały nam *aeai*.

- Dobrze się domyśliłeś.

- Logiczne.

- Kiedy Trimurti opuściła Ziemię, otworzyli sobie połączenie do oddzielnego kontinuum czasoprzestrzennego. Pod paroma względami różni się od naszego. Po pierwsze, czas tam biegnie szybciej niż u nas, choć dla mieszkańców nie jest to zauważalne. Po drugie, zwrot czasu jest przeciwny niż u nas. Trimurti cofa się w czasie, właśnie dzięki temu wydaje się, że ich artefakt, zwany przez Amerykanów Tabernakulum, jest starszy od Układu Słonecznego. Ale najważniejsze, i dlatego go wybrali: informacja stanowi tam budulec fizycznej struktury czasoprzestrzeni.

Zamknąłem oczy i skupiłem wyobraźnię.

- Mówisz, że informacja, dane, umysły, wszystko to tworzy podstawową strukturę tamtego wszechświata. Umysły, które nie potrzebują ciał. Cały wszechświat jest jak kosmologiczny komputer.

- Czyli zrozumiałeś.

- A ty znalazłeś sposób na powrót do tamtego wszechświata.

- O nie, nie, nie, nie. Jest zamknięty. Skończył się razem z Trimurti. Ich czas minął. To był niedoskonały wszechświat. Są inne, podobne, myślowe światy, ale lepsze. Otworzymy takich portali dziesiątki, setki, a potem i tysiące. Nasze potrzeby informatyczne będą stale przekraczać dostępną w naszym świecie pamięć, a te moje devy to tylko półśrodek. Cały wszechświat, tuż obok naszego, pod ręką, dostępny jako zasoby informatyczne.

- Co chcesz zrobić?

- Nadchodzi czas Dźjotirling.

Dźjotirlingi to święte miejsca, gdzie w Epoce Wedów wytrysnęła z ziemi sprawcza, stwórcza siła Pana Śiwy, tworzą słupy boskiego światła, największe w historii lingamy,

symbole falliczne. Tym razem nie będą pochodzić z ziemi, lecz z innego wszechświata. A Shiv nazwał je na cześć kosmologicznego fiuta swojego imiennika. Nie dało się go posądzić o brak pychy. Jego pyłkowy obraz zamigotał, zawirował i rozsypał się w miliard świetlnych pyłków. Uśmiech dalej jakby wisiał w powietrzu, jak u legendarnego kota z Cheshire. Tydzień później w miastach w całych Indiach pojawiło się dwanaście słupów światła. Przez drobną pomyłkę, Dźjotirlinga w Delhi wylądowała pośrodku Dalhousie, największego slumsu w mieście, niewyobrażalnie przeludnionego przez uciekających przed suszą uchodźców.

* * *

Jednoczesne pojawienie się o godzinie 11.33 dwunastu kolumn światła w miastach całych Indii sparaliżowało sieć kolejową. Było to jedno z mniejszych zaburzeń, jak na ten dzień, ale dla mnie, tkwiącego na wyspie pośrodku Brahmaputry i potrzebującego dostać się do Delhi, okazało się najważniejsze. Cud, że w ogóle coś latało; fakt, że w ogóle za jakąkolwiek cenę byłem w stanie zarezerwować bilet, sam w sobie stanowił dowód na nową erę bogów. Choć pośrodku naszych pięknych i starożytnych miast otworzyły się bramy do obcych światów, hinduskie babcie i tak muszą jechać do swoich ukochanych wnusiów.

Próbowałem zadzwonić do Sarasvati, ale w Delhi leżała cała łączność, a *aeai* z centrów obsługi informowały o nieokreślonym terminie przywrócenia działania sieci. Zastanawiałem się, jak muszą się czuć ci przyzwyczajeni do rozproszenia świadomości po sieci deva, nagle wtłoczeni z powrotem do jednej głowy. Tymczasem airbus Air Awadh niósł mnie nad skurczoną srebrną niteczką wyschniętego Gangesu. W maleńkiej toalecie po raz kolejny dokonałem przemiany w ogolonego, ostrzyżonego, obytego chłopaka z Delhi. Gdy podchodziliśmy do lotniska Indiry Gandhi, kapitan powiedział, żeby pasażerowie po prawej spojrzeli za okna. Zobaczają Dźjotirlingę. Głos miał niepewny, nie był to ton, jaki chciałoby się słyszeć u kapitana pasażerskiego samolotu; jakby sam nie wierzył w to, co widzi. Ja przypatrywałem się temu zjawisku na długo przed jego obwieszczeniem - linia jaskrawego jak słońce światła wznosiła się znad zamglonej plamy centralnego Delhi i pięła się ponad zasięg wzroku, gdy wyginałem szyję, by przez maleńkie okienko spojrzeć w ciemniejące niebo.

Sarasvati tam będzie. To było ostrzeżenie Shiva. Kiedy rozbłyśnie to światło, rozejrzy się i w tej samej sekundzie podejmie decyzję. Potrzebujący. Nie odmówi im pomocy.

Formalności imigracyjne zajęły półtorej godziny. Jednocześnie wylądowało pięć samolotów pełnych dziennikarzy. Jak się zdaje, usieciowiony świat i tak nie był w stanie zastąpić naziemnych reporterów. W hali brzęczały roje kamerek wielkości much. Dwie godziny, żeby przebić się limuzyną przez Delhi. Autostrady były zakorkowane, wszyscy

wyjeżdżali z miasta, poruszając się z geologiczną powolnością. Zgiełk klaksonów był okropny dla kogoś, kto świeżo opuścił głęboką, aż płynną ciszę dharamaśali. Do miasta jechali chyba tylko wojskowi i media; żołnierze zatrzymywali nas na skrzyżowaniach, żeby przepuścić grzmiące konwoje wynajętych autokarów z uchodźcami. Na wielkim skrzyżowaniu bezkolizyjnym na Siri Ringu ani drgnęliśmy przez pół godziny. Z nudów patrzyłem z podziwem na ściany farm pamięci: niebotyczne czarne monolity pijące blask słońca swoimi solarnymi ścianami, wciśnięte jedna przy drugiej jak okiem sięgnąć. Przy każdym wdechu razem z klimatyzowanym powietrzem wciągałem miliony dev.

Wszystkie pobocza, wszystkie pasy awaryjne i ronda, wszystkie skrzyżowania, parkingi, podjazdy i ogrody wypełniały szopy i namioty uchodźców. Najporządniejsze składały się z trzech niskich murowanych ścian z plastikowymi workami zamiast dachu, najgorsze - z kartonowych odpadków, albo patyków i szmat powiązanych w coś dającego odrobinę cienia. Stopy zdeptały wszelką zielen, a dłonie ogołociły drzewa do zera w poszukiwaniu opału. Z gołej ziemi wzniecał się pył, mieszający się w powietrzu z devami. Basti wcisnęły się nawet pod same podnóża wież pamięciowych. Co sobie wyobrażała Sarasvati? Co wskóra w obliczu tak gigantycznej katastrofy? Spróbowałem znów zadzwonić. Sieć dalej nie działała.

Bharat najechał na Indie, a teraz Indie go wyrzucały. Jechaliśmy, trąbiąc bez przerwy, wzdłuż strasznej, wychudzonej armii uchodźców. Żadnych porządnych samochodów. Lepiej sytuowani mieli ciężarówki, stare autobusy, pickupy, a za nimi roje fatfatów, przeładowanych bardziej niż ten fatalny, który sprawił, że w święto Holi odkryłem śmierć. Motocykle i motorowery niemal niewidoczne pod belami pościeli i wiązkami garnków. Widziałem także sapiące, domowej roboty ustrojstwo przypominające traktor, z niebezpiecznie odsłoniętym silnikiem, ciągnące przyczepę wyładowaną na wysokość domu, pełną kobiet i dzieci. Wózki zaprzężone w osły, osły zgięte i mozolące się pod ciężarem ładunku. Na koniec exodus napędzały i ludzkie mięśnie: riksze rowerowe, taczki, ładunki na przygiętych plecach. Wojskowe roboty pilnowały ich, poganiały w odpowiednią stronę, karały elektrycznymi pałkami tych, którzy zeszli z dozwolonej dla uchodźców trasy albo upadli.

A poza wszystkim i ponad wszystkim wznosiła się srebrna lanca Dźjotirlingi.

- Sarasvati!

- Wisznu! - Ledwo słyszałem ją przez ten harmider.

- Przyszłam po ciebie.

- Przyszłaś po? - U niej panował taki sam hałas. Wiedziałem, co zrobić. Szofer zawiezie mnie tam jak najszybciej.

- Musisz uciekać.

- Vish.

- Vish, Vish. Co na to wszystko poradzisz? - Westchnęła. - No dobra, spotkajmy się. -
Podala mi nowe namiary.

Szofer kiwnął głową. Wiedział, gdzie to jest. Mundur miał jak spod igły, czapkę niesamowicie elegancką, lecz widziałem, że boi się tak samo jak ja.

Na Mehrauli Boulevard usłyszałem strzały. Bezzałogowce zawirowały w beczkach nad dachem samochodu, tak nisko, że ich odrzut zakołysał zawieszaniem. Zza sfatygowanej fasady centrum handlowego wznosił się dym. Znałem tę ulicę. Parliament Road, a to był stary hotel Park, a tu Bank of Japan. Ale wszystko w kompletnej ruinie. W hotelu brakowało połowy szyb. W zaciszne ogrody wokół Jantar Mantar wtargnęli uchodźcy z tobołami, foliowe dachy ruder opierały się o nieskazitelne marmurowe kanty przyrządów astronomicznych Jaia Singha. Wszędzie tłoczyły się budy, szałas i nędzne szopy.

- Dalej pana nie zawiozę - powiedział szofer, gdy na Talkatora Road wjechaliśmy w unieruchomioną horde ludzi, zwierząt, pojazdów i wojska.

- Proszę się stąd nie ruszać - poleciłem mu, wysiadając.

- Raczej nie da rady - odparł.

Tłum napierał potwornie i chaotycznie - to było najokropniejsze miejsce, w jakim się w życiu znalazłem, ale była tam Sarasvati, widziałem ją na swojej myślowej mapie. Kordon policyjnych robotów próbował zepchnąć mnie razem z tłumem ze stopni Awadh Bhavan, ale zanurkowałem pod nimi i przedostałem się. Znałem to miejsce. Oddałem jaja, żeby móc tu pracować. Nagle, cudem znalazłem się na otwartej przestrzeni. Serce mi podskoczyło. Obraz się zakołysał. Delhi, kochane, moje Delhi, pozwolili, żeby stało się z tobą coś takiego. Wspaniałe zieleńce i bulwary, przestronne ćauki i majdany Rajpathu były jedną wielką połącją slumsów.

Daszek na daszku na daszku, chylące się ściany, karton, drewno, cegła i folia. Dym kilkunastu ognisk. A to, to było Dalhousie. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że stanie się to nazwą miejsca, gdzie najnowsze z Nowych Delhi będzie spędzać ludzi wygnanych do miasta przez suszę i biedę. Cóż za pogarda nowych Indii wobec starego Awadhu. Komu potrzebny parlament, kiedy wszechobecne komputery umożliwiają konsensus w każdej sprawie? Z miejsca, gdzie, jak się zdaje, stała kiedyś stara Imperialna Brama, na końcu eleganckiego Rajpathu, wznosiła się teraz Dźjotirlinga. Była tak jasna, że nie dało się na nią patrzeć dłużej niż przez chwilę. Rzuciła na obraz nędzy i rozpacz potworny, nienaturalny srebrny cień. Gwałciła moją bramińską wrażliwość. Czyżbym czuł zapach głosów, słyszał

kolory, czy to łaskotanie zimnego cytrynowego puszku na moim czole to właśnie promieniowanie innego wszechświata?

Wokół kłębili się ludzie, dym walił mi prosto w oczy, chwiałem się od podmuchów bezzałogowców i latających kamerek. Miałem tylko chwilę, zanim wojsko mnie złapie i wrzuci z powrotem w środek spanikowanej cizby. Albo i coś gorszego. Na ziemi widziałem trupy, a z rzędów plastikowych szop przy dawnej chatry unosiły się płomienie.

- Sarasvati!

I oto była. O tak, była, chuda jak pejcz w bojówkach i jedwabnej bluzce, ale pełna swojej wspaniałej energii i determinacji, wychynęła z walącej się rudery. Oburącz ciągnęła dwójkę dzieci, załzawionych, o umorusanych buziach. Małych. Dokładnie w tym miejscu zeskoczyła z weselnego słonia, żeby pisać z tancerzami w swoim absurdalnym przebraniu mężczyzny z wielkimi sztucznymi wąsiskami.

- Sarasvati!

- Masz samochód?

- No, przyjechałem tu samochodem.

Widziałem, że dzieci się zaraz rozplaczą. Sarasvati popchnęła je ku mnie.

- Weź tę dwójkę.

- Jedź ze mną.

- Tu są jeszcze dzieci.

- Co? O czym ty mówisz?

- To grupa specjalnej troski. Porzucono je, kiedy otworzyło się niebo. Wszyscy uciekają i zostawiają dzieci. Weź tę dwójkę do samochodu.

- Co ty robisz?

- Tu jest ich jeszcze dużo.

- Nie możesz tam iść.

- Zabierz je tylko do samochodu, a potem wróć.

- Ale wojsko...

I zniknęła w kłębach dymu. Przepadła w mrowisku uliczek między ruderami. Dzieci pociągnęły mnie za ręce. Tak, tak, trzeba je wydostać. Do samochodu już niedaleko. Odwróciłem się, usiłując wypatrzeć w zbitej masie uchodźców jakąś drogę. Wtem poczułem na karku falę żaru. Odwróciłem się i zobaczyłem wykwitający nad zaułkiem ogromny obłok płomieni, unoszący arkusze płonącej folii. Wykrzyknąłem coś bez słów i bez sensu, a potem, sypiąc iskrami, z hukiem, zawałyły się całe slumsy.

* * *

Epoka Kali. Słabo toleruję tę popularną u Hindusów tendencję, by twierdzić, że ponieważ jesteśmy tak starą kulturą, to właśnie my wszystko wynaleźliśmy. Astronomia? Made in India. Zero? Made in India. Niedeterministyczna, probabilistyczna natura rzeczywistości, według teorii kwantowych? Indyjska. Nie wierzycie? Wedy mówią, że cztery wielkie Epoki wszechświata odpowiadają czterem możliwym wynikom gry w kości. Najlepszy możliwy rezultat to Krita Juga, Wiek Doskonałości. Kali Juga, Wiek Konfliktu, Mroku, Zepsucia i Rozpadu, to najgorszy możliwy wynik. Wszystko sprowadza się do rzutu boskimi kośćmi. Prawdopodobieństwo. Indyjskie!

Kali, Paraskati, Mroczna Pani, Pani Śmierci i Pijąca Krew, Straszliwa Dziesięcioreka z Naszyjnikiem z Czaszek, Ta, Która Zasiada Na Tronie z Pięciu Trupów. Sprowadzająca Koniec. A jednocześnie Bogini Odrodzenia, Władczyni Wszystkich Wszechświatów, Korzeń Drzewa Świata. Wszystko jest cyklem i po Wiek Kali wtoczmy się z powrotem w Złoty Wiek. A to, czego nie ogarniesz rozumem, musisz czcić religijnie.

Po śmierci Sarasvati chyba przez jakiś czas byłem obłąkany. W gruncie rzeczy nigdy nie byłem zdrowy na umyśle w ludzkim rozumieniu. Jesteśmy Braminami. Jesteśmy inni. To wspaniała i rzadka rzecz, wziąć sobie wolne od rozsądku. Zwykle pozwalamy na to tylko bardzo, bardzo młodym i bardzo, bardzo starym. Boimy się tego, nie ma dla tego miejsca w naszym świecie. Ale Kali rozumie, Kali to toleruje, Kali nas tym obdarza. Byłem zatem przez jakiś czas szalony, ale równie dobrze można powiedzieć, że byłem święty, boski.

Jak dotarłem do świątyni w maleńkim, wyludnionym przez suszę miasteczku nad ściekiem Matki Gangi - to postanowiłem zapomnieć. Jak to się stało, że poprosiłem kapłana o złożenie mojej krwi w ofierze - to też zepchnąłem w niepamięć. Jak długo tam przebywałem, co robiłem, czy ma to jakieś znaczenie? To było moje wolne od świata. Potężna sprawa, poddać się innej mierze czasu, innemu rytmowi życia. Stałem się stworzeniem z krwi i popiołu, kryjącym się w czeluściach świątyni, nic niemówiącym, tylko codziennie składającym pudzę przed maleńką, obwieszoną kwiatami boginią w głębi przypominającej pochwę garbagrihy. Mogłem tam przepaść na zawsze. Zginęła Sarasvati, najpogodniejsza, najlepsza z nas wszystkich. Położyłem się na wygładzonym stopami marmurze. Zniknąłem. Mogłem zostać wyznawcą Kali do końca mojego długiego i nienaturalnego życia.

I właśnie leżałem na mokrym, wypolerowanym stopami marmurze, gdy jakaś wierna, człapiąca w długiej, zakręconej kolejce między płotkami dla bydła ku posągowi bogini, nagle uniosła głowę. Znieruchomiała. Rozejrzała się wokół, jakby widziała wszystko po raz pierwszy. Jeszcze raz spojrzała i zobaczyła mnie. Potem odczepiła segment ocynkowanej balustrady i przepchnęła się do mnie przez kolejkę wracających wiernych. Klęknięła przede

mną, pozdrowiła mnie namaste. Nad jedną pionową kreską tilaki Sakty nosiła czerwone Oko Śiwy.

- Vish.

Odskokczyłem tak raptownie, że walnąłem głową w podstawę kolumny.

- Ooo - powiedziała kobieta. - Oj, coś cię, będzie bolało. Vish, to ja, Lakshmi.

Lakshmi? Moja dawna żona, kochająca gry? Dostrzegła moją dezorientację i dotknęła mojej twarzy.

- Na chwilę się przegrałam do mózgu tej dobrej kobiety. Trochę to trudno wytłumaczyć komuś niepodłączonemu. Ale spokojnie, to jest dobrowolne. I wyniosę się od niej jak tylko skończę. Normalnie bym tego nie robiła, to bardzo niekulturalne, ale sytuacja jest wyjątkowa.

- Lakshmi? Gdzie ty jesteś? Jesteś tutaj?

- O, widzę, że cię niezłe trafiło. Gdzie jestem? Ciężko wyjaśnić. Jestem teraz wyłącznie bodhisoftem. Jestem w Dźjotirlindze, Vish. To portal, wiesz przecież, że to wszystko portale. - Po pierwszych dwunastu słupy światła pojawiły się na całej Ziemi, setki, potem tysiące. - To cudowne miejsce, Vish. Może stać się czymkolwiek zechcesz, być tak realne, jak tylko zechcesz. Zresztą, masę czasu poświęcamy na dyskusje nad sensem realności. A gry, gry matematyczne... no, przecież mnie znasz. Ale ten krok robię dla ciebie, Vish. Bo to nie może tak dalej trwać. To destrukcja, najbardziej katastrofalna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiliśmy. Spalimy cały ten świat, bo mamy w zapasie drugi. Mamy niebo, więc na Ziemi możemy robić co tylko chcemy. Życie to tylko próba generalna. Ale ty już to widziałeś, Vish, wiesz, co z tego będzie.

- I co chcesz zrobić, Lakshmi?

Czy to czułe i miłe wspomnienie, łagodny wstrząs mózgu od uderzenia o marmur, dziwaczne nanotechnologiczne opętanie - wydało mi się bowiem, że ta nieznajoma zaczyna wyglądać jak Lakshmi.

- Trzeba zakończyć ten wiek. Puścić cykl na nowo. Zamknąć Dźjotirlingi.

- To niemożliwe.

- To wszystko matematyka. Matematyka rządząca tym wszechświatem jest inna niż w twoim. Dlatego mogę tu istnieć jako zapis informacyjny wdrukowany w samą czasoprzestrzeń. Bo tutejsza logika na to pozwala. A tam nie. Dwie różne logiki. Ale gdyby udało się wsunąć pomiędzy nie trzecią logikę, odmienną od obu, taką, której żadna ze stron nie potrafi użyć czy wykorzystać, moglibyśmy zamknąć bramy między tymi światami.

- I ty masz ten klucz.

- Mam tu masę czasu na gry. Towarzyskie, językowe, na wyobraźnię, matematyczne, logiczne. Z tej strony mogę to zamknąć.

- Ale potrzeba ci kogoś, kto przekreśli klucz od mojej strony. Czyli mnie.

- Tak, Vish.

- I to mnie na zawsze odetnie. Od ciebie, od mamy, od taty.

- I Shiva. Tak. On też tu jest. Jako jeden z pierwszych przekopował swojego bodhisofta na drugą stronę varanaskiej Dźjotirlingi. Stracisz kontakt ze wszystkimi. Wszystkimi, oprócz Sarasvati.

- Sarasvati nie żyje! - wrzasnąłem.

Wierni unieśli głowy. Sadhu uspokajali ich.

- I co, to jest ostateczne rozwiązanie? Czy to sprowadzi nam na ziemię Złoty Wiek?

- To już zależy od ciebie, Vish.

Pomyślałem o wsiach, które tak dobrze mnie przyjmowały, podziwiały, błogosławiły i poily wodą podczas mojej świętej wędrówki. Pomyślałem o prostych przyjemnościach, jakie czerpałem ze swoich przedsięwzięć, uczciwych planów, uczciwej pracy i satysfakcji. Indie - stare, nieśmiertelne Indie - mieszkały we wsiach. Sarasvati dostrzegła tę prawdę, choć zginęła od tego.

- To brzmi lepiej niż leżenie plackiem w tej zakurzonej, starej świątyni.

Kali, Pani Odrodzenia, liznęła mnie swoim czerwonym jęzorem. Może zostanę jeszcze bohaterem własnego życia. Wisznu Podtrzymujący. Jego dziesiątym i ostatnim wcieleniem był Kalki, Biały Koń, który na koniec Kali Jugi miał stoczyć decydującą bitwę. Kali kontra Kalki.

- Ja przekazę ci wyliczenia. Człowiek o twojej inteligencji powinien dać sobie z nimi radę. Ale potrzebne ci będzie to.

Kobieta uniosła rękę i chwyciła garść powietrza. Cisnęła mi je w twarz, a powietrze zestaliło się w obłoczek czerwonego proszku. Zaroił się i przemienił w locie, osiadając mi na czole czerwonym kółkiem. Tilaką.

- Cokolwiek się dzieje, nie podłączaj tego do deva-netu - powiedziała Lakshmi. - Teraz muszę iść. Nie mogę za długo przesiadywać w cudzym ciele. Żegnaj, Vish, już nigdy się nie spotkamy, w żadnym ze światów. Ale przez jakiś czas naprawdę byliśmy mężem i żoną.

Przez chwilę myślałem, że ta kobieta mnie pocałuje, lecz ona drgnęła i wyprostowała się, jakby otrząsając się ze skurczu. Wtedy poznałem, że Lakshmi odeszła. Kobieta znów złożyła dłonie w namaste.

- Mały panie Wisznu - szepnęła. - Zachowaj nas.

Wstałem z marmuru. Starłem popiół mrocznej bogini. Odszedłem na skraj świątyni, zadzierając głowę i mrużąc oczy od prawdziwego słońca. Już mi świtało, gdzie trzeba pójść i co zrobić. Varanasi, miasto Śiwy, miejsce pierwszej Dźjotirlingi. Tylko jak się utrzymam po drodze, nie mając nic oprócz przepaski na łądźwiach? Wtem kątem oka dostrzegłem nagły ruch: na pierwszym piętrze jednego z licznych sklepów stojących tuż przy świątyni, kot skradał się po rurze wodociągowej, żeby upolować ptaka. I przyszedł mi do głowy pomysł, który niezwykle mnie rozbawił.

* * *

Proszę, oto przed państwem, nareszcie, gwóźdź programu, wielki finał Wspaniałego Niebiańskiego Kocięgo Cyrku Wisznu! Chodzenie po drucie. Nigdy, przenigdy nie widzieliście czegoś takiego, chyba że byliście w pewnej świątyni Kali... Oto dwa druty. Przed państwem nasza gwiazda.

Tak, biały Kalki wreszcie ma okazję zabłysnąć. Wchodzi na podest i... werble! No cóż, werble musicie sobie wyobrazić.

Kalki! Kalki! Piękny biały Kalki! Wykonuj swój numer!

I oto idzie, ostrożnie przesuwając jedną łapkę, potem drugą, po dwóch drutach, balansując ogonem, cały dygoce od napiętych mięśni. No chodź, Kalki, chodź... Spacer po drucie. Co za kot. Na koniec skok na drugą platformę, podnoszę go, przytulam do piersi i krzyczę:

- Oklaski! Oklaski dla moich pięknych kotów!

Puszczam Kalkiego, a reszta kotów dołącza do niego i biegną w swoim nieskończonym kręgu futer i ogonów po odgradzonym sznurem ringu. Matsya, Kurma, Narasimha i Varaha; Vamana, Parashurama i Rama; Kriszna, Budda i ostatni, choć najważniejszy, Kalki.

Odwracam się w świetle świtu i rozkoszuję oklaskami widzów. Moje koty. Zachowajcie największą owację dla Matsyi, Kurmy, Narasimhy, Varahy, Vamany, Parashuramy, Ramy, Kriszny, Buddy i Kalkiego, które tu dla was występowały. A ja? Ja jestem tylko impresariem, ja tylko pilnuję ringu. I opowiadam. Wstał już dzień i nie będę was dłużej zatrzymywać. Przed wami praca, a ja mam cel, który muszę osiągnąć. Chyba już wiecie, gdzie to jest i co będę musiał tam zrobić. Może mi się nie udać. Mogę zginąć. Nie wyobrażam sobie, żeby Shiv poddał się bez walki. Proszę więc, zróbcie tylko dla mnie jeszcze jedną rzecz, dobrze? Koty. Zaopiekujecie się nimi? Nie musicie ich karmić ani nic takiego, tylko je weźcie. Niech chodzą wolno, potrafią się same wyżywić. Tak właśnie żyły, kiedy je pozbierałem. Na farmie, na wsi będą szczęśliwe. Tyle stworzeń, na które można polować. A może nawet zarobicie na nich trochę pieniędzy. Rozumiecie, tresowane koty, kto

w ogóle słyshał o czymś takim? Choć naprawdę to łatwiejsze niż się wydaje. Mięso się sprawdza, za każdym razem. Widzicie, zdradziłem tajemnicę swojego cyrku. Obchodźcie się z nimi dobrze. Idę.

Wypycham łódkę na nurt Matki Gangi, wchodzę do jasnej od świtu wody i wskakuję do środka. Kołysze się delikatnie. Poranek jest piękny; Dżjotirlinga przed nami blednie w porównaniu ze słońcem. Dotykam palcami czoła, tilaki, którą namalowała tam Lakshmi, małego znaczka na cześć słońca. Potem chwytam za wąskie wiosła i odpływam.

OD TŁUMACZA

(Czytelnik znający *Rzekę bogów* może te wyjaśnienia pominąć).

Indyjskie nazwy własne i nazwiska pozostawiam w transkrypcji angielskiej, rzeczywiste - aby zachować ich rozpoznawalność, fikcyjne - dla spójności z tymi pierwszymi. W Nowej Transkrypcji Polskiej zapisuję natomiast nazwy pospolite oraz imiona bogów (wyjątek czyniąc dla postaci Wisznu, w zdrobieniu Vish). Taki zapis może wyglądać nieco dziwnie - te wszystkie „ć”, „ś”, „ź” w niespotykanych dla polskich wyrazów pozycjach - wajsja, ćaj, dżati... Ma jednak fundamentalną zaletę. Pojawienie się polskich znaczków powoduje, że znika naturalny odruch wymawiania wszystkiego z obca - i imię „Śiwa” wymawiamy jak „siwy” a nie jak „sinus”. Nazwy miejscowości zapisuję jednak, jak w oryginale, według nowych standardów - Varanasi, a nie przyjęte u nas Benares, Mumbai, nie Bombaj, Kolkata, nie Kalkuta, Chennai, nie Madras. Ta drobna obcość nazw moim zdaniem doskonale podkreśla przepaść między zakorzenionymi do dziś w kulturze Indiami z czasów brytyjskiego panowania a współczesnymi i przyszłymi.

Neutki, trzecia płeć, w oryginale określane są zaimkami „yt” i „yts” - naturalną pokusą było więc zastosowanie całego nowego rodzaju gramatycznego, wzorem *Perfekcyjnej niedoskonałości* Jacka Dukaja. Zdecydowałem jednak, że wystarczy już istniejący rodzaj nijaki, bardziej pasujący do istot, których nazwa pobrzmiewa „neutralnością” i „kastracją”. W angielskim autor nie miał takiej możliwości - „it” nie bardzo nadaje się do określania osób.

SŁOWNICZEK

Wybrane hasła pochodzą ze słownika autora zamieszczonego w powieści Rzeka bogów, wraz z uzupełnieniami tłumacza.

Aja - niania lub opiekunka (przyp. tłum.).

Aksis, czytal - najpospolitszy w Indiach gatunek jelenia, o plamistym umaszczeniu. Znany także jako jeleni Buddy, był bowiem jego ostatnim przedludzkiem wcieleniem.

Apsara - nimfa mieszkająca w chmurach, częsty motyw płaskorzeźb na świątynnych filarach; pierwotnie apsary były duchami drzew.

Ardha mandapa - portyk prowadzący do mandapy, czyli kolumnowej świątyni.

Baba - czuły zwrot.

Babu - urzędnik państwowy, biurokrata.

Badmaś - młody oprych, chuligan. Z jajami.

Bansuri - bambusowy flet z sześcioma lub siedmioma otworami, z północnych Indii.

Basti - osiedle lub slumsy, a także (myląc) świątynia dżajnistyczna.

Begum - grzecznościowy sposób zwracania się do muzułmanki-mężatki.

Bhai - brat, ale także szef gangu, czy ktoś ważny, dodatek do nazwiska oznaczający szacunek i bliskość.

Bhakti - ścieżka wiary.

Bhati - radźputańska kasta lub klan (przyp. tłum.).

Bhawan - dom, zwykle dość zamożny.

Bibi - hinduski termin oznaczający mężatkę.

Bidi - indyjski papieros, zwężający się ku ustnikowi. Trujący jak mało co.

Bindi - symbolizujący kastę znak na czole, pełniący także funkcję ozdobną. Religijnym odpowiednikiem jest tilaka.

Bramini - najwyższa z czterech głównych kast, tak święta, że nawet bogowie nie mogą jej nic zrobić (zob. t. warna). W kontekście powieści, z wielkiej litery - także genetycznie zmodyfikowane dzieci bogaczy.

Chidmatgar - kamerdyner, główny służący (przyp. tłum.).

Chota peg - mały drink, przeważnie dżin z tonikiem (przyp. tłum.).

Ćakra, czakra, czakram - splot energetyczny w ciele człowieka. Jest ich siedem, od

łonowego, po czubek głowy.

Ćbaragh - ogród wodny w stylu perskim, podzielony ścieżkami na cztery części.

Ćcarpoj - bardzo popularne na indyjskiej wsi łożko z drewnianą ramą przeplecioną sznurami. Można się na nim kołysać lub obserwować przemijający świat.

Ćcauk - główny plac, rynek w mieście (przyp. tłum.).

Ćchatrī - mały dekoracyjny pawilon w stylu Mogołów, w kształcie podpartej kolumnami kopuły.

Ćco ċuit - popularny czuły zwrot.

Ćcoli - podkoszulka z krótkimi rękawami noszona przez kobiety pod sari.

Ćcowkidar - stróż nocny.

Dal - soczewica, podstawa diety indyjskiej wsi.

Dalit/dalici - najniższa kasta. Dosłownie „uciśnieni”, niegdyś zwani „niedotykalnymi”.

Darśan - dobrze wróżące spojrzenie bóstwa albo bogatej i wpływowej osoby.

Deva/Devi - bóg/bogini. Także popularne imię.

Dhaba - przydrożna lub uliczna jadłodajnia.

Dharamśala - noclegownia dla pielgrzymów, studentów i podróżnych.

Dhobi - pralnia, zwykle na płaskim kamieniu nad brzegiem rzeki lub przy studni.

Dhol - rodzaj bębna.

Dhoti - długa przepaska biodrowa, w miastach rzadko widywana. Taką nosił Gandhi.

Dija - łódeczka ze świeczką, puszczana na wodę Gangesu jako ofiara.

Dikpala - posąg strzegący świątyni, umieszczony na dachu.

Diwali, Dipawali - hinduskie święto lamp, jedno z najważniejszych świąt w Indiach, symbolizowane przez lampki oliwne, dije oraz wszelkiego rodzaju iluminacje, fajerwerki, lampiony. Tradycją jest także obdarowywanie się łąkociami (przyp. tłum.).

Diwan - otwarta, otoczona kolumnadą sala audiencyjna Wielkich Mogołów.

Dupatta - długi szal, tradycyjnie noszony do šalwar kamiz - spodni i kaftana.

Dwaparajuga - trzecia z kolei era mahajugi, czyli okresu istnienia świata, trwająca 864 tysiące lat (przyp. tłum.).

Dwarapala - bóstwo strzegące drzwi świątyni hinduistycznej, dosłownie: odźwierny.

Dźai - „chwała” albo „zwycięstwo”.

Dźati - system podkast, czy też cechów w ramach czterech głównych kast systemu warna.

Dźawan - indyjski żołnierz, lub członek formacji paramilitarnej.

Dźemadar - indyjski podoficer lub żołnierz rezerwy.

Dźharoka - wystające okno lub balkon.

Džiwa - esencja życia, istota żywa.

Fatfat - riksza z silnikiem, wszechobecna i przerażająca.

Gadžra - wszechobecny wianek z aksamitek, przynoszący szczęście.

Gali - zaułek.

Garbagriha - wewnętrzne sanktuarium świątyni hinduistycznej.

Ghazal - islamska pieśń miłości, często w języku urdu.

Ghi - klarowane, oczyszczone przez przetopienie masło, dające się długo przechowywać; w Indiach używane także do celów religijnych (przyp. tłum.).

Gora - pogardliwe określenie osoby jasnoskórej, „białas” (przyp. tłum.).

Gunda - drobny uliczny przestępca.

Hauda - wielka, często obficie zdobiona platforma na grzbiet słonia.

Haweli - tradycyjny dom z dziedzińcem, typowo zamożnych muzułmanów.

Hidźra - dosłownie: eunuch.

Hindutwa - kwintesencja indyjskości rozumianej jako hinduizm; nacjonalizm religijny.

Holi - hinduskie święto kolorów, podczas którego zwyczaj nakazuje obsypywać się kolorowymi proszkami i polewać wodą (przyp. tłum.).

Iftar - posiłek kończący codzienny post od świtu do zmierzchu w okresie ramadanu.

Jakśa/Jakśowie - półboskie istoty (demony) mieszkające pod Himalajami.

Karsevak - fundamentalistyczny hinduistyczny pielgrzym-działacz religijny.

Kathak - taniec północnoindyjski.

Kawwale, qawwale - islamskie pieśni pochwalne, w odróżnieniu od ghazali, pieśni miłosnych.

Lassi - jogurtowy napój chłodzący.

Lawda - penis, kutas.

Limca - cytrynowy napój gazowany z nutką imbiru, podobny nieco do Sprite,a (przyp. tłum.).

Linga, lingam - fallus jako obiekt czci, zwykle w kształcie podłużnego, zaokrąglonego kamienia.

Mali - ogrodnik.

Mandapa - otwarty, otoczony kolumnadą pawilon przeznaczony na ogół do obrzędów religijnych (przyp. tłum.).

Medresa - islamska szkoła, nauczająca arabskiego i teologii.

Meena - znak zodiaku odpowiadający naszym Rybom (przyp. tłum.).

Mela - zgromadzenie ludzi, od rodzinnego zjazdu, po Kumbhamełę - ultramasowego święta, na które ściągają pielgrzymi.

Mokśa - wyzwolenie z cyklu śmierci i reinkarnacji. Mokśę osiągają ludzie umierający nad Gangesem, stąd bierze się osobliwa hinduska instytucja „turystyki śmierci”.

Mudra - gest dłoni w klasycznym tańcu hinduskim, może przekazywać niezwykle subtelne znaczenia.

Musnud - tron Mogołów, prosta, wielka bryła marmuru obłożona poduszkami.

Nakkar chana - ceremonialna brama, z wieżyczką dla witających gości muzyków.

Namaste [namaste] - tradycyjne pozdrowienie lub powitanie, często z towarzyszeniem gestu andżali - lekkiego ukłonu ze złożonymi razem dłońmi (przyp. tłum.).

Nauć - tradycyjna, półoficjalna impreza z tańcami, służąca rozrywce mężczyzn.

Nimki - pszenne ciasteczka, często z kminkiem, przypominające krakersy, smażone w głębokim tłuszczu (przyp. tłum.).

Paan - dostępna niemal wszędzie mieszanka przypraw, orzechów i łagodnego narkotyku, zawinięta w liść betelu. Zdradza, barwiąc dziąsła na czerwono.

Pappadi - chrupiące wafle z pszennej mąki (przyp. tłum.).

Prasad - święte pożywienie, ofiara z żywności.

Pudża - modlitwa i ofiara dla bogów.

Purda - segregacja płci w tradycyjnym islamie i hinduizmie.

Puri - pulchny placek smażony w głębokim tłuszczu, często z nadzieniem. Obłędnie kaloryczny, ale pyszny.

Radź - okres brytyjskiego panowania w Indiach (przyp. tłum.).

Rakszasa, rakśasa - mroczny, złośliwy duch-demon (przyp. tłum.).

Roti - smażony placek.

Sadhu - hinduistyczny asceta, święty. Kobieta - patrz: sadhwi.

Sangit sandhia - wieczór muzyczny, także występy muzyczne i taneczne poprzedzające właściwy ślub (przyp. tłum.).

Sati - (obecnie zdelegalizowany) zwyczaj, w myśl którego wdowa składa się w ofierze na stosie pogrzebowym męża. Doniesienia o sati nawet dziś pojawiają się kilka razy w roku, szczególnie w prowincjonalnym Radżastanie.

Sipaj, sepoj - dawna nazwa indyjskiej piechoty, z czasów rządów brytyjskich.

Sowar - indyjska elitarna kawaleria.

Sundarban - zamieszkiwana przez tygrysy dżungla delty Gangesu i Brahmaputry. W kontekście książki, równie dzikie i niebezpieczne przechowalnie danych, w których pleni się

nielicencjonowane oprogramowanie.

Śaadi - wstęp do ceremonii ślubnej. Także największa agencja matrymonialna w Indiach, a w opowiadaniach wszelkie tego typu agencje (przyp. tłum.).

Śakti - hinduska bogini, małżonka Śiwy, symbolizująca pierwiastek żeński, ale także moc, siłę, mistyczną energię (przyp. tłum.).

Śatabdi - indyjski szybki pociąg.

Śerwani - długi, bogato zdobiony kaftan noszony zwykle przez muzułmanów.

Śikara - główna wieżyczka północnoindyjskiej świątyni.

Tamaśa - radosne święto.

Thali - metalowy talerz, także zestaw różnych dań na jednym talerzu z przegródkami.

Tilaka - święty znak na czole, inny dla Śiwy i Wisznu.

Trimurti - hinduistyczna „trójca” Brahmy, Wisznu i Śiwy.

Triśula - boski trójząb, broń Śiwy, noszony przez jego wyznawców. Często wykonany z puszek po ghi lub red bullu.

Wagdana - uroczyste przyjęcie z okazji zaręczyn (przyp. tłum.).

Warna - uświęcony przez bogów system kastowy, którego cztery podstawowe grupy to bramini, kszatrijowie, wajsjowie i śudrowie, czyli mniej więcej: kapłani, wojownicy, kupcy i robotnicy rolni. Poniżej plasują się dalitowie.

Wibhuti - święty biały popiół, którym nacierają się czczący Śiwę asceci.

Zenana - część tradycyjnego islamskiego domu przeznaczona dla kobiet.

DOM DERWISZY

Dla Enid

TURECKI ALFABET I WYMOWA

W roku 1928 nowa Republika postanowiła, że język turecki będzie zapisywany zmodyfikowanym alfabetem łacińskim. Posiada on dwadzieścia dziewięć liter.

Spółgłoski są podobne do polskich, z wyjątkiem:

c - jak dż

ç - jak cz

ğ - tzw. miękkie g, po samogłoskach: a, i, o, u jest nieme, wydłuża jedynie samogłoskę; po samogłoskach: e, i, ö, ü wymawiane jest jak polskie

j - jak ż

ş - coś pośredniego między sz i ś

y - jak j

Samogłoski są również podobne do polskich, z wyjątkiem:

i - tu różnica w pisowni: duże I także pisze się z kropką: İ, dla odróżnienia od „dużego i bez kropki”, w treści książki zrezygnowano z tego ze względów typograficznych

i - podobne do polskiego y

ö - podobnie jak w języku niemieckim (układamy usta jak do o, wymawiamy e)

ü - podobnie jak w języku niemieckim (układamy usta jak do u, wymawiamy i).

PONIEDZIAŁEK

I

Biały ptak unosi się nad Stambułem: to bocian, kreślący czarnymi lotkami spiralę w prądzie wznoszącym. Błysk piór - niosą go wydechy dwudziestu milionów ludzi. Jeden z dziesięciu tysięcy prowadzonych niewidzialną termiczną mapą z Afryki do Europy, szybujących od jednego prądu do następnego, wlatujących znad Jeziora Wiktorii i Rowów Afrykańskich, lecących wzdłuż srebrnej kreski Nilu, przez Synaj i Liban, ku wielkiemu czworokątowi Azji Mniejszej. Tam migracja się rozdziela. Część kieruje się na północ, na brzegi Morza Czarnego, niektóre na wschód, nad jezioro Wan i podnóże Araratu, najwięcej jednak leci na zachód, przez Anatolię, nad lśniący Bosfor i dalej, ku łęgowskom na Bałkanach i w Europie Środkowej. Jesienią bociany wrócą zimować do Afryki, pokonując w obie strony dwadzieścia tysięcy kilometrów. Miasto nad tą cieśniną istnieje od dwudziestu siedmiu stuleci, a to, od kiedy dwa razy do roku przelatują tędy bociany, pamięta tylko sam Bóg.

Wysoko ponad Üsküdar bociany odrywają się od szczytu termiki, szeroko rozpościerają skrzydła, badają powietrze. Dwójkami i trójkami szybują w dół ku nabrzeżom i meczetom Sultanahmetu i Beyoğlu. W krążącym stadzie kryje się matematyka, misterne piękno utkane z prostych odruchów i algorytmów. Gdy ptak przestaje krążyć, na szczycie spirali, zmysł cieplny mówi mu, że podczas tego przelotu coś się zmieniło, coś przydało siły prądowi wznoszącego powietrza. Miasto pod jego skrzydłami dławi nietypowa dla tej pory roku fala upałów.

Minęła godzina modlitwy, ale nie godzina pieniędzy. Stambuł, Królowa Miast, budzi się z krzykiem. Poranny ruch dźwięczy wysokim blaszanym tonem, jękiem gazowych silników. Średnie tony to taksówki i dolmusze*, tramwaje na torowiskach i w tunelach, pociągi w głębszych wykopach, przebijających uskoki tektoniczne pod Bosforem. Od cieśniny dobiega basowe dudnienie ciężkiego transportu: wielkie statki zastawione piętrowo kontenerami przeciskają się obok rosyjskich gazowców jak pływające meczety o kopułach

wyladowanych po sam szczyt na terminalach Odessy i Supsy. Warkot okrętowych silników to puls Stambułu. W każdą lukę pomiędzy nimi wskakują promy. Syreny, brzęczyki, hasła i odzewy; silniki dają całą wstecz i bulgoczą, dobijając do nabrzeży Eminönü. Krzyki mew; wszędzie te mewy. Brudne, cwane mewy. Im nikt nie buduje na kominach platform pod gniazda. Mewy szczęścia nie przynoszą. Klekot rolet, trzaskanie drzwi dostawczaków. Poranne radio, muzyka i gadanie. Dużo gadania, o piłce nożnej. Ćwierćfinał Ligi Mistrzów, Galatasaray kontra London Arsenal. Mądrale mądrzą się na pełny regulator ze stu tysięcy balkonów i tarasów na dachach. Muzyka pop, piłka nożna i upał. Dziesiąty dzień fali upałów. Trzydzieści trzy stopnie, w kwietniu, o siódmej rano. Nie do pomyślenia. Mądrale od klimatu spekulują, czy będzie to kolejny upał stulecia, jak w dwudziestym drugim, kiedy w samym tylko Stambule zmarło osiem tysięcy ludzi. To był żar z piekła rodem. Teraz telefon od jakiegoś sprytnego słuchacza, który skrzyżował razem dwa proroctwa i spekuluje: może ten upał nie jest wcale taki zły, jeśli zadławi tych angielskich piłkarskich bladawców?

Wszędzie, przez wszystko, przebija się chór klimatyzatorów. Skrzynka na oknie, wylot na ścianie, bateria wiatraków na dachu, startują jeden po drugim, ukręcając z upału coraz większy wir ciepłego powietrza. Miasto tchnie subtelnymi spiralami, splatając z nich większe wiry, kominy i mikrotermiki.

Bocian wyczuwa piórami puchowymi wznoszącą falę. Ciepło odpadowe miasta może oszczędzić mu paru uderzeń skrzydłami, które go zaniosą w kolejną termikę, albo pozwolą uciec przed spadającym z góry orłem. Jego życie to nieświadoma algebra, optymalizacja równań, z jednej strony pozyskiwanie, z drugiej wydatkowanie energii. Czarne lotki trzepocą, kiedy sunie w dół nad dachami.

Wybuch jest prawie niezauważalny w ogólnym zgiełku budzącego się miasta. Głuchy trzask. Potem cisza. Pierwsze odgłosy to gołębie i mewy, z wrzaskiem i trzepotem wzlatające w górę. Potem głosy maszyn: autoalarmy, alarmy w sklepach, alarmy osobiste, hip-hop syren. Na koniec ludzkie okrzyki i wrzaski.

Tramwaj stanął pośrodku Necatibey Caddesi, parę metrów od przystanku. Bomba wybuchła z tyłu - błękitny dach jest wydęty, okna i drzwi wyleciały. Z tyłu drugiego wagonu sączy się cienka strużka dymu. Pasażerowie już sami ewakuowali się na ulicę i teraz kłębią się bezładnie, nie wiedząc, co właściwie zrobić. Niektórzy siadają na ziemi z podciągniętymi kolanami, głęboko w szoku. Przechodnie muszą podejść i pomóc. Podają kurtki i marynarki; inni dzwonią z komórek, usiłując opisać scenę gestami; więcej stoi naokoło, czując, że trzeba

* Dolmusze, dolmuş - taksówka lub mikrobusik współdzielony przez kilku pasażerów (przyp. tłum.).

nieść pomoc, ale nie wiedząc, co właściwie mają robić. Większość trzyma się z tyłu - gapi się i ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Paru ich pozbawionych kręci wideo ceptepami. Kanały informacyjne dobrze płacą za amatorskie materiały.

Motornicza chodzi od gromady do gromady i pyta, czy wszyscy są, czy kogoś brakuje, czy nic im się nie stało? Ona też nie wie, co robić. Nikt nie wie. Teraz odzywają się syreny. To będą ludzie, którzy wiedzą, co robić. Światła błyskają za ludzką cizbą, tłum się rozstępuje. Trudno odróżnić ofiary od pomagających, krew jest rozmazana wszędzie. Necatibey Caddesi to ulica międzynarodowych banków i koncernów ubezpieczeniowych, ale fala po wybuchu rozlała się po torach lekkiego transportu szynowego. Beyoğlu zatyka się, stacja po stacji, ulica po ulicy, tramwaj za unieruchomionym tramwajem. Teraz już wszyscy wiedzą o zamachu.

Oko bociana białego wlatującego nad miasto znad Bosforu widzi rozlewający się od epicentrum paraliż, lecz nie rozumie takich rzeczy, a syreny to tylko jedna z wielu niewartych uwagi nut w jazgocie budzącego się miasta. Miasto i bocian zamieszkują nakładające się na siebie, choć oddzielne wszechświaty. Ptak szybuje nad wysadzonym tramwajem otoczonym migającymi niebieskimi światłami, wpadając na podnóże kolejnej termiki. Potem obłoki ciepła niosą go spiralą, zwojem białych korpusów i czarnych skrzydeł, nad wschodnie przedmieścia miasta i dalej, ku Tracji.

* * *

Necdet widzi, jak tamtej kobiecie wybucha głowa. Właśnie próbował uniknąć bardziej bezpośredniego, wyzywającego kontaktu wzrokowego z młodą kobietą o ładnych kościach policzkowych i czerwonych pasemkach we włosach. Już trzy razy przyłapała go, jak na nią patrzył. Nie gapi się już na nią, nie jest jakimś oblechem. Wzrok rozogniskowuje się i wędruje po pasażerach, tak kulturalnie stłoczonych razem. To nowy tramwaj o nowej porze - dwadzieścia minut wcześniej - i dzięki przesiadkom Necdet dotrze do pracy z ledwo godzinnym spóźnieniem, a Mustafa, który nie cierpi robić za szefa, nie będzie musiał się denerwować. Zatem: współpasażerowie. Chłopczyk i dziewczynka w staromodnych, zapiętych pod szyję, niebieskich szkolnych mundurkach - Necdet myślał, że takich już się nie każe nosić. Mieli plecaki z OhJeeWah Gumi i bez przerwy bawili się ceptepami. Facet żując gumę i gapiący się w okno - przeżuwanie podkreślone sumiastym wąsem. Obok elegancki człowiek interesu i mody, przeglądający na ceptepie wiadomości sportowe. Fioletowy aksamit, z którego ma garnitur, to pewnie ten nowy nanomateriał, chłodny latem, ciepły w zimie i zmieniający się w dotyku z jedwabiu w aksamit. Kobieta z wymykającym się spod chusty kosmykiem siwych włosów na czole i malującym się na twarzy nieobecny bólem. Uwalnia z nacisku cizby prawą rękę, unosi ją, dotyka kamienia na szyi. I wysadza sobie

głowę.

Odgłos wybuchającej czaszki to głęboki basowy huk, pochłaniający wszystkie inne dźwięki, tak że przez moment po eksplozji słycać tylko idealną ciszę. Potem ta cisza rozpryskuje się we wrzaski. Tramwaj staje z szarpnięciem; bezwładność niemal przewraca Necdeta. Upadek w tej panice to śmierć na miejscu. Nie sięga do poręczy, więc opiera się o napierających nań rozkrzyczanych pasażerów. Ich ciała trzymają kobietę bez głowy w pozycji pionowej. Facet w eleganckim aksamicie krzyczy wysokim głosem szaleńca. Jedna strona jego garnituru lśni od ciemnej czerwieni. Necdet czuje wilgoć na twarzy, ale nie może unieść ręki, żeby to sprawdzić ani się wytrzeć. Drzwi otwierają się z westchnieniem. Napór jest tak silny, że Necdet boi się, że pękną mu żebra. I już wylewa się na ulicę bez celu ani sensu, bez niczego poza pragnieniem wyjścia z tego tramwaju.

Motornicza chodzi od grupki do grupki i pyta, czy kogoś brakuje, czy ktoś jest ranny? Oczywiście, nic nie poradzi, ale reprezentuje tutaj IETT, więc musi coś robić: rozdaje ludziom wilgotne chusteczki wyciągane z tuby, którą miała w swojej wielkiej, zielonej torbie. Necdet jest pełen podziwu, że po tym, jak w jej tramwaju odbył się samobójczy zamach, pamiętała, by zabrać torebkę.

Wilgotne chusteczki pachną cytryną. Dla Necdeta ten zwinięty biały stożek to najczystsza, najświętsza rzecz, jaką w życiu widział.

- Proszę odsunąć się od tramwaju - mówi motornicza, gdy on zachwyca się kwadracikiem chłodnej cytrynowej bieli. - Może nastąpić kolejna eksplozja.

Na głowie ma kosztowną chustę od Hermesa, która kojarzy się Necdetowi z tą drugą chustą, na głowie tamtej kobiety. W ostatniej chwili zauważył, że smutek i żal na jej twarzy ustąpił, jakby oświeciło ją w kwestii jakiegoś odwiecznego rodzinnego konfliktu. Uśmiechnęła się. Potem dotknęła klejnotu na szyi.

Pasażerowie kucają wokół płaczących uczniów, starają się ich pocieszyć, przytulić. Nie widzicie, że boją się jeszcze bardziej, bo macie krew na twarzach? - myśli Necdet. Przypomina sobie ciepłe, wilgotne kropelki na własnej twarzy. Patrzy na zmiętą w dłoni chusteczkę. Nie jest czerwona. To nie była krew.

Wszyscy zadzierają głowy, słysząc łoskot helikoptera. Prześlizguje się nad dachami, zagłuszając rozmowy i telefony. Teraz przez odgłosy porannego korka przebijają się syreny. Na pewno policja przyjedzie szybciej niż karetka. Necdet nie ma ochoty oglądać policji. Będzie zadawać mu pytania, na które nie chce odpowiadać. Ma dokumenty, każdy ma dokumenty. Policja je zeskanuje. Odczytają węglowy debet, którym zapłacił rano za bilet, wypłatę gotówki wczoraj wieczorem i kolejny debet węglowy z przedwczoraj o osiemnastej

trzydzieści. Mogą zapytać o tę gotówkę. To podejrzone, ale nic nielegalnego.

I czy to pana aktualny adres zamieszkania?

Nie, mieszkam w starym domu derwiszy na Adema Dede w Eskiköy. Z bratem.

A pana brat to kto? Tu może się okazać, że mają kolejne pytania.

Ismet wymienił kłódkę na nowo kupioną. Błyszczący mosiądz, jak złoty medal na łańcuchu. Zamknięte okiennicami drewniane balkony tekke wiszą nad schodami; to było dyskretne, osłonięte wejście za przemysłowymi stalowymi kubłami herbaciarni Fethiego Beja oraz tłustymi wyziewami z kuchennych wyciągów. Drzwi ze starego osmańskiego drewna, szare i spękane od stuleci letnich upałów i zimowej wilgoci, misternie zdobione w tulipany i róże. Drzwi do tajemnic. Otworzyły się na półmrok i kwaśny odór gołębi. Necdet ostrożnie wszedł w ciemność. Światło wpadało paskami przez zamknięte i zaparte sztabami okiennice.

- Nie powinniśmy tego robić - szepnął. Ta architektura domagała się szeptu. - Tu mieszkają ludzie.

- Jakiś stary Grek i małżeństwo, od frontu. I dziewczyna, która pracuje w biurze. Sama. A w starej semahanie¹ jest sklep z bluźnierstwami. Przyjdzie czas, załatwimy to wszystko. W tym skrzydle nic nie ma, gnije od pięćdziesięciu lat, dosłownie się rozpada. - Ismet stanął dumnie pośrodku podłogi. Już ją sobie wziął w posiadanie. - Na tym polega zbrodnia. Bóg chce, żeby tu było to, co kiedyś. Tu będziemy sprowadzać braci. Popatrz tylko.

Otworzył identyczne drzwi po drugiej stronie sali. Wlał się przez nie kolor i coś więcej: zamknięta w pudełeczku bujna zieleń; zapach ogrzanego słońcem drewna: szmer wody i niespodziewany śpiew ptaków. Jakby otworzył drzwi do Raju.

Ogród miał sześć kroków na sześć, ale zawierał cały wszechświat. Wokół niego biegł cienisty krużganek ze ścianami z kafelków z Izniku w kwietne motywy, zapewniający cień lub osłonę o każdej porze roku. Fontanna składała się z jednej bryły ciepłego od słońca marmuru, woda spływała po wyrzeźbionych liściach lilii wodnej do niecki. Skrząca się jak klejnot jaszczurka, odpoczywająca na słońcu, spłoszyła się i przebiegła po ząbkowanej krawędzi, znikając w cieniu pod nią. Na małych, pooddzielanych listewkami grządkach rosły wysokie i chłodne rośliny zielne.

Ziemia była żywna i ciemna, jak czekolada. Istny ogród botaniczny. Jaskółki oknówki krążyły i nurkowały pod okapami drewnianego balkoniku piętro wyżej. Powietrze wypełniały ich piski. Na marmurowej ławce zółkł wczorajszy „Cumhuriyet”.

¹ Semahana - sala taneczna, pomieszczenie przy domu derwiszy lub meczecie, wykorzystywane przez derwiszy do tańca (przyp. tłum.).

- Wszystko zostało, jak było - zauważył Ismet. - Deweloperzy nigdy nie dotarli na tył. W dawnych celach jest rupieciarnia, ale to się sprzątnie.

- Ktoś się tym opiekuje - powiedział Necdet. Mógł sobie wyobrazić, że tu mieszka. Przychodziłby wieczorem, kiedy słońce pada przez dach na tę ławkę jedną jasną plamą. Siadałby tam i palił zioło. Dobre miejsce na dymka.

- Będzie nam tu dobrze. - Ismet rozejrzał się po wiszących balkonach i prostokątku błękitnego nieba. - Zajmę się tobą.

Necdet nie może pozwolić, by służby bezpieczeństwa wiedziały, że wprowadził się do domu derwiszy, i że jego brat chce urządzić w nim siedzibę tajnego islamskiego zakonu, do którego należy. Policja myśli, że tajne islamskie zakony wysadzają tramwaje. A jeśli sprawdzą stary adres, dowiedzą się, co zrobił w Başıbüyük i dlaczego Ismet Hasgüler przejął opiekę nad bratem. Nie, nie: on chce tylko w spokoju ducha dostać się do pracy. Nie, dzięki, żadnej policji.

Powietrze nad ciągle dymiącym tramwajem gęstnieje od brzęczących owadów. Rojoboty. Urządzonka wielkości komarów, które potrafią się połączyć w różne kształty, do różnych celów; nad Necatibey Caddesi łączą się, jak krople deszczu, w roboty kryminalistyczne wielkości wróbli, które polatują na szumiących wiatrakach nad płoszącymi się gołębiami, szukając w powietrzu chemicznych śladów, odczytując historię trasy z samochodów i osobistych ceptepów, tworząc trójwymiarowy obraz miejsca przestępstwa, wyszukując ocalałych i fotografując ich umazane krwią i umorusane dymem twarze.

Necdet dryfuje na obrzeże tego młynu, starając się poruszać chaotycznie, żeby nie zwrócić uwagi polatujących robotów. Dwie kobiety w zielonych kombinezonach sanitariuszek przysiadają obok motorniczej. Trzęsie się cała i płacze. Mówi coś o głowie. Zobaczyła ją, zaklinowaną pod dachem, między poręczami. Patrzyła na nią z góry. Necdet słyszał, że z zamachowcami-samobójcami tak się dzieje. Ich głowy po prostu lecą w powietrze. Znajduje się je potem na drzewach, na słupach elektrycznych, wbite pod okapy albo na szyldach sklepów.

Necdet dyskretnie wmieszał się w krąg gapiów i teraz delikatnie przeciska się między nimi ku pustej ulicy.

- Przepraszam, przepraszam.

Został jeden człowiek, wielki facet w za dużym białym T-shircie, stoi mu na drodze z dłonią uniesioną do przytkniętego do oka ceptepa. W dzisiejszych czasach taki gest oznacza: filmuję cię. Necdet próbuje zakryć twarz ręką, ale wielki facet cofa się i kręci, i kręci, i kręci. Może myśli: „Jak to trafi do wiadomości, będzie z kilkaset euro”, a może: „Dam to do sieci”.

A może po prostu: „Zaimponuję kumplom”. Stoi Necdetowi na drodze, a Necdet już słyszy za sobą terkot silniczków rojobotów jak wysysające duszę komary.

- Odsuń się! - Pcha oburącz wielkiego faceta, spychając go w tył. Jeszcze raz.

Mężczyzna otwiera usta, ale kiedy Necdet słyszy własne imię, zostaje wypowiedziane kobiecym głosem tuż za jego plecami.

Odwraca się. Głowa wisi na poziomie jego oczu. To ona. Kobieta, która zostawiła głowę pod sufitem tramwaju. Ta sama chusta, ten sam wymykający się spod niej siwy lok, ten sam smutny, przepraszający uśmiech. Z rozerwanej szyi promienieje stożek światła, złotego światła. Kobieta otwiera usta, żeby znów się odezwać.

Cios barkiem Necdeta omal nie wywraca tamtego faceta.

- Ej! - krzyczy.

Roboty monitorujące unoszą się, rój musuje po brzegach, gdy przygotowują się do rozproszenia i sformowania w nową konfigurację. Potem skleją się z powrotem w wersję do monitoringu i latają wokół przybywających migających niebieskich świateł, które dopiero teraz przebiły się przez ogarniający całe miasto korek, rozchodzący się falą od miejsca zniszczenia tramwaju nr 157.

* * *

W wyciszonym świecie Cana Durukana wybuch jest cichym kłaśnięciem. Jego świat to pięć ulic, którymi jest wożony do szkoły specjalnej, siedem ulic i jedna autostrada do centrum handlowego, plac Mistrza Adema przed tekke, korytarze, balkony, pokoje, dachy i ukryte dziedzińce domu derwiszy, w którym mieszka. W tym świecie, ściszym dla niego do szeptu, zna na wylot wszystkie dźwięki. Ten jest nowy, inny.

Unosi głowę znad płaskiego ekranu na kolanach. Kręci nią. Rozwinął u siebie niemal nadnaturalną umiejętność oceny odległości i kierunku na podstawie nanodźwięków, jakim wolno wdrzeć się do jego świata. Jest czujny i osobliwy jak nietoperz. Dwie, trzy przecznice na południe. Pewnie Necatibey Caddesi. Z salonu widać kawałek tej ulicy, a jeśli wcisnąć się w sam róg tarasu na dachu nad ulicą Vermilion-Maker, także srebrny odłamek Bosforu.

Matka jest zajęta w kuchni, przygotowuje śniadanie z jogurtu i pestek słonecznika. Wierzy, że to pomoże Canowi na serce.

Nie biega! - miga. Şekure Durukan ma wiele min, którymi potrafi podkreślić gesty. Teraz jest to pełna obaw mina „wściekła-bo-dość-mam-tego-ciągłego-powtarzania”.

- To bomba! - krzyczy Can. Can nie chce migać. Z jego słuchem jest wszystko w porządku. Chodzi o serce. Matka też ma słuch w porządku. Sam często o tym zapomina.

Nauczył się, że jego największą siłą w tym mieszkaniu na piętrze jest odwracanie się

plecami. Można w ten sposób zignorować pół świata. Matka nie odważy się krzyknąć. Jeden okrzyk może go zabić.

Zespół wydłużonego QT. Sucha nazwa, w sam raz do formularza. Powinno się to nazywać „kardioszok” albo „wielki atak serca”; coś jak tytuł serialu dokumentalnego, w którym pokazują różne dziwadła: w dzisiejszym odcinku dziewięcioletni chłopiec z cudaczną i potencjalnie śmiertelną wadą serca. Przez serce Cana przepływają fale chaosu. Jony sodu i potasu ścierają się w spiętrzenia i piękne fraktalne wykresy, jak czarne tulipany. Szok może zaburzyć te zsynchronizowane elektryczne impulsy. Jeden nagły, głośny dźwięk wystarczy, żeby zatrzymać jego serce. Zawyje alarm, trzaśnie opadająca roleta, nagle wrzaśnie muezin albo pęknie balon i Can Durukan nie żyje. Dlatego Şekure i Osman urządzili dla niego taki mały, wytłumiony świat.

Odyseusz, starożytny żeglarz pływający po okolicznych, ciasnych morzach, zatkał swojej załodze uszy woskiem, żeby marynarze nie ulegli morderczemu śpiewowi syren. Jazon, bardziej wyrafinowany wilk morski, zagłuszał je grającym na lirze Orfeuszem. Zatyczki Cana są inspirowane tymi dwoma herosami. To inteligentny polimer przepleciony nanoukładami. Pasują dokładnie do kształtu jego uszu. Nie tłumią rzeczywistości. Biorą ją, odwracają, przesuwają w fazie i sumują, tak że sygnały niemal całkiem się wyciszają. Niemal całkiem. Bo sto procent oznaczałoby głuchotę. Do uszu Cana świat może przekraść się jako szept.

Raz na miesiąc matka wyciąga te sprytne spiralne koreczki, żeby oczyścić je z woskowiny. To pełne napięcia pół godziny, zabieg wykonywany jest w specjalnie zaadaptowanej garderobie pośrodku mieszkania, gdzie Can i matka tłoczą się jak pestki granatu. Jest wyciszona jak studio nagrań, ale matka i tak wzdryga się i wytrzeszcza oczy przy każdym stłumionym stuknięciu czy szumnięciu, przenoszącym się przez stare belki tekke. Tylko wtedy do niego mówi, najcichszym z szeptów. Przez pół godziny w miesiącu Can słyszy głos matki, czyszczącej mu uszy leczniczymi patyczkami.

Dzień, w którym zniknęły dźwięki, to najdawniejsze wspomnienie w jakie jeszcze wierzy Miał cztery lata. Biały szpital był kanciasty, nowoczesny, pełen szkła, przez co wyglądał, jakby świecił na słońcu. Ojciec powiedział, że to bardzo dobry szpital. I drogi, dodała matka i ciągle to odtąd powtarzała, przypominając Canowi o ubezpieczeniu medycznym, z powodu którego mieszkają w tym zrujnowanym tekke w podłej dzielnicy. Can wiedział, że musi być drogi, bo stał nad samą wodą. Za oknem przepływał ogromny statek załadowany piętrowo kontenerami. Nigdy wcześniej nie widział czegoś tak wielkiego i tak bliskiego, co w dodatku by się poruszało. Siedział na jednorazowym, jałowym prześcieradle i

patrzył, jak w pole widzenia wpływa coraz więcej tego statku, aż wypełnia całe okno. A oni zaglądali mu do uszu.

- Jak ci z tym? - zapytał ojciec.

Can pokręcił głową, czując w uszach coś nowego.

- Przez parę dni może trochę uwierać - powiedział lekarz od uszu. Statek płynął dalej, wielki jak wyspa. - Raz na miesiąc trzeba będzie je czyścić. Elektronika jest bardzo odporna. Nie trzeba się przejmować, że coś się zepsuje. Spróbujemy? Can...

Jego słuch gdzieś odpłynął, wszystkie dźwięki świata uciekły na najdalszy jego skraj. Doktor, ojciec, zmienili się w maleńkie ptaszki. Własne imię w szept. Statek płynął w ciszy. Can myśli teraz o tym statku, że wywiózł wszystkie dźwięki świata. Gdy wspina się na taras, żeby patrzeć wzdłuż stromej ulicy Vermilion-Maker na ten skraweczek Bosforu, wciąż liczy, że go zobaczy, że dostanie je z powrotem, z każdego kontenera inny dźwięk.

Wieczorem tamtego dnia matka zrobiła ašure. Specjalny budyń na specjalne okazje. Wielki przysmak w jej rodzinie - pochodzili ze wschodu. Historię o budyniu Noego, o tym, że zrobiono go z siedmiu rzeczy, jakie zostały na arce, kiedy osiadła na Araracie, Can słyszał wiele razy od matki i babci, kiedy jeszcze żyła, ale tej nocy mama i tato opowiedzieli mu to rękoma. Can nie mógł potem zasnąć, nakrecony cukrem wiercił się, a zatyczki uwierały go w uszy. Jakieś powietrzne wybuchy rozbłysły na tapecie z Barneyem i robaczkami. Otworzył okiennice. Wybuchło niebo. Fajerwerki rozkwitały nad całym Stambułem, sypiąc srebrnym deszczem. Mrok dźgały żółte i niebieskie łuki. Brązowy ogień osypywał się srebrem z gwiazd rozbłyskujących tak wysoko, że Can musiał wyciągać szyję, żeby je dostrzec. Wszystko to wśród stłumionego łoskotu i cichych syków, detonacji ściszonych do poziomu łamanej skórki chleba. Dzięki tej niemal doskonałej ciszy, światła na niebie wydawały się jaskrawsze i egzotyczniejsze niż wszystko, co Can dotychczas widział. Może to kończył się świat, rozpękało się siedem kręgów nieba, wylewając ogień na ziemię? Pociski z mózdzierzy leciały coraz wyżej i wyżej. Can słyszał je jako pyknięcia na granicy słyszalności, jak pęknięcia sypiących nasionami strąków grochu. Teraz nad stambulskimi kolektorami słonecznymi i antenami satelitarnymi starły się świetliste armie: bataliony płomiennych janczarów uzbrojonych w błyskawice i artylerię przeciwko śmigłym, skrzącym się spahom, galopującym szeptem z jednego końca nieba na drugi. Nad nimi, tylko trochę niżej niż gwiazdy, anioły siedmiu nieb wojowały z aniołami siedmiu piekieł, przez jedną ognistą chwilę niebo zapłonęło, jakby nad Stambuł wróciły naraz wszystkie gwiazdy, jakie świeciły nad nim od początku świata. Can czuł na twarzy ich srebrzyste ciepło.

Gdy niebo przygasło, miasto odwzajemniło dar. Najpierw od Bosforu popłynął cichy

flet okrętowej syreny, nabrzmiewając chórem tankowców, promów, wodolotów i wodnych taksówek. Ulice odpowiedziały brzęczykami tramwajów, cichymi jak modlitwy, potem bardziej płaskim i blaszanym rykiem klaksonów aut i ciężarówek. Can wychylił się, próbując usłyszeć. Wydało mu się, że słyszy płynącą z herbaciarni na Adem Dede muzykę taneczną. Czuł jej rytm, puls na tle własnego. A pod tym wszystkim ludzkie głosy, wiwaty i okrzyki, śmiech i śpiew. Nie krzyczeli nic konkretnego - czysta radość z wydawania dźwięków zlewających się w jeden głos tłumu. Dla Cana był jak syczący szum. Ludzie wypełniali ulicę, mały placyk z jego dwiema herbaciarniami i jednym minimarketem. Wielu miało małe flagi, więcej - butelki. Can nie mógł uwierzyć, że na ciasnym, zamkniętym placu Adema Dede mieszka tyle ludzi. Samochody radośnie trąbiły klaksonami, a w ich oknach powiewały flagi: turecki biały półksiężyc z gwiazdą na czerwonym tle oraz niebieska flaga z kręgiem złotych gwiazdek. Ludzie na placu trzymali takie same flagi: półksiężycy i gwiazdki. Can patrzył, jak młody chłopak, nagi od pasa w górę, tańczy i kołysze się na balkonie konaka na rogu Vermilion-Maker i Kradzionych Kur. Na czerwonej twarzy miał wymalowane godło ojczyzny - półksiężyc i gwiazdę. Przez ten półksiężyc wydawało się, że się uśmiecha. Odwrócił się do tłumu, zamachał. Ludzie odpowiedzieli machaniem. Udał, że będzie skakał. Can wstrzymał oddech. Chłopak był na tej samej wysokości, co jego punkt widokowy. Teraz tłum jakby go zagrzewał. Nagle chłopak oderwał ręce od balustrady. Can na zawsze zapamiętał, jak leciał nad zalaną światłem ulicą - skóra lśniącą od potu, twarz z wiecznym uśmiechem w obliczu grawitacji. Przepadł w tłumie. Can nigdy się nie dowiedział, co się z nim stało.

Dopiero, gdy poczuł na ramieniu dotyk, zorientował się, że obok stoi matka.

- Co się dzieje? - zapytał. Jego własny głos wydawał się miniaturowy, jak u jaszczurki.

Matka ukłękła obok niego, przycisnęła usta do ucha. Kiedy się odezwała, słyszał słowa i jednocześnie czuł ich łaskotanie.

- Can, skarbie, jesteśmy teraz Europejczykami.

Can biegnie wyciszonymi korytarzami domu derwiszy. Zna na wylot wszystkie punkty widokowe wychodzące na resztę świata. Wbiega na taras. Pachnie tu rozgrzanymi meblami ogrodowymi i usychającym geranium. Staje na palce, żeby się wychylić nad rozklekotaną drewnianą okiennicą. Rodzice skazują go na świat szeptów, ale nie przyjdzie im do głowy, że mógłby po prostu spaść z tarasu. Widzi dym unoszący się między krążącymi bocianami. Nie ma go zbyt wiele. Necatibey Caddesi, tak jak myślał. Potem jego palce bieleją na posiwiałej ze starości balustradzie. Powietrze nad placem Adema Dede wypełnia się ziarnistym ruchem, jak pyłowy wir albo rój szarańczy. Rojoboty wielkości owadów toczą się przez powietrze, omijając latarnie i kable elektryczne, spiętrzone w rozpędzony strumień przez stojące blisko

siebie kamienice. Can z ekscytacją wali pięścią w balustradę. Każdy dziewięcioletek uwielbia boty. Na jego oczach zakręcają w powietrzu i leją się stromą Vermilion-Maker jak woda po skałach. Na otwartym niebie nad budynkami, między roztańczonymi bocianami, wiatr wygrałby z ich nanośmigielkami i rozproszył je jak kurz. Can zauważa roje w rojach, nurty w nurtach, dziwne przepływy, fraktalne kształty, samoorganizujące się jednostki. Pan Ferentinou nauczył go, jak dostrzegać krew pod skórą świata: proste reguły małych rzeczy, składające się na z pozoru skomplikowane i wielkie.

- Małpa, małpa, małpa! - krzyczy Can Durukan, gdy końcówka roju znika za zakrętami i uskokami alei Vermilion-Maker. - Za nimi!

Poruszenie w nadal ocienionym zakątku jadalni, szelesty w misternej drewnianej plecionce parawanu na tarasie. Z kątów i szpar wychodzą robociki, skrobiać, tocząc się, pełznąć. Turlające się kłębki łączą się w pełznące kraby; wieloramienne pnące się stwory łączą się końcami i skręcają w ramiona. Element za elementem, montują się samoczynnie, aż ostatni trafi i zatrzaśnie się na właściwym miejscu: i na balustradę wskoczy plastikowa małpa, chwytając się jej dłońmi, stopami i ogonem. Odwraca usianą czujnikami głowę do swego pana.

Can wyciąga z kieszeni smartsilkowy komputer, rozwija go i otwiera pole dotykowe. Zgina palec. Małpa sztywnieje czujnie. Can wskazuje; ona już daje potężnego susa na kabel energetyczny, ręka za nogą galopuje nad ulicą i sprężyną przeskakuje na balkon naprzeciwko, gdzie ta Gruzinka ciągle uparcie suszy swoją bieliznę. Jeszcze wyżej i wyżej. Can widzi, jak przysiada na parapecie, odcinając się cieniem na tle nieba.

Zabawkowe BitBoty Cana nie mogą się równać z policyjnymi maszynami, które przemknęły ulicą, ale dzięki panu Ferentinou i tak są o wiele lepsze, niż były w fabrycznej specyfikacji. Can klika ikonę małpy. Jego BitBoty mają cztery wcielenia: Ptak, Wąż, Szczur i Małpa. Z tych czterech żywiołów składa się dla niego niedostępne miasto. Patrzy ich oczyma. Chichocze z ekscytacji, lecąc razem z baterią czujników Małpy po dachach, lawirując w labiryntach anten i kabli, skacząc przez oszalałymi przepaściami między konakami. Na podstawie mapy i widoku z kamery Małpy Can nawiguje swymi oczyma po dachach starej, walącej się dzielnicy Eskiköy. Tylko dzieciak jest w stanie zrobić coś takiego. Jest trochę superbohaterem, trochę sportowcem ekstremalnym, trochę parkurowcem i trochę ninją. To najlepsza gra komputerowa na świecie. Z parapetu na parapet, na słup, dłonie, stopy i ogon wdrapują się na plastikowy szyld Allianz Insurance. Can Durukan przybywa na miejsce zamachu i zawisa do góry nogami pod wielką literą I.

Rozczarowanie. Wybuch nie był silny. Stoją karetki, straż pożarna, radiowozy policji z

migającymi światłami, z każdą minutą przybywa ekip reporterskich, ale sam tramwaj w ogóle nie wygląda na uszkodzony. Can rozgląda się po tłumie. Twarze, kamery, twarze, kamery. Między gapiami rozpoznaje jedną twarz: ten typ o szczurowatej twarzy, który wprowadził się do pustego skrzydła domu; ten, który ma brata, jakiegoś sędziego ulicznego, czy coś. Na początku złościł się, że się tam załęgłi. Puste pokoje pełne kurzu i gołębiego gówna były dotąd jego bezludną wyspą. Myślał nawet, czy nie wysłać Małpy - jedyne wcielenia dysponującego rękami - żeby im przedstawiała rzeczy, udając niespokojne duchy zmarłych derwiszy sprzed lat, ale Szczurowaty mógłby zastawić pułapkę na złośliwą małpę i złapać ją, zanim zdąży rozpaść się na części i uciec. Gra polega na obserwacji.

Szczurowaty próbuje się wymknąć. Prawie wszczyną bójkę z wielkim facetem w białej koszuli. A co teraz robi? Ma minę, jakby zobaczył ducha.

Przepycha się przez tłum. Jeśli zobaczą to policyjne boty, ukłują go żądłami. Fajnie by było. Can wciąż źle życzy Szczurowatemu i jego bratu kadiemu, okupantom jego ukochanej kryjówki. Eee, jakoś mu się udało.

Małpa odczepia ogon od belki i przygotowuje się do wskoczenia z powrotem na dach. Nic ciekawego do wrzucania do sieci. Wtem Can zauważa iskierkę ruchu na szyldzie Commerzbanku po lewej. Coś tam jest. Małpa obraca wypchaną czujnikami głowę i zoomuje. Klik, klik, klik. Ruch, miga coś plastikowego. Nagle bezładne ruchy łączą się w jeden. Can wstrzymuje oddech. Patrzy z bliska w twarz innego wielookiego robota-małpy. A kiedy się w nią gapi, oczy-kamery z inteligentnego plastiku wytrzeszczają się, ogniskują i odwzajemniają spojrzenie.

* * *

Cukiernik Lefteres mawiał kiedyś, że wszyscy Grecy na Eskiköy zmieściliby się w jednej herbaciarni. Teraz mieszczą się przy jednym stoliku.

- O, idzie.

Georgios Ferentinou człapie przez plac Mistrza Adema. „Plac” to zbyt wielkie słowo, by określić coś, co jest zaledwie ulicą rozszerzającą się przed mewlewickim tekke. W niszy na murze stoi fontanna z wodą pitną, sucha odkąd ktokolwiek na Eskiköy pamięta. Miejsca wystarcza na dwie czajchany, kiosk Aydina na rogu ulicy Kradzionej Kury z efektowną wystawą rosyjskich pornomagazynów przypinanych klamerkami do bielizny do brzegu markizy, NanoMart Arslana, Księgarnię Edukacyjną specjalizującą się w kolorowych książeczkach dla uczniów podstawówek i Galerię Sztuki „Tej Kobiety”. Aydin-pornograf pije poranną herbatę w czajchaniu Fethiego Beja, przy obskurnych schodkach zrujnowanego skrzydła domu derwiszy. Plac Adema Dede jest może za mały na więcej herbaciarni, ale

wystarczająco duży na rywalizację.

- Upał - sapie Georgios Ferentinou. Wachluje się laminowanym menu. Zamówienia są niezmiennie jak Hagia Sofia, ale Bülent, właściciel czajchany i tak wyklada menu. Skapemu Aykutowi naprzeciwko nigdy się nie chciało. - Znowu.

Poci się obficie. Georgios Ferentinou to tłusty, bulwiasty mężczyzna, podparty maleńkimi stópkami tancerza, przez co wygląda jakby ciągle się kiwał. Żaden z jego rodaków z czajchany nigdy nie widział go ubranego w coś mniej eleganckiego niż spodnie o podwyższonym stanie i biała lniana marynarka, jak dziś. Czasem kapelusz, w największe upały, jak w tym potwornym dwudziestym drugim, a kiedy słońce schodzi nisko i trafia w szczelinę nieba nad Vermilion-Maker, dochodzi para małych, okrągłych, ciemnych okularków, które zamieniają mu oczy w dwa czarne rodzyunki. W te coraz rzadsze dni, gdy na plac Mistrza Adema pada śnieg i amatorzy herbaty chowają się w środku za zaparowanymi od oddechów szybami, wkłada czerwony wełniany szalik i obszerny czarny płaszcz, jak jakiś krymski kupiec z ostatnich dni cesarstwa.

- Gorąco jak cholera - zgadza się Constantin. - Już.

- Zostawiliśmy ci nóżkę. - Lefteres przesuwając talerz na małym kawiarnianym stoliku.

Leży na nim zarżnięte i poćwiartowane marcepanowe jagnię. Ziarniste żółte boki zdobi delikatny, czerwony lukier. Przez ponad sto pięćdziesiąt lat, odkąd przyjechali do stolicy imperium z Salonik, Lefteresowie przygotowywali paschalne baranki z marcepanu dla konstantynopolitańskich chrześcijan. Baranki na Wielkanoc, z kandyzowanych owoców, błyszczące od jadalnej pozłoty i sreberka, dary Trzech Króli na Boże Narodzenie. Nie zapominali i o muzułmanach: sezamowe ciasteczka i kruche cukierki na kończące ramazan Szeker Bajram. Pudełka rachatlukum i pistacjowe karmelki dla zapraszających na wesela i na osłodę pogawędek. Sklep sprzedali przed końcem stulecia, ale ostatni z rodu ciągle przyrządza swoje słodkie baranki, kandyzowane owoce i bajramskie przysmaki na użytek mieszkańców placu. I cały czas mówi się o nim „Lefteres Cukiernik”.

Bülent stawia przed Georgiosem Ferentinou, jak zawsze, szklanę jabłkowej herbaty.

- O, idzie Ojciec - mówi.

Ostatni z czterech starych Greków na placu sadowi się ciężko na swoim stałym miejscu, obok Georgiosa Ferentinou.

- Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece. - Ojciec Ioannis rozprostowuje pod stołem obolałe nogi. - I niech diabli wezmą moje kolana.

Bülent bez słowa stawia przed nim lipową herbatę w delikatnej tulipanowej szklance. Ojciec Ioannis upija łyk.

- Ach. Pyszne. Ci dranie znów zaczęli.

- A co zrobili tym razem? - pyta Bülent.

- Ktoś wylał na schodki wiadro sików. Połowa spłynęła pod drzwiami do kaplicy. Nie śpię od czwartej, próbuję to wyszorować. Sukinsyny. Jedno mi się nie mieści w głowie: oni to musieli gromadzić przez parę dni. Cała banda gówniarzy musiała sikać do wiadra i chichotać przy tym.

- Ojciec zakłada - odzywa się najcichszy z bywalców czajchany - że to ludzki moc. A może to od jakiegoś dużego zwierzęcia?

- W środku takiego miasta? - pyta ojciec Ioannis. - Zresztą, niech Bóg i Matka Boska mają mnie w opiece: wiem, jak śmierdzi ludzki moc.

Constantin Aleksandryczyk wzrusza ramionami i przygląda się papierosowi, dopalającemu się tuż przy pożółkłych czubkach jego palców.

- Trzeba będzie wypalić przed Wielkanocą masę kadzidła, żeby pozbyć się tego smrodu, i kto za to wszystko zapłaci? - narzeka ojciec Ioannis. - Patriarchat nie chce dać nawet na połatanie dachu.

Georgios Ferentinou myśli, że w tę Wielkanoc może odwiedzi cerkiewkę świętego Pantelejmona. Nie jest wierzący; wiara jest poniżej jego godności, ale podoba mu się wystudiowane szaleństwo religii. Maleńka cerkiewka jest wciśnięta w zaułek odchodzący od zaułka w zaułku. Starsza niż jakakolwiek inna nazwa na Eskiköy, Agios Panteleimon pozwolił dzielnicy się obrosnąć, jak owoc obrasta nasiono. W środku ma miecz, który wolał się zgiąć, niż uderzyć patrona-męczennika (dopóki ten mu nie pozwolił), oraz znakomity zbiór przedstawiających go ikon, niektóre w alternatywnym, rosyjskim porządku, z rękoma przybitymi gwoździami do głowy. Kobieta, która prowadzi galerię w dawnej sali tanecznej, złożyła ojcu kuszącą ofertę na jego makabryczne ikony. On jednak nie może ich sprzedać: nie należą do niego. Georgios wie, że jeśli w tę Wielkanoc wybierze się do cerkwi, niewykluczone, że będzie tam jedynym wiernym. Może parę starych wdów, które przychodzą Bóg jeden wie skąd, w ich kruczych czerniach. Fala wiary odpłynęła z Eskiköy jeszcze przed czystkami etnicznymi. Niemniej, ostatnio zauważył, że powoli wkrada się z powrotem, małymi strumyczkami i zaciekami, szukając drogi na bruku, opływając kamienne progi. Teraz to ostrzejsza wiara niż niegdyś u świętego Pantelejmona albo mewlewitów. Ma wschodni klimat. Surowsza, młodsza, bardziej niecierpliwa i pewna siebie.

- To przez upał, panie, przez ten upał - mówi Lefteres Cukiernik. - Małpiego rozumu od tego dostają.

- I mecz - dodaje Bülent. - Przed końcem tygodnia na pewno jakiś kibic Anglików

dostanie nożem. Upał i futbol.

Grecy z herbaciarni na Adema Dede kiwiają głowami i mruczą z aprobatą.

- To jak, skończyłeś już swój pamflet? - pyta ojciec Ioannis.

Lefteres rozkłada kartkę A4 i przesuwa ją na środek stolika. Jest czysta.

- Postanowiłem, że tego nie napiszę.

Lefteres, mistrz słodyczy i soczystości, wielkanocnych baranków i złoconych owoców, jest etatowym eskiköyskim pamflecistą. Namolny chłopak, nieściągnięty dług, ktoś za głośno puszcza muzykę albo podrzuca śmieci do twojego pojemnika: idź do Lefteresa w czajchaniu na placu Adema Dede. Zapłać, ile sobie zażyczy. Tanio nie będzie. Jakości tanio nie dostaniesz. Za to następnego ranka Eskiköy zbudzi się i znajdzie jedną kartkę A4, zawsze wypisaną odręcznie, przypiętą do drzwi winowajcy, przyklejoną taśmą do okna, nalepioną na szybie zaparkowanego auta. Znajdzie się na niej, wymieniony i potępiony, każdy występki, zostanie wyszydzone każda cecha charakteru, wierszem w nieskazitelnym stylu najlepszej tureckiej poezji. Zostanie skrytykowany każdy najmniejszy szczegół. Lefteres doskonale umie zebrać materiały. Jest niezawodny. Tłum przy drzwiach to uświęcona tradycją i potężna kara. Pogłoska o nowym pamflecie roznosi się szybko. Ludzie zjeżdżają się nawet z daleka, spoza Eskiköy, żeby czytać i się zachwycić. W sieci są międzynarodowe strony poświęcone pamfletom Lefteresa Cukiernika z Eskiköy.

- A Sibel Hamm* mówileś? - pyta Georgios Ferentinou.

- Oczywiście - odpowiada Lefteres. - Nie była zadowolona. Ale powiedziałem jej, że to część mojej misji: muszę być absolutnie przekonany, że kara jest uzasadniona i istnieje wyraźna społeczna potrzeba. Tak było zawsze. Zawsze. A ta kobieta nie jest prostytutką. Tyle. Koniec dyskusji. Może i jest Gruzinką, ale to nie znaczy, że od razu prostytutką.

Odkąd Kaukaz i Azja Środkowa zauważyły, że mają pod nosem otwarte drzwi do Europy, Gruzini, Ormianie, Azerowie, Ukraińcy, robotnicy aż z Kazachstanu i Turkmenistanu, Syryjczycy, Libańczycy, Irańczycy, Kurdowie zalali dziesiątkami tysięcy Anatolię, tę klamrę spinającą wielką Eurazję, której sztyftem jest Sztambuł. Tak Georgios rozumie powód, dla którego Lefteres odmówił napisania pamfletu. Sztambuł już kiedyś był miastem wielu narodów i wie, że będzie nim znów, prawdziwym kosmopolis. Czas Turka się kończy. Gruzini, Grecy - tacy sami przybysze.

- Słuchaj, a wiesz, kogo widziałem wczoraj na Güneşli Sok? - pyta Constantin. - Arianę Sinanidis.

* Hamm - „pani”, sposób tytułowania zamężnej kobiety (przyp. tłum.).

- Ile to lat temu wyjechała do Grecji? - odzywa się Lefteres.

- Czterdzieści siedem - mówi Georgios Ferentinou. - Co ona tu robi?

- Spadek albo spór o nieruchomość. Jedno z dwojga. Bo po co się tu wraca? - mówi Constantin.

- Nie słyszałem, żeby ktoś ostatnio zmarł - zauważa ojciec Ioannis. W tak małej i zżytej wspólnocie, jak stambulscy Grecy, każda śmierć to mały holokaust.

I wtedy eksploduje bomba. Dźwięk wybuchu niesie się tępym echem, odbija od fasad domów. Niezbyt silny huk, ledwo wybijający się z ryku porannego ruchu ulicznego, mimo to, czterej mężczyźni przy stoliku unoszą głowy.

- Daleko to było?

- Mniej niż kilometr, zdaje się.

- Dużo mniej. To mógł być tylko sam detonator.

- A gdzie, jak myślisz?

- Zgadywałbym, że gdzieś w stronę Tophane Meydani.

- Żadnych zgadywanek. To nauka ścisła.

Constantin wyklikuje nowe źródła wiadomości na inteligentnym papierze leżącym między szklankami z herbatą i filiżankami z kawą.

- Necatibey Caddesi. Bomba w tramwaju - mówi.

Bülent za ladą zaciska pięść.

- Yesss!

- Sukinkot! - mówi Lefteres. - Ile wygrał?

Georgios Ferentinou wyciąga ceptepa. Kciuk pewnie wędruje po ikonkach.

- Giełda Terroru urosła o dwadzieścia punktów.

- Panie Jezu, zmiłuj się nad nami wszystkimi - odzywa się ojciec Ioannis. Palcami wiąże różaniec w supeł.

- No to śniadanie stawia firma - mówi Bülent.

Georgios Ferentinou nigdy nie widział w ekonomii „ponurej nauki”^{*}. Dla niego to psychologia stosowana, najbardziej ludzka z nauk. W romansie wojny i ucieczki od niej kryją się głębokie ludzkie prawdy; tak samo w splecionych zawłościach piętrowych instrumentów finansowych, misterne i drogocenne jak isfahańskie miniatury. Ślepa mądrość tłumu nie przestaje go zdumiewać, odkąd odkrył ją pierwszy raz, przy okazji słoja z pluszowymi maskotkami. Stał na stole u Göksel Hamm, nauczycielki z początku podstawówki. Przywiozła

* Dismal Science - termin ukuty przez wiktoriańskiego historyka Thomasa Carlyle’a, prawdopodobnie

go z odwiedzin u siostry w Fort Lauderdale. Zakochała się w Myszcze Miki i ogołociła z maskotek cały Disneyworld. Po kilka Goofych i Mikich, Pluto, Stitchów i Simbów, upchniętych jak sardynki, łypiących oczyma na ośmioletniego Georgiosa. Çiftçi - tak się upierała go nazywać. Turecki przekład jego imienia, Çiftçiego osobliwie pociągały sprasowane maskotki. Fajnie byłoby, myślał sobie, tak się cisnąć w słoju razem z innymi, miękkimi stworzeniami.

- Kto zgadnie, ile ich jest - powiedziała raz Göksel Hamm do klasy - ten je wygra.

Çiftçi był leniwy. Göksel Hamm codziennie mu to powtarzała. Leniwy i tępy. Ale maskotki chciał dostać, więc zrobił to, co robi każdy tępy i leniwy chłopak: zapytał kolegów. Odpowiedzi mieściły się w przedziale od piętnastu do pięćdziesięciu, Çiftçi, tępy, leniwy i niechętnie podejmujący decyzje, zsumował je wszystkie i podzielił przez liczbę uczniów w klasie, zaokrąglając w górę, na szczęście.

- Trzydzieści siedem - powiedział, pewny siebie, do Göksel Hamm.

I było ich dokładnie trzydzieści siedem. Göksel Hamm niechętnie oddała mu słój. Postawił go na nocnym stoliku i przez parę miesięcy gapił się na niego, ciesząc się z uwieczionych maskotek. Pewnego dnia jednak matka postanowiła je uprać. Zamknęła je potem z powrotem, ale wdała się wilgoć - w dwa tygodnie pozieleniały, zaczęły śmierdzieć i poleciały do śmieci. To było jego pierwsze spotkanie z potęgą agregacji. Decyduje masa.

Wszystko ma swój rynek. Długi. Zanieczyszczenie dwutlenkiem węgla. Wartość przyszłych zbiorów pomarańczy w Brazylii, produkcja gazu na Ukrainie. Pasma telekomunikacyjne. Ubezpieczenie pogodowe. Kupujesz tanio, sprzedajesz drogo. Silnikiem jest interesowność; agregacja, jak uśrednienie odpowiedzi uczniów w siedemdziesiątym pierwszym roku, to wał napędowy. Georgios Ferentinou jedynie rozszerzył zasadę wolnego rynku na terroryzm.

Rynek działa tak: w całym Stambule istnieje sieć tysiąca brokerów. To najróżniejsze osoby: od studentów ekonomii, przez uczniów i ich matki, po prawdziwych maklerów Stambulskiej Giełdy Węglowej. AI przez całą noc przeczesują sieci informacyjne - głębokie kanały, które Ferentinou zabrał ze sobą, opuszczając uczelnię, oraz mniej wzniosłe źródła: czaty, fora, portale społecznościowe i polityczne. Do świtu udaje im się sporządzić długą listę potencjalnych przyszłych wydarzeń. Pierwsze zadanie Georgiosa Ferentinou, jeszcze zanim napije się na śniadanie herbaty w czajchaniu, to sporządzić na ten dzień listę kontraktów, którymi da się obracać - jeszcze w kapciach i piżamie. Kiedy przeczłapie przez plac do

stolika, kontrakty już lecą po mieście jak szybujące bociany i spływają pierwsze oferty. Kupię dwadzieścia kontraktów o nominale stu, na to, że Galatasaray w czwartek wygra z Arsenalem dwa do jednego. Ile chcesz za nie zapłacić? To zależy, jak bardzo prawdopodobne jest według ciebie, że Galatasaray wygra z Arsenalem dwa do jednego.

To najprostszy kontrakt terminowy, futures - jak prosty sportowy zakład. Określony jest moment rozliczenia kontraktu - ostatni gwizdek sędziego na stadionie Galatasaray - i zasada wypłaty. Musisz tylko zdecydować, ile zapłacisz za niego dzisiaj, a potem inni - ile zapłacą, kupując od ciebie taki kontrakt. Każda transakcja to rodzaj zakładu.

Ile zapłacisz za kontrakt o nominale setki, na zakład, że cena gazu wzrośnie o piętnaście procent na zamknięciu rynku w następny poniedziałek? Trzydzieści? Pięćdziesiąt, za sto? A ile, jeśli zobaczysz, że na Gieldzie Węglowej rosną ceny? Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt? Teraz zamieniamy te notowania na procenty i mamy prawdopodobieństwo, prognozę przyszłych wydarzeń.

Trzydzieści, pięćdziesiąt, sto, co to takiego? Kudusy - sztuczna waluta na Gieldzie Terroru Georgiosa Ferentinou. Lotne wirtualne pieniądze, bez zapachu, ale nie bez wartości. Kudusy to nie punkty w grze. Można je wymienić na inne waluty w światach wirtualnych, sieciach społecznościowych albo grach sieciowych, a w niektórych z nich z kolei istnieje możliwość wymiany na prawdziwą, fizyczną gotówkę. Można nimi obracać. To kolejny eksperyment Ferentinou z ekonomii behawioralnej. Kudusy muszą być coś warte. On rozumie, że bez prawdziwego zysku i prawdziwej straty rynek nie zaistnieje. To dzięki pieniądzom działa.

Oto następny kontrakt. Cena terminowa sto głąsków. Podczas obecnej fali upałów, w stambulskiej komunikacji na dużej ulicy wydarzy się zamach samobójczy. Kupujesz?

Georgios Ferentinou sprawdza kurs zamknięcia. Osiemdziesiąt trzy kudusy. Dużo, zważywszy na masę spekulacyjnych czynników: czas mijający od bomby na dworcu autobusowym; obwieszczenie przez Ankarę zaostrezenia polityki wobec organizacji politycznych przeciwnych sekularyzacji państwa; potencjał, że fala upałów zakończy się przeskokiem potężnej błyskawicy między minaretami Stambułu. Potem sprawdza historię kursu odkąd wyemitował ten kontrakt. Rósł równo z termometrem. To jest właśnie cud Gieldy Terroru w działaniu. Kupno i sprzedaż, przyziemna chciwość - to potężniejsi prorocy niż eksperci i modele AI Państwowej Służby Bezpieczeństwa. Skomplikowane zachowanie oparte na prostych procesach.

Przez plac przechodzi kobieta prowadząca galerię z dewocjonaliami na parterze domu derwiszy. Kuca, żeby otworzyć zamek stalowej rolety. Kiedy balansuje na palcach, obcasy

odrywają się lekko od ziemi. Nosi dobre buty, wzorzyste rajstopy, elegancką, nie za krótką spódniczkę i dobrze skrojony żakiet. Ciepło jak na tę pogodę, ale elegancko. Georgios patrzy, jak podciąga szczękającą roletę. Taka niewymuszona gracia kosztuje sporo w wejściach na fitness. Dzwoni jej ceptep, rozbrzmiewa kaskadą srebrzystych nut sitara. Georgios Ferentinou odwraca wzrok z delikatnym grymasem żalu. Kiedyś on też się podobał. Jego uwagę zwraca jakieś zaburzenie w powietrzu, migotanie jak od ciepła, rój maleńkich owadów, wizualny odpowiednik skrzącego się glissanda, dzwonka telefonu tej kobiety z galerii.

Rój maszyn wielkości komarów wiruje w dusznym powietrzu nad placem. Wzrok unosi nawet chłopak niosący tacę obwarzanków z sezamem z kiosku Aydina. Potem chmura nanorobotów przelewa się w ulicę Vermilion-Maker jak woda przez groble, spływając po schodkowanym spadku, opływając uczniów, kobiety, starą Sibel Hamm z trudem pnącą się po stopniach. Leć za rojem. Omijaj najbliższych sąsiadów, ale staraj się zachować od nich równą odległość. Kohezja, układ, odstęp. Trzy prymitywne zasady - krynica misternego, zawilego piękna.

Kątem oka Ferentinou dostrzega małego małopokształtnego robota przeskakującego na łeb, na szyję z linii elektrycznej na balkon tej nielubianej Gruzinki. W dziwnym świecie żyje ten chłopiec, myśli. Świecie szeptów, dalekich, ledwo słyszalnych dzwoneczków jak anielskie głosy Ale czyż to bardziej osobliwe niż czterech starych Greków, dryfujących przez dziesięciolecia, miotanych falami i bałwanami historii, a teraz zasiadających nad herbatką i obwarzankami, żeby wróżyć przyszłość?

I jeszcze Ariana wróciła. Prawie pół wieku i jest z powrotem na Eskiköy. Tego nie przewidziałyby żadna transakcja, żadna gra, żaden zakład o przyszłe wydarzenia. Wróciła i nic już nie jest bezpieczne.

* * *

Yali pochyla się nad słoną wodą, balkon nad balkonem. Adnan otwiera drewniane okiennice najwyższego tarasu. Poranny upał miesza się z pasmami chłodu znad Bosforu. Nurt jest ciemny. Adnanowi Bosfor zawsze wydawał się ciemny, ciemny jak krew, ciemny jak drogi rodne. Wydaje mu się głęboki, głęboki i pochłaniający. Wie, skąd się bierze ten strach: z łódki ojca i niezliczonych słonecznych popołudni spędzonego na wodzie dzieciństwa. Stąd właśnie zwieńczeniem sukcesu jest dla niego od zawsze dom nad wodą. To urok strachu, przypomnienie, że wszystko, co masz, można stracić w jednym momencie nierozwagi. Wczesne słońce zamienia burtę rosyjskiego gazowca w ścianę blasku. Monstrum. Adnan Sarioğlu się uśmiecha. Gaz to potęga.

- Mówi pan: milion dwieście?

Agent nieruchomości czeka przy drzwiach. Jeszcze się do końca nie obudził, ale jest ogolony i wbity w garnitur. Żeby sprzedać coś władcom gazu, trzeba wcześniej wstać. Dealer dealera zawsze pozna.

- To bardzo poszukiwana lokalizacja i, jak pan widzi, można się od razu wprowadzać. Ma pan własną przystań dla łodzi i taras nad wodą do podejmowania gości.

Adnan Sarioğlu kręci krótkie wideo.

- Zainteresowanie jest bardzo duże - naciska agent. - Te stare yali szybko się sprzedają.

- Pewnie, że tak - odpowiada Adnan.

To nie jest prawdziwa yali, bo te albo zawaliły się pod ciężarem butwiejącego drewna w zapomnianych zatoczkach nad Bosforem, albo spaliły się dziesiątki lat temu, albo dawno temu zostały wykupione. Podróbka, ale dobra. Turcja to kraj mistrzowskich podróbek. Ale i tak ziele przepaść między nią a tym znienawidzonym mieszkankiem na ósmym piętrze, wciśniętym między ryczącą trasę ekspresową i grzmiący meczet.

Omiata taras ceptepem. Już wypełnia tę przestrzeń ascetycznymi skandynawskimi meblami. Tu mógłby być gabinet. Tylko skórzane kanapy, stare osmańskie stoliki do kawy, magazyny i wypasiony sprzęt grający. Wchodziłby tu z rana i wzywał awatary, żeby podały mu ceny spot od Baku po Berlin. Wielcy dealerzy, Paszowie, właśnie tak pracują: z klubu jachtowego, z klubu fitness, z restauracji. Prosto z powietrza. Tak, to jest dom, gdzie mógłby zapoczątkować swój ród. Ale nie stać go. Agent na pewno zrobił wywiad środowiskowy i to wie. Ale wie tym samym, że Adnan może się dorobić bardzo, bardzo dużych pieniędzy - dlatego wstał dla niego przed świtem, umył się, ogolił, wypachnił i włożył porządny garnitur.

Kręci ceptepem panoramę widoku na wodę. Mrugnięciem zoomuje, przybliżając pastelowe domy na europejskim brzegu. Większe samochody, szybsze łodzie, głębsze przystanie, dalej od cienia sąsiadów. Pieniądze i klasa zawsze trzymały się skraju Europy. Wytrzeszcza oczy, cofa zoom. Pomiędzy wylizanymi, nowoczesnymi, XXI-wiecznymi yali z fotosyntetyzującymi dachami o małym nachyleniu stoi stos drewna, szary i samotny jak wdowa, dach zapadnięty, fronton chylący się ku wodzie, okna ślepe i półotwarte. Widmo domu, porzucone i zaniedbane pośród młodych, eleganckich sąsiadów. Prawdziwa yali. Być może stoi, gnijąc z każdym rokiem, od stuleci imperium osmańskiego. Klika raz jeszcze powiększa puste okna, zapadnięte ganki i okapy. Nie jest w stanie wyobrazić sobie, ile kosztowałoby przywrócenie jej do stanu nadającego się do zamieszkania, a tym bardziej do założenia tam rodziny, ale wie, dokąd w następnej kolejności pojedzie. Tu zaczyna, a skończy w cieniu mostu, na brzeżku Europy.

Kątem oka dostrzega dym. Jego słup wznosi się, prosty jak maszt, w czyste, błękitne

powietrze. Adnan natychmiast go zoomuje. Nakładka z mapą podaje lokalizację: Beyoğlu. W miarowym pochodzie notowań gazu na marginesie siatkówki pojawia się zuczek wiadomości: BOMBA W TRAMWAJU NA NECATIBEY CADDESI. WIĘCEJ - ZDJĘCIA...

Ayşe jeździ tym tramwajem.

Jej ceptep dzwoni trzy razy, cztery razy, pięć razy, sześć.

- No, cześć?

- Co tak długo?

- Ta roleta coraz bardziej się zacina. Trzeba ją będzie wymienić.

- Czyli bomba cię ominęła?

- A, to było dalej, na Necatibey Caddesi. Dopiero co przeleciał rój policyjnych botów.

Adnan zastanawia się, czy to jej oderwanie od rzeczywistości to naturalna arystokratyczna nonszalancja, czy jakiś wpływ otaczającej ją sztuki i przedmiotów. Ten sklep, mimo że odwiedzany przez menedżerów funduszy hedgingowych i węglowych paszów, szukających drobnych inwestycji w sztukę religijną, to nie jest poważny biznes. Taki babski konik. Kiedy zaczną pojawiać się dzieci, będzie musiała z niego zrezygnować.

- To był twój tramwaj.

- Nie pamiętasz? Mówiłam, że idę wcześniej. Umówiłam się z dostawcą.

- Dobra, ale uważaj na siebie. Te rzeczy chodzą stadami.

- Będę wyglądać samobójców. A jak ta yali?

- Wysłę ci wideo. Dziś chyba wrócę późno. Próbuję się umówić na wieczór z Feridem Bejem. - Nazwisko rzuca nie tyle dla niej, ile dla pośrednika nieruchomości. Słyszysz rytm radiowej ciszy, znaczący tyle, co westchnienie rozdrażnienia.

- No to do zobaczenia, jak przyjdiesz.

O jakiejś późnej godzinie prześliznie się po wygiętej w kształt mostu krzywej czerwonych świateł samochodów i wejdzie do mieszkania na ósmym piętrze. Pewnie będzie oglądać telewizję jednym okiem, rozwieszając pranie, albo, jeśli spotkania się przeciągną, będzie w łóżku. Wtedy Adnan wejdzie, nie zapalając świateł, krótki pomruk, gdy ona wynurzy się ze snu jak delfin, wśliznie się za nią, przyciśnie twardego kutasa do jej rozgrzanego pościelą gładkiego tyłeczka, ona przytuli się w odpowiedzi, on poleci w sen razem z nią, zwabiony przynętą, tak szybko, że nawet nie zdąży poczuć standardowego lęku, że tonie. Wszędzie wokół słodki zapach płynu do płukania tkanin. Tu się nie da żyć. Ale już zobaczył koniec tego życia. Trzeba się przez parę dni przyłożyć i koniec.

Adnan Sarioğlu wyjmując ceptepa z oka.

- Mówi pan: milion dwieście? - pyta.

- Mamy sporo propozycji - mówi agent.
- Dam panu milion.
- Generalnie propozycje są wyższe od ceny wywoławczej.
- O, na pewno. Ale to nie jest propozycja. To cena. W gotówce.

Agent porusza się, zmieszany. Adnan idzie za ciosem.

- Milion sto tysięcy euro, gotówką. W pana biurze, w piątek w południe.

- Zwykle, eee... nie operujemy gotówką.

- Nie operujecie gotówką? Gotówka rządzi i tyle. Z gotówką da się zrobić wszystko.

Piątek, pora obiadowa. Pan ma umowę na biurku, przychodzę, podpisuję, podajemy sobie ręce i zgarnia pan pieprzoną kasę.

Trzy minuty później auto Adnana Sarioğlu wślizguje się na ślimak prowadzący na most, przyspiesza i łączy się z potokiem jadących do Europy samochodów. Autodrive minimalnie ingeruje w prędkość; inne pojazdy odczytują sygnały Adnana i odpowiednio dostosowują prędkość i odległości, żeby się zmieścił. Niestrudzona pompa ruchu ulicznego w każdej sekundzie dnia przepycha ruch stad pojazdów przez Most Bosforski, przez wszystkie arterie wielkiego Stambułu.

O pełnej godzinie informacje dla kierowców. Bomba w tramwaju już spadła z pierwszego miejsca. Nie zginął nikt poza zamachowczynią. Kobieta. Niespotykane. One nie mają obiecanej w rajach nagrody - tylko wieczność w roli żony ciągle tego samego palanta. Coś w rodzinie. Zawsze tak jest. Mężczyźni giną za idee, kobiety za rodzinę. Nie, teraz gwoździem programu jest pogoda. Znowu upał, upał, upał. Trzydzieści osiem stopni, wilgotność osiemdziesiąt procent i nie widać końca. Adnan kiwa z satysfakcją głową, gdy dołem deski rozdzielczej zaczynają płynąć notowania spot gazu na Dalekim Wschodzie. Jego czterdziestoośmiogodzinne opcje na kaspijski gaz jutro rano osiągną cenę wykonania. Elegancki zarobek. Przyda mu się ten zysk na zakupy dla Turkusa. Gotówka rządzi, jak zawsze. Adnan wsuwa do nosa dyszę inhalatora. Fala wciągniętego nano rozlewa mu się po przodomózgowiu, liczby się ostrzą, wzrok ogniskuje. Unosi się wysoko nad złotą kanwą transakcji i instrumentów pochodnych, kursów spot i cen wykonania. Tylko dzięki wspomagającemu koncentrację nano jest w stanie dostrzegać w tej pleciance prawidłowości. Starzy dealerzy biorą go coraz więcej, żeby dotrzymać kroku młodym Turkom. Widzi, jak trzęsą im się ręce, jak mętne mają oczy, kiedy po zakończeniu dnia handlu zjeżdża z nimi windą do podziemnego parkingu. Nano, kaspijski gaz, CO₂ i dealerzy - wszystko to rozmaite postacie węgla.

Muzyka: specjalny dzwonek jego Paszy, jego Białego Rycerza. Adnan wyklikuje go na

desce rozdzielczej.

- Adnan Bej.

- Ferid Bej.

Mężczyzna ma pulchną twarz, gładką po ogoleniu brzytwą, prawie jak u wypolerowanej na wysoki połysk lalki. Adnan robił kiedyś rozeznanie i pamięta, że Ferid jest bardzo próżny i przesadnie dba o swój wygląd.

- Jestem tym zainteresowany. Oczywiście potrzebuję więcej szczegółów, ale myślę, że się dogadamy. Będę w łaźniach Haci* Kadm od dziewiętnastej trzydzieści. - Śmieje się tubalnie, choć nie powiedział nic śmiesznego.

- Jesteśmy umówieni.

Koniec rozmowy. Audi posuwa się skokami w korku, a Adnan Sarioğlu klepie dłońmi w deskę i pieje z zachwytem. Kolejny dzwonek, tym razem popularniejsza melodyjka z pewnego serialu animowanego, na którym wychowali się Adnan i jego trzech kumple z Ultralordów Wszechświata.

- Bądź pozdrowiony, Draksor.

- Bądź pozdrowiony, Terrak.

Adnan i Oğuz razem zrobili dyplomy MBA i razem zatrudnili się w Özerze. Adnana wciągnęły wzniosłe węglowodory i kraina abstrakcyjnych pieniędzy. Oğuz przepompało w Dystrybucję, w aż za solidny świat rurociągów, stacji pomp, terminali dla tankowców i zbiorników. Przyziemne, mało imponujące sprawy, dalekie od lunchu w Olcay i szampana w Su, kiedy płacą premię. Bardzo łatwo to przeoczyć. Dlatego właśnie, kiedy pomysł na Turkus rozbłysł mu w głowie jak błyskawica, podczas jazdy w górę windą po szklanej fasadzie biurowca Özera, to Oğuz był pierwszym z kumpli, do którego zadzwonił.

- Volkan ma o dwunastej test sprawnościowy.

- W życiu nie zda - mówi Adnan. - Tłuszcioch jest do tego stopnia bez kondycji, że nie sięga do palców stóp.

Odbicie Oğuzza szczyrzy zęby na inteligentnej szybie. Czterech Ultralordów wszechświata jest także ultrakibicami Galatasaray. Przy takich premiach spokojnie byłoby ich stać na łożę na Aslantepe, ale lubią siedzieć na trybunie z innymi kibicami, z kebabami i piersiówkami z raki w dłoniach. Cimbom! Cimbom! Cimbom! Raki to napój wojowników. Ultralordowie rozumieją, co to znaczy „mecz”. Nie chodzi o sport. Nie ma czegoś takiego jak sport. Chodzi o to, żeby zobaczyć, jak drudzy przegrywają. Nawet milion goli to za mało,

* Haci - arab. *Hadzi*, pielgrzym, honorowy tytuł mężczyzny, który odbył pielgrzymkę do Mekki, często

żeby zniszczyć przeciwnika. Kiedy Adnan siedzi na trybunie z kumplami, chciałby, żeby przeciwników powbijano na pale. Rzymianie znali się na tym. To walka. Chcemy krwi.

- To gdzie jesteś? - pyta Oğuz.

Adnan włącza transponder. Na uśmiechniętą gębę Oğuz nakłada się mapa centrum Stambułu. Oğuz jest na moście Sultana Fatiha, na północy. Odległość jest porównywalna, soft samochodu przelicza gęstość ruchu. Mały, doinstalowany programik liczy różnice i stawki. Oğuz szczerzy się jeszcze bardziej. Podobają mu się te stawki.

- Stawiam pięćset euro.

- Osiemset. - Adnanowi też podobają się te stawki. - Plus napiwek.

Uliczne wyścigi Ultralordów Wszechświata mają swój protokół. Napiwek oznacza, że przegrywający płaci mandaty wygrywającego.

- Powietrzny żywiole, wzywam cię! - krzyczy Adnan. - Trzy. Dwa. Jeden.

Łapie kierownicę i wyłącza autodrivo. Samochód drze się ostrzeżeniami. Adnan nie zwraca na nie uwagi i wciska pedał w podłogę. Gazowy silnik tylko nieznacznie podnosi głos, ale samochód rzuca się naprzód. Automatycznie sterowane auta rozpierzchają się jak wystraszone kury, gdy wbija się między nie. Czas oderwać się od stada. Adnan Sarioğlu śmieje się, przebijając się przez korek. Zmieniając pasy, audi przechyla się jak motocykl. Samochody rozstępują się jak fala dziobowa przed rosyjskim gazowcem. Gra idzie. Adnan czuje, jak w jego wnętrzu narasta ryk, ryk, który nigdy nie znika, który kryje się w kopie, jakiego ma podrasowany nanogazowy silnik jego świetnego niemieckiego auta, który wzbiera w nim, kiedy Ayşe tuli się do niego w te noce, gdy wraca po ciemku, gdy mruczy doń i otwiera się, żeby mógł w nią wejść; ale przede wszystkim w wyciu gazu pędzącego Błękitną Linią pod dnem Bosforu w świat pieniędzy, w każdej dopiętej transakcji. Ryk, który nigdy, przenigdy nie ustaje. Za siedem minut skasuje Oğuz na trzysta euro i kilkanaście kar z fotoradarów. Wieczorem spotka się z menedżerem jednego z najbardziej wypasionych funduszy hedgingowych w Stambule. A w piątek ciśnie walizkę pełną banknotów na biurko tego pośrednika o oczach koloru szczywn, w tanim, błyszczącym garniturze z Lidla, i ród Sarioğlu osiadzie nad brzegiem Bosforu. To właśnie jest gra, jedyna gra, nieustająca gra.

* * *

Anioł jest ślepy i przykuty do łańcucha obręczą zaciśniętą wokół prawej kostki. Jego oczy to martwe kamienne kule. Jest nagi i spowity płomieniem, męski, wspaniale umięśniony i szczupły, ale bezpłciowy. Leci siłą własnej woli, z wyciągniętymi ramionami, skupiony ale

niewidzący, ślepy na własną ślepotę, szarpiący więzy. Lewa ręka ślepego anioła wyciąga szpony po dziecko. Pragnie go zmysłami innymi niż wzrok.

Drugi anioł zabiera dziecko przed tą ręką. Też jest mężczyzną - męskość zasłania mu noga dziecka. Stoi na wstędze chmur nad nieokreślonym morzem. Patrzy, nie rozumiejąc, na ślepego anioła. Dziecko - krępy, nieprawdopodobnie umięśniony chłopczyk - jest odwrócone. Unosi ręce w wołaniu o pomoc. Ma bardzo kręcone włosy. Anioł-zbawca wygląda, jakby połknął kij. Cała pasja, energia jest w tym drugim, ślepym, rozpalonym aniele.

- William Blake, Anioł dobra i anioł zła - mówi Ayşe Erkoç, nachylając się nad odbitką. - Uwielbiam go. Uwielbiam jego wizje, uwielbiam ten proroczy żar w jego malarstwie i poezji. Uwielbiam jego kosmologię, jest taka pełna. Studiowałam go, czytałam, widziałam, in folio i w Londynie. Bardzo rzadko, przy specjalnych okazjach, handlowałam Blakiem. Oryginalnym Blakiem. To nie jest William Blake. To jakiś gniot. Papier jest zupełnie nie taki, kreska jak u pięciolatka, śmierdzi wybielaczem na kilometr, a w tekście jest literówka. To obelga dla mnie i mojego profesjonalizmu.

Policzki Tapaloğlu drgają z zażenowania. Kojarzą się Ayşe z dwoma półciami zepsutej wątroby. Podroby podparte rozpórką szerokiego, wiejskiego wąsa.

- Nie chciałem pani urazić, pani Erkoç.

- Pomiędzy nieokreślonym pochodzeniem a podróbą prosto z bazaru jest ogromna różnica. Przepaść - ciągnie Ayşe. - Jeśli ja to widzę, moi klienci też to zobaczą. Znają się co najmniej tak dobrze jak ja. To kolekcjonerzy, maniacy, inwestorzy, ludzie, którzy po prostu kochają sztukę dewocjonalną i nie interesują się niczym innym. Może ich wcale nie obchodzić, skąd biorę towar. Ale bardzo ich obchodzi, czy jest autentyczny. Jak tylko usłyszą, że sprzedawałam fałszyfikat, pójdą do Antalya Fine Arts albo Salyan Gallery.

Zażenowanie Tapaloğlu się pogłębia. Tandetny drobny handlarz z duszą sprzedawcy dywanów, myśli Ayşe. Abdurrahman polecił go jej, mówiąc, że potrafi skombinować miniatury z Isfahanu. Trzeba się będzie z nim rozmówić.

- Muszę się zastanowić nad dalszą współpracą.

Teraz blednie. Hafize, pomocnica w galerii, lubiąca podsłuchiwać i wtykać nos w nie swoje sprawy, wpada i pośpiesznie zabiera jego szklanekę z herbatą. Znowu ma chustę na głowie. Ayşe będzie musiała z nią porozmawiać. Obnosi się z nią coraz bardziej bezczelnie, odkąd w dawnych kuchniach zaczął się spotykać tarikat, islamskie bractwo religijne. Ayşe widzi, jak ci młodzi mężczyźni patrzą na nią, kiedy wieczorem opuszcza i zamyka roletę. Wywaliliby ją stąd, ją i jej bałwochwalcze obrazki. Niech spróbują. Erkoçowie mają dobre znajomości i głębokie kieszenie.

- Co tam pan jeszcze ma? - pyta Ayşe.

Tapaloğlu wykłada miniatury jak karty przy wrózeniu. Ma zęby jak osioł, żółte płytki emalii. Od ich widoku Ayşe robi się niedobrze. Pochyliła się nad rozłożonymi na stoliku w oddzielnym pokoju miniaturami i klika powiększeniem włożonego do oka ceptepa.

- Te są autentyczne - mówi Tapaloğlu.

Ale bardzo kiepskie, myśli Ayşe, przypatrując się technice pędzla, subtelnym szczegółom tła. W szkołach Isfahanu i Topkapi każda miniatura była dziełem wielu rąk. Każdy artysta w czymś się specjalizował i doskonalił to przez całe życie. Byli mistrzowie od róż, od chmur, od skał, byli też tacy, którzy nigdy nie malowali niczego poza kafelkami. Te tutaj są ewidentnie dziełem uczniów. Ziejący kontrast między świetnie namalowanymi postaciami a byle jakim tłem. Oko do detalu, mikroskopijnego szczegółu, jeszcze się nie wykształciło. Wielcy miniaturzyści, co do jednego anonimowi, rozpoznawalni tylko po stylu, potrafili wymalować trejaż, kratę w oknie, wykafelkowaną ścianę - wszystko pojedynczym włosiem. A to są dziełka malowane taśmowo do zdobienia tomów poezji sufickiej, tych, które pomniejsi paszowie i bejowie kupowali całymi półkami, żeby zaimponować podwładnym.

- Szajs, szajs, szajs. I to wszystko? A co jest w tym pudełku po butach?

Tapaloğlu trzyma je przy boku, na wpół schowane pod połą marynarki. Pudełko po butach „Nike”, model sprzed pięciu lat, zauważa Ayşe. Dobrze, że chociaż dziś na spotkanie włożył porządne, dżentelmeńskie, wyglansowane pantofle. Ayşe uważa, że buty dużo mówią o człowieku.

- Parę takich, jak by pani powiedziała, błahostek.

- Pan pokaże.

Ayşe nie czeka, aż Tapaloğlu otworzy pudełko; sama ściąga pokrywkę. W środku rzeczywiście grzechoczą śmieci: ormiańskie krzyże, prawosławne kadzielnice, parę spatynowanych okładek Koranów. Pierdółki dla turystów z Wielkiego Bazaru. Pomiędzy zmatowiałym mosiądzem błysk srebra. Miniaturowe Korany. Ayşe zachłannie rozkłada je w rzędzie na stole. Światło wpuszczonych w sufit żarówek odbłyскуje iskrami od srebrnych okładek wielkości opuszki kciuka.

- To mnie interesuje.

- To ciekawostki dla turystów, po dwadzieścia euro - mówi Tapaloğlu.

- Dla pana. Dla mnie i dla ludzi, którzy je zbierają, to całe opowieści. - Postukuje w XX-wieczną srebrzoną galwanicznie okładkę, kryształowa lupa w kształcie chroniącego przed urokiem oka, boncuka. - Chłopak idzie do wojska. Matce, mimo wszelkich starań, nie udało się wkręcić go do bezpieczniejszej formacji, w stylu żandarmerii albo policji turystycznej,

więc daje mu Święty Koran. Trzymaj Słowo Boże przy piersi, a Bóg też cię do piersi przytuli.

- Filigranowa złota okładka, z początków XIX wieku. - Kupiec z Konyi, po latach gromadzenia dóbr materialnych, w końcu wyzbywa się wszystkiego co doczesne, żeby pójść na hadż. Konkubina daje mu jedną pamiątkę. Pamiętaj, świat będzie na ciebie czekał.

- Po czym pani poznaje, że to z Konyi?

- Jest w mewlewickim stylu, ale to nie pamiątka z pielgrzymki Rumiego, bo to przeważnie produkowana masowo tandeta dla turystów. To jest znacznie lepiej wykonane. Są w tym pieniądze i wiara. Kiedy nauczy się pan patrzeć, usłyszysz pan i opowieści. - Ayşe kładzie palec na maleńkim srebrnym Koranie, nie większym od kciuka, delikatnym jak modlitwa. - To pochodzi z osiemnastowiecznej Persji. Ale jest tylko połówka. Ktoś przeciął Święty Koran? - Wyciąga tomik z pudełeczka, kładzie maleńkie perskie stroniczki na dłoni. - Tu, jaka jest opowieść? Złożona obietnica, rozdzielona para, rodzina w stanie wojny, przyrzeczenie, umowa? Chcielibyśmy wiedzieć. Na tym polega rynek. Same Korany, jak pan mówi, to błahostki. A historie ludzie zawsze kupią. - Wkłada miniaturowy pół-Koran z powrotem. - Te trzy wezmę. Reszta to szajs. Pięćdziesiąt euro za sztukę.

- Trzysta byłoby bardziej na miejscu.

- A mówił pan, zdaje się, że to tylko bądziwie dla turystów po dwadzieścia euro?

Dwieście.

- Gotówką.

- Gotówką.

Tapaloğlu przybija dłoń na dwieście.

- Hafize panu wypłaci. Jak pan znajdzie więcej takich, może pan przynieść. Wtedy pomyślimy nad tymi miniaturami.

Tapaloğlu niemal obnaża w uśmiechu zęby wieśniaka.

- Miło się z panią robi interesy, pani Erkoç.

Kroki na schodach i wzdłuż drewnianej galerii. Obcasy Hafize. Skromna chusta i modne szpilki. Pukanie do drzwi. Minę ma trochę zdumioną, a trochę podejrzliwą.

- Ma pani klienta.

- Zaraz do niego idę. Obsłużysz pana Tapaloğlu? Dogadaliśmy się na dwieście euro za te trzy.

- Gotówką - dodaje Tapaloğlu.

Hafize zetnie z tej ceny jeszcze dwadzieścia procent, żeby było na jej „prowizję”. Jak na młodą kobietę, aspirującą do szacunku, targuje się twardo jak uliczny handlarz sprzedający na nabrzeżu w Eminönü podrabiane koszulki futbolowe.

Z galeryjki Ayşe zerka na starą semahanę, salę do tańca, gdzie w poprzedniej epoce wirowali derwisze, wprawiając się w religijną ekstazę. Mężczyzna pochyla się nad pudłem z Torami. Zaslania go wielki mosiężny żyrandol, Ayşe dostrzega jednak na jego grzbiecie opalizujący połysk, jak warstewka oleju na eskiköyskiej kałuży. Nanowłókno. Drogi garnitur.

Kiedy schodzi po schodach, świergoce ceptep - Adnan wrzucił jej nagranie wideo. Widzi szeroki Bosfor, cumującą białą łódź, nurkujące mewy, powolną panoramę przesuającą się w stronę mostu. Przeływa gazowiec. Adnan pozwala kamerze zatrzymać się na nim na moment. Jego pałac, jego marzenie, kiedy dopnie sprawę Turkusa. Ale to nadal jest nie po tej stronie Bosforu, mój chłopaku z Anatolii. Ona musi wrócić do Europy.

- Dzień dobry. Ayşe Erkoç.

Klient ściska wyciągniętą dłoń. Iskrzą przesyłane z ręki do ręki wizytówki.

- Haydar Akgün. Właśnie patrzyłem na pani żydowskie rękopisy. Ma tu pani piękne okazy mikrokaligrafii. - Na tkaninie garnituru przesuują się prążki mory, czarniejsze na tle czerni. Srebrne spinki w mankietach. Ayşe lubi srebro. Srebro jest powściągliwe.

- To jest podwójna mikrokaligrafia. Jeśli dobrze się pan przyjrzy, w literach są mniejsze litery.

Akgün pochyla się ku stronie. Mrugnięciem uruchamia ceptepa. Lasery tańczą mu w oku, rysują na siatkówce powiększony obraz. Tekst to Pięcioksiąg, blok liter pośrodku dekoracyjnego obramowania z przeplatających się łodyg, trejaży i fantastycznych heraldycznych stworów o smoczycy głowach i węzowych ogonach. Ornament prowokuje oko, dopiero spojrzenie pod powierzchnią wirtuozerii objawia, że kontury są złożone z maleńkich liter. Tylko w powiększeniu ukazuje się drugi poziom mikrokaligrafii: te litery są splecione z łańcuchów mniejszych liter. Akgün wytrzeszcza oczy.

- Coś nadzwyczajnego. Coś takiego widziałem tylko dwa razy. Raz u dealera w Paryżu, a drugi w kodeksie w British Library. To sefardyjskie, jak przypuszczam? Z Hiszpanii, Portugalii?

- Z Portugalią ma pan rację. Pewna rodzina w piętnastym wieku uciekła z Porto do Konstantynopola. Ten mikrograficzny ornament to drzewo genealogiczne Dawida, z Księgi Rut.

- Nadzwyczajne - mówi Akgün, zamyślony nad płataniną pisma.

- Dziękuję - odpowiada Ayşe.

To jeden z jej najbardziej ukochanych okazów. Trzeba było sporo dyskretnych kopert z euro, żeby wydostać go z policyjnego depozytu. Wiedziała, że musi go mieć, od chwili gdy policyjny kontakt jej to pokazał. Innym może zależeć na prestiżu, na dreszczyku władzy, na

pieniądzach, jakie da się zarobić. Ayşe chodzi o piękno, o ten zawijas piękna wijący się przez teksty aramejskie i syryjskie, przez greckie pismo demotyczne z Oksyrynchos, pieczołowicie kanciaste litery hebrajskie talmudystów z Lizbony i Mediolanu, boską kaligrafię koranicznych skrybów z Bagdadu, Fezu i uczonej Granady. Później przepłynął w organiczne linie ewangelii iluminowanych w klasztorach od Świętej Katarzyny po Cluny, w wieczne światło greckich i ormiańskich ikon, przez oślepiające detale perskich miniaturzystów, aż po ognistą kreskę Wizji Blake'a. Po co handlować pięknem, jeśli nie dla piękna?

- Człowiek się zastanawia, jak głęboko to jeszcze może zejść, pismo w piśmie w piśmie - mówi Akgün. - Nanokaligrafia, może? Nie myśli pani czasem, że to może być jak z nanotechnologią: im mniejsza, tym potężniejsza? Może są tam znaki tak drobne, że nie możemy ich odczytać, ale mają bardzo subtelny, podprogowy wpływ?

Ayşe zerka na galerijkę, gdzie Hafize odprowadza Tapaloğlu do tylnego wyjścia, na dawny cementarz tekke. Dyskretnie pokazuje trzy palce. Trzydzieści procent upustu. Dobra dziewczyna. Galeria Erkoç potrzebuje każdego grosza.

- Słucham?

- Nanokaligrafia, która wkrada się do umysłu i skłania do wiary w Boga?

- Jeśli u kogoś, to właśnie u sefardyjczyków - mówi Ayşe.

- Wyrafinowany naród - dodaje Akgün. Prostuje się nad kodeksem. - Mówi się, że potrafi pani zdobyć rzeczy trudne do zdobycia.

- Do pochwał konkurencji podchodzi się ostrożnie, ale tak, mam pewną taką... łatwość. Szuka pan czegoś konkretnego? Na piętrze mam prywatną galerię.

- Mało prawdopodobne, żeby pani to miała. To bardzo rzadki i bardzo cenny przedmiot i jeśli można go gdziekolwiek znaleźć, to właśnie w Stambule. Jeśli pani to dla mnie znajdzie, zapłacę milion euro.

Ayşe już wiele razy zastanawiała się, jak by się poczuła, gdyby do galerii wmaszerowała kiedyś suma pieniędzy zdolna odmienić jej życie. Adnan mówi o namacalnym jak pięść uderzeniu, gdy lewarowane transakcje gazem krystalizują w zysk. „Nie daj się temu uwieść”, mówi. „To droga do śmierci”. A teraz gość w garniturze za tysiąc euro proponuje jej milion, w poniedziałek rano. Jak ma się nie dać uwieść?

- Panie Akgün, to ogromna kwota.

- Naturalnie. Nie oczekuję, że podejmie się pani tego przedsięwzięcia bez odpowiedniej zaliczki.

Wyjmuje z wewnętrznej kieszeni białą kopertę i podaje ją Ayşe. Jest wypchana pieniędzmi. Ayşe trzyma ją w dłoni i zmusza palce, żeby jej nie obmacywały, nie szacowały

liczby i nominału banknotów.

- Nie powiedział mi pan, co mam znaleźć.

Hafize odprowadziła pana Tapaloğlu i wróciła. Odruchowo biegnie nastawić herbatę - herbata dla każdego klienta, herbata, herbata - ale zamiera przy słowach „milion euro”.

- Sprawa jest prosta - mówi Akgün. - Chcę kupić Zmelifikowanego Człowieka.

* * *

Leyla jedzie dziewiętnastką, wbita w poręcz w swoim eleganckim kostiumie-na-rozmowy-kwalifikacyjne i szpilkach. Podbródkiem niemal dotyka mostka wysokiego młodzieńca z zagranicy, który pachnie mlekiem, za nią stoi gruby facet w średnim wieku, którego ręka co jakiś czas opada na jej tyłek. Jeśli zrobi to jeszcze raz, dostanie kolaniem w jaja. Co ten tramwaj tak stoi? Pięć minut temu stanął jak wryty pośrodku Necatibey Caddesi. Czy IETT nie wie, że ona jedzie na rozmowę o pracę?

I jest gorąco, coraz goręcej. Poci się w swoim jedynym kostiumie-na-rozmowy.

Motorniczy obwieszcza, że na linii był wypadek. Zwykle oznacza to samobójstwo. W Stambule najpopularniejsza forma pożegnania się z życiem to ciemna otchłań Bosforu, ale proste padnięcie plackiem na szyny przed gilotyną kół też załatwia sprawę szybko i gładko. W domu, w Demre, gdzie słońce świeci jaskrawo przez nieskończone foliowe tunele, standardem był wąż ze spalinami wsadzony przez okno do auta.

- Był zamach bombowy! - drze się kobieta w kostiumie elegantszym niż ten Leyli. Na oku ma ceptepa. Czyta poranne nagłówki. - Bomba w tramwaju.

Tramwaj numer dziewiętnaście niemal staje dęba. Nagła fala pasażerów unosi drobną Leylę Gültaşli w powietrze i rzuca na faceta z wędrującą ręką, tak mocno, że tamten aż stęka. Ludzie pchają się do drzwi, które pozostają szczelnie zamknięte. Wszyscy padają jeszcze raz, bo tramwaj rusza. Jedzie do tyłu. Koła zgrzytają i skrobią po torach.

- Ej, ja mam rozmowę! - krzyczy Leyla.

Tramwaj staje z szarpnięciem. Otwierają się drzwi. Tłum wypycha ją na ten sam przystanek, na którym wsiadła. Ma trzydzieści pięć minut, żeby dotrzeć na rozmowę. Buty podeptane, kostium zmięty, włosy zmierzwione, cała spływa potem, ale twarz jest w porządku, więc spuszcza głowę i przepycha się przez obrotową bramkę między samochody.

Przygotowywała się do rozmowy jak do ślubu. Gdy upalna noc już szarzała, chodziła po domu w bieliźnie, rozstawiała deskę do pracowania, spryskiwała wodą swój jedyny elegancki kostium i bluzkę, przykładając do nich gorące żelazko. Nabrała strasznych nawyków, odkąd Zehra oświadczyła, że wraca do domu, do Antalyi. Kiedy kostium odpoczywał na wieszaku, zionąc podgrzany płynem do płukania tkanin, brała prysznic.

Woda była kapryśna i wredna jak zawsze. Leyla wiła się i tańczyła pod letnią wstążką. Siedemdziesiąt sekund, z myciem głowy. Nie więcej. Właściciel w zeszłym tygodniu wsunął pod każde drzwi kolejne zawiadomienie o podwyżce cen wody przez miasto. Wiecznie spragniony Stambuł. Prostownica do włosów już się grzała. Leyla Güldaşli zaczęła machać suszarką i powtarzać rolę.

Gençler Toys. Zabawki dla chłopaków. Od sześciu do jedenastu lat. Główne linie produktów: BattleCats™; Gü-Yen-Ji; karcianka, gdzie karty wymienia się między ceptepami, Zabawka Roku sprzed dwóch lat, według Unii Europejskiej. Ich sukces stoi na BitBotach. Ten dziwny dzieciak z góry je ma. Leyla jest pewna, że ją nimi podgląda. Ale mają wakat w dziale marketingu, a Leyla jest po marketingu, więc będzie gadać językiem BitBotów i BattleCats™ równie dobrze jak oni wszyscy.

Kostium, potem tapeta. Godzina dwadzieścia na dotarcie do Gençlera. Masa czasu. Torebka: dobra marka, ale nie z tych najdroższych, kiedy jest oczywiste, że to podróba. Choć to i tak podróba. Kobieta pracująca potrzebuje mieć w garderobie jeden przekonujący dodatek. Buty i w drogę.

Teraz zostały dwadzieścia dwie minuty i przeklina się, że nie włożyła adidasów. Szpilki trzeba było wsadzić do torby i przebrać się w damskiej toalecie przed ostatnimi poprawkami makijażu. W tych butach da się biec - ledwo, ale się da. Niestety, tłum na Necatibey Caddesi gęstnieje z każdą chwilą i teraz Leyla natrafia na policyjną taśmę, a przed nią ukazuje się tramwaj z powybijanymi szybami i wydętym dachem oraz ludzie stojący wokół pojazdów ratowniczych z błyskającymi czerwonymi i niebieskimi światłami. Droga jest odcięta. Leyla krzyczy, sfrustrowana:

- Przepuście mnie, przepuście!

Policjant krzyczy:

- Ej, a pani dokąd?!

Leyla prze dalej.

- Ej!

Po lewej ma wąski sok, więcej schodów, niż powinno być - przy tym upale, w takich butach. Piętnaście minut. Leyla Güldaşli bierze głęboki wdech, zarzuca torbę na ramię i zaczyna się wspinać.

Pewnego razu były sobie cztery dziewczyny z południa. Wszystkie urodziły się w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od siebie, w zasięgu wiatru od morza, ale odkryły to dopiero w domu derwiszy. Leyli pozwolono wyjechać z Demre, krainy folii, do Stambułu, pod jednym warunkiem: ma oddać się pod opiekę ciotecznej babki Sezen. Leyla nigdy

wcześniej nie poznała ciotecznej babki Sezen ani w ogóle nikogo z odległej stambulskiej gałęzi rodziny. Ich mieszkanie na trzecim piętrze znajdowało się w strefie hałasu lotniska Atatürk, na balkonie wisiała turecka flaga, pod stołem w kuchni stał silnik od hondy, a wszystko było pełne wielu pokoleń hałaśliwych, rozjazgotanych krewnych, nad którymi panowała siedemdziesięcioletnia matrona, Sezen, rządząca aluzją, ciężką ręką i skinieniem głowy. Wiejska dziewczyna znad morza czuła się tak, jakby ciśnięto ją wbrew jej woli w kipiel opery mydlanej, żon, mężów, dzieci, chłopaków i narzeczonych, partnerów i rywali, waśni, zgód, wrzaskliwych kłótni i łzawych, głośnych jak seks pojednań. Pośrodku tej burzy uczuć Leyla Güldaşli usiłowała się uczyć, siedząc przy kuchennym stole, z kolanami tłustymi od smaru na kolektorze hondy, a wokół kipiała daleka rodzina. Nazywali ją Pomidorkiem, od najważniejszego produktu eksportowego jej miasteczka, obok Świętego Mikołaja, drugiej globalnej marki pochodzącej z regionu. Studia ucierpiały. Zaczęła oblewać egzaminy.

Zwróciła się do młodszej ciotki Kevser, Wielkiego Wezyra rodu Güldaşli, która zadzwoniła do matki Leyli w Demre. Gadały przez godzinę. Podjęły decyzję. Leyla będzie mogła zamieszkać razem z odpowiednimi dziewczynami, o ile co piątek będzie się meldować ciotce Kevser. I oczywiście żadnych chłopców. Pewna porządna dziewczyna z Antalyi miała mieszkanie, w samym centrum, bardzo niedrogo, na Beyoğlu. Tak oto Leyla weszła do domu derwiszy i stwierdziła, że jest to w samym centrum, bo leży na zapyziałym, ponurym Eskiköy, a niedrogo - bo mieszkania nie remontowano od czasu proklamowania Republiki sto lat temu. Między trzema studentkami marketingu i biznesu Leyla miała jeszcze mniej spokoju niż w kuchni z silnikiem. Dalej nazywały ją Pomidorkiem. Ale w ustach dziewczyn to tak nie przeszkadzało. Młodsza ciotka Kevser dzwoniła regularnie co piątek. Leyla równie pilnie odbierała. Po dwóch latach dostała dyplom z wyróżnieniem. Rodzice przyjechali autobusem na rozdanie. Stambulska filia rodziny poprzesuwała krewnych jak w jakiejś plastikowej łamigłówce, żeby znaleźć w Apartamentach Pas Startowy miejsce dla hodowców pomidorów z Demre. Przez całą imprezę na uczelni matka trzymała ojca pod rękę. Dali jej złoty upominek, a na wszystkich zdjęciach, co do jednego, mieli zamknięte oczy.

Zatem: te cztery dziewczyny z południa, współdzielące małe, duszne mieszkanie w tekke na Adema Dede. Wszystkie tego samego dnia skończyły Marmara Business College. Potem jedna wyjechała do Frankfurtu, do pracy w banku inwestycyjnym. Druga się wyprowadziła, bo zatrudniła się w powstającej firmie Big Box, na jałowych wzgórzach pod Ankarą. Pięć tygodni później Zehra obwieściła, że wraca do Antalyi, żeby wyjść za chłopaka, którego istnienia Leyla dotąd nie podejrzewała. Została zatem bez przyjaciół, bez pieniędzy i bez pracy, w starym, walącym się domu derwiszy, jedyna, która nie zapewniła sobie

przyszłości. Stambuł był pełen po brzegi młodych, inteligentnych kobiet z dyplomami z marketingu. Dzień za dniem, rachunek za rachunkiem, pieniądze uciekały, ale jedna rzecz była pewna: nie ma mowy o powrocie do tego mieszkania pełnego rozwrzeszczanego życia i silników odrzutowych.

Leyla liczy stopnie: trzydzieści jeden, trzydzieści dwa, trzydzieści trzy. Topografię zna dobrze: wychodzi na koniec ulicy Vermilion-Maker. Paręset metrów od domu. Mogłaby wskoczyć i zmienić buty na wygodniejsze. Dwanaście minut. Jeśli pójdzie na İnönü Caddesi, tam będą autobusy, dolmusze, a nawet taksówki, choć to pożarłoby jej ostatnie pieniądze. Ale wszystko to łączy się w jeden potok - to w końcu Stambuł. Palce drżą jej z napięcia. W uszach szumi. Boże, jaką ma słabą kondycję. Zbyt wiele wieczorów przed telewizorem, bo dzięki niemu w mieszkaniu jest głoś i ruch. Potem Leyla zdaje sobie sprawę, że to nie jej ciało tak szumi. Ogania się ręką od roju - sio, szatańskie pomioty. Bąbel czerni odlatuje jej spod ręki i gęstnieje w zawisającą ważkę. Leyla traci dech z przestachu. Nawet ona słyszała o tych rzeczach. Przechodnie na całej Vermilion-Maker stoją w bezruchu, a roboty-ważki sprawdzają ich tożsamość. Machina unosi się na osłoniętych śmigłach. Pośpiesz się, pośpiesz, pośpiesz. Za dziesięć minut ma rozmowę. Za minut dziesięć! Mogłaby zmiażdżyć robota jedną ręką, ale się go boi. Do żołnierza można błysnąć oczyma, chwilę poflirtować, żeby mu sprawić przyjemność, i cię puści. Żołnierz jest człowiekiem. A te stwory podobno mają zatrute żądła, złe nanotechnologiczne maszyny. Atakujesz je na własne ryzyko. Mruga, czując mignięcie lasera: robot odczytuje jej tęczę. Unosi się na śmigłach, potem rozsypuje się w obłok owadów. I w drogę - wzdłuż całej Vermilion-Maker ważki eksplodują inteligentnym dymem. Przeszła, ale jest potwornie, okropnie, nieprzyzwoicie spóźniona.

Cały ruch skierowany objazdem wokół wybuchu wbił się w İnönü Caddesi. Leyla pojękuje, widząc nieruchomą masę pojazdów, zderzak w zderzak, drzwi w drzwi. Klaksony huczą nieustannie. Wciska się między stojące samochody. Małe, bąblowate miejskie auto staje jak wryte, Leyla telepie mu się przed maską. Kierowca wali ręką w klakson, ona jednak płynie dalej w chassé, z tupetem machając mu ręką. O, jest autobus, jest autobus. Obtańcowuje nadjeżdżające samochody śmiertelnie ryzykownym krokiem toreadora, bliżej, coraz bliżej autobusu. Kolejka pasażerów robi się coraz krótsza. Drzwi się zamykają. Cholerne, durne buty! Co jej strzeliło do głowy, żeby je wkładać? Faceci i tak nigdy nie patrzą na buty. Autobus rusza z przystanku, ale ona zdąży, jeszcze zdąży. Wali w drzwi. Dwaj uczniowie gapią się na nią. Biegnie wzdłuż pełznącego autobusu, wałąc w burtę.

- Stop, stop, stop, stop!

Wtem przed pojazdem otwiera się luka, autobus rzuca się naprzód i ucieka, owiewając

ją aromatyczną chmurą spalin z biodiesla. Leyla staje i klnie, omijana przez samochody. Siarczyste, długie, południowe przekleństwa badylarza.

Dolmusz, dolmusz, dolmusz. Stoi ich tam parę, minibusików o obłych dachach, zbitych w gromadkę jak pobożne kobiety, ale są za daleko w głębi ulicy, za daleko od przystanku, zresztą, nawet gdyby udało jej się któregoś przywołać, musiałby pędzić z prędkością światła, żeby zdążyć na czas. Albo i szybciej. Teraz nawet sam Prorok na al-Buraku nie dowiódłby jej na czas do Gençler Toys. Leyla lamentuje, w rozpaczy wyrzuca dłonie w górę pośrodku zablokowanej İnönü Caddesi. Ceptep brzęczy alarmem, przypominając o klęsce. Koniec czasu. Wszystko skończone. Nie ma sensu nawet tam dzwonić. W Stambule jest takich Leyl Gültaşlı jak psów.

- Poradziłabym sobie z tą pracą! - krzyczy do przechodniów. - Z palcem w nosie!

Trochę jej niedobrze, źle się czuje w kostiumie, nagle nadętym i głupim, w tych obcasach, z tanią torebką-podróbą. Potrzebuje tej pracy, tych pieniędzy, nie ma ochoty wracać do Apartamentów Pas Startowy, ale przede wszystkim nie ma ochoty kiedykolwiek oglądać słońca przeświecającego przez niekończące się kilometry plastikowej folii nad polami i ogrodami Demre i wdychać nużącego, narkotycznego aromatu pomidorów. Niewiele brakuje, by się rozpląkała pośrodku zakorkowanej İnönü Caddesi. Nie ma mowy. Jeszcze ją ktoś zobaczy w takim stanie. Idź do domu. Jutro się pozbierasz, wyelegantujesz na nowo, wyjdiesz na miasto i udowodnisz im, że jesteś dobra. Dzisiaj się powściekasz, popłaczesz, kopniesz parę rzeczy, ale tam, gdzie nikt cię nie widzi. Czemu, ach, czemu akurat tego dnia jakiś samobójca postanowił się wysadzić w imię Boga? Czysty egoizm, jak każde samobójstwo.

Jest w połowie drogi po schodkach na plac Adema Dede, gdy dzwoni ceptep. Młodsza ciotka Kevser. Ostatnia osoba, z którą ma ochotę gadać. Palec zawisa nad ikoną odrzucenia rozmowy. Ale nie może. „Zawsze jesteś w kontakcie”. Tę mantrę wbito jej do głowy w szkole biznesu.

- Nie śpieszyło ci się. - Zawsze kiedy rozmawia z Leylą, brzmi jak nauczycielka.

- Zajęta byłam.

- Zajęta? Co robiłaś? - Wszyscy zawsze zakładali, że ambicje Leyli nie są konieczne, że w każdej chwili może z nich zrezygnować. Kobiety rzucają wszystko dla rodziny, tak się robiło w Demre, tak się robi i w dalekim Stambule.

- Oj dobra, nic takiego.

- Świetnie, świetnie, świetnie. Przypomnij mi, skarbie, co to za studia robiłaś?

Doskonale wiesz, co to było, myśli Leyla. Ja tego nie widzę, ale za tobą na pewno

siedzi babka cioteczna Sezen i dyryguje.

- Marketing.
- Czy to obejmuje szukanie finansowania i znajdowanie sponsorów?
- Tak.
- Hmm.

Powiedz, o co chodzi, ty stara ruo.

Młodsza ciotka Kevser ciągnie:

- Poznałaś kiedyś Yaşara Ceylana?
- A kto to?
- Twój kuzyn w drugiej linii. Bystry chłopak. Skończył uniwersytet.

Jeszcze to podkreśl, bezpłodna stara panno. Tak, ja mam tylko licencjat z biznesu.

- Założył firmę w Fenerbahçe, z kolegą, razem robili doktorat. Nie mam pojęcia o co chodzi; jakaś nowa technologia czy coś. W każdym razie, to bardzo bystre chłopaki, bardzo pomysłowe, ale o praktycznych kwestiach nie mają pojęcia. Yaşar chciałby się rozwijać, ale nie wie jak dotrzeć do ludzi z pieniędzmi. Potrzebuje kogoś, kto mu załatwi takie kontakty.

No widzisz, przez cały czas dobrze wiedziałaś.

- Na kiedy potrzebuje?
- Na zaraz. Ale powiedziałaś, że coś robisz, więc nie wiem...
- A ma jakieś pieniądze? - Odwieczny problem, kiedy się robi interesy z rodziną.
- Zapłaci ci. To jak, zrobisz to?
- Zrobię. Daj mi jego numer.

Twarz ciotki zamienia się w numer ceptepa. Leyla zapisuje go szybko. Dzięki, dzięki Bogu. Czasem rodzina na coś się przydaje. Niemal przeskakuje parę ostatnich stopni na plac Adema Dede. Od rozpaczki do ekstazy w siedmiu krokach. Fenerbahçe. *Start-up*, świeża firma. Nowa technologia. Goście prosto po dyplomach. To może oznaczać tylko jedno. Jedno wielkie słowo, które obiecuje przyszłość, obiecuje zmienić świat, dziedzina, w której naprawdę można sobie wyrobić nazwisko.

Nanotechnologia.

II

Obcy robot to paskudny pająkowaty stwór ukryty pośród liter logo Commerzbanku. Can

obserwuje go ze swojej kryjówki w cieniach Allianz Insurance. Brzydka, kanciasta, przemysłowa maszyna: Xu-Hsi, albo przerobiony na zamówienie General Robotics. Numer licencji zakleiony taśmą. Maszyna inspekcyjna miałaby ostrzegawcze zygzaki i błyskające światła. Can Durukan zna się na robotach jak inne dzieciaki na samochodach, piłkarzach albo chińskich komiksach. Przemysłowy robot nie zwróciłby uwagi na zamieszanie, choćby tam na dole kończył się świat. Zatem, co innego? W swoich przygodach na dachach Eskiköy Can spotykał fotodrony: maszyny wypuszczane przez studentów sztuk pięknych na trwające miesiącami wędrówki, żeby uwieczniały to, co przypadkowe i spontaniczne. Zatrzymują się, robią zdjęcie, idą dalej. Spotykał na dachach także nieoficjalne boty reporterskie: dyskretnych, potajemnych obserwatorów, wykorzystywanych przez dziennikarzy śledczych i fotografów, szukających tematów poza publicznie dostępnymi informacjami. Widmowe urządzenia, które potrafią spalić sobie pamięć na żużel w razie wykrycia przez władze. Nic do udowodnienia. Jeśli to bot reporterski, fotograf świetnie wyczuł moment. Aż za dobrze. No i są jeszcze czarne boty: te, o których szepcze się na forach poświęconych światowemu spiskowi. Są niewidzialne dla oficjalnych policyjnych botów, obserwują obserwatorów. Jeśli ten klockowaty żółty plastik jest legendarnym czarnym botem, to rzeczywiście jest niezłe zakonspirowany. I ktoś by mu jeszcze zaklejał numer? Niemożliwe. To coś naprawdę tajemniczego. Małpa Cana podkrada się bliżej - dłoń za dłonią, chwytny ogon zwija się i rozwija - próbuje przyjrzeć się dokładniej, ale sama pozostać niedostrzeżona. Tajemniczy robot skanuje ofiary zamachu bombowego w policyjnym kordonie. Macierze czujników, soczewki owadzich oczu, obracają się i ogniskują po kolei na pasażerach. Klik, bzz, klik, bzz. Kobieta z twarzą usianą plamkami krwi jak piegami. Rozdygotane dzieci w niebieskich mundurkach, z tornistrami tak wielkimi, że można by się w nich schować. Biznesmen z oszołomioną miną, ściskający teczkę. Ten facet, który odsuwa się od głównej grupy, wślizguje między karetki, nie chce, żeby go ktoś zobaczył. Can obserwuje, jak Szczurowaty, facet z ogrodu tekke, porusza się powoli, ukrywa, dyskretnie wtapia w tłum za policyjną pasiastą taśmą. Przygląda mu się tak uważnie, tak mocno wstrzymuje oddech z ekscytacji, że niemal przegapia moment, w którym robot-ninja rusza z kryjówki i powoli, subtelnie, bez nagłych ruchów zwracających uwagę policyjnych botów, pełźnie po belkach na dach biurowca Commerzbanku. Dostrzega dopiero żółty błysk niknącego za parapetem zanonimizowanego korpusu. Sycząc ze złości, popycha Małpę na dach budynku Allianz. I proszę, jest: tajemniczy obserwator porusza się po dachach wzdłuż Necatibey Caddesi. Can idzie za nim, powoli, dyskretnie. Oczy ma wytrzeszczone, język zwinięty w trąbkę ze skupienia, serce bijące z podniecenia. Tajemnica. Przygoda. Tego pragnie każdy chłopiec i

każdy robot.

- Łaaa! - Can powstrzymuje mimowolny okrzyk ekscytacji. Za głośno, za głośno: bardzo łatwo krzyknąć za głośno, gdy cały świat jest ściszony do szeptu. Ale to wielkie, wielkie odkrycie.

Tajemniczy bot śledzi Necdeta, tego palacza trawy. Can, wysoko na balkonie, niemal mamrocze z zachwytu. To już nie tylko ciekawostka, nawet nie tajemnica. To zagadka do rozwiązania. Ma zagadkę. Oto Can, Mały Detektyw. Śledztwo w toku!

Ostrożnie, ostrożnie, ze wzrokiem częściowo utkwionym w uciekinierze, a częściowo w odurzonym, chwiejącym się facecie na ulicy w dole, Can skrada się po dachach Beyoğlu. Tu dłoń puszcza, tam dłoń chwyta.

Robot go śledzi, Necdeta, tego ćpuna. Akurat jego. Jak jaszczurka podkradająca się do modliszki wyczuwa cień jastrzębia nad sobą, tak jego nadmiernie wyczułone dodatkowe zmysły, ta instynktowna przedświadoma wiedza, każe mu dźgnąć ręką w przód, zmuszając Małpę do przewrotu i uniknięcia o włos szczęk, które wysmażyłyby impulsem elektromagnetycznym obwody całego BitBota.

Śledził i był śledzony. Odbiegając od pogoni, rekonfiguruje oczy. Kolejny anonimowy, zhakowany robot. Wszedł w zasięg monitoringu innego obserwatora i włączył alarm. Ten jest duży, silny i szybki. Byłby w stanie rozerwać Małpę na strzępy. Jest za plecami, a wskaźnik baterii pokazuje Canowi dwie trzecie. Musi sprowadzić Małpę do domu, ale w ten sposób doprowadzi prześladowcę do siebie.

Biegnij, robot, biegnij! Małpa skacze, małpa się turla. Za nim, pół dachu dalej, pędzi niszczyciel. Can dyszy z wysiłku umysłowego i zgina dłoń, każąc małpie wspiąć się w dwóch skokach na ścianę, przekroczyć gzyms i przebiec przez wymalowany na zielono ogródek, gdzie w ciężkim, ciepłym powietrzu bezwładnie wisi poranne pranie. Łowca idzie za nim. Jest większy, szybszy i coraz bliższy. Can zerka na wskaźnik baterii. Połowa, a przy takim wysiłku Małpa zżera prąd błyskawicznie. I skok. Jeszcze w powietrzu Can rekonfiguruje ją w kulę. BitBot spada i toczy się, odbija od wylotów klimatyzatorów i paneli fotosyntetycznych, zderza się z murkiem po drugiej stronie. Łowca idzie za nim, przemierza dach paroma krokami, BitBot jednak przeobraził się z powrotem w Małpę i teraz schodzi po drabince ewakuacyjnej na dach sąsiedniego budynku. Zyskał parędziesiąt metrów.

Can nie słyszy, jak otwierają się drzwi. Can nic nie słyszy. Cały pościg po dachach odbywa się w milczeniu. Odrywa wzrok od zmagania robot kontra robot dopiero wówczas, gdy oślepią go światła zza drzwi. Cień, rozmazany słońcem kościsty obcy. Mama. Gestykułuje. Can marszczy brwi. Zawsze siada przodem do drzwi, żeby wiedzieć, kiedy ktoś wchodzi, ale

także dlatego, że gość wtedy nie widzi, co robi na komputerze. Canowi nie wolno się ekscytować. Będzie płakać. Nie może krzyczeć, trząść nim, ani go uderzyć, ma więc jedno wyjście: własne udrczenie. Widzisz, do czego mnie doprowadziłeś?

Znów miga.

Masz czystą koszulę do szkoły na dzisiaj?

Can wie, że kiwnięcie głową to za mało. Będzie urażona: to niekulturalne, bez szacunku. Może nawet zapytać, co jest takie ważne, że nie chce mu się gadać z matką. Nie może sobie pozwolić na oderwanie rąk od klawiatury, ale miga:

Jest jedna w szafie.

To dobrze, mówi ona. Sylwetka porusza się w jaskrawym świetle, jakby miała wyjść, lecz odwraca się znów. *A co ty tam robisz?*

Serce Cana trzepocze.

- Nic takiego, bawię się Małpą - mówi prawdę.

W porządku, tylko nie strasz ludzi, dobra? Znika w blasku, drzwi się zamykają.

Can wydaje syknięcie i znów skupia się nad ekranem. Szybkość, energia, sterowanie, bezpieczeństwo. Kot ucieka, gdy Małpa i jej łowca galopują po dachu, wskakują na stojak ze zbiornikiem na wodę i przelatują na kolejny dach. Odległość: pięć metrów; energia: dwadzieścia procent. Can zastanawia się, kto się kryje za tymi owadzimi oczyma, czyją twarz rozświetla tamten ekran.

Kimkolwiek jesteś, Can Durukan, Mały Detektyw zaskoczy cię i załatwi! Can zaciska pięść, żeby wyciągnąć z baterii rezerwę, potem rozwiera ją raptownie, każąc Małpie skoczyć wysoko nad betonową balustradę. Bot ścigający skacze za nim. Mam cię! Myślałeś, że tam będzie dach, a tam jest dwadzieścia metrów pustki. Can składa dłonie w nieme klaśnięcie. Spadająca Małpa rozsypuje się na składowe BitBoty. Nanoboty sypią się na ulicę Vermilion-Maker. Can krzyżuje kciuki i faluje palcami. Chmura owadzich robotów faluje, ciemnieje jak dym i skupia się w parę ażurowych skrzydeł. Ptak - Ptak Cana. Poziom energii jest krytyczny, ale Ptak macha skrzydłami, przelatuje tuż nad głowami mężczyzn przysiadających na stołkach nad herbatą, tak nisko, że aż się kulą. Trzy uderzenia, cztery, unosi się w górę ulicy. We wstecznej kamerze widzi ścigającego bota roztrzaskanego na bruku jak porcelanowa lalka. Odłamki, drzazgi, odpryski żółtego pancerza. Zawraca nad placem Adema Dede, wielki biały bocian wracający do domu.

Canowi trzęsą się ręce. Czuje ucisk w głębi gardła i nosie od powstrzymywania krzyku i bardzo mu się chce sikać. Serce wali mu w piersi, oddech trzepocze w gardle, twarz pali z podniecenia - dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że był w niebezpieczeństwie. Kiedy biegł, to

była gra, najlepsza w jaką w życiu grał. Teraz dopiero przychodzi mu do głowy, co mogłoby się stać, gdyby sterujący robotem ludzie wysłedzili go, przyszedli pod drzwi i zapukali. Dopiero teraz może się bać. Jest jednak dumny, dumny jak nigdy z udanej ucieczki przed pościgiem. Chciałby komuś o tym opowiedzieć. Ale dzieciaki w szkole specjalnej są za głupie, żeby to zrozumieć, albo mają nie tak w głowach; a rodzice - Can wie, że już w życiu nie uciekłyby przed samobiczowaniem matki i milczeniem ojca.

Pan Ferentinou. On go wysłucha. On będzie wiedział. Czego nie będzie wiedział, to się domyśli, a jego domysły są zawsze trafne. Słyszał z tego, tak przynajmniej Canowi powiedział. Can Durukan podchodzi do balustrady balkonu, wygląda na słoneczny poranek nad Eskiköy i unosi rękę, żeby złapać wracającego do domu Ptaka.

* * *

Jesteś szacownym dżentelmenem z Iskenderunu, dawnej Aleksandretty, poddanym sułtana Osmana III, gdzieś w połowie chrześcijańskiego XVIII wieku. Nad dynastią osmańską zapada magiczna błękitna godzina. Maleje imperium, w zenicie sięgające pod bramy Wiednia. Wszystko wciąż promienieje, nieruchome, zawieszony, sprawia wrażenie, że mogłoby w tej turkusowej skorupie trwać wiecznie. Jednakże nieubłagane nadciąga noc. Cesarski Konstantynopol może się pocieszać swoimi wielkimi meczetami, łaźniami i grobowcami królów, ale Aleksandretta leży daleko od Wysokiej Porty: tu bardziej czuje się wiatr ze wschodu i z północy. To miasto od zawsze było kosmopolityczną mieszanką ras i wyznań, miejscem, gdzie szlaki handlowe Azji Środkowej przecinają się z drogami żegludowymi z Włoch i dalekiego Atlantyku. W tych karawanserajach dorabiałeś się swojego bogactwa. W kwiecie wieku byłeś człowiekiem bywałem w świecie, od Marsylii i Kadyksu na zachodzie po Lahaur i Samarkandę na wschodzie; od Moskwy na północy po - jak przystało bogobojnemu człowiekowi raz w życiu - Mekkę na południu, w ramach hadżu. Teraz jesteś stary; wycofałeś się do swego cienistego domu, gdzie chłodna morska bryza przynosi wieści z zakątków imperium oraz całego świata. Kończy się złoty wiek pokoju i bogactwa. Żona nie żyje od pięciu lat; interesami zarządzają synowie, a córki są wydane za kawalerów z odpowiednich rodów. Wypełniłeś życiowe obowiązki, czas odchodzić. Pewnego ranka polecasz służbie: przynieście mi miskę sosnowego miodu. Zjadasz ją całą, srebrną łyżką w cichym pokoju pośrodku pozbawionego zegarów domostwa. W południe znów: przynieście miskę sosnowego miodu. I wieczorem: miskę sosnowego miodu. Nic, tylko miód.

Trzeciego dnia na samym miodzie, służący już wynieśli plotkę na zewnątrz. W porze piątkowej modlitwy mówi o tym całe miasto. Z wizytą schodzą się liczni znajomi, cała ich rzeka, w Aleksandrecie jesteś bowiem powszechnie znany, pierwszeństwo mają jednak

synowie i córki. Kobiety płaczą, mężczyźni się dopytują: „Co cię opętało, żeby podjąć tak dziwną decyzję?”. Ty mówisz: „Guz wielkości granatu. Czuję go w sobie, od miesiący cierpię przy oddawaniu moczu. On przyniesie mi śmierć i na to nic nie poradzę, ale mogę się trochę inaczej ułożyć z Azraelem”. Słudzy musieli już nasaczyć zasłony octem, żeby odpędzić od ciebie muchy.

Wzywają doktorów po europejskich szkołach. Wychodzą z pokoju pachnącego teraz słodkomiodowym potem i mówią czekającym synom i zięciom, że nic nie mogą zrobić, że jesteś zdecydowany i nie zejdziesz ze swojej ścieżki. Nawet imam nie wyperswaduje ci twojej przemiany. Jest niespotykana, ale ma długą i szlachetną historię. W drugim tygodniu metamorfozy masz smak na miody rzadkie i egzotyczne: od esencjonalnego miodu spadziowego z mszyc z jodłowych lasów Wogezów i północnych Niemiec po delikatny Miód Tysiąca Kwiatów z Bordeaux. W trzecim tygodniu zgłębiasz tajemnice miodów kradzionych i niebezpiecznych w zdobywaniu: miodu z dzikich akacji, z dzikich afrykańskich gniazd, gdzie zbieracze wyrobili sobie odporność na żądła śmiertelne dla innych ludzi; miodu z bengalskich sundarbanów, gdzie w mangrowych lasach poszukiwaczy tropią tygrysy; miodu z drzewa karobowego z bazarów Fezu, wykradanego w górach Atlasu z legendarnych uli wielkości domu. W chwilach przytomności pomiędzy pływaniem w złotych, cukrowych halucynacjach uświadamiasz sobie, że jesteś teraz największym znawcą miodów w imperium i że ta drogocenna wiedza może łatwo zniknąć z tego świata. Zatrudniasz więc amanuensisa, skrybę, chłopca uczonego w tarikacie, z dobrej rodziny, o pięknym charakterze pisma, żeby spisał twoje wynurzenia o miodach, które słudzy leją ci teraz łyżką prosto na język. Czwartego tygodnia wspinasz się na wyżyny słodczy - poznasz miody jednokwiatowe. Jesteś już tak doskonały, że możesz spróbować jednej kropli i powiedzieć, że to miód mirrowy z Arabii, tymiankowy z Cypru, pomarańczowy z Bułgarii, albo, nie do pomylenia, cedrowy z Lewantu. Daleko poza granicami imperium odkrywasz pachnący snem miód lawendowy z Hiszpanii i kaktusowy z Meksyku. Przez dwa dni smakujesz i opisujesz gorzki, ciemny, mentolowy miód Corbezzolo z sardyńskich dzikich drzew poziomkowych. Przez trzy dni tkwisz w kleszczach halucynacji po rododendronowym miodzie z Himalajów. Pod koniec bywają dni, gdy całkowicie zatracasz się w złotym świetle, jarzącym się za nigdy nieodsłanianymi zasłonami, mamroczesz miodowe prorocтва i wydzielasz cukrowe wizje, kiedy jednak prosisz sekretarza, by ci je odczytał, na stronie nie ma ani jednego słowa. Pory twojej skóry nie wydzielają już potu, lecz złotą krew bogów. Mocz masz słodki jak syrop, a twoje odchody to miękka bursztynowa maść. Miód przenika wszystkie naczynia twego ciała; miód opatula twoje organy wewnętrzne i skapuje ciągnącymi się kroplami przez fałdy mózgu.

Przejście ze świata jawy do świata snu, ze snu do śpiączki i ze śpiączki do śmierci jest słodkie i powolne, jak ściekająca z łyżeczki miodowa łoża. Doktor sprawdza małym lusterkiem, czy twoje ciało już nie oddycha. Sekretarz stoi, trzęsąc się od skrywanych łez, ściskając w dłoniach twój traktat o miodzie, gdy odsłaniają zasłony. Córki już lamentują, synom zaś pozostało jeszcze jedno zadanie. Imam podpisuje zgodę, służący myją ciało pachnące tymiankiem i lawendą, sosną, mirrą i kwiatem pomarańczy. Teraz synowie muszą działać szybko. Już napełniono miodem wielką kamienną trumnę, jak u starożytnych rzymskich pogan. Zanurzają w niej powoli twoje ciało; wielkie bąble powoli wynurzają się na powierzchnię bursztynowej cieczy. Nasuwają pokrywę i uszczelniają ją ołowiem, jednocześnie wypełniając pozostałe miejsca kolejnymi porcjami miodu, wlewanych przez otwór wywiercony w ustach pogańskiej bogini, dopóki na jej wargach nie uformuje się jedna kropla miodu. Wtedy on także jest zamykany roztopionym ołowiem. Ludzie i wiele koni - wszyscy ludzie dobrej woli, którzy znali cię za życia - niosą trumnę ulicami Aleksandretty do magazynu, gdzie poleciłeś wykopać grób. W kamienie brukowe wmurowano już tablicę. Głosi: Haci Ferhat, 1191-1268; jest na niej też druga data: Berat Kandili*, 1450.

Każda profesja ma swoje bajeczne stwory, swoich Roków, cyklopów, dzinny, które potrafią w okamgnieniu porwać cię spod kopuł Bagdadu do Samarkandy. Prawnicy mają seryjnych morderców i oskarżone gwiazdy, kalające dobre imię Turcji, albo po prostu winne zapierających dech oszustw. Kupcy mają swoich cudownych graczy, w jednej chwili przewidujących rynki swoim przenikliwym umysłem, zyskujących niewyobrażalne fortuny. W mediach jest głośno o grzechach aktorów, dziwactwach wydawców, producentów i reżyserów. Do legendy przechodzą kaprysy i zapisy z kontraktów muzyków. Ale zapomniane, zakurzone zakątek antykwariuszy i handlarzy rękopisami nie jest gorszy. Też ma swoje Święte Graale, zagubione kodeksy, księgi czarów, ręce wisielca oraz kreślącego między nimi słodki miodowy trop Człowieka Zmelifikowanego

Zmelifikowani to stworzenia z antykwarycznych legend. Raz na pokolenie jakiś może się wynurzyć w czeluściach bazarów Damaszku czy Kairu, wypłynąć z odległej i nieznannej historii. Osiągają zawrotne ceny, szalone pieniądze, są bowiem ucieleśnieniem potężnej magii. Zmelifikowanych szanują nawet dzinny. Wyznaczonego dnia trumnę się odpięczętowuje. Po zdjęciu wieka odkrywają się słodczyce z człowieka. Miód przenika wszystkie szczeliny i organy, miód łączy się z ciałem, przesyca każdą komórkę. Miód jest

* Berat Kandili (tur.) - 15 dzień miesiąca szłaban według kalendarza muzułmańskiego. Wigilię tego dnia w niektórych regionach poświęca się pamięci przodków. Lata są podane według kalendarza islamskiego (przyp. tłum.).

silnym środkiem konserwującym i antybakteryjnym. Zapomniane wieki temu słońce zamienia zawartość trumny w złoto. Teraz zaczyna się prawdziwa rola mumii-cukierka.

Ciało dzieli się na kawałki wielkości kosteczki bakławy. Leczą one wszelkie dolegliwości i wszelkie rany. Ciało Zmelifikowanego, miękkie jak chałwa z kaszą manną, ma moc leczenia chorób, gojenia ran, łączenia złamanych kości. Rozsmarowane na powiekach rozpuszcza katarakty; potrafi przywrócić słuch głuchym uszom. Naniesione na genitalia przywraca potencję. Najskuteczniej jednak działa przyjmowane doustnie. Rozpuszczona na języku mała dawka zniszczy raka, oczyści zamulone flegmą płuca, odświeży najważniejsze organy, rozpali trawienne płomienie, zlikwiduje wszelkie kamienie, odparzenia i wrzody. Nawet włos z głowy mumii, twardy i słodki jak niteczki kaimaku na cieście, jest słynnym panaceum na łysienie.

- W tej branży nie da się dłużej popracować, żeby nie usłyszeć, jak ktoś przechwala się, że widział Zmelifikowanego Człowieka - mówi Ayşe. Jest bardzo świadoma własnego oddechu. - Wiem, że to nie tylko legenda: z mojego doświadczenia wynika, że ostatni pojawiali się w średniowieczu.

W rozsądku świata pojawiła się ziejąca przepaść, na której krawędzi się chwieje. Perskie miniatury na ścianach, przedstawiające Belkis i Proroka, wirują, choć ani drgną. To echo wieku cudów w trzeciej dekadzie XXI stulecia. Jeśli jednak jest miejsce, gdzie Zmelifikowany mógłby przejść ze świata magii do świata realiów, to z pewnością w Stambule, gdzie rzeczy magiczne i przyziemne są w codziennym kontakcie, gdzie dzinny dotykają ziemi palcami stóp.

- O nie, nie, nie - protestuje Akgün.

W prywatnym pokoju ekspozycyjnym Ayşe może dokładniej przyjrzeć się gościowi. Nanowłókno garnituru zamknęło się w klimatyzowanym chłodzie, ubranie połyskuje teraz jak stal damasceńska. Zegarek jest drogiej marki, dłonie zadbane od czubków paznokci po spinki w mankietach. Ogolony jest gładko, poważnie, ale coś jest nie tak z jego zapachem. Pachnie wodą, Arslan". Nawet taki zawzięty kibic Cimbomu jak Adnan w życiu nie użyłby wody nazwanej imieniem jednego z napastników.

- Ludzie za bardzo wierzą w relację Li Shizhena. Są natomiast wiarygodne dowody, że jeszcze w 1912 roku w Taszkencie sprzedano Zmelifikowanego lekarzom tradycyjnej medycyny chińskiej.

- Tak, ale od tego jeszcze daleko do osiemnastowiecznego Zmelifikowanego z Aleksandretty.

- Ma pani absolutne prawo być sceptyczna. Dlatego właśnie przyniosłem dokumenty.

W teczce z utwardzanego włókna węglowego jest kolejna, z miękkiej skóry koloru miodu. Ayşe nie zdziwiłaby się, gdyby to była ludzka skóra. Jest na niej mały tatuaż w kształcie tulipana. Skanery mówią jej, że jest zrobiony z cząsteczek znakujących. W środku jest koperta z woskowanego pergaminu, a w niej ów tom, oprawny w skórę, na okładce ma herb ze złoconą, misterną rozetą.

- Mogę?

Akgün przesuwa książkę po stole. Łąduje obok koperty z pieniędzmi. Ayşe machnięciem obniża lampy i przygląda się oprawie. Szybie wygląda na autentyczne, mocna lina nic; ówczesny odpowiednik taśmy introligatorskiej. Kurz sypie się z właściwych miejsc, skóra pachnie starą skórą, jest spękana tam, gdzie spękana powinna być książka, jak twarz pobrużdżona doświadczeniem. Trzeszczy, gdy Ayşe ją otwiera. W środku zgrabne, klarowne pismo Sumbuli, spod ręki młodzieńca, który przepisywał Koran z pamięci, spisując powstające w głowie Słowo Boże jak woda tryskająca ze źródła.

„Miód wrzosowy, z wyżyn barbarzyńskiego królestwa Szkocji, stanowiącej najbardziej wysuniętą na północ część wyspy Brytanii. Wrzos to niska, ścieląca się po ziemi roślina, o sprężystych zdrewniałych gałązkach i drobnych, podobnych do tymianku liściach; pospolicie rośnie na zboczach wzgórz i gór, typowych dla tego kraju. W wyższych partiach Szkocji drzewa są niemal nieznane, z uwagi na bliskość bieguna, ogólną surowość pogody, która jest tam mokra, ponura, bezsłoneczna, a także bagnistość ziemi”.

- No i?

- Na pierwszy rzut oka wydaje się autentyczne, ale my przecież jesteśmy stolicą świata w fałszerstwie. Żeby mieć pewność, muszę zrobić analizę molekularną - odpowiada Ayşe.

Małe pomieszczenie wypełnia cedrowy aromat otwartej na światło starej księgi. Zapach to dzinn pamięci, łączy wszystkie czasy w jeden. Ayşe studiuje księgę, skanując kaligrafię ceptepem i jednocześnie jest w księgarni dziadka w Sirkeci, ciągnącej się przez z pozoru przypadkowo połączone pokoje (czy one były w innych miastach, innych epokach, innych wszechświatach?), gdzie, im dalej, im ciemniej, tym starsze stawały się książki, niczym w geologii słów. W wieku dziewięciu lat zamykała oczy i szła pewnie przez tę płataninę, prowadzona ostrymi, pikantnymi ketonami i estrami nowej pulpy drzewnej i miękkich okładek o formatach na A, pomiędzy chwiejnymi stosami ocalałych twardych opraw i lśniącym, tłustym posmakiem kredowych albumów, aż po piżma i korzenie antykwarycznych tomów na uginających się półkach, zapisanych alfabetem, którego nie znała i który usiłowała czytać w złą stronę. Zrozumienie nie miało znaczenia; Ayşe, jak w transie, potrafiła godzinami wędrować przez wersy arabskiej kursywy. Często wystarczyło zatrzymać

się, z zaciśniętymi mocno powiekami, pod małymi, kolorowymi, meczetowymi lampkami z żarówkami o małej mocy, i odetchnąć perfumą historii, feromonami umarłych.

- Ale to wymaga pobrania i zniszczenia małej próbki.

Akgün jest autentycznie wstrząśnięty. Oto człowiek, który zna i kocha książki, myśli Ayşe. I nie jest w stanie znieść żadnej przemocy wobec nich. Pożyczone kieszonkowe egzemplarze zwraca punktualnie, z nienaruszonymi grzbietami, bez pozaginanych rogów. Ale nie wie, że nowoczesne chipy nanoanalityczne potrzebują zaledwie paru włókienek papieru, paru cząsteczek atramentu. To, że nie wie, wywołuje kolejne kołujące nad głową podejrzenie. A po fali adrenaliny zawsze przychodzi jasność umysłu i osądu. Zmelifikowany Człowiek, i krew aż się gotuje, umysł płonie na samą myśl, że to może być prawda. Jednakże wątpliwości, tak jak dżinna z domu, nie da się wypędzić: ze wszystkich galerii i antykwariuszki w całym Stambule, dlaczego przyszedł akurat do niej? Świat jest nieskomplikowany, ale nigdy nie bywa schludny. A ten facet, w pasującym garniturze i niepasującej wodzie kolońskiej, jest aż za schludny. Ayşe Erkoç zamyka książkę i przesuwa po blacie kopertę z pięćseteurowymi banknotami.

- Kusi mnie, ale nie mogę przyjąć tej zaliczki.

- Czy mogę wiedzieć dlaczego?

- Powiedział pan, że umiem zdobywać trudne do zdobycia okazy, to dlatego, że zbudowałam sobie sieć dealerów, antykwariuszki i ekspertów. Zbudowałam ją na poczcie pantoflowej. I bardzo jej pilnuję. Nasz biznes to mały świat. Wszyscy wszystkich znają, a plotki rozchodzą się jak pożary. Reputacja to kwestia życia i śmierci. Kiedy się rozniosło, że Unal Bej wpycha kazachskie podróby jako miniatury z czasów Timurydów, wszyscy się od niego odwrócili. Dwa tygodnie później, w hańbie, przebił się samochodem przez barierkę na Bosforskim Moście. Pewnie słyszał pan w wiadomościach. Znam swoich dostawców i agentów, znam swoich klientów - wielu z nich to bardzo wpływowi i bogaci ludzie, ale wszystko odbywa się z polecenia. Niech pan posłucha: nie mam wątpliwości, że te pana dokumenty są autentyczne i że ta mumia z Aleksandretty wylądowała w Stambule, skłamałabym, gdybym powiedziała, że to nie jest bardzo nęcące. Ale ten biznes rządzi się swoją etykietą. Bardzo mi przykro, panie Akgün.

Zagryza dolną wargę, przechyla głowę.

- Jakby co, ma pani moją wizytówkę. - Poprawia mankiety koszuli. - Liczę, że się pani zastanowi.

- Proszę mi wierzyć, nic nie sprawiłoby mi większego szczęścia, niż wytropienie Zmelifikowanego Człowieka - mówi Ayşe.

Wyciąga rękę. Uścisk Akgüna jest mocny i suchy. Nie iskrzą żadne dane. Czeka na balkonie, kiedy tamten schodzi po schodach. Gdy zamykają się za nim drzwi, Hafize wytrzeszcza oczy i rozkłada ręce w osłupieniu. Podglądała wszystko, jak zawsze, na monitorach.

Jej dłonie mówią: *Nie wzięłaś miliona euro?*

Tak, powie jej Ayşe, gdy Akgün sobie pójdzie. *Trzeba ci było powąchać jego wodę kolońską.*

* * *

Przyszło mu kochać, kiedy krajem rządzili wojskowi. Było późne lato, gdy Georgios Ferentinou uniósł wzrok znad wspaniałego splotu regresji statystycznej oraz chaotycznych algorytmów i ujrzał po drugiej stronie basenu u Meryem Nasi falę kręconych włosów i przepiękne kości policzkowe Ariany Sinanidis. Jako świeży i gorliwy student, wdał się w paromiesięczną korespondencyjną utarczkę z mieszkającym w Nowym Jorku libańskim ekonomistą. Adwersarz Georgiosa argumentował, że świat kształtują losowe wydarzenia, które nie poddają się przewidywaniom teorii. Że ludzie i ich życia podskakują na falach sztormu prawdopodobieństwa. Georgios natomiast twierdził, że teoria systemów złożonych niweluje wierzchołki i dołki losowości, sprowadzając je na poziom nudnej codzienności. Że wszystkie burze w końcu cichną. Tamtego lata sprzeczali się przez Atlantyk, niepewną pocztą lotniczą w niebieskich kopertach, podczas gdy w Stambule maszerowały demonstracje, protestujący urządzali wiece, partie polityczne powstawały, publikowały manifesty, rozpadały się w schizmach na nowe partie, a w koszach na śmieci na Istiklal Caddesi wybuchały bomby. W Ankarze, generałowie, admirałowie i komendanci żandarmerii spotykali się w swoich prywatnych domach. Natomiast Georgios Ferentinou - chudy, gibki, o świetlistych oczach jelenia - pracował w uczelnianej bibliotece, nieświadom, na równi z aktualną porą roku, gęstniejącego politycznego klimatu.

Pewnego dnia dostał zaproszenie na imprezę u Meryem. Meryem Nasi była najbliższym odpowiednikiem arystokracji we współczesnym Stambule: pochodziła z rodziny żydowskich intelektualistów, którzy twierdzili, że mieszkają nad Bosforem od czasów diaspory. Sama nie miała szczególnych talentów, lecz potwornie ciągnęło ją do uzdolnionych ludzi. Dosłownie ich kolekcjonowała. Uwielbiała napuszczać na siebie odmienne, nawet przeciwstawne talenty, żeby zobaczyć, czy osiągną masę krytyczną, czy nastąpi fuzja lub rozpad, lub może rozbłysk jakiejś twórczej energii.

- Jeśli coś jest w stanie zabić Turcję - mawiała - to właśnie głód nowych idei.

Nikt z jej koterii nie ośmielał się wspomnieć, że jeśli coś zabija Turcję, to właśnie

nadmiar idei, zbyt wiele politycznych wizji i ideologii. Jednakże rektor akademii ekonomicznej wspominał pewnego razu o wyjątkowo bystrym i zawziętym studencie, który toczy absurdalną, choć chwalebłą bitwę z amerykańskim naukowcem o dziesięciokrotnie większym doświadczeniu i sto razy takiej reputacji. Trzy dni później zaproszenie trafiło na biurko Georgiosa Ferentinou. Nawet ktoś tak odklejony jak on nie był w stanie zignorować zaproszenia od Meryem Nasi. Tak oto wylądował, sztywny jakby kij połamany, w wypożyczonym garniturze i tandetnych butach, z zaciśniętą w dłoni szklanką, na jej tarasie na Yeniköy, krzywiąc się nerwowo na widok każdej osoby wkraczającej w jego osobistą przestrzeń.

- Kochanie, jest ktoś, kogo powinieneś poznać.

Meryem była niską pięćdziesięciolatką z natapirowanymi włosami i głosem chropawym jak żwir, w zakiecie z wielkimi poduchami i talią osy, ale wzięła Georgiosa Ferentinou za rękę z siłą zapaśnika i zaciągnęła do grupy mężczyzn stojących przy schodkach do basenu.

- Poznaj Sabriego Ilicę z „Hürriet”, Aziza Albayraka z Państwowej Komisji Planowania i Arifa Hikmeta, wiesz z jakiej uczelni. Panowie, to jest Georgios Ferentinou, ten łobuz, który wdawał się w dyskusję z Nabi Nassimem z Columbii.

W ciepłe wczesnowrzesniowego wieczoru rozmowa zesłała na kryzys naftowy z poprzedniej zimy, kiedy w Stambule staruszki zamarały w mieszkaniach. Georgios, z początku jękając się w tak znamienitym towarzystwie, zasugerował, że perspektywy na większe bezpieczeństwo energetyczne kraju mógłby dać gaz ziemny. Mniej podatny na fluktuacje związane z polityką OPEC, w Obwodzie Zakaspijskim jest go tyle, że spala się go w pochodniach gazowych, a poza tym związałoby to Turcję na nowo z jej tradycyjnym historycznie kaukaskim zapleczem. Arif Hikmet, mrugając do swojego studenta, powiedział, że Amerykanie nie byłiby przychylni, gdyby ich główny sojusznik na Bliskim Wschodzie zaczął się wiązać w polityce energetycznej z ich ideologicznym wrogiem. Na to Sabri Ilic, nowy szef działu biznesowego „Hürriet”, oznajmił, że to właśnie przez Amerykanów ceny ropy tak skoczyły. Aziz Albayrak z Ankary utrzymywał, że Turcja musi patrzeć na zachód, nie na północ, ku EWG, a nie ku ZSRR. Georgios miał dziewiętnaście lat, garnitur nieboszczyka i tandetne buty, ale ludzie, których opinie kształtowały państwo, kiwali głowami, kiedy mówił. Czuł się nieważki, wypełniony światłem, które mogło buchnąć z każdego pora, oszołomiony intelektualną ekscytacją, a jednocześnie pewny siebie i opanowany. Mógł wierzyć własnym ustom, że nie palną czegoś kompromitującego. Teraz energicznie dyskutowali nad aktualnymi skutkami dewaluacji i wymienialności liry; o tym,

jak to otwiera Bank Centralny na rynki międzynarodowe i inwestorów, ale jednocześnie czyni go podatnym na spekulacje walutowe. A co sądzi na ten temat Georgios Bej? Georgios Bej jednak odwrócił na moment wzrok od debaty: traf chciał, że w tym samym momencie odwróciła się także kobieta zaangażowana w równie napiętą rozmowę po drugiej stronie basenu. Ich oczy się spotkały. I to spojrzenie wymazało mu z głowy wszelką myśl. Georgios Ferentinou stał, rażony piorunem przez najstarszego ze swoich bogów. Jej wzrok umknął, moment przepadł. Ona wróciła do rozmowy, on zaś się pogubił. Ze zręcznością kujona, przyzwyczajonego, by uczyć się pomiędzy telewizorem, radiem na cały regulator, krzykami, wołaniami i hałaśliwymi rozmowami, wyciszył własne towarzystwo i skupił się, jak radioteleskop ogniskujący się na odległej i jasnej gwiazdzie, na jej kręgu. Rozmawiała o polityce z grupką oczarowanych mężczyzn, siedzących wokół na marmurowych ławach przy basenie, jak demos w starożytnych Atenach. Teoretyzowała na temat Państwa w Państwie, tej odwiecznej tureckiej paranoi, że krajem rządzi spisek generałów, sędziów, przemysłowców i gangsterów. Masakra na placu Taksim sprzed trzech lat, rzeź alewitów w Kahramanmaraş parę miesięcy później, kryzys naftowy i przedłużająca się niestabilność gospodarki, a wreszcie popularność nacjonalistycznej młodzieżówki Szarych Wilków, rozdających swoje patriotyczne ulotki i bezczeszczących grekokatolickie świątynie: wszystko to były ogniwa przyspieszającego łańcucha zdarzeń, przepuszczanego przez palce Derin Devlet*. „Do czego to doprowadzi?” - pytali mężczyźni. „Do zamachu stanu”, odparła ona, pochylając się ku nim i splatając palce. Właśnie wtedy Georgios Ferentinou zachwyił się nią. Klasyczny profil, mocna szczęka i delikatne kości policzkowe. Sposób, w jaki kręciła głowę, kiedy się z nią nie zgadzali, jak kołysały się jej spięte, kręcone włosy. Chwile, kiedy nie sprzeczała się, tylko wydymała usta i wytrzeszczała oczy, jakby głupota dyskutanta była dokuczliwym wybrykiem natury. Ożywienie, gdy mówiła, równoważyło się z przepięknym bezruchem, kiedy słuchała, namyślała się, komponowała nową odpowiedź. Jak przerwała, badając uwagę rozmówcy, a potem odwróciła się do Georgiosa i uśmiechnęła.

Późnym latem roku 1980, nad basenem u Meryem Nasi, Georgios Ferentinou zakochał się w Arianie Sinanidis. Trzy dni później, 12 września, szef Sztabu Generalnego Kenan Evres obalił rząd i zakazał wszelkiej działalności politycznej.

Teraz Ariana wróciła w tę płataninę uliczek, na ten plac pod nim. Próbuje sobie wyobrazić, jak czas wgryzł się w jej twarz, pogłębiając bruzdy, podkreślając ostre rysy, dodając cienie. Na pewno tak nie pogrubiła i nie zbrzydła jak on. Zawsze będzie miała ruchy

* Derin Devlet (tur.) - Głębokie Państwo, według popularnej teorii spiskowej tajna grupa generałów,

muzy. Po co wróciła? On jest już stary, minęło czterdzieści siedem lat. Czy odważy się ją odszukać?

Wszystkie mniejszości mają zmysł mówiący, że są obserwowane. Georgios obraca się powoli w skrzypiącym krześle. Wąż czepia się ściany, utkwivszy w nim jasne klejnociki oczu. Georgios Ferentinou kiwa głową podpatrującemu go robotowi i człapie po schodach do biblioteki, piętro niżej. Strasznie jest dzisiaj zeszywniały. Maszyna pełnie obok niego po ścianie. Dzięki temu właśnie instynktowi Greka z Fanarionu zapoznał się z sąsiadem, Canem Durukanem. Któregoś zimowego popołudnia, gdy gapił się w ekran z inteligentnego papieru, a karayel, Czarny Wiatr, tropił szpary w ramie okiennej, jakieś mrowienie w karku kazało mu unieść wzrok. W górze, maleńki podglądacz tulił się do rzeźbionego mocowania żyrandola. Stanął na krześle, żeby mu się przyjrzeć, wtedy stworek spadł na podłogę i rzucił się do drzwi. Lecz Georgios był tu u siebie. Bez namysłu zdarł marynarkę z oparcia krzesła i rzucił ją na biegnącego stwora. Uniósł ją potem i znów upuścił w osłupieniu. Robot kipiał i gotował się, jak gniazdo robaków. Rój maleńkich, pajęczych robocików rozbiegł się we wszystkie strony. Georgios pokręcił głową w zdumieniu. Kiedy ostatni z nich biegł ku szczelinie pod drzwiami biblioteki, chwycił szklankę i nakrył go nią.

- Mam cię!

Godzinę później ktoś zapukał do drzwi.

- Wchodź, wchodź - powiedział - chyba mam coś twojego.

Chłopiec zmarszczył czoło, nachylił się ku niemu. A, jasne. Wada serca. Georgios, jak wszyscy mieszkańcy domu derwiszy, co roku pierwszego stycznia znajdował na progu karteczkę przypominającą mu, że ma unikać kłótni, ciężkiego obuwia, narzędzi elektrycznych, tupania i upuszczania ciężkich naczyń kuchennych oraz starać się nie puszczać zbyt głośno muzyki ani telewizora. Od dwudziestu lat nie posiadał w swojej ciasnej kuchence nic cięższego od czajnika na herbatę, a także, co niespotykane u matematyka, nie był muzykalny. *Jest na dole, w bibliotece* - napisał latającym ołówkiem na ścianie przy drzwiach. Chłopiec wybałuszył oczy na ten beztroski akt wandalizmu.

- To jest biblioteka? - powiedział swoim zbyt głośnym, płaskim głosem. Rozejrzał się po pustej celi derwisza z jedną mosiężną lampą i małym, zasłoniętym okiennicą oknem. - Ta kobieta na dole ma tam całe setki książek.

Ale nie do czytania - odpisał Georgios na arkuszu inteligentnego papieru, leżącego na starym, osmańskim biurku. *Biblioteka pełna książek, których nikt nie czyta, to żadna*

biblioteka. Pozwolił, aby słowa same się zmyślały, literka po literce. Tutaj jest tylko jedna książka, a w niej wszystkie książki świata.

Przesunął BitBota uwięzionego w odwróconej szklance po herbacie. Napisał: *Cwana technologia*. Gestem pozwolił Canowi podnieść szklanke. Robocik wbiegł mu po palcu, pod rękaw koszulki i schował się we włosach na skroni.

Można zrobić z tego dużo więcej niż tylko zabawkę.

- To znaczy?

Możemy je przeprogramować. Nauczyć dużo ciekawszych rzeczy.

Can zamrugał dwa razy.

- Muszę już iść. Mama będzie się zastanawiać, dokąd poszedłem. Nie spodobałoby jej się, że byłem u pana. Myśli, że pan jest pedofilem. Ja wiem, że nie, ale muszę iść.

Wróć, pomyślał Georgios, gdy drzwi się zamykały. Can przyszedł następnego dnia, z Małą usadowioną na ramieniu. Zaczęła się powolna, ostrożna edukacja.

W innej porze innego roku Can czeka w Bibliotece Wszystkich Książek. Robi przyzywający gest. Wąż pełźnie po suficie i spada. W powietrzu rozsypuje się w rój mikrobotów i rekonfiguruje w Ptaka. Podlatuje, siada mu na ramieniu. Can ostrożnie wydłubuje zatyczki z uszu. Georgios zawsze wstrzymuje oddech przy wyciąganiu tych delikatnych urządzeń. Can jest dziś strasznie nieswój. Wierci się nerwowo, twarz ma zarumienioną. Georgios robi herbatę. Dwie szklanki, dwa spodki, dwie łyżki. Jak mężczyzna z mężczyzną, na maleńkim białym stoliczku.

- Bo wie pan, poszedłem popatrzeć na bombę. Tę na Necatibey Caddesi.

Georgios miesza leniwe kryształki cukru na dnie szklanki. Mały świat Cana jest pełen wielkich opowieści. Can ciągnie, swoim nieco zbyt donośnym głosem:

- Schowałem się na budynku Allianza, a obok na biurowcu siedział inny robot, też schowany. Myślałem, że obserwuje zamach, ale nie. On obserwował ludzi, tych, co jechali tramwajem. Patrzył na wszystkich po kolei, a potem poszedł za jednym. Proszę pana, on śledził pana Hasgülera z dołu.

- Ismeta? - Georgios boi się Szejcha Ismeta. Jest przeciwieństwem jego życia.

- Nie, tego drugiego.

- Necdeta. Nie wiedziałem, że Necdet był w tym zamachu, ale czemu ktoś miałby się nim interesować?

- No, ten robot go śledził, i nie tylko on. Był jeszcze jeden, nie widziałem go, a on mnie widział. Podszedł mnie od tyłu i by mnie dopadł, gdyby Mała w samą porę nie skoczyła. I gonił mnie, proszę pana.

- Gonił?

- Po dachach. Straszne to było, ale i fajne. Był duży i szybki, ale za mało sprytny. Zrobiłem tę sztuczkę ze skakaniem i zamianą w Ptaka w powietrzu. On myślał, że tam będzie następny dach. Spadł i się rozwalił. Zaraz obok Kenana.

Łyżeczka wypada Georgiosowi z ręki i wybija ćwiartkę szkła z delikatnej, tulipanowej szklaneczki. Herbata leje się na stół. Później się posprząta.

- On wie, gdzie mieszkasz?

- Nie, przecież mówię, przechytryłem go i zabiłem.

- Koło Kenana, mówisz? To chętnie bym rzucił okiem.

Can już zrywa się na swoje powietrzne podeszwy, Wąż jedzie mu na ramieniu jak fala. Georgios gestem usadza go z powrotem.

- Ty zostań. Ktoś, kto go wysłał, może go szukać. Lepiej, żeby nie wiedział, że ty tu mieszkasz.

- Myśli pan, że to spisek?

- Panie Durukan, jeśli Bóg umarł, to wszystko jest spiskiem.

Can przyciska czoło do okna maleńkiej herbaciarni. Pan Ferentinou człapie, obolały, po schodkach, pozdrawia Büłenta i Aydina, sprzedawcę obwarzanków i rozgląda się wokół automatu z colą przed lokalem Kenana. *Po prawej, po prawej*, mówi samymi ustami Can, w milczeniu pokazując mu drzwi na ulicę. *O, tutaj, gdzieś tutaj!* Georgios Ferentinou dźga łaską, pochyla się, twarz ma czerwoną, jakby miał wybuchnąć. Rozkłada dłonie w geście niezrozumienia. *Nie ma.*

- Tam był ten robot, naprawdę był, naprawdę mnie gonił i ja go zabiłem - mówi Can po powrocie pana Ferentinou.

- Dobrze, wierzę ci - odpowiada Georgios. - Po prostu już go zabrali. Będą mieli nagrania twoich robotów. A jeśli czemuś interesują się panem Hasgülerem, to jeszcze wrócą do domu derwiszy.

- Ale jak będą śledzić tego całego Necdeta, to ja mogę śledzić ich.

- Panie Durukan. Pan i pana roboty chyba nie powinny się teraz rzucać w oczy.

- Ale nikt nie zna tego domu tak jak ja. Znam wszystkie tajne przejścia. Nikt mnie nie znajdzie. - Pana obserwuję, myśli Can. I tę Leylę, co cały czas ogląda telewizję. Też nie ma pojęcia. Wszystkich obserwuję.

- Zabraniam. Będę bardzo zły, jeśli się dowiem, że to robisz.

- Ale to jest spisek. Pod samym moim domem. To fajne. Prawdziwy spisek.

- Panie Durukan, mówię panu z własnego doświadczenia: prawdziwe spiski to nic

fajnego. Prawdziwe spiski są niebezpieczne, trudno się w nich zorientować, są męczące i przez to groźne. W prawdziwych spiskach jesteś zdany sam na siebie. Cokolwiek to jest, to nie sprawa dla dziewięciolatka. Daj sobie z tym spokój.

Georgios Ferentinou idzie po gąbkę i ściiera herbatę, uważając na odłamki szkła.

* * *

Pierwszego dzinna Necdet widzi na suszarce do rąk, kiedy wychodzi z kabiny w toalecie. Dżinn przypomina potwornie spalone niemowlę, o oczach jak szparki i nalanej twarzy. I się pali. Necdet czuje ciepło już od drzwi toalety. Wrze i syczy, jak palący się tłuszcz.

- Ja, ten... mogę wysuszyć ręce? Bo to higieniczne?

Dżinn przekrzywia pulchną głowę i wyciąga tłuste rączki. Necdet unosi ku nim własne ręce. Niesamowity żar. Schną w jednej chwili.

- No to idę.

Pytanie przychodzi mu do głowy w korytarzu: czemu suszarka się nie nadtopiła? Necdet nurkuje z powrotem do toalety. Oczywiście, nic. Dżinnów nigdy nie ma, kiedy się ich szuka. Wtedy przychodzą dreszcze. Nachyla się nad zlewem, czując skurcze żołądka. Przyciska głowę do chłodnej porcelany. Solidna, niewzruszona, zimna i pewna. Boi się podnieść głowę. Może znów tam będzie, z tą potworną dziecięcą twarzyczką. Albo głową kobiety, która wysadziła się w tramwaju. Podtyka usta pod kran i łyka zimną, czystą wodę, pozwala jej spływać po twarzy, po oczach. Niech zmyje wszystko, co dziś widziały. Kiedy się prostuje, w toalecie nadal jest pusto.

W hallu Mustafa ćwiczy strzały piłką. Mustafa zawsze ma jakiś plan. Na żadnym jeszcze grosza nie zarobił, nie mówiąc już o wyprowadzeniu się z blaszanej szopy Awaryjnego Centrum Biurowego, ale wyznaje teorię, że jeśli wygeneruje dość pomysłów, któryś w końcu zaskoczy. Ostatni polega na wykorzystaniu faktu, że tkwi w Awaryjnym Centrum Biurowym: chce zrobić z niego Tor Miejskiego Golfa.

- To nowy miejski sport - mówi Mustafa. - Robi się pole golfowe z budynku. Korytarze to tory gry, pokoje to *green*. Ale wszystko jest o wiele fajniejsze od golfa, bo trzeba się piłką przebijać przez zakręty, albo na górę po schodach. Wszystkie biurowe meble, ścianki, komputery, to hazardy, bunkry z piaskiem i tak dalej. Nigdy nie jesteś do końca pewien, gdzie ci polecą piłka. Coś jak piłka ręczna albo squash - albo szalony trójwymiarowy golf? Może trzeba by zakładać kaski i gogle, nie wydaje ci się? Napiszę prospekt, na pewno znajdę jakiegoś inwestora z *venture capital*. Kolejny świetny pomysł z Turcji.

Mustafa wali *ironem* piątką w głąb korytarza, z punktu startowego na pustym biurku

repcjonistki. Piłka leci pięknie pod kątem, uderza w ścianę tuż przed zakretem i rykoszetuje za załom korytarza. Mustafa zarzuca kij na ramię. Ma masę czasu na ćwiczenia.

Można zleźć wzdłuż i w poprzek całą okolicę wokół Awaryjnego Centrum Biurowego i dalej nie mieć pojęcia o jego istnieniu. Setki ludzi robią to codziennie. Centrum to czterdzieści tysięcy metrów kwadratowych powierzchni biurowej wbudowanej między podpory wieżowca Emirates Tower. Przepastne hale, pomieszczenia biurowe, korytarze, sale spotkań, pakamery, kuchenki, toalety, nawet sala rekreacyjna i siłownia, wszystko zakopane, nigdy nieoglądające światła dziennego. Gdyby któryś z tych lśniących wieżowców ucierpiał od trzęsienia ziemi, pożaru czy powodzi, jakaś korporacja mogłaby od ręki przenieść się z biznesem do Awaryjnego Centrum. Zmieściłaby się tutaj cała stambulska Giełda. Przez półtora roku, odkąd jest tu Necdet, czerwony telefon zadzwonił raz, i to była pomyłka. Mustafa siedzi tu od samego początku. Necdet to jedyny pracownik, oprócz niego, który wytrzymał dłużej niż sześć miesięcy. Mustafa lubi przykurzoną, oświetloną jarzeniówkami samotność rzędów nieużywanych stacji roboczych i sal do spotkań, z krzesłami ustawionymi w idealnie równych odstępach wokół owalnych stołów. To dobre miejsce na twórcze pomysły. Między tymi farmami serwerów mogłoby rozkwitnąć tysiąc kwiatów.

- Będzie *par* - mówi Mustafa, machnąwszy z zadowoleniem pięścią. - Ej, co z tobą? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Nie ducha. Widziałem džinna, w kiblu.

- No, to tradycyjna kryjówka džinnów. - Niezrażony Mustafa zarzuca kij na ramię i zeskakuje z blatu. Ma tu czas - całe pokłady czasu - żeby zostać ekspertem od wszystkiego. - Według tych mistyków i sufich, co badają takie rzeczy, powinieneś za każdym razem, jak sikasz, prosić o pozwolenie.

- Siedział na suszarce do rąk i to było niemowlę. Płonące niemowlę.

- A. To zupełnie inna sprawa. Możesz mi to ponieść? - Mustafa wręcza Necdetowi *pitching wedge'a*, *puttera* i parę *ironów*. Jest tylko trzy lata starszy od Necdeta - rozmawiali o wieku, rozmawiali w tym bunkrze o wszystkim - ale zachowuje się jak światowiec i kosmopolita. - Skłaniam się ku teorii, że džinny to nadmiarowe myśli pozostałe po stworzeniu, takie, można by powiedzieć, wspomnienia z Wielkiego Wybuchu. To pasuje do tego, że ich żywiołem jest ogień. Imamowie, którzy liznęli trochę fizyki kwantowej, mają taką nową teorię, że džinny to my sami z innego świata, leżącego pod kątem do naszego. Ale w tym przypadku wydaje mi się, że to uraz spowodowany owym wybuchem w tramwaju. To nie jest tak, że po prostu się podnosisz i idziesz do domu. Na pewno mają jakąś pomoc psychologiczną. Gdyby to ode mnie zależało, dałbym ci wolne, ale niestety, nie mogę. -

Awaryjnym Centrum Biurowym zarządza Suzan Żwaczka. Kiedy dzwoni, dwa razy w tygodniu, żeby sprawdzić, czy Necdet i Mustafa nie zarąbali się toporami przeciwpożarowymi, brzmiało, jakby żuła paczkę gumy wielkości samochodu. Ani Necdet, ani Mustafa w życiu nie widzieli jej na oczy. - Albo to, albo ten skun, co go ciągle jarasz, w końcu zrył ci beret. Poproszę *pitching wedge*'a.

To by tłumaczyło tę świecąca głowę samobójczynie, myśli Necdet, wybierając *wedge*'a z trzymanyh w garści kijów. Nie powiedziałem o niej, bo sam tak myślałem. Ale ten na suszarce to co innego: czułem ciepło na twarzy. Wysuszyłem przy nim ręce. Urazem nie wysuszysz rąk.

Mustafa zamierza się na piłkę. Ma dobrą pozycję, pośrodku korytarza, doskonałą do strzału w górę klatki schodowej na końcu. Kręci tyłkiem. Necdet dostrzega coś kątem oka, ogląda się przez ramię. Za szklaną ścianą jest główne centrum informatyczne: dwadzieścia siedem tysięcy metrów kwadratowych zakurzonych biur, powsuwanych krzeseł i przestarzałych komputerów. Wszystkie co do jednego, jak daleko sięgnie wzrokiem, trzeszczą od zakłóceń i wyświetlają zjawę o twarzy nie z tego świata.

* * *

Rzymski cesarz Wespazjan mawiał, że pieniądze nie śmierdzą. Cesarz kłamał. Adnan Sarioğlu czuje je z każdym oddechem na parkiecie giełdy. Zapach pieniędzy to jonowy ładunek Özer Gas and Commodities; pot i piżmo, elektryczność i węglowodorowa woń nagranych od prądu plastików, czas i napięcie. Dla Adnana, kąpielowego z plaży, który przekwalifikował się na dealera surowcowego, pieniądze mają woń noszonej przez kobietę pianki do nurkowania.

Parkiet surowcowy to walec w samym sercu wieżowca Özera, osiem pięter otaczających centralny szyb, nakrytych witrażową kopułą rzucającą barwne światła ostrza na dealerów zebranych wokół Drzewa Pieniądzy. Tak Adnan mówi na farmę serwerów, sięgającą od podłogi do sufitu, piętro za pięciem komputerów i łącz sieciowych, każde przypisane do innego towaru. Gaz to pospolity towar, zatem jego dealerzy siedzą na drugim piętrze, oczko wyżej od obracających brudną ropą naftową, tak że Adnana tylko z rzadka zaskakuje odłamek błękitu lub złota przeciskający się przez dżunglę routerów, serwerów i zasilaczy, i padający mu na twarz. Najwyżej plasuje się węgiel, pod samą kopułą. Węgiel jest wzniosły, węgiel jest czysty.

Adnan Sarioğlu wyciąga rękę i przesuwając ekrany z transakcjami na gałęziach Drzewa Pieniądzy. Wyciąga nowe okienka z notowaniami, niektóre powiększa, inne spycha w głąb drzewa. Dla wirtualnego oka dealera Özera, rdzeń informatyczny pośrodku jest gęsty od

informacyjnych liści, niemal nieprzenikniony, ogarnia bowiem wszystkie globalne rynki. Giełdy towarowe, niegdyś rozjazgotane od wykrzykiwanych na głos ofert kupna i sprzedaży, zamilkły jak klasztory derwiszy, odkąd informację o notowaniach rzuca się bezpośrednio na gałkę ocną, a w uchu środkowym mruczą asystenci-AI. Adnan zdążył poznać dawny parkiet giełdy ITB jeszcze jako stażysta w czerwonej marynarce, ale od wrzasku traderów wrzeszczących sobie w twarze aż dygotały mu naczynia krwionośne, niósł się echem przez komory serca. Kiedy dzwonił dzwon, kiedy obrót stawał, a on wychodził na zaplecze, cisza uderzała go jak przełamująca się fala. Teraz tego dźwiękowego uderzenia doświadcza tylko na trybunach stadionu Aslantepe.

Na nowej giełdzie jazgot jest wizualny. Adnan porusza się w burzy informacji, ekrany i panele krążą wokół niego jak szpaki w zimowe popołudnie. Dealerzy są jaskrawi jak pawie, jak najdalsi od oficjalnego kodu barwnego pracowników wsparcia. Wielu ozdobiło sobie marynarki naszywkami z nanowłókna, albo w ogóle kazało je uszyć z animowanej tkaniny. Teraz szczytem mody są błyskające płomienie na mankietach, obrębie i klapach. Inni noszą heavymetalowe diabły, ryczące dinozaury, kręcące się symbole euro, gołe baby albo logo klubów piłkarskich. Onur Bej z zespołu obracającego przepustowością sieci zdecydował się na wzorek w tulipany w stylu Ery Tulipanów. Adnan uważa je za dekadencje i zniewieściałe. Sam ma po prostu z przodu i z tyłu po połowie czerwień i srebro Özera. Proste, bezpośrednie, zero pozy - to, co mężczyzna powinien nosić na grzbiecie. Jedyna pretensjonalna rzecz to naszywka w miejscu na nazwisko: „DRK”. Draksor - Ultralordem Wszechświata zostaje się w końcu na całe życie.

Sięga w obłok otaczających go wyświetlaczy, rozwija jeden. Jeszcze dziesięć minut, zanim rozlegnie się dzwon na giełdzie towarowej w Baku, głównym rynku gazowym Azji. W pośpiechu przed zamknięciem, między Baku i Stambułem otwierają się różnice na cenach. Przez parę sekund, zanim rynek zareaguje, dealerzy w rodzaju Adnana mogą coś zarobić. Wszystko sprowadza się do arbitrażu. Özer ma w Baku swojego człowieka, Grubego Alego. Poznali się na firmowej imprezie, przejażdżce terenowymi motorami, w Kapadocji. Adnan nie za dobrze sobie radził z motocyklem. Podobnie Gruby Ali. Obaj woleli samochody. Zostawili motocyklistów z ich skórą i kurzem, a sami spędzili popołudnie, pijąc wino na tarasie na dachu hotelu i spekulując, czy zakup winnicy to sensowna inwestycja. Sporo tego wina wypili. Okazało się, że oprócz tego, że są wielbicielami wina i samochodów, obaj kibicują Cimbomowi. Odtąd świetnie im się razem pracuje. Ale Gruby Ali nie jest Ultralordem.

Adnan przeskakuje wzrokiem z ekranu na ekran. Co dwie sekundy sprawdza kursy

czterwcowych dostaw w Baku. Jest w stanie utrzymać ten poziom skupienia tylko dzięki nano pędzącemu wichrem przez głowę.

- Cztery cztery sześć i mały obrót - mówi Adnan. - No dawaj, Ali, jakiś przyjaciel wielbłądów u ciebie musi siedzieć na długiej pozycji.

Anioł arbitrażu to anioł luk. Agenty AI mogą reagować na zmiany rynku szybciej niż jakikolwiek człowiek, ale kiedy próbują wpływać na rynek, każda prawdziwa inteligencja dostrzega je na kilometr - są subtelne jak pociąg towarowy. Niektórzy z dealerów mocno polegają na swoich agentach. Adnan wierzy własnemu sprytowi i talentowi do wypatrywania prawidłowości o te kluczowe kilka sekund wcześniej, zanim pojawią się na ekranach. Przybywaj ku mnie, aniele luk.

- Cztery cztery siedem i obrót leży - mówi Gruby Ali w Baku.

Ale zegar tyka do dzwonka: w którymś momencie w Baku objawi się jakiś lokalny dealer, który nie ma przedstawiciela na stambulskiej giełdzie i nie może tu handlować. Cena w Baku drgnie i przez parę sekund, nim zareaguje rynek w Stambule, Adnan Sarioğlu i Gruby Ali mogą zarobić.

- A co robi Branobel?

- Siedzi na długiej.

Ekran z Baku zatrzymuje się przed Adnanem.

- Mamy cztery cztery pięć. - Jest luka. Teraz trzeba tylko wymyślić, jak ją wykorzystać. Adnan kręci ekranami wokół. - Ktoś chce sprzedać, i to dużo. Wyłaż, palancie, wiemy, że tam jesteś.

- Ty go wykurz, a my go ustrzelimy.

Adnan porusza dłońmi, jak w tańcu, w kodzie. Wypuszcza nową ofertę, za cztery cztery pięć, która przelatuje przez liczne ekrany Drzewa Pieniędzy jak szarpiący liśćmi wiatr. Od razu roi się od Al. To cię wytrąci z równowagi, myśli. Gdzieś tam jest handlarz, który ma limit na dzienny spadek notowań swoich kontraktów. Oferta Adnana jest na postrach, ma robić wrażenie, że rynek jeszcze pójdzie w dół. Tamten handlarz, stojąc w obliczu nieskończonych strat, będzie musiał sprzedać. I proszę. Jedna gwiazdka zapala się na siatkówce Adnana, jaskrawa jak laser. Sprzedaż *stop-loss*. Adnan kupuje dwieście. W tej samej sekundzie Gruby Ali sprzedaje te dwieście, wykorzystując wyższy kurs w Baku. Kupujesz w Stambule za cztery cztery pięć, sprzedajesz w Baku za cztery cztery siedem. Czterdzieści tysięcy euro zysku za dwie sekundy pracy. Kolejne dwie sekundy i rynek adaptuje się, zamykając różnicę. Anioł luk leci dalej. Tego gazu, którym obrócił Adnan, nikt nawet nie powąchał. Byłby to fatalny błąd. Na tym polega sekret Özer Gas and Commodities:

nigdy nie trzymaj żadnego gazu, nigdy nie posiadaj żadnych surowców, nigdy nie zostań z rękoma pełnymi towaru. Walutą są przyrzeczenia i opcje na przyszłe ceny.

AI Adnana księgują sprzedaż i pchają ją do Kemala w biurze operacyjnym. Pieniądze owiewa fala wyblakłego od słońca, ogrzanego od ciał kobiet neoprenu. Piękna transakcja i mało kto umiałby ją rozegrać lepiej niż Adnan Sarioğlu i Gruby Ali, ale prawdziwe pieniądze są zupełnie gdzie indziej. Takie gry na giełdzie surowcowej to zawsze szybkie pieniądze, premia za spryt i szybkość, pieniądze, które trzeba z rynku wywabić, żeby do Ciebie przyszedły. Ty wygrywasz, więc ktoś traci. Zamknięty system. W Özerze nie ma remisów. Za to Turkus, o, to będą prawdziwe pieniądze, dość, żeby przestać bajerować i handlować dywanami. Turkus to magiczne pieniądze znikąd. Pięć minut do zamknięcia w Baku, godzina do dzwonu w Stambule. Adnan rozkłada dłonie, ustawia sobie przed twarzą ekran z cenami *spot*. Coś w nich jest, jakiś cień wzoru, jak znak wodny na banknocie. Ale jak coś teraz na tym zarobić?

* * *

Leyla jest na nanobazarze. Mur z prasowanego włókna węglowego osłania karawanseraj biznesów grzebiących w nanoskali. Flagi i powiewające na wietrze rękawy ocieniają dach budowli z przemysłowych kontenerów BigBox, kreśląc nad nią tureckie półksiężycy i unijne gwiazdki. Od strony ulicy ścianę zdobi potężne graffiti przedstawiające kolejne rzędy jednostek wielkości: od kosmologicznych po lewej, po kwantowe po prawej, wymalowane kwiatowymi abstrakcjami jak ceramika z Izniku. Pośrodku jest ludzka skala i tam właśnie wycięto bramę, jak wejście. W czasie, gdy Leyla przypatruje się malowidłu, podjeżdża i odjeżdża z tuzin furgonetek, autobusów i dolmuszy, a motorowery, żółte taksówki i małe trójkołowe miejskie autka lawirują wokół niej. Serce rwie się jej z piersi.

Zawsze chciała zobaczyć taki bazar. Demre, dumnie uważające się za miejsce urodzenia Świętego Mikołaja, było kompletnie pozbawione sklepów z czymś interesującym. Małe lokalne sklepiki, podle zaopatrzone sieciowy supermarket, stale na progu bankructwa, oraz ogromny *cash and carry*, zaopatrujący farmy i hotele powciskane między plastikowe niebo i kamienistą plażę. Ruscy przylatywali całymi czarterami, żeby się poopalać i napić. Rurki do nawadniania kropelkowego i importowana wódka - typowy koktajl z Demre. Za to Stambuł, Stambuł to magia. Daleko od domu, z dala od wilgotnej klaustrofobii cieplarni, hektar za hektarem, za hektarem, jak pyłek kurzu w największym mieście Europy, anonimowy, choć dzięki tej anonimowości wolny, by popełniać głupoty, by być lekkomyślnym i fantastycznym, żyć fantazjami. Wielki Bazar! To dopiero nazwa pełna cudów. Hektar za hektarem kitajskiego jedwabiu i taszkienckich dywanów, bele adamaszku i muślinu, mosiądz, srebro, złoto, rzadkie przyprawy, oszałamiające zapachem. Kupcy,

handlarze, przewodnicy karawan; róg obfitości, gdzie wyładowują swe towary karawany Jedwabnego Szlaku. Wielki Bazar w Stambule - gówno i pazerni sklepikarze. Horrendalnie drogi szajs dla turystów, byle co, byle się błyszczało. Kupuj, kupuj, kupuj. Bazar Egipski - to samo. Tamtego lata obeszła wszystkie stare bazary na Sultanahmecie i Beyoğlu. Nie było tam tej magii.

A tutaj, tutaj jest. I jest niebezpieczna, jak to prawdziwa magia. To nowy punkt docelowy Jedwabnego Szlaku; inżynierowie i programiści nanoware'u są nowymi kupcami i karawaniarzami Trzeciej Rewolucji Przemysłowej. Leyla odważnie wchodzi przez bramę.

Powietrze nanobazaru uderza do głowy - nowa emocja z każdym oddechem. Robiąc kolejne kroki, zatacza się od błogiej euforii przez nerwową paranoję, aż po niemy lęk. Przed nią wiruje kurz, połyskując w ostrych snopach światła wlewającego się przez dziurawe plastikowe markizy. Skupia się w widmową podobiznę jej twarzy. Twarz marszczy się, porusza ustami, jakby mówiła, i w jednym błysku znika. Maleńkie szczuroboty rozbiegają się jej spod obcasów. Okna połyskują wyświetlającą obrazy telewizyjne tłustą warstewką oleju, z podciągniętych rolet ściekają wielkie firmowe logotypy; wszystkie te świetne marki, którymi będzie się cieszyć, kiedy dostanie pierwszą robotę w marketingu za przyzwoite pieniądze. Bańki lecą jej prosto na twarz, wzdryga się, kiedy pękają, a potem wzdycha z zachwytem, bo kolejne pęknięcia baniek odgrywają fragment przeboju zeszłego lata, *Şinaney Gülsena*. Ptaki obsiadające rynny przemysłowych kontenerów to wcale nie ptaki. Twarz Atatürka na koszulce przechodnia nagle zwraca na nią oczy i patrzy spode łba. Leyla chciałaby klasnąć w dłoń, urzeczona.

- Lokal 229? - pyta brodatego mężczyznę o kręconych włosach.

Pochyla się nad silniczkiem małego trójkołowego dostawczaka. *Bekşir - barszcz i bliny*, głosi napis na boku. Słyszała, że ruskie jedzenie jest bardzo popularne wśród tych gości od technologii. Mrożą sobie wódkę w chłodnicach reaktorów. Gość marszczy brwi i mruczy coś po rosyjsku. Słyszała to aż za dużo razy od pijanych turystów. Gardłowy, wieśniacki język w porównaniu z melodyjnym tureckim, ale jest go tu pełno, słonego, egzotycznego. Wokół tej dawnej bazy wojskowej na tanich peryferiach Fenerbahçe rozbrzmiewa kilkadziesiąt języków z tyluż krajów.

- Lokal 229?

Gość właśnie kupił dwie kawy na straganie jakiejś franszyzy. Ma po jednej w każdej dłoni - kawa po zachodniemu, mleko o smaku kawy w papierowym wiadrze, z drewnianym mieszadełkiem. Jest wysoki, patykowaty, o ziemistej cerze, twarz ma starszą niż ubranie, odrobinę zbyt wydatną szczękę i zamyślane oczy szczeniaka, które wciąż unikają jej wzroku.

- To gdzieś tam, w Mniejszych.

- Słucham?

- Jesteśmy tu ułożeni według skali - mówi. - Mili, mikro, nano. Małe, mniejsze, najmniejsze. Małe jest piękne. Wielkość ma znaczenie. Ja też idę w tamtą stronę.

Leyla wyciąga rękę. Przesyła się wizytówka. Facet wysoko unosi kawy w przepaszającym geście.

- Jestem Leyla Gültaşlı. Niezależny konsultant marketingowy. Mam spotkanie z Yaşarem Ceylanem z Ceylan-Besarani.

- I co tam kombinujecie z Yaşarem?

- Chce, żebym opracowała plan rozwoju biznesu, wzrostu firmy. Dostęp do finansowania, rycerze na białych koniach, kapitał venture, te sprawy.

- Kapitał venture. - Wciąga powietrze. - Wie pani co, ja to się boję rozmów o kasie.

- Nie ma czego, jeśli wiesz, co z tą kasą zrobić.

Pomimo wyjaśnień młodszej ciotki Kevser, Leyla wciąż nie do końca rozumie, jak jest z tym Yaşarem spokrewniona, ale kiedy do niego dzwoniła, był miły i grzeczny, zainteresowany, pozbawiony tego typowego dla *geeków* egocentryzmu.

- Fenerbahçe, tak, rozumiem. - Niezła wyprawa: pięć różnych środków transportu. Półtorej godziny, jeśli udadzą się wszystkie przesiadki. Niech będzie trzy. I znów wykapała się w drogiej wodzie, wyprasowała zmarszczki frustracji na kostiumie do rozmów, wyruszyła z należytym zapasem czasu.

- Nanotechnologia.

- Coś w tym rodzaju.

Nanotechnologia, czy choćby „coś w tym rodzaju”, co ona w ogóle wie o nanotechnologii? Co w ogóle wiadomo o nanotechnologii, poza tym, że to sam szal, nowa rewolucja, obiecująca zmienić świat równie radykalnie, jak informatyka pokolenie temu. Leyla nie ma innego przygotowania niż porządnie wyprasowany kostium i niezachwiana wiara we własne możliwości. To jest tak daleko od Demre, jak się tylko da.

- Lokal dwieście dwadzieścia dziewięć. - Facet wskazuje kubkami. Wchodzi za Leylą przez niskie drzwi do anonimowego, jednopokojowego biura. - Yaşar, to jest Leyla Gültaşlı. Nasza konsultantka od marketingu.

- O, tak, miło mi poznać.

Leyla walczy z rumieńcem zażenowania, ściskając dłoń młodego człowieka, który wstaje zza zagraconego biurka pod samą ścianą. Yaşar Ceylan ma przydługie włosy, zbyt wielki brzuch i zarost, ale oczy bystre, odwzajemnia spojrzenie i uczciwie ściska rękę.

Informacja iskrzy z dłoni do dłoni, wizytówka za wizytówkę.

- Widzę, że już poznałaś Aso, mojego współlnika.

- Wspólnika, a, no tak, powinnam się domyślić, ciocia Kevser mi nie mówiła, oczywiście. - Czemu tak gęga i gęga, jak jakaś papla ze wsi?

- A to jest Zeliha.

Czwartą osobą w maleńkim biurze jest kobieta pod trzydziestkę, niemal niewidoczna zza sterty faktur i wydruków zaścielających jej biureczko. Marszczy czoło na widok Leyli, robi zakłopotaną minę i chowa twarz w jednej z kaw. Dwa biurka, trzy krzesła, szafka na dokumenty z drukarką na górze, rząd zbyt modnych i brzydkich figurek Urban Toy na parapecie za Yaşarem. W czwórce wypełniają to biuro jak cząstki pomarańczy.

- To co wy tu właściwie robicie?

Yaşar i Aso zerkają po sobie.

- Programowalna nukleinowa bioinformatyka.

- No dobra - rzuca Leyla Güldaşli. - Może to jest dobry moment, żebym powiedziała, że nie mam zielonego pojęcia, co to znaczy.

- I konsultantką marketingową też nie jesteś - dodaje Yaşar. - Przepraszam. To ciotka Kevser. Wszystko mi powiedziała.

Zeliha parska w kawę.

- Ale i tak jesteś nam potrzebna - dodaje pośpiesznie Aso. - Nasze pojęcie o marketingu jest mniej więcej takie jak twoje o programowalnej bioinformatyce nukleinowej.

- Tylko że jeśli mam to komuś reklamować, potrzebuję mniej więcej to zrozumieć.

Yaşar i Aso znów patrzą po sobie. Przypominają klaunów z telewizji dla dzieci.

- Rozumiesz, robimy w małej skali - mówi Yaşar.

- Ale nie tej najmniejszej - kończy Aso.

- Nie robimy mikrorobotyki i inteligentnego piasku.

- To nie jest nano, a co dopiero femto.

- Gdzieś w połowie.

- Na poziomie komórek.

- Technologia, która upodabnia się do biologii.

- Biologia, która się technicyzuje.

- Bioinformatyka.

- Dość - mówi Leyla Güldaşli. - Może nie jestem dyrektorem marketingu - jeszcze - ale jeśli będziecie w ten sposób gadać do inwestora, wywali was na zbity pysk.

- Okay, okay. - Yaşar unosi rękę. - Wróćmy do podstaw. Skala. Mała technologia:

mikroroboty, roje obliczeniowe, taka skala.

- Jak BitBoty - mówi radośnie Leyla. - Albo policyjne boty.

- Coś w tym stylu - mówi Yaşar, kiwając głową. - A na drugim końcu skali jest Najmniejsze, jeśli nie liczyć kwantowych kropek: nanotechnologia, która zaczyna się dopiero przy jednej dziesiątej długości światła.

- To jest to, co wciągają, kiedy muszę coś zapamiętać, skupić się, albo chcę poudawać przez chwilę kogoś innego - mówi Leyla. - Z tego robią ruchome obrazki na koszulkach, inteligentny papier, tym można wyskrobać z tętnic zbędny cholesterol, albo alkohol z wątroby. I dlatego mój ceptep i samochód, którego nie mam, ładują się w pięć sekund.

- No, nano to nie tylko takie rzeczy - zauważa Yaşar.

- A pośrodku jest Mniejsze: i to my. Pracujemy na poziomie komórek ludzkiego ciała - mówi Aso.

- Coś jak takie małe łodzie podwodne we krwi?

Obaj wytrzeszczają na nią oczy. Zeliha znowu parska śmiechem.

- Pewnie pomyślisz, że to science fiction - mówi Aso.

- Rozumiesz, na poziomie komórkowym lepkość krwi jest tak wielka...

- Dość. Przestańcie tak gadać na zmianę. Powiedzcie, to ma coś wspólnego z tymi całymi replikatorami?

Yaşar i Aso są zszokowani, jakby oskarżyła ich o pedofilię. Nawet Zeliha się peszy.

- Siedzimy w bioinformatyce - mówi wreszcie Yaşar.

- Badania nad replikatorami są ściśle kontrolowane i licencjonowane przez rząd - dodaje Aso. - Eksperymenty z replikatorami można robić tylko w specjalnych ośrodkach badawczych, a one wszystkie są w Ankarze.

Czyli ktoś na tym bazarze cudów eksperymentuje z replikatorami, myśli Leyla. To Małe, Mniejsze czy Najmniejsze? Replikatory są niebezpieczne. Replikatory to nowa bomba atomowa. Za replikatory dostaje się kulkę, bez pytania i na miejscu. Replikatory to pełzający koniec świata, nieubłagany, atom za atomem. Trwały uraz z dzieciństwa: Leyla nie mogła spać, więc zeszła na dół. Po cichutku, żeby nikt nie słyszał. Mama i tato siedzieli na swoich sofach i fotelach, starszy brat Aziz i siostra Hasibe wylegiwali się na podłodze. Leciwały wiadomości: twarze mieli niebieskie od świata wlewającego się do salonu z zajmującego całą ścianę ekranu. Przy takiej skali koszmar jest nie do omińnięcia. Świat zmierzał do najgorszego możliwego końca. Później Leyla dowiedziała się, że ta apokalipsa ma nazwę: Grey Goo - Szara Maź. Widziała, jak powolna fala szarości pochłania miasteczko podobne do Demre. Domy, ulice, meczet, centrum handlowe, dworzec autobusowy, autobusy, auta, wszystko

powoli pożarł ten pełzający rozkład, srebrny jak pleśń *botrytis* prześladowająca cieplarnie i zamieniająca pomidory i bakłażany w falującą aksamitną szarość.

W tym umarłym Demre nie było ludzi. W filmie pokazali jednak kota, czarnego z białymi skarpetkami i ogonem, osaczonego przez nieubłaganą szarość, zamienionego w srebrny dywanik w kształcie kota, który przez parę chwil wił się i dyszał, a potem się zapadł. Wtedy zaczęła wrzeszczeć.

- Kochanie, to nic, kochanie, to tylko telewizja, to jest na niby, skarbie. - Matka wzięła ją na rękę, a ojciec przełączył na jakiś program z jasnowidzem.

Leyla jednak widziała logo w rogu ekranu i wiedziała, co to znaczy. To były informacje, znaczy, że to prawda. Skąd to się wzięło, co to będzie? Miała siedem lat, może siedem i pół, ale ciągle budziła się w nocy z wrzaskiem, prześladowana obrazem szarej pleśni pochłaniającej wszystkich i wszystko - rodziców, całą ukochaną rodzinę, a zwłaszcza kota Bubu, polującego na szkodniki pod folią. Wiele lat później, kiedy opowiedziała tę historię na rodzinnym obiedzie, dowiedziała się w końcu, że to był program polemiczny, reakcja na ustanowienie przez Ankarę specjalnego statusu ekonomicznego dla nowych firm nanotechnologicznych, żeby podkreślić poziom badań naukowych w kandydującej do Unii Turcji. To była realistyczna komputerowa animacja, przedstawiająca zbiegły replikator pochłaniający świat. Prorok nanozagłady był eleganckim, stanowczym mężczyzną, z elegancko przystrzyżonym siwym wąsem i oczyma jak najwęższe na świecie szparki. Odtąd widziała Hasana Ekena wiele razy - wciąż był dyżurnym ekspertem od zagrożeń związanych z nanotechowym wyścigiem: felietoniści przewalali go „doktor Goo”, tamtego wieczoru był jednak aniołem zagłady. Przeraził ją bardziej niż ktokolwiek w życiu. Replikatory to śmierć.

Oskarżyła swoich potencjalnych klientów o to, że są technologicznymi świrami i przestępcami grzebiącymi w replikatorach. Nie tak uczą w slajdach do wykładu z relacji z klientami.

- To jest tak: bioinformatyka to nauka, badająca, jak działa DNA, czyli substancja w jądrze każdej komórki twojego ciała, programująca wytwarzanie białek i składanie z nich żywych tkanek - mówi Yaşar.

- Wiem, co to DNA.

- No więc bioinformatyka patrzy na DNA nie tyle z perspektywy dziedziczenia i budowy komórek, ile przetwarzania informacji, prawie programowania. Każda nić DNA to skomplikowane biologiczne oprogramowanie, które przetwarzają rybosomy i drukują białka. Na DNA można zrobić biologiczne komputery, pewnie słyszałeś o biochipach - tu jest całkiem sporo laboratoriów, które nad nimi pracują. Media ciągle o nich trują, że bezpośredni

interfejs między technologią i ludzkim mózgiem, jaźń jako ostatnia granica, otwarcie czaszki, dzwonięcie ceptepem prosto do czyjś mózgu, wysyłanie obrazów bezpośrednio do kory wzrokowej, że tylko wystarczy o kimś pomyśleć i ta myśl przeleci siecią ceptepową prosto do jego głowy.

- O, i to brzmi dla mnie jak fantastyka - mówi Leyla. Mówi tak dlatego, że zauważyła, jak Aso, kiedy bardzo stara się coś wytłumaczyć, przeuroczo, introwertycznie marszczy czoło, jakby, zanim spróbuje przekonać kogoś innego, musiał najpierw przekonać samego siebie.

- A wiesz, co to jest niekodujące DNA? - pyta Yaşar.

Leyla próbuje wymyślić inteligentną ripostę, ale kręci głową.

- To jest tak: ludzki genom jest potwornie nadmiarowy, redundantny - to znaczy, że tylko dwa procent DNA zawiera wszystkie instrukcje dla rybosomów budujących białka, z których składają się komórki. Dziewięćdziesiąt osiem procent siedzi i nic nie robi. Zajmuje miejsce w genach.

- Dla bioinformatyków to masa zmarnowanego miejsca - mówi Aso. - Zmarnowana moc obliczeniowa. Póki nie było Transkryptora Besaraniego-Ceylana.

- Ceylana-Besarianiego - wtrąca pośpiesznie Yaşar.

Aso podnosi palec. On zaczął, więc on skończy.

- Transkryptor Besaraniego-Ceylana to molekularna maszyna, która odbiera informacje z przychodzącego krwiobiegem kodowanego nano i zapisuje je na śmieciowym DNA.

Leyla wie, że powinna być pod wrażeniem.

- Czyli transkryptor zapisuje te informacje na wolnym miejscu, w tym niekodującym DNA - mówi.

Dalej patrzą wyczekująco.

- No i?

- Zastanów się przez moment nad implikacjami - odzywa się Aso.

- Przechowujecie informacje w komórkach. Zamieniacie żywe komórki w... maleńkie komputerki?

Trochę już się cieszą.

- A ile komórek ma ludzkie ciało? - pyta Yaşar.

- Tyle, co gwiazd na niebie! - niespodziewanie wykrzykuje Zeliha.

- Dziesięć bilionów - odpowiada Aso. - A każda komórka zawiera trzydzieści dwa tysiące sto osiemdziesiąt pięć genów, trzy miliardy par zasad, z czego osiemdziesiąt pięć

procent jest niekodujące. - Teraz ma w oczach coś dziwnego, coś fundamentalistycznego.

- To pomnóż jedno przez drugie - nakłania Yaşar.

Leyla nigdy nie była za dobra w liczeniu zer w pamięci.

- Tysiąc miliardów - mówi niepewnie. - Zylion.

Yaşar kręci głową.

- Nie, nie. Tysiąc trzysta pięćdziesiąt zettabajtów informacji. Do zapisania w każdym ciele. Zetta-bajtów. To są liczby, dla których jeszcze nie wymyślono nazw. A skoro można zapisać, można i odczytać. Czym innym jest komputer, jak nie urządzeniem, które odczytuje skądś instrukcję i zapisuje wynik gdzie indziej?

- Cała muzyka, napisana od początku świata zmieści się w twoim wyrostku - mówi Aso. - Wszystkie książki ze wszystkich bibliotek to parę milimetrów jelita cienkiego. Można nagrać - i odtworzyć - całe twoje życie, ze wszystkimi szczegółami. Może zajmie to tyle, co żołądek. Można żyć życiem innych ludzi. Talenty i umiejętności można będzie ściągać z sieci i zapisywać sobie na trwałe. Nie jak teraz, kiedy wszystko się kończy, gdy organizm wydali nano. Transkryptor Besaraniego-Ceylana zapisuje to bezpośrednio na komórkach ciała. Chcesz grać na fortepianie? Proszę bardzo. Chcesz nauczyć się sztuki albo wszystkich casusów z prawnej biblioteki? Języków obcych, hydrauliki domowej, programowania, fizyki, chemii, nie ma problemu. Co z nimi zrobisz, jak już je ściągniesz, jak z nich skorzystasz - to już od ciebie zależy. My nie gwarantujemy powodzenia, tylko to, że informacja tam zostanie, zapisana na twoim DNA.

- Chodź, zobacz - mówi Yaşar.

Wszyscy przemieszczają się, żeby mógł wyjść zza biurka i podejść do drzwi w tylnej ścianie.

Hala magazynu za drzwiami jest równie ciemna, chłodna i przestronna, jak biuro jasne, gorące i ciasne. Pachnie świeżymi pustakami, ciągle schnącym cementem, farbą i elektroniką. Aso pstryka bateriami świateł. Pośrodku hali stoi pojedyncza wieża serwerowych blade'ów, owinięta rurami prowadzącymi do potężnego agregatu chłodzącego na suficie. Poza tym sprzętem, magazyn jest królestwem pajęczyn, poprzylepianych pod okapami ptasich gniazd i kurzu migoczącego w ukośnych snopach światła wpadających przez wąskie, wysokie okna. Czubkiem czółenka rysuje łuk w pokrywającym betonową podłogę kurzu.

- Co to właściwie jest?! - krzyczy Leyla Gültaşlı. Huk wentylatorów, pomp chłodzących i wyciągów pyłu z czarnego monolitu uniemożliwia normalną rozmowę.

- Farma do modelowania w czasie rzeczywistym, chodzi na niej X-cis, Atomage i Cellrender 7 - oświadcza dumnie Aso.

- Licencjonowane kopie - dodaje Yaşar.

- Masz przed sobą czterdzieści tysięcy euro w high-endowym komercyjnym sprzęcie do modelowania molekularnego! - krzyczy Aso.

- To jest przerobiony sprzęt renderowy z wyprzedaży po EnGenie - mówi Yaşar. - Dołożyliśmy jeszcze tuning i upgrade'y za kolejne dziesięć tysięcy, taktowanie podkreślone przez Refig Brothers; w szczycie ma prawie pięćset teraflopów mocy. Nawet nie pytaj, ile to żre prądu i wody.

- To jest duży komputer.

- To jest najnowocześniejszy zestaw do projektowania i modelowania molekularnego.

- Zapytam tak po prostu: nic tu nie wytwarzacie?

Obaj zrobili tak zszokowane miny, jakby oskarżyła ich o prowadzenie studia porno.

- Jesteśmy projektantami - mówi zimno Yaşar. - Nikt, kto się liczy, niczego nie wytwarza. To byłaby tylko produkcja.

- Chyba musisz to zobaczyć - dodaje Aso. - Jaką przepustowość ma twój ceptep?

Leyla nieśmiało wyciąga stację bazową z torebki. Chłopaki pochylają się nad nią, bocią i szpak, obracają ją w dłoniach, bez słowa zabierają jeden drugim.

- Powinien dać radę, ale musisz założyć to. - Aso ostrożnie nasadza jej na nos oprawkę bez soczewek, dopasowując je ze starannością optyka. - Tylko w 3D naprawdę zrozumiesz, o co chodzi.

Leyla mruga i wzdryga się, gdy lasery projekcyjne opadają jej przed oczy. W torebce dzwoni ceptep i już leci głową naprzód w świat DNA. Zapyłona betonowa szopa wypełnia się spiralnymi zwojami, jakby wisiały jej przed twarzą liny mostu wiszącego, oddalające się poza granicę hali. Obracają się wokół swoich osi, kreślą korkociągi, spiralne schody, śruby Archimedesów. DNA - podwójna spirala połączona szczeblami par zasad. Atomy tańczą walca wokół niej, stateczne, niepowstrzymane. To jest wszechogarniające, olbrzymie, hipnotyczne, a przy tym mocno relaksujące. Leyla właśnie się zastanawia, jak by to sprzedać jako relaksację, rodzaj spa, gdy uświadamia sobie jakiś ruch. Małe, biegające kręciołki, podobne do chrząszczyków, które widywała na zbiornikach z wodą w domu, unoszących się na napięciu powierzchniowym, pną się, atom za atomem, po nieskończonych spiralnych schodach DNA. Symulacja ogniskuje się na skupisku nici, przesuając Leylę bliżej, coraz bliżej, aż pełzacze wydają się wielkości autobusów. To jest skala atomowa, wszechświat rodem z dziecinnej zabawki, zbudowany z samych kulek: piłek plażowych, futbolowych, tenisowych i małych, podskakujących, ping-pongowych. Trybiki zrobione z połączonych kulek, korbki, dźwignie i kółka, wszystko z kulek. Rzeczywistość jak ze żłobka, wszystko

miękkie, okrągłe i zabawne. Ale to nie są miękkie dziecinne przytulanki. To celowe, niestrudzone, niepowstrzymane pelzaczce, przepuszczające przez swoje wnętrza nić DNA, zasada po zasadzie, odrywające je i przyklejające na nowo z tyłu, za sobą, ale w innym porządku, kręcące się jak koraliki pajęczego kleju na nici pajęczyny. Patrzy, jak molekularne nożyce przecinają atomowe wiązania i tkają z nich nowe wzory. Krok, ciach, splot, krok. Atom za atomem w nieskończonym łańcuchu DNA.

Leyla, kiedy była mała, zachorowała na ostre zapalenie migdałków, które przeszło na mózg i przerodziło się w pełnowymiarową gorączkę. Przez dwie noce objęła się o pułap śmierci, spocona, halucynująca takie właśnie rzeczy, jak te atomowe pelzaczce; niestrudzenie pnące się po nieskończonych spiralach, choć nigdy nie pokonujące choćby centymetra. To był właśnie nieubłagany marsz gorączki przez cząsteczki jej ciała.

Zdejmuje oprawkę z nosa.

- I co ja mam dla was zrobić?

Na rozmowę o finansach wracają do biura.

- Chcemy zrobić prototyp - mówi Yaşar.

- *Proof of concept* - dodaje Aso. Ta gadka w duecie zaczyna już jej działać na nerwy.

- Zakładamy na tę fazę budżet dwustu siedemdziesięciu pięciu tysięcy euro. Szukamy inwestora venture, czegoś w rodzaju Białego Rycerza, nawet uznanej firmy z branży. W zamian dajemy pięćdziesiąt procent udziałów.

- No dobra - odpowiada Leyla. - To chyba jest do zrobienia. Na pewno mogę zerknąć na biznesplan i opracować jakąś strategię finansowania. I zajmę się gadką handlową. Moje honorarium...

- Zanim na cokolwiek się zgodzisz, dwie sprawy - wtrąca Aso. Zerka na Yaşara. Yaşar zagryza dolną wargę.

- Musimy działać szybko. Jest konkurencyjny projekt. Słyszeliśmy, że mają zaraz wypuścić prototyp.

- Jak szybko? - pyta Leyla.

- Maks dwa tygodnie.

- Jest jeszcze jedna kwestia - dodaje Aso. Yaşar krzywi się z zakłopotaniem.

- Firma nie jest w całości nasza.

- A ile macie?

- Pięćdziesiąt procent. Potrzebowaliśmy kasy na początek, na farmę do modelowania i soft.

- I skąd wzięliście?

- Jak ci się zdaje, skąd dwóch gości świeżo po doktoracie, bez historii kredytowej, może wziąć pięćdziesiąt tysięcy euro? - odpowiada Yaşar.

- Od rodziny - dopowiada Aso. - Jego rodziny. Twojej.

- Mehmet Ali.

- Kto? - pyta Leyla.

- Taki kuzyn w drugiej linii - wyjaśnia Yaşar. - Taki krewniak, co zawsze umie wszystko załatwić.

- I macie jakąś umowę? - pyta Leyla.

- Taką nieformalną - mówi Yaşar. - Jak w rodzinie. Jest znak. Ten, kto go ma, ma połowę firmy Ceylan-Besarani.

- Czemu mam przeczucie, że to nie będzie taka prosta sprawa, że nie da się po prostu złożyć Mehmetowi Alemu propozycji nie do odrzucenia?

- Mehmet od paru miesięcy nie daje znaku życia. Nie odbiera telefonów.

- A ten znak?

Yaşar rozkłada ręce w bezradnym, błagalnym geście.

- Nie no, musicie go odzyskać. Jeśli jakiś podejrzany daleki krewny może po prostu przyjść, pokazać jakiś świstek i zażądać pięćdziesięciu procent...

- To nie jest jakiś świstek. - Aso grzebie w kieszeni marynarki i pokazuje Leyli coś na dłoni. To miniaturowy Koran, ludzie kupują takie na pamiątkę po pielgrzymce do grobów świętych. Całkiem ładny, stara rodzinna pamiątka. - Słyszałem, jak ktoś mówił, że jest perski. W jakimś momencie w przeszłości ktoś przeciął go równo na pół.

* * *

Ultralordowie Wszechświata jedzą kofte w budce Proroka Kebabów na Levent Plaza, naprzeciwko wieżowca Özera. Siedzą w porządku żywołów na swoich stałych stołkach przy blaszanym blacie i jedzą bardzo dobre, mocno ociekające tłuszczem mięsne kulki, zatknawszy za kołnierzyki papierowe serwetki. Wszyscy schodzą teraz z nanohaju. To idzie tak: najpierw dużo gadają, jeden przez drugiego, swiergołą i trajkoczą. W tej fazie rozlicza się zakłady i spłaca dodatkowe fanty, w rodzaju mandatów z fotoradarów. W drugiej fazie są bardzo cisi, introspekcyjni, zamknięci w sobie. Widzenie do dali pogarsza się, wieżowce Leventu, ze szkła i pieniędzy, kiwiają się jak trzciny. Potem rozmazuje się wszystko, co jest w pobliżu, tak że stołownicy Proroka Kebabów muszą trzymać swoje kofte w wyciągniętych rękach, żeby w ogóle móc się na nich zogniskować. Później przychodzi potworny, potworny dół - każdy rzuciłby się z mostu albo pod tramwaj, gdyby to trwało więcej niż parę minut. I wreszcie po prostu jest się znowu sobą - Ultralordowie Wszechświata stają się z powrotem zwykłymi

ludźmi.

Kemal zwała się, spóźniony, na czerwony stołek barowy pomiędzy Adnanem i Kadirem Yinančem z Zarządzania Ryzykiem.

- Żywiolo ognia, walcz u mego boku! - wykrzykuje. Prorok kładzie na lustrzanym kontuarze kebab w papierze.

- Żywiolo powietrza, wspomóż mnie! - krzyczy Adnan.

- Żywiolo wody, wojuj ze mną - mówi Kadir. Od zawsze wiedział, że dostał mu się gówniany tekst.

- Żywiolo ziemi, wzmocnij mnie - mruczy Oğuz.

Draksor, Ultror, Terrak i Hydror. Pewnego razu pojawili się, choć wcześniej ich nie było, w niedalekiej, a nawet całkiem bliskiej krainie, bliskiej jak hall biurowca Özer Gas and Commodities. Cztery nowe twarze w garniturach spod igły. Parę rzeczy ich łączyło. Byli mężczyznami, wszyscy zaliczali się do nowo przyjętych, zaczynających tego samego dnia pracę w największej i najbardziej wypasionej firmie surowcowej w całym Stambule, i wszyscy byli fanatycznymi kibicami Cimbomu. Wyniosła kobieta prowadząca kurs wprowadzający, pozwoliła im zajrzeć w niebiańskie luksusy sali posiedzeń zarządu: „I kto wie, może któregoś dnia dojdziecie aż do fotela w tej sali”. A ten tupeciarz, „wali mnie to” z południowego wybrzeża rzucił: „Bardziej jak Świątynia Zagłady Slavora”. Reszta złapała nawiązanie do kreskówki dla dzieci i skrzyła się w tłumionym śmiechu. Potem poznajdowali się nawzajem i narodzili się Ultralordowie Wszechświata. Żaden jeszcze nie dotarł do tej złotej świątyni. Ale za to planują finansowy przekręt dziesięciolecia.

Ultror, Ultralord Ognia, opracował w serwerowni biznesplan: sto AI poświęciło mu po ułamku swojej mocy obliczeniowej, każda po trochu, żadna nie znała całości.

Terrak, Ultralord Ziemi, sprawi, że będzie to wyglądało jak jedna z wielu transakcji gazem z Baku, przetaczanym rurociągiem Nabucco z Erzurum.

Hydror, Ultralord Wody, ukryje ją w labiryntach systemów kontrolnych Özera, jak mistyczne imię Boga w misternych kaligraficznych napisach w meczecie.

Draksor, Ultralord Powietrza, zawrze transakcję. To on zgarnie pieniądze. A kiedy będzie je miał, kiedy transakcja zostanie domknięta, a cena będzie odpowiednia, da znak pozostałym Ultralordom, żeby uruchomili plan Turkus.

- Mam dziś spotkanie z Feridem Bejem - mówi Adnan. - Powiedział, że potrzebuje więcej informacji.

- Więcej? - pyta Kemal. - Zawsze był wkurzający, ale to już przechodzi ludzkie pojęcie czy nano. Dostał przecież biznesplan.

- Chce analizę rynkową.

Kemal znowu przewraca oczyma. To ten upał, myśli Adnan. Wysysa z nas siły, przez niego jesteśmy podminowani i nerwowi jak bezdomne psy, ale jak długo będzie trwał, tak długo żyje Turkus. Kemal wyciąga rękę nad szczątkami kofe i chleba. Adnan ujmuje ją.

- Masz, kurwa, swoją analizę rynkową. - Informacja iskrzy między nimi, strona za stroną raportów szczegółowych, wykresów i prognoz. Mroczna, misterna sztuka, do której Adnan nie ma ani talentu, ani cierpliwości. Transakcja, uścisk dłoni, ludzie, to jego mocne strony.

- Gdzie się z nim spotykasz?

- W prywatnej łaźni dla prezesów.

- Uważaj, żeby cię nie posunął - parska Oğuz.

- Twoje jaja będą pachnieć tak pięknie jak nigdy - mówi Kemal.

- A jak złapie przynętę? - dodaje Kadir. Ferid Bej nie jest pierwszym oligarchą, z którym kontaktowali się Ultralordowie Wszechświata. Ale pierwszym, który umówił się na drugie spotkanie i spytał o dalsze szczegóły.

- Ten Irańczyk jeszcze tu jest?

- Da się to załatwić.

- Jak tak, to czeka skrzynka szampana - deklaruje Adnan.

- A piłka jest po drugiej stronie! - wołają chórem Ultralordowie i Prorok Kebabów.

- A oglądałeś te yali? - pyta Prorok Kebabów.

Nazywają go Prorokiem, bo przywraca harmonię, uzdrowia dusze, subtelnie kieruje słowami i myślami czterech chłopaczków z finansów, kiedy płoną swoją iście autystyczną koncentracją i syntetyczną agresją. Jest najlepszym na świecie lekarstwem na zjazd po nano.

- Pewnie, że tak - odpowiada Adnan. - I złożę im propozycję.

- Jak dla mnie, za blisko wody - mówi Kemal. - Będziesz mieć pełno szkodników. Szczury jak jebane psy. Widziałem. Koty się ich boją. Ja poproszę jedną z tych nowych, w Ulusie.

- Ale Adnan na pewno chce wyhodować dynastię osmańską w starym stylu - rzuca Kadir.

- Z dziećmi to ja bym tam nie mieszkał - dodaje Oğuz. - Będziesz mieć paskudne wyziewy z Bosforu. Wiem, o czym mówię. Tam się unoszą wszystkie syfy ze statków. Jak smog. A przez ten dwustronny przypływ woda właściwie się nie wymienia. Ścieki wiszą w miejscu przez tydzień albo i dłużej. I jeszcze gorsza rzecz. Wiem, nie kłóć się ze mną, bo znajomy z policji mi powiedział, że jak coś się stanie na którymś moście, trupy pływają tam i

z powrotem przez parę miesięcy.

- No dobra, moje panie. - Adnan ociera usta papierową serwetką. - Omówiliśmy samobójstwa, gównem w ściekach i czystość moich jajec. Może weźmy się do pracy, co?

Kemal zgniata papier po kebabie i ciska nim do worka na śmieci po drugiej stronie straganu. Nie trafia. Prorok Kebabów podnosi go i wrzuca do czarnej plastikowej torby.

* * *

Człowiek od słów i człowiek od liczb inaczej widzą biały pokój. Dla pisarza to sześcian z koszmaru, pustka, którą trzeba wypełnić porywem wyobraźni. To ta przestrzeń, o której piszesz, kiedy od wielu dni nie patrzyłeś na nic innego. Pisanie o pisaniu. Dla matematyka to pustka, czyste, białe światło, które, przepuszczone przez pryzmat analizy, rozkłada się na liczby stanowiące definitywną rzeczywistość. Ściany białego pokoju są ścianami wszechświata, a za nimi leży matematyka.

Georgios Ferentinou nie czuje lęku w swojej białej bibliotece z jedną książką, surowej jak cela mnicha. Jedyne małe okienko, osłonięte drewnianą przesłoną z dziurkami, pozwala zerknąć na plac Adema Dede i garbiące się nad nim kamienice. W białym pokoju ściany otwierają się na inne Stambuły, gdzie kontury ulic i budynków powstają ze zwyczajów zakupowych mieszkańców, ich chorób, interwencji medycznych, albo subtelnej interakcji ich powiązań, geograficznych, społecznych, religijnych. Stambuły z drucianych szkieletów, tkliwych jak oskórowany człowiek, z gazu, energii i danych. Są i Stambuły zbudowane w całości z plotek o futbolu. Każdy surowiec, każda aktywność dająca się zanalizować i zamodelować, tworzy swoje miasto.

Dla Georgiosa Ferentinou ekonomia jest najbardziej ludzką z nauk. Naucza o pragnieniach i frustracjach. To psychologia poddana abstrakcyjnym, podkreślającym prawidłowości siłom matematyki. Każdy zakład o jutrzejsze wydarzenie w informacjach, domysł jednego dziecka co do liczby pluszaków w słoju, jest wartością wynikającą z ich doświadczenia. Trzeba je zagregować, skomasować, za pomocą prostej średniej, albo instrumentów finansowych obiecujących przyszły zysk, a staną się wyroczniami. Matematyka to potęga kryjąca się za białymi ścianami biblioteki o jednej książce. Georgios jest starym agnostykiem, niepotrafiącym uwierzyć w żadnego boga, który uwierzyłby w niego, ale coraz bardziej uważa, że wszechświat jest platoński. Matematyka jest aż za dobra, za dokładna w opisywaniu rzeczywistości ludzkiej i fizycznej. U podstaw wszystkiego leży jakaś liczba. Kiedy umrze, a na starość myśli o tym prawie codziennie, jak przystało starym ludziom, rozpadnie się na atomy węgla. Stanie się bielą, stopi się ze ścianami matematyki i przejdzie przez nie do tamtych innych Stambułów.

Myśli mu meandrują, jak przystało na starego człowieka - spacerują po rozbudowanym mieście pamięci - do Ariany. Wyobraża ją sobie na pochyłych uliczkach Eskiköy. Nie zestarzała się ani o dzień. Nie mogła. Czas stanął w miejscu, kiedy patrzył, jak idzie z promu na dworzec. Tutejsza grecka społeczność, kurcząc się, także bardziej się ze sobą zżyła. Mógłby ją bez problemu znaleźć - Georgios nie zastanawia się jednak nad tym, czy ją znajdzie, lecz nad tym, czy się odważy jej szukać. Czemu w ogóle wróciła, po czterdziestu siedmiu latach?

Otrząsa się z meandrujących myśli. Raz jeszcze zerka na miotające się nagranie z BitBota, które przysłał mu Can. Robot-obszrewator sugeruje, że zamachowiec w tramwaju nie działał sam. Samotni zabójcy to przeważnie upośledzeni społecznie mężczyźni, potrzebujący spektaklu dla własnej apoteozy. Wypisują na portalach społecznościowych sężniste tyrady o własnej alienacji, a potem przypinają broń i idą do szkoły, do centrum handlowego, czy instytucji państwowej. Zamachowcy-samobójcy wygłaszają diatryby o sprawiedliwości społecznej, przemianach i obietnicach Raju. Za tą zdesperowaną kobietą bez głowy stoi jakaś struktura.

Każda z licznych tureckich grup terrorystycznych ma swoją sygnaturę. Kurdowie lubią teatralność. Potrzebują skupić na swojej nacji uwagę całego świata. Antyunijni nacjonaliści z Szarych Wilków myślą, że wpisują się w romantyczną tradycję Młodej Turcji, i wołają zamachy na konkretne osoby i strzelaniny uliczne. A w tramwaju linii 19 - to klasyczne islamskie męczeństwo. To przemoc w wykonaniu wiernego domowego psa, który nagle zagryza niemowlę; sąsiadki, która morduje męża; kolegi z pracy, niewytłumaczalnie popełniającego samobójstwo. Niewidoczne siły, których istnienia nikt nie podejrzewa, gniołają latami, odkształcając życia i związki. Organizacja stojąca za bombą na Necatibey - pewnie komórka złożona z trzech czy czterech osób i na pewno z absurdalną nazwą - chciałaby uwiecznić chwilę eksplozji. Strony wahabitów są pełne wybuchów i obrazów męczeństwa, ozdobionych chałupniczą grafiką i patetyczną muzyką. To po co narażać tę informację na szwank, goniąc za BitBotem chłopca? Po co łamać jego sygnał? Po co śledzić go do tego domu? Rzeczywiście, trochę to dziwne. Dziwne jest to ziarno prawidłowości w kłębowisku przypadków. Dziwna jest ta informacja.

Oczy go bołają od urywanych, szarpanych obrazów. Unosi wzrok ku spokojowi białych ścian.

Dzwonek do drzwi jest tak głośny i tak nagły, że aż dźga go w serce. Ktoś jest za drzwiami. Serce mu wali. Znalezli go, przyszli po niego. Wszystkie wiedzą. Stoją pod drzwiami. Serce mu trzepocze, niezdolne, by wykonać pełne uderzenie. Myśl logicznie.

Mordercy nie dzwoniłoby do drzwi. Zabili by po cichu, zadusili jak osmańskiego księcia przed wiekami.

Dzwonek zgrzyta znów. Facet patrzy w kamerę.

- Georgios Ferentinou? - Mówi starannie, jest wykształcony. Oni przeważnie są. Fanatyzm to grzech klasy średniej. Porządny garnitur, czysta koszula i starannie zawiązany krawat. - Jestem Heydar Bekdil.

Georgios odsuwa się od ekranu. Inteligentny papier go nie widzi, ale facet po drugiej stronie marszczy brwi, jakby widział wszystko w pokoju. Trzeci dzwonek.

- Panie Ferentinou, mam do pana bardzo ważną sprawę. - Przyciska dłoń do płytki na drzwiach, przesyłając do komputera dokument tożsamości.

MIT. Państwowa Agencja Wywiadu. Jaką mogą mieć do niego sprawę?

- Panie Ferentinou?

Georgios pstryka domofonem.

- Przepraszam, że tu tyle kurzu - mówi, wpuszczając gościa do salonu. To kolejna zaadaptowana cela; dwie sofory stoją trochę zbyt blisko siebie, z wąskim stolikiem pośrodku. - Przyzwyczałem się żyć po swojemu. Odkryłem, że po paru miesiącach kurzu już nie przybywa. Herbaty?

W sąsiedniej kuchence nastawia czajnik i znajduje dwie niepopękane szklanki o tym samym kształcie. Na brzeżku każdego spodeczka kładzie kostkę chałwy od Lefteresa. Gość wytarł chusteczką skrawek stołu, lądowisko dla lecącego spodka.

- Jeśli chodzi o te przecieki... - zaczyna Georgios. Sadowi się ciężko na sofie. Ich twarze nad stolikiem są zbyt blisko siebie jak na nieznajomych.

- Nie, nie o to chodzi. - Mężczyzna uśmiecha się lekko. - Nie, to dla mnie... zaszczyt. Nie, będzie pan dalej informowany. - Denerwuje się, szklanka szczyka o spodek. - Panie Ferentinou, muszę panu coś wyznać. Ja gram. Gram na Gieldzie Terroru. - Teraz Georgios uświadamia sobie, że ten facet trochę go podziwia. - Mam nick Dalekowidziak.

Georgios nie potrafi ukryć niesmaku. Jedną z reguł jest anonimowość. Podoba mu się, że facet przy niskim stoliku w czajchaniu Fethiego Beja naprzeciwno, zniecierpliwiony kierowca na światłach, stukający palcami w kierownicę, albo kobieta, którą mija przy mrożonkach podczas cotygodniowej wycieczki do supermarketu mogą być incognito graczami Terroru.

- Dziękuję, cieszę się, że gra jest popularna na tak wysokich szczeblach. To czego chce ode mnie MIT?

Bekdil składa dłoń.

- Słyszał pan o grupie Hacettepe?

- Byłem jej członkiem-założycielem.

- Proszę wybaczyć. Nie wiedziałem. Pan zapewne nie wie, że MIT utworzyła niedawno drugą grupę badawczą, o wiele dyskretniej, pracującą równolegle z grupą Hacettepe, w Stambule. Wykorzystuje nieortodoksyjne i spekulatywne techniki. Sądzymy, że twórcze napięcie między tymi dwoma podejściami może zrodzić nowe przemyślenia dotyczące bezpieczeństwa kraju w obecnej sytuacji.

Georgios Ferentinou przekręca spodek tak, że łyżeczka celuje w serce Bekdila jak igła kompasu.

- Chce pan, żebym się przyłączył.

- MIT chce.

Georgios śmieje się z chrapliwym parsknięciem.

- Naprawdę kiepsko jest z bezpieczeństwem państwa, skoro przychodzicie do mnie po ratunek. Skąd w ogóle pomysł, że ja chcę mieć z czymś takim do czynienia?

- Grupa Kadiköy. Z ciekawości, panie Ferentinou? - Bekdil wyciąga z kieszeni taniego garnituru plastikową fiolkę z dyszą inhalatora i stawia ją na zakurczonym stoliku. - Jednorazówka. Odpowie na pana pytania. Węgiel pamięciowy jest skodowany z pana DNA - jeśli ktoś inny spróbuje, będzie miał tylko krótką halucynację dźwiękową, łopot skrzydeł ptaków.

Georgios nie jest zaskoczony, że MIT nadal ma jego DNA. Państwo, jak coś złapało, niechętnie to wypuszcza.

- Ale raczej bym się z tym pośpieszył, to nano ma ograniczenie czasowe. Zapomni pan dokładnie godzinę po inhalacji. Dobrze, panie Ferentinou, bardzo dziękuję za herbatę. Obojętne, co pan zadecyduje, i tak będę grał na Giełdzie Terroru. Ale już pod innym nickiem.

Bekdil wyciąga rękę. Georgios ściska ją w oszołomieniu, zahipnotyzowany półprzejrystą fiolką bez etykiety.

* * *

Dżinny czekają na Necdeta, gdy mrugając, wychodzi po betonowych stopniach Awaryjnego Centrum Biurowego na zalaną słońcem ulicę w godzinie szczytu. Całe stada, całe zamiecie dżinnów zerkają z każdego dachu, każdego balkonu, każdego szybu windy, każdej platformy do mycia okien, siedzą na każdej latarni, drogowskaziu i billboardzie, każdym kablem elektrycznym i telefonicznym, wyczierają ze szklanych zakamarków stambulskich wieżowców i minaretów nowego, brzydkiego meczetu z tandetną srebrną kopułą. Zwłaszcza z minaretów. Dżinny zawsze ciągnęło do meczetów. Migoczą, to znikając,

to pojawiając się w rzeczywistości, jak zimne płomienie. Jest ich więcej niż dusz w całym wielkim Stambule.

- Czego?! - krzyczy do wyczekującego dżinna. - Co jest?!

Kobieta maszerująca do domu ogląda się. W tych czasach dziwactwa są podejrzane - każdy ma jakąś urazę i środki, żeby ją wykrzyczeć. Necdet łypie na nią. Kiedy odwraca wzrok, plac jest pusty, milion baniek mydlanych pękło jednocześnie i bezgłośnie.

Jedzie dolmuszem. W metrze i tramwajach wybuchają bomby Większość pracujących na Levencie wykalkulowała sobie to samo. Gayrettepe Road jest zakorkowana furgonetkami, luksusowymi międzykontynentalnymi autobusami, miejskimi autkami i niebiesko-kremowymi dolmuszami. Mały mikrobusik szarpie, przesuwa się o metr i znów staje w korku. Ze wszystkich stron drą się klaksony, policjanci z drogówki dmą w gwizdki. Przejeżdża pusty w trzech czwartych tramwaj. Necdet chowa się przed dżinnami z tyłu dolmusza, za tłumem tanich roboczych garniturów. Obawia się zobaczyć tę głowę, świecąca głowę kobiety. Zerka za okno. Nad maską każdego pojazdu na Cumhuriyet Caddesi unosi się błękitny płomień, nieruchomy jak wyrzeźbiony z szafiru. Dżinn napędu spalinowego. Necdet zamyka oczy i nie otwiera ich, dopóki nie usłyszy, że wspólna taksówka wdziera się na wielkie, ryczące rondo Taksim.

Idąc przez zapocone uliczki pomiędzy chylącymi się, wyczerpanymi kamienicami o pootwieranych oknach, grzechoczących klimatyzatorami, czuje dżinny jako zgęstki ciepła, ciepło w ciepłe, wiry i fale uwięzionej między starymi budynkami energii elektrycznej. Na placu Adema Dede, ciemnym i wypełnionym świstem gołębic skrzydeł, wirują, karmiąc się wyziewami uwięzionego w budynkach upału i odorem starego tłuszczu z czajchany Fethiego Beja. Materializują się. Necdet szuka klucza do ciężkiej, mosiężnej kłódki. Chowają mu się za plecami, piętrząc się wysoko jak chmura burzowa. Czuje je, jak olej do smażenia.

- Necdet. - Głos kobiety, znajomy, choć nigdy nie odzywała się do niego bezpośrednio.

To dziewczyna, która pomaga w galerii ze sztuką. Idzie po schodach pomiędzy domem derwiszy a herbaciarnią. Jest do góry nogami. Jest w ziemi. Stopnie, plac, budynki, wszystko jest nadal niezachwianie solidne, a jednak Necdet dzięki jakiejś dżinnowej sztuczce może zajrzeć do środka ziemi i zobaczyć tam tę dziewczynę, stykającą się z nim stopami przy każdym kroku. Wygląda identycznie jak ta pomocnica ze sklepu, tylko że jest w ciąży. Odchyła się w tył, odciążając kręgosłup i kolana podczas wchodzenia po schodach. Przystaje na stopniu tuż przed Necdetem i patrzy na niego pomiędzy stopami. Lekko kładzie dłoń na brzuchu, wzdycha i z wysiłkiem pnie się dalej, wchodząc po niewidocznej krzywej swojego przejrzystego świata. Karin. Kariny to pomniejszych duchy - teolodzy spierają się, czy mają

naturę gliny, jak ludzie, czy ognia, jak dżinny - choć są nie mniej niż dżinny skłonne do zawiści i pospolitej złośliwości. Ciotki-stare panny, derwisze i pokątni uzdrawiacze czasem je wyczuwają; szejchowie słyszą je, rozmawiają z nimi, mogą im nawet rozkazywać. Wszyscy zgadzają się, że każdy karim jest czymś lustrzanym odbiciem, podziemnym zwierciadłem życia toczonego nad ziemią, strażnikiem jego szczęścia i pokoju. Necdet szarpie drzwiami tekke. Otwierają się.

- Ismet! Ismet! Chodź tu, człowieku, mam do ciebie sprawę! - Necdet idzie chwiejnie do kuchni, z walącym sercem.

Ismet siedzi na brzegu taniego stołu z Ikei, z Koranem w dłoniach. Ismet Hasgüler to człowiek, do którego przemawia księga. Jego czytania ze Świętego Koranu są lekkie, melodyjne, są rozkoszą dla ucha. Leczą choroby, wyganiają złe wpływy, oczyszczają domy i błogosławią dzieci. Kiedy do drzwi puka kobieta z pytaniem, na które doczesny świat nie ma odpowiedzi - bo to zawsze są kobiety - Koran w rękach Ismeta zawsze otwiera się na właściwym wersecie. Naprzeciwko niego siedzą dwie kobiety w chustach, jedna tuż przy drugiej. Unoszą wzrok, spłoszone, jakby winne były odgadywania Bożej woli. O, to ona. Dziewczyna z galerii, ta nadęta, która nigdy nie skrywała swojej niechęci wobec Necdeta. Ta, którą parę kroków temu widział do góry nogami pod ziemią.

- Widziałem cię - jąka się Necdet. Wskazuje.

Kobieta się cofa. Druga, starsza, pewnie ciotka, chwyta ją za ramię.

- Widziałem cię tu przed chwilą. Dosłownie sekundę temu. Twojego karina, twoją ziemską siostrę. Pod ziemią. Zawołała mnie po imieniu. Widziałem cię i byłeś w ciąży.

Młoda dziewczyna otwiera szeroko oczy i usta. Potem zalewa się łzami. Łka i tuli się do ciotki-matki-starszej siostry.

- To znak, to znak! - woła tamta, unosząc dłonie jak do modlitwy. - Dobry Bóg dał znak. Proszę, proszę. - Wcisła Ismetowi banknoty euro.

Ten zrywa się z krzesła i cofa, jakby były zatrute.

- Co takiego? - pyta Necdet. - O co chodzi? Co się dzieje?

- Prawdziwy z ciebie szejch - mówi dziewczyna z galerii. Necdet zdaje sobie sprawę, że ona płacze i dygocze z radości. - Słyszałam o twoim bracie, że jest dobrym sędzią, bardzo prawym, bardzo sprawiedliwym, bardzo szybkim; tak mówił wujek Hasan, kiedy rozwiązał mu problem ze sklepem sportowym i tym jego kuzynem. A Sibel Hamm opowiedziała, że znakomicie zna słowo Boże, po tym jak wygonił dżinny z lustra w pokoju jej córki. Za to ty jesteś władcą dżinnów. Dwaj bracia razem, prawdziwa potęga, dana przez Boga. Dziękuję, bardzo, bardzo dziękuję!

Necdet zbiera brudne banknoty i ciska nimi w kobietę.

- Proszę, weź sobie. Masz już odpowiedź?

- Tak - mówi dziewczyna z galerii. Dotyka dłonią brzucha, tym samym gestem, co jej podziemna siostra. - Tak, mam, błogosławiony niech będzie Bóg.

Ciotka-matka-siostra słyszy nutę wściekłości w głosie Necdeta, łapie dziewczynę za rękę i pośpiesznie wyprowadza z kuchni na ulicę. Pieniądze zostały na stole, między szklankami z herbatą.

- Co to ma być? - indaguje Ismet. - Strasznie chamski dla nich byłeś. Tak nimi pomiatać? Ja tu próbuję, jak Bóg da, wyrobić sobie jakąś reputację. W życiu mi się nie uda, jak będziesz straszyć ludzi, którzy przychodzą do mnie po pomoc.

Necdet zamyka oczy. W pokoju roi się od ledwo widocznych sił duchowych i uczuciowych, powietrze buzuje lękiem i energią.

- Posłuchaj mnie. Jechałem tym tramwajem, co wyleciał w powietrze. Byłem w nim. Widziałem kobietę, która to zrobiła. Widziałem, jak pociąga za sznurek i wysadza sobie głowę. Byłem w tym tramwaju.

- Czemuś mi wcześniej nie powiedział? Powinieneś być w szpitalu. Necdet, trzeba cię zawieźć do szpitala.

Necdet kręci głową, próbując wytrząsnąć z niej irytujące bzyczenie innego świata.

- Lekarze nic na to nie poradzą. Ja widzę dżinny. Rozumiesz? Widzę dżinny.

* * *

Igiełki żółtego światła padają na Adnana Sarioğlu, leżącego na marmurowym ośmiokącie. Wokół faluje para. Pot gromadzi mu się na brzuchu - wolałby mieć tam trochę mniej tłuszczu - drży przez moment i spływa kroplą wzdłuż boku na ciepły marmur. Przeciąga się. Skóra przykleja się do kamienia. Każda kość, każde ścięgno jest ciepłe, jakby dostało kowalskim młotem. Stalowe palce tellaka przeczesają wszystkie mięśnie, naruszyły wszystkie stawy.

Ferid Adataş, właściciel jednego z największych tureckich niewojzkowych funduszy inwestycyjnych, jest członkiem najnowszej i najbardziej ekskluzywnej prywatnej łaźni w mieście. Hamamy są znowu modne. Do tych zabytkowych trzeba umawiać się z wyprzedzeniem; nowe, tylko dla członków, pojawiają się co tydzień. To jedna z wielu sprzeczności po przystąpieniu Turcji do Unii. Spa są dla mięczaków, łagodne, europejskie. Hamamy - autentyczne i tureckie.

Osuszony na kamieniu pod rozgwieżdżoną kopułą - ten cholerny tellak próbował zmusić go, żeby jęczał jak dziewica - Adnan pogrąża się w doskonałym relaksie. Rozluźniają

się i mruczą nawet te mięśnie, o których istnieniu nie miał dotąd pojęcia. Naelektryzowana jest każda komórka. Gapi się w ciemną kopułę poprzecinaną koncentrycznymi pierścieniami świetlików. Mógłby być sam w prywatnym wszechświecie.

Woda chlupocze i spływa warstewką po szklanej podłodze zawieszonych nad mozaikami. Hamam Hacı Kadım to typowa pouijna fuzja stylów architektonicznych - osmańskie kopuły i nisze nabudowane na jakiś zapomniany bizantyjski pałac, lata, dziesięciolecia wysypywania podłóg tłuczniem, ubijania, ukrywania anielskookich greckich twarzy na podłogowych mozaikach - i tak stulecie za stuleciem. Ta udręczona twarz ujrzała ponownie światło dzienne dopiero wtedy, gdy budowniczowie zburzyli tandetne kamienice i odsłonili cud. Jednakże Stambuł to cud na cudzie, warstwy wspaniałości, metamorficzne pokłady piękna. Nie da się zasadzić fasolki, żeby nie odkopać jakiegoś świętego czy sufięgo. Każde państwo w pewnym momencie zdaje sobie sprawę, że musi pożreć własną historię. Rzymianie zjedli Greków, Bizantyjczycy Rzymian, Osmańczycy Bizantyjczyków, a Turkowie Osmańczyków. A wszystko potem połknęła UE. Znow chlupnięcie, znow spływa woda - to Ferid Bej nabiera misą z brązu ciepłej wody z basenu i polewa sobie głowę.

- Super! - mruczy. - Super.

Ferid Bej podnosi się z ciepłego szkła i człapie po podłodze do kubika z parą. Nie jest gruby ani otłuszczony z dobrobytu, ale włosy na piersi ma siwe, a biodra sztywne. Adnan odkleja się od kamienia i idzie za nim do wyłożonej marmurem łaźni parowej. Spod szklanej podłogi, na jego jaja gapią się delikatnie podświetleni patriarchowie i Paleologowie*. Ferid Bej szeroko rozstawia nogi i opiera się o marmurową ścianę. Adnan robi to samo. Pierwszy raz od wielu miesięcy czuje, że naprawdę żyje.

- Przejrzałem pana szczegółowe estymacje - mówi Ferid Bej. Woda skapuje z rąbka *peştemala*, którym jest owinięty w pasie. - Jest w nich tylko jeden oczywisty błąd: pan namawia mnie, żebym został przemytnikiem gazu.

- My nazywamy to raczej alternatywnym łańcuchem dostaw.

- Niech pan to powie sędziemu, jak pana złapią.

Czuje się to w powietrzu. To jest takie długie podanie, piłka zawisająca w powietrzu, unoszona przez wiatr. Każdy ją może odebrać. Adnan musi zaufać własnym talentom.

- Oni go po prostu wypalają. Rurociąg Tebriz ma za małą przepustowość, więc palą gaz w pochodniach. Puf. Jakby podpalać walizki pełne euro.

- Nie wydaje mi się, żeby to było aż tak proste, jak przekręcenie zaworu francuzem.

* Paleologowie - ostatnia dynastia panująca w Bizancjum (przyp. tłum.).

- Oğuz, nasz człowiek od rur, mówi, że to dwa polecenia z komputera. Zamknij to, otwórz tamto. Klik, klik.

- Pan mi powie, skąd się o tym dowiedzieliście? - Obaj nachylają się ku sobie w wąskiej jak grobowiec łaźni parowej.

- Większość ludzi, gdy idzie do wojska i zabierają ich do Krainy Okazji, nic tylko mendzi i narzeka, że Kurdowie ich złapią i porobią z nich eunuchów. A ja swój czas wykorzystałem z większym pożytkiem.

- I jak się panu spodobał Wschód?

- Zadupie. Ale nasze zadupie.

Pot zbiera się w kropelkę na podbródku Ferida Beja. Kropelka nabrzmiwa, spada na szklaną podłogę, tworząc skazę na oku mozaikowego świętego.

- Jestem inwestorem, nie naukowcem, ale muszę mieć pewność, że to jest bezpieczne. Nie mogę tak sobie napromieniowywać Greków, choć w sumie przydałoby im się.

Adnan uśmiecha się na ten żart, myśli jednak: powiedział w pierwszej osobie. Ja nie mogę napromieniowywać Greków. Kupuje.

W dniu, który wszyscy pamiętają, Adnan naprawiał pianki do nurkowania na pomoście. Dzień był pogodny, słońce stało wysoko, był dopiero początek sezonu, pierwsze łodzie z nurkami wypływały nad zatopione licyjskie miasta. Najlepszymi klientami o tej porze były rześko wyglądające Szwedki i niscy, poważni Duńczycy. Skandynawowie zawsze czuli sympatię do kogoś, kto robi wrażenie zajętego czymś trudnym. Wiadomości szemrały na wiszących pod markizami Octopus Baru telewizorach, przeznaczonych do oglądania sportu. Adnan pracował na pomoście, nie na łodziach, więc zawsze wcześniej niż inni wiedział co się dzieje i co to może oznaczać. A więc tego dnia, gdy zajmował się piankami, jego na wpół nasłuchujące ucho wyłapało zmianę tonu prezydentów. Skupił pełną uwagę na ekranie. Ponure miny, tekst sunący dołem ekranu, podrygujący obraz z kamery pokazujący niebo rozświetlane rozbłyskami za horyzontem. Adnan odłożył pistolet z klejem i zdryfował na skraj baru. Adnan coś zobaczył. Odwróciły się wszystkie głowy na pomoście. Mężczyźni zostawili liny, sprzęt do nurkowania, łódki, busiki i motorowery. Szwedki i Duńczycy trzymali się z tyłu, niepewni, czy mają prawo uczestniczyć w tym, co serwują telewizory w nadbrzeżnych barach.

O jedenastej dwadzieścia czasu tureckiego, na górę Fandoglu w zachodnim Azerbejdżanie Irańskim spadło czterdzieści przyniesionych na pociskach manewrujących głowic paliwowo-powietrznych. Obrazy z satelity pokazywały piękne jak tulipany kwiaty płomieni rozkwitające na zboczu góry. Kula ognia za kulą ognia. Nowe nagrania, z komórek, pokazywały idealny grzyb ognia strzelający w szafirowe niebo. I kolejny. I kolejny. Wtem

nagranie zatrzęsło się i urwało.

- To atomówki? - zapytał ktoś. - Walą atomówkami?

- To nie atomówki - odpowiedział wpatrzony w ekran Adnan. - Bomby paliwowo-powietrzne; podobno czyste i bezpieczne, choć jak cię taka dopadnie, to jest ci, kurwa, wszystko jedno.

- A skąd ty wiesz? - zapytał starszy facet, niemający nic lepszego do roboty.

- Widziałem na Discovery. To specjalna broń przeciwko bunkrom podziemnym.

- A co oni tam mieli? To tylko dziura w ziemi.

- Teraz już tak - mruknął ktoś.

- Możliwość jest jedna - powiedział Adnan. - Mieli tam prawdziwe atomówki.

- One były w Kom, ONZ robił tam kontrolę, wszyscy to wiedzą!

- W Kom mieli te, które chcieli wszystkim pokazać.

Wtem ktoś powiedział:

- Żydzi. - Topal. Przez dwadzieścia lat pracował po całym Lewancie, łącznie z północnym Cyprzem, i uważano go za największego kosmopolitę w Każu. - Jebani Żydzi w końcu to zrobili!

Bar pod Ośmiornicą eksplodował rykiem głosów i uniesionymi pięściami.

- Cicho, nie słyhać, co się tam dzieje! - krzyknął Adnan.

Widział natomiast, co pokazuje ekran: czerwoną chmurę, jak cyprys, albo ptasie pióro, wznoszącą się na tysiące metrów w powietrzu i przechylającą się na wschód, jak słup dymu - ku Tebrizowi. Prezenter miał śmiertelnie poważną minę. To była apokalipsa.

- Cicho, kurwa! - wrzasnął ponownie, gdy wokół na moment się uspokoiło. Zapadła cisza. - Dzięki. Słuchajcie!

Adnan próbował przełożyć sobie komputerową symulację na prawdziwe życie. Jeden atak paliwowo-powietrzny zamienił tunele pod górą w piekło. Fale uderzeniowe zmieniłyby ludzkie organy w miazgę, pourywały kończyny, zmiażdżyły klatki piersiowe. Burza ogniowa z niemal ponaddźwiękową prędkością rozlałaby się korytarzami, przez pokoje, na wszystkie poziomy ośrodka: ci, którzy przeżyliby pożar, udusiliby się, gdy zużyłby się z powietrza cały tlen. Discovery nie pokazało jednak, co się stało, kiedy czterdzieści pocisków, nadlatujących w odstępach czasowych, żeby powstała ciągła eksplozja, wyceluje się w ciśnieniowy reaktor wodny. W sercu góry Fandoglu spopieliły się układy sterowania, rezerwowe spłonęły na żużel, stopiły się i unieruchomiły zabezpieczenia. Padło chłodzenie, temperatura rdzenia poszybowała w niebo. Rozszczelniła się obudowa bezpieczeństwa; rozżarzone paliwo zetknęło się z wodą chłodzącą. Gigantyczna eksplozja pary buchnęła gejzerem

radioaktywnego materiału, wydostającym się tunelami i kanałami wentylacyjnymi do atmosfery. Promieniotwórcza chmura, uniesiona zachodnim wiatrem, miała już piętnaście kilometrów wysokości i sto długości. Pod górą Fandoglu nie przetrwała nawet bakteria.

Szwedki o ładnych kościach policzkowych i przysadziści Duńczycy ulotnili się.

Wszyscy mężczyźni z Kaşu siedzieli w barach, restauracjach, czajchanach i oglądali telewizję. Kobiety gromadziły się przed płaskimi ekranami w domach. Przeważenie narastało. Chmura opadła na pole gazowe pod Marandem, osiemdziesiąt kilometrów na wschód. Wszystko wyginęło. Złóża będą nie do użytku przez co najmniej pokolenie. Ewakuowano miasto Tebriz. Premier Yetkin obiecał turecką pomoc. Adnan patrzył na nagranie ze staruszką obmywaną wężami z radioaktywnego opadu. Unosiła dłonie, zwracała twarz do nieba, jakby nie wiedząc, że to stamtąd spadła trucizna. Kneset przyznał się na konferencji prasowej do ataku, którego celem było zniszczenie irańskiego ośrodka jądrowego pod górą Fandoglu. Milczenie zamieniło się w szmery. W kółko powtarzano dwa słowa: „Jebani Żydzi”. Wtem ktoś rzucił stołkiem. Trafił w telewizor, który zaczął się bujać na stojaku. Rozległ się wiwat. Ręce rozwały zdradziecki ekran. Rozbito stoły, połamano krzesła. Potłuczono jedną po drugiej butelki za barem, pozrywano meczetowe lampy i wdeptano je w podłogę. Mężczyźni splądrowali całą Octopus Café. Ale to było za mało. Ktoś podłożył ogień, łączywie pożerający połamane deski i alkohol. Kiedy obsługa próbowała walczyć z nim gaśnicami, ludzie obrzucili ją kamieniami. O północy zawalił się dach, sypiąc węglami i iskrami. Jeszcze nazajutrz budynek był zbyt gorący, żeby do niego podejść. Adnan nie rozumiał tego. Wściekli na Żydów i ich amerykańskie wtyki, ludzie z Kaşu zniszczyli źródło utrzymania swoich własnych sąsiadów. Ta fala szalonego samookaleczenia rozniosła się po całej Turcji, po całym islamskim świecie - podpalenia, bomby, małe bezcelowe akty męczeństwa.

Świat znalazł się na moment na krawędzi wojny. Jednakże Izrael przebiegle to wszystko wykalkulował. Iran zagroził, że zamknie cieśninę Ormuz dla tankowców; amerykańska flota przybyła na miejsce, żeby temu zapobiec. Teheran, obciążony milionami wysiedlonych, uświadomił sobie, że najkorzystniej mu będzie grać rolę ofiary. Pakistan kipiał, wrzał i wysadzał ambasady, ale uspokoił się w obliczu spokojnej potęgi sąsiadującego supermocarstwa, Indii. Afganistan kontynuował tradycyjne samospalenie, dopracowane w misternych szczegółach, niczym dywan. Syryjskie nawoływania do zniszczenia Izraela były tylko potrząśaniem szabelką, rytualnym wykrzykiwaniem obelg. W końcu o parę minut lotu od Damaszku stały sobie te pociski manewrujące z głowicami termobarycznymi i gorsze rzeczy. Chiny protestowały i groziły sankcjami, choć bardziej groźna była dla nich ich własna ekologiczna apokalipsa. Indie okazały wyrafinowane niezadowolenie. Unia Europejska

prawiła kazania. Ameryka Południowa wyrażała moralne oburzenie, ale do nich opadów radioaktywnych nie zawiewało. Rada Bezpieczeństwa ONZ postawiła weto oficjalnemu potępieniu kogokolwiek przez ONZ. Rosjanie wygłosili stanowcze reprimendy i wątle groźby, ale w skrytości ducha cieszyli się, że potężne zachodnioirańskie pola gazowe zostały na dziesięciolecia skutecznie wyłączone z wydobycia i pochowane pod powolnym opadem radioaktywnego pyłu - jedyne, co pozostało po ośrodku atomowym pod górą Fandoglu. Świat zachwiał się na moment, a potem ruszył dalej do tego samego tańca co przedtem.

A w Turcji, nad turkusowym Morzem Śródziemnym, dzień po tym dniu, który wszyscy będą pamiętać, chłopak z plażowego sklepiku kupił cały karton tanich różańców o dziewięćdziesięciu dziewięciu paciorkach i sprzedał wszystkie w godzinę z trzystuprocentową marżą. Kaś czekało, aż otworzy się niebo i Mahdi wypowie tajemne, setne imię Boga, Adnan natomiast doświadczył innego cudu: cudu rynku.

Piętnaście lat później zachodni Iran nadal jest radioaktywnym pogorzeliem, granicę zamknięto, a rurociągi obłożono międzynarodowym embargiem. Ale chłopak z plaży, obecnie dealer surowcowy, znalazł sposób na przesłanie nienadającego się do sprzedaży gazu dawno nieużywaną, niemal zapomnianą odnogą rurociągu Nabucco, biegnącego od Morza Kaspijskiego do Adriatyku. Ten gaz jest tak tani, że Irańczycy niemal dają go za darmo, a w gorączce stambulskich kursów spot będzie wart fortunę.

Manewr jest sprytny i kunsztowny, ale dość pewny. Adnan ustawia transakcję z Irańczykami. Biały Rycerz - Ferid Bej - zapewnia finansowanie. Ultralordowie podmieniają kaspijski pełnowartościowy gaz na tani irański na stacji pomp na wschodnim zadupiu, gdzie stara, niedziałająca Zielona Linia z Iranu łączy się z biegnącym z Baku Nabucco. Wszyscy zarabiają, kiedy gaz wchodzi na rynek spot w spragnionym gazu Stambule. Wszyscy zgarniają pieniądze. Ale transakcja nie przejdzie, dopóki Ferid Bej nie przystawi na kontrakcie swojej pieczętki.

- Kiedy zawieracie transakcję? - Ferid Bej opiera się o gorący marmur. Brzuch kołysze mu się nad tanim kraciastym ręcznikiem.

- Dzień przed załamaniem pogody.

- Przewidujecie pogodę? To po co wam w ogóle moje pieniądze? Proszę powiedzieć, ja nie jestem pierwszym, który wam odmówił, zanim przyszedł pan do mnie?

Żeby w ogóle wpuścić go do tej parówki, *hararet*, w tej prywatnej łaźni, Ferid Bej zrobił na jego temat taki wywiad, że wykryje kłamstwo, zanim jeszcze pojawi się na jego ustach.

- Kilku z nich jest dziś tutaj. - A ty już z nimi gadałeś.

Ferid Bej wstaje, klepie się po udach, po brzuchu, strząsa z gęstych włosów kropelki potu.

- No dobra. Dosyć tego. Chodź się opłukać. Podobasz mi się, Adnan Bej. Twoje papiery znam, twoje cyfry znam, ale ciebie nie znam. Masz jaja, ale nie lubię robić interesów z ludźmi, których nie znam. Przyjdź do mnie jutro na kolację. Mieszkam na wyspie Heybeliada. O ósmej będzie łódź na Eminönü. Masz żonę, albo przyjaciółkę?

- Mam żonę, nazywa się Ayşe. Handluje sztuką religijną.

- Naprawdę? Podoba mi się. Kobiety powinny coś robić. Chciałbym ją poznać.

- Pracuję jeszcze z paroma osobami.

- Biznes robię z tobą; ty przychodzisz i przyprowadzasz żonę. Będzie jeszcze paru znajomych.

- To kiedy mogę się spodziewać kontraktu? - pyta Adnan, gdy Ferid Bej wślizguje się w łazienkę drewniaki i tupta po mokrym szkłe ku basenom.

- Jeszcze dużo czasu. Jutro pogadamy. Strój nieoficjalny.

Adnan Sarioğlu skłania głowę i pozwala paciorkom potu sturlać się po obu stronach nosa, zlać na jego czubku i skapnąć na szklaną podłogę. Zaciąga się gorącą, aromatyczną parą. Parzy go w nozdrza, ale ma zapach pieniędzy.

* * *

Powietrze w sypialni jest gorące, kleiste i nieruchome, ale Ayşe w bieliznie dygoce i czym prędzej daje nura w nową sukienkę. Jak raz się wyprowadzisz z dziecięcej sypialni, już nigdy nie będzie ci w niej ciepło ani komfortowo. Potrząsa sukienką, układając ją na piersi i ramionach, poprawia fałdy i poły, potem odwraca się, żeby się przejrzeć w lustrze starej szafy. Tyle odbić, tyle razy się ubierała i rozbierała przed tym lustrem, tyle razy się w nim podziwiała, swój płaski brzuch, krągłość piersi, zarys szczęki i jędrność ramion, wypatrywanie pierwszego łonowego włoska, czy duma z nabrzmienia piersi, zwiastującego koniec dzieciństwa i rozkwit w kobiecość. Wspomina pierwszy zestaw seksownej bielizny, który przemyciła, mając siedemnaście lat, z odważnego i krzykliwego Agent Provocateur w centrum handlowym Cevahir, długi, rozkoszny rytuał jej wkładania, część za częścią, zapinania haftek, guzików, przypinania wszystkich tych skomplikowanych i nieskutecznych mocowań, a potem ustawiania się dokładnie w odpowiedniej pozie, tak by po odwróceniu się do lustra wyglądać jak modelka okręcająca się na wybiegu, albo podejrzana dwudziestowieczna kobieta-szpieg spotykająca się z kontaktem w zaciszu swego buduaru z czerwonego aksamitu. Zachwycał ją szelest uda trącego o udo, rozrzucone nonszalancko małe różowe kokardki. Palce nie mogły się powstrzymać od dotykania koronki, siateczek

i jedwabiu. Czula się warta wszystkich skarbów Stambułu. Godzinami wylegiwała się na łóżku, badając, jakie uczucia i emocje potrafi w siedemnastolatce wzbudzić pięć kawalków ażurowej tkaniny; zerkala na siebie, szaloną i namiętą, w tym pospolitym, powściągliwym lustrze. Siadała, z rozstawionymi nogami, na skraju łóżka, paliła, przyglądała się sobie. Trochę się bała, a trochę liczyła, że drzwi sypialni otworzą się i przyłapie ją matka. Odkryła nową, zmysłową kobietę w tym starym pokoju ze ścianami oblepionymi plakatami z dziewczęcymi gwiazdami pop.

- Tak, idę. Co myślisz? - Ayşe idzie korytarzem, odkąd sięgnie pamięcią, pachnącym gotowanymi cebulami i wsiąkniętym w tynk tłuszczem. Do salonu. Matka siedzi w fotelu w wykuszu okiennym, skąd może kontrolować oba światy, zewnętrzny i wewnętrzny. - Nie jest przeznaczona do takich butów, ale może być?

- Może być do czego?

- Mówiłam ci dziesięć minut temu, na kolację z Feridem Adataşem, jutro.

- Feridem jak?

Mieszkanie Pod Tulipanami było pałacem pamięci. Ayşe po raz pierwszy zetknęła się z takimi budowlami w renesansowej literaturze z XV-wiecznej Florencji. Ci mistrzowie sztuki pamięci budowali bajeczne pałace w stylu palladiańskim, służące wizualizacji - każdy korytarz, każda komnata, obraz i posąg, każdy mebel i każda ozdoba na tym meblu były kluczem do pieczołowitego zapamiętania jakiegoś faktu. Umowy, casusy prawnicze, wiersze i dysputy rozbiegano na odpowiednie zdania i przypisywano do pomieszczeń mnemonicznego pałacu. Spacer z portyku przez westybul na loggię mógł być zawiłą logiczną dysputą; inna przechadzka, startująca w tym samym miejscu, ale zahaczająca o pewną niszę, a potem przez salon na balkon wyglądający na francuski ogród z cyprysami jak ciemne płomienie, mogła być drzewem genealogicznym rodu albo umową przedmałżeńską. Kiedy Fatma Hamm zaczęła tracić powiązania między swoim zapisami pamięciowymi, wynalazła własną, nieformalną mnemotechnikę, wykorzystując do niej domowe lampy, ozdoby i rodzinne fotografie, książki, czasopisma sprzed lat oraz małe zdobne szkatułki, które tak uwielbiała. Ustawiała je pod precyzyjnymi kątami, zabraniając gosposi, Dicle, je przesuwac, to bowiem kompletnie zmieniloby dane wspomnienie. Obrót o dwadzieścia stopni mógł przeobrazić szkolną nagrodę w wesele kuzyna; dyplom brata w srebrnej ramce obok wysiedzianej kanapy mógł, przez proste przeniesienie na drugą stronę stolika, zmienić się w sylwestrowe fajerwerki z przełomu wieków, i przepaść na zawsze. Kiedy rozsypały się nawet takie skojarzenia, Fatma Hamm uciekla się do przyklejania wszędzie żółtych Post-itów zapisanych enigmatycznymi, przypominającymi SMS-y przypomnieniami. Wściekala się potwornie,

teatralnie, jak to starzy, na Dicle, kiedy te drobne zapiski zaczęły znikać. Naprawdę jednak to klej wysychał, a wyblakłe od słońca żółte karteczki, z niemal niewidocznym pismem, osypywały się w zakurzone powietrze jak liście. Wspomnienie za wspomnieniem, Fatma Hamm coraz bardziej przepisywała się na rodzinne mieszkanie. Ayşe uznaje to za nieuniknioną entropię, spowodowaną jej rolą rodzinnego archiwisty. Podczas gdy ona, jej siostry i brat, kuzyni, ciotki i cała menażeria dalszych Erkoćów biegała po świecie, chodziła do szkół, zakochiwała się, brała śluby, rodziła dzieci, albo robiła kariery, albo jedno i drugie, rozstawała się, żyła intensywnie, pełniąc życia - matka zbierała te wspomnienia, polerowała je i ustawiała w odpowiednim porządku, w miejscach gdzie za parę lat mogą się przydać. Teraz dom był już za bardzo wypchany tymi wspomnieniami, Fatma Hamm zaś miała ich w sobie zbyt mało. Dla niej to oznaczało sukces: wszystko zostało zapisane, jeśli tylko masz oczy, by to przeczytać.

- No i co myślisz, mamó?! - woła siostra Ayşe, Günes.

Wzrok Fatmy Hamm ześliznął się już z Ayşe na żyły złożonych na podolku dłoni, poopisywane zdobienia nad kominkiem, błękitne migotanie telewizora w najdalszym od światła kącie. Zanik pamięci w ostatnich miesiącach zaczął postępować szybciej, wsysając szczegóły, nazwiska, a nawet twarze. Bojąc się o niezakreconą wodę i syczący w kuchni gaz, Günes z dziećmi wprowadziła się do matki. Recep i Hvilya, dziewięcio- i pięciolatek, galopowali po mieszkaniu, nie zważając na nieciekawe pamiątki rodzinne i pieczołowicie poustawiane przypominajki, czując nagły przypływ wolności w przestronnych, starych, osmańskich pokojach. Ibrahim, jej mąż, został w małym, ciasnym, nowoczesnym mieszkanku na Bayrampaşa. Günes czekała na to całe lata. Od dawna pragnęła, by ta chaotyczna i nieprzewidywalna część jej życia zwana małżeństwem dobiegła końca, żeby móc wrócić z powrotem na łono rodziny. Zawsze była opiekunką i ratowniczką. Ayşe zaś - karierowiczką i palaczką. Już nie przejmowała się jej nadętą wyższością moralną, ani szarym rozczarowaniem matki, że popełniła mezalians. Tak zrzucił Bóg albo DNA. A z nimi się nie dyskutuje.

- Tak, skarbie, piękna sukienka, gdzie to się wybierasz, jak mówiłaś? - pyta Fatma Hamm.

- Na kolację, na Wyspach Książęcych.

- Na Wyspach Książęcych? A kogo wy tam znacie?

- Ferida Adataşa.

- Chyba już wspominałaś. Kto to? My go znamy?

- Zarządza funduszami inwestycyjnymi. Biznesmen, bardzo dobrze prosperujący.

Fatma Hamm kręci głową.

- Przykro mi, skarbie.

Dyplomata, biurokrata, czy nowomodny eurokrata, a nawet członek tego najbardziej zagrożonego z gatunków: książę. Z takim towarzystwem zadawali się Erkoçowie, kiedy Fatma i najprzystojniejszy kapitan w Północnej Flocie byli uwożeni na bale motorówką marynarki wojennej, przez marynarzy w eleganckich mundurach, z łopoczącym za plecami półksiężycem i gwiazdą w czerwieni. Biznesmeni mają palce żółte od pieniędzy. Biznesmeni mają wytrzeszczone oczy jak koraliki, od wpatrywania się w szeregi cyferek, a nie w przepiękny horyzont na ciemnym jak krew Morzu Czarnym.

- To znajomy Adnana.

Wzrok Fatmy Hamm odpływa. Padło to słowo, otwarcie i bez ogródek: biznes. Żadne tam porządne towarzystwo. Po drugiej stronie pokoju, gdzie światło jest dobre do szycia, Günes przytyka język do warg i cichutko, jak jaszczurka, syczy z dezaprobatą. Przy Fatmie Hamm tego słowa się nie wypowiada. Każde przypomnienie, kim mogła zostać jej młodsza córka, gdyby nie odrzuciła kandydata do ręki, w tak podeszłym wieku łatwo zamienia się w łzy.

Ayşe całuje matkę w czoło. Kiedy zamyka drzwi, Fatma Hamm pyta:

- To dokąd ona jedzie?

- Na Wyspy Książęce - odpowiada cierpliwie Günes.

Kolejka podziemna Marmaray ze stacji Sirkeci jest nabita ludźmi. Ayşe prześlizguje się pod Bosforem. Pociąg pachnie elektrycznością, światło budzi migrenę. Czuje się też strach: wszyscy wiedzą, że jeśli wybuchła jedna bomba, zaraz będzie kolejna, od tej samej grupy, albo innej, chcącej też zaznać chwały. Ayşe stara się nie wyobrazić sobie bomby w głębokim, podwodnym tunelu. Błysku białego światła, rozdieranego dachu, dziury w tunelu, wody wdzierającej się jak nóż pod ciśnieniem milionów ton. Pociąg kołysze się na zwrotnicach, tunel oświetla błękitne światło. Ayşe wie, że inni myślą o tym samym. Głębokie tunele, wysokie budynki, szybkie pociągi i wysoko latające samoloty, gniewni mężczyźni nie potrafią się im oprzeć. Wszystko to są twory będące wyzwaniem dla Boga.

Milion euro i nigdy już nie będzie musiała nic takiego robić.

Wieczorem, dolmusz lawiruje w nieskończoność między spiczastymi blokami mieszkalnymi na Ferhatpaşa. Drogi, zerodowane, zapyłone urwiska, betonowe fasady i zarośnięte chwastami zbocza, wszystko skąpane w żółtym świetle. Ayşe nie może już patrzeć na tę brzydotę. Milion euro i wylądjuje po drugiej stronie Bosforu, z powrotem w Europie. W hallu budynku płaczą się dzieci. Czy w tym nowym meczecie nie ma dla nich jakiejś świetlicy?

Nie ma go w domu i nie będzie jeszcze przez wiele godzin. Po hamamie będą drinki, dalsze rozmowy. Nie będzie czekać z położeniem się spać na charakterystyczne mruczenie podjeżdżającego na parking audi. Mieszkanie jest duszne od uwięzionego ciepła i zapachu płynu do płukania tkanin. Ayşe słyszy przez sufit telewizor z góry. Kanał, który tam oglądają, składa się chyba z ciągłych owacji. Pije sok wiśniowy z kartonu, tak zimny, że aż boli. Rozkłada na komodzie ubrania na jutro. To rozkosz rozpiąć i zdjąć kozaki, absurd przy takiej pogodzie, ale tak każe moda. Wsuwa się nago pod prześcieradło, ale nawet takie przykrycie to za dużo. Sen nie chce przyjść. Ayşe próbuje na ulubionym boku, na tym drugim, na plecach, potem przesuwa się na chłodniejszą stronę łóżka, układa jedną nogę na drugiej tak, owak, jedną rękę na drugiej tak, owak. Nic. Ma gonitwę myśli. Widzi Adnana w łaźni, tak poważnego - przepiękną ma tę poważną minę, kiedy robi interesy; Adnana nad drinkami - lubi poimprezować, ale zawsze będzie o co najmniej jedną kolejkę za gospodarzem. Wyobraża sobie jutrzejszą kolację - mężczyźni gadający do siebie o piłce, polityce i interesach, kobiety wokół stołu mówiące o rodzinie i plotkach z towarzystwa. A pani co robi w czasie wolnym? Poszukuję Zmelifikowanego. Co jest w Stambule większym absurdem - legenda wynurzająca się z magicznej przeszłości czy odrzucenie kontraktu za milion na podstawie czyjejs wody po goleniu?

Naciąga na siebie szlafrok, żeby zadzwonić. Chwilę trwa, zanim Akgün skojarzy jej nazwisko.

- Pani Erkoç. Przepraszam... co mogę dla pani zrobić? - Ayşe czuje fantomowy powiew wody, Arslan”.

- Ja w sprawie Zmelifikowanego.

- Tak?

- Zajmę się tym.

WTOREK

III

- Upał - mówi ojciec Ioannis.

- Większy niż wczoraj - mówi Georgios Ferentinou.

- Największy jak dotąd - dodaje Lefteres Cukiernik. - Będzie więcej niż trzydzieści osiem.

- Gorąco jak w piekle - rzuca Constantin. - Przepraszam, ojcze.

- W piekle jest goręcej - zauważa ojciec Ioannis.

Bülent przynosi patyk z nadzianymi obwarzankami.

- A te z jakiej okazji? - pyta Lefteres. Miesza herbatę, kryształki cukru wirują i rozpuszczają się w gorącej cieczy.

- Volkan zdał testy sprawnościowe, nie?

Lefteres unosi ręce w desperacji.

- Jak ty to robisz?

- Mam talent do interesów. Głęboko zakorzeniony instynkt rynku.

- To czemu ciągle prowadzisz tę firemkę? - pyta Lefteres pamflecista.

- Nie prowadziłbym, gdyby były z tego prawdziwe pieniądze - odpowiada Bülent. - Pewnie mam lęk przed sukcesem. Nasza główna wada narodowa.

Constantin oddziera kawałek obwarzanka.

- Posłuchaj, Ferentinou, jakieś wieści o tej wczorajszej bombie?

- A czemu jego pytasz? - ciekawi się ojciec Ioannis.

- Tego akurat ojciec nie słyszał - odpowiada Lefteres. - Nasz czcigodny doktor ni z tego, ni z owego, został nagle konsultantem od bezpieczeństwa narodowego. Pił sobie z rana herbatę, a tu pukają do drzwi, i kto? Nikt inny, tylko jakiś szpicel z MIT.

- Po pierwsze, nie jestem żadnym konsultantem od bezpieczeństwa - odzywa się Georgios Ferentinou. - Zgodziłem się tylko brać udział w nowym rządowym panelu ekspertów. Chcą mieć w nim pełne spektrum poglądów. Bo jeśli wszyscy się zgadzają, to nie

działa. I dają dobrą, profesorską kasę.

- Chodzi mu o to, że nie potrafią przewidzieć bomb w tramwajach - rzuca Lefteres.

Bülent zbiera na tacę puste szklanki.

- Może powiecie, że jestem naiwny, ale czy taka grupa od bezpieczeństwa to nie powinna być tego, no, tajna?

- Powiedziałem wam tylko, że należę do Grupy Kadiköy. To nie tajemnica państwowa.

- I pojedziesz na Kadiköy? - pyta Lefteres.

- Tak. Dzisiaj po południu. Co w tym takiego dziwnego?

- Nie bardzo pamiętam, kiedy ostatni raz ruszyłeś się dalej niż na Taksim.

- Przyślą po mnie samochód - odpowiada Georgios, ale pamfleciście udało się mu dopiec. Od wielu lat pozwalał, aby świat mu się kurczył, aż stał się obcisły i wygodny jak stary garnitur. Widmowe Stambuły z jego białego pokoju zastąpiły dawne, piękne nazwy ulic i zaułków: ulica Tysiąca trzęsień, zaułek Kury, która myślała, że fruwa, aleja Krzaczastej brody, ulica Złotowłosej Nafi.

- A czego tam szukałeś wczoraj obok sklepu Kenana? - pyta Bülent.

- Młody pan Durukan twierdzi, że gonił go robot.

- To ty dalej pozwalasz temu dzieciakowi do siebie przychodzić? - pyta Constantin.

- Głupio robisz, Georgios - dodaje Lefteres.

- A ja coś wczoraj widziałem - mówi Bülent. - Zabawkę tego dzieciaka, ptaka-roboty, a potem jeszcze coś. Pomyślałem, że to doniczka spadła z dachu, albo antena, czy coś takiego.

- Chłopaczek poszedł sobie popatrzeć na wybuch na Necatibey Caddesi - mówi Georgios. - Okazało się, że nie był jedynym robotem, który to obserwował. Co więcej, oni kogoś śledzili. Idzie poobserwować, ale kolejny robot - trzeci - zauważa go i próbuje złapać. On ucieka. Robot goni go aż tutaj; tutaj wyprowadza go w pole, robiąc nieprzewidziany skok. Tamten spada i się rozbija.

- To właśnie to musiałem widzieć - zgadza się Bülent.

- Jeszcze raz - odzywa się ojciec Ioannis. - Mówiłeś, że kogoś śledzili.

Georgios ostrzegawczo unosi palec.

- Tak. Znamy gościa.

Wszyscy wstrzymują oddech.

- Jednego z tych młodych z sutereny - mówi Georgios.

- No to, żeby to była policja, żeby go znaleźli i eksmitowali - warczy ojciec Ioannis. - Odkąd się wprowadzili, nic tylko kłopoty. To na pewno oni oblali mi cerkiew sikami. Niech się stąd wynoszą, to zawsze była mieszana dzielnica.

- Wiecie co, coś wam powiem - mówi Bülent, nachylając się nad swoim kontuarem jak nad mównicą. - Ten sam gość teraz widzi dzinny.

- Bo upała się trawą do nieprzytomności - wtrąca Constantin.

- No to posłuchajcie, niedowiarki - ciągnie Bülent. - Hafize, która pracuje z Erkoç Hamm w tej galerii - piętro pod tobą, Georgios. Słyszała, że ten drugi brat, Ismet, uliczny kadi, jest dobry w Księdze, więc idzie do niego, żeby jej przeczytał werset, bo myślała, że może jest w ciąży. Necdet tylko na nią spojrział i mówi jej prosto w oczy: zdecydowanie jesteś w ciąży. Skąd wiedział? Bo zobaczył jej karina, pod ziemią, do góry nogami, z wielkim, wydętym brzuchem. Karina.

- Jak na gościa o wrodzonym talencie do interesów i instynktach rynkowych, to straszne rzeczy tu opowiadasz - stwierdza Constantin.

Ojciec Ioannis unosi rękę.

- Najpierw kadi, a teraz cudotwórca. Tego nam tylko brakowało. Lefteres...

- Ja mogę działać tylko wtedy, gdy ktoś mnie poprosi - mówi cukiernik.

- Ta bomba pewnie coś mu w głowie obluzowała - burczy Constantin.

- Był w tramwaju, a teraz widzi dzinny - zastanawia się Georgios, wachlując się kartą dań. Srebrne czoło słońca już wychyla się zza dachu Ismet İnönü Apartments. Zaraz żar przeleje się na plac Adema Dede i wypędzi starych ludzi w cień. - Jakiś robot przyłapał Cana Durukana na obserwowaniu miejsca zamachu. Gonił go po dachach, spadł i się rozwalił, ale ktoś zabrał dowody.

- A z tym zamachem też jest coś nie tak - zauważa Bülent. - Bomba samobójcza, a potem wideo. Taka jest reguła. Chwalebne męczeństwo, sprzeciw wobec prostytuowania się Turcji w ramionach dekadentckiego Zachodu. Wisi w Internecie, zanim zdążysz powiedzieć Insza'Allah.

- Sporo o tym wiesz - odzywa się Lefteres.

- Oglądałem to i owo. Lubię je oceniać i porównywać. Mam taki pomysł na teleturniej: ludzie przysyłają swoje męczeńskie wideo, publiczność głośnie, a zwycięzca może zorganizować samobójczy zamach.

- Boże, wybacz mu - mówi ojciec Ioannis. - To nawet nie jest śmieszne.

- Dlatego dziwne, że ktoś tam postawił robota, żeby pilnował, żeby nikt nic nie ponagrywał.

- Pilnował czegoś innego - stwierdza Constantin, postukując laską w podłogę. - Coś obserwował, samemu nie będąc widzianym. I przestraszyli się, że twój młody przyjaciel też to widział.

- Dokładnie - mówi Georgios Ferentinou, nachylając się i splatając palce; podświadomy gest z czasów, gdy jego klub dyskusyjny był szerszym gronem niż garstka Greków-staruszków i właściciel czajchany. - Podsumujmy, co wiemy. Jedna mała bomba, żadnych ofiar poza samą zamachownicą. Nie ma wideo. Zamachowcy - albo ktoś inny, to też możliwe - posyłają na miejsce zamachu robota. Może coś nagrywa, ale kiedy przychodzi ktoś inny i obserwuje, goni go i próbuje ustalić jego tożsamość. Bardzo interesujące to wszystko.

- Sugerujesz, że mamy się zabawić w detektywów-amatorów? - pyta Lefteres. Wstaje, postępując, z niskiego stołka, pośpiesznie ściska ręce przyjaciół. - Banda starych Greków i właściciel czajchany?

Ojciec Ioannis wychodzi następny.

- Cokolwiek to znaczy, jeszcze się na nas odbije - mówi. - Zawsze tak jest. Niech nas mają w opiece Bóg i Matka Boska.

- O której cię wiozą na to Kadiköy? - pyta Constantin.

- Po południu.

- To jeszcze masa czasu. - Constantin wyciąga z półki pod stolikiem planszę do tryktraka i rozkłada ją.

- Przecież wiesz, że zawsze z tobą wygrywam.

- Wiem. - Constantin rozstawia pionki i podnosi skórzany kubek na kości. - Po prostu pomyślałem, że może zechcesz spędzić ze mną jeszcze trochę czasu.

- A niby czemu? Widzę cię, kurna, codziennie.

- Może chcesz mnie o coś zapytać.

- O cóż miałbym cię pytać?

- Na przykład, gdzie można znaleźć Arianę Sinanidis.

Uwagę Georgiosa zwraca jakiś drobny ruch. Mała plastikowa małpka sunie na miękkich chwytnych poduszczykach po kablu przerzuconym między domem derwiszy a Ismet İnönü Apartments, wdrapuje się na ścianę, przełazi przez murek i znika. Bülent przynosi na swojej chwiejnej tacy nową herbatę.

- No to rzucaj, kurna, tymi kośćmi - mówi Georgios Ferentinou.

* * *

Can jest Małym Detektywem. Jest na patrolu, na dachach Eskiköy. Ze swego gzymsu widokowego na budynku Ismet İnönü Apartments patrzy w dół, na plac Adema Dede. Siedzi tam pan Ferentinou ze swoim starym kumpem, tym nieprzyjemnym. Nie lubi go. Jest i Bülent, opiera się o kontuar, czyta coś z ceptepa. Gruzinka wychodzi na werandę pod nim,

żeby zebrać pranie. Pali papierosa, a telewizor gra na cały regulator. Nie widzi Małego Detektywa. To dlatego, że on jest mistrzem kamuflażu i potrafi przybierać różne kształty. O, a tam jest ta głupia dziewczyna, co pracuje w sklepie z martwymi książkami. Otwiera kłódki. Zawsze tak ukradkiem otwiera ten sklep. Wślizguje się do środka, jakby popełniała przestępstwo.

Małpa obraca się, aż współrzędne z GPS-u kamery pokryją się z danymi w logu z wczorajszej pogoni. W szczura! - rozkazuje Mały Detektyw. Małpa rozsypuje się na składowe BitBoty i przekształca w pełzającego, ostrożnego Szczura, wężącego, tropiącego i badającego dach w poszukiwaniu śladów. Jakich śladów? Takich rzeczy, które ci kryminolodzy z telewizji zbierają po całych pokojach, zabezpieczają, wkładają maski, podnoszą długimi szczypczykami i wkładają do foliowych torebek. Śladów. Pusta paczka papierosów to nie ślad. Ani los loteryjny przedarty prawie na pół, para majtek, które dawno spadły ze sznurka, poszarzałych i brudnych od lat leżenia na dachu. Szczur zaczyna węszyć po dachach. Mewy wzbijają się w powietrze, krzycząc w irytacji, że ktoś im przeszkadza, i siadają z powrotem. Szczur przysiada na sprężynowych nóżkach na brzegu dachu, smakuje powietrze. Pan Ferentinou gra w tawłę z tym nieprzyjemnym Egipcjaninem. A mama Małego Detektywa wychodzi, żeby zabrać z garażu na ulicy Vermilion-Maker mały srebrny samochodzik. Nazywa go Gazową Bańką. Mały Detektyw ma dziesięć minut, żeby posunąć tę sprawę do przodu, potem trzeba będzie naciągać niebieski mundurek i wkładać na plecy wielki plecak. Myśl, Szczurze, myśl. Bülent wystawia spodeczki z mlekiem dla placowych kotów. Dokarmia je, bo Aykut po drugiej stronie ich nienawidzi. Myśl, Szczurze, myśl. Mały Detektyw klika w zapis z GPS-u. Tu Małpa skoczyła w powietrze. Tu robot pościgowy spadł i się rozbił. Patrz, przyjrzyj się dobrze, skup się. Mały Detektyw wykonuje w polu haptycznym kolejny ruch, Szczur zmienia się w Węża; straszącego ludzi węża, który wejdzie wszędzie. Ściany to nie przeszkoda dla jego lepkiego brzucha; schodzi w dół, skanując, skanując. Can przeskakuje wzrokiem po pięciu okienkach informacji, szukając czegoś małego, niezauważonego i niedocenionego, co mogła przegapić osoba zbierająca dowody. Ludzie sterujący tamtym robotem byli duzi, starzy i powolni. Za to Mały Detektyw jest młody, szybki i bystry. Jego umysł jest naturalnie dostosowany do wyłapywania wizualnych wskazówek przegapionych przez innych. Sam się tak przeadaptował, jak mówi pan Ferentinou, kompensując brak dźwięków w swoim wytłumionym świecie.

O! Co to jest? W drenie wzdłuż bocznej ściany sklepu Kenana. Coś małego, o ostrych brzegach, pomarańczowego. Wąż zapętla się na ścianie Ismet İnönü Apartments. Wężę nie mają rąk, więc Can rekonfiguruje Węża w Małpę i wyjmuje pomarańczowy ogryzek z

popękanego, wyschniętego błota. Małpa ląduje w trzech skokach na parapecie okna w domu derwiszy. Upuszcza skarb w dłoń Małego Detektywa. Odłamek plastiku, który odskoczył od pancerza robota-łowcy i poleciał bardzo daleko po uderzeniu. Są na nim jakieś litery. NG428. Can ściska odłamek plastiku w dłoni, aż boli. Bóg jest dobry, Bóg jest bardzo dobry.

Zrób jak ci gliniarze z CSI. Oznacz to. Zrobienie zdjęcia ceptepem to moment. W dużej rozdzielczości. Wsadź je do torebki. Plastikowej torebki na kanapki, na której napisałeś słowo EVIDENCE. Torebka - do plecaka. Już zawiązuje niebieski szkolny krawat, kiedy wchodzi mama i miga: *Gotowy?*

- Gotowy - odpowiada Mały Detektyw Can.

* * *

- Karin - mówi Mustafa, nastawiając rytualną poranną kawę w ogromnej kuchni Awaryjnego Centrum Biurowego - to nie jest coś, co się widzi codziennie. Nawet w twoim przypadku.

Temat, który pojawia się regularnie w Awaryjnym Centrum Biurowym: który z talentów już posiadanych przez jego dwóch opiekunów mógłby stać się supermocą. Mustafa potrafi w jedną noc zostać ekspertem od czegokolwiek. I podłapać obsesję w okamgnieniu. Miejski Golf, to już takie przebrzmiałe. Za to dzinny, dzinny są nieskończenie fascynujące.

Necdet, którego supermoc jest teraz aż za oczywista i autentyczna - Dzinniarz - jest pewien, że Mustafa wie już o dzinnach więcej, niż on się kiedykolwiek w życiu dowie - ich poziomach i szeregach, ich słabostkach oraz tajemnych słowach, którymi potężny szejch potrafi nad nimi panować. *Mustafy Bağliego przewodnik po dzinnach, ifrytach i pomniejszych istotach ognistego żywiołu.*

- Do góry nogami, w ziemi, o, to dopiero jest interesujące. - Mustafa nalewa z mosiężnego tygielka dwie maleńkie filiżanki pianistej, gęstej kawy. Jest mocna i bardzo dobra - to też był jeden z projektów badawczych Mustafy, kiedy dostał obsesji na punkcie worków kawy porzuconych przez Turków wycofujących się spod Wiednia, u szczytu imperialnych ambicji. - Trochę taka północnoafrykańska interpretacja, a konkretnie, kairska. Powiedz, a pod moimi nogami coś widzisz?

- Nie, ale coś ci siedzi na ramieniu.

Mustafa omal nie przewraca kawy.

- Możesz mi opisać to... to coś?

- Coś jak ręka, dłoń, jakby dłoń mogła być zrobiona z gliny.

- Z gliny, mówisz?

- Z gliny albo ze skały, jak ten amerykański superbohater, który jest cały ze skały. -

Necdet postanawia nie wspominać o oczach, które ma między palcami.

- Chyba masz na myśli Bena Grimma, zwanego Stworem. Bo widzisz, jest też inna interpretacja, według której kariny mają naturę gliny, a nie ognia, i siedzą na ramieniu, jak anioły czy demony

- On bębni ci palcami po ramieniu.

Teraz filiżanka z kawą Mustafy rzeczywiście ląduje na szarej wykładzinie. Posprzątawszy kałużę, podłazi między rzędami zakurzonych komputerów do miejsca, gdzie Necdet siedzi i z nudów klika w serwis plotkarski.

- Jest tam jeszcze? - pyta. - To coś, karin, dalej mi siedzi na ramieniu?

Necdet nie chce Mustafie powiedzieć, co naprawdę widzi na jego ramieniu, więc mruczy:

- Tak.

Mustafa przyciąga sobie krzesło z sąsiedniego kubika.

- To interesujące. Mówię to z bólem, jako nowoczesny Europejczyk i nowoczesny Turek, ale wygląda na to, że żyjemy w nowej epoce umysłowego wstecznictwa. Zdaje się, że każda akcja musi się spotkać z równoważną i przeciwną reakcją, w świecie duchowym, jak i w fizycznym. Ledwo udało nam się pozbyć reputacji „chorego człowieka Europy”, odwiecznego Turka-dzikusa, a tu już w naszych miastach podnosi głowę najbardziej prymitywna i zabobonna anatolijska religia. Dżinny, szejchowie, uliczni *kadi* przestrzegający swojego własnego szariatu. Derwisze i tak dalej. Akcja, reakcja. Cała chmura bez rozumu. Jakaś islamistka wysadza się w tramwaju, a ty zaczynasz widzieć dżinny na suszarce do rąk, kariny pod progiem i dłoń Bena Grimma na moim ramieniu. Nie mam pojęcia, na czym to polega - to pewnie jakaś pourazowa halucynacja, ale mówię ci szczerze: jeśli ta dziewczyna w ciąży to rozplotkuje, zleci się do was pół dzielnicy, po modlitwy, wróżby i uzdrowienia. Końca nie zobaczysz. Twój brat może sobie gadać o swoim islamie dla ludzi, czystym, świeżym, nowoczesnym, choć moim zdaniem leci starą suficką szkołą, i tyle - ale ja ci powiem: jeszcze się taki imam czy *kadi* nie zdarzył, co by się nie schylił po łatwy pieniądz. Można na tym nieźle zarobić. Powiem otwarcie: potrzebny ci jest marketing. Dobry, kreatywny marketing, z wizją i planem długoterminowym. Struktura inwestycyjna. Wydostaniesz się z tej dziury. Zaczнешь naprawdę żyć.

- A kiedy mówisz „marketing”, mówisz „ja”.

- No... tak.

- Prowadzisz Awaryjne Centrum Biurowe, z którego nikt nigdy nie skorzystał.

- Tak, ale mam żyłkę przedsiębiorcy.

Necdet nie może zaprzeczyć. Spa z małymi rybkami dla cierpiących na łuszczycę Amerykanów, Tureckie Róże, Orzechy Laskowe na Zdrowie i Szczęście: nowe superjedzenie, Własna Grota w Kapadocji, a ostatnio ten Miejski Golf; to wszystko pomysły na biznes Mustafy. Mrzonki jedna w drugą.

Mustafa idzie odebrać poranny telefon od Suzan Żwaczki. Jest polecenie przykręcenia klimatyzacji. Cena gazu na rynkach detalicznych znowu wzrosła. Mustafa rozsądnie argumentuje, że Centrum potrzebuje klimatyzacji tylko przez ciepło generowane przez setki mruczających komputerów. Wyłączyć komputery i problem z ceną gazu rozwiązuje się od ręki. Proste. I pomysłowe.

Necdeta ogarnia nagła przyziemna panika: w głowie ma osuwającą się z hukiem lawinę - to uciekają przed nim wszystkie miejsca i twarze w życiu, koziolkując, tocząc się i zderzając ze sobą, rozkruszając na miazgę, aż staną się tylko ścianami pyłu, kłębiącymi się ze wszystkich stron. Patrzy raz jeszcze na Mustafę, sprzecząc się na ekranie z Suzan Żwaczką i poznaje go. Gdzieś poza tym lochem jest jeszcze Ismet. Necdet widzi jego twarz, słyszy jego głos i może wypowiedzieć imię. Wie, że są jeszcze inni, bracia z *tarikatu* przychodzący po południu co czwartek, żeby dyskutować nad nowym, lepszym ulicznym prawem, prosto z Koranu i hadisów, ale nie widzi ich twarzy ani nie słyszy ich imion. Czy w tym tramwaju nie było kobiety, której urwało głowę? Widział ją w wizji, unosiła mu się przed nosem, kiedy próbował uciec z tłumu, żeby policja nie zadała mu pytań, na które nie chciałby odpowiadać, ale twarz, miejsce, czas, nawet ten głuchy huk detonującego naszyjnika z materiałów wybuchowych, wszystko jest niewyraźne, jak wspomnienie wspomnienia. Czemu tak się bał tej policji? Co robił, gdzie był, zanim Ismet wpuścił go do wypełnionych pyłem w świetle słońca piwnic pod domem derwiszy? Nie pamięta. Jego pamięć to jedno wielkie kłębowisko dzinnów.

Panika narasta, staje się absolutna, bełkocąca, paralizująca; kompletne zatracenie i bezradność. Wtem słyszy muzykę solowego fletu. Odwraca się w obrotowym krześle, by ustalić, skąd dobiega. Dżinny lecą w powietrzu, jak dym lub woda spływająca subtelnym, niewidzialnym korytem. Bezustannie zmieniają kształt i wielkość, od pyłków kurzu przez ptaki i płynące powietrzem drobne zwierzęta, po woale i szale ze skręcających się srebrnych płomieni. Istoty spoza świata, więcej niż żywe. Wie, że ma pójść za nimi. Mustafa, wciąż pogrążony w dyskusji z Suzan, nie zauważa, że Necdet wyslizguje się z kubika i idzie z nurtem.

Strumień dzinnów wślizguje się pod drzwi pakamery. Oczywiście. Rozlewa się wokół opartych o ścianę szczotek i mopów, wiader i szufelek, przysadzistego walca robota do mycia

podłóg, który nie działa od czasu, gdy Mustafa próbował zrobić z niego samobieżny barek. Pod kolejne drzwi, do komórki z licznikiem elektrycznym i bezpiecznikami. Zawarta tutaj energia ekscytuje dzinny; kipią i skraplają się z pary w ciecz, w strugach i plamach srebra, Necdet jednak ostrożnie idzie za nimi ku kratce klimatyzatora u dołu ściany. Ciecz nie z tej ziemi przelewa się przez siatkę. A flet cały czas przyzywa.

Kratka wisi na plastikowych kołkach, tandetnych jak wszystko tutaj - wylatują przy pierwszym szarpnięciu. Necdet wciska się głową naprzód do ciemnego kanału. Czuje zimny powiew pachnący starym kamieniem i głębokim wykopem. Rzeka dzinnów płynie razem z nim. Są w dotyku jak kocia sierść. Porywające, oszalałające - Necdet może już tylko iść naprzód. Migocą światła, zapalają się - jest w kanale serwisowym, w sam raz na człowieka, pełnym przewodów i kabli, rurek i drutów. Prowadzi skośnie w dół; coraz silniejszy zapach starej ziemi i jeszcze starszej wilgoci; na ścianach połyskuje wilgoć, z rur skapuje woda. Jest zimno. Dzinny pienia się i falują pod nogami jak górski potok. Na końcu tunelu są drzwi; dzinny spiętrzają się przed nimi jak woda w młynówce. Drzwi otwierają się pod dotykiem. Dalej jest ciemność i starość. Mruga w kompletnej czerni, a zmysły czulsze niż wzrok mówią mu, że znalazł się w miejscu z innej epoki. Kamień. Kapanie wody. Poruszające się powietrze podpowiada, że nad głową ma kopułę. Echa sugerują kolumny. Uświadamia sobie, że już od jakiegoś czasu nie słyszy fletu. Dzinny spływają mu pod stopy. Oczy, foton za fotonem, przyzwyczajają się do światła. Jest w podpartej kolumnami krypcie. Nie ogarnia jej rozmiaru, skrytego w ciemności. Jak okiem sięgnąć, ciągną się kolumny. Nad głową nisze, hełmy, kopuły. Głęboko pod ziemią, w miejscu sprzed wieków. Teraz zaczyna dostrzegać jakiś przedmiot przed sobą, masywny, niski, rzeźbiony. Kojarzy mu się z fontanną z ogrodu w domu derwiszy, gdzie chodzi posiedzieć i zapalić. Wraca mu pamięć. Z tą chwilą świadomości przychodzi kolejne uświadomienie: na brzegu fontanny siedzi postać.

Necdet się wzdryga, a potem, gdy dzinny spływają pod stopy postaci i po raz pierwszy rozbłyskują światłem, wypełnia go ogromny spokój. Te szaty, ta długa broda, te niezmiernie przenikliwe zielone oczy, luźno owinięty wokół głowy zielony turban. Czemuż Necdet miałby się go bać? To przecież najstarszy ze świętych, Zielony Człowiek, starszy niż Allah, starszy niż Chrystus i jego matka Maryja, starszy niż Jahwe. Jeśli teraz nosi zieloną szatę sufiego, to dlatego, że islam przejął od niego tę barwę życia. Jest zielenią wylewów Eufratu i Tygrysu, anatolijską wiosną z Hattuszy i Çatalhöyük. To Hizir, Khidr, al-Chidr, święty, prorok i anioł. Jest wodą, jest życiem. Jest pomocą spoza świata naturalnego - ręką, która wstrzymuje cię, żebyś nie wszedł pod tramwaj, która nadmuchuje poduszkę powietrzną, która ratuje cię z katastrofy lotniczej. Jest tym wrednym parkingowym i celnikiem-służbistą, przez

którego nie zdążasz na ten fatalny samolot.

Ale Necdet i tak się boi. Hizir to nieprzewidywalność wody, wyższe prawo niesłuchające niższych praw. Hizir może pobłogosławić, a może i zabić. Jest aktem tworzenia i niszczenia, suszą i powodzią. Teraz zwraca w stronę Necdeta zielone oczy.

Recytuj.

Co mam recytować? - pyta Necdet. Ale zna już odpowiedź. Zna ją każdy chłopak, który chodził do medresy. Nauczył się tego w piątkowej szkółce, gdzie siedział z Ismetem i recytował, aż znał to lepiej niż własny puls. Potem zawsze szli z Ismetem na wielki, gruntowy plac, z chylącymi się pośrodku słupkami bramek. Ismet grał w piłkę. Był dobrym środkowym obrońcą. Necdet zaś siedział na ziemnym wale, pilnował kurtek i patrzył na wielkie ciężarówki z naczepami jadące ekspresówką na most. W grach z piłką nigdy nie był za dobry. Nie widział w nich sensu. Nauczył się rozpoznawać litery na napiętych klamrami burtach i wiedział, że ta ciężarówka jedzie z Rosji, ta z Syrii, tamta z Gruzji, a ta ostatnia to łatwe, bo ma napisy po arabsku, w języku Boga. To kolejna rzecz, która wydawała mu się bez sensu: siedzieć całe piątkowe popołudnie na podłodze i kiwać głową nad słowami w języku Boga. Czemu Bóg nie może gadać tak jak wszyscy? Gdyby on był Bogiem, mówiłby równie dobrze po turecku, jak po arabsku. Cały czas zerkał za okno na zapyłone niebo i któregoś dnia, bezmyślnie, prawie mimo woli, stwierdził, że ma rękę w górze.

- Ale po co to wszystko?

Inni chłopcy zbulwersowali się i patrzyli gniewnie, ale imam był cierpliwym człowiekiem, potajemnie uzależnionym od telewizyjnych transmisji sportowych.

- Po to, że kiedyś ktoś cię o to zapyta. Może jutro, a może na koniec świata, kiedy staniesz przed obliczem Boga, ale zapytany zostaniesz na pewno i będziesz musiał odpowiedzieć. Co wtedy powiesz?

Kolejne wspomnienie. Dżinny wiercą się pod stopami Zielonego Świętego, rzucając długie cienie na kopułę starej cysterny. Hizir powtarza: „Recytuj”.

Necdet odchyła się w tył pod nawałem wspomnień.

Słyszy łomot odpalanych z przyłożenia pistoletów do gwoździ, warkot piły łańcuchowej tnącej belki na dach. Wszyscy wujowie przyszli pomóc zbudować dom. Zaczęli o zachodzie słońca, zgodnie z prawem. Betonowe bloczki i zaprawa. Rząd za rządem. Plastikowe okna z podwójnymi szybami - żaden tam bieda-dom. Około północy zaczęto kłaść dach, wujowie szarpali się na rosnącym wietrze z arkuszami folii, a ojciec Necdeta starannie obchodził wszystkie cięte piłą łańcuchową legary, zaklejając łąby śrub pistoletem z silikonem. Nie śpieszył się, bo nie ma domu bez dachu, ale jednym okiem pilnował horyzontu. Jeśli

przed świtem położy się dach, nikt nie może ci tego domu zabrać. Tak mówiło prawo. Pod skrzyżowaniami autostrad, na tyłach dzielnic przemysłowych, na zerodowanych zboczach i w dolinach zalewowych, wykwiwały jak kwiaty po deszczu całe osiedla. Bieda-domy - *gecekondu* - zbudowane z prawa i nadziei.

Kobiety siedziały w samochodach albo gotowały jedzenie i herbatę na gazowej kuchence, która potem zostanie dumnie wtoczona do nowej kuchni. Gadały, śmiały się, słuchały radia i pilnowały dzieci. To wspomnienie jest tak stare, że Necdet nie ma pewności, czy mu tego po prostu nie opowiadano. Musiał być wtedy bardzo mały. Siostrzyczka Kizbes była jeszcze mniejsza, kołysała się na kolanach matki na pace pickupa. Ismet, tylko dwa lata starszy, nadawał się już do pracy z mężczyznami: biegał z paczkami gwoździ do pistoletów, tubami silikonu, albo skrobał zaprawę z kielni. Necdet też tak chciał: chciał być widoczny, chciał być potrzebny. Zobaczył pistolet do gwoździ na pace pickupa wujka Solego i uniósł go w ciemne niebo. *Dę!* - zrobił pistolet - *dę-i-dę-dęk* - powbił wielkie gwoździe prosto w różne rzeczy. Piękna rzecz, taki pistolet uniesiony pod niebo, pod lunę wielkiego Stambułu; piękny dźwięk wydawał, pięknie łączył rzeczy, zmieniał je na zawsze, dwie oddzielne w jedną całość.

- Ej, trzymajcie go, zabierzcie mu to! - wykrzyknął wujek Soli odrobinę za wolno i za późno, Necdet bowiem obrócił się w jego stronę i z kolejnym *Dę!* wbił dziesięciocentymetrowy gwóźdź prosto w stopę ciotki Nevval i suchą ziemię.

Domy pięły się tarasowo po zboczu, plastikowe dachy stopniowo zastępowała czerwona dachówka, w miarę jak *gecekondu* stawały się oficjalnym przedmieściem. Oślepiająca aluminiowa kopuła nowego meczetu zaraz przy szosie, zbudowanego, podobnie jak szkółka religijna, za saudyjskie pieniądze. Ciotka Nevval kuśtykająca powoli od przystanku dolmuszy, o lasce, której potrzebowała od zajścia z pistoletem, chrzcin domu, Necdet rozumiał bowiem, że żaden dom nie ustoi bez krwi. Właśnie tam mieszkał, zanim nastąpił dom derwiszy - na tym gorącym, zapyłonym dalekim przedmieściu, ciągnącym się, jak sto innych, wzdłuż prowadzących do Anatolii ekspresówek. Stambuł był tam tylko plotką: miejscem, z którego przyjeżdżają ciężarówki, gdzie jeżdżą autobusy i dolmusze. *Başıbüyük*, dom i serce.

- Co to ma być?! - krzyczy Necdet. - To jest prawdziwe, co to jest? Won z mojej głowy, zielony gnoju! Won, wynoś się, won!

Hizir wytrzymuje wzrok Necdeta, unosi palec.

Recytuj.

Płonąca dziewczyna wypada z domu na ulicę. Cienki poliestrowy sportowej koszulki pali

się doskonale: płonąca tkanina skapuje ognistymi kroplami na dżinsy, buty. Ręce ma w górze, trzepocze nimi, okłada się dłońmi. Necdet nie wyobrażał sobie, że z ludzkiego gardła można wydobyć taki krzyk. Już spowijają ją płomienie; krzyk cichnie z braku tlenu. Kizbes pada na ziemię, ale już zlatują się mężczyźni, zrywają się znad herbat, tarzają ją po ziemi. Etyen, sąsiad z lewej, niesie z pickupa gaśnicę, Semih, sąsiad z prawej, dzwoni po karetkę, choć z Başıbüyük jest daleko do szpitali i pogotowia. Teraz trzymają ją kobiety, przecinają bluzkę, gdzie poliester skleił się ze skórą. Krzyczy potwornie. Włosy ma w połowie spalone. Dla Necdeta, patrzącego z kuchni przez okno, to najciekawsza rzecz na świecie. Pędzi już ojciec, z dołu, ze stacji benzynowej gdzie myje autobusy; tylko na moment przystaje przy gromadce kobiet wokół Kizbes, potem wbiega do domu i wywleka Necdeta na światło dzienne. Ojciec i wszyscy mężczyźni z osiedla gonią go kopniakami w dół. Uwalnia się z ich rąk i wbiega prosto na autostradę. Ciężarówki trąbią klaksonami, samochody ostro skręcają. Autobus obciera mu piętę. Widzi miny jego pasażerów. Szybkość i szaleństwo przenoszą go na drugą stronę potoku rozpędzonej stali. Odważniejsi chłopcy z Başıbüyük przebiegali już przez autostradę - te szkolne mięśniaki, ci, którzy zawsze Necdetem pogardzali - lecz teraz Necdet już skrył się wysoko w labiryncie domów i zaułków na południowym zboczu doliny.

- Czemu mi to pokazujesz?

Hizir wbija wzrok w Necdeta.

- Co tak na mnie patrzysz? Ja tego nie zrobiłem!

Dżinnowe światło wije się wokół stóp Zielonego Świętego.

- To nie ja. To był wypadek, paliła i upuściła papierosa.

Hizir unosi brew.

- Działała mi na nerwy, rozumiesz? Denerwowało mnie, że tak stoi i że ciągle mi przeszkadza, ciągle za mną łązi. Gdzie poszedłem, zaraz za mną łązła. Ciągle chciała jakiegoś stafu, ja nie miałem, ale ona nie chciała słuchać, że nie mam.

Mimo to, nic nie czuł. Odrętwiały; był odrętwiały. Patrzył, jak Kizbes bucha wieńcem płomieni, z dystansem, intelektualną obojętnością. Jej krzyki brzmiały, jakby psuło się jakieś urządzenie. Widział to przez szkło, na ekranie, jak doniesienia z jakiegoś odległego frontu. Własny ojciec powalił go kopniakami na ziemię, kopał i kopał, przepychając się między innymi mężczyznami i chłopcami, żeby go jeszcze dopaść. Necdet wiedział, że robią z jego ciałem straszne rzeczy, ale nic nie czuł. Całość zniósł z łagodnym uśmiechem na twarzy. Nie rzucił w Kizbes papierosem dlatego, że działała mu na nerwy, bo go denerwowała. Nie czuł złości, ani niecierpliwości - w ogóle nic nie czuł. Po prostu była pod ręką, kiedy się zastanawiał, jak się pali kobieta.

Przez cztery noce ukrywał się w domu swojego dealera. Rodzice Umita poznali go, człowieka, który podpalił własną siostrę. Nawet Umit był nieufny, ale wiedział, że człowiek, który podpalił własną siostrę, równie od niechcienia doniesie na niego na policję, jeśli odmówi mu się gościny. Piątego dnia Ismet - porządny, chodzący do meczetu, zaangażowany - przyszedł z własną propozycją. Zabierze Necdeta na europejską stronę, będzie pod opieką islamskiego zakonu, który tam organizuje, razem z paroma poznanymi w sieci braćmi o podobnych poglądach. Nie pozwoli mu się staczać w przepaść lenistwa, drobnego handelku konopiami, siedzenia na taborecie przed drzwiami i gapienia się na szosę. Da mu porządek, stabilność, spokój, poczucie tego co słuszne i boskie. Albo to, albo będzie żyć na wzgórzach jak wilk. Do Başibüyük nie ma dla niego powrotu. Kizbes przeżyje. Jest w szpitalu. Imam organizuje zbiórkę pieniędzy. Takie włosy już jej nie odrosną; to da się zakryć peruką, ale nie błyszczące blizny po oparzeniach na twarzy. Pewnie nigdy nie wyjdzie za mąż.

Hizir-Zielony Święty opuszcza palec i odwraca wzrok.

- Coś jest nie tak z moją głową! - woła Necdet. Wali się pięściami po skroniach. - Wchodź tam, wchodź tam, wchodź! Czemu ja nic nie czuję? Tam nic nie ma, to samo drewno. Nic prawdziwego.

Hizir patrzy w bok. Jego usta rozciągają się w najulotniejszym, najświętszym, najbardziej nieziemskim z uśmiechów.

Ty jednak coś tam czujesz. Przez większość czasu - gniew, strach, odrętwienie, oszołomienie, niewiarygodne niedowierzanie - a tymczasem druga połowa twojej głowy rejestruje rzeczy, jakie innym ludziom nawet nie przejdą przez myśl. To najbardziej rzeczywiste doświadczenie w twoim życiu, Necdecie Hasgüler - ten suficki święty i zastępy jego dżinnów. Hizir to pomoc z innego świata, ale jego dary bywają także niebezpieczne. Obdarzył cię dzieciństwem. Masz, proszę, bierz, tylko to dzieciństwo jest pasmem okropności. Dziecko-potwór. Teraz musi sam siebie zapytać: wierzysz w to? To prawdziwe wspomnienia z dzieciństwa czy tylko ci się wydaje, że to pamiętasz? Są stare czy nowe? Czy w tej starej, kamiennej cysternie, blisko wody, która jest jego sercem i krwią, Hizir lepi z niego kogoś nowego, nowego Necdeta?

Recytuj, tak. Recytuj, recytuj, w imię Pana, który cię stworzył z krwawego skrzepu.

* * *

Brudna kuchenka, wszystko przesiąknięte wyziewami z gotowania, dym papierosowy wchłonięty w tapety, pełne worki od odkurzacza. Odświeżacze powietrza porozstawiane przez dozorcę na parapetach, blatach i spłuczkach przydają mdlącego zapachu prosto z kostnicy. Puste, pełne echa mieszkanie z grubą warstwą kurzu na żaluzjach, brudnymi

deskami podłogi, zdechłym gołębiem schnącym na balkonie, cuchnie samotnym mężczyzną. W lepkiej kuchennej szafce leży paczka granulowanej herbaty. Listy i katalogi walają się, zmiecione spod drzwi na bok. Pod balkonowymi drzwiami łuszczy się wykładzina. W sypialni łagodny, ciemny owal tapety wytłuszczonej od włosów, tuż nad widmowym konturem wezgłowia. Materac jest poplamiony, toaleta brązowa od kamienia. Do kuchennych kafelków przyklejona szara guma do żucia.

Leyla powstrzymuje odruch wymiotny.

- Zalega z czynszem za dwa miesiące - mówi dozorca, mały troglodyta ze sterczącym brzuchem.

Leyla myślała, że ten podgatunek wrednych, wścibskich blokowych podglądaczy wymarł dziesiątki lat temu. Wziął zwitek drobnych banknotów, żeby zaprowadzić ją i Yaşara do tego mieszkania na ósmym piętrze. Windy w Kemal House przestały działać na długo przed wynajęciem przez Mehmeta Alego tego mieszkania. Mieszkańcy patrzyli na nich wilkiem, kiedy przeciskali się przez podesty i klatki schodowe. Wszyscy mieli dzieci i głośny telewizor w salonie. Na trzecim piętrze Leyla skopała z nóg biurowe buty. Mordercze były na tych zdeptanych betonowych stopniach.

- To wasz znajomy, krewny? - pyta dozorca.

- Z pracy - mówi Leyla. - Dawno go nie ma?

- Od lutego.

- Nie jest aby przyjęte, że trzeba poczekać do czyjejś śmierci, żeby sprzedawać rzeczy tej osoby? - pyta Leyla.

Kapici wzrusza ramionami.

- Właściciel tak zdecydował. Gość zalegał. Z tych rzeczy ledwo było na pierwsze parę miesięcy. To na pewno nie jest wasza rodzina?

- To nie nasz problem - mówi z kuchni Yaşar.

- No, czyjś dług to jest.

- Możemy się rozejrzeć?

Dozorca udaje, że nie dosłyszał, i nonszalancko zapala papierosa. Leyla wyciąga z portmonetki dwadzieścia euro. Stambulscy kapici słyną z przekupności, a ten to egzemplarz okazowy. Żłudna nadzieja, że to będzie aż tak proste - zapukają do drzwi, Mehmet przywita ich herbatą i ciastkami. Mehmet zniknął, ale gdyby jego rzeczy były nienaruszone i na miejscu, byłoby jeszcze lepiej. Robota jest detektywistyczna, a ta żmija Zeliha nawet jeszcze nie pokazała jej umowy. Rodzina to najgorszy pracodawca. Leyla klęka i zerka w szczeliny w podłodze, pod legary, staje na palcach, żeby zajrzeć na górne półki, zerka w narożniki szaf.

Stare gacie użyte do wycierania podłóg, foliowe paseczki z paczek papierosów. Głowa ją boli od kwiatowego zapachu odświezacza. Będzie czuć go w głowie przez wiele dni. Podnosi pokrywę obrzydliwej sfluczki.

„Druga połówka tego”, powiedział Yaşar w firmowym aucie Ceylan-Besarani, poobijanym miejskim peugeociku, chodzącym tylko na ręcznym sterowaniu odkąd autodrivo podłapał jakiegoś wirusa. Zdjął ręce z kierownicy, żeby pogrzebać w kieszeniach. Leyla chwyciła ją lewą ręką, w samą porę, by ominąć tył dalekobieźnego autobusu z eleganckimi koronkowymi firaneczkami. Wzięła do ręki piękny, miniaturowy srebrny Koran, nie większy od jej kciuka. Yaşar złapał z powrotem kierownicę.

- Stare to jest.

- Perskie. To prawdziwe srebro.

Leyla odwróciła go: widząc nagie krawędzie stron, przecięty na pół święty Koran, pomyślała o zbezczeszczeniu - takie przypomnienie, że nie oddaliła się za bardzo od rodzinnego Demre.

- Jak to się stało, że jest tylko pół?

- Rodzinne dzieje. U nas wszystko to rodzinne dzieje.

- Opowiedz mi. Lubię rodzinne dzieje.

- Trzeba się cofnąć na początek dwudziestego wieku, do pierwszej wojny światowej. Wojsko wysłało mojego prapra-ileştam-dziadka Abdulkadira - kazali nam się uczyć jego imienia, jakby był ojcem narodu, czy coś takiego - do Çanakkale. Çanak Bayiri, wzgórze, gdzie sławę zdobył Mustafa Kemal. Nawet w Stambule wszyscy wiedzieli, że to praktycznie wyrok śmierci. Koran był starą rodzinną pamiątką; matka Abdulkadira, kiedy się dowiedziała, że jedzie na front, poszła do żydowskiego jubilera i kazała przeciąć Koran bardzo starannie na pół. Podobno żaden muzułmanin nie chciał się tego podjąć. Dała mu przód, sama wzięła tył. Święty Koran jest jednością, jest niepodzielny, więc będzie dążyć do połączenia połówek i sprowadzi go z powrotem do domu.

- I co, wrócił? Przeżył?

- Tak, tak. Prapra Abdulkadir miał przetrwanie we krwi. Szybko doszedł, że, aby zachować całą głowę, lepiej trzymać się z daleka od chłopców Kemala, co to „chwała i śmierć”. Dożył osiemdziesięciu ośmiu lat i zmarł w połowie noworocznego przyjęcia.

- Chyba powinieneś być z niego dumny. Każdy, kto był pod Gallipoli, był bohaterem.

- Z jego jednostki wrócił tylko on, i nawet nie był drażnięty.

- Niezły Koran.

- Niezły talent do przetrwania.

Leyla zagląda do spluczki. Na dnie nie ma niczego zawiniętego w sześć prezerwatyw i folię bąbelkową. To dobrze. Nie ma ochoty wsadzać ręki do tej wody. W ogóle nic tu nie ma.

- Zobacz tutaj - woła cicho z kuchni Yaşar.

Otworzył szufladę na sztucce. Sprzątacze właściciela wystawili na licytacji nawet widelce i noże, ale zostawili puste plastikowe fiolki. Szuflada jest ich pełna. Yaşar otwiera pozostałe. Wszystkie wypełniają plastikowe fiolki. Yaşar unosi jedną palcem wskazującym i kciukiem.

- Nano.

- To na pewno żadna wasza rodzina? - pyta dozorca.

- Żadna rodzina - kłamie Leyla.

- Skoro tak, to wam powiem, co naprawdę myślę. To nie był porządny człowiek. O każdej porze ciągle ktoś łąził. Nie życzymy sobie tu takich - to osiedle dla rodzin z dziećmi. Bułgarzy. Podejrzani, całe gromady. Tylko spojrzysz nie tak i dostajesz nożem. Gruzini, Ruscy - kraj gangsterów. I kobiety. Wiecie, jakie kobiety. No i worki, z furgonetek. Ciągłe kupował i sprzedawał, kupował i sprzedawał. I całe kartony tych małych buteleczek. Ja wiem, co to znaczy. Przejechałem wszystko takim odkurzaczem dla alergików. Wiecie, dla gości, co nie tolerują kurzu. Nie chcę, żeby to gównem powłaziło między deski, do przewodów, rur i tak dalej. A już, Boże kochany, jak przejdzie na szkodniki?

- Superinteligentne zmutowane szczury - mówi Yaşar. - Super.

Leyla Gültaşıli ciągle boi się nano. Nieważne, że już jest wszechobecne, że cieszy się szacunkiem, że jest bezpieczne. Ona wyobraża sobie, jak pełza jej w środku, jak w tej strasznej legendzie o góralach, wyjedzonych przez wszy, aż nic im w środku nie zostało, tylko kłębiące się obrzydlistwo. W college'u nie brała, chodziła na egzaminy i kolokwia z gołym mózgiem, choć była przez to w niekorzystnym położeniu wobec skupionych, przenikliwych, rozpoznających wzorce kolegów. Ugięła się przed końcowymi egzaminami. Zawsze ktoś znał kogoś, kto mógł załatwić dobry, porządny, szary towar, taki, co naprawdę działa. Fiolka przeszła cały łańcuch dostaw, może nawet rozpoczęła żywot na tym kuchennym blacie. Stała na jej szafce nocnej i promieniowała koszmarami. Z rana przed pierwszym egzaminem wyciągnęła korek i wylała nano, drobne i płynne jak woda, do sedesu. Spuściła dwa razy na wszelki wypadek. Niech ryby pod mostem Galata się sobie koncentrują, bystrzej i rozpoznają pierwszy raz widziane wzorce. Ona nie zniesie myśli o brudzie i popiele we własnym mózgu.

- Wie pan, kto kupił te wszystkie sprzęty?

- Trzeba zapytać...

- ...właściciela budynku. Da pan telefon do niego.

Dozorca wzrusza ramionami. Leyla wysupkuje kolejną dwudziestkę. Na jedwabnej podszewce został już tylko jeden jej kuzyn. Kolejna nauka dla Zelihy: wszystko da się załatwić drobną gotówką.

Leyla znowu zrzuca buty: w dół schody są jeszcze bardziej zdradzieckie niż w górę.

- Yaşar.

Ten rusza posłusznie dwa kroki za nią. W biurze jest agresywny i uparty, poza nim jest szarą myszką. Leyla dorastała w domu pełnym braci, więc zna chłopaków i ich nieustanną rywalizację. Zastanawia się, jak Yaşarowi i Aso w ogóle udało się zmontować działającą firmę. Zresztą, ona w sumie nie działa. Po to ją wzięli. Kto w ogóle spisuje umowy o pożyczkę pod zastaw połowy Koranu?

- Dwie sprawy. Jeden: po południu ustawiłam spotkanie z Europejską Radą Inwestycyjną ds. Nowych Technologii. Mają szybką ścieżkę zgłoszeń, chociaż nie wiem, czy jest aż taka szybka. - Dziś w nocy siedziała do trzeciej, przeklikując się przez bizantyńskie piętra europejskich funduszy, stypendiów, pożyczek rozwojowych, funduszy startowych i programów „Następny Krok”. Jadąc rano metrem, wyblagała przez ceptepa spotkanie w okienku, z którego ktoś zrezygnował. - Niech Aso ze mną pójdzie. Świetny z ciebie projektant, ale wyglądasz i ubierasz się jak perkusista z metalowej kapeli.

- Że kur...?

- To znaczy, fryzjer. I garnitur.

- Nie ma mowy.

- No to Aso idzie. Dwa: dawaj chip do samochodu. W życiu nie widziałam gorszego kierowcy niż ty.

- Ty jeździsz?

- Pewnie, że jeżdżę.

- Jeździsz po demersku. A tu trzeba po stambulsku.

- Dawaj chip.

Nie pojedzie nikt. Peugeot stoi już na wielkiej czerwonej lawecie wymalowanej w religijne cytaty i pozdrowienia. Leyla wali w drzwi szoferki. Kierowca opuszcza szybę, ale to pasażer nachyla się i zaczyna z nią gadać.

- Szukacie Mehmeta Alego - mówi pasażer, krótkogłowy, o puciołowatej twarzy, świńskich oczkach i wąskich wargach. Głos ma niski i miły. - My też go szukamy.

- Kto wy? Właściciel mieszkania? Powiedziałałam kapiciemu, że nie jesteśmy rodziną. Oddawajcie samochód.

- Nie jestem właścicielem. Wam też jest winny pieniądze? Żadna niespodzianka. To właśnie kapici do mnie napisał. Jestem byłym wspólnikiem Mehmeta Alego. Wisi mi pieniądze. Poważną kwotę.

- To nie moja sprawa. Oddawajcie samochód.

- Wasza sprawa, wasza. Ja postanowiłem, że to wasza sprawa. To znaczy, jak się dowiecie, gdzie on jest, dacie mi znać.

A gdzie Yaşar? Leyla jest aż nadto świadoma, że stoi pod drzwiami lawety z butami w ręce i ma bardzo niewiele opcji. Ma tylko jedną przewagę: gość nie wie, że ona nie szuka Mehmeta Alego dla pieniędzy. W zasadzie w ogóle nie szuka Mehmeta Alego, tylko połówki miniaturki Koranu.

- Stoi - mówi.

Krótkogłowy jest autentycznie zaskoczony, ale kierowca lawety naciska guzik, wyje wyciągarka, peugeot zjeżdża z platformy. Lekko zeskakuje z najazdów, nim zahamuje go linka.

- To muszę mieć do pana jakiś kontakt - mówi Leyla.

- Wolałbym nie - odpowiada krótkogłowy.

Kierowca uruchamia silnik.

- Będziemy mieć na was oko.

Leyla odczekuje, aż czerwony holownik zniknie za rogiem i z pola widzenia. Odwraca się do Yaşara.

- Dawaj chip. No już, chip do samochodu.

Oddaje go potulnie. Autentycznie się przestraszył, nie wiadomo: jej czy zajścia z lawetą. Leyla trzęsie się teraz ze strachu i złości. Wślizguje się za kierownicę. Obcasy lądują z tyłu. Tę kupę złomu da radę poprowadzić na bosaka.

- Ja jadę, ty pilotujesz. Rodzinna narada. Teraz, już. Porywanie samochodu przez bandytów - tego w warunkach zatrudnienia nie miałam.

* * *

W Kuzguncuk stare osmańskie domy schodzą w dół ulicą, pod potężnymi drzewami. Są jaskrawo pomalowane - żółcień chromowa, karmazyn, róż. Górne piętra są nadwieszane; w cieniu siedzą starcy i koty, patrzą na świat. Podziurawione otworami i pomalowane drewniane okiennice osłaniają balkony na piętrach. Każdy, kto jest na tyle rozumny, żeby nie mieć jakiejś roboty do wykonania, siedzi tam na górze, łapie każdy powiew wiatru. Staruszkowie i koty nigdy nie byli rozumni.

Ayşe powoli pnie się w górę pomiędzy kolorowymi domami. Ulica stroma, upał,

kozaki ciasne, a bruk groźny dla obcasów. Staruszkowie patrzą znad szklanek: ktoś jeszcze bardziej stuknięty niż oni. Szuka niebieskiego domu; niebieskiego jak chaber. Mieszka tam miejska czarownica: urbomancerka, psychogeografka. Ayşe uwielbia tę dzielnicę, otuloną ze wszystkich stron zieloną doliną jak szalem. Przez pewien czas bawiła się myślą o utworzeniu właśnie tutaj galerii. Most Bosforski biegł kilometr na północ, nad grzbietem u wlotu do doliny wiła się ekspresówka, pomiędzy chylącymi się domkami i gałęziami pełnymi lampek było widać promy, ale nic z tego nie burzyło uperfumowanego wdzięku Kuzguncuk. I właśnie ta izolacja byłaby wadą: siedziałyby całymi dniami, czekając, aż zadzwoni dzwonek nad drzwiami. Ludzie przychodziliby popatrzeć, połączyć, pozabijać czas małymi przyjemnościami. Na samym szczęśliwym trafie firmy się nie zbuduje. Eskiköy było szare, brudne i stare, ale to serce dzielnicy antykwariuszy. Kuzguncuk jest doskonale dla wędrowników, meandrowników, poszukiwaczy ciekawostek, badaczy ducha miejsca, psychogeografów.

Błękitny dom jest ostatni w rzędzie, przyciśnięty do płotu z metalowej siatki. Za nim, po stromym zboczu doliny pną się judaszowce. Ayşe potrząsa wiatrowymi dzwonekami przy drzwiach. W wycięciu w kształcie serca na balkonowej okiennicy pojawia się twarz; kobieta w średnim wieku, z wielką szopą kręconych włosów, o żabich rysach i jasnych oczach.

- Otwarte, proszę wchodzić. - Słynne było to, że w Kuzguncuk z braku przestępstw zamknięto komisariat.

Selma-urbomancerka jest ubrana w luźną jedwabną piżamę, na palcach nóg ma pierścienie. Trzy boki balkonu wyściełają poduszki i wałki, prawdziwa turecka kanapa. Ayşe ściga mordercze, modne buty. Powietrze nawet nie drgnie. Jest herbata i sezamowa chałwa.

- Żydowska, skarbie. Robią najlepszą chałwę.

W Kuzguncuk przetrwała niewielka żydowska wspólnota. A także Grecy i Ormianie. Cerkwie, meczety i synagogi stoją naprzeciwko siebie przy skrzyżowaniach. Cel Selmy Özgün: wiedzieć takie rzeczy i wiedzieć, dlaczego. Urbomancerka. Miejska czarownica. Selma Özgün uczyła Ayşe osmańskiej poetyckiej kaligrafii, ale potem odkryła, że lepiej zarobi, po prostu przemierzając ulice miasta i kreśląc w myślach mapy, uwieczniając, jak historię ciągnie do pewnych miejsc, warstwa po warstwie w kartografii sensów; kompilując encyklopedię tego, jak miejsce kształtuje umysły, a umysły kształtują miejsca - przez trzy tysiące lat w Królowej Miast. Tę naukę uprawia się, wędrując, jak derwisze-perypatetycy. Posuwa się z szybkością kroków, tak samo jak historia - przy takiej szybkości, na długich spacerach będących kwintesencją metody naukowej, zauważa się powiązania i podobieństwa. Pomiedzy odrębnymi budynkami ujawniają się osobliwe symetrie, jakby nastąpił jakiś

miejski dryf tektoniczny. Ulice podążają za przedwiecznymi, atawistycznymi potrzebami. Tramwaje jadą wzdłuż dawnych strumieni, kamień przemawia słowami bogów i cesarzy. Ludzkie geografie, mapy serca; rybne targi z dala od morza, miejsca, gdzie handel stał się skamieliną, albo wymarł, tylko po to, żeby odrodzić się dziesięciolecia później. Subtelne granice; dziwne zmiany kuchni w restauracjach; egejska na tym skrzyżowaniu, wschodnia w tym zaułku; przekłete miejsca, gdzie nie udaje się nic, choć sąsiad parę drzwi dalej prosperuje od lat; adresy, gdzie po jednej stronie ulicy włamią się do ciebie dziesięć razy częściej niż po drugiej. Ayşe nauczyła się tego wszystkiego na długich wieczornych spacerach po mieście z Selmą Özgün, z pozoru meandrujących, naprawdę jednak pełnych ukrytych celów i tajemnych zamysłów. Selmę najbardziej fascynują stare stambulskie narody: Grecy, Żydzi, Ormianie, Syryjczycy, Romowie i Rusini, pozostałości po dawnym imperium, a także to, jak przybysze z głębi nowego europejskiego imperium nieświadomie przejęli dzielnice, ulice, życie i głosy wysiedlonych duchów.

Artykuły i prace, jakie popełniła Selma Özgün:

„Lista wraków na Bosforze”.

„Wybuchy epidemii samobójstw”.

„Mapa homoseksualnego Stambułu, od czasów janczarów do współczesności”.

„Układ spontanicznych ścieżek, tzw. *desire paths*, wydeptywanych przez ludzi na nowo odsłoniętej ziemi”.

„Geograficzne skupienia potrzeb i pragnień na podstawie ogłoszeń drobnych na sieciowych forach”.

„Ewolucja populacji ryb w zapomnianych rzymskich zbiornikach i cysternach: bladeść, lepkość, zanik oczu”.

Dzisiaj Selma Özgün maluje paznokcie u nóg, pochylając się i sapiąc przy tym z wysiłkiem: ma wiejską budowę ciała.

- Zaproсили mnie do jakiegoś cholernego rządowego zespołu ekspertów - mówi, wysuwając stopy na światło i powietrze, żeby lakier szybciej wysechł. - Próbowałam ich przekonać, że to jakaś absurdalna pomyłka - no, ja, na litość boską? - ale nie. Przyjedzie po mnie samochód. Więc chcę wyglądać na wartą tych pieniędzy. Jak tam galeria? Dalej sprzedajesz te podejrzanym ormiańskim ewangelie?

- Są w stu procentach autentyczne.

- No i właśnie w tym problem. - Selma nigdy nie kryła, że ma Ayşe za szmuglerkę, szabrowniczkę, najemną kaligrafkę, rabusia grobów w butach od Jimmy'ego Choo. - To co cię sprowadza do Azji w ten piękny poranek?

- Próbuję znaleźć Zmelifikowanego Człowieka.

- Jajo Roka, miecz Proroka, pochodnia dzinna, coś jeszcze mam ci namierzyć przed kolacją?

- Już wzięłam zaliczkę od klienta. Uważa, że to jest faktycznie do zrobienia.

Selma Özgün wystawia nieprzyzwoite stopy w powietrze, na publiczny widok. Nawet w luźnym, tolerancyjnym Kuzguncuk jest uważana za istic angielską ekscentryczkę.

- A co to za klient?

- Tajemnica zawodowa.

- Chrzanić tajemnicę zawodową. Powiedz.

Selmę Özgün przeraża transfer danych z dłoni do dłoni, Ayşe pisze więc nazwisko na kartce. Selma zakłada okulary do czytania, zawieszona na złotej dewizce na szyi.

- Nie kojarzę, skarbie. Z Iskenderunu?

- A powinien być stamtąd?

Selma Özgün wzdycha.

- To będzie chodziło o mumię z Iskenderunu. Wynurza się co dziesięć, piętnaście lat, czy coś takiego. Nie jesteś pierwsza, w żadnym razie, skarbie. Wokół Zmelifikowanego Człowieka z Iskenderunu wyrósł już cały niewielki przemysł. To jedna z wielkich tutejszych legend, na równi z klejnotami z Hagii Sofii. Ludzie całe kariery porobili, napisali całe biblioteki bzdur i przepuścili prawdziwe fortuny na Zmelifikowanego Człowieka z Iskenderunu, a żaden nawet tego miodu nie powąchał.

- A ja jestem po prostu antykwariuszką, która umie skombinować rzeczy trudne do zdobycia.

Selma Özgün dolewa herbaty z mosiężnego tygielka stojącego na podwójnym palniku.

- Według Ergüna Şaşa z Uniwersytetu Bosforskiego, Zmelifikowany z Iskenderunu to Haci Ferhat, przedstawiciel bogatej rodziny kupieckiej z Aleksandretty, której fortuna efektownie stopniała na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Ma zapisy szeregu dysput teologicznych i opinii prawnych, wymienianych pomiędzy tamtejszym imamem a wędrownym derwiszem zwanym Kosmatym z Kapadocji, który miał się za legalistę. Dotyczyły religijnego statusu Zmelifikowanego. Według Kosmatego, był *haram* i dlatego Ferhatowie cierpieli Bożą pomstę. Nie dość, że nie pochowano go jak należy, w ziemi, to jeszcze, o zgrozo, zmumifikowano - a to jest próba ominięcia Sądu Ostatecznego. Tę klątwę da się z nich zdjąć tylko jeśli pozbędą się tego pogańskiego tworu i powrócą na łono Pana.

- Wygląda na to, że Kosmaty z Kapadocji znał wartość rzadkiego okazu.

- Ferhatowie też na pewno tego nie przeoczyli. Ale i tak dali go Kosmatemu, który

wyrecytował im parę sur, obwieścił, że są *halal** i odjechał w siną dal z Hacı Ferhatem. Zasada, skarbie, jest prosta: znajdziesz derwisza, to znajdziesz i Zmelifikowanego. Podróż Hacıego Ferhata z derwiszem, i to jak trafili do Stambułu - tu zaczynają się teorie. Sunnici i szyici to pikuś wobec poszukiwaczy Zmelifikowanego. To banda drażliwych staruchów. Denerwują się, kiedy krytykuje się ich teorie. Jeden z nielicznych godnych zaufania siedzi pod mostem Galata i łowi ryby. Wszyscy mówią na niego „Czerwony”. Jest największym żyjącym stambulskim autorytetem w sprawie Zmelifikowanego z Iskenderunu. Znajdziesz go bez problemu, ale powołaj się na mnie, inaczej będzie gadał tylko o rybach. Mnie nie zależy na prawdzie, mnie interesują piękne kłamstwa, z jakich składa się to miasto. A tak a propos...

Selma Özgün podnosi się z poduszek. Odkąd Ayşe ostatni raz widziała ją na otwarciu galerii, kiedy Sztorm Parzącego się Barana miótł kurzem po kafelkach, utyla i zrobiła się niezgrabna. Dni długich, meandrycznych peregrynacji po Stambule chyba już się kończą. Teraz Selma będzie pielgrzymować już tylko po miastach w pamięci.

Wchodzi po schodach jeszcze ciężiej niż schodziła. Stawia na stoliku mały słoiczek z bursztynowym płynem.

- Proszę.

Ayşe unosi słoik do pociętego skośnie światła. Maleńkie płatki i łuseczki wiszą w złotym płynie. Kiedy przechyła szkło, porusza się, gęsty, miodowy. Pokrywka jest zardzewiała, węch potwierdza analizę.

- To to, naprawdę?

- A jak myślisz?

- Mogę spróbować?

- Czy jeśli powiem, że ma pięćset lat i zapłaciłam za niego trzy tysiące starych lir tureckich, to zmieni jego smak?

Ayşe bez wahania zanurza w bursztynowej cieczy palec wskazujący i wkłada go do ust.

- I jak smakuje?

- Jak miód.

- Bo może kupiłam go w sklepie na rogu. - Selma Özgün nabiera łyżeczkę i miesza nią herbatę. Drobinki wirują: okruchy kwiatów, pszczele łuski, płatki i strzępki ludzkiego ciała. Wypija całą szklankę w toście. - Sto lat. No, skarbie, jesteś zdecydowana i ja tu nic nie poradzę. Trochę się obawiam, co się stanie, kiedy go znajdziesz. To skarb, cud świata.

* Halal - ogólne kreślenie wszystkiego, co jest legalne w świetle islamskiego prawa, szariat. Określa się

Legendy powinny pozostać legendami, inaczej stają się po prostu historią. A naturalna kolej rzeczy biegnie w drugą stronę, z historii w legendę. I jeśli komuś ma się to udać, to właśnie tobie, skarbie.

Wielki i ciężki samochód chrzęści na ślepej ulicy. Silnik ma bardzo cichy.

- To człowiek z ministerstwa, przyjechał po mnie. Dopij herbatę, posiedź sobie ile tylko zechcesz, potem po prostu wyjdź. Udanych łowów, skarbie. - Ścisła Ayşe, całuje ją w oba policzki. Połyskują jej paznokcie u nóg, kiedy człapie w dół schodami.

Ayşe siada z powrotem na kanapie i patrzy, jak Selma pakuje się do wielkiego auta. Dopije herbatę, ale siedzieć nie będzie, bo ma w sam raz tyle czasu, żeby zajrzeć do Czerwonego między wędkami, a potem spotkać się z Adnanem na przystani.

IV

- Po mnie pan przyjechał? - pyta Georgios Ferentinou szofera w czarnym aucie stojącym na progu.

Ma czarne okna. Kierowca jest ubrany na czarno. Czarne krzywizny zioną gorącem. Szofer otwiera mu drzwi. Georgios przyciska teczkę do piersi i ostrożnie poklepuje tapicerkę, jakby siadał na żywej skórze, jakby jego greckie ciało mogło ją zbeczcześcić. Samochód jedzie bardzo cicho i płynnie. Georgios ogląda się przez ramię i widzi, jak fasada domu derwiszy znika za zakrętem ulicy Kradzionej Kury. Stracił łączność ze swoim małym światem. Kierowca sygnalizuje skręt w İnönü Caddesi.

- Możemy pojechać od drugiej strony, promem? - pyta Georgios.

Szofer włącza lewy kierunkowskaz.

Ostatni czarny rządowy samochód, którym jechał Georgios, skręcił tu w prawo, pojechał Bosforskim Mostem do Azji.

Pokój miał kolor chorego płuca. Georgiosowi wydawało się, że jeśli przesunie poślinionym palcem po ścianie, opuszka mu zbrązowieje. Trzech facetów za stołem na kozłach paliło bez przerwy, rytmicznie, uporządkowanymi ruchami zduszając niedopałki, wytrząsając z paczki nowe papierosy, trzaskając tanimi, jednorazowymi zapalniczkami, aż po rozgniecenie kolejnego peta na rosnącej stercie w popielniczce z Efezu. To także było elementem zastraszenia, podobnie jak smród - dym papierosowy mieszał się z olejkami i

tak również sposób odżywiania się muzułmanów. Przeciwnieństwo: haram (przyp. tłum.).

fenolami wojskowej farby i silnym odorem wapna. Można było sobie wyobrazić, że pokrywają tym wapnem wszystko: mocz, wymiociny, krew, ekskrementy. Maskuje wszystko, ale nic nie ukryje.

- Pomogę jak tylko mogę - powiedział wtedy Georgios. Stołek stał na tyle daleko od stołu, żeby nie mieć psychologicznej osłony. - Na dowód, że jestem dobrym obywatelem.

Mężczyźni unieśli wzrok znad wypisanych na maszynie kartek, zmarszczyli brwi. Znow zaglebili się w notatkach, pokazując sobie nawzajem różne zapiski.

- Pana rodzice - powiedział ten pośrodku.

Ten po prawej zdjął nasadkę z niebieskiego długopisu i unióś go nad liniowaną kartką. Georgios Ferentinou zaczął się bać, bardziej niż kiedykolwiek w życiu, strach w jajach, strach w bebechach, strach w kościach - strach, że już nigdy nie wyjdiesz na wolność.

- Wyjechali z kraju - odpowiedział Georgios Ferentinou.

Człowiek z długopisem zaczął pisać. Nie przestawał przez dwadzieścia minut. Ci panowie, ich pomieszczenie, ich nieustanne, nieustanne, kopcenie papierosów, zapach czegoś ukrytego i wszechobecny lęk, że jego przyszłość zależy tylko od nich, sprawiały, że słowa tryskały z Georgiosa jak woda z pompy. Zawsze wyobrażał sobie, że na przesłuchaniach będzie twardy, że nigdy się nie złamie. To wszystko uleciało. Był całkowicie zdany na ich łaskę. Miał za mało lat, żeby przeżyć zamieszki roku 1955, po których z miasta wyjechała połowa odwiecznej greckiej populacji - ostatnie dzieci Bizancjum. Jednakże tej wrześnieowej nocy powtórzyły się te okropne ludowe opowieści z dzieciństwa: podpalenia, gwałty, obrzezywanie mężczyzn siłą na ulicach, wrywanie bród popom, człowiek w splądrowanym sklepie na Istiklal Caddesi, starannie, jedna po drugiej, rozbijający perły młotkiem, ślepy tyłek na wartość, co na piękno. Groźby roku 1980 skrywały się za wymazaną sprejem roletą sklepu, wymazaną odchodami cerkwią, Sugestią Wyprowadzki przyklepioną na drzwiach gabinetu dentystycznego ojca Georgiosa. Usłuchali sugestii. A nowy rząd jeszcze złośliwie pozbawił ich obywatelstwa.

A teraz siedział w pokoju barwy dymu papierosowego i otwierał serce przed trzema panami z Wywiadu, jakby się w nich zakochał. Ilu zdrajców spotkał? No, był Arif Hikmet z katedry, Sabri Iliç, redaktor działu gospodarczego „Hürriyet” i Aziz Albayrak, ale on był z Państwowej Komisji Planowania, niemożliwe, żeby był zdrajcą, i Recep Gül, matematyk i Devlet Sezer, powieściopisarz. Nazwiska lądowały na bloku człowieka z długopisem. Georgios sypał odpowiedziami przez cały dzień. O siódmej odłożyli długopisy i zapletli ręce.

- To mogę już iść? - zapytał Georgios Ferentinou.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział główny przesłuchujący. - Zna pan Ariane

Sinanidis?

Żółty od dymu pokój na Üsküdar, w Azji, za Bosforskim Mostem, po jeździe czarnym samochodem.

Mimowolne westchnienie wrywa mu się, gdy z mostu Galata ma widok na Sultanahmet, pełen wachlarz kopuł i minaretów nad zatoką Złoty Róg. Od Hagii Sofii i Błękitnego Meczetu po meczety Sulejmana i Sułtana Selima, czekają tu jak okopana święta armia. Ramazan skończył się miesiąc temu, ale między minaretami ciągle wiszą girlandy świątecznych świateł i transparentów z duchowymi naukami. Wzdycha, odczuwając czysty zachwyt jednym z najpiękniejszych miast na świecie, choć także dlatego, że nie pamięta, kiedy ostatni raz patrzył na tę paradę architektury, kiedy ostatni raz przejeżdżał mostem Galata. Po zatłoczonych nabrzeżach Eminönü jeżdżą tam i z powrotem tramwaje. Nawet klimatyzacja limuzyny nie izoluje od zapachu smażonej makreli. Wirtualne Stambuły w białej bibliotece Georgiosa nie mają zapachu. W dół, przepycha się z klaksonem przez tłum i na prom. Z Europy do Azji jest tylko dwadzieścia minut, Georgios jednak gramoli się z sapaniem schodami na górę, na pokład. Szofer upiera się, że pójdzie z nim. Georgios obawia się, że może być uzbrojony. Wszyscy wyszli na pokład, licząc na drobną ulgę od upału, ale dziś nad Bosforem powietrze ani drgnie. Kobiety w chustach chłodzą się małymi elektrycznymi wiatraczkami. Gładkonoga dziewczyna w króciutkich szortach i topie sadowi się na poręczy, żeby widzieli ją kierowcy ciężarówek. Prom wyłania się zza cypla Sarayburnu i delikatnie reguluje szybkość i kurs, aby wpłynąć za gigantyczny rosyjski gazowiec pełną pary Bosforem w stronę Morza Marmara. Georgios podziwiał ciągle, instynktowne przeliczenia prędkości względnych w głowie kapitana. Świadomość nie jest niezbędna dla inteligencji.

Minąwszy mosty, wielki statek podniósł żagle latawcowe. Georgios ocenia oczy dłonią i wiedzie wzrokiem wzdłuż lin ku łopoczącym, napiętym latawcom wielkości ulicznych kwartałów. Kilometr nad ziemią mają dobry wiatr. Na południu, gdzie szpara między kontynentami poszerza się aż po horyzont, niebo jest czarne od takich latawców.

Ariana wyjechała ze Stambułu, kiedy rozpełtała się druga fala aresztowań. Georgios pojechał z nią na ten brzeg. Pamięta wiszące nad nimi mewy, prawie nieporuszające skrzydłami, nurkujące i szybujące, a przy tym wcale niezakłócające symetrii stada. Prom przyczał się za długim molo, przy dworcu Haydarpaşa. Tam zobaczył ciężarówkę żandarmerii zaparkowaną przed teutońskim frontonem dworca i zawahał się na szczycie schodów. Policjanci opierali się o ścianę i palili. Policji w planie nie było.

- Nie jedź ze mną - powiedziała. - Poradzę sobie.

Pociągiem do Izmiru, potem promem do Pireusu. Już na Morzu Egejskim będzie

bezpieczna. Uniósł dłoń na pożegnanie, kiedy mijała odpoczywających policjantów. Nawet nie unieśli wzroku. Nie obejrzała się.

Patrzył, aż miał pewność, że dotarła na stację. Uświadomił sobie, że boi się od tak dawna, że ma lęk w oddechu, chodzie, śnie, czytaniu i myciu. Zrozumiał, że to, co czuje teraz, to nie brak Ariany, lecz koniec tego lęku. Brak przyjdzie później i będzie straszny.

„Żadnych telefonów, żadnych listów” - powiedział jej wtedy. Nie miał wątpliwości, że czytają jego pocztę, że czyjeś ucho słucha jego rozmów, że linie na uczelni są stale na podsłuchu. Spodziewał się jednak jakiejś wieści emigrancką pocztą pantoflową. Ariana zaś zniknęła jakby umarła.

Prom mija dworzec Haydarpaşa, już niestanowiący bramy do Azji, pociągi bowiem mkną bezpośrednio pod czarnym, pełnym kości mułem na dnie Bosforu. Ryczą silniki, kapitan przybija statkiem do pochylni. Samochód niesie Georgiosa nabrzeżem Morza Marmara, w cieniu ogromnej betonowej misy stadionu Fenerbahçe, przez anonimowe, stłoczone blokowisko i nad skalnym grzbietem w niespodziewaną wspaniałość. Oto ukryte miejsce, w wąskiej dolince opadającej ku Morzu Marmara. Stopy ma w paskudnej, chaotycznej nadbrzeżnej zabudowie i drodze ekspresowej do Bursy, za to głowę skapaną w przepięknej zieloności. Migają mu zmysłowe, soczewkowate osmańskie dachy pod koronami śródziemnomorskich dębów i lip o łuszczącej się korze. Człowiek w czapce otwiera bramę z kutego żelaza, trzy razy wyższą od niego. Drugi, w służbowym garniturze, kiwa głową i dotyka palcem słuchawki ceptepa. Jadąc krętym podjazdem, Georgios zauważa jeszcze paru takich nonszalancko aroganckich gości w rozpiętych marynarkach. Pawilony i altany koziółkują w dół ku morzu, pomiędzy wypielegnowanymi rododendronami i azaliami. Z tego kokonu zieloności zupełnie nie widać nadpleśniałych białych sześcianów domów spiętrzonych na zboczach doliny. Do klimatyzacji wozu zawiewa aromatem cedru i sosny alepskiej.

Sam dom rozczarowuje - dach zbyt płaski, okapy za ciężkie, balkony nieco za bardzo wychylone, zepsute przesadą swobodne harmonie klasycznej osmańskiej architektury. A to przecież całkiem udana imitacja jednego z pomniejszych Pałaców Cesarskich z końca imperium - typowego miejsca aresztu domowego dla paszów, których bracia obejmowali tron, w cywilizowanych czasach, kiedy rywali już nie duszono podczas koronacji. Zbudował to jakiś biznesmen z ostatniej ery: nostalgia za pogodnymi, promiennymi dniami, gdy imperium było silne.

Kobieta w garsonce pobiera różdżką zapach Georgiosa, sprawdza, czy jest na liście, daje przywieszkę i odprowadza go schodami do głównego salonu. Wszystko ocieka tu

europijskim kiczem: złote lichterze wzrostu człowieka, obrośnięte złotymi owocami i liśćmi, meble na krzywych i spiczastych francuskich nóżkach. Cherubinki, aniołki, rzymscy bogowie i pomniejsi członkowie chrześcijańskiego panteonu kłębią się razem na sufitowym fresku, nonszalancy i ekumeniczni w promieniach słońca. Przedstawieni są tak, jak można się spodziewać po kulturze bez tradycji malarstwa figuratywnego.

Salon na piętrze jest miniaturą Sali Lustrzanej z Wersalu. Złocenia łuszczą się z ram, zwierciadła są poczerniałe i upstrzone plamami, gdzie utleniło się srebro. Taniocha. Kelner podaje Georgiosowi kawę i parę kawałków słodyczy. Wszędzie stoją grupki mężczyzn w eleganckich garniturach. Rozmawiają swobodnie, jak starzy znajomi, jakby widywali się co tydzień, zręcznie balansując kawami i bakławami. Georgios krąży wokół nich, stary, gruby i zażenowany, w wytłuszczonej na łokciach marynarce i za ciasnej eleganckiej koszuli.

Jego uwagę zwraca drugi samotnik. Rusza ku niemu, okrążając konstelacje pewnych siebie ludzi. Ma szary garnitur z centrum handlowego, kołnierzyk koszuli go uwiera, a mankiety zaczepiły się o rękawy marynarki. Rozpoznawszy współudręczonego, staje obok Georgiosa w głębokim wykuszu okiennym, wychodzącym na ogród pełen krzewów i altan, a dalej na szumowinę nadmorskich zabudowań. Latawcowe żagle przepływających cieśniną statków wypełniają niebo jak klucze ciemnych, wędrownych ptaków.

- Przydałoby się coś do wytarcia palców - mówi tamten.

- Przy drzwiach są serwetki, zdaje się - odpowiada Georgios.

- Powiedziałem, żeby przeprosić za lepką rękę. - Dobiega trzydziestki i ma nieznaczny zarost, przycięty krótko, co sugeruje, że normalnie pozwala mu rosnąć dużo swobodniej. Ma jasne, zwierzęce oczy i śniadą twarz, która oglądała dużo słońca. Ręka była lepka, ale mocna, wysportowana. - Emrah Beskardes.

- Georgios Ferentinou.

- Skłamałbym, mówiąc, że o panu słyszałem.

- No, nikt o mnie nie słyszał. Od dłuższego czasu.

- Gwarantuję, że o mnie też nie.

- A co pan robi?

- Jestem zoologiem. - Georgios nie jest człowiekiem, który gardziłby czyjąś specjalizacją. Interesuje go każda nauka. Prawdziwa mądrość wycieka ze złączeń między dyscyplinami. - Specjalizuję się w przesyłaniu sygnałów w populacjach zwierzęcych.

Georgios unosi brwi. Nie zatracił tego symptomu intelektualnej ciekawości.

- Domyślałem się, że to może być bardzo przydatne w praktyce.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy na coś się tu przydam. - Emrah Beskardes

wzdycha. - Ale płacą dobrze. A mogę ja zapytać?

- Oczywiście, oczywiście. Jestem... raczej byłem... ekonomistą. Doświadczalnym. Od paru lat już w tym nie siedzę.

Wyrafinowane rozmowy przerywa nagle dzwonienie - nie jakiś bajerancki kurant zegarowy, ale facet w garniturze wałacy łyżeczką o krawędź filiżanki.

- Panie i panowie, pozwolicie, proszę, za mną?

- No to spełnijmy swój obowiązek wobec ojczyzny - mówi Beskardes.

Szybko i dyskretnie wsuwa do nosa dyszę nanoinalatora i zaciąga się.

Częstuje Georgiosa maleńkim stożkiem. Georgios odmawia. Fascynuje go, że protokół zapina się pod szyję, a technologia tańczy sobie radośnie po całym świecie.

Kupiec, który zbudował ten pałacyk, wydał fortunę na zewnętrzną fasadę. Salon z tyłu domu jest pozbawiony ozdób, niemal dziadowski ze swoimi płaskimi pilastrami, splekanymi gzymsami, łuszczącą się farbą, wyblakłą ze starego złota do ohydneho musztardowego. Okna wychodzą na magazyny i garaże, baterię słoneczną i linię energetyczną nurkującą pomiędzy zabudowanymi domami zboczami tej ukrytej dolinki. Organizatorzy rozstawili stoły w podkowę, powiesili na ścianie staromodny ekran z inteligentnego jedwabiu. Nic do ściągnięcia na ceptepy, nic do wyniesienia z tej sali. Na stołach stoją dwa gatunki wody, ale żadnych notatników ani długopisów. Emrah Beskardes rysuje domek na dziecięcym znikopisie przy swoim miejscu i ściera go z widoczną przyjemnością.

Delegaci zajmują miejsca. Georgios zauważa, że trzymają się w tych samych towarzyskich grupkach, jakie potworzyli w głównym salonie. Tylko trzy kobiety. Wysoki, chudy facet o niesamowicie smukłych dłoniach wbiega przez podwójne drzwi i zajmuje miejsce na szczycie podkowy - Georgios czuje dwie reakcje, powiązane ze sobą, których nigdy już nie spodziewał się przeżyć. Jedna to skurcz w dole brzucha; dawno nieruszone mięśnie przypominają sobie obowiązek uzbrojenia ciała przeciw zagrożeniu. Druga to powolny, łaskotliwy skurcz moszny. Georgios zna tego człowieka. Ostatni raz widział go właśnie za tak ustawionymi stołami, pełnymi butelek gazowanej i niegazowanej wody, na naradzie, gdzie zmuszono go, by odszedł z uczelni. To profesor Ogün Saltuk. Jego odwieczny wróg.

Starzejesz się lepiej niż ja, myśli Georgios, patrząc, jak profesor Saltuk powoli rozgląda się po sali. Włosy wyszły ci szybciej, ale byłeś na tyle mądry, żeby zgolić je do końca, a w brodzie masz jeszcze trochę czerni.

- Panie i panowie - mówi profesor Saltuk. - Dziękuję za przybycie na inauguracyjne spotkanie Grupy Kadiköy. Przepraszam, że to tak po bondowsku wyglądało, ale tego typu

przedsięwzięcia - na tyle eksperymentalne - z konieczności muszą odbywać się za zamkniętymi drzwiami, w tajemnicy, i wiedzą o nich tylko osoby zainteresowane. Dziękuję, że przybyliście tutaj, niektórzy z bardzo daleka, poinformowani z tak niewielkim wyprzedzeniem. Mam nadzieję, że hotele okazały się wygodne. Zapewniam, że zajmiemy się kwestią rozliczeń. A teraz pora się przedstawić: jestem profesor Ogün Saltuk ze Szkoły Ekonomicznej Uniwersytetu w Stambule.

Przerywa, bierze mały łyk wody Emrah Beskardes już rysuje na znikopisie jego karykaturę jako jaszczura. Saltuk kontynuuje.

- Umyślnie wybieraliśmy z szerokiego spektrum dyscyplin naukowych: zaprosiliśmy ekonomistów doświadczalników, fizyków materiałowych, epidemiologów, analityków politycznych i ekonomicznych, historyków, a nawet naszego lokalnego autora fantastyki. - Kiwa głową krępemu człowiekowi w średnim wieku, z siwiejącą brodą. Udaje mu się uśmiechnąć uprzejmie.

- Zoologów - szepcze Beskardes i ściera Saltuka-jaszczura.

- Wiele dziedzin i wiele historii; można się zastanawiać, czy w ogóle coś może nas łączyć. Nie będę aż tak prymitywny, by rzec: „miłość do naszego wielkiego kraju”, stwierdzą jednak, że jego los leży nam wszystkim na sercu. Każde z nas na swój własny sposób przejmuje się tym wielkim krajem, jego przeszłością, teraźniejszością i - tak - przyszłością. Choć czujemy się lojalni wobec rozmaitych politycznych ugrupowań, przede wszystkim jesteśmy przykładnymi obywatelami Turcji. W ciągu pięciu tysięcy lat cywilizacji nasza historia wynikała często wprost z geografii. Mieszkamy dokładnie w połowie między biegunem północnym a równikiem. Jesteśmy bramą łączącą Żyzny Półksiężyc i Europę, Azję Środkową i basen Morza Śródziemnego oraz Atlantyk. Na naszą ziemię przyływały i odpływały narody i imperia. Nawet dziś sześćdziesiąt procent dostaw gazu dla Europy przepływa przez Bosfor albo rurociągami pod naszymi stopami. Zawsze byliśmy pępkiem świata. Niemniej, to uprzywilejowane położenie z samej natury rzeczy otacza nas historycznymi wrogami - na północy Rosją, na południu Arabami, na wschodzie Persją i na zachodzie samym Czerwonym Jabłkiem, Europą.

Czerwone Jabłko: mit osmańskiego imperializmu. Kiedy Mehmed II Zdobywca patrzył zza blanków swojej fortecy na Konstantynopol, Czerwonym Jabłkiem była złota kula w otwartej dłoni posągu Justyniana na Hipodromie, symbol rzymskiej potęgi i ambicji. Mehmed przejechał przez zrujnowany Hipodrom, przez zniszczone ulice umierającego Bizancjum i Czerwone Jabłko stało się samym Rzymem. Zawsze miało być nieosiągalne - uosabiało ducha parcia na zachód, czerwoną kulę zachodzącego słońca.

- Teraz znaleźliśmy się pomiędzy arabską ropą, rosyjskim gazem i irańskim promieniowaniem: okazało się, że jedynym sposobem na zdobycie Czerwonego Jabłka jest przyłączenie się do niego.

Kiepskie teksty, myśli Georgios. Czymś takim nie obraża się nawet inteligencji studentów pierwszego roku.

- Ta grupa została pomyślana jako nieformalny zespół ekspertów pracujący równolegle z grupą Hacettepe z Ankary. Od jakiegoś czasu pracowałem z MIT nad koncepcją takiej czysto spekulatywnej grupy, ale sytuacja nas ponagliła. Jak wiecie, wczoraj w tramwaju na Beyoğlu był zamach bombowy. Dysponujemy dodatkowymi informacjami, które sprawiły, że MIT zmieniła stan zagrożenia na czerwony. Nie mogę wam powiedzieć, jaka to informacja, to byłoby sprzeczne z koncepcją tej grupy. Być może słyszeliście o moich pracach. Wydałem taką książkę... *Wielki skok: niewiedza naprawdę jest błogosławieństwem...?* Nie? Wyszła po angielsku... No, w każdym razie, teza, którą tam prezentuję, jest taka, że inteligencja, mając do dyspozycji tylko minimalne informacje, potrafi dokonać intuicją skoków, których nigdy by nie osiągnęła przy ukierunkowanym myśleniu.

Znam tę teorię, myśli Georgios Ferentinou. Znam ją aż za dobrze. A ty też aż za dobrze znasz drugą część tego stwierdzenia, że warunkiem wstępnym dla takiego Wielkiego Skoku jest bogaty, zróżnicowany i obfity ekosystem informacyjny, w którym żadne dane nie przeważają nad innymi. Nie kompletna informacja, to ekonomiczna fikcja, ale zrównoważone środowisko.

- Zgromadziliśmy tu najbardziej zróżnicowanych i oryginalnych tureckich myślicieli. Sieć zarzuciliśmy bardzo szeroko, gdyż dążymy do eklektyczności. Uważam, że ta grupa, zasilona minimalną informacją, będzie w stanie wypracować przemyślenia i intuicje, na które nigdy nie wpadnie grupa Hacettepe. Tu wolno myśleć, tu wszystko wolno. Można bujać w obłokach i myśleć o niebieskich migdałach. Powiem tylko jedno: podczas sesji nie polegajcie tylko na własnych mocnych stronach. Pozwólcie sobie się bawić, zaakceptujcie element zaskoczenia. Zapewne ucieszę was, mówiąc, że dziś nie wymaga się od was wielkich umysłowych wysiłków. Dzisiaj nie. To jest sesja wstępna, okazja do poznania siebie nawzajem, zapoznania się ze specjalnościami innych. Namawiam, żebyście trochę jeszcze posiedzieli, porozmawiali. Rząd stawia.

Drobny, ale pełen aprobaty śmieszek starszych naukowców.

- W tym tygodniu odbędą się cztery sesje. Rozumiecie zapewne, że nie mogę wam zostawić żadnych materiałów ani dokumentów; zostawię was natomiast z jedną myślą. Pobawcie się nią, spojrzycie ze wszystkich stron, poobracajcie ją w głowach.

Saltuk wykonuje palcami gesty prezentera telewizyjnego. I zęby sobie wybielił. Georgios zauważa teraz, że idealnie się schodzą. Takie doskonale zęby wyglądają fałszywie i trochę groźnie. Georgios zgrzyta własnymi.

- Proszę sobie nie narzucać autocenzury, proszę się niczego nie bać. Jedno słowo: gaz.

* * *

Na całym parkiecie Özera rozlegają się dzwony. Sztuczne Inteligencje wyłączają się wokół Adnana jak składające skrzydła motyle. Rynek zamknięty. Ukreślił na niewielkich różnicach notowań ćwierć miliona po potrąceniu marży. Leciał strategią „żelaznego kondora”, handlując dwudziestoczęterogodzinnymi opcjami. To element gry wstępnej do Turkusa, próba delikatnego łaskotania rynku, żeby zmaksymalizować wartość tego irańskiego gazu. Adnan uwielbia opcje, tupet i szybką kasę krótkiej sprzedaży, strategię zabezpieczającą zmieniającą się z minuty na minutę, w miarę jak cena rynkowa schodzi się z ceną wykonania. Strategie stelaża, *straddle*, *butterfly* i ów „żelazny kondor” - Adnan nieustannie zmieniał podejścia, przewidując reakcje rynku. Nie chodzi tu o gaz, kredyty węglowe, pomarańcze. Sam surowiec jest nieistotny. Liczy się transakcja. Transakcje, kontrakty. Istnieją nawet instrumenty pochodne na cenach cebuli. Rynek pieniężny jest w nieustannym ruchu. Rynek to ciągła rozkosz.

Kiedy pierwszy raz przyjechał do Kaş swoim nowym audi, w szytym na miarę garniturze, rybacy na nabrzeżu przywitani go szyderstwami, barmani i restauratorzy rzucali żartami, ale za tym grubiaństwem i grubą gadką kryło się odkrycie, że z Kaş można się wydostać, dotrzeć aż do samego Stambułu i zarobić pieniądze.

Nikt tam nie rozumiał, jak on te pieniądze zarobił.

- Sprzedajesz coś, czego nawet nie masz, żeby kupić taniej, kiedy spadnie cena? - zapytał ojciec. - Jak tak można?

Siedzieli na łódce, solidnie przycumowanej do pomostu. Któregoś dnia Adnan odważył się wypłynąć nią na turkusowe, oślepiające słońcem Morze Śródziemne. Ale nie dzisiaj.

- Krótka sprzedaż - powiedział. - To taki sposób zabezpieczenia się na obie strony.

Ojciec uniósł dłonie i pokręcił głową, kiedy Adnan próbował objaśnić mu instrumenty pochodne, opcje, kontrakty terminowe i to, że codziennie obraca się kontraktami, których wartość dziesięciokrotnie przekracza produkt gospodarczy całej Ziemi.

- Mnie to wygląda, że wy nawet nas nie potrzebujecie - odezwał się ojciec. - Te banki, fundusze, firmy jak twój Özer, potrzebują tylko tych kontraktów i tych rzeczy do obracania. Prawdziwa gospodarka jest wam na nic. Prawdziwa gospodarka tylko przeszkadza.

- Tato, ja tylko kupuję i sprzedaję.

- No tak, wiem, wiem. Ale, jak mnie zapytają, to chciałbym umieć powiedzieć ludziom, co ten mój syn naprawdę tam robi.

Adnan zdejmuje czerwoną marynarkę i rzuca ją jednemu ze swoich specjalistów ds. komunikacji. Schodzi z parkietu. Była cała przesiąknięta potem. Parę razy próbował policzyć, ile płynu wypaca na parkiecie - przynajmniej odpowiednik meczu piłki nożnej, a pewnie i więcej. Oni grają tylko dziewięćdziesiąt minut, z przerwą. Wolno im nosić szorty. Adnan jest niemal permanentnie odwodniony. Ale lubi ten żar nerwowości, to delikatne rozedrganie. Dobrze komponuje się z nano, a pierwszy drink zawsze wali w głowę jak młotem.

Kemal unosi wzrok znad szklaneczki. Faza Rozliczeń. Łypie na Adnana, krzywi się dziwnie.

- Gdzie idziesz? - pyta.

- Mam spotkanie.

- Co za spotkanie?

Adnan nachyla się, jak do pocałunku.

- Z Białym Rycerzem.

- A to nie jutro wieczorem?

- Jutro wieczorem. O siódmej bardzo elegancka motorówka zabierze nas na Wyspy Książęce. Ale do tej pory muszę odebrać od krawca najlepszą koszulę w całym mieście i posiedzieć z pół godziny u fryzjera - nie chcę wyglądać jak jakiś, kurna, student, a w nosie mam sierść jak u psa na dupie. I jeszcze może kupię Ayşe coś ze srebra, bo lubi srebro i super w nim wygląda. A jak to wszystko załatwię, będzie w sam raz pora na motorówkę.

- Czyli dzisiaj wieczorem biznesu nie pilnujesz. - Kemal zagryza dolną wargę. Ostatnio robi to coraz częściej, ale przecież zawsze był nerwowym. Bierze coraz więcej nano na koncentrację. U Proroka jest dyżurnym nerwusem, tym wojskowym świrem z wytrzeszczem, który szaleje z przenośnym działkiem. Konwulsor: Ultralord Nerwów.

- Dzisiaj nie. - To sprawa zawodowego honoru Adnana, być z nimi podczas rozliczeń. Sarioğlu regulują swoje rachunki. - Więc jeśli musisz pozakopywać jakieś trupki, dzisiaj jest dobry dzień. - Klepie Kemala mocno po plecach. Ten o mało co nie eksploduje.

- No to idź i wyruchaj Białego Rycerza - rzuca, choć żart jest mało przyjemny, jak sypnięcie piaskiem w oczy.

- Nie omieszkam. Zadzwońię potem.

Nie po raz pierwszy Adnan zastanawia się nad lojalnością Kemala czy reszty wspólników. Przemyślał Turkusa w każdym szczególe: firmy-słupy, instrumenty finansowe, delikatną manipulację rynkiem, strategie hedgingowe - wszystko, poza sposobem wyjścia z

interesu.

* * *

Babka cioteczna Sezen mieszka na balkonie od tak dawna, że stała się częścią architektury. Nikt nie pamięta, kiedy pierwszy raz przeciągnęła łóżko przez rodzinny salon i wystawiła je na mały, żelazny balkonik z wywieszoną turecką flagą, ale odtąd co najmniej dwa pokolenia wprawnych w obsłudze elektrycznych narzędzi i palników do spawania mężczyzn z rodziny Güлтаşı rozbudowały go o daszki, parawany, przybudówki i aneksy, tak że teraz balkon babki ciotecznej jest jak drugie mieszkanie, uczone niczym pajak ściany tego pierwszego. Siedzi tam, lato czy zima. Uważa, że spanie w pomieszczeniu źle robi na płuca. Twierdzi, że od trzydziestu lat nigdy się nie przeziębiła. I może patrzeć na przepływające poniżej życie Bakirköy oraz podchodzące do lądowania samoloty - uwielbia je właśnie dlatego, że nigdy żadnym nie leciała i nigdy nie polecie. Patrzy na nie jak na dzikie ptaki, dziedzinę ornitologii.

To lwica, nie kobieta. Siedzi na zewnątrz domu, a wypełnia sobą cały środek. Jest tęga, o wiejskiej budowie ciała. Wieńczy ją gęsta jak u zwierza szopa szarych włosów, czesanych i układanych co rano przez kobiety z rodziny. Niewiele mówi - nie potrzebuje. Oczy ma bystre i przenikliwe, wszystko widzące i rozumiejące jeszcze więcej. Nadal ledwo czyta, świat dociera do niej przez rozgałęzioną, rozrośniętą bez końca rodzinę oraz radio, które uwielbia, zwłaszcza teraz, kiedy ma je podłączone do baterii słonecznej. Na telewizję nie ma czasu. Jest *mater familias* prawdziwej telenoweli. I wszyscy ją kochają.

Młodsza ciotka Kevser jest jej wezyrem. Doradza, komunikuje i dowodzi. Zajmuje się interpretacją woli ciotecznej babki. Wydaje fatwy. Jeśli babka cioteczna jest za, coś jest halal, jeśli nie - jest haram, potępione, bezapelacyjnie. Często nie zgadza się zwracać Sezen głowy byle czym - sama zna matronę od tylu lat, że doskonale wie, czy zaaprobowałyby coś, czy też nie. Młodsza ciotka Kevser jest chuda jak szczapa, w nieokreślonym średnim wieku, krótkowłosa, w kwadratowych okularach. Aż kipi od nerwowej energii. Nigdy nie czuje się dobrze, siedząc w fotelu czy na kanapie. Nigdy nie wyszła za mąż i nikt się nie spodziewał, że wyjdzie. Jest Wielkim Wezyrem i Stróżem.

- Porwał mi samochód - mówi Leyla Güлтаşı.

Yaşar unosi palec. Młodsza ciotka Kevser domaga się przestrzegania parlamentarnych procedur. Babka cioteczna Sezen lubi porządek.

- W kwestii formalnej. To samochód firmy Ceylan-Besarani.

- O co mi chodzi: podjęłam się tej pracy, rozumiejąc, że mam opracować strategię finansowania dla firmy nanotechnologicznej - mówi Leyla. - Nikt mi nie powiedział o

bandytach porywających firmowy samochód ani o podejrzanych krewnych, którzy dealują szarym nano i znikają z masą długów, ani o tym, że połowa rodzinnej pamiętki robi za zabezpieczenie pożyczki.

Gültaşı-Ceylanowie patrzą na nią. Rada składa się z młodszej ciotki Kevser, głównego wuja Cengiza, kuzyna-rezydenta Deniza, ciotki Betül i babki ciotecznej Sezen na balkonie, gdzie radio szemrze jak mały śpiewający ptaszek.

- Jestem zawodowcem i oczekuję odrobiny zawodowego szacunku.

Cisza wokół stołu. Silnik od hondy cały czas stoi pod nim, na warstwie pism motoryzacyjnych.

- Nie kiwnę palcem, dopóki mi nie powiecie, o co tu chodzi.

Głos zabiera ciotka Betül. Jest rodzinnym genealogiem.

- Mehmet Ali pochodzi ze strony Yazicoğlu, zatem macie wspólnego pradziadka, Mehmeta Paszę, czyli jesteście wszyscy kuzynami w drugiej linii. Mehmet Pasza to ojciec babki ciotecznej Sezen. Jego najstarszy syn Hüseyin był głową tej gałęzi rodziny, dopóki nie zmarł, dwanaście lat temu, przedwcześnie zabrakło go wśród nas; jego trzeci syn to Mustafa Ali, wasz dziadek, który w latach czterdziestych był kierowcą autobusu i wzenił się w rodzinę Özuslu z Demre, a jego najmłodsza córka Fazilet wyszła w 1973 za Orhana Ceylana i założyła nową gałąź rodziny w Zeytinburnu. Jesteście zatem spokrewnieni i są więzy krwi.

Rodzina nade wszystko. Leyla, odkąd wysiadła z autobusu z Demre, obawiała się, że pozwolono jej wyjechać do Stambułu tylko dlatego, że wszyscy rozumieli, że to tylko na jakiś czas. Któregoś dnia matka się przewróci albo ojciec będzie miał wylew. W Stambule zadzwoni ceptep, padnie hasło „rodzina” i resztę życia będzie musiała spędzić, karmiąc ojca łyżeczką albo sprowadzając matkę po schodkach na ulicę i z powrotem. Bracia dobudują do długonogiego domu kolejne pięterko, będzie miała wygodną własną kuchnię i łazienkę i mały balkonik, z którego będzie mogła patrzeć na połacie folii, falującej jak woda pobliskiego, ale nieosiągalnego morza. Nie będzie wolna. Kobiety z Demre nie mają wolności. Mają obowiązki. Kariera zawodowa - po co kobiecie coś takiego? Kobiety nie robią karier, to wbrew naturze. Już kiedy była dziewczynką, było wiadomo, że jej przypadnie opieka nad starszymi. Siostry zaś będą miały mężów i dzieci.

Na dwunaste urodziny siostry, Rabii, Leyla kupiła jej precudowny prezent, coś, co zobaczyła w sieci i od razu się zachwyciła: Magiczny! Latający! Lampion! Kiedy niebo pociemniało, wszyscy wyszli na świeży płaski dach - Aziz dopiero co skończył dobudowywać piętro dla nowożeńców - a ojciec podpalił mały kłębek nasączonej benzyną waty. Stali wokół świecącego bibułkowego balonu, pełni wątpliwości, czy ten delikatny i łatwopalny wynalazek

w ogóle na coś się zda - czy tylko zajmie się ogniem i rozwieje go wiatr. Nagle ojciec puścił go, a balon przepięknie, wspaniale podskoczył na betonie, a potem wzleciał, szybko i wysoko, świetlna kula malejąca na tle fioletowego nieba z pasmami ciemnoniebieskich chmur. Magiczny! Latający! Lampion! leciał coraz wyżej i wyżej, aż porwał go wiatr znad gór, przepchnął nad najwyższym hotelem dla Ruskich i pociągnął nad ciemne morze.

„Jeszcze, jeszcze!” - zawołała mała Rabia, więc posłali w powietrze pozostałe trzy, jeden za drugim. Niestety, czar działa tylko za pierwszym razem, a Leyla, wysilając wzrok, żeby dojrzeć maleńką jaskrawą kropeczkę na tle spiętrzonych chmur, pomyślała: Ja taka będę. Polecę tak wysoko i tak jasno zaświecę, że nikt już nie da rady mnie ściągnąć na plantacje pomidorów do Demre.

Ale rodzina ciągnie, rodzina więzi, rodzina krępuje - dziś zwołała tę naradę w salonie domu rodzinnego Gültaşlıch po części dlatego, że nie powiedziano jej wszystkiego, co powinna wiedzieć o Mehmedzie Alim i umowie pod zastaw połówki Koranu, a po części, by powiedzieć im, że nie mogą za nią decydować ani pozwalać sobie na różne rzeczy, które rodzina uznaje za uprawnione. Dzisiaj występuje tu jako Leyla Gültaşlı, profesjonalna konsultantka od marketingu, a nie Pomidorek z nosem w książkach. Macie mnie traktować poważnie.

Główny wuj Cengiz jest najstarszym mężczyzną i włada światem zewnętrznym interesów i transakcji, tak jak kobiety rządzą światem domowym i rodziną.

- Zawsze był trudny, odkąd tylko się urodził. Jego ojciec jeździł na ciężarówkach, więc nigdy nie było go w domu, żeby nauczyć chłopaka dyscypliny, a kiedy miał trzynaście lat, jego żona ni stąd, ni zowąd odeszła i zabrała młodszą córkę. To właśnie problem tego kraju: nikt się nikogo nie trzyma, a jak tylko jest jakiś kłopot, trzeba się trochę wysilić albo przychodzą trudności, to wszyscy wstają i wychodzą. Trochę się pogarsza i od razu co lepsi wyjeżdżają. No dobra, więc ojciec się nim nie zajmował, bo ciągle jeździł, a ja wtedy pracowałem z jego wujem, Azizem Yazıcıoğlu w sklepie z częściami. Nie miał dla chłopaka miejsca, więc przyszedł do mnie, ja miałem pokój, bo dopiero co ożeniłem Semiha, więc go wzięłem. Najgorsza decyzja w życiu. Policja przychodziła co drugi dzień. A twoja ciotka Esmā patrzyła przez palce. Zajmowałem się nim, póki nie dorósł do wojska; miałem nadzieję, że to mu wbije trochę rozsądku do głowy. No, trochę wbiło, bo jak wrócił, od razu wyprowadził się do własnego mieszkania. Nikt nie widział go na oczy przez sześć miesięcy, a potem pojawił się w bajeranckim garniturze, sportowym samochodzie i z jakąś ruską Nataszą pod rękę. Od gościa, co prosi wszystkich o jakieś drobne, do góry kasy w sześć miesięcy? Nie ma mowy, żeby zarobić to uczciwie i jak należy.

- Dawno to było? - pyta Leyla.

- Trzy lata temu.

- Pytał go ktoś, skąd wziął nagle tyle kasy?

- Trochę handlu, trochę deweloperki, jakieś interesy na imigrantach do pracy. Każdy pieprzony cwaniak się do tego rzucił, kiedy weszliśmy do Unii - warczy wuj Cengiz.

Młodsza ciotka Kevser odchrząkuje. Babka cioteczna Sezen nie toleruje brzydkich wyrazów. Leyla zmierza prosto do zrobienia z Cengiza Gültaşęgo durnia w jego własnym domu. Waha się przed kolejnym pytaniem: „I ty w to wierzyłeś?”. Musi jednak zadać inne, bo już i tak zrobiła z niego durnia.

- Czyj to był pomysł, żeby pójść do niego po pożyczkę?

- Żaden z komercyjnych banków nie chciał nawet z nami gadać - powiedział Yaşar.

- A Aso? Nie miał żadnych kontaktów ani rodziny, która mogłaby pomóc?

- Są różne kurdyjskie fundusze rozwoju regionalnego, inwestujące w firmy zaawansowanych i wschodzących technologii. Jeden problem: wszystkie są w Diyarbakir.

- Mówisz, że nie poszłicie do regionalnych funduszy, bo nie chcieliście jechać do Kurdystanu?

- Pracuję z Kurdem. Mój wspólnik jest Kurdem. Przyjaciel, nie tylko wspólnik. Mówię, że tam nie pojechaliliśmy, bo tam nie ma infrastruktury. Sztambuł to miasto nano, Ankara to miasto nano, Diyarbakir to... po prostu miasto.

- Ja podjąłem decyzję - dodaje wuj Cengiz. - Nikt nie chciał z nimi gadać, albo chciał niemożliwych zabezpieczeń, albo zbyt dużego procentu udziałów, albo lichwiarskich odsetek. Rodzinne odsetki i opcja odkupu całych pięćdziesięciu procent, kiedy zarobią prawdziwe pieniądze. Najpierw idzie się do rodziny.

- On zajmował się wtedy szmugłem ludzi - mówi Yaşar. - Przerzucał nielegalnych imigrantów z różnych „coştamstanów”.

- A teraz robi w nano - odzywa się Leyla. - Całą kuchnię ma pełną plastikowych fiolek. Ktoś ma pojęcie, co to za gość, który porwał samochód? On mu wisi kasę? Możecie zrobić rodzinną przysługę i się rozpytać? Ktoś musi coś wiedzieć. Jeśli ma oko na mnie, to ma oko na wszystkich. A ja się go boję.

Mężczyźni przy stole pomrukują.

- A ktoś w ogóle wie coś o Mehmedzie Alim? Ja wiem tylko, że jest kuzynem w drugiej linii i że ma połówkę Koranu, która daje mu połowę firmy. Trzeba znaleźć ten Koran. Więc mam szukać człowieka czy Koranu? On żyje, nie żyje, jest w Sztambule, w Turcji?

- Żyje - mówi ciotka Betül. - Gdyby umarł, wiedziałabym. Mam taki dar.

- No to mi pomóżcie. Chcieliście, żeby to zostało w rodzinie, więc niech rodzina teraz pomoże.

- Pomożemy - mówi młodsza ciotka Kevser. - Jesteśmy twoją rodziną, a rodzina zawsze wspiera.

Z balkonu dobiega głos babki ciotecznej Sezen, jak głos samej Świętej Księgi:

- Koran chce być całością.

* * *

Niech nie będzie żadnych wątpliwości: Ayşe Erkoç ma najlepsze buty na całym moście Galata. Oczywiście, nikt oprócz niej nie zauważy; tramwaje suną zbyt bezlitośnie; ruch jest za duży, a większość to i tak mężczyźni; turyści są zbyt oszołomieni Stambułem, który ze wszystkimi swoimi cudami i widokami nagle rozpościera się przed nimi na tle złotego zachodu; piesi za bardzo chcą być w domu; nastolatki wymykające się z nieoficjalnego nanobazaru, jaki rozkwitł pod wszystkimi wiaduktami, w tunelach i sklepach z bronią na całym Beyoğlu są zbyt paranoiczne i niekomunikatywne; złodzieje, kieszonkowcy i fałszywi pucybuci zbyt skupieni na swoich oszustwach, by zauważyć przechodzącą z błyskiem parę butów. A jeśli chodzi o mężczyzn i z rzadka kobiety pochylające się nad poręczą, z wędkami sterczącymi w powietrze jak kocie wąsy, ich skupienia nie zakłóca żadne buty, choćby były na stopach samego Mahdiego. Ayşe wyobraża sobie przez moment, że te setki wędek to wiosła, a most to wędkarska barka, odcumowująca, tak jak kiedyś odcumowano stary most pontonowy i zaholowano w górę rzeki do Balatkarabaş, jak dromon wyruszający ze Złotego Rogu po morską przygodę. Krzeselka, plastikowe wiaderka na połów i przynętę, słoiki z robakami i rybimi łebkami, plastikowe pudełeczka z haczykami, muchami, końce wędek opierające się o deski - czyha tu masa pułapek na eleganckie buty. Ayşe przechodzi jednak lekko i łatwo.

Boże, jakie super są te buty.

- Gdzie się tak wystroiłaś? - zapytała matka, gdy Ayşe jeszcze raz rozebrała się i ubrała w muzeum swojego dzieciństwa.

- Mówiłam ci wczoraj wieczorem - powiedziała, naciągając buty.

- To ty byłaś tu wczoraj? - Ayşe zauważyła, jak Fatma Erkoç zerka na swoją grzeczną córkę Günes, która kiwa głową. - Ano tak. Oczywiście. Piękna sukienka. Nowa?

- Idziemy na kolację do Ferida Adataşa na Wyspach Książęcych. Finansista, bardzo bogaty. Multimilioner. To co, może być?

- Dla multimilionera może być - odpowiedziała Fatma. Ayşe pocałowała ją delikatnie w usta, zostawiając jednocząsteczkową warstewkę szminki. - No nie, kochanie, takie buty?! -

zawołała potem za córką. - Czerwony to nie kolor dla damy.

Czerwone buty, czerwony facet. „Znajdziesz go bez problemu” - Selma Özgün. Czerwony Wędkarz, Znacznik Zmelfikowanych, jest ubrany od stóp do głów w swój eponimiczny kolor. Czerwono-złota czapka z daszkiem Galatasaraju, czerwona bluza na suwak, zapięta pod szyję mimo upału na moście, czerwone spodnie od dresu, obwisłe na tyłku i na kolanach. Tylko buty nie pasują, podroby trampek „Converse”, prujące się na szwach i przy dziurkach, w standardowym dżinsowo-niebieskim kolorze. Przecież da się kupić czerwone, myśli Ayşe. Opiera się o poręcz obok schodów prowadzących na stronę Eminönü, papieros w ręku, wyblakłe od słońca oczy, wzrok skupiony na przedłużeniu wędki, poza miejscem, gdzie Złoty Róg otwiera się na Bosfor, poza statkami, poza Azją. W wiaderku pusto. Zresztą nie ma potrzeby, żeby coś tam było. Ayşe zastanawia się, jak to możliwe, że tyle razy przejeżdżając mostem Galata, udało jej się przeoczyć ubranego na czerwono wędkarza, tak krzykliwego pośród swoich stonowanych, staruszkowo umaszczonych kolegów. Ile razy musiała być tą szybką, tą zajęta, tą śpieszącą się, niepodnoszącą głowy, żeby się rozejrzeć? Czerwień daje niewidzialność. Widzisz kolor, ale nie człowieka.

Znajduje sobie miejsce przy balustradzie obok wędkarza. Z restauracji na dolnym poziomie zalatuje smażoną rybą.

- Bierze coś? - pyta Ayşe.

- A gdzie tam. Pogoda jest nie taka. Wszystkie się pochowały głęboko, gdzie mają chłodno i ciemno. Wszystkie rozumne ryby, mówię.

Ayşe mimo woli zastanawia się, czy czasem ryby nie biorą - a wszystkie wiadra, które minęła, były puste - dlatego że wszystkie makrele wyłowiono stąd dawno temu. Legendarne złoto Bizancjum, zatopione w Złotym Rogu, żeby nie trafiło w ręce tureckich najeźdźców, na pewno już zostało kawałek po kawałku powyciągane przez pokolenia wędkarzy z mostu Galata. To szanowane stambulskie zajęcie, marnowanie życia z wędką nad wodą.

- Ma pan pozdrowienia od Selmy Özgün.

- Co słyhać u dzielnej Selmy?

- Pracuje dla rządu.

- Mam nadzieję, że płacą jej grubą kasę.

- To jakaś rządowa grupa ekspertów.

Czerwony powstrzymuje uśmiech. Twarz ma pociągłą i ogorzałą od żywiołów i pół roku, na podbródku szczecinę. Palce żółte od papierosów, których nie pali.

- A ja jestem... - zaczyna Ayşe.

- Ayşe Erkoç.

- Czy my się już...? - Ayşe próbuje wyobrazić go sobie wygolonego, welegantowanego, wygarniturowanego i wypachnionego.

- Nie. Bym pamiętał. Małe miasto. Wszyscy mieszkamy w małych miastach.

- Selma powiedziała, że pana można pytać o Haciego Ferhata.

Czerwony klepie po ramieniu wędkarza obok i wskazuje na dolny poziom. Tamten kładzie na krzeselku Czerwonego gazetę i przesuwa pudełka ze sprzętem. O miejsce przy balustradzie walczy się zajadłe i dzieli się nim, wyliczając czas co do minuty. Dopiero gdy Czerwony przechodzi pod zakrywającą schody i koniec moło ogromną turecką flagą, Ayşe zdaje sobie sprawę, czemu nigdy go nie widziała, choć tyle razy przejeżdżała nad Złotym Rogiem. Cały na czerwono, obok czerwonej flagi. Ukryty na widoku. Kiwa palcem na szefa sali pierwszej z brzegu restauracji. Tamten pstryka palcami - nastoletni kelnerzy ustawiają w przejściu stół i dwa stołki.

- To najgorsze restauracje w całym Stambule - mówi Czerwony. - Ceny są zabójcze, ryby obrzydliwe, kawa paskudna, ale można mieć oko na szałwik. - Wskazuje brodą pajęczynę żyłek zwisających z górnego poziomu.

Ayşe zastanawia się, jak są w stanie odróżnić swoją wśród setek innych. Może to też element legendy. Podają kawę, z wodą i prażonymi pistacjami. Nad samą wodą, w cieniu mostu, jest odrobina wytchnienia od upału. Chłodne prądy niosą się spiralnie od wody.

- Zanim opowiem pani o Zmelifikowanym z Iskenderunu, proszę mi się przyjrzeć. Co pani widzi? Widzi pani człowieka, który ukończył studia z najwyższym wyróżnieniem? Najlepszego na roku? Obiecującego lokalnego historyka, piszącego w magazynach o tajemnych atrakcjach stambulskiego życia? Widzi pani żula, menela, który przez cały rok, w każdą pogodę, stoi z wędką nad wodą, z twarzą jak torba przedszkolanki, ducha mostu Galata. Widzi pani zmarnowane życie. Tak właśnie wygląda twarz i życie kogoś, kto poszukiwał Zmelifikowanego Człowieka z Iskenderunu. Niech pani nie pozwoli uwieść się zapachowi miodu.

Za późno, myśli Ayşe. Selma Özgün już mi kapnęła tego miodu na język.

- To nie dla mnie, dla klienta.

- Zapłacił coś pani?

- Dał zaliczkę.

- Widać nie przeszkadza mu, że ciska pieniądze na wiatr i mewom na żer.

- Moi klienci z reguły nie mają takich obaw.

- No dobrze. To teraz opowiadam, jak roztrwonił pani pieniądze, czas i własne szczęście na poszukiwania Zmelifikowanego Człowieka. Selma przysłała panią do mnie, więc

podstawy już pani zna - Ferhatowie, kłątwa, Kosmaty z Kapadocji. Potem historie rozchodzą się w różne strony i zamieniają w teorie. Teoriom nie ufam. To słaby fundament dla wiary.

Czerwony zapala papierosa. Macha nim jak batutą, wybijając rytm dla własnych słów.

- Teorie dotyczące dalszych losów Zmelifikowanego z Iskenderunu dzielą się na trzy główne kategorie, według geografii. To znaczy, że zależą od kierunku, w jakim udał się Kosmaty z Kapadocji. Stąd mamy Szkołę Północną, Wschodnią i Zachodnią. Północna twierdzi, że Haci Ferhat trafił do Trabzonu nad Morzem Czarnym, a stamtąd na Krym, do letniego pałacu Putiatinów, rodziny książęcej pochodzącej od dawnych kniaziów kijowskich. Ta historia oczywiście mówi potem, że to nie Rasputin uleczył carewicza, ale miód z trumny Haciego Ferhata. Kiedy Putiatinowie uciekli przed Rewolucją, zabrali Zmelifikowanego do Stambułu. To smutne, ale tu teoria łączy tropicieli Anastazji i spekulacje o losach carewicza - jeśli jest coś gorszego niż nudziarze od Zmelifikowanego Człowieka, to właśnie teoretycy od Romanowów. Teorie. Ciągłe tylko teorie.

Nachyla się, wpatruje w żyłkę, prostuje i nonszalancko popija kawę.

- Szkoła wschodnia twierdzi, że Kosmaty z Kapadocji w ogóle nie pochodził ze środkowej Anatolii, ale był wędrownym derwiszem z Persji, który tymczasowo przyłączył się do jakichś anachoretów w okolicy Nevşehir. Z trumną wrócił na Wschód. I tu historia robi się nieuporządkowana, co mnie ciekawi, bo prawdziwa historia nigdy nie jest uporządkowana. Szkoła Północna to jedna spójna teoria, choć upiększona. Szkoła Wschodnia to cała wiązka teorii. Większość zgadza się, że derwisz stracił trumnę - zmarł na jakąś chorobę, zabito go, obrabowano, udusił go rywal, kochanka, albo ją przegrał. Niektórzy mówią, że przejął ją jakiś renegacki zakon alewitów, że przechodziła z ojca na syna, a do Stambułu trafiła dopiero w latach siedemdziesiątych, kiedy ludzie zaczęli masowo przyjeżdżać ze wschodu. Inni twierdzą, że trafiła w ręce syryjskich chrześcijan, albo ormiańskiego Kościoła, albo jakichś starszych, pierwotnych odłamów chrześcijaństwa, na przykład nestorian. Jeszcze inni - że Kurdowie zamordowali świętego męża, ukradli trumnę i zabrali do obecnego Iraku, gdzie jest teraz gwoździem programu jakiegoś heretyckiego jazydystycznego obrzędu. Co dziesięć lat wybierają trochę miodu, leczą nim rany i czynią cuda. Ludzie zjeżdżają się zewsząd, z obu stron granicy. W tej wersji trumna trafia do Stambułu dopiero w roku dwa tysiące trzecim, po amerykańskiej inwazji, Kurdowie przywożą ją tutaj, bo to ostatnie miejsce, gdzie by jej szukali wrogowie - w największym tureckim mieście. Jeszcze inna wersja mówi, że przywieźli ją specjaliści CIA, pod koniec roku dwa tysiące pierwszego. Tam na pograniczu pełno ich było od lat, tam właściwie walutą był dolar. Została skonfiskowana w Izmirze, kiedy odmówiliśmy amerykańskiej flocie

tankowania i zaopatrzenia tuż przed Operacją „Przywrócenie Wolności”. Rzekomo ma ją Urząd Celny. Te historie szczególnie lubię, bo podoba mi się, jak baśń ewoluuje zgodnie z faktycznymi wydarzeniami. Ale, niestety, są według mnie kompletnie niewiarygodne. Zbyt publiczne, a Sekretariat Celny jest zbyt skorumpowany, żeby pozwolił Zmelifikowanemu z Aleksandretty przez dwadzieścia pięć lat leżeć w spokoju w jakimś magazynie. Hacı Ferhat był w Mekce - jeszcze raz - i Medynie i klasztorze Świętej Katarzyny na Synaju, w Jerozolimie, a nawet aż w Etiopii, w Aksum, gdzie splątano go z historiami o ostatnim miejscu spoczynku Arki Przymierza. Proszę zauważyć, że nie ma Szkoły Południowej; kiedyś były historie z południa, ale jakieś pięćdziesiąt lat temu zlały się ze wschodnimi. Widziano go nawet aż w świątyni wiecznego ognia w Baku.

Czerwony pstryka niedopałkiem do wody i zapala kolejnego papierosa. Przez szczelinę między niższymi pomostami przepływa prom. Dobrze się tak siedzi, nad samą wodą, blisko statków, myśli Ayşe. Nowy punkt widzenia. Gdyby miała mniej oficjalne buty, zdjęłaby je i podwinęła nogi pod siebie. Pora opowieści.

- Dochodzimy do Szkoły Zachodniej. Te historie są szczególnie pomysłowe. Podstawa jest taka: Kosmaty z Kapadocji dostał trumnę i przejechał przez zachodni Stambuł na Bałkany, gdzie przyłączył się do zakonu derwiszy, w obecnej Bośni. Trumna stała się miejscową relikwią i miejscem pielgrzymek, po tym, jak starszy tekke zauważył, że cieknie z niej miód. Powstała legenda, że ten miód, położony na ustach żołnierzy, daje im odwagę, siłę i niezniszczalność samego Hacıego. Samoczynnie leczy rany, regeneruje ciała. Oczywiście mutacja legendy o al-Chidrze, ale to nie przeszkadzało namaszczonej partyzantom walczyć z Osmanami w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, z Niemcami w drugiej wojnie światowej i serbskimi bojówkami w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. Bośniacki naród jest w wielkiej potrzebie, grób Hacıego Ferhata znów wydziela cudowny miód. No i właśnie: historia jest aż za dobra, więc przywłaszczyli ją sobie wszyscy prześladowani muzułmanie, od Sarajewa po Islamabad. Pusztuńscy mudżahedini, rzucający kamieniami palestyńscy bojówkarze, czeczeńscy samobójcy, nawet kurdyjscy bojownicy - wszyscy twierdzą, że chroni ich Hacı Ferhat. Mnie w tym interesuje jedno: jak znowu Szkoła Wschodnia powoli wchłania inną tradycję. Za jakieś dwadzieścia lat pewnie w całości zabsorbuje Szkołę Zachodnią. Więc ma pani trzy takie opcje. W dwóch z nich Zmelifikowany kończy w Stambule, w jednej w tekke w Bośni.

- Widzę, że nie mówi mi pan, która jest prawdziwa.

- Nie mówię.

- A które są ewidentnie błędne?

- Tekke Haciego Ferhata nie istnieje. Jest parę tekke zakonu Nahshabandi-Hakkaniego i Złotego Łańcucha, ale to rozsądny zakon i niespecjalnie skłonny do czczenia relikwii. Kadirilikowie są zakorzenieni na całych Bałkanach, ale prowadzą nieskazitelne kroniki i nie ma w nich ani słowa o żadnym Zmelifikowanym Człowieku. Podobnie Rifai, choć ich głównym ośrodkiem jest Albania. Są jednak blisko bektaszytów i alewitów, więc Zmelifikowany mógł trafić z powrotem do Anatolii. Jest możliwość, że przetrwał jako jakiś lokalny święty, albo nawet przyswoił go sobie Kościół chrześcijański, ale zważywszy siłę legendy, usłyszelibyśmy o niej. Niezniszczalni żołnierze o niezmiernie odwadze rzucają się w oczy. Na pewno zauważyła ich serbska armia pod koniec wojny w Bośni. Kiedy Serbów zmuszała do wycofania NATO-wska Operacja „Przemyślana Siła”, mała grupa ichnich sił specjalnych pod dowództwem Darko Gagoviaca została wysłana, żeby znaleźć i zrabować ciało Haciego Ferhata.

- Zrabować legendę?

- Przecież to nie legenda, prawda? - mówi Czerwony. - Jego jednostka bez skrupułów objechała wszystkie domy derwiszy w Bośni. Haci Ferhat był tylko pretekstem. Naprawdę mieli pozabijać sufich i spalić tyle tekke, ile się da. Nic nie znaleźli - ale to nie znaczy, że niczego tam nie było. Kiedy rozeszła się wieść o niszczycielach, derwisze na pewno ukryli skarb. Widzi pani? Nic nie wiadomo. Nic się nie da wiedzieć. Muszę więc wywnioskować, że Zachodnia Szkoła, choć ładna, też jest dla mnie nieprzekonująca.

- Powie mi pan o Szkole Rosyjskiej.

- Mnie nie przekonuje, z powodów dokładnie przeciwnych, co Szkoła Zachodnia. Cała masa starych Białych twierdzi, że ma Zmelifikowanego Człowieka. Od razu się nabiera podejrzeń. Czemu Rosjanie, a nie Polacy, Kaszubi, Bułgarzy, Ormianie? Ten lejek historii, jakim była Rewolucja Październikowa, jest zbyt wygodny - na kilometr jedzie historyzowaniem. To historia w tym typie, jakie wymyśla się dzisiaj, patrząc w przeszłość. Niechlujstwo umysłowe. Gdyby Haci Ferhat był na Krymie, to najpewniej wyparłaby go stamtąd wojna krymska, czyli dotarłby sześćdziesiąt lat wcześniej do Stambułu. Albo nawet Francji czy Anglii. Obawiam się, że to typowa ruska mania wielkości. Ale co, jak dla mnie, kładzie tę hipotezę: żadne historie Szkoły Północnej nie istniały, dopóki w Moskwie, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim, tuż po puczu sierpniowym, nie wyszła książka. *Miód bogów: Romanowowie i zmelifikowany człowiek*. Napisał ją były kapitan śmigłowca z Floty Czarnomorskiej, Dmitri Lebiediew. Wyraźnie nie miał co robić z czasem.

- Mój świętej pamięci ojciec był dowódcą w naszej flocie czarnomorskiej - mówi Ayşe.

- Ja też służyłem w marynarce wojennej. - Czerwony wzrusza ramionami, patrząc na żyłkę. - Też nie wiedziałem co robić z czasem. - Podnosi się, żeby zerknąć na spławik.

Rzucane z góry haczyki z ciężarkami spadają obok Ayşe i chlupią, zanurzając się w nieruchomej wodzie. Prom wylania się ze statkobrazu, rośnie, płynie ku Rüstempaşa.

- Czyli to jakaś odmiana Szkoły Wschodniej - mówi.

- To labirynt, w którym można stracić całe życie. Selma panią ostrzegła, ja powtórzę. Są ludzie, którzy poświęcili wiele lat życia - całe życie - na studia nad Zmelifikowanym. Wielu było poszukiwaczami jak pani, ale zrezygnowali, kiedy zrozumieli, że jeśli Zmelifikowany zostanie znaleziony, to na pewno nie na podstawie ich teorii, że to odkrycie dowiedzie, że ich teorie są bezwartościowe, a życie bezpowrotnie zmarnowane. Stambulczycy z przyjemnością marnują życie na duperele, jeśli tylko nie pozwala się rzeczywistości wejść w paradę. Tak to jest z teoriami. Nie naraża się swojej kochanej teorii na jakiś tam prostacki empiryzm. Jeśli chce pani szukać głębiej, mogę dać tę samą wskazówkę, co wszystkim innym. Zrobi pani z nią co zechce. Mam tylko takie opowieści. Może w ogóle są tylko opowieści - to zresztą wystarczy. Gigantyczna budowla twórczości. Ale jeśli chce pani porozmawiać z kimś, kto pochodzi wprost od Haciego Ferhata - jeśli wierzyć jej słowom - musi pani pojechać do Beshun. Znajdzie ją pani na targu egipskim. Handluje tylko rano. Trzeba szukać królików. Królików i nasion warzyw. Tak jak powiedziała pani kochana Selma, tam też się pani powoła na Czerwonego. - Wstaje ze stołka, zapala nowego papierosa i zerka wzdłuż żyłki do wody. - No, wyłaście, paskudy. - Słońce zaszło, nadchodzi chłodek, chłodek, chłodek wieczoru. - A. A propos, mogłaby pani zapłacić za kawę?

Tak jak obiecywał, jest nieprzyzwoicie droga. Kiedy Ayşe wytrząsa niechętnie drobne centy na napiwek, zauważa, że obok promu pojawiła się druga, zwinniejsza i szybsza łódź, która potem rusza przepięknym zakolem, aby przybić do kei na Eminönü. Nie zauważyła ani godziny, ani pozycji słońca, ani długości cienia, ani starego złota na wzgórzach Azji. To przyплыnęła jej łódź.

* * *

- Preferujemy, i to bardzo, zgłoszenia przez sieć - mówi elegancki facet w Europejskiej Radzie Inwestycyjnej ds. Nowych Technologii.

Jest całkiem przystojny, ale wie o tym, co w oczach Leyli jest wadą przystojniaków, i ma na sobie krawat z nanotkaniny, zmieniający wzory co dwadzieścia sekund. To już mniejsza wada. Gabinet ma pełen nanotechnologicznych zabawek i błyskotek: arkusz nanotkaniny bez końca składa się w origami i rozkłada, a kupka inteligentnego piasku na tacy na biurku co chwila buduje z siebie pagody, każdą inną. Nasycona nano ciecz wpływa

pod górę, by spłynąć miniaturowym kołem młyńskim, dywan na podłodze zmienia fakturę z włosa na futro, na kolce, na korę. W tym rozedrganym pokoju nic nie zachowuje kształtu dłużej niż trzydzieści sekund.

- Mam wrażenie, że tu byłem, jak kiedyś miałem jazdę na kwasie - szepnął Aso, kiedy usiedli za nerwowym, kompulsywnym biurkiem, podczas gdy Öymen przeglądał swoje materiały o firmie Ceylan-Besarani.

W garniturze i koszuli Aso o wiele bardziej niż Yaşar nadaje się na ambasadora firmy Ceylan-Besarani. Imponuje wzrostem i nie jest gruby, co u Leyli dyskwalifikuje od ręki. Nie będzie trudno doprowadzić go do odpowiedniego wyglądu - wystarczy poprawić parę rzeczy, na początek buty, no i prasowanie.

- Przez sieć nie ma się takiego bezpośredniego kontaktu, jak osobiście - mówi Leyla. - Nie da się zarazić pasją.

Mete Öymen ma taką minę, jakby miał się zrzygać na samą myśl o osobistym zarażaniu pasją. Przygląda się silkscreenowi.

- Nano. No tak. Osiemdziesiąt procent naszych zgłoszeń to powstające start-upy nano.

- Nie jesteśmy start-upem. Potrzebujemy finansowania na rozwój, żeby stworzyć prototyp i przetestować rynek.

Mete Öymen znów wpatruje się w ekran.

- Jesteście u nas pierwszy raz.

- Dotąd finansowaliśmy się z prywatnych źródeł. Państwo macie szybką ścieżkę.

- Trwa przeważnie sześć-osiem tygodni.

- Mamy w najlepszym razie cztery dni.

- Mało prawdopodobne, powiedziałbym.

- To chociaż sugeruje jakieś zainteresowanie.

- Następne posiedzenie rady jest w piątek. Niewykluczone, że coś się da zrobić. Ile potrzebujecie?

- Ćwierć miliona.

- Wnioski powyżej stu tysięcy przechodzą przez Europejski Fundusz Rozwoju Infrastruktury Regionalnej.

- Ile to trwa?

- Szybka ścieżka jest szybsza. EFRIR też ma tryb przyśpieszony, a ponieważ to fundusz strukturalny, nie wymaga aż tak dużego procentu finansowania z innych źródeł.

- W piątek?

- Wątpię. Może da się rozdzielić wasz wniosek na dwa albo nawet trzy, żeby żaden nie

przekraczał stu tysięcy.

- Proszę przynajmniej rzucić okiem na naszą prezentację.

Aso przekazuje kod uściskiem dłoni.

- Najlepiej obejrzyć na ceptepie.

„Bizancjum jeszcze nie upadło”, szepcze do Leyli, kiedy Mete Öymen ogląda pięknie chodzące cząsteczki. Wzorki na jego gałkach ocznych przestają się poruszać.

- Nie rozumiem, o co tu chodzi.

Leyla czuje, jak Aso drga. Spokojnie.

- To uniwersalna bioinformatyczna głowica zapisująca i odczytująca. Potrafi zapisywać dane na niekodującym DNA, zwanym też śmieciowym. Zamienia każdą komórkę ciała w komputer.

- A po co komu coś takiego?

Aso trzęsie się z hamowanej złości. Leyla dotyka dłonią jego ramienia.

- To technologia, która odmieni świat - mówi. - Rewolucja. Nic już nie będzie takie samo.

- Obawiam się, że na rewolucje jest słaby rynek. Nie jestem przekonany, czy to ma potencjał komercyjny, ale złożcie wniosek, a ocenimy go merytorycznie. Potrzebne będą wasze aktualne raporty księgowe, podpisane przez rewidenta, wypis z rejestru, oświadczenie, że spółka nie posiada zaległych zobowiązań, oraz jakaś promesa udziału własnego w inwestycji, w pieniądzu albo aportem.

- Dostarczymy to panu.

- Jeśli mamy na to spojrzeć w tej rundzie, musi być na moim biurku jutro z samego rana. Nie wiem, czy zdążycie.

- Zdążymy, panie Öymen.

Jego uścisk dłoni jest równie bezkształtny i niedookreślony jak jego nano.

W windzie Aso się nie odzywa. Nie odzywa się w hallu ani na ulicy, gdy człapią przez zabójczy skwar do miejsca, gdzie Leyla zaparkowała samochód, klnąc na zawirusowany autodrivo, przez który nie może go zostawić, żeby sobie krążył samodzielnie i przyjechał na telefon. Odczekuje, aż oboje zapną pasy, zaskoczy silnik i auto nieśmiało ruszy; dopiero potem wrzeszczy: „Palant!”. Tak głośno, że Leyla omal nie wjeżdża na wracające z popołudniowych zajęć dziecko.

- „Słaby rynek na rewolucje, się obawiam”. Palant! „Nie jestem przekonany, że to ma potencjał komercyjny”. A to czemu, panie Öymen?

Bo nie umiesz sobie wyobrazić, że każdy człowiek może trzymać w sobie całą

informację, jaką zgromadzi przez całe życie? Albo nie rozumiesz, że ludzie chcieliby instalować sobie zdolności i umiejętności jak aplikacje na ceptepa? I nie widzisz korzyści ze spersonalizowanej telepatii? „Złóżcie wnioski, a ocenimy go merytorycznie”. Nie zrozumiałbyś jego zalet, gdybym ci je wypalił na czole laserem, turecki zasmarkany, protekcjonalny, tchórzliwy, drobny biurokrata. Przepraszam wszystkich tu obecnych Turków. Przepraszam, że tak się tym nakręcam. Wściekam się. Bo wcale nie prosimy, żeby zrozumiał to do ostatniego szczegółu. Po prostu niech doceni pomysł, ideę, zobaczy możliwości, niech to mu otworzy oczy. Ludzie, przecież to całkowita przemiana ludzkości! To Ludzkość 2.0!

- Próbuję prowadzić - rzuca Leyla.

Jest tłoczna godzina popołudniowego szczytu, upalny Stambuł chce natychmiast znaleźć się w domu, w domowym chłodku, marynarka won, buty won, klima start. Aso nie jest na tych ulicach jedyną wściekłą osobą. Pełnie miejskim autkiem przez zacinający się, spocony korek. Górują nad nią wielkie, grożące zmiżdżeniem, koła ciężarówek.

- Pochodzę z zapalczego narodu! - krzyczy Aso. Kiedy jest podekscytowany, wymachuje rękami.

Leyla się kuli.

- Wiesz co ci powiem? My wiemy, kiedy coś jest niesprawiedliwe. Trochę się tego naoglądaliśmy. A to było niesprawiedliwe. Monstrualna, gówniana, pieprzona niesprawiedliwość.

- Wiesz co, nie nakręcaj się, że to coś osobistego - mówi Leyla. Wcisną się małym srebrnym trójkołowcem między dwa dolmusze. Stłoczeni w nich pasażerowie wyglądają na bardziej sponiewieranych niż Aso. - To nie ma nic wspólnego z tobą, z tym projektem, a tym bardziej to nie osiemset lat uprzedzeń wobec Kurdów. Nawet gdyby Öymen pomyślał, że to największa, najbardziej wizjonerska idea, jaką w życiu widział, nawet gdyby to był największy skok ewolucyjny ludzkości od stanięcia na tylnych łapach, i tak byśmy tego nie dostali. Nie dałoby rady. Aso, nie mamy wypisu z rejestru, gdzie by było o tych udziałach.

- Mamy naszą połówkę Koranu.

- Tak? I co, gość patrzy i mówi: „Czy to jest według was wypis z rejestru?”. A ty na to: „Druga połówka tego daje własność połowy firmy drobnemu handlarzowi szarym nano, który w najlepszym wypadku zniknął, a w najgorszym leży na dnie Bosforu”. A on: „Nie zawracajcie mi głowy”. I dlatego właśnie trzeba to zrobić profesjonalnie od początku do końca. Szczególnie od początku.

- Równie dobrze projekt od razu go odrzucił - mówi Aso.

Leyla wbrew sobie parska śmiechem. Wcisnęci w mały, szajsowaty samochodek jak

cząstki pomarańczy, przytłoczeni wielkimi ciężarówkami i autobusami, a kłócą się o przyszłość ulepszonej przez nano ludzkości. A mogła już robić plany marketingowe dla dziecięcych zabawek.

- Kurdowie tak mają?

- Jak?

- Że sami sobie zaprzeczają?

- Aso tak ma.

Ona znów chichocze.

- Ładnie się śmiejesz - mówi Aso.

- Aaa - przerywa mu Leyla. - Panie Besarani, za szybko wyciąga pan wnioski. Czy musi pan wracać bezpośrednio do biura?

Kątem oka widzi, że uśmiech rozlewa mu się po twarzy jak wiosna.

- A czemu pani pyta, pani Gülaşli?

- Bo chciałabym gdzieś z panem zajrzeć i przedstawić paru nowych znajomych: panią Koszulę, pana Fryzjera i pana Manikiura. I pana Buta z małżonką. I skoro już o tym mowa, tę umowę o pracę też bym chciała.

* * *

- Dzieci, mam niespodziankę - mówi Pinar Hamm.

Can unosi głowę znad biurka. Pozwolił spojrzeniu gdzieś powędrować. Nie musi czytać z ruchu ust, więc nie zawsze patrzy w gładką jak porcelana twarz Pinar Hamm. Pinar denerwuje się, kiedy się nie uważa. Teraz, jak wszyscy są w Unii, już nie wolno jej nikogo uderzyć, ale ostracyzmem, osobistym przytykiem i sarkazmem włada jak trójczłonowym nunchaku w filmie kung-fu. Can już uważa. Niespodzianka. Gdy wszyscy utkwili w niej wzrok, Pinar Hamm mówi:

- Mamy bardzo specjalnego gościa, który wrócił, żeby nas odwiedzić. Chodź, Bekir.

Can prostuje się w ostatniej ławce. Bekir, najlepszy przyjaciel i rywal, jedyny, którego mógł uznać za powiernika i brata, jedyny chłopak w całej szkole specjalnej wykazujący jakiegokolwiek zainteresowanie tętniącym wokół miastem, ukrytymi w środku mniejszymi miastami oraz innymi, dalszymi światami. We dwóch zmieniali się w piratów, bandytów, superbohaterów i upierdliwców. Zawsze pierwsi podnosili ręce do odpowiedzi, a te były więcej niż poprawne, lecz wykraczały poza program nauczania - dwóch zbyt bystrych chłopaczków w ostatniej ławce. Trzy miesiące temu Bekir wsiadł za bramą do auta rodziców i już nie wrócił. Kiedy się tak dzieje, cel podróży może być tylko jeden: klinika Gayrettepe. Przywracają tam słuch głuchym. Głusi znikają wtedy ze wspólnoty szkoły Yildiz. Can jest

słyszącym uczniem w szkole dla głuchych, który nigdy tą drogą nie wyjdzie - w Gayrettepe naprawiają słuch, ale serc nie umieją.

- Bekir przyszedł, żeby nas odwiedzić - obwieszcza Pinar Hamm.

Bekir z zakłopotaniem kręci stopą. Wie, że jest zdrajcą. Zdradził kraj głuchych.

- Przywitaj się, Bekir.

- Cześć - mówi słabo Bekir.

- Bekir ma nam coś nadzwyczajnego do powiedzenia, prawda?

- Byłem u lekarza. - Jeszcze nie stracił tego skrzekliwego głosu, typowego dla osób ze znacznym ubytkiem słuchu, które nigdy się same nie słyszały. Wszyscy wiedzą, gdzie był.

- I co się wydarzyło? - Wszyscy wiedzą, co się wydarzyło.

- Ja słyszę.

- Dzieci, czy to nie wspaniale? Brawo dla Bekira.

Dla Cana głośnie oklaski są jak łagodna fala spływająca po palcach stóp. Bekir zerka na tył klasy, wypatruje Cana, chce mu coś przekazać: jesteś tam, wszystko w porządku? Dalej się kumplujemy?

Tak, wszystko w porządku. Teraz jesteś taki sam jak ja, myśli Can. Słyszysz.

Jest za gorąco, żeby wychodzić na przerwę na zewnątrz, więc Can i Bekir siadają z tyłu klasy i stukają w laptopa Cana. Strumień chłodnego, przyjemnego powietrza z klimatyzacji trzepocze naddartym foliowym wieczkiem na kubeczku z ayranem.

- Co robisz?

- Szukam mordercy. - Właściwie to nie jest morderstwo, ale zginął człowiek.

- Super. Pokażesz?

- Jak chcesz. - Bekir zagląda mu przez ramię.

- Co tam wysyłasz?

- Kawałek robota.

- Robota?

- Robota, który mnie gonił.

- Gonił cię robot?

- Tak, ale uciekłem, a on spadł i się rozwalił, kawałek odpadł i miał numer.

- Chcesz to wysłać na bot net?

- Mam dużo znajomych na bot net.

- Oni tam tylko gadają. To amatorzy. Na niczym się nie znają. Chcesz się dowiedzieć, co to za numer seryjny? To tutaj. - Bekir pochyla się nad Canem i stuka w klawisze. Otwiera się nowa strona.

- Gładio te er. To świry od Głębokiego Państwa.

- A co ty wiesz o Głębokim Państwie?

- Pan Ferentinou mi powiedział.

- Ten twój pan Ferentinou to Grek, czyli pewnie zdrajca. A oni, może to świry, ale znają się na różnych rzeczach.

- Na botach?

- Na wszystkim.

- Gdzie się zakłada konto?

- Tu.

Stuk, stuk, klik. Wchodzi. Dwie minuty później zdjęcie z ceptepa już wisi na forum. Can jest teraz gościem od teorii spiskowych.

Przypięty do siedzenia w Bańce Gazowej, kiedy mama wiezie go z Yildiz do domu, przyciska twarz i dłonie do okna. Stambuł pędzi do tyłu w kalejdoskopie barw, ruchu i maleńkich objawień: kaskadowych kopuł meczetu w paralaksie pomiędzy dwoma nowoczesnymi wieżowcami ze stali i szkła, człowieka pchającego taczkę w górę stromej uliczki przykrytej balkonami, plakat gwiazdki pop Semsu w tych bardzo, bardzo obcisłych, czerwonych błyszczących spodniach, które Cana niezawodnie ekscytują. Dotyka ustami i językiem szyby, żeby poczuć wibrację silnika, basowy pomruk miasta. Ludzie gapią się na niego. Patrzcie! Down, co liże szybę! Niech sobie tak myślą, tym lepiej: nie mają pojęcia, że naprawdę jest Małym Detektywem w przebraniu.

Ceptep wibruje. Odpowiedź na jego post. Jakiś świr od teorii spiskowych, jakiś Szary Wilk i maniak robotów, rozpoznał jego odłamek, znalazł wszystko, łącznie z numerem katalogowym.

* * *

- Zobacz tylko - mówi Adnan Sarioğlu do żony na prywatnej przystani na Sedef. - Mają pod ogonem taki woreczek na gówno. Perłami srają, czy co?

Motorówka to klasyczna włoska riva; mahoń na wysoki połysk i zielona skóra, niewymuszenie luksusowa i szybka. Kiedy opłynęła stawę nawigacyjną i pogrążyła się w wodzie, z bulgotem podpływając do pomostu, Adnan i Ayşe zobaczyli, że pod zabytkowymi osmańskimi latarniami czeka na nich powóz ze składaną budą.

- Co oni tu mają z tymi bryczkami?

- Takie przepisy. Na wyspach samochody są zabronione.

- „Przepisy”? Jakie przepisy? To jego wyspa. Gdyby chciał, mógłby tu mieć lamborghini.

- Lamborghini ma tylko dwa miejsca - zauważa Ayşe.

Teraz woźnica pomaga jej wejść w tych morderczych szpilkach na mały i niebezpieczny stopień, a potem do powozu. Adnan przesuwa dłonią po jej łydce.

- Ze szwem.

- No pewnie.

Sadowi się obok niej. Czterokołowa bryczka podskakuje na resorach. Adnan zapada się w tapicerkę. Wdycha zapach starej skóry, konia, ziołowo-piżmowy zapach wyspy. Gazowe lampy oddalają się od przystani zygzakiem, prowadząc w górę niewidocznego wzgórza, ku większemu skupisku światła na tle nieba - dom Ferida Adataşa. Słysząc już muzykę. Billie Holiday.

Woźnica siada na koźle, cmoka, strzela z biczem. Para koni, tej samej maści, rusza. Nagłe szarpnięcie popycha Ayşe na Adnana. Chichoczą. Chichotali odkąd riva odbiła z Emimönü. Adnan nie cierpi łądź i ciemnej wody. Ayşe wie, że chichocze tylko wtedy, gdy się czymś bardziej od niej denerwuje.

Jestem z tobą, pomyślała wtedy. Nie jesteś tu sam. Będę na ciebie uważać, osłaniać boki, zdejmować snajperów. Gramy razem.

Wtulona w miękką, obszytą guzikami skórę, szepcze:

- Temu po lewej stoi.

- Nie tylko jemu.

- To się, zdaje się, nazywa „drag woźnicy”. Tak się robi od tego rytmu powozu. Choroba zawodowa, podobno.

Adnan skręca się w bok, bezradny wobec tłumionego śmiechu.

- Zobacz, jakie to jest, kurwa, wielkie. Jak waż strażacki. Spróbuj chodzić z czymś takim majtającym się między nogami. A tutaj...

Bierze żonę za rękę i przesuwa ją ku erekcji w swoich szytych na miarę spodniach w kant. Ayşe śmieje się, potem wytrzeszcza oczy, czując nagły dotyk jego palców na udzie, wysoko, wysoko pod spódnicą, lekki i wstrząsający, jak elektryczny motyl.

- Co ty robisz, dzikusie z Anatolii?

- Tak tylko sprawdzam.

Przesuwa palcem po linii szwu z tyłu nogi. Skóra zwierzęca, jedwab, palec, jedwab, skóra ludzka. Warstwy, zasłony i woale. Zawsze uważała, że delikatnie osłaniający jedwab, przejrzysty nylon, koronka, muślin są o wiele bardziej podniecające niż dotyk nagiej skóry. Jedwab pośredniczy, półprzejrzysty nylon zamienia w pieszczotę każdy dotyk, przydaje romantyzmu zwykłemu przesunięciu dłoni. Czuje, jak ręka Adnana tężeje w tym kuszącym

miejscu, gdzie kończy się pończocha i zaczyna ciepła, naga skóra. On jest bardziej bezpośredni, a to przejście z jednego stanu w drugi, z zawołanej aluzji w obietnicę, bardzo ekscytujące.

- O, ten szew faktycznie sięga do końca. Elegancja.

Tak, i pięta też jest zaokrąglona jak trzeba, ale nie spodziewam się, że to zauważysz.

Grzbiet dłoni Adnana jest gorący i twardo napiera na przesłaniający łono jedwabny trójkącik.

- Jak się z nimi dogadasz - szepcze. Już wchodząc do sali jadalnej, Adnan będzie słupem skondensowanej energii i charyzmy. Każde oko zwróci się ku niemu, każde ucho będzie łowić najdrobniejsze słowo. To nie kolacja, to wojna.

Ayşe przysuwa się do niego, otulona ciepłą jak ciało skórą.

Powóz przystaje i się kołysze. Kopyta stukają na bruku, dźwięczy uprzęż. Dom to misterna geometria przecinających się płaszczyzn i wzniesień, o wielu bokach, trudna do ogarnięcia za pierwszym rzutem oka. Nie wita cię, wejście nie rzuca się w oczy; okna to wąskie poziome szczeliny. Z rozpiętego nad zboczem tarasu dochodzi sugestia ruchu, rozmów, błędzący głos Billie Holiday. Woźnica opuszcza stopień. Jego liberia w osmańskim stylu, sam powóz, konie z ich absurdalnymi frędzlami nad oczami, przeciw muchom - wszystko to w żaden sposób nie przystaje do tego agresywnego modernizmu. Adnan zaciąga się głęboko nocnym powietrzem. Tymianek, szałwia, pył, sól, miód i pot.

- Pachnie jak w Kaşu.

Na nieskazitelnej białej ścianie pojawia się mały czarny prostokąt.

- Adnan! - Ferid Adataş swobodnie podaje rękę, równie mocno ściska dłoń kobiety jak i mężczyzny. - Pani Sarioğlu, miło mi panią poznać.

- Erkoç - mówi Ayşe. - Zostałam przy panieńskim nazwisku.

- Proszę wybaczyć. Witamy, witamy, zapraszamy. Jak się jechało?

- Bardzo niskowęglowo - mówi Adnan. Wskazuje brodą powóz.

- Co się oszczędzi na węglu, traci się na metanie - rzuca Ferid. Śmieje się z własnego żartu.

Gdy idą przez kamienisty dziedziniec, Adnan szepcze Ayşe prosto w ciemne włosy:

- Powiem tylko, że wyglądasz dziś naprawdę zajebiście. Olśniewająco. Nieważne, kto tam jest, nikt - nikt - nie zbliży się na odległość szeptu.

Ayşe ściska pośladek Adnana.

Drinki podają na tarasie. Pozostali goście Ferida Beja to pan Munir Güney i jego żona Nazat, generał Barçın Çiller z żoną Tayyibe oraz profesor Pinar Budak z mężem Ertemem.

Munir Bej jest ważnym biurokratą w brukselskiej Komisji Europejskiej. Zajmuje się handlem i cłami. Generał Barçın Çiller jest dowódcą polowym, ostatnio dowodził służbą patrolową na irackiej granicy, gdzie przerzuca się nielegalnie ludzi. Pinar Hamm jest profesorką literatury na Uniwersytecie Bosforskim, specjalizuje się w XVIII-wiecznej kobiecej poezji dywanowej. Ayşe zapamiętuje wszystkie nazwiska i twarze, w miarę jak przedstawia je Süreyya Adataş. Kobiety przedstawiają kobiety, mężczyźni mężczyzn. Tak niby mówi protokół, ale wyczuwa w tym bardziej strategiczną grę: odciąć ją od Adnan Süreyya Hamm uwięziła ją w narożniku tarasu. Za ciemną wodą Morza Marmara lśni Sztambuł, spowity świetlnymi welonami. Promy łączą się na ciemnym morzu w ożywione konstelacje; wielkie statki to powoli poruszające się grona czerwonych i zielonych lamp. Wysoko, pod gwiazdami, powoli mrugają światła ostrzegawcze żagli latawcowych.

Ayşe stawia szklankę na balustradzie ze stali nierdzewnej. Powietrze wiruje wokół tarasu: po raz pierwszy od wielu tygodni czuje chłód. Wychyla się za barierkę, zwróciwszy uwagę na drobne przedmioty w niskich zaroślach.

- To są kości?

- Psie kości, pani Erkoç - odpowiada Süreyya Hamm. - Ta wyspa ma osobliwą przeszłość. W latach dwudziestych dwudziestego wieku policja miejska w Stambule wzięła się za bezpańskie psy. Było ich mnóstwo, terroryzowały ulice. Napadały na staruszki, wywlekały dzieci z wózków, pijaków znajdowano z rana w rynsztokach, na wpół zjedzonych. A kiedy je już połapali, zdali sobie sprawę, że jest ich za dużo, żeby zlikwidować za jednym zamachem, więc przywieźli je tu na wyspę, niech sama psia natura załatwi sprawę. Po roku nie został ani jeden. A ogrodnicy ciągle wykopują jakieś kości.

Kolacja jest serwowana w podłużnej, minimalistycznie eleganckiej jadalni. Jedna ściana jest z przydymionego szkła, zmiękczającego światła na brzegu Morza Marmara do robaczków świętojańskich, druga - wykonana z gołej miejscowej skały. Ayşe ukradkiem przesuwa palcem po słojach stołu. Potwierdza to, co powiedziały oczy i nos - stół jest wykonany z jednego kawałka libańskiego cedru. Pod sufitem wiszą szklane meczetowe lampy - ich ustawienie przez moment wydaje się, dość nietypowo, pozbawione głębszego zamysłu, potem zmysł Ayşe, od lat wprawiony w znajdowaniu ukrytych znaczeń w misternej arabskiej kaligrafii, rozpoznaje dyskretny wzór. Układ oliwnych płomyczków odzwierciedla gwiazdozbiory wiosennego nieba.

Układ miejsc usadził ją tak daleko od Adnana, jak pozwala protokół. Ferid Adataş na jednym szczycie stołu, Ayşe po jego lewej. Naprzeciwko niej pani Çiller, żona generała. Ma szerokie wiejskie dłonie i mądry błysk w oczach. Ayşe myśli, że ją polubi. Po lewej ma

Ertema Beja, który jest uznanym recenzentem i poetą. Dalej, w prawo wokół cedrowego prostokąta, elegancka i pogardliwa pani Güney, potem generał Çiller we własnej osobie. Co jest z tymi wojskowymi, myśli Ayşe, że najsztowniejsze mundury zawsze dobrze na nich leżą, ale wbić takiego w garnitur, choćby nie wiem jak dobrze skrojony, to od razu wszystko mu się marszczy i gniecie? Süreyya Hamm, sam wdzięk i zręczność, siedzi naprzeciwko męża. Po jej lewej stronie, po przekątnej od Ayşe, siedzi Adnan. Po jego lewej, pani profesor. Obok niej, Munir z Komisji Europejskiej i znów koteria dam Ferida Beja. Eurokrata, wojskowy, humanistka i dumny z siebie kapitalista.

Ayşe obraca kieliszek do wody o dziewięćdziesiąt stopni. Adnan nie mrugnie nawet okiem, uwodząc gospodynię i generała, Ayşe wie jednak, że to widział. Tylko sprawdza. Wymyśliła ten kod, przewidując właśnie takie rozsadzenie gości. Przecwiczyla to z nim na łodzi. Szklanka, pogładzenie ucha, obrócenie pierścionka, dotknięcie naszyjnika, zakręcenie kolczykiem.

- A to? - Palec niemal z roztargnieniem dotykający zasznurowanych warg.

„Zamknij się, kurwa, natychmiast”.

- Bardzo mi się podoba pani biżuteria - mówi Ferid. - To grecki krzyż?

- Ormiański, z XII wieku - odpowiada Ayşe, a pan Güney i pan Budak siadają sztywno, czujni jak surykatki, tak reagują na podrażnienie swojej politycznej wrażliwości. - Zapewne z pracowni kościoła Świętej Hripsime.

- Piękny - mówi pani Budak. - Uwielbiam takie stare, tradycyjne przedmioty. Gdzie pani go znalazła? Ja nie mam szczęścia do takich rzeczy. Jak wreszcie dotrę, to już dawno ich nie ma albo okazuje się, że to bułgarskie albo kurdyjskie podróbki.

- Na początek wypada się przyjrzeć tym gronom winogron u podstawy. - Ayşe nachyla się ku niej. - Widzi pani? Powinno być sześć po jednej stronie i pięć po drugiej: dwunastu Apostołów, minus Judasz-zdrajca. Ramiona powinny kończyć się trzema pętlami, jak Trójca Święta, tak się mówi, choć to ma o wiele starsze korzenie, pochodzi aż z religii solarnych, to były dyski słońca. Jeśli tego nie ma, na pewno jest podrabiany. Ale z drugiej strony, ja mam nieuczciwą przewagę, jeśli chodzi o biżuterię - prowadzę galerię.

- Z czym, z antykami? - pyta Güney.

- Nie - odpowiada Ayşe ostrożnie. - Galerię. Ze sztuką, specjalizuję się w sztuce religijnej, głównie miniaturach i kaligrafii, ale jak pojawi się ładny krzyż, to ciężko mu się oprzeć, zresztą nie pojawiają się tak często, jak bym chciała.

- Jak tak patrzę na ten krzyż, to zdecydowanie muszę do pani zajrzeć - mówi pani Çiller.

Podają pierwsze danie. Malutkie i piękne jak broszka. Ferid Bej pochyla się konfidencko nad talerzem. To jeden z tych, którzy wszystkich dotykają - palce kładzie delikatnie na przegubie Ayşe.

- Tayyibe nie powiedziała pani, że sama handluje religijnymi osobliwościami.

„To nie są osobliwości”, już ma powiedzieć Ayşe, „to słowa i atrybuty samego Boga”, lecz pani Çiller przerywa mu z irytacją:

- Oj, Ferid!

Uderza go łyżką po wierzchu dłoni.

- Bo teraz po prostu przeszliśmy w nieruchomości. Kupujemy wszystkie te nowe mieszkania w Mekce. To boom: nie uwierzylibyście, ilu ludzi chciałoby na emeryturze spokojnie i bogobojnie zamieszkać w lokalu z widokiem na Wielki Meczet. Ledwo dajemy radę.

Kiedy milcząca i zwinna obsługa zabiera talerze, generał Çiller nachyla się i mówi ponad stołem do Güneya:

- Słuchaj, a co to piszą w „Hürriet”, że Strasburg nam rozbija państwo?

- Nie rozbija żadnego państwa. To Francuzi ponaglają, żeby wdrożyć dyrektywę regionalną 8182 i utworzyć kurdyjski parlament regionalny.

- I to nie jest rozbijanie państwa? - Generał Çiller unosi ręce w złości. Jest wielki, kwadratowy, jak wzorzec wojskowego, ale porusza się lekko i swobodnie. - Że Francuzi nam depczą dziedzictwo Atatürka? A pan co sądzi, panie Sarioğlu?

Pułapka jest grubymi nićmi szyta, Ayşe widzi jednak, że Adnan poprawia krawat, co oznacza: „Zaufaj mi, wiem co robię”.

- Co ja myślę o dziedzictwie Atatürka, panie generale? Dajmy sobie z nim spokój. Tyle myślę. Era Atatürka się skończyła.

Goście sztywnieją wokół stołu, ukradkiem nabierając powietrza. Sapnięcie w kulturalnym towarzystwie. Herezja. Za mniej poważne rzeczy ludzie dostawali kulkę na ulicach Stambułu. Adnan skupia na sobie wszystkie spojrzenia.

- Bez dwóch zdań, Atatürk był ojcem narodu. Nie ma Atatürka, nie ma Turcji. Ale w pewnym momencie każde dziecko musi zostawić ojca. Stać na własnych nogach i sprawdzić, czy już jest dorosłe. Jesteśmy jak te dzieciaki, które się przechwalają ojcami: mój tata jest najsilniejszy, najlepiej się bije, najszybciej jeździ, ma największe wąsy. A kiedy ktoś nas zaczepi, wyzwie, albo choćby krzywo popatrzy, to zwiewamy i krzyczymy: „Zawołam tatę, tata ci pokaże!”. Kiedyś w końcu trzeba dorosnąć. Proszę wybaczyć to wyrażenie: kiedyś muszą opaść jaja. W gadce jesteśmy mocni: wielki naród, dumni ludzie, globalna wspólnota

szlachetnych tureckich ras i tak dalej. Nikt się tak nie potrafi nadymać jak my. A tu nagle Unia mówi: no dobra, to pokażcie. Drzwi są otwarte, wchodźcie, siadajcie, bądźcie jednym z nas. Wyprowadźcie się od rodziców, chodźcie do innych ludzi. Wyjdźcie z cienia Ojca Narodu. I wiecie, co nam pokazuje ta cała Unia? Że to wszystko prawda, co mówiliśmy o sobie. Żadne tam kłamstwa, żadne przechwałki. Jesteśmy dobrzy. Duzi. Mamy siłę. Mamy gospodarkę, która sięga aż nad Morze Południowochińskie. Mamy energię, pomysły, talenty - patrzcie, co robią nowe firmy w nano i syntetycznej biologii w tych wszystkich blaszankach parków biznesowych. I to wszystko jest tureckie. To jest dziedzictwo Atatürka. I wszystko jedno, czy Kurdowie mają ten swój parlament, czy może Francuzi każą nam wszystkim zebrać się na placu Taksim i przeprosić Ormian. Jesteśmy dziedzictwem Atatürka. Turcja to ludzie. Atatürkowi się udało. Już może się obrócić w proch. Dzieciak się udał. Nad podziw się udał. Dlatego właśnie myślę, że Unia to najlepsze, co nam się przytrafiło. Wreszcie się nauczymy, co to znaczy, być Turkami.

Generał Çiller wali pięścią w stół, aż podskakują sztucce.

- Na Boga, na Boga! Odważnie pan sobie poczyna, ale to wszystko szczerą prawdą.

Przynoszą główne danie. Jest nieduże, ciemne, istna rzeźba. Adnan chwytą wzrok Ayşe. Ta odwraca widelec zębami w dół. „Nie przeginaj”. Generał i pani Adataş wciągnęli go w ożywioną dyskusję, polegającą głównie na tym, że generał Çiller gada szybko, tubalnie i dźga powietrze palcem dla podkreślenia własnych słów. Pani Çiller wypytuje Ayşe o jej galerię.

- Mieści się w zaadaptowanym tekke na Eskiöy, Beyoğlu. Na pewno pęta się tam jeszcze paru starych mewlewitów i pewna liczba dzinnów. Bo inaczej, co to by było za tekke? To miejsce zdecydowanie ma coś w sobie, czasem, jak spojrzę kątem oka na jakiś sefardyjski, kabalistyczny tekst, widzę, jak przestawiają się litery, ustawiają inaczej, przepisują się. Zawsze bardzo niechętnie sprzedają te rzeczy.

- Jak pani daje radę pracować w takim miejscu? - pyta pani Çiller. - Ja bym zwariowała ze strachu.

Wtrąca się pan Budak. Spięty, oschły facet, uwielbiający klótnie.

- Ale jednak sprzedaje pani. Nie prowadzi pani muzeum, tylko komercyjną działalność.

- Mam sieć dobranych kolekcjonerów.

- Tak, tak, oczywiście, jestem pewien, że to niezwykle wyrafinowani i wyedukowani koneserzy, problem polega jednak na czymś innym: na traktowaniu sztuki religijnej - świętego piśmiennictwa, kulturowych artefaktów, bezcennych dla ludzi, którzy je stworzyli -

jak towar w supermarkecie.

- Jest ogromna różnica między okładką Koranu a kubeczkiem jogurtu.

- Właśnie o to mi chodzi. Pani widzi wyrafinowanie i znawstwo, a ja zawłaszczanie cudzej kultury. Mówi pani, że macie teksty sefardyjskie; kto pozwolił pani je sprzedawać? Myślała pani o woli społeczności sefardyjskiej albo innych wspólnot i kultur, których święte przedmioty sprzedaje pani w galerii? W ogóle przyszło pani do głowy, żeby zapytać?

Oczy wszystkich są zwrócone na kąśliwego, napastliwego pana Budaka. Jednakże Ayşe obserwuje kątem oka panią profesor Budak. To też jest ustawione. Ertem Bej atakuje, wstrząsa, zastrasza, potem wchodzi Budak Hamm i zagospodarowuje miejsce, jak Halliburton.

Budak Hamm mówi:

- Historycznie rzecz biorąc, w osmańskim systemie milletów*, gdzie każda społeczność religijna albo etniczna w pewnym stopniu rządziła się sama, a nad nią dopiero panował sułtanat, idea własności, posiadania, była o wiele mniej klarowna, czyż nie tak? W lokalnych społecznościach własność opierała się na przydatności, nie na absolutnej wartości rynkowej jakiegoś towaru czy usługi, ale na jego wartości społecznej, korzyściach, jakie może przynieść grupie przez cały czas funkcjonowania. Zdaje się, że ekonomiści nazywają to wartością wewnętrzną, w odróżnieniu od wartości rynkowej. Prawda to, panie Sarioğlu?

- Jestem dealerem, nie ekonomistą - mówi Adnan. - Nie dyskutuję o pieniądzach. Nie mam czasu, wolę je robić.

- Istotnie. Ja też nie jestem ekonomistką. Chciałam powiedzieć coś innego: historycznie istniała trzecia droga między wartością wewnętrzną, czyli indywidualną dla każdego, a rynkową. Coś, co możemy nazwać rynkiem społecznym; wartość przedmiotu jako wspólnego dobra, czegoś, co łączy społeczność i nadaje jej tożsamość. Właśnie w ten sposób coś, na przykład grecka ikona albo ormiański krzyż, ma wartość społeczną, której po prostu nie może uwzględnić prosta rynkowa cena detaliczna.

Adnan, uważaj, myśli Ayşe. Widzę, że już lecisz mi na odsiecz, mój ty bohaterze, ale to nie ja tu jestem atakowana.

Pani profesor Budak jest urodzonym mówcą. Jej niski, cichy, choć donośny, pokorny, ale pewny siebie, głos stłumił wszystkie inne rozmowy. Rządzi stołem. Nikt nawet nie zauważa, że zabrano drugie danie i podano małe łyżeczki z orzeźwiającą pianką do

* Millet - grupa ludności niemuzułańskiej w imperium Osmańskim. Z reguły posiadała swobodę wyznania i kultury i w tym zakresie była rządzona przez własnego etnarchę, płaciła jednak większy niż muzułmanie podatek (przyj. tłum.)

przekąszenia między posiłkami.

- Wydaje mi się, że ta historyczna trzecia droga, patrzenie na ekonomię przez pryzmat społeczny, nie przez matematyczną abstrakcję, czy psychologię indywidualnych uczestników, może być w praktyce bardziej owocna. Rynek jest przecież konstruktem społecznym, prawda? Nie da się odmówić zachodniemu indywidualizmowi ogromnej energii sprawczej, ale nie za darmo. Nad naszym pokoleniem wisi cień wielkiego kryzysu, a jednak widzimy kwitnący rynek wykorzystujący coraz bardziej złożone, misterne i powiązane ze sobą instrumenty finansowe. W jakimś momencie to musi się znowu zawalić: wśród broni masowego rażenia, nieregulowana gospodarka rynkowa jest najbardziej subtelną i najbardziej niezawodną. Nie da się nie pomyśleć, że w XXI wieku naszym ideałem powinna być gospodarka mediowana społecznie, w jakiś sposób uwzględniająca wartość wspólną, zaufanie i zobowiązania społeczne. Nie wielka finansjera, i nie „małe jest piękne”, ale coś pośredniego, coś o ludzkiej skali, coś jak wspólna tożsamość kulturowa i własność w wielu kulturach dawnego imperium osmańskiego. Wartość to tożsamość. A co pan sądzi, panie Sarioğlu?

Ayşe zna ten odcień bladej twarzy Adnana, te ściągnięte wargi. Obraca szklanke. „Spokojnie, dealerze”.

- Co ja sądzę? Powiem państwu, co ja sądzę. Ja jestem pieniądzem. Tyle. Po prostu. Przez moje rachunki codziennie przepływa więcej pieniędzy, niż wynosi produkt krajowy brutto tego kraju. Codziennie. Więcej, niż jesteście sobie w stanie wyobrazić. Bo powiem wam jedną rzecz o pieniądzach. Kiedy przekroczą pewną masę krytyczną, przestają być po prostu pieniędzmi. Stają się czymś innym. Czymś większym, groźniejszym, potężniejszym i piękniejszym. Jak pieniężna burza. Huragan pieniędzy. Nie należy do mnie, ja nad nim nie panuję, nikt nad nim nie panuje, nikt go nie jest w stanie opanować. Zamykam oczy, wchodzę w ten wiatr, on mnie niesie, lecę z nim przez chwilę - przez parę chwil, bo potem każdego rozrywa - a potem ląduję, patrzę na ręce - udało mi się coś z niego wyrwać. Zysk. To nie jest brzydkie słowo, to zresztą jedyna rzecz, jaką można wynieść z tej burzy pieniędzy. Garstka zysku. Myślicie, że obracam pieniędzmi właśnie dla tej garstki? Tego zysku? Nie, robię to, bo to jest piękne. Piękne, niebezpieczne, grożące rozerwaniem na strzępy, ale przez chwilę, kiedy siedzę w środku, jestem pieniądzem. Możecie sobie rozmawiać o wartości wewnętrznej albo rynkowej, rynkach społecznych, a to nie znaczy dla mnie nic, bo pieniądze o to nie dbają. Znają tylko proste reguły, jak gry dla dzieci - ja ci dam to teraz, a ty mi tamto później. Te reguły nakładają się na siebie, wpływają i powstaje coś, czego nikt w pełni nie ogarnia,

nikt nie jest w stanie przewidzieć, a przede wszystkim nikt nie może mieć nadziei, że nad tym zapanuje. Mnie to się wydaje wspaniałe. Pieniądze. Gołe pieniądze. I tylko tyle. I powinniście się państwo cieszyć, że są tacy ludzie jak ja i Ferid Bej - to my codziennie stawiamy im czoło, to my codziennie wsadzamy w nie ręce i zdobywamy rzeczy, dzięki którym kręci się wasz świat. A jeśli to się kiedykolwiek zatrzyma, albo choćby zwolni bieg, jeśli zaświeci odrobinę mniej jasno, to będzie koniec wszystkiego, co znacie. Wasze teorie mogą być znakomite i eleganckie, ale pieniądze zupełnie się nimi nie przejmują. Ani ja, bo ja jestem pieniądzem. Dzięki mnie ten świat się kręci. Jestem pieniądzem.

Cisza wokół stołu. Kelnerzy korzystają z okazji i zabierają nietknięte łyżeczki z przekąską do oczyszczenia smaku i sprawnie podają ostatnie danie.

* * *

Odgłos rozlega się w zaułku, potężny, obcy, przerażający. Necdet schodzi po stopniach na Vermilion-Maker Lane, gdzie czuje go jak fizyczną siłę. Pcha go na zamknięte roletę drzwi sklepu. Hizir jest panem dzinnów, to całkiem do niego podobne: sprowadzić nad dom derwiszy jakiegoś dzinna-matkę wielkości chmury. Przyciska policzek do pomalowanego na czerwono tynku. Dźwięk pełnie po ścianie, przygasa i narasta, falując w dusznym powietrzu wśród labiryntów eskiköyskich uliczek i placyków z fontannami, dzwoni stalową roletą, przykutym łańcuchem do ściany automatem z colą, balustradami balkonów zwisających nad Vermilion-Maker Lane. Jest potężny, dziwnie znajomy, mrozący krew w żyłach. Jest prawdziwy.

Hizir nie jest dobrotliwym świętym. Zielony zabrał wszystko, każde wspomnienie, każdy wyczyn i występki, i dał w zamian coś, co teraz pamięta jako swoje życie. Podpalił siostrę. Ismet zabrał go do domu derwiszy, żeby chronić go przed własną rodziną.

- Co mam zrobić?

Zielony Święty zamknął oczy i odwrócił głowę. Necdet myśli, że może wtedy zwariował. Korytarz przechodził w korytarz, kanał w kanał, ciągnąc go jeszcze dalej, jeszcze głębiej w lochy i cysterny starsze niż którekolwiek z trzech miast, których nazwy obejmowały te kamienie. Znalazł się w końcu przy rurze, grubej jak jego ciało, biegnącej z ciemności w ciemność. Drżała pod dotykiem, a przyciskając do niej ucho, wyobrażał sobie, że słyszy przez grubą izolację wizg pędzącego gazu. Co prawdziwe, co wyobrażone, co jest światem pomiędzy - tego już nie poznawał. Gdy Mustafa namierzył w końcu, zza których nigdy nieotwieranych drzwi przeciwpożarowych dobiega to łomotanie, i pozrywał plomby, znalazł Necdeta brudnego, obsypanego kurzem, podrapanego, ale z promienną twarzą. Został dotknięty, został odmieniony.

Odgłos grzmi głośniejsz, skupiony i wzmocniony przez zaułki, gdy Necdet ostrożnie wychodzi na Vermilion-Maker. Plac Adema Dede jest pełen ludzi. Większość stanowią kobiety w chustach, z domieszką młodych mężczyzn w skórzanych kurtkach, z ostrzyżonymi włosami i w wyglansowanych butach. Wszyscy stoją zwrócenii twarzami do domu derwiszy. Necdet widzi ponad morzem chust głowę Ismeta. Pewnie stoi na schodkach galerii. Teraz dostrzega resztę grupy brata. Ładne kurtki, eleganckie buty. To dobrze ubrany tarikát, jego członkowie mają pracę. Tłum wydaje wysoki, wyczekujący pomruk. To właśnie dźwięk, który prześladował go przez całe Eskiköy.

Bülent i jego wróg Aykut patrzą każdy ze swoich drzwi. Stoły i krzeselka są bezpiecznie pochowane. Grecy, którzy przychodzą na herbatę do Bülenta, wynieśli się na wszelki wypadek. Aydin zamyka swój kiosk z gazetami i kuponami lotto, przeprasząc wszystkie kobiety w chustach i przyzwoitych pelerynach. Ostatnimi dzisiejszymi obwarzankami, już czerstwymi, karmią się gołębie. Cała okolica przygląda się z balkonów. Nawet rodzina głuchego chłopca pootwierala okiennice i zerka ostrożnie w dół, uważając, żeby nie została dostrzeżona. O, chłopak też jest, wygląda przez balustradę. Necdet unosi wzrok: jest i robot chłopaczka, ptak, krąży nad placem. Niektóre okna są pozasłaniae. Na przykład, u starego, grubego Greka. Oczywiście. Albo u tej Gruzinki, którą wszyscy mają za prostytutkę. Czyżby coś mignęło za zasłoną i zniknęło natychmiast, gdy skupił tam wzrok? Tyle szczegółów. Jakby ktoś dał mu nowe zmysły. Świat jest ostry, szczegółowy, wszystko połączone ze wszystkim. Na drzwiach galerii są wymalowane jakieś słowa. Coś tam o bałwochwalcach. Ale dziewczyna z galerii, ta, co jej karina widział pod ziemią, stoi z tyłu tłumu. Nie może dać tłumowi poznać, że tam pracuje. Właścicielka galerii bardzo się Necdetowi podoba. Podobają mu się jej odważne buty i spódnice. To kobieta z klasą, na pewno głośno by krzyczała.

Jakiś ruch po prawej. Tłum rozdziela się, kobiety zbijają się w ciaśniejszy szyk. Jest z nimi Hizir, przysiada na krawędzi fontanny. W tym samym momencie dziewczyna z galerii odwraca się i widzi go. Jej okrzyk i kiwnięcie palcem wskazującym wyciszają cały plac. Wszyscy obracają się ku niemu. Nie próbuje uciekać. To dlatego Hizir czeka na niego właśnie tutaj, choć mógłby gdziekolwiek w Stambule. Przed wolą Boga nie ma ucieczki.

Ismet przepycha się przez tłum. Chłopcy z tarikatu idą tuż za nim. Tworzą wokół Necdeta wartę honorową i prowadzą go przez ciżbę na ganek galerii. Napis srebrną farbą mówi: „Spalić bałwochwalców”. Głowy, twarze, głowy, twarze, głowy, twarze i chusty. Na balkonach kolejne twarze. Bez chust.

- Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie! - krzyczy Ismet, unosząc ręce. - Bóg dał nam

wielki dar, tu, na miejscu, na Eskiköy. Bóg nadal jest tu obecny, w naszych czasach, na naszych własnych ulicach. Poszedłem za wolą Boga i założyłem naszą grupę badaczy słowa Bożego - by wprowadzić na Eskiköy sprawiedliwość, należyta, Bożą sprawiedliwość, a Bóg pobłogosławił naszej pracy. Dał nam dar: szejcha, uczynił szejchem jednego spośród nas!

Głuchy dzieciak spod czwórki o mało nie wylezie z balkonu. Matka trzyma go za tył futbolowej koszulki. Hizir patrzy ze swojego stanowiska na fontannie. Może jest odrobinę rozbawiony. Ismet trzyma ręce w górze. Teraz Necdet ma coś powiedzieć.

Nie jestem żadnym szejchem, jestem jaraczem zioła. Nie jestem świętym, jestem leniem. Nie jestem sufim, jestem podpalaczem siostr. Jestem Czarną Owcą.

Necdet pamięta, gdzie to już wcześniej widział. Tłum na Necatibey Caddesi, ściana twarzy, kiedy uciekał przed policyjnymi dronami, nagrywający go człowiek w białej koszulce, tuż przed tym, jak się obrócił i zobaczył promieniującą światłem głowę kobiety.

Hizir patrzy w górę. Necdet widzi wdzierający się na Adema Dede dym, słyszy dzinnowymi zmysłami komarzy pisk mikrośmigieł.

- Uciekajcie! - krzyczy. - Policja idzie! Lecą roboty!

Głowy w chustach unoszą się, gdy delikatny dymek rojobotów zbija się w większe, owadzie formy botów przeciw zamieszkom. Tłum rozpada się na uciekające kobiety, zasłaniające rękoma głowy i twarze, broniące się przed brzęczącymi, szarżującymi botami, wypatrującymi odsłoniętej skóry, żeby naznaczyć ją pełną kapsulek RFID farbą w spreju. Chusty lecą na ziemię, opadają długie, skromne, uliczne peleryny, kobiety pozbywają się wszystkiego, na czym mogłaby się pojawić zdradziecka pomarańczowa plama farby identyfikującej, która potem ściągnie policję do ich mieszkania. Teraz na placu rozlega się całkiem inny odgłos, wysoki, paniczny pisk. Plac pustoszeje w parę sekund. Puste są balkony, pozamykane szczelnie okiennice. Bruk, ściany, witryny sklepów, samochody, wszystko jest w pomarańczowe groszki. Ismet odciąga Necdeta, gdy salwa kapsulek z barwnikiem rozbryzguje się na rolecie galerii. Spalić bałwochwalców: srebro w pomarańczowe kropki. Rój owadzych robotów wspina się spiralą wysoko w powietrze i rozsypuje na inteligentny pył. Zbliżają się syreny. Necdet ogląda się przez ramię, kiedy chłopcy z tarikatu uprowadzają go w Güneşli Sok. Hizir zniknął. Na jego miejscu, jak w niekończącym się koszmarze, spod krawędzi fontanny wypelza samotny robot i pędzi w górę po upstrzonej oranżem ścianie. Nie należy do policji, nie jest też zabawką głuchego dzieciaka. To obcy obserwator.

* * *

Adnan ma teorię dotyczącą cygar. Cygara to odcięte kutasy wrogów. Biznesowy odpowiednik wytrysku szampana na podium Formuły I. Widzisz wrogu, odgryzam twojego

fiuta.

Budakowie pozbiali się zaraz po kawie. Powóz zaterkotał, zjeżdżają na dół szybkim truchtem, prawie galopem. Güneyowie pożegnali się nieśpiesznie, on sztywny i nadmiernie oficjalny, żona uśmiechnięta, wręcz rozpromieniona. Czy rzeczywiście szepnęła Ayşe: „Fantastycznie się bawiłam, skarbie?”. Pani Adataş zręcznie pokierowała Ayşe i generała z żoną w stronę bizantyjskich mozaik w dziennym salonie. Zadziałało natychmiast. Nic nie dawało się odczytać. Wszystko zawisało w powietrzu. Adnan przestał odczuwać strach.

- Chodźmy z powrotem na taras - powiedział Ferid Adataş.

Noc była bezwietrzna i niesamowicie, nieskończenie przejrzysta. Wszystko wydawało się zawieszone, jakby zaraz miało upaść. Adnan czuł się potwornie, potwornie przerażony i potwornie, potwornie żywy; obecny każdą komórką, każdą łuską skóry i włosów. Najdrobniejsze poruszenie, najlżejszy oddech, drgnienie najmniejszej myśli - i rozsypuje się chwila przeczystego istnienia.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby zaprosili pana na kolację - powiedział Adataş.

- Zaraz, kto?

- Pinar.

- Myśli pan?

- Pewnie, że myślę. Spodobał jej się pan. Stara trockistka, ale szanuje ludzi, którzy mają własne zdanie. Obojętne jakie, byleby umieli go bronić. Najbardziej ze wszystkiego kocha dobrą kłótnię. Wszystkie te szturchańce miały na celu sprawdzenie, czy pan ma prawdziwe jaja, czy tylko özerowskie firmowe. Dostanie pan zaproszenie na kolację. Ma niesamowitą piwniczkę. I następnym razem tak łagodnie się z panem nie obejdzie. Posieka pana na plasterki. Świetna jest, ta nasza Pinar. Za to jej mąż to świętoszkowaty palant. Cygaro?

Właśnie w tej chwili Adnan zrozumiał, że osiągnął, co miał osiągnąć. Jakby przelatowały przez niego wszystkie spadające gwiazdy, zawrót głowy, powódź ognia.

Dym wdziera się spiralą w jego wnętrze. To najlepsze, co czuł w życiu.

- Proszę podać rękę, panie Sarioğlu. - Dane przeskakują z wnętrza do wnętrza dłoni, przekazywane naturalnym przewodnictwem skóry. - To treść pana kontraktu.

- Mogę zerknąć?

- Spróbowałby pan nie zerknąć.

Adnan zręcznie wyciąga ceptepa z wewnętrznej kieszeni i zatyka za ucho. Rzutnik opada na oko.

- Termin szesnastego.

- Taki ma być.

- Dwadzieścia pięć procent.

- Spodziewał się pan więcej.

- Tak jak pan mówił, ten kontrakt... - Jest na całe dwa miliony. Dokładnie tyle, o ile prosił. - Jak szybko da się uruchomić linię kredytową?

- Gdy tylko przyjdzie pan do moich prawników z numerem konta.

Konta to nie działka Adnana. On jest Ultralordem Interesu. Teraz Kemal na zapleczu będzie musiał pozakładać zagnieżdżone foldery z dokumentami, terminy płatności, przelewy i sztuczne rachunki.

- Nie chce pan żadnego zabezpieczenia.

- Synu, moje zabezpieczenie to hedging. Co to są dwa miliony w tę czy w tamtą, między mną i Özerem? To dobry zakład? Tysiąc procent zwrotu? Nie stalibyśmy na moim tarasie tutaj, gdybym nie umiał wyczuć dobrego zakładu. Pana wyliczenia się zgadzają, a kontakty są w porządku - w takim stopniu, w jakim to możliwe w takim biznesie. Mówiłem panu: podoba mi się pana rozmach - przerzucanie gorącego irańskiego gazu - cenię też Pinar i jej ocenę charakteru, ale pod spodem zgadzają się wszystkie cyferki. W związku z tym decyzja jest logiczna.

Głuchy stukot stalowych podków na bruku; wrócił powóz, koń w okularach z frędzlami przystaje z uniesionym jednym kopytem.

- To po pana. Generał i pani Çiller zostają. To starzy przyjaciele. Proszę nie myśleć, że jestem niegościnnie, ale pan jutro rano idzie do pracy. - Ferid Bej parska śmiechem i klepie Adnana po plecach. - I proszę nie rzucić byle gdzie niedopałka od cygara. Jest zagrożenie pożarowe.

W hallu Adnan i Ayşe wymieniają się ostatnimi kodami tego wieczoru.

Ayşe: dłonie uniesione w nieznacznym, błagalnym geście. „I jak?”

Adnan: delikatne zaciśnięcie pięści. „Yesss”.

* * *

Całkiem się zgubił. Choć te ulice, niespodziewane schodki, ukradkowe zaułki, ukryte ogródki i zapomniane cmentarzyki, sklepy, szkoły i obrośnięte szlamem źródelka z wodą stanowią świat jego dzieciństwa, i tak stoi jak sparaliżowany pośrodku Soğancı Sok, gdzie dziewczęta zbijają się w gromadkę w krótkich letnich spódniczkach i kolorowych butach, a chłopcy przepychają się z niebezpiecznie nażelowanymi włosami, w markowych koszulkach bez rękawów. Naganiacze wołają: „Zapraszamy do naszego baru na świetną zabawę”. Neony, plastikowe szyldy, markizy, uliczne historie, młodzi ludzie palący sziszę, która wróciła do

łask; maleńkie napędzane gazem miejskie autka i motorowery. Atakuje go muzyka z kilkunastu miejsc, urywki i strzępki poszczególnych rytmów. Georgios przez sześć lat chodził tą ulicą co rano do Göksel Hamm, z torbą na plecach, jak z wojskowym plecakiem. Niestety, teraz budynki wyglądają inaczej, ich szorstkie, betonowe twarze to już nie miękkie, zbyt łatwopalne drewno dawnej Cihangir. Światła wiszą jakoś nie tak, rynsztok pośrodku wąskiej ulicy jest zbyt głęboki, na końcu powinna mieć wąski *sok* z niskimi, zielonymi, podwójnymi drzwiami; kartograficznie wszystko się zgadza, ale wygląda obco.

Georgios zatrzymuje idącego do swojego motoroweru dostawcę pizzy. Wyciąga ręcznie wyrysowaną mapkę, którą dał mu Constantin w czajchaniu.

- Szukam Maç Çok.

Chłopak od pizzy bierze mapkę i marszczy nad nią czoło.

- Trzecia po lewej i potem za Meczet Kwietniowy.

- Dziękuję.

Motorower dostawcy ma zdjęty tłumik; kiedy odjeżdża z pizzami ułożonymi i przypiętymi na półce, ryk niesie się jak kanonada po ścianach z oknami. Georgios stoi jednak jak skamieniały na Soğanci Sok. Parę kroków i już tam będzie. Na jej ulicy, pod jej drzwiami. Wszystko to zbyt nagle, za szybko, za blisko.

Co wtorek Grupa Nowych Myślicieli spotykała się w mejchaniu Karakuş na Dolapdere. W poniedziałek poeci, w środę twórcy filmów eksperymentalnych, w czwartki bardowie z gitarami, a prawdziwi muzycy w piątki i soboty, lecz wtorek należał do Nowej Myśli: polityki, filozofii, feminizmu, krytyki. Ekonomii.

- Kochanie, naprawdę musicie zaprosić tego młodego człowieka - powiedziała Meryem Nasi, wyciągając Georgiosa z koterii polityków i mędrców na swoim tarasie i prowadząc go w miejsce, gdzie zasiadała Ariana z orszakiem przystojnych młodych mężczyzn. - Najbystrzejszy ekonomista od trzydziestu lat. Taki, który wstrząśnie tymi zmurszałymi lewackimi dogmatami, co?

- Ekonomista? - Ariana wypowiedziała to słowo, jakby mówiła „oprawca”.

- Ekonomia doświadczalna - dodał Georgios. - Oparta na doświadczeniu.

Na placu Taksim oddziały prewencji zsiadały z ciężarówek i formowały kolumny, choć Georgios nie widział przed sobą nikogo groźnego - tylko wracających do domu pracowników biurowych. W parę tygodni po obaleniu przez generałów Süleymana Demirela takie przypadkowe przerzucanie wojska stało się regułą: miało zasiać w społeczeństwie przeświadczenie o wszechwiedzy armii, o tym, że armia zna myśli przeciwników jeszcze przed nimi samymi. Przemknął przed falangą tarcz z pochyloną głową. Stan wojenny

przepelniał go lękiem.

Karakuş był zadymionym, brunatnym barem, obwieszonym starymi zdjęciami francuskich intelektualistów i tureckich poetów. Za barem wisiał nowy, duży plakat z Atatürkiem, a obok niewiele mniejsze zdjęcie generała Kenana Evrena. Stoliki rozstawione ciasno jeden przy drugim, każde krzesło inne, na końcu sali mały podest z mikrofonem. DJ zainstalowany w schowku na szczotki puszczał głośne angielskie ska. Bar był zatłoczony, wszystkie stoliki zajęte. Pod ścianami cisnęli się młodzi mężczyźni w niemieckich wojskowych kurtkach i drelichach oraz młode kobiety w zwężających się džinsach i kawaleryjskich bluzach. Dym papierosowy można było kroić nożem. Georgios zawahał się, kiedy otworzył drzwi i wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. Zapewne uciekłyby, ale Ariana Sinanidis wstała od najbliższego podium stolika - kolejna grupka przystojnych, skupionych młodzieńców - i zaprosiła go.

- Trafił pan, zapraszamy. Mamy dla pana miejsce. Wszyscy z niecierpliwością czekamy, co nam pan powie.

Georgios, wstydząc się swojego garnituru, nerwowo pił kawę, od czego robił się jeszcze bardziej nerwowy, i uśmiechał się nadmiernie szeroko za każdym razem, gdy Ariana próbowała wciągnąć go w rozmowę. Kręciła się wokół zamachu: kto zniknął, że armia tym razem wreszcie zwróciła się ku swoim popiecznikom, Szarym Wilkom, a oni byli na tyle głupi, żeby uważać, że są nietykalni? Ale czego się można spodziewać po Szarych Wilkach, zresztą za wszystkim stoi CIA i ich sługusy z Głębokiego Państwa.

Georgios usłyszał, że DJ wywołuje go po nazwisku. Przeszedł wśród wątlých oklasków na scenę, zamrugał w świetle przykręconego do sufitu reflektorka, który zamieniał dym papierosowy w ścianę świetlistego błękitu. Ni stąd, ni zowąd zapadła grobowa cisza. Zaczął, jękając się, tasując swoje staranne notatki na kartach pocztowych, szukając słów. Pokój był daleko, był zimny i zamknięty. Potem zapłonęła w nim pasja, zapomniał o kartach w dłoni i zaczął mówić, o tym, co zobaczył w ekonomii, o tym, jak próbuje wyciągnąć tę dziedzinę z martwego morza matematycznych modeli i zrobić z niej naukę empiryczną, doświadczalną - prawdziwą naukę, z hipotezami i dowodami. Najbardziej ludzką z nauk, mówi ona bowiem o potrzebach, wartości i koszcie. Mówił o nowej teorii nieliniowości, o tym, jak matematyczna przewidywalność może się osypać w losowość, chaos; o teorii katastrof Thoma, kiedy jeden rodzaj zachowania nagle kolapsuje we własne przeciwieństwo. Mówił o nieracjonalności racjonalnych aktorów, o ekonomicznych eksperymentach, o oczekiwaniach, paradoksach i grach z sumą niezerową. Mówił o swoich nadziejach na przyszłość ekonomii, modelującej dokładniej świat ludzi, a nie samą siebie, zajmującej nową

niszę pomiędzy psychologią, socjologią i rozwijającą się teraz fizyką systemów nieliniowych. Mówił, aż zrobiło się dobrze po dziesiątej, po godzinie policyjnej. Podziękował im, że przyszli, podziękował za uwagę.

Zaczęły się pytania. Był właściwie w trakcie kłótni z marksistą w berecie Che Guevary, dotyczącej nieuniknionej wojny klasowej, kiedy w drzwiach stanęła policja. Granaty z gazem łzawiącym potoczyły się, parując, między nogami krzeseł. Drzwi wyleciały, policja wdarła się do środka z tarczami, pałami, w maskach przeciwgazowych. Dziewczyna w bluzce z falbaniastym kołnierzykiem w stylu Lady Di upadła, brocząc krwią z paskudnej rany na głowie. Goście zaczęli szturmować scenę. Marksista odważnie stawiał czoło atakującym, z uniesionym krzesłem. Policjant uderzył go tarczą i zwałił na ziemię ciosem ciężkiej czarnej pałki szturmowej. Powietrze zrobiło się nieprzejryste od gazu CS. Rozlegał się ciągły wrzask. Na zewnątrz blaszany daleki głos wykrzykiwał przez megafon niezrozumiałe rozkazy. Fala ludzi gwałtownie rzuciła Georgiosa na ścianę. W zdjęciach Sartre'a i de Beauvoir popekały szybki. Publiczność zaatakowała bar, w rozpaczliwym poszukiwaniu tylnego wyjścia. Z kuchni dobiegł głuchy ryk, tłum momentalnie zawrócił. Tam też była policja. W tej sekundzie niezdecydowania Ariana zanurkowała w tłum, chwyciła Georgiosa za rękę i pociągnęła ku komórce DJ-a.

- Tam są schody na górę.

Pociągnęła go przez trzy piętra skrzyń, pudeł i niszczących pomieszczeń, by wypaść na delikatnie pochylał papę. Inni poszli za nimi: rozproszyli się między zbiornikami z wodą i antenami telewizyjnymi, przechodząc z dachu na dach. Ariana nie szukała bezpiecznego miejsca; podeszła do krawędzi, żeby wyrzeć na ulicę.

- Zobaczą cię - powiedział Georgios.

- Wszystko mi jedno.

Wojskowe ciężarówki i furgonetki zastawiały oba wyloty ulicy. Miały opuszczone burty, pootwierane drzwi. Żołnierze pakowali do środka gości mejchany - skute z tyłu ręce, zgięci, głowy w dół. Na górę i w głąb. Widać było wprawę i rutynę. Znikali szybko i po cichu. Kobiety lądowały w furgonetkach. Wolno im było stać prosto, ale zaczęły wrzeszczeć i wyzywać żołnierzy. Warknęły na nie wojskowe psy na krótkich smyczach, odsłaniając zęby, i to uciszyło je natychmiast. W kawiarni Karakuş wszystkie słyszały o kobietach, które rozbierano i wrzucano do pomieszczenia ze specjalnie tresowanymi psami-gwałcicielami. Jeśli przytrafi ci się coś takiego, możesz tylko się zabić. Po takim poniżeniu już nigdy nie będziesz czysta. Czterech żołnierzy wyniosło marksistę w berecie Che Guevary. Głowa zwisała mu bezwładnie, jak u zdjętego z krzyża Jezusa. Na bruku połyskiwała krew. Światło

palilo się w każdym mieszkaniu po obu stronach Şirket Sok. Sylwetki czaiły się za okiennicami i firankami.

- Widzę was, widzę wszystkich! - wściekała się Ariana na oświetlone okna. - Powiedzcie ludziom, co widzieliście! Powiedzcie, co widzieliście! Co? Powiecie? Pewnie, że nie! Nie na Şirket Sok. Zresztą, to pewnie wyście po nich zadzwonili! Chamy! Palanty!

Cofnęła się i z furią splunęła na ulicę.

- Ariana, trzeba iść! - krzyknął Georgios. - To kwestia czasu, kiedy tutaj dotrą.

A ona stała i obrzucała ulicę przekleństwami, sukienka trzepotała na Meryem Ana Firtanisi, wrześnieowym wietrze. W oczach Georgiosa była przepiękna: dumna, gniewna heroina z greckich legend; szalona Elektra albo Nemezis. Żołnierze już ją usłyszeli, już zapalali ręczne szperacze na ciężarówkach, już zdejmowali z ramion karabiny. Stał sparaliżowany strachem, w końcu jednak chwycił ją i odciągnął w głąb.

- Weź mnie za rękę.

Czar prysł. Georgios zacisnął palce na jej dłoni i pociągnął ją po popękanych dachówkach, pod przeciekającymi zbiornikami, przez labirynty prania i ogrody geranium w doniczkach, przez dachy Dolapdere.

Dwa dni później znalazł się na placu Taksim. Ciało młodego człowieka wypłynęło na Karaköy, wyniesione jednym z tych bosforskich prądów, które trzymają samobójców i ofiary pozasądowych egzekucji w prywatnych, nieskończonych wirach. Twarz miał tak zmasakrowaną, że nie rozpoznali go ani matka, ani ojciec. Śruby, powiedziała policja. Zwłoki, które trafiają do wody, zawsze są zmielone, przy takim ruchu statków tam i z powrotem. Rodzice zidentyfikowali go po kurtce z niemieckiego demobilu i czerwonym berecie rewolucjonisty wetkniętym do kieszeni.

W tę październikową sobotę trzysta osób protestowało na placu Taksim przeciwko stanowi wojennemu. Sześć tygodni wcześniej byłoby ich trzydzieści tysięcy, rozwścieczonych zamachem stanu. Jednakże złość ma okres połowicznego rozpadu. Generałowie stali się po prostu kolejnym rządem. Naprzeciwko trzystu stały falangi żołnierzy, otaczając dwunastoma kordonami pomnik Atatürka, odwieczny cel demonstrantów; Ariana podała mu rękę, żeby pójść naprzód, pomiędzy przywódców. Byli już wtedy kochankami. Plac był ogromny, niebo było beznamietnym błękitem sądneho dnia, a stojące naprzeciw nich siły były potworne i bezlitosne, Georgios poczuł jednak, że z jego gardła wydiera się nieznamy krzyk, a w oczach ma łzy dumy - dumy ze sprawiedliwej zajadłości Ariany, z tego miasta, z własnej odwagi. Zanurkował za nią. Nigdy już nie był tak zakochany, jak wtedy.

Dostawcy pizzy to najlepsi przewodnicy. Mać Çok to wąski przesmyk odchodzący od Mać Sok, szerokości jednego okna, nie szerszy niż jego zielone, podwójne drzwi. Osłonięte okiennicami okna pną się zygzakiem na trzy piętra. Nie może pójść na górę i zapukać. Nie może tak przyjść znienacka, nie po czterdziestu siedmiu latach emigracji i milczenia. Bo co, jeśli otworzy? Co, jeśli weźmie go z zaskoczenia, zanim zdecyduje, co powiedzieć? Co, jeśli odezwie się pierwsza? Co, jeśli nic nie powie? Albo go nie pozna? Co, jeśli stała się jak ten budynek - przygarbiona, przygnieciona, krzywa i asymetryczna?

Naprzeciwko wylotu Mać Çok jest oświetlona neonem budka z papierosami, z mrużącym radiem. Nastolatek siedzi na niskim stołku, zaczytany w piłkarskim magazynie, w świetle automatu z colą. Georgios grzebie w gazetach i czasopismach. Wygląda absurdalnie, a nawet trochę podejrzanie.

- Słyszał pan może o jakiejś kobiecie, co niedawno się tu sprowadziła? Nie ze wschodu, z Europy, z Grecji. Z Aten.

Sprzedawca kręci głową, ale chłopak unosi głowę znad magazynu piłkarskiego. Cokolwiek miał powiedzieć, jest już bez znaczenia, pojawia się bowiem Ariana Sinanidis - idzie środkiem ulicy z dwiema reklamówkami z miejscowego sklepu spożywczego. To ona, w stu procentach ona, nie ma żadnej wątpliwości, jakże Georgios mógł w ogóle się obawiać, że jej nie rozpozna? Jest starsza, ale się nie zestarzała. Chudsza, ale nie zaszuszone - i nie stała się niezgrabna, niezborna, nie kiwa się na boki. Idzie z gracją po podstępnych brukowcach, obcasy ma wysokie. Żadnych sinych żyłek na rękach dzierżących reklamówki. Od czterdziestu siedmiu lat nie zmieniła fryzury. Włosy opadają prosto, są długie i lśniące - tak, jak pamięta. Jej twarz - nie śmie w nią patrzeć zbyt długo, żeby nie zauważyła jego spojrzenia i nie dowiedziała się, że ją obserwuje. Wygląda na zmęczoną. Georgios chciałby podejść i ponieść jej te torby. To pragnienie jest tak silne, że prawie budzi mdłości. Niestety, chwila mija, Ariana skręca w krótki korytarzyk prowadzący do drzwi wąskiej, pochyłej kamieniczki.

Gdy kupuje tę butelkę wody, którą podświadomie obracał w dłoniach, nastolatek wytrzeszcza na niego oczy. Uświadamia sobie, że łzy skapują mu na kłapy marynarki.

* * *

Riva pruje po ciemnej wodzie, podskakując i z chlupotem spadając z fal. Ciemna noc, czarna woda, szybka maszyna. Ayşe wstaje w kokpicie, trzymając się mosiężnej ramy przedniej szyby, w ekstazie od drżenia silników, tryskającej na twarz piany, sztywnych od soli włosów.

- Da się szybciej?

Pilot kiwa głową i otwiera przepustnice. Komputer synchronizuje silniki, łódź unosi

wyżej dziób. Przyspieszenie jest natychmiastowe i niepodzielne. Ayşe wyobraża sobie kreślone za rufą dwa radioaktywne kilwatery. Światło. Noc jest rozświetlona. Pod rozjarzoną luną kopułą nieba, po obu stronach rozpościerają się świetliste skrzydła miasta; szereg za szeregiem domów, taras za tarasem, wzgórza pną się jedno na drugie, pojedyncze światła się rozmazują, warstwa za warstwą w rozmigotane iskierki. Ayşe ogląda się przez ramię. Adnan siedzi pośrodku tylnej kanapy, szeroko rozłożywszy ręce w geście, który wydaje mu się nonszalancki, Ayşe wie jednak, że tak naprawdę trzyma się mocno skórzanej tapicerki.

- Da mi pan posterować.

Pilot marszczy czoło.

- Pływałam już taką.

Jakże córka kapitana marynarki miałaby nie umieć sterować motorówką? Nauczył ją, w jeden z tych letnich weekendów, kiedy w mieście robiło się za gorąco i z całym inwentarzem jechali autostradą D100 do letniego domku w Silivri nad brzegiem Morza Marmara. Ayşe kładzie dłonie na przepustnicach i wraca zapach lata z dzieciństwa: podpałka do grilla, słony kurz, krem po opalaniu. Mieli wtedy skromną łódkę z włókna szklanego z dwoma doczepnymi silnikami, całkowicie niepodobną do tej perły z drewna i włókna węglowego o tłustych, żarłocznych silnikach na węgiel, lecz kapitan Erkoç pokazał jej, co trzeba zrobić, żeby frunęła nad wodą. Ayşe wyłącza automatyczną synchronizację i pcha dźwignie naprzód. Dostraja silniki na czuja. Wszystko sprowadza się do wibracji. Łódka wyrywa naprzód. Zestrojenie silników jest idealne. Ayşe potrząsa głową, włosami, wytrząsa z kącików oczu łzy szybkości. Zamaszystą, ryczącą krzywą kieruje podskakującą, pędzącą łódź wokół przylądka Sarayburnu z pięknie podświetloną gigantyczną turecką flagą. Otwiera się przed nią Złoty Róg. Po obu stronach mają pokryte złotem wzgórza Stambułu. Tak się wpływa do Królowej Miast. Zerka na Adnana. Trochę go nastraszyła, ale i podekscytowała. No i co, dealerze, podobam ci się teraz?

Przeskakuje między promami i cumującymi na Karaköy wycieczkowcami jak ściany światła, opada na wodę, znów zwykła śmiertelniczka. Delikatnie poszturkuje riwę ku pomostowi, ledwo muskając opony. Silniki z bulgotem milkną, woda nieruchomieje.

- Kto panią tego nauczył? - pyta sternik, szarmancko podając jej rękę i pomagając wejść na pomost.

- Mój ojciec był dowódcą niszczyciela.

Sternik salutuje. Na łądzie bohaterem jest znowu Adnan. Poprawia poły marynarki, wystające paseczki mankietów. Okręca się i unosi Ayşe w powietrze, przyciska ją z całej siły do siebie, obcasy zgrzytają na betonie, twarze blisko na jeden oddech, jak do pocałunku.

- No i! - ryczy.

Ayşe czuje smak wina, które pił.

- No i wyszło, kurwa! - Okręca ją wokół siebie.

Ayşe w jego ramionach czuje, jak rozmazują się łodzie, autobusy, wózki, minarety.

- Idziemy! - krzyczy Adnan i stawia ją na ziemi, ale nadal trzyma za rękę.

Pędzą między nocnymi spacerowiczami, między porozkładanymi jedna przy drugiej płachtami z podejrzanymi towarami, prosto w ruch uliczny, prześlizgując się tanecznie między autami, zatrzymując ciężarówki i autobusy z turystami wyciągniętą ręką i gracją zakochanych. Pędzi na nich tramwaj. Ayşe krzyczy, ręka Adnana zabiera ją sprzed morderczego potwora, pomiędzy skutery, volkswageny, w uliczki między sklepikami otaczającymi Nowy Meczec. Tu, we wnęce drzwi, oparty o czerwoną roletę osłoniętą pędami miejskiej wisterii, przyciąga ją do siebie. Ayşe pada ciężko na niego, wypowiedzenie wojny i wyznanie miłości, chce, żeby poczuł siłę jej brzucha, zwartość, doskonałość ud. Młodziak w lotniczej skórze drwi z nich w głębi zaułka. Adnan grzmi sprośnym śmiechem, ale ciągnie ją dalej, w głąb dzielnicy Sultanahmet. Dawna osmańska stolica to nie jest miasto dla kochanków.

Na Hoca Paşa Sok, z tyłu maleńkiego lokalnego meczeciku, wpycha go do bramy. Eleganckie spodnie, spodnie do robienia interesów ma rozpięte, ciężki, na wpół twardy penis w jej dłoni. Świta jej śmiały, niegrzeczny pomysł, co z nim tu zrobić, wtem zapalają się światła w kratce nad drzwiami naprzeciwko. Ayşe parska śmiechem i ucieka, rozchichotana biegnąc labiryntem brukowanych zaułków pnących się ku Cağaloğlu. Z dala od głównych ulic Sultanahmet jest pusty. Rolety zasłaniające sklepy promieniują pamięcią upału. Ayşe przystaje pośrodku stromej brukowanej uliczki ocienionej przykurzonymi gałęziami migdałowca i zręcznie wyskakuje z majteczek. Adnan łapie ją, wyrzywa jej z dłoni koronkowe trójkąciki i przyciska do twarzy.

- To dopiero świetny bukiet. Znakomity rocznik.

Ayşe chwyta majteczki i wciska je Adnanowi do ust, śmiejąc się histerycznie, gdy pochłania je z warknięciami, wielkimi kłapnięciami paszczy, jak potwór. Kobieta wracająca późno do domu, z torbą zakupów w ręce, otulona dyskretnie peleryną, przechodzi u wylotu zaułka. Wybałusza oczy na Adnana z wystającymi z ust majtkami.

- Łaaaa! - ryczy Adnan i wymachuje rękami.

Kobieta ucieka, otulając się ciasniej płaszczem dla osłony przed niemoralną nocą. Ayşe i Adnan, cali obolali ze śmiechu, wtaczają się do windy piętrowego parkingu. Ayşe ma zadartą do pasa sukienkę, nogi owinięte wokół talii Adnana, plecy przyparto do panelu z

alarmową słuchawką. Wtem winda dzwoni, staje na trzecim piętrze, drzwi otwierają się, ukazując faceta o niezdrowej cerze, w kiepsko leżącym na nim garniturze, z kiepsko ostrzyżonymi włosami. Mruga. Wąskie usta ma rozdziawione.

- Do góry - mówi Adnan.

Wypadają z windy, idą prosto do audi. To jedyne auto na całym piętrze.

- Dwa miliony euro! - drze się. Powyszczerbiane filary i wypolerowany oponami beton odpowiadają echem. - Dwa miliony euro!

Nikt nie jest tak zepsuty, tak pozbawiony wrażliwości, tak głuchy na złowrogięgo ducha miejsca, żeby się pieprzyć na pustym piętrowym parkingu. Jednakże Ayşe trzyma dłoń na penisie Adnana przez cały czas, gdy on na trzecim biegu zjeżdża spiralą ku wyjściu, z jedną dłonią na maksymalnie skróconej kierownicy. Piszczą opony, duchy starych parkingów piętrowych. Trafimy na jakąś kałużę oleju i nie żyjemy, myśli Ayşe. Nie, nic takiego się nie stanie. Nie dzisiaj.

Na ulicy Adnan włącza autodrivo. Ayşe wierci się na siedzeniu, otwierając uda dla jego dotyku. Sama pieści go delikatnie, raczej na zanętę, przez całą drogę między wahadłowymi dolmuszami na Ol. Na podjeździe do mostu czuje, że Adnan zabiera kciuk z jej łechtaczki. Autodrivo się wyłącza. Turbina gazowa rży jak dumny rumak. Przyśpieszenie wciska ją w fotel. Niesamowity jest ten samochód. Most do Azji jest jak świetlny łuk. Wysoko nad czarną wodą, pomiędzy kontynentami. Dołem płyną statki. Podświetlone tureckie flagi stoją jak znaki nawigacyjne na azjatyckich wzgórzach. Zwisające bezwładnie gwiazdy i półksiężyce. Noc nie daje wytchnienia od upału. Na dole, gdzie ciemna woda styka się z jasnym brzegiem, stoi wymarzona yali Adnana. Twój sekretny biznes kupi ją dla nas, za to mój sekretny biznes zabierze cię do takiej yali, o której naprawdę marzysz, za naszymi plecami, na europejskim brzegu.

Zapala papierosa. Nocny ruch nigdy nie ustaje. Audi wyprzedza ciężarówkę za ciężarówką, toczące się ze wschodu w paszczę wielkiego Stambułu. Ayşe przekręca się na bok, żeby wyrzeć przez okno na rozmazane tanie osiedla i pasaże sklepowe. Otwiera usta jakby wypowiadała sylabę: dym ulatuje z nich jak woda. Spiczaste minarety, blaszane srebrne kopułki, tandetne, budowane za saudyjską kasę meczety, obce i bezmyślne. Wokół nich wałęsa się młodzież w sportowych ubraniach. Policja zatrzymała ciężarówkę. Trzy radiowozy. Ciężarówka ma ormiańskie napisy, ale stojący apatycznie zarośnięci mężczyźni w ciuchach koloru błota pochodzą z dalszego wschodu.

Idąc po jeszcze ciepłym betonie z garażu do hallu, są chyba jedynymi namiętymi istotami na całym Ferhatpaşa. Motorówki, powozy zaprzężone w konie, gwiazdozbiory

lampek oliwnych, drogie garnitury, wysokie szpilki, transakcje na milion euro - Ferhatpaşa nie wierzy w takie rzeczy. Potrzeba wciąż jest nagła, ciągle go pragnie; on też jest jej głodny, ale z każdą sekundą Ferhatpaşa to z nich wyżera.

Adnan strząsa buty w przedpokoju, zrzuca marynarkę, krawat, koszulę na podłogę salonu. Mężczyzna powinien rozbierać się od pasa w dół. Nigdy nie mogła go tego nauczyć, tego lenia z plaży w Kaşu.

- Minutka. Ma stać dla mnie. Zerznę cię, aż jaja pomarszczą ci się jak suszone morele.

Szybki sik. Konieczny. Kiedy jest już czysta, piękna i naga, nie licząc pończoch, które on tak uwielbia, oraz zabójczych obcasów, Adnan leży rozpostarty jak rozgwiżdża, twarzą w dół na łóżku i chrapie.

ŚRODA

V

Od wczesnego świtu na placu Adema Dede trwa krzątanie z mopami, wiadrami, wężami, szczotkami, uniwersalnymi środkami czyszczącymi i rozpuszczalnikiem do farb. Ludzie stoją na drabinach, zwisają z balkonów, stoją na krzesłach, pracując w pocie czoła szczoteczkami do zębów nad zdobieniami rzeźbionych drzwi, pochyleni nad samochodami ścierają z nich szamponem pomarańczowe wydzieliny robotów. Hafize czyści mopem stopnie i drewnianą futrynę Galerii Erkoç, zmywa graffiti z kwietnych zawijasów, rękawy i nogawki spodni ma nieprzystojnie podwinięte z powodu gorąca i wysiłku; pani Durukan wychyla się mocno z balkonu i z zapalem zmywa wężem fasadę swojego mieszkania, reagując na gniewne okrzyki ochlapanych przechodniów, jakby to była ich wina. Stalowa roleta Kenana oszczędziła mu najgorszej fali farby; nawet ta bezwstydną Gruzinka myje na kolanach swój balkon, z włosami związanymi pod chustą. Następuje tymczasowy rozejm między Bülentem i Aykutem: obaj szorują gąbkami do naczyń stoliki, krzesła i zachlapane szyby. Strumienie pomarańczowej wody spływają po placu, łączą się, znikają w odpływach i niespodziewanych drenach pomiędzy kamieniami brukowymi, toczą się jaskrawą kaskadą po schodach na Vermilion-Maker Lane. Gdyby mieć skaner nastawiony na policyjne częstotliwości, można by wyrysować mapę niewidocznych dróg wodnych Eskiöy, myśli Georgios Ferentinou, siedząc przy dopiero co umyтым stoliku przed czajchaną Bülenta. Jeszcze jeden tajemny Stambuł. Jego własna część domu derwiszy pozostaje zdecydowanie piegowata. Zmyje to pierwszy deszcz.

- Zastanawiam się, czy nie złożyć pozwu do sądu - mówi Bülent, wyzymając mopa i wylewając do ścieku kolejne wiadro.

- Na policję? Szkoda czasu - stwierdza Lefteres.

- Nie. - Bülent wskazuje brodą mejchanę Aykuta po drugiej stronie Güneşli Sok. - Na niego.

- Lepiej nie zaczynaj - mówi Lefteres.

- I tak się zaczyna, chcemy tego, czy nie - mówi ojciec Ioannis. Wielka, mroczna postać z brodą, w sutannie, jeszcze bardziej milcząca i tajemnicza niż zwykle. Georgios zauważa, że jego dłonie nieustannie supłają i rozsypują modlitewny sznur. - Byli pod cerkwią wczoraj wieczorem. Sprej. Bóg jest wielki. Niewierni do ognia. Grecy to pedofile.

- Próbowałeś pogadać z Hüseyinem Yaşayanem? - To imam małego Meczetu Tulipanowego i błyskotliwy historyk-amator specjalizujący się w typach i postaciach Beyoğlu. Georgios często czerpał z zasobów jego niesamowitej społecznej wiedzy przy kreśleniu map swoich alternatywnych Stambułów.

- Dzwoniłem. Na Hizira za wiele nie poradzi.

- Zielony Święty? No to mamy przerabane.

- Hüseyin na piątkowej modlitwie wspomni o relacjach dobrosąsiedzkich, ale ci, co to robią, do niego nie chodzą. To oddolna, ludowa religia. Niech Bóg nas broni przed młodymi i religijnymi. Hüseyin boi się ich tak samo jak my. Ma obowiązek zgłaszać takie rzeczy do Ministerstwa ds. Wyznań, ale jak to zrobi, Meczet Tulipanowy spali się zaraz po świętym Pantelejmonie. To się dobrze nie skończy.

- Wiecie co - mówi Lefteres, mieszając herbatę - nie wiem, czy nie wziąć tego zlecenia.

- Na pamflet?

- Na tę waszą kobietę. - Wskazuje brodą Gruzinkę, która przestała zawzięcie szorować, żeby otrzeć pot z czoła.

- Mówiłeś chyba, że musisz mieć pewność, że jest sprawiedliwy powód i wyraźna potrzeba społeczna.

- Co do powodu mogę być elastyczny, jeśli potrzeba społeczna jest odpowiednio wyraźna - stwierdza Lefteres. - A jest wyraźna aż nadto.

- Niech Bóg ma ją w opiece - mruczy ojciec Ioannis.

Wszyscy wokół stolika rozumieją o co chodzi: mniejszość wytyka palcami gorszą mniejszość. Żeby pokazać, po której stronie się stoi.

- Robię nowy kontrakt terminowy - obwieszcza Georgios Ferentinou, żeby przerwać nieprzyjemną ciszę. - W ciągu dziesięciu dni nastąpi atak terrorystyczny, udany lub udaremiony, w jakiś sposób związany z gazem.

- Ja bym to kupił - mówi Bülent. - To o takich rzeczach gadacie na tym panelu ekspertów?

- Mieli informację. To bardzo ciekawa grupa. Masa ekspertów z bardzo różnych dziedzin. Posadzili mnie koło zoologa, który specjalizuje się w takich rzeczach: jak całe stado

ptaków w ułamku sekundy przekazuje sobie sygnał o zagrożeniu. Czy to nie fascynujące? Może i grupy terrorystyczne nieświadomie sygnalizują między sobą? Gdybyśmy tylko poznali ten język. Jest tam Selma Özgün, psychogeograf. Interesuje ją to, jak w ciągu stuleci architektura miasta wpływa na przestrzenie społeczne i umysłowe zamieszkiwane przez ludzi. Widzę, że można na tej podstawie wnioskować, gdzie najchętniej uderzają terroryści, gdzie mieszkają i gdzie się spotykają. Takie rzeczy się dziedziczą. Goście zrekrutowali nawet naszego jedyne go autora fantastyki. Bystry są.

- Wszyscy najbardziej się boją wysadzenia na Bosporze jakiegoś dużego gazowca - zauważa Bülent. - Widziałem w telewizji taki program, Stambuł jest szczególnie podatny, bo fala uderzeniowa kumuluje się między wzgórzami po obu stronach. Mówili tam, że to mogłoby być jak lokalna Hiroszima.

- Niech Bóg ci wybaczy, że za dużo wiesz o takich sprawach.

- No cóż, jak się ma trzy lata, to ogląda się dużo Discovery Asia - odpowiada Bülent. - To dobre, człowiek się dużo dowiaduje.

- Widzicie... mnie się wydaje, że Ogün Saltuk właśnie tak pomyśli.

- Ogün Saltuk. Czy to aby nie ten, co... - odzywa się Constantin.

- Dokładnie ten - rzuca pośpiesznie Georgios.

- Taak... - dodaje Constantin, marszcząc czoło, jakby kręcąca się w herbacie łyżeczka była osią samego wielkiego Stambułu. - Powiedziałeś, że nigdy nie będzie miał idealnej akademickiej kariery, bo jest nieskażony choćby cieniem oryginalnej myśli.

- Powiedziałem jeszcze dużo innych rzeczy, a ten gość to bałwan i plagiator - mówi Georgios. - Ale to mnie interesuje. Ciekaw jestem, jak się rozwinie.

- Czyli ty nie sądzisz, że to będzie gazowiec - pyta Bülent.

- To za oczywiste.

- W takim razie dziesięć do jednego, że Ogün Saltuk to wysunie.

- A ty co myślisz, zanim wypuścisz ten nowy kontrakt? - pyta Bülent.

- Ja nie wiem - odpowiada Georgios. - Coś się dzieje, działają jakieś siły, są jakieś prawidłowości, których na razie nie widzę, ale je wyczuwam.

- Zaraz i dzinny będziesz widział - rzuca Lefteres. - O! Może to by załatwiło sprawę.

- A ja wziąłbym parę tych kontraktów - mówi Bülent. - Jeszcze się na nich nie przejechałem.

- Dobra, panowie, ja się zbieram. - Lefteres, krzywiąc się z bólu, wstaje ze stołka. - Mam pamflet do napisania.

Następny podnosi się ojciec Ioannis.

- Zjrzę do Hüseyina, pogadam, chociaż on gówno może zrobić. Jeśli ktoś jest zainteresowany, dziś wieczorem odmawiam nieszpory.

Georgios i Constantin siedzą w błogiej ciszy - potrafią sobie miło pomilczeć, nie potrzebują wypełniać ciszy słowami. Aleksandryczyk zapala papierosa i osuwa się w rutynową nonszalancję, puszczając w ciepłe powietrze cienką smużkę dymu. Wokół, placowi sprzątacze, czyściciele i zmywacze osiagają niezależne, ale jednocześnie zawieszenie broni z farbą znakującą stambulskiej służby bezpieczeństwa. Zrobiło się za gorąco na dalszą pracę.

Georgios przypatruje się swojemu przyjacielowi z papierosem. Cyniczny manipulator, rozplotkowany jak wdowa i mściwy, jeśli mu się zaprzeczy, o nieodgadzionych motywach, skryty w duchu, z pozoru jest ostatnim człowiekiem, z którym mógłby się zaprzyjaźnić. Twierdził, że jego ród jest równie stary jak miasto, od którego wzięła nazwę delta: synowie i córki samego Aleksandra. Mówi siedmioma językami, w tym klasyczną greką, kiwa głową pięciu religiom, choć w żadną z nich nie wierzy, i studiował na trzech uniwersytetach w trzech byłych stolicach imperiów. Nacjonalizm, a potem islamizm, dwa dwudziestowieczne wynalazki, zniszczyły cywilizację grecką w Egipcie, która istniała tam od trzech tysięcy lat; najpierw w Kairze, tym politycznym tygł. Ale i kosmopolityczna, niszcząca Aleksandria nie mogła pozostać obojętna na siły przewalające się przez świat islamu. Świńskie Zamieszki, tak to nazwano w Aleksandrii - rządowa akcja likwidacji ognisk wirusa grypy świńskiej H1N1 doprowadziła do masowego wybijania świń, a stąd do czystki wśród niemuzułmanów. Koptowie byli jeszcze w Aleksandrii zbyt mocni, więc religijne wrzenie zwróciło się przeciwko mniejszej i słabszej społeczności grekokatolików. W dziesięć dni zostali wymazani z historii. Constantin zobaczył płomienie buchające z kopuły cerkwi Świętego Atanazego i wsiadł do najbliższego samolotu. Dalej jest właścicielem paru nieruchomości w tym mieście, zarządzanych przez podstawione firmy, czynsz ciurka do niego przez pośredników i skorumpowanych urzędników, dość, żeby móc się utrzymać w Stambule. Z jednej wymierającej greckiej mniejszości do drugiej. Upadek: powolne nadszycanie zewnętrznego świata; hüüzün, ta jedyna w swoim rodzaju stambulska melancholijna nostalgia.

- Widziałem Arianę - mówi Georgios.

- Rozmawiałeś z nią?

- Nie.

- No to musisz wziąć się w garść, Ferentinou. W piątek wyjeżdża.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy?

- Nie jesteśmy jedynymi Grekami na Beyoğlu. Mogę ci dać jej numer.

- Co? Mam zadzwonić?

- Od ponad czterdziestu lat masz niedokończone sprawy.

- Zanim ty w ogóle wylądowałeś na Eskiköy! - warczy nagle Georgios. - Myślisz, że wiesz wszystko, a gównu wiesz, jesteś tylko dumnym plotkarzem.

Wstaje od stolika, rzuca garść drobnych euro. Faktycznie, ma od czterdziestu siedmiu lat niedokończone sprawy, ale Constantinowi, urządzonemu na wygnaniu jak u pana Boga za piecem, wydaje się, że to coś tak prostego jak nieodwzajemniona miłość. Kiedyś to była miłość, ale lata czasu i polityki zamieniły ją w potrzebę rozgrzeszenia: Georgios Ferentinou boi się, że Ariana Sinanidis wini go za śmierć Meryem Nasi.

* * *

Necdet nie pamięta, kiedy ostatni raz jego noga stanęła w meczecie, lecz ciało nigdy nie zapomina. Obmyj stopy, dłonie, twarz, szyję i uszy. Obmyj wodą z serca Hizira. Zielony Święty wyniósł się stąd, dzinny odeszły na skraj swojego świata, choć i tak słyszy ich szepty, jak wiatr szeleszczący liśćmi na drzewie. Zawsze ciągnęło je do meczetów, masdyd, świątyń, świętych kamieni. Zostawia trampki w przedsionku. Po pięknych kaflach i ciężkich mosiężnych lampach poznaje, że fundator Meczetu Tulipanowego był szczodry, lecz z czasem meczet wypadł z łask okolicy i nie stać już go na emeryta do pilnowania butów. Dywan pod stopami jest gruby i miękki, Necdet podwija palce, stąpając. Dzinny trzymają się przy drzwiach, szemrzą i trzepoczą. Prawo Boże nie pozwala im tu wchodzić.

Tarikat zebrał się pod łożą, podwyższeniem, gdzie modliła się arystokracja - parę metrów bliżej Boga, ale Necdet jeszcze się do nich nie przyłącza. Przypomina sobie inne, wdrukowane odruchy. Klęka na dywanie przed mihrabem, wykonuje pokłon. Ciało nigdy tych ruchów nie zapomina, tak jak język nigdy nie zapomina arabskiego. Rytuał panuje nad nim, rozciąga jego mięśnie. Prostuje się do klęku, kładzie dłonie na udach. Niesamowity spokój. Unosi wzrok ku wykafelkowanej kopule. Są tam słowa, powyginane i poukrywane w geometrycznych wzorkach na kaflach, ukryte słowa. Jeśli się skupi, będzie w stanie je rozczytać. Dziewięćdziesiąt dziewięć pięknych imion Boga, wplecionych w liście, łądygi i kwiaty. Pod kopułą kwitnie rajski ogród. Co to za kwiaty? Tulipany - to Meczet Tulipanowy. Necdet uświadamia sobie, że budowla jest przepiękna, a on w ogóle nie ma o niej pojęcia. Ile ma lat, kto ją zbudował, dlaczego? Jest wspaniała, a on jest ignorantem. Tak samo jest z miejscem, gdzie mieszka, tekke: traktuje je jak lokum do spania, palenia, kryjówkę - tymczasem ono ma historię, splecione ze sobą ludzkie życia, żywoty świętych. Nagle dociera do niego, że musi być bardzo stare. Co było pierwsze, meczet czy tekke? Kim byli ci derwisze, którzy postanowili zbudować tu dom dla siebie? Co sprowadziło tu Ismeta i jego nowych derwiszy - budynek, historia, Bóg, coś jeszcze?

- Pokój wam wszystkim - mówi i siada na dywanie pomiędzy braćmi.

Derwisyze mruczą w odpowiedzi słowa powitania. Wiele twarzy kojarzy z wizyt w tekke, niektóre lepiej niż inne, ale są i ludzie, których pierwszy raz widzi na oczy. Patrzy na nich po kolei: szczegóły, cechy charakterystyczne, osobowości. Ludzie, postacie.

- W imię Boże serdecznie witamy cię w grupie Mistrza Adema - mówi Ismet. - Wielu z nas już znasz, ale dziś zostajesz rzeczywiście wprowadzony do tarikatu. Widzieliśmy rzeczy, których nie da się racjonalnie wytłumaczyć, widzieliśmy, jak mówisz i robisz coś, co wydaje się Bożym przesłaniem. Mamy zamiar to wszystko łagodnie, po bratersku zweryfikować, aby ustalić, czy jest zgodne z duchem islamu, czy nie.

Teraz zabiera głos wielki facet z naprzeciwka, w pasiastej koszuli. Necdet wie, że w cywilu jest mechanikiem samochodowym. Nazywa się Yusuf i w bractwie jest drugi po Ismecie.

- Bóg chciał, żebyśmy założyli tę grupę, żeby badać, jak w nowoczesnym, miejskim społeczeństwie funkcjonuje Boża sprawiedliwość. Wola Boża jest ponadczasowa i niepodzielna, ale jest jak diament - oświetlając ją inaczej, można wydobyć inne jej aspekty. Szanujemy żywoty i przykłady opisane w hadisach, jednakże wróciliśmy do Koranu jako niezachwianego fundamentu. Święty Koran świeci najjaśniejszym światłem. Każde jego słowo opisuje właściwe społeczeństwo - boskie społeczeństwo - prawdziwy szariat. Naszym zadaniem, dzięki Bogu i jego prorokowi Mahometowi, jest zastosowanie tego idealnego prawa na poziomie, jakiego potrzebują ludzie. Na ulicy, między rodzinami, między ludźmi, między małymi firmami. Ludzie potrzebują sprawiedliwości. Nasi sędziowie są w najlepszym razie obojętni, w najgorszym skorumpowani. Są daleko i sądzą według wartości ludzkich, nie boskich. Niemoralnych - dodaje cicho. - I to zawsze kosztuje. Prawo piszą bogaci. Prawnicy tuczą się na nakazach, umowach i rozwodach. Kombinują, żeby wykręcić ze spraw jeszcze parę groszy do zapłacenia. Czemu mamy płacić za prawo? Czemu ma być dostępne tylko dla tych z wypchanymi kieszeniami albo dobrymi znajomościami? To jest korupcja. A sprawiedliwość Boża jest czysta i darmowa. Ten tarikat, jeśli Bóg pozwoli, ma wyszkolić świętych mężów, którzy będą sędziami w systemie sprawiedliwości ludowej. Na całym świecie kwitną oddolne organizacje mikrokredytowe, czemu nie oddolne mikrosądownictwo? Proponujemy nowy szariat wszystkim, którzy zgadzają się przestrzegać jego wyroków. Chcemy orzekać szybko, sprawiedliwie, niezależnie i w zgodzie ze Świętym Koranem.

- I oto pojawia się sprawa, która naprawdę będzie próbą naszej wiary i umiejętności: twoje wizje i prorocтва dają nam niezmierną popularność wśród ludzi, ale musimy najpierw osądzić: są islamskie czy nie. Więc, co dokładnie utrzymujesz, że widzisz?

- Widzę stworzenia, żywe istoty, które są nie z tego świata. Mogą być zrobione z żywego ognia, albo być sobowótami ludzi, dokładnymi sobowótami, pod ziemią, do góry nogami.

- A teraz jakież widzisz? - pyta Yusuf.

- Teraz nie.

- Dżinnom nie wolno wchodzić do meczetów - mówi Ismet. - Tak im nakazuje Koran. Sura 6 i cała sura 72...

Yusuf unosi palec.

- Bracie, jeszcze nie ustaliliśmy nawet, że te wizje to naprawdę dżinny.

Ismet siada prosto, wierci się nerwowo. Necdet czuje, że wzbiera w nim potężna fala spokoju, kotwicząca go do marmurowej posadzki.

- Miałem wizję ognistego niemowlęcia - mówi. - W pracy, w toalecie. Widziałem duchy w komputerach.

- Brat pracuje w Awaryjnym Centrum Biurowym Levent - wtrąca Ismet.

- Widziałem ich pełne ulice - ciągnie Necdet i znów słyszy ten szmer, szelest, grzechot, gdy tłoczą się i przenikają przez siebie nawzajem. - Były na każdym samochodzie, na każdej ulicy, u ludzi na ramionach, w ziemi...

- Musimy dopuścić współczesne interpretacje - odzywa się Armağan, starszy derwisz, siwowłoso, w okularach, o uważnym, badawczym spojrzeniu.

- Oczywiście - odpowiada Yusuf. - Mów dalej.

- I widziałem tego, co nad nimi panuje.

Mimowolnie prostują się, sztywnieją, nabierają powietrza.

- Możesz powiedzieć nam więcej o tej wizji? - pyta Yusuf.

- Tak - odpowiada Necdet i wie, że już pora powiedzieć, bo czuje wiejący przez Tulipanowy Meczet zapach zielonego listowia, aromat kwiatów i głębokiej wody. - Coś poprowadziło mnie z biura, przez właz serwisowy. Były tam korytarze, tunele, prowadziły bardzo głęboko, i jeszcze głębiej, w miejsce nieznane człowiekowi, daleko pod Leventem. Była tam stara fontanna, bardzo, bardzo stara, z czasów pogańskich. Ale jeszcze była w niej woda. I tam siedział, przy fontannie.

- Kto? - pyta Ismet.

- Zielony Człowiek - oświadcza Necdet.

„Hizir, Hizir”, roznosi się w kręgu. „Zielony Święty. Bóg jest wielki. Bóg jest wielki”.

Yusuf znów unosi rękę.

- Bracia, pozwólcie. Czy mógłbyś opisać tego Zielonego Człowieka, bracie?

- Stary mężczyzna, w zielonej szacie, jakby był starszy od wszystkiego, a jednocześnie najmłodszy na świecie. Zgięty nos i wielka broda, jak u starego osmańskiego księcia, mocno zielone oczy. Pachniał wodą, starą, głęboką wodą, bardzo, bardzo czystą. Potrafił jednocześnie uśmiechać się i przerażać. Wydawał się bardzo groźny, bardzo stary i dziki, jakby mógł wyrwać miasto z korzeniami tylko dlatego, że taki ma kaprys. Bardzo się bałem, a jednocześnie - jakże mogłem się go bać? Jego?

- Bogu niech będą dzięki! - krzyczy Bedri, chłopak ze wschodu, który pracuje w hotelu na placu Taksim.

- Święty Koran... - wtrąca pośpiesznie Ismet.

- *Grota* nie wymienia wprost imienia Hizira, al-Chidra. - stwierdza Yusuf. - On jest tym „nieznajomym”, który spotkał Mojżesza, tyle mówi Sura. I że jest doradcą Zu'l-Karnajna.

- On jest tutaj - mówi Necdet.

Braci ogarnia zmieszanie: chwała i lęk jednocześnie.

- Widzę go, siedzi obok ciebie, Hasan.

Dzieciak z meszkiem wąsa sztywnieje. Lampy na długich łańcuchach kołyszą się w nagłym przeciągu. Necdet kłania się zielonej postaci, siedzącej po turecku na dywanie. Yusuf znów unosi dłonie, raz jeszcze uciska krąg.

- Bracia, święty może być między nami, lecz Bóg jest w nas. Bracie, mam do ciebie pytanie. W poniedziałek rano byłeś w zamachu bombowym w tramwaju na Levent.

- Tak, byłem.

- Zginęła tylko zamachowczyni, nie powiem męczennica, bo nikt się do męczeństwa nie przyznał. Te wizje zaczęły się dopiero po zamachu?

- To prawda. Próbowałem uciec przed policją i zobaczyłem głowę.

- Jaką głowę?

- Jej głowę. Tej, co się wysadziła. Głowa była w powietrzu i wychodziło z niej światło.

- Ale wcześniej nigdy nie miałeś takich wizji? Musimy to dokładnie wiedzieć.

- Nigdy.

- Myślisz, że to możliwe, że te dżinny, nawet sam Hizir, to coś jakby... złudzenia, halucynacje, dlatego że znalazłeś się za blisko wybuchu?

- Miałem kumpla. Jak służył w Gaziantep, dostał ajdikiem - mówi Necmettin, chudy, przyszczaty dwudziestoparolatek, który zawsze wydawał się Necdetowi najbliższy charakterem i temperamentem. - Wrak człowieka. Nic fizycznego, wszystko tutaj. - Klepie się po głowie. - Jakieś koszmary, niewiarygodne rzeczy. Zżerały go żywcem. Spotkał samego

siebie schodzącego schodami. Zespół stresu pourazowego. Każda ofiara o tym wie, ale za nic się nie przyzna.

- Ja byłem w takiej dziurze daleko na wschodzie, Divrican się to nazywało - dodaje Duży Şefik, wielki, spokojny, niedźwiedziowaty facet z dziwaczną rudą brodą. - W wojsku. Cała wioska nagle zaczęła widzieć dżinny, anioły i duchy. Ale to byli Kurdowie. Jazydyści. Wyznawcy demonów.

- Mój brat zobaczył, że ta dziewczyna z galerii jest w ciąży - mówi Ismet. - Poznał, że jest w ciąży, bo zobaczył w głębi ziemi jej karina.

- I już uzgodniliśmy, że to nie jest islamskie! - grzmi Yusuf.

Imam, starszy, uczony człowiek w grubych szklach, krzątał się pod balkonem dla kobiet, tu obmacał kafelek na ścianie, tam wystrzępiony kawałek dywanu, gdzie indziej przepaloną żarówkę, ale przez cały czas miał oko na tarikata. Słyszając podniesione głosy, unosi głowę i łypie groźnie.

- Bracia, to jest dom modlitwy! - mówi Ismet, choć Necdet widzi, jak gromi imama wzrokiem. Starzec się odwraca.

- Bracie, powiedz nam teraz o sobie. Jak to się stało, że zamieszkałeś z bratem w domu derwiszy.

- To nie ma nic do rzeczy - protestuje Ismet.

- Niektórzy z braci tutaj nie chodzą na wasze spotkania w domu derwiszy.

- Byłem naćpany po dziurki w nosie i podpaliłem siostrę - mówi Necdet. - Nie byłem dobrym człowiekiem. Nie miałem nic do roboty, buntowałem się, byłem niemoralny, nie słuchałem rodziców i nie miałem szacunku dla islamu. Brałem narkotyki, handlowałem narkotykami, kradłem samochody, kradłem sąsiadom pieniądze, włamywałem się i obrabiałem domy, wszczynałem bójkę i biłem ludzi, bo mi się tak podobało. Ciągłe byłem wściekły. - Mówiąc, przez cały czas ma wzrok utkwiony w Hizirze. Zielony Święty pompuje z niego słowa jak wodę ze studni. - Podpaliłem siostrę, bo spojrzała na mnie nie tak. Ojciec by mnie zabił, ale Ismet mnie uratował, ściągnął tutaj, żeby się mną zająć, zabrać mnie z tamtego towarzystwa. Byłem do niczego. Ismet dał mi schronienie i znalazł mi pracę.

- Ja tylko ofiarowałem mu schronienie - mówi Ismet.

- Czy wyznajesz, że jest jeden Bóg, a Mahomet jest jego prorokiem? - pyta Yusuf.

- Zupełnie jakbym wcześniej spał, albo był pogrzebany, albo nie umiał wystarczająco szeroko otworzyć oczu, a nagle się przebudziłem i widzę rzeczy. Jakbym dotąd udawał, że jestem człowiekiem. Jak to możliwe?

- Tak, ale czy wyznajesz wiarę? - pyta jeszcze raz Yusuf.

- Potęga boska jest nieograniczona - dodaje Ismet.

- Jesteśmy sędziami, a nie mistykami.

- Dla mnie nie ma różnicy. Jesteśmy sędziami i jesteśmy mistykami. Jeśli ludzie mają ufać naszym sądom, muszą widzieć, że jesteśmy po stronie Boga, nie człowieka. Że to jego siła.

- Tanie sztuczki na pokaz podważają naszą pracę.

- To się dzieje z woli Bożej. Bóg dał nam rzadki i cenny dar, nie musimy rozumieć, dlaczego, jak i komu go dał. Nie możemy zrozumieć. Musimy tylko uwierzyć, że przypadł nam.

- To zabobon.

- Ale ściąga ludzi.

- Policję ściągnął - mruczy Armağan.

Ismet podnosi na niego głos:

- A niech przyjdą! To tylko pokazuje, jacy są słabi, jak bardzo się boją, jak daleko są od prawdziwych potrzeb ludzi. Jeśli nas prześladują, to tylko dowodzi, że czynimy wolę Bożą. Niech przyjdą, pokażemy im, kto ma prawdziwą siłę. Głosujemy. Co sądzicie, bracia? Ja mówię, że to pochodzi od Boga.

- Haram - mówi Armağan.

- Halal - mówi młody człowiek obok niego, ten z wątym wąsikiem, którego kumpel zginął w ulicznym zamachu bombowym.

Odzywają się dalsi wkoło, układ jest jasny: młodzi głosują za, starsi przeciw.

- Nie - stwierdza Yusuf. - Haram. - Wie jednak, że przegrał głosowanie i swoje wpływy w grupie.

- To jest od Boga - oświadcza ostatni derwisz w grupie.

- Niech nie będzie między nami niezgody - dodaje Ismet, wyciągając rękę do Yusufa. - Bóg jest jednością.

- Bóg jest jednością - powtarza Yusuf i bierze Ismeta za rękę.

Tarikat wygłasza krótką modlitwę, krąg wstaje. Młodszy tłoczy się wokół Ismeta. Już nazywają go Dede, dziadkiem, mistrzem, tytułem przywódcy derwiszy. Ismet Dede. Szejch Ismet.

Hizir nie rusza się z dywanu. Cóżżeś narobił? - myśli Necdet. Hizir odpowiada głosem roześmianym jak źródło: „A ktoś mówił, że jestem łagodnym świętym?”.

Ismet rozmawia z każdym wychodzącym członkiem tarikatu, uścisk dłoni, klepięcie po plecach, objęcie. Gdy wszyscy powkładali buty i poszli do swoich warsztatów, banków,

sklepów, pociągów metra i taksówek, Necdet pyta brata:

- Co by się stało, gdybym przegrał głosowanie?
- Jakże mają nas szanować jako kadich, jeśli nic nie stoi za naszym wyrokiem?
- Połowa prawa to jego egzekwowanie. Nawet niewierni sędziowie ci to powiedzą.

Imam ogląda się na nich. Chciałby się pozbyć stąd tych młodych nadgorliwców, którzy robią zamieszanie; odzyskać swój piękny, zabytkowy meczet. Ismet delikatnie odwraca brata na bok, osłaniając się przed wzrokiem imama, i nonszalancko odsuwa pasek spodni. Za paskiem widać kolbę pistoletu. Na zewnątrz, w jaskrawym słońcu, dżinny roją się i kłębią jak szpaki.

* * *

- Czerwony? I co?

Beshun Ferhat siedzi na tronie między królikami i ptactwem. Pod stopami ma wielkie wory nasion, zdjęcia bakłażanów, papryk i dorodnych pomidorów wyblakłe do prawie czarno-białych. Po prawicy - mały stolik, na którym znajduje się szklanka z herbatą, papieros „Sobranie Black Russian” w cygarnicze z kości słoniowej, w popielniczce, wypełniającej powietrze intensywnym słodkim aromatem, oraz mały królik na smyczy. Beshun Ferhat to kobieta jak góra, rozszerzająca się od czubka głowy po szarawary w kwieciste wzory i ciężkie chłopskie buty. Pachnie wodą różaną i ogrzaną przez ciało piżmowo-tłustą wonią menopauzy. Choć na targu zwierząt panuje półmrok, nosi okrągłe ciemne okulary, jakby chciała, żeby ją brano za niewidomą. Ayşe wie, że tak nie jest. Siedzi, jakby nigdy się nie ruszała spomiędzy królików, szczeniaków i ptaków śpiewających, jakby była filarem hali targowej. Ayşe nienawidzi tego miejsca odkąd sięga pamięcią. Smród obsikanej słomy i brudnych zwierząt unosi ją w przeszłość, w czas, gdy miała pięć lat i ojciec przyprowadził ją tutaj, żeby kupić jej w niedzielę jakiś upominek. Rozpląkała się na widok biednych szczeniaków powpychanych po sześć do klatek i próbowała ubłagać ojca, żeby kupił je wszystkie i wypuścił. Przy tym straganie się nie zatrzymali, ale ta przerażająca baba i tak odcisnęła się Ayşe w pamięci.

- Nic mu nie bierze - mówi.

- Nikomu nic nie bierze - odpowiada Beshun i głęboko zaciąga się sobranem, w teatralnym, przerysowanym geście, na który składa się delikatne uchwycenie cygarniczki, zadarcie głowy, puszczenie smużki dymu przez klatki z ptakami ku minaretom Nowego Meczetu. Zauważa, jak patrzy Ayşe. - Zapalisz, kochana?

Ayşe zapala, zaciąga się, rozkoszuje ostrymi, egzotycznymi, rosyjskimi smakami. Kojarzą się jej z wykładanymi drewnem ślizgaczami Riva, zaprzężonymi w konie powozami, kunsztownymi pojedynkami na słowa, prawie-seksem na pustych ulicach tuż powyżej tego

targu w cieniu meczetu. Wypuszcza z głębi gardła parę cieniutkich kóleczek z dymu.

- Wie pani co, powinnam je częściej kupować.

- Paliłam samsuny, ale odkąd jesteśmy w Unii, tureckie marki w ogóle już nie mają smaku. - Królik strzyże uszami. - Czyli chodzi, kochana, o mój rodzinny spadek? Red opowiedział ci, co wiedział, nie? Ja mogę ci dać tylko jedno - kolejną opowieść. Bo to wszystko tylko opowieści. Tak, tak, tak, jestem Beshun Ferhat i jestem pra-do-dziesiątej-prawnuczką Haciego Ferhata. Moja rodzina to sami Hatayi, prawdziwi Ferhatowie z Iskenderunu, choć tam już żaden nie mieszka. Ferhatowie są w Stambule od 1895, ale dobrze wiesz, kochana, że żeby być prawdziwym stambuńczykiem, trzeba tu siedzieć dużo dłużej. A twoja rodzina skąd?

- Z Erkoców, z Şişli. Stara marynarska rodzina. A matka jest z Çalişlarów z Meşrutiyet, jej siostra jest żoną ministra sprawiedliwości.

Beshun kiwa głową.

- Stara rodzina. Zaraz. Coś ci pokażę. - Maca za torebką.

Ayşe nie pomaga jej. Przecież widzisz, starucho. Beshun wyjmuje poźółkłą kartkę w foliowej koszulce.

- To moje drzewo genealogiczne. - Wodzi palcami po pniach i gałęziach. - Widzisz, moje pochodzenie da się wywieść od Osmana Fahira Ferhata, najstarszego syna Haciego Ferhata, tego, co doglądał zamykania trumny. - Jej palce przesuwają się na gwałtowne zwężenie w drzewie. - Tu przyjechaliśmy do Stambułu. Widzisz, ile gałęzi wtedy wymiera? Pod koniec dziewiętnastego wieku nasza fortuna się odwróciła. Śmierć na wojnie, utopienia, morderstwa, wendety, choroby i zarazy. Mężczyźni, dziedzice, umierali młodo, a niektórym nawet nie dano przyjść na świat, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Bóg odwrócił się od Ferhatów, ale sprawiedliwie. Oczyszczył nas z martwego drewna, chorych, upośledzonych dzieci z pożenionych wsobnie małżeństw. Dał nam możliwość, żebyśmy zaczęli na nowo i odbudowali naszą fortunę.

I właśnie dlatego masz stragan ze zwierzakami na tańszym końcu Bazaru Egipskiego, myśli Ayşe. Boże, jakie te sobranie są dobre.

- Ale to było długo po klątwie Kosmatego z Kapadocji.

Beshun tupie ciężkim buciorem i wali pięścią w boczny stolik. Królik płoszy się, rozszerzając oczy i nozdrza, ale smycz ma okrutnie krótką.

- Nie zatruwaj mi uszu imieniem tego szarlatana! Nie było żadnej klątwy, nie było żadnego derwisza z włochatą dupą, z jakiejś anatolijskiej dziczy. Posłuchaj, jak masz trochę rozumu. Moja rodzina była znana w Iskenderunie jako wielcy magicy. To było od zawsze

źródło naszych pieniędzy. Założycielem rodzinnej szkoły był sam Hacı Ferhat, kupiec, podróżnik, a także badacz tajemnic i czarów z krajów, które odwiedzał dla handlu. Jego zainteresowania nie znały żadnych granic, rozmawiał z szejchami z Aleppo i Damaszku, mistrzami dzinnów z Kairu, żydowskimi kabalistami z Trypolisu i przywołującymi anioły z Jerozolimy. Był po imieniu z największymi magikami perskimi i hinduskimi. Pobierał nauki u magów w Rzymie, astrologów w Mediolanie, regularnie odwiedzał demonologów w Pradze i Wiedniu, korespondował z wielkim Etteillą z Paryża i uczniami Enocha z Londynu.

Facet w średnim wieku wchodzi między klatki z kończącej się tronem uliczki i pyta o pokarm dla świnek morskich. Beshun schyla się ciężko w krzesło i wyciąga paczuszkę zapakowanego próżniowo siana spod klatek ze szczeniakami. Pełnoletni ludzie nie powinni mieć nic wspólnego ze świnkami morskimi, myśli Ayşe. Jeden ze szczeniaków maniakalnie drapie się po uchu. Ayşe obawia się, że to pchły.

- O czym to ja, kochana?

- O rodzinie magików.

- A, no tak. Hacı Ferhat. Jak każdy dobry ojciec, pragnął, aby jego synowie odnieśli w życiu sukces, więc nauczył ich ile zdołał swojej magii. Oni przekazywali to kolejnym pokoleniom, aż po dziś dzień. - Beshun ciężko poklepuje królika. Ten cofa się przed jej dłonią. - Ale jednocześnie należał do tajnego tarikatu. Jego macierzysta siedziba była w Stambule, ale bracia pochodzili ze wszystkich stron imperium. To nie było jakieś kółko magików, tylko bardzo szanowana grupa, miała szejchów, derwiszy, a także wielu bardzo znaczących ludzi z całej Tracji i Anatolii - ale interesowali się dość osobliwym aspektem religii. Nie tylko sufizmu, zgłębiali nauki buddyjskie, japońskie i tybetańskie, wierzenia hinduskie, mistyków chrześcijańskich. Wierzyli, że istnieje święty język - nie arabski, nie hebrajski, nie łacina ani greka, żaden język, którym mówią ludzie. Język Boga, pisany język, a każda jego litera ma władzę nad innym elementem świata. Podpadli paru imamom przez swoje przysięgi, przyrzeczenia i tego typu sprawy, ale mieli dość pieniędzy i odpowiednie polityczne znajomości, żeby się wykupić. No, kochana, wiesz przecież, co zrobił ze sobą Hacı Ferhat, przecież by cię tu nie było. I wiesz, że Zmelifikowany z Iskenderunu zniknął. Tak to się naprawdę odbyło.

Beshun zapala kolejne sobranie. Ayşe przyjmuje papierosa. Palenie na targu ze zwierzętami to nie to samo, co na ulicy. Tu damie uchodzi.

- Widzisz, w historiach o klątwie Zmelifikowanego Człowieka jest w sam raz tyle prawdy, żeby mogły się z nią rozminąć. Na moją rodzinę faktycznie przyszły ciężkie czasy, ale to nie przez niego. Był derwisz, ale nie wędrowny sufi. Magik. Co się stało naprawdę: mój

prapraprapradziadek Ahmet stwierdził, że jedynym sposobem na odwrócenie fortuny jest sprzedanie Zmelifikowanego. Propozycje przysły z całego imperium, z Rosji, Egiptu, brytyjskich Indii, nawet aż z Chin. A potem przyszedł list, i to jaki! Jak grom z jasnego nieba. Całkiem zapomnieliśmy o tym tajnym stowarzyszeniu, Tarikacie Słowa Bożego, za to oni nie zapomnieli o Hacim Ferhacie. Powiedzieli, że człowiek jest wierny swemu tarikatowi nade wszystko, że złożono przysięgi, że Hacı Ferhat nigdy nie przestał być członkiem, więc tarikat ma niepodważalne prawo do Zmelifikowanego. Jak możesz sobie wyobrazić, sprzedaż mumii nie była do końca legalna, nawet w czasach osmańskich, więc nie mogliśmy pójść do sędziego. Tarikat zaproponował rozwiązanie: niech Bóg zdecyduje. Pojedynek magii, nasza rodzina przeciwko nim. I nikt nie wie, co się wydarzyło, nie ma żadnych zapisów, wszyscy uczestnicy przysięgali, że zachowają tajemnicę, i nikt nigdy nie zdradził, ale mój prapraprapradziadek stryjeczny Nihat Ferhat, który nigdy się nie ożenił i poświęcił się studiowaniu pism Hacıego Ferhata, spotkał się z największym czarodziejem Tarikatu Słowa Bożego. To była bitwa na słowa: stara magia słowa mówionego, kontra magia słowa pisanego. Przegraliśmy. Oddaliśmy Zmelifikowanego. Wszystko przepadło, sprzedaliśmy resztki majątku w Iskenderunie i przyjechaliśmy do Stambułu, żeby odbudować fortunę, ruiny dumnego rodu.

Obie kobiety powoli wypuszczają aromatyczny dym.

- A Tarikat Słowa Bożego? - pyta Ayşe.

- Atatürk zniszczył go podczas rewolucji, razem ze wszystkimi innymi zakonami - mówi Beshun.

- Ale przecież wszyscy wiedzą, że zakony nigdy nie upadły, po prostu zeszyły do podziemia.

- Ten został potraktowany specjalnie. Był popularny w rodzinie sułtana, wśród wysokich rządowych urzędników, należeli do niego nawet członkowie Komitetu Jedności i Postępu. Jest taka historia, że pozostałe zakony prześladowano, by zatuszować całkowite zniszczenie tego jednego.

- I nie został żaden ślad?

- Nie ty pierwsza, kochana, chciałybyś znaleźć Tarikat Słowa Bożego.

Pomysły już skaczą Ayşe w wyobraźni, jak pchły na szczeniakach, muchy wokół zawiniętych w gazety odpadków z klatek, trzepoczące w klatkach ptaki. Najważniejsze to nie dać się opowieści ponieść w miasto zbudowane z innych opowieści, spiętrzonych jedne na drugich jak osady. Stambuł to kultura słowa mówionego. Dawna magia powstała z mówionych słów. Historycy, felietoniści, pisarze, łowcy ciekawostek, nawet

psychogeografowie - to wszystko słuchowcy i dlatego słuch ich oszukuje. Ayşe jest przede wszystkim wzrokowcem. Prawda jest w oku.

Beshun głaszcze królika.

- Ta magia nie przepadła, wiesz.

Tu trzeba zapłacić opowiadającej, myśli Ayşe.

- Ciągłe jest w rodzinie, wśród tych, którzy wywodzą się od braci z Iskenderunu. Mam pewną ograniczoną zdolność do przewidywania przyszłości. Chcesz?

- To poproszę - mówi Ayşe.

- Zwykle liczę sobie...

Ayşe ma już w dłoni banknot - dwadzieścia euro.

- Masza'allah, czterdzieści jeden razy.

Beshun ze stęknieniem wyciąga spod stolika pudełko po butach. Jest wypełnione podklejonymi tekturą fiszkami, na każdej odręcznie wypisany werset Koranu, przysłowie lub wers jakiegoś wiersza. Odstawia pod krzesło szklanę z herbatą i popielniczkę. Ayşe obawia się, że sobranie znalazł się za blisko hurtowej ilości jedzenia dla świnek. Beshun stawia pudło na boku, tak że karty trochę się z niego wysypują, potem puszcza uwięź królika, podnosi go i przyciska swój nos do jego ruchliwego nosa, usta do jego pyska gryzonia, szepecząc i mrucząc królicze zaklęcia. Ayşe się wzdryga.

- To jest Süleyman.

- Mam zadać pytanie czy coś takiego?

- Nie trzeba, kochana. Süleyman wie. - Beshun trzy razy obraca królika do góry nogami. - Hopla, hop, kicu, kic, machnij uchem, kicnij skokiem, porusz nosem, powiedz mi, powiedz.

Süleyman Królik otrząsa się z zawrotu głowy i węszy wzdłuż rzędu kart, trzy razy tam, trzy razy z powrotem. Dźga kartę noskiem. Beshun unosi ją i kładzie zakrytą na stole. Süleyman szturcha jeszcze dwie karty. Beshun odkłada je starannie na bok i całuje Süleymana między uszami, zanim znów go uwiąże.

Z ogromnym namaszczeniem odsłania pierwszą z wybranych kart. *Al Ba'ith*. Czterdzieste dziewiąte z przepięknych Bożych imion, napisane grubym flamastrem w kółku, po arabsku.

- Bóg, który wysyła z tego świata w Raj, który podnosi z martwych; Bóg wskrzesiciel - mówi. Odwraca drugą kartę.

Ayşe wstrzymuje oddech. Przedstawienie to połowa przepowiedni. Karta jest stara, papier pożółkły i przetarty na krawędziach, rogi oklejone żółtawą taśmą. Wers z Rumiego.

- „Dziwna słodycz, nieznana dotąd, rozlewa się po ciele” - deklamuje Beshun. - „A usta rozkoszują się wspaniałym smakiem trzciniowego fletu i warg grającego”.

Odwraca trzecią kartę. Gąszcz niechlujnego arabskiego w byle jak połamanych wersach. Pszczoły narysowane kolorowymi mazakami i kredkami kreślą wokół słów pszczele linie. Niektóre niosą małe wiaderka z miodem. Sura szesnasta.

- I objawił twój Pan pszczołom: „Wybierajcie sobie wasze mieszkania w górach, w drzewach i w tym, co ludzie budują”.

- „Następnie jedźcie ze wszystkich owoców i chodźcie pokornie drogami swego Pana!”. Z wnętrzości ich wychodzi napój różnego koloru, w którym ludzie znajdują uzdrowienie.

Beshun przesuwa kartę na środek stołu.

- I jak, kochana? Masz odpowiedź?

- A co pani myśli?

- Nie znajdziesz go. Stambuł ma za wiele tajemnic, za wiele historii.

Ayşe zostawia na małym stoliku jeszcze jeden banknot. Zakładając ciemne okulary, oślepią słońcem na Yeni Cami Caddesi po półmroku targu, ze zdumieniem czuje skurcz żołądka: nie jest sama. Nie ma pojęcia, skąd to wie, ale jest pewna, że śledzi ją jakieś auto. Stawia torebkę na skrzynce z przyciskiem świateł dla pieszych i pod pretekstem szukania ceptepa rozgląda się po ulicy. Samochody prowadzone przez mężczyzn. Dowolny z nich. Czy kierowca tej srebrnej skody nie patrzy na nią odrobinę dłużej, niż mówią standardy stambulskiego ulicznego gapienia się? Fortuny i spiski. Ukryte historie. Myślenie magiczne. Musi zgłosić się do pewnej księgarni, musi znaleźć zaginionego derwisza.

* * *

Mały Detektyw i jego pomocnik, Robot-Małpa, biegają zakurzonymi, nieużywanymi korytarzami oraz w górę i w dół zapomnianych schodów. W ciągu stulecia, odkąd Ankara zlikwidowała dekretem tekke, budowlańcy i mieszkańcy na różne sposoby dzielili ścianami przestrzenie wnętrza derwiszy: tu przegrodzili balkon, tam zrobili przejście do pawilonu, gdzie indziej zadaszyli schody, podzielili pokoje albo piętra. Wszystko to spowodowało, że zagubiły się całe obszary budynku, leżące na wyciągnięcie ręki, ale na zawsze niedostępne z zamieszkanymi częściami domu. Są tu przejścia znane tylko szczerom, polującym na nie zagłodzonym kotom i dziewięcioletnim chłopcom. Can sunie palcami po ścianie, czując dygot zewnętrznego świata, ruchu ulicznego, ludzi, okrzyków, głosów i muzyki - wszystko wzmocnione w drewnie. Dziś jest zbyt podekscytowany i przeskakuje po dwa stopnie. Małpa u jego boku samoczynnie rozsypuje się w rój, przeobraża w pełznącego Węża, przelatuje parę

stopni, znów się rozpada, znów przeistacza, wyczuwając pobudzenie swojego pana. Mały Detektyw ma trop, prawdziwy trop, jak w telewizji.

Najpierw formalności. Wyjmuje zatyczki z uszu, starannie oczyszczając je z wosku, złuszczonego naskórka i wszelkiego syfu, który się na nich gromadzi. Świat słyszalny zwala się na niego: serce zawsze mu tłucze, nie w panicznych rytmach polaryzujących się i depolaryzujących jonów sodu, lecz w najczystszym zachwycie, że to, co dotąd czuł tylko palcami, nabiera pełnego kształtu. Pan Ferentinou robi herbatę. Can nie lubi herbaty, ale lubi, jak mu ją proponują. Taka męska sprawa.

Pan Ferentinou jest dzisiaj nie w humorze. W złym humorze otworzył drzwi, w złym humorze robi herbatę, w złym humorze dzwoni spodkami.

- Wszystko w porządku, proszę pana? - pyta Can.

Bezpośredniość pytania zbija starszego pana z tropu. Najeża się, burczy, potem łagodnieje.

- Pokłóciłem się z kimś - mówi.

- Ludzie w pana wieku się kłócą?

- Ludzie nigdy nie przestają - odpowiada pan Ferentinou.

Can myśli o wibracjach, które czasami czuje w nocy przez ścianę sypialni: miękkie, rytmiczne sylaby, wysokie i niskie; matka przez dłuższy czas, ojciec przez krótszy. Kłócą się, bo wiedzą, że syn nie usłyszy.

- W moim wieku jest jeszcze gorzej, jest możliwość, że już czegoś nie zdążysz naprawić.

Can wie, że chodzi o śmierć. Can zna śmierć. Musi o niej myśleć każdego dnia.

- I co pan zrobi?

- Ja to naprawię, zanim ten uparty tuman umrze. Zadzwonię do niego. Boże, co za bałwan.

Can kładzie na stole foliową torebkę z dowodem. Ledwo może się powstrzymać, wierci się na krześle.

- Znalazłem coś. Ślad.

- Co zrobiłeś? - pyta pan Ferentinou.

- Znalazłem ten kawałek robota, wrzuciłem go na forum świrów spiskowych.

- Świrów spiskowych?

- Gładio te er.

Pan Ferentinou przewraca oczyma i mówi coś w swoim dziwacznym języku. Can wie, że to nic dobrego.

- Wiesz, młody człowieku, że MIT ma na oku wszystkie strony tych gości od Głębokiego Państwa.

- Mam ślad - powtarza z uporem Can. BitBoty zrekonfigurowały się w Szczura i siedzą mu na ramieniu, badając powietrze krzemowymi wąsami. - Znalazłem robota, tego, co mnie gonił.

- No, wygląda na to, że siedzimy w tym po uszy, tak czy owak. Powiedz, co znalazłeś.

- Tam był numer chasisa, szasisa... - Can jąka się na obcym słowie „chassis”. - Identyfikator seryjny. Wiem czyj i skąd. To wersja robota Nissan A840 Precision Manoeuvre. Numer licencji NPM21275. Przeznaczone do kontroli trudno dostępnych miejsc, na wysokości, w tunelach, albo pod napięciem, na przykład w rozdzielniach elektrycznych albo na liniach.

Pan Ferentinou kiwa głową. Zaimponowało mu.

- Czyli wiemy, gdzie go wyprodukowali.

Teraz Can podskakuje na ławce z niecierpliwości.

- Ale wiem, co się z nim potem stało, kto go kupił! Botsearch te er. Strona jest po angielsku, ale jacyś maniacy z Turcji zrobili tłumaczenie. - Can postukuje w silkscreen, książkę wszystkich książek. Podsuwa stronę panu Ferentinou. - Widzi pan? Produkcja, maj 2024, w leasingu dla TIK od czerwca 2026. Co to „leasing”?

- Coś jakby wynajem. TIK to duża firma zajmująca się infrastrukturą.

- Obsługują mosty i Marmaray, wiem - mówi Can. - I Huriyet Cable and Transmission. To duża firma elektryczna, mają linie i te wielkie słupy. To też jest infrastruktura, prawda?

- Absolutnie, panie Durukan.

- Mają go do końca października, a potem go wycofują, bo znajduje za dużo awarii.

- Go, powiedziałeś „go”.

- Tak, a co?

- Tak powiedziałeś. To ciekawe, zakładamy, że roboty są płci męskiej. Nieważne, mów.

Can często nie potrafi zgłębić dygresji i wtrąceń pana Ferentinou. Marszczy czoło w skupieniu. Rzecz w sam raz dla Detektywa.

- Nic o nim nie słyhać, a potem wystawiają go na sprzedaż. Tu, w kwietniu. - Stuknięcie palca, przeciągnięcie, na i-papierze otwierają się i przesuwają okienka. Dom aukcyjny Samast, na Kayışdağı.

- I wiesz, kto go kupił?

- Nie, zapłacili gotówką. Tak jak pan zawsze mówi. Gotówka rządu.

- To pierwsza lekcja każdego szanującego się terrorysty, albo w tym wypadku, bojownika o wolność. Dobra robota detektywistyczna, panie Durukan, ale tu ślad się chyba urywa. Od Samastu do szczątków na ulicy pod naszym domem daleka droga.

Teraz Can aż kipi z podniecenia, a zabierając panu Ferentinou ekran i otwierając nowe strony zwinnymi, młodymi paluszkami, omal nie piśnie z zadowolenia.

- A pamięta pan, mówiłem, że to strona dla maniaków. - Strona nazywa się „Obserwacje”. W dwóch trzecich listy jest NPM21275D. To on. Data, godzina: 15:30, 18-01-2027, 9:25, 22-02-2027, 14:04, 2-03-2027. I miejsca. Dereboyu Caddesi. Meriç Caddesi. Evren Sok.

- Czy to jest „crowdsourcing”? - pyta Can. Zna to słowo od pana Ferentinou. Podoba mu się taki pomysł: rzucasz pytanie w świat, ktoś - albo wszyscy - odpowiada.

- To nowomodny termin na to. - Pan Ferentinou marszczy czoło, a potem przeciąga adresy na mapę.

Stambuł widziany z lotu bociana wiruje i opada ku wschodnim przedmieściom. Pomiedzy płaskimi dachami bloków pojawiają się gwiazdki - to miejsca, gdzie obserwatorzy robotów z Kayışdağı, ci dziewięciolatkowie i staruszkowie niemający z rana nic lepszego do roboty, wypatryli robota NPM 21275D.

- Widzisz, jak to blisko siebie? - mówi pan Ferentinou. - Terroryci z reguły tworzą małe ogólnoświatowe siatki, z mocno powiązаныmi lokalnymi bazami i sporadycznymi łączami z globalną siecią.

- Terroryci - sapie Can.

- O, na pewno, panie Durukan. - I wtedy pan Ferentinou wykonuje swoją myślową sztuczkę.

Can uwielbia na nie patrzeć, choć do końca nie rozumie, jak działają. Zachowuje gwiazdki, ale nakłada na nie inne, swoje mapy Stambułu, zrobione z informacji, jak długo się jedzie do pracy, jak daleko chodzi się po jedzenie, gdzie są linie energetyczne, gdzie jeżdżą dolmusze. Trasy autobusów, poziom zadłużenia gospodarstw domowych, wodociągi, wiek meczetów, rury gazowe. Tu się zatrzymuje. Can wiedzie wzrokiem za jego palcem na mapie. Pośrodku konstelacji wystąpienia robota pojawia się mały węzeł niebieskich linii.

- Tłocznia Gazu Kayışdağı - mówi pan Ferentinou.

Wiodą palcami wzdłuż niebieskich linii. Canowi przypominają się zimne wypełnione magazynami z łamigłówkami, które ojciec kupował mu u Aydina. Połącz kropki, to było kojarzenie, przyjemność z odgadywania ostatecznego kształtu, którego kontur konkretyzował się z każdym kolejnym punktem. Labirynty: trafienie do środka było łatwe, a nagroda słaba -

baton czekoladowy, aniołek albo figurka. Prawdziwą przyjemność dawało chodzenie po pozornie ślepych zaułkach i wyobrażanie sobie, że pod kartkami kryją się większe skarby: tajemne drzwi, inne światy.

Grube żyły prowadzą we wszystkie strony świata: na północ i południe, gdzie łączą się z innymi gazowymi węzłami, na wschód, ku Anatolii i dalej, Kaukazowi, złożom gazowym Azji Środkowej, na zachód do Sztambułu, pod Bosforem na Bałkany i do południowej Europy.

- Błękitny Potok, Nabucco... - Can urywa raptownie.

Pan Ferentinou wyłączył silkscreen. Przyciska go do piersi.

- Nie, dosyć. Koniec. To i tak mogło być za dużo. Nie, nie. Panie Durukan, powinien pan już iść.

Serce i głowa Cana wirują od nagłego wstrząsu. Może zakryje twarz dłońmi, a potem się rozplacze.

- Ale, panie Ferentinou...

- Nie, nie mów tak do mnie. Musisz to zostawić, rozumiesz, Can? Zaczynam coś widzieć, coś, co mnie przeraża. Bardzo. Nie jesteśmy detektywami, to nie telewizja. Staruszkowie i dzieci nie rozwikłują wielkich zbrodni i terrorystycznych spisków; robi to policja, służba bezpieczeństwa, ludzie z bronią. Obiecuj mi, że dasz sobie z tym spokój. Obiecuj mi. Musisz mi obiecać, albo już nigdy nie będziesz mógł do mnie przyjść.

- Ale to nie fair. - Can gryzie się w język, bo to typowe dziecinne słowa, a rozmowy z panem Ferentinou zawsze rządziły się dżentelmeńskimi zasadami. Na „pan”. Pan Ferentinou mówi poważnie. Can patrzy mu więc w oczy, od czego tamtemu zawsze robi się nieswojo i mówi: - No dobrze. Obiecuję.

Ale to kłamstwo. Nie, nie kłamstwo, coś innego: Nie Dotyczy. Na jego ramieniu siedzi Szczur, a wszyscy wiedzą - wszyscy w szkole Yildiz - że obietnica złożona w obecności szczura w ogóle się nie liczy.

* * *

Rozmowa z Türkanem Bejem, właścicielem Felicity Apartments, odbywa się w całości przez domofon.

- Mehmet Ali Yazıcoğlu - powtarza Leyla.

- Ten żul, ten alfons chłopaczków, ten szmugler Gruzinów, gołowąs, pedał, transwestyta, damski bokser, ustawiacz zakładów, kanciarz podatkowy, pracz pieniędzy, wytaniacz, co kibicuje Beşiktaş, żaloszny, drobny, nieudaczny gangster, jeśli Bóg patrzy na to z nieba, któregoś dnia wyląduje w fundamentach wiaduktu na E 18...

Leyla cofa się od kratki, żeby przerwać potok inwektyw.

- Kapici powiedział, że sprzedał pan rzeczy z mieszkania.

Pauza.

- To nie wasza rodzina, co?

- Nie bezpośrednio.

- No, ale ktoś mi wisi czynsz za dwa miesiące. Za dwa miesiące.

- Panie Özkök, gdzie wysłał pan jego rzeczy?

- Gówno dostałem za tę kupę śmieci. Macie przy sobie pieniądze?

- Panie Özkök, jak się ten handlarz nazywa?

- A, jakaś tam buda na Seyitnazam. Schodzę. Zajmę się tym osobiście. Nie ruszajcie się nigdzie. Już schodzę.

Leyla ucieka. Biegnie na niebezpiecznych obcasach. Yaşarowi kazała jeździć peugeotem w kółko - zaparkowanie w okolicy biura na Inebey było niemożliwe. Gdzie on, gdzie on? Żeby tylko nie miał stłuczki, żeby nie zaczął się kłócić na światłach, nie wplątał w nic z policją. Jest, podskakuje na szynach tramwajowych. Auto nie zatrzymuje się, gdy Leyla otwiera drzwi i wskakuje na siedzenie pasażera.

- Dawaj, dawaj, dawaj!

Yaşar wbija się między samochody. Leyla widzi w drzwiach Özkök Nieruchomości ogromnego faceta z wypukłym czołem, ciężkimi podbródkami i wielkim wąsem. Rozgląda się po ulicy. Gdy auto go mija, Leyla kuli się na siedzeniu, lecz ten ruch zwraca jego uwagę. Rozpoznaje ją z kamery domofonu, zastanawia się, czy jej nie gonić, zadowala się jednak wymachiwaniem pięścią i wykrzykiwaniem obelg.

- Zgaduję: chciał zaległy czynsz.

- Jedź, jedź, może jeszcze za nami polecieć.

- Na marketingu pewnie mówili ci co innego, ale dla mnie wynajem mieszkań nigdy nie był przyzwoitym sposobem na zarabianie - mówi Yaşar. - Robienie pieniędzy z pieniędzy.

- A my to co innego? Chcemy dostać finansowanie, żeby zarobić więcej?

- Finansowanie, żeby zrobić coś, co zmieni świat. Zauważyłaś te dwa dodatkowe słowa? „Zrobić coś”.

- Domy aukcyjne na Seyitnazam - mówi Leyla, przejmując kierownicę na stacji gazowej.

„Dom aukcyjny Hazine”, mówi niemal natychmiast Yaşar i mrugnięciem przekazuje pozycję do systemu nawigacyjnego. Jazda, jazda, ciągła jazda, w kółko po tym wielkim, gorącym mieście, między tanimi mieszkaniami do wynajęcia na świeżo zbudowanych przedmieściach, wynajmowanymi na tygodnie biurami, czarnymi atryami z marmuru i

biznesowymi apartamentami z widokiem na Bosfor. Iluż kierowców i pasażerów dookoła krąży bez końca po arteriach, obwodnicach, skrzyżowaniach Stambułu i nigdy nie dociera do centrum, nigdy nie dociera nigdzie? Wieczorem jest spotkanie z CoGo Nano! - liderami rynku nano dla masowego odbiorcy. Potem kolejne telefony do firm nano, prywatnych inwestorów i funduszy venture capital. Leyla nie ma pojęcia, kiedy wczołga się na górę po skrzypiących schodach w domu derwiszy. Myśl o popołudniowym spotkaniu przypomina jej inne kołaczące się w głowie pytanie.

- Jak to się stało, że pracujecie razem z Aso?

- Poznałem go na uniwerku w Ankarze, a potem razem przenieśliśmy się na Bilikent.

Tylko tam, jeśli masz jakieś ambicje robić w nano.

- Trochę dziwny z was duet.

- Dziwny? Jak to, dziwny?

- No, rozumiesz, z reguły nie widzi się...

- Kurdów.

- Tak, Kurdów. „Naukowcy”, to nie jest pierwsze, co przychodzi do głowy.

- Tak? A co ci przychodzi do głowy?

- No wiesz, nigdy nie słyszałam...

- Aha. Kurdowie hodują owce, zabijają dla honoru, a najbardziej ze wszystkiego lubią porządną wendetę.

- Nie! - Nie myślała tak, nie tymi słowami, nie tymi frazesami, ale uprzedzenia są jak woda gruntowa, przesączająca się w nią jak woda w kanalikach irygacyjnych pod folią, przez rodzinę, znajomych, telewizję, informacje, meczet i szkołę: Kurdowie są konserwatywni, izolują się, trzymają własnych zwyczajów, Kurdowie nie są prawdziwymi obywatelami Turcji. To fundament, na którym opiera się wszystko, co do tej pory o Kurdach myślała. Jest wiejską rasistką z Demre. Taka jest nieprzyjemna prawda.

- Gość to geniusz - mówi Yaşar. - A ja odwalam robotę, projektuję cząsteczki, obliczenia, wyliczam zagięcia. On patrzy perspektywicznie. Nasz wizjoner. To on widzi, gdzie będziemy za dziesięć, pięćdziesiąt, sto lat. Widzi to jasno jak na dłoni. Ja sram ze strachu, ale on to widzi, patrzy prosto w słońce i nic go nie oślepia. A może to też jedna z tych rzeczy, której Kurdowie nie potrafią?

- Yaşar, przepraszam...

Dzwoni wuj Cengiz, mówi, żeby podjechać na Bakirköy i wziąć kuzyna Naciego.

- W porządku chłopak, duży i ćwiczy taekwondo.

- A po co nam kuzyn, który ćwiczy taekwondo?

- Wpadłem na herbatkę do Pana Szefa i zapytałem, czy ma pojęcie, kto rządzi w Felicity Apartments. - Każde miasteczko, każda dzielnica ma swojego Pana Szefa. Różnie się go nazywa, różnie tytułuje, ale zawsze chodzi o Pana Szefa. Pan SzeF przeważnie siedzi. Na ogół na dworze. Pije masę herbaty, czasem pali. Wszyscy mówią mu „dzień dobry”, ma też psa, który nigdy nie bywa w domu. Pan SzeF zna wszystkich i wszystko załatwi. Przyjmuje drobne dowody wdzięczności i organizuje lokalną ochronę. - Opisałem gościa. Powiedział, że to chyba Abdullah Unul. Pracował z Ruskimi, typowy ruski biznes: obyczajówka, przemysł ludzi, inne takie paskudne sprawy. Pan SzeF powiedział, że słyszał, że Abdullah Unul zajmuje się teraz pożyczaniem kasy.

- Czyli my mamy kasę Abdullaha Unula.

- Leyla, on powiedział jeszcze, żeby być bardzo ostrożnym. Abdullah Unul robił różne rzeczy dla Ruskich. W ichnim stylu. Leyla, myślę, że ci nie zaszkodzi, jeśli ktoś z wami pojedzie. Przyślę wam kuzyna Naciego.

- A nie przyszło wam do głowy w którymś momencie zadzwonić na policję? - pyta Leyla.

- Na policję? - Szok i wstyd w jego głosie przebijają się przez jazgot opon. - Nie, w tej rodzinie się tak nie robi.

Kuzyn Naci snuje się pod dziesięciometrowym obrotowym derwiszem z plastiku, reklamującym restaurację turystyczną Çelebi stojącą naprzeciwko zapyłonego, śmierdzącego elektrycznością przydrożnego parku przemysłowego i bezkolizyjnego skrzyżowania Ataköy. Wielki, szeroki w barach, trochę marszczący czoło dwudziestoparolatek w spodniach od dresu i bardzo czystej, białej, koszulce Adidasa. Pachnie płynem do płukania tkanin. Porusza się pięknie, ze swobodną gracją. Yaşar wyraźnie go nie cierpi, więc Leyla od razu jest skłonna go polubić. Dwóch facetów w eleganckich niebieskich kombinezonach i rozkosznych malutkich kaloszkach myje samochodzik, a Yaşar tymczasem obrabowuje sklep z batonów, chipsów i napojów. Leyla unosi wzrok do powoli kręcącego się derwisza, z jedną dłonią uniesioną ku Bogu, drugą zwróconą ku ziemi. Przez serce przechodzi linia jedności. Tu narodziła się nanotechnologiczna rewolucja, tak powie, kiedy będą robić z nią wywiad do kanału informacyjnego, do programu o ludziach, którzy wstrząsnęli światem.

Tylnie siedzenie peugeota citicara rocznik 2020 nie było projektowane dla kuzynów Nacich. Nawet z kolanami pod brodą wisi nad przednimi siedzeniami. Leyla jest pewna, że przednie koła ledwo dotykają jezdni.

- Jaki masz pas? - pyta Naciego.

- Czarny - odpowiada.

- Który dan? - pyta Yaşar.

- Piąty. Potrzeba na mnie pozwolenie, jako na niebezpieczną broń.

Dom Aukcyjny Hazine mieści się w zamykanej na roletę przemysłowej szopie, na tyłach osiedla mieszkaniowego przy ekspresówce D100. W powietrzu unoszą się razem z kurzem tanioccha i podłóść. Balkony już odpadają ze ścian, mocowania małych ochrowych wentylatorów popstrzyła rdza. Na roletach graffiti, hasła o Bogu, Atatürku i piłce. Ulica zastawiona pickupami Toyoty. Dom Aukcyjny Hazine to bazar ostatniej szansy. Kup od kogoś, kto musi sprzedać, weź niedużą marżę. Na półkach po sufit rzędy małych motorków, gitar elektrycznych, sukien ślubnych; sprzęt stereo, rowery, designerskie okulary słoneczne. Sprzęt AGD z cenami wypisanymi mazakiem na wściekle pomarańczowych gwiazdkach. Całe pudło ceptepów. Każdy przedmiot to zawiedziona, zbyt wybujała nadzieja. Ale to nie lombard, w żadnym razie nie lombard. Lombardy to lichwiarstwo. Lombardy są haram.

Turgut Bej jest bardzo elegancki, ma nowy garnitur i uśmiech.

- Wyprzedaż majątku, tak, zajmujemy się tym. Płacimy stałą kwotę, na pniu, a potem chłopaki jadą, sortują wszystko i pakują do kartonów - jeśli jest posortowane, dostają o wiele więcej niż za powrzucone bez ładu i składu. Bo handlarze się specjalizują: jeden książki, drugi porcelana, trzeci pamiątki.

- Taki był adres.

Leyla pisze go na kartce. Nie ma ochoty na bezpośrednią wymianę danych z tym typem. Turgut Bej wzrusza ramionami.

- Musi pani pogadać z chłopakami.

Rzeczywiście, chłopaki. Synowie i kuzyni w skórzanych kurtkach bawią się kluczykami od furgonetek. W szklanym akwarium będącym biurem Domu Aukcyjnego Hazine Turgut Junior suwa po silkscreenie arkuszami kalkulacyjnymi.

- Dwadzieścia kartonów różności, posortowanych - obwieszcza Turgut Junior. W betonowym magazynie jest gorąco, pyliście i śmierdzi drobnymi smutkami.

- Szukamy konkretnej rzeczy - mówi Leyla. - Rodzinna pamiątka, taki miniaturowy Koran, ale tylko połowa. Może zauważył pan coś takiego?

- Szczerze mówiąc, to mamy tyle tych rzeczy... - odpowiada Turgut Junior, przewijając listy na ekranie. - Takich drobiazgów nawet nie katalogujemy. O. Jedno pudełko, dewocjonalia różne. Ma pani szczęście.

- A mogę wiedzieć, kto go kupił?

- Tajemnica handlowa.

Pierwsza z dwudziestek na bieżące wydatki opuszcza swój jedwabny harem. Zeliha

niechętnie wypłaciła jej tę kasę. Trzeba jej jeszcze raz przypomnieć o umowie.

- Ten człowiek go kupił. Stały klient. Lubi takie religijne pierdółki.

Turgut Junior wywołuje paragon na ekran. Pudełko poszło za dwadzieścia euro, tyle, ile właśnie mu zapłaciła. Nie ma oczywiście gwarancji, że w pudełku był pół-Koran ani że kupujący nie puścił go dalej do ludzi. Ani że Abdullah Unul nie wydarł go przemocą i młotkiem z palców Mehmeta Alego. Czarny Pas Taekwondo, Niebezpieczna Broń przygląda się motocyklom enduro. Leyla ma nadzieję, że jeden taki gość wystarczy.

Dzieła Sztuki i Antyki Tapaloğlu. Kavaflar Sok, Wielki Bazar. Nadzieje Leyli więdną. Miniaturowe Korany to znakomite pamiątki: autentyczne, orientalne, lekkie, małe i odrobinę przekraczające granice. Turyści je uwielbiają. Jednakże pół Koranu jest o wiele mniej atrakcyjne. Na tyle mniej, że Tapaloğlu mógł je wyrzucić. Od tysięcy rozważanych i podważanych możliwości może się zakręcić w głowie. Pewne jest tylko jedno: za dwie godziny mają z Aso spotkanie w CoGo Nano! A ona musi jeszcze wziąć prysznic, przebrać się i przetrenować gadkę.

Zaczyna się przyzwyczajać do widoku kuzyna Naciego wypełniającego lusterko wsteczne. Płyn do płukania to lepszy zapach od naturalnego smrodu tego autka - projektanta nano i pleśniejącego jedzenia. Pod nogami kierowcy powstał dywan z porozdeptywanych przekąsek. Butom to nie posłuży. Leyla przyśpiesza na wiadukcie i wciska peugeota w cudownie otwierającą się lukę między taksówką a lawetą. Dopóki nie wzięła tego zlecenia, nie zdawała sobie sprawy, ile lawet jeździ po drogach.

* * *

Kiedy Adnan Sarioğlu po sześciu miesiącach w mundurze, w Krainie Możliwości, wrócił do domu autobusem, przysiągł na honor ojca, życie matki, męskość brata, cnotę siostry i brodę proroka, że jego stopa więcej tam nie postanie. Bóg zna ludzi i niewiele robi sobie z honoru, cnoty czy nawet życia, ale przysięgom na własnego proroka lubi pomieszać szyki. Zatem to z woli Allaha Adnan Sarioğlu znalazł się znowu na Erzurum, siedem lat po załatwieniu sobie przeniesienia stąd do policji turystycznej w Dalamanie - bo kto by chciał, żeby człowiek mówiący idiomatycznym angielskim padł ofiarą ajdika? Nie w Erzurum. Na Erzurum. Na lotnisku Erzurum. Na gołej płycie w ostrym wczesnomarcowym wietrze, grożącym deszczem ze śniegiem, z trzema innymi facetami w stambulskich garniturach i ciemnych okularach.

- Co my tu, kurwa, robimy? - zapytał Kemal, skacowany i przytłoczony ogromem nieba.

- Chciałem, żebyście zobaczyli na własne oczy, bo wtedy zrozumiecie - odparł Adnan.

- Nie handluję czymś, czego nigdy nie widziałem.

- Handlujesz gazem ziemnym - powiedział Oğuz. - I pakietami cyferek, które nazywasz kontraktami.

Współpracownikom z działu wsparcia, z Departamentu Zgodności, z rurociągów i parkietu giełdowego sprzedali historię, że jadą sobie na weekend na męską wyprawę, kawalerską wycieczkę, pojeździć motorami po Dzikim Wschodzie. Lot przeniósł ich łukiem ponad ochrową, usychającą Anatolią i boleśnie błękitnymi zalewami tam na Tygrysie i Eufracie. Mały krótkodystansowy embraer miał w klasie business tylko osiem siedzeń. Ultralordowie Wszechświata zajęli je wszystkie i krzyczeli do siebie z obu stron maleńkiej, oddzielonej zasłonką kabiny. Kemal przez cały lot pił i podrywał stewardesę. Twarz miała sztywną od dezaprobaty i grubej warstwy podkładu.

- Mają tu święto arbuza - powiedział Kadir, kiedy szli po mokrej, omiotanej wiatrem płycie do czekającego czarterowego helikoptera. - Czytałem w magazynie w samolocie.

- I co robią? - zapytał Kemal. - Wsadzają je sobie w dupę?

- Nie sądzi się miejsca po lotnisku - powiedział Adnan, poprawiając okulary na nosie. W wietrze czuło się lód z Araratu, a on zapomniał powiedzieć reszcie, żeby wzięła kurtki.

- Wyłącznie po lotnisku - odezwał się Oğuz.

W helikopterze nie było barku. Kemal spędził lot z czołem przyciśniętym do drgającej szyby, zagapiony na jałową wschodnią ziemię. Została mu po tym czerwona pręga.

- Wyglądasz jak szyta w Aszurę - powiedział Oğuz.

Nagle Adnan wypatrzył pierwszy srebrny błysk rurociągu, przechodzącego okrakiem przez skalny grzbiet, dolinę, wioskę i ugory, wspinającego się na górskie zbocze i przecinającego śnieżne pola. Gestem pokazał pilotowi, że ma do niego podlecieć.

- Możemy zejść niżej?! - krzyknął.

- To jest wojskowa strefa ochronna! - odkrzyknął pilot. - Jest zakaz lotów na małej wysokości.

- A jak nisko wolno?

- Poniżej trzydziestu metrów bym nie schodził.

Adnan wyszczerzył zęby pod lotniczymi okularami. Kazał wszystkim współkspiratorom kupić takie na lotnisku Atatürka, żeby wyglądali jak gangsterzy.

- Teraz lądujemy.

Stacja Przesyłowa Çaldıran wyglądała jak placówka Obcych, baza inwazyjna zbudowana ze srebrnych rur i sześcianów z blachy falistej, płotów z siatki i żółtych tablic ostrzegawczych, baterii słonecznych oraz wielkich, pancernych zaworów, ustawiona w

podłużnej, rozrzeźbionej dolinie pokrytej zbrązowiałą od zimy trawą. Gdziekolwiek było widać gołą skałę.

Lądowisko dla śmigłowców, droga z parą kolein tnąca dolinę prosto jak rana cięta, tropy owiec na zboczach. Trzy rury, stalowy igrek i triskelion.

- Co za pieprzone zadupie. Tutaj stacjonowałeś? - zapytał Kemal.

- W Erzurum. Tutaj przyjeżdżaliśmy na manewry. Powinniście zobaczyć jak tu jest na wiosnę. Niesamowite kwiaty. Można tu stać godzinami i... nic nie słyszeć.

- Teraz jest wiosna - powiedział Kemal, otulając się marynarką. Alkohol, wysokość, lekkie delirium od niskiego ciśnienia, wszystko to mroziło mu krew. - I ja słyszę taki głosik, co powtarza: „hipotermia”, „hipotermia”.

- Ktoś tu w ogóle pracuje? - zapytał Kadir.

- Widzę jakiegoś kolesia z owcami - powiedział Kemal, mrużąc oczy i patrząc na dolinę. - I kałachem. - Światło było aktywniczone i ostre, wzmocnione przez śnieg na zboczach.

- Stacja jest automatyczna - wyjaśnił Adnan. - Serwisant przyjeżdża z biura Özera w Erzurum raz na miesiąc, albo coś koło tego, żeby sprawdzić, czy wszystko działa i czy miejscowi nie sprzedali rury na złom.

- A po polne kwiaty i ciszę też? - zapytał Kemal.

- Zamknij się, Kemal - powiedział Kadir. - Rury widzę. Pokażcie mi, na czym ma polegać ten numer.

- Oğuz jest Ultralordem Rurociągów - stwierdził Adnan.

- Prosta sprawa. Jak gra w trzy karty, tylko że gazem ziemnym - wyjaśnił Oğuz. - W założeniu Çaldıran miał wpuszczać do Nabucco gaz ze złoża w Marandzie, w Iranie. Dopiero kiedy zamknięto Zieloną Linie, Özer i jego partnerzy z Nabucco zdali sobie sprawę, że Çaldıran może robić za obejście Erzurum w razie jakiegóż awarii albo problemów politycznych.

- Kadir skierował lotniskowe okulary ku górskim zboczom. On zawsze był tym wyniosłym, powściągliwym, skrupulatnym. W jego żyłach płynęła krew osmańskich paszów. - Czyli Azerów, Gruzinów, Ormian, Kurdów, kilku grup islamistów, którzy chcieliby odłączyć nas od Europy i pchnąć w objęcia mułłów, gdzie nasze miejsce. No i jeszcze samych Irańczyków.

- No tak, tubylcy są bardzo przyjaźnie nastawieni. Ale to ustrojstwo pozwala nam wykonać szybką podmiankę. Lord Draksor nie tracił czasu. Załatwiamy zatrzymanie Nabucco w Erzurum. Gaz leci tędy, a stację Çaldıran kontrolujemy my. I już wpuszczamy gaz z Zielonej Linii do tłoczni w Khoy.

- Nie zauważają jakiegoś opóźnienia?

- Oğuz wyliczy to co do minuty - powiedział Adnan. - Gładko pójdzie.

- Szczegółami zajmują się komputery - dodał Oğuz. - Nikt nawet nie zauważy.

- A gaz z Baku?

Adnan wzruszył ramionami.

- Można zostawić w rurze, wypuścić, wypalić, albo puścić w drugą stronę Zieloną Rurą i niech biedne wdowy z Marandu sobie gotują za darmo przez trzy miesiące. Dla mnie liczy się tylko to, że sprzedają w Stambule irański gaz, a kasują jak za ten z Baku.

Kadir znów rzucił przeciągłe spojrzenie na wzgórza i wysokie, płaskie chmury ciągnące się po stalowobłękitnym niebie.

- To kradzież.

- Po prostu podmieniamy źródło gazu - powiedział Adnan. - Özer ma zysk, jak na Baku, Irańczycy dostają swoje gotówką, my zbieramy różnicę. To nie jest gra o sumie zerowej.

- Jacyś konkretni Irańczycy?

- Mam swój kontakt - odparł Adnan.

- To lepiej idź się do niego poprzymlaj i spierdalajmy do Stambułu, zanim tu znowu coś wybuchnie i usmaży mi jajka - powiedział Kemal, przestępując z nogi na nogę, z przygarbionymi ramionami i rękoma wbitymi głęboko w kieszenie.

* * *

Konkretny Irańczyk to błąd jak ściana, cicho mówiący, słuchający ajatollaha typ o rozbieganych oczach, wiechciowatej brodzie, wypielegnowanych paznokciach, w tanich butach. Na ceptepie ma informacje z serwisu społecznościowego swoich dzieciaków, nie laski i nie sport, jak każdy szanujący się Turek, ale jest fanem Sepahanu i umie wymienić całe rozstawienie z mistrzostw 2025, więc Adnan jest w stanie z nim pracować. Kiedy biznes wyjdzie, kiedy Turkus się sprzeda i każdy dostanie działkę, zrobią z nim rundę po knajpach wokół placu Taksim. To nie jest jakieś pobożne zadupie, gdzie na obwodnicę zawiewa piachem, nie żaden Isfahan czy Teheran, na miłość boską. To jest Stambuł, Królowa Miast. Siedzisz sobie w swoim islamskim beżowym garniturze, bez krawata, popijasz ayran, chociaż nikt, kto byłby gotowy przerzucić Zieloną Linią trzydzieści trzy miliony metrów sześciennych obłożonego embargiem gazu, nie powinien się za bardzo przejmować Allahem. Pójdiesz z Ultralordami w miasto. Wtedy naprawdę poznamy, kto to taki Seyamak Larijani.

Jedynym publicznym występkiem Irańczyka jest jego hotelowy gust. Anadolu to butikowy hotel w stylu neosmańskim, tak świeżutki, że buty Adnana zostawiają odciski na dywanie. Mały, jak szyty na miarę, emanuje luksusem z każdej starannie wyszukanej ozdoby i mebla. Adnan zastanawia się: któraś z tych miniatur w zbyt dekoracyjnych ramach jest od

Ayşe? Nie wspomniałaby mu o tym, uznałaby, że nie warto. Galeria to jej firma, jego - Özer, taka jest od zawsze umowa. Świat kobiet, świat mężczyzn. Oprócz Turkusa. Turkus łamie wszystkie konwencje.

Bar na dachu to szklana kostka zawieszona wysoko nad Beyazit i rozrzutnie klimatyzowana w ten najgorętszy, najdokuczliwszy dotąd dzień. Kasa i wieżowce, myśli Adnan.

Pozostali trzej Ultralordowie Wszechświata już przybyli i rozsiedli się wygodnie w przepastnych skórzanych fotelach, pozamawiali kawę u kelnerek, przystojnych Rosjank w imitacjach osmańskich surdutów. Irańczyk wstaje z miejsca i ściska rękę Adnana.

- Czyli umowa jest wreszcie spisana - mówi Larijani.

Szklanka ze schłodzonym ayranem zaparowuje mu po jednej stronie, od klimatyzacji. Kelnerka z niesamowitymi kośćmi policzkowymi przynosi Adnanowi kawę, choć wcale jej nie potrzebuje. Jest jeszcze nabuzowany po wczorajszym wieczorze.

- Trochę się obawiałem o brak... przejrzystości.

- Adataś nie byłby, kim jest, gdyby nie miał oka do dobrego interesu - mówi Adnan. Dreszcz wczorajszego dopięcia transakcji jeszcze się w nim żarzy, basowy, czerwony, dudniący w dole brzucha, w pęcherzyku prostaty. Trzeba było wczoraj popieprzyć. Czemu, kurna, pozwolił sobie zasnąć?

- Oglądam na nią - mówi Kemal swoją kiepską angielszczyzną.

Umowa przyszła na ceptepa Adnana, który zadzwonił, kiedy ziewający, ale przeszcześliwy, jechał w wężu czerwonych samochodowych świateł do Europy. Prawnicy z Białego Zamku nigdy nie śpią. Bo musieli pracować nad tym prawnicy z krwi i kości - tego typu umów nie powierza się sztucznym inteligencjom. Jednym mrugnięciem posłał ją do Kemala, na Bağranti Yolu. Kemal na pewno włączy autodrivo i przejrzy chociaż pierwsze punkty, gdy jego lexus, nówka, będzie parł naprzód ku Beyazit, jedna z krwinek w betonowych tętnicach Stambułu. Lexus 818: auto menedżera, który mieszka z mamusią. Rzucasz mięsem, ale bieliznę masz wyprasowaną, myśli Adnan. Choć tego ranka Kemal wyraża się wyjątkowo kulturalnie i powściągliwie. Adnan powątpiewa, czy to przez szacunek dla Irańczyka.

- W sumie szablonowa umowa krótkoterminowej pożyczki, z paroma niestandardowymi klauzulami?

- Niestandardowymi? - pyta Larijani. Głos ma cichy, ale niesamowicie wypełniający przestrzeń. Angielszczyzna precyzyjna i ewidentnie brytyjska, co niespotykane u tej nacji, odwiecznie nieufnej wobec Anglii. Rządzi każdą salą, w której się znajduje.

- Na pewno rozumie pan, że przy takiej transakcji pan Adataş musi się zabezpieczyć - mówi Kadir.

- Zakładałem, że będzie się zabezpieczał hedgingiem. Biały Zamek zawsze tak robi.

- Nie, chodzi o zabezpieczenie przed zidentyfikowaniem go jako uczestnika Turkusa - mówi Kadir.

- To kwestia paru warstw spółek celowych - mówi Adnan. Mówi po angielsku najlepiej z całej czwórki - angielski z Kaşu, chłopaka z plaży.

- Wiem, jak działają takie spółki. TabrizGaz robi tu dokładnie to samo, co pan Adataş. Przypominam, że warunki naszej umowy mówią, że po wypłaceniu pieniędzy nie możecie mieć wobec nas żadnych dalszych roszczeń, ani wy, ani pan Adataş. Wszystko musi być do zaprzeczenia.

- Nadzór, zgodność i należyta staranność, to moja działka, panie Larijani - stwierdza Kadir.

- Chodzi mu o to, że jak tylko transakcja się dokona i wszyscy się rozliczymy, zamykamy Turkusa, zwijamy go i wycieramy mu dupę do czysta, tak dokładnie, żeby się dało z niej jeść - wyjaśnia Adnan. - Chyba że stwierdzimy, że tak się nam podobało, że robimy to jeszcze raz.

- Zobaczymy, panie Sarioğlu. - Larijani przez moment patrzy mu w oczy. - Teraz kwestia płatności. Potrzebuję, żeby środki znalazły się na specjalnie utworzonym bezpiecznym koncie dzisiaj do siedemnastej.

Adnan patrzy na Kemala. Ten mówi po angielsku najsłabiej z Ultralordów, ale to jego królestwo. Kemal nachyla się w fotelu, ręce ma złożone, delikatnie zagryza dolną wargę. Nic nie mówi. Adnan wtrąca pośpiesznie:

- Środki zostaną przelane natychmiast, gdy dział prawny Ferida Beja zaakceptuje dokument.

- Oczywiście. Ale mój termin i tak obowiązuje. To kwestia bezpieczeństwa. A, prawie zapomniałem. - Wsuwa rękę do kieszeni na piersi marynarki i stawia na niskim, wyłożonym kaflami z Izniku stole plastikową fiolkę. - Kto będzie realizował przelew?

- Ja jestem pełnomocnikiem tej spółki celowej - mówi Adnan.

Larijani przesuwa fiolkę ku Adnanowi.

- Pan chyba sobie, kurwa, jaja robi.

- Sądziłem, że w Özerze użycie nano jest na porządku dziennym?

- Tak, masowych produktów wspomagających. - Oraz z wewnętrznego rynku szarych towarów z bazarów Fenerbahçe i szop z blachy falistej na spalonych słońcem górkach pod

Ankarą. - A to jest...

- Co? Irańskie? - Larijani uśmiecha się. - Myśli pan, że zmieni pana w nawiedzonego mułłę? To jednorazowe zabezpieczenie optyczne. Wdrukuję panu w siatkówkę kod tego rachunku, w takiej formie, że da się odczytać laserem z rzutnika ceptepa.

- To wojskowa technologia - mówi Kadir.

- W TabrizGazie nie jesteśmy tak zacofani, jak się niektórym wydaje.

- A chuj tam - mówi Adnan i zgarnia plastikowy pojemniczek. - Wezmę te wasze islamskie nano i przebiegnę po nim milę na czas.

Ręka Kadira powstrzymuje jego dłoń, gdy już ma go odetkać.

- Może trzeba zaczekać, aż ludzie Ferida Beja podpiszą?

- O ile jesteście świadomi moich warunków - mówi Larijani.

- A moje są takie - odzywa się Adnan. - Ja uruchamiam Turkusa. Analitycy prognozują, że rynek spot będzie mieć minimum za osiemnaście, a maksimum za dziewięćdziesiąt sześć godzin. Analitycy gównie się znają. Ja mówię, że szczyt będzie w czwartek rano. Gaz znajdzie się w Stambule dwanaście godzin później.

- Potrafi pan przewidzieć, kiedy będzie szczyt notowań? Z pana prawdziwy współczesny prorok.

- Jestem, kurwa, Prorokiem Gazu, a wy lepiej w to uwierzcie. - Adnan rozpiera się swobodnie i wygodnie w fotelu. Tak, ja znam rynek. Tak, to ja kręcę tymi transakcjami, to ja zgarniam kasę. I nigdy się nie mylę. A wiesz dlaczego, ty pozbawiony dupy, pijący ayran, tandetnie ogolony kibicu Sepahanu w beżowym gajerku? Bo one mnie kochają. Pieniądze mnie, kurwa, kochają. - Proszę mieć naładowaną komórkę, nie może pan przegapić tego telefonu.

- Czekam z niecierpliwością, panie Sarioğlu - mówi Larijani. - TabrizGaz i Zielona Linia będą gotowe. - Unosi szklankę ayranu. Biały jogurt pokrył ścianki od wewnątrz i zasechł w pęknięcia i esy-floresy. - Przyjaciele.

Ultralordowie podnoszą filiżanki z kawą. Kawa i jogurt - co to za toast dla bogów pieniądza.

- Za Turkusa, za sukces, za zysk.

- Za Turkusa - mruczy Adnan.

Gdy reszta Ultralordów składa ceptepy i zdejmuje rzutniki z oczu, Kemal przywołuje najładniejszą z Rosjanek, żeby uregulować rachunek. Larijani nachyla się nad stołem i szepcze dyskretnie do Adnana:

- Mówię to panu, bo pan jest żonaty. Kiedy to się skończy i wszyscy zarobimy, musi

pan wpaść do nas do Isfahanu. To naprawdę piękne miasto, a ja mam karnet do łoża dla VIP-ów na mecze Sepahanu.

- Dopiero jak obejrzy pan z nami Cimbom.

- Brzmi rozsądnie. Ale moja żona bardzo by chciała poznać pana żonę.

- Oczywiście - mówi Adnan. - To zaproszenie to dla mnie zaszczyt. - Co naprawdę znaczyło: Wołałbym widzieć Ayşe, jak robi nago szpagaty w przerwie meczu na stadionie Aslantepe, niż chować ją pod tymi waszymi paskudnymi, mizoginicznymi worami. - Jak będą pieniądze.

* * *

- Czekasz trzydzieści jeden lat na proroka, a wtedy pojawia się od razu dwoje. - Mustafa wali grzbietem dłoni w płaski ekran. Każdy dzień zaczyna od dogłębnej lektury sieciowych gazet, przy herbacie.

Od czasu sądu w Mecze Tulipanowym dzinny siedziały cicho, grzecznie. Nadal są obecne, upakowane w powietrzu gęsto jak stronicy książki i równie treściwe. Spokojne, zdyscyplinowane. Necdet wątpi, czy to jego zasługa. Czy przestrzegają boskiego szariatu, jak nakazali im derwisze z Adema Dede, czy władzy Hizira?

- Słyszałeś? W ogóle słuchasz, co mówię? Powiedziałem, że nie jesteś jedyny.

- Co?

- Na Ereğli jest jakaś kobieta. Zagląda w dusze. Przemawiają do niej peri i rozmaite inne baśniowe stwory. Ludzie przychodzą z całej okolicy, po uzdrowienie, lekarstwa, wróżby i inne takie. Piszą w „Cumhuriyet”.

Necdet zapuszcza żurawia nad ramieniem Mustafy i czyta. Przesuwa artykuł, zatrzymuje się raptownie na kiepskim zdjęciu kobiety o wyglądzie matrony.

- To ona.

- Prorokini z Ereğli. Trochę tu chyba przesolili.

- Nie, nie, ona. Muszę do niej pojechać. Pogadać z nią. Ja ją kojarzę, widziałem ją. Stała koło mnie w tym tramwaju, kiedy wybuchła bomba.

* * *

CHRONIONE PRZEZ ROBOTY, głosi tabliczka na drzwiach, tuż nad inną, mówiącą PRZERWA OBIADOWA. Ayşe pcha drzwi. Wie, że będą otwarte. Dzwoni dzwonek.

- Nie umiesz czytać?! - Czyjś głos dobiega z odległości większej, niż pozwala na to konstrukcja budynku. - Chronione przez roboty! Z żądłami. Trzy dni boli, a parszywa wysypka zostaje na zawsze.

- Nie masz na sprzątaczkę, a co dopiero na roboty! - woła Ayşe.

Parsknięcie śmiechu z głębi niemożliwej perspektywy.

- Ayşe! Kwiatuszku! Jestem z tyłu.

Wchodząc w głąb księgarni Sultan Mektep, odbywa się podróż przez architektoniczną historię Stambułu. Dziewiętnastowieczny osmański fronton, z autentycznego drewna, dalej fragment arkady z wczesnej epoki islamskiej, a potem przez po partyzancku przebitą ścianę dociera się do bizantyjskiego lochu. Burak Özekmekçib stosownie do tego ustawia swoje eksponaty. Na wystawie od ulicy są podręczniki - Sultan Mektep mieści się na tyle blisko uniwersytetu, że jest jego dyżurną Wywrotową Księgarnią - oraz współczesna beletrystyka i literatura faktu. Dalej idą teksty polityczne, zakazane książki i podziemne czasopisma, niektóre z czasów, kiedy Sultan Mehmet zaliczał się do ważnych punktów na Szlaku Hipisów. Rachunki z restauracji Pudding Shop, książki podróżnicze i Herman Hesse z ówczesnego Sułtana. Właścicielem był wtedy ojciec Buraka i ciągle go ścigano za działalność wywrotową i antyturecką. Burak natomiast jest poszukiwaczem przygód w architekturze; uzbrojony w sonar, GPS i starożytne mapy Beyazit rozszerzył swoje dziedzictwo o trzy tysiąclecia. Pod łukami dawnej chany znajdują się: w pierwszej niszy przekłady, w drugiej teksty anglojęzyczne, a w trzeciej, czwartej i piątej arabskie. Burak siedzi w Bizancjum. Tutaj są tomy stare, sfalszowane, bulwersujące, wizjonerskie, okultystyczne, objawieniowe i halucynacyjne. Pornograficzne, prorocze i bluźniercze leżą razem na półkach z chłodnego kamienia.

- Którego dnia ktoś ci to wszystko wyczyści.

- Co? Kto by kradł książki? - Burak zerka znad okularów.

Obwisłe, gęste, ciemne włosy; za słabe okulary; kraciasta koszula, sztruksy na szelkach, ręcznie szyte brązowe buty - Burak Özekmekçib to w każdym calu archetypowy antykwariusz.

- Ktoś taki jak ja, Burak. Ktoś, kto wie, ile są warte. - Mimo tego całego pozowania na mola książkowego, Burak Özekmekçib jest dokładnym rówieśnikiem Ayşe. Poznali się na uczelni, na kursie klasycznej perskiej kaligrafii nasta'liq. Adnan znienawidziłby go od pierwszego wejrzenia. Uznałby za pedała, choć naprawdę do Buraka nie przemawia idea seksu z kimkolwiek i czymkolwiek.

- No, kwiatuszku, to jak mogę ci pomóc?

W radiu tłą się stare piosenki Sezen Aksu. Matka je uwielbiała, myśli Ayşe. To ścieżka dźwiękowa jej dzieciństwa; jesienne wieczory na Samanyolu Sok, kiedy patrzy, jak matka się maluje przed jakimś wyjściem z oszałamiająco przystojnym kapitanem Erkoçem, lata spędzane w domku nad morzem, tańce na patio, w oczekiwaniu, aż rozgrzeje się grill. Burak

całuje Ayşe po francusku w policzek. Po skończeniu studiów pięć lat siedział w Paryżu i wrócił, żeby przejąć księgarnię po śmierci ojca. Twierdzi, że nauczył się tam pocałunków, anarchii, czerwonego wina i nieśpiesznego spożywania obiadu.

- Potrzebuję informacji.

- Ty to zawsze, różyczko. Chodź ze mną na tył, mam już otwartą bardzo zącną butelkę.

Ayşe idzie za Burakiem. Butelka rzeczywiście zącna: madiran rocznik 2022, stojący na gargantuicznym biurku z epoki osmańskiej. Burak wyciąga z szuflady zakurzone kieliszki i wyciera je chusteczką. Siada na obrotowym fotelu, Ayşe na starym bujaku. Dzielą się madiranem.

- No?

- Hurufici.

- Założył ich Fazlallah Astarbadi vel Naimi, urodzony w Astrabadzie, w Iranie, w tysiąc trzysta czterdziestym roku naszej ery. Około tysiąc trzysta siedemdziesiątego zaczął głosić w Persji i Azerbejdżanie dość ortodoksyjny sufizm. Potem przyjął bardziej ezoteryczne wierzenia, które spisał w *Jawidart al-Kabir*. Usiłował nawrócić Timura Chromego, stracono go za tę bezczelność. Wyznawcy się zbuntowali, bunt stłumiono z należytą mongolską skutecznością. Przez kilkadziesiąt lat wegetowali jako sekta, a potem przygaśli, albo wchłonęły ich inne, bardziej ortodoksyjne zakony. Spuściznę pielęgnują teraz bałkańscy bektaszyci i Śatari w Indiach. Niezły WikiBurak, co? Hurufici wymarli dawno temu i nie żyją.

Wino z Madiranu jest bardzo dobre, garbnikowe, potem głębokie i łagodne, ekscytująco odwadniające. Przyjemność popijania w porze obiadowej, w jaskini pełnej książek, klimatyzowanej magią bizantyńskiej architektury, z kieliszkiem z dłoni, popatrując na spocony Sтамбуł za oknem.

- Tyle oficjalna historia, ale ja przyszłam po nieoficjalną. Gdyby jacyś hurufici jeszcze dzisiaj działali, pewnie byś wiedział...

- No cóż, kwiatuszku, oczywiście pełno jest samozwańców Hurufich. Każdy nieudaczny okultysta i kabalista, szaradzista i badacz pisma mieni się teraz hurufitą albo neohurufitą. Ale zakon wymarł, makówko. Jeśli chcesz, mogę cię skierować do paru bektaszyckich szejchów, co mają kopie oryginalnego rękopisu Naimy i mapy odwzorowujące *zuhur kibriya* na ludzką twarz. Potem mamy gości, jak Fundacja Meru, którzy twierdzą, że kontynuują huruficką tradycję i że znaleźli uniwersalny motyw alfabetyczny w pierwszym wersie hebrajskiej Księgi Rodzaju, tylko że to są głównie amerykańscy kabaliści. Mniej więcej dwa razy na rok w „Toplumsal Tarih” pojawia się artykuł o świętych geometriach w

meczetach Sinana, albo o Siedmiu Literach Stambułu...

Ayşe unosi palec znad kieliszka z winem.

- Powiedz mi coś o tym.

- O Siedmiu Literach? Legenda pojawiła się zaraz po śmierci Sinana: że siedem liter, które nie występują w pierwszym wersecie Koranu, składa się na Tajemne Imię Boga. I że on zapisał je w geografii Stambułu, w układzie swoich budowli. Mąż, który odczyta je w całości, niczego nie pomijając, otworzy serce Świętego Koranu i ukáže mu się twarz Boga. Dla mnie to grubymi nićmi szyta propaganda, pogłoska rozpuszczana przez kalifat, żeby uzasadnić potworne sumy, jakie wydawali na szal budowlany Sinana, i uczynić ze Stambułu miejsce pielgrzymek, konkurencję dla Medyny i Mekki - a to miało przynieść górę pieniędzy - i jeszcze wzmocnić Osmanów jako pretendentów do władców islamskiego świata. Nikt oczywiście nigdy tych siedmiu liter nie znalazł.

- Mąż?

- Słucham?

- Powiedziałaś: „Mąż, który odczyta je w całości”.

Burak dolewa madiranu. Niebezpiecznie się z nim pije, myśli Ayşe, przy takim twój kieliszek nigdy nie jest pusty. Kiedy to się skończy, kiedy będzie mieć pieniądze, musi się z nim umówić, pogadać o sztuce, starym Stambule, uczelni, wszystkich tych rzeczach, których nie zapewni jej Adnan.

- A co ty kombinujesz, chaberku? - pyta Burak, marszcząc podejrzliwie czoło.

- Szukam czegoś.

Burak unosi ręce w ostrzegawczym geście.

- Uważaj, słyszałem, że Dobra Kultury znowu robią jakąś akcję.

- Wiesz co, Burak, obrażasz mnie. A te artykuły o Siedmiu Literach, pamiętasz, kto je pisał?

- Pewnie. Większość napisał niejaki Barçin Yayla. Ściągałem dla niego książki. Różne arabskie rzeczy, perska teologia, książki sufickie i kabalistyczne. Dziwne, że się do ciebie nie zgłosił, mnie ciągle męczy o różne kaligraficzne paneau.

- Pewnie go na mnie nie stać.

- To prawda, to prawda. Sympatyczny gość, ale kompletnie odklejony - o, i ten to dopiero się uważa za ostatniego hurufitę. Fioleczku, myślisz, żeby z nim pogadać? To nalegam, pozwól, najpierw ja z nim porozmawiam. Na pewno się zgodzi, chodzi tylko o to, że on jest, wiesz, trochę wrażliwy.

- Będę wdzięczna.

- Daj mi moment. - Burak zakłada rzutnik ceptepa. Kompletnie do niego nie przystaje, jakby to był miotacz albo turban.

Ayşe patrzy, jak na gałce ocznej migocą cyferki. Sezen Aksu wyrzaskuje ogniste pieśni o straconej miłości i *hiüzün*. Ayşe omal nie upuszcza kieliszka na podłogę, widząc ruch pod stertą tureckich groszowych thrillerów. Szczur! Nie, coś jeszcze bardziej zaskakującego, szczur w Sultan Mektep nie byłby niczym dziwnym: mały domowy robocik, wielkości dwóch dłoni, pieczołowicie odkurza wokół stosów książek. Burak łypie na nią zza ceptepa.

- Już dzwonię. Co, wydawało ci się, że wymyślam z tymi robotami?

* * *

Adnan nie uszedł jeszcze dziesięciu kroków od hotelu Anadolu, a już lepi się do niego przepocona do nitki koszula. Skwar na Yeniceriler Caddesi jest jak cios, jak brzemień na karku. Tylko durnie i nastolatki, rozebrane prawie do naga, odważają się wyjść na gorący jak płynny metal chodnik. Nawet Angole chowają się przed słońcem, czerwone twarze płoną w głębi ciemnych kawiarni. Prześlizgują się tramwaje, w oknach gęsto od znużonych, wyczerpanych upałem, wracających z pracy ludzi.

Autobusy manewrują niezdarnie, odpływają z przystanków, wypchane przegrzаныmi, rozdrażnionymi, zmęczonymi stambuńczykami. Kierowcy aut dawno porzucili wszelką nadzieję na ruch naprzód i siedzą zrezygnowani w pełznącym po centymetrze korku, okna otwarte na oścież, dudni turecki pop i stacje informacyjne. Dłonie na stałe przytwierdzone do klaksonów. Jedno słowo, jedna iskierka na te samochodowe węgielki i cała ulica eksploduje walką na śmierć i życie. Nie ma chętnych na Świeże! Wyciskane! Granaty! przed barem na rogu Çemberlitas. Adnanowi wydaje się, że to najlepsza rzecz na świecie, jakby dać nurka w bezdenny chłód. W klimatyzatorze baru coś nierówno grzechocze. Namierzywszy ten odgłos, uświadamia sobie kolejny, bardziej basowy i sapiący, ze sklepu z ceptepami, a potem, gdy przyzwyczajają się i do tego, dołącza się trzeci głos, wysoki, astmatyczny jęk z taniego butiku, potem przegrzany syk z antykwariatu, owadzie brzęczenie z dalekobieżnego autobusu i gwizd klimatyzatorów aut. Adnan znalazł się pośrodku symfonii na klimatyzatory. Najlepsza, kurwa, melodia na świecie.

- Wracasz prosto do biura? - pyta Kadir.

- Nie śpieszy mi się.

- Meczet Beyazit podobno jest świetny na kontemplację. I latem ma być w nim chłodno. Dzięki temu całemu marmurowi.

- Co ty w ogóle wiesz o architekturze meczetów?

- Wiesz co, po prostu przejdź się ze mną.

Rozgorączkowany zwykle plac Beyazit poddał się upałowi, tłumy skryły się w cieniu, w głębi zaułków i uliczek, w cieniu balkonów i pochyłych ścian. Krok przez łuk bramy meczetu na dziedziniec jest jak krok do innego świata i innego czasu. Ryk ulicy cichnie. Adnan słyszy kapanie wody z mosiężnych kurków do marmurowego koryta fontanny pośrodku dziedzińca. Kruźganki są głębokie i kopulaste, ocienione i dające schronienie. Marmur zaprasza do dotknięcia go bosymi stopami. Nagle oszalały od żaru, podekscytowany ucieczką od niego i domknięciem transakcji, skopuje z nóg ręcznie szyte buty i zdziera skarpetki. Pięćsetletni marmur pod podeszwami stóp. Geologiczna refleksoterapia.

- Powinieneś też spróbować. - Adnan wygina palce stóp.

- Szkoda, że to zrobiłeś - mówi Kadir. - Strasznie ciężko poważnie gadać z kimś, kto nie ma butów.

Łuki stóp Adnana napinają się w przewidywaniu kurczu.

- No, mów.

- Kemal chyba nie jest pewny.

- Kemal gada byle co.

- To na pewno. Ale oprócz tego na transakcjach za ostatnie cztery tygodnie stracił coś koło dwustu osiemdziesięciu milionów euro.

Marmur pod stopami Adnana nagle robi się lodowaty i lepki jak skóra trupa. Dziedziniec, kolumnady, fontanna, kaskady kopuł, kamienny wodospad spływający z wieńczącego meczet półksiężyc, wszystko kiwa się i chwieje. Bose stopy są bardzo bose, nagie, głupkowate, bezbronne.

- Przecież Kemal nie handluje. Siedzi w back-offisie. - Spokój uleciał z Adnana jak spłoszone szpaki. Bełkocze, gada byle co, pierwszą rzecz, jaka mu przyjdzie do głowy.

- Oprócz ciebie pracuje z Halukiem i Hilimim.

- Gostkami od Cygnusa X. To nie finanse, to voodoo.

Kupno i sprzedaż, znajdowanie korzystnej pozycji, okazje do arbitrażu, zadyszane, stratosferyczne królestwo instrumentów pochodnych; pod tymi abstrakcjami i minimalnymi różnicami w czasie zawsze krył się fizyczny towar, surowiec, ciepło dla wdów z Marandu czy chłód dla mieszkańców Stambułu. Ciemna płynność, tak zwane ciemne pule, gra na ślepo, w której kupujący i sprzedający skrywają przed rynkiem swoje prawdziwe intencje, jest jak czarna magia. Jak macanie po ciemku przy minimalnej informacji, jak przeczesywanie morskiego dna. Zimna, bezlitosna entropia. Teoria jest solidna i prosta jak łódź. Dużi inwestorzy instytucjonalni: fundusze emerytalne, inwestycyjne, menedżerowie obracający wielkimi pakietami, geologicznymi blokami akcji, chcieli móc jakoś je kupić, nie

sygnalizując rynkowi swoich zamierzeń, aby mniejsi, zwinniejsi traderzy nie grali im naprzeciw. Ciemne pule pozwalają traderom zgłosić chęć nabycia lub sprzedaży całkiem anonimowo - bez ceny, bez ilości, nie wiadomo, dla kogo. Kupujący i sprzedający odnajdują się po omacku.

Adnanowi ciemna płynność zawsze kojarzyła się z opuszczonym kinem w Eskişehir.

- Kina mnie nie interesują. Dobry Allah dał nam FlickStream, czemu kręcić na niego nosem? - Była to trzecia randka z Ayşe, ta, na której odbywa się Przedstawianie Znajomym. Jej koleżanki to były, cholera, studentki sztuk pięknych, trudno: przynajmniej są z reguły ładniejsze niż te na MBA.

- To nie film, to instalacja.

Na Trzeciej Randce wolno raz odmówić - tylko raz, żeby nie wpaść na marudę - i tym samym pokazać, że nie jesteś kompletnym mięczakiem. Trzeba było to zrobić.

- Kina mnie nie interesują, ale instalacje to już w ogóle.

- To jest bardziej jak gra - powiedziała jednak Ayşe, wykorzystując Trzeciorandkowy Pierwszy Przebłysk Telepatii.

Studentki sztuki nie były aż tak ładne jak się spodziewał, ale wręczyły im obojgu po laserowym wskaźniku i kazały rozproszyć się po widowni. Było tam już parędziesiąt osób, kucaly między rzędami, za kurtyną, za głośnikami, pod dźwiękochłonną wyściółką.

- To coś jak w wojsku? - zapytał głośno Adnan, bo humaniści wkurzali się na takie rzeczy.

- Trochę tak - odparła Ayşe.

Wtedy zgasły światła. Ktoś niebędący Ayşe otarł się o Adnana, w głębi pylistej widowni zaiskrzył promień lasera, natychmiast odpowiedziało mu pięć innych i Adnan zrozumiał reguły. Pojedynek na lasery w ciemności. Każdy strzał może trafić, ale też od razu zdradza twoją pozycję. Po piętnastu sekundach miał taktykę: nasłuchuj, wysuń głowę znad fotela, strzelaj i uciekaj. Strzelaj i uciekaj. Strzelaj i uciekaj. Ciemność była aksamitna, zapyłona, ciepła i pełna, jak sekrety czyjegoś ciała.

- Adnan.

Obrócił laser w stronę szeptu u swoich stóp, potem rozpoznał głos i zdjął palec ze spustu.

- Podoba ci się? - szepnęła Ayşe.

Siatka laserów przemiatała wilgotny loch kina.

- Poproszę więcej takiej sztuki. - A potem dodał: - To zupełnie jak rynek. W życiu mi to nie przyszło do głowy. Ogłaszasz swoje zamiary, strzelasz, wszyscy znają twoją pozycję i

cię atakują.

- Chyba nigdy bym tak o tym nie pomyślała. Przyprowadziłam cię tutaj, bo wydawało mi się, że da się to tutaj zrobić. - I bez celowania, namierzania, bez choćby błysnięcia laserem położyła mu dłoń na udzie.

- Bo się da - odparł Adnan i pociągnął ją na siebie.

I odtąd zawsze taka była dla niego różnica między rynkami jasnymi i ciemnymi. Jasny rynek to nieustający pojedynek laserów, które ujawniają się sobie nawzajem, reagują na siebie, jak szpaki kłębiące się między minaretami Błękitnego Meczetu, albo samochody na dojeździe do lotniska Atatürka. Ciemny - rozpoznawanie, wyczuwanie konturów ciała, wymacywanie, szepty, poznawanie się nawzajem, a potem powściągliwa wymiana płynów ustrojowych.

Przez pola ciemnej płynności przepływają dziennie miliardy, pomiędzy potężnymi instytucjami sprzedającymi i kupującymi. Jeśli rynek wyczuje, że te ciężkie łodzie podwodne wykonują ruch przeciwko niemu - to ryzyko: żadna ciemność nie jest stuprocentowa. Każdy mrok niesie jakieś szepty. Analitycy puszczają algorytmy o niesamowitej złożoności, żeby wykrywały statystyczne prawidłowości i ostrzeżenia w kursach akcji. Atakujący organizują finansowe wypadki w ciemność, żeby wykryć, co może być na sprzedaż, w jakiej ilości i w jakiej cenie. Niektórzy, by wygrać z rynkiem, korzystają z termodynamiki, szukają lokalnych, drobnych obniżek w ogólnej entropii. Projekt Cygnus X to jeszcze większy stopień abstrakcji, mający zbadać najciemniejsze z ciemnych pul. Dwóch potwornie bystrych analityków, Haluk i Hilmi, rozumowało per analogia do czarnych dziur i teorii informacji. Najciemniejsze ciemne pule, czarne dziury, nie zdradzają swojej obecności, dopóki kupujący nie wejdzie w ich pole grawitacyjne. Połykają wszelką informację o cenie i ilości. Fizycy uwielbiają żart, że czarna dziura nie ma włosów. Tego Adnan nigdy nie rozumiał. Nie rozumie też kwantowych równań pola ani wzorów samego Stephena Hawkinga, które Haluk i Hilmi wykorzystują do ekstrahowania informacji o cenie Wielkich Ciemnych. Ale jest w stanie to podziwiać. Cały Özer musiał podziwiać Haluka i Hilmiego. Teoria Wyceny Kwantowego Pola była czymś śmiałym, czymś wspaniałym, z gatunku rzeczy, za jakie dostaje się Nobla. Adnan może ją podziwiać, o ile zarabia pieniądze. A tu Kadir mówi, że nie. Że katastrofalnie nie.

- Teoria dała im świetne dane - mówi Kadir. - Nagle zaczęli widzieć w ciemności. I postanowili zrobić coś cwanego. Ograć ciemny rynek.

- Próbuję sobie wyobrazić, ile mocy przetwarzania potrzeba, żeby to przeliczać i robić arbitraż w czasie rzeczywistym.

- Tyle że potrzebna jest zgoda czterdziestego piętra.

- Mehmet.

Mehmet Meral, dyrektor operacyjny. Mehmet Zdobywca, lubił mówić o sobie. Cały gabinet miał obwieszony janczarskimi wojskowymi antykami. Wychwalał wojskowe cnoty: szybkość, pewność, dyscyplinę, śmiałość spahiskiej kawalerii. Mehmet Pizda, mówiło się na niego na parkiecie.

- Specjalnie skierował Kemala do rozliczeń tego tematu, żeby mieć pewność, że to jest zatuszowane jak trzeba, no i Kemal na razie przymyka oko.

- Kemal nie zrobiłby czegoś takiego.

- Zrobiłby, kiedy stawką jest Turkus.

- Kurwa.

- Przekazał rachunek Cygnusa X paru stażystom, zakładając, że jeden będzie drugiego pilnował. Ale tak się nie stało. Zrobili drobny błąd, próbowali go ukryć. Błędy, by ukryć błędy. Wiesz, jak to jest.

Czasami, w małej, dusznej, cuchnącej sypialni na Ferhatpaşa, Adnana budzi w nocy pewien dźwięk. Nie hałas z autostrady, nie telewizor sąsiada dudniący tureckim popem za ścianą, nie krzyki gówniarzy ze stacji benzynowej. To potężny huk, który wypełnia niebo nad blokiem nr 27 i ziemię pod nim, nieskończony wir, jakby Bóg rozdzierał na atomy siedem nieb i wszystkie żyjące w nich duchy. Leży potem sparaliżowany, spocony, z bijącym sercem i nie może zasnąć. To dźwięk rozdieranych pieniędzy. Transakcje są tak szybkie, okazje tak krótkotrwałe, a kwoty tak duże, że pomyłka musi się zdarzyć. Za tym wirem, uskokiem, kryje się tak potężne ciśnienie, że jest w stanie zniszczyć wszystko, do zera. Tysiące mogą rozrosnąć się w miliony, w straty, które zachwieją całymi gospodarkami. Dźwięk prutych pieniędzy. Kiedy się ożenił, kiedy kupił tę paskudną klitkę na Ferhatpaşa i uświadomił sobie, że przyniósł Ayşe wstyd w oczach jej rodziny, choć ona nigdy tego nie powie, choć ona będzie spać nawet w gecekondy, byleby miała jego ramię za poduszkę, słyszał odgłos prutego nieba niemal co noc. Był młodszym traderem, od wstukiwania zleceń, ciągle w biegu, ani na moment nie spuszczał oka z indeksów, by mieć pewność, że nie zrobił jakiegoś fatalnego błędu, który urośnie, wespnie się po krawędzi wieżowca Özeru i rozbije go w proch. Nie pamięta kiedy ostatni raz słyszał ten huk, wie jednak, że dziś go usłyszy.

- Jak się dowiedziałeś?

- Powiedział mi. Myślał, że może ja mogę zmodyfikować zapisy. Patrzyłem w to. Coś strasznego. Straty zdjęte z bilansu i zaraportowane jako zyski, rachunki do korekt pozagnieżdżane jedne w drugich, finansowanie z marży handlu na własny rachunek, żeby pokryć straty, fałszywe transakcje hedgingowe. Cała klasyka. Prawie jak w podręczniku.

- Durny Kemal. Czemu próbował to tuszować? Zwolnić gówniarzy i zebrać po łbie od Mehmeta Pizdy. Kapitalizacja Özera to dużo więcej niż jakieś tam dwieście osiemdziesiąt milionów.

- Mehmet Pizda ma własne problemy. Mehmet, Ercan, Pamir - Özer psuje się od głowy. Każdy departament ma ekspozycję we wszystkie strony, na sześć razy tyle, co kapitalizacja firmy. Jesteśmy fikcją księgową. To domek z kart i padnie właśnie przez Cygnusa X. Pamir może rzucić Kemala na pożarcie, żeby Komisja Nadzoru Finansowego nie zaczęła głębszego dochodzenia przeciwko całemu Özerowi.

- No to, kurwa, jesteśmy odsłonięci!

Dozorca meczetu, cierpliwie zamiatający dziedziniec miotłą, odwraca się i marszczy brwi.

- Możemy odwołać Turkusa? - pyta Kadir.

Adnan atakuje go:

- Jeśli Özer padnie, ja nie zamierzam być tym gościem w wiadomościach, co siedzi na schodach z kartonem ze swoimi rzeczami. Turkus to moja odprawa. Musi być jakieś wyjście. Damy radę. To nasza kasa. Poradzimy sobie. Jesteśmy Ultralordami Wszechświata, najbystrzejszymi typami w okolicy.

Nie może przegrać. Nie może tego stracić. Nie teraz, kiedy już to wszystko odwalił, tyle roboty, wszystkie kontakty, spotkania, ostrożne umowy, planowanie, lata planowania, począwszy od tego pytania, zadanego z głupia frant jeszcze w wojsku: „To dokąd idzie ta rura?”. Począwszy od tej chwili, tak wyraźnie pamiętanej, tak jasnej i krystalicznej, kiedy jechał panoramiczną windą, ze wzgórzami i wodami Stambułu u stóp, i przyszedł mu do głowy pomysł na najbardziej zuchwały przekręt gazowy stulecia, tak że aż zadławił się tłumionym śmiechem, widząc bezczelność tego numeru. Nie może teraz odpuścić, nie chce patrzeć, jak idea spada i niknie w ciemnej wodzie. Na zawsze.

Woda kapie ze zdezelowanych miedzianych dziobków. Adnan kuca, napęnia nią złożone dłonie, ochlapuje twarz zimną wodą z podziemnych akweduktów i cystern. Spływa mu po palcach, splukuje z twarzy żar i zmęczenie. Aż traci dech od jej czystości i zimna.

- Jakbyśmy byli dealerami narkotyków albo policją bezpieczeństwa... - poddaje Kadir.

- Ale nie jesteśmy - mówi z naciskiem Adnan. - I nie będziemy myśleć tak jak oni. Nie chcę nawet tego słyszeć.

- Ale musiałem to puścić.

- No to jest puszczone. - Kropelki zimnej wody spływają Adnanowi po szyi, za kołnierz.

- A masz jakieś lepsze pomysły?

- Lepsze, znaczy takie, co nie robią z nas morderców i nie trafiamy do więzienia? Nie. Jak można uciszyć gościa, który wie za dużo?

- Może nie trzeba go uciszać? - mówi Kadir. On, ten elokwentny i wyedukowany, stare stambulskie nazwisko, stary konstantynopolski ród, teraz zachowuje się całkiem po osmańsku. - Może powinien tylko zapomnieć najważniejsze szczegóły.

- Co, szyta na miarę amnezja? - Koszula Adnana zrobiła się przejrzysta od wody. Oblepia mu teraz pierś. Włosy pod nią tworzą spiralne, zwierzęce wzorki.

- Co nano daje, nano zabiera. - Kadir jest dealerem Ultralordów, ma stojaki pełne plastikowych fiolek, z szarego rynku w przejściu podziemnym na przystanku tramwajowym Galata. Adnan był tam kiedyś, wyglądało to jak śmierdzący szczykami, wykafelkowany kibel z oświetlonymi jarzeniówkami kramami handlującymi papierosami, imitacjami pistoletów i podejrzanym nano. - Amnezja na miarę, nie, to nas przerasta. Pamięć jest przechowywana holograficznie, w wielu miejscach naraz. Nano musiałoby namierzyć lokalizacje poszczególnych zapisów i zrepolaryzować neurony, tak, żeby nie wpłynąć na inne zapisy korzystające z tej samej architektury. Usuwanie konkretnych zapisów - może za dziesięć, dwadzieścia lat. Ale gdzie skalpel nie może, sprawdzi się baseball. Ciągłe żartujemy z Prorokiem Kebabów, że jesteśmy farmakologiczną awangardą, że eksperymentujemy na sobie, że tylko czekać, aż wybuchnie neurologiczna bomba zegarowa. A gdyby wybuchła?

- Chcesz, żeby przedawkował?

- Nie, to mało pewne, można nie osiągnąć takiego efektu, jak chcemy. Może i tak umrzeć. Projektanci nano nie mogą edytować konkretnych zapisów, ale ogólna amnezja może jest do zrobienia.

- Chcesz mu zrobić chemiczną lobotomię.

- Chwilę temu rozważaliśmy zabicie go, więc to chyba znaczny moralny postęp. To nie będzie nic takiego, co mówisz, technologia pozwala dokładnie wcelować w ośrodki odpowiadające za różną umysłową aktywność - emocje, zapachy, pamięć krótkotrwałą. Myślę, że pamięć krótkotrwałą to będzie właśnie to. Popytam trochę. To będzie kosztowało, bo takie nano trzeba zrobić na zamówienie, ale jak już zaprogramują fabrykator, to dzień później dostajemy fiolkę. Myślę, że mogę zagwarantować, że to będzie wyglądało jak poważna amnezja krótkoterminowa. Powie się o obciążeniu pracą, presji, jakiej był poddany, coraz większym dawkom nano, żeby dotrzymać terminów. On w ogóle kogoś ma? Poza matką? Właściwie wyświadczymy Özerowi przysługę: kto wie, co jeszcze zapomni oprócz Turkusa?

- Boże, daj mi siłę, abym się złu sprzeciwił - mówi Adnan. - Zimny skurwiel z ciebie.
- A masz inny pomysł?
- Wiesz, że nie. Tymczasowa amnezja.
- Nie da się gwarantować.

Adnan odwraca twarz ku kaskadzie kopuł. Wszędzie woda w tym meczecie; w sercu każdego meczetu.

- Gdybym widział inną opcję, to powiedziałbym ci: „w dupę se wsadź to nano”, ale nie widzę. Wchodzę w to.

- Powiem Oğuzowi. Musi wiedzieć.
- Ciężko ci będzie go przekonać.
- Ciężko. No dobra, przynajmniej my jesteśmy dogadani. Skombinuję nano. Podanie zostawiam tobie.

- Zaraz, ja mam mu to dać?

- Ja jestem z Nadzoru i Zgodności. Tylko tam zleżę i wszyscy masowo leją po gaciach. Ty jesteś z Parkietu, poza tym widzisz go codziennie. Ja zdobędę nano, ty mu je dasz. Na pewno coś wymyślisz.

- Chuj ci w dupę, Kadir.
- Wszyscy próbują. - Uśmiecha się słabo. - Taka to już robota w Zgodności.
- Zrobię to.
- Dobrze. Wiemy, co mamy zrobić. To jak, wracamy do biura?
- Nie, chcę tu jeszcze posiedzieć. Boże, co za koszmar.

Upał i wracająca po południu do życia krzątająca placu Beyazit pochłaniają Kadira. Adnan siada na krawędzi loggii. Stróż meczetu podchodzi i zaczyna umyślnie zamiatać podłogę tuż pod jego nogami, dopraszając się w ten sposób napiwku.

VI

Statek wybucha. Białe światło, oślepiający błysk, kula ognia zbyt gorąca i czysta, by być tylko płomieniem. Przez pierwsze kilka sekund obraz zniszczenia jest tylko sylwetką, czarne ramiona Azji i Europy, rozpięty między nimi łuk mostu, przecinki statków na kanale. Świat mruga i odzyskuje barwy. Wybuch zadarł ku górze środkowe przesłono mostu. Pęka, trzaskają liny, jezdnia wije się i spada jak przecięty wąż. Samochody lecą jak liście. Z rozwalonego

mostu sypią się ciężarówki. Spadają bardzo powoli, razem z odłamkami jezdni. Części gazowca - grodzie, elementy szkieletu, rozbite zbiorniki, silniki wielkości domów - lecą w powietrze i spadają na ziemię, niszcząc domy, autostrady, całe kolumny nagle unieruchomionych aut na dojazdach do mostu, koziołkując, rozgniatając samochody jak mrówki. Fala na wodzie wywraca przysadziste, niezdarne promy jak podmuch wiatru żaglówki-zabawki. Rozpalona masa tankowca obraca się na głównej drodze wodnej i zderza z płynącym w drugą stronę masowcem. Statki płoną na całym Bosforze, ognista flota gazowców, tankowców i frachtowców płynących na Morze Czarne. Statek wycieczkowy bucha płomieniami ze wszystkich rzędów powybijanych okien. Powietrzna fala uderzeniowa burzy domy i apartamentowce zamożnych ludzi. Zdziera dachy, tandetne konaki walą się i kruszą. Ostatnie drewniane yali nad Bosforem lecą jak słoma. Przypływ, odrobinę wolniejszy od fali uderzeniowej i ognia, wali w nadbrzeżne osiedla, zamieniając odłamki dachów i tłące się belki w wir miażdżącego wszystko drewna i metalu. Tsunami osiąga szczyt i ustępuje, zabierając do Bosforu samochody, łodzie, sklepy, domy, ludzi trzymających się szczątków domów. Eleganckie i bogate Bebek i Kanlica rozpadają się, płonie piękny, stary Kuzguncuk. Gaz bucha z pękniętych rur. Szklane wieżowce ustawione w szyku na wzgórzach Leventu i Maslak są bezokie, nie została ani jedna szyba, grad diamentowych sztyletów spadł na ulice i place. Zniszczony jest cały Stambuł, w jednym błysku, od jednej eksplozji. Na koniec bliźniacze pylony mostu Atatürka, osłabione przez wybuch, ciągnąc za sobą kable i resztki jezdni, łamią się w kolanach i osuwają w czarną wodę. Zostają tylko kikuty, jak połamane zęby.

- Robi niezłe wrażenie - szepcze Emrah Beskardes do Georgiosa Ferentinou - ale widziałem to na Discovery Asia.

Nagranie się kończy. Chowa się ekran. Delegaci Grupy Kadiköy mrugają, wiercą się, przesuwają papiery i popijają wodę.

- Pięćset tysięcy ton płynnego gazu ziemnego - mówi Ogün Saltuk.

Brzmi jak lektor z Discovery - pisze na znikopisie zoolog Beskardes i ściera to.

- To są oczywiście efekty specjalne z programu telewizyjnego, który mogliście obejrzeć parę miesięcy temu. Dotyczył szczególnej podatności Stambułu na skoordynowany atak terrorystyczny na rosyjski gazowiec. Szczerze mówiąc, byłem konsultantem technicznym przy tym programie... - (*Nie mówiłem?* - bazgrze Beskardes.) - Ale szczegóły są dokładne, odrobina telewizyjnej *licentia poetica*. Półmilionowce regularnie kursują przez Bosfor.

Na ekranie pojawia się statek, monstrualny pływający monolit, mostek i nadbudówka kulą się w cieniu gigantycznego, ciśnieniowego zbiornika w kształcie trumny.

- To jest *Ararat Star*, największy pływający obecnie gazowiec, siedemset pięćdziesiąt tysięcy ton, wszedł do służby pięć miesięcy temu. Mogliście go widzieć, już cztery razy przepływał przez Bosfor. Dziewiętnastego kwietnia będzie przechodził jeszcze raz. To, co widzieliście na wideo, było modelowane na podstawie statku jeszcze mniejszego niż półmilionowce, które są obecnie standardem. *Ararat Star* ma dwukrotnie większą pojemność. Dwa razy większa siła zniszczenia. Nieodparta pokusa dla grup terrorystycznych.

- Dla kogo? - Georgios słyszy własny głos, który dygoce mu ze złości. Nie może już znieść tych idiotyzmów. - Kto by chciał zniszczyć Stambuł? Zabić osiemdziesiąt tysięcy ludzi? Co by osiągnął? Islamiści nie wysadzają już symboli zachodniej dekadencji. Dżihad przeniósł się na ulice. Wiem, widziałem na własne oczy. Tarikaty, kadi, szejchowie; rozwiązują ludzkie problemy, zaprowadzają spokój, utrzymują porządek, rozsądzają spory. To nowy szariat, uliczny. Działa. Ludzie z tego korzystają.

Ogün Saltuk zagryza dolną wargę.

- Turcja od zawsze ma wrogów, wewnętrznych i zewnętrznych; teraz jeszcze bardziej, gdy jesteśmy przedsiönkiem Europy. Widzą, że podjęliśmy decyzję, określiliśmy się.

Ferentinou odezwałyby się, ale wyprzedza go donośniejszy głos.

- Na Morzu Czarnym i Morzu Marmara mamy przecież odpowiednie zabezpieczenia; co wieczór widać te tankowce, jak czekają na zezwolenie wpłynięcia do Bosforu. Siedemsetpięćdziesięciotysięcznik na pewno nie jest tak łatwo porwać.

- Przez Bosfor płyną na autopilocie, by zapobiec przypadkowym kolizjom. Można się włamać do tych systemów - mówi ktoś inny.

Emrah Beskardes szepcze do Georgiosa:

- Chyba widziałem ten film, stary jest. Kucharz wszystkich uratował, bo świetnie robił nożami.

Ogün Saltuk stuka długopisem w szklanę.

- Gdybyście mogli powstrzymać na moment tę kreatywną energię... będzie czas na pracę w podgrupach. Rozejdziemy się, zrobimy burze mózgów, a potem spotkamy się z powrotem, żeby wymienić przemyślenia. Pamiętajcie, wyobraźnia jest dozwolona.

Georgios patrzy zazdrośnie, jak Emrah Beskardes kieruje się ze swoją grupą do jednego z przewiewnych pawilonów w ogrodzie. Sam musi pójść do zatechłego antyszambru z łuszczącymi się gzymsami i plamami pleśni na tynku. Sufit jest wysoko, ściany i podłogi twarde, niesie się echo.

Siadając na złożonym krześle, Georgios dostrzega między wierzchołkami drzew turkusowy trójkąć morza. Pozostali członkowie grupy to młodzi, agresywni ludzie, którzy

lubią rzucać megatonażami, megoofiarami, płonącymi brzegami Bosforu, więc z zadowoleniem zauważa między nimi Selmę Özgün.

- Nie poznaliśmy się nigdy, ale podziwiam pani pracę. Georgios Ferentinou.

Patrzy na niego zagadkowo.

- Ferentinou z Cihangir?

- Kiedyś tak, ale przenieśliem się na Eskiköy. Na plac Adema Dede.

- Znam pana sąsiadkę. Właścicielkę galerii. Specjalizuje się w podejrzanych dewocjonaliach. Galeria Erkoç?

- Proszę pani, to jest dokładnie pode mną.

- W starym tekke mewlewitów? Cudownie. Ten dom derwiszy to niezmiernie interesujące miejsce. Jeden z ostatnich niespalonych drewnianych domów z siedemnastego wieku. Czyli zna pan Ayşe? Z tymi „podejrzany” to nie mówiłam serio. A pan czym się zajmuje?

- Jestem... byłem, bo jestem na emeryturze, ekonomistą-doświadczalnikiem. Ekonomia jako prawdziwa nauka, a nie zestaw matematycznych konceptów.

- Zainteresowało mnie, co powiedział pan o tym ulicznym szariacie - mówi Selma Özgün. - Widzi pan, mnie się raczej podoba taki społeczny wymiar sprawiedliwości. Przynajmniej jest osobisty, więc działa lepiej niż instytucjonalny, bo taki sędzia codziennie widzi swoich klientów. Jak się na co dzień widzi w supermarkecie nie tylko drugą stronę, ale i sędziego, w społeczeństwie jest porządek. Dużo zalet miał ten dawny osmański system milletów - każda społeczność mogła sobie przestrzegać własnych systemów prawnych i sądzić się nimi, o ile tylko to nie kolidowało z prawem imperialnym. Zamiast automatycznie ścigać takie inicjatywy jako zagrożenie dla świeckości państwa, rząd powinien się zastanowić, jak włączyć to do istniejącego systemu prawnego. Religię organizuje się na poziomie gmin, czemu nie prawo? Nie, ja jestem raczej zwolenniczką tego ulicznego szariatu - mogę podkraść panu to wyrażenie? - o ile nie zakazą alkoholu i nie każą mi nosić chusty.

- Takiej nadziei nie mam - mówi Georgios. - Mają swojego szejcha. Gość widzi dzinny.

- O, to jest ciekawe - mówi Selma Özgün. - Szejch w starym domu derwiszy Adema Dede. Opowiadaj, skarbie.

Georgios Ferentinou mówi o Necdecie-darmozjadzie, który uczestniczył w zamachu na Necatibey Caddesi i teraz widzi kariny, rozmawia z dzinnami i jest zaufanym Hizira, Zielonego Świętego. Opowiadając, zauważa, że zainteresował nie tylko Selmę. Podczas gdy goście od Wielkiego Błękitu kłócą się, co zapisać na flipcharcie, starszy pan na skraju ich

grupy, prosty jak struna, ze schludnym wąsikiem, mający kiepski garnitur, ale porządnie wyglansowane buty zawodowego wojskowego, coraz bardziej nachyla się ku Selmie i Georgiosowi, nasłuchując ich rozmowy. Odwraca się ku nim od rozdyskutowanej młodzieży.

- Uwielbiam te spontaniczne fale cudów - mówi Selma Özgün, klaszcząc z zachwytu w pulchne, upierścienione dłonie. - Jestem zapaloną kolekcjonerką wiejskich cudotwórców, ulicznych proroków i współczesnych derwiszy. To dla mnie dowód, że era cudów wcale nie minęła. To już czwarty.

- To znaczy? - pyta Georgios.

- Czwarta osoba, która widzi rzeczy dziwne i cudowne. Jest nowa epidemia. Ja czytam wszystkie lokalne serwisy informacyjne, między anonimowym podbieraniem danych i wyzwickami można doszukać się niesamowitych rzeczy.

- Inni też widzą dżinny?

- Niekoniecznie dżinny - zaczęło się od tej kobiety z Ereğli, która zaczęła zaglądać ludziom w dusze i przepowiadać przyszłość; podobno peri jej ją podpowiadają. Potem jest biznesmen z Nevbaharu, ciekawy przypadek, nowoczesny - u niego to nie wróżki i nie dżinny, ale roboty. Te rojoboty, które potrafią się składać w większe roboty. Ale na jakimś poziomie to to samo - znajduje zagubione przedmioty i wróży.

- Ereğli.

- I Nevbahar.

- Eskiköy. A czwarty?

- Firuzağa.

Podłoga usuwa się Georgiosowi spod stóp. Łapie złoty warkocz imitacji francuskiego krzesła. Jest tani, słabo przymocowany i rozłazi mu się w palcach.

- O - mówi. Jedyne słowo, jakie jest w stanie wyartykułować rozwirowana wyobraźnia. Ereğli, Nevbahar, Firuzağa, Eskiköy, wszystko w pobliżu linii tramwajowej Topkapi-Yesilçe. Can, chłopaczek, jego roboty: ma jakieś zdjęcia, jakieś nagrania tego zamachu. Kobieta, biznesmen, Necdet. Łatwo będzie ich znaleźć.

- Dobrze się pan czuje, kochany? - pyta Selma Özgün. - Jakiś niewyraźny się pan zrobił. Może wody?

- Nie, dziękuję, wszystko dobrze. Strasznie tu duszno, okropnie.

- No, tego Hizira... to bym bardzo chciała zobaczyć - ciągnie Selma Özgün, lecz tymczasem asystentka z MIT przychodzi, żeby zawołać grupę z powrotem do głównej sali.

Zabiera blok z flipcharta - po sesji zostanie zniszczony ze względów bezpieczeństwa. Grupa wychodzi gęsiego z wilgotnego, dusznego salonu. Wojskowy zwleka, żeby

porozmawiać z Georgiosem.

- Major Oktay Eđilmez.

- Profesor Georgios Ferentinou, w stanie spoczynku.

- Tak, wiem. Poznaliśmy się już kiedyś. Dawno temu: może w grupie Hacettepe? Coś jak to, tylko w Ankarze. Byłem wtedy bardzo młody i niski stopniem.

- Przepraszam, ale nie...

- Jak mówiłem, miałem niski stopień. Ciekawe rzeczy się tu dzieją. A ja sobie pomyślałem tak: jeśli to jest panel ekspertów, zebrany, żeby myśleć o tym, co nie do pomyślenia, to chyba nie powinniśmy się ograniczać w myśleniu do zadanego tematu? - Przystaje, żeby przepuścić Georgiosa przez drzwi, a w chwili fizycznej bliskości szepcze: - Wyrażałem wątpliwości, czy Saltuk jest w stanie poprowadzić tę grupę.

Spuszcza wzrok. Georgios spogląda w to miejsce. Major trzyma na wysokości pasa znikopis. Widnieją na nim trzy słowa: *Eminönü, prom, 16.30*. Wyciera go jednym pociągnięciem i wsuwa do wewnętrznej kieszeni swojego pospolitego garnituru.

* * *

Szklany zakraplacz zawiera trzydziestosześcioprocentowy roztwór kwasu solnego. Gdy Barçin Yayla ujrzy wypisaną na twarzy Sztambułu Siódmą Literę i zobaczy odbitą w niej twarz Boga, odkręci go i spokojnie, z nabożeństwem, kapnie sobie po połowie na obie gałki oczne. Skoro już ujrzał Tajemne Imię Boga, jakie doczesne widoki mogą się z nim równać? Mogą tylko nużyć, psuć boską czystość. A tak, ostatnia rzecz, jaką zobaczy w życiu Barçin Yayla, będzie zawsze świeża, zawsze będzie płonąć.

W mieszkaniu śmierdzi. Ayşe spodziewała się tego: tanie mieszkanie bez windy, wychodzące na podwórko-studnię, do której pokolenia mieszkańców Küçükayasofya nonszalancko wyrzucały śmieci. Dodaj do tego falę upałów. Falę wysokich upałów. I smród jest jeszcze gorszy: wielowarstwowy odór, bogaty i zróżnicowany, poszczególne zapachy łączące się w nowe, nierozpoznawalne smrody; gdy tylko węch przyzwyczai się do jednego z nich, zaraz odkrywa kolejny, wywołujący reakcję wymiotną. Koty z kurzu, męski pot, nieprane prześcieradła, brudna podłoga, wiekowa sofa, zgnilizna, pleśń, szczyny - Ayşe przysięga sobie nawet nie zbliżać się do łazienki - ale wraz z nimi bardziej ezoteryczne zapachy samotnego mężczyzny, obsesjonata: zatechłe książki, farba drukarska, stare kadzidło, zwiertzałe olejki, zółknące gazety, specyficzny fenolowy zapach plastiku nieznanego pochodzenia, odczynniki fotograficzne, utrwalacze i konserwanty, przegrzana elektryka i gorące żarówki halogenowe. Ayşe, przyglądając się montażowi zdjęć lotniczych stambulskiego półwyspu i Üsküdar zajmującemu całą ścianę połączonego z kuchnią salonu,

wyciąga z torebki i dyskretnie psika się Chanel nr 5. Uznaje tylko klasykę.

Poświęcił na to mnóstwo trudu. Meczety, grobowce, łaźnie są obrysowane, ręcznie pokolorowane i opisane, z nitkami prowadzącymi do dalszych, satelitarnych karteczek z tekstem, kserówek z gazet, napisów i tekstów pismem *talik*, zdjęć i zestawów miniatur, styków, fotografii pokazujących minarety jednego meczetu z punktu widzenia drugiego, stron wydartych ze starych przewodników, rysunków świętych węzłów i trzydziestu odmian zabawy w przeplatanę, wydruków wielowymiarowych wielościanów i form topologicznych, alfabetów perskich, tureckich, arabskich, nabatejskich, hebrajskich i greckich, modlitw wpisanych w kwadraty magiczne, drzewa życia i święte drabiny, planów architektonicznych, szczegółowych zbliżeń z naniesionymi ołówkiem wymiarami, przekrojów kopuł, traktatów numerologicznych, artykułów po angielsku z „Scientific American” dotyczących teorii sieci i grafów, raportów geodetów i inżynierów Marmaray, krótkich biografii sułtanów i paszów, zwijających się Post-itów z krótkimi uwagami, nakreślonymi eleganckim, zwartym pismem. Chmura aneksów przyćmiewa samą mapę na ścianie; Ayşe wodzi wzrokiem za łączącymi je niciami: przez drzwi, na sufit, odbijające się wzdłuż listwy przypodłogowej przez krótką historię hamamu Haseki Hürrem i artykuł matematyczny o problemie wody, gazu i prądu. Sufit jest mozaiką artykułów i zdjęć, rysunków i zapisków, opierających się grawitacji dzięki plastelinie Blu-Tack, żółknącej taśmie klejącej i pinezkom, mocującym nici prowadzące od tuzinów pomysłów do źródeł na mapie. To suma wszystkich świętych geometrii Stambułu. Matka dzisiejszych serwisów typu *mash-up*.

Wśród płataniny nici, przytłoczona samą masą tych badań, Ayşe w pierwszej chwili w ogóle nie zauważa rysunku zdjęcia lotniczego. Jej uwagę przykuwa dopiero niebieski sznurek oznaczający bizantyjski wodociąg. Ma kierunek, ma cel, nie zwraca uwagi na układ ulic i architekturę. Podąża za nim ku szpilce w cysternie zwanej Pałacem Tysiąca Kolumn, potem pod parkiem Sultanahmet do łaźni Haseki Hürrem. Tu traci ten trop w gąszczu notatek i rysunków - dochodzi do wniosku, że to trop wody - i podejmuje go dopiero przy meczecie Haseki Hürrem, poświęconym tej samej żonie Sulejmana Wspaniałego*. Wtem widzi: rysunek, plan, całość, wszystko. Ten sam dar, który sprawia, że na ścianach jej galerii ożywają litery napisane ręką dawno nieżyjących sefardyjczyków, unosi teraz błękitną linię z ulic, zaułków, domów, meczetów i zamienia ją w literę ha polatującą nad dachami i kopułami. Ha o dwukilometrowym boku, zapisane kanciastym, archaicznym kufickim pismem, przypięte do meczetów, *türbe* i *hamamów* Sultanahmetu. Nagle widzi kolejny związek.

* Harem, czyli Roksolana, żona sułtana Sulejmana wspaniałego, prawdopodobnie pochodziła z polskiej

- Sinan - szepcze.

Wielki budowniczy, nawrócony Ormianin, który stał się architektem sułtanów. Lecz jego życiowa ambicja - wznieść islamowi kopułę większą od chrześcijańskiej Hagii Sofii - pozostała niespełniona.

Barçın Yayla kiwa z zapalem głową. Jak przystało na człowieka, który odbywa codziennie przepisowe pięć modlitw w pobliskim meczecie Sokullu Mehmeta Paszy, jest umyty równie starannie, jak brudne i zaśmiecone ma mieszkanie. Oprócz oddechu. O szczotce do zębów chyba nie słyszał. Ayşe ocenia go na trzydzieści parę lat, ale po wielu antykwariuszach, handlarzach i fałszerzach, których spotyka, wie, że trudno poznać wiek człowieka ogarniętego nieposkromioną pasją. Jest dokładnie taki, jak obiecywał Burak: kulturalny, nieśmiały, poważny, naiwny, oddany sprawie i ostrożny. To ostatni Hurufi.

- Sinan nie mógł przecież zetknąć się z hurufizmem - mówi Ayşe.

Barçın Yayla nerwowo przytyka palec do ust, jakby chciał uciszyć kogoś, kto mu zaprzecza.

- Zapewne dowie się pani, że Sinan był przez ponad dwadzieścia lat wojskowym inżynierem i architektem w korpusie janczarów. Ich oficjalne wyznanie to bektaszizm, a jak wiadomo, bektaszyci przywłaszczyli sobie sporo dyskursu teologicznego hurufitów. Wydaje mi się niezwykle prawdopodobne, że hurufizm przetrwał jako coś w rodzaju zakonu w zakonie, tajnego, elitarnego stowarzyszenia wymagającego inicjacji. Wojsko lubi hierarchie i rytuały. Z mojej pracy jasno wynika, że Sinan wyrażał w swoich wielkich budowlach zasady hurufistycznej filozofii. Wykorzystanie przestrzeni, proporcje, stosunki objętości, wszystko jest numerologicznie wyprowadzone ze Świętego Koranu.

- Jedna rzecz to zbudować klasztor tak, żeby odbijał liczbę siedemset sześćdziesiąt osiem, jako numerologiczną basmalę, a coś zupełnie innego zaplanować wyrysowanie w mieście gigantycznych liter, zanim jeszcze zbudowało się swój pierwszy meczet.

- Tak, ale proszę pamiętać, że w czasach podboju Kairu Sinan był głównym architektem i planistą. Na tamtym mieście sobie ćwiczył - burzył i budował, gdzie mu się podobało. Nie mam wątpliwości, że już wtedy kiełkowała mu idea świętej geometrii. Jego pierwszy budynek po mianowaniu Architektem Ostoi Szczęścia to meczet Haseki Hürrem dla kadiny Roksolany. Nie jest to w żadnym razie jego najwybitniejsze dzieło, opierał się zresztą na istniejących projektach, ale można je uznać za jego pierwszą dojrzałą pracę. W jego autobiografii, *Tezkiret-ül Bünyan*, jest taka historia, że kiedy obmierzał to miejsce, zauważył,

jak dzieci wyciągają z ulicznej studzienki żywe ryby. Poszedł się przyjrzeć i odkrył pod spodem rzymską cysterne. Może to natchnęło go do realizacji tej wizji. Ukryta woda. Nieprzerwany strumień hurufizmu.

- Później zbudował łaźnie Haseki Hürrem.

- Tak, i jej grobowiec. Wszystko według planu, wszystko po to, żeby wykreślić Siedem Liter.

Ayşe śledzi inne nitki owinięte wokół szpilki w Meczezie Roksolany. Zielona, w barwie proroka, sięga przez Bosfor do meczetów Atik Vallide i Sułtana Mihrimaha na Üsküdar, w odległości dziesięciu kilometrów. Nitka za nitką, budynki Sinana łączą się w monumentalny alfabet. Do tego mogło się nadać tylko kwadratowe, prostoliniowe pismo kufickie z literami kreślonymi liniami między budynkami. Objawienie polega na tym, że litery nie są wypisane na mieście jedna za drugą. Są ponakładane jedna na drugą. Każdy obiekt może być wierzchołkiem kilku z nich. Nie mają być czytane. Mają być absorbowane jednocześnie, jako całość, okiem wszechobecnego Boga.

Ayşe usiłuje wyobrazić sobie lata trudu poświęconego na wyłowienie tych liter z tysiącleci historii Konstantynopola, wyuczenie się percepcji pomijającej domy, ulice, cuda architektury rzymskiej i bizantyjskiej, dzieła wcześniejszych i pomniejszych budowniczych, aby dostrzegać tylko budynki Sinana i geometryczne relacje między nimi. Samo tylko wypróbowanie permutacji to zadanie na lata. Gryzie ją mroczny i perwersyjnie przyjemny lęk: intelektualne upojenie, jakie przeżywa, otwierając nowy rękopis, odpakowując niewidzianą wcześniej miniaturę i wiedząc, że stoi na krawędzi niezrozumiałego, że trzyma w dłoniach kompletnie obcy sobie świat i sposób myślenia. Przeszłość jest jak inny wszechświat: dawno wymarła sekta wkreśliła w obraz miasta własne prawdy, pozostawiając je pokoleniom, których nawet nie potrafiła sobie wyobrazić. A jednak, Siedem Liter wyrysowanych kolorowymi nitkami na satelitarnych obrazach Stambułu stanowczo dowodzi, że to prawda, która będzie trwać tak długo, jak sama Królowa Miast. To mroczny, tajemny owoc. Ayşe jest aż oszołomiona dziwnością.

Cofa się od ściany.

- Jednej brakuje.

- Dokładnie.

Ayşe wodzi wzrokiem po układach nitek.

- Ostatniej litery: fa. Nie widzę. Nie ma jej.

Barçın Yayla skłania głowę. Siada przy swoim biurku, pokrytym wycinkami, pismami, wydrukami i zdjęciami równie grubo jak ściany. Ayşe zauważa, że pomiędzy stosami

papierów blat jest porysowany w oszałamiającą liczbę kółek, kreski i środki jeden na drugim, ewidentnie wydrapane w drewnie igłami cyrkla.

- Nie mogę jej znaleźć.

- Jak to?

- Nie znalazłem. Ostatniej litery, fa. To musi być fa, ale nie mogę jej nigdzie wpasować. Namówiłem nawet znajomego z uczelni, żeby mi napisał taki programik, co sprawdza różne topologie, patrzyłem na inne alfabety i pisma. Nie pasuje. Może coś przegapiłem. Może jest jakaś wskazówka, której nie mam, albo budynek, który zburzono, a ja o nim nie wiem - ale to mi się wydaje niemożliwe, jestem niemal pewien, że mam wszystkie dokumenty budowlane i kopie starych map. Może po prostu Sinan tego nie skończył, bo nie zdążył, bo umarł.

- To niemożliwe - mówi z naciskiem Ayşe.

Teraz już nie chodzi o milion euro. O zagadkę, pościg, tajemnicę samą w sobie. Miasto wciąż nosi na sercu tajemny klejnot. Teoria Ayşe jest piękna, elegancka, nowa, ekscytująca: nie zniosłaby, gdyby rozpadła się w proch, ponieważ Wielkiemu Architektowi nie udało się dokończyć mistycznego planu, który rozpoczął pięćdziesiąt lat wcześniej. Wielki Sinan tak nie działał. Jeśli Barçın Yayla ma rację i Siedem Liter było w pełni intelektualnie ukształtowane już kiedy budował na jeziorze Van statki do przewożenia osmańskich żołnierzy na wojnę z Safawidami, to na pewno brał i poprawkę na turbulencje w karierze osmańskiego dworzanina. Na pewno nie zostawił najważniejszego na koniec.

- Nie, wzór musi być kompletny. Po prostu musi. Mówimy o Nadwornym Architekcie Ostoi Szczęścia. O naszym Leonardzie da Vinci.

- Że tak powiem, bardzo pani tego pewna.

Powiedz mu. Kiedyś i tak będziesz musiała mu powiedzieć. Mogłaby skłamać, jednak maniakalne, mnisie poświęcenie Barçına Yayli zasługuje na coś więcej. Mieszkanie śmierdzi mu jak sracz Szatana, ale człowieka Ayşe szanuje. Jest poważny i godny zaufania. Nie dba o Zmelifikowanego Człowieka i milion euro honorarium, chce tylko wreszcie móc odczytać nałożone na boską geografę Stambułu Siedem Liter, a potem wypalić sobie oczy, żeby Tajemne Imię Boga pozostało odcisnięte niezmaazywalnym piętnem na jego siatkówkach. Jest niewinny. Jest bożym prostaczkiem. Jest sufim chaosu. Powiedz mu.

- Podejrzewam, że Zmelifikowany z Iskenderunu jest pochowany gdzieś wewnątrz tego ostatniego fa.

Galeria ciekawi Yaylę i odstręcza jednocześnie: oczy mu jaśnieją na wspomnienie o bektaszyckich kaligramach, literach manipulowanych w kształt gruszki, róży, albo,

szczególnie u samozwańczego członka sekty, która widziała w człowieku najdoskonalszy obraz słowa Bożego - człowieka. Ciemniej z powrotem, gdy słyszy, że to jest na zarobek. Mruży je, słysząc historię Haciego Ferhata.

- Źle uczynił. Tylko tym, którzy nie umarli, wolno doświadczyć Dnia Wskrzeszenia we własnym ciele. Człowiek, który para się zakazanymi praktykami, kupuje sobie własną zgubę.

Jego oczy rozszerzają się, gdy Ayşe wyznaje, że ma na Zmelifikowanego Człowieka kupca.

- Pieniądz jest w stanie zniszczyć moc zabobonu tej potworności. To dobry uczynek. Sprzedać go, rozczłonkować, zniszczyć, niech dusza tego Haciego, co zbłądził, powróci do ziemi.

Prostuje się w krześle z oczyma wielkimi jak u dziecka, gdy Ayşe snuje wątek rozumowania, które doprowadziło ją pod jego drzwi.

- Kiedy słyszę o bitwie magów, pomiędzy słowem mówionym a pisanym, brzmi to dla mnie jak echo znacznie starszej potyczki, między tradycją ustną a pisaną. Ten Tarikat Słowa Bożego - sama nazwa jest istic huruficka. Jeśli weźmiemy za dobrą monetę chronologię Beshun Ferhat, jej rodzina straciła kontrolę nad Zmelifikowanym Człowiekiem pod koniec wieku dziewiętnastego, a nie osiemnastego. Korpus Janczarów został zniszczony przez Mahmuda II w tysiąc osiemset dwudziestym szóstym, podczas Chwalebego Zdarzenia. W tym samym czasie bektaszyci, główny obrządek religijny janczarów, zostali rozwiązani, a ich szejchowie i babowie straceni. Wiadomo, że bektaszyci byli powiernikami hurufickiej filozofii i teologii; wydaje mi się rozsądne, że w Stambule zakon zszedł do podziemia, zwłaszcza jeśli był taką elitarną grupą wtajemniczonych.

- Ale Beshun Ferhat twierdziła, że Hacı Ferhat był członkiem tego tajnego tarikatu w osiemnastym wieku - mówi Yayla. - Przed Chwalebnym Zdarzeniem.

Ayşe zawsze podziwiała osmański talent do eufemizmów. Chwalebne Zdarzenie to rzeź dziesięciu tysięcy janczarów. Ciała wrzucono na Hipodrom, gdzie rozkładały się w czerwcowym upale. Im bardziej uperfumowany język, o tym brutalniejszą chodzi represję.

- To było prawdopodobnie szacowne stowarzyszenie religijne, lubiące ezoteryczne zabawy z alfabetami i numerologią. Wie pan, jak te tarikaty się dzielą, zmieniają i przeobrażają. I nie wydaje mi się, że chodziło o jakąś nadnaturalną siłę, nie było żadnej walki magików. Ta wojna na słowa kojarzy mi się ze starciem dwóch systemów prawnych: miejscowy millet, oparty na przekazie ustnym, kontra szariat. Przegrali sprawę i trumnę. Ale gdyby było jakieś tajne towarzystwo bektaszyców, które przetrwało Chwalebne Zdarzenie, i

gdyby Sinan skorzystał przy kreśleniu Siedmiu Liter z hurifickich tajemnic, które były w posiadaniu wojskowych bektaszytów, rozsądne wydaje się założenie, że Tarikat Słowa Bożego także by o tym wiedział. Kiedy po utworzeniu Republiki zagroziło im zniszczenie, na pewno postaraliby się ukryć swój największy skarb przed reformami Atatürka, a także jako inwestycję, na wypadek gdyby zakon miał się kiedyś odrodzić. Musieli wiedzieć, że ma ogromną wartość handlową. Ja wierzę - to znaczy, mam teorię - że pochowali go gdzieś, gdzie tylko oni mogliby go znaleźć, korzystając ze swojej ezoterycznej wiedzy o Siedmiu Literach. A dlaczego myślę, że to właśnie siódma litera? Bo jej nie umie pan znaleźć. To ukryty klucz do Tajemnego Imienia Boga. Oni go znali, ale zakon został zniszczony bardziej, niż sobie wyobrażali. Ofiarą prześladowań padło całe stowarzyszenie. Informacja przepadła. Wierzę jednak, że ona gdzieś tam jest, ukryta od ponad stulecia w architekturze Sinana. Znajdziesz ostatnią literę, znajdziesz trumnę.

- Znajdziesz trumnę, znajdziesz ostatnią literę. - Gdy Barçin Yayla jest zamyślony, jego palce machinalnie bawią się w sposób, który bardzo ją bulwersuje. Barçin obraca między kolejnymi kostkami palców, tam i z powrotem, szklany zakraplacz. W kółko. Ayşe widzi oczyma wyobraźni, jak się tłucze i pryska jej w twarz kwasem solnym. - To wyrefinowana zabawa intelektualna, ale prowadzi nas do miejsca, w którym już jesteśmy. Poświęciłem lata na modlitwę, studia nad Świętym Koranem i Siedmioma Literami.

Nie powiesz, bo jesteś taktowny: skoro ja nie mogę znaleźć, to nikt nie znajdzie.

- Ma pan największy i najpełniejszy zbiór materiałów o Siedmiu Literach Stambułu w Turcji - mówi Ayşe. - Albo i na świecie. Nikt nie ma więcej książek, rysunków, planów budynków, notatek, wycinków i artykułów. Nie istnieje żadna wiedza, która by się tu nie znalazła. Wszystko, co wystarcza wierze, jest w tym pokoju. Odpowiedź jest tutaj. Pan ją widział. Po prostu jej pan nie rozpoznał. - Podchodzi do półki. Wręcz nie wie od czego zacząć ocenę antykwarycznej wartości tych wszystkich tomów. Wiara, choćby samotna, maniackalna, zawsze znajdzie pieniądze. - Ale proszę, zastanówmy się. Nie pan pierwszy czytał te książki. Które są kluczowe. Tarikat Słowa Bożego, co oni mogli czytać? Bo coś czytali na pewno. No, niechże pan pomyśli! Chce pan zobaczyć Tajemne Imię Boga? Książki, książki, książki! Pan pokaże te książki! Pytanie jest spisane, spisana jest i odpowiedź. Kluczem jest Sinan. Człowiek, nie jego budynki. Gdzie mogę się wczytać w myśli Sinana? Gdzie zdradza swoje sekrety?

Barçin Yayla jest zdumiony jej agresywnością. W twoim świecie kobiety się tak nie zachowują, myśli Ayşe. O ile w twoim świecie są jakieś kobiety. Wyciąga trzy potężne cegły, oprawne w skórę, pięknie wytłaczane i złożone.

- *Archiwum architektoniczne Wielkiego Muftiego Stambułu, Sai Mustafy Celebiego, Księga Budowli oraz Tezkiret-ül Bünyan Sinana. Pani czyta po arabsku?*

- Czytam po arabsku.

Barçın Yayla wręcza Ayşe autobiografię Sinana.

- Ale umie pani szybko czytać? Jedno pytanie. Czego właściwie szukamy?

- Tego, czego nie dojrzy oko wiernego.

Płyną wersy. Przewracają się strony. Mijają godziny. Cisza jest całkowita. Za oknem jest cały Stambuł, ale wydaje się wyciszony, spowolniony, zawieszony w złotym ciepłe, zmumifikowany w miodzie. Ayşe unosi wzrok, żeby dać oczom odpocząć. Arabski narzuca pewien rytm, styl, kierunek świata, inny niż w biegnących z lewej do prawej, skaczących w górę i w dół łańcuchów literach. Pokój wisi poza czasem; to mogłoby się dziać za sto lat albo tysiąc lat temu. Święta chwila. Ayşe rozumie to teraz. Słowa płyną. Płyną. Szukaj tego, czego nie dojrzy oko wiary. Patrz okiem niedowiarka, handlarza, kupca. Światło wędruje po pokoju, kolejna żółta i krucha warstwa kładzie się na pryzmach gazet i wycinków. Cienie się wydłużają, upał robi się nie do zniesienia. Ayşe dawno przestała zauważać smród.

...Główny Architekt Ostoi Szczęśliwości zamówił wzór do grobowca ukochanej kadiny Hürrem u Jakowa Assy z kahału sefardyjczyków.

Ayşe czyta jeszcze raz.

...Jakowa Assy z kahału sefardyjczyków.

Traci dech. Ta duszna, zapyłona, dławiąca, śmierdząca klitka ją zadusi. Odkłada książkę.

Jakow Assa. Sefardyjczycy.

To, czego nie dojrzy oko wiernego. Ayşe zakłada rzutnik ceptepa na oko. Wklikuje się do archiwum zdjęć architektury. Jest tu cały Stambuł zdigitalizowany, wieczny, do dowolnego przeglądania. Grobowiec Roksolany, zbudowany przez Sinana w 1558 roku, w kompleksie wielkiego Meczetu Sulejmana. Z bijącym sercem Ayşe omiata wzrokiem wykafelkowane wnętrza. Motywy drzewa życia kwitną nad niszami wyłożonymi kwiatowymi kaflami. Nad każdymi drzwiami jest panneau z kaligrafią na kaflach z Izniku, złotych na niebieskim tle. To jedyne pismo tutaj. Ayşe ogniskuje się na słowie, klika, powiększa literę, powiększa, powiększa. Traci dech. Każda z nich składa się z mniejszych liter. Rozdzielczość jest akurat taka, żeby je dostrzec, Ayşe nie wątpi jednak, że każda z liter zawiera zapisaną mikrograficznie treść całego panneau. Geometria fraktalna. Wielkie złożone z małego.

- Mikrografia - sapie. Pierwsze słowo od ilu godzin? Sama nie wie. Słońce jest nisko, świeci prosto do tej klitki na poddaszu. - Tu jest siódma litera, ostatnie fa. Zawsze tu była. Po

prostu jest za mała, żeby pan zauważył.

To zaszczyt dostępny nielicznym, uświadamia sobie Ayşe, widzieć człowieka doświadczającego duchowego objawienia. Kiedy opowiada mu o historii praktyki mikrograficznej u Żydów sefardyjskich, zaszczerpionej przez nich w liberalnym społeczeństwie osmańskiego Konstantynopola, po tym, jak Edykt z Alhambry wypędził ich w roku 1492 z Hiszpanii, Barçin Yayla przechodzi od konsternacji poprzez zdumienie do tego samego oszołomionego zachwytu, jaki przeżyła ona, dojrzawszy odpowiedź, całą i kompletną, zapisaną mikroskopijnymi literami w grobowcu Roksolany. Teraz rozumie, co czuł Adnan, zobaczywszy w jednym przeblysku olśnienia cały i kompletny plan Turkusa; Barçin Yayla widzi jednak coś, czego nie dostrzeże ani ona, ani Adnan. Widzi świat zamknięty przed innymi ludźmi, zarówno wiernymi, jak i niewiernymi. Widzi swoje własne, prywatne objawienie. Widzi kulminację swojego życia. Widzi dowód swojej wiary. Jeśli Bóg jest w każdym atomie wszechświata, Imię Boga również musi być zapisane w każdym kamieniu miasta, każdej komórce ciała, każdej cząsteczce i każdej cząstce elementarnej. Rzeczywistość jest utkana z Siedmiu Liter. Imię Boga to przeplatanka z superstrun.

- Bóg jest wielki - szepcze. - Bóg jest wielki.

- Elementy mikrografii sefardyjskiej przeniknęły do kaligramów bektaszytów. W czasach Sinana Sefardycy już byli wrośnięci w pejzaż Stambułu, on znalazłby ideę mikrografii dzięki bektaszyckim wpływom u janczarów. Wiemy, że zlecił Jakowowi Assie stworzenie mikrograficznych ornamentów na kafelki do grobowca żony sułtana, Hürrem. Małe jest wielkie, wielkie składa się z małego. Tajemne Imię Boga można należycie poznać, dopiero zrozumiawszy, że jest wpisane w serce wszystkiego, każdego dnia. Nie szukamy czegoś wielkości miast i map. Szukamy czegoś małego, kryjącego się na widoku, czegoś, co się widzi codziennie i zupełnie tego nie dostrzega.

- W Stambule? Można tego szukać całe życie.

- Ale on chciał, żeby to znalezione. Derwisz, który naprawdę zrozumiał, zawsze może odnaleźć Tajemne Imię Boga. Tarikat Słowa Bożego chciał pochować Zmelifikowanego Człowieka tam, gdzie znajdują go tylko przyszli hurufici. Jeśli większe litery powstają z jego budowli, chyba można bezpiecznie założyć, że mała też jest w którejś z nich.

- W Stambule są dwadzieścia dwa meczety Sinana, nie mówiąc o hamamach, masdydach, medresach, hanach i türbe - mówi Yayla. Jego palce znów znalazły szklaną rurkę z kwasem i bawią się nią.

- Nie będzie to pierwsza jego budowla, nie będzie też ostatnia, bo nikt nie wie, jakie będzie jego ostatnie dzieło.

- Zgodnie z wolą Bożą - dodaje Yayla.

- Sugeruję, żebyśmy zaczęli od tropu, który mamy: mikrografii z Haseki Hürrem Türbe.

- Wnętrze grobu Roksolany pokrywają trzy tysiące kafli. To ostatnie fa może być na każdym z nich.

Determinacja Yayli słabnie. Ayşe wiele razy widywała to u poszukiwaczy skarbów i zafiksowanych na czymś antykwariuszy, jakich spotkała w małym światku stambulskiego handlu sztuką. Im bliżej są obiektu pożądanego, tym bardziej zwlekają z wyciągnięciem po niego ręki. Rzecz jest w poszukiwaniu. Celem jest proces. A rozwiązanie sekretu może być tylko rozczarowujące. Opowieść się kończy. Po tym, jak Barçin Yayla odczyta Tajemne Imię Boga, nastąpi kolejny dzień - i będzie musiał spać, jeść i wydzielać, jak co dzień. Poszukiwania mogą się zakończyć już dziś wieczorem, i to nie z jego zasługi. Mógłby zmarnować jeszcze piętnaście lat i nadal nie znaleźć Zagubionej Litery, nie potrafił bowiem wyjść poza kształt litery, w litery jako sztukę. Potrzebna była cudza myśl. Kobiety.

- Nie wydaje mi się. Małe rzeczy łatwo giną. Co by się stało, gdyby akurat ten kafelek pękł albo odpadł? To będzie coś małego i nierzucającego się w oczy, ale powielonego w paru miejscach. - Ciągnij go. Rusz go. Nie daj mu czasu na wahanie. - Możemy zaraz jechać. Teraz. Jeszcze jest otwarte. No chodźmy. Zobaczysz ją jeszcze dziś wieczorem. Dziś wieczorem.

Wahanie. Niechęć. Strach. A potem radość.

- Tak, tak, jedźmy! - wykrzykuje Barçin Yayla. - Jeśli tam jest, znajdziemy ją. Bóg miłosierny jest dobry i litościwy.

Marszowy zaśpiew janczarów. Yayla znika w sypialni, żeby wziąć plecak. Ayşe wzdycha. Zmęczenie umysłu wyczerpuje najbardziej, a do znalezienia miejsca spoczynku Haciego Ferhata jeszcze daleka droga. Ale ma rację. Wie, że ma rację. Racja jest wypisana we wszystkich komórkach jej mózgu. Wszystko sprowadza się do sposobu patrzenia na świat. Wyciąga papierosa i już ma zapalić, gdy zauważa to Yayla i woła:

- Przepraszam, mogłaby pani nie palić?! Potem cały dom śmierdzi.

* * *

Lasery piszą po gałkach ocznych w idealnej synchronizacji. Wspaniały widok. Promienie mają zaledwie mikron szerokości i widać je tylko, kiedy pyłek kurzu przeleci, połyskując, przez szparę między rzutnikiem a okiem. Kurz. Złuszczone komórki naskórka. Osiemdziesiąt procent domowego kurzu to naskórek, coś w tym rodzaju. Twierdzenie, że jesteśmy źródłami brudu i wydzielin, przyprawia Leylę o gęsią skórę. Błę. Tańcząca

światlna nitka kreśli splatające się pasma DNA na siatkówkach zespołu CoGoNano! Ta sama animacja, w której ona się zakochała, oszołomiona, jeszcze na nanobazarze. Ta sama animacja, która zakłopotowała Metego Öymena z Europejskiej Rady Inwestycyjnej ds. Nowych Technologii. Bo on miał duszę urzędas. A to są biznesmeni. Gonią za tym, co jest cool, polują na trendy.

Leyla próbuje wczytać się w ich twarze, lecz Mahfi Bej, Ayfer Hamm i Gülnaz Hamm przewidująco usiedli plecami do panoramicznego okna z zapierającym dech w piersiach widokiem na Beyoğlu aż po Złoty Róg i wieczny Bosfor. Celowo przeobrazili się w sylwetki. Leyla musi powstrzymać się od mrużenia oczu, ocieniania ich dłonią - bo zauważą, że patrzy.

Zachowała spokój, mijając ochronę i nieskazitelnie umalowaną recepcjonistkę z cerą jak brzoskwinia, przechodząc przez poczekalnię ze skórzanymi sofami, tak głębokimi i świetnie skonstruowanymi, że zapadało się w nie jak w sen, jadąc do góry windą z asystentem z CoGoNano!, do gabinetu na piętnastym piętrze z widokiem na kontynenty i imperia.

- Czy mogłabym się odświeżyć?

Naturalnie.

W marmurowej łazience, z psikaczami z wodą kolońską, różaną i zdejonizowaną, pozwoliła sobie na drobny pisk i podskok z ekscytacji. Udało się. Dotarła. Na ostatnie piętro wieżowca. Do narożnego gabinetu. CoGoNano! na identyfikatorze. Wpuszcza sobie pod bluzkę cały pojemnik dezodorantu, celując pod pachy. Ta fala upałów kiedyś się skończy? Psik jeden, psik dwa, Leyla przypomina sobie, że matka nazywała to kurdyjskim prysznicem. Rumieni się, zażenowana tym wspomnieniem. Ludzie, których się kocha, mogą robić złe rzeczy. Potem przyglądała włosy, odświeżyła szminkę, poprawiła spódnicę i wyruszyła na bitwę. Nowe buty i koszula prosto spod żelazka jakby skoncentrowały i nabuzowały Aso.

- Jesteś znanowany? - szepnęła, gdy asystentka prowadziła ich do sali konferencyjnej.

- Troszeczkę HFK32-Gamma, jak wszyscy - odmruknął Aso. - A ty co, z gołym mózgiem?

Gałki oczne w sali konferencyjnej ciemnieją i nieruchomieją. Seksowna animacja dobiega końca.

- Mówimy o rewolucji - odzywa się Leyla. - To jest pierwszy dzień całej nowej epoki. Zapis informacji na kodzie genetycznym. Wszystko, co przechowujemy na przenośnych dyskach, ceptepach, albo zdalnie gdzieś w Tadżykistanie, wszystko to można będzie nosić w sobie. Wszystkie zrobione w życiu zdjęcia; to wejdzie na paznokiec i da się przywołać po prostu myślą. Chcieliście kiedyś mieć idealną, fotograficzną pamięć? No to już macie. Wystarczy raz coś zobaczyć i już możecie to sobie przypomnieć - i nie tylko przypomnieć,

także pokazać innym, ze wszystkimi szczegółami. A to dopiero początek. Cała napisana od początku świata muzyka zmieści się w wyrostku robaczkowym. Wszystkie książki, w czymś trochę większym, na przykład na paru centymetrach jelita. Wszystko, czego chcieliście się nauczyć, gra na fortepianie, jakiś język, naprawianie samochodu, księgowość: da się to ściągnąć z sieci i zapisać na zawsze. Nauczyć się na pamięć sztuki, albo przejrzeć wszystkie casusy w prawniczej bibliotece? Proszę bardzo. Domowa hydraulika, programowanie, fizyka, chemia, proszę bardzo. Można wiedzieć wszystko. Naprawdę wszystko. Zwykle nano jest usuwane z organizmu. Natomiast transkryptor Besaraniego-Ceylana zapisuje informację na komórkach waszego ciała. Własnego ciała nie da się zapomnieć. - Leyla jest zdumiona, że to wszystko zapamiętała. Słowo w słowo. Kiedy była mała, przebierały się z siostrami i śpiewały na rodzinnym Sylwestrze aktualny przebój startujący w konkursie Eurowizji, albo odgrywały zwycięzcę „Mam talent”. Dorastała pozbawiona tremy, lęku przed publicznością, nie bała się mówić do kogokolwiek, wystąpić na dowolnej scenie, od stolika do kawy po grupę inwestorów, ale dotąd nigdy nie poczuła dreszczyku, jaki daje występ. Słowa z niej tryskają. Płonie. Czuje się wspaniale. - Można zarejestrować i odtworzyć każdy szczegół życia. Każdy. I wszystko to zajmuje przestrzeń, powiedzmy, wielkości żołądka. Całe życie wewnątrz was. Drugie ja. Można też w ten sposób przeżyć czyjeś życie. Ściągnąć sobie wszystkie czyjeś doświadczenia. Dowiedzieć się, co naprawdę myśli druga osoba. Można myśleć tak jak ona, przewidywać dokładnie, co zrobi. Oto następna rewolucja przemysłowa. To coś więcej niż tylko nano. To chwila, w której wszystko staje się inteligentne. Tyle daje transkryptor Besaraniego-Ceylana.

Stoi przez chwilę, trzymając ich uwagę parę sekund, dopóki nie opadnie adrenalina. Potem zatrzaskuje teczkę i siada obok Aso za wielkim stołem. Czy to ciepło słońca na twarzy, czy zapal prezentacji - zespół CoGoNano! jest tylko pozbawionymi twarzy sylwetkami.

- Bardzo dziękujemy, pani Gülaşli, panie Besarani. - Leyla tylko po głosie poznaje, że odezwał się mężczyzna. - Świetnie zaprezentowała pani swój produkt, wszyscy widzieliśmy pani pasję i zaangażowanie.

- Na pewno macie państwo pytania.

Głowa mężczyzny odwraca się nieznacznie ku kobiecie po prawej. Ta mówi:

- CoGoNano! interesuje się w tej chwili aplikacjami nano dla masowego odbiorcy. Inwestujemy w pewne produkty o charakterze rozrywkowym - tworzymy parę nano tanecznych, inny przebój to aplikacja zmieniająca głos. Bardzo podoba nam się nasz projekt, symulator zespołu Tourette'a. To bardzo, bardzo śmieszne: w przyszłym miesiącu puszczaemy kampanię wirusową, zobaczymy, jakie przeboje powstaną na sieci. Myślimy o wsparciu

jakiegoś celebryty, albo jakimś PR-owskim numerze, na przykład, żeby przemycić to do parlamentu. Politycy z Tourette'em. To musi być śmieszne. Bardzo duże nadzieje łączymy z aplikacją, która jest teraz na badaniach rynku: Mind Candy; wizualna gra do ćwiczenia umysłu, która powoduje prawdziwe neurologiczne zmiany. Tak więc trafiliście dobrze, bo to nano nieprzemysłowe, ale naprawdę bardziej skupiamy się w tej chwili na lifestyle'owych produktach trafiających w potrzeby demografii czternaście-dwadzieścia cztery lata.

- To oznacza odmowę - mówi Leyla, dziwiąc się opanowaniu we własnym głosie. Teraz odzywa się trzecia sylwetka.

- Dokładnie, pani Gültaşlı. Dziękujemy, że przyszła pani z tym do nas, i życzymy wielkiego sukcesu, ale zmienianiem świata nie jesteśmy w sumie zainteresowani.

Dojazd do Mostu Bosforskiego stoi razem z przecznicami. Mały rozklekotany miejski samochodzik grzęźnie w korku, zastraszone masywami ciężarówek. Ryczą klaksony. Klimatyzator ledwie daje sobie radę z upałem. Nawet nieskazitelnie biała koszulka kuzyna Naciego ma pod pachami kółka z potu.

- Co tak trąbicie, szybciej od tego nie pojedziecie! - krzyczy Leyla na krzywą nieruchomych aut wznoszącą się ku pięknemu łukowi mostu. - Czego trąbią? Ludzie są głupi, widzicie, głupi jak nie wiem. - Opuszcza szybę i wrzeszczy na sześć pasów korka. - Palanty! Durne, samolubne palanty! Nie pomyślcie o nikim innym, co? Nie, wy musicie być na czas, musicie się pokazać i proszę, dziesięć tysięcy ludzi tkwi tutaj, przez wasz cholerny egoizm! Powinno się was zrzucić z mostu!

Kierowca w średnim wieku, w poobijanej czerwonej toyocie, wytrzeszcza oczy na rzucającą mięsem harpię w sąsiednim aucie. Aso też się gapi. Łagodny Naci tylko unosi brwi.

- Na pewno nie nawąchałaś się tego czegoś na Tourette'a? - pyta Aso.

Leyla odwraca się raptownie ku niemu.

- A ty nie jesteś lepszy! Pan „oj podłapałaś paskudnego wirusa”. To napraw. Usuń go, jeśli to wirus. Fajansiarze! Mogli nam powiedzieć, nim zaczęliśmy się napinać z tą prezentacją. „Zmienianiem świata nie jesteśmy w sumie zainteresowani”. Właśnie uświadomiłam sobie, że jeszcze nie spotkaliśmy się z kimś, kto trzyma prawdziwą kasę. Zawsze umawiali nas z jakimiś obszczymurkami. „Lifestyle'owe produkty trafiające w potrzeby demografii 14-24!”. Śmieciarze!

- Widzę, pani Gültaşlı, że zaczyna się pani przejmować - mówi Aso.

- Przejmuję się profesjonalizmem, i tyle. Byłam dobra. Byłam, kurwa, zajebista!

Kuzyn Naci zaczerpuje tchu, słysząc brzydkie słowo z ust krewnej. Dziewczyny z Gültaşlıch nie przeklinają. Ale gałąz z Demre tak.

- No, może w CoGoNano! żeśmy polegli, ale mamy ślad połówki Koranu.

- Boże, czemu ty musisz być dzisiaj taki, kurna, rozsądny? Wczoraj, jak ten unijny fundusz nas wywalił, siedziałeś tutaj i robiłeś dokładnie to samo. Więc się wściekaj! - Krzyczy do kierowców ciężarówek i faceta w czerwonej toyocie. Ci nie zwracają uwagi, wszyscy mają dłonie na lewarkach biegów; ze swojego wyższego punktu widzenia dostrzegają przed sobą ruch, falę idącą od wygiętego w łuk grzbietu mostu.

- Może jest coś takiego jak kwant złości - mówi kuzyn Naci.

Leyla i Aso odwracają się w fotelach z rozdziawionymi ustami. Kuzyn Naci wzrusza ramionami i pograża się z powrotem w swoim standardowym milczeniu. Ciężarówki zaczynają się toczyć, mały citicar tkwi między nimi. Dzwoni ceptep Leyli.

- Czego! - krzyczy. - Czego jeszcze!

To oddzwania Lüftiye Ashik z Projektów Specjalnych Özer Gas and Commodities. Pan Saylan może poświęcić jej pół godziny jutro o dziewiątej trzydzięci, jeśli taki termin im odpowiada.

- Tak, tak, oczywiście, że odpowiada. Halo? Halo? Będzie nas dwoje, ja i pan Aso Besarani. Dziękuję. Do widzenia!

Teraz gęby rozdziawiają obaj mężczyźni.

- Özer! - woła Leyla. - Özer! Özer Gas and Commodities, Wydział Projektów Specjalnych! - Kątem oka, na skraju lusterka wstecznego, dostrzega lawetę. Osiem aut za nimi.

* * *

Prom ślizga się wzdłuż burty gazowca i przeskakuje za jego rufą, kołysząc się na kilwaterze. Georgios Ferentinou łapie się poręczy zejściówki, ciężko dyszy. Zwinne dziewczyny schodzą po stopniach, szczebiocąc jedna do drugiej przez ramię. On zaś ociera spocone od upału czoło i z sapaniem gramoli się po kolejnych schodach. Gazowiec pełnie dalej pod most, powoli kręcą się na wpół zanurzone śruby. Georgios wyobraża sobie, jak rozbłyskuje niszczącym ogniem. Czy zobaczyłby ten błysk, czy poczułby ciepło kuli ognia, a jeśli tak, czy byłoby to płomienne, ekstatyczne cierpienie, czy też delikatne muśnięcie ciepła przed spopieleniem? Wyobraża sobie te dziewczyny w miejskich szortach i skąpych topach, sandałach z paseczków, jak skóra ich nagich ud i ramion zmienia się w kipiącą czarną smołę. To stałoby się szybko, natychmiast. Śmierć nawet nie wiadomo kiedy. W duszące noce, kiedy dom derwiszy ogniskuje w małej sypialence całe zakumulowane ciepło dnia, jego myśli często wędrują ku postaciom i szatom śmierci.

Major Oktay Eğılmez siedzi na plastikowej ławeczce w cieniu mostka. Zapala

papierosa, podsuwa paczkę Georgiosowi, gdy stary ekonomista sadowi się ciężko obok niego.

- W dwa tysiące dwudziestym pierwszym skierowano mnie do wywiadu wojskowego w Diyarbakir - mówi bez wstępów. - Staraliśmy się o przyjęcie do Unii i postanowiliśmy wykonać szereg strategicznych uderzeń przeciwko PKK*. Plan mówił o zniszczeniu ich struktur i osłabieniu pozycji przetargowej kurdyjskich nacjonalistów, zanim zwiążą nam ręce unijne prawa dotyczące praw człowieka i mniejszości narodowych.

- Bardzo sensowne z wojskowego punktu widzenia - mówi Georgios.

- Też tak myśleliśmy - odpowiada major. - To była bardzo udana nieortodoksyjna operacja wojskowa.

- Ciekawe, czemu nigdy o niej nie słyszałem.

Prom wykonuje zwrot, słońce nurkuje pod markizę i świeci Georgiosowi Ferentinou w twarz. Słońce jest pełne i mocne. Uśmiecha się, czuje, jak skóra mu się napina. Starzy ludzie powinni uśmiechać się na słońcu.

- Wszystko musiało wyglądać tak, żeby przy akcesji do Unii dało się zaprzeczyć. Taktyczne likwidacje, jak morderstwa albo wypadki, a tajne i specjalne operacje, jak masakry na weselach. Wie pan, jacy są ci Kurdowie.

- Słyszałem, że podobni do Greków.

Major Eğılmez pochyla głowę.

- Przepraszam, panie profesorze. - Teraz słońce pada mu na twarz; przymyka oczy na moment czci. - Dla mnie najlepsze w tym bezsensownym panelu ekspertów jest to, że mogę wrócić do Stambułu. W Ankarze nic, tylko polityka, polityka, polityka. I nikt tam nie umie gotować. Naszym dowódcą mianowali doktora Cengiza Samasta.

- O nim też nie słyszałem.

- Bym się zaniepokoił, gdyby pan słyszał. Doktor Samast to najwybitniejszy turecki specjalista od wojny chemicznej drugiej generacji.

- Ja raczej słabo znam się na wojskowej terminologii.

- Zabijanie wrogów jest kłopotliwe, i, szczerze mówiąc, brudne. Budzi nienawiść. O ileż bardziej subtelne i sprytne jest robienie z nich sprzymierzeńców.

- Chyba nie powinienem tego słyszeć.

- Operacja Eufrat była testem polowym broni chemicznej drugiej generacji, na izolowanej populacji cywilnej. Polegała na przeniesieniu drogą powietrzną środka nanotechnologicznego, który przenikał do mózgu i modyfikował drogi wychwyty dopaminy,

* Partia Pracujących Kurdystanu (przyp. tłum.).

oksytocyny i serotoniny. Zna pan te neuroprzekaźniki?

Dwaj kierowcy furgonetek podchodzą do relingu ze szklankami herbaty, żeby popatrzeć na nurkujące w kilwaterze mewy.

- Wiem, że mają duże znaczenie w sterowaniu zachowaniem i emocjami.

- Środek był zaprojektowany tak, by zwiększyć bierność, zaburzyć więzi międzyludzkie i zasiać wzajemną nieufność, jednocześnie zwiększając podatność na naszą informację.

- Propagandę.

Major Eđilmez jest rozbawiony.

- Panie profesorze, wie pan równie dobrze jak ja, że Republika Turecka nie zajmuje się propagandą. To *marketing*. Wybraliśmy Divrican, małą, izolowaną wieś w obwodzie Şirnak Merkezê prowincji Şirnak. Były dwa powody: wiadomo było, że to siedziba lokalnego szefa PKK, a bliskość granicy z Iranem oznaczała, że wszelkie nieprzewidziane konsekwencje można zwalić na opad radioaktywny z góry Fandoglu. Być może pamięta pan, że dla wszystkich przygranicznych osad opracowaliśmy plan ewakuacji i nadal mamy sankcje na obrót produktami hodowlanymi z tych terenów.

- Przez analogię, rozumiem, że rząd turecki nie zajmuje się także wojną ekonomiczną.

- Oczywiście, że nie. Ładunek został dostarczony o trzeciej rano, przez zmodyfikowany, niewidoczny dla radarów bezzałogowy samolot Hoodoo. W ciągu czterech godzin cała ludność zaczęła wykazywać neurologiczne objawy.

- Jakie?

- Zwiększona podatność na sugestie. Halucynacje wzrokowe i słuchowe, o stałej i spójnej formie. Silna wiara w ich realność, w postaci wewnętrznych głosów, nieco podobnych do objawów schizofrenii, niezachwiane przekonanie o osobistej naturze i prawdziwości tych halucynacji.

- Jakiego rodzaju?

- Wizje religijne. Objawienia nieziemskich istot. Wewnętrzne głosy przemawiające z Bożą mocą.

- Jezusie i Maryjo - mówi po prostu Georgios Ferentinou. Ma kłopoty z oddychaniem. Płuca i tchawicę ma jak z ołowiu.

- Tak. Znajomo brzmi, prawda? Ludzie widzą peri i wróżki, małe zaczarowane robociki. Dżinny. Kariny. Hizira. Jestem racjonalnym człowiekiem. Nie wierzę w dżinny, kariny i Zielonych Świętych. Powiedziałbym, że ten pana znajomy szejch został zbombardowany jakimś nano.

- Ale jak, kiedy? - gorączkuje się Georgios.

Prom dygoce, gdy silniki dają całą wstecz. Przesuwają się nabrzeża i auta Eminönü. Major Eğılmez wstaje i poprawia marynarkę.

- Chyba dobijamy. Raczej powinien pan wrócić do samochodu, nim kierowca zacznie się denerwować. - Wchodzi w tłum wylewający się z kabiny na pokład.

- A ci ludzie ze wsi, ci Kurdowie? Co się z nimi stało?! - woła Georgios.

Zniknął. Już nigdy go nie zobaczy. Jutro - puste miejsce za stołem, list z przeprosinami od majora Ortaka Eğılmeza. Nawał pracy, inne obowiązki.

Rampa się opuszcza, samochody objeżdżają czarną rządową limuzynę. Szofer stoi przy otwartych drzwiach, niecierpliwie patrzy na Georgiosa na górnym pokładzie.

* * *

Mustafa poprawia czubkiem palca lustrzane okulary na nosie.

- Co to, film akcji?

Mustafa gładzi chip startera. Mały samochodzik na gaz tkwił w podziemnym łagrze od lat, ale odpala za pierwszym razem. Plastikowe pokrowce na siedzeniach pachną masłem i elektrycznością. Wszystko pokrywa cienka warstwa kurzu. Przebieg auta jest dwucyfrowy, mały dwucyfrowy. Necdet nie miał pojęcia, że Awaryjne Centrum Biurowe utrzymuje także małą flotę samochodową.

- Mają tu takie rzeczy, że o niektórych na pewno firma zapomniała - mówi Mustafa, zapalając baterie świetlówek w betonowym garażu mieszczącym dwadzieścia małych volkswagenów ustawionych w równych rzędach. - Nawet przyszło mi do głowy, żeby otworzyć korporację taksówkową, ale Suzan mogłaby zauważyć przebiegi.

Mustafa pędzi w górę spiralną rampą, z zapalonymi światłami, jakby był Agentem Specjalnym Metinem Çokiem albo i legendarnym Jackiem Bauerem.

- Odpowiadając na twoje pytanie... - mówi, gdy drzwi garażu otwierają się przed nimi oślepiającym klinem popołudniowego słońca.

Necdet kuli się z cichym okrzykiem. Niebo kipi od dzinnów, miliardów dzinnów, kłębiących się, rojących, przenikających jeden przez drugiego jak burza wywołana przez samego Boga. Stalowszare, płynne dzinny barwy kamienia, całe sznury i liny ukręcone z mniejszych dzinnów, a te z jeszcze mniejszych, ciągną się przez niebo nad Leventem. Plecionki z dzinnów tworzą olbrzymie pasma, jak odciały boskiego mostu rozpiętego między Stambułem a niebem. Wszystkie liny tej sieci prowadzą w jednym kierunku: to drogowskaz na niebie. Necdet nie ma wątpliwości, że prowadzą do mieszkania na Ereğli.

Mustafa ma zaciętą twarz. Garbi się nisko nad kierownicą, kostki mu bieleją. Skacze

po pasach, wcina się przed ciężarówką, odjeżdża spod światła przed audiacami i merolami prezesów. Przeskakuje przed nadjeżdżającymi tramwajami.

- Gdzie ty się nauczyłeś tak jeździć? - pyta Necdet.

- W policji turystycznej. Odbywałem u nich służbę zastępczą. Mniejsze szanse na kulkę. To policyjny styl jazdy, tak zwana jazda obronna. Przyjmujesz założenie, że wszyscy inni na drodze to mordercy-idioci, reszta z tego wynika.

- A, to dlatego nosisz te lustrzanki, jak jakiś kutafon.

Mustafa rzy ze śmiechu.

- Wiesz pan, panie Hasgüler, ile ja czasu na to czekałem?

- Na co?

- Żebyś mnie rozśmieszył. Powiem ci, jak długo. Dokładnie sześć miesięcy, czternaście dni i osiem godzin. W pracy w Awaryjnym Centrum obowiązuje jedna zasada: jeśli nie masz poczucia humoru, dostajesz pierdolca. Kocham cię, Necdet, jak brata, ale nigdy nie okazywałeś czegoś, co by choć trochę przypominało poczucie humoru. Wszystkie te porąbane pomysły na biznes, miejski golf i inny szajs; stawałem na rżęsach, żebyś się chociaż uśmiechnął, a ty tylko kiwałeś głową jak durny muł. Wszystko jedno, co to są, te stwory: one cię zmieniają?

- Wyjdę na durnego, jak zapytam, o co ci chodzi?

- Reagujesz na to, co się dzieje. Dziwią cię różne rzeczy. Zauważasz innych ludzi. Coś mówisz. Masz własne zdanie. Może mylne, ale własne. Wychodzisz na ludzi.

Głęboki jak wodna otchłań spokój i pewność, jaką Necdet poczuł w Meczezie Tulipanowym, miażdżące wspomnienia, wywołane przez Zielonego Świętego głęboko pod Awaryjnym Centrum - nie przyszło mu dotąd do głowy, że to część większego procesu: zbudowania na nowo (a może i nie na nowo) Necdeta Hasgülera. Co to, kto to, ten Necdet Hasgüler? Niemniej, czuje się w swojej skórze znajomo, jest czujny, ma oczy szeroko otwarte. Po raz pierwszy staje się w pełni świadomy. Hizir, sprowadzający wodę, pan wiosny i wzrostu, każe mu rosnąć, hoduje go.

Gdy auto pędzi po moście Haliçoğlu, zerka w kipiące niebo. Dżinny utworzyły kolisty kłęb wokół wielkiego skrzyżowania przy głównym dworcu autobusowym. Mustafa wjeżdża w tę burzę. W wąskich uliczkach Ereğli między ponurymi kamienicami Necdet zauważa sklepik, każe Mustafie się zatrzymać.

- Kobieta, która widzi peri, gdzie ona mieszka? - pyta Necdet.

Sprzedawca wierci się nerwowo.

- Nie jesteśmy z gazety - dodaje Mustafa. Wskazuje logo Awaryjnego Centrum

Biurowego na swoim polo. - Kolega jest szejchem. Widzi dzinny. Chciałby się wymienić wiedzą z Panią Peri.

Sklepiarz wytrzeszcza oczy, bawi się koralikami *komboloi*.

- Boże, zmiłuj się nad nami. Crimea House. Na Günaydin Sok. Musicie zapłacić dozorczy. On wszystkim zarządza.

- Nie wydaje mi się - mówi Necdet z gestem ręki, takim typowym dla szejchów, świętych i mistrzów sekretnych sztuk. - Swoją drogą, pana sklepowy dzinn mówi, że trzeba posprawdzać zabezpieczenia.

- Tak powiedział? - pyta Mustafa, gdy stoją znowu w upalnym zaduchu ulicy. - Że trzeba posprawdzać zabezpieczenia?

- A u kogo nie trzeba?

Dozorca siedzi w małej wykafelkowanej klitce obok szybu windy w Crimea House. Winda jest mosiężno-żelazną klatką, gilotyną z umazanych smarem kabli, dyndających przeciw汪, trzaskających metalowych bramek i kół z kołnierzami. W hallu śmierdzi starym tytoniem, płynem do mycia podłóg i grubą warstwą olejnej farby. Jakby się cofnąć do poprzedniego stulecia.

Niewiele dzinnów tu mieszka, tylko jakieś ukradkowe duchy wokół rur gazowych i pionów elektrycznych.

- Günes Koser? - pyta Mustafa.

- Musicie się umówić - mówi dozorca. Należy do plemienia typowych stambulskich kapici, okrągłych, grubych i żółtych. Otwiera zeszyt na biurku. - Porada szejchy: pięćdziesiąt euro. Rano czy wieczorem? Możecie wieczorem, za dodatkowe dwadzieścia euro.

- Kolega sam jest szejchem - mówi Mustafa. - Chce porozmawiać z szejchą Günes jak równy z równym. Jest panem dzinnów.

- Tak czy owak, pięćdziesiąt euro.

Necdet spina się, wychyla w przód, jakby węszył za zapachami poprzednich stuleci.

- Ma pan problem z płucami - mówi. - Za dużo pan pali. Zastanawia się pan, czy nie iść z tym do lekarza. Trzeba iść. To poważna sprawa. To nie to, czego się pan boi, ale jak pan czegoś nie zrobi, będzie źle. Nie chciałby pan umierać z rurką w nosie.

- Numer szesnaście! - krzyczy kapici. - Żli ludzie! Won!

- Bóg nas przysłała - mówi Mustafa.

Kiedy wsiadają do windy, klatka obwisa o niepokojące pół metra. Mustafa ustawia mosiężną wskazówkę na piąte piętro. Ciężka maszyna grzechocze nad ich głowami, odpowiada jej druga z dołu. Kabina rusza z szarpnięciem.

- Co ty właściwie widzisz, jak widzisz te dżinny? - pyta Mustafa.

- Pałace się dzieci, twarze na monitorach, latające ludziki z bardzo długimi nogami, ciała poskręcane jedno z drugim jak liny. Ten w środku ciecia wyglądał jak płuco, z dziobem i małymi rączkami po bokach. Jak to się nazywa, co się robi palaczom? Kiedy płuca robią się twarde i nie da się oddychać?

- Rozedma.

- O właśnie. Tak by wyglądała, gdyby była żywa.

- Ciekawe, czy Günes Hamm widzi to samo co ty, tylko nazywa to peri, a nie dżinnami.

- One się nigdy nie powtarzają.

Winda pełźnie, zgrzytając, żelaznym szybem. Nagły harmider na parterze przenosi uwagę Necdeta i Mustafy z sufitu na podłogę. Trzaskanie drzwiami, krzyki. Tupot nóg. Sylwetki w ciemnych ubraniach pędzące po schodach dookoła windy. Wojskowe czapki z miękkim daszkiem. Necdet kuca, ciągnie Mustafę na ziemię, wokół przebiegają sylwetki: kamizelki kuloodporne, odblaskowa taśma na przegubach i kostkach, spodnie powtykane w ciężkie buciory.

- Policja - szepcze.

Szarpie tarczę, wali w wypolerowany od palców mosiężny guzik. Winda ma szczerzy zamiar dostarczyć ich prosto w łapy policji. Policja ustawia się pod drzwiami mieszkania numer 16. Funkcjonariusze są uzbrojeni i opancerzeni jak na zamieszki, mają elektryczne pałki i czarny taran do wyważania drzwi. Czubki głów Necdeta i Mustafy wznoszą się nad poziom podłogi. Nagle jakaś ręka, ręka znikąd, chwyta wskaźnik piętra i przekręca go w lewo. Winda ani zgrzytnie, nawet nie sapnie: zatrzymuje się i zaczyna zjeżdżać w dół.

- Widziałeś? - szepcze Necdet.

- Wywalają jej drzwi - mówi Mustafa. - Wchodzą do jej mieszkania.

- Ta ręka była zielona.

Winda równomiernie opada, uwozi ich od krzyków i łomotów na górze. Ręka była zielona, bez ciała, ale nie bezcielesna: stała za nią pewna osoba, za windą, za całym tym światem. Oczy zielone jak wiosna. Pomoc spoza świata ogarnialnego rozumem. Tupiące buciory, szcęk jakiegoś sprzętu opuszczanego stopień po stopniu. Winda zjeżdża poniżej poziomu hallu i staje, sufit ma półtora metra ponad marmurową posadzką. Necdet i Mustafa wciskają się głębiej w cień. Policjanci wsypują się do hallu. Dwóch niesie nosze-wózek, model znany im z Awaryjnego Centrum - taki do sprowadzania rannych i chorych po schodach. Szcęk, szcęk, szcęk. Jest na nich kobieta, owinięta srebrnym termoizolacyjnym

kocem i przypięta tak ciasno, że może ruszyć tylko stopami i dłońmi. Głowę ma też zakrytą arkuszem folii, ale szarpie nią tak zawzięcie, że strząsa przykrycie i wtedy Necdet widzi, że ma zaklejone taśmą usta. Spojrzenia się spotykają. Necdet chwieje się na nogach. Życie nie z tego świata przeskakuje między nimi jak iskra: dżinny, peri, bogowie, wszystko i nic. Istoty obdarzone potęgą. Potem czterech policjantów wynosi ją za drzwi. Pozostałych czterech wywleka z dyżurki dozorcę, mamroczonego i zakrywającego głowę. Necdet rzuca się na pomoc, Mustafa ciągnie go na podłogę i przytrzymuje, dopóki nie zniknie efekt Dopplera oddalających się syren. Potem siłą rozwierają drzwi windy i wydostają się na marmur.

- Widziałeś to? Widziałeś? - Necdet zbiega schodkami na ulicę. Günaydin Sok stoi nieruchomo, oszołomiona: jak zdjęcie. Ulica Stambułu, 18. 25, 2027-04-14. - To ona, widziałem ją w tramwaju, stała koło mnie, jak wybuchła ta bomba. A to nie była jakaś pierwsza z brzegu policja, tylko bezpieczeństwa.

Mustafa łapie Necdeta za rękę, zanim ściągnie na siebie uwagę pierwszej z brzegu policji, lecz Necdet uwalnia się z uchwytu. Stoi nieruchomo, gdy na Günaydin Sok wraca ruch i zgiełk. Jest skupiony, jakby chciał usłyszeć ledwie słyszalną muzykę. Marszczy brwi, kręci głowę, potem jakby łapie urywek melodii. Mustafa patrzy, jak pędzi na drugą stronę. Zatrzymuje się pod sklepem z ceptepami Türkcel i pokazuje palcem brudnego żółto-czarnego robota, pasiastego jak szerszeń i jak zapylająca osa uczeplonego plastikowego szyldu.

* * *

Nawoływanie do modlitwy grzmi z czterech minaretów meczetu Sulejmana, gdy Ayşe Erkoç wchodzi na jego teren przez południową bramę. Ayşe zawsze bała się adhanu. Nie surowego piękna ludzkiego głosu, choćby i nagranych i wzmocnionych elektronicznie, jak w tych zdegenerowanych czasach, nie kontrapunktu wielu wołań z różnych punktów miasta, nakładających się na siebie falami. Boi się adhanu, gdyż adhan nie ma dla niej szacunku. Mówi: to nie jest twoje miasto i twój czas. To miasto Boga, to czas Boga, a czas Boga jest bezwzględny. Wszystkie twoje sprawy, uczynki, gonitwy i krzątaniny wiszą na tych pięciu filarach. Pięć razy na dzień musisz przerwać to, co robisz, i odwrócić się do Boga. Boi się adhanu, bo dla niej to odgłos atawizmu. Przekreśla zmianę i nadzieję na zmianę. Mówi: wszelkie dzieło waszych rąk jest tymczasowe, wszelka nadzieja na postęp daremna. Wszystko co niezbędne już jest. To doskonałość. Klęknij i módl się. Boi się go, bo adhan mówi, że Stambuł, Królowa Miast, Ostoja Szczęścia, jest miastem mężczyzn. Adhan mówi, że nie ma w nim niczego dla Ayşe Erkoç.

- Mam nadzieję, że się pani nie obrazi - mówi Barçin Yayla - ale zauważyłem, że ten sam samochód mijął nas trzy razy, kiedy szliśmy tu od Küçükayasofya.

- Jaki samochód?

- Oj, słabo się znam na samochodach. Taki srebrny. Skoda, jest taka marka? - A przy drzwiach do meczetu dodaje: - Serdecznie zapraszam na dziedziniec dla kobiet.

Ayşe szybciej prysnęłaby sobie w oczy jego kwasem. Kiedy Barçin Yayla modli się z mężczyznami we wspaniałej sali, dokładnie dwa razy wyższej niż szerszej, ona bada teren meczetu. Rodziny porozkładały się na piknik w cieniu drzew, porozścielały na trawie koce, matki obierają jajka na twardo, ojcowie nalewają herbatę z termosów. Szeleszczą liście poruszane delikatnym wietrzykiem. Ayşe nie pierwszy raz widzi na oczy Meczety Sulejmana oraz przylutone do niego po obu stronach meczety i külliye - jego kopuły i minarety widywała codziennie z okna swojego promotora na studiach, ale dziś patrzy na niego na nowo. Nie oczyma wiary - widziała u Barçina Yayli tę charakterystyczną ślepotę - lecz oczyma architekta, dekoratora, projektanta wzorów i ornamentów. W porządku kopuł kryją się matematyczne rytmy i harmonie, od największych, przez mniejsze, do najmniejszych. Rozpiętość arkad, usytuowanie okien i przypór pod kopułami, wysokości filarów, liczba balkonów na minaretach, geometrie kwadratowe, sześciokątne, ośmiokątne: ta budowla to nie kamień, to muzyka. Mogłaby spędzić lata, dziesięciolecia na poszukiwaniu ukrytego znaku w tych przewspaniałych kamiennych chórach i współbrzmieniach.

Gdy Ayşe wchodzi na teren cmentarza, gdzie stoją mauzolea dynastii Osmana, pod drzewami i w bramach gęstnieje już półmrok. Czyżby słyszała nietoperze? Trzykrotnie okrąża grobowiec Roksolany. W zapadającym zmroku studiuje rzeźby, rozgląda się po trawie, zerka na kamienne bryły, obmacuje reliefy na kolumnach, przegarnia czubkiem buta żwir. Nic, nic zupełnie. Można poświęcić rok na sam tylko cmentarz, przychodząc tu codziennie przy każdej pogodzie. Jakże mogła sobie wyobrazić, że znajdzie klucz od pierwszego strzału, polecą do niego prosto jak kula, że rozbłyśnie wśród architektonicznych wspaniałości tego ogromnego kompleksu świątynnego tylko dla niej jednej? Odpowiedź jest tutaj: tego jest pewna. Kiedy idzie spacerkiem na spotkanie z Yaylą, jeden po drugim zapalają się reflektory, rzucając nienaturalne, niepoehlebne światło na kopuły i minarety. Kanciaste cienie mogą być ukrytymi w konstrukcji kufickimi literami, mogą być przyporami, mogą być ptakami. Rodziny pakują resztki jedzenia, koce i rozglądają się, gdzie by tu wyrzucić butelki po napojach.

Yayłę znajduje siedzącego na stopniach przy wejściu na dziedziniec, obok niego stoi plecak. Aż łśni. Twarz mu promienieje, oczy jaśnieją, skórę ma jędrną. Ayşe widziała takie światło w wielu miniaturach przedstawiających Dwunastu Imamów i świętych, albo zasłoniętą twarz samego Proroka. Zastanawia się, czy to, co wzięła za niewinność i naiwność,

nie jest czasem świętością.

- Czeka nas niezłe zadanie - mówi.

- Radosne zadanie - odpowiada on.

Ayşe uświadamia sobie, że zachwyca go wizja lat poszukiwań, kafel za kaflem, inskrypcja za inskrypcją, gzymś za gzymsem, nisza za niszą, że mozolne szukanie, przez dziesięciolecia, największego z osiągnięć Sinana jest świętym trudem; że tajemna litera jest wyrzeźbiona w każdym kamieniu i na każdym kaflu. Kiedy ją znajdziesz, zdasz sobie sprawę, jak nieważne jest to znalezisko. Istna lekcja sufizmu.

Piknikujące rodziny i wieczorni spacerowicze pojedynczo i parami zmierzają ku bramie wychodzącej na Sidik Sami Omar Caddesi - w czasach Sinana, ulicę Nałogowców, nie tylko od sprzedawanych tutaj używek, ale także od szpitala, miłosiernie leczącego uzależnionych od opium.

- Jutro zaczniemy na dobre - mówi Ayşe. - Idzie pan czy zostanie na iszę?

- Na ostatnią modlitwę wrócę do swojego meczetu - odpowiada Yayla.

- Gdyby wiedzieli, czego pan szuka, w co pan wierzy, nawrzucałoby panu od heretyków - dodaje Ayşe, gdy idą po zgrzytającym żwirze pod szemrzącymi jak nietoperze drzewami. - W dzisiejszych czasach to nie jest bezpieczna ani prywatna sprawa.

- Każdy człowiek jest mile widziany na modlitwie - zauważa Yayla. - Bóg jest dobry.

Przy bramie na Sidik Sami Omar Caddesi odwraca się, żeby jeszcze raz spojrzeć na wielkiego Sulejmana, podświetlonego od tyłu gigantycznym zachodem słońca, rozłożystym jak sztandary boskiej armii na Eyüp, a od przodu nieziemsko jaśniejącego od reflektorów. To sama rozkosz! Rozkosz!

Żadna tam rozkosz, myśli Ayşe. To piekło. Stałam się jedną z zatraconych. Selma Özgün ją ostrzegła. Ostrzegał Czerwony na moście Galata. Ostrzegał nawet królik Beshun Ferhat. Miód kusi, miód uwodzi, miód uwięzi. Nie wchodź w drogę łowcom Zmelifikowanego. Ale weszła. Dała się uwieść. Wcielono ją z Zagubionego Zastępu Haciego Ferhata.

Barçın Yayla schodzi na Sidik Sami Omar Caddesi i staje jak wryty. Wykrzywia twarz jak z bólu.

- Na czymś stanąłem - mówi.

Ayşe rzuca mu się na pomoc, ale na kamiennym bruku nie widzi niczego, co mogłoby mu zaszkodzić. Jego lewa stopa stoi na odpływie ściekowym, dość ładnym kawałku obrobionego kamienia w tym samym wieku co meczet. Rzeźbiony i poprzewiercany otworami. Jest na nim jakiś niezbyt głęboki relief, dość skomplikowany jak na pokrywę

ściekową. Nagle widzi. Widzi. Wzór to ciąg kufickich liter, posplatanych w misterną kratę. Ayşe klęka na ulicy. Mija ją z trąbieniem miejskie auto, krzyczy kierowca. Nie słyszy go.

- Ha, szin, sad, ta, waw, dżim! - mówi Ayşe. - Ha, szin, sad, ta, waw, dżim! Ha, szin, sad, ta, waw, dżim!

- Poczulem to przez podeszwę buta - mówi z zachwytem. Zdejmuje go, staje bosą stopą na ulicy. - Stanałem na Tajemnym Imieniu Boga.

- To niech pan zejdzie z Tajemnego Imienia Boga - rozkazuje Ayşe.

Obrysowuje palcem litery. Rzeźba wytrzymała czterysta lat stambulskiego ruchu i deszczu. Przestrzenie pomiędzy kanciastymi kufickimi literami tworzą otwory odpływowe. Ayşe zerka w górę i w dół ulicy. Między stopami pieszych, truchtającymi motorowerami, bzyzczącymi miejskimi autami widzi, że pokrywy są ułożone w linii, w równych odstępach wzdłuż ulicy. Na widoku wszystkich, w najmniej imponującym z miejsc, małe, ale wszechobecne, niezauważane przez nikogo, oprócz tych, którzy mają oczy i widzą.

- Sinan, jesteś, kurwa, genialny!

Barçın Yayla bez tchu śpiewa: „Bóg jest dobry, Bóg jest miłosierny”.

Ayşe klęka i przyciska policzek do kraty. Tchnienie powietrza, schłodzonego przez podziemne otchłanie starego Stambułu. Dech fa, brakującej litery, jedyne na świecie punktu orientacyjnego wskazującego serce Boga.

- Cicho, kurwa!

Yayla milknie, osłupiały. Ayşe manipuluje przy pierścionkach. Ślubny schodzi łatwo. Nie, ten nie, nigdy w życiu nie ten. Ściąga wspaniały turkus z Ery Tulipanów, który dostała w rozliczeniu od pewnego bułgarskiego kupca. Rzuca go przez otwór. Chwilę później dźwięczy, cichutko, ale czysto.

* * *

Can uwielbia supermarket. Łagodne jarzeniowe światło, blask półek. Chłód spływający z lodówek, tajemnice kryjące się na wysokich regałach, poza jego zasięgiem. Rodziny kłójące się nad wózkami, wkładające do nich rzeczy i odkładające je z powrotem, maleńkie dzieci w dziecinnych siedziskach rzucające mu ponure spojrzenia, kiedy są uwożone i porzucane między półkami pełnymi cudów, ich matki patrzące nań ze współczuciem, gdy mama miga do niego. Zobaczcie, głuchy chłopczyk. Nie, nie jestem głuchy, a nawet gdybym był głuchy, i tak bym was widział. Mały Detektyw niczego nie przegapi, ani opakowań rajstop, ani maszynek do golenia czy flaszek Johnniego Walkera, które wsuwają sobie pod ubranie. Przy kasie lubi się domyślać, do których kupujących należą jadące na taśmie towary. To, co uwielbia w supermarkecie najbardziej: to, że to nie plac

Adema Dede. To nie Kenan, co mruga do niego i Pyta. Wielkimi. Kłapnięciami. Gęby. Jak. Się. Dziś. Czuje.

Dziś wieczorem supermarket jest pełen ludzi, wałęsających się tam i z powrotem, tyle że nic nie kupują i tylko chłodzą się w klimatyzacji. Na parkingu, po chłodzie alejek między lodówkami, panuje duszący upał. Pachnie gorącym asfaltem. Świat jest nieskończony i przebogaty.

- Mamo - mówi. - Chyba tak jest w Kalifornii.

Şekure Durukan wykonuje gest oznaczający: „Co ci znowu chodzi po głowie?”.

- Nic takiego - odpowiada Can i pakuje do bagażnika Gazowej Bańki kolejną torbę z zakupami.

Wieczór z supermarketem to zawsze uczta: lodowy baton, który Can zjada w samochodzie, nie z niecierpliwości, ale dlatego, że czuje się niezmiernie wyrafinowany, przegryzając się przez zmrożoną czekoladę do kremowego zimna wewnątrz, gdy wokół migają światła miasta. W samochodzie, po zmroku, je lody, matka bębni palcami w kierownicę do taktu tańczących na wyświetlaczu radia słupków głośności - i ma silny przedsmak innego życia, które mogliby wszyscy prowadzić. Toczy się w ładnym podmiejskim domu, z garażem, dachem z czerwonej dachówki i ogrodem wokoło. Z tyłu są huśtawka i batut. Na werandzie siedzi kobieta i czyta magazyn. Tata siedzi w środku, ogląda z kolegami sport; później może zagrają w karty. Po ulicy jeździ chłopaczkę na fantastycznym rowerze. Może na nim pojechać dokąd zechce, objechać cały świat. Ten chłopak to Can, który nie ma zespołu wydłużonego QT.

- Kute - nuci. - Kutu. Skuty. Skuty.

- Co tam, skarbie?

- Skuty.

Şemsi błyska do niego swoim opiętym obcisłą czerwienią tyłeczkiem, z plakatu na całą ścianę kamienicy.

Canowi, ze względu na serce, nie wolno nosić niczego ciężkiego po stromych schodach na górę. Rodzice rozważali zamontowanie na schodach podnośnika, ale koszty zawsze ich powstrzymywały - mieli nadzieję, że Can wyrośnie na zdrowszego i silniejszego nastolatka. Şekure woła Osmana ceptepem. Z trzema reklamówkami w każdej ręce człapie po stromych drewnianych stopniach. Czemu nie spuszcza sobie koszyka z balkonu? Są takie rzeczy, których nie da się im powiedzieć. Can nie pierwszy raz podejrzewa, że jest o wiele bystrzejszy od rodziców.

Zostawił sobie ostatnią porcyjkę lodów, nagrodę za to, że siedzi sam w Gazowej

Bańce. Şekure i Osman odciągnęli go do środka w momencie, gdy nad tłum nadleciały policyjne rojoboty. Zły był za to, potem się przestraszył, gdy otaczający go woal ciszy przeniknęły ciche krzyki. Powinni dać mu patrzeć. Plac Adema Dede ciągle pokrywają cętki farby RFID, w trudno dostępnych miejscach: pod rynnami, w rogach balustrad i gzymsów, na drewnianych rzeźbach, wystęпах i kolumnach poza zasięgiem szczotek albo teleskopowych zmywaków do okien, na rzeźbionych w kwiaty kamieniach fontanny. Księgarnia Edukacyjna nawet nie próbowała. Can zresztą uważa, że metalowa roleta wygląda lepiej z lamparcimi cętkami: sugeruje, że w środku są ekscytujące, dzikie rzeczy. Kiosk Aydina też jest już zamknięty. Kenan siedzi w swoim sklepie, ogląda Sky Sports na płaskim ekranie nad drzwiami. Bülent i Aykut w swoich konkurencyjnych czajchanach zajmują się dokładnie tym samym: ustawiają szklanki do herbaty w równe rzędkie i szeregi - u Bülenta ze złotym brzegiem, u Aykuta czerwone. Can się uśmiecha. Lubi zauważać takie prawidłowości. Tak patrzy na świat pan Ferentinou. Jest i Necdet, teraz pewnie Szejch Necdet, podejrzewa Can, skrada się do domu po stopniach uliczki Kradzionych Kur, wraca z miejsca, gdzie spędza dzień. Nigdy nie wyglądał za dobrze, ale teraz jest po prostu straszny - twarz wychudzona, oczy wytrzeszczone jak u szalonych imamów na satyrycznych rysunkach, plecy zgarbione. Jeśli Bóg robi z tobą takie rzeczy, trzeba sobie staranniej dobierać kolegów. Może obserwuje go jakiś robot. Konaki i stare kamienice wokół placu mają tyle zakamarków, w których robot może się niepostrzeżenie ukryć i patrzeć. Can wie, większość z nich sam wykorzystywał. Przypomina sobie o ostrzeżeniu pana Ferentinou i wciska się głębiej w fotel, zerkając znad deski rozdzielczej.

Necdet waha się, jakby się bał wejść w głąb Güneşli Sok i pójść do domu. Wtem otwierają się wszystkie drzwi małej białej furgonetki zaparkowanej obok czajchany na Adema Dede. Can w ogóle jej nie zauważył, taka jest zwyczajna. Trzech mężczyzn: młodych, w lotniczych wiatrówkach i spodniach od dresu. Biegną wprost na Necdeta, za szybko, by zareagował, przewracają go brutalnie na ziemię. Zanim dojdzie do siebie, obracają go na brzuch, wykręcają ręce do tyłu i spinają je szybkozłączką. Dopóki nie złapie tchu i nie może krzyknąć, stawiają go na nogi, biegiem wloką do furgonetki i wrzucają do środka przez tylne drzwi. Dwaj wsiadają za nim, trzeci za kierownicę. Trzaskają drzwi, odzywa się silnik. Can obsuwa się głębiej w niewidzialność, gdy biały wóz przyśpiesza, mijając go. Wszystko odbywa się na jednym wstrzymanym oddechu Cana. Tak szybko, tak stanowczo, że tylko on to widział. Bülent i Aykut byli zajęci szklankami, Aykun oglądał jedną z kilometrowych zapowiedzi meczu pucharowego Galatasaray-Arsenal, wszyscy patrzyli gdzie indziej. Can jest jedynym świadkiem.

Wypuszcza ustami powietrze. Paraliż ustaje. Mały Detektyw wie, co trzeba zrobić. Wybiega z Gazowej Bańki, leci po schodach, mijając rodziców schodzących po drugi, cięższy ładunek. Śekure miga doń gniewnie. Can otwiera komputer i rzuca się na łóżko, pojękując ze złości przy niekończących się ekranach startowych. Wolno, wolno, za wolno! Wstało. Kolejne nieskończone chwile, gdy otwiera się aplikacja do BitBotów. „No dawaj”, szepcze do ekranu. „Dawaj”. I jest. Zatrzymuje się w pół krzyżowego gestu, który składa Ptaka z ukrytego pod okapem dachu osiego gniazda BitBotów. „Obiecaj mi, że dasz sobie z tym spokój”, powiedział pan Ferentinou. „Nie jesteśmy detektywami. Musisz mi obiecać, albo już nigdy nie będziesz mógł do mnie przyjść”.

- Ale jestem jedynym świadkiem - mruczy Can do ekranu. - Jeśli ja czegoś nie zrobię, nikt nie zrobi. Tylko ja, proszę pana.

Krzyżuje dłonie w polu haptycznym i powstaje Ptak. Krzyżuje kciuki, fałuje palcami. Ptaku, leć! I leci, krąży nad drewnianymi okapami, zamkniętym ogrodem i małym, cichym cmentarzykiem domu derwiszy. Jest tylko parę dróg, którymi biała furgonetka może wyjechać z Vermilion-Maker Lane, a Ptak swoimi licznymi oczami jest w stanie objąć wszystkie naraz. Bol Ahenk Sok, nie, Alçak Yokuşu. Can widywał, jak ludzie zjeżdżają po schodkach na motorowerach. Niebezpieczni i zdesperowani porywacze mogliby zaryzykować furgonetką. Nie. To na Necatibey Caddesi. Wieczorny ruch, oślepiające reflektory i latarnie, przepływają neony i rozświetlone tramwaje, trudno wypatrzeć furgonetkę wśród wielu aut na wielkiej arterii. Can rekonfiguruje oczy Ptaka i szybuje nisko nad Necatibey Caddesi. Na pewno tu są i na pewno jadą w tamtą stronę, do mostów. Ale jest tyle tych białych furgonetek. Nie zauważa się, jak wiele, dopóki nie szuka się jednej konkretnej. Jest. Jest. Stoi piąta w kolejce do czerwonego światła. Ptak szybuje nad szeregiem samochodów.

- Szczur! - szepcze Can i styka pięści.

Ptak rozpryskuje się w deszcz BitBotów. Parę milimetrów nad drogą łączą się w szybkiego Szczura, ulicznego cwaniaka. Jednakże zmieniły się światła, auta ruszają. Biała furgonetka się oddala. Can syczy w skupieniu, lawirując Szczurem pomiędzy morderczymi oponami samochodów, motorowerami, szybciej, szybciej! Ale Biała Furgonetka ucieka przed nim, kiedy gorączkowo pędzi między taksówkami i ciężarówkami. O krzemowy włos ucieka spod gilotyny tramwajowych kół, goniąc Białą Furgonetkę przez tory w miejscu, gdzie odbijają na Beşiktaş. Dwie długości, trzy długości. Can zwija język w nieludzkim skupieniu. Każdy neuron koncentruje się na tej niesamowitej grze w uliczne wyścigi. Uciekną, uciekną. Nagle samochody nieruchomieją w jednym z tych niewytłumaczalnych stambulskich zatorów, które bez wyraźnego powodu blokują całe dzielnice i równie niespodziewanie się

ulatniają. Szczur nurkuje pod pełznącymi samochodami, pędzi między kołami. Już, już! Został niecały metr, ruch znów przyspiesza. Ruszają, odjeżdżają. Jedna, jedyna szansa: Can dźga dłonią przed siebie z okrzykiem, który słyszy nawet przez zatyczki.

Szczur skacze, wydaje się, że wisi w powietrzu, zaczepia się o tylną tablicę rejestracyjną.

- Yes! - drze się Can, ale robocie czary jeszcze się nie skończyły. - Mały Szczur, start!

Na Necatibey Caddesi Szczur rozpęka się od głowy. Maleńki szczurek, klon swojego rodzica wielkości paznokcia, uczepia się tyłu Białej Furgonetki. To taka aplikacja, którą ściągnął z BitBotowego forum - BitBot MiniMe. Jak z większością aplikacji, Can pobawił się nią raz, pokazał kolegom, a potem nawet na nią nie spojrzął, bo nie przychodziło mu do głowy żadne zastosowanie. Teraz jednak następuje zadanie, dla którego nikt aplikacji nie napisze.

- Szczur, do domu.

Tata Szczur odpada od furgonetki, zwija się w kulkę i turla w podskokach wzdłuż Necatibey Caddesi, jak pusta puszka po coli, między miażdżącymi kołami i ryczącymi silnikami. Teraz. Can znów składa pięści. Szczur przeobraża się w pół skoku, robi unik przed beczkowozem i pędzi do bezpiecznej kryjówki rynsztoka.

- Dobry Szczur, sprytny Szczur - mówi Can i ustawia robota na powrót do domu.

Powoli, ale nieuchronnie trafi na balkon Durukanów, pełnąc przy minimalnym zużyciu energii. Szczur skończył swoje zadanie. Teraz należy do Małego Szczura - Can otwiera jego okienko. Widok z miniaturowych kamerek jest zniekształcony, jak to rybie oko - ten robot to niewiele więcej niż urządzone do śledzenia - lecz teraz Canowi akurat tyle potrzeba. Mały Szczur pojedzie Białą Furgonetką aż do celu.

- Wiem, gdzie mieszkacie - mówi Can Durukan.

Drzwi pokoju się otwierają. W klinie światła staje ojciec Cana. Can widzi, jak jego zuchwa się napina.

- Co ty tam robisz? - pyta ze zdumieniem.

Can udaje, że nie potrafi czytać z ust. Osman Durukan zamyka drzwi pokoju. Can wraca do Małego Szczura, otwiera na mapie jego lokalizację. Jadą na most Atatürka.

- Can rządzi - mówi Mały Detektyw.

* * *

Jesteś ikoną Maryi Dziewicy, Matki Boskiej, Theotokos. Jesteś mała i niedopracowana; tworzyły cię ręka i oko pełne wiary, ale sama świętość nie wystarczyła, by przezwyciężyć brak umiejętności. Dłonie masz namalowane z trzech różnych perspektyw,

oczy szerokie, ale płaskie, jakby odwrócone od świata. Twarz masz brązową, pociągłą, w swojej nieudolności uosabiającą twój niewymowny smutek, zabarwiony melancholią tego miasta na długo, nim zaczęto określać ją słowem „hüzün”. Nie poświęcono na ciebie żadnych drogocennych złocen ani sproszkowanej macicy perłowej, ramę masz z malowanego drewna. Jesteś mała i zaniedbana. Przelotne spojrzenie prześlizguje się po tobie i zawisa na większych, jaskrawszych i bardziej promieniejących obrazach w ikonostasie cerkwi Świętego Pantelejmona. Oko wiary patrzy jednak głębiej. Ten mały, wyblakły, niewydarzony obrazek ma w sobie coś niezziemskiego, nadnaturalnego. Nie chodzi o twarz, o ręce, o uniesione w niezdarnym błogosławieństwie dłonie. Chodzi o udrapowany na głowie Maryi błękitny welon. Jak to możliwe, że wyszedł spod tej samej ręki? Wydaje się, że unosi się znad deski, lekki i świetlisty, niemal skrzący się światłem. Jesteś ikoną Maryi Dziewicy od Opiekuńczego Welonu. Przez tysiąc pięćset lat wisiałaś pomiędzy lampami i innymi świętymi obrazami. Twój autor położył farbę na drewnie w tym samym roku, w którym Justynian poświęcił wielką Hagię Sofię. Dla tej cesarskiej bazyliki byłaś zbyt skromna i zgrzebna; właściwym miejscem dla ciebie były mniejsze cerkwie, cerkwie dla ludu. Zyskałaś ich cześć. Zasłużyłaś na ich miłość. Obrosłaś mitem, jako czyniąca drobne cuda: znajdowanie zgubionych rzeczy, obrona żołnierzy, ochrona podróżujących. Uciekłaś przed ogniem Ery Ikonoklazmu ponieważ pewna wdowa, wdzięczna za bezpieczny powrót syna ze wschodnich rubieży imperium, ukrywała cię na piersi przez rok i dzień, do końca życia nosząc potem odcisnięte na skórze prostokątne piętno Maryi Dziewicy. A kiedy Matka Boska ukazała się w wizji jurodiwemu świętemu Andrzejowi i rozpostarła nad Konstantynopolem swój opiekuńczy płaszcz, by bronić go przed najazdem Saracenów, twój piękny welon stał się częścią tego większego woalu. A gdy Mehmed Zdobywca pozwolił swoim wojskom na trzydniowe plądrowanie i rabowanie pokonanego Konstantynopola, leżałaś twarzą w dół ukryta w końskim żłobie; ulice spływały krwią i płonęły ostatnie wspomnienia o Bizancjum. Teraz czczą cię i mahometanie, i chrześcijanie - przychodzą, składają drobne ofiary w intencji zagubionych rzeczy, zmiękczenia serca upartego biurokraty, bezpieczeństwa dla syna w wojsku.

Tysiąc czterysta lat, cztery cesarstwa, tuzin cerkwi; teraz spoczywasz na zasłonie u Świętego Pantelejmona, w cerkwi ani szacownej, ani starożytnej - ukryty skarb pomiędzy tuzinami ozdabiających ikonostas malowideł. Na tym polega cała sztuka: oko profana cię nie rozpozna, musi cię odnaleźć oko wiernego. Nauczasz, że w codziennych miejscach codziennie można odnaleźć cuda; ukryte, niepozorne, rozplływające się w tłumie zaraz po tym, jak się uczyniły. Boskość jest w twarzach, które widzisz codziennie wokół, spowija cię jak woal.

Tego wieczoru ojciec Ioannis uhonorował Maryję od Opiekuńczego Welonu, zdejmując ją z ikonostasu i ustawiając na sztaludze w narteksie - specjalna ikona na specjalny nieszpór. Pod stojakiem już widać małą kupkę euro i eurocentów.

Kosmiczny błękit woalu błyszczy z dusznego cienia Havyar Sok i wabi Georgiosa Ferentinou do środka. Wałęsał się, myśląc, układając myśli o wierze i chemii, gdy jego uwagę zwrócił przebłysk dawnej wiary, niebieski jak zimorodek. Nie planował w ogóle zbliżyć się do Świętego Pantelejmona, ale chłód opiekuńczego błękitnego welonu jakby przesycił maleńki kafelkowy przedsiónek. Zgiełk Stambułu odpływa daleko. Georgios może odetchnąć, odetchnąć głęboko bez duszności ani ucisku. Powietrze pachnie słodko, nie kadzidłem i nie płynami, którymi ojciec Ioannis zmywał mocz, lecz jakimś starszym, głębszym aromatem; perfumą Marii Dziewicy, jeszcze starszą niż chrześcijaństwo, pochodzącą od starych bogów Greków i Hetytów, płodnych Wenus ludów pierwotnych z Anatolii.

Ojciec Ioannis śpiewa Prokimen. Ma ładny bas, głęboki jak podziemna cysterna. Czysty jak dzwon. Georgios mruczy wersy liturgii. Nie do zapomnienia. Nauczony raz, a dobrze, w dzieciństwie. Nigdy nie walczył z religią - co za sens buntować się przeciwko czemuś tak pięknemu, przeciwko tak poruszającemu teatrowi, melodii wieczności? Można ją cenić, choć się w nią nie wierzy. Stoi z brzegu drzwi do narteksu, w cieniu, skąd może widzieć, nie będąc widzianym. Przed ikonostasem płoną rzędy świec i lampek oliwnych. W migocącym świetle tym brutalniejsza wydaje się męka świętego Pantelejmona. Oprawcy przygwoździli mu dłonie do głowy. Widać lukę w miejscu zamieszkiwanym zwykle przez Matkę Boską od Welonu, otoczoną czaszkami z gwoźdźmi, biczowaniami, okrutnymi egzekucjami, dziełami sztuki, których tak pożąda pani Erkoç od galerii. Rosjanie płacą za nie absurdalne pieniądze; królowie gazu i surowcowi oligarchowie zapelniają sobie ściany męczennikami. Mroczni, zagadkowi ludzie ci Rosjanie.

Ojciec Ioannis wchodzi w pole widzenia Georgiosa i zajmuje miejsce przed wejściem do prezbiterium. Stary człowiek się cofa. Modlitwa okolicznościowa. Głos ojca rządzi całą przestrzenią pod wymalowanym w gwiazdy sklepieniem cerkwi. Nie po raz pierwszy odprawia nabożeństwo sam przed Bogiem. Dziś jednak nie jest z nim sam. Jakiś ruch, cień w nieskończonym mroku nawy. Wierny. Głowa okryta woalem... kobieta.

Serce staje Georgiosowi w piersi. Cofa się od drzwi, podwójnie bojąc się, że ktoś go zobaczy. Musi jednak sprawdzić. Ostrożnie obchodzi drzwi, aż widzi ich oboje z profilu. Kobieta ma pochyloną głowę. Woal kryje rysy twarzy. Pasma siwych włosów wydoszło się, spływa po kołnierzu bluzki. Georgios ledwo śmie odetchnąć. To ona. To musi być ona.

Kończy się Pieśń Szymona, kobieta unosi głowę. Jej twarz chwyta światło. Jest idealna w tej boskiej nieobecności, uśmiechnięta z zachwytu nad dźwięczącym rezonansem starego kościoła. Basowy dzwon ojca Ioannisa zaczyna na nowo. Żeby to trwało wiecznie, myśli Georgios. Żeby ten tren dla Marii Panny brzmiał wiecznie w zniszczonym świecie, trwał poza czasem. Trzęsą mu się dłonie. To voyeuryzm: jest podglądaczem dusz. Zapach kadzidła nagle zaczyna go dusić. Musi wyjść. Trzeba wyjść. W pośpiechu potyka się o stojak z ikoną. Matka Boska od Opiekuńczego Welonu, wyniosła od tysiąca czterystu lat, przechyla się ku kafelkom. Georgios poprawia ją, ale zgrzyt mosiądzu sprawił, że Ariana odwróciła głowę ku narteksowi. Georgios okręca się, garbi i otula się mocniej marynarką. Nie widzą mnie, nie słyszą mnie, o Pani, otul mnie swoim woalem.

Za drewnianymi drzwiami własnego mieszkania, we własnej drewnianej kuchni, Georgios nastawia czajnik. Ma swoją herbatę, robioną specjalnie dla niego mieszanekę z nad Morza Czarnego. Ma szklanki, mrugające w świetle reflektorków. Ciska jedną o ścianę. Delikatna szklana banieczka eksploduje. Kolejna i jeszcze jedna, wszystkie. Ryczy z nieartykułowanej wściekłości i straty. Wszystkie, koniec. Nie da się oddychać, czy można gdzieś uciec od upału w tym domu, tym okropnym domu? Nie cierpi go, nigdy go nie cierpiał. Sprowadził się tu tylko dlatego, że nie było go stać na nic lepszego po tym, jak Ogün Saltuk powiedział mu, że jego kariera profesora na uczelni jest skończona. Podjęte nieświadomie decyzje powyszczерbiały jego życie, aż z człowieka została tylko ta drzazga. Powinni być przyjaciele, poza paroma starymi Grekami, powinna być rodzina, powinny być dzieci. Powinna być Ariana Sinanidis.

Ekonomia nie zawsze była „ponurą nauką”. Przez połowę wczesnej jesieni roku 1980 ekonomia była ekscytująca i rewolucyjna. Przez parę fantastycznych tygodni kończących letnie upały ekonomia była nawet modna. Georgios Ferentinou nigdy nie był modny. Nigdy nie spędzał wieczorów w barach na placu Taksim i kawiarniach na Beyoğlu, z ludźmi, którzy potrafili długo po godzinie policyjnej gadać o ideach, ludźmi, których nowe sposoby patrzenia na świat i myślenia o nim ekscytowały tak samo, jak jego. Nigdy nie maszerował obok znanych z gazet nazwisk i twarzy, i nie uświadamiał sobie, że to po prostu ludzie. Nigdy nie odwracał się plecami do policyjnej armatki wodnej, nie uczył się, jak podnieść granat z gazem łzawiącym i odrzucić go z powrotem ku pancernym szeregom, a potem rzucić się do szaleńczej ucieczki przez uliczki i soki starego Beyazit i Eskiköy, by zatrzymać się w bramie, bez tchu, z oczyma wytrzeszczonymi od nagle uświadomionego niebezpieczeństwa, czuć oddech stojącej blisko Ariany Sinanidis i pozwolić, by ta zadyszka nagle przerodziła się w potężny wybuch śmiechu. Nigdy nie wiedział, że potrafi biegać. Zawsze był chudy, błąd i

oderwany od rzeczywistości. Nawet się rozpolitykował - dyskretnie i skromnie. I zakochał się.

W miłości najbardziej ślepnie się na terażniejszość. Wykłady, które prowadził, wiece, na które chodził, ulotki, które drukował o północy na uczelnianym Gestetnerze - w tym nie chodziło o socjalizm, komunizm czy islamizm. To był romantyzm. W czasach rewolucji nie ma bardziej płomiennej namiętności niż miłość. Nawet gdy twarze z gazet już nie stały u jego boku na demonstracjach, gdy w kilwaterach za łodziami na Kadiköy i Eminönü oraz na odludnych bocznicach przy szosie do Bursy wynurzały się kolejne trupy bez twarzy, jemu nic takiego nie mogło się przytrafić. Miłość chroniła go jak słowo Boże.

- To wszystko skupi się na nas - powiedziała matka. - Widziałam w pięćdziesiątym piątym. Zawsze mści się na Grekach, Kurdach i Ormianach. I Żydach. Myślisz, że pozjadałeś wszystkie rozumy, latasz sobie z tą panną Sinanidis, myślisz, że nie mogą ci nic zrobić, ale Turcy mają długą pamięć. Wszystkie te wysokie naukowe stanowiska, wielkie awanse na uczelni, zawsze trochę ci do nich zabraknie. Zawsze znajdzie się jakiś Turek, który będzie miał lepsze kwalifikacje, lepsze publikacje, będzie bardziej pasował do stanowiska.

- Ich już nie będzie - powiedział Georgios. - Już wygonimy generałów i wprowadzimy przyzwoity socjalizm.

- A co ty wiesz o socjalizmie? - zapytał ojciec Georgiosa.

Aresztowania zaczęły się trzy dni później, od Ormian. Szacownych członków społeczności, bywalców salonów, menedżerów, przedstawicielei czwartej władzy zgarniano z pracy, odrywano od stołów, wyciągano z łóżek. Większość zwolniono po dwudziestu czterech godzinach. Niektórzy stanęli przed sądem i poszli do więzienia, wracając do domów i rodzin wiele lat później, kiedy w Ankarze zapanowała akceptowalna dla wojskowych demokracja. Niektórzy nigdy nie wrócili. Grecy dostrzegli ten znak. W tydzień z Cihangiru wyprowadziło się osiemdziesiąt rodzin. Rodzina Georgiosa w końcu, z desperacji, wysłała do niego telegram na ręce portiera w budynku wydziału.

- Synu, synu, nie mów tak, nie możesz zostać - błagała matka. Pamięta ten wieczór w domu, gdy pierwszy raz dostrzegł, że jest taka drobna, taka stara, nogi ma chudziutkie i kruche.

- Mam robotę.

- Robotę? Mówisz o lataniu po mieście z tymi Młodymi Socjalistami, jak oni się tam nazywają, z tą panną Sinanidis? Strasznie zadziera nosa, wiesz?

Georgios przełknął złość.

- Nie. Robotę. Muszę skończyć doktorat.

- Możesz się przenieść na uniwersytet w Atenach.

- Tak? A który konkretnie?

- Synu - przerwał ojciec, lecz matka padła na kolana i się rozplakała.

- Rozbijasz rodzinę, łamiesz mi serce, czemu nie pojedziesz z nami? To tylko rok, dwa, może potem wszystko się ułoży i będziesz mógł wrócić. - Wiedząc, jak wszyscy w tym dusznym, ciasnym saloniku, gdzie przychodziły zdechnąć kuchenne zapachy, że nigdy nie wrócą, że nie wróci żaden z Greków pakujących teraz swoje życie do kartonów i skrzynek po owocach.

- Powiedz chociaż, że nie robisz tego dla niej - błagała matka. Nieczysty cios poniżej pasa, jaki może zadać tylko matka.

- Muszę skończyć doktorat - odparł głosem z kamienia.

Pomógł im załadować się do dostawczaka pana Bozkurta. Uważał, aby nie nosić żadnych pudeł ze swoimi rzeczami z dzieciństwa. Bez słowa pozwolił rodzicom je zabrać; któregoś dnia będzie musiał po nie wrócić. Żaden syn nie odda swojego dzieciństwa. Ale nie chciał patrzeć, jak odjeżdżają tą białą furgonetką, jak skręcają z Somuncu Sok w Cihangir Caddesi, potem nową autostradą na zachód, przez Adrianopol, ku granicy. Pojechali do Grecji, do obcego kraju; wynajęli ciasne, przegrzane mieszkanie na Exarchei. Nienawidzili go do końca życia, bo nikt nie rozumiał ich akcentu i wszyscy nazywali ich Turkami.

Wrócił do swojego pokoju na uczelni i nie odbierał telefonów od Ariany. Trzy dni po wyprowadzce Ferentinów z Cihangiru, gdzie mieszkali od czasów helleńskich, władze zajęły uniwersytet, rozbiły pikiety, spałowały studentów, aresztowały agitatorów, zatrzymały wykładowców i naukowców. A potem przyjechał czarny samochód, żeby zabrać Georgiosa na drugą stronę Mostu Bosforskiego.

Trzy razy Georgios obraca w dłoni ceptepa i trzy razy go odkłada. Jest mu niedobrze ze strachu. Próbuje sobie wyobrazić, jak będzie brzmiała. Zapomniał jej głos. Powtarzał sobie, co ma powiedzieć, ale jej odpowiedzi nie przewidzi. Może nawet nie będzie chciała z nim rozmawiać. Może po prostu się rozłączy. Tego by nie zniósł. Całe życie zawodowe poświęcił szacowaniu ryzyka, sposobom oceny i akceptowania go przez różnych ludzi, a sam nie potrafi się z nim zmierzyć. Łapie ceptepa. Numer ma w podręcznych. Dzwoni. Odpowiada głos w obcym języku. Grecki. Po grecku. Georgios szuka słów.

- Halo?

- Halo, kto mówi?

- Halo, czy Ariana Sinanidis? - Georgios słyszy drżenie w swoim głosie.

Pauza. Wstrzymuje oddech. Głos odzywa się znów.

- A kto mówi? - Wypowiedziała dotąd sześć słów, ale ten głos, ten głos, powraca do niego z każdą sylabą.

- Mówi Georgios Ferentinou.

CZWARTEK

VII

Przyszedł Dzień Zero. Dzień Zero jest słoneczny i upalny, upalny, upalny. Upalny tak, że o szóstej rano od autostrady promieniuje żar. Asphalt błyszczy i się topi. Turecka flaga na maszcie na wzgórzu po drugiej stronie zwisa jak zdechły ptak. Adnan wstał równo z adhanem o świcie. Modlitwa jest lepsza niż sen. A zysk lepszy niż jedno i drugie. W Dniu Zero trzeba przestrzegać pewnych rytuałów - wyglansować buty. Siada w bokserkach na kuchennym stołku, z rozłożoną na stole gazetą - zabłakane okruchy pasty zmywają się ze skóry łatwiej niż z materiału. Prasa już robi na spodniach ostry jak brzytwa kant. Zetrzeć z marynarki farfocle, włosy, łupież. Golenie w Dniu Zero wygląda tak jak w reklamach: przy samej skórze, jeszcze bliżej, do gładkości. Gładko jak przy pięciu ostrzach. Hasan swoją brzytwą zrobiłby to lepiej, jak należy. Ale to potem. Kiedy się uda, w nagrodę rozwalisz się w wielkim fotelu i pozwolisz mu pocałować twarz stalowym ostrzem. Adnan robi długi, powolny wydech, kiedy w twarz piecze go woda kolońska. Nie wierzy w te reklamowane w magazynach wody po goleniu, z tymi macho-nazwami typu Blue Steel czy Hugo Man, albo, co gorsza, nazwiskami piłkarzy i golfistów. Woda kolońska to zapach dla mężczyzny. Tym bardziej w Dniu Zero.

DJ w radiu, czy on coś wie, bo muzyka dla rannych ptaszków wydaje się dziś wyjątkowo skoczna? Błąd potwierdzenia, tak jak wtedy, gdy kupił audi i wydawało mu się, że na drodze co drugi samochód to audi. Adnan właśnie prasuje swoją Dzień-Zerową koszulę, gdy z sypialni wyłania się Ayşe w samych majteczkach.

- Gorący dzień, gorący towar - mówi, odgarniając rozczochrane po spaniu włosy.
- Ma być trzydzieści osiem stopni, mówią w radiu.
- O tobie mówię, jak stoisz w samych majtkach i prasujesz. Męskie prasowanie.

Delikatna rzecz, jak męski balet.

Zastanawia się, czy w ogóle go widzi, zaspana. Ayşe wolno się budzi. Toczy się do kuchni i nalewa wody do czajnika. Rury świszczą, dudnią i wydają dziwaczne, zwierzęce ryki, ale przynajmniej jest woda - o tej porze, z rana.

- Tylko dlatego, że ty tego dobrze nie zrobisz.

- Trzeba mocno się postarać, żeby tego dobrze nie zrobić.

Za to kawę robi dobrze, wspaniałą kawę, taką, jaką uczysz się robić tylko dorastając w domu, gdzie jest kucharz. Adnan pije ją w odpowiedniej odległości od koszuli, jeszcze ciepłej od żelazka. O ileż lepiej będzie smakować na tarasie nadbrzeżnej yali, z widokiem na przepływające statki? Będą się musieli trochę bardziej ubierać. Uczta dla oka dla marynarzy i wścibskich sąsiadów. Zresztą, niech się cieszą. Boże, jak ona super wygląda, jak tak kuca, żeby wyciągnąć rzeczy z pralko-suszarki - rozstawione uda ponad drobnymi, balansującymi stópkami, boska brzoskwinka tyłka. Plecy ma niesamowite. Nigdy tego wcześniej nie zauważył, doskonałej, kształtnej symetrii mięśni wokół doliny kręgosłupa, ale oszalał na go to i podnieca. W Dzień Zero wszystko jest ostrzejsze i bardziej sexy.

- Przepraszam, że tak późno wczoraj wróciłam, załatwiałam parę rzeczy z Ahmetem i Mehmetem.

- A co, gonisz za czymś?

Po grze mięśni poznaje, że się uśmiecha.

- Jasne.

- Powiesz mi?

Znów ten mięśniowy uśmiech.

- Jasne, że nie. Powiem ci, jak się uda. Ty masz swój deal, ja mam swój.

Ayşe zabiera kawę do sypialni. O siódmej Adnan jest ubrany. Koszula na Dzień Zero, garnitur na Dzień Zero, krawat na Dzień Zero, skarpetki i buty. Miała rację. Zajebiście wygląda. Zapina spinki.

- No dobra. Do boju.

Ayşe wychodzi z sypialni, żeby go pożegnać. Włożyła japońskie jedwabne kimono.

- Woląłem cię tak jak przedtem - mówi Adnan.

Ayşe daje mu klapsa rękawem kimona.

- No chodź tu. - Całuje go długo, z obietnicą dzikości i smakiem kawy. - Idź, zrób co trzeba i wróć jako milioner.

- Zadzwoń, jak będzie po wszystkim.

Przy garażach stoją ci gówniarze. Pewnie sterczą tam przez całą noc. Jak zawsze, kiedy otwiera audi, łypią na niego i wydają ciche, zwierzęce odgłosy, niby do siebie. Żeby zerknąć w ich stronę. Tylko tyle potrafią. Adnan rozważa, czy nie opuścić szyby i nie powiedzieć im, żeby stąd wypierdalali i znaleźli sobie, kurwa, jakąś pracę, lenie pierdolone. Ale za tydzień o tej porze już go tu nie będzie.

Samochód wyjeżdża z garażu na autodrivie, jednak wskoczywszy na autostradę, Adnan przechodzi na ręczne. Dyscyplina prowadzenia nie pozwala mu za dużo myśleć o tym, co ma zrobić z Kemalem. Ruch już jest gęsty; za klimatyzowaną szybą wisi gruba jak zasłona mgielka upału, radio trajkocze, prorokując, że do ósmej zostaną pobite rekordy temperatur. Przełącza je mrugnięciem na kursy zamknięcia z Londynu i Frankfurtu, regionalnych ośrodków giełdowych Henry Hub w Luizjanie i Vienna Hub w Wiedniu oraz środkowoporanne kursy z rynków wschodnioazjatyckich. Azja Środkowa już leci w górę; zaraz otworzy się Baku. Wielkie audi burczy w srebrnym potoku aut. Ultralord przybywa.

Kadir dzwoni, kiedy jest pięć minut od mostu. Świat przypomina o swojej obecności. Adnan włącza autodrive. Na szybie wyświetla się twarz Kadira.

- Bądź pozdrowiony, Hydror.
- Bądź pozdrowiony, Draksor. Mam materiał. Gdzie jesteś?
- Będę za pół godziny.
- Zaczekam w głównym hallu.
- To do zobaczenia.
- Nieźle się zapowiada.
- No, nieźle.
- Znacząco, gorąco będzie. Jak nigdy.
- Gorąco.

Jest na wjeździe na most. W dole, po lewej, stoi jego yali. Tak należy o niej myśleć. Adnan odrywa się od tamtej myśli, wywołując na ekran ulotkę od agenta nieruchomości. Taki balkon, taki taras, stamtąd będzie patrzeć na łukowaty korek na moście, wiedząc, że nie musi w nim stawać.

Samochód zwalnia. Do zera. Korek na Moście Bosforskim i drogach poprzecznych, coś, w czym Adnan nie cierpi tkwić, zawieszony wysoko nad wodą na smukłej konstrukcji. Kiedy jest dużo samochodów na autodrivie, czasem się tak blokują, hamowane przez nadaktywne korygowanie własnej prędkości względem innych aut. Wyłącza autodrive. Niech się owce przed nim same rozejdą. Natychmiast włącza się hamowanie awaryjne: ten korek spowodowało coś innego niż stadne komputerowe sterowanie. Teraz startują klaksony. Adnan przepatruje kanały dla kierowców. Informacje o incydencie na Moście Bosforskim. Wydział Autostrad informuje o incydencie... incydencie. Incydent oznacza dla Adnana, że sprawcą jest człowiek.

Wychodzi z samochodu, żeby lepiej widzieć ten incydent. Ogarnia go ryk klaksonów. Kobieta po prawej stronie drze się bezgłośnie do przedniej szyby, rytmicznie waląc dłońią w

klakson. Epicentrum zamieszania jest niedaleko, nie więcej niż osiem samochodów od niego. Szczyt łukowatego prześła przed nimi jest pusty. Powoli zatykają się także pasy prowadzące do Azji, bo kierowcy zwalniają, żeby się na coś pogapić.

- Widzi pan, co się dzieje?! - krzyczy Adnan do kierowcy ciężarówki z potężnym wąsem.

- Samochód stoi w poprzek! - woła tamten.

- Walnięty?

- Jak dobrze widzę, to nie. Stoi se i tyle. Dziwna rzecz, jak ktoś próbuje się precyzyjnie, to on się przesuwają i mu nie daje. No. Walnie, a nie popuści.

Przed autem przeklinającej kobiety stoi autobus dalekobieżny. Pasażerowie tłoczą się z przodu, wyciągają szyje, żeby coś zobaczyć. Przeklinająca baba wysiada z miejskiego autka na most.

- Ktoś może mi powiedzieć, co się dzieje?

Facet dwa auta przed nią odwraca się i krzyczy:

- Skoczka mamy!

- Kogo? - pyta kobieta.

Kierowca ciężarówki zeskakuje ze schodków kabiny. Drzwi autokaru otwierają się z sapnięciem, kierowcy i pasażerowie lawirują między stojącymi autami.

- Może, gdyby dać mu spokój, szybciej byśmy przejechali - mówi Adnan, ale ludzie idą naprzód, pchają go w przód, dzieje się coś takiego jak na meczu, kiedy po prostu odpuszczasz sobie i stajesz się częścią tłumu.

- Ktoś mi wreszcie powie, co się tu dzieje? - Kobieta z citicara pyta ostatni raz, potem tłum porusza ją naprzód. - Moja torebka! - krzyczy.

Tłum ląduje w czterech rzędach między samochodami na przodzie. Adnan przeciska się do pierwszego rzędu: garnitur to autorytet. Nikt nie chce zaudać się zbliżyć do wariata w czerwonej toyocie parkującej pod kątem prostym w poprzek autostrady. Widać, jak pouszkadzał samochody, które chciały się precyzyjnie: poobijane zderzaki, potłuczone lampy, poodłupywana farba i włókno węglowe. To facet w średnim wieku, o kręconych włosach, szpakowaty, wygląd ma trochę wiejski. Jego toyota ma stambulskie tablice, sprzed dziesięciu lat - to przerobiony na gaz benzyniak. Siedzi z rękoma na górze kierownicy, bardzo wyprostowany, patrzy przed siebie. Teraz, gdy orkiestra klaksonów ucichła, bo ludzie powysiadali i poszli naprzód, dźwięk jego silnika wydaje się bardzo głośny.

- Jedzie policja! - krzyczy facet stojący dwa samochody od Adnana.

Widok robi wrażenie: czterech gliniarzy na motorach jedzie obok siebie po krzywej

mostu i dalej pustą drogą. Parkują w idealnym rzędzie: dowódca zsiada, zdejmując jedną po drugiej rękawicę i podchodzi do czerwonej toyoty. Kierowca zerka na niego. Palce zaciskają się na kierownicy. Gdy motocyklista podchodzi do jego okna, puszcza sprzęgło, wdeptuje gaz, pali gumy i wali w barierkę ochronną. Gapię wydają głośny okrzyk. Toyota błyskawicznie cofa, policjantowi ledwo udaje się zejść jej z drogi. Kierowca znowu na niego zerka i znów z piskiem pędzi naprzód i tłucze w barierkę. Blacha wygina się i rozpląszcza. Wrzuca wsteczny i cofa się do poprzedniego położenia, w poprzek mostu. Adnan widzi, jak oddycha: szybko, ustami. Potwornie się boi. Dowódca patrolu cofa się, żeby naradzić się z kolegami. Policyjne radia trzeszczą i potrzaskują.

Wtem ktoś krzyczy:

- I nic z nim nie zrobicie?!

Dołącza się ktoś inny:

- Ruszcie go, zabierzcie go stąd!

Teraz Kobieta z citicara, której torebka została na przednim siedzeniu:

- Wiecie co, niektórzy muszą jechać do pracy. Żeby zarobić na wasze pensje!

Pasażer autokaru, dla którego to wspaniały dramat na zakończenie długiej, męczącej podróży, wykrzykuje półzartem:

- Macie pistolety, zastrzelcie go i załatwione!

Oficer odwraca się na te słowa. Zdejmując kask, żeby zgromić tłum wzrokiem, ale tylko podgrzewa bojowy nastrój. Adnan czuł zapach tego wybuchowego, feromonowego, tłumnego potu na meczach, tuż przed tym, gdy na trybunach wybuchała bójka.

- Ile mamy tu stać?

- To przez was, już byśmy to sami załatwili.

- Zgarnijcie go!

- No ruszcie się!

- Gość ma rację, zastrzelcie palanta.

Kierowca toyoty ma teraz potężnego stracha i przegazowuje silnik. Na moście zapada cisza, nagle rozlega się pojedynczy głos gdzieś za plecami Adnana:

- Ej ty, tak, ty!

Kierowca rozgląda się przerażony. Nie widzi, kto go oskarża.

- Tak, ty! Zrób to dla nas! Przecież chcesz. No to czemu nie? No dawaj!

Przyłączają się inni.

- Dawaj, dawaj! Choć raz zrób coś po męsku!

Wąsaty kierowca ciężarówki obok Adnana mruczy:

- Boże drogi, co my robimy?

„Masz rację”, chciałby mu odpowiedzieć Adnan, „to straszne, jesteśmy potworami”. Ale rytm tłumu wciąga go. Waha się, serce dostraja się do taktu. Wie, co się dzieje, czuł to tyle razy na stadionie Aslantepe. Naprzód! Naprzód! Cimbom! Cimbom! Dawaj! Dawaj! Cimbom! I już krzyczy razem z nimi:

- Jedziesz! Jedziesz! Jedziesz!

Rycząca ściana dźwięku, zero nienawiści, zero okrucieństwa, nic emocjonalnego, po prostu umysł tłumu.

Facet w czerwonej toyocie kręci głową. Unosi wzrok, jakby widział niebo przez dach swojego starego rupiecia. Cofa. Tłum wiwatuje. Facet uśmiecha się zaskoczony, zadowolony. Publiczność go uwielbia. Wciska gaz, opony piszczą i dymią, nagle puszcza hamulec. Samochód wrywa naprzód tak szybko, że aż zarzuca mu przód. Gardłowy ryk tłumu urywa się w okamgnieniu, gdy czerwone auto wali pod kątem w spłaszczoną barierkę i przeskakuje nad nią, wprawiając się w wirowanie. Płynie ku Bosforowi, wydaje się, że bez końca. Wisi w powietrzu. Opada łukiem, bardzo powoli i teatralnie. Odwraca się kołami do góry, dach uderza w wodę wzbijając potężną fontannę. Idzie prosto w dół.

Zapada cisza nad cisze, wszystkie dźwięki są martwe, a powietrze głuche jak ołów. Oczy Adnanowi pulsują, oddech trzepocze w piersi. Właśnie widział auto, które zjechało z Mostu Bosforskiego do wody. Niemożliwe. Poganiał człowieka, żeby się zabił. Razem z setką innych ludzi. Tłum to rozgrzeszenie. Nie da się oskarżyć żadnego konkretnego głosu. Ale i on się odzywał. „Jedziesz, jedziesz!” - krzyczał. Facet i tak by to zrobił. Tak, tłum dał mu to, czego chciał. Jak nie chcesz publiczności, to nie wybierasz sobie na samobójstwo środka mostu w porannym szczycie, prawda? Uśmiechał się, machał do widzów. Nic nie mógłś zrobić, żeby go powstrzymać. Jedź dalej. Ruszaj. Zajmij się swoimi sprawami. Wszyscy wracają do samochodów. Czeką cię ważna transakcja. I neurologiczne pałowanie mózgu. Po tym, jak namawiał człowieka, żeby się zabił, to już nie wydaje się takie straszne.

Kierowca ciężarówki kręci głową i wdrapuje się do szoferki. Pasażerowie autobusu wsiadają z powrotem, nie patrząc na siebie nawzajem. Kobieta z citicara ma łzy w oczach i znowu klnie, cicho, bez tchu: „Palant, palant, palant”, jakby to człowiek z czerwonej toyoty był winien, a nie ona.

Kibicowaliśmy człowiekowi, żeby się zabił.

Wokół włączają się silniki. Policja wreszcie ma jakieś zajęcie wymagające ich władzy: nadgorliwie machają, przepuszczając samochody. Helikopter zawisa nad pylonem mostu, potem opada poniżej jezdni, ku wodzie. Nic tam nie będzie. Bosfor ma podwójne prądy i

ciemne wiry, połyka wszystko jak leci. Na dnie, w mule, są całe cywilizacje. Gość z czerwonej toyoty zagrzebie się w trzy tysiące lat historii. Zapomnij o tym. Jest Dzień Zero. Wyrzuć to z głowy. Skup się na zadaniu. Ale czuje się brudny, ma brud między palcami stóp, brud między zębami, brud pod skórą. I we krwi - tak, wyobraża sobie, muszą się czuć heroiniści, jakby płynął im w żyłach popiół. Policjant niecierpliwie pogania go naprzód. Włącza autodrive i pozwala audicy powieźć się przez most do Europy.

* * *

Pamflet to jedna kartka formatu A4, zalaminowana, przypięta pinezką do wejścia do Ismet İnönü Apartments. Lefteres uważa, że równie dobrze włada pędzlem, jak piórem, więc pierwsze trzy wersy otoczył ramką z misternego roślinnego ornamentu. To jego najlepsze dzieło od wielu lat: nie tylko jest napisane w trudnym formalnie stylu, ale stanowi akrostych - inicjały, pogrubione czerwienią, głoszą: ROXANA KURWA. Właśnie to przyciąga wzrok przygodnego porannego przechodnia, który prześlizguje się wzrokiem i po chwili musi zawrócić, wypaść z rutyny, przeczytać jeszcze raz, skomentować, zastanowić się na jaki to lokalny dramacik właśnie natrafił. Ale przyzwoite kobiety z Eskiköy, panie domów i odwieczni mieszkańcy placu Adema Dede nie są zachwycone. Odkąd Bülent podniósł rolety i zapalił palniki, a Aydin zdjął z małej japońskiej mikrociężarówki dostawę obwarzanków, stare kobiety roily się wokół kamienicy Ismet İnönü jak szpaki, gapily się na dzieło sztuki, czytały je sobie nawzajem i rozpierzchały się, trzepocząc chustami, przy każdym szcęknięciu drzwi wejściowych. Lefteres siedzi w czajchaniu od otwarcia, zupełnie jak nie on, obserwuje reakcje, pławi się w zachwytach.

- Najtrudniejsze oczywiście było wykorzystanie stylu Attara w kontekście pamfletu - raczej opowieścią porannych kompanów od herbaty.

- Może nie uważałem w szkole, ale jakoś przegapiłem w *Parlamencie ptaków* takie teksty jak „gruzińska obciążaczka oślich fiutów” - mówi Bülent, zbierając puste szklanki. On jeden ze wszystkich w herbaciarni nie aprobeuje tego pamfletu.

Georgios Ferentinou człapie przez ulicę z domu derwiszy.

- Ej! Georgios! Co myślisz o pamflecie?

Lefteres łypie spode łba; wolałby sam z dumą pokazać. Georgios marszczy brwi, zdziwiony. Bülent wciska mu kartkę w dłonie. Georgios przeskakuje po niej wzrokiem i oddaje.

- Tak, tak, dobry. Bardzo przemyślny.

Zanim Lefteres wycisnie z niego dalsze pochwały, wtrąca się Bülent:

- Herbata, a może dzisiaj kawa, Georgios Bej? Bo jakiś jesteś dziś rozkojarzony. Moja

kawa na pewno by się z tym rozprawiła.

- To dlatego, że wczoraj widział Arianę - mówi ojciec Ioannis. - Przyszła do mnie na nieszpory.

- Nie tylko ją widziałem - dodaje Georgios Ferentinou. - Dzwoniłem do niej. Rozmawiałem. I dziś się z nią spotykam, w restauracji.

Teraz udaje mu się kompletnie przyćmić Lefteresa i jego pamflet.

- No to na pewno przegapiłeś to, co się tu wczoraj wieczorem działo - mówi Bülent. - Zgarnęli tego chłopaka, Hasgülera.

Drobna konsternacja; wywracają się szklanki z herbatą, łyżeczki lecą na ziemię.

- I to nie była policja. Nie wiem, kto to był, ale weszli jak nóż w masło, wyskoczyli z furgonetki, chwycili gościa, na pakę i odjazd. Tu, pod naszym nosem.

- Co, co, co? - pyta Georgios Ferentinou. Wiadomość Bülenta oczyściła go z oszołomienia lepiej niż jakakolwiek kawa. - Kogo wzięli? Co, gdzie?

- Chłopaczka od dzinnów - mówi Constantin.

- Necdeta Hasgülera? Co się stało? To bardzo ważne, mówcie.

- W sumie to ja tego nie widziałem - mówi Bülent. - Tylko głuchy dzieciak wszystko widział.

- On nie jest głuchy - mówi Georgios.

Grecki chór odpowiada:

- Ma wadę serca.

- Jeśli Can to widział, muszę z nim pogadać.

- Zaraz, zaraz, zaraz, czekajcie - mówi Lefteres. - Dopiero co napisałem znakomity pamflet, nie dość, że inteligentny, to także pełen literackich nawiązań, specjalnie po to, żeby odwrócić uwagę Turków, których kręcą takie rzeczy, od nas, Greków, a tu stary samotny Grek chce gadać w cztery oczy z tureckim dziewięciolatkiem? Nie, nie, nie.

- Nie rozumiesz, to bardzo ważne! - woła Georgios. - Mam przeczucie, że to kwestia bezpieczeństwa narodowego.

Lefteresowi udało się skierować rozmowę na swój pamflet, teraz zaś zauważył młodego człowieka w eleganckiej skórzanej kurtce, z torbą kurierską przewieszoną przez ramię, fotografującego kartkę ceptepem.

- To na pewno jeden z moich fanów - mówi Lefteres - tych, którzy prowadzą te strony internetowe i grupy.

Bülent wciąż nie jest zachwycony pamflecistą i jego dziełem, dlatego, zbierając na tacę pustą szklankę Georgiosa, pyta cicho:

- Z tym bezpieczeństwem narodowym... możesz coś powiedzieć?

- Uważam, że młody pan Hasgüler i inne osoby w tym tramwaju zostali celowo zarażeni środkami nanotechnologicznymi, że odpowiedzialna za to grupa inwigilowała ich przy użyciu robotów obserwacyjnych, a teraz zabrali go, żeby z bliska się przyjrzeć, czy eksperyment się udał.

- Jaki eksperyment? - pyta Bülent.

- Sprawdzenie, czy można sztucznie wytworzyć wiarę religijną.

Bülent otwiera szeroko oczy i usta, ale słów nie zdąża wypowiedzieć, bo w tym samym momencie gwałtownie otwierają się drzwi wejściowe Ismet İnönu. Gruzinka zdiera pamflet. Krzyczy na fotografa. Jej słowa są niezrozumiałe, toną we wrzasku, ale ton nie pozostawia wątpliwości. Młodziak cofa się, „spokojnie, bez urazy, wyluzuj”... Dopiero przymierzał się do zrobienia zdjęcia.

Szarżuje przez plac Adema Dede, klapki na płaskim obcasie kłapią na kamieniach. Jest ubrana w legginsy do połowy łydki i luźną żółtą koszulkę. Strojne srebrne kolczyki, piętrowe jak piramidy, bujają się i błyskają. Umalowała się do wyjścia na ulicę.

- Starzy obrzydliwcy! - wrzeszczy. Po turecku mówi słabo i z potwornym akcentem. - Co obrzydliwe piszecie? Ja, biedna kobieta, pracuję ciężko, nie mówię złego o nikomu, w ogóle. Przyjechałam do Stambułu, obce miasto, obce ludzie, języka nie znam, ale pracuję i nie mówię złego o nikomu, a wy mnie nazywacie gruzińską dziwką. Obrzydliwe rzeczy. Popatrzcie na siebie, stare dziadki: odważni tylko jak razem. I ksiądz z wami. Schowajcie mu się pod spódnicę. Jak dzieci u matki. Schowajcie mu się jak dzieci pod spódnicę. Schowajcie się pod tą kartką, w oczy mi nie powiecie, nie, musicie wieszać kartkę, w nocy, jak nikt nie widzi. i patrzcie: ksiądz! Aj! No to nie można uwierzyć: ksiądz, od Pana Boga? Muzułmanie, można by się spodziewać coś takiego, ale chrześcijanie? Ja, porządna kobieta, ciężko pracuję, co wam zrobiłam, wy chrześcijanie? - Jej gniew przeradza się w łzy.

Zawstydziła ich. Georgios nie może na to patrzeć, ale nie jest w stanie odwrócić wzroku. Gruzinka rzuca na stół laminowaną kartkę.

- Nie jestem głupia, umiem „Roxana Kurwa” przeczytać. Żli, niedobrzy ludzie. Żeby coś takiego pisać o biednej kobiecie, co jest sama w obcym mieście. I ojciec, proszę ojca. - Na koniec łzy i słowa wyczerpują się, pozostaje tylko jej złość, upokorzenie i godność. Odwraca się. W połowie drogi przez plac zatrzymuje się i łkającym, zdartym głosem krzyczy do balkonów i okiennic: - Chamy! Znam was wszystkich! Chamy! - Zamyka drzwi wejściowe z ledwie słyszalnym szczęknięciem.

* * *

Jest coś takiego jak osmańska postawa, zauważa Adnan. Siła i prosta postura, choć elastyczna i lekka. Widzi się to przeważnie u starych wojskowych i urzędniczych rodzin, które zrozumiały, że kraj zawsze będzie ich potrzebował. Kadira od razu widać na podłodze przepastnego, zalanego słońcem atrium Özera. Prosty, zgrabny, niewymuszony.

- Spóźniłeś się - mówi Kadir. Żadnych bzdur typu „Bądź pozdrowiony, Draksor, żywiolo ziemi coś tam”.

- Słyszałeś w informacjach, że był „incydent”? Dowiedziałem się z pierwszej ręki, co to oznacza.

- Mogłeś zadzwonić. Jeśli Kemal już dzisiaj sobie strzelił...

- Nie strzelił. Wszyscy, którzy zawrócili spod Mostu Bosforskiego, musieli pojechać mostem Sułtana Fatiha. Na pewno siedział tam w korku.

Adnan nie mógł zadzwonić. Nie mógł zrobić nic ponad to, co zrobił. Ciągłe widzi ten samochód, kręcący się w powietrzu, elegancko jak zawodowy skoczek do wody. I długo jeszcze będzie go widział. Kadir przesuwając dłoń o ułamek centymetra i jak iluzjonista wyczarowuje spomiędzy palców fiolkę z nano.

- Co mu zrobi? - pyta Adnan.

- Zrobili to, z czym się wyrobili w tym czasie. Robi dziury w pamięci średnioterminowej i wypełnia je losowymi śmieciami. Pseudopamięć, fałszywe wspomnienia. Teoria mówi, że wpuści do systemu tyle szumu, że potem już nikt nie odróżni, co jest prawdziwe, a co podłożone przez nano.

- Teoria.

- No wiesz, takich rzeczy się nie przetestuje. Trzeba zaufać projektantom.

- A ile ci projektanci wzięli?

- Osiem tysięcy euro.

- Za nieprzetestowany produkt, który musi zadziałać od pierwszego strzału. I nikogo nie zabić. Nie, nie nikogo, Kemala. I nie zrobić z niego psychopaty, ani po prostu siczki w mózgu...

- Teraz nagle masz skrupuły. Adnan, chodzi o kasę. Od początku o to chodziło. Rynek wystartował dwadzieścia minut temu. Robisz to czy nie? - Ma rękę magika, ruch palców i fiolka znika, po czym pojawia się ponownie.

- Dawaj - mówi Adnan, zabiera fiolkę i ścisną ją bezpiecznie w pięści.

Kiedy wychodzi z windy i przechodząc, zbiera te wszystkie „cześć”, „dzień dobry” i „jak tam?”, nadal ją tam ma, przyciśniętą mocno do linii życia na prawej dłoni. Kemal siedzi przy stoliku do kawy, przed nim stoi spodek z herbatą. Obok niego leży fiolka ze

wspomagaczem na pracowity dzień. To jego poranny rytuał: herbata i nano. Dalej, poza szklanką, Drzewo Pieniędzy już świeci światelkami jak drzewo w rajskim ogrodzie.

- Też bym się trochę napił.
- Nigdy nie pijesz herbaty.
- Dzisiaj to co innego.
- Kurwa, fakt. Herbata dla Lorda Draksora.

To herbata instant, siki w proszku. Adnan nie pije czegoś takiego, ale wystarczy mu, że Kemal zajmie się na moment czajnikiem. Otworzyć dłoń, zamknąć dłoń. Załatwione. Prosta sprawa. Wyjmuje z szafki swoją czerwono-srebrną traderską marynarkę. Rzutnik ceptepa na oku, głowica lasera centymetr przed prawą gałką oczną, to ostatni szlif. Ayşe ma rację: dodatki stanowią o stroju. Skradzione nano wsuwa do kieszeni.

- Pewnie złapała cię ta akcja na Moście Bosforskim - mówi Kemal, włączając czajnik.
- Co to było, jakaś starsza pani przypomniała sobie, że zostawiła włączony gaz i zawróciła?
- Nie. Samobójca.
- Kurwa - mówi Kemal.
- Gość zjechał samochodem z mostu. Prosto w powietrze.
- Widziałeś to? - Kemal miesza cukier. Kryształki wirują przy dnie szklanki.
- Mówiłem mu, że ma to zrobić. Ja i z pięćdziesiąt innych osób. Staliśmy tam i się darliśmy: „Jedziesz, jedziesz”. No i pojechał.
- Kurwa mać - powtarza Kemal. Stawia szklankę na stoliku, obok pirackiego nano Kadira. - To znaczy... no, ja pierdziele.

W tej chwili Adnan już nie stoi na zapleczu parkietu giełdowego. Ani na moście, nie patrzy, jak kręcą się w powietrzu koła czerwonej toyoty. Jest w Kaşu, na łodzi ojca. Na wąskiej brwi wybrzeża pod górami Taurus, kończy się sezon, zaczyna się październik. Kaş zawsze reklamował się jako zacisze, azyl, funkcjonujący w wolniejszym rytmie niż kurorty nad Morzem Egejskim. Kaş widział ich błędy i postanowił nigdy ich nie popełnić. Niskobudżetowi turyści, przywiani pierwszym jesiennym wiatrem, przynoszą ze sobą szczególnie luźne i mało wymagające nastawienie. Mają słońce, ciepło i turkusową wodę, głęboką jak czas. Adnan właśnie skończył cztery lata. Siedzi na łodzi ojca wożącej nurków do zatopionych licyjskich grobowców. Spaceruje między kobietami w bikini i mężczyznami w kąpielówkach „Speedo” wylegującymi się na matach na pokładzie. Kobiety gruchają do niego i cmokają, mężczyźni się uśmiechają.

Jest śliczny, ma ten zaciekawiony pół mars, pół uśmiech dzieciaka, który dorasta na słońcu.

Pływacy z fajkami wyglądają jak wielkie blade rozgwiazdy. Grobowce to bryły jasnego kamienia, przeblaskujące w głębinie. Ojciec Adnana smaży koftę na małym gazowym grillu wywieszonym za burtę gületa; potem przychodzi czas spotkać się z łodzią wujka Ersina, który przywiezie dla nurków więcej piwa i wódki oraz zabierze Adnana. Ojciec Adnana nie lubi, jak dzieciak przebywa z pijącymi. Wujek Ersin podpływa gületem burta w burtę; dwie łodzie kołyszą się delikatnie na łagodnie falującym morzu, o długość ramienia od siebie. Wystarczająco blisko, żeby podać skrzynki z piwem i wódką w jedną stronę, a Adnana w drugą. Może to nagły powiew wiatru kapryśnie rozfalowuje obrzeżoną górami wodę, a może ojciec Adnana i wujek Ersin nie uważają z powodu rutyny. A może Adnan jest cięższym czterolatkiem niż im się wydaje. W każdym razie, gdy wystawiają go za burtę, wyslizguje się z rąk i wpada do wody.

Pływać nie umie, ma dopiero cztery lata. Nawet gdyby umiał, ten szok, wstrząs i nagłe zimno sparaliżowałyby go. Wpada i leci w dół. Cały czas widzi wodę nad swoją głową, patrzy w górę na wypukłą soczewkę światła pomiędzy dwoma kadłubami. Czuje, że wierzga nogami, ale ciągle opada, bąbelki wznoszą się wokół niego, strasznie dziwne. Bąbelki. Linia światła słabnie, zwięża się do nitki, w miarę jak nieprzewidywalne morze z falkami jak kocie języczki popycha łodzie ku sobie. Leci w czerń. Pamięta, że kopał, kopał czarną wodę, w płucach i w głowie brzęczały mu czarne zuczki ciemności, w głowie dudniło, pierś spazmatycznie domagała się oddechu, ale nie można, ale muszę, ale nie można, ale muszę. Kopie, kopie, ale światła nie widzi, nie wie, czy idzie w górę, czy nadal tonie.

Na górze krzyki kobiet w bikini: „O Boże, o Boże, upuścił dziecko”. Faceci w kąpielówkach zrywają się na nogi, ale załoga już rozpycha łodzie bosakami. Gdy otwiera się szczelina, ojciec Adnana i wujek Ersin nurkują. Wyciągają go zimnego, z bezwładnymi kończynami. Wuj Ersin robi sztuczne oddychanie, ojciec łapie Adnana za kostki i macha nim jak kotem. Adnan kaszle, dławi się, pluje słoną wodą, flegmą i żółcią. Gdy gület cumuje do pomostu, lekarz już czeka. Pędzą jego autem na izbę przyjęć w Olu Deniz. Wypuszczają go do domu tego samego dnia wieczorem. Czterolatki potrafią długo przebywać w wodzie i nie utonąć. To odruch nurkowania, wdrukowane w mózg pierwotne zachowanie, które dorośli uczą się zapominać. Dzieci robią się bezwładne, odrętwiałe, zwalnia im puls, krew kieruje się do mózgu. Mogą przeżyć pod wodą do dwudziestu minut. Dorośli panikują i toną. Przez kolejne trzy dni ciocie oraz inni hojni krewni przychodzą zobaczyć uratowanego cudem chłopczyka i obsypują go słodyczami i całusami. Jednakże Adnan nigdy nie zapomni tej zamykającej się szczeliny światła, tego lotu w czarną wodę. Przypomniał to sobie na łodzi Ferida Beja, pędzącej po wodnych zmarszczkach ku światłom Złotego Rogu. Przypomina to

sobie za każdym razem, gdy jedzie przez Most Bosforski, nad tą smużką czarnej, głębokiej wody pomiędzy wzgórzami. Wspomnił to, bardzo dokładnie i klarownie, kiedy zobaczył koziółkującą w powietrzu czerwoną toyotę, wchodzącą w wodę gładko jak skoczek. Czuł to, co czułby w tym samochodzie: czarna woda napierająca na drzwi, wdzierająca się przez szczeliny, wywietrzniki i niedopasowane uszczelki; wypełniająca przestrzeń pod nogami, schówek, światło słońca coraz słabsze, w końcu gaśnie.

- Dwa do trzech za Arsenal?

- Co?

- No, jutro! Bukmacherzy dają dwa do trzech za pieprzonych Angoli.

- Eee... A, tak. Arsenal.

- Przepraszam, masz inne rzeczy na głowie.

- To tylko transakcja. - Adnan poklepuje się po kieszeniach. - Cholera. Zostawiłem sprzęt w samochodzie. Jest jakaś szansa skorzystać z twojego?

- Potrzebujesz bardziej niż ja.

Adnan unosi zdradziecką fioletkę i podrzuca ją w dłoń.

- Wdzięczność dozgonna. - Odkręca korek. Pora na traderskie wyczucie chwili. Zatyka jedną dziurkę, przygotowuje się do wciągnięcia i wybucha spazmatycznym kaszlem. Nano rozpryskuje się, opalizując, pękniętą tęczą. - Kurwa mać. Przepraszam cię. Kurwa. Dobra, zaszaleję, wejdę w to na gołym mózgu. Możesz zawołać kogoś z BHP, żeby to zutylizował? - Według brukselskich przepisów, wycieki nano to odpady toksyczne, tak jak świetlówki energooszczędne.

Jeden samochód w powietrzu nad Bosforem wystarcza na dowolny dzień. Wystarcza na całe życie. Pójdzie, zrobi tę kasę, a później się pomyśli, jak ją wyjąć, czysto i bezpiecznie. Zawsze coś wymyśla.

- Leć, zapierdol dla mnie ten milion! - woła Kemal.

- O, znacznie więcej. Wzywam cię, powietrzny żywiole!

Wchodząc na parkiet, Adnan odkręca skradzione Kemalowi nano i wciąga je nosem. Co innego trochę szaleństwa, a co innego prosta głupota.

* * *

LISTA SPRZĘTU NA FAJNĄ MISJĘ MAŁEGO DETEKTYWA

1. Duży plecak, co najmniej 30 x 40 x 15 cm. Musi pomieścić nr 2 (poniżej). Dużo bocznych i przednich kieszeni na zamki. Czarny, czerwony, szary. Nie fioletowy, nie różowy, bez dzieciennych nadruków z serialami, filmami, zabawkami. Ostateczność/konieczność: szkolny plecak.

2. Komputer. Z ładowarką. Bateria naładowana do pełna, czas pracy: 8 godzin. Komputer zawiera wszystkie ważne informacje o Sprawie Tajemniczego Robota/Znikającego Szejcha (tytuł roboczy).

3. Ceptep. Z ładowarką. Tylko w nagłych wypadkach. Ceptep ma być wyłączony, chyba że jest absolutnie niezbędny, bo system GPS pozwala śledzić Małego Detektywa. Przydatność wątpliwa, ale strzeżonego (trochę) pan Bóg strzeże.

4. Słuchawki, małe, do ucha, do monitorowania numeru 2.

5. Paczka plastrów.

6. Woda, dwie butelki 0,75 z dzióbkiem. Można napełniać z publicznych źródełek, woda pitna w Stambule jest (tradycyjnie) czysta, świeża i dobra.

7. Antyseptyczne chusteczki, na otarcia od plecaka - Mały Detektyw szacuje, że będzie go nosić przez co najmniej osiem godzin - do wycierania palców po jedzeniu, czyszczenia deski w toalecie, ogólnych potrzeb higienicznych.

8. Majtki na zmianę i skarpetki.

9. Peleryna nieprzemakalna, nanowłókno, b. dobre. Zwija się w kulkę wielkości pięści. Deszczu nie zapowiadają, ale później może się zrobić chłodno.

10. Długopisy, 3 szt.

11. Mały reporterski notes, czarna okładka z gumką do trzymania w pozycji zamkniętej/otwartej. B. profesjonalny.

12. Krem z filtrem 30. Mały Detektyw nie wychodzi na dwór tak często, jak powinien/chciałby.

13. Okulary słoneczne jw. Poza tym, co to za detektyw bez okularów.

14. Antyperspirant, sprej do nóg, chłodzący, miętowy. Zżuwalne szczoteczki do zębów (4) z automatu w Tesco. Czemu supermarket sprzedaje te żwaczki? Grzebień do włosów.

15. Pieniądze. 120 euro, w małych banknotach, schowane w trzech miejscach dla bezpieczeństwa. Rulon 3, największe banknoty, między stopą i palcami prawej nogi. To Fundusz Powrotu Do Domu W Razie Nagłej Konieczności. Wystarczy na taksówkę z dowolnego miejsca na plac Adema Dede, według cen z sieci, ze strony Eskiköy Taksis. Przy telefonie, pieniądze, które może ktoś znaleźć. Gotówka, gotówka jest bezpieczna, anonimowa. Gotówka rządzi.

16. Mapa turystyczna Stambułu z wyraźnie zaznaczonymi liniami komunikacji. Mniej szczegółowa niż mapa na ceptepie, ale bezpieczna. Wydrukowana w domu mapa dzielnicy Kayaşdağı, z zaznaczonymi pozycjami GPS Małego Szczura. Ostatnia pozycja to centrum biurowe przy Bostanci Dudullu Caddesi.

17. Spodnie z dużą liczbą kieszeni, bawełniane skarpety, wygodne adidas, dużo miejsca na palce. Koszulka, spokojny, anonimowy kolor, bez logo. Zapasowa w plecaku, jako ochrona dla komputera.

18. BitBoty we wcieleniu Węża, owinięte wokół lewej ręki i przegubu Małego Detektywa, mocno przytulone do ciepłego pulsu.

* * *

- Powiedz, co widzisz.

Widzę... widzę świat dzinnów, ognistych istot, gdzie nic nie jest trwałe i jeden kształt przechodzi w drugi, duch w ducha, wszystko migoce, wszystko się zmienia, rozkwita i jest połykane, istoty z żywego ognia.

- Powiedz, co widzisz.

Słowa... nie ma pojęcia, skąd wie, że to są słowa, skąd płyną i gdzie łączą się w wieczny stwórczy ogień rodzący dzinny. Teraz nabierają trwałości, odbijają się widzialnym echem, cieniem, który trwa w ogniu, choć ten go trawi, czymś więcej niż tylko wizją: dźwiękiem.

- Powiedz, co widzisz.

Necdet słyszy słowa.

- Jestem w pokoju. Białe ściany, szara wykładzina. Leżę na materacu. Materac jest przykryty materiałem w kwiatki. Drzwi są otwarte. Za nimi widzę kobietę, która kłęczy na ziemi. Ma dzinsy i kwadratowe okulary. Na głowie ma zieloną chustę. Rękawy swetra ma podciągnięte. Obok niej jest facet w skórzanej kurtce, z długimi włosami. Z tyłu jeszcze jeden...

- Wystarczy. Wygląda na to, że jest przytomny - mówi facet z długimi włosami, w skórzanej kurtce.

Necdet z trudem ogniskuje na nim wzrok. Wokół niego pełgają płomienie innego świata.

- Wiesz, kim jesteś? - pyta kobieta.

- Jestem Necdet Hasgüler. A wy? Gdzie ja jestem.

- Nie możemy ci powiedzieć - odpowiada kobieta. - Jeśli to ci pomoże, możesz myśleć o nas „Boży Inżynierowie”. A ty jesteś naszym eksperymentem.

- Porwaliście mnie. Zgarnęliście mnie pod tekke, szedłem do domu, gdzie ja jestem, która godzina?

- Później, niż myślisz. Jest rano, jesteś tu od wczoraj wieczorem. Raczej nie będziesz pamiętał większości tego, co się działo.

- Podaliśmy ci sprofilowane zestawy nanoagentów - mówi długowłosa. - Sporo o tobie wiemy, Necdet.

- Nie jesteście z policji.

Facet z długimi włosami parska śmiechem.

- No nie, ale rozumiem, czemu mogłeś tak pomyśleć. Policja zaczęła łapać nasze obiekty, to oni zmusili nas do działania, musieliśmy cię zgarnąć przed nimi.

- Jesteśmy Bożymi Naukowcami - mówi kobieta.

Kojarzy skądś jej twarz, ale nie wie skąd. Kanciaste okulary i chusta postarzają ją. Każda osoba, wszystkie kontury i krawędzie migoczą niewidzialnymi promieniami dzinnów, jakby drgały z gorąca.

- Mogę dostać wody? - pyta Necdet.

Drugi facet podaje mu nową butelkę Sirmy, otwierając dziobek. Wielki, kwadratowy mężczyzna w zielonej koszuli. Zieleń porusza się, faluje, gęstnieje na skraju pola widzenia, gdy ssie wodę łapczywie jak dziecko.

- Czego ode mnie chcecie?

- Twoich wizji - mówi kobieta.

Teraz Necdet zauważa pomiędzy płomieniami, że Wielki Kwadratowy Drab ma broń, wielki wojskowy karabin szturmowy.

- Widzę dzinny - mówi po prostu Necdet. - Cały pokój jest ich pełen. Łażą po was jak wszy.

Duży wzdryga się, ale Zielona Chusta mówi:

- To wiemy.

- Widzę Hizira - dodaje Necdet, a trójka popatruje po sobie. - Jest tu w pokoju. Jest wszędzie naraz. Dlatego jest wiecznym podróżnikiem. Mówicie, że jesteście Bożymi Naukowcami; ale te dzinny nie są od Boga. Mój brat myśli, że są, ale się myli. Nie są istotami ognia. Nie ma istot ognia. To moja głowa je produkuje, ze wszystkich bajek, opowiadań, filmów, historii o świętych, gadek z medres i komiksów, jakie w życiu widziałem. Ja widzę dzinny, ktoś inny widzi peri. Ale nie wiem, skąd się wziął ten Hizir.

Kudłaty i Zielona Chusta zerkają po sobie. Są ze sobą? - zastanawia się Necdet. Na moment wychodzą z pokoju; pomiędzy wirującymi zawrotami głowy Necdet słyszy ich rozmowę. Na pewno mówią tylko o nim, ale zbyt trudno mu skupić na nich słuch wśród buzującego, huczącego ognia dzinnów. Kiedy wracają, zajmują dokładnie te same pozycje, co przedtem.

- Przesłuchiwalismy cię pod nano także dlatego, żeby się zorientować dokładnie w

twoim życiu. Nie mamy czasu na kłamstwa i wymijające odpowiedzi. Wiemy, kim jesteś, skąd pochodzisz, co robisz i co zrobiłeś.

- Kizbes?

- Tak. Wówczas nie czułeś ani winy, ani wyrzutów sumienia, nie odczuwałeś ani bólu, ani przyjemności, powodując trwale oszpeccenie siostry od oparzeń trzeciego stopnia. Motyw był prosty: denerwowała cię. Podczas czynu nie wykazywałeś złości ani agresji, wykonałeś to, jakbyś był robotem. To objawy typowe dla silnego dysocjacyjnego zaburzenia osobowości.

- Nie wiem, co to takiego - odpowiada Necdet. - Ale uwierzcie mi, kiedy mówię, że to nie byłem ja. To było jakieś inne ja. Ktoś, kto mówił i wyglądał jak ja, ale składał się z pyłu. W głowie. Miał pył. Byłem rozbity na tak wiele części, tak oddzielnych od siebie, tak dalekich, jak pył. Nic się z niczym nie łączyło. Rozumiecie to?

- Czyli twoja osobowość się zmieniła.

- Tak. Nie. Nie wiem. Pamiętam, że kiedyś byłem kimś innym... Jakby wyleciał mi z głowy cały ten kurz i zamienił się w dżinny. No i jeszcze ten Hizir. To przez was, tak? Coście za jedni? Jakiś tarikat? Jacyś salafici?

- Jesteśmy Bożymi Inżynierami - mówi Zielona Chusta. - Jesteśmy ludźmi ducha, płonie w nas boży ogień, prowadzimy dżihad, ale islamistami nie jesteśmy. Pochodzimy z różnych tradycji religijnych. Jest między nami sunnita, alewita, prawosławny, nestorianin. Dżihad to wieczna walka o zbliżenie się do boskiego porządku. Wszystkie religie to wiedzą. Jedna z nas była tą zamachownicą w tramwaju. Nie była męczenniczką lecz badaczką. To była moja siostra. Była... Miała... Nie. Nie twój interes. Prasa pisała, że nikt więcej nie ucierpiał. Taki był plan: rozsiać pakiet nanoagentów. Dawkę otrzymałeś ty i parę innych osób.

- Czyli te dżinny to po prostu jakaś chemia?

- Sam powiedziałaś, że wiesz, że one nie pochodzą od Boga - mówi Zielona Chusta. - Dla nas ważne jest to, że jesteś innym Necdetem Hasgülerem. Tamten poprzedni nie żyje. Zginął w zamachu nano. Następne pytanie, które chcemy ci zadać: kim jest ten nowy Necdet Hasgüler? Damy ci trochę czasu na zastanowienie. Nasz brat będzie cię pilnował i zapewni ci wszystko, czego potrzeba. Odpoczynek. Refleksję.

Zielona Chusta i Kudłaty wychodzą do drugiego pomieszczenia. Necdet woła za nimi:

- A te dżinny? Co z nimi?! Pójdą sobie w końcu?

Kudłaty marszczy czoło.

- A chciałbyś? Czemu?

* * *

Nano spływa przez mózg Adnana Sarioğlu jak wiszący pośrodku atrium giełdy surowcowej obraz Drzewa Pieniędzy, ale wyrzeźbiony z neuronów. Mocne jest to „kung-fu” Kemala. Wzrok ma idealny i przenikliwy. Światła są mocniejsze, kolory jaskrawsze, skupienie mocniejsze. Kątem oka widzi ostro jak diament, czuje, że ma oczy dookoła głowy. Potrafi wejrzeć w głąb przedmiotów. Szczegóły, geometrie, linie związków i zamysłów, wszystko ma jak na dłoni. Słyszy każdy dźwięk, każdy głos, pomruk i szcęk jednocześnie, jako całość, a jednak odrębnie: minimalnym wysiłkiem i skupieniem potrafi wyciągnąć z tej płataniny dowolną rozmowę i słyszeć ją, nawet nie widząc, gdzie są i kim są rozmówcy. Idąc w swoje zwyczajowe miejsce przy Drzewie Pieniędzy, słyszy plastikowe postukiwanie własnego identyfikatora. Otacza go zapach pieniędzy, jak zapach rozgrzanej pianki do nurkowania. Tego właśnie doświadczali ci ukochani mistycy i derwisze Ayşe, kiedy mówili o jedności wszystkich rzeczy. Wszystko, wszystko naraz, połączone, choć odrębne. To jest nasz naturalny stan, szczyt wszystkich możliwości - rozumie teraz Adnan. Nano to po prostu inny odpowiednik tańca derwiszy.

Żywole powietrza, wspomóż mnie. Adnan stuka w ceptepa, AI nadpływają falą, która zapiera mu dech, okienka z rynkami spadają z wysokich konarów Drzewa Pieniędzy jak szpaki, roją się i kłębią wokół niego, tak że wspomaganym wzrokiem widzi siebie otulonego ruchomą peleryną informacji, żywą mozaiką. Traderzy w kolorowych marynarkach kiwiają mu głowami, skupieni na swoich sprawach, owinięci izolacją własnych informacji.

Patrzy w koronę Drzewa Pieniędzy, unosi ręce i zaczyna się symfonia. Przywołuje, analizuje i odsyła ekrany z notowaniami. Wzywa pogodę: ściąga trzy różne prognozy z ośrodków w Ankarze, Moskwie i Teheranie. Zmiana zawsze przychodzi ze wschodu. Rynki spot już wibrują fraktalnym ruchem Browna, gdy dziesiątki tysięcy AI automatycznie składają i realizują zlecenia. Spoty zawsze były naturalnym środowiskiem dla spekulantów - wchodzisz, zarabiasz, szybko wychodzisz.

- No dobra, to wchodzimy na rynek - rozkazuje swoim Sztucznej Inteligencji.

Centrum w Baku otwiera się przed nim. Wspaniały, misterny kwiat złożony z traderów i kontraktów, instrumentów pochodnych i transakcji spot, kontraktów terminowych, opcji, swapów i całej brudnej menażerii nowych instrumentów finansowych: mikrofuturesów, ślepych opcji, super-straddli, wyhodowanej w kwantowych komputerach finansomancji, tak mrocznej i skomplikowanej, że żaden człowiek nie ogarnie, jak ona robi pieniądze; wszystko to jest stulone jak płatki tulipana wokół sieci rurociągów, terminali i zbiorników w Baku. Stambuł to przy tym stragan ulicznego handlarza. W Baku robi się gaz.

- Adi, mój lipidowy przyjacielu?

- Co to znaczy? Pewnie „gruby”. Draniu. - Gruby Ali nie może się równać swoją angielszczyzną z Adnanem i mówi z potwornym akcentem. - Gdzie byłeś?

- Widziałeś kiedyś, jak leci samochód?

- Co to ma być? Co to za bzdury?

- A ja widziałem. No dobra. Opchnąłbym dzisiaj trochę gazu. Kto kupi?

AI od serwisów informacyjnych mruga mu na skraju pola widzenia. Adnan przerzuca ją na środek. Greckie władze przygotowują ośrodki pogotowia na napływ starszych osób, gdy turecka fala upałów przesunie się na zachód. Kiedy Yunanistan* zalewa się potem, powoli pociągnie się i Bałkany. Drogę wskazują migrujące bociany. Czas rozłożyć kramik.

- Ali, sto dwadzieścia kontraktów na kaspijski w Baku, dostawa w dwadzieścia cztery ha. - Ceny powoli pełzną w górę. Adnan otwiera dłonie, tworząc okienko wychodzące na giełdy w Belgradzie i Sarajewie. Duże koncerty serbskie i bośniacko-chorwacko-słoweńskie składają zamówienia. Bałkany zaczynają handlować.

- Idą z tobą.

Adnan składa swoje zlecenia. Oferty przyplływają natychmiast. Szybko sprzedaje Beogazowi, dużej firmie energetycznej z Belgradu. To nie jest najlepsza cena, ale dobre otwarcie. Rynek zaadaptuje się do nagłego przyplwy takiej masy gazu. Skupi go z powrotem przez spółkę celową Özera, popatrzy, jak rośnie cena, i sprzeda jeszcze raz. I tak będzie skupować i sprzedawać aż zadzwoni dzwon na koniec sesji, przy każdym obrocie wyciskając z tego jakiś zarobek. To dopiero początek Turkusa.

Po dwóch godzinach handlu gra Adnana na rynkach spot podniosła cenę do 450 dolarów za tysiąc m³. Kasa zaczyna się konkretyzować. Marynarka Adnana nasiąka potem; skupienie jest stuprocentowe. Numer polega na tym, żeby Turkus schował się w wirze innych transakcji na rynkach spotowych i pochodnych. Bola go stopy, puchną w wyglansowanych butach. Grozi mu utrata poczucia czasu - ten szajs Kemala to narowisty koń. Koncentracja jak u sawanta połączona z sufickim oglądem całości. Widzi, jak Kemal zerka nań nerwowo przez szybę z zaplecza. Przechyla głowę. Wiesz, że ja wiem? Uratowałem cię, gościu. Wynieśliby cię stąd na noszach. Coś mi wisisz, ale nigdy się o tym nie dowiesz. Przepaść nadal tam jest, otchłań pod Drzewem Pieniędzy, sięgająca w głąb ziemi aż do Iblisa*. Wrzucasz tam całego Turkusa i patrzysz, jak trzepocze jak confetti. Musimy się z tym zmierzyć. Zmierzymy się z tym, jak będziemy na górcie. Wszystko idzie łatwiej, kiedy jesteś na górcie.

* Yunanistan - turecka nazwa Grecji (przyp. tłum.).

Balkany wychodzą z gry. Pieniądz przesunął się na zachód. Zlecenia składają Węgrzy i Włosi, przewidując upał na ulicach Budapesztu i Rzymu. Wiedeński Hub Regionalny - tu kupuje gaz Europa Środkowa - stoi na czterystu sześćdziesięciu. Adnan czyta te same informacje meteorologiczne, co oni, i wie, że da się pójść wyżej. Czterysta osiemdziesiąt w Wiedniu. Adnan odkupuje partię Turkusa. Kemal za szybą zrywa się na nogi. Widzi notowania na Drzewie Pieniędzy równie wyraźnie, jak Adnan. Za to nie widzi agregatorów informacyjnych Adnana - tysiący maleńkich, ledwo co inteligentnych botów, przeczesujących regionalne doniesienia i sieci społecznościowe. Cała wiedza jest lokalna. Rynek to nie jakiś wzniosły, abstrakcyjny twór z czystej ekonomii. W każdym punkcie łączy się ze światem ludzi i ich wartości. Tworzą go ludzkie serca i marzenia.

Cena na Wiedeńskim Hubie podchodzi do czterystu dziewięćdziesięciu czterech. Agregatory tworzą wokół Adnana mozaikę rozproszonych okien. W Izmirze spada sprzedaż lodów. W Kapadocji hodowcy owoców pakują mniej towaru do magazynów w chłodnych, wrytych w miękkim tufie grotach. W hotelu Mardan Palace koktajl dnia to czysto biała, jak zima, Perła Carycy. Wczoraj to była Tropikalna Caipiroszka. W restauracji Şaş w Kaşu wnoszą stoliki do środka. Eken, dostawca gazu w butlach, każe dwa dni czekać na dostawę gazu do przenośnych grzejników na tarasy. Oto głos Turcji. Fala upałów opada, co przepowiedziały tysiące uniesionych na wiatr palców i wpatrzonych w horyzont oczu. Idealna informacja to plotka, idealna plotka jest informacją. Adnan pochyla głowę, unosi dłonie jak w modlitwie i odpędza rojące się agregatory informacji.

Adnan Sarioğlu oferuje dziesięć tysięcy metrów sześciennych gazu kaspijskiego, dostawa w 24 godziny, na Hubie Wiedeńskim, po czterysta dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Dwie sekundy później MagyaGaz kupuje po takiej cenie. Adnan sprzedaje i schodzi ze wszystkiego. Turkus jest przyklepany. Kiedy się odwraca, notowania na ekranach Drzewa Pieniędzy dochodzą do szczytowych czterystu dziewięćdziesięciu siedmiu. Potem rynek dowiaduje się tego, co Adnan wyróżył ze swoich hotelarzy, hodowców owoców i barmanów od koktajli - ludzi, których los zależy od pogody - i leci na łeb na szyję.

Kemal w ciszy, za szybą, kibicuje spadającym cyferkom. Adnan kiwa głową. „Zaksięguj to”. To jeszcze nie koniec Turkusa. Wywołuje z ceptepa dwa połączenia. Jedno to Gruby Ali, który zorganizuje dostawę po stronie Baku. Drugie - szyfrowany kanał do Seyamaka Larijaniego. Ma wypisane na twarzy wyczekiwanie, ekscytację, zachwyty, poczucie winy, wszystko jednocześnie.

* Iblis - islamskie określenie szatana (przyp. tłum.).

- Słucham, panie Sarioğlu?

- Odpalać pompy - mówi Adnan.

Rozłącza się, konto traci ważność. Kolejny telefon do Oğuz w krainie rur.

- Bądź pozdrowiony, Terrak.

- Bądź pozdrowiony, Draksor. Po ile sprzedaliśmy? - pyta Oğuz.

Adnan mówi mu.

- Zajebicie! - woła Ultralord Ziemi. Przelicz przepustowości i czasy przesyłu, a potem pośle swoje małe, programowe peri, żeby narozrabiały w Erzurum.

- Muszę ci coś jeszcze powiedzieć - dodaje Adnan.

Haj kończy się tak szybko. Prawdę mówiąc, nie był specjalnie wysoki. Był niczym w porównaniu ze wspaniałością samego pomysłu, zuchwałą radością dogadywania się z TabrizGazem, frustracją i końcowym zadowoleniem po znalezieniu Białego Rycerza. Dramatyczna kulminacja Turkusa odbyła się w ułamku sekundy, tuż ponad progiem postrzegania przez ludzką świadomość - AI po prostu wykonała rozkaz, z typową dla komputerów szybkością.

Twarz Oğuz zachmurza się.

- Niepokoisz mnie. Co zrobiłeś?

- Nie tą linią.

Cisza na linii. Wtem widzi przez szybę, jak Kemal unosi rękę, żeby odebrać nowe połączenie. Kiwa głową potem odwraca się do Adnana na parkiecie i mówi samymi ustami: „Oğuz”.

Oğuz wraca na linię.

- Nie zrobiłeś tego. - Jego głos charakterystycznie, piskliwie syczy. To taki stłumiony wrzask, kiedy inni słuchają. Oğuz bardzo dobrze to potrafi.

- Powiedziałem: nie tą linią. Zejdźmy sobie trochę wcześniej do Proroka Kebabów. Mam plan. Powiedzmy, wpół do pierwszej.

Rynek będzie handlował jeszcze ponad godzinę, ale Adnan nie ma już nic do roboty, z czym nie poradziłyby sobie AI.

- Kurwa. Mamy przejebane jak w ruskim czołgu. Kadir wie?

- Zaraz mu powiem.

Kadir reaguje z większą rezerwą. W Departamencie Nadzoru i Zgodności ma się czystą dupę i czysty język.

- Twierdzisz, że masz plan - mówi tym odmierzoną, rozsądnym tonem, jaki trenują menedżerowie ds. zgodności i śledczy służb bezpieczeństwa.

Adnan nie chciałby być na drugim końcu prowadzonego przez Kadira dochodzenia. Palant wie, że on nie ma żadnego planu. Ale widzi zaczątek planu, jak smugę światła na horyzoncie.

- No to wpół do pierwszej, liczę, że plan będzie znakomity.

Przed zejściem z parkietu musi wykonać jeszcze jeden telefon, ten, który najbardziej się dla niego liczy.

W ceptepie Ayşe odzywa się poczta głosowa. Adnan nie powinien się dziwić, jest jednak rozczarowany. To byłby dopiero triumf, powiedzieć jej o tym tak na świeżo.

- Hej, kochanie. Załatwione. Czterysta dziewięćdziesiąt pięć. Możesz wybierać architektów wewnątrz. - Bierze oddech, czuje w nim dygot, po części ulatniające się nerwowe napięcie, a po części schodzące nano Rumaka Kemala. Będzie strasznie, z nowym nano zawsze tak jest. - Kochanie, daj znać, jak chcesz później wrócić. Bardzo chciałbym się z tobą spotkać. Wiesz? Dobrze. Kocham cię. Do zobaczenia.

Kupić po szesnaście pięćdziesiąt. Sprzedać po czterysta dziewięćdziesiąt pięć. Zaczyna się zejście z nano - wrogie przebliski innego, wymalowanego w roślinne motywy wszechświata, ale uwielbia to. Wspaniale, kurwa.

* * *

Biała furgonetka stoi na Sidik Sami Omar Caddesi od wczesnego rana. To stary mercedes sprinter Türk Telekom, logo ma zamalowane, ale nadal widoczne, taki korporacyjny duch. Robotnicy poustawiali plastikowe barierki z ostrzegawczymi zygzakami, odgradzając miejsce pracy od przechodniów. Odkąd nastąpiła Unia, ludzie polubili procesowanie się o tego typu zagrożenia. Nikt nikomu nie ufa. W środku stoi mały namiocik ze stołeczkiem, palnikiem gazowym i czajnikiem. Faceci w koszulkach, spodniach roboczych z wieloma kieszeniami i odblaskowych kamizelkach stoją wokół, popijają herbatę i kontemplują dziurę, którą wyryli w kamieniach Ulicy Nałogowców. W radiu szmerze stacja Talk Sport.

O drugiej zaczyna się mecz pucharowy Galatasaray kontra Arsenal.

Ayşe Erkoç dawno nauczyła się, że jeśli chce się zrobić w Stambule coś nielegalnego, najlepiej zabrać się za to w biały dzień, na oczach wszystkich. Bezcelnych nikt o nic nie pyta. A Mehmet i Ahmet to Suficcy Mistrzowie Tupetu. To ludzie, którzy potrafią wejść ci do gabinetu i ukraść twój własny komputer, mówiąc, że potrzebuje przeglądu gwarancyjnego. To ludzie, którzy sprzedadzą twoje mieszkanie, kiedy ty jeszcze w nim mieszkasz. Przenoszą przedmioty z miejsca na miejsce, przechowują je, ukrywają, zdobywają. W magazynie w Zeytinburnu mają cały panteon greckich bogów, z klasycznych ruin od Hellespontu po Olimp.

Rogate rzeźby z Alaca Höyük, hetyckie płaskorzeźby myśliwskie, bizantyńskie mozaiki i prawosławne freski, seldżuckie mihraby i kazalnice z Epoki Tulipanów, w jakiejś szopie w bok od szosy 03. Mają całe świątynie, każdy kamień oznaczony RFID-em i spisany, popakowany w kartony, gotowy do wywiezienia. Ayşe nigdy im wcześniej nic nie zlecała, jej dotychczasowe znaleziska były zbyt lekkie i kruche dla tych typów podnoszących kamienie i przeprowadzających sarkofagi - ale ma ich w numerach podręcznych każdy stambulski antykwariusz. Dwóch wielkich, upartych facetów, ze zwałami tłuszczu na karkach, ogolonych na łyso, zbudowanych jak zapaśnicy z Adrianopolu. Bo to są byli zapaśnicy z Adrianopolu. I wcale nie są braćmi. Zajmują się transportowaniem różnych rzeczy.

Ustawili furgonetkę i barierki, postawili fałszywą tabliczkę Türk Telekom, nonszalancko podważyli pokrywę studzienki i przesunęli ją po kamieniach. Barçın Yayla, zakamuflowany i anonimowy w odblaskowej kamizelce, aż zawył.

- A to co za jeden? - zapytał Mehmet.

- To ostatni hurufita - odparła Ayşe.

Mehmet i Ahmet popatrzyli po sobie.

- To lepiej niech się trzyma z daleka.

Ayşe zerknęła na dziurę, wejście, bramę, portal.

- Ja wchodzę pierwsza. Taka umowa.

- Zarazarazaraz - powiedział Ahmet. - Najpierw napijemy się herbaty. To najpierw.

- Herbaty?! - wrzasnęła Ayşe.

- Kto uwierzy, że jesteśmy robotnikami ze Stambułu, jak nie będziemy co pół godziny pić herbaty? - dodał Mehmet. - Nastawcie wodę.

Teraz chłopaczek od herbaty zbiera szklanki, a w żołądku Ayşe ekscytacja strzela w górę jak żółć. Słabo jej. Usiłuje oddychać głęboko, powoli, przez nos, do trzewi, uspokajająco. Oddech dygoce, trzęsą się ręce. Czuje mdłości. Wczoraj wieczorem, kiedy po godzinach uganiania się po całym Sultanahmecie i dogadywania z Mehmetem i Ahmetem, wreszcie wśliznęła się do łóżka koło Adnana, celowo starała się wypchnąć z myśli tę chwilę, myśląc o banałach, rzeczach koniecznych, planach awaryjnych, planach B. Z rana też myślała o Adnanie i jego transakcji, rzeczach i trosce, której będzie potrzebował. Wszystko po to, by nie dać się sparaliżować podnieceniu. Ale to już teraz. Teraz. Za parę minut opuści się do tej dziury na linie, z latarką na głowie. Co zobaczy? Nie pozwalała swojej wyobraźni wyobrażać sobie tego. Tu i teraz, zobaczy to na własne oczy. Ale przedtem wszystko co niezbędne i co na wszelki wypadek. Prowadzi Ahmeta i Mehmeta na drugą stronę furgonetki, podchodzi do nich blisko, konfidencjonalnie.

- Dacie sobie radę z naszym hurufickim przyjacielem?

- A co on, robi się agresywny? - pyta Mehmet.

- Tylko wobec siebie. Kiedy zobaczy, co tam jest, planuje wypalić sobie oczy kwasem. Nosi go cały czas przy sobie, w takiej fiolce. Jest przekonany, że tam będzie Siódma Litera Tajemnego Imienia Boga.

- A będzie?

- Co?

- To, co tam jest, na dole?

- To, co mu się wydaje. Zabierzcie mu ten kwas, zanim zrobi krzywdę sobie albo komuś innemu.

- Jak jest taki walnięty, zrobi to sobie w domu.

- W domu niech sobie robi, co chce. Po prostu nie mam ochoty widzieć, jak ktoś wlewa sobie kwas do oczu.

- Kwas - mówi Mehmet.

- Ciężka sprawa - dodaje Ahmet. - No dobra, zapinamy panią.

Kiedy dopasowują jej uprząż i zaciskają paski, Ayşe ubolewa, że włożyła dziś sukienkę. Podjeżdża na udach zdecydowanie za wysoko, a kozaki są stanowczo zbyt miejskie na eksplorację podziemi. Kamizelka odblaskowa też niewygodnie się marszczy, a kask to w ogóle obraza boska. Milczący pomocnicy Ahmeta i Mehmeta ustawili nad otwartą studzienką trójnog i przypięli linkę upręży do wyciągarki z tyłu białej furgonetki.

- Jak panią podniesiemy, zacznie się pani bujać, wtedy przytrzymamy - mówi Mehmet.

Wtem pojawia się Burak Özekmekçib. Podchodzi spacerowym krokiem z rękoma w kieszeniach, kiwa głową Mehmetowi i Ahmetowi.

- Widzę, prymulko, że już jesteś w rynsztunku bojowym - mówi, naciągając kamizelkę.

- Cały ten projekt jest tak tajny, że rozpacz bierze - rzuca Ayşe, stając na krawędzi metrowego otworu.

- Och, och, pani Erkoç, a cóż to pani znalazła na dnie tej wielkiej czarnej dziury? - pyta Burak. - Chciałbym to zobaczyć, kwiatuszku. Zobaczyć, jak odkrywasz legendę.

Mehmet sadowi się przy wyciągarce. Ayşe unosi się i dynda nad studzienką. Choć słońce stoi wysoko nad wielokopułowym pejżażem medres, w dziurze i tak nic nie widać. Ahmet przytrzymuje ją i zapala jej czołówkę. Teraz jest całkowicie opanowana. Zrobi to co trzeba. Wszystko jest już zapisane. Wyciągarka startuje.

Siła Coriolisa wyciąga ręce i zaczyna okręcać zsuwającą się w mrok Ayşe. Latarka

błyska po ciągnących się w nieskończoność kolumnach. Zjeżdża do ogromnej podziemnej cysterny. Kiedy wczoraj rzucała tu pierścionek, nie usłyszała pluśnięcia. Na wszelki wypadek kieruje jednak promień w dół. Ani śladu wody, tylko delikatnie nachylony kamienny bruk z półmetrowej głębokości kanałem - odpływem dla mnóstwa kraterów - biegnącym z południa na północ. Pierścionek odbija światło i połyskuje. Świetnie. Ładny turkus z Epoki Tulipanów to rzadkość. W snopie światła tańczy kurz. Ayşe unosi wzrok. Oczy przyzwyczyły się do ciemności, otwarta studzienka to oślepiający krąg bieli. Czy to są twarze? Rozproszone snopy światła padają ze sklepienia, z innych studzienek; jak promienie nicości, odwrotność kaligrafii. Do posadzki dwa metry, metr. Obcasy zgrzytają na kamieniu. Ayşe podnosi pierścionek i wsuwa go na palec. Załatwione. Odczepia linę i stuka w ceptepa. Sygnał ledwo tu dociera.

- Jestem na dole, wyłączcie wyciągarke - mówi. - Jakies dziesięć metrów pod wami, na dnie dużej cysterny. Ma gdzieś dwadzieścia na dwadzieścia. Nie wygląda na rzymską, raczej jest wybudowana równocześnie z meczetem. Nie mam pojęcia, do czego służy, w dnie ma kanał ściekowy, może miała dostarczać wodę do jadirvanu na dziedzińcu. Co cztery metry słup. Rozglądam się, na razie nie ma śladu... O.

Czubek świetlnego snopa oświetla kamienny sarkofag na niskim cokole pod północną ścianą krypty. Ayşe traci głos, myśli, zdolność działania.

- Ayşe, wszystko w porządku? - odzywa się po drugiej stronie Burak. - Wszystko dobrze?

- Tak, o tak. Tak, tak, tak. Jest sarkofag. Nie muzułmański, zdecydowanie starszy. Może licyjski. Tak, na pewno licyjski. Idę do niego. Zaraz, coś na nim stoi.

Ayşe obmacuje dłońmi i latarką potężną kamienną trumnę, wodząc palcami po satyrach i faunach, bachusach i najadach, rzucając cienie na starożytnych rycerzy i jeźdźców, nagich siłaczy, miotaczy dysków. Czterech rogów wieka pilnują lwy, głowę, zmysłową twarz bogini otacza aureola słonecznych płomieni. Usta ma zapieczętowane ołowiem. Sam ten sarkofag to już skarb. Lecz stojący na nim przedmiot pochodzi z innej epoki, innej cywilizacji, innej wiary. To kamień brukowy, brutalnie wydłubany z posadzki i ustawiony nad sercem zmarłego. Ayşe podnosi go i obraca w świetle latarki. Światło wydobywa zapyłony, płytki cień kufickiej litery. Fa.

Siada na moment na brzegu kanału. Jest wyczerpana. Dyszy, jak po biegu. Uniesienie, strach, zabobonny lęk, pisk dumy, seks, energia, poczucie osiągnięcia czegoś wielkiego - sprzeczne fale zderzają się ze sobą. Dzwoni do Buraka.

- Mam to. Schodź na dół.

Ahmet i Mehmet wkraczają do akcji. Opuszczają do krypty i mocują teleskopowe drabiny. Spuszczają kable zasilające, reflektory, elektryczne narzędzia, liny i sznury. Ahmet włącza światła, cysterne wypełniają XVI-wieczne cienie i czyste, czyściesienkie XXI-wieczne światło.

- To co my tu mamy?

Ayşe podnosi na niego wzrok.

- Hacı Ferhat, Zmelifikowany z Iskenderunu.

- No, pani szanowna, nasze honorarium właśnie podskoczyło.

Ahmet kuca i przygląda się sarkofagowi.

- Ciekawe, jak go tu wsadzili - mówi.

- Ciekawe, jak my go wyciągniemy - dodaje Mehmet.

- To nieważne - odpowiada Ayşe. - Mój kontrakt: znaleźć Zmelifikowanego z Iskenderunu. I to zrobiłam. Wyciągnięcie go to problem klienta.

Wymrukuje numer. Długo dzwoni, zanim ktoś odbierze.

- Pan Akgün? Mówi Ayşe Erkoç. Mam pana eksponat. Podaję współrzędne GPS, gdzie można go obejrzeć. Minus około piętnaście metrów. Akceptuję przelew lub gotówkę.

Po drabinie schodzi jakaś postać. Barçin Yayla.

- Ma go pani?

Ayşe ze znużeniem pokazuje brodą kamienną bryłę stojącą u jej stóp, na skraju kanału. Yayla podbiega ku niej, wzbijając kurz powłóczącymi stopami, i pada na kolana. Kręci głową w zachwycie. Ayşe zerka na Mehmeta. Dwaj siłacze są szybcy jak na swoją wagę. Mehmet łapie Barçina w zapaśniczy chwyt, Ahmet zręcznie przeszukuje mu kieszenie.

- Przepraszam, bracie. - Ahmet wsuwa zakraplacz w dłoń, lecz Yayla szarpie się, potrąca Ahmeta, który traci na moment równowagę i upuszcza szklaną rurkę.

Ayşe miażdży ją obcasem. Wapienna posadzka syczy i dymi, trawiona kwasem. Barçin Yayla pojękuje. Mehmet puszcza go.

- Oj, panie Barçinie, nie mogłam panu na to pozwolić.

Barçin Yayla siada na ziemi, tuląc do siebie kamień z literą fa, jak dziecko. Kwaśny opar został zneutralizowany.

- Nie miałem zamiaru. Nie rozumie pani? Znalezienie litery to część, nie wszystko. Wszystko to ujrzenie całego wzoru. Na razie mam tylko litery. To dopiero początek pracy. Oto nieduży kamień z wyrzeźbioną literą wielkości mojej dłoni. Nad nim stoi najpiękniejszy meczet w Stambule, który i tak jest tylko maleńką częścią liter waw, ta, dżim wielkości miasta. Małe, wielkie, małe, wielkie. Gdzie jest w tym moje miejsce? Jak mam dostrzec

jednocześnie nieskończenie małe i niewyobrażalnie wielkie? Tym samym spojrzeniem? Lecz taki jest plan Sinana. To jest prawdziwe jego dzieło. Bóg jest wielki.

- Cały czas niepokoił mnie ten kwas. - Na obcasie buta, którym rozdeptała fiolkę, złuszczyła się skóra. A metalowy flek skorodował. Trzeba pamiętać, żeby za bardzo go nie obciążać i nie wykonywać nim gwałtownych ruchów.

- Kolekcjonuje pani sztukę, musi pani wiedzieć, że miniaturzyści, pod koniec kariery poświęconej malowaniu mikroskopijnych, dokładnych detali, których nikt nigdy nie zauważy, często wykluwali sobie oczy igłami. Za dużo piękna, tak, ale także za dużo patrzenia, widzenia. Byli zmęczeni całym tym widzeniem. A ciemność dawała bezpieczeństwo i spokój. Ślepotą była darem. A ja mam jeszcze na co patrzeć.

Teraz po drabinie schodzi Burak Özekmekçib. Zerka w światło i ostre cienie.

- No, patrzcie państwo. - Ześlizguje się z ostatnich trzech metrów drabiny. - To jak, otwierasz to, pączuszk?

Przecięcie ołowianej pieczęci to powolny, mozolny proces. Trzeba opuścić na dół sprzęt, ustawić generator, zbudować wokół sarkofagu rusztowanie, wypoziomować je i ustawić z mikrometryczną precyzją. Mehmet rozdaje maski i gogle.

- Będzie dużo par ołowiu - mówi. - I laserów.

W świetle skrzą się metalowe pyłki i kurz, a Mehmet i Ahmet, wyglądający demonicznie w goglach i maskach, prowadzą promień lasera milimetr za milimetrem wzdłuż ust bogini, odparowując ołowianą pieczęć. Bolesna powolność tego procesu powoduje, że triumf Ayşe ma czas na rozłożenie się w wątpliwości. Co będzie, jeśli trumna jest pusta? Co, jeśli to po prostu licyjski sarkofag, który stoi tu od dwóch tysięcy lat, i po prostu zbudowano nad nim kryptę, kanał i cały kompleks Meczetu Sulejmana, dziesiątki tysięcy ton murarki? Zbłąkany kawałek historii, który przyciągał legendy, aż obrósł skumulowaną masą mitów, a ta zestaliła się w ludową prawdę: Siódma Litera, grób Haciego Ferhata.

Promień gaśnie. Mehmet i Ahmet zsuwają gogle.

- To my.

Po drabinie schodzi nowa osoba. Ayşe poznaje ją po wodzie po goleniu: Haydar Akgün. Na opalizujący garnitur z nanotkaniny włożył żółtą odblaskową kamizelkę. Buty ma wyglansowane.

- W samą porę! - woła Ayşe. - Właśnie mieliśmy go otwierać.

Próbuje odczytać wyraz twarzy Akgüna, który wodzi dłońmi po sarkofagu. Zdumienie, podziw, niedowierzanie. Cześć, pokora. Dumy z posiadania nie widać. Palec wskazujący bada ołowiane zagłębienie w ustach kamiennej bogini. Składa palce jak do modlitwy, unosi je do

ust.

- To skarb - mówi. - Prawdziwy skarb. Znalazła go pani. Nie wierzę. To legenda.

Na znak Ayşe Ahmet i Mehmet delikatnie odsuwają Akgüna pod ścianę i wsuwają końce łomów w szczelinę między sarkofagiem i wiekiem. Ayşe stoi między nimi, unosząc ręce, jakby dyrygowała orkiestrą.

- Delikatnie.

Łomy unoszą potężne wieko o ułamek centymetra, ale to wystarcza Ahmetowi i Mehmetowi, by wcisnąć kliny podpięte do linek wyciągu. To samo po drugiej stronie. Wszyscy stają na równe nogi, rzucając na ścianę krypty ogromne cienie. Panuje absolutna cisza. Ahmet podaje Ayşe pilota. Trzy guziki: góra, dół, stop. Naciska „górze”. Wyciąg bardzo powoli podnosi pokrywę trumny. W powietrzu wciąż wiszą gryzące, fajerwerkowe, metalowe pary, lecz Ayşe zdziera maskę. Chce go poczuć. Wieko wisi teraz pół metra nad otwartym sarkofagiem. Wyżej: metr. Stop. Loch wypełnia stęchła słodycz, przedwieczna, ale świeża. Zapach miodu.

Ayşe podchodzi do otwartej trumny Haciego Ferhata. Wypełnia ją złota, półprzezroczysta maź skryształizowanego miodu. Nie należało liczyć, że zachowa przezroczystość przez tyle stuleci, w zestalonym miodzie widać jednak płytko zanurzony, ciemny kształt. Postać człowieka, z rękami wzdłuż boków. Jest nienaruszona.

- Światło - rozkazuje.

Ahmet i Mehmet ciągną lampy po kamiennej posadzce grobowca i ustawiają je tak, by oświetlały wnętrze trumny.

Ayşe patrzy na twarz Haciego Ferhata. Nawet przez warstwę scukrzonego miodu widać, że zachował się znakomicie. Ciało jest bez ubrania, zapadło się i ściągnęło wokół wszystkich otworów i wypukłości, kości sterczą jak namiotowe maszty, ale skóra, barwy ciemnego mahoni, jest pomarszczona i pofałdowana, opuchnięta od cukru, wydaje się miękka i krucha jak złote płatki. Wydzieliła się z niej sepiowa aureola, która unosi się parę centymetrów nad ciałem w miodzie. W ludzko-miodowej macierzy uwięzły pęcherzyki gazu. W krystalicznej masie trudno rozróżnić szczegóły: broda, włosy, paznokcie wydają się nietknięte, oczy są miłosiernie zamknięte, zęby długie i brunatne, sznurze. Ayşe nigdy nie widziała czegoś tak niezwykłego. Widywała zmumifikowane zwłoki, ale to w niczym ich nie przypomina. Były suche i sypiące się, martwe bardziej niż sama śmierć. A Zmelifikowany Człowiek nie ma w sobie nic ze śmierci, z zaszuszenia. To człowiek utkany z cukru. Dzieło cukiernika. Przez moment wyobraża sobie, że wbija pięści w serce Zmelifikowanego, rozpruwając go. Czy będzie galaretowaty, czy miękki i ziarnisty jak chałwa, a może to, co

widzi, to tylko zarys, cienie w miodzie pozostawione przez powolny, trwający wieki proces rozpuszczania?

Ayşe zanurza palec w trumnie. Próbuje. Zmelifikowany jest słodki, piżmowy, ziemny; scukrzzone kryształki, delikatny, ostry fenolowy posmak, nuta starej skóry i torfu, soli, ślad moczku.

Haydar Akgün zagląda do trumny.

- Dokonała pani rzeczy niesamowitej. Tym bardziej przykre to wszystko.

Kiedy mówi, Ayşe słyszy w oddali syreny. Akgün wyciąga z wewnętrznej kieszeni portfel i unosi go.

- Inspektor Haydar Akgün z Biura ds. Przestępczości Zorganizowanej i Przemytu. Współpracuję z Departamentem Zabytków i Muzeów. Proszę pozostać na miejscach, na górze stoją funkcjonariusze policji. Jesteście aresztowani pod zarzutem pozyskiwania dóbr kultury do nielegalnej sprzedaży za granicę.

Policjant schodzi po drabinie, potem kolejny. Zabierają na światło dzienne Ahmeta, Mehmeta. Burak Özekmekçib i Barçın Yayla są już aresztowani.

- A coś podejrzewałam! - krzyczy Ayşe do Akgüna, gdy dwóch funkcjonariuszy bierze ją pod ramiona. - Ta tania woda „Arslan”!

* * *

- Tak.

- Wyobraża pan sobie przeżyć życie innych ludzi? My tak. Wyobraża pan sobie: naprawdę wiedzieć, co myśli ktoś inny, umieć przewidzieć, co zrobi? My tak. To jest następna rewolucja przemysłowa. To więcej niż tylko nano. To chwila, kiedy wszystko staje się inteligentne. To jest...

- Tak, pani Güldaşli.

Deniz Saylan to najeleganciej wygarniturowany, najbardziej wyglansowany, najładziej wygolony, najlepiej wystrzyżony, wymanikiurowany i wyperfumowany mężczyzna, jakiego Leyla w życiu widziała. Jest kulturalny, emanuje władzą, pewnością siebie, a także ma większy, wyższy i bardziej narożny gabinet z lepszym widokiem niż te obszcymurki z CoGoNano! - co to w ogóle za nazwa dla firmy? Trzy biura w trzy popołudnia i już zaczynają się mylić. Ale przynajmniej nie ma tych zmieniających kształty zabawek. Mężczyźni nie powinni mieć zabawek.

- Słucham?

- Powiedziałem: tak. Jesteśmy zainteresowani. Chcemy w to wejść.

Czasem, kiedy kojot wybiegnie za urwisko i wisi przez tę kreskówkową chwilę w

powietrzu, nie macha do nas na pożegnanie i nie spada. Czasem udaje mu się wbiec z powrotem na skałę.

- Transkryptor Besaraniego-Ceylana.

Ekspresowa winda śmiga po ścianie biurowca.

- Właśnie dla takich projektów powołano Dział Projektów Specjalnych Özera. Na pewno sprawdzaliście państwo profil i historię naszej firmy.

Leyla czytała to w pociągu i dolmuszu, którymi jechała na nanobazar. Stała na stacji o piątej rano, z tymi, którzy śpią na peronach, wracającymi do domów imprezowiczami, facetami jeżdżącymi całą noc metrem i tymi, którzy tak wcześnie zaczynają pracę. Była jedyna w garniturze. Przeszkoliła Aso: założony w roku 2012 jako Spółka Gazownictwa Özer. Nieustająco w pierwszej piątce firm na tureckiej giełdzie. Cena akcji... Zyski w ostatnim roku obrachunkowym... znaj rynek, znaj rynek, znaj rynek.

- Nasza przewaga nad konkurencją polega na tym, że właśnie kończymy transformację w prawdziwą dwudziestopierwszowieczną korporację. Dziesięć lat temu byliśmy Gazownictwem, dzisiaj to Gaz i Surowce, za dziesięć lat, jak rurociągi przestaną tłoczyć, będziemy jeszcze czymś innym. Może nawet to będą Transkryptory Komórkowe Özer.

Nie, myśli Leyla. Tylko nie próbuj żartować. Mężczyźni pięknie wyglądają, kiedy są poważni. Aso też najlepiej wygląda, kiedy jest poważny.

- Nasza strategia to poszukiwanie nowych centrów zysku i progresywne redukcje obszarów działalności, w których spada wartość albo zwiększa się konkurencja. Özer to nie firma gazowo-surowcowa, to centrum generowania zysków. Zaczynamy na początku, zarabiamy bardzo dużo, a kiedy dany zasób jest u szczytu wydobycia, kiedy na rynku robi się tłok, a biznes zaczyna nam się nudzić, sprzedajemy i zabieramy się za coś innego. Dlatego dużo kapitału początkowego pompujemy w start-upy, które według nas mają potencjał na tworzenie nowych rynków. Jeśli to coś potrafi dwadzieścia procent tego, co mówicie, to jest największy przełom technologiczny od czasu układu scalonego. To tak, jakbyśmy stali tam, gdzie zaczynało Texas Instruments. Myśleliście w ogóle o potencjale, jaki ma własność intelektualna i jej licencjonowanie? Nie możemy w to nie wejść. Sporządzimy standardową umowę rozwojową, żeby opracować prototyp. Ile potrzebujecie?

Aso już ma się odezwać, Leyla dźga go obcasem w czubek dwa razy noszonego buta.

- Pół miliona euro - mówi zuchwale.

Saylan nawet nie mrugnie okiem.

- Zapewne rozumie pani, że dla takiej firmy jak Özer to drobiazg. Nasze standardowe warunki to osiemdziesiąt-dwadzieścia.

- Siedemdziesiąt-trzydzieści? - ryzykuje Leyla.

- Nie, pani Gültaşı.

Stanowczo, ale kulturalnie. Aso umie się zachować, ale nie jest stanowczy. A stanowczość to zachowanie. Niezdolność powiedzenia „nie” - to dopiero świadczy o nieumiejętności zachowania się.

- Jak szybko możecie to zrealizować?

- Umowy możecie dostać jutro. A potem będziemy potrzebować zaudytowanych sprawozdań finansowych, wypisów z rejestrów i jasnych oświadczeń co do własności niematerialnych i prawnych. To sprawy dla prawników. Od państwa będę potrzebować szczegółowych materiałów technicznych, które poddam weryfikacji niezależnych ekspertów. Obecnie nie mamy kompetencji w obszarze nano, więc weźmiemy ekspertów z rynku.

- Mogę zapytać, kto będzie w tym zespole? - pyta Aso.

- W sprawach nanotechnologii zwykle zwracamy się do profesora Süleymana Turana z Uniwersytetu w Ankarze oraz Newala Sedena z Uniwersytetu Bilikent. Zna ich pan?

- Newal Seden był moim opiekunem naukowym.

- To nie będzie problem. Możemy zaprosić pana na spotkanie na żywo. Albo przez sieć. Druga sprawa: bardzo dokładnie przejrzymy wasze sprawozdania finansowe. Przeprowadzimy audyt i powołamy dyrektora projektu. Przeżyjecie?

- Tak - odpowiada Leyla.

Saylan nie zwraca na nią uwagi.

- Słucham, panie Besarani?

- Muszę porozmawiać z moim współlnikiem.

- Oczywiście.

- A więc co wchodzi w grę? - pyta Leyla.

- Pół miliona na rozwój, opracowanie prototypu transkryptora Besaraniego-Ceylana, w zamian Projekty Specjalne Özera przejmują osiemdziesiąt procent udziałów we własności intelektualnej i przyszłych zyskach.

- Siedemdziesiąt pięć - wtrąca Leyla.

- Nie, pani Gültaşı.

- A po prototypie? - pyta Aso.

- Będzie odrębne finansowanie na badania rynkowe. Jeśli to się uda, pójdziemy w produkcję i globalny marketing na pełną skalę. To jest długoterminowy projekt, same testy kliniczne na dopuszczenie mogą potrwać z pięć lat.

- My pracujemy nad tym już od pięciu lat. To dzieło naszego życia.

Ta odpowiedź wyraźnie cieszy Saylana.

- Świetnie, świetnie, świetnie. To niech teraz wasi ludzie zadzwonią do naszych ludzi.
- Jego uścisk dłoni jest oczywiście idealny: idealna twardość, czas trwania, vibrato i iskrzenie przeskakujących między dłońmi danych kontaktowych. - Bardzo dziękuję, panie Besarani, pani Gültaşli, to bardzo ekscytujący projekt. Z przyjemnością porozmawiałbym z wami dłużej, ale zaraz mam następne spotkanie. Spotkamy się bardzo niedługo.

- Podrywałaś go - mówi Aso, gdy czekają na windę, opadającą jak płynna smoła po fasadzie wieżowca.

Są nabuzowani jak młode bociany, rozchichotani jak uczennice, pijani i oszołomieni zwycięstwem. Tak. Powiedział: tak.

- Nie podrywałam - szepcze Leyla.

Tylko go eksploatowała, dekonstruowała garnitur, styl, kosmetykę i zachowanie. Zapamiętywała, jak to jest poskładane. Nie dla siebie, uświadamia sobie: dla Aso. Na tę myśl czuje nowe, nieznajome ukłucie w dole brzucha.

- Ale pół bańki? - mówi Aso, gdy przyjeżdża winda.

- Dla Özera to fistaszki, sam powiedział. Jak poprosisz o za mało, to taki sam błąd jak o za dużo.

- Nie wydaje ci się... - zaczyna Aso, ale otwierają się drzwi i Leyla wciąga go do pełnej windy.

„Cii”, sygnalizuje gestem. Winda wiezie ich w dół po ścianie wieżowca Özera. Ludzie wsiadają i wysiadają na licznych piętrach. Aso chce gadać. Gadaj, myśli Leyla. Gadaj, krzycz, lataj w kółko jak samolot, wykup się w fontannie na placu, ale na razie cicho. W atrium, wśród garniturów i gości trzymających kasę - są jakieś kobiety trzymające kasę, są tu w ogóle jakieś kobiety poza nią? Cii. Są, rozdają identyfikatory w recepcji. Cii. Ich biurko to kloc z czarnego marmuru mający imponować potęgą Özera, onieśmielać kamienną powagą recepcjonistek. Leyla uśmiecha się, przesuając po czarnym, lustrzanym kamieniu swój identyfikator. Wygrałam z wami. Wielcy mężczyźni, mam waszą kasę. Ja, dziewczyna z Demre, Pani Rób-sobie-tę-twoją-kariere, Pani Wróćisz-tutaj-w-podskokach, Pomidorek. I patrzcie no, wszyscy Yaşarowie, Yazicoğlu, Ceylanowie, Gültaşli, w ogóle wszyscy, którzy siedzicie dookoła stołu w Bakirköy, wuju Cengizie, młodsza ciotko Kevser i nawet ty, babko Sezen, na swoim balkonie, ale przede wszystkim ty, Zeliho, za swoim biurkiem, z miną drwiącą jak przecier z bakłazana: ja. Ja. Bystra ja.

Na placu odwraca się ku czterdziestu piętrům korporacyjnego szkła i tytanu, rozrzuca szeroko ręce, ku siedmiu niebom.

- Özer! Özer! Özer! Kocham cię!

- Nie wydaje ci się, że trochę szybko się zgodził? - mówi Aso. - Siedzi taki gostek w gabinecie, sam jeden, i mówi: „Super, podoba mi się, proszę, macie pół bańki euro”?

- Za osiemdziesiąt procent. Dzwonię do Yaşara.

- Mnie to nie zachwyca. U nas w domu „Özer” wymawia się jednym tchem z „Szatanem”. Całym wschodem rządzą jak swoim prywatnym folwarkiem. Ja jestem tym najzdolniejszym dzieciakiem z okolicy, jedynym z miasteczka, który po średniej szkole poszedł dalej się uczyć, i pierwsze, co robię, to sprzedaję duszę imperium zła.

- A co to ma być, jakieś antykapalistyczne żale? Chciałeś mieć kasę, to masz kasę. Dzwonię do Yaşara.

- Powiem ci, co ja myślę. Myślę, że ktoś odwalił za nas całą czarną robotę. Przyszliśmy drudzy. Chłopaki z Idiza byli tu pewnie z trzy tygodnie temu, szukali finansowania dla swojej wersji transkryptora. Oni mieli trudno. To oni musieli go przekonać. A potem my wpadamy z tym samym i gość widzi okazję, żeby obstawić wszystkie bramki. Özer zyskuje wirtualny monopol na technologię transkryptorową. Za pół miliona, taniocha.

- Ale ich wersja nie zadziała.

- Ma w najlepszym razie sześćdziesiąt procent naszej funkcjonalności.

- Czyli wybiorą produkt, który jest wyraźnie lepszy. Masz już kasę. To powód do imprezy! Ej! Naci!

Po drugiej stronie szerokiej ulicy stoi nieprzystająca do niej blaszana przyczepa z kebabami. Naci zajął stołek przy kontuarze i popija herbatę. Słyszy swoje imię, rozgląda się i widząc nieskrywaną radość Leyli, uśmiecha się.

Przepięknie się uśmiechasz, myśli Leyla. Zmieniasz się w zupełnie inną osobę.

- Nim zaczniesz świętować, chyba powinienem przypomnieć, że jest jeszcze drobna kwestia Koranu. Pieniądze to dopiero połowa.

Wielki Naci wpada między samochody, zatrzymując je uniesioną ręką.

Mógłby je roztrącać tym swoim taekwondo, myśli Leyla. Ale zachwyt możliwościami już błędnie. Aso przekłuł balon. Na szczęście, Bóg był dzisiaj dla niej miłosierny. Może okazać miłosierdzie jeszcze raz. To w jego naturze.

- Dobra, dobra, dobra. To pół imprezy.

Naci biegnie chodnikiem, wymachując radośnie rękami.

- Dzwon do Yaşara.

* * *

Necdet wstaje z materaca, żeby skorzystać z nocnika. Po tym, czym go naszprycowali,

tych ich „zestawach nanoagentów”, drżą mu mięśnie, bolą stawy, pokój trzęsie się od zawrotów głowy wygrywających nawet z płomienistym dygotem dzinnów, ale facet ma sikać na stojąco. Stawia nocnik w rogu i opiera się jedną dłonią o ścianę.

- Mógłbyś się nie gapić, jak sikam?

Wytrąca Wielkiego Draba z głębokiej jak studnia medytacji.

- Co?

- Nie ty, on. - Necdet wskazuje głową miejsce, gdzie pod przeciwległą ścianą siedzi po turecku Hizir. Mocz jest skąpy i ciemny. Necdet jest bardzo odwodniony. Co za chemię poza swoją własną wydała do nocnika? - Dobra, już.

Wielki Drab zakrywa nocnik szmatą i stuka w drzwi, wołając Ponurego Kutasa, czwartego członka grupy, który jeszcze nie odezwał się do Necdeta ani słowem, za to swoimi twardymi paluchami zrobił mu na bicepsie siniaki. Wielki Drab to zupełnie inny gatunek. Praktykuje milczenie, ale w końcu i tak zawsze zasypuje go pytaniami.

- Słuchaj, jak tak gadasz z Hizirem, jak przed chwilą, to co widzisz?

- Alewici uznają Hizira?

- Uznajemy wszystkich świętych i imamów.

- Jak sobie go wyobrażasz?

- Stary i młody jednocześnie, postać człowieka, ale czasem zwierzęcia albo ptaka. I ma aureolę z zielonych płomieni.

- No to tak właśnie byś go widział.

- A ty jak?

- Ciężko to wytłumaczyć. Coś, co jest przed zwierzęcia, ptaka, człowieka, to tylko różne kształty, jakie przypisujemy czemuś... co jest nieświadome. Coś, co jest przed kształtami, widzeniem, nawet i myśleniem. Coś, co istniało dawno przed naszą świadomością.

Wielki Drab kiwa głową.

- Każdy widzi Hizira po swojemu.

- Nie, nie rozumiesz. Tak, jakżeby inaczej?

- Oni mówili tak samo. Tak i nie. Nic się nie da wyjaśnić.

- Co za „oni”?

- Ludzie po Divricanie. Pochodzę z sąsiedniej doliny, ale każdy znał kogoś, kto tym dostał. Dolina świętych i szejchów.

- Ale o co chodzi?

- To było pięć lat temu. Turcy urządzili ostateczny atak na Kurdów, żeby się wyrobić, zanim Unia im zabroni. W nocy, nad Divrican przyleciał bezzałogowy samolot. Krążył

przez pół godziny. A z rana wszyscy byli jak ty. Dżinny, anioły, demony. Peri i duchy. Niektórzy widzieli Hizira, niektórzy Meleka Tausa, Pawiego Anioła, inni samego Proroka.

Wielki Drab pochyla głowę, jakby się bał, że za dużo powiedział.

- I co się z nimi potem stało? - pyta Necdet.

W niewoli nauczył się, że ludzie posiadają ogromny talent do przechodzenia nad różnymi sprawami do porządku dziennego. Ten pokój, materac, wielki gość z karabinem, już się do tego przyzwyczaił. Nie boi się ich. Są architekturą jego życia. Jednakże słowa Wielkiego Draba budzą lęk wewnątrz tego lęku, który już oswoił, dziurę w dziurze.

- Co się z nimi stało?

Przejął. Wielki Drab obnaża zęby, dźga Necdeta karabinkiem szturmowym. Necdet wycofuje się na materac. Hizir siedzi pod ścianą, kształty i wcielenia falują jak prądy konwekcyjne na powierzchni gotującego się syropu.

Zielona Chusta i Kudłaty wychodzą z sąsiedniego pokoju, gdzie Necdet zauważa styropianowe otwierane pojemniki, schludne plastikowe pudełka i kartony.

- Wszystko w porządku? - pyta Kudłaty.

Wielki Drab ze wszystkim chodzi do Kudłatego. Zielona Chusta klęka przed Necdetem. Zawsze przybiera taką samą pozycję, skromnie klęczy, kolana razem, rękawy naciągnięte na dłonie. To pewnie część jej strategii.

- Na dzisiejszej sesji porozmawiamy o naturze wiary - mówi Zielona Chusta.

- Nie mam jej wcale - odpowiada Necdet. - Nie potrzebuję. Ja widzę. Wiara to to, czego nie widzisz. Jeśli ja to widzę, to nie jest od Boga.

- Są inne definicje wiary. Można mieć wiarę w osobę, albo w przedmiot, oznacza to, że jest godny zaufania.

- To jest wiara w przyszłość - mówi Necdet.

- Inne spojrzenie na wiarę: to metoda na spajanie naszych racjonalnych idei.

- To nie znaczy, że one są prawdziwe. Dlaczego wiara miałaby spajać tylko racjonalne idee, a nieracjonalnych nie?

Kudłaty coś notuje.

- Wiara to poddanie się woli Allaha - mówi Necdet. - Sprawdzacie mnie? Na co?

- Powiedz mi o twojej wierze w Hizira.

- Nie dżinny?

- Upierasz się, że nie pochodzą od Boga, że są wytworami twojego umysłu. A czym się różni Hizir?

- On jest inny.

Znów. Wymiana spojrzeń.

- Przeżycia religijne są wspólne dla wszystkich ludzi - mówi Kudłaty. - Bóg jest spięty z nami na krótko, wbudowany w chemię mózgu, w neurony. Na poziomie podstawowym wszystkie religie ludzkości składają się z takich samych doświadczeń i mówią tym samym językiem.

- Wszyscy mistycy zgadzają się ze sobą - mówi Zielona Chusta.

Kudłaty złości się na te słowa. Rozłam między Bożymi Inżynierami? - zastanawia się Necdet.

- Nie wierzymy w nadnaturalnego Boga, który jest ponad regułami rządzącymi wszechświatem - mówi Kudłaty. - Wierzymy w Boga, który jest tu i teraz. Jest częścią nas, zawsze był, jest tą częścią naszej jaźni, która wyrasta ponad świadomość. Wierzymy, że tysiąc lat temu ludzka świadomość wyglądała całkiem inaczej niż teraz. Nie byliśmy jedną jaźnią, każdy miał ich wiele, a jedna należała do Boga. To były boskie czasy, Bóg przemawiał do kobiet i mężczyzn, przydarzały się cuda, wizje, święci. Bóg przemawiał do nas w przypowieściach, prorocत्वach, alegoriach i wierszach. Straciliśmy to. Staliśmy się zbyt świadomi. Musimy na nowo odnaleźć kontakt z naszymi osobistymi Bogami.

- To, co mówisz, niczym się nie różni od tych dżinnów. Hizir też pochodzi z mojego umysłu.

- Ale powiedziałaś, że jest inny. Mamy podstawy, żeby sądzić, że pochodzi z czegoś całkiem innego niż to, co masz za swój umysł. Z czegoś starszego niż twój umysł.

- Może ja jestem chory umysłowo - mówi Necdet. Przeraza go ta rozmowa. Strach w strachu wewnątrz strachu. - Powiedzieliście wcześniej, że mam zaburzenie dysocjacyjne, czy coś takiego. Może kiedyś nie byłem chory, a teraz jestem. Wszystko to wygląda jak jakaś choroba.

Zielona Chusta przechyla głowę, namyśla się.

- Necdet, wsłuchaj się w siebie. Czy ty mówisz jak chory?

- A skądże mam wiedzieć? - denerwuje się Necdet.

- Byłeś chory. A my skupiliśmy wszystkie te konflikty, pomyłki i złości w jednym punkcie, nadaliśmy im kształt i postać; teraz, na moje oko, jesteś szczęśliwy. Mają swój głos i ciało. To twój wewnętrzny Bóg. Twój Przyjaciel. Na razie wyniki są wspaniałe. Później jeszcze porozmawiamy, Necdet.

I znów wychodzą. Przez otwarte drzwi migają mu stopy Ponurego Kutasa, obok Kudłatego i Zielonej Chusty. Nie wypuszczą go. Teraz to wie. Będą go trzymać, dopóki nie poznają wszystkich odpowiedzi, a potem koniec. Wiadomo, co się robi z królikami

doświadczalnymi. A jednak, gdy patrzy na Hizira, z nicości wyłania się uśmiech. Wielki Drab jest zapalczywy, lecz Necdet wyczuwa, że to on jest tym słabym. Ponury Kutas to siły porządkowe i egzekucyjne, Kudłaty - technokrata, Zielona Chusta - teoretyczka. A dla Wielkiego Draba to sprawa osobista.

- No, człowieku, powiedz mi. Ci Kurdowie z sąsiedniej doliny, muszę wiedzieć. Co się z nimi porobiło?

* * *

Przezroczysty plastikowy walec z zieloną lodową mazią kręci się na półce z tyłu budki Proroka Kebabów.

- Co to za gówno? - pyta Adnan. - Wygląda jak jakieś picie dla gówniarzy.

- To gówno to granita - odpowiada Prorok. - Cytrynowo-limonkowa. Rozpuszcza się proszek, maszyna robi resztę. Podobno bardzo orzeźwiająca. Chcesz?

- I tak mnie łeb boli, nie muszę jeszcze pić lodu przez słomkę - rzuca Adnan. - Mówię ci jako człowiek, który płaci za studia twojego dziecka: mam nadzieję, że dużo za to nie dałeś, bo ten szajs to zmarnowane pieniądze. Do jutra się rozsypie.

- I tak wypożyczyłem to na próbę. - Prorok Kebabów namyśla się przez chwilę. - Czyli siedzicie na kasie.

Adnan nie może się powstrzymać od uśmiechu samozadowolenia.

- Zeszliśmy z towaru przy czterystu dziewięćdziesięciu pięciu.

- To ile wyszło?

- Cztery bańki dwieście dwadzieścia na głowę.

Prorok Kebabów pochyla głowę. Jest pod wrażeniem.

- Mam inne dzieciaki, też bym je posłał na studia.

- Trzy razy adana kebab. Ale jak dla prezydenta, żeby sok ciekł po brodzie.

- Trzy?

- Lord Ultror dojdzie trochę później.

Prorok nabiera garść mięsa i zaczyna oblepiać nim szpikulce. Lepi szaszłyczki cienkie jak ołówki, które włoży się na moment do ognia: z wierzchu będą przypieczone i śliczne, w środku krwiste. Tak jak trzeba. Kadir idzie przez plac z Oğuzem. Żadnych rytualnych powitań, żadnych „Bądź pozdrowiony, Draksor”.

- Nie zrobiłeś tego! - krzyczy Oğuz. - Mamy przejebane. Mamy przejebane ze wszystkich stron.

Adnan sadowi się na swoim stołku przy kontuarze i nie odrywa oczu od kebabu, obraca go i studiuje, szukając punktu do ataku. Mięso jest aromatyczne, pachnie czarnuszką i

czosnkiem, łagodzącymi delikatny smrodek jagnięciny. Pomidory - ciepłe i pełne słońca. Prorok Kebabów trzyma w tajemnicy swojego piekarza - takiego geniusza komercjalizacja tylko by zepsuła - i traktuje go jak ukochanego syna. Chleb pachnie jak samo życie.

- Dzisiaj rano zrobiłem z ciebie milionera. To teraz siadaj, zjedz ten przepyszny kebab, który ci stawiam, a jak skończysz, wytłumaczę ci, dlaczego nie mamy przejebane.

Ultralordowie Wszechświata ustawiają się w rzędzie wzdłuż lśniącego stalowego kontuaru Proroka Kebabów.

- Dziś rzeczywiście przeszedłeś sam siebie - mówi Adnan, ocierając palce i usta wilgotną chusteczką. - Sam Bóg nie zrobiłby lepszego adana kebabu.

Prorok Kebabów kłania się w odpowiedzi. Chwyta aluzję i wycofuje się w głąb, żeby kroić sałatę.

- Dlaczego mu tego nie dałeś? On zna wszystkie numery kont, wszystko. - Oğuz podejmuje temat bez zająknięcia.

Adnan atakuje.

- Powiem ci, dlaczego. Bo ja nie jestem Lord Draksor, a ty, kurwa, nie jesteś Lord Terrak. Nie jesteśmy Ultralordami Wszechświata. Nie ma żadnych Ultralordów Wszechświata. To postacie z kreskówki. Pamiętasz, jak się kończył każdy odcinek? Wielką bitwą. Supermoce i nie tylko. Wielkie bum. Zły wróg zwyciężony na tydzień. No właśnie. Jak wysadzisz czarny charakter, to jest wysadzony na amen. Nie żyje. Zabiliśmy go. I nie mamy żadnych supermocy. Robimy w firmie finansowej, nie w kreskówce. Jesteśmy ludźmi. Ludzie takich rzeczy nie robią. Nie swojemu kumplowi. Nie dla kasy. Nie musisz rozumieć, dlaczego nie podrzuciłem Kemalowi tego nano. Chcę, żebyś przyznał, że miałem rację, tak jak miałem rację od początku w całej tej sprawie.

- Ja rozumiem jedno: jak to gównie się rozniesie, a to tylko kwestia czasu, kiedy ten rachunek Cygnusa X nas w to wszystko wkręci, to oni wleżą Kemalowi pod czaszkę, czymś takim, przy czym nasze nano to cukierki - mówi Oğuz.

Nóż Proroka Kebabów porusza się jak śmierć, szybki, dokładny i niezawodny.

- Zachowujemy zimną krew. Wstrzymujemy ogień. Przychodzimy do pracy, robimy robótkę jak zawsze, pilnie i skutecznie. A w tle zwijamy Turkusa jak dywan, tak jak planowaliśmy. Zachowujemy dyskrecję. Robimy wszystko krok za krokiem, tak jak ćwiczyliśmy. Dwadzieścia milionów euro na dwieście milionów, albo na dwa miliardy, pewnie raczej tyle wynoszą długi Özera, drobiazg, nie? Nas nie będą szukać. Będą szukać Mehmeta Pizdy.

- Mówisz, żeby zachować zimną krew - zauważa Kadir. - Więc mogę powtórzyć: nie

masz żadnego planu.

- Mam plan. Kto mówi, że nie mam planu? Ja zawsze mam plan. Upłynniamy wszystko od razu. Bo jak tylko w szkle pojawi się pierwsza rysa, musimy móc wyjść z biurowca z wypchanymi kieszeniami, a za nami niech wszystko się wali. Płynność zawsze się sprawdza. Mnie podobają się obligacje na okaziciela, elegantsze niż gotówka.

- A Ferid Bej? - pyta Kadir.

- Dostaje swoje, w gotówce. Gotówka rządzi, rządziła i będzie rządzić. - Adnan stuka kostkami w porysowany zmywakiem stalowy blat. - Ultralordzie Kebab-or! Jeszcze jedna adana dla naszego Czwartego!

Pozostali Ultralordowie unoszą wzrok. Przez plac idzie Kemal, lawirując między skuterami i motorowerami. Adnan unosi kebab, jak łup.

- Bądź pozdrowiony, Ultror! Łap się za to i zjedz po drodze, bo trzeba zdążyć na mecz, a ja nie pokazuję się na Aslantepe w takich ciuchach.

Kiedy Prorok Kebabów odwraca się, wyregulowawszy temperaturę na silosie z zielonkawą granitą, w serwetniku siedzi stueurowy banknot, a czterech mężczyzn w ciemnych garniturach maszeruje nieświadomie równym krokiem na postój taksówek. Jak elegancy gangsterzy.

VIII

Popołudniowe słońce leje się z wysoka do białej betonowej misy stadionu Aslantepe. Mecz o wszystko! Mecz o wszystko! Galatasaray kontra Arsenal, półfinał Europejskiej Ligi Mistrzów. Zwycięzca spotyka się z Barceloną w Monachium! Najważniejsza nagroda w Europie! Rzędy powoli się wypełniają, człowiek za człowiekiem, zasłaniając wypisane czerwonymi fotelikami ogromne litery CIMBOM na trybunach dla gospodarzy. Kibiców Arsenalu wpuszczono wcześniej na trybuny dla gości, już rozwiesili na barierkach swoje transparenty i ćwiczą piosenki, charakterystyczne dla angielskich kibiców, nabrzmiewające i cichnące jak ocean. Niektórzy już zdjęli koszulki. Po drugiej stronie łomocą tureccy bębniarze, huczą rogi. Kibice Arsenalu wytykają ich palcami i drą się: „Ej, ej, ej!”. Na bandach i wielkich ekranach nad trybunami przewijają się reklamy. Wszędzie są media: wozy telewizyjne zastawiają główną drogę, sławni mądrze ledwo widoczni w szklanym akwarium galerii, z tuzin różnych komentatorów siedzi na swoich ławkach, fotografowie rozwalają się

za linią bramki. Kamerzyści trenują posyłanie latających kamer lotem koszącym przez stadion, podczas gdy kamerki pilnujące linii bocznych latają z wizgiem tam i z powrotem. Kibice krzyczą i wiwatują, oglądając się na ekranach w dziesięciometrowej wersji. Po niebie manewruje sterowiec: Türkcell.

Klubowy DJ grzmi z głośników tureckim popem, aż dygocą krzeselka. Maskotki w ogromnych kostiumach uganiają się wzdłuż linii bocznej, próbując zagrzewać tłum.

Adnan Sarioğlu przystaje u szczytu schodów. Mruży oczy, wpatruje się w błękitną kopułę nad białym talerzem Aslantepe.

- Widzicie to? Chmura.

Ultralordowie Wszechświata schodzą po stopniach na swoje karnetowe miejsca pośrodku sektora B, przeciskając się i witając ze znajomymi bywalcami. Kemal przystaje na moment, żeby przeczytać wiadomość z ceptepa, potem pochyla się do kumpli i szepcze:

- Przeszło. Możecie podjąć, kiedy chcecie.

Teraz już oficjalnie jest bogaty.

Wyświetlają to słynne wideo motywacyjne Galatasarayu, to ze szturmem na mury Konstantynopola z filmu *Mehmed Zdobywca*. O, jest i pierwsza fala meksykańska: nzbierało się dość kibiców, żeby zadziałała. Adnan podrywa się na nogi i czuje, jak rozplywa się w atawistycznym duchu kibicowania. Oto Królestwo Cimbom. Ludzie tutaj są inni.

- To gdzie dokładnie jest ten nasz gaz? - pyta Kemal, stojąc z uniesionymi rękami.

- Teraz idzie z Çaldiranu do głównej linii Nabucco i płynie do nas, wyciąga czterdzieści na godzinę - odpowiada Oğuz, siadając z powrotem, gdy fala przechodzi.

Wideo motywacyjne, mimo bezwstydnego plagiatostwa i metalowych akordów kwintowych, sprawdza się. Zmumifikowane w pianie maskotki, mimo upału, stają na rękach, skaczą i celują do bramek. Wtem stadionowe nagłośnienie odzywa się pełną parą i Adnan czuje, jak przechodzi przez niego dreszcz. W tym momencie przestaje być Adnanem Sarioğlu, traderem gazu. Staje się kibicem. Arsenal wybiega, trzymając za ręce małych chłopców, oszołomionych i wystraszonych do łez, w za dużych pasiastych koszulkach. Odległa kakofonia z sektora Arsenalu. Buczenie, gwizdanie i szyderstwa z Cimbomu. Tu nie chodzi o sport. Chodzi o piłkę nożną. DJ wywrzaskuje powitanie, ogniste fontanny strzelają z linii bocznych i Oto! Oto! Cimbom! Tłum zrywa się na nogi, Adnan wraz z nimi, ryk w gardle, zaciśnięta pięść. Oczy małych dzieci, maskotek w kremowo-czerwonych strojach są wytrzeszczone z przerażenia. DJ wymienia skład zespołu: każdy gracz po kolei kiwa głową, patrzy na buty albo w niebo. Po każdym nazwisku wiwat, sejsmiczny głos po Yolkanie - wreszcie w formie. Drużyny rozbiegają się na miejsca, kapitanowie ściskają sobie dłonie,

wymieniają proporzycyki i patrzą na rzucaną monetę.

- Ruski sędzia! - krzyczy z boku Kadir.
- O kurwa, oni nas nienawidzą - mówi Kemal.
- Anglików bardziej - rzuca Adnan.
- Co prawda, to prawda - zgadza się Kemal.

Arsenal przegrywa rzut monetą i zaczyna grę. Sędzia dmucha w gwizdek, piłkarze zaczynają się ruszać, kapitan wykopuje piłkę i stadion Aslantepe staje się półkulą hałasu. Arsenal atakuje, gra długimi podaniami zagrażającymi polu karnemu Galatasarayu, ale Gundüzalp, wielki jak byk środkowy obrońca pięknie podaje do Ersoya i sytuacja się odwraca, Galatasaray napiera, a ceptep Adnana dzwoni.

Dzwonek Ayşe.

Adnan zerka na ekran, potem zauważa pozycję. GPS ma włączony. Komisariat policji Bibirdirek na Sultanahmecie. Słuchawka natychmiast ląduje przy uchu.

- Ayşe?
- Adnan, jestem aresztowana.

Na tle zielonej murawy, błękitnego nieba i mozaiki jaskrawo ubranych kibiców te słowa wydają się niemożliwe. Ayşe. Aresztowana. Nie pasują ani do siebie, ani do tej rzeczywistości: facetów w krótkich majtkach kopiących piłkę na trawiastej arenie.

- Jesteś co? - pyta.
- Aresztowali mnie. Trzymają mnie na Bibirdirek. Głupia sprawa, na pewno dojdą, że to pomyłka, i mnie wypuszczą.

Omal nie pyta: „Kto cię zatrzymał, czemu jesteś aresztowana, o co jesteś oskarżona?”. Ale nie jest w tłumie sam. Galatasaray zepchnięty na własną połowę podaje do Aykoła, który widzi przed sobą miejsce i biegnie w nie, na środek boiska. Aslantepe nachyla się, unisono nabierając powietrza. Wśród zgiełku Adnan mówi:

- Jadę. Ściągnę jakiegoś prawnika. Będzie u ciebie, zanim ja dojadę.

Kadir chwyta dryfujące jak babie lato strzępki rozmowy. Pochyla się, wypowiada ustami: „Co?”. „Ayşe” - odpowiada tak samo Adnan, potem, zanim pojawią się pytania, przepycha się do schodów wśród patrzących spode łba i przeklinających kibiców, wyciągających szyje, kiedy zasłania im widok. Jest jedyną postacią poruszającą się pod rozemocjonowany prąd osiemdziesięciu tysięcy kibiców Cimbomu. Kiedy zbiega w dół betonowymi schodami, śmierdzącymi szczynami i świeżą farbą, słyszy jak stadion za plecami eksploduje rykiem. Gol dla Galatasarayu. Na Cendere Caddesi przywołuje samochód. Wysiądzie z niego pod komendą i każe mu szukać miejsca parkingowego albo po prostu

krażyć, dopóki nie będzie potrzebny. Podchodząc do jezdni, wypatrując podążającego ku niemu audi bez kierowcy, Adnan uświadamia sobie fundamentalną niespójność - zwornik całego łuku nieprawdopodobnych zdarzeń. Zawsze zakładał, że to jego aresztują.

* * *

Złoto i srebro. Łuszczący się z kopuł tynk. Uliczki z żółtymi dachami, które nie chcą biec prosto; każde skrzyżowanie ujawnia nowe zaułki i korytarzyki, wijące się nieprzewidywalnie między ciasnymi jak trumny sklepami i straganami, a potem wychodzące na przykryte kopułami targowe placyki. Flagi tureckie o wszelkich możliwych geometriach. Czerwień i biel, półksiężyc i gwiazda. Tu nie ma miejsca na gwiaździsty diadem Unii. Pomalowana farbą drewniana ręka wskazuje maleńki meczecik, upchnięty na górze, nad spiralnymi schodkami. Mężczyźni biegną z wyładowanymi wózkami po brukowanych uliczkach. Przez wykafelkowany brzeg fontanny przelewa się woda. Wszystko jest małe, gęste, poupychane razem. Sprzedawcy są zbyt wielcy na swoje maleńkie stoiska, przytłoczeni górami towarów. Blask białych neonów nie zmienia się, ani w dzień, ani w nocy. Wielki Bazar ma swój własny czas, i nie jest on mierzony zegarami czy kalendarzami świata zewnętrznego.

Aso nawiguje po Wielkim Bazarze z pomocą ceptepa. Yaşar jest zajęty prawnikami, księgowymi i arkuszami kalkulacyjnymi, więc to jemu przypadło wyprawić się z Leylą na poszukiwanie skarbu w sercu labiryntu. Leyla wie, że zgubiłaby się tu w sekundę. Jeden ciekawy błysk czy iskra i już zaczęłaby łązić po straganach. I według kupców z Wielkiego Bazaru, właśnie o to chodzi. Dopiero kiedy umysł przestanie poszukiwać, możliwe jest prawdziwe odkrycie. Szczęśliwy traf, kiedy wchodzisz na ten sam placyk z czterech stron, za każdym razem myśląc, że jest nowy. Natrafiając na dziwaczną osmańską kawiarenkę, budynek w budynku, wiesz, że już nigdy w życiu jej nie znajdziesz. Jeden krok zabiera cię od tłocznych, złodziejskich uliczek w słabo oświetlony sok, gdzie przy zardzewiałym kopycie siedzi samotny szewc, i zastanawiasz się, czy w tym stuleciu, albo i poprzednim, miał choć jednego klienta.

Leyla znienawidziła Wielki Bazar od pierwszej wizyty. Chłam, podróbki, drożyzna, wszystko dalej piętrzy się pod sufit, dalej machają ci tym przed nosem; teraz jednak widzi linię biegnącą z Capalli Carsi przed dom aukcyjny Hazine i nanobazar ku niej. Wszyscy cały czas wciskają wszystkim jakiś towar. Ona wcale nie jest inna niż te prymitywy za górami towarów. Sprzedaż jest wszystkim.

- Aso.

Aso już zaczął błędzić, podążając za świetlistym pyłem dzinnów, jak za strzałką

rzucaną na siatkówkę przez system nawigacyjny ceptepa.

- To zabrzmiało jak głupie pytanie. Potrafię zachwalać transkryptor Besaraniego-Ceylana na wrywki, mogę ci wymienić jego funkcje, cechy, zalety, powiedzieć, że to nowa rewolucja nano, że nic już nie będzie takie samo, że to zniszczona przyszłość, ale nie widzę tej przyszłości. Widzę bajerancką grafikę DNA, ale nie kojarzę tego ze sobą, z ludźmi, z takimi miejscami jak to. Znasz takie coś, „eksperyment myślowy”? Proszę bardzo, eksperyment myślowy: co tu będzie za pięćdziesiąt lat?

- Jedno pytanie: czemu tutaj?

- Bo to miejsce jest chyba najbardziej konserwatywne i odporne na zmiany. To chyba ostatnie miejsce, do którego dotrze nanorewolucja.

Aso rzuca jej dziwny, brzydki i śliczny uśmiezek i kiwa głową, jakby szedł za światełkiem widocznym tylko dla niego.

- No, tutaj będzie z grubsza tak samo. Herbata, antyki, rachatlukum będą się dalej sprzedawać. Autentyk to będzie coś. Ale nie będzie tego szajsu gospodarstwa domowego i elektroniki. Takie rzeczy będzie się robić w domu, albo większe rzeczy, jak samochody, w specjalnych centrach. Każdy będzie mieć fabrykator, domowe urządzenie do produkcji różnych rzeczy, coś jak drukarka 3D, tylko bardziej zaawansowana. Elektronika i biologia będą coraz bliżej siebie, będziemy drukować rzeczy z białek i semizootycznych plastików. Jak znudzisz się kurtką, albo zachce ci się nowych butów, stare po prostu wsadzisz do fabrykatora, żeby je przetworzył. Wszystko będzie designerskie. Kiedy pospolite rzeczy są tanie, ludzie zaczynają płacić za etykietkę. Zdejmij z koszulki napis „Donna Karan”, zostanie ci prostokąt bawełny za dwa euro. Status nie będzie się mierzyć produktami, lecz stylem. Projektanci będą jak teraz piłkarze - otoczeni kultem. Dlatego właśnie powiedziałem, że autentyk to będzie coś. Wszystko, co nie wyszło z fabrykatora, co jest oryginalne i ma na to papiery, stanie się bardzo cenne. Za to ludzie będą płacić, będą płacić za przeżycia. Filizanka dobrej kawy będzie cenniejsza niż nowy ceptep, bo ceptepa da się zrobić w domu, zresztą i tak ceptepy dawno będą przeżytkiem. A dobra kawa to sztuka.

Życie Wielkiego Bazaru przelewa się wokół Leyli i Aso. Leyla próbuje przełożyć na twarze wyobrażenia Aso: przystojny młodzieńek rozpierający się na stosie kilimów ojca, żółtozęby starzec na straganie z tandetą, dwoje niemieckich turystów, krzątająca się kobieta w pełnym hidżabie.

- Wszystko będzie piękne, oszałamiające, jaskrawe. To będzie wiek stylu i koloru. Ludzie przypomną sobie stroje z czasów osmańskich, nastąpi powrót szat i turbanów. A może będą za nami latać chmurki mikrorobotów, które mogą się złożyć w co tylko zechcesz, jak

dzinny. Nikt nie będzie nosić okularów, wzrok będzie korygowany wewnętrznie, jak autofocus w aparacie. Nikt nie będzie nosić pieniędzy, wszystko będzie rozliczane podaniem dłoni, mrugnięciem oka albo przesłaniem myśli. Będzie o wiele ciszej niż teraz. Przeważnie będziemy się porozumiewać bezpośrednio, mózg do mózgu. Głos będzie zarezerwowany dla świata publicznego i dla występów. Będziemy mieli dwa rodzaje mowy, tak jak w niektórych językach jest styl oficjalny i prywatny. Komunikacja głosowa jest rozgłaszana, słyszą cię wszyscy w zasięgu głosu. A mowa bezpośrednia jest dyskretna, do takiej rozmowy trzeba mieć zaproszenie, słyszy cię tylko ten, do kogo się zwracasz. Można mówić o tajemnicach. Można siedzieć w pokoju pełnym ludzi i rozmawiać z kimś tak, żeby reszta nie słyszała. Albo, równie dobrze, z kimś po drugiej stronie planety. Mowa bezpośrednia nie jest ograniczona odległością. To będzie era plotek, intryg i drobnych spisków. Starzy przyjaciele będą się umawiać w tej czajchani i przypominać sobie, słowo w słowo, rozmowy sprzed dziesięciu lat. Będą mogli odtwarzać te sceny w myślach, bo DNA nigdy nie zapomina. To będzie jak podróż w czasie - wspólne złudzenie przeszłości. Mogą też postanowić, że przenoszą się do jakiegoś innego świata, może zaprojektowanego przez kogoś, może opartego na sieciach społecznościowych. I będzie dla nich tak realny, jak ten. Ludzie będą od niechcenia przenosić się między światami. Będą wspólne, oparte na społecznościach światy i będą światy prywatne, gdzie możesz robić co chcesz. Będziemy mieć dodatkowe organy zmysłowe. Jakoś trzeba będzie nadawać i odbierać tę informację. Musimy być okablowani. Mnie trochę podoba się wizja rogów, może z tyłu głowy. Albo małych czulków. Chociaż myślę, że będziemy się ich wstydić, że to będą wstydlive części ciała, których nie pokazuje się publicznie. Bo będą bramą do duszy, a tego się wszystkim nie pokazuje. Będziemy je zakrywać. Czyli wrócą turbany! Nie mogę się doczekać. A potem, niedługo, w ogóle przestaniemy się zakrywać. Pójdziemy dokładnie w przeciwną stronę. Wszędzie goła skóra. Dlaczego? Bo opanujemy fotosyntezę. Już mamy baterie fotosyntetyczne dające prąd, wystarczy spiąć je z transkryptorem nano, włączyć do cyklu ATP i żywić się jak rośliny: rozebrać się i chłonać słońce. Takie miejsca jak to będą ciemne i straszne. Dach? Zero światła? Masakra. A po fotosyntezie to już nikt nic nie wie. Wszystkie wykresy idą pionowo w górę.

- Tak sobie myślę: czy czasem nie pomagam ci tworzyć przyszłości, w której nie chciałabym żyć - mówi Leyla. - Ja dorastałam pod dachami. Demre to miasto dachów. Wszędzie są plastikowe cieplarnie i foliowe tunele, ciągną się całymi kilometrami. Dochodzą aż do samej drogi. Domy i meczety cisną się między nimi. Ziemia jest zbyt cenna, żeby ją zabudowywać, więc domy rosną w górę; jak ktoś bierze ślub, to dobudowuje mu się piętro na

górze. Niektóre co starsze domy w Demre wyglądają jak małe wieżowce. Pamiętam, że jak Amerykanie gadali o wyprawie na Marsa, żeby zbudować tam bazę i hodować jedzenie, myślałam, że to powinno wyglądać jak Demre. My tam wiemy, jak zatrzymać powietrze i wpuszczać światło. Może, gdyby nas zapytali, to udałoby się im. Pod folię pompuje się odpadowe CO² z hoteli przy plaży; pomidory rosną pod niebo. Całe dzungle papryczek i bakłażanów. Niektórzy mają słabą tolerancję na CO² i nie mogą tam pracować, a jeden dzieciak miał alergię na pomidory, w ogóle nie mógł się do nich zbliżyć, bo twarz by mu spuchła i eksplodowała. Cały czas czuję zapach pomidorów i nawozu dla nich. Robiło się go ze ścieków z hoteli. Były przepuszczane przez ekstraktor, co dawało metan na energię i czysty nawóz dla roślin. Mój ojciec nie był hodowcą, był serwisantem systemów nawadniania kropelkowego. W tunelach tylko to było słychać: kap, kap, kap i syk zraszaczy pomagających owocować. Po co ja ci mówię o Demre? Bo ludzie zachodzą w głowę, jak można tam mieszkać, bez otwartej przestrzeni, ze wszystkim pod folią, ale wiesz co? Mnie się podobało. Miałam tam bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Chcę powiedzieć, że do wszystkiego można się przyzwyczaić. Ludzie się przystosowują.

Antyki Tapaloğlu to pełna mosiądzu klitka zawalona starymi zwieńczeniami meczetowych kopuł, lampami świątynnymi, greckimi kadzielnicami, hebrajskimi tekstami w ramkach, podrabianymi ikonami i ilustracjami do *Parlamentu ptaków*. I miniaturowymi Koranami: jest ich cała gabłota, rząd za rzędem. Połyskują w świetle. Pan Tapaloğlu jest okrągłym człowiekiem w średnim wieku, z wystającymi zębami i zakolami na głowie. Nosi rozpinany sweter, mimo panującego na bazarze upału. Sklep pachnie pastą do polerowania.

- Interesują panią miniaturowe Korany?

- Szukam jednego, konkretnego - mówi Leyla. - To rodzinna pamiątka.

- W wielu miejscach w Stambule sprzedaje się miniaturowe Korany - mówi Tapaloğlu.

Leyla się ujawnia.

- Prawdopodobnie sprzedał go panu Turgut z Hazine.

Tapaloğlu patrzy podejrzliwie na Aso grzebiącego między mosiężnymi latarniami.

- Nie jesteśmy z policji.

- Ale wyglądacie.

To te garnitury.

- Ja pracuję w marketingu, a on to naukowiec. Naprawdę szukamy zagubionej rodzinnej pamiątki, miniaturowego Koranu. Na pewno by go pan pamiętał, był przecięty na pół.

- Druga połówka tego. - Aso pokazuje na dłoni połowę należąca do spółki Ceylan-

Besarani.

Tapaloğlu poprawia okulary i patrzy.

- A, no tak. To poznaję. Rzeczywiście przyszło w jakiejś masówce z Hazine. Wyszukują dla mnie różne takie dewocjonała.

- Ma pan to?

- A, nie. Sprzedałem.

Iskierki i błyski oświetlanego mosiądzu wirują wokół Leyli jak kręcące się gwiazdy. Niedobrze jej, czuje skurcz w dole brzucha.

- W poniedziałek. Pozbierałem nadwyżki i sprzedałem wszystko razem. Mogę pani powiedzieć, gdzie. Zapiszę pani, bo nie mam tego ustrojstwa do podawania rąk. - Piszę długopisem na odwrocie wizytówki. - Proszę.

Leyla czyta adres. Czyta go jeszcze raz, żeby mieć pewność, że dobrze przeczytała. Dobrze. Prawdziwa podróż zatacza koło, obrót derwisza. Bóg jest dobry, Bóg jest zaiste bardzo dobry.

* * *

Samotna kawka, o czarnej głowie i jasnym oku, maszeruje tam i z powrotem po balustradzie balkonu za oknami salonu na piętrze pałacu Kortanpaja, przypatrując się, jak delegaci grupy Kadiköy posuwają się naprzód w kolejce po kawę. Georgios Ferentinou obserwuje ją z przyjemnością. Odkąd pamięta, podobały mu się kawki. Takie obyte i zawsze wiedzą, co mają robić.

- Też lubi pan krukowate - zauważa Emrah Beskardes, stojący za nim w kolejce.

- Lubię inteligencję.

- Dlatego właśnie swoją pracę doktorską napisałem o sieciach społecznościowych wśród gawronów. Wie pan, że odbywają żałobę po zmarłych? I mają sądy. Identyfikują łamiących społeczne normy, zbierają grupę samców - sąd - izolują ich i karzą. Pewnie widział to pan, nawet nie wiedząc, co się dzieje, grupa wron w powietrzu, napastująca samotną wronę. To kara. Celują w ogon i lotki. Czasem się widzi gawrona albo srokę bez piór, jak podskakuje, próbuje podlecieć. Złamały prawo. Widziałem, jak dzieci próbują pomóc, myślą, że to biedny, skaleczony ptak, wtedy reszta sądu drze się z oburzeniem, a czasem i próbuje je zastraszać. Są bystre, ale to skurwysyny.

Zaintrygowany Georgios Ferentinou przechyla głowę, nieświadomie naśladowując skradającą się za oknem kawkę.

- Wydaje się pan rozczarowany obiektami swoich badań.

- Bo wron się nie lubi, wrony się podziwia. Wykorzystują naszą zdolność do tworzenia

chaosu. Nieważne polarne misie, czy jakiś tam tuńczyk, którym w tym miesiącu wypada się przejmować; wrony są na pierwszej linii wszystkiego, co wyprawiamy z tą planetą. Im większy robimy bajzel, tym bardziej im to odpowiada. Nowe zachowania rozchodzą się po ich populacji, jak ogień po lesie. Dziesięć lat temu japońskie wrony nauczyły się rzucać twarde orzechy na skrzyżowania, żeby porozgniatały je samochody. I to nie wszystko. Żeby je podnieść, czekały na czerwone światło. Teraz robią to wrony w Londynie. W dziesięć lat przeszło przez całą Eurazję. Istnieje presja ewolucyjna, a skoro działa na wrony, to działa i na nas, tylko jeszcze tego nie zauważyliśmy. Teraz te same japońskie wrony wykazują zachowania, które zwyczajnie nie miały czasu, żeby wyewoluować. Potrafią liczyć do dziesięciu. Robią znaki w błocie. Na swoich sejmikach robią znaki w błocie. Rzędy kropek. Jeśli to pana nie przeraża... Chce pan usłyszeć teorię? Bo mnie to przeraża jak cholera: one według mnie podłapują ze środowiska odpadowe nano, które modyfikuje im mózgi.

- Niech Bóg ma nas w opiece - mówi Georgios Ferentinou i czuje, w tej kolejce po kawę, skurcz intelektualnej ekscytacji i lęk, płynący z uświadomienia sobie, że wszechświat nie potrzebuje do niczego ludzi.

- Pan patrzy na wrony - dodaje Beskardes. - Bo wrony na sto procent patrzą na nas.

Georgios zna takie wronie sejmiki. Stał tam, gdzie stoi oskarżony samiec. Wtedy też była wiosna, późna wiosna, spóźniona jeszcze przez konferencję w Moskwie. Georgios drżał i kulił się w sobie, spędzając tydzień na lekturze prac i seminariach poświęconych Informacji niezupełnej, Racjonalnej irracjonalności, Myśleniu grupowemu, Bańkom behawioralnym; samym modnym tematom pop-ekonomii; tematami, które zgarniały kontrakty na książki z dwukropkami w tytułach i tłumaczącymi wszystko jak dla idiotów podtytułami. Uniknął obowiązkowego picia na umór, twierdząc, że bierze go grypa. Nigdy nie miał pewności, czy jego pracy pod tytułem *Mentalne odwzorowania i linie pragnień: psychogeografia krajobrazów ekonomicznych* udało się przeniknąć przez wódczanego kaca u słuchaczy, ale cytaty pojawiały się w pismach przez następne osiemnaście miesięcy, dopóki nie pojawiła się nowa modna teoria. Był to jednak ponury tydzień późnej zimy, więc tym bardziej był zaskoczony, wychodząc z klimatyzowanych marmurów lotniska Atatürka na rozkwitającą w Stambule wiosnę. Powietrze pachniało, chmury kwiatów migdałowca subtelnie przesłaniały minarety i kopuły ogromnego kompleksu Sulejmana - meczetu, grobowców i szpitali, a Georgios Ferentinou szedł przez park na Wydział Ekonomii. Kartka w jego przegródce. Spotkanie Rady Wydziału. Czternasta.

Nadal jest w stanie przywołać tę salę ze wszystkimi szczegółami. Termos z uczelnianą kawą, słoik herbaty jabłkowej w proszku obok termosu z wrzątkiem. Talerzyk drobnych

słodczy i zachodnich herbatników. Za oknem wszystko kwitnie. Wciąż pamięta, kto gdzie siedział. Ogün Saltuk po lewej Emine Arina, rektora.

Pytali o konferencję w Moskwie. Jaka była pogoda? Zupełnie nie taka, jak tutaj. Szkoda. Uczestnicy? Kosmopolityczni. Świetnie. Jakość prac? Nierówna. Świetnie. Prezentacja profesora Ferentinou? Dobrze przyjęta. Znakomicie. Wtedy rektor Arin spojrział na Ogüna Saltuka i Georgios od razu poznał, że wszystko skończone.

- Panie profesorze, pana wkład w Wydział Ekonomii i w dziedzinę Ekonomii Doświadczalnej w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat... - zaczął Ogün Saltuk.

Georgios przerwał mu:

- Zwalniacie mnie.

- Tu jest Uniwersytet w Stambule, tu się nie zwalnia szacownych uczonych. Wystąpiły jednak problemy z finansowaniem dla Katedry Durmuja Yilmaza.

- Czyli zwalniacie moją katedrę, nie mnie - zripostował Georgios, ale już upadał, świat był jak powietrze, nie było się czego złapać.

- To niezbyt sprawiedliwe - odparł rektor Arin - Cięcia finansowe dotknęły wszystkich wydziałów.

Było ich sześciu wokół stołu, wszyscy znani Georgiosowi, wszyscy z kamiennymi twarzami. Tylko Saltukowi zabrakło przyzwoitości, żeby mieć zawstydzoną minę.

- Od kiedy?

- Od nowego roku akademickiego - odpowiedział Saltuk.

- Przysługuje mi sześć miesięcy wypowiedzenia...

- Gdyby to ode mnie zależało, ale to kwestia finansowa.

Georgios usiadł, z rękoma luźno złożonymi na kolanach. Stanowczość już z niego ulatywała, stać go było tylko na dwa małe wybuchy buntu.

- Ja... ja nie wiem co mam robić.

- Panie profesorze - powiedział rektor Arin, próbując uniknąć krępującej dla wszystkich emocjonalnej sceny.

- Nic nie znajduję. Nie jestem już młody. Co mam robić?

- Panie profesorze. - Nieznośna słodycz w głosie Saltuka. - Uczelnia z pewnością potraktuje to jako wcześniejszą emeryturę, a nie likwidację katedry, jak magnificencja myśli?

To już postanowione, pomyślał Georgios. Trenowali tę przemowę. Teraz boją się tylko, żeby nie kazał im wyjść poza scenariusz.

- Moi podyplomowi...

- Zastąpię pana jako ich promotor. Zajmujemy się wszakże pokrewnymi dziedzinami.

W tym momencie Georgios znienawidził Saltuka, znienawidził go z helleńską siłą i gwałtownością, teraz bowiem lata uczelnianych tarć, wrzącego powoli napięcia, ledwo skrywanej niechęci uwidoczniły się jak odkryte karty. Każdy drobny przytyk, krytyka, szpila, każde delikatne podanie w wątpliwość jego umiejętności, autorytetu, lojalności, wszystko to było wstępem do tego parszywego ciosu.

- Jeszcze jedna sprawa - dodał Saltuk. - Ma pan parę pozwoleń, rządowych albo z wywiadu, na dostęp do informacji niejawnych. Obawiam się, że to także trzeba będzie zrewidować.

- Czemu po prostu nie nazwiecie mnie greckim zdrajcą? Będziecie mieli z głowy.

Wybiegł z sali. Dzwoniło mu w uszach, gdy biegł z wściekłością przewiewnymi korytarzami, przez dziedziniec, czuł drżący ucisk w piersi. W głowie falowały i kłębiły się głupie nadzieje, puste fantazje: wykłady gościnne, profesura w Stanach, Niemczech czy Anglii, książka-bestseller, kariera ukochanego przez media pop-ekonomisty, nominacja do Nobla. Równie dobrze mógłby zapragnąć supermocy, albo marzyć, że jakiś bóg sięgnie z nieba, z umięśnionych, pysznych chmur pędzących ponad wiosennym Stambułem. Był skończony. Wokół głowy wirowały mu miecione wiatrem płatki migdałowca.

Później były to lecące z drzew liście - kiedy Wydział Ekonomii ogłosił utworzenie nowej katedry, Katedry Psychologii Ekonomicznej im. Tansu Penbe Çiller, której inauguracyjnym szefem został profesor Ogün Saltuk.

Filizanka z kawą Georgiosa dzwoni o spodek z odświeżonej wściekłości. Ciemny, mocny, długo dojrzewający gniew starych ludzi. Musi zrobić to teraz. Ma okazję, ma też broń. Nie dla zemsty. Dla prawdy. Dla tego, co wydedukował, może bez sensu, może głupio, a może z przenikliwością, jaką może wykazać tylko outsider, wygnaniec we własnym mieście. Kiedy zmierzy się z Ogünem Saltukiem, będzie motywowała go sprawiedliwość.

Wyposażona w kawę kolejka wije się z powrotem do głównego salonu z ponurym widokiem na zbiorniki z gazem. To przerwa techniczna: pierwsza sesja Myślenia Otwartego nie skończyła się o czasie, a Ogün Saltuk najchętniej przerwałby ją od ręki i ruszał dalej z programem. Georgios podejrzewa, że jego władcy z MIT nie rozumieją, co im sprzedał. Fatih Dikbas papie coś o terroryzmie makroekonomicznym jako narzędziu geopolitycznym, opierając się na rosyjsko-europejskiej dyplomacji gazowej w pierwszym dziesięcioleciu tego wieku. Jest potwornym, drętym mówcą. Ogün Saltuk wierci się i zerka na zegar. Wreszcie Dikbas dociera, meandrując, do nieprzekonującej pauzy i po paru pustych sekundach Saltuk pyta:

- Jakież dalsze uwagi? Nie?

Ręka Georgiosa Ferentinou leży płasko na blacie. Unosi ją powoli do pozycji pionowej.

- Chciałbym zabrać głos.

- Chcielibyśmy już skończyć tę część programu - mówi Ogün Saltuk, robiąc gest zwijania wełny, jednocześnie dziecinny i protekcyjny. - Jutro, na sesji przed całościowym podsumowaniem będzie jeszcze jedna okazja do Myślenia Otwartego.

- Uważam, że to, co mam do powiedzenia, wymaga natychmiastowego działania - mówi Georgios.

Wydaje się, że wszyscy zaczerpują tchu. Cisza się przeciąga. Gawron przeszedł teraz do tego okna balkonowego.

- Chciałbym wysłuchać profesora Ferentinou - oznajmia Beskardes.

- Ja też - odzywa się Selma Özgün. - Jego głosu brakowało na naszych sesjach.

Wszyscy wokół stołów potakują.

- No to dobrze - mówi Saltuk, zagryzając dolną wargę. - Proszę się z nami podzielić, panie profesorze.

Georgios ścisną jedną dłoń drugą i się pochyla. Patrzy w twarze współuczestników.

- Na początku tych sesji profesor Saltuk poprosił nas o wybieganie naprzód intuicją. Wielkie błękitne niebo, obłoki, wszystko dozwolone. W tym właśnie duchu chciałbym poprosić szanowną grupę, żeby zastanowiła się nad możliwością ataku terrorystycznego na Bałkany, Europę Środkową i Południową, z wykorzystaniem środków nanotechnologicznych przesyłanych rurociągami z gazem.

Pomruki, szmery, wszyscy prostują się wokół podkowy ze stołów. Georgios rozgląda się po miejscach pod ścianami. Tak jak podejrzewał, majora Oktaya Eğilmeza nigdzie nie ma. Beskardes napisał „super” na swoim znikopisie.

- W moim wieku, okazuje się, sporo myślę o usankcjonowanych lękach. Usankcjonowany lęk nanotechnologii to lęk przez tym, co prasa nazywa „szarą mazią” - niekontrolowanym replikatorem, który przerabia wszystko według swojej matrycy. Jednak, jak powie wam każdy biolog, my już w takim świecie żyjemy: przytłaczająca większość biomasy na tej planecie to bakterie, biologiczne replikatory. A przecież ciągle nam się tłucze do głów, że rewolucja nanotechnologiczna to przede wszystkim konwergencja tego, co biologiczne, z tym, co sztuczne. Jesteśmy szumowiną na powierzchni tego bakteryjnego świata, garstką, która przetrwała. Nie, dla mnie, a jak podejrzewam, także dla tak zwanych grup terrorystycznych, znacznie bardziej interesująca jest zdolność nanotechnologii do przeprogramowywania naszych osobowości. W każdym konflikcie ostateczne zwycięstwo

polega na zdobyciu serc i umysłów. W przeszłości zawsze łatwiej było zabijać niż nawracać, teraz mamy jednak epokę konfliktów ideologicznych. Nasze wojsko opracowało produkty nano wspomagające koncentrację, agresję, współpracę w grupie, czułość zmysłów, a także, co znaczące, zmniejszające empatię. Piloci, kierowcy na długich trasach, programiści, aktorzy, sportowcy i sportsmenki rutynowo używają nano, a wizerunek wciągającego nano dealera z Leventu, który nie może zacząć dnia bez wsadzenia dyszy do nosa, jest już wręcz ograny. Bez namysłu korzystamy z nano, żeby wspomóc koncentrację, towarzyskość, zdolność przypominania, by łatwiej się uczyć albo mieć dostęp do bezpiecznej, krótkoterminowej informacji. Da się kupić nastroje, emocje, całkiem obce nam cechy charakteru. Młodzi ludzie, kiedy idą się zabawić, biorą towarzyskość, erotyzm, brak zahamowań. Bez mrugnięcia okiem dajemy nano dzieciakom przed egzaminami. Nawet żeby mieć wstęp do tej grupy tutaj, musiałem wciągnąć nanośrodek, który zapisał mi w pamięci krótkotrwałej numer kontaktowy. To, co robimy, to masowy, nieregulowany i improwizowany eksperyment w przeprogramowywaniu się. Prawdziwym końcem nanotechnologii nie będzie koniec świata, lecz całkowita przemiana ludzkości. Możemy na nowo zdefiniować, co to znaczy być człowiekiem. Nastolatki na pewno mają jakieś swoje paskudne określenie, jakiś „neurohacking”, ale mnie chodzi o coś innego i na sto procent nie przeoczyli tego ludzie zajmujący się polityczną, społeczną i religijną ewangelizacją: tych, dla których serca i umysły to zwycięstwo. Nanotechnologia to broń w sam raz dla agitatora. To istny Miecz Proroka. Mam powody sądzić, że dotarliśmy do punktu, w którym tego typu atak jest nie tylko możliwy, ale wręcz prawdopodobny.

Devlet Ceber mówi powoli, tubalnym jak dzwon głosem:

- To niezwykła teoria, panie profesorze Ferentinou. Z pewnością nie muszę panu przypominać, jakiego dowodu wymagają takie teorie.

- Pamiętam o tym, panie profesorze Ceber. Takiego dowodu dać nie mogę. Mogę tylko zaproponować, że przeprowadzę was przez ciąg zdarzeń, które przywiodły mnie do tego nieoczekiwanego wniosku. W poniedziałek, wczesnie rano, nastąpił zamach samobójczy w tramwaju na Necatibey Caddesi. Wyszła się kobieta. Było o tym przez chwilę w wiadomościach. Jediną ofiarą była sama zamachowczyni. To niezwykle. Policyjne rojoboty przybyły na miejsce, żeby opanować sytuację, odizolować i zidentyfikować ofiary. Ale nie tylko one. Mam dowody, że inna grupa - prawie na pewno ta sama, która zmusiła tę nieszczęsną kobietę do śmierci - obserwowała miejsce zamachu własnymi robotami.

- Teraz już z całą pewnością musi pan przedstawić te dowody. - Profesor Ceber jest jednym z ważniejszych lewicujących teoretyków prawa.

Georgios skłania głowę z szacunkiem.

- Muszę się powołać, jak dziennikarz, na prawo do ochrony źródeł informacji - mówi.

Ceber kiwa głową.

- Tym maszynom kazano, jak się zdaje, zidentyfikować, śledzić i obserwować wybrane ofiary zamachu. Jedną z nich jest mój sąsiad, młody mężczyzna nazwiskiem Necdet Hasgüler. Raczej niezaradny życiowo, bez ambicji, z ciemną przeszłością; opiekuje się nim brat, Ismet, który prowadzi grupę badaczy Koranu i jest czymś w rodzaju szariackiego sędziego-amatora, rozsądza spory w swoim mieszkaniu na parterze. To ostatnia osoba, po której można by się spodziewać, że zobaczy dżinny.

Beskardes unosi brwi. Nad podkową stołów rozchodzą się szmery. Saltuk wierci się i denerwuje, próbując wymyślić pretekst do przerwania Georgiosowi. Beztroskiego gawrona nigdzie nie widać.

- I nie tylko dżinny, ale i Zielonego Świętego, Hizira, i wszelkie inne stworzenia z religijnej mitologii. W mojej okolicy na Beyoğlu, która wciąż ma dość tradycyjne poglądy, człowiek staje się wtedy swoistą religijną sławą. Można zlekceważyć wizje tego młodzieńca, powiedzieć, że to stres pourazowy; ale po co się aż tak wysilają, żeby szpiegować pierwszą z brzegu ofiarę zamachu? Nagle Selma Hamm mówi mi, że Necdet Hasgüler nie jest jedyny, że istnieje dosłownie plaga takich widzących: człowiek, który widzi w swojej dzielnicy pełno mikroskopijnych maszyn, kobieta radząca się peri i innych nadprzyrodzonych istot, jak wyroczni. Co prawda, wszyscy wiemy, że w Stambule nadzwyczajne jest zwyczajne, a cuda zdarzają się codziennie przed śniadaniem, ale wszystkie te osoby ujawniły się w parę godzin po zamachu, proszę też zauważyć, że wszystkie mieszkają w zasięgu tej linii tramwajowej. Może to zbieg okoliczności, ale ja w to nie wierzę. To nie wszystko. - Georgios bierze łyk wody. Głos ma skrzekliwy, w gardle sucho. - Przeprowadziłem drobne śledztwo. Znalazłem fizyczny dowód, który pozwolił mi ustalić pochodzenie robotów - lokale do wynajęcia na Kayışdağı, po azjatyckiej stronie. Tam mieści się także Tłocznia Kayışdağı, na głównej ścieżce rurociągu Nabucco, idącego pod Bosforem do Europy. Ostatni element układanki wskoczył na miejsce wczoraj wieczorem, kiedy nieznani sprawcy porwali Necdeta Hasgülera z ulicy przed domem.

Pomruk pełen obaw, na tle którego odzywa się Ceber.

- Panie profesorze, używa pan zwrotów w stylu „ostatni element układanki”, ale to, co nam pan przedstawił, jest ciągiem bezpodstawnych, niepowiązanych stwierdzeń. Nie mam pojęcia, jak udało się panu wysnuć z tego teorię, że Unii Europejskiej grozi nanoterroryzm.

- Jestem tego świadom - mówi Georgios. - Moje poszlaki będziecie musieli przyjąć na

wiarę. Oto, jak wyjaśniam te zdarzenia. W Stambule istnieje komórka terrorystyczna opracowująca broń nanotechnologiczną. Oni zorganizowali ten zamach w tramwaju, to był eksperyment. Wybrali sobie ofiary do obserwacji objawów, żeby sprawdzić, że nanośrodek działa. Widzą, że działa, i teraz przygotowują się do ataku na pełną skalę. Wprowadzą nano do rurociągu gazowego na Kayışdağı, którym przedostanie się do Europy.

- Ale do tego są im potrzebne replikatory - wtrąca Yusif Yilmaz, dziennikarz piszący o technice w „Cumhuriyet”.

- Tak, z pewnością - mówi Georgios. - Wyobrażam sobie, że to ich nano może namnażać się wykładniczo, na pożywcze z węglowodorów. Hasło, które nam dano, to „gaz”.

- A czemu, skoro obserwowali pana Hasgülera, teraz zechcieli go porwać? - pyta Ceber.

Saltuk jest już wściekły, turla długopis między palcami, odłupuje z biurka łuszczący się fornir, nogami podświadomie kopie, kopie, kopie - wszystkie te drobne oznaki agresji, jakimi objawia się tłumiona wściekłość.

- Inwigilacja pana Hasgülera się nie powiodła, robot miał wypadek i się rozbił; właśnie na podstawie jego szczątków wytropiłem, że przyszedł z Kayışdağı.

- Panie profesorze Saltuk, to są poważne podejrzenia - mówi Ceber. W badaniu teorii Georgiosa jest stanowczy, ale przynajmniej sprawiedliwy. - Dlaczego nie poszedł pan z tym na policję?

- Moim asystentem jest syn sąsiadów. Jest dobry technicznie, ale ma tylko dziewięć lat. Nie chciałbym narażać go na żadne niebezpieczeństwo.

Delegaci domyślają się drugiej, niewypowiedzianej obawy: „ani zwracać niepożądaną uwagę na siebie”.

- Sądzę, że porywaczami pana Hasgülera kierują inne motywy. Chcieli dokładnie sprawdzić, jaka jest natura jego wizji: czy to po prostu halucynacje, czy powoduje je wewnętrzny religijny zapal?

- Proszę to rozwinąć, panie profesorze - pyta Ceber, choć sala już wie, jaka będzie odpowiedź.

- Oczywiście. Według mnie, ich celem jest religijne nawrócenie znacznej części ludności we wschodniej i środkowej Europie.

- Bzdury. - Oğün Saltuk wypluwa to słowo jak kłębek furii. - Kompletnie bzdury. Replikatory w gazie, komórki terrorystyczne, nanodżihad; to już nie spekulacje, to nawet nie myślenie otwarte, to czyste science fiction.

Jedyny pisarz unosi wzrok i woła:

- No, ja sobie wypraszam!

Saltuk jest nabuzowany złością i go zagaduje:

- Nie, nie, nie. To za mało. Chcę, by wypowiedź profesora Ferentinou oraz wszystkie pytania i odpowiedzi zostały wykreślone z protokołów tej sesji.

- Dlaczego? - pyta Ceber. - Po pierwsze, teoria profesora Ferentinou doskonale przystaje do celów naszej sesji. Po drugie, pan profesor przedstawia dowody przestępstwa - porwania tego Hasgülera. Po trzecie, jeśli to jest prawda, a tak twierdzi pan profesor, policja i organa bezpieczeństwa powinny natychmiast wszcząć śledztwo.

- Prosił pan o „myślenie otwarte” - wtrąca Yusuf Yilmaz, dziennikarz. - I dostał je pan. Co w tym złego? Dowody pana profesora trzymają się kupy.

U Saltuka zagryzanie wargi przeradza się w drganie policzka.

- Dowody? Dziewięćolatek to żadne wiarygodne źródło. Jest myślenie otwarte i jest oczywista fantazja. Wymagamy tutaj przynajmniej odrobiny umysłowego rygoru: to nie zabawy w łączenie kropek, żeby wyszła buzia. Nie, nie, nie, nie mogę na to przyzwolić, ponieważ pan profesor popełnił kardynalny błąd, wywnioskował zbyt wiele z niewystarczających przesłanek.

Kardynalny błąd, jak najbardziej, myśli Georgios Ferentinou, ale to ty go popełniłeś, Saltuk. Wyalienowałeś swoich własnych ekspertów. A do tego pierwszego dodajesz jeszcze drugi, fatalny w skutkach: że ty nie wiesz, ale twoja publiczność wie, i ja wiem, i tym cię teraz zabiję.

- Mówi pan „niewystarczające przesłanki” - odzywa się Georgios. Teraz dłonie ma już spokojne, głos opanowany i czysty. - Nie powinien pan raczej powiedzieć „minimalne przesłanki”?

- Co? - Saltuk już wie, o co chodzi. Nic na to nie poradzi.

- Nieciągłość poznawcza, teoria mówiąca, że inteligencja pracująca przy minimalnej informacji jest zdolna do skoków intuicji o wiele dalszych, niż można osiągnąć przy ukierunkowanym myśleniu; tak brzmi ta teoria, jeśli dobrze pamiętam. Wystarczający, bogaty i zróżnicowany ekosystem informacyjny, w którym żadne dane nie przeważają nad innymi, nie tak jest w tej teorii?

Ogün Saltuk zaniemówił. To właśnie jest nieciągłość poznawcza. Wykazuje mu się, że nie rozumie własnej teorii.

- A jaki jest tytuł pana książki, panie profesorze? - pyta Georgios Ferentinou. Czekał na to dziesięć lat, a tu okazuje się, że publiczne niszczenie człowieka jest żalosne i budzi litość. Ale dokona tego, do ostatniej sylaby. Nikt się tak nie mści, jak Grecy.

- *Wielki skok naprzód* - mówi Saltuk. Trzeba mu przyznać, że głos ma czysty i donośny, twarz jednak bladą jak ściana.

- Właśnie: *Niewiedza naprawdę jest błogosławieństwem* - dopowiada Georgios.

Saltuk bełkocze coś o przekroczeniu czasu sesji i pośpiesznie zwołuje kolejną przerwę na kawę, żeby spróbować trochę opanować sytuację, ale wszyscy wiedzą, co się tu wydarzyło i że to już koniec grupy Kadiköy. W całym salonie spontanicznie potworzyły się małe grupki, dyskutują o nano, rozkładają na czynniki pierwsze *Wielki Skok* Georgiosa, debatuja nad neurochemią wiary religijnej. Ogün Saltuk stoi sam przy oknie, odizolowany, oddzielony kliką pracowników MIT. Georgios nie jest tu już potrzebny. Wymknąłby się dyskretnie, Emrah Beskardes łapie go jednak na szczycie pseudorokokowych schodów.

- Myślał pan, że się tak wymknie po cichu?

- Chyba już nie mam nic do dodania - mówi Georgios.

- Cieszę się, że w kwestii czystej, niez mieszanej z niczym agresji, ludzie są na razie lepsi od gawronów.

Georgios się rumieni.

- Nie, nie, nie powinienem był tego robić; powiedziałem za dużo, poniosło mnie. Byłem okrutny.

- No cóż. Była to dla mnie wielka przyjemność, spędzać przeplacone i niezbyt pracowite popołudnia w pana towarzystwie, panie profesorze. Nauczyłem się paru nowych rzeczy. - Beskardes ściska jego dłoń. - Muszę poczytać pana prace.

- To ekonomia, ponura nauka. O, jest mój kierowca. Miło mi było pana poznać, panie doktorze. Odtąd będę całkiem inaczej patrzeć na wrony.

- Proszę mieć oko na te wrony! - woła za nim Beskardes, na schodach z połączanymi poręczami. - To naprawdę sukinsyny!

* * *

- Dżinny mówią mi, że studiowałaś nanoinżynierię - mówi Necdet do Wielkiego Draba.

Dwie godziny bez słowa, odkąd wyszli Zielona Chusta i Kudłaty. Podniesione głosy, radio ryczące, żeby zagłuszyć kłótnię, trzaskanie drzwiami. Wielki Drab podenerwowany i milczący.

- Powiedziały mi, że dozorca ma rozedmę. Powiedziały, że jedna kobieta jest w ciąży, kiedy ona sama jeszcze o tym nie wiedziała. O tym ci opowiem. Mój brat jest takim miejscowym szejchem, otwiera Księgę, wydaje sądy w domowych sprawach, tego typu rzeczy. Ludzie przychodzą do niego po radę. Kobieta, która pracuje w galerii koło nas,

przyszła dowiedzieć się, czy jest w ciąży. Jeszcze na ulicy zobaczyłem w ziemi jej karina, do góry nogami, i od razu znałem odpowiedź na to pytanie. Skąd mogłem to wiedzieć? To nie były istoty z ognia i nie od Boga. Po prostu wiedziałem coś, czego nie wie nikt inny. Taka wiedza bez wiedzy, różne są na to sposoby. Może jakieś substancje, wyczuwamy je węchem, ale tego nie rejestrujemy. Może coś elektrycznego. Myślę, że codziennie odbieramy tysiące, miliony bitów informacji, ale ztratiliśmy zdolność do ich odczytywania, albo je filtrujemy, bo świadomość i tak ma za dużo rzeczy do obrobienia. To właśnie jest wiedza bez wiedzy. Tym sposobem widzę, jak się obchodzisz z tym karabinem, że masz dość delikatne ręce, że litery na twojej koszulce są naprawdę zręczne i że to ty zaprojektowałeś ten napis. - Necdet przytyka palce do czoła: rogi Iblisa. - Tak samo wiem, że z Zieloną Chustą jesteście razem. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że tak ją nazywam. Wolę was nazywać tak, jak sobie sam wymyśliłem, niż gdybyście wy wymyślili jakieś imiona. Oboje jesteście alewitami. To oczywiste. I tak samo wiem, że jej siostra wysadziła się z własnej woli w tym tramwaju, bo jest z tej Doliny Świętych i Szejchów, o której mi mówiłeś. Była w Divrican, kiedy nastąpił ten atak. A Zielona Chusta studiowała. Była wtedy z tobą. Nie chcesz mi powiedzieć, co się porobiło z tymi ludźmi. Co ona widziała?

Wielki Drab unosi wzrok. Dygoce od tłumionej furii. Dygoce tak od lat, myśli Necdet.

- Gdybyś naprawdę miał Boga w sobie, byłbyś w stanie spojrzeć mu w oczy? - pyta go.

Kudłaty i Zielona Chusta wchodzą z powrotem do pomieszczenia i zajmują swoje zwyczajowe miejsca. Miny mają podenerwowane, znękanie. Zielona Chusta zaciska i otwiera pięści ukryte w rękawach swetra. Necdet widzi, że Ponury Kutas w sąsiednim pokoju wierci się, wstaje i chodzi w kółko, tak by wszystko słyszeć.

- Necdet, patrzyłeś kiedyś na mapę naszego kraju? - pyta Zielona Chusta. - To jak mapa ludzkiego umysłu. Dzieli nas woda między dwoma kontynentami. Europa i Anatolia. Siedem procent Europy, dziewięćdziesiąt trzy Azji. Świadoma Tracja i nieświadoma, przedświadoma, podświadoma Anatolia. I Sztambuł. Necdet, widziałeś jak wygląda neuron? Komórka mózgowa? Najciekawsze, że synapsy się nie dotykają. Zawsze jest szczelina, musi być szczelina, inaczej świadomość by nie zaistniała. Bosfor to ta synaptyczna szczelina. Może przez nią przepływać potencjał. To dzięki szczelinie świadomość jest możliwa.

- Nie rozumiem, co mówisz - dziwi się Necdet. - To bzdury.

Ponury Kutas w sąsiednim pokoju się zatrzymuje. Necdet wstrzymuje oddech. Kroki rozlegają się na nowo. Dużo ryzykujesz. To wariaci.

Zielona Chusta kręci głową z niedowierzaniem.

- Ale to pasuje, to prawda. Anatolia zawsze była kolebką cywilizacji. Tu rodziły się nowe świadomości. Europejczycy zawsze patrzyli na nas z góry, nazywali Chorym Człowiekiem Europy, ale ja ci mówię: to Europa jest Chorym Człowiekiem. My posiadamy mądrość tysiącleci cywilizacji, imperiów i religii, ale oni nigdy nas nie słuchali, bo to oni wymyślili Oświecenie, Renesans, kapitalizm, demokrację i technologię, a takie są monologi dwudziestego pierwszego wieku. Może zdadzą sobie sprawę, że przyszłość będzie dialogiem. Może zdadzą sobie sprawę, że ze świata islamu też mogą przychodzić idee - nowe idee, idee, których świat dotąd nie widział, kompletna rewolucja w myśleniu, co to znaczy być człowiekiem.

- „Oni” - zauważa Necdet. - Mówisz o całych... państwach.

- Ci ludzie są ciemni, nie są w stanie wyobrazić sobie niczego, co wykracza poza ich doświadczenie, więc weźmiemy ich z zaskoczenia - mówi Zielona Chusta, teraz kołysząc się na kolanach.

Necdet zauważa, że Wielki Drab nie chce na nią patrzeć. Mocno ściska karabin. Twarz ma zaczerwienioną. To straszne i groźne. Oni są nienormalni. I robią nienormalne rzeczy. Nie słuchają głosu rozsądku. Wykonają ten swój plan.

- Takie myślenie to ignorancja, ignorancja i arogancja. A my walczymy przeciwko ignorancji. My jesteśmy za pełną wiedzą o Bogu.

Muszą mnie zabić, myśli Necdet. Zrobią to chwilę przed rozpoczęciem misji. Zabiją mnie. Zrobi to Ponury Kutas. Tylko on tu potrafi zabijać. I zginę. Nie mogę o tym myśleć. O Boże, o Boże, o Boże, czy to będzie szybko, co zobaczę, czy będzie bolało i jak to jest nie żyć, nie istnieć? O Boże, o Boże. Jak ich powstrzymać?

- Mamy dość danych, żeby potwierdzić, że eksperyment się udał - mówi Kudłaty.

Zielona Chusta ma zamknięte oczy. Porusza niemo ustami.

- Gratuluję, panie Hasgüler - kończy Kudłaty.

- Ale ja tylko pojechałem do pracy innym tramwajem, żeby być wcześniej! - krzyczy Necdet. - Za kogo wy się macie, że wysadzacie tramwaj, żeby sprawdzić jakieś swoje teorie o ludzkiej świadomości? Za kogo się miała ta wasza siostra, co wybuchła mi w twarz i opryskała mnie zaprojektowanym przez was nano? Za kogo się macie, że decydujecie, że mam widzieć dzinny, Zielonych Świętych i wiedzieć rzeczy, których nikt nie powinien wiedzieć, ale to dla was w porządku, to boskie wnętrze. Za kogo się macie, że zgarniacie mnie z ulicy przed domem, wsadzacie do furgonetki, przywozicie tutaj, trzymacie i gadacie o pierdołach? Pierdoły, pierdoły, to wszystko. Za kogo się macie, że robicie ze mnie swój eksperyment, a potem... no, wszyscy wiedzą, co się potem robi ze szczurami i królikami, nie?

Ratunku! - krzyczy w desperacji. - Ratunku! Pomocy! Niech ktoś mi pomoże!

Wielki Drab rzuca się naprzód i mocno wali Necdeta w pierś kolbą karabinu, opróżniając mu płuca z powietrza i słów. Necdet pada, podwijając ręce i nogi jak odwodniony pająk, z trudem łapiąc oddech.

- Necdet, zrozum, że w tym nie ma żadnej zemsty, złośliwości, w ogóle nic osobistego. Ani fanatyzmu religijnego - mówi Zielona Chusta. - Nie jesteśmy kurdyjskimi bojownikami ani islamistami. Jesteśmy Bożymi Inżynierami. Jesteś teraz zagubiony i boisz się, ale naprawdę zasłużysz sobie na miejsce w Raju, który zbudujemy.

Necdet odwraca się na drugi bok. W rogu pokoju wszechświaty wiedzy przelewają się przez zieloną próżnię w kształcie ludzkiej sylwetki.

* * *

Can patrzy, jak Bańka Gazowa rusza z żółtych pasów strefy zatrzymywania przed szkołą i włącza się do popołudniowego chaosu aut dowożących dzieci do szkoły, pełnego klaksonów, nagłych uników, skrętów i cichych przekleństw. Czeką, aż znajdzie się bezpiecznie za rogiem, na Aşariye Caddesi. Za bramą, małe dzieci z wielkimi plecakami roją się na betonowym dziedzińcu. Can odsuwa się od bramy pod osłonę muru. W szkole specjalnej Yildiz mają bystre oczy. Poranna zmiana już poszła, popołudniowa ustawia się na wymalowanych na betonie kolorowych drabinkach, każde dziecko na swoim szczebelku. Can przesuwa się dalej wzdłuż muru, aż traci dziedziniec z oczu. Przez chwilę na ulicy nie ma żadnych przechodniów. Can szybko odwraca się i odchodzi od szkoły. Idzie szybko, ale nie na tyle, żeby wyglądać na ucznia, który uciekł ze szkoły. Niebezpiecznym punktem jest przejście przez Aşariye Caddesi; wyobraża sobie jakiegoś dorosłego, który zauważa go, tak blisko szkoły, albo i ciężką rękę wracającego z obiadu nauczyciela. Czy te samochody kiedyś przestaną jechać? Wtem mały ludzik robi się zielony i można iść, w bezpieczny labirynt zaułków południowego Cihannüma. Wąskie uliczki dławią się od ruchu pieszego i kołowego, furgonetki spychają przechodniów do bram i na ganki, nastolatki na motorowerach lawirują między grupami kobiet w chustach oraz facetów w koszulach i krawatach. Can ustawia się za grupą mężczyzn w garniturach, podświadomie dopasowując do nich krok. Staruszkowie przy stolikach w rozsuniętych drzwiach czajchany, niemający nic lepszego do roboty niż gapienie się na ulicę, zauważają jego zamaszysty krok, kiwiają głowami i się uśmiechają. Can unosi ramiona, prostuje plecy. Z kieszeni praktycznych spodni Małego Detektywa wyciąga okulary i zakłada je na nos. Jest mężczyzną, który załatwia sprawy na mieście. Każdy jego krok ma jakiś cel.

Na górze schodów Horoz zatrzymuje go oślepiający blask morza. Mruga, olśniewa,

migoce. Can jest oszołomiony i przerażony: tak daleko jeszcze nigdy sam nie był. Plan był taki: podjechać tramwajem do stacji Marmaray i przejechać nią pod Bosforem na Üsküdar. Ale jest wolny w mieście, jest daleko od domu, a zewowi morza nie oparł się jeszcze żaden stambulski chłopak. Podskakuje lekko, kierując się ku roziskrzanej wodzie pomiędzy sklepami z antykami i małymi kawiarenkami, po długich, niskich stopniach - każdy ma szerokość całego domu. Balkoniki na górze jaśnieją od geranium w terakotowych donicach. Glicynia wije się wokół kutego żelaza, sypią się wczesne kwiaty. Chudy kot z wykręconą tylną łapą odrywa się od toalety i patrzy na Cana, ale nie okazuje się on na tyle interesujący, by podjąć jakikolwiek wysiłek. Teraz atakują go zapachy: kawa, mięta, pistacje, stare żelazo, węgiel i politura. Cytryny i ropa. Astmatyczny zapach gazu, kwaśność psujących się owoców. Morska sól, intensywna i wyraźna.

Schody Horoz dostarczają go na Çırağan Caddesi. Zna to miejsce. Jest tu meczet Sinanpaşa, jest przystanek tramwajowy pośrodku ulicy, a tam, za pałacem Dolmabahçe, jest Necatibey Caddesi, gdzie Can gonił Szczurem białą furgonetkę, która porwała Necdeta, uciekając przed kołami ciężarówek i gilotynami tramwajów. Ale to było życie na ekranie. W 2D. To zupełnie co innego: czuć przyciąganie prądu powietrza i sejsmiczne wibracje przejeżdżającego tramwaju, widzieć mewy krążące nad minaretami Sinanpaşa, czuć zapach tłustej wody z zęzy chlupocącej o nabrzeża. To nie gra. Can przechodzi przez ulicę i rusza idącym ku morzu chodnikiem, kciuki zatknięte za paski plecaka. Wszystko i wszyscy ludzie, których widzi, mają jakiś cel. W małym parku na Cezayir wyciąga plan, żeby sprawdzić kursy promów. Da radę. Uda się. Dobry detektyw jest elastyczny, ma zawsze informację pod ręką, myśli szybko.

- Jeden ulgowy - mówi do kasjera w budce, trochę licząc, że zapyta go, po co dziewięciolatkowi bilet do Üsküdar, czemu dziewięciolatek prosi o papierowy bilet, czemu płaci papierowymi pieniędzmi, a nie ceptepem, I to, co ma na przegubie, to jest wąż?

Facet podsuwa mu bilet i resztę. Can idzie z pasażerami na prom. Szczeka metal, dzwonią rampy, po których wjeżdżają auta i dostawczaki, bębnią silniki, świszczą śruby, wszystko to dociera do niego jako szepty i pomruki. Wspina się najwyżej jak może, na najwyższy pokład; wyżej od niego są już tylko flagi, państwowa i unijna. Prom niesie go, samego, na Bosfor. W twarz wieje chłodny wiatr; nie pamięta, kiedy ostatni raz czuł chłód. Wychyla się za poręcz; już nie Mały Detektyw ale Głównodowodzący i Kapitan promu na Üsküdar, który przeobraził się w okręt desantowy, płynący z inwazją na azjatycki brzeg. Prom przemyka między zabójczymi żelaznymi skałami, przecinając kilwater gigantycznego gazowca. Cyryliczne litery na jego boku są wielkości samochodów. A teraz zręcznie

przeskakuje przed dziobem kontenerowca, z wysokim mostkiem wystającym znad piętrowo poukładanych kontenerów. Kolorowych prostokątów. Statek z lego. Zna go. Już widział tę mozaikę kontenerów, ścianę kolorów przesuwającą się za oknami drogiej prywatnej kliniki, gdzie dopasowywano mu wkładki do uszu. To ten statek wywiozł wszystkie dźwięki świata. Zawsze wiedział, że któregoś dnia wróci. Can podbiega do bocznego relingu i gapi się w górę na niebotyczną ścianę powolnego żelastwa. Powoli, boleśnie, wyciąga zatyczki z uszu. Krzywi się, gdy lepkość stawia opór i zdzierają się strupki. Pełno woskowiny, zaskorupiałego brudu i płatków zeschniętego naskórka. W końcu zatyczki wyskakują i do uszu wlewa się słyszalny świat. Coś, jakby każdy kontener ustawiony w dziesięciu piętrach na pokładzie ogromnego statku otworzył się nagle i uwolnił zamknięty w środku dźwięk. Mewy drą się hałaśliwie, ostro, kojarzą się z letnim porankiem. Flagi trzepocą i wydymają się nad głową, pełny, dźwięczny odgłos. Silniki: dieslowski, metaliczny klekot promu ponad niższym, bardziej odczuwanym niż słyszalnym pulsem kontenerowca. Woda, słyszy nawet wodę. Tupot stóp na metalowych schodniach, trzeszczenie radia z tyłu, na mostku, rozgadane dziewczyny trochę dalej przy relingu, głosy mężczyzn za plecami, w cieniu markizy. Dźwięki mają swoje miejsca: unosi wzrok, sam nie wiedząc, jak to robi, by wypatrzyć źródło huków na niebie - wielki samolot obniżający lot nad Morzem Marmara. Ciche dźwięki, jeszcze cichsze dźwięki. Wysoki szept z pobliskich słuchawek, gwizd wiatru w drutach przytrzymujących maszt anteny. Can obraca się powoli, identyfikując i lokalizując każdy odgłos po kolei. Patrzy na małe, umazane woskiem zatyczki w dłoni. Rzuca je daleko w kilwater oddalającego się kontenerowca.

Prom mija teraz Wieżę Leandra na jej malutkiej wysepce. Can słyszy już Azję. Brzmi jak samochody i syreny karetek. Prom daje całą wstecz, z wielkim rykiem i chlupotem. Teraz zaczyna opuszczać się rampa, z klekotem mechanizmu - całkiem nowy element w słuchowym krajobrazie Cana. Auta, jedno po drugim, uruchamiają silniki. Jak to się niesie echem po stalowym pudle statku. Pasażerowie przepychają się obok niego; kiedy tłoczą się na metalowych schodach, jest w stanie odróżnić głos każdego z nich. Każdy inny. Każdy głos jest inny. Świat to dźwięk.

Na szczycie betonowej rampy waha się. Wszystkie odgłosy, dotąd oddzielne i odrębne, zlewają się w jedną, onieśmielającą ścianę. Wszystko jest wielkie, głośnie i bliskie. Nie wie, jak wydobyć z tego informację. Czuje ucisk w piersi. Oddech ma płytki. Wyrzucił zatyczki. Czemu to zrobił? Ucisk robi się jeszcze gorszy. Ale czy jego serce ma to wydłużone QT, czy tylko wszyscy tak myślą, bo tak im powiedziano? Myśleć to co innego, niż mieć naprawdę. Może to, co wszyscy myślą o jego sercu, już nie jest prawdą? Może mu się poprawiło?

Ludziom się poprawia.

Ostatnio, jak chodził do lekarza, zawsze przykładali mu swoje machiny do uszu, nie do piersi. Can siada na zaolejonych, usianych plastikowym śmieciem kamieniach przy przystani promu i zamyka oczy. Skupia słuch i kieruje go do wewnątrz, w dół, do piersi. Wsłuchuje się w swoje ciało. Oto jego bicie serca, podstawa wszystkiego: najpierw ciche i ulotne, potem, gdy wpasowuje się w jego rytm, już wyraźne. Porządne, równe i mocne. Żadnego klekotania i świstania. Ta duszność, ucisk - może chodzi o to, że wszystko jest takie nowe, takie głośne, takie ekscytujące. Rzucają się na ciebie. Może tak właśnie wygląda przygoda. Can przestaje nasłuchiwać serca i otwiera oczy. Przyplłynął wielki statek, zbliża się do wielkiego mostu, z kontenerów ulatniają się wszystkie dźwięki świata. Tu jest Azja, inny kontynent, ale ciągle Stambuł, jego miasto. Wyciąga plan. Od stacji Marmaray Üsküdar dzielą go trzy duże ulice. Łatwizna dla Małego Detektywa.

Stacja Marmaray to betonowa studnia wryta głęboko w skały, łupki i osady pod Üsküdar. Can, ściskając w garści bilet, zjeżdża głęboko przez wiele pięter tuneli i ludzi. Ekscytujące było już kupowanie biletu na Kayışdağı i słuchanie, jak kasjer podaje cenę. Dźwięki są tutaj inne, cykanie i mruczenie ruchomych schodów, kłapanie źle dopasowanej poręczy. Dalekie automatyczne głosy zapowiadające pociągi. Chłodno, pachnie prądem, betonem i dawnymi czasami. Głębokie te tunele. Dźwięk niesie się w nich dziwnie i daleko, słowa lepią się do ścian, niektóre kroki grzmiają jak strzały z pistoletu, inne szemrzą cicho jak deszcz. Wjazd pociągu to najbardziej oszałamiający dźwięk, jaki Can w życiu słyszał. Najpierw w głębi tunelu rozlega się daleki huk, jak kroki dinozaura, potem zmienia się w basowy turkot. Gorące powietrze wieje mu w twarz. W ciemności pojawiają się światła i zniemacka pociąg wyjeżdża wprost na niego, wypada z tunelu, łomocząc metalem, grzechocząc złączeniami i piszcząc hamulcami. W górze odzywają się megafony. Nie zbliżać się do tego, uwaga na tamto. Can wsiada do pociągu. Drzwi syczą i trzaskają. Nagły zryw rzuca go na siedzenie. Słucha wycia silników. Brzęknięcie, roboci głos zapowiada następną stację.

Pociąg jest pełen, są zajęte wszystkie siedzenia i uchwyty w przejściu. Obok Cana stoi nastolatek. Nie może oderwać wzroku od urządzenia owiniętego wokół jego lewego nadgarstka.

- Co to?

Can nie reaguje. Plan Małego Detektywa nie przewiduje rozmów z ludźmi w środkach transportu.

- No powiedz, ciekaw jestem, co to takiego? Tatuaż, taki dziwny ceptep, ozdoba jakaś?

Wyciąga rękę, żeby dotknąć Cana. Wąż, szybki jak nóż, unosi głowę i atakuje. Młodziak zatacza się na swoją sąsiadkę, kobietę w średnim wieku, przyzwoitą i tradycyjną.

- Wąż, on ma węża!

- To zabawka! Zabawka! - krzyczy Can, unosząc rękę.

Niestety, już się stało, alarm się rozszedł. Jakiś facet gada do ceptepa. Pewnie zawiadamia personel IETT. Metro hamuje na następnej stacji, Can jest za drzwiami, zanim na dobre się otworzą. Znika w tłumie na peronie, odwraca się plecami do pociągu i zdejmuje Węża z ramienia. Wąż zapętla się, pakuje ogon do paszczy i zwiesza mu się na szyi, jak złoty łańcuch, niewidoczny na tle nijakiej, anonimowej koszulki. Pojedzie następnym pociągiem. Mały Detektyw zawsze sobie poradzi.

* * *

- Tu mieszkasz? - pyta Aso, gdy Leyla skręca peugeotem w Güneşli Sok obok czajchany Fethiego Beja. - Nie miałem pojęcia, że jakaś stara tekke w ogóle ocalała.

- Tanio tu jest - mówi Leyla. - A historia mnie wali.

Kuzyn Naci wstaje z tylnego siedzenia i wysiada. Jak w telewizyjnym programie rozrywkowym, gdzie kobieta w obcisłym, błyszczącym trykocie wychodzi, rozprostowując się, z pleksiglasowej skrzynki.

- Fajne.

Aso.

- To naprawdę coś. Pewnie siedemnasty wiek, według chrześcijańskiej rachuby.

- Rury zdecydowanie są z siedemnastego wieku - mówi Leyla.

Aso nurkuje w Güneşli Sok, wspina się na mur, żeby zajrzeć na drugą stronę. Przygląda się, jak rysuje czubki nowych butów, które kazała mu kupić.

- Z tyłu jest stary cmentarzyk derwiszy! - woła Aso. - Oryginalne mewlewickie kolumny nagrobne. - Łąduje na brudnych stopniach. - Niesamowite, że stara, drewniana tekke przetrwała tyle czasu.

- Zwłaszcza z taką elektryką.

- Ale ci dobrze, że tu mieszkasz.

Praktyczny kuzyn Naci poszedł przed front domu derwiszy.

- Zobaczcie tylko.

Podwójne drzwi Galerii Erkoç, stare drewniane wrota domu mewlewickich derwiszy Adema Dede, z wyrzeźbionym Drzewem Życia i żelaznymi nitami pomiędzy gałęziami, są przegrodzone po przekątnej żółtą taśmą z napisem „Policja. Nie wchodzić”.

- I co jeszcze! - krzyczy Leyla. - Już mam tego dość!

Od handlarza do domu aukcyjnego do oprycha, i cały czas pod górę. Za każdym kolejnym osiągnięciem kolejna frustracja, bo przecież nie można zejść za daleko, odnieść zbyt wielkiego sukcesu. To byłoby nie po Bożemu. I teraz jeszcze policja. Rozwiązanie jest proste. Leyla wyciąga rękę, żeby zerwać taśmę.

Naci odchrząkuje i pokazuje prawy górny róg. Ukryty między pajęczynami i jedwabistymi kokonami z jajeczkami prawdziwych pajaków, siedzi policyjny robot obserwacyjny, same nogi i oczy.

- Szukacie pani Erkoç?! - woła facet prowadzący herbaciarnię po drugiej stronie placu.

Nazywa się Bülent, czy jakoś tak; Leyla nie przepada za żadną z dwóch czajchan. Goście nic, tylko się gapią, siedzą i się gapią, jak jacyś zboczeńcy.

- Co się stało?

- Policja przyjechała dzisiaj rano, o jakiejś dziesiątej. Siedzieli tam przez godzinę, zabrali parę rzeczy i obkleili wszystko taśmą. W ciągu dwóch dni dwa razy tu była policja. Dopiero co zeskrobałem farbę po ich poprzedniej wizycie.

Balkon Leyli jeszcze jest cały w pomarańczowe groszki. Chlapnęło też na bluzkę i spodnie, które tam suszyła. Kiedy dostanie wypłatę, pójdzie z tym do pralni. Tak by zrobiła pani Erkoç.

- A orientuje się pan, co zabrali?

- Nie, ale może pani zapytać Hafize. - Leyla marszczy czoło. - Tę dziewczynę z galerii. Siedzi w Księgarni Edukacyjnej, czeka, co będzie dalej.

Hafize, tak? Leyla prywatnie nazywa ją Pani Święta. Wiele razy widziała spojrzenia, jakie jej rzuca, słyszała pełne dezaprobaty parsknięcia, gdy stukała na bruku Adema Dede biurowymi obcasami, albo szła po plotkarski magazyn do kiosku Aydina, ubrana w króciutkie domowe szorty, albo wystawiała do recydingu butelki po winie. Mąż i chusta. Dają niezasłużone poczucie moralnej wyższości. Dezaprobata ze strony prostej dziewczyny ze sklepu, która do tego jest z pięć lat od niej młodsza.

Leyla nigdy nie była w Księgarni Edukacyjnej. Pachnie jak w podstawówce, tanim papierem i fenolowymi farbami, podle oprawionymi w ten tandetny karton, z wierzchu gładki, w środku szorstki, aż cierpną zęby. Okna wpuszczają całe słońce, a Hafize siedzi przy małym stoliku z filiżanką herbaty.

- To był Wydział Dóbr Kultury. Dowodził nimi Haydar Akgün. Był kiedyś u pani Erkoç, pamiętam go. Już wtedy mi się nie spodobał. Zapytałam go, po co przyszedł, powiedział, że nie muszę wiedzieć, a on nie musi mi mówić, ale pani Erkoç postawiono zarzuty z Karty Zabytków z roku 2017: pozyskiwanie zabytków i nielegalna sprzedaż za

granicę. Powiedział, że to bardzo poważne zarzuty i że muszę mu zapewnić wszelką pomoc, bo zostanę oskarżona o utrudnianie śledztwa, za co też są bardzo poważne kary. Oni tak gadają, policjanci, jak chcą cię zastraszyć. Oczywiście poprosiłam, żeby pokazał dokumenty. Zdenerwował się, ale w końcu pokazał. Musiał. Takie prawo. Widziałam, jak wynosi grafiki, miniatury i komputery, a potem ta policjantka kazała mi wyjść i opieczętowała całą galerię.

- Miniatury?

- Obrazki. Perskie miniatury. Mistrzowie z Isfahanu, najbardziej poszukiwani.

- A nie było tam miniaturowego Koranu? Drugiej połówki tego? - Leyla kładzie kontrakt na stoliku do herbaty.

- Perski, okładka ze srebra, osiemnasty wiek chrześcijański. Tak, widziałam drugą połówkę. Pamiętam dobrze, bo to oznaka braku szacunku, zrobić coś takiego ze świętym Koranem.

- Albo wielkiej miłości - wtrąca Leyla.

- Pani Erkoç kupiła to w poniedziałek od jednego człowieka, z całym kartonem różności.

- Tapaloğlu.

- Tak, z Wielkiego Bazaru. Nie miałam o nim dobrego zdania, próbował naciągnąć Madame na kiepską podróbkę Blake'a. Przejrzałyśmy go od razu. Ja się z nim rozliczałam, Madame nie dotyka pieniędzy. Pamiętam, że zastanawiałam się, gdzie jest druga połówka.

- Tutaj - mówi Leyla.

- Nie mogę zaproponować, że ją odkupię - mówi Hafize. - Pani Erkoç podejmuje wszystkie decyzje, a nie może nic zrobić, dopóki nie załatwi sprawy z policją. A i wtedy za dużo pani za to nie da. Ładny ten Koran, ale one były masowo produkowane dla pielgrzymów.

- Ja jej nie chcę sprzedać - mówi powoli Leyla. - Chcę odkupić tę drugą. Może mi pani ją sprzedać?

- Policja zamknęła galerię. Ja tylko czekam, aż się dowiem, co mam dalej robić.

- A gdybyśmy mogli się dostać do środka, sprzedałaby mi pani?

- Nie chcę drażnić policji.

Ty denerwująca, bezczynna, potulna, świętoszkowata babo. „Święta” doskonale do ciebie pasuje.

- Nam to jest potrzebne natychmiast. Aso, wytłumacz jej.

Hafize woli wpatrywać się w swój manikiur niż słuchać Aso wyjaśniającego nietypową finansową konfigurację spółki Besarani-Ceylan. Leyla nie jest pewna, ile ona w

ogóle rozumie z białej gorączki nowej przedsiębiorczości i asymptotycznych krzywych XXI-wiecznego rozwoju nanotechnologii. Przerywa Aso, gdy zaczyna omawiać specyfikację techniczną transkryptora Besaraniego-Ceylana.

- Dam pani tysiąc euro. Stoi?

Kasę to rozumie. Stoi.

- Tysiąc euro? - szepcze Aso Leyli, gdy prowadzi jego, Hafize i Naciego w roli straży tylnej wąską drewnianą klatką schodową od Güneşli Sok.

- To zostanie między nami. Kenan ma w sklepie bankomat. - Schody wychodzą na północną część galeryjki nad ogrodem. - Ja tu mieszkam.

Jednakże Aso bardziej interesuje się fontanną na dziedzińcu.

- Masz własny ogród. Ja na twoim miejscu w ogóle bym nigdzie stąd nie wychodził. A kto tu jest właścicielem?

Drzwi na końcu galeryjki prowadzą do wąskiego, zakurzonego, obrośniętego pajęczynami korytarzyka. Wysokie okno w prawej ścianie ktoś niechlujnie zabił deskami.

- To profesor, tam mieszka. Po drugiej stronie tej ściany jest główna klatka schodowa, prowadząca do mieszkania tego dzieciaka.

- Jak pani to wszystko odkryła? - pyta Hafize.

Nie wszystko wiesz, sklepowa dziunio.

- Zna pani dzieciaka, który ma roboty zmieniające kształt? Kiedyś go przyłapałam, że mnie nimi podgląda. Próbował uciec, ale poszłam za nimi. Zna przejścia i kryjówki w całym budynku. Już więcej tego nie zrobił.

- Albo pani nie zauważyła - wtrąca Hafize.

Drzwi po prawej wychodzą na zapomniany krużganek biegnący nad frontem tekke. Ostrza gorącego blasku wlewają się przez zakryte drewnianą kratką okno. Leyla jest dokładnie nad wejściem do galerii. Gdyby splunęła, trafiłaby w bruk placu Adema Dede, ale teraz są w innym świecie, w ukrytym miejscu. W miejscu, gdzie krużganek skręca w prawo wzdłuż Vermilion-Maker Lane, Leyla przystaje przy zamalowanych farbą drzwiach.

- Ma ktoś nóż?

Naci otwiera multitoola. Leyla dłubie przy powtykanych we framugę papierowych klinach. Wznosi się kurz, migocąc w kwadracikach słońca. Taka chusta na głowie byłaby nie od rzeczy. Na podłogę spada ostatni klin, Leyla wsuwa ostrze we framugę i uchyla drzwi. Odrobinę. Płaszczyzna światła wdziera się w powietrze starego krużganek. Leyla zagląda przez szczelinę.

- Czysto. - Otwiera drzwi na krużganek semahany nad Galerią Erkoç. - Kiedyś to był

jeden krużganek, ale komuś przyszło do głowy go podzielić.

Aso opiera się o poręcz. Chłonie ośmiokątną galerię, drewniane cele derwiszy, mosiężny żyrandol, otoczony poręczami parkiet do tańca, gdzie w szklanych gablotach leżały pomniejsze skarby.

- Widziałem stare hamamy przerobione na sklepy z dywanami, ale to jest po prostu piękne.

Hafize zakrywa usta, przerażona ogromem zbezczeszczenia. Ze ścian zdarto wszystko. Na wystawowych półkach ocalało parę cienkich tomików. Strony manuskryptów rozsypały się jak liście zmiecione Sztormem Marii Panny. Pochyla się, żeby pozbierać święte teksty, lecz siada na podłodze, przytłoczona skalą profanacji.

- Później - mówi delikatnie Leyla.

Niektóre skrzynie otworzono nano do zamków. Z nielicznych resztek Leyla domyśla się, że były w nich chrześcijańskie krzyże. W miejscu, gdzie stał mistrz, kiedy w tej sali tańczyli derwisze, stoi gablota z miniaturowymi Koranami. Nietknięta. Jest. Och, jest.

- Ma pani klucz?

Hafize otwiera gablotę. Leyla unosi łup. Tył w lewej dłoni, przód w prawej. Jedna myśl je połączy. Ale nie robi tego. Wie, że jeśli je złączy, zagrzmie piorun, pojawi się džinn, superbohater, albo ściągnie na Stambuł jakąś potworną nanozagładę, pożerającą wieże i minarety od góry. Zabobon, lecz w takim miejscu jak to zabobon trzyma się dobrze.

- Chodźmy.

- Tysiąc euro, proszę pani - mówi Hafize.

Zbierają gotówkę do kupy. Hafize liczy ją tam i z powrotem, po czym wręcza im pięćdziesiąt euro na szczęście. Odręcznie wypisuje pokwitowanie.

- To możemy już iść?

Schodzą po skrzypiących, zakurzonych schodach na zacieniony Güneşli Sok i stwierdzają, że samochód został zastawiony wielką czerwoną lawetą zaparkowaną u wylotu zaułka. Kierowca wywiesił łokieć za okno. Abdullah Unul opiera się o szoferkę, pije herbatę. Jest z nim jeszcze jeden człowiek. Młody, wysoki, włosy kręcone prawie jak afro, zapadnięte policzki podkreślające ładne kości policzkowe. Szczecina, bladoniebieskie oczy. Skąd się w ogóle wzięło w rodzinie takie DNA? Leyla zupełnie nie tak wyobrażała sobie Mehmeta Alego.

- W sumie lubię ptaki - mówi Abdullah Unul. - Małe, aktywne, ruchliwe stworzonka. Radzę sobie. Zastanawialiście się kiedyś, gdyby Stambuł miał mieć oficjalnego ptaka, co by to było? Na pewno od razu pomyślelibyście „bocian”. Może wróbel. A dla mnie oficjalnym

ptakiem Stambułu musi być mewa. To je widzi się, jak tańczą nad światłami ramadanu, to one stoją przodem do wiatru na skałach przy brzegu. Mewa pospolita albo ogrodowa, dokładnie. I dlatego właśnie mewa to dla mnie ptak Stambułu, ale przede wszystkim przez to, że uprawia kleptopasożytnictwo. Pewnie nie słyszeliście tego terminu, wyjaśnię. To takie zachowanie, kiedy jedno zwierzę odbiera łup drugiemu, które go zdobyło albo zabiło. Mewy tak właśnie robią, pozwalają innym ptakom odwalić całą ciężką robotę przy łowieniu ryb albo chleba, a potem, jak już zabierają się do jedzenia, odbierają im to. Właśnie dlatego tak dobrze im się powodzi. Więc proszę ten Koran. Obie połowy. Szczerze mówiąc, wolałbym gotówkę, ale coś mi wygląda, że na te bajery, co tam robicie w Fenerbahçe, jest niezły rynek.

Naci robi krok naprzód. Abdullah Unul odsuwa połę marynarki, ukazując kolbę z kości słoniowej.

- Nie, synu.

Leyla jest wściekła. Wściekła z bezradności, wściekła, bo nie ma żadnych możliwości, a jednak musi coś zrobić. Jest tak rozzłoszczona i bezradna, że może zrobić coś głupiego. Rzucić się na Unula i przegryźć mu gardło. Wbiec po schodach, w szalonej ucieczce przez zakamarki domu derwiszy. Cisnąć obie połówki Koranu do kratki ściekowej pod nogami.

Desperackie kroki. Z tej sytuacji nie ma dobrego wyjścia. Tę rundę przegrała. Słyszy, jak za jej plecami otwierają się drzwi. Ogląda się. Podejrzany typ, co ma się za jakiegoś dede.

- Szejch Ismet! - wykrzykuje Hafize.

- Co się tu dzieje? - pyta Ismet.

- To prywatna sprawa.

Leyla widzi, jak Ismet taksuje wzrokiem ludzi, ciężarówkę, cały impas.

- Ci ludzie znajdują się pod ochroną tarikatu Adema Dede. - Ismet ustawia się pomiędzy Hafize i Leylą.

- To nie twoja sprawa, synu.

Wtem z drzwi starej kuchni od Güneşli Sok zaczynają wychodzić inni mężczyźni. Pięciu, dziesięciu, dwudziestu. Stają za Ismetem. Są ubrani na ciemno. Twarze mają poważne, jak przystało na mężczyzn po studiach nad świętym Koranem.

Abdullah Unul wzdycha, jeszcze raz pokazuje broń. Ismet cmoka i robi dokładnie taki sam gest. Czas zawisa, wtedy każdy z pozostałych członków tarikatu odsuwa marynarkę, albo podnosi koszulkę, żeby pokazać broń.

- No dobra - mówi Abdullah Unul.

Kierowca lawety zapala silnik. Unul popycha Mehmeta Alego ku ciężarówce.

- On zostaje. - Głos Naciego jest donośny i rozkazujący.

Abdullah Unul zagryza dolną wargę, kręci głową, oddycha ciężko przez zaczerwienione nozdrza, po czym obchodzi kabinę lawety i wsiada. Warczy silnik. Czerwony holownik odjeżdża wąskimi uliczkami Eskiköy.

* * *

Prawnik to aplikant w swoim pierwszym garniturze, ale buty ma porządne. Adnan zastanawia się, czy nie rzucić uwagi, że kancelaria mogłaby przysłać kogoś ważniejszego, ale sam nie powala elegancją w koszulce Galatasaray i džinsach. Zbyt dobrze wtapia się w tło ulicznych złodziejasków, zabijaków, okradzionych turystów i kanciarzy od ubezpieczenia turystycznego. Chłopaczek nie zauważa go, dopóki Adnan nie kiwnie mu głową.

- Panie Sarioğlu, jestem Cengiz Bekdil, z kancelarii prawnej Özis, Turan, Kezman. - To duża, komercyjna firma, z której korzysta Özer, choć nadal utrzymuje paru speców od prawa karnego, mając świadomość, że współczesna działalność biznesowa to skomplikowana sprawa.

Jeszcze nie zmieniaj firmy, myśli Adnan. Możesz dostać niezłego kopa w górę. Uścisk dłoni Bekdila jest równie porządny jak buty. Do sierżanta za biurkiem:

- Gdzieś tu możemy dyskretnie porozmawiać?

Sierżant krzywi się, że zakłóca mu się spokój - w radiu, na frustrującym skraju słyszalności, szemrze mecz pucharowy - ale unosi klapę w kontuarze i kiwnięciem głowy zaprasza Adnana i Bekdila do pokoju przesłuchań. Stół jest cały zastawiony szklankami po herbacie.

- Jaki wynik?! - woła do niego Adnan, gdy ten zamyka drzwi.

- Jeden-jeden.

Adnan się krzywi. Bekdil siada po drugiej stronie stołu i pochyla się. Dłonie ma ruchliwe i roztańczone.

- Sytuacja wygląda tak, panie Sarioğlu. Pana żona została aresztowana pod zarzutem nielegalnego wywozu zabytków z Turcji.

- Jakie mają dowody?

- Rzekomo przyłapano ją na przewożeniu rzadkiego historycznego okazu do swojej galerii na Eskiköy, z zamiarem sprzedaży za granicę bez odpowiednich dokumentów wywozowych. Okaz znajduje się obecnie w galerii. Policja odizolowała ją kordonem. Pani Erkoç twierdzi, że znalazła go legalnie, własnymi środkami. Policja natomiast twierdzi, co trochę utrudnia nam sprawę, że została aresztowana w ramach większej operacji przeciwko zorganizowanemu przemytowi dóbr kultury.

- Ayşe nie jest przemytnikiem.

- Oczywiście, że nie, panie Sarioğlu. Jednak w zaufaniu powiedziała mi, że wiele jej okazji - dewocjonalia, prawda? W tym się specjalizuje? - pochodzi z wątpliwych źródeł. Oczywiście, będziemy argumentować, że to prowokacja policyjna.

- Tak, świetnie, ale co pan zamierza teraz zrobić.

Bekdil ma taki tik: kiedy jest skupiony albo rozdrażniony, zasysa dolną wargę.

- Zawnioskuje o kaucję. Jestem pewien, że otrzyma zgodę, choć kwota może być znaczna. Jest pan w stanie?

- Wpłacę kaucję.

- Świetnie, świetnie. - Bekdil klaszcze w dłonie i potrząsa nimi z zadowoleniem. Może i ma garnitur dwudziestolatka, ale jego duchowy wiek, ten, który zachowuje się przez całe życie, jest jak u stryjecznego dziadka z Anatolii, tego, który daje ci pieniądze na szkolne mundurki i starego pickupa jako pierwszy samochód. - Między nami mówiąc, i poza protokołem, podejrzewam, że prokuratorzy zaproponują jakąś ugodę.

- Ayşe nie przyzna się do żadnego zarzutu. W jej branży, jeśli przylgnie do niej, że jest zdrajcą, nikt już nie zechce z nią handlować.

- Z całym szacunkiem, ale ta decyzja należy do mojej klientki, panie Sarioğlu. Ja porozmawiam z nimi i zobaczę, czy da się załatwić kaucję.

Wstają od stołu zastawionego szklankami po herbacie, lepkimi od cukru.

- Ostatnia rzecz: ten przedmiot, co to takiego?

Bekdil zagryza dolną wargę.

- Słyszał pan o Zmelifikowanym Człowieku?

- Co to jest?

- Panie Sarioğlu, ja też nie mam pojęcia, ale to jest warte jakiś milion euro.

- Dwa do jednego - podpowiada sierżant, unosząc klapę w białce dla Bekdila i Adnana.

- Dla nas?

- Dla Arsenalu.

Adnan wypowiada ustami bezgłośnie „kurwa”. Sierżant podkręca odrobinę radio, żeby Adnan, opierając się o kontuar, mógł coś dosłyszeć.

- Musieli zdjąć Volkana. Van Rijn pojechał ślizgiem na jego słabszą nogę, na skraju pola karnego. Powinien być rzut karny i czerwona kartka, ale dostaliśmy tylko żółtą i wolnego, a mówią, że będzie wyłączone z gry na sześć miesięcy.

- Ruski sędzia - mówi Adnan.

Usta sierżanta układają się we wtajemniczone „O”. Za zbrojoną drutami szybą Bekdil klóci się z dwoma policjantami w elegancko odprasowanych garniturach. Jeden jest niski,

żółty od nikotyny, łysiejący. Wygląda, jakby mu było za gorąco. Drugi jest wysoki, odstawiony, w garniturze z nanowłókna, przechodzącym od superczarnej czerni do olśniewającej mory. Srebro w mankietach. Przy nim Bekdil wygląda tandetnie. Odpieprzony skurwiel. Dłonie Bekdila mówią „negocjacje”: otwarte błagalnie, uniesione odmownie, proszące o rozsądek, ważące argumenty, ułożone w nożyczki, by przeciąć ściemę. Z policjantów gada tylko Detektyw Odpieprzony. W końcu kiwa głową. Bekdil wślizguje się do pokoju przesłuchań. Adnan zauważa dłoń na stole, srebrne pierścionki na palcach, stare srebro na przegubie. Ayşe. Potem drzwi się zamykają.

- Tak jak podejrzewałem, kwota kaucji jest znaczna - mówi Bekdil, wracając do biura od frontu.

Odpieprzony Skurwiel patrzy na Adnana przez szybę. Co to za pies, skoro stać go na taki garnitur? Powinni go przetrzepać na okoliczność korupcji, a nie pozwalać, żeby brał się za ciężko pracujących antykwariuszy, którzy próbują związać koniec z końcem w Pieprzonej Królowej Miast.

- Możemy to pokryć z naszych funduszy... - proponuje Bekdil.

- A ile?

- Dwadzieścia tysięcy.

- Powiedziałem: zapłacę.

- Przyjmujemy karty - mówi sierżant. - Oprócz American Express. I jest dwa procent prowizji. - Podsuwa czytnik.

Adnan wstukuje zera, które wydają mu się liczbami rządzącymi rażącym brakiem logiki tego dnia. Zero razy zero to zero. Zero razy cokolwiek to zero, ale cokolwiek przez zero to nieskończoność. Taka jest logika tego dnia. Ayşe - aresztowana. Gang przemycający zabytki. Milion euro. Zmelifikowany Człowiek, nawet nie może sobie wyobrazić, co to miałyby być. A w radiu cały czas szemrze mecz. Adnan patrzy, jak pieniądze znikają z jego konta, przelewane na konto stambulskiej policji. Sierżant zamasyście odrywa paragon.

- Może pan wnioskować o zwrot przez sieć albo przez kaucyjny serwis telefoniczny, czynny całą dobę.

Podnosi słuchawkę i dzwoni do policjanta po drugiej stronie szyby. Odpieprzony Skurwiel otwiera pokój przesłuchań i oto Ayşe. Jest zmęczona, wściekła, oczy ma jednak pogodne. Włosy rozczochrane, oczko w rajstopach. Czubki butów ma porysowane, ale twarz i makijaż perfekcyjne. W oczach czai się ów mroczny blask, który Adnan przez lata nauczył się dostrzegać i szanować. Torebka podciągnięta wysoko, agresywnie, na ramieniu. Da się agresywnie nosić torebkę. Całkiem jakby nie widział jej całe lata. I już jest w pomieszczeniu

od frontu. Odpieprzony Skurwiel chwyta spojrzenie Adnana, kiwa głową. Myślisz, że mnie znasz, co? Zresztą znasz. Jestem twoim wrogiem.

Ayşe zbiera papiery od dyżurnego sierżanta i przeciska się obok otwartych ramion Adnana.

- Nie tutaj - szepcze. - Nie dam śmieciarzom satysfakcji.

Adnan i Bekdil idą za nią na upalną ulicę. Ayşe z furią wyciąga papierosa, zapala go, zaciąga się z ogromną przyjemnością. I co, że na ulicy.

- Pani Erkoç, proszę posłuchać: będę panią informować o rozwoju sytuacji - mówi Bekdil.

Ayşe macha ręką na propozycję uścisku dłoni.

- Sprawa jest skomplikowana, więc postawienie zarzutów zajmie oskarżycielom publicznym jakiś czas. Zdziwiłbym się, gdyby coś się wydarzyło do lata, ale i tak chciałbym umówić się na spotkanie na początku przyszłego tygodnia, żeby wyjaśnić pani, jak się najprawdopodobniej wszystko potoczy i jakie ma pani opcje. Jest bardzo dobry adwokat, specjalista od sztuki i antyków, jeśli mogę zasugerować, porozmawiałbym i ewentualnie dał zaliczkę. Zna się na rzeczy. Panie Sarioğlu? - Dane kontaktowe Bekdila przeskakują na ceptepa Adnana w uścisku dłoni. - Jak tylko coś będzie trzeba, proszę od razu dzwonić.

I już odbiega w głąb Imran Öktem Cadessi, dziwnie drobnym kroczkiem jak na mężczyznę.

- Zawolałam samochód - mówi Adnan. - No chodź, jedziemy do domu.

- Nie chcę do domu - warczy Ayşe. - Chcę na kawę, czy coś. Śmierdzą policją. - Rozgląda się po płaskim, szarym obliczu ulicy, którego nie rozjaśni nawet wiosenne słońce. - Nie tutaj.

Obcasy kozaków stukają na kamieniach Terzihani Sok. Adnan idzie za nią przez zalaną słońcem Atmeydam, przedwieczny rzymski Hipodrom, omijając turystyczne autokary i taksówki, grupy Chińczyków z wysoko uniesionymi parasolkami, trzymając się w wystarczającej odległości, by należycie docenić piękno jej gniewu. Żadnych wyrzutów sumienia, żadnego żalu, ani odrobiny poczucia winy: jakże ją kocha. Opada na stołek w czajchaniu w murze meczetu Sultanahmet. Klienci wytrzeszczają oczy, nawet w sercu turystycznego Stambułu czajchana to tradycyjnie domena mężczyzn.

- Dwie kawy - rozkazuje i siada z powrotem, przypalając papierosa jednego od drugiego.

Adnan wie, że w swoim czasie zacznie mówić.

- Jaki wynik, wiecie? - pyta kelnera, kiedy ten stawia przed nimi maleńkie filiżaneczki.

- Remis. Dwa-dwa. Rewanż za tydzień w Emiratach.
- Ujdzie - odpowiada Adnan. To absurdalne, ale czuje się lepiej.
- Nie najgorzej, chociaż ja jestem za Beşiktaş.

Ayşe wypija kawę jednym haustem.

- Wzięli mi odciski palców. To się nie zmywa, cała sukienka w tym jest, do wyrzucenia, zresztą, i tak w życiu już jej nie włożę. Pobrali mi DNA, kazali otworzyć gębę i wetknęli patyczek, jakbym była pospolitym złodziejem samochodów, czy coś takiego. - Zapala papierosa, odrzuca głowę do tyłu, wciąga dym i z trzepotaniem wypuszcza wijący się błękitny welon, w sposób, który zawsze podniecał Adnana tym podświadomym wyrafinowaniem jak u gwiazdy filmowej. - Miałam to. Miałam to w rękach, otworzyłam sarkofag i zajrzałam do środka, pierwsze ludzkie oczy od dwustu pięćdziesięciu lat. Dotknęłam go. Spróbowałam. Był słodki, w życiu nie czułam nic tak słodkiego i nigdy już nie poczuję. Miałam go w rękach.

- Bekdil wydaje się w porządku.

- Chuj z Bekdilem. Nie, Bekdil jest w porządku. Ma chyba ze dwanaście lat, ale jest dobry. Jak dużo ci powiedział?

- Że cię zgarnęli w ramach rozbijania jakiegoś gangu szmuglerów antyków.

- To mi nie poprawia humoru. Ale zaraz, mówił ci, co to jest ten antyk, o którego wywóz mnie oskarżają?

- Coś jakby „Zmelifikowany Człowiek”?

- A wiesz, co to znaczy? To legenda. Baśń. Jajo ptaka Roka, lampa z dzinnem, latający dywan. Klejnoty Hagii Sofii i łązy Maryi Dziewicy. To ludzkie ciało zmumifikowane w miodzie. W ogóle nie powinno istnieć, ale ja je znalazłam. - Ayşe zapala kolejnego papierosa.

- A tu się okazało, że to pułapka z miodem na przynętę. Myślę, że ten sukinsyn Akgün nawet nie wiedział, że to istnieje, po prostu rzucił mi dość sugestii, żeby to zaczęło wyglądać wiarygodnie. I zamachał przed nosem milionem euro.

- Nie nadążam.

- Przyszedł do galerii klient, dobrze ubrany, zorientowany. Miał pewne poszlaki co do istnienia siedemnastowiecznego Zmelifikowanego z Iskenderunu i chciał zapłacić mi milion euro, jeśli uda mi się go dla niego wytropić. I udało mi się. Adnan, czego ja po drodze nie widziałam. Dałam mu jego Zmelifikowanego, ale gość był gliniarzem z wydziału dóbr kultury. Skurwysyn, powinnam się była domyślić - ta tania woda po goleniu, z wolnocłóWKi. Wiedział, że moje poszukiwanie Zmelifikowanego wywabi na światło dzienne wszystkich handlarzy figurkami i ikonami jak stąd do Bursy. Skurwysyn.

- Milion euro. Ayşe, jeśli chodzi o pieniądze...

Ayşe nagle dotyka jego twarzy.

- Nie, Adnan, to miało być dla mnie. Czysty egoizm: pokazać, że ja też umiem robić interesy. Robić pieniądze. Grać o duże stawki.

Na stół pada cień. Adnan mruży oczy na niespodziewany spadek temperatury. Chmurka zakrywa słońce - mały, śmiechu warty kłębek pary, ale za nim idzie kolejny i kolejny, a dalej ściana cumulonimbusów piętrząca się za kopułą Hagii Sofii. Serce bije mu mocniej; niesamowitość tego, czego dokonał z Turkusem, dopiero do niego dociera i przybiera namacalny, fizjologiczny kształt. Dowód ma wypisany na niebie.

- Byłam przynętą. Od początku było tak ustawione. Trzeba się było domyślić, ale mnie to zaślepilo. Zmelifikowany Człowiek - znaleźć coś takiego, ostatni cud świata, dałbyś radę odmówić?

Adnan kręci głową, układa usta w „nie”.

- A tam to oni umieją cię zastraszać, Çandar, ten drugi, to zwykły krawężnik po cywilu, nie mam pojęcia skąd się w tym wziął, chyba tylko po to, żeby robić za złego policjanta, kiedy Aykut robi za dobrego. Więzienie, grzywny, zamknięcie firmy, bankructwo; ja nie mogę iść do więzienia. Matka by umarła. I tak już mam przerąbane, że za ciebie wyszłam. Potem próbują grać w Dylemat Więźnia, no dajcie spokój. Tylko grzywna, może wyrok w zawieszeniu, przecież i tak byłabym skończona. Gra się skończyła i już żadna gra mnie nie interesuje. Jeśli nie będę mogła zobaczyć kolejnego aszkenazyjskiego Pięcioksięgu albo ilustracji Blake'a... bez Blake'a nie ma życia. Prosta sprawa. Nie mogę stanąć przed sądem, nie mogę stracić galerii. Kurwa kurwa kurwa kurwa! - Ayşe dźga niedopałkiem popielniczkę.

- Trzeba się jakoś lepiej z nimi dogadać - mówi Adnan. - Nie prosta ugoda, ale ochrona prawna.

- Tak, kochanie, ale to przysługuje tylko świadkom, którzy demaskują przekręty w instytucjach państwowych... - Ayşe wytrzeszcza oczy, gdy Adnan wstaje z krzesła i zaczyna chodzić w kółko między stolikami palących i pijących.

Wędruje na stary Hipodrom, zadziera głowę ku egipskiemu obeliskowi, wraca z powrotem. Kiedy próbuje zapytać go, co w niego wstąpiło, Adnan przyciska palec do ust: „Cii, nic nie mów”. To plan, prosty i czysty, doskonały i kompletny: pojawił się tak nagle i w jednej chwili, jak Turkus, gdy ujrzał go wypisanego na przydymionej szybie windy. Tylko że to coś o wiele, o wiele większego niż Turkus.

Siada na wiklinowym stolku, zakłada ceptepa.

- Bekdil? Adnan Sarioğlu. Dzięki, że odebrałeś. Muszę z tobą pogadać, to pilne. Dobrze byłoby, jakbyś przyprowadził paru partnerów z firmy. Zresztą, albo ich przyprowadzisz od razu, albo pójdziesz po nich później. O co chodzi? No... można by powiedzieć tak: jesteś świetnym prawnikiem, ale nie znasz się na interesach.

* * *

Ostatni lokal po prawej, zaraz obok pakowalni jabłek ElmaÖrap, powyżej biura księgowego - tam trzymają Necdeta, wnioskuje Mały Detektyw. Przeszedł obok nich trzy razy, ostatni raz razem z grupką dzieci wracających z popołudniowych lekcji. Nie przejmując się młodym facetem ze szczeciniastym wąsikiem w budce ochroniarza: dorośli nigdy niczego nie zauważają, a poza tym, pomiędzy otwieraniem szlabanu wjeżdżającym i wyjeżdżającym ciężarówkom gość zajmuje się oglądaniem sportu albo gra w coś na ceptepie. Są jednak kamery, a szybkie zerknięcie na forum BotSpotterów informuje, że według ich mapy, w Bostanci Dudullu Business Park znajdują się dwa latające roboty monitorujące Samsung FBI 18. Ten konkretny model ma rozpoznawanie wzorców, analizę sposobu poruszania się, rysów twarzy i jest w standardzie uzbrojony w strzałki z identyfikacją radiową. Wśród forumowiczów panuje zgoda, że ich uwaga nasila się po trzech przejściach. Can zadbał o to, żeby zdjęcia porobić już za pierwszym razem, nisko z biodra, klik-klik ceptepem. Otwarcie telefonu było ryzykowne, ale, gdy tylko uświadomił sobie, że potrzebuje zdjęć, zdał sobie także sprawę, że nie dopisał do listy sprzętu Małego Detektywa aparatu fotograficznego. Następnym razem już będzie wiedział.

Kayışdağı to brzydka, bezpłatowa dzielnica, nic tu nie ma powyżej jednego piętra, wszystkie budynki stłoczone ciasno i nieprzyjemnie, łuszcząca się farba, nadpleśniały tynk, folie, szerokie ulice patrolowane przez szerokie auta, wszędzie pył. Pył na białych pickupach Toyoty, pył na małych trójkołowych miejskich autkach, pył na blaszanej kopule tandetnego osiedlowego meczeciku, pył na plastikowych szyldach firm. Wszystkie kobiety w chustach. Pełno niemowląt i bardzo małych dzieci. Niektóre wyglądają na niedomyte. Tło dźwiękowe - monotonne, wysokie i nieprzyjemne. Słońce mocne i gorące. Can zużył już pół tuby kremu z filtrem 30.

Wydaje mu się, że znalazł świetny punkt obserwacyjny. Z herbaciarni Kapçek widać bok budynku, gdzie według jego podejrzeń przetrzymują Necdeta, po drugiej stronie Bostanci Dudullu Caddesi. Ulica jest szeroka i ruchliwa, dwie jezdnie, po których cały czas coś jeździ. Samsungi FBI 18 są wystarczająco cwane, żeby nie zwracać uwagi na ruch pojazdów w tle, byłyby w stanie skanować i identyfikować wszystkie samochody, ale niewiele mocy pozostałoby im na monitorowanie budynku. Can ukryje się za ścianą przejeżdżających aut.

Pod markizą herbaciarni będzie mógł siedzieć, pracować na komputerze, kontynuować śledztwo. Nikt nawet nie zapyta go, co robi. Czajchana to uznany i szanowany styl życia.

Kiwa głową klientom i zajmuje stołek przy stoliku najbliższym ulicy.

- Dzień dobry panom - rzuca nonszalancko.

Mężczyźni z Kapçeka są mniej porządnie ogoleni, twarze mają szczuplejsze, dłonie bardziej brązowe, a fałdy w kącikach oczu bardziej zapadnięte, ale to ten sam typ, co pan Ferentinou i jego starzy Grecy. Can wyciąga z plecaka komputer i otwiera go. Właściciel podchodzi do stolika. Jest młodszy i chudszy niż Bülent i ma strasznie wystające zęby.

- Słucham?

Can zerka na niego nad detektywistycznymi okularami.

- Poproszę ayran. Z lodem.

Ayran po azjatyckiej stronie jest tani i bardzo, bardzo dobry. Can popija go przez słomkę, otwierając jednocześnie aplikację od BitBotów i ładując zdjęcia z ceptepa bezpośrednio do serwisu Panoramika, który skleja z nich w pełni eksplorowalny trójwymiarowy model Bostanci Dudullu Business Park. Musi się tam dostać robotami, żeby poznać miejsce i twarze, nim zrobi się za ciemno. Jest furgonetka. Nie ruszyła się nigdzie, odkąd przyjechała tu wczoraj wieczorem. Na powiększeniu widać Małego Szczura przyczepionego do tylnego zderzaka. Na jego widok Can aż chichocze z zachwytem nad własną pomysłowością. BitBot jest gotowy. Can wsuwa słuchawkę do ucha i wywołuje pole haptyczne. Palce falują, Wąż na jego szyi ożywa, wypłuwa ogon i spelza po ręce na stół.

Staruszkowie i właściciel jak jeden mąż wytrzeszczają oczy.

- Zabawka taka - mówi Can. Krzyżuje dłonie, rozcapierza palce i Wąż zmienia się w Ptaka.

- Czemu nie było takich zabawek, jak byłem mały? - Wzdycha uśmiechnięty pulchny facet z sumiastym wąsem.

- Boże, żeby moje wnuki się nie zwiedziały, że coś takiego istnieje - dodaje drugi, siwy, z zapadniętymi zębami policzkami.

Can teraz dopiero zrobi coś takiego, że opadną im szczęki. Gest dłoni i ptak wzbija się od stolika, leci nad ruchliwą Bostanci Dudullu Caddesi, wznosi się spiralą, jak bocian, w prądzie bijącego od asfaltu ciepła, wysoko ponad panele słoneczne na dachu biurowca. Początek jest trudny: trzeba przerzucić tam Ptaka, tak by nie zauważyły go Siostry Samsung, i zrekonfigurować w taki sposób, żeby wchłonął BitBoty Małego Szczura. Przelatuje wysoko - ośmioro oczu ustawione na szeroki kąt. To ryzykowne, jeśli wejdzie w ich zasięg patrolowy, te wredne roboty od razu poznają, że to nie jest zwykły ptak. Jest. Okazja. Łąduje Ptakiem na

dachu zatrzymującej się pod szlabanem wjeżdżającej do środka ciężarówki. Rozdziela dłonie. Ptak przemienia się w Węża i spełza po tyle ciężarówki na zderzak. Kolejna przemiana i Wąż jest Szczurem, zwisającym pod tablicą rejestracyjną. Ciężarówka zakreca szerokim łukiem, żeby podjechać tyłem do rampy ElmaÖrap, Szczur zeskakuje z naczepy przy maksymalnym wygięciu, przebiega pod kołami, skacze, rozprasza się i miesza z jednocześnie rozproszonym rojem Małego Szczura, oddzielonego od białej furgonetki. Szczur przeobraża się w powietrzu, pełny i kompletny, potem wtacza się pod furgonetkę, z dala od drgających oczu-czułków Samsungów.

Jest w środku.

Can wyczuwa obecność publiczności nad swoim ramieniem. Odwraca się i widzi, że wszyscy staruszkowie poprzesuwaliby się z krzesłami i oglądają występy transformersów na jego ceptepie.

- Chrzańć twoje wnuki, ja sam chcę coś takiego - mówi właściciel czajchany.

- To idzie do telewizji? - pyta Zapadnięty Policzek Bez Zębów.

- Ale na poważnie, synu, skąd ty to wzięłeś? - Zawsze musi znaleźć się jeden nieprzyjemny, jak ten paskudny egipski staruch na placu Adema Dede. Zawsze jeden jest wredny. - Co za numer chcesz wykreść?

Serce Cana trzepocze i bije jak u uwięzionego na balkonie gołębia. Jego plan nie przewidywał, że inni mogą odnieść się podejrzliwie do jego detektywistycznej działalności. Detektyw zawsze ma rację. Nikt jego racji nie kwestionuje. A teraz, gdy się to stało, pierś ściskają mu jeszcze inne spostrzeżenia. Każdy z nich może być wrogiem. Wróg może tu przychodzić codziennie o piątej po zimny ayran prosto z lodówki. Wredny może być wredny, bo jest policjantem. A Pulchny Wąsaty może być nauczycielem, albo pracownikiem opieki, albo kimś z kuratorium. Tacy ludzie mogą przerwać jego śledztwo i odesłać go do domu. Nagle już wie, jak ma to rozegrać.

- Porwali mojego brata.

Mężczyźni podskakują. A oto, co powiem, jak powiecie „to zadzwoń na policję”, myśli Can. Tak, to super rewelacyjny pomysł.

- Jest im winien pieniądze.

Faceci rozluźniają się ze słyszalnym „uf”.

- Tylko, że to nieprawda. Pomylili go z kimś innym. Ale ja przyczepiłem mu nadajnik, znalazłem, wiem, że tu go trzymają, a jak się dowiem, gdzie jest naprawdę, zadzwonię po resztę rodziny, przyjadą i dadzą im popalić, tym od pieniędzy.

- Zmyślasz, co? - pyta Zapadnięty Policzek Bez Zębów.

- Nie - mówi Can z lekko wznoszącą intonacją, jak wtedy, gdy chce sprzedać rodzicom podwójny blef. - Naprawdę. - Nie wiecie, czy w to wierzyć, ale ja mówię prawdę. Mniej więcej. Ma kolejny Wspaniały Pomysł Detektywa. To naprawdę ich zdezorientuje. - Widzieliście może coś podejrzanego albo kogoś, w tym lokalu na samym końcu?

Właściciel kręci głową: to nie przeczenie, to konsternacja.

- Te dzieciaki - rzuca Zapadnięty Policzek Bez Zębów, machając lekceważąco dłonią.

- Rodzice wiedzą, że jesteś na dworze? - pyta Wąsaty półzartem.

Tylko Wredny Egipcjanin dalej ma Cana na oku, reszta wraca do herbaty i kart. Can zgina palce. Wreszcie spokój.

Wychodzi Szczurem spod furgonetki, trzymając się ściany, i chowa się za śmieciami. Tak jak żywy szczur. Tam przemienia się w Węża i wchodzi po ścianie za rynną. Łatwo, łatwo, na razie bardzo łatwo. Ci goście i ich wielkie rozklekotane samsungi to żaden przeciwnik dla Małego Detektywa i jego BitBotów. Plan jest taki: przejść Wężem wzdłuż ściany z szorstko otynkowanych bloczków, bez problemu utrzymując się na niej dzięki chwytym nanohaczykom, znajdując osłonę w cieniu parapetów i okapów. Celem są okna - zajrzeć w każde po kolei. Podekscytowany Can pstryka palcami. Świetnie. Jaki jest sprytny.

Pierwsze okno: pusty pokój z rozwaloną kanapą, biurko z jakimś sprzętem elektronicznym. W niezbyt dużej rozdzielczości kamer Węża nie widać co to takiego.

Drugie okno. Wąż wysadza nad parapet usianą kamerami główkę. Trzy materace, prześcieradła, płaskie poduszki z pianki. Puste butelki po wodzie: dużo. Puste pojemniki po jedzeniu na wynos: trochę. Wielkie worki ze śmieciami: pełne. Gazety, książki o smutnych okładkach, zapisane wężykowatym pismem.

Trzecie okno. Biurka zsunięte pod ścianę, podłoga zastawiona styropianowymi pudłami i kartonami. Tu Can dostrzega pierwszego człowieka. Młody mężczyzna siedzi przy biurku z boku pokoju, skąd widzi i drzwi, i okno. Ma kręcone włosy, niebieskie oczy i taką niby-brodę, jaką hodują sobie mężczyźni, kiedy przychodzi czas na pierwsze eksperymenty z zarostem. Możliwe, że to jeden z tych, co porwali Necdeta, Can aż tak dobrze nie pamięta ich twarzy. W skupieniu pracuje na komputerze z silkscreenem. Can manipuluje ogniskową, ale nie potrafi wyostrzyć ekranu. Ale pod biurkiem leży coś kanciastego. Młody człowiek przesuwa się z krzesłem, teraz Can widzi co to: karabinek szturmowy.

Can w czajchanie Kapćek odskakuje od ekranu. Wyrywa mu się sapanie. Rozgląda się pośpiesznie, z poczuciem winy: ktoś jeszcze widział karabin? Staruszkowie wyglądają na pochłoniętych kartami. Can szybko cofa Węża spod trzeciego okna i podkrada się do czwartego.

Jest Necdet. Leży na boku na materacu. Can patrzy pod ostrym kątem i nie widzi twarzy, ale ten człowiek jest ubrany tak samo jak Necdet, kiedy porywacze wrzucali go do białej furgonetki. To akurat dobrze zapamiętał. Naprzeciwko niego kuca na piętach kobieta. Nosi chustkę, ale twarz ma młodą. Modne okulary, dżinsy i kozaki, obcasy odrobinę oderwane od podłogi. Porusza ustami, ewidentnie mówi coś do Necdeta. BitBoty nigdy nie miały zbyt dobrego dźwięku. O wiele trudniej dostać porządny dźwięk niż obraz. Can jest pewien, że widzi ją pierwszy raz. Facet za nią, siedzący po turecku na macie na podłodze, jest jakby trochę znajomy. To jeden z porywaczy. Kwadratowa sylwetka, Canowi wydaje się stary, ale Can nigdy nie był za dobry w określaniu wieku powyżej czternastu lat. Wszyscy wyglądają tak samo. Ma śniadą skórę, wschodnie rysy i nosi koszulkę SuperDry z czymś przy kołnierzyku. Na szyi wielki kłęb włosów; to właśnie to zasłania kołnierzyk koszulki. Na udach wygodnie ułożony wielki karabin.

Wszyscy poza Necdetem są tak poustawiani, że podglądający Wąż jest dla nich widoczny jak minaret. Can cofa go w bezpieczne miejsce pod parapetem. Znalazł go. Znalazł Necdeta. Widział ludzi, którzy go trzymają, poznał część ich planu. Mają karabiny. Właściwie spodziewał się, że będą mieli, ale prawda trochę go odrzuca. Co teraz robić? Teraz, natychmiast. BitBotom kończą się baterie.

Zmywający naczynia właściciel aż podskakuje, gdy Can podchodzi do niego od tyłu i pokazuje zasilacz.

- Mogę skorzystać z prądu? Zapłacę panu.

Właściciel bez słowa wtyka kabel do gniazdka. Can starannie ustawia krzesło tyłem do ściany, tak by widzieć jednocześnie ulicę i czajchanę, to lekcja, której nauczył się od terrorystów. Odważa się na przemianę w Ptaka w powietrzu i lot nurkowy nad Bostanci Dudullu Caddesi. Pan Ferentinou powiedział mu kiedyś, że rzeczy, które się oddalają, są dla ludzi mniej interesujące niż te, które się przybliżają. Przyłot Ptaka sprawia, że karciarze unoszą głowy.

- Muszę go naładować - mówi Can.

Godzinne ładowanie to męka i trwa w nieskończoność. Zaczyna się ściemniać. Właściciel się niecierpliwi. Klienci stracili zainteresowanie kartami i zaraz znowu zasypią go pytaniami. A on nie ma pojęcia, co się dzieje u terrorystów. Dobrze jest mieć plan. Myśl strategicznie. Urząd Planowania Przestrzennego Stambułu będzie mieć plany architektoniczne tego centrum. Grzebiąc w kolejnych menu, zastanawia się, jak to możliwe, że Urząd Planowania ma u siebie cały Stambuł, płaski, narysowany na papierze. Dwuwymiarowe miasto. Bostanci Dudullu Business Park. Bez problemu. Can rozplanowuje atak. Wybiera

łatwą drogę, przez biuro księgowo. Wejdzie przez wlot klimatyzatora, potem przedostanie się szybem w ścianie. Dla Węża to żadna trudność. I wzdłuż podłogi - w lokalach biurowych co chwila jest kratka wentylacyjna. Ucząc się planu na pamięć, znajduje wylot umiejscowiony najbliżej Necdeta.

Zielone światełka na całym ekranie. BitBoty się naładowały.

Księgowi zamykają biuro, kiedy Szczur przemyka im za plecami, wzdłuż ściany. Docierając do kratki, przekształca się w Węża i nie gubiąc rytmu, przenika przez terakotowe szczeliny. Do góry. Do góry. Can uśmiecha się, zachwycony i skoncentrowany, wyobrażając sobie Węża - widok z kamery, przeskakujący, szerokokątny, dziwacznie oświetlony słabymi diodami - na planach architekta. To najlepsza gra na świecie. Przechodzi nad ścianką działową z bloczków i rozciąga się przed nim poprzecinana legarami przestrzeń pod podłogą. Kable: idź za nimi. Przewody wentylacyjne. Trafiał. Kratka wentylacyjna to prostokąt oślepiającego światła. Can zatrzymuje kamery i podpełza bliżej, nanołuska za nanołuską. Nos Węża jest o milimetry od wylotu. Horyzont wypełnia mu ciemny kształt. Can powoli wypuszcza powietrze nad wysuniętym językiem, w skupieniu przestawiając kamery na szeroki kąt. Ciemna plama nabiera kształtu. Necdet, leżący na materacu, ale tyłem do kratki. Co gorsza, obok jego leżącej sylwetki, druga, prosta: strażnik, twarzą do kratki. Na pewno nie przeoczy wypełzającego z wentylatora metrowego węża.

Teraz jego plan uratuje tylko cierpliwość.

Przez godzinę siedzi przed monitorem, nie porusza się, nie wydaje ani szmeru. Patrzy na przygarbione plecy Necdeta. Spod hurtowni jabłek odjechała ostatnia ciężarówka. Nawet ochroniarz poszedł sobie z budki i zamknął bramę. Samsungi F118 dalej patrolują, a w lokalu nad księgowymi zapaliły się światła. Samochody na Bostanci Dudullu Caddesi też pozapalały światła. Fantastyczny zachód słońca rozpala się nad płaskimi, blaszanymi dachami centrum biurowego.

- Ktoś po ciebie przyjdzie? - pyta właściciel czajchany Kapçek.

Wścibscy klienci odpłynęli, jeden za drugim, zde gustowani brakiem puenty w historii *Chłopczek z Robotami kontra pożyczkodawcy z Kayışdağı*. Can siedzi sam w pustce pomiędzy zmianą dzienną i nocną.

- Długo nie będę - odpowiada, choć nie rozwiązał jeszcze problemu, gdzie ma nocować. Nawet o tym dotąd nie pomyślał. Ale Mały Detektyw musi zostać, dopóki wszystkich nie uratuje.

Jakiś ruch. Necdet odwrócił się. Teraz Can ostrożnie, milimetr za milimetrem, przesuwa główkę Węża, tak by patrzyła Necdetowi prosto w twarz. Robi kamerą zbliżenie.

Necdet kiepsko wygląda. Jest nieogolony, włosy ma tłuste. Wokół oczu i ust zaskorupiałe łuski. Powieki drgają. Otwórz, otwórz. Znowu drgają. Otwórz. Necdet otwiera oczy. Teraz Mały Detektyw popisuje się swoją pomysłowością. Wywołuje nowe okienko poleceń, przesuwa prawą rękę w pole haptyczne i styka palec wskazujący z kciukiem, jakby imitował kwakanie kaczki. Po drugiej stronie bulwaru, w biurach nad firmą księgową, Wąż zaczyna błyskać diodą w twarz Necdeta.

* * *

Obudź się!

Nie chcę się budzić.

Obudź się!

Daj mi spokój.

Jak to? Wstawaj! Otwórz oczy.

Nie mam ochoty otwierać oczu. Bo zobaczę, że jeszcze mniej ich dzieli od zabicia mnie.

Jak się nazywam? Recytuj!

Jesteś Hizir, Chidr, al-Chidr, Chidar, Chwaja, Chizar, Chizr, Zielony Święty.

Kim jestem?

Jesteś Nieśmiertelnym, Wiecznym Wędrowcem, Wiernym Sługą Boga, Nauczycielem Proroków, Panem Ludzi od Rzeczy Niewidocznych, Władcą Zastępów Świętych, Panem Wody Życia, Inicjatorem tych, którzy kroczą Ukrytą Ścieżką.

Otwórz oczy.

Widzę brzeg materaca, cienką, szarą, twardą wykładzinę, złączenie dwóch białych ścian, ślady od butów, listwa, gniazdka, kratka wentylacyjna... A co każesz mi widzieć, Zielony Święty?

Kratka. Coś w niej błyska. Nie migocze, nie iskrzy. Błyska. Rytmicznie.

To jest naprawdę, mówi Hizir swoim wiosennym głosem.

Necdet mruga dwa razy. Światelko odmruguje dwa razy. Jest tam coś, co myśli, coś, co go rozpoznaje. Coś, co wie, że on tu jest. Śledziło go? Jedno mrugnięcie, jeden błysk w odpowiedzi. Co się za nim kryje? Necdet próbuje wypatrzeć jakiś kształt za szczelinami kratki. Coś jak głowa węża. Głowa węża z pajęczymi oczami, tuzinem plamek ocznych i mruga do niego światelkiem. Jakaś maszyna. Robot-wąż. Widział już robota-węża. Siedział w ogrodzie w domu derwiszy. Wszystko było nowe, świeże, choć jednocześnie groźne. Sam był wówczas nowy. Ismet dopiero co zabrał go z Başıbüyük, żeby stworzyć dla niego nowe życie. Siedział na brzegu małej fontanny, związał skręta, wtem kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Wąż! Rzucił na wpół zrolowanego skręta, tracąc dech ze strachu. Na początku myślał, że to jakaś

retrospekcja czy inny przebłysk pamięci, że to objawiają się wszystkie jego grzechy. Potem zauważył, że to skomplikowana maszyna, która zwisa z krawędzi pochyłego dachu krużganka i obserwuje go. I drugi raz, gdy odkrył maleńki trójkącik starego cmentarzyka derwiszy, za kuchennym podcieniem, coś poruszyło się w trawie i ten sam robot wyprysnął mu spod nóg, wpełzł na walcowaty nagrobek zwieńczony stożkowatym mewlewickim hełmem i ku jego osłupieniu, rozsypał się w pył, z którego powstał ptak. Ptak rozpostarł skrzydła i odfrunął. Potraktował to jak coś w rodzaju przypowieści.

Robot tego dzieciaka. Chłopak go znalazł. Jak? Nieważne. Znalazł i już. Ktoś wie, że on tu jest. Musi przekazać jakąś wiadomość, tylko że jest więźniem w pokoju z uzbrojonym strażnikiem, który zabije go miłosiernie, bezboleśnie, bez złości i w imię Boga, kiedy tylko zakończy się ta operacja z zabawkowym robocikiem w kanale wentylacyjnym, mrugającym do niego światełkiem i głuchym chłopakiem na drugim końcu linii.

Głuchy chłopak umie czytać z ust.

Raz na tak, dwa razy na nie - wypowiada Necdet samymi ustami, powoli i wyraźnie. Długa pauza, pajęczne oczy błyskają raz.

Nie błyskaj, chyba że ci powiem - mówi Necdet. Wielki Drab jest tu takim samym więźniem jak on i bawi się w myślowe gry ze ścianami, światłami, wzorami na wykładzinie, sękami na listwach, obojętne czym, byleby zabić nudę.

Błysk.

Śluchaj uważnie. Na koniec zapytam, czy rozumiesz. Zadzwoń na policję. Ci ludzie to terroryści.

Necdet czuje, jak przy podwójnym „r” szczęka wibruje mu o materac. Musiał poruszyć głowę, o milimetr, ale Wielki Drab i tak to zauważył.

- O, Necdet, nie śpisz?

- Już nie.

- Chcesz wody, siku, albo coś?

- A czy to ważne?

Nie odrywa wzroku od ledwo widocznego kształtu w kanale wentylacyjnym. Przez parę minut nic nie mówi, nasłuchując cichych odgłosów wydawanych przez Wielkiego Draba, kiedy mości się wygodnie i znów przestaje zwracać nań uwagę. Dzieciak ani drgnie, ani błysnie.

Dzwoń na policję, sylabizuje Necdet. Mają jakiś szalony plan. Nanotechnologia. Więcej nie chcą powiedzieć. Dzwoń na policję. Uważaj na siebie. Idź już. Szybko. Oni mnie zabiją. Rozumiesz?

Błysk światła. Necdet zamyka oczy. Kiedy otwiera je kolejny raz, za szczelinami kratki nie widzi już nic. Zapomniał o najważniejszym atrybucie Zielonego Świętego: Hizir - pomoc, której nie ogarniesz rozumem.

* * *

Hasan owija czubek śrubokręta kawałkiem papierowego ręcznika, macza go w benzynie do zapalniczek i podpala. Szybko jak błyskawica omiata płomieniem uszy Adnana, lewe, potem prawe. Powtarza jeszcze raz i gasi ogień w stojącej na blacie doniczce z piaskiem. Fala żaru, zbyt krótka na ból, smród palonych włosów. Oto kwintesencja fryzjerstwa: kontrolowana przemoc, oddanie się w ręce człowieka, któremu wolno zbliżyć tyle ostrzy do twoich oczu, uszu, nosa, krtani. Chluśnięcie wody kolońskiej zapiera dech - koniec rytuału. Dźwięczy dzwonek na drzwiach, przyszedł kurier, punktualnie co do sekundy, z płaskimi pudełkami pod pachami.

- Pan Sarioğlu?

Trzech pozostałych Ultralordów Wszechświata, usadowionych na ławeczce jak staruszkowie na przystanku tramwajowym, pokazuje sobie świeżo ogolonego mężczyznę na fotelu. Adnan zdiera prześcieradło, otwiera pudełko na wierzchu, wytrząsa śnieżnobiałą koszulę.

- Hasan, przebiorę się tutaj, okej?

Fryzjer kłania się nieznacznie i odwraca tabliczkę na drzwiach: ZAMKNIĘTE. Adnan ściąga z siebie koszulkę Galatasarayu. Nowa koszula opada nań jak błogosławieństwo. Ci krawcy znają jego ciało lepiej niż ktokolwiek, oprócz Ayşe.

- Kemal, dla ciebie też mam taką. Nie byłem pewien rozmiaru, więc podałem na oko plus jeden. - Kopie w stronę Kemala płaskie pudełko. Jedna z życiowych zasad Adnana Sarioğlu. Gotowe ubrania to pozorna oszczędność, kiedy w Stambule krawiec na miarę ma zapisane twoje wymiary, jest w stanie skroić i uszyć garnitur w godzinę i dostarczyć na miasto kurierem. - Z całym szacunkiem, panowie, ale tylko on musi ze mną iść.

Kemal delikatnie wyciąga marynarkę spomiędzy złożonych bibulek.

- Jak byłem mały, widziałem taką amerykańską niemą komedię. Była śmieszna, więc to nie mógł być Charlie Chaplin. Była tam taka scena: ten komik stoi przed stodołą, która ma na górze otwarte drzwiczki. - Zapina spinki, strząsa buty z nóg. - Numer polega na tym, że ściana się zawala, spada prosto na niego, ale on stoi tak, że na niego padają te otwarte drzwi. To jest właśnie wyczucie czasu i właśnie coś takiego planuję w przypadku Özera. - Wchodzi w spodnie od garnituru, poprawia pasek. Wkłada nowe buty. - Özer pada. Wszyscy to wiemy. Ale zamiast patrzeć, jak wieżowiec na Levencie wali się nam na głowy, i liczyć, że ujdziemy

cało, może by tak zorganizować kontrolowane wyburzenie? Kemal, wkładaj, kurwa, ten garniak, bez ciebie nie mamy szans. - Adnan wkłada buty, lewy, prawy. Całkiem dobre, jak na takie tanie mokasyny. - Kemal zna wszystkie szczegóły: nazwiska, konta, transakcje, kody, daty, wszystko. A ja odpowiadam za ugodę.

- Immunitet - mówi Kadir. Koszulka i czapeczka kibica kiepsko na nim leżą, wygląda jak brytyjski książę na festiwalu muzycznym.

- Dokładnie.

- Celowo zniszczymy Özera? - pyta Oğuz.

- I tak padnie. Ile jest winien?

- Gdzieś w okolicy dwóch koma siedem miliarda euro - odpowiada Kemal. Stoi pośrodku maleńkiego, jednomiejscowego zakładziku fryzjerskiego na Alemdar, w koszulce Cimbon i bez spodni. - Skąd ty się dowiedziałeś o tym rachunku strat Cygnusa X?

- Ja mu powiedziałem - rzuca Kadir.

Adnan unosi palec.

- Kadir, cicho bądź. Powiedział mi dzień przed dniem zero, zaraz po spotkaniu z Larijanim. Pomyśleliśmy, że jesteś zagrożeniem dla Turkusa. - Patrzy mu prosto w oczy. Można to teraz rozegrać tylko szczerze i otwarcie.

- Zagrożeniem? Zagrożeniem? Kurwa mać, a kto przepisał te pieniądze, kto odpowiadał za całe zaplecze i kto wciągał te kodowane nano Larijaniego? Spróbujcie kiedyś, to sama przyjemność. Co chcieliście zrobić? No gadaj, co chcieliście zrobić?

- Chcieliśmy cię wyeliminować z interesu.

- Wyeliminować? Mnie? Jak, kur... jak chcieliście to zrobić, wiedząc, co wiem? No?

- Kemal, wkładaj ten garnitur. - Oğuz już ma otworzyć usta i palnąć coś głupiego.

Adnan dźga go palcem. - Ty się nie odzywaj. Tylko ja mówię. Kemal, wkładaj to.

- Co to ma być, jakiś film o gangsterach, gdzie po skoku wszyscy się mordują? Co chcieliście zrobić, palanty? Wpierdol? Do bagażnika samochodu i do Bosforu?

- Kemal, wkładaj, kurwa, ten garniak.

- W łeb? Nie... - Usta Kemala przeżuwiają powietrze, wnioski docierają doń, ostre jak szkło. - Skurwysyny. Skurwysyny.

- Nie - mówi Adnan, bardzo wyraźnie i powoli. - Zrobiony na zamówienie nanotech. Miałem podmienić twoją działkę. Miał zaburzyć ci pamięć, nie wiedziałbyś co twoje, a co nano.

Kemal pamięta, przypomina sobie każdy najdrobniejszy szczegół.

- Ten kaszel...

- Dzięki niemu teraz tu ze mną rozmawiasz.

- Wy skurwysyny! - wrzeszczy Kemal. - Kłamlliwe, podstępne drobne skurwysyny.

- Teraz wkładaj to. Trzeba iść.

- Czemu, kurwa, mam dalej z wami pracować?

- Bo jesteśmy jeszcze sobie potrzebni, ostatni raz. Robimy co trzeba i możemy się już nigdy nie widzieć na oczy, ale musisz włożyć ten garnitur.

Kemal jest pokonany, ale jest Ultralordem, jest paszą; zatem na zakończenie odrzuca głowę do tyłu w geście pogardy.

- Cwaniak z ciebie, żonka wpada w tarapaty i od razu masz jakiś z dupy wyjęty plan.

Dwa kroki i Adnan już trzyma Kemala za koszulkę Galatasarayu, zionąc mu w twarz oddechem.

- Od Ayşe z daleka i ani słowa o niej. Ani słowa - syczy.

Kadir i Oğuz rzucają się, żeby ich rozdzielić. Adnan powoli wydycha powietrze, poprawia klapy marynarki, wyrównuje mankiety.

- Spotkanie jest z Bekdilem i jeszcze kimś, kogo tam mu się udało ściągnąć. Hotel Anadolu. Opowiadamy o Turkusie. Opowiadamy o Cygnusie X. Mówimy o osobistym zaangażowaniu Mehmeta Merala w rozliczenia Cygnusa X. Dajesz im kody, gość patrzy na konta, widzi błędy, widzi straty wywalane poza bilans, widzi autoryzacje od samej góry. Mówimy mu, że Özer psuje się od głowy, że nie ma żadnych aktywów, że cena akcji jest zmanipulowana, straty idą w miliardy i w zasadzie jest bankrutem. To dajemy, chcemy bezkarności za Turkusa. A ja jeszcze do tego, żeby wycofano wszelkie zarzuty przeciwko Ayşe Erkoç. Bekdil idzie do Komisji Nadzoru Finansowego. Wszystko opowiadamy im jeszcze raz. Tyle razy ile trzeba, aż będziemy mieć w rękach gwarancję ochrony prawnej, kasę w kieszeniach, a regulatorzy rozwalą Özera jak rolexa z Eminönü. - Adnan wytrząsa z płytkiego pudełka nową koszulę i podaje ją Kemalowi. - Wkładaj garniak, albo i nie, ale coś na sobie miej. Widzisz, robimy tę ostatnią rzecz, ja i ty, i mamy wszystko.

Kemal wrywa koszulę, odwraca się. Wzdryga się, ściągając futbolową koszulkę. Przez moment Adnanowi wydaje się, że się rozplacze, a to by było najgorsze. On jednak naciąga stuprocentową bawełnę na swój tłustawy tułów, zapina ją, odwija mankiety. Jest robota do zrobienia. Ale ja uratowałem ci życie i dupę, więc jesteś wściekły, myśli Adnan. Nie możesz znieść tego, że do końca życia będziesz moim dłużnikiem.

Zaciąga mocniej krawat, poprawia spinki, żeby były idealnie symetryczne. To jest prawdziwy garnitur na Dzień Zero.

* * *

Can znalazł kiedyś w Księgarni Edukacyjnej чудо: jedenaście wielkich, oprawionych w skórę tomiszczy, stojących jedno przy drugim na rzadko odwiedzanych półkach, ze stronami o złożonych krawędziach, pokrytych grubą warstwą kurzu. Litery na grzbietach głosiły: *Encyklopedia Stambułu*. Dojechał tylko do litery G, ale była ilustrowana, więc na jej stronach można było nie tylko przeczytać o historiach z czasów konnych zaprzęgów i parowych promów, lecz także je zobaczyć, narysowane, po cztery na stronie, obok Hezarfena Ahmeta Çelebiego, który przeleciał z Wieży Galata na Üsküdar na drewnianych skrzydłach, machin obłętnych Mehmeda Zdobywcy i obrazów okrutnych osmańskich tortur, wywołujących u Cana oszołomienie i dziwną ekscytację. Rodzice nie chcieli mu jej kupić, obojętne, jak bardzo księgarz schodziłby z ceny - jednak i tak żywo pamięta, że ostatniego wilka w Stambule zastrzelono w roku 1943 na starym cmentarzu na Eyup, i towarzyszący temu rysunek: potwora ze spienioną paszczą, o szalonym wzroku, skaczącego ku grzmiącym karabinom tropicieli z potężnymi wąsiskami.

Can zastanawia się, jak pewien był pan Koçu, autor, co do tego roku 1943. Właśnie usłyszał coś o wielkich pazurach i zębach, śliniącego się, wężącego i skrobiącego, na drugim końcu betonowej rury. Mocniej przytula do siebie Małpę. Roboty wydzielają ciepło nawet kiedy są wyłączone. Beton po zachodzie słońca stygnie bardzo szybko. Wzdryga się i mocniej owija przeciwdeszczową kurtką.

Ekstrakcja się udała. Tak to nazywają w grach, kiedy trzeba zebrać z Ziemi Gwiezdných Komandosów. Ekstrakcja. Jak zęba, albo zatyczki z ucha. Śmieszna sprawa: teraz, kiedy słyszy wszystko i wszystkich, Necdet musiał gadać z nim samymi ustami, po cichu. Było już ciemno, kiedy przedostał się z powrotem pod podłogą, przez ściankę działową i wypełził przez wylot wentylacyjny. Sylwetki samsungów odcinały się na tle wysokich, żółtych reflektorów, ale poza oświetlonymi obszarami panowała całkowita ciemność. Bez problemu oddzielił Małego Szczura i zainstalował go z powrotem na tyle białej furgonetki. W końcu to są terroryści. Mają plan. Mogą wyjechać, zanim dotrze policja.

Terroryści. To słowo sprawiało, że czuł się dziwnie - nie przestraszony, nie podekscytowany, coś jakby jedno i drugie naraz, ale gdzieś głębiej, w samym środku, coś gorącego i osobliwego, coś, co jednocześnie jest swoje i cudze. Terroryści to starzy faceci z brodami, w sukienkach, i młodzi, machający rękoma jak raperzy. Terroryści nie noszą nowych dżinsów, kozaków i koszulek z SuperDry. Ale przecież widział karabiny i kartony z groźnymi rzeczami. Nie ogarnia tego. Terroryści w ogóle nie powinni być ludźmi.

Owinał Węża wokół ramienia, odłączył ładowarkę i zwinął komputer.

- Dziękuję - powiedział do właściciela czajchany. - Wracam do domu. Do domu.

Właściciel nie policzył mu za prąd. Can kupił na stacji benzynowej reklamówkę pożywnego jedzenia i ruszył zapyłonym, oświetlonym przez samochody poboczem. „Dzwon na policję”, mówił Necdet. „Ci ludzie to terroryści. Mają jakiś szalony plan”.

Dzwonić na policję. Wracać do domu.

„Obiecuj mi, że dasz sobie z tym spokój” - powiedział wtedy pan Ferentinou. „Staruszkowie i dzieci nie rozwikłują terrorystycznych spisków; robi to policja, służba bezpieczeństwa, ludzie z bronią. Musisz mi obiecać, albo już nigdy nie będziesz mógł do mnie przyjść”.

Nie dotrzymał obietnicy. Pan Ferentinou nie będzie chciał z nim rozmawiać. Do domu wrócić nie może. Trzeba więc zadzwonić na policję. Ale czy mu uwierzą? Muszą. Bo to wszystko prawda. Tylko że już jest całkiem ciemno, a on nie widział żywej duszy odkąd wyszedł ze stacji benzynowej przy tej dużej ulicy, samochody jeżdżą i jeżdżą, a dźwięki to po prostu dźwięki, w nocy jeszcze głośniejsze, bliższe i bardziej izolujące. Can nie wiedział, co ma zrobić. Wtem zobaczył tę budowę za ogrodzeniem, tabliczki ostrzegawcze i koparki z metalowymi roletami chroniącymi kabiny przed złodziejami i chłopakami, ale przede wszystkim betonowe rury do wody. Jeszcze tak nie było, żeby płot na budowie zatrzymał dziewięciolatka. Rury były ciepłe, nagrzane w ciągu dnia, przytulne i dyskretne, a przy tym przez nikogo nie zajęte. Żadnego popiołu, opakowań po jedzeniu ani spiralnych ludzkich odchodów. Jeśli terroryści zaczną działać, będzie ich stąd dyskretnie monitorować. Nikt mu tutaj nie przeszkodzi. Wcisnął się do rury i otworzył plecak.

A teraz zjadł już wszystko co miał, robi mu się zimno, beton jest twardy, krzywizna rury nie pozwala usiąść prosto, położyć można się tylko w jedną stronę, a na zewnątrz jest ostatni wilk w Stambule, albo i coś gorszego niż wilk, jakiś bezdomny, pijak albo terrorysta, jego zaś paraliżuje strach przed tym, co ma zrobić.

Zadzwonić na policję!

Trzęsąc się z przerażenia, Can włącza ceptepa i zakłada go. Teraz jest widoczny dla zewnętrznego świata.

- Policja.

- Łączę.

- Halo, czy to policja na Kayışdağı?

- Komenda policji Kadiköy, w czym mogę pomóc?

- Mój kolega, on jest z Eskiöy, po europejskiej stronie, został porwany i trzymają go w biurówcu na Bostanci Dudullu Caddesi.

Pauza. Westchnienie.

- Synu, jak się nazywasz?
- Can. Can Durukan.
- A ile masz lat?
- Dziewięć. Przetrzywiają go terroryści. Widziałem ich, mają karabiny.
- Terroryści, tak?
- Tak, terroryści, mają jakiś plan, będą robić zamach. Trzeba wezwać wojsko, to za poważna sprawa dla policji.

- O, naprawdę?
- Tak, mają karabiny szturmowe, bomby i w ogóle.
- Ja ci powiem, co jest w sam raz dla policji: wysłać radiowóz i spuścić ci porządne lanie za zawracanie policji głowy i nadużywanie linii alarmowej. To poważne wykroczenie, nadużywanie linii alarmowej, a jakbyś nie wiedział, synu, my znamy twoją lokalizację, możemy pojechać prosto po ciebie i rozprawić się z dziewięciolatkiem, który lubi zawracać policji głowę byle czym.

- To przyjedźcie, pokażę wam, że to wszystko prawda! - krzyczy Can, ale policjant już się rozłączył. - Stanie się coś strasznego!

Cepteo uparcie milczy. Żle, źle, źle. Żle to zrobił, źle. Trzeba było powiedzieć, że się zgubił. Mama i tato na pewno już dzwoniли na policję. Radiowóz przyjechałby po niego w minutę. Tylko że oni po prostu wpakowaliby go do wozu i zawieźli do domu. Dlatego nie może zadzwonić do Osmana i Sekure, ani nawet do pana Ferentinou. Najpierw do domu, pytania potem. Zanimby kogoś przekonał - o ile w ogóle - mogłoby już być za późno. Biuro na górze mogłoby już być puste. Wsadziliby te wszystkie kartony i pudła do furgonetki i wyjechali przez bramę. Necdet... Co by zrobili z Necdetem? O tym Can nie pomyślał. Nie, ktoś tu musi zostać. Ktoś musi pilnować. Ktoś musi wymyślić, jak zawiadomić ludzi, przechytrzyć terrorystów i uratować Necdeta. I to musi być Can Durukan. To wszystko zależy od niego.

Can tuli do siebie Małpę. Ciepła zostało niewiele i nie wiadomo, kiedy następny raz uda się ją naładować. Już wydał większość pieniędzy z buta na czarną godzinę: jedzenie na stacji benzynowej jest strasznie drogie, sto euro na wiele nie wystarcza. Ciemno, zimno, do domu daleko, Can nie wie, jak długo jeszcze da radę wymyślać na bieżąco, co zrobić. Oj, żeby ten wilk już sobie poszedł.

* * *

Złoto na czarnym, gwiazdy na niebie i dryfujące konstelacje statków i promów na tle wysadzanej klejnotami Azji. Po drugiej stronie Złotego Rogu neony Eminönü, podświetlone

iglice wielkich meczetów, ukoronowane wirującymi stadami mew. Taksówka wjeżdża w mgławicę świateł wzdłuż Rihtim Caddesi, Georgios Ferentinou czeka na chodniku, wieczorni przechodnie przepychają się obok, zaczarowani nocą.

Georgios nigdy nie był w tej restauracji. W ogóle nie pamięta, kiedy był w lokalu lepszym niż czajchana Büleнта. Żył życiem, które nie przewiduje wizyt w restauracjach. Ubolewa nad tym. Kiedyś lubił wychodzić na miasto. Tyle że mapy Stambułu się zmieniły, teraz jego automaty wyszukiujące przynoszą tylko bezsens czteroipółgwiazdkowych ocen klientów, zapytał więc Büleнта, gdzie by się wybrał z żoną, żeby miło spędzić wieczór. Bülent też tu nie był, ale restauracja jest nad wodą, ma boczny taras wychodzący na Bosfor, obsługę w liberiach otwierającą drzwi taksówek i zabierającą płaszcze. Wszystko aż kapie od przepychu. Kiedy przychodzi noc cudów, kiedy zapomina się o kosztach i przychodzi czas na chęci, zamiast potrzeb, tu się właśnie idzie: Lale.

- Czym mogę panu służyć? - Odźwierny wyszedł ze złotego blasku na ulicę.

- Mam rezerwację, na ósmą. Nazwisko: Ferentinou.

Szef sali podchodzi i dotyka ceptepa.

- Dzień dobry, panie profesorze. Przyszedł pan pierwszy. Czy napije się pan czegoś przy barze, czy życzy pan sobie usiąść przy stoliku?

Chwila paniki. Georgios zarezerwował stolik, a potem był nieprzytomny ze strachu. Klientela będzie młoda i modna? Będzie za głośno, żeby porozmawiać? Będą się gapić na jego ubranie? Jakie historie wymyślą na temat starego mężczyzny i starej kobiety przy stoliku nad brzegiem Bosforu? Czy będą umieli się tam odnaleźć? Czy ober będzie się krzywić pogardliwie?

- Chyba poproszę do stolika.

- Proszę bardzo. Zaprowadzę pana.

Szef sali prowadzi Georgiosa przez restaurację, a ten czuje się człapiącym grubasem, jest najstarszy na sali, ubranie ma stare i brzydkie i źle leżące, ludzie przy stolikach są młodzi, modni, dobrze ubrani, ładni, niemożliwie elokwentni i o wiele bogatsi, a mimo to kroczy sprężysto, unosi śmiało brodę, twarz mu promienieje, a ruchy ma stanowcze, bo rozgromił Ogüna Saltuka na jego własnym panelu ekspertów, na oczach najmodniejszych myślicieli Turcji, pokonał go jego własną bronią, wydarł mu z dłoni broń, którą tamten ukradł mu wiele lat temu. Zwyciężył odwiecznego wroga i dzięki temu czuje się równie młody, mocny i bystry, jak reszta klienteli u Lalego.

Stolik jest nad samą wodą, tylko balustrada dzieli go od Bosforu. Woda pachnie intensywnie, jak wtedy, kiedy Sztorm Czerwonych Śliwek albo jesienny Sztorm

Przelatujących Żurawi zanoszą jej zapach na górę, na Eskiköy. Jest otoczony kręgiem świateł. Latarnia ze świeczką na stole. Skrzący się łuk mostu. Jaskrawa mozaika wycieczkowca, sunącego powoli przez cieśninę od strony Morza Czarnego. Samolot, helikopter, światełka pozycyjne żagli latawcowych na południu, nad Morzem Marmara. Woda odbija światła, rozpryskujące się w isierki i błyski. Patrząc na falki, kocie języczki na wodzie, dostrzega usmolone kawałki polistyrenu i pustą butelkę po wybielaczu. Ale jego uwagę co chwila przykuwa coraz to nowy ruch świateł. Znalazł się poza czasem, poza wiekiem.

- Pana gość, profesorze.

Georgios z trudem gramoli się na nogi. Jest oszołomiony niebem, pijany nocą. Nie jest jeszcze gotowy na Arianę. Ale oto ona, wyszła z otchłani czterdziestu lat. Nie może na nią spojrzeć. Nie śmie na nią spojrzeć. Kłania się niezręcznie, potem wychodzi zza bezpiecznej osłony stolika, żeby ucałować ją w oba policzki, po europejsku. Pachnie lawendą, solą morską i niebem.

- Jakże się cieszę, że przyszedł.

Szef sali zręcznie odsuwa jej krzesło. Zerka Georgiosowi w oczy, spojrzeniem mówiącym: „Rozumiem, proszę pana, postaramy się, żeby to był specjalny wieczór”. Dopiero teraz Georgios odważa się na nią spojrzeć. Pamiętał ją taką, jaka zeszła z promu na Haydarpaşa w zeszłym stuleciu. Niósł tę ikonę przez czterdzieści siedem lat. Patrzy i już nie potrafi sobie przypomnieć tamtej twarzy. Bo oto jest Ariana Sinanidis. Twarz szczuplejsza i pobrużdżona przez zrodzoną z idealizmu determinację. Burza włosów, ciemnych, kręconych, włosów, w których mógłby zatopić dłonie, teraz dramatyzmu przydają im jeszcze dwa obramowujące twarz szare pasemka. Myślał, że oczy się nie zmieniają, że nie mogą się zmienić: a jednak są większe, a blask w nich jest intensywniejszy. Porusza się z lekkością i gracją. Jest jak matka bogów. Na dłoniach widać delikatną, romboidalną siateczkę starości, paznokcie ma wymanikiurowane. Georgios nie widzi żadnych pierścionków ani żadnego starego odcisku na serdecznym palcu lewej ręki.

- Fantastyczne miejsce - mówi po angielsku Ariana Sinanidis. - Przepraszam, turecki trochę mi zardzewiał.

Szał zsuwa się z ramion, obnażając je. Znad czarnej wody przyplywa strużka ciepłego powietrza. Pachnie różami i spalinami.

- Naturalnie. - Georgios bez wysiłku zmienia język. - Jak Stambuł, zapewne bardzo się zmienił?

- Pod pewnymi względami bardzo, ledwo go poznaję. A pod innymi prawie wcale. Stare kamienice i mieszkania są takie jak przedtem. Niektóre sklepy się nie zmieniły. A

czasem zmieniał się szyld i fronton, ale dalej sprzedają te same papierosy i gazety. Na Kazanci Mesjid dalej jest budka z lotto. Fontanna na Çukurli Çeşme Sok dalej cieknie. Ale wszystko wydaje się mniejsze i bardziej ściśnięte.

Sommelier wkracza w naturalną pauzę w rozmowie. Zamawiają napoje: Georgios wodę, Ariana szkocką, męski trunek. Prosi sommeliera o konkretną markę, ten odpowiada, że takiej nie ma, ale proponuje inną destylarnię. Do przyjęcia.

- Jeśli wybaczysz ciekawość... co sprowadziło cię z powrotem do Królowej Miast? - Georgiosa fascynują jej delikatne palce na grubej szklance. Zastanawia się, jak ona go widzi: czy coś zostało ze szczupłego, nieśmiałego, mimowolnego rewolucjonisty, czy raczej jest ledwo rozpoznawalną znużoną baryłą?

- Interesy. Moja rodzina dalej ma trochę nieruchomości na Beyoğlu, próbuję zorganizować jakiś fundusz, żeby nimi zarządzał.

- Masz dzieci?

Mignięcie cienia.

- Nie. Życie inaczej się potoczyło. Ale moje rodzeństwo ma wnuki, które bardzo kocham, i myślę, że powinno coś im zostać. Młodszy już nie będziemy. A z nimi wiąże duże nadzieje. A ty?

- Nie, nie. Nic podobnego. Życie akademickie, kawalerskie. Mieszkam sam. Jakieś dziesięć lat temu, kiedy straciłem posadę na uczelni, przeniósłem się na Eskiözü - na Beyoğlu już prawie nie ma Greków, a ci, co zostali, są starzy i zmęczeni jak ja. Mam mieszkanie w starym domu derwiszy, na swój sposób całkiem przyjemne. Mnie odpowiada. Dużo podniet nie potrzebuję. Jest taki chłopczyk, sąsiadów. Bardzo go lubię, jest dla mnie jak wnuk. Jedynek. Ma problem z sercem. Martwię się o niego, ale uważać trzeba strasznie, bo dzisiaj ludzie najpierw oskarżają, a potem zadają pytania. Obowiązuje domniemanie winy. Ale ty odniosłaś wielki sukces.

Ariana przyjmuje komplement bez skromności i bez kokieterii.

- Masz na myśli to, że udaje mi się doprowadzać do kompromisu. Sukces - to byłoby, gdyby ginęło mniej dzieci. Oj, przepraszam, głupie to, co powiedziałam. Teraz już mniej pracuję w terenie, przeważnie tylko seminaria i wykłady. Z mównicy nie można powiedzieć jednej rzeczy: że najgorzej na świecie współpracuje się z organizacjami pozarządowymi. Każda ma jakąś specjalność, każda co innego knuje, wszystkie nie cierpią się nawzajem. Sto razy wolę rządy albo miejscowych kacyków. Przynajmniej wiadomo, na czym się stoi. Małe grupy to naturalny poziom organizacji społecznej u ludzi i najciężej jest z nimi pracować. Polityka w ogóle nie ogarnia mechanizmów takich grup.

Przynoszą menu. Dania są wyrafinowane i luksusowe, pokazują, jak mnisie i ubogie życie prowadził Georgios; może jeszcze nie na poziomie jedzenia łyżką prosto z puszki, ale zadowolone z własnej skromności i monotonii. To oszałamiające, teraz chce wszystkiego naraz, nie potrafi wybrać. Ale musi wybrać, więc wybiera, a po złożeniu zamówienia Ariana opowiada więcej o swojej działalności na rzecz pokoju. Jeździła po świecie, po najróżniejszych krajach mających zawsze ten sam problem - mężczyźni mordują się nawzajem. Jej zasługi są przeogromne, Georgios ma jednak wrażenie, że straciła już tę pewność poświęcenia życia słusznej sprawie. Dopóki na świecie są młodzi mężczyźni, póty przemocy nie będzie końca.

- Obawiam się, że ja niespecjalnie nadaję się do zajmowania innymi ludźmi - mówi Georgios.

Przy pierwszym daniu nie odzywają się w ogóle. To byłaby obraza dla kucharza.

- A przy tych wszystkich podróżach zawiało cię czasem do Stambułu? - pyta Georgios, kiedy zabierają ich nakrycia.

- Nie. Nigdy. Dłużej mnie tu nie było, niż byłam. Teraz mój dom to Ateny.

- Wspominają cię tutaj.

Ariana zgarnia szal i otula się nim.

- Wcale mnie to nie cieszy. Czuję się przez to jak duch, jak zmarły, który nie zazna spokoju.

- A w starym domu byłaś?

Ariana kręci głową.

- Dawno go nie ma, zrobili z niego schronisko dla turystów, już ze dwadzieścia lat temu.

- I dobrze - mówi ona.

Przybywają dania główne - jagnięcina dla Georgiosa, ryba dla Ariany. Do barweny zamawia raki, jak należy. Georgiosowi ryba zawsze wydawała się zbyt pospolita, żeby jeść ją w eleganckiej restauracji. Taka martwa rzecz na talerzu. Za to jagnię jest wspaniałe, przebogate w smaki, rozkosz dla podniebienia. Czymże on się dotąd żywił? Chciałby tak jeść w nieskończoność, ale urok jedzenia tkwi właśnie w skończoności, więc wyjada wszystko naokoło, zostawiając mięso na koniec. Zjedli główne danie, wieczór przemyka jak oświetlone statki, a on jeszcze nie powiedział tego, co musi powiedzieć.

- Utrzymujesz kontakt z kimś ze starej grupy?

Przez jej twarz znów przemyka cień.

- Nie odważyłam się. Wiedziałałam, że mają agentów w Atenach.

- Bardzo mądrze. Orientujesz się, co się z nimi działo?

- Wiem, że pięć lat temu zmarł Arif Hikmet.

- Nie chciał się dogadać.

- Donosić na innych. Tak. A musieli kogoś przykładowie ukarać. Kiedy zmienił się rząd, wypuścili go, ale nigdy nie mógł wrócić do gazety. Poszedł więc w politykę: założył taką małą, lewicową partyjkę, która później połączyła się z Ludową Partią Trudu i w końcu weszła do Tureckiej Partii Pracy.

- A Devlet Sezer?

- Devlet zmarł dziesięć lat temu. Na raka. Papierosy go zabiły. Miał zakaz publikacji, więc pod pseudonimem redagował w „Hürriyet” stałą rubrykę o nieznannej historii miasta i postaciach dawnego Stambułu. Nawet był trochę sławny.

- Recep Gül?

- Wyjechał do Niemiec i został islamistą. No, islamistą jak na Turka. Walczył z dyskryminacją gastarbeiterów. Współpracował z meczetami. Zginął w pożarze, podpalili hotel w Dreźnie, w Niemczech Wschodnich. W tym dawnym NRD strasznie byli uprzedzeni do Turków.

- A Merve Tüzün?

- Dostała trzy miesiące za agitację, a kiedy wyszła, nie mogła znaleźć pracy jako nauczycielka. Została poetką. Podpisuje się Tansu. Jest znana, dużo ją wydają.

- Tansu. Chyba słyszałam. Kiedyś w Karakuş Café ciągle chciała nam coś czytać. Straszne to było, takie pensjonarskie wierszydła.

- Chyba trochę się poprawiła.

Ariana nachyla się teraz ku niemu.

- Arif Kezman, co z nim?

Gdy wypowiada kolejne nazwisko, Georgios widzi ich wszystkich, stłoczonych w Karakuş Café, spowolnionych wpływem czasu i wspomnieniem, twarze niesamowicie młode, włosy niesamowicie gęste i długie, ubrania nie z tej ziemi, w zwolnionym tempie, w końcu zamierają, usta otwarte, pięści w powietrzu, stopy nad ziemią, poobejmowani ramionami, fruujące poły marynarek; albo podczas pikiety na placu Taksim, usta wykrzywione w krzyku, w skandowaniu, dłonie odtrącające lufy wojskowych karabinów; albo mrużący oczy, pozujący w blasku słońca, objęci jak bracia, w dłoniach smukłe kieliszki z szampanem, na tle bieli i błękitu basenu u Meryem Nasi. Rewolucjoniści roku 1980.

- Arif? Nie uwierzysz, jest prezydentem w telewizji.

- Nie! - wykrzykuje Ariana, już zaintrygowana.

- Naprawdę. Był wielką gwiazdą, teraz już jest stary i trochę się wycofał. Ale kiedyś prowadził taki show „Brat Mehmet”, gdzie pokazywali żołnierzy idących na służbę, razem z ich rodzinami. Bardzo to było popularne.

- Żołnierzy? - Ariana kręci głową. Światła Stambułu błyskają w jej włosach. - Arif?

- Co roku go jeszcze odkurzają w Sylwestra. Prawie go nie widać spod tapety. Ledwo się rusza od botoksu.

Ariana się śmieje. Odrzuca głowę, pokazuje piękne zęby, jej skóra marszczy się wokół oczu. Śmiech młodej kobiety. Potem zakrywa usta i przestaje się śmiać: przypomniała sobie, jak te wszystkie życia rozbiły się o ostrą rafę roku 1980.

- Ariana - mówi Georgios Ferentinou - coś jeszcze musisz wiedzieć, coś, czego nie powiedziałem przez czterdzieści siedem lat.

Przyszli po Kurdów, przyszli po Ormian. Przyszli po Żydów. A potem przyszli po Greków.

Wiele lat tytoniowego dymu przeniknęło błyszczącą farbę pokoju na Üsküdar tak głęboko, że ściany cuchnęły jak chore płuco. To nie był zapach dymu i palenia - był ohydny i metaliczny, choć ewidentnie ludzki i brudny. Cuchnął flegmą.

- Znasz Arianę Sinanidis? - zapytał główny inkwizytor.

- Tak - odparł po prostu Georgios Ferentinou. - Znam.

Trzeci gość z wywiadu, ten, który nic nie notował, wyciągnął zdjęcia z dużej żółtej koperty i kładł je po kolei na biurku. Georgios i Ariana w pierwszej linii na placu Taksim. Georgios i Ariana z megafonem. Georgios i Ariana rozdający ulotki. Georgios i Ariana uciekający Istiklal Caddesi. Georgios i Ariana skuleni w bramie, zadzierający głowy, zaskoczeni niespodziewanym deszczem.

- Jesteście, eee... razem z panną Sinanidis? - zapytał śledczy.

- Tak - odpowiedział Georgios. - Jesteśmy razem. Jestem jej... - zawahał się - ...kochankiem. - Zobaczył, jak ten z długopisem starannie pisze na kartce: „Rznie ją?” i dwukrotnie obwodzi kółkiem znak zapytania.

- Jesteś ekonomistą - powiedział nonszalancko śledczy, mrużąc oczy i czytając coś w teczce. - Dobra dziedzina, praktyczna. Mając dyplom ekonomisty, możesz znaleźć dobrą pracę. Turcja potrzebuje ekonomistów. Rząd potrzebuje ekonomistów.

- Chcę zostać na uczelni.

- Aha, teraz tak?

Ten od zdjęć otworzył następną kopertę. W tej było tylko jedno zdjęcie: duże, ziarniste powiększenie ludzi stojących wokół ciężarówki na kontroli granicznej.

- Jak tam twoja rodzina? Urządza się w Grecji?
- Raczej tak.
- A co, w Atenach nie ma uniwersytetów? Szkół ekonomicznych i innych takich?
- Wolę zostać w Stambule.
- Ze względu na uczelnię?
- Ze względu na uczelnię.
- Nie z powodów osobistych czasem? Sercowych? Związanych z Arianą Sinanidis?
- Powiedziałem, że ze względu na uczelnię - warknął Georgios.

Typ z długopisem cmoknął z dezaprobatą.

- To dobrze - odparł śledczy. - Miło widzieć taką ambicję i poświęcenie. Wiele akademickich karier zaczyna się pięknie, wspaniale, a potem przychodzi seks i wszystko trafia szlag. Byłaby szkoda, gdyby tobie się coś takiego przydarzyło.

- Pan mi grozi?

- Radzę tylko, jak pana uczelniany doradca. Bardzo ładna babka, prawda, panowie? - Śledczy wyciągnął z dossier Georgiosa zbliżenie Ariany i pokazał je po kolei dwóm pozostałym. Typ od zdjęć wziął je do ręki i wpatrzył się uważnie. - Klasyczna uroda. Grecki nos. Naprawdę piękna. Wszyscy kiedyś byliśmy młodzi, pozwalaliśmy, żeby rządził nami kutas, wszyscy przeżyliśmy to zaślepienie, robiliśmy głupie rzeczy, podejmowaliśmy głupie decyzje. A tu do tego znana wichrzycielka i prowokatorka. Dałeś się, synu, zmanipulować, uwieść, zresztą, ja cię wcale nie winię, już mówiłem, młodzi ludzie pozwalają, żeby kierował nimi kutas, ale i serce, to taka romantyczna gra: polityka, protesty, rewolucje. Młodzi ludzie powinni być idealistami, rewolucjonistami. Nacieszyć się tym, zanim staną się starymi pragmatykami, jak my. Chłopcze, masz przed sobą wspaniałą przyszłość. Nie zaprzepaść jej przez letnią chwilę szaleństwa.

Georgios popatrzył na swoje dłonie, ułożone lekko i symetrycznie na udach. Popatrzył na zdjęcia swojego drobnego, romantycznego buntu. Popatrzył na swoją rodzinę na kontroli granicznej, chwilę przed tym, jak przeszukano ciężarówkę i skonfiskowano połowę kosztowności. Zaciągnął się smrodem umierającego płuca w pokoju przesłuchań.

- Meryem Nasi - powiedział.

- Dobry chłopak - ucieszył się śledczy.

Bezpieka tej samej nocy zrobiła nalot na dom na Yeniköy. Sąsiedzi zostali ostrzeżeni i dyskretnie się powynosili. Oddział szturmowy wyważył drzwi małym taranem. Inni weszli przez mur, od strony tarasu i basenu, kopniakami wywracając wózki z napojami i rozwalając fotele na patio. Szturmem wzięli białe dywany, fortepian, rzeźby i obrazy. Meryem Nasi

zastali w kuchni, z otwartą butelką wina w jednej dłoni i telefonem w drugiej. Poszła z nimi grzecznie i kulturalnie, nie szarpała się i nie krzyczała, choć do przyjaciółki, Elif Mater, która przyjechała z Madrytu, zawołała: „Wezwij Ossiana!”.

- To mój adwokat.

Trzy dni później znaleziono ją w śmietniku na nowej stacji metra Yesilyurt. Zwłoki dało się zidentyfikować tylko po zębach.

- Doniosłem policji na Meryem Nasi - mówi Georgios. Za nim wędrują światła statków. - A oni ją zabili. Trzymali mnie w pokoju przez cały dzień. Zabrali mnie z uczelni, wsadzili do pokoju na Üsküdar i wszystko im powiedziałem. Nie mogłem się powstrzymać. Kiedy jesteś w takim miejscu i wiesz, że zrobią z tobą, co im się spodoba, to mówisz wszystko, co tylko zechcą. Pytali o ciebie. Wyglądało na to, że myślą, że jesteś wśród liderów protestu. Powiedziałem im, że główną organizatorką protestów jest Meryem Nasi, że stoi na czele lewicowej organizacji, że zna wszystkich. Aresztowali ją. Nie myślałem, że ją zabiją. Zależało mi, żebyś zdążyła wyjechać ze Stambułu. Podałem im jej nazwisko. Wiesz to, wszyscy to wiedzą, wszyscy wiedzą od czterdziestu siedmiu lat. Georgios Ferentinou zdradził Meryem Nasi bezpieczeństwo, która ją zabiła. Czterdzieści siedem lat jako Judasz, nauczyłem się z tym żyć. Ale nikt nie wie, tego nikomu nie powiedziałem, że wydałem im Meryem Nasi, żebyś ty była bezpieczna.

Ariana mówi:

- Ja wiem.

Georgios nie słyszy jej albo po prostu nie rejestruje, co powiedziała, chciałby jeszcze rozwinąć swoją pokutną przemowę, ale wszystko przewraca się o te dwa słowa.

- Co takiego? - Czasem przypominasz sobie, że twój widok z okna, ten skrawek krajobrazu, to inny kontynent. Czasem sezonowe wiatry przypominają ci, że ten paseczek wody przecinający środek twojego miasta jest otwartym morzem. Czasem odkrywasz, że te palisady chmur na horyzoncie to góry.

- Wiem. Już dawno wiedziałam. Dowodu, prawda, nigdy nie miałam, nikt nic nie mówił, każdy, kto był w to wmieszany w latach osiemdziesiątych, wiedział, ile szkody można wyrządzić samym gadaniem. Przez te pierwsze tygodnie w Atenach rzeczywiście byłam wściekła, wściekła jak cholera, i faktycznie winiałam cię za śmierć Meryem, nienawidziłam cię wtedy, potwornie cię nienawidziłam. Nienawidziłam, że cię kiedyś kochałam i że to ty zdradziłeś. I chyba nienawidziłam tego, co się porobiło z Turcją, ze Stambułem, ze światem, który znałam; a wiedząc to, nie potrafiłam wrócić.

- Tak było?

- Jak?

- Kochałaś mnie?

- Georgios, mieliśmy po dwadzieścia jeden lat, byliśmy szaleni, zwariowani, było długie upalne lato, a my nie mieliśmy o niczym pojęcia. Byliśmy dziećmi. Wydawało nam się, że parę plakatów, ulotek i jakieś wiersze w kawiarni zmiotą generałów jak plewy. Byliśmy niepoważni. A policja, wojsko, generałowie - to byli poważni ludzie. Nie mieliśmy szans. Wtedy właśnie uświadomiłam sobie, co zapewne zrobiłeś. I przez tyle lat czułam się winna, że żyję dlatego, że Meryem zginęła, a ty musiałeś dokonać takiego wyboru.

Serce Georgiosa dudni, dłonie dygocą, a mimo to, świat wokół wydaje się zawieszony, światła unoszą się jak lampy w meczecie, świetlne koło za kołem. Coś zmyło fundamenty, na których od czterdziestu siedmiu lat stał cały jego świat. Co było, co być mogło, wszystko zlało się w jedno. Życie, które wiódł, życie, które sobie wyobrażał, a potem je odsunął, poskładane elegancko w kostkę jak nieużyty ślubny garnitur; tyle lat, tyle lat.

- Wystarczyłoby słówko. List, mejl, choćby telefon. Jedno słowo. Ja myślałem, że to przeze mnie nigdy nie wróciłaś.

- Nie, o nie, zdecydowanie nie przez ciebie - protestuje Ariana. Wyciąga rękę nad stołem i chwyta dłoń Georgiosa.

- A myślisz...

- Nie myśl. Nie pytaj. To cię zje. Mamy takie życie, jakie mamy, i tylko tyle wiadomo. Żyjemy tak dlatego, że zrobiłeś, co musiałeś. Byliśmy młodzi, myśleliśmy, że jesteśmy nieśmiertelni, rzuciliśmy się w tryby historii, a one nas zmieliły. Ale niczego nie żałuj. Przez parę chwil byliśmy najjaśniejszymi gwiazdami na niebie.

Ariana Sinanidis nagle się wzdryga.

- O, coś tu powiało zimnem.

- Dzięki Bogu - mówi Georgios. - Çark Dönümü Firtinası.

- Sztorm Wirujących Wiatraków - odpowiada Ariana i otula szaleem nagie ramiona.

PIĄTEK

IX

Tego ranka plac Adema Dede jest przepiękny. Powietrze czyste, chłodne, pachnie świeżo jak chleb lub poranna gazeta. Każdy dźwięk jest krystaliczny i wyraźny, szum Stambułu rozpada się na warstwy, linie i poziomy. Pomruk samochodów, gadanie odbiorników radiowych. Kroki na schodach. Głos krzyczący na kogoś, żeby się ruszył. Silnik samochodu nagle ożywa z rykiem i uspokaja się do klekotu. Syk palników gazowych w konkurencyjnych czajchanach, harówka kipiących czajników. Aydin przewraca w swoim kiosku sztywne strony dzisiejszego dziennika. Kapanie wody w ząbkowany basen fontanny. Stary dom derwiszy trzaska i skrzypi, gdy drewniane belki rozszerzają się w słońcu. Ptaki; wróble drące się i sunące nisko nad ziemią przez zaułki i uliczki. Z wysoka, znad Złotego Rogu, ponad dachami słychać pogwizdywanie kosa.

Ojciec Ioannis unosi głowę; przez nierówny czworobok nieba nad placem nadal szybują bociany, osiadające na swoich odwiecznych terenach lęgowych między grobowcami starożytnego Eyup. Chrystus Ucieleśniony. Sakrament ciszy to sakrament słyszenia.

- Bóg z wami - błogosławi Greków z Eskiköy wokół małego stolika. - O wiele przyjemniejszy dzień. - Siada ciężko na niskim stołku.

Lefteres nie odpowiada na powitanie. Siedzi zgarbiony na swoim zydlu, ramiona do góry, głowa w dół, jak chory człowiek-sęp. Twarz ma żółtą, oczy wytrzeszczone. Lewa dłoń zakrywa zalaminowaną kartkę A4. Jej brzeg ozdabia ładny kwiatowy motyw, na górze jest dziurka od pinezki.

- Co mu się stało?

- Kazali mu to zdjąć! - woła Bülent z kuchni, nalewając ojcu Ioannisowi herbatę.

- Co takiego? Kto? - pyta pop.

- Te chłopaki z tarikatu - odpowiada Constantin. - Stamtąd. - Pokazuje brodą ocieniony wyłot Güneşli Sok po drugiej stronie placu.

- Ten młody Hasgüler? - Ojciec Ioannis miesza herbatę. Kryształki cukru wirują przez

moment, nim się rozpuszczą. - Tak zwany szejch Ismet?

- Tak zwany szejch Ismet ma masę kumpli - mówi Bülent. - Odstraszyli nawet jakiegoś oprycha, co chciał tu porządzić na placu.

- To było obraźliwe, bezbożne i chamskie - odzywa się teraz Lefteres. - Niby brak szacunku dla kobiet. Brak szacunku dla kobiet! Ci wahabici! W przyszłości, z wszelkimi kwestiami dotyczącymi lokalnego porządku proszę się zwracać do tarikatu Adema Dede. Tarikat Adema Dede? Mechanicy samochodowi, malarze pokojowi, głównie wiedzący pyskacze z osiedli-slumsów, co ledwo dali radę skończyć medresę. Uliczni sędziowie? Uliczne prawo? Kiedy się urodziłeś na tej ulicy, kiedy na niej pomieszkaś i popracujesz przez pięćdziesiąt lat, kiedy zobaczysz i zapamiętasz wszystkie zmiany, jakie tu zaszły, kiedy nauczysz się wszystkich nazwisk na każdych drzwiach w każdym domu, kiedy posiedzisz i wypijesz tu herbatę co rano przez całe życie, to wtedy, być może wtedy, możemy w ogóle zaczynać rozmowę o ulicznym prawie. Oni nie są stąd, nie mają pojęcia jak to działa. To nie polega na kadich, oddolnych sądach i ulicznym szariacie. To polega na tym, że tu się kogoś zna, tam się szepnie słówko. Tym społeczeństwem ciągle rządzi wstyd. I wstyd działa. Nie jakiegoś „prawo ulicy”. Prawo ulicy? Ja jestem, kurwa, prawo ulicy, ojciec wybaczy.

Mimo to, wszyscy przy niskim mosiężnym stoliku wiedzą, że potęga Lefteresa upadła. Wyzwano go i przegrał. Czas pamfletu minął. Nastąpiła epoka Bożego prawa.

- Teraz mają i broń - mówi ponuro Bülent. Podsuwa sobie wolny stołek. - Od wczoraj rano sporo się tu działo, proszę ojca. Policja zamknęła galerię.

- Pani Erkoç?

- Aresztowali ją. Wygląda na to, że była umoczonej w jakiś przemyt. Nalot zrobili wczoraj rano, zaraz po tym, jak ojciec wyszedł, wywieźli całe kartony rzeczy i wszystko opieczętowali. A potem, tak samo nagle, pozdejmowali te taśmy, wszystko oddali i ona chyba jest czysta.

- Jak to możliwe? - pyta ojciec Ioannis.

- Mąż handluje gazem - wtrąca Constantin. - Pracuje dla Özera. Ale to jeszcze nie wszystko.

Bülent pochyła się nad stolikiem, żeby przyciągnąć uwagę publiczności.

- Potem ta dziewczyna, co mieszka pod dwójką, no wiecie, ta, co czasem chodzi w tych krótkich majtkach, ma tu scysję z jakimś gangsterem, zaraz na Güneşli Sok. I nagle pojawia się Ismet z kumplami, stają naprzeciwko siebie i okazuje się, że oni wszyscy też są uzbrojeni.

- Niech Bóg się nad nami zlituje - mówi ojciec Ioannis, a wszyscy Grecy się żegnają.

- I to na tle tego kazali mu zdjąć pamflet.

- Ja już tu nie przychodzę na herbatę - oświadcza Lefteres. - Tu się robi niebezpiecznie dla Greków.

- Powiedz mu jeszcze o dzieciaku - rzuca szybko Constantin, ale Lefteres wysłowił lęk, który leży wszystkim na wątrobie.

- Nie tylko Necdet Hasgüler zaginał - mówi Bülent. - Jeszcze dzieciak spod piątki.

- Ten głuchy? - pyta ojciec Ioannis.

- Nie jest głuchy - mówi Bülent, a Lefteres, Constantin i nawet ojciec Ioannis odpowiadają chórem: „Ma wadę serca”. - Wygląda na to, że poszedł do szkoły na popołudnie, jak codziennie. Tylko że... - tu Bülent nachyla się jeszcze bardziej, żeby wciągnąć starych Greków do spisku - ...w ogóle do niej nie dotarł. Matka przyjeżdża po niego po lekcjach, czeka, czeka i czeka nie wiadomo ile. W końcu idzie do szkoły. Oczywiście okazuje się, że jego wcale tam nie było. Nie ma go. Zniknął. Wyłączył ceptepa i nie ma sposobu, żeby go wysledzić. Şekure Hamm jest zrozpaczona, jeszcze z tą jego wadą serca i w ogóle. Pamiętajcie: jeden głośny, nagły huk i jemu wariują przebiegi elektryczne w sercu. Strzeli silnik, budowlańcy zrzucą gruz do kontenera i już nie żyje. Oczywiście zadzwonili na policję. To już trzeci raz w tym tygodniu, jak tu przyjeżdża policja.

- I ceny nieruchomości polecą na mordę - burczy Constantin.

- A teraz policja rozgrywa to dyskretnie, na wypadek gdyby to nie było zwykłe zaginięcie, ani, Boże uchroni, wypadek.

- Matko Boska. - Ojciec Ioannis całuje swój krzyż.

- Jeśli coś się z nim stało, ci islamiści zwałą wszystko na nas.

- Okazuje się, że jest jedna osoba, która może wiedzieć, gdzie jest ten dzieciak. Nasz kochany profesor Ferentinou - mówi Bülent. - Pamiętajcie, o czym nam gadał? Roboty, terroryzm gazowy, ludzie, co widzą dzinny, i ten zamach w tramwaju, w poniedziałek. Georgios myśli, że to wszystko się łączy, i naopowiadał dzieciakowi o swoich teoriach. Nakładł mu tych bzdur do głowy. A teraz mały postanowił uciec i pobawić się w detektywa.

- A ile on ma lat? - pyta ojciec Ioannis.

- Dziewięć.

- No, to policja już pewnie go znalazła, dzięki Bogu - mówi pop.

Bülent się krzywi.

- To wcale nie jest takie proste. Widzisz, to wyszło teraz. Najnowsze wiadomości. Nawet Georgios dopiero z rana dowiedział się, że chłopaka nie ma, a wiecie, jak jest z nim blisko.

- Za blisko - burczy Lefteres.

- To ja nie rozumiem - dziwi się ojciec Ioannis. - Georgios zawsze tak podkreśla, że wie o wszystkim, co się tu dzieje. Zawsze mówi, że to jak mapa jego wszechświata. Jak to możliwe, że nie widział policji?

- Bo go tu nie było, prawda? - mówi Bülent.

Pop marszczy brwi, zaintrygowany.

- Ariana - szepcze Constantin.

Siwe, krzaczaste brwi Ioannisa wędrują do góry.

- Teraz jest u Şekure Hamm - wyjaśnia Bülent. - Pojadą go poszukać. Ojciec rozmawia z policją.

- A co oni sami poradzą? - wyrokuje ojciec Ioannis. - Takie rzeczy najlepiej zostawić policji.

- Gdyby to było twoje dziecko, pierwszy byś poleciał - upomina go Bülent. - Obojętne, co mówi policja.

Ojciec Ioannis dotyka czoła.

- No to, dzięki Bogu i Jego Matce, że dzieciakowi nic się nie stało.

- Nie powiedziałem, że nic mu się nie stało - prostuje Bülent. - Powiedziałem tylko, że Georgios domyśla się, gdzie on jest.

- I gdzie jest?

- Po azjatyckiej stronie. W tym samym miejscu, co ludzie, którzy porwali Necdeta Hasgülera. Mówił coś o spisku terrorystycznym.

Lefteres unosi głowę, wytracony ze swojego bezradnego gniewu staruszka.

- A teraz co?

Przez plac idzie jakiś facet. Jest młody, niski, przedwcześnie łysiejący, ma twarz w kształcie serca i mały wąsik - przez to wszystko wydaje się starszy, niż jest naprawdę, i trochę komiczny, jakby wiedział, że świat jest jego publicznością. Nikt nie ma pojęcia, kto to taki, ale jest jasne, że ten człowiek wie, czego chce. Chce porozmawiać z miejscowymi Grekami.

- Przepraszam, panowie, znacie może Necdeta Hasgülera?

Bülent powoli podnosi się ze stolka.

- A kto pyta?

- Jestem Mustafa Bağli. Pracuję z nim. W Awaryjnym Centrum Biurowym na Levencie. Nie przyszedł wczoraj do pracy, dzisiaj też. Boję się, że coś mu się mogło stać.

Czterech mężczyzn przy stoliku zerka po sobie.

- Rzeczywiście stało się coś złego - mówi ostrożnie Bülent. - W środę wieczorem

porwali go.

Mustafa wytrzeszcza oczy.

- Kto, policja?

- A czemu pan pyta? - mówi Bülent.

- Bo widziałem, jak jednego z pozostałych zabiera policja. - Aż zaczyna bełkotać z ekscytacji.

- Pozostałych? - pyta Lefteres.

- Innych osób, które były w tym zamachu w tramwaju. Pani z Ereğli, co widzi peri. Necdet widzi dzinny, ona peri, wróżki i inny drobiazg. Poszliśmy z nią pogadać, a tam był nalot policji. Zabrali ją. Myślę, że Necdet jest w wielkim niebezpieczeństwie.

- Faktycznie jest w bardzo wielkim niebezpieczeństwie - mówi Lefteres. W miarę jak Sztorm Marii Panny wylewa się na ciemne jak siniak niebo, poprawia mu się humor. Znów widzi w życiu sens. - Jego nie zabrała policja. - Szarpie głową, wskazując brodą bramę po drugiej stronie placu, gdzie z garażu wytacza się na bruk mały srebrny gazowy samochodzik. - O, tego człowieka musisz zapytać. Szybko, łap go. Powiedz mu to samo, co mnie. Zanim odjadą!

Mustafa saltuje na podziękowanie starszkom z herbaciarni, pędzi przez plac, machając i krzycząc za jadącym wolniutko citicarem, z zawieszeniem przygiętym do ziemi, nieprzyzwyczajonym do ciężaru Georgiosa Ferentinou. Biegnie obok niego, stuka w szybę. Auto się zatrzymuje. Klienci czajchany na placu obserwują toczącą się przez uchylone okno dyskusję, Mustafa gramoli się do środka. Samochodzik obwisa jeszcze niżej i podejmuje mozolną wędrówkę wzdłuż wyboistej i stromej Vermilion-Maker Lane.

- Pozwólcie, że podsumuję: mamuśka, emerytowany profesor i jakiś ktoś z awaryjnego centrum biurowego jadą na terrorystów - mówi ojciec Ioannis. - Można tylko liczyć, że policja ich zatrzyma, zanim zrobią sobie coś złego. A swoją drogą, co to jest „awaryjne centrum biurowe”?

- Nieważne - chrypi Constantin. - Mnie interesuje, co się wydarzyło na jego spotkaniu z Arianą Sinanidis.

Ojciec Ioannis przesuwając węzełki na sznurkowym różańcu, powoli, jeden za drugim. Błogosławieństwa są ulotne z natury rzeczy. Wieczny jest tylko Bóg i Stambuł.

* * *

Nadchodzą.

Necdet się budzi. Pokój na piętrze wypełnia szary świt. Jest sam, ale ze swojej pozycji na materacu widzi stopy w sąsiednim pomieszczeniu. Jest w stanie naliczyć cztery pary

butów, wchodzące i wychodzące, chodzące tam i z powrotem po schodach. Głosy: Zielona Chusta; sądząc po tonie głosu, rozkazy. Nie rozróżnia słów, ale wszyscy raczej się zgadzają.

Teraz. Przygotujcie się.

Wielki Drab wchodzi do pokoju, jednym ruchem łapie Necdeta za kołnierz i stawia go na nogi. Jednakże Necdet usłuchał głosu Hizira. Jest obudzony i przytomny. I skupiony.

Zaciśnij pięści. Kciuki na zewnątrz.

Wielki Drab owija mu przeguby szybkoszłączką i mocno ją zaciąga, unieruchamiając ręce za plecami. Wielki Drab łapie go pod jedną pachę, Kudłaty pod drugą. Necdet ryje podłogę obcasami, ugina nogi w kolanach, szarpie się i wygina, kiedy ciągną go z tylnego pomieszczenia na schody.

- Gdzie mnie zabieracie? O Boże, nie! Nie zabijajcie mnie, nie zabijajcie!

Ponury Kutas tupie na schodach za plecami szamoczącej się trójki. Necdet czuje u podstawy czaszki zimny metalowy pierścień.

- Ani piśnij, bo odstrzelę ci łeb.

Biała furgonetka jest podstawiona pod samo wejście, tak że otwarte drzwi osłonią wywózkę przed oczyma wczesnych kierowców z Kayışdağı, ale sam ruch jest tak szybki i tak sprawny, że Necdet ląduje na pace, drzwi zamykają się, i furgonetka wyjeżdża przez bramę niezauważona przez choćby jednego dostawcę owoców.

Zielona Chusta i Kudłaty jadą w szoferce. Necdet siedzi na podłodze między Ponurym Kutasem i Wielkim Drabem. Ze związanymi z tyłu rękoma nie jest w stanie utrzymać równowagi. Może liczyć zakręty po tym, ile razy przechyla się w lewo, na nogi Wielkiego Draba, albo w prawo - na nogi Ponurego Kutasa. Plecami opera się o górę sprzętu, styropianowe pudła, schludne plastikowe pudełka i kartony, które widział wcześniej w pokoju na górze.

- Gdzie mnie wieziecie?

- Ku chwale, Necdet.

Nie zabiją cię. Potrzebny im ewentualny zakładnik.

Z tyłu dostawczaka jest ciemno, żarówka u góry się przepaliła. Igielki jasnych jak laser promyków błyskają przez dziury w karoserii, pęknięcia w podłodze. Całe świetlne płaszczyzny wlewają się przez szczelinę drzwi, chociaż nad górnym zamkiem... czyżby tam było widać mignięcie czegoś zielonego?

Teraz rozluźnij dłonie.

Necdet opiera się mocno o skrzynki, żeby nie było widać ruchów. Pięści go bolą, w palcach pulsuje krew. Rozluźnia je, wsuwa kciuki do środka. Plastikowy pasek się rozluźnia,

powstaje luka. Necdet ciągnie. Boli go, rani, ale czuje, że plastik zaczyna zsuwać się z kostek kciuków.

To jest misja. To jest ten dzień. Dzisiaj to zrobią. Gdzie jest policja, czemu ten dzieciak nie zawołał policji? Może zawołał. Może trzymają się w cieniu, czekają, aż goście wyjdą na światło dzienne, zajmą pozycję, nim wykonają ruch. Może chcą sprawdzić, czy jest druga, rezerwowa grupa, na wypadek gdyby pierwsza wpadła. Tak czy owak, znalazł się w środku świętej wojny. *Hizir*, na razie mnie nie zawiodłeś. Pomóż mi ze swej wysokości, pomóż spoza rozumu, pomóż teraz, natychmiast.

Furgonetka podskakuje i raptownie staje. Bolesnie oślepia go światło z otwartych z hukiem drzwi. Necdet sprawdza więzy. Puszczą. Potną mu dłonie na strzępy, ale puszcza i będzie wolny. Zrobić to teraz to wyskoczyć w oślepiająco białe światło. Nie przeszedłby nawet trzech metrów. *Hizir* mu powie, kiedy. W swoim boskim wyczuciu rozpozna najlepszy moment. Wielki Drab, kiedy pomaga mu wsiąść, jest niemal delikatny.

Parkują przed przemysłową budowlą wielkości boiska do koszykówki, prostokątem grubych żółtych rur, jaskrawoniebieskich zaworów i wielkich stalowych kół poowijanych wokół masywnej białej maszyny, wszystko przykryte dachem z falistego aluminium. Na jednym końcu instalacji stoją trzy pionowe walce, każdy trzykrotnie wyższy od człowieka. Oplecione rurami wlotowymi i wylotowymi, przypominają przerośnięte wiejskie pompy do wody. Całości broni płot z metalowej siatki zwieńczony drutem kolczastym. Żeby dzieciaki się nie wspinały. Budowla wydaje się całkowicie nie na miejscu, upchnięta za zapuszczonym centrum handlowym, tuż pod wielkim nowym osiedlem mieszkaniowym. Druty, pompy, bramka, wszystko jest obficie przystrojone logo Özer Pipelines.

Z bramką radzą sobie tak szybko, jakby po prostu ją otworzyli. Machnięcie łamaczem do PIN-ów, prysnięcie nano do zamków i są w środku. Kudłaty cofa furgonetkę, a Wielki Drab prowadzi Necdeta w miejsce niewidoczne z bloków. Ponury Kutas zamyka furtkę. Atak Bożych Inżynierów na Tłocznię Gazu *Kayıdağı* został rozpoczęty.

* * *

Zimno boli, dowiadyuje się Can. Z zimna palce robią się takie, jakby miały pęknąć. Zimno zamienia stopy w stalowe kopyta. Zimno usztywnia wszystkie kości i mięśnie. Zimno przenika do każdej komórki ciała. Can dygocze i nie potrafi przestać. Nie może się ruszyć. Musi się ruszyć, musi stąd iść. Zabrział alarm. Mały Szczur się poruszył.

Zimno przyszło w nocy. Zakradło się nad *Kayıdağı* ze wschodu, weszło do rury i go obudziło. Nie dało już spać. Przez wiele godzin Can siedział otulony nieprzemakalną peleryną, tuląc się do resztek ciepła w *BitBotach*. Zawsze myślał, że to fantastycznie siedzieć

przez całą noc, jak wtedy, kiedy zabrali mu słuch, Turcja weszła do Unii, a on siedział do późna, patrzył na bezgłośnie fajerwerki, i ten wymalowany gość skoczył z okna nad czajchaną. Tymczasem, gdy nie śpi się całą noc, jest ciężko, nudno, długo i zimno, zimno, zimno. W przygodowych historiach nigdy nikomu nie jest zimno. Nikt nie mówi, że zimno jest tak samo groźne jak szakale, bezdomne psy albo ostatni wilk w Stambule. Mały Detektyw może tu zamarznąć i znajdą go dopiero, kiedy dźwig podniesie tę rurę.

Beton jest tak zimny, że prawie parzy. Ale był alarm, był alarm. Can zmusza kończyny do ruchu, z bólem rozprostowuje palce, przesuwa jedną zdrętwiałą stopę za drugą. Tak się ma, jak się jest starym, jak pan Ferentinou? To straszne. Wysuwa się z rury na światło. Słońce jest jeszcze za horyzontem, powietrze szare i niemiłosiernie zimne. Can chucha w palce. Działajcie, działajcie. Otwiera komputer. Startuje powoli, powoli, strasznie powoli. Can aż krzyczy z frustracji, gdy palce nie trafiają w klawisze, zdrętwiałe i sztywne, gdy niezgrabnie poruszają się w polu haptycznym. Gdy otwiera aplikację do sterowania, już prawie płacze. Puszczą na ekran mapę. Necdet jest blisko. Furgonetka jest na autostradzie, tu jest budowa, a tu droga. Can gramoli się z płataniny rur i widzi, jak biały wóz oddala się w porannym ruchu. Północny wschód. Tłocznia Gazu Kayışdağı, tak jak myślał. Rekonfiguruje BitBoty. Kończą im się baterie. Niedługo trzeba będzie je podładować albo, jeśli to się nie uda, kupić gdzieś parę pojemników z gazem do katalitycznej ładowarki.

Trochę lepiej. Na autostradzie można przynajmniej wchłonąć odrobinę słońca. Na autostradzie ma się kierunek i cel. Słońce bardzo powoli przenika do zmrożonego wnętrza jego ciała, ale z każdą minutą dodaje mu sił. Próbuje zapomnieć o bólu i głodzie, wyobrażając sobie, jak to by było, gdyby ludzie, jak kwiaty, mogli żywić się słońcem. Nigdy nie byłoby ci zimno. I nigdy nie byłbyś głodny. Rośliny nigdy nie są głodne. Ale noce byłyby straszne. Ludzie baliby się nocy jeszcze bardziej niż teraz. Wyobrażaliby sobie znacznie gorsze rzeczy niż widmowy stambulski wilk. Zimne demony, lodowe zjawy - pewnie straszyliby się takimi rzeczami.

Droga jest długa, nie ma przy niej żadnych sklepów, a ruch jest gęsty i nieustanny. Ciekawe, co sobie myślą o chłopcu z plecakiem i ptakiem na ramieniu, idącym zapyłonym poboczem o świcie. W ogóle go zauważają? Osman, jak rano jedzie do pracy, prawie nic nie widzi. Na rogu Bostanci Dudullu Caddesi i Kayışdağı Caddesi jest kramik z herbatą i gazetami. Can nie lubi herbaty, ale i tak ją zamawia. Szklanka w kształcie tulipana jest w dotyku palców jak kropla roztopionego złota. Ledwo może ją utrzymać, popija jednak i czuje promieniujące w ciele ciepło. Druga szklanka i zimno znika zewsząd, oprócz czubków palców nóg, rąk, nosa, a słońce jest już wysoko, świeci mocno i jaskrawo. Za ostatnie

pieniądze na czarną godzinę kupuje trzy pojemniki gazu do awaryjnej ładowarki. Siada na krawężniku za straganem i zagląda do laptopa, podczas gdy Ptak ładuje się z katalizatora. Furgonetka przestała się ruszać. Jest dokładnie na środku Tłoczni Gazu Kayışdağı. Z radości Can próbuje pstryknąć palcami. Krzywi się z bólu i dyskomfortu. Ale z powrotem jest Małym Detektywem.

Droga wzdłuż Kayışdağı Caddesi jest długa, ale pod koniec Can ma wszystko zaplanowane. Bardzo dobry plan. Bardzo sprytny. Tłocznia gazu jest ukryta pośrodku gęsto zabudowanego obszaru. Na mapie nie widać żadnych dogodnych czajchan, gdzie mógłby siedzieć cały dzień i obserwować. Na końcu ulicy jest mały pasaż ze sklepami, a po drugiej stronie stacja benzynowa z całodobowym sklepem i małą kapliczką dla podróżnych. Pod stacjami benzynowymi i sklepami całodobowymi zawsze się kręcą dzieciaki, zresztą może sięść w przedsiönku kaplicy i nikt go nie zauważy. Stamtąd wyśle w powietrze Ptaka, żeby się rozejrzeć. Jeśli jeszcze nie włączyli nocnych strażników samsunga, skorzysta z Ptaka. A jeśli tak, potrzebny będzie Szczur albo Wąż. Tak czy owak, nagra wideo, dużo wideo. Wczoraj, kiedy dzwonił na policję, nie uwierzyli w to, co mówił. Może, jak zobaczą, to uwierzą. O, świetny plan. Nawet robi mu się trochę cieplej.

* * *

Şekure Durukan klęka przed betonową rurą i podnosi ogryzek jabłka, butelkę po wodzie, opakowanie od naleśnika. Unosi je oburącz, jakby się modliła. Potem zaczyna lamentować: głęboki, niepohamowany szloch kobiety na pogrzebie własnej matki. Zdenerwowani hydraulicy podnoszą głowy znad porannej herbaty.

- Stąd dzwoniło - mówi sierżant policji.
- I nie zareagowaliście? - pyta Georgios Ferentinou.
- Gdybyśmy reagowali na każdy telefon od dziewięciolatka, nic innego byśmy nie robili - odpowiada sierżant.
- A nie wydało wam się dziwne, że dziewięciolatek dzwoni po ciemku z budowy?
- Nie sprawdzaliśmy pozycji, póki policja z Beyoğlu nie zameldowała o zaginięciu nieletniego, prawdopodobnie na Kayışdağı.

Gdy tylko samochód wyjechał z Vermilion-Maker Lane, Şekure Durukan włączyła autodrive i zadzwoniła na komendę na Beyoğlu. Teoria o zaginionym chłopcu. Bawił się w detektywa. Szukał jednego człowieka, którego rzekomo porwano z Eskiköy. Jest na Kayışdağı, na Kadiköy. Wyobraża sobie, że to terrorystyczny spisek. No tak, jak to dzieciaki. Jedziemy od razu tam.

Potem zwróciła się do Georgiosa Ferentinou:

- To pan go w to wciągnął.

- Powiedziałem mu zdecydowanie, że ma się tym sam nie zajmować. Stanowczo mu zabroniłem. Powiedziałem, że ma się w to nie mieszać, że to niebezpieczne, że to sprawa policji.

- Stanowczo mu pan zabronił, tak? Pan w ogóle ma jakieś pojęcie o dzieciach? Stanowczo zabronił. Na jakim świecie pan żyje? Wszystkie te zniknięcia, sekrety, spiski, coś mi pan może powiedział? Nie przyszło panu do głowy, co? To w końcu tylko mój syn. Nie przyszło panu do głowy, że matka może powinna wiedzieć o tych teoriach i spiskach, co je tam obrabiacie u pana w mieszkaniu? Kto w ogóle powiedział, że wolno mu do pana przychodzić? Boże mój, on bywał u pana w mieszkaniu. Ma dziewięć lat. O Boże. Często przychodził? Wyjmował zatyczki z uszu? Co, wyjmował? Nie przyszło panu do głowy, że może od tego umrzeć, czy po prostu się pan tym nie przejmował? Knuł pan za moimi plecami. Te kłamstwa, tyle kłamstw, w żywe oczy, po wszystkim, co dla niego zrobiliśmy. Powiedział mu pan, że to niebezpieczne. To jakby dolać oliwy do ognia. Od dawna do pana przychodził?

- Od mniej więcej półtora roku. Odkąd dostał te...

- Te cholerstwa, Boże, gdyby tak w życiu nie zobaczył ich na oczy. Jak tylko wróci do domu, to z tymi cholerstwami koniec, mówię panu.

- Proszę pani. Pani syn jest bardzo inteligentnym, bardzo kreatywnym i pełnym energii dzieckiem, które zmuszono do nienaturalnego...

- Nienaturalnego? Oczywiście, że nienaturalnego. Myśli pan, że nas to cieszy? Że lubimy go tak trzymać zamkniętego w domu, bać się, że serce mu stanie od przypadkowego hałasu? To wszystko dla niego, pan wie? Moglibyśmy już dawno mieszkać w czymś większym i lepszym. Ale nie żałuję tego. Niech pan tak nie myśli. Ja go kocham, panie Ferentinou. Kocham go.

- Słuchajcie - przerywa im z tylnego siedzenia Mustafa. - Nie wiem, czy zauważyliście, ale ja stąd widzę pani ceptepa; policja z Beyoğlu wydzwanina od jakichś trzech minut.

Rozmowa telefoniczna doprowadziła ich na ten plac budowy przy Bostanci Dudullu Caddesi, do gryzka, butelki po wodzie i folii po kanapce.

Czemu się nie broniłem? - pyta sam siebie Georgios Ferentinou. Bo pani ma rację, pani Durukan. Źle zrobiłem. Wszystko, o co mnie pani oskarża, to szczerą prawdą. Powinienem pani powiedzieć za pierwszym razem, kiedy złapałem BitBota pod szklanę i dzieciak zapukał do moich drzwi. Nie powiedziałem. Bo nie chciałem się z panią tym dzielić.

Chciałem go dla siebie. Chciałem mieć syna. Chciałem mieć własną, maleńką rodzinę. Pani by mi na to nie pozwoliła, zresztą, teraz też już mi pani nie pozwoli.

Şekure Durukan bez wstydu płacze nad rozrzuconymi śmieciami. Georgios wie, że to coś, czego nigdy nie robi, czego nie wolno mu zrobić.

Mustafa rozpytywał się po okolicy. Georgios uważa, że dziwny z niego osobnik - sprytny życiowo, ale z oczyma otwartymi na cuda świata. Bardzo przejmuje się losem Necdeta. Georgiosa to wzrusza.

- Parę osób mówi, że widziało dzieciaka z ptakiem na ramieniu.

Şekure Durukan opanowuje się, ociera twarz wilgotną chusteczką.

- To jeden z kształtów tych jego robotów. Nazywa to „Ptak”.

- „Ptak”, hm, bardzo oryginalnie. Wygląda na to, że ten chłopak z ptakiem szedł wzdłuż szosy, na północny wschód.

- Kayışdağı - mówi Georgios.

Sierżant akurat rozmawia przez telefon. Na to słowo unosi wzrok.

- Kayışdağı?

- Tłocznia Gazu Kayışdağı.

- Na komendzie był jeszcze jeden telefon od pani syna. Jest pod pasażem handlowym Kayışdağı. Jesteśmy najbliższym patrolem. Jedziemy.

Şekure Durukan jedzie za radiowozem jakby była na stambulskim autodromie. Parkuje przed pięcioma dogorywającymi sklepami, mieniącymi się Pasażem Handlowym Kayışdağı. Wybiega na ulicę, macha rękami, wściekle gestykuje w języku migowym.

Georgios i Mustafa przechodzą na drugą stronę, pod stację benzynową.

- Can! Jesteś tam? Can!

- Panie Bağli, ten chłopak jest praktycznie głuchy.

Ale przecież nie jest. Nigdy nie był głuchy. „Wyjmował zatyczki z uszu?” - pytała pani Durukan w powodzi pełnych łęku oskarżeń. Przecież poszukuje wielkiej przygody. Oczywiście, że wyjął te zatyczki.

- Can! - woła Georgios. Jego głos nie jest stworzony do krzyku, łamie się i chrypi. - Can!

Mustafa przystaje, potrząsa głową, jakby coś go zaswędziało. Wtem Georgios też to słyszy, przenikające wszystko owadzie brzęczenie, jak miliarda błonkowatych skrzydeł.

- Ooo! - wykrzykuje Mustafa.

Georgios zadziera głowę, tak jak on. Powietrze nad stacją benzynową zaczyna się kłębić, drgać jak od upału, i w okamgnieniu gęstnieje w burzę rojbotów.

* * *

16 kwietnia 2027 roku o ósmej trzydzieści trzy, kiedy Prorok Kebabów otwiera swój stragan, na Levent Plaza przyjeżdżają czarne furgonetki Komisji Nadzoru Finansowego. Mężczyźni i kobiety w garniturach i żółtych odblaskowych tunikach z napisem *Maliye Bakanlıđı* i godłem tureckiego Ministerstwa Finansów między łopatkami wyskakują z tyłów furgonetek i grzecznie acz stanowczo przepychają się do środka przez tłumek zmierzających do pracy rannych ptaszków. Wmaszerowują do głównej siedziby Özer Gas and Commodities, odganiają ochronę legitymacjami i kierują się do wind, odczytując z rzutników na oczach plany biurowca. Na każdym piętrze, w każdym departamencie, rozbiegają się gwiazdźście po otwartych biurach, z wysoko uniesionymi blachami. O tej porze większość stanowi personel sprzątający; paru nielicznych pracowników, którzy przyszli wcześniej do swoich kubików, wstaje, wyciąga szyje, patrzy na wijące się linie czerni i żółcieni. Niektórzy dzwonią, a połączenia przerywają się w połowie. Sieć ceptepów została wyłączona.

Jednocześnie ze szturmem czarnych furgonetek, Sztuczne Inteligencje Komisji Nadzoru Finansowego atakują architekturę informatyczną Özera. Odcinają cały elektroniczny ruch wychodzący - e-maile, komunikatory, telekonferencje, system księgowy, elektroniczną bankowość, łączy do automatycznego handlu. Ekran za ekranem ciemnieją świetliste liście na Drzewie Pieniądzy. Wspomagane kwantowymi superkomputerami w Ankarze, AI bez wysiłku łamią hasła do sieci komunikacyjnej Özera i próbują wyłączyć wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne systemy łączności. Tu napotykać na pierwszy opór; grupa min AI generuje software'owe przeciwciała, usiłujące przeprogramować kod napastników. Miliardy kopii ulegają nadpisaniu i są kasowane. Wojna AI trwa trzydzieści sekund, potem Maliye Bakanlıđı przełamuje linię obrony. To wystarcza, by samozniszczeniowe AI Özera rozesłały sygnał alarmowy do menedżerów na wszystkich poziomach.

Ósma pięćdziesiąt. Biurowiec Özera jest odizolowany, odcięty od finansowego świata, samotna iglica ze szkła i stali, jak wyrwany ząb. Agenci Komisji Nadzoru Finansowego obchodzą budynek, pieczętując szafki z aktami i odłączając serwery. Özer jest wyłączany. Nieliczni dyrektorzy znajdujący się już w budynku otrząsają się z paraliżu i przypominają sobie oficjalną strategię rozgrywania końcówki: pal i niszc. W przeszklonych kubikach i narożnych gabinetach menedżerowie wysokiego szczebla przykładają elektromagnetyczne niszczarki do dysków i ceptepów, rozgniatają obcasami pamięci flash, wlewają fiołki nano przez szczeliny wentylacyjne do komputerów. Czterdzieści pięter Özera rozbrzmiewa nagłym, przenikliwym, wyciem niespodziewanie zaprzęgniętych do pracy niszczarek - jakby ktoś ścinał cały las deszczowy naraz. Spal i zniszcz. W biznesie krąży taka legenda, że

strzępki z niszczarek wysyła się do podwykonawców w Afryce, żeby tamtejsze dzieci je posortowały i poskładały z powrotem. Na całej fasadzie biurowca okna uchylają się o dopuszczalne maksimum i sypią na ulicę wirującym na wietrze confetti z posiekanych dokumentów. Strzępki papieru opadają na pracowników na placu, zaskoczonych przegradzającymi wejście do budynku policyjnymi taśmami. Facet z marynarką przerzuconą przez ramię próbuje przebiec przez kordon - policjanci podnoszą go i rzucają na marmurowe stopnie.

Dziewiąta zero zero. Czterech ludzi w garniturach, z teczkami, idzie Istiklal Caddesi i wchodzi do oddziału Anadolu Bank na Muhtar. Personel banku jeszcze się rozsiada, gdy podchodzą do kontuaru recepcji. Recepcjonistka wzywa kierowniczkę oddziału, która zabiera ich pojedynczo, przez zabezpieczające drzwi, do gabinetu na zapleczu. Skanuje im tęczówki i każe podpisać się dwa razy, raz na umowie, drugi raz na zrzeczeniu odpowiedzialności, w zamian daje każdemu z nich plastikowy portfelik zawierający pięćdziesiąt obligacji na okaziciela, każda po sto tysięcy euro. Kolejny podpis - pokwitowanie odbioru. Potem uroczyście podaje im dłoń. Mężczyźni schodzą się z powrotem, ale wychodzą oddzielnie, każdy jedzie w swoją stronę Stambułu.

Dziewiąta dwadzieścia. Najważniejsi menedżerowie przychodzą jednocześnie z prasą. Pierwsze na miejscu są latające kamerki, lecą lotem koszącym nad Levent Plaza, krążą wokół wieżowca, w nadziei na przyłapanie agenta KNF-u odciągającego menedżera od niszczarki czy komputera, nurkują w poszukiwaniu akcji nad potężnym tytanowym „Ö” logo na placu, z umlautami unoszonymi w powietrzu jakąś sprytną magnetyczną sztuczką. Potem i one zawisają w powietrzu i przeskakują z miejsca na miejsce, polując na ujęcia twarzy i dopasowując je do bazy dyrektorów Özera. Kiedy docierają wozy satelitarne i dziennikarze, agenci KNF-u wywożą na wózkach serwery i pudła z dokumentami. Napisano już nagłówki południowych biuletynów informacyjnych. Özer pada, największy przekręt gospodarczy w historii Turcji. Özer Game Over. Policja wyprowadza z biurowca niekończący się strumień kierowników niższego szczebla i rannych ptaszków. Zgromadzeni na zewnątrz pracownicy witają ich nierównymi wiwatami. Szczególne owacje dostają sprzątacze. Machają pięściami w powietrzu. Kolejka do Proroka Kebabów wije się przez cały plac i wychodzi na bulwar. Prorok liczy towar i dzwoni po siostrzeńca i siostrzenicę, żeby jechali do hurtowni. Reporterzy zaczynają przepytывать pracowników. Özer zbankrutowany? Nie, nic nie wiedzieli. Nie było żadnych oznak. Jak to się mogło stać? To była świetna firma. Co oni teraz zrobią? Kiedy policja ich wpuści, mają w szufladach rodzinne zdjęcia. Gdzie jest Süleyman Pamiir, Etyan Ercan i Mehmet Meral?

W apartamencie na Bebek, w yali na Kanlica, w mercedesie na parkingu przy ekspresowce E80, Süleyman Pamir, Etyan Ercan i Mehmet Meral wyjmują z plastikowych etui po fiolce nano. Zrywają zamknięcie. Każdy waha się przez moment przed wsunięciem dyszy do ulubionej dziurki nosa, ale tylko przez moment. To nie będzie śmierć. Tak obiecał projektant szarego nano. Ale w pewnym sensie przestaną istnieć. Każdy się zaciąga, a potem opada na fotel, kanapę, czy siedzenie samochodu z rozdygotanym westchnieniem: po przodomózgowiu rozlewają się obrazy, dźwięki i zapachy, wspomnienia życia, którego nie przeżyli, doświadczenia, które ich nie spotkały. Zapominają, kim byli.

Dziewiąta czterdzieści pięć. Maliye Bakanlıđı kończy opanowywanie Özer Gas and Commodities. Intranety i ekstranety wyłączone, kody i hasła w rękach śledczych KNF-u, zamknięte sieciowe interfejsy do banków, giełd, handlu elektronicznego, zarządzania dostawami i logistyki. Sztuczne Inteligencje są zatrzymywane i wyłączane jedna po drugiej, a audytorskie AI idą za tropem pieniędzy; wychodzą z wieżowca na Levencie do spółek zależnych, klientów i dostawców usług. Automatyczne systemy prawne generują zarzuty wobec audytorów Özera, firmy Özbek Consulting, banku SarayTRC i operatora rurociągu Nabucco. Drzewo Pieniądzy wisi czarne i martwe pośrodku parkietu. Liderzy zespołów zbierają swoich pracowników w grupki na placu i wykrzykują polecenia: rozejść się do domów, przyjść jutro po dalsze informacje, opróżnić biurka, zabrać rzeczy osobiste. Özer Gas and Commodities przestało handlować na rynku. Na Levent Plaza osypuje się ostatnia spirala papierowego śniegu. Prorok Kebabów w życiu nie widział takiego utargu.

Dziewiąta pięćdziesiąt. Adnan Sariođlu idzie Istiklal Caddesi, ulice wypełniają się ludźmi, lawiruje między elektrycznymi wózkami, grupkami kobiet i małymi białymi dostawczakami wiozącymi ryby na targ przy Balik Sok. Krok ma dumny i lekki. Czuje się tak, jakby następne stąpienie mogło go unieść z powierzchni ziemi. W głowie kręci mu się od własnej śmiałości. Zrobił to. Udało się. Ma w teczce cztery miliony w płynnych obligacjach na okaziciela oraz podpisaną przez KNF gwarancję ochrony prawnej w lewej wewnętrznej kieszeni marynarki. A w prawej taki sam dokument od Haydara Akgüna z Wydziału Dóbr Kultury. Zniszczył Özera, wywołał bankructwo stulecia. Stopy mogą zanieść go wszędzie. Po raz pierwszy, odkąd pamięta, nigdzie nie musi być, nic nie musi robić. Tramwaj dla turystów wtacza się na pętlę Tünel - powolna, zgrzytająca, dumnie niepraktyczna zabawka. Nad wysokimi XIX-wiecznymi kamienicami ledwo widać szczyt Galata Tower. Za to teraz pierwsze mignięcie Złotego Rogu i jego głębokiej, najbardziej niebieskiej na świecie wody. Po niej śmigają albo pełzną łodzie, a wszystko wydaje mu się nowe i świeże, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz wysiadł z autobusu z Kaşu, chłopak z plaży,

który się boi wody. Serce mu podskakuje: na Yüksek Kaldinm Caddesi puszcza się truchtem. Czuje się tak, jakby miał milion kilometrów wzrostu i mógł jednym krokiem przeskoczyć siedem kręgów nieba. Oto i Most Galata z ustawionymi w szeregu wędkarzami, jadącymi środkowym pasem tramwajami, oto po drugiej stronie kopuły i minarety Sultanahmeta. Już biegnie, robi uniki przed autami, które raptownie automatycznie hamują, trąbią klaksony, fala zakłócenia ruchu rozchodzi się po zatłoczonych arteriach, przebiega przed skręcającymi z Müeyettzade, wbiega na most, mija wędkarzy z plastikowymi butelkami pełnymi tajemnych przynęt, pudełeczkami haczyków i błystek oraz wiaderkami z maleńkimi rybkami ze Złotego Rogu.

„Spotkajmy się na moście”, powiedział. Nad otwartą wodą. I tam stoi, pośrodku szerokiego chodnika, z dala od wędek i przynęt wędkarzy; trochę nachmurzona, ale elegancka, silna, piękna, włosy jak piramida czarnych loków; patrzy nie w tę stronę, potem go jednak dostrzega, a on macha rękami jak szalony pingwin, pingwin w garniturze i nagle nie jest nielotem, przeciwnie, jest samolotem podchodzącym do lądowania, wielkim, białym airbusem skręcającym nad wodą ku stambulskiemu lotnisku; odchyła ramiona do tyłu, jak skrzydła, i biegnie jak szalony, tak że przechodnie rozstępują się na boki i krzyczą, uważajcie na wariata w garniturze. Ayşe uśmiecha się, szerzy zęby, odrzuca głowę do tyłu, potrząsa szopą czarnych loków i spotykają się, nad wodą, pośrodku Mostu Galata.

* * *

Necdet pierwszy raz zauważa ptaka, kiedy Boży Inżynierowie rozpakowują furgonetkę. Ptak nurkuje z balkonu na wysokim piętrze bloku stojącego tuż za ogrodzeniem tłoczni. Dziwaczny lot zwraca uwagę. Brzydkie, mechaniczne ruchy, o nieprzyjemnym dla oka rytmie, jak kiepsko zaimowany pterodaktyl, którego widział kiedyś na filmie. Proporcje są nie takie, skrzydła za długie, żaden ptak nie ma takiej głowy. Głowa. Głowa... szybując obok, zwraca na Necdeta swoje sześcioro oczu, po czym wlatuje nad dach tłoczni.

Inżynierowie nie zauważają ptaka, są zajęci rozkładaniem w równe rzędy wyciągniętego z furgonetki sprzętu. Gdy już leży idealnie na swoim miejscu, Necdet zauważa, że wszystkiego jest po cztery. Cztery kartony, cztery plastikowe skrzynki, cztery ochronne styropianowe kształtki.

Kartony zawierają urządzenia, których Necdet nie rozpoznaje, krzyżówkę domowego psikacza do czyszczenia i rękawicy bokserskiej. Po jednej w zestawie, do założenia na rękę. Jakaś broń. W charakterze amunicji ładuje się spore naboje, po sześć w magazynku. Kudłaty i Wielki Drab wypróbują ich dopasowanie i wyważenie. Ćwiczą celowanie. Robią zadowolone miny, klaszcząc rękawicami o drugą dłoń. Świetnie. Świetnie.

Ptaka znowu pikuje, znad sklepów ku nowemu blokowi. Znow na niego patrzy. Necdet już wie, co to takiego. „Pomocy”, mówi bezgłośnie.

Z plastikowych pojemników grupa wyjmuje coś, co Necdetowi na oko przypomina naszyjniki. Zapinają je sobie nawzajem wokół szyi, z wielką ostrożnością i uwagą. Zielona Chusta ma łzy w oczach, kiedy Kudłaty szczęka zatraskiem na jej karku. Bardzo ciasne to naszyjniki. Ciasne jak obroże. Każdy ma pośrodku duży kamień. Necdet przypomina sobie, gdzie widział coś takiego. Błyszczało na szyi tej kobiety w tramwaju. Uniosła rękę, dotknęła go i wysadziła sobie głowę. To była siostra Zielonej Chusty. Na podstawie tego, co od niej usłyszał, Necdet pomyślał, że chyba musiała mieć jakąś śmiertelną chorobę. Jednakże ci ludzie nie mają śmiertelnych chorób, a śmiertelności naszyjnik to nie bomba samobójcza. Śmierć była przypadkowa. To są urządzenia do wybuchowego rozsiewania nanośrodków. Boży Inżynierowie nie dadzą się wziąć żywcem. Necdet ponownie szarpie szybkozłączką. Natłuszczone potem strachu, kostki kciuków wysuwają się nieco dalej z pętli. Wielki Drab zerka na niego. Stoi więc potulnie, oparty plecami o betonowy słup.

Obcy robot-ptak przelatuje trzeci raz. Leci nisko, bardzo nisko, niebezpiecznie nisko. Dziecko, wyżej, wyżej. Prześlizguje się nad drutem kolczastym ogrodzenia, chwilę później Necdet słyszy cyknięcie na dachu.

Teraz styropianowe kształtki. Tym opiekuje się Kudłaty. Przecina taśmę, rozwija folię bąbelkową. W każdym opakowaniu jest walec ze szrotkowanego aluminium długości przedramienia Necdeta. To nanogłowice bojowe. Cztery. Cztery głowice - cztery pompy.

Necdet słyszy poruszenie na dachu, szelest pokrytego łuskami stworzenia. Już się nie obawia, że usłyszy to Wielki Drab albo Ponury Kutas. To boski słuch. To Hizir objawia się w świecie dźwięków. To robot-wąż.

* * *

Can podskakuje z podniecenia na ławce przy drzwiach do maleńkiej kaplicy, gdzie przy ładnej pogodzie siadają mężczyźni. Z Ptaka przychodzą kolejne zdjęcia. Udało się, udało. Ewidentnie to jest tłocznia gazu, tak jak sugerował pan Ferentinou. W środku, za drutami stoi mała furgonetka. Ciężko będzie wydostać stamtąd Małego Szczura. Może potem. Po czym? Nie pomyślał, co będzie potem.

Następne zdjęcie. Kobieta w zielonej chuście i wielki facet w koszulce SuperDry. Broń! O, broń. To chyba wystarczy, żeby policja wysłuchała, co mówi. Kolejny szereg zdjęć ukazuje pudełka i kartony rozłożone na ziemi oraz kucających obok ludzi. Jeszcze więcej broni. Jest i Necdet, pod słupem, z rękoma z tyłu. Necdet z bliska, patrzy prosto na Ptaka. On wie.

Nie ma czasu na gadanie. Can rozkłada ceptepa i wysyła zdjęcia prosto pod zapisany kontakt do policji w Kayışdağı. Teraz uwierzycie dziewięciolatkowi!

Kolejna sprawa, pomoc Necdetowi. Can krzyżuje w polu haptycznym ogrzane słońcem kciuki, trzepocze palcami. Ptak szybuje powoli i ląduje na dachu blaszanej hali, a kiedy szpony dotykają metalu, Can rozprasza go i przekształca w Węża. Ma dość obrazów, żeby zbudować mapę i ustalić pozycję Necdeta pod dachem. Wysyła Węża, żeby wężowo wężował, łuska za łuską, w dół po sąsiednim słupie.

Popatrz na mnie, popatrz, popatrz.

Kontakt wzrokowy jest przelotny, ale skręt głowy, rozchylenie nozdrzy mówią: *Widziałem cię.* Can przechodzi Wężem na drugą stronę słupa, niewidoczną dla terrorystów. Teraz będzie trudno odczytać co mówi, widząc tylko profil. Co mówi? Ki Ap. Elki Rap.

- Wielki drab. - Can chichocze.

Pracownik ze stacji benzynowej, wkładający gumki po modlitwie w blaszanej maszynie, gapi się na zwariowanego chłopaka. Wielki Drab. To może być tylko SuperDry. On jest wielki. Canowi wydaje się całkiem miły i jakby trochę zagubiony.

Wejść nad Wielkiego Draba.

Ciężka sprawa. Musi poruszać się powoli i ostrożnie, żeby nikt go nie zobaczył, nie spuszczać Necdeta z oka kamery, do góry nogami, w pozycji, gdzie chwytność Węża jest najsłabsza. W skupieniu wysuwa język. Zapomniał nawet, że jest przemarznięty do szpiku kości. Milimetr za milimetrem, przesuwając Węża na pozycję nad głową SuperDry, zapomniał, że wokół są inni ludzie, zapomniał nawet gdzie jest. Będzie skakał? Będzie Złowrogi Skok Węża z Góry. Zawsze chciał to zrobić tej dziewczynie spod dwójki, żeby wrzasnęła. Atak Złowrogiego Węża! Chwyta wzrok Necdeta, skupia się na jego ustach. Necdet odwraca głowę.

Czekać.

* * *

Nie patrz na węża.

Ciekawe, jak długo dzieciak go tak utrzyma, do góry nogami pod sufitem.

Nie wierć się, nie daj im poznać, że prawie uwolniłeś jedną rękę.

Choć czuje się, jakby ściskali mu palce w imadle, jakby w każdej chwili mogły eksplodować fontanną krwi.

Kudłaty otworzył komputer i podłączył go do pulpitu sterowniczego tłoczni. Stuka w klawisze. Sprawdza odczyty w nasuniętym na oko rzutniku. Wygląda na zadowolonego. Kolejna sekwencja klawiszy. Na obudowach pomp otwierają się cztery owalne panele,

pomalowane w ostrzegawcze żółto-czarne zygzaki. Kudłaty się uśmiecha. Zielona Chusta pomaga mu załadować pojemniki, po jednym na pompę. Pasują tam bardzo dokładnie. Necdet zachodzi w głowę, co też goście z Özera normalnie tam wkładają. Pozwala to mu zapomnieć o bólu, kiedy piłuje kciukami tam i z powrotem, tam i z powrotem, napierając na ząbki plastikowej szybkozłączki. Panele na pompach zamykają się z powrotem.

Nagle unosi głowę, zaskoczony. Dźwięk był tak cichy i wszechobecny, że wtopił się w niezauważalne tło, jak szum ruchu ulicznego, lecz teraz, gdy ustał, jego brak jest ogłuszający. Pompy przestały mruczeć.

- Pompy stanęły! - krzyczy Kudłaty.

- Co? - pyta Ponury Kutas.

- Pompy stanęły. Nic nie działa.

- To puść je z powrotem - mówi Zielona Chusta.

- Może to planowa przerwa diagnostyczna, wtedy da się ręcznie wymusić włączenie...

- Kudłaty stuka w klawisze. - Nie. Komenda z centrali. Zobaczmy, czy da się obejść. Nie. Globalne, na całą sieć. Zatrzymali cały system Özera.

Nawet Wielki Drab zrywa się na nogi. Necdet zerka w górę. Mądry chłopak. Wąż sunie za nim po spodniej stronie dachu, ukrywając się za rurami i przewodami.

- To w ogóle możliwe?

- Patrę. Jakby nagle zniknął cały Özer.

- Dajcie mi, kurwa, jakąś żabkę, na pewno da się to ręcznie zrobić! - Ponury Kutas wpycha się między Kudłatego i Zieloną Chustę.

Wtem Necdet słyszy nowy dźwięk, cichy choć narastający; tym razem to nie jest słuch Hizira, bo Zielona Chusta, Kudłaty, Ponury Kutas i Wielki Drab także zadzierają głowy: coś jak bzyczenie miliarda owadzych skrzydełek.

- Rojoboty! - krzyczy Ponury Kutas i wsuwa dłoń do broni-rękawicy.

- Teraz! - krzyczy Necdet.

Wąż spada z ukrycia na głowę Wielkiego Draba. Ten wrzeszczy, zatacza się w tył, potyka, pada na plecy, wymachując rękoma w pierwotnym strachu: przed spadającym z góry wężem. Necdet uwalnia ręce. W dwóch krokach dociera do przewróconego Wielkiego Draba, zakrwawionymi dłońmi wydziera mu karabinek szturmowy i wali go kolbą w brzuch. Wielki Drab gwałtownie wymiotuje.

- Wybacz, bracie.

Necdet wali go jeszcze w głowę i ucieka. Huragan rojobotów toczy się ku niemu ulicą. Widzi, jak Boży Inżynierowie naciągają swoje rękawice bokserskie i zaciskają pięści.

Rojoboty spadają z nieba jak czarny śnieg. Zamach, cel, bezgłośny strzał. Dywizjon za dywizjonem, powietrze oczyszcza się z latających robotów. Truchła rojobotów sypią mu się na głowę i ramiona. Biegnie ku większej ulicy. Przed nim pędzą dwa białe szczury-roboty, duży i mały. Nagle, z grzmotem wirników, nadlatują helikoptery.

* * *

Ktoś woła Cana po imieniu. Ale przecież nie może wołać Cana po imieniu. To niedopuszczalne. To oznacza koniec gry. Wylaż, wracaj do domu. Drugi głos. Rozpoznaje pana Ferentinou. Nie teraz, proszę pana. Jest misja do ukończenia, sprawa do rozwiązania. Później widzi matkę, idzie wzdłuż sklepów, rozgląda się dookoła, jakby Can mógł schować się w ścieku jak szczur, albo przysiąść na dachu jak ptak, rękoma miga jego imię. Migi zawsze można zignorować. Teraz pan Ferentinou: idzie tą stroną ulicy, razem z jakimś facetem, którego nie rozpoznaje. Idą w stronę stacji benzynowej. Jest i Gazowa Bańka. Obok niej policyjny radiowóz. Nie teraz, nie teraz, nie teraz. Can ześlizguje się z ławki i wsuwa głębiej w ciasny, pomalowany na czerwono przedsionek blaszanego meczeciku. Udaje, że nie słyszy wołania. Wtem, metalowa kaplica zaczyna wibrować od nowego dźwięku. Drży powietrze. Necdet wygląda z kryjówki. Niebo nad Kayışdağı gęstnieje i krzepnie w ciemne jak dym rojoboty. Can aż wzdycha. Przegapiłby chwilę, kiedy Wąż ma wejść do akcji, gdyby nie usłyszał krzyku Necdeta:

- Teraz!

Reaguje bez namysłu, dźga pięścią pole haptyczne. Widzi zbielełą ze strachu twarz SuperDry'a, potem SuperDry, Necdet, tłocznia gazu, wszystko koziółkuje, wiruje obraz.

- Atak węża! - krzyczy radośnie. - Atak węża!

Nic nie widać. Trzeba je zabrać. Uciekać. Misja zakończona, Mały Detektywie. *W szczura!* - rozkazuje. *BitBoty do mnie!* Ma nadzieję, że Mały Szczur też odbierze polecenie i odzepi się od białej furgonetki.

Rojoboty tworzą górujący nad Kayışdağı wir i nurkują w uliczkę prowadzącą do tłoczni gazu. Potem zaczynają spadać z nieba. Can rozdziawia usta. Fragmenty roju sypią się jak grad. Jego ekran zacina się i gaśnie. Can krzyczy ze strachu. Owadzie robociki grzechoczą na blasze falistej dachu meczetu.

- Broń EMP! - sapie Can.

To najlepszy film akcji, jaki widział w życiu. Szczur i Mały pędzą na łeb, na szyję uliczkami, zacinając się, przewracając, koziółkując przy każdym strzale elektromagnetycznym strącającym z nieba kolejny dywizjon rojobotów.

- Tutaj, tutaj, tutaj! - syczy Can. Jeden dobrze wcelowany strzał zabiłby je oba.

Necdet. Biegnie Necdet. Jest umazany krwią i dźwiga wielki, wielki karabin.

Z potwornym łomotem, walącym w klatkę piersiową Cana jak w bęben, nadlatują dwa helikoptery. Nisko, szybko, tuż nad minarecikiem masdżydy. Mijają dziadowskie sklepy, zawracają nad blokami. Jeden zajmuje pozycję nad tłocznią, drugi przesuwa się nad ulicę i zawisa nad całodobowym sklepem. Wszyscy wylegli na ulicę. Ani drgną. Ryk silników wyciska Canowi powietrze z piersi i myśli z głowy. To najbardziej ekscytująca rzecz, jaką kiedykolwiek widział. Szczur i Mały Szczur pędzą ulicą, sypiąc na boki martwymi rojobotami jak zasuszonymi muchami. Przy drzwiach masdżydy skaczą i w powietrzu rozsypują się na komponenty i zestalają w miękki BitBotowy ul. W tej samej sekundzie w Namik Kemal Caddesi skręcają transportery opancerzone.

* * *

Postać wyłaniająca się chwiejnie z zaułka jest zakrwawiona, ma błędny wzrok i trzyma karabin.

- Necdet?! - woła Mustafa.

Postać unosi głowę, zdeorientowana.

- Necdet! - Mustafa biegnie ku niemu. Pod stopami chrupią mu martwe roboty. Łomot helikopterów wypełnia cały świat.

Necdet odrzuca karabin, jakby to była noga trupa. Mustafa tuli go do siebie jak brata.

- Już, już, chodź ze mną, jesteś cały i zdrowy. To ja. Mustafa. Z Centrum Awaryjnego. Chodź, jest policja, zajmie się tobą.

Sierżant policji już biegnie na pomoc. Wtem wszyscy zamierają: na Namik Kemal Caddesi wtaczają się wielkie sześciokołowe transportery opancerzone i blokują ulicę z obu stron. Ich przody rozkładają się jak żuwaczki owadów, tworząc osłony i pochylnie. Na ulicę wysypują się sylwetki w pomarańczowych kombinezonach i pomarańczowych maskach tlenowych. Na plecach kombinezonów i hełmach mają rozetki czarnych, dośrodkowych strzałek. Są uzbrojeni. Biegną, żeby odgrodzić całą ulicę. Megafony grzmia jeszcze głośniejsze niż śmigłowce.

- Uwaga, uwaga, tu służba bezpieczeństwa. Alarm nanotechnologiczny. Alarm nanotechnologiczny. Proszę natychmiast opuścić obszar. Proszę natychmiast opuścić obszar. Proszę nie zabierać. Proszę cofnąć się za transportery.

Georgios Ferentinou widzi biegnące BitBoty.

- Can! - Jego głos tonie w ścianie huku. - Can! - Podchodzi do małej, pomalowanej na czerwono masdżydy obok sklepu monopolowego. Megafon powtarza polecenia. Can ukazuje się w drzwiach masdżydy. Jest przerażony i bardzo, bardzo mały. - Can!

Z uliczki wybiega człowiek, chudy, z burzą kręconych włosów. Wymachuje karabinkiem szturmowym, szarżuje prosto na Georgiosa i stację benzynową.

- Halo! Padnij! Halo!

Strzały są ogłuszające. Plecy chudego eksplodują. Pada prosto w czarny śnieg rojobotów, z kończynami rozłożonymi jak u rozgnieczonego pająka. Can Durukan zamiera w drzwiach masdżydy. Pierś faluje mu spazmatycznie. Wytrzeszcza oczy. Unosi palec i pada na ziemię.

- Pomocy! Pomocy! - Georgios kuli się i biegnie ku masdżydzie.

- Proszę pana! Na ziemię!

- Karetkę! - krzyczy Georgios.

Huk jest nie do wytrzymania. Can leży bezwładnie, jest blady. Chyba nie oddycha.

- O Boże, o Boże, Can, Can, Can, Can, Can. - Nie wie co robić, nie wie co robić. - Pomocy! - Nikt cię nie słyszy, Georgios.

Żołnierze w pomarańczowych kombinezonach przeciw nano poruszają się od osłony do osłony, w końcu szturmują zaułek. Z tłoczni gazu wybiega człowiek. Jest nieuzbrojony, ale twarz ma dziką z wściekłości, jak rozjuszony pies. Szarżuje na żołnierzy, unosi dłonie do szyi. Jeden strzał kładzie go na miejscu.

- No chodź, Can, no chodź, nic ci nie będzie. - Georgios próbuje unieść chłopca, ale jest stary, gruby, a dzieciak jest ciężki, bezwładny i nieporęczny, i nie wie, za co go złapać. W końcu bierze go pod pachę i wyciąga z masdżydy na ulicę, człapiąc z trudem. - Nie strzelać! Nie strzelać! - Wyciąga z kieszeni chusteczkę i powiewa nią.

Teraz z tłoczni gazu wychodzi kobieta. Nosi okulary i zieloną chustę. Dłonie ma w górze. Żołnierze biorą ją na cel. Idzie pewnie i odważnie, bez strachu, z misją. Jeden z żołnierzy bębni palcami w wierzch ciężkiej rękawicy.

Georgios Ferentinou ciągnie Cana ku szpalerowi wojskowych pojazdów. Kobieta idzie ku żołnierzom. Uśmiecha się i unosi dłonie do ozdoby na szyi. Wygląda na zaskoczoną. Żołnierz poklepuje rękawicę. Wtem inni łapią ją, przewracają na ziemię, zdzierają naszyjnik i ją skuwają.

- Pomocy! - krzyczy Georgios. Jest u kresu sił.

Pomarańczowi wypadają zza osłony. Dwóch bierze Cana, jeden pomaga Georgiosowi cofnąć się za transportery.

- Potrzebna karetka, to serce! - woła. Wydaje mu się, że przez łoskot helikopterów słyszy zbliżające się syreny.

- Zajmiemy się nim - mówi żołnierz, który mu pomógł. Podnosi ręce, zwalnia zatraski

i zdejmuje hełm przeciw nano.

Georgios nie od razu rozpoznaje twarz, którą poprzednio widział w tak odmiennych okolicznościach, że niespójność aż wymyka się rozumowi. To major Oktay Eğılmez. Georgios ostatnio spotkał się z nim na pokładzie promu na Kadiköy.

- Najwyższa pora, żeby ktoś zwrócił na pana uwagę, panie profesorze.

- Dziecko...

- Zajmiemy się nim. Lekarz! - Żołnierz w pomarańczowym stroju, bez hełmu, unosi wzrok znad opatrywanych dłoni Necdet'a. - Jak skończysz, sprawdź pana profesora Ferentinou. Trop był prawidłowy, chodziło o gaz. Tylko nie przyszło nam do głowy, że to będzie nanotechnologia rozproszona rurociągami.

- Kto to był?

- Nie mamy pojęcia. Nie ma ich na naszych listach obserwowanych. Zabezpieczamy ich sprzęt. Zaawansowana technologia, to bardzo niepokojące. Mamy jednego więźnia, i tyle nam wystarczy.

Przyjechała karetka. Pulsują niebieskie światła. Georgios patrzy, jak sanitariusze przetaczają Cana na nosze i ładują na tył samochodu.

- Muszę jechać z nim.

- Musimy pana sprawdzić, potem poprosimy policję, żeby pana zawiozła. - Major Eğılmez ściąga rękawicę. - Mówię panu, jak to dobrze wreszcie to zdjąć. Dziękuję, profesorze.

Podaje dłoń. Georgios nadal jest oszołomiony; wokół wirują żołnierze, transportery i helikoptery. Przyjmuje ją.

- Dobra robota - mówi major.

Eğılmez kłania mu się i zaczyna rozmawiać z Şekure Durukan. Żołnierze pomagają jej wsiąść do karetki i zamykają drzwi. Na krótko odzywa się syrena, ambulans odjeżdża. Żołnierze pakują ciała do worków.

Policjanci rozwijają żółtą taśmę i przeganiają gapiów. Trzeszczą radia. Kłębą się ludzie. Mustafa siedzi na krawężniku z Necdetem, obejmuje go jedną ręką, drugą trzyma za dłoń, jak stary, dobry przyjaciel. Georgios stoi samotnie. Śmigłowce w idealnej synchronizacji unoszą się ze swoich pozycji, kiwiają sobie nawzajem i odlatują nad Kayışdağı.

* * *

Dzwoni ceptep.

Leyla naciąga poduszkę na głowę. Chłodną stroną. Po raz pierwszy od wielu tygodni poduszka ma chłodną stronę.

Ceptep dzwoni dalej.

Niech da jej się nacieszyć. Niech jeszcze przez parę chwil będzie boginią.

Zanim rozproszony personel firmy Ceylan-Besarani dotarł najrozmaitszymi środkami transportu na Bakirköy, plotka już się rozniosła i połowa budynku siedziała w mieszkaniu, z owocowym ponczem, piwem i słodyczami. Leyla, już parkując peugeota, słyszała dobiegającą z góry muzykę. W wejściu przywitały ją petardy i serpentyny w spreju. Hałas był taki, że groził wezwaniem policji, gdyby w zasięgu słuchu został ktoś, kto po nią zadzwoni. Wujek Cengiz pompował jej dłoń, pompował i pompował i wyrzaskiwał gratulacje, których nie była w stanie usłyszeć. Ciotka Betül obejmowała ją. Młodsza ciotka Kevser ją przytulała. Kuzyn Naci, jej samozwańczy ochroniarz, zrobił ścieżkę przez salon, żeby mogła przejść na balkon i zebrać gratulacje od babki ciotecznej Sezen. Staruszka ucałowała ją w oba policzki. Potem rodzina, przyjaciele i ci, co się załapali na krzywy ryj, wszyscy zamilkli, gdy Leyla wręczyła matronie obie połówki Koranu. Staruszka ujęła je, odmówiła basmalę i złożyła razem przecięte kawałki.

- Niech nigdy więcej się nie rozdziela - powiedziała, ze łzami na twarzy.

Leyla też stwierdziła, że szłocha. Kuzyn Naci jednocześnie śmiał się i płakał. Wtem ktoś puścił staromodną arabeskę, taką porządną, wiejską, przy której nogi same się rwą do tańca, i dziewczyny już ustawiły się w szereg, zadzierając bluzki, obnażając brzuchy, kiwając głowami, i zaśmiewając się i tańcząc, tańcząc, tańcząc do rytmu, a naprzeciw nich zaraz ustawili się chłopcy i choć wuj Cengiz tańczył jak drewno, to Naci poruszał się przepięknie, lekko, jak to często mają tacy wielcy faceci. Całe to taekwondo. Zapraszali Aso, on kręcił głową - nie, nie, nie, nanotechnolodzy nie tańczą - ale namawiali go i namawiali, no chodź, no dawaj, wstawaj, więc w końcu wstał i patrzył na ich stopy, ucząc się kroków. Tańczył strasznie, Leyla widziała jednak, że wkłada w to całe serce, a oczy mu jaśnieją. Potem dziewczyny odpowiedziały remiksem starej piosenki Ibrahima Tatlisesa, wtedy Aso wrzasnął, że zna to, że wychował się przy tym, że matka śpiewała to w domu; stanął przed szpalerem stryjnek, wujenek i kuzynek, zatańczył, a Leyla pomyślała: To dla mnie, prawda? W połowie szalonego tańca zauważyła, że jej ceptep dzwoni, więc wymknęła się ku względnej ciszy balkonu babki ciotecznej Sezen. Dzwonili z Demre. Matka była z niej dumna, ojciec był dumny, siostry były dumne. Wszystkie te pieniądze nie poszły na marne. Aż się popłakała.

Potem w końcu dotarł Yaşar, z Zelihą, umalowaną i wystrojoną, przeobrażoną z biurowej cholery w niesamowitą glamour-wampirzycę i znów w powietrze poleciały serpentyny w spreju, petardy i confetti. Wujowie, ciotki i sąsiedzi zostali w salonie, tańcząc sobie do arabesek, a młodzież nastawiła w jednym z pokoiów stację karaoke, Zeliha przejęła

mikrofon i stała się sentymentalną piosenkarką o chropowatym głosie. „Gdzie moja umowa?!” - wrzasnęła na nią Leyla, lecz Zeliha pograżyła się w roli diwy. Dwie godziny później dalej śpiewała. W sypialni nie został już nikt, ale ona nie potrzebowała żadnej publiczności oprócz siebie.

Aso, odwożąc Leylę do domu, zahaczył o imprezową okolicę. Taksówki i merole. Krótkie sukienki, kolorowe buty. Odpicowani młodzieńcy z precyzyjnym trzydniowym zarostem. Modni i piękni, wirujący od baru do klubu do baru. Cały Stambuł świętuje, pomyślała Leyla. I jednocześnie jest w żałobie, i boi się, i ma nadzieję. Stambuł jest wszystkim naraz. Była czwarta rano, kiedy peugeot z warkotem wjechał na plac Adema Dede. Powietrze było chłodne. Cisza bezdenna. Aso czuł dzinny, stłoczone jak ryby w ławicy, czekające, obserwujące, ani dobre, ani złe.

- A ty gdzie mieszkasz? - spytała Leyla. - Jakoś się nie złożyło zapytać.

- Mam mieszkanie na Bostanci - odrzekł Aso.

Dom, rodzina, towarzyska życia. Leyli nigdy nie przyszło do głowy, że on ma jakieś życie poza nano.

- A Yaşar?

- Zostaje w domu.

- A Zeliha?

- A, ona nocuje na połowce w pokoju ciotki Betül. Yaşar posuwa ją od wielu miesięcy.

- Nie wiedziałam.

Aso zawahał się, zamykając drzwi samochodu.

- A, prawda. Miałem powiedzieć.

- Co powiedzieć?

- No bo wiesz... myślę, że... zatrudnimy cię na pełny etat.

Dzwoni ceptep. Dzwoni, dzwoni i dzwoni. Leyla naciąga poduszkę na uszy, ale to nie izoluje jej od dźwięku. Odbierz, odbierz, odbierz. Ciska poduszkę w kąt pokoju.

- Słucham!

- Leyla? Mówi Yaşar. Özer Gas and Commodities właśnie zbankrutowało.

* * *

Karta jest z cieleńcego welinu, ma czterysta pięćdziesiąt trzy centymetry na dwieście dwanaście, z dwudziestodwumilimetrowym marginesem po parzystej stronie. Tekst na środku to Pięcioksiąg, Księga Rut, rozdział 4, wersy 14-22, czyli genealogia króla Dawida. Został napisany pięknym aszkenazyjskim charakterem pisma gdzieś pomiędzy końcem jedenastego a początkiem dwunastego wieku w środkowej Francji lub południowych Niemczech.

Tekst Pięcioksięgu jest umieszczony w centralnej części i otoczony trzema ozdobnymi kolumnami, tworzącymi dwa łuki. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełnia winny ornament, sinusoidalna łądyga wypuszczająca małe wachlarzowate listki. Łodyga po prawej jest bogaciej zdobiona, ma pośrodku podporę i opaski na pędach. Początek i koniec obu łądyg rozkwita w fantastyczne stworzenie, identyczne węzowe głowy schodzą się pod spodem tekstu, inne bajeczne istoty wyrastają nad jego szczytem. Po lewej uskrzydłony pies krzyżuje potrójnie rozwidlony język ze skrzydlatą chimerą kozła i żyrafy. Kontury zwierząt, węży, winorośli i kwiatów, kolumny, łuki i każdy ich szczegół - wszystko jest mikrokaligrafią. Wszystko jest zbudowane z maleńkich linii tekstu tak drobnego, że trudnego do zauważenia gołym okiem. Ten tekst to masora, komentarz i tradycja, zwyczajowo zapisywana na marginesie tekstu. Tutaj artysta z fantazją uczynił z niej element ozdobny. Świat w świecie.

Ayşe Erkoç przygląda się karcie, zanim powiesi ją na ścianie. Lubi ją najbardziej ze wszystkich zbiorów, z nią nigdy nie chciałaby się rozstać. Za tę aszkenazyjską mikrografię wystawiłaby się na ogień i kule. Wspomina, jak kupowała ją na aukcji za ostatnie pieniądze ze spadku po ojcu.

Przedtem oczy miała tylko dla ilustracji. Potem, przez wiele miesięcy chodziła po świecie utkanym ze słów, uplecionym z liter, przepisany z umysłu Boga na chętną powierzchnię Ziemi.

Razem z Hafize porozstawiały kartony pod ścianami, które zajmowała ich zawartość. Ayşe ustawia na miejscu Pięcioksiąg Aszkenazyjski. W drugim kartonie jest złoty konstantynopolski kanon - wczesna, iluminowana konkordancja czterech ewangelii. Szkło jest pęknięte. Departament Zabytków i Muzeów nie ma szacunku dla starych i pięknych przedmiotów. Ayşe unosi go, długo patrzy na przepiękne medaliony z popiersiami czwórki ewangelistów. Są ze złota. Wkłada kanon z powrotem do kartonu.

Adnan siedzi pod biurkiem, podłącza prąd i sieć bezprzewodową.

- Do książek też się nadam - mówi. Elegancką marynarkę powiesił na krześle, żeby zachowała elegancję. Teczka z obligacjami na okaziciela leży płasko na siedzeniu. - A może potrzebujesz kogoś, żeby trochę się potargował? Rozważę wszystkie sensowne oferty. Bo nagle sam się posłałem na bezrobocie.

- Masz cztery miliony euro. Nie musisz pracować.

- Mam cztery miliony, których muszę się pozbyć szybko, łatwo i bezboleśnie, zanim Maliye Bakanliđı i Komisja Nadzoru pošlą sztuczne inteligencje, żeby zerknęły na strukturę wydatków byłych traderów Özera. Kto zgarnął forszę ze zrzutki na herbatę, załatwił sobie mały złoty spadochronik i opchnął tani irański gaz jako najlepszy azerski, za dwadzieścia

baniek. Nie myślałaś, żeby rozwinąć galerię, może przenieść się stąd w jakieś inne miejsce, mniej podobne do kostnicy?

Ayşe patrzy nań spode łba.

- Tu wszystko skończone - warczy. - Stało się i się nie odstanie. Zawsze mówiłam, że reputacja nade wszystko, nie tylko reputacja. Po prostu nie myślałam, że kiedyś sama będę ją miała. - Podchodzi do kilku biurków z epoki wczesnej Republiki pośrodku parkietu do tańca. - Przepraszam. To nie twoja wina. Nie, kochanie. Galeria Erkoç jest skończona. Wyprzedam to wszystko i koniec.

Hafize unosi głowę znad wieszanych na ścianie miniatur, nie większych niż jej kciuk.

- Znalazłaś Zmelifikowanego - mówi Adnan. - To musi być coś. To jest, kurwa, legenda. Miecz Proroka albo Święty Graal.

- Wpakowałam do aresztu połowę antykwariuszy w Stambule. Mój stary przyjaciel Burak Özekmekçib ma zarzuty, może stracić licencję, Ahmetowi i Mehmetowi grozi sześć lat i wiele milionów euro grzywny, a ja wychodzę czysta, bez skazy i zmazy. Jak to będzie dla nich wyglądało? Co sobie pomyślą? Nigdy nie będziemy mogli o tym pogadać. Ilekroć gdzieś padnie nazwisko Ayşe Erkoç, będzie mowa o zdrajczyni. Ale... Ale... - Ayşe przysiadła na obcasach, żeby móc popatrzeć w oczy Adnanowi, leżącemu na plecach, w dziwnie bezbronnej pozycji, jak dziecko w kołysce. - Ale mimo to, skosztowałam Zmelifikowanego.

- I jak smakował?

Ayşe kocha go za to, że wie, kiedy ma być poważny.

- Słodko. Najśłodziej na świecie. Teraz już nic nie będzie smakować tak samo. Wydaje mi się, że rozumiem Barçina Yaylę. Nic na świecie nie będzie tak piękne, jak Tajemne Imię Boga. Ono ma barwy, których nikt dotąd nie widział na oczy. Dlatego rozważał wypalenie sobie oczu kwasem. To byłby akt poddania się Bogu. Ale ja nie wierzę w Boga, więc nie mam takiej opcji.

- Moglibyśmy wyjechać ze Stambułu - mówi Adnan. - Tak po prostu. I zacząć w nowym miejscu. Na przykład, wrócić do Kaşu. Założyłbym parę biznesów, może mały ośrodek sportu i rekreacji, rowery górskie, wycieczki, kajaki, nurkowanie. Jak posmaruję wszystkie łapy, które trzeba, żeby mieć tam spokój, z czterech baniek zostaną mi może jakieś drobne.

- Skarbie. Ja i słońce i morze. Nie. Nie cierpię świeżego powietrza. Lubię rzeczy piękne, ładne, rzadkie i drogie. Ja to Stambuł. Jeśli wyjadę dalej niż do Bursy, to wyparuję.

Adnan siada prosto, jak telewizyjny prezenter celuje w nią złożonymi w pistolet

palcami.

- A propos, ta yali... możemy się z nią wstrzymać rok czy dwa? Pierwsza rzecz, na jaką będą patrzeć, to sprzedaż nieruchomości.

Ayşe siada na wypolerowanej od stóp podłodze semahany, obok Adnana, dotykając go naturalnie, intymnie.

- Kochanie, z tą yali możesz się wstrzymać ile tylko chcesz. To ty ją chciałeś. Mnie nigdy się nie podobała.

- A co z nią było nie tak?

- Ja nie mogę, człowieku! Stoi, kurwa, nie po tej stronie Bosforu!

Śmieją się. Śmiech jest wymuszony i desperacki, ale kryje się w nim jądro każdego śmiechu - świadomość absurdalności ludzkiej egzystencji. Śmiech jest hołdem dla niej. Kładą się obok siebie, śmieją najlepiej jak potrafią.

- Proszę pani? - Ayşe mruży oczy, widzi Hafize na tle żyrandoli. Podaje jej kopertę. - Kiedy była pani na policji, sprzedałam jedną rzecz klientce. Sąsiadce. Leyla Gülaşli? Na pewno ją pani kojarzy. Mieszka pod dwójką.

- Co sprzedałaś?

- Tę połówkę Koranu. Miniaturki, którą kupiła pani od Tapaloğlu, niedawno, w poniedziałek.

- Zabraniam wypowiadać tutaj to nazwisko. Połowkę Koranu? Dobra robota, że znalazłaś kupca na coś takiego.

- Nie znalazłam. Ona konkretnie tego szukała. Dała mi tysiąc euro.

Ayşe prostuje się raptownie.

- To o wiele więcej, niż było warte.

- Dla niej to było warte jeszcze więcej. Ayşe Hamm, Adnan Bej, ja słyszałam przypadkiem, co mówicie o zakładaniu firmy, żeby szybko gdzieś włożyć dużo pieniędzy. Mam na to pomysł.

X

Jest rok 1783, 1197 według islamskiego kalendarza. Wzrok Mahtab, żony Kurosha Tehraniana, urzędnika państwowego z Tebrizu, przyciąga błysk srebra na straganie księgarza na starym miejskim bazarze. Miniaturowy Koran, oprawny w srebro, z kryształową lupą w

okładce, bardzo piękny. Idealny Koran dla podróżnika, kupca, żołnierza czy pielgrzyma. Mahtab kupuje go w tym ostatnim celu. Po latach oszczędzania i odkładania z urzędniczej pensji, Kurosh Tehranian w końcu wybiera się na hadż, aby spełnić życiowe pragnienie i obowiązek.

Jest rok 1827/1243. Salman Tehranian, członek misji dyplomatycznej szacha Kadżara, jedzie do Konstantynopola, by wynegocjować osmańskie wsparcie w wojnie rosyjsko-perskiej. W Konyi dopada go choroba. Misja jedzie dalej do Konstantynopola, on zaś pozostaje pod opieką szpitala Pod Grobem Mevlany. Trzy miesiące później umiera. Swój najcenniejszy skarb, oprawny w srebro miniaturowy Koran zapisuje Yusufowi Horozcu, który pielęgnował go z miłością i oddaniem. A misja do Wysokiej Porty Imperium Osmańskiego kończy się fiaskiem.

Jest rok 1858/1275. W posagu Fikriye Gören, wychodzącej za Atifa Ceylana, meblarza z Hacievhattin, znajduje się miniaturowy Koran, opisany jako „perskiego wyrobu, ze srebrnego filigranu, z kryształowym szkłem powiększającym”. Aby uzyskać zgodę na poślubienie córki Görenów, Ceylan musiał wykazać się jako meblarz i zrobić coś wspaniałego. Zbudował zatem przepiękny kufer, skrzynię na skarby, ozdobioną niezwykle misternymi kwiatowymi ornamentami, ale pechową. W wieku sześćdziesięciu trzech lat Nilufer Gören potknął się, uderzył głową w róg skrzyni i zmarł. Rodzina wyniosła ją na zewnątrz i spaliła.

Jest rok 1916/1335. Załatwianie i drobne łapówki dla niskich rangą urzędników nie pomagają - Abdulkadir Ceylan trafia w kamasze, dostaje karabin i wysyłają go na prom, który przewiezie go do pociągu do Çanakkale, a stamtąd Ceylan trafi na drugą stronę Dardaneli, pod Gallipoli. Na nabrzeżu matka daje mu amulet, który sprawi, że wróci cało do Stambułu: rodzinny miniaturowy Koran, przecięty na pół. „On zawsze będzie chciał się połączyć”, mówi, gdy prom bucha dymem w wieczorne niebo. Dzięki jego mocy Abdulkadir przeżywa piekło strzałów i ostrzałów pod Gallipoli, wraca bezpiecznie do Stambułu i zakłada potężną, liczną, rozgałęzioną rodzinę.

Jest rok 2027/1448. Za biurkiem w semahanie domu derwiszy Adema Dede, Adnan Sarioğlu i Ayşe Erkoç kupują obie połowy Koranu Gültaşlıch za dwa miliony euro. A tym samym stają się właścicielami firmy nanotechnologicznej Ceylan-Besarani, z Yaşarem Ceylanem i Aso Besaranim w roli dyrektorów, zarządzającego i technicznego. Ściskają sobie dłonie nad biurkiem, Leyla Gültaşlı i Hafize Gülek są świadkami umowy.

- No dobrze - mówi Adnan Sarioğlu. - Bardzo utalentowane z was chłopaki, ale na robieniu biznesu gównem się znacie. Biznes jest taki: ja tu robię biznes. Wy robicie naukę, ja

robię kasę. Będziecie dalej pracować na nanobazarze. Ja nie chcę mieć czegoś takiego na wizytówce, ani ryzykować, że jak wyjdę z pracy, audica będzie stała na cegłach. Będę tam do was przychodzić, ale nie za często. Może i się cieszyacie, mnie to nie obchodzi. Chcę jak najmniej czasu przebywać wśród maniaków komputerowych, technohipisów, nanoświrów i tych kretynów w goglach. Siedziba zarządu Turkus Nano - postanowiliśmy, że tak nazywa się firma, nazwę Ceylan-Besarani, Besarani-Ceylan, czy jak to tam, kurna, chcecie nazwać, możecie sobie zachować dla transkryptora, kiedy już powstanie - będzie tutaj.

- To jest oficjalna siedziba firmy - mówi Ayşe. - Wszystkie decyzje zapadają tutaj. Dotychczasowe umowy honorujemy przez sześć miesięcy, potem wszystkie są renegocjowane i uzależniane od wyników.

- Przepraszam. - Leyla Gültaşlı podnosi rękę. - Ja nadal nie mam umowy.

- Jak będziesz dyrektorem operacyjnym, sama sobie napiszesz umowę.

- Operacyjnym? Byłam od marketingu...

- Twarzą firmy jesteśmy Adnan i ja - mówi bez ceregieli Ayşe. - Leyla, dyrektor operacyjny. Yaşar i Aso, techniczni. Zeliha nadal zarządza działalnością w Fenerbahçe. Hafize, po macierzyńskim, asystentka moja i Adnana. Turkus Nano to firma komercyjna. Mamy zarabiać pieniądze. Jeśli przy okazji zdarzy się zmienić świat, będzie to miły dodatek.

Pięć dni to w biznesie masa czasu, myśli Adnan. W poniedziałek planował tylko zrobić przekręt na gazie, wpłacić zaliczkę na dom i patrzeć, jak Galatasaray wygrywa z Arsenalem. Jest piątek i rozwalił już wielką korporację, kupił spółkę nanotechnologiczną i nie widział, jak Galatasaray remisuje z Arsenalem. W życiu sobie nie wyobrażał, że Özer może tak upaść, tak szybko i tyle za sobą pociągnąć. Ale Kemal wiedział, Kemal wiedział od momentu, gdy na kontakt Cygnusa X pojawił się pierwszy błąd. Ta sama pomnażająca wszystko potęgą instrumentów finansowych, która pozwala na ciągnięcie z nich niewyobrażalnych zysków, potrafi wygenerować nieskończone straty. Teraz trupa Özera rozdziobują sępy, ale on się ulotnił. Nienaruszony i z kasą. Ultralordowie Wszechświata zawsze zdążą uciec z wybuchającej bazy. Imperia upadają, lecz pieniądź nie zna spoczynku. Wiruje wokół świata i nigdy nie staje, bo jeśli pieniądź stanie, stanie wszystko. Jest piątek, a Adnan już zabił wspaniałą firmę.

- Mamy dużo roboty i mało czasu. Zyskaliśmy przewagę, bo upadek Özera opóźni zespół Idiza, ale oni już teraz, kiedy tu siedzimy, gadają z inwestorami. Przewaga długo nie potrwa. Musimy pierwsi wyjść na rynek. Więc wszystkie siły idą w prototypowanie transkryptora Ceylana-Besaraniego.

- Besaraniego-Ceylana - mówi Aso Besarani.

Literki, myśli Ayşe Erkoç. Słowa złożone z mniejszych słów, a te ze zbyt małych, by je odczytać. W tej sali, za tym biurkiem policjant Akgün zastanawiał się, czy siła mikrokaligrafii jest tym większa, im mniejsze są litery. Hurifici wierzyli, że ostateczne imię Boga jest zapisane w każdym atomie. Że świat jest pisany. Że wszystko jest przepisywane, bez końca kopiowane z miejsca na miejsce. Tajemnice wszechświata mogą być zapisane w ludzkim sercu.

- Zaczynamy od jutra.

Yaşar podnosi rękę.

- Muszę mieć pewność, że nie będę mieć problemów z Abdullahem Unulem.

- Abdullah Unul to drobny kanciarz, zbierający okup ze sklepików. Jeśli chodzi o poważnych przestępców, to przejeżdż się na Levent Plaza. Wszyscy stamtąd szukają teraz pracy. Z Abdullahem Unulem sobie poradzę. A teraz, panie, panowie...

Na dany znak Hafize przynosi tacę z kieliszkami i butelką szampana. Dla siebie ma wodę sodową z grenadyną. Podobno jest zdrowa dla kobiet w ciąży. Zabiera się za butelkę, jakby to była nabita strzelba, korek wyskakuje, jest piana i pięć kieliszków.

- Panie i panowie, za Turkusa.

Wypijają pierwszy toast.

- Panie i panowie, za zysk.

Po drugim Ayşe bierze Koran i rozdziela go na dwie części. Tylną podsuwa Adnanowi. Front wkłada do torebki. Kolekcjonerzy miniaturowych Koranów kupują je dla historii, które przyciągają.

- Zysk - mówi Ayşe Erkoç.

Adnan pochyla się nad blatem ku swoim nowym wspólnikom.

- Panowie, czy któryś z was nie jest czasem kibicem?

* * *

Policjantka jest wysoka i świetnie się prezentuje w swoim mundurze, elegancko ściśniętym pasem z pistoletem, ale Georgios i tak jej nie zauważa, dopóki nie odezwie się drugi raz.

- Hm?

- Załatwimy samochód, żeby zawiózł pana do domu. Żaden problem.

- Nie, nie, nie. Poczekam.

- Lekarze powiedzieli, że dzisiaj nie wpuszczą do niego nikogo oprócz najbliższej rodziny.

- W porządku. Ja z przyjemnością poczekam. Widzi pani, ja mam coś jego. - Georgios

podnosi trzymaną na kolanach torbę z supermarketu.

- Może przyniosę panu kawę, albo coś?

- Nie, nie, nic mi nie trzeba, dziękuję.

Georgios siedzi na środkowym z trzech plastikowych krzesełek pod drzwiami jednoosobowej salki kardiologicznej. Siedzi bardzo prosto, kostki i kolana razem, dłonie zaciśnięte na trzymanej na podolku torbie.

Siedzenie instytucjonalne. Korytarz szpitala jest pomalowany taką samą farbą o barwie chorego płuca co pokój przesłuchań na Üsküdar. Przez pokłady lat przesącza się tamten zapach. A może to nie wspomnienie? W gruncie rzeczy szpital ma prawo pachnieć tak samo jak tajna policyjna cela - płynami ustrojowymi, strachem, nadzieją, przerażeniem. Śmiercią. Już trzy razy przeczytał wszystkie pouczenia na ścianach. Gdyby im wierzyć, dawno powinien nie żyć.

Policjantka przytyka ceptepa do automatu, odczekuje, przytyka jeszcze raz, wali w automat. Wali jeszcze raz.

- Wie pani, ja mam coś dla niego - mówi Georgios, licząc, że policjantka zechce zapytać, co ma w torbie. - Muszę mu coś oddać.

Machina niechętnie wypłuwa kubek smolistej kawy. Georgios zagląda do swojej torby. W środku kłębią się owady. BitBoty, rozsypane na składowe mikroroboty, roją się jak osy, nieustająco kipią ślepą robocią energią. Pojedynczo - bezmyślne automaty; w grupie - inteligentne. Inteligencja jako cecha emergentna, cecha, której nie da się wyprowadzić z zachowania poszczególnych osobników. Złożyłyby je w całość, ale nie ma panelu sterującego. Później zabierze torbę do bezpłatnej stacji z ładowarkami, żeby je podładować.

Znalazł je, rojące się jak srebrne osy w kanale burzowym przy Tłoczni Gazu Kayışdağı, kałuża płynnego światła, zaraz po tym, jak odjechała karetka. Obwąchiwał je pies, odskakując, kiedy BitBoty zjechały się w zaprogramowanej reakcji obronnej. Właściciel czajchany miał plastikową torbę na zakupy - tę, którą teraz trzyma Georgios - i próbował jakoś je do niej pozbierać.

- To nie pana! - krzyknął Georgios. - To chłopca. To jego zwierzątko.

- Zwierzątko? - zdziwił się tamten.

Georgiosowi chodziło o „zabawki”.

- Ja jadę do szpitala, zawiozę mu je.

Razem zagonili do torby wszystkie BitBoty, co do jednego. Potem antyterrorysty, którzy odgradzili ludzi od tłoczni gazu, zauważyli, że paru osób jeszcze nie przesłuchali. Podeszli do nich, żeby zadać pytania. Zabrali Georgiosa do mobilnego centrum dowodzenia

w furgonetce.

- Czy oni próbowali wpuścić nano do gazu?

- Kto, proszę pana?

- No, terroryści. Próbowali wprowadzić nanoreplikator do rurociągu gazowego?

- Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. - Policjant zmarszczył czoło. - Mogę tylko powiedzieć, że to było poważne zdarzenie. Może pan pokazać jakiś dowód tożsamości?

Policjant przepuścił go przez skaner.

- Proszę pana, to jest zgoda na dostęp do informacji niejawnej, z MIT.

- Tak. Ostatnio pracowałem dla nich, w takim panelu ekspertów. Badaliśmy możliwość ataku terrorystycznego z użyciem nanotechnologii. Tam był taki chłopak, dziewięć lat, ma wadę serca, bardzo poważną wadę serca. Zabrali go do szpitala, nie wie pan, czy wszystko z nim w porządku?

- To pan go uratował.

- Tak.

- To pana rodzina?

- Mój sąsiad. Jestem przyjacielem rodziny. Jest dla mnie jak syn. Wnuk.

- Mogę wezwać samochód, żeby pana tam zawiózł.

- To by było miło. Dziękuję bardzo.

- W szpitalu też są policjanci. Zawiadomię ich, że pan przyjedzie. Potrzebne mi pana dane kontaktowe. Trzeba będzie pana dokładniej przesłuchać.

- Rozumiem. Jeśli tylko mogę pomóc.

- To pana torba?

- Tak, to moje rzeczy. Stanowczo za dużo ze sobą tacham.

Staruszkowie, plastikowe torby, gadają sami do siebie, karmią gołębie.

- Czy to był atak nano? - zapytał pośpiesznie Georgios.

Policjant nie odpowiedział, ale kiedy sprowadzał go po schodkach do czekającego radiowozu, odezwał się: „Panie profesorze”, a kiedy ten się odwrócił, ukradkiem kiwnął głową.

Torbę z BitBotami przyciskał do piersi przez całą drogę do Centralnego Szpitala Kozyataği.

Kobieta w zielonym stroju chirurga wybiega z hukiem z kardiologii.

- Pani doktor? - Lekarka przystaje z ledwo słyszalnym westchnieniem irytacji. - Wszystko z nim w porządku?

- Pan jest z rodziny?

- To mój wnuk.

- Ustabilizowaliśmy tętno. Przez parę minut mózg był niedotleniony. Zrobiliśmy tomografię, nie wykryła żadnych neurologicznych uszkodzeń. To oczywiście nie znaczy, że ich nie ma, ale młodość jest po jego stronie. Dzieciaki są bardzo odporne.

- Dziękuję, pani doktor.

- Ale i tak nie wolno panu wejść. Tylko najbliższa rodzina, dziadku.

Ustabilizowany. Niedotleniony. Okropne są te lekarskie eufemizmy.

Georgios wspomina straszną bezwładność jego ciała, wszystko obwisłe, piekielnie ciężkie, ani ruchu, ani tchnienia życia. Bez życia. I ta potworna panika. Nie wiedział, co począć. Nie wiedział, co trzeba zrobić. „Can, Can, Can, Can, Can”, krzyczał tylko.

Telewizor w dyżurce pielęgniarek, mamroczący sam do siebie, pokazuje w popołudniowych wiadomościach materiał ze strzelaniny. Ulica wydaje się bardzo szeroka. Kamera wściekle podskakuje i szarpie. Nie zauważył, że było tam tyle dymu. A to chyba on sam, ten okrągły, komiczny człowieczek, który próbuje biec, pochylony, dźwigając Cana pod pachą, machając białą chusteczką. Żołnierze w pomarańczowych kombinezonach przeciw nano biegną susami ku niemu, wymachują rękoma: „Padnij, padnij”. Czemu oni zawsze każą wszystkim padać?

- Proszę pani?

Policjantka podchodzi. Pachnie bardzo świeżo, żelazkiem i piżmowym dezodorantem. Jest mężatką. Georgios zazdrości jej mężowi.

- Kobieta, ta, co ją złapali, zanim zdążyła się wysadzić, wie pani, co się z nią stało?

- Pewnie ją przesłuchują.

- Ale, ale, jest cała i zdrowa?

- Oczywiście, proszę pana.

- To dobrze, to dobrze. Jestem bardzo ciekaw, co ma do powiedzenia, ale z tym pewnie trzeba będzie poczekać na proces, o ile w ogóle czegoś się wtedy dowiemy. To pewnie będzie jeden z tych procesów bez publiczności, prawda?

- Zapewne tak.

Prezenterzy w telewizorze mają poważne miny. W ciągu dwóch godzin ogląda się siedem razy, wlecze chłopca, macha chusteczką, wlecze chłopca, macha chusteczką. Z czasem przybywa nagrań, w miarę jak montują kolejne fragmenty. Wielki facet w koszulce SuperDry biegnie przez ulicę i strzela. Pada. To jego strzał powalił Cana? Georgios nigdy wcześniej nie widział, jak ktoś pada trafiony kulą. Prosto na ziemię, tak szybko, tak gwałtownie.

- Necdet!

Policjantka pojawia się w jednej chwili.

- Proszę o ciszę, tu jest szpital.

- Ten młody człowiek, zakładnik, Necdet. Co się z nim stało?

- Zajmują się nim w innym szpitalu. Wie pan, powinien pan chyba jechać do domu. Tu już nic się nie zdarzy. Wezwę dla pana samochód, przyjdzie pan jutro.

Nie, muszę usłyszeć, jak Can mówi. Muszę usłyszeć, jak mówi, że jestem niewinny, że nic złego nie zrobiłem. Musi mi odpuścić moje grzechy, udzielić rozgrzeszenia.

Widział, jak patrzą na niego Şekure i Osman, kiedy wyciągnięto ich z pokoju na krótką wypowiedź dla prasy. Uważają, że jest wszystkiemu winien. Nigdy mu nie wybaczą. Wykorzystał ich syna gorzej niż pedofil.

A ja tylko pomogłem mu dojść tam, gdzie prowadziła go własna ciekawość.

Nie wolno zamykać dziewięciolatka w pełnym ciszy więzieniu. Nie można zabierać mu połowy świata i oczekiwać, że nie będzie próbował zbadać tej pustki, że nie wykorzysta swojej inteligencji i zdolności do wkroczenia na zakazany teren. Gdyby sam kiedykolwiek miał syna, może myślałby inaczej. Gdybym miał syna, którego może zabić jeden dźwięk. Już nie pozwolą mu się z nim widzieć. Wie o tym. Potwornie, potwornie się boi, że w ogóle go zabiorą. Dostaną odszkodowanie, wyprowadzą się z domu derwiszy i odtąd będzie sam jak palec.

To straszna rzecz, wplątać się w sprawy, o których mówią w wiadomościach.

- Kończę służbę za jakieś dziesięć minut. Jak pan chce, mogę pana podrzucić na Eskiköy - mówi policjantka.

- Może i tak, proszę pani.

- To ja tylko sobie skoczę w jedno miejsce.

Korytarz jest pusty, wszyscy odwróceni, nikt nie zwraca uwagi na starego, grubego faceta w ciemnym garniturze. Georgios wysypuje zawartość torby na podłogę.

- Idźcie do niego - szepcze.

Tak jak podejrzewał, BitBoty są przywiązane do zapachu Cana. Kałuża robocików wielkości komara kłębi się i przekształca: po jej powierzchni przepływają fale, grzbiety, dziwne geometryczne wzory, potem z niesamowitą żwawością ustawia się w nią i powoli wpełza pod drzwi oddziału. Georgios przygląda się, aż znikną ostatni maruderzy.

Tyle zostało z jego świata. Rok za rokiem coraz bardziej przyciągał do siebie granice swojego świata, zmniejszając krąg - Uniwersytet w Stambule. Katedra Ekonomii. Mniejszość grecka. Eskiköy. Trzech starych Greków i właściciel herbaciarni. Mieszkanie w domu

derwiszy, białe ściany pełne miast, które boi się odwiedzić. Plastikowe krzeselko w szpitalu, pusta sklepowa torba na kolanach.

Stracił wszystko.

Policjantka wychodzi z łazienki świeża i pełna wigoru.

- To jak, jedzie pan ze mną?

- Tak, tak, tylko jeden telefon, dobrze?

- Proszę bardzo.

Georgios człapie do strefy, gdzie wolno rozmawiać przez ceptepy. I tak już dość narobił, jeszcze by brakowało, żeby jego telefon zakłócił pracę maszyny pakującej zmodulowane impulsy elektryczne w serce Cana. Telefon po drugiej stronie dzwoni. Ostatnia chwila. Może już się spóźnił. Trochę nadziei, staruszku. Pozwól sobie na nadzieję. Telefon dzwoni. Ona odbiera.

- Ariana? Nie jedź na samolot. Nie dzisiaj. Nie jedź. Proszę.

* * *

Ostatni promyk słońca oświetla galerię na piętrze domu derwiszy. Ludzie wracają z pracy. Wsiadłszy z autobusów i tramwajów, przechodzą na ukos przez plac Adema Dede, podążają najrozmaitszymi ścieżkami ku kamienicom i konakom Starego Eskiköy. Jeśli idą dziś bardziej beztrosko, spacerowym krokiem, nie śpieszą się, częściej przystają i rozmawiają na stopniach i w zaułkach, to właśnie dlatego, że wreszcie, wreszcie, wreszcie, skończyła się fala upałów. Przyszedł chłodek. Jest wieczór, którym nareszcie da się po stambulsku rozkoszować. Niektórzy przystają, żeby kupić u Aydina gazetę, owoce czy chleb u Kenana albo kawę u Bülienta lub jego odwiecznego konkurenta Aykuta po drugiej stronie. Opuszczają się rolety Księgarni Edukacyjnej. Wczesny wieczór zapada nad placem Adema Dede jak wzbijające się w powietrze stado ptaków, a Leyla Gültaşlı myśli tylko o jednym: żeby porysować kluczami audicę Adnana Sarioğlu.

- Prowadziła galerię - mówi do Aso. - Co ona wie o marketingu? Ja ustawiłam biznes, ja wszystko zrobiłam, i co mam za to? Dyrektora operacyjnego. Powinnam chodzić razem z Adnanem na wszystkie spotkania, gadać z dystrybutorami, kręcić biznes.

Zadowala się kopnięciem w oponę. Piękny samochód. To byłaby agresja, a ona nie czuje się agresywna, tylko niedoceniona. Zresztą, Bülent patrzy z czajchany naprzeciwko.

- Tak działa kapitalizm - mówi Aso. Głowę ma zadartą ku niebu, stoi bardzo nieruchomo, skupia się na owiewającym twarz wietrzyku. Wygląda jak święty.

- A ty się w ogóle tym nie przejmujesz.

- Mam milion powodów, żeby się nie zajmować.

- Dwa miliony powodów.

- No a co, może nie? Oczywiście, że będą chcieli wypłacać sobie wysokie dyrektorskie pensje i wtopić tyle kasy, ile tylko się da, w środki trwałe, ale i tak tanio za to wszystko dali.

- A ty jesteś zadowolony?

- Będziemy mogli skonstruować transkryptor Besaraniego-Ceylana. Będziemy mogli pociągnąć za cyngiel następnej rewolucji przemysłowej. Będzie nam dane za życia odmienić świat. Są i wady, nazwa jest do dupy. Jeszcze o tym pogadamy. Procenty są trochę za małe. Ale w sumie, to prawo wielkich liczb. Bardzo, bardzo wielkich.

- A ja muszę znaleźć sobie jakieś nowe mieszkanie. Nie ma mowy, żebym tu mieszkała, to jest, kurna, za blisko firmy...

- Leyla - mówi Aso. - Cicho. Bądź cicho. Dostyc o pracy, o karierze, kasie i biznesie. Jest taki piękny wieczór.

Bo jest, uświadamia sobie. Wkradł się w nią tak samo jak na niebo, minuta za minutą, rozłożysty, złoty, zdobiony fioletem zmierzch. Powietrze pachnie nowością. Światło zapiera dech: wydaje się jeszcze jaśniejsze, bo wiadomo, że za parę chwil zniknie. Bülent zapalił małe, dekoracyjne lampki nad swoją witryną; w sklepie Kenana świeci się w środku. W mieszkaniach wokół placu zapalają się światła. Leyla nigdy nie lubiła tego miejsca, ani domu derwiszy, ani całego Eskiköy. To miejsce bez horyzontu, bez panoram, bez rozległych widoków. Gdziekolwiek spojrzysz, widzisz tylko kolejną kamienicę. Ma wrażenie, że domy napierają jej na okno, wszędzie oczy, gęby i hałaśliwe życie. Młodzi nie są tu mile widziani, za dużo tu historii i starych wspomnień. Rozumie, dlaczego reszta dziewczyn wyprowadziła się, kiedy tylko mogła. Kobiet jest tu wiele, ale ten świat nie należy do nich, jest stary, męski i potajemny. Nigdy go nie kochała, nigdy nie pokocha, a teraz, kiedy postanowiła się stąd wyprowadzić, nie może się już tego doczekać - ale w taki wieczór właściwie prawie mogłaby zostać.

- Wiesz co, może ja bym pojechała do domu. - Leyla widzi, że Aso nagle zamiera. Co, jak, kto, ja? Dodaje pośpiesznie: - Tylko z wizytą, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku, czy wszystko jest jak przedtem i czy pomidory dalej rosną. Posiedzę dzień albo dwa, i tyle.

Zamarł. Wyglądał na wstrząśniętego, kiedy powiedziała, że może pojedzie do domu, jakby miał już jej nigdy nie zobaczyć. Jakby miał za nią tęsknić. Niesamowite. Ale z Demre, z sekretów swojej chaotycznej, zabałaganionej, ciągle rozrastającej się rodziny, wyniosła jedną nauczkę: miłość masz zawsze pod samym nosem. Kocha się to, co się codziennie widzi.

- Aso - mówi nagle Leyla - chodźmy gdzieś na kolację. Wszystko jedno gdzie, byle gdzieś pójść, żeby nie gadać o pracy i żebym mogła zdjąć te szpilki.

- Co, znaczy... jak na randkę?

- Nie, po prostu pójść coś zjeść. Tak jak na randkę. Jakieś fajne miejsce, żeby można było na coś popatrzeć, jakiś widok żeby był, wino, ładne obrusy na stołach i ludzie, którzy są dla ciebie mili, bo jesteś w garniturze. Gdzieś, gdzie można nacieszyć się trochę przepychem. Co ty na to, Aso?

Przez moment się nie odzywa. Leyla boi się, że wszystko zepsuła, za dużo powiedziała, przegadała. Może zawsze była głównianym marketingowcem i wszystko osiągnęła tylko dzięki bezczelnej pewności siebie. Która teraz spływa jej jak woda przez podeszwy eleganckich butów.

- Tak - odpowiada w końcu Aso. - Ja na to, że bardzo chętnie.

* * *

Jesteś Mały Detektyw i leżysz w wielkim łóżku, które chodzi w górę i w dół i zmienia kształt, wystarczy pomyśleć. Na twarzy masz maskę, rurkę w ramieniu, a maszyny obserwują cię jak modlący się ludzie. Czujesz na skórze mrowienie pola haptycznego. Tak właśnie cię obserwują. Ta rytmiczna niebieska linia to rytm twojego serca. A ta ziarnista pulsująca zjawia to samo serce. Bije, bije i bije, bez odpoczynku. Niesamowite. Pod ekranami są jeszcze jakieś mniejsze ekraniki, i cyferki, ale nie możesz ich odczytać, nie przekręcając się na bok, a pielęgniarka mówiła, żeby tego nie robić, bo możesz odłączyć rurkę albo pająka, który ci siedzi na piersi.

Masz na sobie tylko majtki. Dziwna sprawa i trochę straszna. Jacyś obcy ludzie musieli cię rozebrać, kiedy byłeś w ciemności, poza czasem, w miejscu ciemniejszym i głębszym niż sen. Pamiętasz huk, nagły, potężny huk, w piersi jakby eksplodowały ci fajerwerki, tylko że każda kolejna raca wbijała się w serce z jaskrawoczerwonym bólem, a przez serce w głowę, wybuch za wybuchem, aż wszystkie czerwone kawałki się połączyły. Nic nie zostało, tylko czerwień. Potem zbudziłeś się w tym łóżku, w samych majtkach. Myślisz sobie, że może przez jakiś czas byłeś nieżywy.

Lekarka jest dobra. Lekarkę lubisz. Jest szorstka, konkretna i zawsze robi zniecierpliwioną minę, jakby miała dziesięć tysięcy ważniejszych spraw niż gadanie z tobą, ale chyba można jej ufać. Jeśli złapie się ją w przelocie, odpowiada na pytania i mówi prawdę.

Kiedy usłyszała o zatyczkach do uszu, twarz jej spoważniała.

- To średniowiecze - powiedziała. - To żadne leczenie.

Jest teraz nowa metoda na zespół wydłużonego QT. Tak jak zatyczki, bierze hałas, szum, choć w tym wypadku jest to szum wariujących w sercu przebiegów elektrycznych -

odwraca go do góry nogami i napuszcza z powrotem na serce, tak że huki i łomoty wytłumiają się i pozostaje tylko cichy, miarowy głosik pulsu. To jest o wiele bardziej skomplikowane, ale tyle właśnie robi ten pająk z nanoplastiku, który siedzi mu na sercu, i to będzie robił mniejszy, nowocześniejszy, którego mu włożą do środka i okręci się pajęczymi nogami wokół serca. Nowa technologia, trochę mechaniczna, a trochę żywa. Białkowa informatyka, nazywa to, choć Can podejrzewa, że i ona trochę tego nie rozumie. Ale przynajmniej ma plan.

- Poczekamy jeszcze parę dni, aż dojdiesz do siebie, sprawdzimy, czy nie ma żadnych urazów ani obrażeń, i trochę cię odkarmimy. Wtedy wejdziemy do środka i założymy pająka.

- Będę słyszeć.

- Zawsze słyszałeś.

Kiedy śnisz, a śnisz często i kolorowo po tych wszystkich lekach, które wpuszczają ci przez rurkę, nie śnisz o strzale, który zatrzymał serce, ani o policyjnych rojobotach spadających z nieba jak śnieg, ani nawet o Necdecie widzianym z mysiej dziury, w lokalu nad księgowymi. Śnisz o statku, kontenerowcu, wypływającym przez Bosfor na Morze Czarne i o drzwiach wszystkich kontenerów, otwierających się nagle i wypuszczających wszystkie dźwięki świata.

Şekure i Osman wychodzą z pokoju tylko żeby coś zjeść, pójść do toalety, albo powiedzieć coś do gazety. Są senni, zasypiają na krzesłach. Pismo wypada Şekure z ręki i zsuwa się na podłogę. Obserwujesz ich. Kupę czasu ich obserwujesz. Łatwo ich nabrać, że śpisz. Pielęgniarki - nie. Pielęgniarki są cwane. Pielęgniarki wszystko wiedzą.

Kiedy weszła tym razem, Şekure i Osman akurat gadali z dziennikarzami. Niczego nie potrzebowałaś, przyszła, bo wiedziała, że się obudziłeś.

- Tam na zewnątrz, to twój dziadek?

Musiałeś chwilę pomyśleć.

- Tak.

- Mówi, że ma coś dla ciebie.

- Co ma?

- Coś w torbie.

- Może wejść?

- Nie dzisiaj. Tylko najbliższa rodzina.

- Ale to mój dziadek.

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

A potem zasnęłaś naprawdę, ale nie na długo, bo obudził cię dotyk czegoś, co na

ciebie wchodzi, czegoś długiego, gładkiego i bardzo miękkiego, ale jednocześnie szorstko łaskoczącego, jak koci język. Weszło ci na ramię, pod pachę, tak że prawie zaśmiałeś się z łaskotek, wsunęło się wzdłuż boku, na brzuchu. Przycisnęło się do pępka. Ostrożnie, ostrożnie podniosłeś prześcieradło, bo tylko tyle masz tu do nakrycia, i proszę, tuż pod plastikową blizną kardio-pajaka Wąż uniósł swoją wysadzaną klejnocikami główkę.

Jesteś Mały Detektyw i właśnie rozwiązałeś swoją pierwszą i najfajniejszą zagadkę. Nic już nie będzie takie ekscytujące i takie ważne. I w porządku. Ta sprawa prawie cię zabiła. Ale to też w porządku, bo po tym szpitalu będzie lepiej niż przedtem. I masz z powrotem Węża, twojego wiernego pomocnika, do spółki z Małpą, Szczurem i Ptakiem, zwiniętego na brzuchu. Jest już prawie ciemno. Pielęgniarka mówi, że pan Ferentinou pojechał do domu. Masz nadzieję, że wszystko z nim w porządku. Şekure i Osman śpią, opierają się o siebie nawzajem jak ptaszki w klatce. Nawet maszyny ucichły, a ty w tej ciszy zagładasz w głębi siebie, zagładasz, jak wtedy nad wodą na Üsküdar, kiedy miałeś atak. Wsłuchujesz się we własne serce. Ba-bam. Ba-bam. Ba-bam. Dobrze. Bardzo dobrze.

* * *

- Iiii-haaa! - ryczy Adnan Sarioğlu, wyłączając autodrivery, wciskając gaz i wjeżdżając ryczącym audi w potok aut, leniwie i spokojnie sunących po Moście Bosforskim na azjatycką stronę. Samochody rozpierzchają się, robią uniki. Przejeżdżam.

Ayşe kładzie rękę na kierownicy.

- Nie jedź na Ferhatpaşa. Mam potąd tego mieszkania. Sprzedaj je, pozbadź się go. Nie potrzebuję yali, widoku na Bosfor i przystani dla motorówki; muszę po prostu znowu mieszkać w Europie. Stać nas na coś przyzwoitego, przepuścimy kasę przez moją rodzinę albo przez galerię. Ale dziś nie chcę na Ferhatpaşa. Jedźmy do jakiegoś hotelu, jakiegoś ładnego. Gdzieś, gdzie będziemy wyglądać jak para milionerów. I nad wodą.

- Tak, kurna. Jasne. Chyba znam takie miejsce... - Adnan stuka w AI samochodu. - Kiedy byłem w Özerze... - Urywa nagle. - Dziwnie to brzmi. Jakby nie mieć jednego zęba. Kiedy byłem w Özerze z chłopakami, nazwaliśmy się Ultralordami Wszechświata, no wiesz, jak w tej kreskówce dla dzieci: Draksor, Ultror, Terrak, Hydror. Ultrrralorrrrdowie... Takie rzeczy się robiło w Özerze. I była taka jeszcze jedna kreskówka, którą uwielbiałem. To chyba był remake jakiegoś starego amerykańskiego filmu. Dwoje dzieci, chłopak i dziewczynka, miało po połowie magicznego pierścienia. No i wiesz, jak zawsze, walczą z przestępcami, z demonami i tak dalej, a jak mają problem, to łączą te dwie połówki, krzyczą „Shazzan!”, pojawia się wielki, gruby dzinn w szarawarach i wpierdziela wrogom. Szybko było jasne, że film robi się ciekawy tylko, jeśli ktoś ukradnie którąś połówkę pierścienia albo zamknie

gdzieś dzinna, i dzieciaki muszą polegać na własnej pomysłowości.

Adnan wyciąga swoją połówkę Koranu Gültaşlıch i unosi ją. Ayşe robi to samo.

- Shazzan! - krzyczy Adnan.

Ayşe przykłada drugą część książeczki.

- Shazzan!

Wtedy Adnan włącza autodrive, rozkłada siedzenie i rozwala się na nim, uśmiechnięty jak milioner, a Ayşe śmieje się, potrząsa włosami, rozkłada siedzenie i obraca się na bok, twarzą do niego. Audi jedzie po łuku wysoko nad Bosforem, wśród nigdy nieustającego ruchu, wśród wiecznie płynącej rzeki światła.

* * *

W ogrodzie są różne spokoje. Necdet Hasgüler siada na brzegu fontanny i łowi je jak motyle. Jest spokój izolacji: jak miękka, organiczna, drewniana konstrukcja domu derwiszy, sprawia, że ryk miasta staje się szmerem. Kamień i beton odbijają, drewno pochłania. Jest spokój małych rzeczy: ciurkanie wody z fontanny, cichutki szelest jaszczurki mieszkającej w jej podstawie, ptak, który opada i przysiadła na dachu podcienia, przygląda mu się jednym okiem, drugim i odfruva. Jest spokój istnienia: ciemne, drewniane słupy krużganka, białe i niebieskie kafelki, marmur fontanny do ablucji, zapachy wody, starego, wybielonego przez słońce drewna, ziemi i roślin. Spokój nieobecności: żadnych ludzi, żadnych głosów, żadnych słów, potrzeb, pytań. I spokój obecności: nie ma tu nikogo innego, tylko Necdet i Zielony Święty.

- Witaj, przyjacielu - szepcze Necdet.

Hizir kiwa mu ze swojego miejsca na kamiennej ławie, przed grządką z różami. Wojskowy lekarz, który opatrzył mu dłonie i zbadał go po odsiecz w Kayışdağı, opowiedział mu historię o Mewlaniu, wielkim świętym, którego zakon zbudował to tekke. Mewlana miał przyjaciela, Şamsa z Tebrizu, duchowego powiernika, drugą połówkę jego duszy - jedną duszę w dwóch ciałach. Razem, w niekończących się rozmowach, zgłębiali Boga. Derwisze poczuli się zazdrośni wobec tych nierozłącznych dwóch w jednym i potajemnie zabili Şamsa z Tebrizu. Kiedy Mewlana nie mógł go nigdzie znaleźć, doszedł do jedyne go możliwego wniosku: połączyli się ze sobą, Şams stał się jego częścią.

Czemuż mam szukać?

Jestem tym samym co on.

Jego istota przemawia przeze mnie.

Szukałem zatem sam siebie.

Necdet wie, jak długo będzie z nim Hizir.

- A inni?

- Będziemy ich oczywiście monitorować, ale nie ma powodu ich zatrzymywać. Nie są chorzy. Tak jak ty, przeszli przez fazę przywidzeń, a potem się ustabilizowali. Wydaje się, że mają dzięki temu dodatkowe zdolności. Nie potrafimy ich zdefiniować, brakuje nam pojęć, a zwłaszcza słów. Bardziej świadomi? Inaczej świadomi?

- A ile to będzie trwało, panie doktorze?

Wtedy właśnie doktor opowiedział mu o Şamsie z Tebrizu. Jak Bóg da. Te rzeczy się zmieniają. Kiedyś jego brat dał mu schronienie, pomógł, zaopiekował się. Teraz on pomoże Ismetowi. Braterskie uczucie jest silne, ale mężczyźni w kupie robią głupie rzeczy. Uliczny szariat to wielka siła i może sprawić wiele dobrego, lecz mogą się w nim łatwo poróżnić, wystarczy trochę rywalizacji czy dogmatyzmu. Skoro Ismet nazywa go szejchem, to będzie prawdziwym szejchem. Szejch Necdet. Taniec derwisza jest we wszystkim.

Sprawileś, przyjacielu, że stałem się prawdziwy.

Zapach zieleni w małym ogródku nagle uderza do głowy, oszałamia. Jutro Necdet pojedzie z powrotem do Başibüyük, do rodziny, do siostry i spróbuje odkupić stare winy. Teraz jest wieczór, a z głośników Meczetu Tulipanowego niesie się adhan. Dom derwiszy wpuszcza ten dźwięk, wezwanie do modlitwy wiruje w nieruchomym powietrzu jego ogrodu, nabrzmiewa i cichnie. Może i on pójdzie się pomodlić.

* * *

Jest adhan, zwołuje wiernych na modlitwę ikindi z minaretów trzech tysięcy stambulskich meczetów. Jest bocian, krąży w prądach termicznych wysoko nad wieżowcami korporacji, Leventem i Maslakiem. Jest atom węgla, związany gwiazdziście z czterema atomami wodoru, pędzi przez rurę z gazem pod Bosforem, do Europy. Jest Zmelifikowany Człowiek, śpi na miodowym łożu, dopóki nie zbudzi go fanfara Israfiła. Jest trzech martwych, zimnych ludzi na wojskowym cmentarzu. Jest Matka Boża od świętego Pantelejmona, rozciągająca swój opiekuńczy welon nad dwunastoma milionami dusz w największym mieście Europy. Są kochankowie w omywanym szumem morza wynajętym pokoju. Jest Sztorm Wirujących Wiatraków, śpiewa w linach latawcowych żagli, wygina wodę Bosforu w niespokojne kocie jęczyci. Jest sekretne imię Boga, wypisane na Stambule literami zbyt wielkimi i zbyt małymi, by je ogarnąć rozumem. Jest wir dzinnów i wspomnień, nie tak odmiennych, jak ludzie myślą, w zmierzchu nad placem Adema Dede, przed starym domem derwiszy. Ten wir, ten pęd, ten taniec jest wpisany we wszystkie cząsteczki wszechświata. Jest śmiech Hizira, Zielonego Świętego. Jest Stambuł, Królowa Miast i ona stać będzie tak

długo, jak długo na ziemi będą bić ludzkie serca.

OD TŁUMACZA

W książce występuje sporo słów tureckich, autor starał się na ogół zachować pisownię oryginalną. W języku polskim, z uwagi na niegdysiejsze wpływy kulturowe, wiele z tych słów zadomowiło się już dawno - pasza, bej, janczar, czajchana - dlatego w takich przypadkach stosuję normalne polskie słowa.

Pozostałe piszę na sposób turecki, co cięższe przypadki wyjaśniając w przypisach. Słowo „zmelifikowany”, chyba słabo funkcjonujące w języku polskim, pożyczyłem sobie od Mary Roach, autorki książki *Sztywniak; osobliwe życie nieboszczyków, czy może raczej od jej tłumacza, Maćka Sekerdeja.*

Cytaty z Koranu w przekładzie Józefa Bielawskiego.

O AUTORZE

Ian McDonald jest autorem licznych powieści science fiction, między innymi *Desolation Road*, *Out on Deep Six*, *Chaga* (wydana w Polsce), *Kirinya*, *Serca*, *dłonie głosy*, *Brasyl* oraz *Rzeki bogów*, której kontynuacją jest zbiór opowiadań *Dni Cyberabadu*. *Dom derwiszy* otrzymał British SF Association Award oraz nominację do nagrody Hugo, a opowiadanie *Małżonka dzinna* zdobyło nagrodę Hugo. Jest także laureatem nagród Philipa K. Dicka, Theodore'a Sturgeona, był wielokrotnie nominowany do Hugo, Nebuli i World Fantasy Award, zdobył kilka nominacji do nagrody Arthura C. Clarke'a. Mieszka w Belfaście w Irlandii Północnej. Lubi osadzać akcję powieści poza obszarem kultury zachodniej.

„Washington Post” określa go mianem „jednego z największych współczesnych pisarzy science fiction”.